UNIWERSYTET ŚLĄSKI W KATOWICACH
WYDZIAŁ HUMANISTYCZNY

Anna Gawryś-Mazurkiewicz
Nr albumu: 8376

Przeżywane, mówione, pisane
Wspomnienia Oli Watowej w świetle krytyki genetycznej

Rozprawa doktorska napisana pod kierunkiem
prof. dr hab. Józefa Olejniczaka

Katowice 2023

SPIS TREŚCI

WYKAZ SKRÓTÓW ... **4**
WSTĘP ... **5**
I. Recepcja Oli Watowej ... **10**
Ola i Aleksander ... 10
Autorka ... 17
Wielka wdowa ... 21
Strażniczka pamięci Aleksandra ... 27
II. Archiwum ... **42**
Glosa teoretyczna ... 42
Inedita ... 43
Nagrane wspomnienia ... 46
Dossier genezy ... 46
Przed-tekst ... 50
Falstarty ... 53
Step ... 58
Wigilia tekstu ... 66
Teksty w przed-tekście ... 77
„...i nędza choroby w Ili” ... 77
Paszportyzacja ... 86
Zmierzch falstartów ... 92
„Spisać wspomnienia”… ... 92
Niejasności ... 93
Metonimie ... 96
Antysemityzm i (auto)cenzura ... 101
Przekleństwo ... 110
Wnioski ... 112
III. *Wszystko co najważniejsze* ... **115**
Glosa biograficzna ... 115
Ola Watowa, czyli Aleksander ... 115
Jacek Trznadel, czyli donos ... 117
Spotkanie ... 122
Nagrania ... 124
„To” zdanie, czyli tytuł ... 137

Transkrypcja ... 139
To, co przeredagowane ... 151
Hańba domowa ... 154
Etap wydawniczy, recenzje i listy ... 162
Listy ... 167
Wymazywanie ... 170
IV. Redaktorka archiwum ... 180
Patriarchiwum/matriarchiwum ... 187
Włodzimierz Majakowski ... 192
Czesław Miłosz ... 196
Aleksander Wat ... 200
ZAKOŃCZENIE ... 206
ANEKS ... 210
NOTA BIBLIOGRAFICZNA ... 637
BIBLIOGRAFIA ... 638

3:2294569746

WYKAZ SKRÓTÓW

WCN – *Wszystko co najważniejsze. Rozmowy z Jackiem Trznadlem* (Puls Publications 1984 r.)

SW – maszynopis rozpoczynający się od słów „Spisać wspomnienia” (w aneksie)

PD – maszynopis rozpoczynający się od słów „Pierwszy dzień” (w aneksie)

MMS – maszynopis Marii Sikorskiej

N – transkrypcja nagrań (w aneksie)

4:4878103574

WSTĘP

W 2017 roku powstał pomysł rozprawy pod roboczym tytułem *Pisanie Oli. Tekstowe ślady Oli Watowej*. Materiałem badawczym miała być spuścizna literacka Oli Watowej, teksty jej męża oraz osób z ich otoczenia, a ambicją – wypełnienie białych plam w jej biografii oraz prześledzenie śladów jej prywatnej mitologii. Wówczas za teksty Oli Watowej uważano: *Sznur* („Wiadomości Literackie" 1972, nr 5), *Paszportyzację* („Zeszyty Historyczne" 1972, nr 21); *Wszystko co najważniejsze*. *Rozmowy z Jackiem Trznadlem* („Puls Publications", 1984) oraz jego kolejne wydanie[1]: *Wszystko co najważniejsze* („Czytelnik", 1990); *Gordon Craig (obrazki wspomnień*) („Zeszyty Literackie" 2007, nr 3), *Listy o tym, co najważniejsze* („Zeszyty Literackie", 2009).[2] Wszystkie związane z Aleksandrem Watem, wszystkie jakoś od niego zależne. Do tej listy można dodać wydany w 2022 roku *Dziennik podróży Oli Watowej*[3].

Taka praca z pewnością by powstała, jednak dzięki hojności Uniwersytetu Śląskiego oraz wstawiennictwu takich osób jak: Marta Wyka i Monika Gibson znalazłam się w archiwum rodzinnym Watów, które odwiedziłam dwukrotnie: w listopadzie 2018 roku i maju 2019 roku. Były to dwa tygodniowe pobyty, które znacznie przerosły oczekiwania początkującej badaczki archiwum, którą – dziełem przypadku – dopiero miałam się stać. Pierwotny cel odwiedzin był odmienny od zamierzonego i wcześniej ustalonego. Andrzej Wat – syn Oli i Aleksandra – zgodził się na spotkania, podczas których obiecał opowiedzieć o swojej matce i pomóc w uzupełnieniu luk w jej biografii. Niestety, dość szybko okazało się, że nasze sesje – z powodu podeszłego wieku mojego rozmówcy – są coraz krótsze. Nie otrzymałam wyczerpujących odpowiedzi na moje pytania, ale w zamian dostałam coś, co poczytuję sobie za wyraz zaufania – propozycję nieograniczonego dostępu do rodzinnych dokumentów i zgodę na ich publikację.

Moje doświadczanie archiwum, siłą rzeczy, nie było związane ze sterylnymi pomieszczeniami, w których uważne oczy kamer obserwują każdy ruch kwerendzisty, a uporządkowane katalogi usłużnie ujawniają przed zniecierpliwionym badaczem zawartość magazynów bibliotecznych. W

[1] Wydanie „Czytelnikowskie" traktuję jako wariant w rozumieniu „odmian w tekstach o tym samym statusie, występujących między rożnymi wydaniami tego samego dzieła". Zob. P.-M. de Biasi, *Genetyka tekstów,* przeł. F. Kwiatek, M. Prussak, Warszawa 2015, s. 36.
[2] Ponadto Watowa przełożyła: *Śnieg* Konstantego Paustowskiego („Nowiny Literackie" 1948, nr 152), *Wassa Żeleznowa* Marksyma Gorkiego (Warszawa 1950), *Duża sala* Jacoby van Velde (Kraków 1961).
[3] O. Watowa, *Dziennik podróży Oli Watowej*, edycja H. Rzepka, „Ruch Literacki" 2022, z. 2 (371).

5:6890205311

archiwum rodzinnym Watów – poza nielicznymi wyjątkami – na próżno szukać ponumerowanych teczek i opisanych pudeł. To prywatne mieszkanie przy rue des Écoles w dzielnicy łacińskiej Paryża[4] – kilka imponujących kamienicznych pokoi, w których przez ostatnie dekady nawarstwiały się i przenikały ślady życia co najmniej trzech rodzin. W przemieszaniu pudeł, dokumentów piętrzących się w szafach i na regałach, wśród pamiątek rodzinnych i przedmiotów codziennego użytku – w miejscach oczywistych i tych najbardziej zaskakujących – można znaleźć prawdziwe skarby, jak na przykład: umieszczony w sportowej torbie komplet taśm z nagraniem *Mojego wieku*; zdjęcia rodzinne z przedwojennej Polski, zabrane przez Watową do Lwowa w 1939 roku, dzięki czemu nie przepadły w bombardowanej Warszawie; oprawiony w drewno, ręcznie wykonany egzemplarz *Bezrobotnego Lucyfera* z rysunkami Jana Lebensteina; czy, wetknięte do katalogu turystycznego (prawdopodobnie ze względu na sztywność okładki), wykonane ręką Józefa Czapskiego portrety Oli i Aleksandra. Takie archiwum może oszołomić.

Takie archiwum, w przeciwieństwie do takiego, znajdującego się w murach jakiejś instytucji, różni się zadaniami, jakie stawia przed dopuszczoną do niego badaczką. Przede wszystkim przeformułowuje jej prawa i obowiązki. Przeobraża kwerendzistkę nie tyleż w archiwistkę, co poszukiwaczkę skarbów, nieświadomą i niepewną, czego i gdzie szukać, ale też – co jeszcze bardziej deprymujące – czego nie znalazła. Stawia ją też w niewygodnej roli intruza w cudzym domu, bo każde takie poszukiwanie jest ingerencją w czyjeś życie i naruszaniem jego prywatności. To dodatkowe komplikacje przy tych, które i tak obciążają etycznie badaczkę archiwum, a o których łatwo zapomnieć, odnajdując skarby, a za takie uważam również maszynopisy, notatki i brudnopisy Oli Watowej.

W niniejszej pracy starałam się przedstawić historię pracy Watowej nad własną książką wspomnieniową: od jej najwcześniejszych stadiów – samodzielnych, nieopublikowanych prób pisarskich, rozpoczynających się tuż po śmierci Aleksandra Wata, aż po lata osiemdziesiąte, które przyniosły wydanie tomu *Wszystko co najważniejsze* i lata dziewięćdziesiąte, gdy pojawiły się jego kolejne wydania. Najodpowiedniejsza do tego wydała mi się metoda zaproponowana przez krytykę genetyczną, czyli wywodzącą się z Francji praktykę badania archiwaliów, która proponuje odmienne niż filologia rozłożenie akcentów, stawia sobie też inne cele. W odróżnieniu od

[4] Andrzej Wat zmarł 10 grudnia 2021 roku. Nie wiem, jak potoczyły się losy rodzinnego archiwum Watów. Zgodnie z deklaracją Andrzeja Wata i Pierre'a Wata (jego syna), dokumenty rodzinne miały znaleźć swoje miejsce w Beinecke Rare Book & Manuscript Library w Yale University.

6:2307231343

tradycyjnego edytorstwa, nie szuka w archiwum najlepszej z możliwych wersji opublikowanego tekstu, a próbuje badać napięcia między poszczególnymi etapami pisania, w centrum stawia nie tekst opublikowany, a drogę do jego powstania: „genetyka tekstu (...) zajmuje się analizą rękopisów, ich klasyfikacją, odszyfrowaniem i ewentualną publikacją, krytyka genetyczna zaś interpretuje rezultaty tej analizy”[5].

Analizując zebrany w poniższej pracy materiał badawczy (zwany przez genetyków *dossier* genezy lub dokumentami procesu tekstotwórczego), służący do prześledzenia procesu tekstotwórczego, zauważymy, że historia tej książki otwiera się także na inne punkty widzenia i języki badawcze, powinna więc zostać opowiedziana na ich przecięciu i styku. W owej mikrohistorii skupiają się jak w soczewce sprawy duże i małe: obecne jest w nich emigracyjne życie literackie, jego związki z krajem, uśpione zarysy politycznych podziałów, które pełnym głosem przemówiły wiele lat później, ale też trudne kwestie autorstwa, problemy kobiecego głosu w świecie patriarchalnej hegemonii, dialektyka pamięci i zapomnienia, ale też prawdy i manipulacji oraz to, w jaki sposób psychopatologia życia codziennego przeradza się w psychopatologię pisania. A zatem z jednej strony parę osób, mały czas, z drugiej – ważny przyczynek do dziejów kultury polskiej drugiej połowy XX wieku.

Być może należałoby zadać pytanie o zasadność tych działań, zważywszy, że zainteresowanie Watową oraz *Wszystko co najważniejsze* gaśnie od końca lat dziewięćdziesiątych, przerywane na krótko entuzjastycznymi rocznicowymi artykułami w prasie (głównie internetowej), a sama książka nie doczekała się dotąd obszerniejszych opracowań i interpretacji. Zważywszy też zmianę akcentów. Do momentu, gdy twórczość Watowej postrzegamy jako dopełnienie dzieła męża, projekt uzasadnia się niejako sam w sobie. Wielkość męża promieniuje na żonę, która tylko o tyle jest ciekawa, o ile wypełnia puste miejsca męskiej biografii i badacz lub badaczka Watowej nie potrzebuje udowadniać zasadności swych wysiłków. Gdy jednak spróbujemy Watową potraktować w pewnym chociaż oderwaniu od wielkiego męża, gdy spróbujemy ją wyłuskać z męskiej biografii, wtedy stajemy przed koniecznością wytłumaczenia badawczego sensu naszych wyborów, ponieważ – pomimo wszystkich metodologicznych przełomów – patriarchalne oko wciąż czujnie patrzy z wysokiej dziedzinowej wieży i ocenia. I wtedy możemy odpowiedzieć na kilka sposobów.

[5] P. Bem, Ł. Cybulski, *Genetyka tekstów P.M. de Biasiego a polska recepcja krytyki genetycznej*, w: *Archiwa i bruliony pisarzy. Odkrywanie*, pod red. M. Prussak, P. Bema, Ł. Cybulskiego, Warszawa 2017, s. 9.

7:8663269964

Pierwszy sposób, ideologicznie mocny, tłumaczy nasz wybór koniecznością napisania *herstorii* obok historii. W przypadku Watów uwikłanie ich biografii w historię XX wieku sprawia, że *herstoria* nie tylko drepcze za historią, lecz często ją wyprzedza, równa krok, odrywa się od niej lub zostaje oderwana. Najpierw sama musi przetrwać próbę, a następnie próbę tę samodzielnie i oryginalnie opowiada. Zadanie badawcze polega tu jeszcze dodatkowo na wydobyciu *herstorii* z historii o tyle, o ile wcześniej została ona w nią zamieniona i to z przyzwoleniem głównej zainteresowanej. Jest to działanie dwuznaczne, ponieważ nie dowiemy się już, czy sama bohaterka na takie badawcze postępowanie zareagowałaby entuzjazmem, pytanie to jednak nie mieści się w ramach postępowania genetycznego, które nie pyta pisarza, który nieopacznie pozostawił swe bruliony potomności, czy ma prawo do nich zaglądać.

Drugi sposób, ideologicznie słabszy, polega na odwołaniu się do kłopotów, jakie wieża od dawna ma z ustaleniem kanonu. W sytuacji, gdy dawniej oczywisty dla teorii literatury komponent związany z wartościowaniem dzieła literackiego w zasadzie całkowicie zanikł, a urynkowienie obiegu literackiego spowodowało zmierzch krytyki literackiej jako źródła autorytetu przydzielającego wartości, odtąd wybór materiału badawczego za każdym właściwie razem staje się problematyczny i powinien być też za każdym razem osobno opisany i uzasadniony. Wtedy sam gest wyboru na ogół starcza za całe swe uzasadnienie, gdyż główny kanoniczny trakt zwęził się lub w ogóle zanikł, my zaś penetrujemy szerokie historycznoliterackie marginesy zapełnione zjawiskami o różnej klasie, różnej wartości i różnej ważności. Wobec tego sposobu łatwo postawić zarzut, że wybór jednak przyszedł od strony uznanej i niekwestionowanej, może nawet kanonicznej wartości dzieła Wata, bo tylko dzięki niemu nasz wzrok pada, niejako przy okazji, także na Olę. Przy tak jednak postawionym pytaniu za odpowiedź służy archiwum Oli, w którym znalazłam dokumenty, które ku takiemu wyborowi się wychyliły i które go uzasadniły samym swym istnieniem. Przypadek sprawił, że właśnie to, a nie coś innego udało się odnaleźć z *dossier* pozostawionym przez Watową. W takim ujęciu wyborem moim żądzą na równi przypadek, co i odkryta prawda materialna faktu. Czytelnik sam oceni, czy warto było wydobyć z archiwum tę właśnie materialność.

W rozdziale pierwszym, zatytułowanym *Recepcja Oli Watowej* staram się odtworzyć jej portret wyłaniający się zarówno z literatury przedmiotu, jak i z tekstów jej męża. Za cel postawiłam sobie wskazanie pewnych uproszczeń i schematów myślenia na jej temat oraz próbę ich zniesienia lub skorygowania. Być może wbrew woli samej Watowej, chciałam spojrzeć na nią i rzeczywiste role,

8:1052686507

które podejmowała, rezygnując z umieszczania w centrum mojego oglądu Aleksandra.

Rozdział drugi pt. *Archiwum* skupia się na analizie i interpretacji dokumentów *dossier* genezy zarówno pod względem tematycznym, stylistycznym, jak i gatunkowym oraz próbie „selekcji i systematyzacji dossier”[6], czyli „do jego krytycznego uporządkowania”[7] zwanego przez genetyków przed-tekstem[8].

W rozdziale trzecim, zatytułowanym *Wszystko co najważniejsze*, śledzę konkretny wycinek drogi Oli Watowej do wydania swojej książki, mianowicie czas współpracy z Jackiem Trznadlem, a potem z Janem Zielińskim. Korzystam tu z narzędzi krytyki genetycznej oraz genetyki wariantów autorskich[9].

Z kolei rozdział IV. *Redaktorka archiwum* jest próbą zbliżenia się do swoistego i nietypowego doświadczenia archiwum – fotograficznej ściany Oli Watowej, stanowiącej mówione przedłużenie praktyki pisarskiej autorki *Sznura*, w którym dochodzi do kontaminacji słowa i obrazu, podpisu i fotografii, wyboru i konieczności, sympatii i jej utraty.

Do pracy dołączam obszerny aneks, zawierający opracowane przeze mnie zgodnie z założeniami genetyki tekstów dokumenty *dossier* genezy. Aneks przedstawia więc kompletny materiał badawczy, na którym opiera moja praca badawcza.

Niniejsza rozprawa, oprócz ustaleń de Biasiego zawartych w *Genetyce tekstów*, najmocniej zadłużona jest w polskiej praktyce genetycznej, a w szczególności w pracach takich jak *Pracownia Herberta*[10], *Archiwa i bruliony pisarzy*[11] oraz *Przez kreślenie do kreacji*[12].

[6] P. Bem, Ł. Cybulski, *Genetyka tekstów P.M. de Biasiego a polska recepcja krytyki genetycznej...*, s. 23.
[7] Tamże, s. 23.
[8] P.-M. de Biasi, *Genetyka tekstów*, s. 52-57.
[9] Zob. P. Bem, Ł. Cybulski, *Genetyka tekstów P.M. de Biasiego a polska recepcja krytyki genetycznej...*, s. 28-29.
[10] *Pracownia Herberta. Studia nad procesem tekstotwórczym*, red. Mateusz Antoniuk, Kraków 2017.
[11] *Archiwa i bruliony pisarzy. Odkrywanie...* passim.
[12] O. Dawidowicz-Chymkowska, *Przez kreślenie do kreacji. Analiza procesu tekstotwórczego zapisanego w brulionach dzieł literackich*, Warszawa 2007.

9:9160372560

I. Recepcja Oli Watowej

Ola i Aleksander

Istnieją przesądy uznawane za „watologiczne" aksjomaty, że Ola i Aleksander Wat tworzyli małżeństwo doskonałe, czyli monolit charakterologiczno-emocjonalno-światopoglądowy (choć oczywiście nigdy intelektualny). Legenda na temat ich wyjątkowego związku, która powtarzana jest w literaturze przedmiotu, choć niepozbawiona prawdy, rzutuje na postrzeganie innych, niezwiązanych z intymną relacją, sfer ich życia. Watowie – niezróżnicowany podmiot zbiorowy, funkcjonują więc przede wszystkim jako synonim wielkiej miłości, pokonującej wszystkie przeszkody. Niemniej wydaje się, że pisząc „Watowie", badacze na ogół mają na myśli samego tylko Aleksandra – jego punkt widzenia oraz ogląd spraw, a zastosowana liczba mnoga w tych stwierdzeniach milcząco zakłada, że Ola z Aleksandrem współmyślała, współodczuwała i współistniała[13]. On był słońcem, a ona księżycem odbijającym jego blask. W efekcie tych zabiegów, być może zupełnie mimowolnie (ale jednak), podmiotowość Aleksandra rośnie, Watowej zaś – zanika, a ich związek ulega estetyzacji i idealizacji. U podstaw tego myślenia leżą oczywiście względy praktyczne – w centrum zainteresowania stoi przecież zwykle twórczość Wata, a więc to jego punkt widzenia i jego teksty wyznaczają sposób postrzegania nie tylko ich związku, ale także każdego z osobna.

Trudno zresztą nie ulec urokowi słów poety, kiedy w *Ciemnym świecidle* czytamy *Poślubioną,* uważaną przez niektórych za jeden z najpiękniejszych wierszy poświęconych żonie. Zacytujmy fragment:

> Niech nie zbliża do niej ust,
> Póki nie spłukał kłamstwa,
> Póki nie pił z wody źródła żywej,
> Póki ich nie wypalił w ogniu żywym,
> Póki nie uświęcił w Tabernaculum

[13] Przykładem takiego kompilacyjnego myślenia może być komentarz B. Kaniewskiej: „W recepcji prozy wspomnieniowej autorstwa Watów na plan pierwszy wysuwały się pierwsze dwie prawdy: zapisy te stanowią szczere i wstrząsające świadectwo polskich losów, uwikłania w historię – tym tragiczniejszego, że doświadczanego przez Polaków pochodzenia żydowskiego, przez ideowego komunistę, rewidującego swój stosunek do ideologii i szukającego nowej drogi w religii chrześcijańskiej". Zob. B. Kaniewska, *„Ja jestem Ty". W poszukiwaniu trzeciej prawdy*, w: *Elementy do portretu. Szkice o twórczości Aleksandra Wata,* pod red. A. Czyżak i Z. Kopcia, Poznań 2011, s. 217.

10:8339507328

Łaski i słodyczy[14].

Podobne metafory towarzyszą sprozaizowanemu tekstowi Moja żona, umieszczonemu w Dzienniku bez samogłosek:

> Moja żona. Czterdzieści lat wiernej czułości i oddania. Miłość nasza była i parząca, i gwałtowna, i zachowała czystość, pomimo mojego zepsucia. Siła jej czystości jest tak niewzruszona, że efemeryczna niedobra myśl lub uczucie, słowo czy uczynek nie zostawia na niej żadnego śladu. Przez wszystkie liczne nasze biedy i nędze, i męki zachowała swoje piękno promieniujące z pięknej duszy (…)[15].

Portret żony poety, rozproszony w wielu tekstach, odcisnął silne piętno na wyobraźni czytelników. Pod wpływem tych fragmentów niektórzy badacze wpadali w nieukrywany zachwyt nad niezwykłością uczucia, które przetrwało „biedy i nędze": „Nie znam piękniejszego wiersza poświęconego żonie po czterdziestu latach małżeństwa!" – napisze Bożena Chrząstkowska[16]. Należy podkreślić, że obraz żony wykreowany w słowie poetyckim Wata jest zbudowany konsekwentnie. Ola zajmująca miejsce w poetyckim uniwersum, to istota pozbawiona jakichkolwiek wad: jest silna, czysta, niezłomna, o pięknej, nieskazitelnej duszy, zdaje się przynależeć jedynie do sfery *sacrum*[17]. Jak pisze Agnieszka Czyżak, Wat tym samym przydziela jej rolę: „wiernego, niezmiennego, niepodatnego na brud, brzydotę czy skażenie towarzysza niedoli"[18]. Słowem – Ola jest nieludzka (anielska?), a z pewnością nierealna, zaś wykreowana relacja – jak dodaje badaczka – jest „pozbawiona nadto wszelkich znamion erotyzmu", co – zauważmy na marginesie – nie jest do końca prawdą. Wat wyraźnie zaznaczał: „Miłość nasza była i parząca, i gwałtowna" – parząca, a więc gorąca, paląca, nagła, pikantna – w podtekście także erotyczna, a może nawet i bolesna. Z kolei przez gwałtowność rozumiemy, że wspólne życie zapewne nie było pozbawione konfliktów, wzlotów, upadków. Ślady nieupoetyzowanego życia pojawiają się, choć nielicznie, pośród zapisków *Dziennika bez samogłosek*:

> (...) stąd utrata zaufania do moich ocen (w wyborze marszruty, w stosunku nieumiarkowanym do własnych wierszy, w stosunku do otoczenia, do przyjaciół), ale ta utrata zaufania tak mnie drażni, stawia mnie przed zwątpieniem: czy Ola jest uprzedzona do mnie? Czy może rzeczywiście nie

[14] A. Wat, *Poślubiona*, w: Tegoż, *Ciemne świecidło*, Paryż 1968, s. 62.
[15] A. Wat, *Moja żona*, w: Tegoż, *Dziennik bez samogłosek*, oprac. K. i P. Pietrychowie, Warszawa 2001, s. 336.
[16] B. Chrząstkowska, *Poezje Wata czytane w 2010 roku*, w: *Elementy do portretu. Szkice ...*, s. 286.
[17] Tamże, s. 286.
[18] A. Czyżak, *O Eurydyce*, w: *Elementy do portretu. Szkice ...*, s. 314

11:4881385081

jestem umysłowo przytomny i odpowiedzialny, czy aby nie jestem obłąkany? Fazy nasze różnią się: ja, gdy wychodzę, wydobywam się z moich upadków i bólów, jestem euforyczny, chorobliwie podniecony ku radości przez sam fakt pozbycia się bólów, to staje się trampoliną do całej duchowej równowagi, a także zmysłowej mojej wiosny. Ale właśnie wtedy Ola, wiedząc, że, wydobyłem się z choroby, która przez tak długie trwanie zmuszała ją do nadnaturalnego wysiłku, do pokazowego optymizmu, siłą reakcji załamuje się. I tak wytwarza się błędne koło, z którego ani Ola, ani ja nie umiemy się wydostać: Ola, świetnie stawiająca pogodne czoło wszystkim nieszczęściom nie wytrzymuje dobroci! Ponurzeje, staje się nerwowa, jak zwierzątko zniewolona, widzi wszystko czarno i ubiera się na czarno, na ponuro: te biedne dwojaczki czarne, ten zimowy, ponury kostium, To wywieszona dla mnie chorągiew jej złowrogiego oporu przeciw mnie, jej protestu i nieświadomych rewanżów[19].

Wspólne czterdzieści lat, co nie powinno dziwić, to też chwile niepewności, nieporozumień i wzajemnych pretensji, ale zarówno o nich, jak i powodzeniach z *erosem* zwykle w utworach jubileuszowych nie pisze się wcale lub robi się to zdawkowo, jak to uczynił Wat w tekście *Moja żona*, gdzie między wierszami, w geście sublimacji, skłonny jest uznać siebie za jedyne źródło wszelkich niepowodzeń i „zepsucia", czego już nie robi w cytowanym wcześniej fragmencie *Dziennika bez samogłosek*.

Wprowadzając żonę w swój poetycki świat, autor *Ciemnego świecidła* raz nazywa ją wprost (żona, Ola, O.), innym razem czyni to za pośrednictwem biograficznych odwołań i mitologicznych pseudonimów, jak ma to miejsce na przykład w *Ewokacji*. Pochylmy się nad tym jej fragmentem:

Już spektakl skończył się, rozbiegli się widzowie.
Zamknijcie mnie, katowie, w celi ciemnej.
I tak się nigdy o mnie nikt nie dowie,
jedyny judasz widzi mnie więzienny.

Zamknęli mnie katowie w ciemnej sali.
Na pustej scenie miotam się i krzyczę,
gdy turkot ciężarówek się oddalał
na Sybir wioząc moją Eurydykę[20].

Nieskrywany autobiografizm tego wiersza zachęca do odczytania losów Watów przez pryzmat wypełniającego się w nim *à rebours* mitu orfickiego. Nie uszło to uwadze Józefa Olejniczaka,

[19] A. Wat, *Dziennik bez samogłosek*, oprac. K. Rutkowski, Warszawa 1990, s. 136.
[20] A. Wat, *Ewokacja*, w: Tegoż, *Poezje zebrane*, oprac. A. Micińska i J. Zieliński, Kraków 1992, s. 317.

12:4865791525

który z jednej strony powiązał biograficzne nici, z drugiej – *ad finem* – nie uległ pokusie sugestii Wata, zastrzegając, że:

> Hades cierpiącego Orfeusza jest precyzyjnie umiejscowiony w czasoprzestrzeni losu Aleksandra i Oli Watów, jak w Ewokacji (...). Porządek mitu jest jednak w poezji Wata odwrócony – cierpienie Orfeusza utożsamiane jest w niej z wyprawą do Hadesu, wyprawą – dodam – bez nadziei powrotu, a Eurydyka mu w tej wędrówce towarzyszy, więcej: uszlachetnia ją, uświęca[21].

Watowska Eurydyka to towarzyszka niedoli, ale to oznacza także, mimowolnie, ale jednak, że staje się bohaterką drugiego planu. Uszlachetnia wędrówkę Orfeusza, ale to jego droga, nawet bez nadziei powrotu, widoczna jest na pierwszym planie. Klucz autobiograficzny, który podsuwa nam Wat, sprawia że zaczynamy utożsamiać Olę Watową z jej wykreowanym w poetyckim świecie portretem, kobietę z krwi i kości zaczynamy utożsamiać z Eurydyką-nimfą, istotą o innym niż ludzki statusie ontologicznym, w wyniku czego Ola opuszcza realność i wchodzi w przestrzeń prywatnej mitologii upiększonej, naestetyzowanej mitologią grecką i jej pięknym oddalaniem.

Sytuacja Watowskiej Oli, żony, Eurydyki, Oblubienicy jest też zawsze uzależniona od cierpiącego Orfeusza, a – w planie biograficznym – od piszącego Aleksandra Wata – jest jego kreacją poetycką, przez co on staje się jej autorem, twórcą postaci literackiej. Nasuwa się więc pytanie, co łączy Olę wyłaniającą się z biograficznych zapisów, z tą wykreowaną na potrzeby rocznicowych peanów i wierszy, posługujących się hiperbolą oraz wzniosłym, czasem egzaltowanym, czasem osuwającym się w patos, tonem? Być może jest to puste miejsce rozpościerające się między niedoborem biografii a naddatkiem poezji – zawieszone jakby pomiędzy litotą a hiperbolą – nieprecyzyjnie zwane życiem, do którego Olejniczak przychodzi od strony wiersza, ja zaś – od strony prozy. Od strony wiersza widać Eurydykę wiezioną na Sybir, od strony prozy natomiast – owo zdanie Wata, które nie przestaje mnie porażać i które niemal starcza za wiersze: „Nikt, nikt poza Olą, nic, absolutnie nic nie zrozumie ani z mojej choroby, ani z moich trudności w pisaniu”[22]**.**

Żona

Obraz małżeństwa, konsekwentnie budowany w twórczości Wata, jest rzecz jasna urzekający i magnetyzujący, lecz w jednej ze swych możliwych konsekwencji rzutuje na to, jakie funkcje w literaturze przedmiotu Ola pełni, a są one zredukowane do kilku stereotypowych ról. Istnieje po

[21] J. Olejniczak, *Aleksander Wat*, w: Tegoż, *Powroty w śmierć*, Katowice 2009, s. 111.
[22] A. Wat, *Dziennik bez samogłosek*..., s. 221.

13:5547110841

to, aby dekorować:

> Piękna Ola Watowa, niedoszła aktorka, uwielbiała to ich kawiarniane życie (…)[23].
>
> (…) przedwojenna Ola to dama, piękna, dobrze ubrana, wytworna. I nieco... bez właściwości[24].
>
> U wezgłowia siedziała na krześle żona poety, Ola Watowa, krucha, piękna, o ujmującym uśmiechu. Jej smukłą szyję zdobił sznur pereł[25].
>
> Wielkiej urody – Jan Lechoń mówił o niej później, że jest najpiękniejszą kobietą Warszawy...[26].

Oprócz funkcji dekoracyjnej, cechą dominującą Oli jest niezwykła czułość i miłość, jaką darzy męża. Pojawia się przede wszystkim jako żona, czyli w roli podtrzymującej wspólną legendę, czemu zresztą trudno zaprzeczyć, choć, jak wiemy, często powtarzana legenda z czasem banalizuje się, jak na przykład wtedy, gdy słyszymy ją od Ireny Krzywickiej, której także nie udało się uniknąć utartych frazesów: „Watowa była zawsze miłą, dobrą kobietą, uwielbiała męża"[27]. Nie powinno więc dziwić, że pierwsze obszerniejsze opracowanie *Wszystko co najważniejsze* znajduje się właśnie w książce poświęconej trzem żonom: Annie Iwaszkiewiczowej, Janinie Broniewskiej i Oli Watowej – kobietom orbitującym wokół genialnych mężów-poetów. Studium autorstwa Małgorzaty Cieliczko pod zbiorczym (o Bułhakowowskim rodowodzie) tytułem: *On jest mistrzem, ja to wiem – pisarka, edytorka, żona*, mimo że ma ambicje feministyczne, bo autorka próbuje zobaczyć trzy znane żony nieszablonowo (jakby to stanowiło wystarczający tytuł do feminizmu), przez pryzmat ich dokonań artystyczno-zawodowych, odzyskać je dla czytelnika, to w rzeczywistości, począwszy od karty tytułowej, myślenie ukierunkowane jest w szablonowy sposób – „on jest mistrzem, ja to wiem" to optyka męskocentryczna, odbierająca Oli Wat, Annie Iwaszkiewicz i Janinie Broniewskiej szansę na zaistnienie w świadomości czytelnika w sposób autonomiczny. Jolanta Sztachelska, afirmatywnie komentująca to wydawnictwo, pisała:

---

[23] M. Shore, *Kiedy Bóg umarł*, w: Tejże, *Kawior i popiół: życie i śmierć pokolenia oczarowanych i rozczarowanych marksizmem*, tłum. M. Szuster, Warszawa 2008, s. 35.
[24] B. Kaniewska, *„Ja jestem Ty". W poszukiwaniu trzeciej prawdy*..., s. 220.
[25] W. Karpiński, *Książki zbójeckie*, Londyn 1988, s. 83.
[26] A. Micińska, *Wszystko, co najważniejsze*, w: Tejże, *Wędrówki bez powrotu*, Warszawa 2008, s. 84. Słowa Lechonia powtarzane są za Watem: Zob. A. Wat: *Mój wiek. Pamiętnik mówiony*, t. 2, oprac. R. Habielski, Kraków 2011, s. 219. Słowa Lechonia powtarzane były najpewniej za Watem: „Jeszcze tu dodam, rzeczywiście Ola była wtedy w pełni urody. Nawet Lechoń to uznawał. (...) Właśnie Lechoń powiedział w czasach swojego snobizmu, że gdyby Watowa była lepiej ubrana (była dobrze ubrana, ale dobrze u Lechonia, to znaczy z Paryża, *haute couture*), to byłaby najpiękniejszą kobietą w Warszawie". Jak widać, z wypowiedzi Lechonia pozostała interpretacja, na dodatek podwójna, bo anegdotę znamy z ust nieobiektywnego w tej sprawie Wata.
[27] I. Krzywicka, *Wyznania gorszycielki*, Warszawa1996, s. 274.

14:8093257437

> Autorka, wykorzystując literacką figurę Małgorzaty – u Bułhakowa to muza i towarzyszka życia, która ratuje przed unicestwieniem rzucone w ogień rękopisy – pisze o specyficznym uwikłaniu biografii kobiecej w męską – dominującą, której one w poczuciu niezwykłości swojej misji podporządkowują swoje życie, talenty, czasem – niepospolite[28].

Znów – muza, żona i towarzyszka życia. Figura Małgorzaty daje szansę na pójście jeszcze o krok dalej. Chcielibyśmy zobaczyć trzy nieustraszone postaci kobiece w świetle księżyca, a nie w świetle mężów. Przypomnijmy, co Bułhakow pisał o locie swojej bohaterki:

> Widząc, jak dwa szeregi rzadkich światełek w dole zlewają się w dwie nieprzerwane ogniste kreski, widząc, jak szybko owe kreski pozostają w tyle i nikną, Małgorzata domyśliła się, że leci z niesamowitą szybkością, i zdumiało ją, że nie zapiera jej tchu[29].

Tymczasem trzy polskie Małgorzaty stają się intrygujące przede wszystkim przez wzgląd na swe wybory matrymonialne. W ich oczach „niepojęte ogniki”[30] palą się wtedy, gdy odbijają obraz męża – to autorki, choć, niestety, zdominowane przez wielkość partnerów. Wniosek o relacji nadrzędno-podrzędnej w związku Watów wysnuł też Jan Zieliński, o czym świadczy jego wypowiedź na temat niemieckiego (*Der zweite Schatten*) i francuskiego (*L'ombre seconde*) tytułu *Wszystko co najważniejsze*:

> W autoryzowanych przekładach rzecz ta ukazuje się pod zmienionym tytułem: *Drugi cień***.** Autorka żyła w cieniu swego męża, znanego poety, dla którego poświęciła własną karierę aktorską i któremu towarzyszyła w dobrych i złych latach aż do jego samobójczej śmierci (1967), a i potem poświęciła się jego dziełu[31].

Interpretacja tytułu jest nieco przesadzona i najpewniej wynika z pochopnego skojarzenia z wyrażeniem „pozostawać w czyimś cieniu” – być mniej dostrzeganym, a więc mniej wartościowym. Jakkolwiek należy pamiętać, że zaakceptowany przez Watową zagraniczny tytuł jej książki brzmiał: *Drugi cień*, a nie cień w ogóle. Intencja była więc nieco inna. Światło na tę kwestię rzuca Cieliczko, która interpretuje go poprzez lekturę listu Oli adresowanego do męża: „Idąc przez step po wodę, kiedy jeszcze słońce nie wzeszło albo zachodziło, mając po lewej stronie

---

[28] J. Sztachelska, *Żona w biografii twórczej artysty. Na marginesie listów Marii z Szetkiewiczów Sienkiewiczowej*. „Rocznik Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza” 2016, nr 423, rok IX (LI), s. 425-426.
[29] M. Bułhakow, *Mistrz i Małgorzata,* tłum. I. Lewandowska i W. Dąbrowski, 2005, s. 212.
[30] Tamże, s. 191. „O bogowie, o bogowie moi! Czegóż jeszcze brakowało tej kobiecie, w której oczach jarzyły się nieustannie jakieś niepojęte ogniki?”
[31] J. Zieliński, *Ola Watowa,* w: Culture.pl, https://culture.pl/pl/tworca/ola-watowa [dostęp: 16.02.2023 r.].

15:9236332839

swój b. długi cień, oglądam się, szukając drugiego cienia, myśląc, że może nagle zjawiłeś się[32]". Badaczka wyprowadza wniosek:

> Zdanie to, oprócz wyraźnej tęsknoty, implikuje również przekonanie Oli Watowej o własnej niezależności – nigdy bowiem nie usuwała się w cień swojego męża, znanego przecież literata, ale rzucała własny, zresztą jak sama pisała „bardzo długi"[33].

W obronie autonomii Watowej, choć w innym kontekście, stanął jej syn, Andrzej Wat, w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" wspomina: „Oboje rodzice mieli silną osobowość. Żadnego ciuciu-ciuciu. Matka mówiła, co myślała, o ludziach, wydarzeniach, a ojciec się bardzo liczył z jej zdaniem[34]. Ona miała swoje życie, opinie, dyskutowali, ale się nie kłócili[35]". Zapiski pochodzące z *Dziennika bez samogłosek* zdają się potwierdzać słowa syna, i choć Wat nie mógł wtedy przewidzieć, jak potoczą się losy jego spuścizny oraz jaką rolę odegra w ich publikacji żona, to z przekonaniem zanotował:

> Co więcej, jest to wyrażeniem tak cennego u niej niepoddania się i zachowania i miłości, i własnej integralności: nie jest żoną literacką jak lokomotywa popychającą ku karierze, chwała Bogu, bo przy mojej miękkości taka żona pchnęłaby mnie łatwo w oportunizm, bardziej może niż X...-a czy Y...-a. Najwyższym punktem mojej adoracji dla Oli był i jest moment, gdy w Trietiem Otdieleniju zapytała, czy wezmę Paszport, i po moim zaprzeczeniu przeszła na inne tematy, wiedząc, że ta odpowiedź oznacza zgubę i ciężką, nierychłą śmierć nas trojga. Ani nie stała się modlitewną w całej adoracji geniuszu swego męża-pisarza polskiego[36].

I mąż, i syn odczarowują tym samym znane nam na temat Oli mity, które przywoływane wielokrotnie, prowadzą czasem do trudnych do zaakceptowania uproszczeń biograficznych, emocjonalnych i intelektualnych, jak w przypadku wniosku na temat ich wspólnego samobójstwa:

> Stan, o którym mowa, to, jak wiadomo, trawiąca Wata od lat, ale nasilająca się w czasie pisania dziennika „choroba bólowa", utrudniająca codzienne bytowanie i uniemożliwiająca pisanie zamierzonych większych tekstów i wywiązanie się z podjętych na stypendium zobowiązań. Życie

[32] List z dn. 1 listopada 1942 r. Zob. O. Watowa, *Wszystko co najważniejsze*..., s. 101.
[33] M. Cieliczko, *Ola Watowa*, w: Tejże, *„On jest mistrzem, ja to wiem" – pisarka, edytorka, żona,* Warszawa 2013, s. 60.
[34] W *Dzienniku bez samogłosek* Wat pisał: „Co jak co, ale inteligencję mam szybką i gdy uznaję słuszność uwag i zarzutów Oli, natychmiast je przyjmuję". Zob. A. Wat, *Dziennik bez samogłosek*..., s. 135.
[35] A. Klich, *Niewychowany. Watowie miłość ocalona z apokalipsy. Opowieść Andrzeja Wata*, „Gazeta Wyborcza" 2011, 17–18 grudnia. https://wyborcza.pl/magazyn/7,124059,11705541,niewychowany.html [dostęp: 29.01.2023 r.].
[36] A. Wat, *Dziennik bez samogłosek*..., s. 135.

16:1980559670

bywało katorgą. Watowie planowali nawet wspólne samobójstwo. Ostatecznie Wat popełnił je sam[37].

Porównajmy słowa Watowej i jej męża, który doprowadziły badaczkę do takiego wniosku. Najpierw on, w zapiskach z 1964 roku, które później zmaterializowały się jako *Dziennik bez samogłosek:*

> Łatwo nam tu w luksusowych warunkach mówić o gazie: to Ola wreszcie to słowo wypowiedziała, to słowo, które tkwi i gra w moim mózgu od tak dawna, odkąd postanowiliśmy sobie, że powrotu na tapczan agonii na Niemcewicza nie będzie. Przeżywaliśmy, powiedziała, już tyle i tyle szczęść i nieszczęść, że można powiedzieć sobie: dość. Łatwo się mówi: gaz, ale z naszym wściekłym pragnieniem życia i zachwytami z życia i o życie, o życiu, w życiu i życiem[38].

Tymczasem Watowa:

> Przychodziły te straszne, już do granic wytrzymałości bóle i wtedy wyczytywałam w jego oczach, w wyrazie udręczonej twarzy, w gestach, że jest tego bliski, takiej właśnie śmierci. Chociaż nigdy mi tego nie mówił. Raz jeden tylko, i to w tonie półżartobliwym, półproszącym – powiedział: Jak by to dobrze było położyć się we dwoje na białych prześcieradłach i zasnąć. Razem. Ale powiedział to tylko jeden raz. Nie był to człowiek, który grozi, uprzedza, szantażuje wizją swojej śmierci[39].

Zbyt daleko idące wnioski. Tym bardziej, jeśli pomyślimy o tym, o ile lat Watowa przeżyła męża oraz – co zasadnicze – o tym, co mówią osoby, które ją dobrze znały[40], że – owszem – popełniła samobójstwo, na dodatek w ten sam sposób, co mąż, lecz uczyniła to na własnych warunkach, wtedy, gdy uznała, że rozliczyła się z własnym życiem, i to rozliczyła zarówno w sensie literackim, jak i towarzyskim.

Autorka

Tam, gdzie Cieliczko i Sztachelska chciały zobaczyć w Watowej współczesną Małgorzatę, inna badaczka – Katarzyna Kuczyńska-Koschany – dostrzegła analogię (losów? talentu? roli?) do niezłomnej żony Osipa Mandelsztama:

> Ola Watowa (...) podobnie do Nadieżdy Mandelsztam i jej *Nadziei w beznadziei* – [napisała]

[37] K. Jakowska, *Granice „ja". O szyfrowanych dziennikach Orzeszkowej i Wata*, w: *Prace dedykowane profesor Swietłanie Musijenko,* red. nauk. A. Janicka, G. Kowalski, Ł. Zabielski, Białystok 2013, s. 376.
[38] A. Wat, *Dziennik bez samogłosek*, wyd. zmienione oprac. K. i P. Pietrychowie, Warszawa 2001, s. 175.
[39] O. Watowa, *Wszystko co najważniejsze. Rozmowy z Jackiem Trznadlem*, s. 143.
[40] Jest to informacja zasłyszana od następujących osób: Andrzej Wat, Pierre Wat, Anna Łabędzka, Małgorzata Smorąg-Goldberg, Monika Gibson.

17:1911887700

książkę tak istotną jak *Wszystko co najważniejsze*, z inicjalnym zdaniem: „Wszystko, co najważniejsze w moim życiu, wiąże się z Aleksandrem”[41].

Dostrzeżenie w Watowej pisarki to ważny dodatek do jej portretu, aczkolwiek ze słów Kuczyńskiej-Koschany możemy domyślać się, że książka jest dla niej istotna ze względu na słynne inicjalne zdanie (oraz wszystko to, co się za nim kryje), i przez ten pryzmat jest użyteczna i przydatna interpretacyjnie, bo potwierdza to, co już dobrze wiemy – że bez niego nie byłoby jej – choć w rzeczywistości jest odwrotnie (do czego zaraz wrócimy). Podobnie jak *Nadzieja w beznadziei,* książka wspomnieniowa Watowej traktowana jest jako przedłużenie legendy wielkiego męża, choć, inaczej niż w przypadku Mandelsztam, *Wszystko co najważniejsze* i inne jej teksty, często bywają traktowane jako dodatek do *Mojego wieku*. Na ich suplementarny w istocie charakter zwracało uwagę wielu autorów i badaczy, m.in. Jerzy Jarzębski: „W ten sposób *Mój wiek* stał się kolejnym wielkim dziełem niedokończonym Wata, tylko prowizorycznie domkniętym przez książeczkę Oli Watowej”[42]. Użyte słowa mówią tu same za siebie: książeczka uzupełnia wielkie dzieło. W katalogu „Zeszytów Historycznych”, przy nazwisku Watowej odnajdziemy z kolei adnotację nie pozostawiającą złudzeń, że jej twórczości nie można traktować w oderwaniu od dzieła męża: „WATOWA Paulina [Ola]: *Paszportyzacja*. ZH 21, 1972, 148-169. Wspomnienia z zesłania do Kazachstanu, uzupełniające „pamiętniki” Aleksandra Wata[43]”. W kategoriach chronologicznych jej *Paszportyzacja* wydana w 1972 roku, czyli na 5 lat przed *Moim wiekiem*, byłaby raczej przedmową niż suplementem do pamiętników. To ta sama *Paszportyzacja*, która

[41] K. Kuczyńska-Koschany, *Wat, poeta orficki*, „Colloquia Litteraria” 2012, nr 1, s. 139.

[42] J. Jarzębski, *Mój wiek. Przygody idei i ciała*, w: Aleksander Wat: *Mój wiek*..., s. 430. Zob. też: A. Szymańska, *Love story*. „Tygodnik Solidarność” 1991, nr 16 (135), s. 16. „Książkę Oli Watowej można potraktować jako suplement do *Mojego wieku* i *Dziennika bez samogłosek* Aleksandra Wata”, lub: A. Micińska, *Wszystko co najważniejsze*, w: Tejże, *Wędrówki bez powrotu*, Warszawa 2008, s. 92: „Dzieło Aleksandra Wata uzupełnione dziełem Oli zaczęło robić międzynarodową karierę” albo: M. Szpakowska, *Diabeł, poeta i plebs*, „Twórczość” 1991, nr 4, s. 98: „Nie dostarcza go [wytłumaczenia – A.G.M] również książka Oli Watowej, spisana w kilkanaście lat później jako uzupełnienie do wspomnień męża. Owszem, *To, co najważniejsze* [*Wszystko co najważniejsze* – A.G.M.] pomaga uporządkować pewne fakty. Które w opowieści Wata wypadły zbyt chaotycznie; nie dystansuje się jednak od sądów formułowanych w *Moim wieku* ani nie próbuje ich komentować. (...) Poprzestała na suplemencie”, oraz: M. Klecel, *Wiek Wata*, „Nowe książki” 1991, s. 39: „Wspomnienia Wata zapisane w dialogu z Miłoszem urywają się na relacji z Kazachstanu. Uzupełniła je w pewien sposób żona pisarza, Ola Watowa, we własnych wspomnieniach, wydanych obecnie pod tytułem *Wszystko co najważniejsze*... Dodała wiele szczegółów do biografii Wata, kreśląc przy tym jego sylwetkę widzianą oczami bliskiej mu osoby. Jej wspomnienia objęły także lata powojenne, powrót do Polski, a później wyjazd na Zachód. Wspomnienia te dopełniają się i niejako wspierają wzajemnie, pokazując dwie strony wspólnego losu napiętnowanego tak bolesnymi próbami. Obie te książki, jedna po męsku dociekliwa, rzeczowa, druga po kobiecemu nacechowana uczuciowym, cieplejszym stosunkiem do świata, oddająca intymność szczegółu. Obie one będą świadectwem zagubienia i okrucieństwa naszego wieku”.

[43] J. Krawczyk, J. Szymański, *Bibliografia (1962-1994)*, „Zeszyty Historyczne” 1996, s. 152.

18:7983589085

później przedrukowana zostanie we *Wszystko co najważniejsze*, sama więc chronologia podpowiada, że Watowa nie zawsze działała wedle logiki suplementu. Andrzej Kurz pisał, że książka Wata:

> Była tylko wielkim przeżyciem moralnym, dziełem wartym ponownego przeczytania od deski do deski, choć tym razem połączyłem to z lekturą wyznań Oli Watowej „Wszystko co najważniejsze", bardzo pięknych i poruszających, niewątpliwie wzbogacających to, co opowiedział jej mąż, ale sprowadzających na ziemię[44].

W wypowiedzi tej można dostrzec zmianę akcentów. Kurz w książce (już nie książeczce) Watowej dostrzega nie tylko suplement/dodatek, ale też pewien rodzaj przeciwwagi dla *Mojego wieku* – zauważa inną, proponującą czytelnikowi trzeźwy osąd perspektywę. Aneks, rozumiany tradycyjnie – i chyba tak chcieliby jej teksty widzieć czytelnicy Wata, dopełnia to, co już jest, „będąc naddatkiem do pełni, podkreśla jej granice i wobec nich się ustanawia"[45]. Można jednak w tym miejscu posłużyć się innym – dekonstrukcjonistycznym rozumieniem suplementu. Nie tylko dlatego, że *Mój wiek* jest dziełem niedokończonym – a zatem nie jest pełnią, ani dlatego, że jego autorstwo jest rozproszone, ani nawet dlatego, że jego wydanie na wielu płaszczyznach zawdzięczmy Watowej, lecz przede wszystkim z powodu autonomii *Wszystko co najważniejsze* wobec *Mojego wieku*. Tak rozumiane wspomnienia Oli stają się suplementem, który:

> [d]odaje tylko po to, by zastąpić. Wkracza lub wciska się w-miejsce-czegoś. Jeśli zapełnia, to tak, jak zapełnia się pustkę. Jeśli przedstawia i tworzy obraz, to wskutek uprzedniego braku obecności. Uzupełniające i zastępujące uzupełnienie jest pomocnikiem, instancją podrzędną, która zajmuje-miejsce. Jako substytut nie dodaje się po prostu do pozytywności obecności, nie tworzy żadnej wypukłości, jego miejsce wyznaczane jest w strukturze przez znamię pustki[46].

Myśleniu takiemu wtóruje autonomia biografii: życie Watowej nie było dodatkiem do życia Wata, zaś jej uległość wobec zaproponowanej retoryki suplementu oraz decyzja, aby długie wdowieństwo poświęcić dziełu Aleksandra, choć czasem pozwala nam nazywać Watową

---

[44] A. Kurz, *Opinie człowieka osobnego,* w: Aleksander Wat: *Mój wiek. Pamiętnik*…, dz. cyt., s. 501. Zob. też. M. Czermińska, *Świadek także mojego wieku,* w: Aleksander Wat: *Mój wiek. Pamiętnik*…, s. 424-425: „Nieprzecenione znaczenie miała dla mnie lektura wywiadu-rzeki, przeprowadzonego przez Jacka Trznadla z Olą Watową: *Wszystko co najważniejsze*...".

[45] A. Rosochacka, *Potworne ciała protetycznego. Obcość uwewnętrzniona*, „Świat i słowo" 2012, nr 18, s. 126.

[46] J. Derrida, *O gramatologii*, przeł. B. Banasiak, Warszawa 1999, s. 199–200.

19:7428036069

strażniczką patriarchatu, było niewątpliwie decyzją autonomiczną. Listy od czytelników[47] oraz recenzje badaczy na temat jej książki również wskazują na autonomiczność i ważność wydanych wspomnień. Jan Zieliński pisał: „(...) jej wspomnienia mają wartość samoistną, świadczą o talencie literackim autorki, o jej odrębnym stylu, trzeźwym i precyzyjnym spojrzeniu a zarazem o umiejętności budzenia w czytelniku wzruszenia"[48]. Zaś Wojciech Karpiński dodawał: „Wspomnienia Oli Watowej ukazują pamięć odnalezioną. Czytałem je nie jako opowieść o życiu literackim czy o martyrologii, lecz jako przejmujące wyznanie o splocie trzech żywiołów: bólu, poezji, miłości"[49]. Jej wspomnienia okazują się istotne, nie (tylko) ze względu na uzupełnienia w biografii męża, ale także z powodu doświadczenia kazachskiej zsyłki, na którą została skazana w kwietniu 1940 roku[50]. Jeśli bowiem na moment porzucimy Aleksandra, dostrzeżemy, że jednym z głównych tematów podejmowanych w książce jest właśnie wywózka na kazachski step – walka o przeżycie i praca w sowieckim sowchozie. Na tym polu jej działalność pisarska jest w skali literatury polskiej niemal prekursorska i całkowicie osobna.

Wcześniej tematykę zesłań do sowieckich sowchozów i kołchozów poruszono w powojennych publikacjach. Należą do nich m.in: opowiadanie Herminii Naglerowej, pt. *Kazachstańskie noce*, które ukazało się w zbiorze *Ludzie sponiewierani* (1945); wspomnienia Ady Halpern pt. *Szczęśliwe życie* (1946, wydane w Rzymie); powieść na motywach biograficznych Melchiora Wańkowicza opublikowane jako *Dzieje rodziny Korzeniewskich* (1944), w której odnajdziemy wątek zsyłki. Próby pisarskie Watowej rozpoczynają się około 1968 roku, choć jak wiemy, wspomnienia doczekały się publikacji dopiero w 1984 roku. Do niedługiej listy wydanych w tym czasie tekstów sytuujących w centrum uwagi temat zesłań, można dodać również jej *Sznur* (1972) i *Paszportyzację* (1972). W późniejszych latach o zsyłce do Kazachstanu pisali: Urszula Muskus, wspomnienia zatytułowane *Długi Most* (1975) tylko fragmentarycznie dotyczą zsyłki do Kazachstanu; Jerzy Krzysztoń, powieść na motywach autobiograficznych, zatytułowana *Wielbłąd*

[47] W rozdziale III. *Tekst. Wszystko co najważniejsze*, zostaną omówione recenzje, które ukazały się po wydaniu *Wszystko co najważniejsze* oraz prywatne listy do Watowej od czytelników z Polski.
[48] J. Zieliński, *Ola Watowa*, w: Culture.pl, https://culture.pl/pl/tworca/ola-watowa [dostęp: 16.02.2023 r.]
[49] W. Karpiński, *Herb wygnania*, Warszawa 2012, s. 294.
[50] Tzw. trzecia deportacja z 13 na 14 kwietnia 1940 roku, w ramach masowej, przymusowej deportacji polskiej ludności cywilnej w głąb ZSRR. Mimo że Watowa nie należała do żadnej z wytypowanej kategorii deportowanych, to najprawdopodobniej została wpisana na listę na mocy osobnej decyzji NKWD, gdyż „(...) pierwsza i trzecia grupa [deportowanych] znalazła się bezpośrednio w gestii NKWD". Zob. D. Boćkowski, *Czas nadziei. Obywatele Rzeczypospolitej Polskiej w ZSRR i opieka nad nimi placówek polskich w latach 1940–1943*, Warszawa 1999, s. 42.

20:2543198450

na stepie (1978); wspomnienia Marii Januszkiewicz, pt. *Kazachstan* (1981), Danuty Tęczarowskiej *Deportacja w nieznane: wspomnienia 1939-1942* (1981); Magdaleny Dubanowiczowej *Na bezdrożach Mongolii* (1981) oraz Marii Krzysztoporskiej: *Ze wspomnień tułaczych* (1981). Autorzy publikujący w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych[51] to często tzw. „zmobilizowani świadkowie" Historii, to „autorzy jednorazowi"[52]. Publikacje wydawane głównie poza granicami kraju lub poza legalnym obiegiem wydawniczym, były najczęściej pierwszą i ich jedyną książką, a dostęp do nich w owym czasie był ograniczony, o czym warto pamiętać m.in. w kontekście prób pisarskich Watowej. Prawdziwy wysyp tekstów zesłańców i o zesłaniach nastąpił dopiero po 1989 roku. Potwierdzał to Bronisław Gołębiowski, który w 1992 roku pisał:

> Relacje, wspomnienia i pamiętniki przedstawicieli ludności polskiej deportowanej w głąb Rosji w latach 1939-1945 stanowią już dziś pokaźnych rozmiarów bibliotekę. Niemało jest także monografii historycznych, publikacji różnych dokumentów, nie mówiąc już o publicystyce. Te świadectwa były wszakże do niedawna publikowane głównie poza granicami kraju, bądź w nielegalnych wydawnictwach tzw. „drugiego obiegu". W oficjalnym życiu naukowym i ruchu wydawniczym temat ten był tematem „tabu". Nic więc dziwnego, że zniesienie tego „tabu" od kilku lat owocuje istną obfitością wydawnictw i innych publikacji na ten temat. Bardzo często są to właśnie relacje, dokumenty, wspomnienia, pamiętniki tych, którzy sami deportacji doświadczyli[53].

Warto dodać, że Gołębiowski, wśród pisarzy podejmujących tematykę łagrową i zesłań na Wschód, wymienia jednym tchem teksty Józefa Czapskiego, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Aleksandra Wata (ze względu na tematykę łagrową) i właśnie książkę Watowej (dotyczącą zsyłki) jako te, które były znane szerszej publiczności przed 1989 rokiem.

Wielka wdowa

Po samobójczej śmierci Aleksandra, status Oli w emigracyjnym środowisku uległ zmianie. Wielu z tych, których uważała za wspólnych przyjaciół, nagle ograniczyło z nią kontakty. Telefon milczał dłużej niż zwykle, a wdowa boleśnie przekonała się, jak szybko kurczy się krąg przyjaciół.

---

[51] Szczegółowy wypis publikacji dotyczących zesłań można znaleźć w rozdziale: *Relacje, wspomnienia, pamiętniki deportowanych,* w: *Deportacje i przemieszczenia ludności polskiej w głąb ZSRR 1939-1945. Przegląd piśmiennictwa,* red. T. Walichnowski, Warszawa 1989, s. 118-151.
[52] N. Taylor-Terlecka, *Pisarze na zesłaniu – preteksty i konteksty*, w: *Elementy do portretu. Szkice o twórczości...*, s. 175.
[53] B. Gołębiowski, *Wschodnie losy Polaków,* „Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego" 1992, nr 6, s. 245.

21:6475804722

W jednym z listów do Miłosza pisała: „…jestem znów sam na sam z moją rzeczywistością, tą – już do samego końca. (…) Telefon pomilkuje, bo jak się nie jest na »wesoło«, to się automatycznie odpada”[54]. Ci, którzy przestali pukać do drzwi paryskiego mieszkania Watowej, często dawali wyraz antypatii wobec niej również za jej plecami, na co w prywatnej korespondencji z Miłoszem pozwalał sobie na przykład Zygmunt Hertz: [Aleksander – przypis mój, A.G.M.] „Znałem go dobrze i lubiłem, Ola natomiast jest malutka snobistyczna myszka, fałszywa i obłudna, pozbawiona podstaw do sytuacji, tj. Aleksandra[55]”. Odtąd Ola musiała liczyć się z towarzyskim ostracyzmem ze strony tych, którzy utrzymywali z nią stosunki wyłącznie ze względu na męża. Tę nie najprzyjemniejszą uwagę Hertza równoważy komentarz Marty Wyki: „Ci co niezbyt Olę lubili, nie lubili również jej proporcji, wietrząc za nimi fałsz. Nie myślę, aby tak było. Ola zachowała w swoim życiu, tak dziwnym, zmiennym i dramatycznym, linie imponderabiliów, co mogło czasem wyglądać na despotyzm”[56].

Powody niechęci mogły wynikać i z braku „podstaw do sytuacji”, i ze zwyczajnej antypatii:

> A ja po śmierci męża też chciałam pracować. Sama, tutaj, w tym mieszkaniu… *Chciałam ratować się pracę, przed tą moją straszną samotnością.* (...) I wtedy też coś innego przyszło mi do głowy. Myślę sobie, pójdę do Biblioteki Polskiej i zaproponuję im, że – oczywiście, bez pieniędzy – i mogę coś robić. Pani Gałęzowska bardzo mnie mile przyjęła, powiedziała, że mi da odpowiedź – ale ~~ja~~ odpowiedzi *nigdy* nie dostałam. ~~Gdy Miłosz się o tym dowiedział, to śmiał się tym swoim wspaniałym śmiechem on tak wybucha, gdy się śmieje i powiedział mi: „Słuchaj, jaka ty jesteś naiwna, przecież dla nich będziesz zawsze żydokomuną”. To są słowa Miłosza[57].~~

Watowa funkcjonowała oczywiście w kręgu rodzinnym: przez kilka miesięcy w roku pomieszkiwała z nią siostra Maria, a w oddalonej o kilka stacji Dzielnicy Łacińskiej mieszkał syn Andrzej z żoną Françoise i dziećmi. Na polu rodzinnym dochodziło do tarć, czego możemy domyślać się po ostatnim liście Wata, w którym zwrócił się bezpośrednio do synowej:

> Moja Droga Françoise
>
> Jestem zdruzgotany tym, że się mylisz diametralnie w sprawie Twojej teściowej. Musisz wiedzieć, że wbrew pozorom jest to kobieta o nadzwyczajnej, cudownej sile ducha, w skrajnych warunkach

[54] Cz. Miłosz, O. Watowa, *Listy o tym, co najważniejsze*, Kraków 2012, s. 41.
[55] Z. Hertz, *Listy do Czesława Miłosza. 1952–1979*. Wybór i opracowania R. Gorczyńska, Paryż 1992, s. 275. List z 10.07.1968 r. Rok po śmierci Aleksandra.
[56] M. Wyka, *Fantomy*, „Dekada literacka” 1991, nr, s. 114.
[57] Nieopublikowana rozmowa ze Stanisławem Rośkiem, cytowana w dalszej części rozprawy jako „PD”, s. 25.

22:1147928904

biedy i prześladowań zachowała się bohatersko, pisząc te słowa, w niczym nie przesadzam, to całkowicie adekwatne. (...) Nigdy nie miała wobec Ciebie kompleksu teściowej. Wprost przeciwnie, z a w s z e wywierała na Andrzeja presję korzystną dla Ciebie, dla Waszego życia rodzinnego[58].

Jest pewne, że bohaterki tego listu za sobą nie przepadały, a konflikt był zapewne ostrzejszy niż Wat mógł przypuszczać, niemniej wydaje się, że to nie sprawy rodzinne były jej głównym zmartwieniem. Watowie na emigracji nigdy nie żyli ponad stan. Alina Kowalczykowa wspominała w 2008 roku: „Nie mieli stałego adresu, pędzili życie na walizkach"[59]. Tymczasem wraz z jego śmiercią sytuacja jeszcze bardziej się skomplikowała i pogorszyła, przez co Ola nie mogła pozwolić sobie na utrzymanie mieszkania przy *Parc de Sceaux,* tułała się od miejsca do miejsca, wynajmowała pokoje, a nawet pomieszkiwała ze współlokatorkami, próbując w ten sposób ograniczyć koszty życia. Sprawy finansowe unormowały się dopiero, gdy otrzymała wsparcie od francuskiego rządu: „[Jeszcze wtedy nie byłam nawet na utrzymaniu Chiraca, to znaczy na utrzymaniu merostwa. *Należę do kategorii „Économiquement faible*"[60] (DP, s. 89) – do tego czasu radziła sobie sama. W rozmowie ze Stanisławem Rośkiem żartowała:

> Wszystkim mówię o sobie, że ja jestem madame Rotschild. Dlaczego? Nie jestem głodna. Jeszcze dzień, dwa i zacznę tutaj palić. Mam gdzie mieszkać. Ale, wie pan, wszystkie meble trafiły do mnie przypadkiem. Jedyną rzeczą, którą kupił jeszcze mój mąż jest ta półka na książki – a tak to wszystko za grosze zdobyła synowa, która jest bardzo obrotna. Był za wysoki stół to przycięła mu nogi. Proszę spojrzeć. A to, to znowu dała mi bratanica Aleksandra. To mam od swoich przyjaciół Sterlingów[61].

Mieszkanie „w piątej dzielnicy, usytuowane między Dworcem Austerlitz i Ogrodem Botanicznym, w zakolu ulicy Nicolas-Houël[62]", które wynajmowała do śmierci w roku 1991 było ważnym miejscem na polskiej mapie emigracyjnego Paryża. W tym niedługim czasie po śmierci męża, krąg znajomych Watowej uległ co prawda reorganizacji, choć wbrew pierwotnym przypuszczeniom, Ola nie została sama. Okazało się, że Aleksander, jak sądził Hertz, nie był

[58] List Wata do synowej Françoise znajduje się w tłumaczeniu A. Dziadka w: A. Wat, *Ostatni zeszyt,* oprac. A. Dziadek i J. Zieliński, „Zeszyty Literackie" s. 23.
[59] A. Kowalczykowa, *Urywki wspomnień i oprac. listy rodziny do Oli Wat we Lwowie,* „Zeszyty Literackie" 2008, nr 1 (101), s. 163.
[60] PD, s. 27.
[61] Tamże.
[62] A. Łabędzka, *Paryskie adresy prof. Marty Wyki*, „Dekada Literacka" 2018, nr 1, s. 50.

23:1439868358

jedynym gwarantem towarzyskiego powodzenia. Siostra Watowej, Maria Sikorska, wspominała w latach dziewięćdziesiątych jej wdowie życie:

> Jej paryskie mieszkanie zawsze pełne było ludzi i kwiatów. Wspaniali, ciekawi ludzie przewijali się przez Jej dom. Miłosz, Rymkiewiczowie, Wajda z żoną Krystyną Zachwatowicz, Artur Międzyrzecki z żoną, Julią Hartwig, Olbrychski, Pszoniak z uroczą, śliczną żoną Basią, Łapicki, który odwiedzał ją będąc w Paryżu, Agnieszka Osiecka – za dużo by miejsca zajęło wyliczanie tych wszystkich wspaniałych, życzliwych ludzi. To były cudowne i jakże interesujące lata[63].

Do tej grupy należałoby dodać także niewymienionych tu przyjaciół – Karola i Halinę Sterlingów. Z czasem zaczęła przyciągać coraz młodsze przyjaciółki: Annę Łabędzką, Monikę Gibson, Martę Wykę, Alinę Kowalczykową, Joannę Wierusz-Kowalską, Joannę Pollakównę, Annę Micińską i, oczywiście, Renatę Gorczyńską. Z dawnego grona przyjaciół, pozostał przy wdowie m.in. Józef Czapski, nazywany przez nią „Józiem", na którego opiniach wydawniczych bardzo polegała. W rodzinie Watów krąży nawet anegdota, jakoby Czapski, po śmierci swojej siostry Zofii, zaproponował Oli małżeństwo. Żartobliwa propozycja wynikała z przekonania, że łączyła ich szczególna nić porozumienia i oboje czuli się swobodnie w swoim towarzystwie, dlatego stanowiliby zgodny tandem. Z wiadomych przyczyn, co dowcipnie dodawał Czapski, byłoby to małżeństwo oparte na miłości platonicznej[64].

Do honorowych, choć nie najczęstszych gości mieszkania w piątej dzielnicy należał Czesław Miłosz. Wspólna praca wykroczyła daleko poza ramy zawodowe – listy obojga są pełne serdeczności, a nawet czułości (np. „Moja Kochana, droga Olu, Chcę zacząć od tego, że pocałuję Ciebie mocno i przytulę do serca"[65] i dalej: „UWAŻAJ MNIE ZA PRZYJACIELA. JA TEŻ POTRZEBUJĘ PRZYJAŹNI"[66]. [kapitaliki oryginalne, Miłosza]. Nie brakuje w nich utyskiwań na samotność i sporadycznych zapewnień o oddaniu i miłości. Sikorska w dniu pogrzebu Oli zanotowała:

> Miłosz, najwierniejszy przyjaciel, zawsze ją odwiedzał w czasie pobytu swego w Paryżu. Telefonował często z Berkeley dowiadując się o Jej zdrowie. Pozwalała mi zawsze podnosić drugą słuchawkę. Słuchałam z przyjemnością jego ciepłego i tkliwego głosu, jakim mówił z Olą.

[63] MMS. Prywatne archiwum Andrzeja Wata.
[64] Anegdotę na temat „oświadczyn" Czapskiego usłyszałam od Andrzeja i Pierre'a Wata podczas rozmów przeprowadzonych z nimi w 2018 roku.
[65] List z dn. 2 XII 1967 r. Zob. Cz. Miłosz/O. Watowa, *Listy o tym...*, s. 26.
[66] Tamże, s. 28.

24:2716822387

> Doradzał jej we wszystkich sprawach wydawniczych, pocieszał Ją, gdy miała zmartwienie, podtrzymywał Ją na duchu. Oleńka odczuwała Jego opiekę, czuła w Nim najwierniejszego przyjaciela i najuczciwszego człowieka[67].

Ich relacja stała się ulubionym tematem Oli, która w towarzystwie francuskiej Polonii chętnie powoływała się na tę znajomość. O ciepłych uczuciach Oli do Miłosza wspominała, m.in. Julia Hartwig: „Uwielbienie Oli dla Miłosza, jej pochwały, które mówi jemu wprost i innym"[68], a także, znów kąśliwie, Zygmunt Hertz w liście do przyjaciela: „O Ciebie pytała, oświadczając się miłością"[69]. Bliskie przyjaciółki Watowej wspominają, że tylko nieliczne bywały zapraszane na „miłoszowskie" obiady. Watowa broniła swych wyłącznych praw do autora *Ziemi Ulro*, starannie dobierając towarzystwo. O jednym z takich obiadów opowiedziała Hartwig, a ta 27 listopada 1988 skrupulatnie zapisała w dzienniku:

> Przypominam sobie fragment wydarzenia, jakie opowiedziała nam Ola Watowa: pewnego wieczora przychodzi do niej Miłosz. Źle się czuje. Astma pogarsza mu się w Paryżu. Mówi: „Wiesz, Ola, ja myślę, że ja skończę jak Gombrowicz". (...) Jedzą kolację. – Wiesz, Olu, jakoś dziwnie się czuję". – Połóż się, odpocznij". Położył się na kanapie. Natychmiast zasnął. Ale nagle się budzi. Jak młodzieniec zrywa się na równe nogi: „Śniła mi się Litwa. Powiedz, mi, dlaczego ja właściwie nie napisałem tej książki o dziesięcioleciu"?[70].

Opowieść Watowej wydaje się mniej wyretuszowana i jednostronna, gdy zajrzymy do *Roku myśliwego.* We wpisie z 2 VI 1988 roku Miłosz, całkiem poważnie, zastanawiał się: „Czy powinienem, jak twierdzi Ola Watowa, napisać książkę o Polsce niepodległej, dwudziestolecia 1918-1939?". Być może noblista skorzystał z rady przyjaciółki, a książka, która mu się przyśniła, to wydana w 1998 roku *Wyprawa w dwudziestolecie*.

W wielu sprawach mogła również liczyć na „Kocika" (Konstantego A. Jeleńskiego). Nie wiemy, czy pomoc wynikała z sympatii do wdowy, czy „poczucia niedopełnionego obowiązku" wobec jej męża, jak aluzyjnie sugeruje Anna Arno, biografka Jeleńskiego:

> Do końca życia wspierał Olę Watową, doradzał jej w sprawach wydawniczych. Po samobójczej śmierci poety miał jednak poczucie niedopełnionego obowiązku. Wat nie był mu bliski

[67] MMS.
[68] J. Hartwig, *Zawsze powroty. Dziennik podróży*, Warszawa 2001, s. 322.
[69] Z. Hertz, *Listy do Czesława Miłosza 1952-1979*…, s. 456.
[70] Wpis z dnia 27 listopada 1988. Zob. J. Hartwig, *Zawsze powroty*..., s. 329.

25:7837540218

osobowościowo i chociaż traktował go czule, ich relacja nigdy nie przerodziła się w przyjaźń[71].

Jakiekolwiek były motywy Jeleńskiego, najpewniej nigdy nie dał odczuć braku zainteresowania jej sprawami, bo w prywatnej korespondencji wyrażała się o nim z ogromną sympatią, świadczącą o dużym przywiązaniu i zaufaniu.

Można by założyć, że zarówno motywacje Jeleńskiego, jak i innych przyjaciół miały swe podłoże w związkach z Aleksandrem. Przypomnijmy jednak, że ówczesny Wat, to ktoś inny niż autor, którego dziś znamy. Wat znany był więc jako intelektualista-myśliciel, ktoś interesujący przede wszystkim towarzysko. Musimy pamiętać, że Watowa przez wiele lat nie była wdową po „wielkim poecie" – w momencie swej śmierci, „Ol" był wciąż pisarzem nie tyle nieobecnym, co w zasadzie wciąż nie stworzonym. Wtedy nie ma jeszcze przecież nie tylko *Mojego wieku*, nie ma też tomu *Ciemne świecidło*, *Dziennika bez samogłosek*, *Świata na haku i pod kluczem*, nie ma właściwie nic. Nie licząc futurystycznych juweniliów, istnieje przedwojenne wydanie *Bezrobotnego Lucyfera*, *Wiersze* z 57' i *Wiersze śródziemnomorskie* z 62'. Nie dziwi więc komentarz Tadeusza Borowskiego, który żaląc się na własną niemoc twórczą, używał nazwiska Wata jako alegorii niemocy: „Jestem po trosze w sytuacji p. Wata, o którym mówi się powszechnie, że to dobry pisarz, ale nikt nie widział żadnej jego pracy"[72]. Podobnie Anna Micińska, ale już z perspektywy czasu, starała się w swoich wspomnieniach rzucić nowe światło na tę kwestię poprzez – jak pisze – przypomnienie faktów:

> Kiedy Aleksander umierał w lipcu 1967 roku, odchodził z poczuciem absolutnej klęski i bankructwa wszelkich swoich zamierzeń i dokonań. W tzw. świadomości czytelniczej istniał jedynie jako współtwórca polskiego futuryzmu lat dwudziestych, autor *Mopsożelaznego Piecyka,* i choć po blisko czterdziestu latach poetyckiego milczenia na nowo zabłysnął dwoma wydanymi tomikami: *Wiersze* (1957) i *Wiersze śródziemnomorskie* (1962) – wskutek dalszego biegu wypadków już w roku 1963 jego nazwisko zostało wykreślone z kart historii i literatury polskiej. Nieobecny w Polsce, nie zdążył także dać się poznać na Zachodzie. Kilka politycznych szkiców opublikowanych w paryskiej „Kulturze", garść wierszy rozproszonych w emigracyjnych czasopismach, uznanie i szacunek dla jego wiedzy, intelektu i talentu na palcach liczonych przyjaciół i – koniec. (...) A przecież świadectwo to pozostawił. Tyle że nagrane bądź „naszeptane" na szpule magnetofonowej taśmy, nagryzmolone w dziesiątkach brulionów – w jego pojęciu –

[71] A. Arno, *Pudło daktyli*, w: Tejże, *Kot. Opowieść o Konstantym A. Jeleńskim*, Warszawa 2020, s. 152.
[72] *Niedyskrecje pocztowe. Korespondencja Tadeusza Borowskiego*, zebrał, objaśnił i skomentował T. Drewnowski, Warszawa 2001, s. 217. List do Wandy Leopold (1947 r.).

26:6133216788

> nigdy nieukończonych wierszy, w niezliczonych zeszytach i notatnikach, w które zaklinał swoje doświadczenia, przemyślenia i doznania, także pomysły do rozwinięcia w artystyczną całość, kiedyś, w przyszłości...[73].

Mój wiek jawi się więc tu nie jako *opus magnum* i dopełnienie twórczości Wata, lecz jako książka założycielska, jeśli nie wręcz właściwy debiut. Samobójcza śmierć Wata mogła przecież w naturalny sposób wygasić zainteresowanie jego dorobkiem. Toteż Micińska postawiła kropkę nad „i", gdy pisała:

> Jedno jest pewne: jeśli zwykło się dziś powtarzać, że Aleksander Wat – poeta, myśliciel i świadek, jeden z najważniejszych naszego wieku jako pisarz narodził się dopiero po śmierci, nie ma w tym przesady. Trzeba mieć wszak świadomość, że stało się to dzięki i za sprawą wieloletniej, benedyktyńskiej pracy Oli, która dzieło męża nie tylko ocaliła i odtworzyła, ale w pewien sposób prawdziwie stworzyła[74].

Ton stwierdzeń Micińskiej ma dziś prowokacyjny charakter, lecz ta prowokacyjność traci na sile, gdy skrupulatnie wyliczymy wszystkie teksty, do których publikacji doprowadziła Watowa, a które, gdyby nie ona, mogłyby (w formie taśm, rękopisów i maszynopisów) do dziś pokrywać się kurzem w rodzinnym archiwum, wówczas okaże się, że – w istocie – rola wdowy w procesie rekonstruowania i upowszechniania spuścizny Wata była większa niż ta, którą zwyczajowo się jej przypisuje. To oznacza także, że to ona sama zapracowała na miejsce w historii paryskiej emigracji, które w 1987 r. przewidywał dla niej Miłosz:

> Z listów Kota wyłania się obraz Paryża z kręgu „Kultury" i Editions du Dialogue. Przyszli historycy i poloniści będą nurzać się w tych materiałach. Najintensywniejszy okres umieściłbym między 1960 a 1980, a główne postacie wtedy to Jerzy Giedroyć, Zygmunt Hertz, Zofia Hertz, ksiądz Józef Sadzik, Jaś Lebenstein, Olga Scherer, Danuta Szumska, później Ola Watowa[75].

Strażniczka pamięci Aleksandra

Watową obsadza się nie tylko w roli żony, wdowy i autorki, ale także – równie lirycznie i sentymentalnie, ale też z perspektywy współczesnego odbiorcy – w roli „strażniczki pamięci Aleksandra"[76], czyli w roli, którą niewątpliwie pełniła, ale, która w żaden sposób nie wyczerpuje

[73] A. Micińska, *Wędrówki bez powrotu*, Warszawa 2008, s. 89-90.
[74] A. Micińska, *Wędrówki bez powrotu...*, s. 89-90.
[75] Cz. Miłosz*, Rok myśliwego*, Kraków 1991, s. 81. (13 X 1987 r.).
[76] Określenie użyte przez Andrzeja Franaszka w biografii Czesława Miłosza. Por. A. Franaszek, *Miłosz. Biografia*. Kraków 2012, s. 623.

27:5005265514

wszystkich aspektów jej zaangażowania w szeroko rozumiane dzieło Wata. Funkcja „strażniczki" przywodzi na myśl, z jednej strony, że istnieje coś cennego, jakiś skarb, którego należy pilnować. Z drugiej, że jest to zajęcie bierne wobec strzeżonego przedmiotu.

W przypadku Watowej oba te stwierdzenia mijają się z prawdą. Po pierwsze, dlatego że wspomniany skarb, którego mogłaby strzec, narastał z wolna wraz z jej staraniami, tworzył kalejdoskop tekstów *in statu nascendi*, a przecież nie można strzec czegoś, co dopiero dzięki jej pracy wyłaniało się z rękopiśmiennych i magnetofonowych czeluści. Używając metafory zaczerpniętej z kręgu macierzyństwa, można powiedzieć, że Watowa była bardziej akuszerką tej spuścizny niż jej strażniczką. Sformułowanie to podkreślałoby zarazem jej sprawczość i aktywny udział w całym procesie, a także skuteczność działań – co więcej, warto zaznaczyć, wskazywałoby na brak odpowiedniego przygotowania do pełnienia owej samozwańczej funkcji. A więc, powtórzmy za Micińską, Ola „dzieło męża nie tylko ocaliła i odtworzyła, ale w pewien sposób prawdziwie stworzyła"[77]. I to właśnie dzięki niej Wat – używając określenia Małgorzaty Baranowskiej – „zaczął pisać po śmierci"[78]. Od 1967, czyli od śmierci Aleksandra, do śmierci Oli w roku 1991, ukazały się kolejno:

1. *Ciemne świecidło*, Paryż: Libella, 1968;
2. *Mój wiek. Pamiętnik mówiony*, Londyn: Polonia Book Fund, 1977;
3. *Ewokacja*, Kraków: Wydawnictwo Kos, 1981;
4. *Mój wiek. Pamiętnik mówiony*, Londyn: Polonia Book Fund, 1981;
5. *Semantyka języka stalinowskiego*, Poznań: NZS, 1980;
6. *Świat na haku i pod kluczem. Eseje*, Londyn: Polonia, 1985;
7. *Dziennik bez samogłosek*, Londyn: Polonia, 1986; Warszawa;
8. *Pisma wybrane*, Warszawa: Oficyna Wydawnicza, 1986;
9. *Rapsodie polityczne. Eseje*, Warszawa: Wrocław: Wers, 1987;
10. *Świat na haku i pod kluczem. Eseje*, Kraków: Wydawnictwo -x-, 1988;
11. *Ucieczka Lotha. Proza*, Londyn: Polonia, 1988;
12. *Wiersze wybrane*, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1988;
13. *Ucieczka Lotha. Proza*, Warszawa: Oficyna Wydawnicza "Margines", 1989;

[77] A. Micińska, *Wędrówki bez powrotu...*, s. 90.
[78] M. Baranowska, *Aleksander Wat: choroba wieku*, w: *Sporne postaci polskiej literatury współczesnej*, pod red. A. Brodzkiej, Warszawa 1994, s. 76.

28:2826572760

14. *Dziennik bez samogłosek*, Warszawa: Czytelnik, 1990.

Tyle po pierwsze. Po drugie, wracając do roli strażniczki: wdowie po Wacie nie można również zarzucić bierności: niemal na każdym etapie przygotowywania tekstów do druku aktywnie uczestniczyła w procesie wydawniczym: porządkowała teksty, odczytywała, a właściwie – co wie każdy, kto widział rękopis autora *Ciemnego świecidła* – odcyfrowywała je, przepisywała na maszynie, dokonywała korekt i zmian redakcyjnych, tworzyła przypisy – nie mówiąc już o prowadzeniu obszernej korespondencji i pozyskiwaniu środków na wydanie tekstów. Najpewniej determinacja i nieustępliwość przechodzące nieraz w napastliwość sprawiły, że Jerzy Giedroyc uskarżał się Miłoszowi: „nie mam ich u siebie [fragmentów pamiętnika Aleksandra Wata - przyp. A.G.M.], bo są one u Oli Watowej, której unikam jak ognia”[79]. Ona, choć o tym nie wiedziała (lecz być może przeczuwała) nie pozostawała mu dłużna. Również w liście do Miłosza zwierzała się ze swoich nieporozumień z redaktorem „Kultury”, czyli, jak to określiła, „z tą głuchą ścianą, przez którą tak trudno przeniknąć”[80].

Trzeba też podkreślić, że świadomość zaangażowania i znaczenia Oli w tworzenie dzieła męża rośnie pośród „watologów” i coraz częściej podkreślają oni jej rolę, a ma to związek z kwerendami polskich badaczy w *Beinecke Rare Book & Manuscript Library* i kontaktem z materialnością archiwum. Na przykład Dziadek pisał w 2009 roku:

> Przeglądać to archiwum, to jakby przechodzić przez życie całej rodziny przez jej doświadczenia. Poza tym zbiory pokazują wyraźnie, jaką rolę w u kształtowaniu niektórych tekstów odegrała żona pisarza, chodzi mi zwłaszcza o fakt, że Wat pozostawił po sobie wiele tekstów nieukończonych, które bez interwencji jego żony nigdy nie ujrzałyby światła dziennego[81].

A Krystyna Pietrych dodawała kilka lat później:

> Decyzję o druku tych skazanych na zagładę papierów, mimo zasadniczych wątpliwości, podjęła za namową przyjaciół żona pisarza, Ola Watowa, ocalając w ten sposób spuściznę autora *Ciemnego świecidła*. Że była to decyzja ze wszech miar słuszna, trudno mieć dziś jakiekolwiek wątpliwości. Jednak w efekcie kształt publikowanych książek to w znacznym stopniu efekt jej wysiłków i pracy kolejnych edytorów pism Wata[82].

Jest to wyraźna zmiana, jeśli przypomnimy sobie, że na przestrzeni dwudziestu czterech lat jej

[79] *Jerzy Giedroyc, Czesław Miłosz. Listy 1964-1972*. Oprac. M. Kornat, Warszawa 2011, (list z 1 maja 1972r.).
[80] Tamże, s. 12.
[81] A. Dziadek, *Aleksander Wat w Beinecke Library w Yale*, „Teksty drugie” 2009, nr 6, s. 256.
[82] K. Pietrych, *Notatniki zamiast opus magnum*? „Teksty drugie” 2017, nr 4, s. 115–116.

29:2249728413

nazwisko rzadko pojawiało się na stronach tytułowych – najczęściej odnajdujemy je przy okazji podziękowań, jeśli w ogóle. O ile jej zaangażowanie w proces wydawania tomu *Ciemne świecidło* niemal od początku nie budziło wątpliwości, wspomnijmy choćby uwagi Tomasa Venclovy, biografisty Wata, który pisał na ten temat: „Tę całość obramowano wierszami z ostatniego wygnania poety. Odpowiedzialność za ostateczną formę tomu przejęła Ola: pomagali jej: Miłosz, Jeleński, Pierre Emmanuel i inni”[83], to wciąż kontrowersyjną kwestią pozostaje stopień ingerencji Watowej w proces powstawania *Mojego wieku.* Badacze zauważają jej „uporczywość”[84] w kwestii publikacji tekstu Wata – raz wymieniając ją jednym tchem z Miłoszem i Lidią Ciołkoszową, jak Adam Dziadek:

> Trzeba też mieć na uwadze kontekst medialny, całość została wpierw nagrana, potem przepisana, a Wat zdążył opracować jedynie część książki i ostateczna jej wersja jest wynikiem pracy Oli Watowej, Lidii Ciołkoszowej i Czesława Miłosza (...)[85].

Innym razem, z większym dystansem, jak Rafał Habielski, który opracował naukowo jedno z wydań *Mojego wieku*, ostrożnie nazywa jej pracę przy (trzykrotnym) przepisywaniu nagrań „wpływem na treść”:

> Już po pierwszych edycjach, jak i po wydaniach późniejszych, zwracano uwagę na potencjalną zdradliwość efektu końcowego. Książkę przygotowały do druku trzy osoby (Wat, Miłosz, Ciołkoszowa), wpływ na jej treść miała Ola Watowa, która przepisywała nagrany materiał. (...) Wat wspomina o niespełna 2000 stronach, Miłosz o „co najmniej” 1800, Watowa zaś o 1400[86].

Korespondencja między nią i autorem *Trzech zim,* rozpoczynająca się już w 1967 roku, znana i z „Zeszytów Literackich”[87], i z opracowania Dziadka, ujawnia ogrom pracy, jaki w tę książkę oboje włożyli. Przez dekadę trwała nieustanna wymiana listów na linii Miłosz – Watowa, a od 1974 roku także Watowa i Ciołkoszowa były w stałym kontakcie. Lektura ich listów uświadamia nam, że wdowa pełniła z jednej strony rolę pośredniczki między nimi (i poniekąd także odgromnika), weryfikując przy okazji podejmowane decyzje. 24.08.1974 roku napisała do Miłosza: „Z satysfakcją stwierdziłam, że interwencji p. Ciołkoszowej w tekst zupełnie prawie nie

[83] T. Venclova, *Aleksander Wat: Obrazoburca*, przeł. J. Goślicki, Kraków 2000, s. 414-415.
[84] Jej „uporczywość” w kwestii publikacji tekstów Wata podkreślał m.in. A. Dziadek w tekście *Przed-teksty a relacje intertekstualne (w kontekście krytyki genetycznej),* „Forum Poetyki” 2019, nr 17, s. 23.
[85] A. Dziadek, *XX wiek jako doświadczenie somatyczne,* w: Aleksander Wat: *Mój wiek. Pamiętnik*…, s. 465.
[86] R. Habielski, *O czytaniu mojego wieku*, w: Aleksander Wat: *Mój wiek. Pamiętnik*…, s. 560-561.
[87] Cz. Miłosz/O. Watowa, *Listy o tym, co najważniejsze*, zebrała B. Toruńczyk, Warszawa 2009 i cytowane już: A. Dziadek*, Listy Oli Watowej do Czesława Miłosza*, „Pamiętnik Literacki” 2011, z. 2.

30:1532279642

ma, najbardziej pokreślone było to, co Ci przesłałam. Jeśli jakaś poprawka mi nie odpowiada – od razu koryguję przy przepisywaniu”[88]. Jeśli zaś zmiany Ciołkoszowej nie odpowiadały Miłoszowi, Ola przekazywała jej skrupulatnie wszystkie uwagi. Zacytujmy większy fragment niepublikowanego dotąd listu Watowej do Ciołkoszowej, interesującego również ze względu na pojawiające się propozycje tytułów:

Bardzo droga pani

Dostałam dzisiaj duży list od Miłosza i pragnę się z Panią nim podzielić, z prośbą o wzięcie pod uwagę jego sugestii. Zacznę od proponowanego przeze mnie tytułu „Wspomnienia”. Miłosz uważa, że taki tytuł byłby zły, że nie mówi nic, że posuwa się zbyt daleko wstrzemięźliwości. Że byłby tytułem bezbarwnym i kojarzy się z zupełną biernością - i w przeżywaniu i w opowiadaniu. Jak Pani widzi zostałam ostro skrytykowana, za co zresztą jestem mu bardzo wdzięczna, jak za wszystko co dla mnie do tej pory zrobił. Proponuję

1. MÓJ WIEK (zapis na taśmie magnetycznej)
2. SWIADECTWO (zapis na taśmie magnetycznej)
3. DOŚWIADCZENIA (zapis na taśmie magnetycznej)

Zadecyduję w tych dniach, który z nich wybrać. Czy przemawia do Pani : MÓJ WIEK?

(...) Druga sprawa którą w tym liście porusza, to sprawa Pani poprawek. Stwierdza że :

„poprawki Pani Ciołkoszowej są dobre, jeżeli mam sądzić z przesłanych pierwszych rozdziałów. Niemniej wymagają uwagi, bo zdarzają się potknięcia.”

a) Dotyczące seansu. Str.3, dół strony: „Powiązany był często również pochodzeniem (od) wielkich i małych posiadaczy, jak w twoich stronach”. Otóż od, dodane przez p. Ciołkoszową wypacza sens. Zamiast tego powinno być dodane: tym samym pochodzeniem wielkich i małych posiadaczy, jak w twoich stronach”. Sens zdania jest ten, że i wielcy i mali posiadacze byli często na Litwie szlachtą i mówili po polsku.

b) Tendencja p. Ciołkoszowej do literackiego języka i używania słów których mało używa się w mowie mówionej. Str.19: „tradycje poetyckie odrzucały jego go od nas” – Tak właśnie się mówi, p. Ciołkoszowa poprawia na „go” od nas”. (...)

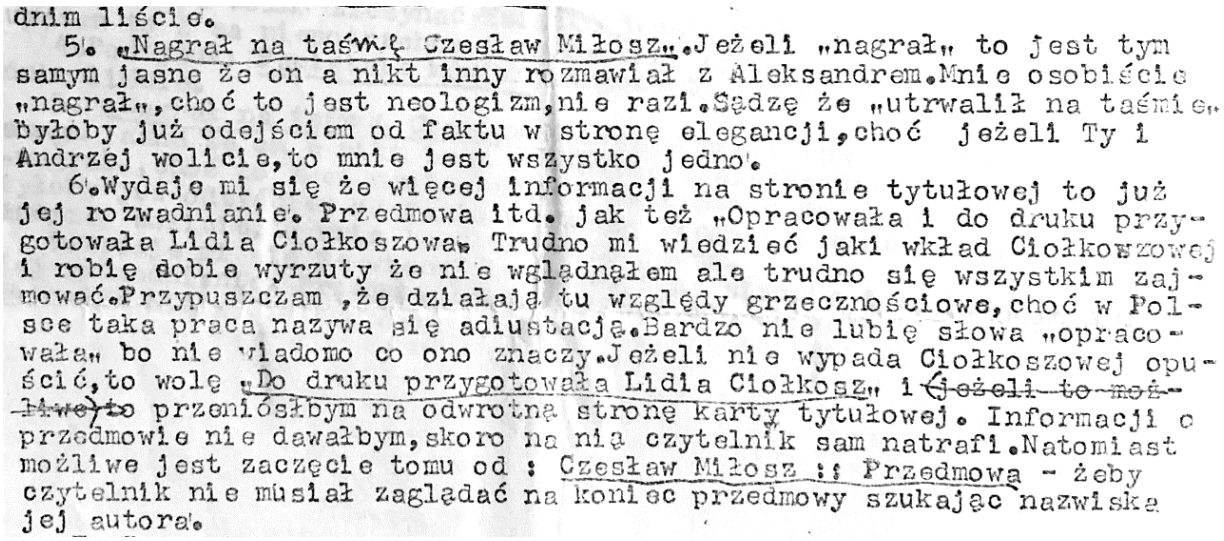
c) Drobne przeoczenia np. str.12 „Byliście wciśnięci między potworami”, poprawić na „między potwory”. (...)

[88] A. Dziadek, *Listy Oli Watowej do Czesława Miłosza*..., s. 174.

31:8951042359

> Przesyłam Pani te miłoszowe uwagi z nadzieją, że w żadnym stopniu nie poczuje się Pani nimi dotknięta. Mam całkowite zaufanie do Pani ale przecież prawda jest, że '*wiek żywi, wiek uczys'*. Czy podziela Pani pogląd w ~~tej sprawie~~ tych poprawkach Miłosza. (...)[89].

Cytowany list, oprócz tego, że jest ciekawym zapisem uzgodnień dotyczących „pamiętników", daje pogląd na ruch zależności, skalę ingerencji w tekst maszynopisów oraz na brak niezależności Ciołkoszowej w tej sprawie. Watowa, co prawda, już w pierwszym akapicie złagodziła uwagi Miłosza, opowiadając o własnych potknięciach z tytułem i wynikającej z nich krytyki z jego strony[90], ale domyślamy się, że ta retoryka miała jedynie złagodzić negatywne uwagi dotyczące poprawek. Ciołkoszowa nie zniechęciła się krytyką, gdyż wykonała łącznie 4 korekty i przypisy do całości[91]. Mimo to, Miłosz w jednym z listów, umniejszał jej wkład w wydanie pamiętników mówionych:



dnim liście.
5. „Nagrał na taśmę Czesław Miłosz". Jeżeli „nagrał" to jest tym samym jasne że on a nikt inny rozmawiał z Aleksandrem. Mnie osobiście „nagrał", choć to jest neologizm, nie razi. Sądzę że „utrwalił na taśmie" byłoby już odejściem od faktu w stronę elegancji, choć jeżeli Ty i Andrzej wolicie, to mnie jest wszystko jedno.
6. Wydaje mi się że więcej informacji na stronie tytułowej to już jej rozwadnianie. Przedmowa itd. jak też „Opracowała i do druku przygotowała Lidia Ciołkoszowa. Trudno mi wiedzieć jaki wkład Ciołkoszowej i robię dobie wyrzuty że nie wglądnąłem ale trudno się wszystkim zajmować. Przypuszczam, że działają tu względy grzecznościowe, choć w Polsce taka praca nazywa się adiustacją. Bardzo nie lubię słowa „opracowała" bo nie wiadomo co ono znaczy. Jeżeli nie wypada Ciołkoszowej opuścić, to wolę „Do druku przygotowała Lidia Ciołkosz" i ~~(jeżeli to możliwe) to~~ przeniósłbym na odwrotną stronę karty tytułowej. Informacji o przedmowie nie dawałbym, skoro na nią czytelnik sam natrafi. Natomiast możliwe jest zaczęcie tomu od : Czesław Miłosz :: Przedmowa - żeby czytelnik nie musiał zaglądać na koniec przedmowy szukając nazwiska jej autora.

Fotokopia 1. List Czesława Miłosza do Oli Watowej, z dn.10.10.1976 r.

> 6. Wydaje mi się że więcej informacji na stronie tytułowej to już jej rozwadnianie. Przedmowa itd. jak też „Opracowała i do druku przygotowała Lidia Ciołkoszowa. Trudno mi wiedzieć jaki wkład Ciołkoszowej i robię dobie [sobie – przyp. A.G.M.] wyrzuty że nie wglądnąłem ale trudno się wszystkim zajmować. Przypuszczam, że działają tu względy grzecznościowe, choć w Polsce taka praca nazywa się adiustacją. Bardzo nie lubię słowa „opracowała" bo nie wiadomo co ono znaczy.

[89] Prywatne archiwum Andrzeja Wata. List Oli Watowej do Lidii Ciołkosz z dn. 19.09.1974 r.
[90] W archiwum Andrzeja Wata istnieje szkic tego listu, w którym uwaga o krytyce tytułów jest dopisana na marginesie, jakby po upływie pewnego czasu. Być może Watowa uważała, że bez tej uwagi list utrzymany byłby w zbyt ostrym tonie.
[91] A. Dziadek, *Listy Oli Watowej do Czesława Miłosza*..., s. 178.

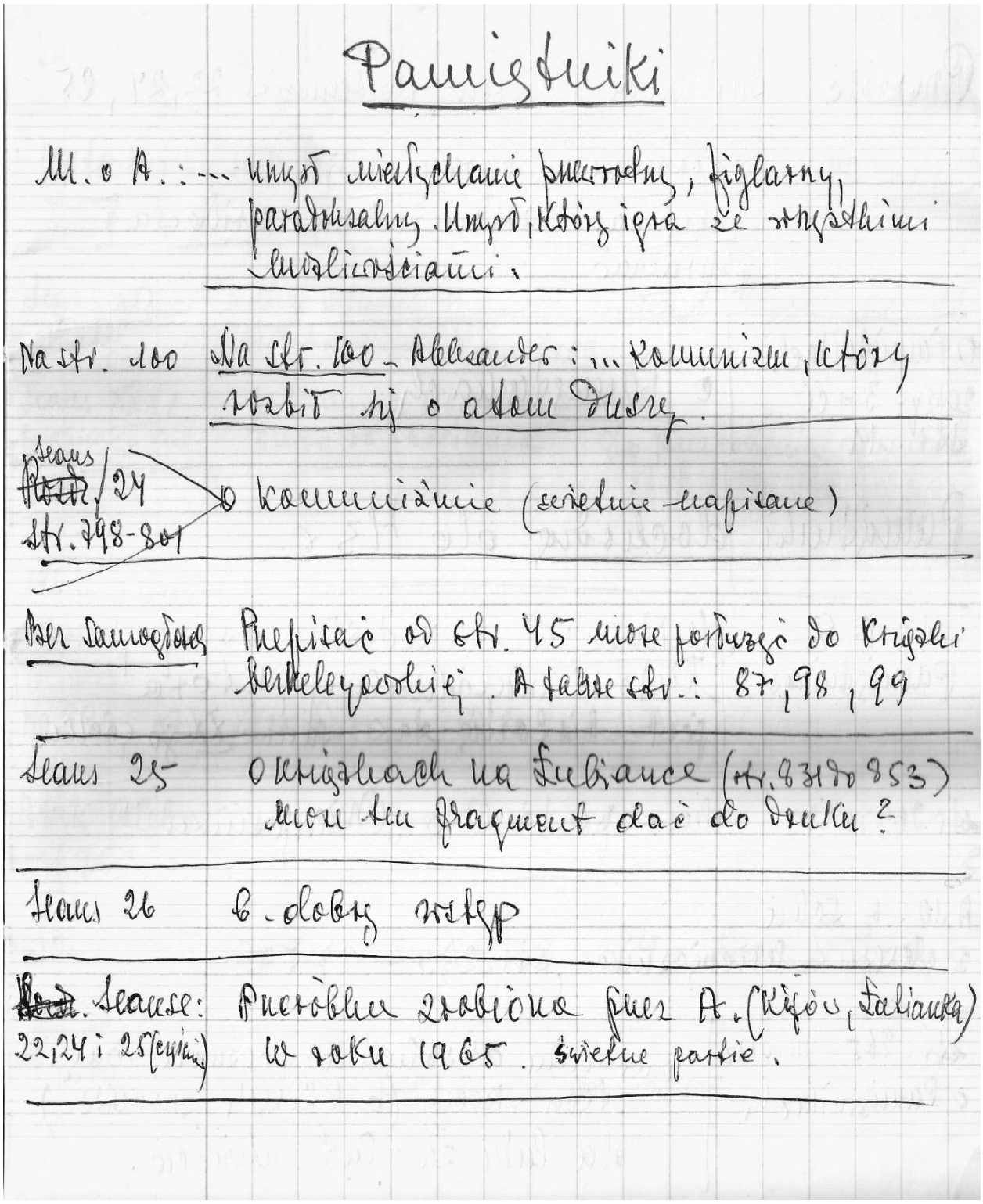
32:1120292580

Jeżeli nie wypada Ciołkoszowej opuścić, to wolę „Do druku przygotowała Lidia Ciołkosz" i ~~(jeżeli to możliwe)~~ to przeniósłbym na odwrotną stronę karty tytułowej[92].

Miłoszowi, skłonnemu opuścić nazwisko Ciołkoszowej, nie przyszło również na myśl, by uwzględnić na karcie tytułowej Olę, która przecież wykonała na przestrzeni dziesięciu lat wielokrotnie większą pracę. Być może wynikało to z faktu, że Watowa występowała w podwójnej roli, a adnotacja na jej temat byłaby w tych czasach wyrazem braku profesjonalizmu? Trudno jednoznacznie orzec. Wgląd w obszerną korespondencję ich trojga nie pozostawia jednak wątpliwości, że ingerencji autorki *Wszystko co najważniejsze* nie można uznać wyłącznie za prywatne zobowiązanie wobec męża i wybiega ona daleko poza grzecznościowe wsparcie. W prywatnym archiwum Andrzeja Wata odnalazłam notes Oli Watowej zatytułowany *Mój zeszyt*, potwierdzający te intuicje. Zeszyt zawiera notatki dotyczące poszczególnych seansów, w których znajdziemy przykłady konkretnych ingerencji wdowy w tekst maszynopisów. Fotokopie przekazałam prof. Dziadkowi jako uzupełnienie przyszłej edycji *Mojego wieku*, a ten, komentując w „Pamiętniku Literackim" uwagi Oli podkreślał, że: „niektóre z nich są bardzo znaczące i świadczą dobitnie o wpływie, jaki miała żona poety na ostateczny kształt tej książki"[93].

[92] List Cz. Miłosza do Oli Watowej z dn. 10 X 1976 r. (archiwum prywatne Andrzeja Wata).
[93] A. Dziadek, *„Mój wiek" Aleksandra Wata – uwagi do przyszłej edycji*, „Pamiętnik Literacki" 2020, z. 4, s. 211.

33:1541810213



Pamiętniki

M. o A.: ... mnich niezgłębiony, pustelnik, figlarny, paradoksalny. Mnich, który igra ze wszystkimi konwencjami.

Na str. 100 — Na str. 100 – Aleksander: ... komunizm, który zrobił się o atom duszy.

Zeus Plato/24 str. 798-801 — o komunizmie (ścienie napisane)

Ben Jamoglou — Przepisać od str. 45 może potrzeba do Książki Berkeleyowskiej. A także str.: 87, 98, 99

Zeus 25 — o książkach na Sycylianie (str. 831 do 853) może ten fragment dać do druku?

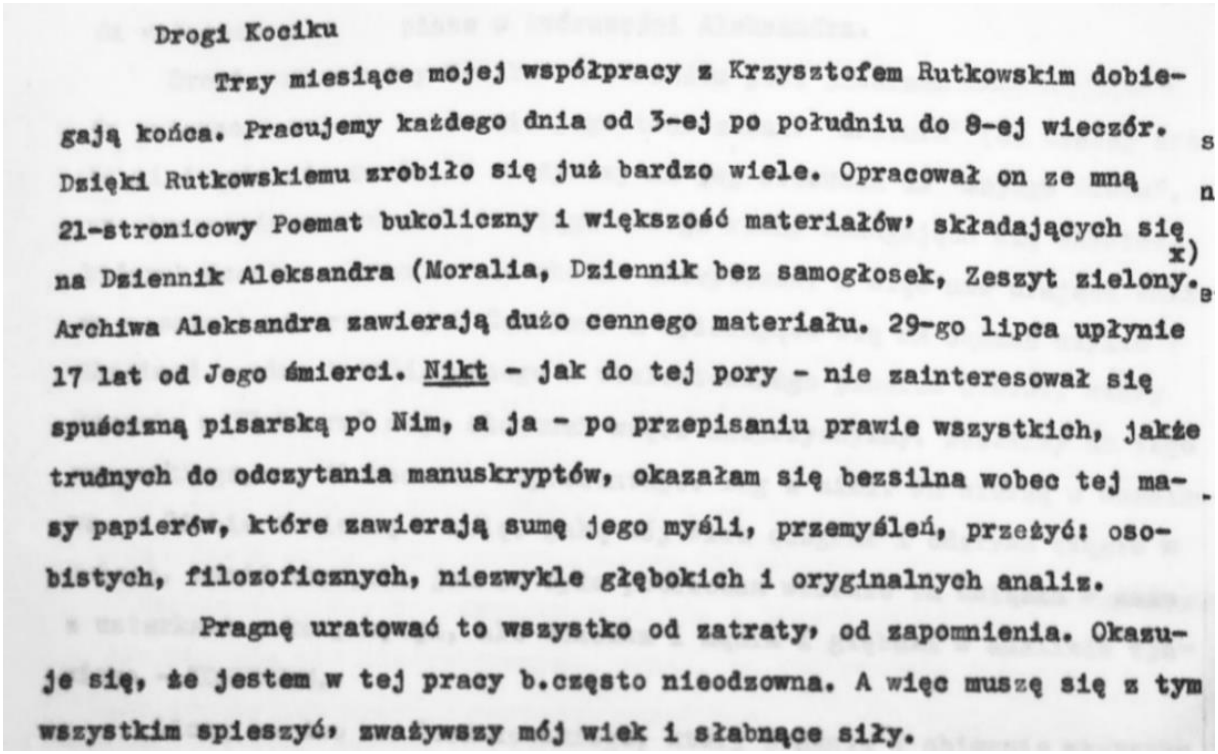
Zeus 26 — 6. dobry rozdz

Zeus: 22, 24 i 25 (cytaty) — Przeróbka zrobiona przez A. (Kijów, Sycylianka) w roku 1965. Świetne partie.

Fotokopia 2. *Mój zeszyt* – notes Oli Watowej. Prywatne archiwum Andrzeja Wata

34:7145958081

Ci, którzy czytali *Dziennik bez samogłosek* Aleksandra Wata (wydania: 1986, 1987, 1990, 2001 r.) zapewne zapoznali się wcześniej ze wstępem Oli Wat oraz notą redakcyjną Krzysztofa Rutkowskiego – czyli wprowadzeniem do lektury autorstwa dwóch osób, dzięki którym tom w ogóle trafił na księgarskie półki. Ich wspólne zmagania z dziennikiem trwały przez wiele miesięcy, przede wszystkim na przestrzeni 1984 roku. Wiemy jednak, że Watowa już wcześniej mierzyła się z materialnością zapisków męża, tak więc, kiedy Rutkowski (przedstawiony wdowie przez Jacka Kaczmarskiego)[94] stworzył z nią redakcyjny duet, większość stustronicowego maszynopisu, stanowiącego podstawę dla pierwszej edycji – i jak się okazało, dla dwóch kolejnych[95] – była już „odszyfrowana”[96]. Oprócz weryfikacji jej zmagań, ponownych odczytań, Rutkowski uporządkował i opracował maszynopis Oli, wspólnie wypracowali też koncepcję całości oraz nadali poszczególnym częściom tomu tytuły. Wyniki tej współpracy były dla wdowy zadowalające, czego dowodem jest list do Jeleńskiego:



Drogi Kociku

Trzy miesiące mojej współpracy z Krzysztofem Rutkowskim dobiegają końca. Pracujemy każdego dnia od 3-ej po południu do 8-ej wieczór. Dzięki Rutkowskiemu zrobiło się już bardzo wiele. Opracował on ze mną 21-stronicowy Poemat bukoliczny i większość materiałów, składających się na Dziennik Aleksandra (Moralia, Dziennik bez samogłosek, Zeszyt zielony.x) Archiwa Aleksandra zawierają dużo cennego materiału. 29-go lipca upłynie 17 lat od Jego śmierci. Nikt - jak do tej pory - nie zainteresował się spuścizną pisarską po Nim, a ja - po przepisaniu prawie wszystkich, jakże trudnych do odczytania manuskryptów, okazałam się bezsilna wobec tej masy papierów, które zawierają sumę jego myśli, przemyśleń, przeżyć: osobistych, filozoficznych, niezwykle głębokich i oryginalnych analiz.

Pragnę uratować to wszystko od zatraty, od zapomnienia. Okazuje się, że jestem w tej pracy b.często nieodzowna. A więc muszę się z tym wszystkim spieszyć, zważywszy mój wiek i słabnące siły.

Fotokopia 3. List do Konstantego Jeleńskiego z dn. 26.07.1984 r.

[94] K. Rutkowski, *Weranda na Grunwaldzkiej*, „Przegląd Polityczny” 1998, nr 37/38, s. 123.
[95] Cztery edycje *Dziennika to:* A. Wat, *Dziennik bez samogłosek*, red. K. Rutkowski, Londyn 1986; A. Wat, *Dziennik bez samogłosek*, oprac. K. Rutkowski, Warszawa 1990; A. Wat, *Dziennik bez samogłosek*, wydanie zmienione oprac. K. i P. Pietrychowie, Warszawa 2001.
[96] M. Baron-Millan, *Pół głosem, pół pismem. Wokół nowej edycji „Dziennika bez samogłosek” Aleksandra Wata*, „Pamiętnik Literacki” 2019, z. 1, s. 150.

35:5157272287

> Drogi Kociku, Trzy miesiące mojej współpracy z Krzysztofem Rutkowskim dobiegają końca. Pracujemy każdego dnia od 3-ej po południu do 8-ej wieczór. Dzięki Rutkowskiemu zrobiło się już bardzo wiele. Opracował on ze mną 21-stronicowy Poemat bukoliczny i większość materiałów składających się na Dziennik Aleksandra (Moralia, Dziennik bez samogłosek, Zeszyt zielony)[97].

Przy okazji dowiadujemy się, że na opisywanym tu etapie nienazwane jeszcze *Kartki na wietrze* występowały pod roboczym i bardziej przyziemnym tytułem „Zeszyt zielony". To oczywiście uwaga na marginesie. Prawdziwie zastanawiające są relacje obojga – Watowej i Rutkowskiego – z tego okresu. Ona rzeczowo przedstawia przebieg prac, jak gdyby chciała sprawozdać Jeleńskiemu całokształt postępów współpracy z pierwszego kwartału, podczas gdy późniejsze wypowiedzi Rutkowskiego sugerują, że – najłagodniej mówiąc – edycja dziennika nie była zadaniem ani łatwym, ani też przyjemnym. Pracę w „archiwum Wata" (czyli, o czym nigdy nie powinniśmy zapominać, w mieszkaniu Oli Watowej) wspominał w tonie iście histerycznym. Przyznawał, że dopiero „po wielu cierpieniach udało się wywołać, wybłagać, wymęczyć teksty do istnienia. To była straszliwa praca. Strony powstały ze współ-czucia i współ-myślenia. Nigdy podjąłbym się tego trudu od nowa. Nigdy**!"**[98]. W innym ustępie tekstu dodawał: „Dwuletnia blisko praca poraniła mnie ostro, ale jej nie żałuję**"**[99]. Mimo tych licznych cierpień, w efekcie współpracy, w 1986 roku opublikowano pierwsze wydanie dziennika, a ówczesny czytelnik otrzymał:

> całość spoistą, tematycznie dość jednolitą, a przede wszystkim zupełnie przejrzystą i czytelną. (...) Jest to całość, dzięki której odbiorca może bez trudu odtworzyć poglądy Aleksandra Wata na kwestie poetologiczne (...), oraz wyobrazić sobie pisarza jako celnego portrecistę, sarkastycznego intelektualistę, z dużą dozą ironii komentującego również własną twórczość[100].

Można więc powiedzieć, że edycja dziennika zakończyła się sukcesem. Była przygotowana tradycyjnie, w zgodzie z panującymi w owym czasie trendami: biograficznymi, metodologicznymi i – jak się zdaje – proporcjonalnie do skali zainteresowania twórczością ich autora, lecz pomyślana jedocześnie tak, by zainteresowanie to dodatkowo pobudzić i wzmocnić. A, co najważniejsze, poszerzyła jego dotychczasowy opublikowany dorobek. We wcześniej przytaczanym liście do „Kocika", ponad osiemdziesięcioletnia Watowa, czując ciężar swojego wieku, wyrażała

[97] List Oli Watowej do Konstantego Jeleńskiego. Archiwum prywatne Andrzeja Wata.
[98] K. Rutkowski, *Weranda..., s. 123.*
[99] Tamże.
[100] M. Kmiecik, *Nota edytorska*, w: A. Wat, *Dziennik bez samogłosek*, transkrypcja i oprac. M. Kmiecik, Kraków 2018, s. 8.

36:4511535559

zaniepokojenie:

> Archiwa Aleksandra zawierają dużo cennego materiału. 29-ego lipca upłynie 17 lat od Jego śmierci. Nikt – jak do tej pory – nie zainteresował się spuścizną pisarską po Nim, a ja – po przepisaniu prawie wszystkich, jakże trudnych do odczytania manuskryptów, okazałam się bezsilna wobec tej masy papierów, które zawierają sumę jego myśli, przemyśleń, przeżyć: osobistych, filozoficznych, niezwykle głębokich i oryginalnych analiz[101].
>
> Pragnę uratować to wszystko od zatraty, od zapomnienia. Okazuje się, że jestem w tej pracy b. często nieodzowna. A więc muszę się z tym wszystkim spieszyć, zważywszy mój wiek i słabnące siły.

Obawy się nie potwierdziły, a *Dziennik bez samogłosek*, jak i wiele innych tekstów Wata, znalazł szeroki oddźwięk publiczności czytającej, a z czasem stał się przedmiotem teoretycznych rozpraw. Zainteresowanie tomem wzrosło także za sprawą „zręcznego, zagadkowego i zapadającego w pamięć tytułu"[102], nadanego mu przez wdowę – ani tytuł *Moralia*, ani *Kartki na wietrze* nie doczekały się przecież tak szerokich omówień. Badacze Wata zapewne znają go na pamięć, mimo to przytoczmy najczęściej cytowany fragment wstępu Watowej:

> Tytuł tego tomu wymaga wyjaśnienia. Przepisując spuściznę pisarską mego męża, znalazłam ponad sto stronic pisanych jakby szyfrem – słowami pozbawionymi samogłosek. (...) Teraz, kiedy tom już jest gotowy do druku, nasunęły mi się pewne refleksje. Prócz wymienionych stron pisanych bez samogłosek większość tekstów znajdujących się w tomie pisana była normalnie[103] [podkreślenie moje – A.G.M.]. I nagle zdałam sobie sprawę, że wszystkie te teksty mogłyby być pisane w ten właśnie sposób – słowami bez samogłosek[104].

---

[101] List Oli Watowej do Konstantego Jeleńskiego. Archiwum prywatne Andrzeja Wata.
[102] M. Baron-Millan, *Pół głosem, pół pismem. ...,* s. 149.
[103] Zastanawiające w kontekście lektury krótkiego wstępu Watowej są słowa Michaliny Kmiecik, która przygotowała nową edycję *Dziennika bez samogłosek.* Nowa redaktorka zarzuciła Watowej nieścisłość: „Faktycznie, tytuł – nadany przez żonę poety – wymaga wytłumaczenia. Watowa w swojej bardzo zwięzłej wypowiedzi go jednak nie daje. Czytając jej słowa, wyobrażamy sobie bowiem, iż dziennik został w całości zanotowany pismem spółgłoskowym [podkreślenie moje – A.G.M.]. Nie jest to jednak prawda, co dość skrupulatnie w nocie redakcyjnej zaznacza Krzysztof Rutkowski". – zob. M. Kmiecik, *Szyfr w* Dzienniku bez samogłosek *Aleksandra Wata,* „Teksty Drugie" 2017, nr 4, s. 344. Prawdą jest jednak, że oboje: i Rutkowski, i Watowa wskazywali na niezwykłą formę maszynopisu, podkreślając jednocześnie, że: „prócz wymienionych stron pisanych bez samogłosek większość tekstów znajdujących się w tomie pisana była normalnie". (O. Watowa, Wstęp, w: A. Wat, *Dziennik bez samogłosek,* red. K. Rutkowski, Londyn 1986, s. 5). Nie sądzę, by Kmiecik nie zapoznała się z pełnym tekstem wstępu. Być może przeoczenie to jest wynikiem owego „wyobrażenia" na temat maszynopisów Wata, charakterystycznego dla osób, które nie miały wcześniej kontaktu z materialnością jego archiwalnych notatek. Kmiecik, dopiero jako redaktorka, mająca do nich dostęp, zderzyła własne (niczym nieuzasadnione) wyobrażenie z archiwalną rzeczywistością.
[104] O. Watowa, *Wstęp*..., s. 5.

37:3326696601

Być może czuła się w obowiązku – jako akuszerka tomu i jego pierwsza czytelniczka, ale nie współredaktorka! – rozwikłać ową zagadkę. W niewielkich rozmiarów wstępie sformułowała trzy hipotezy związane z niezwykłą, bezsamogłoskową formą zapisu części tych notatek. Zwróciła uwagę (1) na ekonomiczną stronę tego rozwiązania – mogło przecież chodzić o zwyczajną oszczędność czasu. Postanowiła jednak związać ją z biografią męża, który (2) w ten sposób chciał zaszyfrować to, co intymne i wstydliwe, związane „z trudnymi i bolesnymi latami jego życia". Wreszcie (3) brak spółgłosek mógł być też znakiem choroby i bólu: „A zatem strony, które były wypełnione zbitkami spółgłosek, musiały świadczyć o cierpieniu" (a – jak rozumiemy – te pisane „normalnie" byłyby sygnałem lepszego samopoczucia). Wystarczy rzucić okiem na bibliografię przedmiotu, by zorientować się, że Watowa wyznaczyła w gruncie rzeczy nie trzy, lecz cztery główne kierunki interpretacyjne dziennika (1. oszczędność czasu, 2. kamuflaż i wstyd, 3. cierpienie i choroba, 4. szyfr/zagadka do rozwiązania). Wystarczająco, by po 33 latach od pierwszej edycji jedna z badaczek przyznała, że pomysły Watowej „stały się najważniejszymi tropami, jakimi podążali kolejni interpretatorzy"[105].

Zastanawia więc, dlaczego status Oli Watowej w każdej z wydań dziennika był tak rozmyty i niedookreślony. W kontekście jej zaangażowania w jego edycję, każda inna osoba zasłużyłaby lub wywalczyłaby sobie miano współredaktora tomu. Podziękowania Krzysztofa Rutkowskiego umieszczone w nocie do pierwszej edycji, które miały to zrekompensować, w rzeczywistości umniejszyły jej wkład, co nie pozostało bez echa wśród jej przyjaciół:

> Figurujący na stronie tytułowej jako ten, który edycję „opracował", Krzysztof Rutkowski, ośmielił się napisać we wstępie do pierwszego tomu: „Korzystam tutaj z okazji, aby podziękować Oli Watowej za jej współpracę w redagowaniu spuścizny pisarskiej Aleksandra Wata. Bez jej pomocy w odszyfrowywaniu podtekstów i zdarzeń, bez jej rozeznania w bardzo trudnym charakterze pisma Wata, duża część dzieła poety pozostałaby nieznana". Nie zareagowała na głęboki nietakt[106].

Kiedy trzy dekady temu doszło do tego „nietaktu", sprawa podziękowań nie była rozpatrywana w kontekście wpływu na dzieło Wata, bo nie doczekało się ono jeszcze w owych czasach szerokich omówień. Powtórzmy za Watową: „Nikt – jak do tej pory – nie zainteresował się spuścizną pisarską po Nim". Sytuacja wyglądała więc tak, że zaangażowanie Oli należało do sfery domowej

[105] M. Baron-Millan, *Pół głosem, pół pismem...,* s. 344.
[106] A. Micińska, *Wszystko, co najważniejsze*, w: Tejże, *Wędrówki bez powrotu*, Warszawa 2008, s. 91-92. W kuluarowych rozmowach mówiło się wprost o „chamstwie" Rutkowskiego, co potwierdza zarchiwizowana wypowiedź radiowa Micińskiej.

38:4442997638

i było wyrazem jej prywatnych obowiązków wobec męża, zaangażowanie Rutkowskiego zaś miało charakter profesjonalny, zakorzeniający wysiłek Watowej w „prawdziwym" świecie redaktorów, wydawców i badaczy. W efekcie, jak każda działalność domowa, nie zasługiwała w ostatecznym rozrachunku na coś więcej niż podziękowania, gdyż nie była pracą sensu *stricto*, lecz wypełnieniem małżeńskich przyrzeczeń. Mimo to, sprawa Rutkowskiego, czyli pominięcie Oli jako współredaktorki dziennika, spotkało się ze środowiskową krytyką i zapewne do dziś pozostałoby jedynie kuluarową plotką, gdyby nie zmiana paradygmatu badania rękopisów, w tym przede wszystkim światowa kariera krytyki genetycznej. Dzięki tej metodologicznej przemianie, w ostatnich latach w Polsce nastąpił znaczący wzrost zainteresowania materialnością ręko- i maszynopisów, zaś ruch ten nie ominął i „watologów"[107], którzy, zgłębiając oryginalne rękopisy i maszynopisy Wata, zaczęli rozpoznawać i uświadamiać sobie rzeczywisty stopień zaangażowania Watowej w wytwarzanie dzieła męża, co w dalszej kolejności doprowadziło do podważenia wcześniejszych nienaruszalnych pewników o redakcyjnym wkładzie różnych osób w różne tytuły. Niedostrzegana dawniej z należytą wyrazistością praca domowa Oli wreszcie zostaje wydobyta na światło dzienne z mroku *ginaceum* i – na dobre i na złe – mierzymy się z jej redakcyjnym i dziełotwórczym dorobkiem.

Na dobre i na złe, bo ingerencje Watowej nie zawsze spotykają się z aprobatą badaczy. Michalina Kmiecik, redaktorka najnowszego, czwartego już wydania *Dziennika bez samogłosek,* zafascynowana lekturą oryginalnego maszynopisu dziennika – jego „zaszyfrowaną" wersją – zderzyła go z tzw. „maszynopisem Watowej". Skala ingerencji Oli w tekst dziennika okazała się tak duża, że postanowiła opracować go na nowo: „Pomysł, aby czytelnik wreszcie mógł zmierzyć się z faktycznym Watowskim zapisem, narodził się więc z poczucia niekomplementarności dwóch istniejących wersji [maszynopisu – A.G.M.]"[108]. W rozprawie poprzedzającej wydanie, wyliczała:

> Aby podkreślić te walory jego pisma, starałam się w odczytaniu – w przeciwieństwie do Oli Watowej jak najmniej przekształcać składnię, nie rezygnować ze zdań niedokończonych, urwanych czy modyfikowanych na bieżąco. W drugim z fragmentów (zapisie z 22 stycznia 1964) specjalnie nie wkomponowałam „uzupełnień" w korpus tekstu (jak zrobiła to do wydania książkowego żona pisarza)[109].

[107] Niektórzy z nich byli nawet awangardą krytyki genetycznej w naszym kraju.
[108] M. Kmiecik, *Nota edytorska,* w: A. Wat, *Dziennik bez samogłosek...,* s. 9.
[109] M. Kmiecik, *Szyfr w* Dzienniku…, „Teksty Drugie" 2017, nr 4, s. 343.

39:9048964366

Na podstawie znajomości oryginalnego maszynopisu, Kmiecik, rozliczając się z błędami poprzednich edycji, weszła w polemikę ze zmianami dokonanymi ręką Watowej, która – jak już ustaliliśmy – odcyfrowała maszynopis, nadała mu tytuły, napisała wstęp (wytyczając ścieżki interpretacyjne). Nowa redaktorka dodała do tego interwencje na poziomie treści, semantyki, składni, ekonomizacji, a w innych ustępach również cenzury. To, co według Kmiecik deprecjonuje to wydanie i może być traktowane jako zarzut wobec żony poety, w istocie ma wymiar dowartościowujący, przywraca bowiem Watowej właściwy jej status. Kmiecik, dyskutując z jej ustaleniami i ingerencjami w maszynopis, w rzeczywistości zobaczyła w niej (a nie w Rutkowskim) swoją właściwą poprzedniczkę[110]: redaktorkę i pierwszą „egzorcystkę"[111]. Nowa edycja, paradoksalnie, jest dowodem na sukces Watowej z jeszcze jednego powodu: cel został osiągnięty – książki Wata doczekały się czytelników, a Watowa wielu następców, w liczbę których włączamy nieodżałowaną Michalinę Kmiecik.

Inną sprawą jest to, czy maszynopis rzeczywiście wymagał egzorcyzmów. Uderzające, że i Rutkowski, i Kmiecik, zareagowali na „oryginał" w tak emocjonalny sposób. Podczas, gdy Rutkowski na samą myśl o dzienniku odczuwał silną, organiczną niechęć, przypominającą reakcję alergiczną – dlatego też „ucieka" z archiwum bez zamiaru powrotu („Nigdy!") – Kmiecik, obyta z archiwalną codziennością, próbowała znaleźć dla swoich niepokojów poznawczych (przemieszanych z nieskrywaną fascynacją), właściwy język opisu. Nowa edycja pozwoliła jej na zaproponowanie języka badawczego, wiążącego pismo z cierpiącym ciałem i okaleczonym tekstem, wpisującego dziennik Wata w koncepcję podmiotu defektywnego[112]. Redaktorka poszła jednak o krok dalej. Zauważyła, że lektura „zainfekowanego" pisma nie pozostaje dla czytelnika obojętna. By „uleczyć" pismo:

> należy powoli wrastać w słowa dziennika, rozpoznawać w nim (samodzielnie go prze-pisując, prze-żywając) codzienną mękę pisarza, codzienne zmaganie z uciekającymi, wymykającymi się wyrazami. „Nic bez męki"[113].

[110] O miejsce Rutkowskiego w tym sporze dopominała się M. Baron-Millan, która prawdopodobnie upomina się o niego na podstawie karty tytułowej, a nie wglądu w oryginalny maszynopis. Tamże, s. 151.
[111] Kmiecik porównuje pracę nad dziennikiem do egzorcyzmów i uzdrawiania tekstu.
[112] W pewnym stopniu pobrzmiewają w tym odczytaniu słowa Watowej: „Chropowate, szorstkie, zmiażdżone słowa były i symbolicznym, i bardzo konkretnym wyrazem jego ówczesnego stanu", O. Watowa, *Wstęp*..., s. 5.
[113] M. Kmiecik, *Posłowie. Obcy w swojej mowie. Status szyfru w Dzienniku bez samogłosek*, w: A. Wat, *Dziennik bez samogłosek*, transkrypcja i oprac. M. Kmiecik, Kraków 2018, s. 361-362.

40:6415258347

Rozczytywanie maszynopisu jest możliwe dzięki zgodzie na całkowite zbliżenie się i wżycie w prywatny, intymny świat bólu i przyglądanie się codziennemu cierpieniu znak po znaku – cierpieniu, którego skali być może się nie przeczuwało, a które może oszołomić. Reakcją zdrowego, niedefektywnego podmiotu na kontakt z chorobą może więc stać się ucieczka (Rutkowski) lub współczucie (Kmiecik). Jedyna Watowa, przyglądająca się temu bólowi z bliska, została przez Wata zimmunizowana, bo już wcześniej prze-żywała i prze-pisywała.

41:1123012014

II. Archiwum

Glosa teoretyczna

Zasadniczym komponentem teoretycznym niniejszej pracy jest krytyka genetyczna. Wypada więc w tym miejscu przywołać i zdefiniować podstawowe terminy, którymi konsekwentnie posługuję się w mojej rozprawie. Opieram je, jak już wspomniałam, na ustaleniach de Biasiego i polskiej recepcji wypracowanych przezeń terminów i procedur badawczych, którą szczegółowo opisują Paweł Bem i Łukasz Cybulski w obszernym wstępie do antologii *Archiwa i bruliony pisarzy. Odkrywanie*[114]. Aby zatem nie wywarzać otwartych drzwi, w poniższych uwagach podążam śladem *Genetyki tekstów*m jak i jej czytaniem przez polskich badaczy.

Przez *dossier* genezy, zwane też dokumentami genezy, będziemy rozumieć wydzielony przez badacza „materialny zbiór świadectw i rękopisów odnoszących się do procesu pisania dzieła, które zamierzamy studiować”[115]. De Biasi wywodzi, że są to „archiwa”, czyli zróżnicowany zbiór dokumentów, takich jak robocze rękopisy autora, wśród których wymienia m.in. „projekty, plany, notatki, zeszyty, szkice (...) fragmenty wcześniejszych wersji, brudnopisy, czystopisy, (...) korespondencja, kalendarz, dziennik intymny”[116] i wiele innych dokumentów, pozwalających prześledzić genezę dzieła. Tylko część z nich pełni rolę ściśle genetyczną, niektóre – jak np. umowy wydawnicze – są cenne dla analizy i pomocne, np. przy datowaniu kolejnych maszynopisów lub rękopisów.

Przed-tekst „to wytwór krytycznej analizy badacza prowadzącej do selekcji i systematyzacji zawartości dossier”[117]. Przed-tekst:

> nie odsyła zatem do samych rękopisów, lecz do ich krytycznego uporządkowania, dokonanego przez genetyka w kolejności ich powstawania, na podstawie odtworzonej kolejności działań, powstawania koncepcji i tworzenia dzieła[118].

Dzięki tej selekcji badacz hierarchizuje zgromadzony materiał, wyróżniając spośród dokumentów bruliony (brudnopisy), „poświadczające akt pisania”[119]. Genetycy, starając się

[114] P. Bem, Ł. Cybulski, *Genetyka tekstów P.M. de Biasiego a polska recepcja krytyki genetycznej,* w: *Archiwa i bruliony pisarzy*. *Odkrywanie*, pod red. M. Prussak, P. Bema, Ł. Cybulskiego, Warszawa 2017.
[115] P.-M. de Biasi, *Genetyka tekstów*, przekład F. Kwiatek, M. Prussak, Warszawa 2015, s. 52.
[116] Tamże, s. 52.
[117] P. Bem, Ł. Cybulski, *Genetyka tekstów P.M. de Biasiego a polska recepcja krytyki genetycznej...,* s. 23.
[118] P.-M. de Biasi, *Genetyka tekstów...,* s. 54.
[119] P. Bem, Ł. Cybulski, *Genetyka tekstów P.M. de Biasiego a polska recepcja krytyki genetycznej...,* s. 23.

42:2171547891

śledzić przebieg procesu pisania, wyróżnili cztery główne fazy pracy nad dziełem, dające się wyróżnić dzięki skompletowanemu *dossier* i prawidłowo skonstruowanemu przed-tekstowi, są to: faza poprzedzająca pisanie, proces pisania, faza poprzedzająca wydanie, proces publikowania[120]. Dopiero w procesie publikacji, kiedy „gotowa" książka trafia na księgarskie półki, możemy mówić o „tekście". Oznacza to, że tekst „urzeczywistnia się dopiero w druku, który przenosi to, co napisane, ze stanu własnoręcznego i prywatnego „rękopisu" do typograficznego i publicznego statusu jednostki tekstowej[121]. Dlatego też pojęcie tekstu konsekwentnie rezerwuję jedynie do opisu opublikowanych wspomnień.

Inedita

Moje badania doprowadziły do odkrycia kilku maszynopisów, nieznanych dotąd szerszemu odbiorcy. Poza jednym wyjątkiem, były pisane do szuflady i prawdopodobnie nikt dotąd ich nie czytał, nie mamy jednak pewności, że miały pozostać nieopublikowane. Na części z nich znajdziemy bowiem poprawki nanoszone ołówkiem, długopisem i pisakiem, a także adnotacje „nie przepisane", które świadczą o tym, że Watowa pracowała nad swoimi wspomnieniami, przeredagowywała je i co najmniej raz poprawiała. Znajdują się wśród nich maszynopisy i rękopisy[122] o tematyce wspomnieniowej, ale rozmaitym statusie gatunkowym, pochodzące z kilku okresów jej życia – począwszy od 1968 roku aż do tekstów spisywanych na rok przed śmiercią. Są to zarówno bruliony, jak i notatki i plany, a niektóre z nich – jak zobaczymy – stanowią *dossier* genezy *Wszystko co najważniejsze.* Wśród ineditów znajdują się:

1. Maszynopis 1 – dwie kartki, wspomnienia z nagłówkiem *Wigilia na wygnaniu w stepach kazachstańskich*, opatrzony datą 6 XII 68 r. (zapis ręczny) i informacją o miejscowości, w której powstał (Launey),
2. Maszynopis 2 – dwie kartki zatytułowane *Praca w Ili* (2 strony), niedatowany. Oba maszynopisy (1 i 2) znajdowały się w tej samej foliowej koszulce. Można przypuszczać, że były pisane w tym samym czasie i stanowiły – lub miały stanowić – fragment większej całości, bowiem w archiwum Beinecke Rare Book & Manuscript Library w Yale University (New Haven, USA) w tzw. *Aleksander Wat Papers* znajdują się dwa inne manuskrypty podpisane jako: *Tekst Oli Wat (wspomnienie z Kazachstanu – fragment): Pierwsza wędrówka przez step* i

[120] P.-M. de Biasi, *Genetyka tekstów...*, s. 59.
[121] P.-M. de Biasi, *Genetyka tekstów...*, s. 50.
[122] Używam słowa rękopis w rozumieniu, jakie temu słowu nadają krytycy genetyczni, gdy mówią o rękopisie nowożytnym.

43:8666502475

Powrót[123]. Tematyka wszystkich czterech maszynopisów (okres zsyłki do Kazachstanu), oraz charakterystyczne podkreślenia tytułów mogą świadczyć o wspólnej genezie i zbliżonej dacie powstania.

3. Maszynopis 3 – (w dwóch kopiach) 37 kartek zapisanych jednostronnie, włożonych do foliowej koszulki, z nielicznymi skreśleniami i adnotacjami, niedatowany. Jeden egzemplarz bliski czystopisowi, drugi z modyfikacjami, dopiskami i adnotacjami autorskimi. Maszynopis rozpoczyna się od słów „Spisać wspomnienia...". W dalszej części rozprawy będzie oznaczany jako „SW".
4. Rękopis 1 – luźna, złożona kartka, zapis bliski czystopisowi, niedatowany. To plan składający się z 54 punktów, który prawie w całości odpowiada wspomnieniom opisanym w maszynopisie 3.
5. Maszynopis 4 – dwie spięte kartki (4 zapisane strony), niedatowany, numerowane strony (od 23-26), ze skreśleniami i adnotacjami autorskimi: „nie przepisane". To najpewniej brakujące kartki pochodzące z maszynopisu SW. Są realizacją punktów nr 49 – *praca przy zastrzykiwaniu baranów* i 50 – *przekleństwo,* planu.
6. Maszynopis 5 – dwie spięte kartki (4 zapisane strony), niedatowany, numerowane strony (od 29-32), ze skreśleniami i adnotacjami autorskimi: „nie przepisane". Podobnie jak maszynopis 4, to prawdopodobnie brakujące kartki pochodzące z maszynopisu SW.
7. Maszynopis 6 – 16 kartek, 18 zapisanych stron, z licznymi dopiskami, skreśleniami i modyfikacjami autorskimi. Wszystkie kartki spięte i umieszczone we wspólnej teczce, numerowane strony, datowany ręcznie: 26.01, 27.01, 28.01, 30.01, 4.02 i 19.02.1970 r. Rozpoczynający się od słów: „Kochana Joanno". To siedem wpisów do dziennika intymnego w formie listu. W górnej części strony ręczny adnotacja: *VI*.
8. Rękopis – 2 luźne kartki, ze skreśleniami i dopiskami, niedatowany, numerowane strony (1-3). Wspomnienie przyjęcia, w którym uczestniczyli: Romain Gary, Witold Gombrowicz i Jan Kott.
9. Maszynopis 7 – 6 kartek, 6 zapisanych stron (numerowane), z licznymi skreśleniami, adnotacjami i modyfikacjami autorskimi. Zawiera dopisek w górnej części strony: „NAGRANE w Wolnej Europie". To szkic tekstu wygłoszonego podczas audycji z okazji 75. urodzin Czesława Miłosza. Audycja została nagrana w mieszkaniu Renaty Gorczyńskiej, a wyemitowana 20 lipca 1986 roku.

[123] Teksty o tytułach *Pierwsza wędrówka przez step* i *Powrót* (sygnatura GEN MSS 705) udostępnił mi prof. Adam Dziadek, za co składam mu w tym miejscu serdeczne podziękowania.

44:4228659529

10. Maszynopis 8 – 45 kartek zapisanych jednostronnie, z licznymi skreśleniami, adnotacjami i modyfikacjami autorskimi, strony numerowane, datowany na 28 września 1987 roku. Maszynopis rozpoczynający się od słów: „Pierwszy dzień". To zapis rozmowy przeprowadzonej przez Stanisława Rośka z Olą Watową z zamiarem publikacji w „Zeszytach Literackich". Ostatecznie nie został opublikowany. W rozprawie jest oznaczony jako „PD".
11. Rękopis 3 – zapis w notatniku, datowany: od 10 VIII 1989 r. (Nieborów) do 8 X 1990 (Paryż). Kilkanaście wpisów z dziennika intymnego. Na okładce adnotacja: *Dziennik pisany od czasu do czasu.*

Przyjęłam za zasadne włączenie niektórych z powyżej wymienionych dokumentów do *dossier* genezy książki wspomnieniowej Watowej, drogi uwieńczonej tomem *Wszystko co najważniejsze*[124], uznając je za realizację rozpiętego w czasie projektu, którego wspólnym mianownikiem było wydanie własnych wspomnień.

Dołączone do aneksu maszynopisy i rękopisy zostały przeze mnie przygotowane zgodnie z założeniami krytyki genetycznej. Podstawą działań edytorskich stał się więc model „transkrypcji dyplomatycznej", którą zaleca Pierre-Marc de Biasi. Polega ona na:

> wyraźnym i „identycznym" odtworzeniu dokumentu, na możliwie dokładnym skopiowaniu układu tekstu takiego, jak w oryginale, z jego pustymi miejscami, odsyłaczami, marginesami, interliniami itd., przy skrupulatnym uwzględnieniu położenia słów względem siebie[125].

I także zgodnie z jego zaleceniami przyjęłam konsekwentny system oznaczeń dodatkowych:

– komputerowa przekreślona czcionka zastąpiła autorskie przekreślenia (ołówkiem i długopisem) wyrazów lub fragmentów tekstu, a (prawdopodobnie) późniejsze skreślenia pisakiem większych ustępów tekstu zaznaczono na czerwono,

– [...] oznacza wyrazy nieczytelne,

– czcionkę kursywą stosuję, by zaznaczyć słowa dopisane ręką Watowej do tekstu głównego ołówkiem bądź długopisem,

– nie korygowałam błędów ortograficznych i błędów zapisu,

– komentarze i dopiski zapisane ręcznie na marginesie maszynopisu, ze względu na brak

[124] O. Watowa, *Wszystko co najważniejsze. Rozmowy z Jackiem Trznadlem*, Londyn 1984. W rozprawie oznaczone jako WCN.
[125] P.-M. de Biasi, *Genetyka tekstów*..., s. 104.

45:9505471611

innych możliwości technicznych, dodałam jako przypisy.

Opracowane maszynopisy należące do *dossier* dołączam do poniższej rozprawy jako aneks.

Nagrane wspomnienia

Poza zapisanymi śladami pisarskich ambicji Watowej, istnieją dokumenty dźwiękowe – 35 nagrań zdeponowanych w Bibliotece Narodowej w Warszawie w magazynie Zbiorów Dźwiękowych i Audiowizualnych, widniejące w katalogu jako *Wspomnienia Oli Wat.* Cz. 1-17. To komplet 17 kaset (35 nagrań), na których w 1981 roku Jacek Trznadel zarejestrował paryskie rozmowy, a później przekazał je do zbiorów Biblioteki Narodowej. Komplet kaset należących do Watowej (bo taki istniał) być może zachował się w zbiorach prywatnych[126], lecz przy okazji kwerendy nie udało mi się do niego dotrzeć. Być może go przeoczyłam lub znajduje się w Beinecke Library, dołączony do archiwum Aleksandra Wata, choć katalog tego nie potwierdza. Podobnie ma się sprawa z dokumentami świadczącymi o pracy redakcyjnej nad maszynopisem książki – o ich braku Trznadel informował w 1993 roku:

> Inny ciekawy przykład „zaniku" stanowi fakt, że maszynopis roboczy książki z moimi nader licznymi poprawkami redakcyjnymi, także kompozycyjnymi, znajdujący się w posiadaniu Oli Watowej, „zniknął", gdyż nie ma go w zbiorze dokumentów puścizny Oli Wat, przekazanym do zbiorów warszawskiego Muzeum Literatury[127].

Do 2018 roku, nagrania można było odsłuchiwać wyłącznie z kaset w czytelni Zbiorów Dźwiękowych, co stanowiło duże utrudnienie, ale też i spore ryzyko, ponieważ ponad czterdziestoletnie taśmy mogły łatwo ulec zniszczeniu w toku użytkowania. Dzięki zgodzie udzielonej mi przez Andrzeja Wata w 2017 roku, nagrania zostały przegrane na nośnik cyfrowy.

Dossier genezy

Rozterki techniczne szybko zostały zastąpione rozterkami teoretycznymi i istotnym dla mojego projektu pytaniem: czy i w jaki sposób dołączyć 1175 minut nagrań do dokumentów genezy, tak by rzeczywiście się nimi stały? Szukając odpowiedzi, trudno nie poszukiwać gotowych rozwiązań. Tym bardziej, że istnieją inne teksty, niemal bliźniacze z punktu widzenia sposobu w

[126] Z lektury nagrań wiadomo, że i Ola Watowa nagrywała ich wspólne „sesje".
[127] J. Trznadel, *Listy do redakcji,* „Kwartalnik Filmowy" 1993, nr 2, s. 177.

46:4904672554

jaki powstawały – jest to z jednej strony *Mój wiek* Aleksandra Wata, a z drugiej *Rok myśliwego* Czesława Miłosza. Podążając tropami wytyczonymi przez badaczy owych tekstów, dochodzimy do dwóch przeciwstawnych praktyk badawczych. Adam Dziadek tłumaczy, że:

> *Mój wiek* jest tekstem bez rękopisu, tekstem, który powstał z magnetofonowego nagrania. Przejście od nagrania do tekstu pisanego jest karkołomne, trzeba bowiem wymusić zamianę mowy na pismo, żywego języka, pełnego rozmaitych wtrąceń, powtórzeń, potknięć, wynikających z różnych przyczyn, całej bogatej i zróżnicowanej fonosfery utrwalonej na nagraniu i zawierającej setki czy nawet tysiące wtórnych znaków modelujących sens wypowiedzi – na „śmiercionośne" dla tych znaków pismo[128].

Natomiast Karina Jarzębska wskazuje, że:

> Podstawowym śladem pracy twórczej Miłosza nad *Rokiem myśliwego* jest jedenaście kaset magnetofonowych zgromadzonych w archiwum poety w Beinecke Library pod wspólnym szyldem, o łącznej długości 960 min. Niestety, kasety nie zostały jeszcze udostępnione do odsłuchu, możemy jedynie wnioskować o ich zawartości na podstawie umieszczonych na opakowaniach opisów. Nagrania zostały opisane i zredagowane ręką Miłosza, następnie przepisane na maszynie i dopracowane do wersji opublikowanej[129].

W kontekście interesującego mnie dzieła, powróciło pytanie: skoro nie ma manuskryptu (a jego utworzenie wiązałoby się z uśmierceniem mowy), czy w tej sytuacji w ogóle możliwe jest, bez wglądu w ogromny etap pracy, jakim były wspólne nagrywane „sesje", pełne prześledzenie procesu genezy? Trznadel, dochodząc na forum „Kwartalnika Filmowego" swoich praw, w tym autorskich, wspominał przecież, że maszynopis, w dodatku z jego „nader licznymi poprawkami redakcyjnymi"[130] istniał, i że „zaginął" (choć nie udało się ustalić miejsca jego archiwizacji). Możemy więc przyjąć, że uczestnicy „seansów" już raz zgodzili się na proces transkrypcji taśm, której przypuszczalnie dokonywała Watowa[131] – oraz że zdawali sobie sprawę z konieczności jego przeprowadzenia (Miłosz w dodatku postąpił w ten sposób raz jeszcze, nagrywając, a potem

[128] A. Dziadek*, „Mój wiek" Aleksandra Wata – uwagi do przyszłej edycji*, „Pamiętnik Literacki" z. 4, 2020, s. 204.
[129] Karina Jarzyńska*, Powstawanie „Roku jagnięcia": między życiem a tekstem.* W: *Pracownia Herberta: studia nad procesem tekstotwórczym.* Red. M. Antoniuk. Kraków 2017, s. 247.
[130] J. Trznadel, *Listy do redakcji*..., s. 177.
[131] Słowa Trznadla potwierdzają nagrania. Watowa zgodziła się na przepisywanie nagrań. Prawdopodobnie takie rozwiązanie miało obniżyć koszty przedsięwzięcia, na które wdowa i tak nie miała środków. Z czasem Watowa starała się deprecjonować znaczenie nagrań w procesie pisarskim, to i korespondencja z wydawcą, i tekstowe ślady zaprzeczają przedstawionej przez nią wersji wydarzeń.

47:4287311492

przepisując własne nagrania). Co więcej, autor *Hańby domowej* podkreślał, że „pierwsza wersja książki, przerabiana następnie przez Olę Wat i przeze mnie – powstała jako dwugłos nagrany na kasetach magnetofonowych”[132] – komentarz ten świadczyłby o znaczeniu, jakie przykładał do tego etapu pisania.

Jeśli weźmiemy pod uwagę dalsze dzieje wspomnień Watowej, brak pierwszej, oryginalnej transkrypcji i jej późniejsze kłótnie z Trznadlem o autorstwo *Wszystko co najważniejsze*, a także przesłanki z zakresu krytyki genetycznej, to należy uznać, że pominięcie nagrań w tym konkretnym wypadku byłoby działaniem zaciemniającym i niekorzystnym w procesie badania genezy tego tekstu, ponieważ dekompletowałoby *dossier*, a tym samym nie dawało większych szans na prawidłowe i rzetelne skonstruowanie przed-tekstu (a nawet uniemożliwiało ten proces). Podobnie jak Kariną Jarzyńską, kierowała mną ciekawość, na której zaspokojenie krakowska badaczka musi jeszcze poczekać, domyślając zawartości Miłoszowskich nagrań, natomiast ja postanowiłam wyfrunąć z „rodzinnego” gniazda i na przekór praktykom wypracowanym wewnątrz *Almæ Matris*, włączyć nagrania do dokumentacji procesu tekstotwórczego, przyznać mu taki sam status jak każdemu innemu dokumentowi poświadczającemu proces pisania, znajdującemu się w *dossier* – uznając, że tak jak rękopis powinien zostać opracowany przez badacza i poddany transliteracji, tak też nagrania powinny zostać transkrybowane. Moja decyzja przywrócenia nagrań i włączenia ich w przestrzeń *dossier* genezy, która uzasadni się – mam nadzieję – w całym dalszym ciągu niniejszej rozprawy, bierze się między innymi z przekonania o słuszności ortodoksyjnej krytyki genetycznej, dla której pominięcie takiego elementu, byłoby posunięciem heretyckim, bo uniemożliwiałoby skonstruowanie przed-tekstu dzieła, czyli przejścia na kolejny etap mojej pracy. Jeszcze raz wróćmy do lektury Biasiego:

> Wstępne działania przy „konstruowaniu” dokumentacji genezy są pierwszym etapem pracy genetyka, kiedy podejmuje się on analizy kompletu materiałów. Jest to etap decydujący dla przebiegu pracy, skoro wszelkie badania i jakość spodziewanych rezultatów zależą w dużej mierze od kompletności zgromadzonego materiału i przejrzystości wyodrębnienia poszczególnych jego elementów.
>
> (...) Jeśli w zachowanych rękopisach działa nie ma zbyt wielu braków, można śledzić drogę pisarza krok po kroku, od zamysłu dzieła (notatki, pierwotny plan, incipit itd.), przez szkice, wypisy z

[132] J. Trznadel, *Listy do redakcji*..., s. 177.

48:1245031135

dokumentów, brudnopisy, czystopisy i ostateczny rękopis, aż po korekty autorskie[133].

Mając na uwadze stojące przede mną trudności, mimo wszystko zdecydowałam się na transkrypcję nagrań. Z pomocą przyszły tu narzędzia wypracowane przez socjologów[134], dla których transkrypcja rozmów i wywiadów nie należy do sfery wyboru, a jest integralną częścią ich badawczego postepowania. By jak najwierniej odtworzyć przebieg rozmowy i sposób budowania opowieści, skorzystałam (z niewielką modyfikacją) z symboli zapisu mowy zaproponowanych przez amerykańską socjolożkę Gail Jefferson[135], a zaszczepionych na polskim gruncie przez Kaję Kaźmierską i Katarzynę Waniek. Postulują one, by przy transkrypcji brać pod uwagę także rytm, pauzy i ton głosu rozmówców, a także, jak dodają łódzkie badaczki, by zaznaczyć w transkrypcji „wszystkie parajęzykowe elementy komunikacji oraz okoliczności towarzyszące interakcji, np., dzwonek telefonu, odebranie telefonu przez rozmówcę, nagły hałas, interwencję osoby trzeciej, przeżywane emocje, reakcje badacza itp"[136].

Stosowane przeze mnie zasady zamykają się w kilku punktach:

– symbole oznaczające osobę prowadzącą wywiad (B) i informanta (I), zastąpiłam nazwiskami Trznadla i Watowej, gdyż – inaczej niż w naukach socjologicznych – anonimowość jest tu zbyteczna,

– dłuższe niż 1 sekunda pauzy zastąpił znak „...". Ze względów praktycznych, zrezygnowałam jednak z obliczania czasu trwania pauz i zapisywania wdechów i wydechów współrozmówców. Transkrypcja i bez tych informacji wypełniła ponad 350 stron w formacie A4,

– niesłyszany wyraz lub większa wypowiedź oznaczona została symbolem (), a w sytuacji, kiedy można było na jej podstawie określić domyślny wyraz, także ujmowałam go w nawias np. (słowo),

– podwójnym nawiasem ((śmiech)) oznaczyłam paralingwistyczne cechy mowy, z kolei potrójnym nawiasem (((ironicznie))) moją interpretację, co do przeżywanych emocji,

– zaznaczałam także czcionką kursywą słowa obce, co stanowiło największe wyzwanie, bo Watowa, inaczej niż ja, posługiwała się zarówno językiem rosyjskim, jak i francuskim.

[133] P.-M. de Biasi, *Genetyka tekstów*..., s. 52-53.
[134] K. Kaźmierska, K. Waniek, *Autobiograficzny wywiad narracyjny. Metoda-technika-analiza*. Łódź 2020, s. 63-64.
[135] Symbole zapisu podaję za K. Kaźmierska, K. Waniek, *Autobiograficzny wywiad narracyjny*..., s. 64.
[136] K. Kaźmierska, K. Waniek, *Autobiograficzny wywiad narracyjny...,* s. 64.

49:6927639551

Dodatkowo, załączyłam tłumaczenia użytych słów i fragmentów,

– w nawiasie kwadratowym dołączyłam informacje techniczne i zewnętrzne wobec mowy [dzwonek telefonu], [przerwane nagranie],

– nie usunęłam żadnych fragmentów rozmowy.

Zbiór dokumentów procesu tekstotwórczego *Wszystko co najważniejsze* jest niewielki i najpewniej niekompletny. Zalicza się do niego wykonana przeze mnie transkrypcja nagrań (oznaczana w rozprawie jako „N"), ale brak w nim oryginalnej transkrypcji z zaznaczonymi uwagami redaktorsko-kompozycyjnymi, o których była mowa wcześniej – nie ma więc jakiegokolwiek wcześniejszego śladu korekty autorskiej. Wśród dokumentów procesu tekstotwórczego brak też tzw. szczotek wydawniczych. Na *dossier* genezy, poza transkrypcją, składa się kilka dokumentów. Są to: maszynopisy 1-6, rękopis 1, opowiadanie *Sznur* („Wiadomości Literackie" 1972, nr 5); opowiadanie *Paszportyzacja* („Zeszyty Historyczne" 1972, nr 21); listy Oli Watowej do Czesława Miłosza (*Listy o tym, co najważniejsze*, Warszawa 2009); pożegnalny list Aleksandra Wata (*Notatniki*, Warszawa-Katowice 2015); wspomnienia Oli Wat opublikowane w „Pulsie" (1984).

Przed-tekst

Zawikłana historia powstawania książki wspomnieniowej Oli Watowej, choć komentowana niegdyś w kuluarach[137], nie doczekała się do tej pory szerszego omówienia, a warta jest prześledzenia i opowiedzenia. W kategoriach krytyki genetycznej – przede wszystkim ze względu na wielość wprawek i falstartów (tych stylistycznych, tematycznych i tych gatunkowych), którymi krytyka się żywi i czerpie z nich swoje siły. Próby te, czasem wiodące Watową na manowce, niekiedy przybliżały do uczucia pewności, że opowiadanej historii należą się już tylko ostatnie autorskie szlify. Być może najciekawsze w nich są zaniechania, zarzucenia i odcięcia, które za każdym razem oddalały Watową od szansy na zostanie pełnokrwistą (i jedyną autorką) swojej książki.

Zacznijmy jednak od kilku ustaleń sformułowanych językiem krytyki genetycznej. Jej główny teoretyk, de Biasi poucza nas, że:

[137] Konflikt był przedmiotem plotek w kręgu Watowej (w środowisku polskiej emigracji w Paryżu). Wykreślenie jego nazwiska ze strony tytułowej w wydaniu „Czytelnika" w 1990 roku było komentowane na korzyść warszawskiego badacza. Osoby, z którymi rozmawiałam poprosiły o zachowanie anonimowości.

50:7344918054

istnieją pisarze, którzy mogą pracować tylko na podstawie szczegółowego planu, zgodnie z zasadą tworzenia na podstawie „zaprogramowanego scenariusza (...), który poprzedza kształtowanie tekstu, zapewniając zaplanowany uprzednio kierunek. (...) I przeciwnie, istnieją pisarze, którzy od razu przystępują do pisania, nieograniczeni najmniejszym nawet planem, nie wiedząc, dokąd idą, podążając za logiką instynktownych raczej przepływów twórczej weny: jest to komponowanie tekstu w trakcie pisania" (...)[138].

Lektura dokumentów genezy doprowadza nas do hipotezy, że pierwotny plan, rozumiany jako „zaprogramowany" scenariusz (a więc to, co będzie stanowiło przedmiot pisarskiego zainteresowania oraz planowana kolejność następowania po sobie wątków i opisywanych zdarzeń) nie wyszedł spod pióra Oli Watowej, a był dziełem jej męża – Aleksandra. W pożegnalnym liście autor *Ciemnego świecidła,* kierując swe słowa do syna Andrzeja, nakreśla plan przyszłej książki wspomnieniowej, którą mogłaby (jeśli tylko by chciała!) napisać Watowa:

Może tylko posłużyć Mamie jako

materiał[139], gdyby chciała i zdołała zacząć pisać! Gdybyż to!

Przede wszystkim o paszportyzacji (do tego w Berkeley[owskich] nagraniach

nie doszedłem) i nędza choroby w Ili. Potem Lwów,

zsyłka, Ałmaata. Może i Warszawa. Mnie stokroć

trudniej było – przy tej chorobie – o tym pisać. Ale

mama ~~zrobiłaby~~ napisałaby książkę wielką,

wybitną, może i bestsellera, jestem tego

pewny. (Piszę o tym wszystkim oschle, bo inaczej bym

nie mógł w ogóle)[140].

Wprawdzie ten konkretny ustęp listu kierowany jest do syna, a nie do żony, ale w każdym wypadku pozostaje zapisem ostatniej woli Aleksandra i należy go traktować (jest to wszakże list samobójczy) jako świadomy akt perlokucyjny, który miał na celu wywołanie (ale też powstrzymanie: „Na miłość Boską. Tylko nie ratować!") pewnych określonych skutków[141].

[138] P.-M. de Biasi, *Genetyka tekstów*..., s. 57.
[139] Chodzi o notatki i szkice tekstów Wata, które miały zostać opublikowane w „Kulturze".
[140] A. Wat, *Ostatni zeszyt*, w: *Notatniki*. Transkrypcja i opracowanie A. Dziadek i J. Zieliński, Warszawa-Katowice 2015, s. 842.
[141] Akt perlokucyjny ma miejsce, gdy (za Austinem): „Powiedzenie czegoś wywołuje często, a nawet normalnie, w następstwie pewne skutki w sferze uczuć, myśli lub działań słuchaczy, lub mówiącego, bądź innych osób, a powiedzenie to może być wygłoszone z przeznaczeniem, intencją lub zamiarem wywołania owych skutków". J.

51:2171343212

Rozumiemy więc, że to ostatnia (ostateczna?) próba skłonienia żony do czegoś, do czego dotąd zdolna nie była („gdyby zdołała zacząć pisać") lub czego dotąd odmawiała („gdyby chciała"), a domyślamy się, że chodzi o coś więcej, być może o jakieś wcześniejsze próby pisarskie, zakończone fiaskiem (Wat pisze: „gdyby zdołała zacząć pisać", a nie „gdyby zaczęła"), które najwyraźniej autora *Piecyka* nieco zniecierpliwiły („Gdybyż to!). Oznacza to, że Wat nakreśla nie tylko plan *sensu stricto*, kompozycyjny: „Przede wszystkim o paszportyzacji (...) i nędza choroby w Ili. Potem Lwów, zsyłka, Ałmaata. Może i Warszawa", ale także wyzwanie egzystencjalne, wytwarza impuls narracyjny, mający prowadzić do pisania w ogóle. Powtórzmy za Watem:

> Ale
> mama ~~zrobiłaby~~ napisałaby książkę wielką,
> wybitną, może i bestsellera, jestem tego
> pewny. (Piszę o tym wszystkim oschle, bo inaczej bym
> nie mógł w ogóle)

Wzmocnienie tej prośby przebiega dwutorowo – wizualnie i symbolicznie: obrazuje je ręczne podkreślenie fragmentu listu: „Może tylko posłużyć Mamie jako materiał", symbolicznie – wzmocnieniem woli ojca ma być pośrednictwo syna. To zobowiązanie dla obojga – żony i syna: ona ma napisać „może i bestsellera", on ma za zadanie dopilnować wypełnienia ojcowskiej woli. Ważąc to wszystko, można powiedzieć, że prawdziwym autorem planu książki wspomnieniowej Watowej był właśnie jej mąż, co wiele razy wspominała, tłumacząc się z kolejnych pisarskich prób:

> Zresztą, nie jestem pisarzem, nie jestem literatem. Chociaż mój mąż namawiał mnie do pisania. Znał moją korespondencję i uważał, że powinnam pisać. Mówił mi: "Dobrze piszesz. Pisz, pisz. Będziesz pisała". (PD, s. 1)

Lub trochę wcześniej, najpewniej w latach siedemdziesiątych:

> Spisać wspomnienia. To o czym Aleksander nie zdążył powiedzieć w „Moim Wieku" – szczególnie o latach powojennych. Namawia Józio Czapski – uważa, że jest to moim obowiązkiem. Szkoda, że już niema we mnie tej świeżości doznań, wrażeń ówczesnych. Tyle razy opowiadałam z

---

L. Austin, *Mówienie i poznawanie. Rozprawy i wykłady filozoficzne*. Przeł. i przypisami opatrzył B. Chwedończuk, Warszawa 1993, s. 646.

H. Witkowska w rozprawie *Samobójstwo w kulturze dzisiejszej.* opisuje listy samobójcze językiem Austinowskiej teorii aktów mowy. Zob. H. Witkowska, *List samobójczy jako wypowiedź performatywna*, w: *Samobójstwo w kulturze dzisiejszej. Listy samobójców jako gatunek wypowiedzi i fakt kulturowy*, Warszawa 2021, s. 101-124.

52:9128214647

przejęciem. Ol uważał, że dobrze opowiadam, że powinnam pisać. (SW, s. 578).

Argument z autorytetu, na który powołuje się Watowa (na dodatek podwójny, bo do głosu dochodzi kolejny mężczyzna – zaprzyjaźniony z Watami Józef Czapski) jest najpewniej nieuświadomioną parafrazą cytowanego wcześniej listu samobójczego Aleksandra. Zacytowane fragmenty ujawniają jak dużą wagę Watowa przywiązywała do zadania wyznaczonego jej przez męża – Wat staje się w tym kontekście swoistym superego. Kolejnym dowodem na jego sprawczość niech będą wydane w 1972 roku opowiadania, jedno pt. *Sznur*, opisujące zsyłkę do Kazachstanu i głód panujący w Ili oraz drugie, pt. *Paszportyzacja*, z tego samego roku – oba realizują, przyznajmy, dość rygorystyczny plan narzucony przez męża. Sama Watowa, rozbudzona już jako pisarka, nieco na przekór prawdzie, sytuowała samą siebie raczej po stronie działania niż planowania:

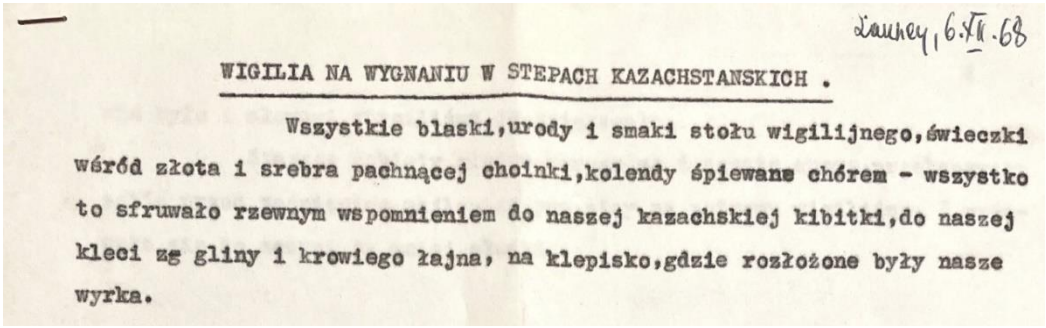
> Gdy pracowałam nad książką Wszystko co najważniejsze (to zresztą tytuł podarowany mi przez Kocika Jeleńskiego), postanowiłam nie trzymać się jakiejś ścisłej chronologii. Widziałam się to w dwudziestoleciu, to w Kazachstanie, potem nagle osaczały mnie wspomnienia z Paryża. Dawałam się po prostu ponosić obrazom. Może dlatego ta książka jest taka, taka... pulsująca. (PS, s. 1)

Falstarty

Wracajmy jednak do ustaleń czynionych na polu krytyki genetycznej. Analiza przed-tekstu przynosi zaskakujące wnioski. Pierwsze znane nam ślady praktyki pisarskiej Watowej, podejmowanej z myślą o książce wspomnieniowej, możemy datować na rok 1968, a dokładnie na 6 XII 68 r, co oznacza, że proces pisarski mógł rozpocząć się na ponad rok po śmierci jej męża. Jeśli wierzyć adnotacji dokonanej ręką Watowej w górnej części strony, proces tworzenia miał miejsce w Launey w domu przyjaciół – Karola i Haliny Sterlingów, gdzie spędziła kilka miesięcy żałoby (tego z kolei dowiadujemy się z korespondencji z Miłoszem). Do wspomnianych wczesnych prób należą maszynopisy: 1 i 2, zatytułowane kolejno: *Wigilia na wygnaniu w stepach kazachstańskich* i *Praca w Ili*, a także *Pierwsza wędrówka przez step* i *Powrót* – dwa ostatnie, jak wcześniej wspomniano, zdeponowane w Beinecke Library. Mimo że tylko pierwszy z nich zawiera adnotację dotyczącą daty i miejsca, to można przypuszczać, że oba maszynopisy stanowiły część tego samego projektu: wszystkie przywołują wspomnienia kazachskiej wywózki, oraz rozpoczynają się od tytułów pisanych majuskułą z charakterystycznym podkreśleniem, czego Watowa nie stosowała w innych znanych mi brulionach. Być może powstały więc między 1970-

53:6681959576

1972 rokiem.

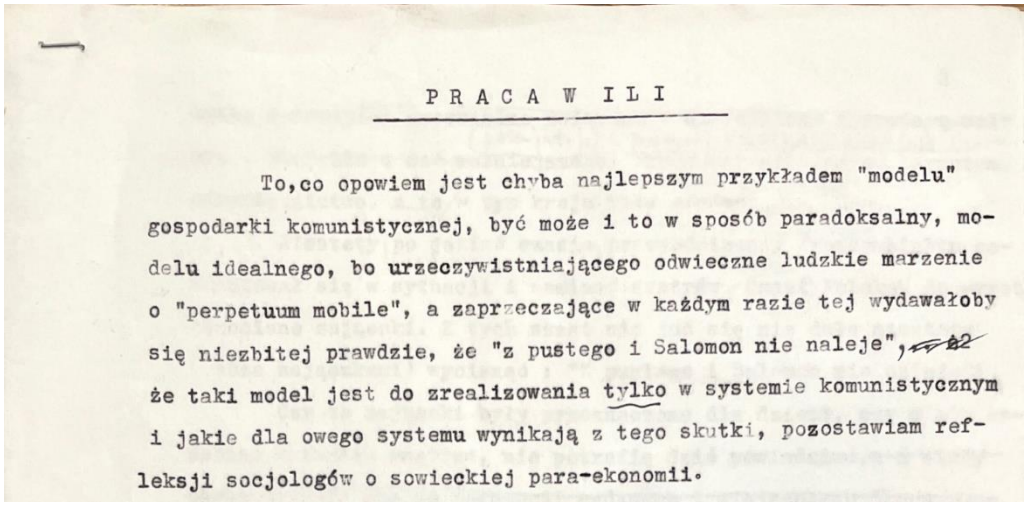


Liwiec, 6.XII.68

WIGILIA NA WYGNANIU W STEPACH KAZACHSTANSKICH .

Wszystkie blaski, urody i smaki stołu wigilijnego, świeczki wśród złota i srebra pachnącej choinki, kolendy śpiewane chórem - wszystko to sfruwało rzewnym wspomnieniem do naszej kazachskiej kibitki, do naszej kleci zg gliny i krowiego łajna, na klepisko, gdzie rozłożone były nasze wyrka.

Fotokopia 4. *Wigilia na wygnaniu w stepach kazachstańskich*



PRACA W ILI

To, co opowiem jest chyba najlepszym przykładem "modelu" gospodarki komunistycznej, być może i to w sposób paradoksalny, modelu idealnego, bo urzeczywistniającego odwieczne ludzkie marzenie o "perpetuum mobile", a zaprzeczające w każdym razie tej wydawałoby się niezbitej prawdzie, że "z pustego i Salomon nie naleje", ~~że~~ że taki model jest do zrealizowania tylko w systemie komunistycznym i jakie dla owego systemu wynikają z tego skutki, pozostawiam refleksji socjologów o sowieckiej para-ekonomii.

Fotokopia 5. *Praca w Ili*

Maszynopis 2. pt. *Praca w Ili*, choć tematycznie wpisywałby się w projekt wspomnieniowej książki, to jako jedyny nie znalazł kontynuacji na kolejnych etapach pisania. Przyjrzyjmy mu się bliżej.

Watowa kieruje naszą uwagę na ilijski promkombinat, którego zasady funkcjonowania stają się egzemplifikacją modelu funkcjonowania komunistycznej gospodarki – modelu, którym rządzą paradoks i marnotrawstwo, ale też – jak nieco ironicznie podsumowuje:

> modelu idealnego, bo urzeczywistniającego odwieczne ludzkie marzenie
> o „perpetuum mobile", a zaprzeczające w każdym razie tej wydawałoby
> się niezbitej prawdzie, że „z pustego i Salomon nie naleje". (Maszynopis 2, s. 576)

Otóż lokalny zakład produkował (przynajmniej nominalnie) swetry, które piętrzyły się przez nikogo nie kupowane w magazynie. W brulionie czytamy, że: „Swetry te z grubej, szorstkiej,

54:9924518267

surowej wełny sprowadzanej z Północnego Kazachstanu, były do tego stopnia karykaturą swetrów, że nawet miejscowe Kazaczki nie zdradzały ochoty na ich kupno". (Maszynopis 2, s. 576) Powyższy ustęp może łatwo wprowadzić w konsternację – jak to możliwe, szczególnie biorąc pod uwagę, że zimą temperatura w Kazachstanie spada do –45 stopni Celsjusza, że ludzie nie chcieli kupować swetrów? Być może brzydkich, prawdopodobnie wykonanych w niedbały sposób, ze złej jakości wełny, ale ciepłych, a w dodatku często będących jedyną walutą wymiany dóbr w tzw. gospodarce niedoboru, gdzie to właśnie towar jest najbardziej pożądany[142]. Przewodniczący promkombinatu nie reaguje na bezsens marnotrawstwa, a właściwie reaguje dopiero wtedy, gdy pracujące w zakładzie Polki próbują działać racjonalnie i zdobyć trochę wełny na wymianę:

> I oto *pomysł* ilijski~~ie~~*ch* Polk~~i~~*ek. U*ruchamiają *one* bezbłędny mechanizm. Otrzy-
> ~~maną na czarnym rynku~~ na wyrób swetrów wełnę sprzedają na czarnym
> rynku lub wymieniają żywność. ~~Po tym, ktoś z najbliższych~~, Wykupu-
> je*ą zaś* odpowiednią ilość swetrów, które po wyznaczonym „wg. planu" *terminie* ~~czasie~~
> na ich wyrób, ~~oddawane są przez nasze „robotnice"~~ z*wracaja* do
> Promkombinatu *aby tam, odnowa zalegiwały półki* ~~aby natychmiast ukazać się na ladach wyżej~~
> ~~już wymienionego~~ *tegoż* sklepiku.
> I tak da capo al fine. ~~Czekając na Mrożka...~~ (Maszynopis 2, s. 576).

Mrożek, choć najpierw zapisany, a potem skreślony ręką Watowej, i tak zjawił się zgodnie z zapowiedzią. Polki uruchomiły racjonalny mechanizm, nauczyły się wykorzystywać pożądany na rynku materiał (wełnę), który w przeciwnym razie znów zostałby zmarnowany (choć ich działania przy okazji uruchamiają inną absurdalną machinę – „perpetuum mobile", zaprzeczającą prawom fizyki). Ich sytuacja niespodziewanie się odwraca:

> Niestety, po jakimś czasie, przewodniczący Promkombinatu zo-
> rientował się w sytuacji i zamiast swetrów *zaczął* dawać Polakom do wyrobu
> szmaciane zajączki. Z tych szmat nic już się nie dało niestety
> (poza zajączkami) wycisnąć: „Z pustego i Salomon nie naleje"! (Maszynopis 2, s. 577)

Jak widzimy, biblijny frazeologizm pojawia się dwa razy. Po raz pierwszy – jako swoiste zaprzeczenie zaprzeczenia, wykazujące źródłową apofatyczność komunistycznego systemu gospodarczego, w którym (i tylko, w którym) pożądany towar może piętrzyć się niekupowany w

[142] Tę tematykę w kontekście wspomnień Watowej opisałam w: A. Gawryś-Mazurkiewicz, *Ekonomia niedoboru na nieludzkiej ziemi. O wspomnieniach polskich zesłańców z lat czterdziestych XX wieku do Kazachstanu.* „Postscriptum Polonistyczne" 2020, nr 2, s. 195-205.

55:5246501187

magazynach, a puste oznacza zarazem pełne. Po raz drugi, co prawda w swoim pierwotnym znaczeniu, ale jako przewrotna *pointa*: Polkom udało się powołać do życia „perpetuum mobile", ale było to działanie, które stanowiło wyjątek od reguły i zostało przez brygadzistów ukrócone. Ostatecznie bowiem pomysł został zdemaskowany, a Polki od tamtej pory – za karę i być może zapobiegawczo – produkowały materiałowe zajączki. Szybko okazało się, że „Z tych szmat nic już się nie dało niestety (poza zajączkami) wycisnąć: „Z pustego i Salomon nie naleje"!

Jeśli zestawimy ze sobą pozostałe dokumenty procesu tekstotwórczego zauważymy, że to jedyny szkic, nie opisujący tego, co Watowa przeżyła osobiście. Inaczej niż w pozostałych brulionach, ani ona, ani jej najbliżsi, nie byli uczestnikami opisywanych wydarzeń. Mimo że w brulionie występują formy osobowe („To, co opowiem...", „Czy te zajączki były przeznaczone dla dzieci, czy miały ozdabiać kazackie wnętrza, nie potrafię dziś powiedzieć") [podkreślenia moje – A. G.-M.], to mają być sygnałem istnienia narratorki, bardziej niż zazwyczaj, zdystansowanej wobec opisywanych wydarzeń („I oto *pomysł* ilijski~~e~~*ch* Polk~~i~~*ek.*"), której historia promkombinatu służy wyłącznie za pretekst do postawienia diagnozy sowieckiej gospodarce. Charakterystyczny dla jej wspomnień (pozostałych brulionów) gawędziarski styl, dostrzegalny zarówno w warstwie leksykalnej jak i składniowej: profuzja słów (liczne wyliczenia, powtórzenia, epitety, ekspresywizmy, potocyzmy), liczne anakoluty i dygresje, nie ujawniły się na tym etapie pisania, jak to dzieje się w późniejszych brulionach[143]. Niech na potrzeby tych rozważań, poniższy wybrany fragment, stanie się reprezentatywną próbką stylu Watowej:

> A jednak nadszedł ten upragniony dzień z dużym, dużym ~~opóź-~~
> ~~nieniem~~ wielomiesięcznym opóźnieniem, kiedy wezwano nas i powie-
> dziano, że mamy jechać, wracać do kraju, do Polski. Formalności. For-
> malności. W tym kraju, gdzie w ciągu sześciu lat widziałam kartkę
> papieru tylko z pieczątką - teraz papierki, papierki, papierki.
> Stemple**.** Bez końca. [podkreślenia moje – A.G.M.] (SW, s. 578)

Zniecierpliwienie związane z oczekiwaniem na powrót do domu oddane zostało poprzez redundantne użycie przydawki przymiotnej: „duży". I to wydaje się niewystarczające – Watowa

[143] Na bliskość wspomnień Watowej i języka mówionego zwróciła uwagę M. Ruta: „Styl narracji wspomnień Oli Watowej jest typowy dla języka mówionego, ale i dla narracji kobiet – charakteryzuje się licznymi dygresjami, retardacjami, zaburzeniami chronologii, asocjacyjnością, lecz także dbałością o elegancję wypowiedzi." Zob. M. Ruta, *Portrety podwójne. Wspomnienia polskich Żydówek w sowieckiej Rosji*, „Studia Judaica" 24 (2021), nr 2 (48), s. 505.

56:2176467223

na kolejnym etapie pracy skreśliła okolicznik, by jeszcze raz podkreślić rozmiar oczekiwania – dopisała kolejną przydawkę: „wielomiesięcznym". Podobnie sprawa wygląda z użyciem okolicznika „do kraju – do Polski", czasowników jechać – wracać lub powtórzeń: „Formalności. Formalności", „papierki, papierki, papierki" – za każdym razem służących zwiększeniu ekspresji, a być może użytych redundantnie. Przydawki, okoliczniki i dopełnienia pączkują jej na klawiaturze maszyny, jakby użyte słowa nigdy nie były wystarczające do opisu własnych wspomnień.

Inaczej sprawa się ma z maszynopisem *Praca w Ili,* w którym te tendencje nie dochodzą jeszcze do głosu. W zamian dostajemy nieobszerną próbkę pisarską o zwięzłym, rzeczowo-sprawozdawczym charakterze („To, co opowiem"; „Otóż...", „I oto...", „Niestety, po jakimś czasie...") i nagromadzeniu słownictwa specjalistycznego (model gospodarki, *perpetuum mobile*, para-ekonomia, wyrób, *da capo al fine*, percepcja). To próba przemyślana, precyzyjnie zaplanowana, z wyraźnym konceptem kompozycyjnym – ten brulion tak bardzo różni się od pozostałych prób, że przy pierwszych jego lekturach – mimo licznych skreśleń i dopisków jej autorstwa, które temu przeczą – ma się wrażenie, że nie wyszedł spod ręki Watowej. Podejrzenie to nie jest pozbawione podstaw, gdy ma się na uwadze list pożegnalny jej męża, a dokładnie fragment o nieopracowanych materiałach do „Kultury", które mogłyby „posłużyć" jej do pisania, a także to, że to Wat pracował w ilijskim promkombinacie[144]. Nie bez znaczenia pozostaje fakt, że mimo pracy nad tekstem, Watowa zarzuciła pomysł opisania pracy w Ili. Być może odrzuciła go jak nieudany przeszczep, innego, niepasującego jej, męskiego języka. Ta robocza hipoteza nie znalazła jednak potwierdzenia. Wśród opublikowanych tekstów Wata znajdziemy jeden nieduży ślad „ilijskich zajączków", który może być jedynie dowodem na krążące w rodzinie Watów wspomnienie-anegdotę z czasów zesłania:

> **Mistyka *rubiteli norm* – bylejakie, syzyfowe, swetry, zajączki**, [podkreślenie moje – A.G.M.]
> ale aby depersonalizacja, automaty, ~~zmęcz~~ stan dziennego
> Dziad i dzieci zmęczenia, niedokarmienia][145].

Za to promkombinat pojawia się *en passant* w opowiadaniu *Sznur*, opublikowanym w

[144] „Absurdalność strukturalną gospodarki sowieckiej miałem możność obserwować w praktyce, w skali małej i lokalnej, co dzień, pracując w Ili w *promkombinacie* i w *selpo*". Zob. A. Wat*, Appendix,* w: Tegoż, *Mój wiek. Pamiętnik mówiony.* Oprac. R. Habielski, Kraków 2011, t. 2, s. 374.
[145] A. Wat, *Notatnik 5*, w: Tegoż, *Notatniki*..., s. 379.

57:7387526351

„Wiadomościach Literackich” w 1972 roku:

> Jest cicho. Nie widać ludzi. Kazachowie pracują na oddalonych o prawie trzydzieści kilometrów, kołchozowych polach kukurydzy, albo w promkombinacie, gdzie i Polacy, za nędzny grosz, a przede wszystkim za kartki na 400 gramów chleba dziennie, gliniastego, ciężkiego chleba, znajdują jakieś zajęcia. Robią z szorstkiej i źle tkanej, baraniej wełny swetry na sprzedaż dla sklepu tej instytucji, albo zajączki z gałganków dla dzieci[146].

Nie ma pewności, co do chronologii – czy umieszczony w opowiadaniu ustęp stanowił skąpy ślad zarzuconego pomysłu? A może dopiero po napisaniu *Sznura* Watowa wpadła na pomysł opisania *Pracy w Ili* (a potem z niego zrezygnowała)? W każdym z wymienionych wypadków, wspomnienie nie doczekało się kontynuacji ani publikacji. Odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak się stało, można szukać w teorii postępowania genetycznego i doświadczeniach innych badaczy-genetyków:

> Plany są inne, niż to, co zostało napisane, ale to jednak jest ten sam projekt, który został zmieniony. (...) w dokumentacji dzieła odnajdzie się dokumenty świadczące o wielu falstartach tego samego projektu, to znaczy o istnieniu wielu odrzuconych faz wstępnych, wykorzystujących ten sam pomysł, z odmianami, których przy każdej nowej próbie może być bardzo dużo. Niektóre z tych falstartów mogły na początku trwać zapewne dość długo i zawierać na przykład mniej lub bardziej rozbudowane fragmenty rękopisów tworzonego dzieła[147].

Step

Przekształcając *dossier* genezy *Wszystko co najważniejsze* w przed-tekst, ustalanie chronologii niektórych brulionów napotyka na pewne trudności. Jak wcześniej wskazaliśmy, maszynopis *Praca w Ili* znajdował się razem z *Wigilią na wygnaniu w stepach kazachstańskich* (datowaną ręką Watowej na 6 XII 68 r.) w foliowej, nieopisanej koszulce. Co prawda, opowiadane w brulionach zdarzenia nie zazębiają się fabularnie, lecz oba brudnopisy dotyczą spraw kazachskich, oba zostały też częściowo zarzucone. Możemy przypuszczać, że pochodzą z tego samego lub podobnego okresu (pisane w latach 1968-1972), tak jak zdeponowane w Beinecke Library dwa inne manuskrypty: *Pierwsza wędrówka przez step* i jego kontynuacja – *Powrót.* Wszystkie cztery, być może tylko przez przypadek rozdzielone, łączy tematyka oraz charakterystyczne podkreślenia tytułów, spotykane pod koniec lat sześćdziesiątych w maszynopisach autorki. Przykładem na taką

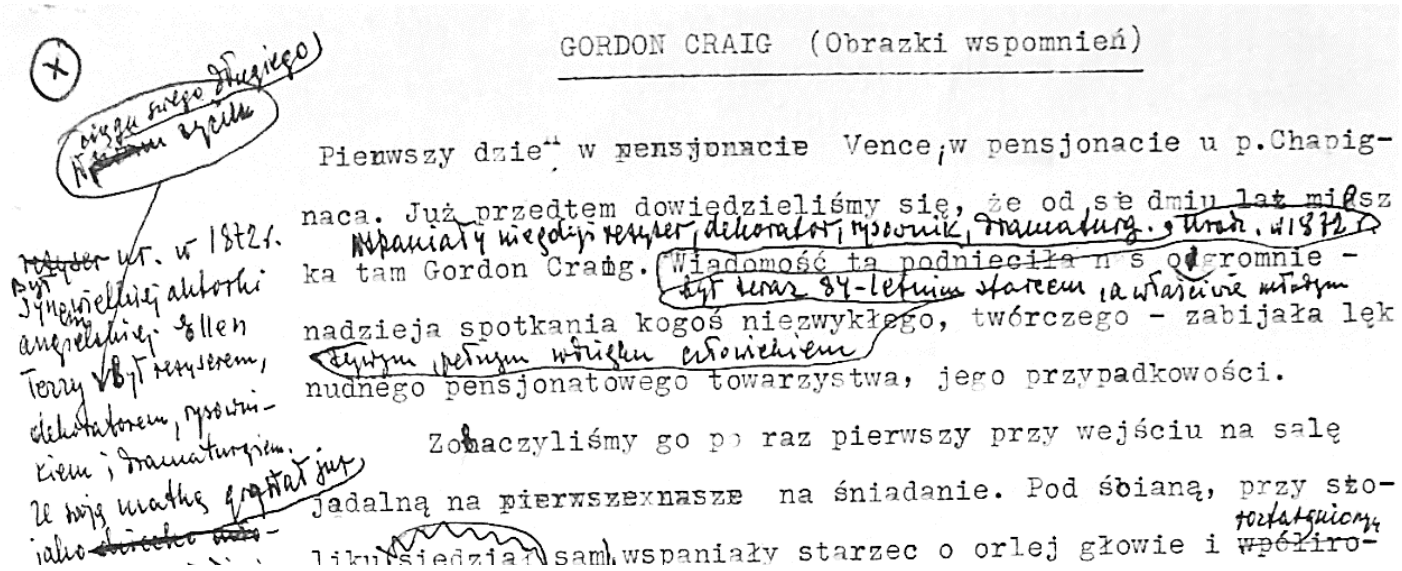
[146] P. (Ola) Watowa, *Sznur*, „Wiadomości Literackie” 1972, Rok XXVII, nr 5 (1348), s. 2.
[147] P.-M. de Biasi, *Genetyka*…, s. 63-64.

58:4221324514

praktykę adjustowania są zarówno – przepisywane przez nią teksty jej męża, a także, nieliczne z tego okresu, jej własne, np. wydane w „Zeszytach Literackich" (już po jej śmierci), wspomnienie o Gordonie Craigu[148] (z dołączonymi faksymilami), datowane przez Piotra Mitznera na 1966-1967 rok[149], który – co warto dodać – przypisuje Watowi współautorstwo tego tekstu, anonsując go jako dwugłos:

> Maszynopis nosi liczne poprawki i uzupełnienia naniesione przez poetę. Tak powstał dwugłos wspomnień. Zasada znana jest dobrze z życia, gdy jeden wspomina, a drugi, również świadek opisywanych zdarzeń, wtrąca swoje uzupełnienia, weryfikuje, uściśla. Wtręty Wata wyróżniamy kursywą, słowa skreślone widoczne są na załączonych faksymiliach[150].

Niewykluczone, choć nie ma na to żadnych dowodów, że wspomnienie o Craigu mogło zostać napisane wspólnie, ale nie ulega żadnej wątpliwości, że „liczne poprawki i uzupełnienia


GORDON CRAIG (Obrazki wspomnień)

Pierwszy dzień w pensjonacie Vence, w pensjonacie u p.Chapig-
naca. Już przedtem dowiedzieliśmy się, że od sześciu lat mieszka tam Gordon Craig. Wiadomość ta podniecała nas ogromnie -
nadzieja spotkania kogoś niezwykłego, twórczego - zabijała lęk
nudnego pensjonatowego towarzystwa, jego przypadkowości.

Zobaczyliśmy go po raz pierwszy przy wejściu na salę
jadalną na pierwszym naszym na śniadanie. Pod ścianą, przy sto-
likusiedział sam wspaniały starzec o orlej głowie i

Fotokopia 6. *Gordon Craig (Obrazki wspomnień)*

naniesione przez poetę" tak naprawdę naniesione zostały ręką Watowej, o czym świadczy charakter pisma. Spotykamy się tu z charakterystyczną dla „watologii" sytuacją, gdy to, co najciekawsze automatycznie przypisuje się Watowi. Sytuacją, dodajmy, której sama się poddałam,

[148] O. Watowa, *Gordon Craig (obrazki wspomnień)*, „Zeszyty Literackie" 2007, nr 99, s. 128-133.
[149] „Tekst Oli Watowej, udostępniony do druku przez Andrzeja Wata, powstał między sierpniem 1966 (Craig zmarł 29 VII 1966) a 29 VII 1967, kiedy zmarł Aleksander Wat". Zob. P. Mitzner, *Wat i Craig,* „Zeszyty Literackie" 2007, nr 99, s. 127.
[150] Tamże.

59:9440332969

doszukując się wpływu i stylu Wata w brulionie *Praca i Ili.*

Wróćmy jednak do brulionów. Ich lektura przynosi kilka wskazówek dotyczących potencjalnej kolejności ich powstawania. *Pierwsza wędrówka przez step* i *Powrót,* nad którymi na chwilę się zatrzymamy, czyli maszynopisy widniejące w tzw. *Aleksander Wat Papers* jako *Tekst Oli Wat (wspomnienie z Kazachstanu – fragment)*, prawdopodobnie poprzedziły inne, znane próby pisarskie pod egidą książki wspomnieniowej. To jedyne zapisane wspomnienia zsyłki, w których autorka nazywa mieszkańców stepu Kirgizami[151] – istotnie zamieszkujących w owym czasie kazachski step – a później już nigdy do tego nie wraca:

> Ziemianka. Na ubitym klepisku wokół ogniska wpół uśpieni Kirgizi. (*Pierwsza wędrówka przez step*, s. 630)
>
> Jak dobrze przy ognisku. Kirgizi rozpytują dokąd idziemy. (*Pierwsza wędrówka przez step*, s. 631)

Być może, późniejsza konsekwentna podmiana bohaterów: Kirgizów na Kazachów była działaniem asekuracyjnym, wynikającym z niewiedzy i braku pewności, co do pochodzenia miejscowych (co jest zrozumiałe, zważywszy na zagmatwane i współbieżne losy dwóch dalekich narodów)[152], ale to ona pomaga postawić hipotezę, na temat pierwszeństwa tych dwóch brulionów nad innymi – i choć są to ustalenia oparte na przypuszczeniach, to praktyka genetyczna poucza, że „ostatecznie, wszystko, co możemy wypracować, ma status hipotezy"[153].

Taka drobna pomyłka mogła skutkować utratą wiarygodności w oczach przyszłego czytelnika. Nie ma pewności, jakie Watowa miała plany wobec brulionów. Przypuszczalnie nie pisała ich „do szuflady", bo inne projekty: opowiadania *Sznur* i *Paszportyzację* opublikowała kolejno w „Wiadomościach Literackich" i „Zeszytach Historycznych". Niewykluczone więc, że pisząc, mogła już myśleć o potencjalnym czytelniku i swojej wiarygodności jako autorki i, co ważniejsze, świadkini i uczestniczki, przemilczanych i zatajanych przez ówczesne polskie władze, przymusowych deportacji ludności polskiej na tereny Związku Sowieckiego w czasie II wojny

[151] Nazwy Kazachstan i Kirgistan, ze względu na bliskość terytorialną i kulturową obu państw, a także historyczne dzieje obu narodów bywają błędnie używane. Zob. np. A. Milewska Młynik, *Polacy w Omsku*, „Niepodległość i Pamięć" 1998, nr 5/2 (11), s. 104, gdzie czytamy: „Są one nie tylko cennym źródłem wiadomości o życiu Kirgizów (zwanych dziś Kazachami), ale też świadectwem, w jaki sposób Europejczyk postrzegał obcą mu kulturę rdzennych Azjatów".

[152] Toponimy Kazachstan i Kirgistan są tematem niewielkiego szkicu autorstwa A. Abylkadyr Kyzy, *Kirgiz i Kazach – etymologiczne podstawy kulturowej wspólnoty i odrębności,* „Kwartalnik Polonicum" 2018, nr 28-29, s. 90-93.

[153] M. Antoniuk, *Krytyka genetyczna jako kulturowa poietyka (nie)pamięci*, „Teksty drugie" 2020, nr 6, s. 248.

60:7555030293

światowej. Warto przy okazji wspomnieć, że wydane w 1984 roku *Wszystko co najważniejsze*, opisywało doświadczenie zsyłki, stając się książką przełomową, wyprzedzało bowiem, uniemożliwiane wtedy przez krajową cenzurę, próby opowiedzenia o zesłaniach[154]. Watowa-pisarka błądziła więc po dziewiczym rejonie, piętrząc falstarty, które świadczą o tym, że starała się znaleźć język do opisania swojego jednostkowego, intymnego doświadczenia, będącego jednocześnie jedynie niewielkim odpryskiem większej, przemilczanej historycznie całości. Opowiadanie niejako w imieniu zbiorowości i o zbiorowości, musiało wiązać się więc z podwójną odpowiedzialnością za zapisane słowa. Być może, we wcześniej wspomnianej *Pracy w Ili,* autorka dystansowała się wobec Polek i wykluczała się jako uczestniczka wydarzeń, po to, by móc – znów asekuracyjnie – zobiektywizować opisywaną historię. Rzeczowy ton miałby więc dać jej większe poczucie bezpieczeństwa.

W przywołanych brulionach: *Pierwsza wędrówka przez step* i *Powrót* strategia narracyjna ulega zmianie. Autorka rezygnuje ze zobiektywizowanej perspektywy na rzecz subiektywnej, niemal intymnej narracji pierwszoosobowej:

> Mieliśmy wyruszyć o północy. Zostawiłam syna pod opieką starej ko-
>
> biety. Woreczek jęczmienia ~~jako~~ *jedyny* zapas żywności na 2-3 dni.
>
> Wymknęłam się ~~cicho~~ z uśpionego baraku. Przez chwilę ~~– noc mroźna *zostaję na* za-~~
>
> ~~trzymała mnie~~ ~~zatrzymuję się~~ ~~*zostaję* mnie/~~ na progu/, groza i piękno ~~śnieżnej~~ *białej* równiny. (*Pierwsza wędrówka przez step*, s. 629).

Narratorka pozostawia w lepiance syna w towarzystwie starej kobiety i najpewniej innych, śpiących Polaków. W baraku jest sennie i cicho, a po jego opuszczeniu budynki wydają się jeszcze spokojniejsze – są jakby przyparte do ziemi (pod skreśleniami kopulaste, przypominające kretowisko), a ich mieszkańcy śpią mocnym, niczym niezmąconym snem, którego prostota staje się jedynym łącznikiem między dwoma oddalonymi od siebie narodami:

> Lepianki są ciemne i milczące. ~~Przez chwilę widzę~~ ~~*Rysują się kopulaste*~~ *Przyparte do ziemi, rysują się*
>
> Uśpieni w nich Kaza
>
> cy, bezbronni w *swoim* śnie ~~przypominają w kształcie kretowisko wielkie~~ jacyś w swoim

[154] W Rozdziale I. *Recepcja Oli Watowej* omówiono pojawiające się w owym czasie teksty dotyczące wywózki ludności polskiej na tereny sowieckiej Rosji w latach 1940-42. Teksty te pojawiały się głównie poza granicami kraju i w wydawnictwach „drugiego obiegu", a dostęp do nich był ograniczony. Tak więc, o ile fabularyzowane opowiadanie Naglerowej czy powieść Wańkowicza mogły być Watowej znane, to przypuszczalnie nie czytała dziennika Ady Halpern, do którego – tak jak inni czytelnicy – zapewne nie miała dostępu.

61:1133891175

bezbronnym śnie ~~Pogrążeni w bezbronnym śnie Kazacy~~ stają się nagle
bliscy złączeni z nami ~~tutaj~~ na tej obcej ziemi – magią życia i śmierci dnia i nocy.

Ta zamknięta i uśpiona przestrzeń, którą możemy skojarzyć z żywiołem ziemi (przywołanej wprost, w funkcji metafory: „na obcej ziemi"), kontrastuje z otwartym, zimnym stepem, na który bohaterka-narratorka wychodzi w zimową noc:

Wymknęłam się ~~cicho~~ z uśpionego baraku. Przez chwilę – ~~*zostaję na* noc mroźna za-~~
~~Trzymała mnie~~ ~~*zostaję*~~ ~~zatrzymuję się~~ mnie na progu, groza i piękno ~~śnieżnej~~ *białej* równiny,
Wiatr dopada lodowatej powło*k*i i lekko podbija pióropusze śniegu. Na nie
bie ~~płoną~~ *koloru granatu* skrzą się wielkie gwiazdy północy. ~~Znagła kryte~~ Ale ~~wielka~~
~~czarna chmura duża / granatowa poz~~*poś*pieszna *wełnista* chmura przesłania je co chwila.
(*Pierwsza wędrówka przez step*, s. 629)

Opowiadana historia rozwija się z wolna. Liczne skreślenia i dopiski świadczą o poszukiwaniu mocnej, plastycznej metafory, która znajduje się dopiero z czasem, po wielu przymiarkach. W ręcznych notatkach dołączonych do *Pierwszej wędrówki przez step* znajdujemy wprawki do tego fragmentu:

~~1) Wiatr dopada zlatuje jak potężnym oddechem podmiata śnieg, unosi w pienistej fontannie. Niebo jeszcze przed chwilą ubite wielkimi gorejącymi gwiazdami północnego nieba.~~

1) Wiatr ~~padm~~ dopada lodowate (...) powłoki i z furią wznosi ~~fontannę~~ pióropusze śniegu.
2) To ubitego (...) ~~na którym to jarzącym~~ ~~płoną~~ wielkie gwiazdy~~mi~~, to znów
~~znagła~~ co raz to przesłaniane~~tego~~ ~~cieni je~~ czarną pośpieszną chmurą.
Zatrzymuję mnie *I myślę* na progu groza i piękno tej śnieżnej równiny.
(*Pierwsza wędrówka przez step*, s. 631)

Zauważamy, że metafora śniegu – cięższa, związana z żywiołem wody, „pienista fontanna" z furią wznoszona przez wiatr – została zastąpiona delikatniejszymi i lżejszymi, bo wywodzącymi się z żywiołu powietrza, „pióropuszami śniegu". Na plastyczności zyskało też niebo – w rękopisie jest „przesłąniąne[155] czarną pośpieszną chmurą", która po wielu uzgodnieniach i skreśleniach (wielka, czarna, duża, granatowa) stała się w końcu „pośpieszną" i „wełnistą". Jak widać, autorka włożyła wiele wysiłku w opisanie nieba, które w obu brulionach wciąż zmieniało swoje

[155] Cytuję zgodnie z oryginalną pisownią.

62:8064932997

właściwości: w rękopisie niebo jest związane z żywiołem ognia (gorejący, jarzący, płoną),: „~~Niebo jeszcze przed chwilą ubite wielkimi gorejącymi gwiazdami północnego nieba.~~” , „To ubitego (...) ~~na którym to jarzącym~~ ~~płoną~~ wielkie gwiazdy~~mi~~”, który zostaje porzucony na korzyść chłodniejszej kolorystyki (kolor granatu, skrzą się): „Na niebie ~~płoną~~ *koloru granatu* skrzą się wielkie gwiazdy północy” – jakby autorka miała problemy z przyporządkowaniem obrazu kazachskiego nieba do jednego z trzech żywiołów. Jedno jest pewne: żywioł ziemi pozostaje w statycznej i uśpionej przestrzeni baraku.

Nawet przy pobieżnej lekturze tego fragmentu wyczuwalne są inspiracje o młodopolskiej proweniencji, w duchu poezji Jana Kasprowicza czy Tadeusza Micińskiego[156]: kontrastująca groza i piękno stepu, przenikające opis cztery żywioły[157], personifikacje, nagromadzenie ekspresywnych środków wyrazu, atmosfera grozy[158]. Do tego kolorystyka (biały, granatowy, ciemny, czarny) oddziałująca na wyobraźnię, budząca skojarzenia z gwiaździstym, impresjonistycznym niebem Van Gogha. Te językowe poszukiwania być może były odpowiedzią na wyzwanie przeżycia i wyzwanie miejsca. Watowa próbowała sprostać tym wyzwaniom, sięgając po narzędzia prozy poetyckiej i bliskiej jej tradycji literackiej, którą znała jeszcze ze szkoły.

Opisywany brulion jest interesujący także ze względu na inne jeszcze zastosowane w nim rozwiązania formalne. Narracja wewnątrz baraku prowadzona jest najpierw w czasie przeszłym (mieliśmy, zostawiłam, wymknęłam się), a na progu baraku, zmienia się nie tylko przestrzeń, lecz także czas gramatyczny opowiadanej historii – odtąd narracja jest prowadzona w czasie

[156] Już lektura tytułów wierszy pokazuje, że Młoda Polska sytuuje się zdecydowanie po stronie nocy: *Melodia mgieł nocnych* Tetmajera; *W mroku gwiazd* czy *Nokturn* Micińskiego; *Melodie zmierzchów* czy *Zmierzch* Staffa; *W ciemności schodzi...* Kasprowicza; *Piąty żywioł* Adamowicza.

[157] „O tym, że „młodopolski świat wyobraźni” został zdominowany przez trzy spośród czterech lub cztery spośród pięciu żywiołów – w zależności od tradycji, do której się odwołamy – świadczą dwa fakty: ogromna liczba utworów pozostawionych w spadku czytelnikom oraz duża aktywność badawcza. Znalazła ona swoje ujście w wielu pracach historycznoliterackich. Prześledziwszy je, można śmiało stwierdzić, że wokół wody, ognia i powietrza, a także niebiańskich przestrzeni, gdzie znajduje się słońce, gwiazdy czy księżyc, ogniskuje się „wyobraźnia poetycka” twórców z końca XIX i początku XX wieku”. Zob. P. Więcek, *Powrót na ziemię: młodopolski obraz ‘Terrae Matris’*, w: *Żywioły wyobraźni poetyckiej XIX i XX wieku*, red. A. Czabanowska-Wróbel, I. Misiak, Kraków 2008, s. 141.

[158] „Szczególne miejsce przyznawane obrazom żywiołów w młodopolskiej metaforyzacji pojęć zwraca uwagę na wszystkie inne typy metafor, sięgających do tych elementarnych potęg... Jest ich w Młodej Polsce wiele, poczynając od na pół zleksykalizowanych wyrażeń, przedstawiających poprzez żywioły świat natury” (...) Ta grupa przenośni, mieszających ze sobą żywioły, jest najważniejszą i największą w zbiorze młodopolskich metafor fizycznych”. Zob. M. Stala, *„Błysk obrazu”. W kręgu metafory heraklitejskiej i bezoglądowego obrazu poetyckiego*, w Tegoż: *Metafora w liryce Młodej Polski. Metamorfozy widzenia poetyckiego*, Warszawa 1988, s. 268-269.

63:1006941703

teraźniejszym. Celowość tego zabiegu potwierdzają skreślenia czasowników w czasie przeszłym: „~~Trzymała mnie *zostaję* zatrzymuję się mnie~~ na progu...” czy na przykład „Na nogach ~~miałam~~ mam warszawskie pantofelki...”, które Watowa skrupulatnie korygowała[159].

Próg baraku jest więc miejscem przejścia: między dwoma kontrastującymi przestrzeniami, a także dwoma czasami gramatycznymi narracji. Czytelnik może mieć wrażenie, że spotyka narratorkę-bohaterkę właśnie tam, przekraczającą próg lepianki i odtąd śledzi jej wędrówkę lub jej towarzyszy. Statyczny, bezpieczny barak zastępuje więc dynamiczny i groźny step:

> Odrywam się od bezpieczeństwa progu. Wydeptaną ścieżką idę w stronę lepianki Koreańczyków, pewna już teraz, że nasz brygadier nie widzi mojego odejścia. O tej porze śpi się mocnym snem. (*Pierwsza wędrówka przez step,* s. 629)

Dzięki tym zabiegom artystycznym czytelnik zostaje wyrwany z bezpiecznego dystansu obserwatora, zostaje jakby wrzucony w sam środek zimowego stepu i staje się niejako uczestnikiem zdarzeń. Narracja prowadzona w czasie teraźniejszym wywołuje poczucie zanurzenia się w opisywanym świecie, wzmaga ogólne wrażenie immersji. Jesteśmy tuż obok bohaterki-narratorki, wciągnięci w historię, której akcja dzieje się tu i teraz. W jej towarzystwie (oraz Koreańczyka i jego rodziny) przemierzamy bezkresną przestrzeń:

> Zostawiamy naszą osadę – kilkanaście lepianek w białym ~~nagim~~ stepie. Tuż za osadą wchodzimy w bezkresne lodowate przestrzenie. Od razu wchłania nas, osacza zewsząd drapieżność północnego pejzażu, ~~wyzywającego do walki~~.
> ~~bo~~ *I*ść naprzód po tym stawiającym opór lodowatym, skamieniałym gruncie *po* zdradziecki~~m~~*ich* wyrwa~~mi~~*ch,* paszcza~~mi~~*ch* rozwartych dołów, w które wpadamy, - to ~~walczyć~~ wal~~ka~~*czyć* bezustan~~na~~*ie* – ta walka wymaga~~jąca~~ o wiele więcej sił niż moje i inego ekwipunku. Na nogach ~~miałam~~ mam warszawskie pantofelki i czyjeś kalosze.
> Plec*ak* z rzeczami na zamianę, choć ciąży~~ł~~ – zabezpieczał trochę od przenikającego zimna. (*Pierwsza wędrówka przez step,* s. 629)

To doświadczenie powraca wielokrotnie jako temat na innych etapach pisania. Z czasem opisy wędrówki przez step łagodnieją – w rozmowie z Trznadlem w 1981 roku Watowa oprócz grozy i

[159] Watowa konsekwentnie stosuje w tych dwóch brulionach czas teraźniejszy. Wyjątki od tej reguły czyni wyłącznie, kiedy wraca pamięcią do sytuacji sprzed wędrówki: „U Koreańczyków płonie świeczka. Izba jest naga, zwinięte tłomoczki. Kobieta trzyma ~~dziecko~~ opatulone *drzemiące w jej ramionach* dziecko, chłopak wybiera ze resztki utłuczonego *już przedtem* jęczmienia. Milczą, nie zwracają na mnie uwagi, <u>*wszystko przecież zostało umówione*</u>.” – podkreślenie moje – A.G.M. (*Pierwsza wędrówka przez step*, s. 629).

64:3631328872

ryzyka dostrzeże też piękno krajobrazu:

> Watowa: Mieli, mieli, mieli! Powiem ci jedno, że jak ja przemierzałam step, a przemierzałam go o każdej porze roku – bo latem zimą, jesienią, i wiosną, i za każdym razem step jest inny i za każdym razem ma inne plagi. Jest za każdym razem jest wspaniały i piękny, ale ma inne plagi. (N, s. 293)

Opis stepu na kartach *Pierwszej wędrówki...* zdominowany jest jednak przez „plagi". Narratorka wysunęła na pierwszy plan surowość nieujarzmionej natury: zgromadziła wiele określeń nacechowanych jednoznacznie negatywnie, budzących grozę i niepokój, co oddane jest zarówno w warstwie leksykalnej, jak i brzmieniowej[160] lub, za Romanem Ingardenem, językowo-brzmieniowej[161]: „drapieżność", „walka", „opór", „zdradziecki", „osacza", „wyrwy", „bezkresne przestrzenie", „paszcze", „rozwarte doły", „lodowate", „skamieniałe", „przenikające zimno". Zauważalne jest nagromadzenie twardych spółgłosek zwarto-wybuchowych (p, b, d), szczelinowych (w, f, z, s, rz, sz, ch) i sonornych (r, ł, l), które dodatkowo podkreślają srogość niewzruszonego stepu, na którym człowiek może czuć się tylko intruzem, nienależącym do naturalnego porządku rzeczy. Po kilku godzinach marszu, bycie sprowadza się wyłącznie do sumy automatycznie powtarzanych ruchów:

> Nogi dziwnie drętwieją, ~~mam uczucie że poczucie drętwienia całego~~
> staję się jakgdyby zmarzniętym drewnem
> ~~organizmu sprawia, że jestem jakgdyby~~ źle funkcjonującą maszyną, która
> z trudem posuwa się naprzód.
> Chodzimy już kilka godzin. Powoli staje się automatem, ~~źle~~ do cho
> dzenia. Odsuwam myśl, cierpienie, strach. (*Pierwsza wędrówka przez step*, s. 630)

Ciało pochłonięte i umęczone automatyzmem ruchu porusza się z mozołem, w letargu i jakby gubi po drodze własną podmiotowość – zostaje wyrzucone poza porządek kultury: „odrzucam myśl, cierpienie, strach". Wolicjonalne: „mam uczucie", „jestem", zastąpione zostaje w brudnopisie przez bezwolne: „staje się", „nogi drętwieją", „maszyna, która z trudem posuwa się naprzód", co dodatkowo potęguje wrażenie rezygnacji oraz poddania się nieustępliwej biologii. Ciało (a i czytelnik) zostaje uwięzione w nieprzerwanym „tu i teraz" wędrówki. Defiguracja ciała

[160] Rozważania na temat powiązania warstwy leksykalnej z brzmieniową w polskiej literaturze czyni W. Urbanik-Pęk, *Fonosemantyczność poszczególnych głosek oraz ich zestawienie w tekście poetyckim*, W: *Ikoniczność w języku, literaturze i przekładzie,* red. E. Muskat-Tabakowska, E. Palich, A. Nowakowski, Kraków 2013, s. 65–69.
[161] R. Ingarden, *Z teorii dzieła literackiego. Dwuwymiarowa budowa dzieła sztuki literackiej*, W: *Problemy teorii literatury*, red. H. Markiewicz, Wrocław 1987, s. 7-54.

65:5259956462

postępuje, lecz nagle, odruchowo reaguje ono na impuls:

> Płomyk. Nikły płomyk ukazał się nagle i znikł. Ale zaraz znowu
> mamy go przed oczami. Jest on ~~dla~~ światem ludzi, domem, ciepłem, oddechem.
> (*Pierwsza wędrówka przez step*, s. 630)

Płomyk – znak obecności innych ludzi na stepie (oraz utarta metafora nadziei na ratunek – światełko w tunelu) ponownie łączy ciało z jego podmiotem. Światło pochodzi ze świata ludzkiego i nieoczekiwanie staje się bodźcem przerywającym monotonie wędrówki. Od tego momentu, w warstwie gramatycznej, następuje też powrót do form osobowych: „mamy go przed oczami", a świat wokoło zdaje się znacznie przyspieszać („ukazał się nagle i znikł", „zaraz znowu"). Poza wędrującymi, prędkości nabiera też rytm opowieści – sekwencja wyliczeń: „Jest on ~~dla~~ światem ludzi, domem, ciepłem, oddechem" naśladujący przyspieszające kroki[162]. Ciało – to piszące – nieświadomie staje się medium pamięci. Watowa uruchamia pamięć ciała, oddając jego ówczesny ruch, także na poziomie językowym:

> Drewniane nogi ożywiają się, to skurcz strachu rozluźnia się. Idziemy
> więc, przebijamy się jak znużeni pływacy, których prąd wciąga na dno.
> (*Pierwsza wędrówka przez step*, s. 630)

Jak widać, nagromadzenie metaforyki somatycznej, jest uderzające. Pamięć tej wędrówki, jak każda trauma, wyraźnie odłożona jest w ciele. Autorka wciąż do niej powraca, nie mogąc sprostać jakiejś niewidocznej poprzeczce. Wydaje się, że stawką tych prób i językowych wysiłków jest odzyskanie cielesnego doświadczenia, i próba zbliżenia się do niego, a liczne poprawki i szlify mają jej w tym pomóc. Powracanie do tej samej opowieści pokazuje zatem, jak ważne jest dla autorki odzyskanie tego doświadczenia, a zarazem, jak trudne jest znalezienie właściwej atrybucji, która by z nim współgrała.

Wigilia tekstu

W *dossier* genezy falstarty się mnożą, we fragmentach lub całości kontynuowane na innych etapach pisania. Należy do nich Maszynopis 1, z grudnia 1968 roku, zatytułowany *Wigilia na wygnaniu w stepach kazachstańskich*, opisujący jak w przededniu Bożego Narodzenia Polacy

[162] W tej analizie starałam się współmyśleć z kierunkiem krytycznoliterackim, sformułowanym przez Dziadka w *Projekcie krytyki somatycznej*, zob. A. Dziadek, *Pisanie somatyczne. Dotykanie sensu*, w: Tegoż: *Projekt krytyki somatycznej*, Warszawa 2014.

66:8221767570

rozpamiętywali świąteczne obyczaje i tradycje, przeżywając swą niedolę wyjątkowo boleśnie, bo z brudnego, śmierdzącego baraku, w którym nieoczekiwanie góra spotkała się z dołem, *sacrum* z *profanum* – lecz wyidealizowanego wyobrażenia ojczyzny nie zmąciło nic, ani unoszący się zapach krowiego łajna, ani nawet zimne klepisko:

> Wszystkie blaski, urody i smaki stołu wigilijnego, świeczki
> wśród złota i srebra pachnącej choinki, kolendy śpiewane chórem – wszystko
> to sfruwało rzewnym wspomnieniem do naszej kazachskiej kibitki, do naszej
> kleci z gliny i krowiego łajna, na klepisko, gdzie rozłożone były nasze
> wyrka. (Maszynopis 2, s. 576).

Suto zastawiony stół został zastąpiony skąpą kolacją: prażonym jęczmieniem i wrzątkiem, a rodacy zjednoczyli się w modlitwie pod rozgwieżdżonym niebem, przywołując w pamięci ojczyznę:

> I zdawało się, że kolorowy anioł ucze-
> piony u szczytu choinki, przylatywał tu do naszych dzieci (...)
> – przylatywał tu z dalekiej Polski, żeby nas pocieszyć.
> Wychodziło się o północy pod roziskrzone od gwiazd niebo i łą-
> czyliśmy się w modlitwie z Bogiem, z Polską. (Maszynopis 1, s. 574)

We wspólnych modłach Polska zlewa się z Bogiem, a Bóg z Polską i już nie wiadomo, co ma pocieszać w nieszczęściu uciśnioną polską zbiorowość. Domyślamy się, choć gramatyka temu przeczy, że Watowa do niej nie należy i jest tylko bierną obserwatorką tych modlitw i chóralnych patriotycznych wspomnień, niedopuszczoną do głosu (o czym często wspominała w innych brulionach) ze względu na przynależność religijną i pochodzenie. Na dodatek w jej odczuciu, niczym panteistom, boskość wyraża się poprzez piękno natury, bo chwilowe ukojenie odnajduje właśnie w urodzie surowego krajobrazu, a nie w modlitwie:

> (...) Przed nami step niezmierzo-
> ny pod nieskalaną białą puszystością śniegu, cisza, ciemne uśpione okienka
> kibitek i zdawało się przez chwilę, poprzez to piękno północnego, stepowego
> pejzażu, że nasze opuszczenie, zagubienie w tym obcym świecie, jest mniejsze. (Maszynopis, s. 1)

W jej opisie, gwiaździste kantowskie niebo w niczym nie przypomina swojej kolędowej wersji.

67:6542084793

To step (a nie Bóg) jest niezmierzony[163] („ma granice nieskończone"), śnieg jest nieskalany, a wokół panuje obezwładniająca cisza.

Polacy wspominają z daleka, z wygnania, tęskniąc za utraconym domem. Poruszeni tymi zwierzeniami Kazachowie, jakby w geście solidarności i na znak świątecznego cudu, pozwalają sobie na niecodzienne wyznania – ich ojczyzna również została utracona, choć nie oddalili się od niej nawet na kilometr:

> Nasi gospodarze Kazacy, brali w jakiś sposób w tym udział, nasze wzruszenie udzielało się im. Siedząc w kuczki na klepisku i popijając kipiatok, zapraszali nas do głośnych wspomnień. I pod wrażeniem tych naszych wspomnień, odważali się także otworzyć okno na własną przeszłość. Stepy, stada pasących się baranów, szałasy wykładane dywanami, świetne chlebki i placki, pieczone na ogniu. Obfitość mięsa, mleka, tłuszczu. Kobiety strojone z drżącymi w uszach kolczykami. Nomadzi przyzwyczajeni do wędrówek, do wolności, którym komunizm wszystko odebrał, zostawiając tylko słowa, które kłamią. (Maszynopis 1, s. 574).

Autorka kreśli sylwetkę narodu poniżonego i zdegradowanego, ludzi, „którym komunizm wszystko odebrał"[164]. Na skutek wcielania w życie stalinowskiego planu uprzemysłowienia gospodarki w republikach związkowych, mieszkańcy nowo ukonstytuowanej Kazachskiej Socjalistycznej Republiki zmuszeni zostali w latach trzydziestych XX wieku do zmiany dotychczasowych zwyczajów, stylu życia, podróżowania, zasad dotyczących prywatności i własności – zmian dotkliwych zarówno dla mieszkańców miast i wsi, choć – być może – najmocniej dotknięte przez kolektywizację zostały tzw. plemiona wędrowne, przemocą przymuszone do osiadłego trybu życia. Ci dawni nomadowie, we wspomnieniach Watowej,

[163] Trudno oprzeć się wrażeniu, że Watowej przychodzą do głowy słowa kolędy *Pieśni o Narodzeniu Pańskim*: „Bóg się rodzi, moc truchleje/ Pan niebiosów obnażony/ Ogień krzepnie, blask ciemnieje/ Ma granice – Nieskończony."

[164] Rosyjskie reformy wprowadzane były w Kazachstanie już w okresie carskim. Za początek wpływów władz rosyjskich uznaje się wiek XIX: „(...) władze carskie nie liczyły się z lokalną specyfiką i różnicami kulturowymi. Przeprowadzane przez władze carskie reformy administracyjno-polityczne (1822, 1824, 1867–1868) zniszczyły tradycyjny system prawny i zarządzenia oraz umożliwiły osiedlanie na szeroką skalę rosyjskich przesiedleńców na terytoriach kazachskich, spychając ludność koczowników na mniej przydatne tereny. Uzyskawszy niekontrolowaną władzę nad większą częścią społeczeństwa, Rosja objęła swą polityką kolonizacyjną prawie wszystkie sfery." Zob. J. Osiński, D. Baigunakov, G. Sabdenova, *Państwowość kazachska: historia i rzeczywistość. Przyczynek do teorii państwa*, „Kwartalnik Kolegium Ekonomiczno-Społecznego. Studia i Prace" 2015, nr 1, s. 166.

68:9092981124

naznaczeni są poczuciem straty i tęsknoty za wolnością, a ta stanowiła esencję ich istnienia:

> Z wyobrażeniem egzystencji wędrownych społeczności związany jest swego rodzaju pierwiastek romantyczny. Nomada swym sposobem życia zaprzecza utartym społecznie i politycznie akceptowanym schematom. Bez względu na uwarunkowania zewnętrzne jest wolny[165].

Nomadzi przywiązani do ziemi stali się swym własnym zaprzeczeniem: paśli nie swoje barany – wprawdzie na stepie, ale w administracyjnych, wyznaczonych przez władze granicach kołchozu lub sowchozu, którego nie mieli prawa opuścić bez pozwolenia, placki pieczone na ogniu zastąpił im skromny jęczmień, a dywan – zimne klepisko. Ziemia pozostała ta sama, ale nie taka sama. Stali się wygnańcami u siebie w domu, jednocześnie tracąc ojczyznę. W zamian pozostała im nieprzepracowana żałoba po stracie wolności, która z czasem przekształciła się w melancholię. Podobnie postępują zesłani na step Polacy, którzy próbowali zaspokoić wigilijny głód opowieściami o najlepszych świątecznych daniach:

> Starsze kobiety głodne, pomęczone i często chore przekazywały
> sobie przed zaśnięciem najlepsze przepisy na potrawy wigilijne. I wyda-
> wało się, że zasypią mniej głodne. (Maszynopis 1, s. 575)

Fragment ten pobrzmiewa we *Wszystko co najważniejsze,* ale umiejscowiony został w innym, nieco ogólniejszym kontekście, można go uznać za odprysk wigilijnego wspomnienia:

> Często wieczorami ludzie w baraku, a przede wszystkim kobiety wspominały dawne uczty. Podawano sobie przepisy na mięsa, sosy i... torty. Andrzej nalegał, abym to wszystko zapisywała i z takim bogatym repertuarem kulinarnym wróciłam do kraju. Inne kobiety robiły to samo. Mam wrażenie, że w jakiś sposób syciliśmy się tymi potrawami wysnuwanymi z pamięci, a dzieci cieszyły się, że już niedługo będziemy się objadać i nie będziemy głodni. (WCN, s. 44)

Autorka, pisząc w 1968 roku o wigilii w stepie, na pierwszy plan wysuwa zbieżność losów dwóch zupełnie różnych od siebie narodów, połączonych w tę jedną noc we wspólnym rozpamiętywaniu przeszłości. Zostaje podkreślony smutek związany z niemożnością życia w dawny, wolny sposób, choć dla jednych wolnością była udekorowana choinka i ściany rodzinnego domu, dla drugich bezkres stepu i brzęczące w kobiecych uszach złote kolczyki.

Watowa wprowadza na scenę bohatera zbiorowego, który w późniejszych odmianach wspomnień powraca, ale już w innych okolicznościach. W kolejnych brudnopisach definitywnie

[165] A. Ciechanowska, *Opisując Nomadę...*, „Kultura Współczesna" 2010, nr 2, s. 191.

69:1130822248

rezygnuje z wigilijnego sztafażu, a pretekstem do opisania rdzennym mieszkańców czyni przeprawę przez step. Tym razem dowiadujemy się, że poznała ich bliżej w drodze powrotnej z Żarmy, gdzie wcześniej była sądzona za samowolne opuszczenie miejsca pracy. Po wielogodzinnej przeprawie przez nicość, podczas której towarzyszy jej starszy Kazach, dociera do jedynej, w promieniu kilkunastu kilometrów, chaty:

> Zapadała noc, kiedy zaczął się nasz powrót do Iwanówki. Zmęczona ledwo żywa szkapa. My głodni. Nagle światełko w stepie, a było to lato. Zatrzymał wóz, ja zostałam na furce, on wszedł do szałasu. Narazie nikt nie wychodził stamtąd, ale kiedy kobieta wyszła, żeby zaprosić mnie do wnętrza, odrazu wiedziałam, że już wszystko o mnie wiedzą. (SW, s. 610)

Zaproszenie do przekroczenia progu szałasu świadczy o zaufaniu, jakim gość, osoba z zewnątrz, zostaje obdarzony przez nieufnych gospodarzy. Niemniej, ten gest zaufania względem obcej poprzedzony jest, w opowieści Watowej, wstawiennictwem starego Kazacha, który – jak rozumiemy – poręcza za nią, a kartą przetargową czyni jej własną historię. Nie dowiadujemy się, co dokładnie przekonało do niej gospodarzy – zesłanie, sąd czy heroiczna ucieczka z miejsca pracy, by ratować chorego syna, ale najwyraźniej to, co usłyszeli wystarczyło, by uzyskać schronienie w szałasie po długiej i męczącej wędrówce. Zostaje zaproszona do przekroczenia symbolicznego progu, do wejścia w głąb, do środka szałasu, a akces ten stanie się pierwszym krokiem na drodze wtajemniczenia w sprawy skrytych autochtonów. Dostaje dostęp nie tylko do schronienia i pożywienia, ale, co ważniejsze, do opowieści:

> Odczułam też odrazu ich solidarność ze mną, zrozumienie, litość. Dano mi się najeść i potrochu, narazie z wahaniem zaczęły padać pytania. Opowiadałam im o Polsce, o naszym tam dobrobycie, o chlebie, sytości, o ubraniu. Bo ja jeszcze wtedy byłam dla nich ubrana a oni byli łachmanach. (SW, s. 611)

Podobnie jak w odmianie tego tekstu z 1968 roku, gospodarzy zachęcają do zwierzeń sentymentalne opowieści o Polsce – choć należy podkreślić, że wcześniej były to zbiorowe, chóralne i anonimowe historie, z kolei w maszynopisie SW Watowa obsadza samą siebie w roli narratorki i ich jedynej świadkini. Kazachowie pod wpływem jej słów zaczynają mówić o sobie:

> Było w szałasie kilka kobiet i mężczyzn i nagle pod wpływem jakiegoś wielkiego zaufania a może nieprzemożnej potrzebie mówienia

70:6168689292

> prawdy bez strachu, z poczuciem bezpieczeństwa - zaczęli mówić. Mówili o jakże pięknym ich życiu "przedtym", w stepach, o stadach baranów, o chlebach pieczonych na ich sposób, o ubraniach kobiet, o kolczykach i pierścieniach, o wysłanych dywanami szałasach, szerokich kolorowych spódnicach, naszyjnikach, o koniach stepowych, na których kolorowi poubierani Kazacy pędzili po stepie - rycerze wolności. (SW, s. 611)

Opis nieznacznie różni się od tego z 1968 roku: kazachski ekwipunek został poszerzony o pierścienie i szerokie kolorowe spódnice, a ogólnikowe określenie „świetne chlebki" zastąpiły dokładniejsze „chleby pieczone na ich sposób". Są to niewielkie modyfikacje, które wskazują, że autorka pracowała nad opowiadaną historią, szukając odpowiednich, bardziej plastycznych środków wyrazu. Pierwsza warta odnotowania modyfikacja, względem kolejnych stadiów pisania, to zastąpienie romantycznej nomadyczności, rycerskością („rycerze wolności"), która pojawia się wyłącznie w tym maszynopisie i na dalszych etapach pisania już nie powraca. Można się domyślać, że waleczność i bitność nie oddałyby we właściwy sposób kazachskiego charakteru, dlatego Watowa później rezygnuje z europocentrycznej metafory. Znamienne wydaje się również podstawienie wyrażenia przyimkowego "przedtym"[166]: („Mówili o jakże pięknym ich życiu "przedtym"), wprowadzającego niedomówienie, bo nie dowiadujemy się, o które tajemnicze „przed" mogłoby chodzić, w zamian za wyznaczenie ram czasowych lub wskazanie realnego winowajcy kazachskich krzywd, jak to dzieje się w innych brulionach: we wcześniejszym opisie z 1968 r. układ sił wydaje się jasny, bo złoczyńcą jest metonimiczny komunizm: „nomadzi, którym komunizm wszystko odebrał, zostawiając tylko słowa, które kłamią" (Maszynopis 1, s. 574). W tym, i tylko w tym maszynopisie (SW), sens zostaje rozmyty, a warstwa ideologiczna odsunięta na drugi plan, co wskazywałoby na towarzyszącą Watowej niepewność w budowaniu „ostatecznego" sensu tego wspomnienia. W późniejszych brulionach komunizm powraca na swoje wcześniejsze miejsce.

We wspomnieniach wydanych w druku z pytaniami Jacka Trznadla („Puls" 1983), czyli tekście, „o którym bruliony nie wiedzą"[167], (a czytelnik owszem), pretensje, co do ich aktualnego

[166] Cytuję zapis z błędem ortograficznym za maszynopisem. Mimo że można przypuszczać, że chodziło o słowo „przedtem", to praktyka lekturowa jej brudnopisów wskazuje, że Watowa konsekwentnie zapisywała wyrażenia przyimkowe łącznie, np. „napewno", „wzamian", „przedtym", „przedewszystkim", „oddawna", „odnowa", czyli zgodnie z regułami sprzed wielkiej reformy ortografii przeprowadzonej w latach 1934-1935.

[167] De Biasi przestrzega przed porównywaniem brulionów z tekstami: „Chyba że, siłą naginając chronologię, będzie się porównywało poszczególne etapy pisania z ich uwieńczeniem w postaci opublikowanego tekstu

71:1778748158

statusu są wypowiedziane wprost:

> Słuchali w milczeniu, ale nagle zaczęli mówić, wspominać, jak to było dawniej, jak szczęśliwie im się żyło przed rewolucją. Byli narodem nomadów, narodem wolnym. Mieli piękne szałasy wyścielane dywanami, kobiety nosiły kolczyki, pierścionki kolorowe szaty, każdego dnia było mięso i chleb, który sami sobie piekli. Stada owiec i baranów pasły się w stepie. Teraz są w nędzy, noszą łachmany, żyją w wiecznym strachu. Barany i owce są „kazionne", należą do państwa, oni mają prawo tylko do kilku własnych[168].

I dalej:

> Czuło się ich nienawiść do tego ustroju, do komunizmu. Nie tylko za utracony dobrobyt, ale przede wszystkim za utraconą wolność, tak pięknie teraz przez nich wspominaną. Czuło się bezsiłę, więzienie, w którym znaleźli się zaraz po rewolucji, bo więzieniem stał się dla nich cały świat, te bezmierne stepy, w których zdawało się, słyszy się jeszcze ducha wolności i swobody[169].

Czytelnika brudnopisów może tu zaskoczyć proporcja między opisami autochtonów i wpływu komunizmu na ich teraźniejszość. Ten drugi wątek został znacznie rozbudowany, kosztem opisu ich zwyczajów i ekwipunku, nieco zubożonego w tekście opublikowanym. Wydaje się, że – inaczej niż w brudnopisach – to komunizm stał się właściwym tematem tego ustępu, a Kazachowie zeszli na drugi plan i posłużyli (podobnie jak wcześniej historia promkombinatu) za pretekst do właściwych rozważań.

W tekście przygotowanym w tandemie, uwagę zwraca drobna, ale nieobojętna modyfikacja: Kazachowie, dotychczas opisywani jako nieufni i zamknięci w sobie, tu („Puls") dają się poznać jako serdeczni, podręcznikowi gospodarze – opisani jednoznacznie pochlebnie („Przyjęli nas gościnnie, zapraszając od razu[170] do, jakże skromnego, posiłku"[171]), a ich postawa wyraźnie kontrastuje z bezdusznym ustrojem, do którego czują nienawiść.

Warto w tym miejscu zaznaczyć, że wspomnienia wydane w „Pulsie" mają odmienny status przede wszystkim, oczywiście, genetyczny – są tekstem, tak więc powyższe porównanie z brulionem jest zamachem na ortodoksję krytyki genetycznej, a po drugie autorski – powstawały jako zapis rozmowy między Watową i Jackiem Trznadlem (występującym pod pseudonimem Piotr

---

ostatecznego: byłoby to zakładanie istnienia czegoś, o czym brudnopisy nie wiedzą". Por. tegoż, *Genetyka tekstów...*, s. 35.

[168] Tamże.

[169] O. Watowa, *Wspomnienia (opowieść mówiona)*, „PULS. Kwartalnik Literacki" 1983, nr 18, s. 67-68.

[170] Podkreślenie moje – A.G.M.

[171] O. Watowa, *Wspomnienia...,* s. 67-68.

72:8951171013

Janowicz), a z przypisu do tekstu w „Pulsie" dowiadujemy się, że mamy do czynienia z fragmentem przygotowywanej książki – domyślamy się, że jest to zapowiedź przyszłego (1984 r.), pełnego wydania *Wszystko co najważniejsze*. Co to oznacza? Przede wszystkim, że – inaczej niż w tekstach jednego autora, którymi zwykle zajmuje się krytyka genetyczna – dochodzi tu do interesującego przesunięcia: Watowa pozostała „właścicielką" wspomnień, ale negocjowanie sensu, skreśleń i wynikających z nich tekstowych napięć nie zależało już wyłącznie od jej decyzji. I nie chodzi wyłącznie o drobne decyzje korektorsko-redakcyjne, ale świadome i nieświadome ingerencje, wpływające m.in. na wyeksponowanie jednych wątków kosztem innych, jak to miało miejsce w cytowanym fragmencie.

Jako że śledzenie tych zmian bez dokumentów genezy nie jest zalecane przez krytyków genetycznych, przyjrzyjmy się dwóm brulionom: (wcześniejszemu, pisanemu samodzielnie) maszynopisowi SW i (późniejszej, tandemowej) transkrypcji nagrań, poprzedzającej „Pulsowskie" wspomnienia. W odróżnieniu od *Wigilii na stepie,* w obu dokumentach, pokłosiem tej nocy staje się trauma. W SW czytamy:

> Jak pięknie, ciepło, niegłodno było mi tu pośród tych ludzi
> niegdyś szczęśliwych i wolnych - teraz nędzarzy i niewolników, żyją-
> cych w strachu i poniewierce. Noc była ciepła, step szumiał, pachniało
> trawami. Powiedziałam, że będę spała na furce, na dworzu. Leżałam, mając
> niebo nad głową — i zasnęłam, prawie szczęśliwa.
> Nagle poczułam ciężar na sobie i zbudziwszy się raptownie, zoba
> czułam nad sobą twarz ~~młodzieńczą~~ nieznanego mi młodego Kazaka. Usi-
> łował zedrzeć ze mnie ubranie. Z desperacką siłą - kopnęłam go tak
> trafnie, że odskoczył a ja zaczęłam krzyczeć, wzywając na ratunek. Nie
> zapomnę przerażenia, które odmalowało się na jego twarzy. Kiedy Kazacy
> wybiegli z szałasu, chłopak uciekał w step. Ale dogonili go. Wiedział
> że będzie ukarany. Dla nich był to wielki wstyd. Powiedzieli mi, kiedy
> weszłam z nimi do szałasu, że jest on już wychowankiem „reżymu", „swój –
> a obcy. Postąpił wbrew "Zakonowi". Długo w noc szeptali między sobą z
> widocznym oburzeniem.
> Wczesnym rankiem pojechaliśmy dalej. Jak ukarano chłopca
> - tego nie wiem. (SW, s. 611).

73:9375188718

Noc w kazachskim szałasie ma zaskakującą kontynuację. Autorka po raz pierwszy decyduje się na opisanie próby gwałtu, której doświadczyła, a którą – dzięki swojej „desperackiej sile" – zdołała powstrzymać. Może warto w tym miejscu przypomnieć, że Watowa przez całe życie była osobą bardzo drobnej budowy, mierzyła 155 cm. Opis składa się z krótkiej i precyzyjnej sekwencji zdarzeń, pozbawionej charakterystycznych dla jej stylu zbędnych wyliczeń i powtórzeń. Rozumiemy, że takie traumatyczne powroty zawsze są trudne, więc pospieszna składnia Watowej może świadczyć o tym, że usiłowała to traumatyczne wspomnienie jak najszybciej zapisać i tym samym zrzucić z siebie jego ciężar. Uwaga szybko zostaje przekierowana na młodego Kazacha, przerażonego bynajmniej nie tym, co usiłował zrobić, lecz karą, która go za to spotka. Jego czyn rzuca cień na reputację Kazachów, którzy próbują zachować twarz opowieścią o nowym pokoleniu wychowanym w cieniu reżimu. Zapoznajemy się z nowymi cechami i ich przywiązaniem do tzw. „zakonu", czyli niepisanego kodeksu moralnego. To słowo Watowa powtarza prawdopodobnie ze słyszenia oraz z braku znanego odpowiednika i przy okazji innych reminiscencji próbuje je zobrazować poprzez liczne przykłady:

> - jak byli dobrzy i gościnni, a jeże-
> li nawet charaktery ich były takie jak u wszystkich innych naro-
> dów, to ZAKON nakazywał im zachowywać się tak *a* nie inaczej. Jak
> wchodziło się do ich nędznych lepianek ~~w trakcie~~ *podczas* ich n*ę*dznego
> posiłku — zapraszali odrazu aby przysiąść w kucki koło niskiego
> stoliczka i podzielić z nimi (...).
> Nie wiedziałam jeszcze o tym, tak jak np. że ZAKON
> nie pozwalał im wyrzucać kobiety z dzieckiem z lepianki pod-
> czas zimy, o czym przekonałam się później. A więc religia – to
> nakazy moralne, nakazy współżycia z ludźmi. I to także tępił ko-
> munizm, dając im wzamian za to Partię, ~~donosicielstwo i głód.~~ i
> tej Partii ZAKONY. (SW, s. 586).

Młodego Kazacha za złamanie jednego z zakazów obyczajowych czekała kara najprawdopodobniej współmierna do czynu, choć w zgodzie ze starym „zakonem" nikt oczywiście nie zamierzał dochodzić sprawiedliwości w sądzie (z którego, jak pamiętamy, wracała Watowa). Kazachowie, mimo wieloletniej indoktrynacji, pozostali wierni swoim zasadom, dlatego kodeks

74:1046153121

moralny wciąż górował nad tym partyjnym – i to on, a nie „partyjny zakon", skutecznie regulował stosunki panujące między nimi. Rozumiemy też, że obejmował swoim zasięgiem nie tylko ich samych – wszak na ochronę mogła liczyć również nieznajoma, niebędąca częścią ich wspólnoty. Nie dziwi więc, że wspominając „zakon", Watowa wyróżniła to słowo majuskułą, by nadać mu odpowiednią rangę i wagę.

Tę samą historię opowiedziała w 1981 roku w czasie nagrywanych „sesji", ale to, co w SW próbowała przyspieszyć, w rozmowie z Trznadlem wyraźnie opóźniała:

> I ja tak leżałam i patrzyłam sobie w to niebo, a ten Kazak tam został. I widocznie, wiesz, ja, przez chwilę, jakoś się zdrzemnęłam, dlatego że nagle poczułam na sobie ciężar, wiesz. I zobaczyłam nad sobą twarz młodego chłopaka, który miał – bo ja wiem – może piętnaście lat, szesnaście lat – Kazacha! I już miałam ten odruch, już jednak weszłam trochę, już. Ja ci powiem, ja się tam szalenie zmieniłam. Ja się tam stałam – z takiej bardzo nieprzystosowanej w gruncie rzeczy do życia kobiety, która przeszła z domu rodziców do, do męża, który się nią opiekował i ją kochał i w ogóle.
>
> Trznadel: Pod kloszem, jednym słowem.
>
> Watowa: Tak, tak zwana mimozowata, rozumiesz? Która się bała myszy, bała się pijaka, bała się sama spać w domu. I tam nagle, rozumiesz, ((ściszonym głosem)) przestałam się bać[172]. (N, s. 295-296).

Dygresja uczyniona jakby mimochodem, z jednej strony odracza – przynajmniej na chwilę – przykre wyznanie, z drugiej jest konieczna, by słuchacz zdał sobie sprawę z wyjątkowości tego doświadczenia i reakcji na nie. Wywózka do Kazachstanu ukazana zostaje jako doświadczenie formacyjne, które paradoksalnie umożliwia koszmar historii, w które Watowa została mimowolnie wrzucona. A jednak dygresję trzeba przerwać i wrócić do wspomnień:

> I wiesz, ((z emfazą)) jakimś odruchem takim, wiesz, kopnęłam go. Ale musiałam go kopnąć w miejsce takie, że on zawył, wiesz, i odskoczył. A ja oczywiście zaczęłam krzyczeć. I wtedy ci Kazacy wylecieli do mnie. I wtedy oni już o mnie wszystko wiedzieli. Wylecieli do mnie, zabrali mnie do siebie i powiedzieli: ((ściszony głos)) „niech pani nie myśli o nas tak, bo on już został. Bo on już został" – oni wiedzieli, że oni już ze mną mogą mówić – „on już został wychowany przez władze sowieckie, bo żaden Kazach, u nas zakon" – mówi drugi.
>
> Trznadel: Tego by nie zrobił.
>
> Watowa: „On już w nic nie wierzy. On uciekł, znikł". Ale oni mówią: „On będzie ukarany". Ale

[172] Podkreślenie moje – A.G.M.

75:3961314363

> on znikł tej nocy, on uciekł. No, i, a wtedy ja usiadłam z nimi i oni mi zaczęli opowiadać, wiesz. Jakie cudowne życie było do rewolucji, wiesz. I słuchaj, on mówi: „Mieliśmy tak cudowne te nasze szałasy. My jesteśmy narodem, mieliśmy dziesiątki tysiący baranów czy owiec – już tego nie pamiętam. Nasze kobiety miały kolce w uszach, miały cudowne pierścienie na tego, robiliśmy wspaniałe chlebki, takie podpłomyki", wiesz. „Te szałasy były wysłane dywanami. Teraz jesteśmy nędzarzami, których wszystkiego pozbawiono". (N, s. 296)

Po lekturze transkrypcji, można by wytknąć siedemdziesięcioośmioletniej! Watowej, to, co już sama sobie wyrzuciła, czyli zapominanie – „już tego nie pamiętam" – powie do nieco znudzonego Jacka Trznadla, lecz te słowa nie powinny nikogo dziwić, zważywszy na jej podeszły wiek. To, co pamięta – także z tego względu – kolejny raz podlega negocjacjom. Mateusz Antoniuk stwierdza, że:

> „Negocjacje między c o i j a k pamiętania" odbywają się ze szczególną intensywnością w brulionowych stadiach pisarstwa autobiograficznego: to właśnie tam zobaczyć można, jak ostateczny kształt autobiografii wyłania się w toku prób, przekształceń, przemieszczeń, którym podlega nie tylko stylistyczna warstwa narracji, lecz także interpretacja biograficznych faktów, a nawet sama faktografia[173].

W transkrypcji nagrań zgadza się faktografia – przynajmniej pobieżnie, bo zmianie znów uległy powody, dla których Kazachowie snują swoją historię – tym razem nie są to ani wigilijne wspominki Polaków, ani też protekcja starego Kazacha. Być może ich opowieść – inaczej niż ocenia Watowa – wcale nie jest (i nigdy nie była) znakiem zaufania („I wtedy oni już o mnie wszystko wiedzieli"), a nerwową reakcją na wstrząsający incydent i próbą zamaskowania poczucia wstydu. O tym incydencie dowiadujemy się zresztą dopiero przy drugiej próbie pisarskiej z SW. Niewykluczone, że za pierwszym razem Watowa poddała swoje wspomnienia swoistej autocenzurze, nie chcąc dopuścić do konfrontacji z traumą, próbowała pominąć milczeniem bolesny epizod, a jako jego zamiennik wprowadziła na scenę, sztucznie zaimplementowaną, wigilijną inscenizację (z której zresztą zrezygnowała na kolejnych etapach pisania). W późniejszych stadiach możemy obserwować więc oswajanie i próbę przepracowania bolesnego doświadczenia.

[173] M. Antoniuk, *Krytyka genetyczna jako...*, s. 254.

76:2437833553

Zmianom ulega zatem i chronologia zdarzeń, i interpretacja faktów, które w rozmowie z Trznadlem miały posłużyć do unaocznienia przemiany, jaka w niej zaszła. Pewnym jest, że na przestrzeni 15 lat (od 1968 do 1983) centrum pamięci obejmuje kilka tych samych, powracających wątków – a jednym z nich niezmiennie pozostaje historia mieszkańców kazachskiego stepu, która rozrasta się, pęcznieje o nowe wątki i konteksty.

Teksty w przed-tekście

„...i nędza choroby w Ili"

W *dossier* genezy znalazły się dwa teksty, o których napisanie, we wcześniej cytowanym pożegnalnym liście, dopominał się Wat. *Sznur* i *Paszportyzacja,* bo o nich mowa, inaczej niż pozostałe wspomnienia, nie musiały czekać w szufladzie na interwencję Jacka Trznadla, by zostały udostępnione szerszej publiczności[174]. Łączy je również fakt, że oba, z drobnymi zmianami, przedrukowano w całości we *Wszystko co najważniejsze.* Pierwsze ukazało się opowiadanie *Sznur* („Wiadomości Literackie" nr 5, 1972), którego tytuł, jak dowiadujemy się z nagrań, był „prezentem" od autora *Na nieludzkiej ziemi*: „Watowa: Napisałam taką rzecz i właśnie Czapski powiedział: »Wiesz co, nazwij tę nowelkę sznur«. A zaraz się dowiesz, dlaczego". (N, s. 326).

Porównując tekst z 1972 i przedrukowany w 1984 roku zauważamy, że choć nieznacznie, to różnią się od siebie: między innymi, we wcześniejszym wydaniu, czas przeszły przeplatał się z *praesens historicum,* chętnie używanym przez autorkę w owym okresie, lecz w książce wspomnieniowej zrezygnowała z tego zabiegu, jak na przykład w poniższych zdaniach: „Jest południe, słońce piecze z okrutną obojętnością i nie ma nadziei na błogosławieństwo ochłody świeżego wieczoru, lub na rosę przedświtu" i: „Było południe, słońce piekło z okrutną

[174] Opowiadanie doczekało się już interpretacji – zob. Małgorzata Cieliczko, *Ola Watowa*, w: Tejże, *„On jest mistrzem, ja to wiem" – pisarka, edytorka, żona,* Warszawa 2013, s. 41-45. Niestety, autorka zapoznała się z jego fabułą pobieżnie – np. nie zauważyła, że jeden z jego głównych bohaterów – łagiernik, pojawia się w tekście dwukrotnie: najpierw, gdy prosi Watową o tytułowy sznur, a drugi raz, gdy umiera z głodu na drodze. Cieliczko uważa, że to dwie różne postaci. Zgodnie z jej odczytaniem, drugi mężczyzna ma być projekcją Watowej, wynikającą z wyrzutów sumienia. Przeoczenie to powoduje, że omówienie poznańskiej badaczki kończy się przedwcześnie i nie wyczerpuje potencjału interpretacyjnego tego opowiadania. W związku z tym, wnioski wyprowadzone z jego lektury mają charakter ogólnikowy: tytułowy sznur „podzielił 'barbarzyńskiego' mężczyznę i 'wrażliwą' kobietę, może również symbolizować szeroko rozumiane zniewolenie, wynikające z konieczności zaspokojenia podstawowych potrzeb fizjologicznych, zwyczajów danej społeczności czy wewnętrznych przekonań jednostki. Wyraża zatem pewien tragiczny konflikt, który nie ma tak naprawdę dobrego rozwiązania – każde bowiem na swój sposób zawsze kogoś krzywdzi". Tamże, s. 45.

77:4796425934

obojętnością i nie było nadziei na błogosławieństwo ochłody świeżego wieczoru, lub na rosę przedświtu”[175] (1984 r.).

Autorka, w przedruku z 1984 roku dokonała także małej, ale zasadniczej podmiany leksykalnej – szarańczy na modliszkę. Co prawda, oba owady (o nie najlepszej sławie) wyglądają dość podobnie, mają też konotacje religijne – pierwszy kojarzony jest z biblijnymi plagami[176], natomiast drugi swoją nazwę – i łacińską (*mantis religiosa*), i w konsekwencji polską otrzymał, ponieważ na chwilę przed atakiem odnóża modliszki złożone są w charakterystyczny sposób, przypominający ręce złożone do modlitwy. Jednak podobieństwo jest tylko pozorne i powierzchowne, bowiem szarańcza to roślinożerca zagrażająca wyłącznie uprawom (a te, jak wiemy, na kazachskim posiołku były znikome)[177], natomiast modliszka jest drapieżniczką, która nie mogła mieć trudności ze znalezieniem pokarmu w ilijskim posiołku[178]. Najpewniej za pierwszym razem zadziałało więc skojarzenie wizualne, łączące wygląd obu owadów, bo jego opis wskazuje jednoznacznie na tę drugą: „Monstrualnie żarłoczna, bezbłędna maszyna do pożerania[179]”. Błąd został naprawiony – i to z miejsca, bo najpierw poprzez ręczną adnotację na

[175] WCN, s. 78. W dalszej części rozprawy będę cytowała pierwsze wydanie tej noweli.

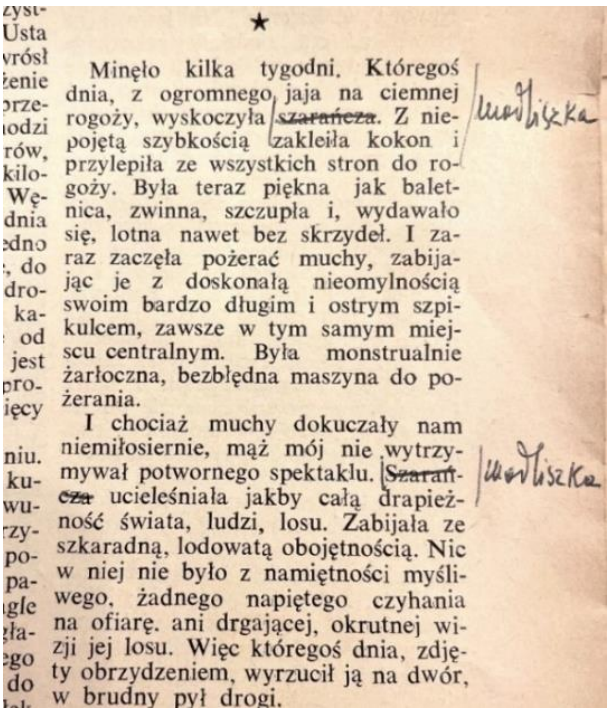
[176] „Rzekł, i nadciągnęła szarańcza, niezliczone mnóstwo świerszczy. Pożarły one całą trawę w ich kraju i zjadły płody na ich roli. Pobił wszystkich pierworodnych w ich ziemi, pierwociny całej ich siły. A tamtych wyprowadził ze srebrem i złotem i nie było słabego w Jego pokoleniach”. Ks. Psalmów 105:34-37.

[177] „Mieszkaliśmy w lepiance z gliny i łajna, w małej izdebce z klepiskiem zamiast podłogi i niziutkim, zakratowanym okienkiem z widokiem na szaro-żółtawy pustynny pejzaż. Brak zupełny roślinności, lepianki kazachskie i opłotki, z gdzieniegdzie uwiązanym iszakiem, zawodzącym żałośnie z podniesionym do góry łbem. Na skraju posiołka czerniło się kilka cierniowych krzaczków i jedno usychające drzewo”. Zob. P. (Ola) Watowa, *Paszportyzacja. „*Zeszyty Historyczne” 1972, nr 21, s. 149. Lub A. Wat, *Żółw z Oxfordu*, Tegoż, *Wiersze wybrane*, wybór i oprac. A. Micińska, J. Zieliński, wstęp: J. Zieliński, Warszawa 1987, s. 248: „Ili — osiedle nad rzeką Ili, którą dawniej odbywał się spław towarów do Chin. Jałowa ziemia, wydmy, kolczaste krzewy, sitowie nad wodą, zawsze mętną; w błękitne poranki na horyzoncie rysują się szczyty Tiań-Szań, Gór Niebieskich w Śniegach. W osiedlu — kilkanaście budynków: urzędy, klub, szkoła, wysoko oparkanione „kolonie" z wieżyczkami; lepianki Kazachów, jaskinie Koreańczyków; cztery samotne klony; cmentarz zasypywany piaskami; plac targowy; król tyfus. Przyjeżdżał tu niegdyś polować Trocki, za swego zesłania. Za moich czasów (1943—46) nie było zwierzyny, i psy zostały wyłapane. Przez parę miesięcy wiosennych rzeka obfitowała w ryby „marynki", na połowy czatowały ciężarówki ałmaatyńskich urzędników i naczelników, zabierając wszystko, czego nie zdążyliśmy zjeść na miejscu lub poukrywać. Latem 1944, w parudziesięciu kilometrach od osiedla, nagle pojawiły się żółwie, w dużej obfitości. Przez cztery tygodnie kuchnia Prokombinatu była krwawą ich jatką.

[178] „Latem muchy, komary, kleszcze i skorpiony, a także chmary zajadłych, małych muszek” Zob. P. (Ola) Watowa, *Paszportyzacja...,* s. 149.

[179] P. (Ola) Watowa, *Sznur...,* s. 2.

78:3408032389



★

Minęło kilka tygodni. Któregoś dnia, z ogromnego jaja na ciemnej rogoży, wyskoczyła ~~szarańcza~~. Z niepojętą szybkością zakleiła kokon i przylepiła ze wszystkich stron do rogoży. Była teraz piękna jak baletnica, zwinna, szczupła i, wydawało się, lotna nawet bez skrzydeł. I zaraz zaczęła pożerać muchy, zabijając je z doskonałą nieomylnością swoim bardzo długim i ostrym szpikulcem, zawsze w tym samym miejscu centralnym. Była monstrualnie żarłoczna, bezbłędna maszyna do pożerania.

I chociaż muchy dokuczały nam niemiłosiernie, mąż mój nie wytrzymywał potwornego spektaklu. ~~Szarańcza~~ ucieleśniała jakby całą drapieżność świata, ludzi, losu. Zabijała ze szkaradną, lodowatą obojętnością. Nic w niej nie było z namiętności myśliwego, żadnego napiętego czyhania na ofiarę, ani drgającej, okrutnej wizji jej losu. Więc któregoś dnia, zdjęty obrzydzeniem, wyrzucił ją na dwór, w brudny pył drogi.

Fotokopia 7. Poprawki naniesione przez Watową na jej egzamplarzu "Wiadomości Literackich"

autorskim egzemplarzu „Wiadomości Literackich”[180], a dopiero kilkanaście lat później, w druku. Ciekawe, że Watowa zamiast nanieść poprawki np. na którymś z dokumentów genezy, np. maszynopisie, zrobiła to wprost na egzemplarzu autorskim. Może to oznaczać, że poszukiwane przeze mnie i nie znalezione (i w prywatnym archiwum, i w zbiorach *Beinecke Library*) dokumenty genezy opowiadania *Sznur,* prawdopodobnie już wtedy nie istniały.

Akcja tego opowiadania, jak wspomnieliśmy, rozgrywa się w 1943 r. w wiosce Ili, ok. 80 kilometrów od stolicy Kazachstanu – Ałma-Aty, gdzie, oczywiście nie z własnej woli, osiedlili się Watowie[181]. Jest środek kontynentalnego lata, zesłanym doskwierają upały, wgryzający się we wszystko kurz, lecz przede wszystkim nuda uwięzienia:

> Stoję przed naszą lepianką i czekam na powiew wiatru, który, niezmiennie, jest tu suchy i gorący, czekam nieświadoma czasu, który mija, ponieważ godziny przestały być realne, dnie przechodzą w mękę nocy, poranki w piekło południa i nic się nie zmienia w tej ciekłej, niekończącej się, żadnymi zmianami nie znaczonej egzystencji[182].

[180] Fragmenty opowiadania *Sznur* cytuję z pierwodruku. Dołączam też informację o skreśleniach, które znalazły się wyłącznie na egzemplarzu należącym do Watowej.
[181] Watowa, w opowiadaniu *Paszportyzacja* wspomina Ili: „W rzeczywistości było więc Ili ponownym zesłaniem, a Polacy – po zniknięciu Delegatur – od nowa bezbronni”. Zob. P. (Ola) Watowa, *Paszportyzacja*..., s. 149.
[182] P. (Ola) Watowa, *Sznur...,* s. 2.

79:8346692627

Nagle, w monotonną codzienność, jedna po drugiej, wkraczają dwie postaci: modliszka (nie szarańcza!) i łagiernik, które przerywają ten stan, stając się zwiastunami zmian:

> Od pewnego czasu zasiadł na tej rogoży duży owad (...). Uczepiony nieruchomo, zdawał się być martwy. Ale żył. Cała dolna część była niewspółmiernie duża, w kształcie jaja, zaostrzonego i upstrzonego na końcu. Któregoś dnia wyskoczyła z niego ~~szarańcza~~ *MODLISZKA*[183].
>
> Jakaś postać zjawiła się na horyzoncie drogi i zbliża powoli. Coraz wyraźniej widzę jej lekko pochylony kształt i kiedy jest już blisko, rozpoznaję mężczyznę około pięćdziesiątki. Jest wysoki, w łachmanach, krok ma słaby, chwiejny i zbliża się do mnie tak jakoś miękko, jak chmura. Jakże piękna jest jego głowa, coś szlachetnego i cierpiącego patrzy mu z oczu, włosy spadają w ciemnych pasmach prawie na ramiona. (...) Od razu mam uczucie, że nie jest mi obcy, że wiem o nim wszystko, a także że i on od razu wie wszystko o mnie (...). Usta miał zaschnięte, a w długie palce wrósł mu brud drogi[184].

Opis obu postaci zbudowany jest na zasadzie antynomii. Modliszka, o której była już mowa, pojawiła się nagle, jak intruz. Zagarnąwszy część i tak maleńkiej przestrzeni życiowej w lepiance, wpływa na życie jej mieszkańców: poprzez swój dziwny bezruch (wyglądała na martwą, ale żyła) i jakąś ostrą i pokraczną budowę, budzi niepokój. W związku z jej obecnością niezbędna jest interwencja miejscowego szamana, „z zabobonnym strachem" pouczającego niezorientowanych Watów o konsekwencjach, jakie niesie za sobą skrzywdzenie owada, bowiem może to zesłać na nich nieszczęście. Mieszkańcy lepianki stosują się do jego zaleceń, choć najchętniej pozbyli by się nieproszonej lokatorki: „Obserwujemy więc tajemniczego gościa i nie ruszamy go"[185].

Drugim czynnikiem zaburzającym monotonnie niewoli staje się ów wędrowiec-łagiernik, będący swoistym kontrapunktem dla potwornej modliszki. Pojawia się na horyzoncie, a zbliżając się z wolna, daje czas na oswojenie ze swoją obecnością. Wydaje się znajomy, a jego sposób poruszania nasuwa na myśl miękki ruch chmury, z wolna, lecz sunącej jakby wprost na narratorkę. Inaczej niż z modliszką, jego przybycie nie wymaga żadnych konsultacji – okrzepła w kazachskiej egzystencji Watowa, korzystając z własnego doświadczenia i wiedzy, powinna odprawić nieproszonego gościa, bo jego przybycie może zwiastować wyłącznie kłopoty. Ta przestroga była w niej silnie zakorzeniona, bowiem wielokrotnie powracała echem w późniejszych rozmowach z Trznadlem: „I to byli ci ludzie, którzy po opuszczeniu łagru ginęli po drodze. Bardzo rzadko ktoś

[183] Tamże.
[184] Tamże.
[185] Tamże.

80:1999426094

wracał z łagru. Właśnie dlatego, że – przede wszystkim – łagierników bano się przyjmować, żeby nie posądzać, że ma się dla nich jakieś sympatie". (N, 83).

Jego los po opuszczeniu łagru, paradoksalnie, jest już przesądzony. Zwolnienie z sowieckiego więzienia to droga do pewnej śmierci, a nie do wolności. Watowa, przyjmując go, postępuje więc wbrew społecznym normom oraz rozsądkowi i choć jest świadoma zagrożeń oraz nieuchronności zdarzeń („Tu, na tych pustynnych drogach, wśród obcych Kazachów, kazano mu żyć, rozpoczynać życie od nowa. Wiemy dobrze oboje, że to jest niemożliwe, że droga, którą idzie, prowadzi do nikąd[186]), to nieznajomy budzi w niej (choć nie powinien) zaufanie i fascynację, przez co przypisuje mu jednoznacznie pozytywne cechy, takie jak łagodność czy szlachetność, oświecenie i wszechwiedza (przynajmniej na jej temat). Nazywa go po Gorkowsku – „bywszym człowiekiem"[187], doszukując się związku łagodnego wyglądu z pochodzeniem. Fizyczność przybysza, jego fizjonomia i sposób poruszania wyraźnie ją zajmują, dlatego wiele uwagi poświęca zmysłowemu opisowi jego ciała: włosy spadające na ramiona, zaschnięte usta, łachmany, piękna głowa, chwiejność kroku – wskazująca na cierpienie fizyczne, długie palce, miękka linia ust. W dodatku nad głową łagiernika pojawi się wkrótce (o czym będzie mowa za chwilę) aureola (nazywana tradycyjnie nimbem[188], czyli łac. chmurą!), która w noweli, co prawda, uformowała się z przydrożnego pyłu i blasku słońca, ale rozumiemy, że ma być znakiem świętości: „Usta jego miały miękką linię, nic w nim nie było drapieżnego, nic z łagrowego zbója. Zapewne „bywszyj człowiek". Suchy, gorący wiatr rozwiewał mu włosy, a pył ziemi tworzył nad nim aureolę, która świeciła w słońcu"[189].

---

[186] Tamże.

[187] Właściwie *bywszyj człowiek* lub *byvshiye lyudy* to określenie funkcjonujące w języku rosyjskim, opisujące tzw. „byłych ludzi", osoby zamożne, z wyższych grup społecznych, którzy po Rewolucji Październikowej (i później) w skutek działań Sowieckiej Rosji zostali pozbawieni swojego dotychczasowego statusu społecznego. Określenie to weszło do języka ogólnego po publikacji opowiadania Maksyma Gorkiego pt. *Бывшие люди (Dawni ludzie)* w 1897 roku. Zob. "Бывшие люди", w: *Российский гуманитарный энциклопедический словарь (*Rossiyskiy gumanitarnyy entsiklopedicheskiy slovar'), Petersburg 2002, http://niv.ru/doc/dictionary/russian-humanitarian/fc/slovar-193-15.htm#zag-1214 [dostęp: 1.01.2023 r.] W języku polskim upowszechniło się także określenie *liszeniec* o nieco bardziej zawężonym znaczeniu. Zob. T. Graczykowska, *Podgburek, łazik, sektant – leksykalne odzwierciedlenie wrogów państwa radzieckiego (na materiale z gazety „Trybuna Radziecka" z lat 1927-1938*, „Acta Neophilologica" 2014, XVI (1), s. 21.

[188] „Światłość duchową wyobrażanej w plastyce osoby symbolizowano często w postaci nimbu, aureoli, mandorli, rozchodzących się promieni itp.". W. Kopaliński, *Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych*. Warszawa 1989, s. 415.

[189] P. (Ola) Watowa, *Sznur*..., s. 2.

81:5810540767

Niezwykłość tego spotkania i cechy noszące znamiona boskości ewokują skojarzenia sakralne – amplifikacja religijnych znaczeń przywodzi na myśl Jezusa w jego ostatniej drodze na Golgotę. Co więcej, na jednej ze stacji, Chrystus-łagiernik spotyka Watową-narratorkę, która przypuszczalnie występuje w roli jednej ze współczujących kobiet, być może św. Weroniki, bo niepytana, próbuje ulżyć jego cierpieniu: „Patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Nie pytając wyniosłam mu z izby kubek wody (...)[190]".

Na swojej ostatniej drodze Chrystus-łagiernik ma osobliwą prośbę, degradującą go w oczach narratorki – ma nadzieję pożyczyć tytułowy sznur, bynajmniej nie po to, by przypieczętować swój los samobójstwem, ale dlatego, że jest głodny. Ma nadzieję schwytać biegającego samopas psa: oprawić go i przyrządzić jako ostatni posiłek, którym obiecuje się podzielić. Odrażająca prośba odbiera bohaterce mowę, odtąd będzie prowadziła monolog w swojej głowie:

> Czuję skurcz żołądka, fala mdłości podchodzi mi do gardła, nie mogę zapanować nad uczuciem obrzydzenia, przymykam oczy jakbym w ten sposób mogła przed nim ukryć te wszystkie nagle wypełniające mnie uczucia. O, nie tylko wstrętu! Oto nagle przybysz stacza się, spada od razu do jakiejś innej niż ja, kategorii istnień, przynależy od tej chwili do innego, niż ja świata, do innych wymiarów nędzy. Moje współczucie dla niego zabarwia się szczyptą politowania. Jego łachmany wydają mi się bardziej złachmanione, moje uczucia dla niego mącą się, tracą pierwotną swą krystaliczność, od kiedy tak nagle, przed chwilą, zobaczyłam go przed sobą. (...) Więc on leci gdzieś na dno, wynosząc mnie jednocześnie, w strefę istnień uprzywilejowanych[191].

Złamanie podstawowego kulturowego tabu (a nawet sama myśl o jego złamaniu), związanego z jedzeniem psiego mięsa[192], nawet w sytuacji granicznej, jaką jest skrajny głód i wycieńczenie, jest niewybaczalne i skazuje na potępienie. „Krystaliczne" uczucia zmieniają swoją amplitudę: w jednej chwili przechodzą od ciekawości i fascynacji do wstrętu i obrzydzenia. Narratorka na tym nie poprzestaje. Wyrzuca łagiernika poza swój świat, czas, wymiar oraz „kategorię istnień", co tym samym pozbawia go, kolejny raz, przynależności (już raz został wykluczony ze społeczności przez system jako zesłaniec – „bywszyj czełowiek"), ale idzie o krok dalej, bo pozbawia go człowieczeństwa. Agambenowski *homo sacer?* Właśnie wtedy, kiedy w narratorce dokonuje się

[190] Tamże.
[191] Tamże.
[192] „Wyjaśnieniem owej tabuizacji psa ma być jakoby okoliczność, że to najściślej domowe zwierzę zajmuje miejsce pośrednie — a więc ambiwalentne — między człowiekiem a zwierzętami gospodarczymi". J. S. Wasilewski, *Tabu, zakaz magiczny, nieczystość*, „Etnografia Polska", t. XXXI: 1987, z. 1, s. 27.

82:1095172291

swoista psychomachia, znajdująca przełożenie w fizycznej reakcji na afekt: skurczu żołądka i mdłościach, nad głową przybysza pojawia się świetlista aureola, symbol świętości. Prośba ma być więc próbą człowieczeństwa, której nie udaje jej się przejść pozytywnie, bowiem ostatecznie lituje się nie nad cierpiącym człowiekiem, a nad psem:

> Ramiona miał pochylone, a w uśmiechu tyle pobłażania, nawet jakby szczyptę ironii, kiedy patrzył na mnie stojącą nieruchomo i wpatrzoną w niego jak zwiastuna, który zjawił się tu może i po to, żeby poświadczyć we mnie chrześcijańskie uczucia miłości bliźniego, współczucia, miłosierdzia, litości. Ale łaska miłości uschła pewno we mnie tutaj na tej pustynnej ziemi[193].

Odmowa realizuje się w przemilczeniu prośby, więc Chrystus-łagiernik schodzi na drugi plan, ustępując miejsca przeobrażonej już w *imago* modliszce, która osiągnęła już pełną sprawność w zabijaniu: staje się potworniejsza, drapieżna i bezwzględna. Jej obecność coraz bardziej daje się we znaki mieszkańcom lepianki:

> Była teraz piękna jak baletnica, zwinna, szczupła i, wydawało się, lotna nawet bez skrzydeł. I raz zaczęła pożerać muchy, zabijając je doskonałą nieomylnością swoim bardzo długim i ostrym szpikulcem, zawsze w tym samym miejscu centralnym. Była monstrualnie żarłoczna, bezbłędna maszyna do pożerania. I chociaż dokuczały nam niemiłosiernie, mąż mój nie wytrzymywał potwornego spektaklu. ~~Szarańcza~~ *Modliszka* ucieleśniała jakby całą drapieżność świata, ludzi, losu. Zabijała ze szkaradną, lodowatą obojętnością. Nic w niej nie było z namiętności myśliwego, żadnego napiętego czyhania na ofiarę ani drgającej, okrutnej wizji jej losu. Więc któregoś dnia, zdjęty obrzydzeniem, wyrzucił ją na dwór, w brudny pył drogi[194].

Modliszka – precyzyjna, okrutna i bezduszna maszyna do zabijania – staje się metaforą sowieckiego systemu, a dokładniej funkcjonującego w jego ramach trybu parcelacji i dystrybucji więzienia, kary, zesłania i śmierci. Czy możemy się w niej domyślać Józefa Stalina? Trudno powiedzieć. Pewne jest jednak, że ofiarą owego bezdusznego sposobu postępowania stała się sama Watowa – o jej zesłańczym losie nie zadecydowała przecież zemsta, zawiść czy resentyment, a czysta, pozbawiona owej „namiętności myśliwego" kalkulacja. Ciekawe jest też to, ostatecznie motyw ten wraca do swego początku, czyli szamańskiej przepowiedni. Owad usunięty z lepianki mści się na Aleksandrze, sprowadzając nań chorobę – tyfus. W tym samym czasie dopełnia się też

[193] P. (Ola) Watowa, *Sznur*..., s. 2.
[194] Tamże.

83:4257347258

los łagiernika. Watowa, idąc do szpitala, znów dostrzega na drodze chmurę, choć tym razem to, co widzi, budzi wyłącznie litość:

> I w tej jeszcze nieopadłej, iskrzącej się chmurze pyłu, zobaczyłam postać ludzką na czworakach. Pełzał z trudem, zastanawiając się nad każdym ruchem, który posuwał go naprzód i najwyraźniej sprawiał mu ból. (...) Głowę miał nisko opuszczoną, tylko od czasu do czasu, podnosił ją z wysiłkiem w górę, jakby tam szukając pomocy? czy odpowiedzi? I kiedy nagle zrównał się ze mną i znieruchomiał — na jednej ze stacyj swojej męki — obrócił ku mnie głowę, poznał mnie i uśmiechając się słabo i tak jakoś żałośnie powiedział cicho: "To już moja ostatnia droga". Czołgał się na czworakach do pobliskiego szpitala, brudnego baraku, gdzie nieszczęśliwi tak samo jak i on ludzie umierali z nędzy, głodu i tyfusu[195].

Degradacja łagiernika postępuje. Na jednej z ostatnich „stacyj swojej męki", sam zamieniwszy się w psa (sic!), czołga się na czworakach na swoją „golgotę". Zrządzenie losu sprawia, że w ostatniej drodze towarzyszy mu Watowa, która – wiedziona współczuciem i czymś silniejszym, jakimś *fatum* – staje się jedyną świadkinią jego umierania: „Jakaś siła kazała mi iść za nim, nie mogłam go opuścić". Być może pojawia się na jego drodze, by doprowadzić do ostatniej stacji i łagiernika, i opowiadaną historię:

> Szpital był przepełniony. Ułożono go w przybudówce, w małej, rozwalonej klitce zbitej z desek, prawie całkiem otwartej. Było lato, więc to było „dopuszczalne". Położono go na wyrku, na garstce słomy przykrytej grubym szarym prześcieradłem. Zabrakło pod głową poduszki, ale on tego nie czuł. Leżał przede mną długi, i w każdej cząstce jego wychudzonego ciała, czuło się odprężenie (...)[196].

Warto zwrócić uwagę, że przestrzenny układ tej szpitalnej sceny przywodzi na myśl znany obraz Andrei Mantegni pt. *Opłakiwanie zmarłego Chrystusa*: podobne są i na obrazie, i w opowiadaniu układ ciała i punkt widzenia. Skrót perspektywiczny, w jakim malarz przedstawił opłakiwanego Chrystusa odpowiada sformułowaniu narratorki „leżał przede mną długi", jakby patrzyła na umierającego łagiernika z tego samego miejsca, od strony nóg. Monochromatyczność obrazu także powtarza się w relacji Watowej – szarość okrycia to jedyna, a przez to dominująca całą scenę, barwa. Skojarzenie opowiadania Watowej z obrazem Mantegni nie wywołuje w nas, czytelnikach, żadnego interpretacyjnego przewrotu. Przeciwnie, potwierdza wszystkie

[195] P. (Ola) Watowa, *Sznur*..., s. 2.
[196] Tamże.

84:9767752273

wcześniejsze intuicje o biblijnej proweniencji, domykając zarazem ten ciąg odwołań. Znani z ewangelicznych relacji uczestnicy, gapie, widzowie Chrystusowej męki nie mają wglądu w całość wydarzeń. Widzą tylko wycinek – jeden lub parę. Tak samo Watowa. Towarzyszy męce Chrystusa-łagiernika dwukrotnie i za każdym razem przez przypadek, a całości zdarzeń może się jedynie domyślać. Łagiernik pociąga ją, przywołuje, a zarazem odpycha. I ostatecznie musi go zostawić, niejako odwrócić się od tamtego cierpienia i śmierci, aby wrócić do rodziny – do Aleksandra i do Andrzeja. Nowelkę kończy słowami: „Zostawiłam go i poszłam do męża". Dostrzegamy tu symbolikę wyparcia się świętości, ale to też inna świętość od biblijnej. Można powiedzieć, że to jedyna możliwa świętość w Sowietach, na nieludzkiej ziemi. Chrystus składający ofiarę dla zbawienia całej ludzkości zamienia się w Chrystusa-łagiernika, od którego – niczym *homo sacer* – każdy może się bezkarnie odwrócić, skazując go na głodową śmierć, a zarazem jego śmierć nie może zmienić się w ofiarę[197].

Niewykluczone, że opowiadanie *Sznur* miało być odpowiedzią na wezwanie zawarte w „testamencie" Wata. Przypomnijmy: „gdyby chciała i zdołała zacząć pisać! Gdybyż to! Przede wszystkim o paszportyzacji i nędza choroby w Ili". Watowa wezwanie to wypełniła, lecz nie wprost. Choroba Aleksandra staje się pretekstem do opowiedzenia historii, ale historia ta nie czyni choroby swym centrum. Przeciwnie: krąży wokół niej, wokół niej się nadbudowuje, a jednak choroba nie staje się nigdy tematem przedstawienia, pozostaje zaledwie zasugerowana w wygłosie opowiadania i możemy się tylko zastanawiać, czy choroba była karą za usunięcie modliszki, czy za porzucenie umierającego Chrystusa-łagiernika. Ambiwalencja pisarskiego doświadczenia Watowej uzewnętrznia się tu z całą mocą: wszystko, co najważniejsze w jej pisaniu związane jest z Aleksandrem, lecz jednocześnie narracyjne centrum zajmuje zawsze ona i jej historia (*herstoria*).

[197] G. Agamben, *Część druga. Homo sacer* (passim), w: *Homo sacer. Suwerenna władza i nagie życie*, przeł. M. Salwa, posłowie P. Nowak, Warszawa 2008, s. 101-159. Agamben pisze: (...) *homo sacer* należy do Boga pod postacią niemożności złożenia w ofierze i włączony jest do społeczności pod postacią możliwości bycia zabitym. Życie, którego nie można złożyć w ofierze, a które jednak można zabić, jest życiem świętym". (Tamże, s. 114-115). Marcin M. Bogusławski wyjaśnia, że święty człowiek: „Sytuując się w przestrzeni wyznaczonej przez możliwość bycia zabitym i niemożliwość bycia złożonym w ofierze, *homo sacer* jest człowiekiem, którego tożsamość ogołocono ze wszelkich ludzkich cech i zredukowano wyłącznie do nagiego, a więc zagrożonego śmiercią życia. Właśnie do tego nagiego życia, „które przeżyło swą śmierć", życia nieustannie na śmierć wystawionego, sprowadza się, według Agambena, sens świętości przypisywanej świętemu człowiekowi". Zob. M. M. Bogusławski, *Homo sacer w świecie chaosu: szkic o związkach Agambena z Nancym i Serres'em*. „Analiza i Egzystencja" 2010, nr 12, s. 206.

85:5824702152

Paszportyzacja

Jako druga, wśród opublikowanych tekstów Watowej, na szpaltę trafiła *Paszportyzacja,* wydana przez Jerzego Giedroycia w „Zeszytach Historycznych" w 1972 roku, a w 1984 roku przedrukowana we *Wszystko co najważniejsze.* W lutym 1971 roku Ola utyskiwała pisząc do Miłosza:

> (...) ponieważ stan mój trochę się polepszył (od długiego czasu biorę środki antydepresyjne) – wydaje mi się, że lepiej pracuję, że większy jest teraz porządek w papierach Aleksandra. I postanowiłam spróbować opisać paszportyzację w Ili, na czym Aleksandrowi zależało i wierzył, że ja to dobrze zrobię. Ale to, co umiałam tak żywo opowiedzieć, obrazowo, i czego Aleksander słuchał zawsze z zainteresowaniem, wychodzi mi teraz statycznie, martwo. Chciałabym bodaj na chwilę odzyskać w sobie to widzenie, ten dar słowa, tę chęć i przyjemność, jakie dawało mi opowiadanie. Na razie nic z tego[198].

Mimo trudnej sytuacji życiowej, Watowa nie zapomniała o – jak to nazywa wprost w audycji radiowej – „zleceniu" od męża[199], jakie dostała w dniu jego śmierci. Zły stan zdrowia długo nie pozwalał jej wypełnić zobowiązania, lecz z końcem roku najwyraźniej przezwyciężyła te trudności i powróciła do tematu, mając już na swoim koncie pewne postępy:

> Napisałam o paszportyzacji, koło 80 str. maszynopisu. Zrobiłam to dla Aleksandra, pamiętasz, nie zdążył tego powiedzieć i zdawało mu się, że ja potrafię. Jeżeli Ci to prześlę, to tylko, abyś mi powiedział, czy nie skompromituję A. moją grafomanią, jeśli zdecyduję się dać do druku. Bo chyba warte odnotowania są wszystkie, podane tam, fakty prawdziwe[200].

Po niemal trzydziestu latach od opisywanych wydarzeń, Watowa usiadła do maszyny i wbrew stanowi zdrowia, opisała „wszystkie, podane tam, fakty prawdziwe". Akcja tzw. paszportyzacji, która stała się tematem tego szkicu, została przeprowadzona w 1943 roku z inicjatywy Józefa Stalina i Ławrientija Berii na mocy rozporządzenia NKWD[201] i objęła swoim zasięgiem teren Związku Radzieckiego oraz pozostałych republik związkowych, a więc także

---

[198] Cz. Miłosz, O. Watowa, *Listy o tym, co najważniejsze* (45. Ola Watowa, 19 II 1971), Kraków 2009, s. 69.
[199] Nagranie audycji radiowej pochodzi z prywatnego archiwum Andrzeja Wata. Niestety, kaseta zawiera niepełny opis: Interviev: Ola Wat. 25/03/90, mai 90 (Varsovie). Nie odnalazłam nazwiska redaktorki ani też nazwy stacji.
[200] Cz. Miłosz, O. Watowa, *Listy o tym, co najważniejsze* (47. Ola Watowa, 10 VIII 1971), Kraków 2009, s. 71.
[201] Rozporządzenie nr 205 z dn. 9.02.1943 roku. D. Boćkowski, *Paszportyzacja*, w: *Czas nadziei. Obywatele Rzeczypospolitej Polskiej w ZSRR i opieka nad nimi placówek polskich w latach 1940–1943*, Warszawa 1999, s. 239.

86:8442425118

Kazachstanu. Ponieważ przyjęcie sowieckiego „paszportu", równało się z przejęciem radzieckiego obywatelstwa, ukazodawca przypuszczał, że napotka na opór, dlatego od razu przewidziano nie tylko przebieg akcji, ale także prawne konsekwencje wynikające z odmowy przyjęcia obywatelstwa. W dyrektywie czytamy, że: „Osoby sądzone z tego artykułu powinny [były] pozostać do zakończenia rozprawy w areszcie tymczasowym. Czas rozpatrzenia sprawy i wydania wyroku nie powinien przekroczyć 5 dni"[202]. Akcja trwała wiele miesięcy, a na jej końcu „obywatelstwo nadano 165 208 osobom. Za obywateli polskich formalnie uznano tylko 24 151 osób"[203]. W pierwszej grupie znalazła się Ola Watowa, w drugiej jej mąż, Aleksander.

W czasie berkeleyowskich nagrań autor *Ciemnego świecidła* miał wiele sposobności, by opowiedzieć o oporze, na jaki NKWD-ziści napotkali w wiosce Ili, dokąd zostali zesłani Watowie. Ostatecznie rozmowa zwykle zbaczała na inny temat – przynajmniej takie wrażenie może odnieść czytelnik *Mojego wieku.* W rzeczywistości Aleksander na temat akcji paszportyzacji opowiedział wszystko – wszystko, co przeżył oraz wszystko, czego doświadczył: dłużej zatrzymuje się przy powodach zorganizowania akcji przez Sowietów oraz znaczeniu Związku Patriotów Polskich, anegdotycznie opowiada o „wizycie" enkawudystów w lepiance, a już w poważnym tonie o oddzieleniu go od pozostałych aresztowanych. W jego rozproszonych wspomnieniach znajdziemy też opowieść o współwięźniach, pułkowniku Omarchadżewie, a także historię powracającą w prywatnych notatkach, które zmaterializowały się później jako *Dziennik bez samogłosek:*

> Najwyższym punktem mojej adoracji dla Oli był i jest moment, gdy w *Trietiem Otdieleniju* zapytała, czy wezmę paszport, i po moim zaprzeczeniu przeszła na inne tematy, wiedząc, że ta odpowiedź oznacza zgubę i ciężką, nierychłą śmierć nas trojga[204].

Opowieść Wata o paszportyzacji zamyka się sceną wypuszczenia go z więzienia – zamiast do łagru, trafia z powrotem do Ili, domyślając się w tym niezwykłym zwrocie akcji czyjejś protekcji: „Nie posłali mnie do łagru. (...) i jestem przekonany, że jakiś Berman czy ktoś inny w Moskwie wpłynął na to, bez mojej wiedzy, bo nie miałem z nimi żadnego kontaktu"[205]. Jak więc rozumieć

---

[202] Dyrektywa Prokuratury i Ludowego Komisariatu Sprawiedliwości Komi ASRR z 10 marca 1943 r. do wszystkich prokuratur i sądów republiki o porządku wydawania paszportów radzieckich byłym polskim obywatelom, CGA Komi, f. 1242, op. 1, d. 15, s. 31. Cyt. za: D. Boćkowski, *Paszportyzacja*..., s. 239.

[203] Notatka Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych ZSRR Ł. Berii dla J. Stalina o Polakach znajdujących się na terytorium ZSRR według stanu z 15 stycznia 1943 r., Z archiwów sowieckich, t. 3: Konflikty polsko-sowieckie 19421944, oprac. Wojciech Roszkowski, Warszawa 1993, s. 12. Cyt. za: D. Boćkowski, *Paszportyzacja*..., s. 239.

[204] A. Wat, *Dziennik bez samogłosek...*, s. 135.

[205] A. Wat, *Mój wiek*... t. 1, s, 199.

87:2380596694

słowa Wata skierowane – o czym już była mowa – do Watowej za pośrednictwem syna Andrzeja, gdy prosi by ta zaczęła pisać: „Przede wszystkim o paszportyzacji (do tego w Berkeley[owskich] nagraniach nie doszedłem)”[206]? Można by pomyśleć, że chodzi tu o proste uzupełnienie jego autobiografii, jego opowieści, lecz opowieść ta, mimo że rozproszona, jest przecież kompletna, nie dostrzegamy w niej żadnych luk. Co więcej, taki ogląd rzeczy jest wynikiem myślenia anachronicznego, bowiem Wat, ten w 1967 roku, postrzegał się w roli życiowego bankruta, co zważywszy na fakt, że formułował tę myśli w liście samobójczym, należy potraktować z absolutną powagą. Przypomnijmy jego słowa:

> po pierwszych próbach pokornego pisania (chaotycznych) wszystko się we mnie wyklarowało i panowałem nad techniką pisania. Tymczasem właśnie w okresie wyjazdu do Ameryki nastąpił krach i kończę jak bankrut, haniebnie, nie spłaciwszy długu[207].

Należy mieć na uwadze, że Wat popełnił samobójstwo w 1967 roku, kiedy praca nad *Moim wiekiem* była jeszcze w powijakach. Jak wiemy, „autor (...) przed śmiercią zdołał zadiustować tylko pewną partię przepisywanego tekstu”[208], by pracę tę przerwać aktem samobójczym. Był to moment, gdy zdecydowanie nie mógł się spodziewać, że ktoś podejmie pracę nad nieprzepisanym jeszcze stosem taśm. Takich oczekiwań nie mógł mieć ani w stosunku do Miłosza, ani tym bardziej swojej żony, która nie posiadała do tego ani środków, ani w zasadzie umiejętności. Mógł być niemal pewny, że „pamiętniki” nie powstaną, tak więc opowieść żony nie miałaby czego uzupełniać.

To, do czego Wat nie doszedł w „Berkeley[owskich] nagraniach” to opowieść Oli, którą przecież dobrze znał i „słuchał zawsze z zainteresowaniem”. Wiemy przecież, że Watowa również stała się ofiarą enkawudowskiej akcji paszportyzacji, o czym umiała „tak żywo opowiedzieć, obrazowo”. Ich opowieści różniły się zasadniczo – Wat, wywieziony do aresztu wcześniej niż pozostali, „zaraz po przybyciu do Ałma-Aty został odseparowany od reszty więźniów i umieszczony oddzielnie, jako instygator buntu Polaków”[209], natomiast Watowa i pozostali polscy „grażdanie” zostali przewiezieni tam „któregoś dnia”, gdzie najpierw pędzeni i bici, a potem przesłuchiwani, trafili w końcu do cel więziennych. Ola była świadkinią i uczestniczką nie tylko

[206] A. Wat, *Ostatni zeszyt*, s. 15.
[207] Tamże, s. 15.
[208] R. Habielski, *O czytaniu Mojego wieku*, w: A. Wat, *Mój wiek*..., s. 547.
[209] O. Watowa, *Paszportyzacja*..., s. 161.

88:1070280847

heroicznego oporu wobec „gwałtu popełnianego na zesłańcach polskich”[210], ale także wspólnej niedoli i wstydu po przyjęciu sowieckiego obywatelstwa:

> Wreszcie byliśmy w komplecie. Chyba ze stokilkadziesiąt osób. Potykając się na obolałych nogach, w cudzym, cuchnącym, przeważnie o wiele za dużym obuwiu, bez żadnej już nadziei, ruszyliśmy w powrotną drogę. W łachmanach – sami sobie wydaliśmy się łachmanami – Sowieccy obywatele![211].

Jej opowieść zakłada inną, lecz równoważną i niesuplementarną perspektywę. Ważność tej historii zasadza się bowiem na współprzeżywaniu i zjednoczeniu w patriotycznym zrywie społeczności wyrzuconej przez los na nieludzką ziemię. Doświadczenie, które nosiła w sobie Watowa, a którego on nie był świadkiem, należało opisać. Domyślamy się, że gdyby Wat znajdował się w innej sytuacji życiowej i mógł pracować nad swoją książką – wciągnąłby jej historię w ramy swojej opowieści. W 1967 roku wiedział już, że jest to niemożliwe, więc „zlecił” to Oli. W sformułowaniu o bankructwie zaszyfrowane są bowiem jeszcze inne sensy: nie chodzi tylko o chorobę, wręcz może najmniej o chorobę, chodzi przede wszystkim o bankructwo pisarskie, o niewypełnienie roli pisarza zobowiązanego przez historię do dania świadectwa swym dramatycznym czasom – stalinizmowi, komunizmowi, XX wiekowi, które stały się obsesją, chodzi też *last but not least* o brak środków do życia. Poczucie bankructwa, jakie się tu wyłania, musiało być totalne, ponieważ odbierając sobie życie, równocześnie pozbawiał się szansy na przekazanie tych ważnych generacyjne i historycznie doświadczeń, ważnych dla niego nie tylko ze względu na swoją prywatną – by tak rzec – wyjątkowość. I właśnie dlatego wydaje się, że namawiając Watową do opisania paszportyzacji, nie namawia jej do stworzenia dopisków do biogramu wielkiego poety, suplementu do jego historii, do uzupełnienia braków, lecz namawia ją, aby dała świadectwo swego losu wplątanego w wielkie wypadki, prosi ją o dołożenie kolejnej cegiełki do tej wielkiej historii. Powtórzmy, nie do jego historii, lecz do historii XX wieku.

Kiedy Watowa zasiadła do pracy nad *Paszportyzacją,* była świadoma zwielokrotnionej presji, która na niej ciążyła: miała wystąpić w roli pisarki – a przecież Wat przewidywał „nawet bestsellera”; dać świadectwo zbiorowemu doświadczeniu, o którym nie wolno było pisać w granicach powojennej Polski; i nie skompromitować swoim pisaniem Aleksandra – do czego nawiązuje *expressis verbis* – bo to mogłoby zaszkodzić niewydanym jeszcze „pamiętnikom”.

[210] O. Watowa, *Paszportyzacja...,* s. 148.
[211] Tamże.

89:3457422321

Nie odnalazłam żadnych dokumentów genezy, które mogłyby pomóc w prześledzeniu procesu pisania *Paszportyzacji.* W kontekście genetycznym interesujące jest jednak to, w jaki sposób wspomnienia Wata o paszportyzacji wchodzą w układ zależności z tekstem Oli. W „Zeszytach Historycznych" czytamy:

> Mąż mój, Aleksander Wat, w „Pamiętnikach" swoich nie zdążył opisać dramatycznej akcji, zmuszania Polaków do przyjmowania obywatelstwa sowieckiego, tzw. paszportyzacji. (...) Do akcji, która była jeszcze jednym gwałtem popełnianym na zesłańcach polskich, mąż mój przykładał wielką wagę. (...) Tych kilka miesięcy walki, podczas których odegrał on w Ili rolę instygatora buntu ludności polskiej, uważał Aleksander Wat za wydarzenie dużej miary w swojej wojennej odyseji[212].

W kilku inicjalnych zdaniach autorka tekstu tłumaczyła się ze swoich motywacji pisarskich: w pierwszej kolejności wskazywała na swojego męża, który przed śmiercią nie zdążył opisać tej dramatycznej akcji. Czytelnik więc milcząco zakłada, że to ona wystąpi w jego zastępstwie, a przywołane zdarzenia będą czymś w rodzaju relacji z tego, co wcześniej usłyszała. Z jednej strony autorka tekstu, powołując się na imię męża, przedstawiała siebie jako osobę godną zaufania, gdyż jej opowieść została uwiarygodniona poprzez autorytet samego „instygatora buntu" (nabierała więc „podstaw do sytuacji"), z drugiej, pomniejszała własne kompetencje twórcze, bo jak wiemy, lwia część tej opowieści, to wydarzenia, w których sama brała udział, kiedy Aleksander przebywał odseparowany w areszcie. Rozumiemy też, że drugim, równoważnym czynnikiem były prawda historyczna i sprawiedliwość, które miały wybrzmieć na kartach tej opowieści. Tym samym Watowa deklarowała chęć przysłużenia się większej i ważniejszej sprawie. Można by więc uznać, że udało jej się, w zgodzie z konwencjonalną topiką skromności, zachować „proporcję między rzeczową rekomendacją, a wiarygodną skromnością[213]".

Imię Wata powraca w pierwszych partiach tekstu, kiedy autorka cytuje fragmenty niewydanych wówczas „pamiętników", wpierając się nimi narracyjnie. Cytacje obejmują zarówno pojedyncze sformułowania:

[212] O. Watowa, *Paszportyzacja*..., s. 148.
[213] M. Stanisz, *Topika skromności w autorskich przedmowach do zbiorów lirycznych z pierwszej połowy XIX wieku*, w: *Wypowiedzi zalecające w książce dawnej i współczesnej*, red. M. Jurczykowa, B. Mazurkowa, Katowice 2015, s. 251.

90:3566361838

> W tym okresie narzucona przez NKWD paszportyzacja zbiegła się z równoczesnym i oficjalnym zarządzeniem Związku Patriotów i — jak przypuszczał mój mąż — w „zharmonizowanej zmowie z jego przywódcami”[214].

Jak i większe fragmenty[215], np. diagnozę ówczesnej sytuacji politycznej przedstawionej przez Wata podczas berkleyowskich sesji, a tu przywoływanej niemal na prawach źródła historycznego:

> Paszportyzacja przymusowa nastąpiła w marcu 1943 roku i jednocześnie z paszportyzacją w tymże marcu 43-go roku został zalegalizowany Związek Patriotów. Jego wysłannicy od razu przejęli opustoszałe biura Delegatury i olbrzymie magazyny darów amerykańskich. Paszportyzacja i zalegalizowanie Związku Patriotów było jednoczesne i należało do jednego planu: obrócić milion czy półtora miliona Polaków w poddanych sowieckich i jednocześnie dać im nadzieję powrotu do Polski. Związek Patriotów Polskich został założony na bazie obrócenia w poddaństwo sowieckie tego półtora miliona Polaków. Wszyscy Polacy ze „Związku Patriotów”, razem z całą armią i z całym sztabem tych wielkich patriotów weszli przecież do Polski jako obywatele sowieccy[216].

Transkrypcja *Mojego wieku* posłużyła więc jako podpora narracyjna, choć zabieg ten miał jeszcze inną ważkość – najpewniej miał uwidocznić i uwypuklić samo istnienie „pamiętników”, z wydaniem których Watowa miała problemy jeszcze przez następnych kilka lat. Powołując się w tekście na autorytet męża, robiła to świadomie, choć nieco na wyrost, bowiem jego nazwisko było rozpoznawalne tylko w ograniczonych kręgach odbiorców. Być może był to chwyt zaplanowany i to właśnie do nich, konkretnych osób, kierowała swój wstęp. Fragmenty pamiętników utkane między jej *Paszportyzacją*, mogły stać się czymś na kształt zachęty (reklamy?), zapowiedzi obszerniejszego materiału lub przypomnienia się środowisku emigracyjnemu. Dodajmy, że *Paszportyzację* przyjął do druku w „Zeszytach Historycznych” Jerzy Gierdoyc, ten sam, który nie raz odmawiał Watowi zawodowego zainteresowania. Nawet bez zgody „Redaktora”, Watowej udało się znaleźć sposób na opublikowanie tekstów męża.

---

[214] O. Watowa, *Paszportyzacja*..., s. 150.

[215] W *Moim wieku* możemy przeczytać ten sam fragment, w nieco zmienionym kształcie: „Nastąpiła przymusowa paszportyzacja w marcu 1943 roku i jednocześnie z paszportyzacją został wreszcie zalegalizowany Związek Patriotów, też w marcu 1943 roku. To było jednoczesne i należało do jednego planu. Obrócić milion czy półtora miliona Polaków w poddanych sowieckich i jednocześnie dać im nadzieję wydostania się przez założenie Związku Patriotów, przystąpienie do którego dawało nadzieję, że przestaniesz być obywatelem sowieckim, że wrócisz do Polski. Związek Patriotów Polskich został założony na bazie obrócenia w poddaństwo sowieckie tego półtora miliona Polaków. Wszyscy Polacy ze Związku Patriotów razem z całą armią i z całym swoim sztabem wielkich patriotów weszli przecież do Polski jako obywatele sowieccy”. Zob. A. Wat, *Mój wiek*..., t. 1, s. 161.

[216] O. Watowa, *Paszportyzacja*..., s. 150.

91:2727227926

W efekcie tych zabiegów dochodzi przy okazji do interesujących napięć tekstowych. Narracja Watowej pochłania cytowane fragmenty „pamiętników", które tym samym stają się integralną częścią jej tekstu. Można by rzecz, że sytuacja wywróciła się na nice – pierwotnie Wat chciał „wchłonąć" opowieść Watowej do swojej opowieści, tymczasem to fragmenty jego „pamiętnika" niespodziewanie stały się dodatkiem, suplementem, do tekstu Oli.

Zmierzch falstartów

„Spisać wspomnienia..."

Zadaniem badaczki dokumentów genezy jest prześledzenie procesu powstawania utworu na podstawie możliwie pełnego materiału dokumentującego ten proces, zmierzającego – poprzez fazę poprzedzającą pisanie, proces pisania, fazę przed-wydawniczą – do „szczęśliwego zakończenia", które de Biasi nazywa fazą wydawniczą[217]. Można więc założyć, że opisane dotąd wysiłki Oli Watowej również zmierzały do tej ostatniej, wydawniczej fazy (a niektóre z nich, takie jak *Paszportyzacja* i *Sznur,* w istocie się w niej sformalizowały). Jednym z najobszerniejszych dokumentów, świadczących o tym, że w pewnym momencie praca nad wspomnieniową książką przeobraziła się w coś więcej niż serię falstartów, jest brulion rozpoczynający się od słów, będących swoistą mantrą Watowej: „Spisać wspomnienia..." (SW), będący też, pod względem teleologii i chronologii powstawania, najbardziej zagadkowym maszynopisem w zrekonstruowanym przed-tekście.

Co czyni go tak wyjątkowym i zarazem problematycznym? Otóż, na 37 kartkach (45 stron, pozostawionych w dwóch kopiach, z zaznaczoną korektą autorską) autorka istotnie zmieściła swoje wspomnienia – przede wszystkim z okresu zsyłki do Kazachstanu (a w ostatniej partii, przywołała też doświadczenia z przedwojennej Warszawy), ale niełatwo określić ani kiedy te zapiski powstały, ani – co dziwi jeszcze bardziej – dlaczego nie zostały opublikowane. To zdumiewa, ponieważ maszynopis jest kompletny, zawiera poprawki i skreślenia (czynione czarnym i czerwonym długopisem oraz czerwonym pisakiem), lecz widoczne korekty świadczą o tym, że autorka na tym etapie pracy, co prawda, nie powzięła ostatecznych decyzji, ale mimo to, pod względem kompozycyjnym, można uznać, że spisane na maszynie wspomnienia są zamkniętą

[217] P.-M. Biasi, *Genetyka tekstów*..., s. 62.

92:7867518658

całością, gotową, by wprowadzić je – mówiąc językiem krytyki genetycznej – do kolejnej, przedwydawniczej fazy pisania. Domknięcie kompozycyjne potwierdza też istnienie planu, odnalezionego przeze mnie wśród notatek Watowej, spisanego jej ręką (Rękopis 1.), który składa się z 54 punktów, wiernie odpowiadających kompozycji SW (Rękopis 1 *in extenso* znajduje się w aneksie).

Niejasności

Wygląda więc na to, że z czasem autorka pokonała trudności i blokady związane z pisaniem i przeszła z etapu falstartów (z fazy poprzedzającej pisanie) do fazy pisania, ale nie zdecydowała się na dalsze kroki. Wykluczam sytuację, w której brulion nie został wydany (przynajmniej we fragmentach) ze względu brak zainteresowania wydawców. Jest to mało prawdopodobne, zważywszy na fakt, *że spiritus movens* SW był Józef Czapski, o czym Watowa wspomina już na samym początku: „Namawia Józio Czapski – uważa, że jest to moim obowiązkiem" (SW, s. 578). Warto przy okazji przypomnieć, że to również on był pomysłodawcą tytułu jej opowiadania (*Sznur*) i zapewne jego uważnym czytelnikiem. Z kolei z korespondencji z Jerzym Giedroyciem[218] dowiadujemy się, że wspomagał ją dobrą radą w sprawie *Paszportyzacji.* W pierwszym akapicie SW autorka tegoż wyznaje, że do napisania wspomnień zachęcił ją właśnie autor *Na nieludzkiej ziemi* – być może robił to, zachęcony wynikiem jej wcześniejszej pracy nad wspomnianymi tekstami.

Co więcej, jeśli przyjrzymy się bliżej temu brulionowi, od razu dostrzeżemy, że w wielu punktach nakłada się on na wydane we współpracy z Trznadlem *Wszystko co najważniejsze*. Studiując wspomniany plan można by nawet uznać, że to w zasadzie ta sama opowieść autobiograficzna, choć przy bliższej lekturze staje się widoczne, że SW różni się. 1. kompozycyjnie – przez co ujawnia inną niż znana nam z rozmów z Trznadlem, hierarchię motywów i powiązań między nimi, 2. środkami wyrazu, bo napisana jest przy pomocy odmiennych, i co ważne, własnych słów oraz autonomicznie wykoncypowanych struktur, dzięki

[218] List Oli Watowej do Jerzego Giedroycia (Paryż, 17 X 1971 r.) pochodzi z prywatnego archiwum Andrzeja Wata: „Drogi Panie Jerzy, ucieszyła mnie wiadomość, że praca moja nie poszła na marne, że będzie drukowana. Chciałabym jednak przekonać Pana do pozostawienia jednej z odrzuconych przez Pana części "Paszportyzacji". Mianowicie "Celi Trzeciego Otdielenia". (...) Gdyby się Pan na to zgodził bardzo bym była wdzięczna. Załączam jednocześnie projekt zakończenia tekstu, tak jak to mi w porozumieniu z panem, sugeruje Czapski". (Paryż, 17 X 1971 r.).

93:5808787230

czemu przynosi nowe sensy, 3. (w najmniejszym stopniu) tematycznie – brulion SW jest objętościowo krótszy, co wynika to z faktu, że autor *Hańby domowej* nalegał na rozmowę o interesującym go dwudziestoleciu międzywojennym i Lwowie, tak więc *Wszystko co najważniejsze* jest o te wątki poszerzone. O innych rozbieżnościach będzie mowa w dalszej części rozprawy. Mimo wymienionych różnic, powody zaniechania prac nad SW stają się niejasne i niezrozumiałe, tym bardziej, że pozostaje też, odbijająca się echem, realizacja (wielokrotnie już przeze mnie cytowanej) ostatniej woli Aleksandra. Wiele punktów – poza epizodem lwowskim – udało się Watowej wypełnić bez współautorstwa:

1) paszportyzacja – *Paszportyzacja*, „Zeszyty Historyczne", 1972,
2) „nędza choroby w Ili" – *Sznur,* „Zeszyty Literackie", 1972,
3) zsyłka – SW punkty: 1, 2, 3, 9-50,
4) Ałma-ata – częściowo: *Paszportyzacja* „Zeszyty Historyczne" 1972,
5) „może i Warszawa" – SW punkty: 51-53.

Czy to obecność Trznadla zadziałała jak dodatkowy bodziec? A może to wydanie *Mojego wieku* mogło wpłynąć na decyzję Watowej, by wydać wspomnienia? Być może należy spojrzeć na jej motywacje nieco szerzej, używając klucza, który sama nam podsunęła, gdy w rozpaczliwym liście do Miłosza przyznała, że nie chce wyjść ze stanu żałoby[219]:

> Może dlatego, że żyję jak w jakimś zaklętym kole z Aleksandrem i nie chcę, i nie mogę z tego koła wyjść, boję się utracić cierpienie, które jest teraz dla mnie jedynym szczęściem, ponieważ jest ono dalszym ciągiem naszej miłości. Wydaje mi się, że jak wyjdę z tego koła wspomnień i przeżywania Aleksandra, to polecę w jakąś próżnię[220].

Kolejnym znakiem zapytania jest czas powstania maszynopisu. Interesujące jest tu to, że ten obszerny tekst nie został opatrzony datą. Właśnie przez to nie jesteśmy w stanie precyzyjnie określić ani daty rozpoczęcia, ani zakończenia projektu. Pochylmy się więc nad potencjalnymi możliwościami datowania tego maszynopisu.

Jeżeli przyjrzymy się bliżej planowi SW (który można także potraktować jako spis treści), to zauważymy, że wśród wymienionych 54 punktów znalazły się, dobrze znane czytelnikowi dokumentów genezy, tematy:

[219] Pisałam o tym w artykule A. Gawryś, *Retoryka rozpaczy, retoryka żałoby. O listach Oli Watowej do Czesława Miłosza*, *Rejestry kultury.* Red. K. Olkusz, Wrocław 2019, s. 859-873.
[220] Cz. Miłosz, O. Watowa, *Listy o tym, co najważniejsze* (45. Ola Watowa, 19 II 1971), Kraków 2009, s. 69.

94:3699159076

27. Pierwsza przeprawa przez step wiosną

30. Drugie przejście przez step z Koreańczykiem

31. Noc u Rosjanki. Gramofon

32. Powrót do Iwanówki z Myśliwym

43. Sąd. Noc w stepie

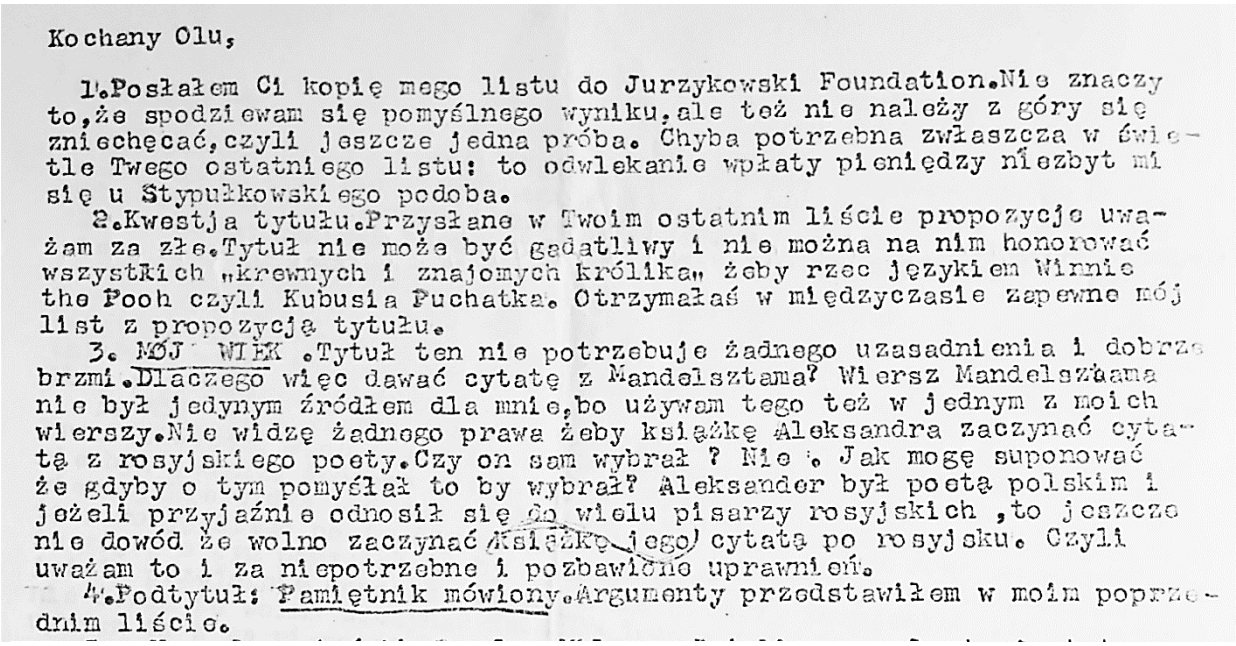
Te tropy wskazują na to, że wcześniejsze: *Pierwsza wędrówka przez step*, *Powrót*, *Wigilia na wygnaniu w stepach kazachstańskich* stanowiły falstarty, swoiste wprawki na drodze prowadzącej do SW, ponieważ wymienione wątki znajdują w nim kontynuacje i rozwinięcia. Można przypuszczać, że proces pisania przebiegał spiralnie – autorka powracała do tematów i opowieści, które następnie albo szlifowała i dopracowywała, albo porzucała. Ponadto w SW jedyny zatytułowany fragment to opowieść *Nocleg w Żarmie i powrót z myśliwym do Iwanówki* – tytuł jest podkreślony i napisany charakterystyczną dla wcześniejszych stadiów pisania majuskułą, co wskazuje na to, że SW wchłonęło poprzednie brudnopisy, które autorka uznała za „gotowe", a pozostałe zostały przez nią odrzucone. Tak więc tu należy upatrywać początków projektu, choć nie początków pisania tego konkretnego brulionu.

W 1972 roku wydała *Paszportyzację* i *Sznur*, których nie włączyła do SW, traktując jako odrębne, autonomiczne projekty. Być może dlatego, że były już opublikowane, uznała, że w swojej biograficznej książce nie powinna powtarzać wcześniej wydanych, znanych już czytelnikom, wspomnień. Jako że najprostsze rozwiązania często pojawiają się najpóźniej, z pomocą przychodzi sam tekst. W pierwszym akapicie Watowa tłumaczy swoje motywacje: „Spisać wspomnienia. To o czym Aleksander nie zdążył powiedzieć w *„*Moim wieku*"* (...) (SW, s. 579), a jednocześnie przypadkiem datuje maszynopis. Pamiętnik mówiony Aleksandra Wata został wydany w 1977 roku, ale tytuł ustalono nieco wcześniej, w 1976 roku[221], o czym dowiadujemy się z korespondencji z Miłoszem: „(...) Kwestja tytułu. Przesyłane w Twoim ostatnim liście propozycje uważam za złe. (...) Otrzymałaś w międzyczasie zapewne mój list z propozycją tytułu. 3. MÓJ WIEK. Tytuł ten nie potrzebuje żadnego uzasadnienia i dobrze brzmi[222]."

Zważywszy na obszerny materiał wspomnieniowy i liczne poprawki, Watowa mogła pisać SW od 1976 nawet do 1981 r., kiedy to rozpoczęła nagrywane „sesje" z Trznadlem. Skłaniałabym się ku tezie, że SW powstawało jeszcze przed wydaniem *Mojego wieku,* po którym intensywnie

[221] Wcześniej, np. w *Paszportyzacji* Watowa nazywa go, roboczo, *Pamiętnikami.*
[222] Archiwum prywatne Andrzeja Wata. List datowany jest na 10 X 1976 r.

95:8259649312



Kochany Olu,

1.Posłałem Ci kopię mego listu do Jurzykowski Foundation.Nie znaczy to,że spodziewam się pomyślnego wyniku,ale też nie należy z góry się zniechęcać,czyli jeszcze jedna próba. Chyba potrzebna zwłaszcza w świetle Twego ostatniego listu: to odwlekanie wpłaty pieniędzy niezbyt mi się u Stypułkowskiego podoba.

2.Kwestja tytułu.Przysłane w Twoim ostatnim liście propozycje uważam za złe.Tytuł nie może być gadatliwy i nie można na nim honorować wszystkich „krewnych i znajomych królika„ żeby rzec językiem Winnie the Pooh czyli Kubusia Puchatka. Otrzymałaś w międzyczasie zapewne mój list z propozycją tytułu.

3. MÓJ WIEK .Tytuł ten nie potrzebuje żadnego uzasadnienia i dobrze brzmi.Dlaczego więc dawać cytatę z Mandelsztama? Wiersz Mandelsztama nie był jedynym źródłem dla mnie,bo używam tego też w jednym z moich wierszy.Nie widzę żadnego prawa żeby książkę Aleksandra zaczynać cytatą z rosyjskiego poety.Czy on sam wybrał ? Nie . Jak mogę suponować że gdyby o tym pomyślał to by wybrał? Aleksander był poetą polskim i jeżeli przyjaźnie odnosił się do wielu pisarzy rosyjskich ,to jeszcze nie dowód że wolno zaczynać książkę jego cytatą po rosyjsku. Czyli uważam to i za niepotrzebne i pozbawione uprawnień.

4.Podtytuł: Pamiętnik mówiony.Argumenty przedstawiłem w moim poprzednim liście.

Fotokopia 8. List Miłosza do Watowej, 10 X 1976 r.

pracowała nad kolejnymi tekstami Aleksandra. Warto dodać, że jeśli wspomnienia SW pisane byłyby później, pod koniec lat siedemdziesiątych, niedługo przed spotkaniem z Trznadlem, to w takiej sytuacji zasadność ich współpracy stałaby przecież pod znakiem zapytania. Ciekawe, że lektura ich rozmów nie zdradza, by współrozmówca wdowy był świadom istnienia takiego maszynopisu. Nie wiedzieli o nim też najbliżsi autorki (syn i wnuk), a także przyjaciółki (A. Łabędzka, M. Gibson, M. Wyka, R. Gorczyńska). Gdyby tak było, być może do nagrywania sesji w ogóle by nie doszło.

Metonimie

Brulion, który nas interesuje, nie jest szczególnie atrakcyjny dla osoby, mającej za sobą lekturę *Wszystko co najważniejsze.* Czytelnik może mieć wrażenie, że maszynopis nie wnosi niczego nowego, a nawet jest uboższy o wiele wątków, jak wspomniane już dwudziestolecie międzywojenne czy czasy lwowskie. Brulion nabiera jednak innego znaczenia, gdy przyjrzymy mu się okiem krytyka genetycznego. To, co najciekawsze w tych wspomnieniach, kryje się bowiem poza tematyką wspomnień.

Lektura SW daje wgląd na przykład w to, jak Watowa, ufając wyłącznie własnym osądom, skonstruowała opowieść. Śledząc kolejne akapity możemy dostrzec, czym kierowała się w toku pracy:

96:5273890766

> Ale od czego zacząć? Czy od przyjazdu do Warszawy? A może - raczej - wyjazdu z Ili, od tych wszystkich strasznych perypetii*ach*, od tej - przedewszystkiem straszliwej niepewności, czy kiedyś wrócimy do Polski. (SW, s. 579)

Wypowiedziane wprost wątpliwości burzą, przynajmniej pozornie, barierę między autorką i czytelnikiem, mogącym obserwować pochyloną nad maszyną pisarkę. Przyglądamy się więc procesowi podejmowania decyzji *in statu nascendi*, a przynajmniej możemy odnieść takie wrażenie. Parabatyczność ma tu znaczenie drugorzędne. Ciąg pytań ma raczej charakter autorefleksyjny niż ironiczny w znaczeniu ironii romantycznej. Być może ma za zadanie utwierdzić samą autorkę w podejmowanych decyzjach. Bezpośrednia, autorska wypowiedź unaocznia nam przecież inicjalną niepewność: „Ale od czego zacząć?". Prosta *doxa* podpowiada, że od początku, choć chronologizacja zdarzeń wydaje się najmniej pożądanym zabiegiem narracyjnym[223]: „Nie piszę w kolejności zdarzeń. Tak mi łatwiej i wydaje mi się, że prawda przeżyć i doznań będzie żywsza". (SW, s. 613). Co to właściwie oznacza? Watowa zestawia ze sobą dwie strategie narracyjne – jedną, tą dla niej „łatwiejszą", rządzi chronologia pamięci, drugą – chronologia kalendarza. Mając na względzie „prawdę przeżyć i doznań" – czyli, jak rozumiemy, uczciwość wobec siebie i czytelnika – autorka stara się, by opowieścią nie zawładnął przewidywalny *chronos*. „Odpamiętywanie", także według psychologów pamięci, rządzi się prawami bardziej złożonymi niż tylko faktografia:

> to, co sobie przypominamy, stanowi amalgamat rzeczywistych zapisów pamięciowych, wniosków wyprowadzanych z wiedzy ogólnej, hipotez na temat tego, jak powinno przebiegać dane zdarzenie oraz wniosków wyprowadzonych z pytania skierowanego pod adresem pamięci. W takiej sytuacji trudno traktować przywoływanie wspomnień jako zwykłe „odpamiętywanie" rozumiane jako odwrotność zapamiętywania[224].

Jak rozumiemy, autorka SW stała po stronie swobodniejszego i niepodporządkowanemu chronologii procesowi przywoływania wspomnień, które złożone są ze skojarzeń, dygresji, powtórzeń oraz przemilczeń. Ciągi skojarzeń zaprowadziły autorkę SW, w pierwszej kolejności, do wyjazdu z Kazachstanu, potem do Moskwy, na step, na krótko do Lwowa (1940), do bydlęcego

[223] Podobne wątpliwości wypowiadała podczas pierwszej rozmowy z Jackiem Trznadlem. Watowa: „Ale jak to sobie wyobrażasz? Zaczniemy od jakiego momentu, od jakiejś chwili?". (K, s. 1).
[224] T. Maruszewski, *Pamięć autobiograficzna i tożsamość*, „Czasopismo Psychologiczne Psychological Journal" 2010, nr 1 (tom 16), s. 25.

97:3838768304

wagonu i znów na zesłanie, a potem do przedwojennej Warszawy. Opowieść rozpoczęła więc tam, gdzie we *Wszystko co najważniejsze* dobiega końca. Przykładem na „żywość" narracji, której była orędowniczką, jest fragment dotyczący powrotu Watów do Polski. Sekwencja skojarzeń na przestrzeni tylko jednego akapitu przebiegła następująco. 1. Komentarz Zofii Lissy dotyczący decyzji Watowej:

> Zawsze zachowam we wdzięcznej pamięci Zofię Lissę, która w tym czasie pracowała w Moskwie w Ambasadzie Polskiej. Pochwala mnie, że nie zaakceptowałam drogi okrężnej, że przyjechaliśmy wprost do Moskwy. (SW, s. 583)

2. przypomina jej o tych, którzy ginęli w podróży, a także prowadzi do syntezy:

> Dużo Polaków poumierało na przesiadkach – w drodze. Dużo Polaków poumierało na posiołkach, dużo Polaków umarło w lagrach, w więzieniach. Z pracy ponad siły ludzkie, z głodu, z mrozu, z chorób, z wycieńczenia. Kto zliczy te wszystkie mogiły rozsiane po tym kraju? Te bezimienne groby.

3. Bezimienne groby ewokują zaś skojarzenie z krewnym Stefanii Skwarczyńskiej (której nazwisko nieopatrznie myli się Watowej z nazwiskiem jej ówczesnej przyjaciółki, Renaty Gorczyńskiej. Sprawy bieżące niechcący wypierają więc to, co wspominane z dłuższej perspektywy czasowej):

> Prof. Stefania ~~Gorczyń~~ ~~ska~~ Skwarczyńska, z którą byłam na posiołku Iwanowka, Semipałatyńskaja Obłast, Żarmińskij rejon, pojechała, a właściwie poszła pieszo kilkanaście kilometrów do pobliskiego posiołka. Umarł tam z głodu ktoś z jej krewnych, czy przyjaciół. Zawiadomiono ją. Pochowano go w kocu. Następnego dnia, grób był rozkopany i koc ukradziony. Dzikie wygłodniałe psy pouciekały na widok Stefanii i towarzyszącej *tej* rodzinie zmarłego. (SW, s. 583)

Warto przy okazji odnotować, że wspomnienie stepu uruchamia w niej pewien automatyzm zachowania. Watowa jakby legitymuje się przed czytelnikiem, wskazując miejsce stałego pobytu, do którego została przypisana („z którą byłam na posiołku Iwanowka, Semipałatyńskaja Obłast, Żarmińskij rejon") w sposób, w jaki zapewne trzeba było się meldować przed „uprawitielem" (brygadzistą). Wracajmy jednak do podstawowego ciągu powstających tu skojarzeń: 4. Głód

98:1912505734

przypomina nie tylko o niedostatku jedzenia, lecz także o związanych z nim udrękach codzienności, jakim był brak naczyń:

> W naszym baraku, z którego na
> zimę wypędzono kobiety z dziećmi i kazano im się lokować u
> miejscowych Kazaków, wzamian za ubrania - jedyna moneta za któ-
> rą można było "kupić" u nich ziarno ~~do prażenia~~, aby godzinami
> kawałkiem żelaza cudem znalezionego przeze mnie w stepie, cudem
> też znalezionej blaszanki po konserwie — tłuc godzinami, aby pod
> wieczór mieć trochę mąki, z którego robiło się lepioszki. Trzy ce-
> gły, na nich kawałek blachy (jeszcze jeden cud), opał - łajno kro-
> wie lub baranie, które zbierało się w stepie i które - wysuszone
> - było jedynym tutaj opałem. Z całodziennej roboty miałam mąki naj-
> wyżej na nieduże cztery pięć lepioszek. Do tego „kipiatok", a po
> wodę chodziłam z butelką, którą jakiś poczciwy Kazak mi dał, szłam
> prawie kilometr, aby tę wodę na kipiatok mieć. Wiadra nie miałam. (SW, s. 584)

5. To prowadzi ją, nie do Warszawy, jak sugerowałby początek akapitu, a wprost do przedwojennego Lwowa – do wspomnienia o przyjaciółce Peipera (która podarowała jej garnuszek) oraz do pani Dembińskiej (która swoją cenną zastawę utraciła):

> Tylko garnuszek ćwierlitrowy, przyniesiony mi wraz z garstką cukru
> i poduszką (dar pani Dembińskiej, u której mieszkaliśmy we Lwo-
> wie) przez poczciwą, dobrą kobietę, przyjaciółkę Tadeusza Peipera,
> który już wtedy wraz z innymi siedział w więzieniu. Udało się jej
> podać mi te dary, kiedy siedzieliśmy już w bydlęcym wagonie. Czoł-
> gała się pod wagonami, całowała po rękach NKWD-ystów, aby jej na to
> pozwolili. Biedna, schorowana pani Dembińska była sparaliżowana. Na
> jej oczach z okrutną bezczelnością, wieloletnia jej i "oddana" słu-
> żąca, wynosiła w towarzystwie jakiegoś draba — srebra, dywany, wszys
> tko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. (SW, s. 584)

Jak wiemy, sięganie pamięcią w przeszłość na ogół nie przebiega linearnie. Fakty przypominają o pewnych wydarzeniach, przedmioty wiążą się z konkretną sytuacją, zdarzenia późniejsze na osi czasu zazębiają się z wcześniejszymi, tworząc ciągi (czasem zaskakujących)

99:5740869460

metonimicznych skojarzeń[225], które wydają się nie mieć końca. Porządek chronologii zostaje więc zastąpiony porządkiem o charakterze metonimicznym. Ma to przełożenie na konstrukcję autobiografii: 1. aczasowość – natężenie nagłych przeskoków narracyjnych sprawia, że wydarzenia stają się ważniejsze niż rozmywający się czas, w którym są osadzone. W związku z tym czytelnik, nie znający biografii autorki, może w pierwszej kolejności odczuwać dezorientację. 2. utkana jest z wielu wątków, które w pierwszej chwili można by uznać za dygresje, pozwalające na poszerzanie opowieści. Dygresje byłyby więc pauzą w głównej narracji, myślą, która przychodzi jakby na boku głównej osi opowieści. Wydaje się jednak, że taka oś albo nie istnieje, albo jest bardzo nieostro zarysowana[226]. Wątki pączkują: niektóre rozwijają się w dłuższe ustępy, inne, przerywane kolejnymi skojarzeniami, są spychane i nie znajdują kontynuacji (jak w przypadku ustępu o powrocie do Polski, który wydaje się być ważnym miejscem w narracji, a ostatecznie urywa się w miarę narastania skojarzeń). 3. Opowieść staje się zdecentralizowana, a jej struktura zbliża się do modelu kłącza – „połączenia rozmaitych „bulw", radykalnie różniącego się od korzenia, to jest formy, jaką przyjmuje tradycja czy historia"[227]. 4. Co przekłada się dalej na hierarchię poszczególnych fragmentów wspomnień. Taki sposób prowadzenia narracji wymyka

[225] Określając pisarstwo Watowej poprzez nadrzędną figurę metonimii zdaję sobie sprawę, że można by tu zastosować pojęcie asocjacji w sposób, w jaki krytyce genetycznej zostało zastosowane przez Olgę Dawidowicz-Chymkowską: „Omawiając proces genezy *Fantomów* Marii Kuncewiczowej, badaczka pisze, że mamy tu „do czynienia z utrzymywaniem chwiejnej równowagi pomiędzy kilkoma różnymi konkurującymi ze sobą zasadami spajania tekstu. W wiązanie wydarzeń przy pomocy asocjacji przenika zasada analogii prowadząca do tworzenia szerszych struktur tematycznych, chronologia czasu pisania ściera się z chronologią biografii, a w poprzek tych układów przechodzi tendencja do łączenia wydarzeń poprzez metaforę fantomu". Zob. O. Dawidowicz-Chymkowska, *Przez kreślenie do kreacji...,* s. 127.

[226] Naturalnie, badacze Wata powiedzieliby teraz, że osią, wokół której ogniskują się wspomnienia Watowej jest niezmiennie Aleksander, ale w rzeczywistości tak nie jest: omawiane tu niepublikowane wspomnienia Watowej nie potwierdzają tej tezy - jako tytuł *Wszystko co najważniejsze* - ciążącej nie tylko na naszym rozumieniu wszystkiego, co Watowa kiedykolwiek napisała, ale, szerzej, na naszym wyobrażeniu o tym, co Watowa w ogólności czuła i myślała w odniesieniu do swego życia. Przykładem tego upraszczającego i apriorycznego założenia jest np. tekst P. Montewki, *Wszystko, co najważniejsze w moim życiu, wiąże się z Aleksandrem... wizerunek męża we wspomnieniach Oli* Watowej, w: *Męskie światy w życiu kobiet. Literatura-historia-język,* pod red. B. Walęciuk-Dejneka, Kraków 2017: „Jednak należy postawić pytanie kim dla Oli Watowej był Aleksander? Przytoczone na początku artykułu wyznanie [Wszystko, co najważniejsze w moim życiu wiąże się z Aleksandrem – dopowiedzenie moje – A.G.M.] staje się esencją wielkiego uczucia, a wszelkie wydarzenia przedstawione we wspomnieniach traktuje się jako uzupełnienie *Mojego wieku* Wata. Stąd prostym wnioskiem jest, że Wat to przede wszystkim obiekt westchnień i miłości, pożądania i oddania kobiety, której nadał sens życia i bez którego czuła się niedopełniona i niespełniona". (s. 239) albo, w tym samym tekście, fragmenty zakrawające o konfabulacje: „Pomimo fatalnych warunków na stepach kazachstańskich, Aleksander nieustannie był dla żony mistrzem i tym poetą, którego pragnęła całe życie, był dla niej uosobieniem piękna i wrażliwości poetyckiej. (...) W okresie kazachstańskim, trudnym etapie jej życia, jedyną nadzieją i siłą był Andrzej, którego kochała tak bardzo ze względu na podobieństwo z Aleksandrem". Tamże, s. 242.

[227] G. Kubiński, *Narodziny podmiotu wirtualnego. Narracja. Dyskurs. Deixis,* Kraków 2008, s. 106.

100:7623144958

się wyraźnym podziałom na to, co ważne i to, co ważniejsze. Wiele wątków przeplata się ze sobą i stanowi (potencjalnie) równorzędne składniki opowieści.

Nieprawdą byłoby twierdzenie, że hierarchia wcale nie istnieje. Zarysowuje się poprzez figurę powtórzenia, figurę dominującą w dyskursie biograficznym Watowej. Powtórzenie to najprostsza figura bytu, która poza słowem poszukuje rzeczywistości, egzystencji i ciała. Stawką takiej literatury opartej na powtórzeniu jest to, co pozatekstowe, jest zakorzenienie w bycie i w jednostkowej historii. Literatura powtarza ruch w kierunku rzeczy-wistości, usiłuje odnaleźć ciało poza słowem i poprzez słowo. Ponieważ to nie słowo jest tu pierwotne, lecz ciało domagające się słowa – rzecz poszukująca znaku, który dałby jej świadectwo. Na temat statusu powtórzenia jako strategii ontologicznej napisano tomy i zajmowali się nim najwięksi, jak Paul Ricoeur czy Gilles Deleuze. Przypadek Watowej dobrze opisuje następująca diagnoza Marcina Wołka, umieszczająca powtórzenie w kontekście „słabego" autorstwa, biografizmu oraz hermeneutyki Ricoeura:

> Powtórzenie, które pozwala przywrócić „dyskurs w dziele", otworzyć tekst na przed-tekst (biografię i osobę autora, jego przeżycia, dążenia, inspiracje, lektury), może być lekarstwem na to zjawisko zatracania siebie w opowieści. Powracanie do pewnych tematów, motywów i postaci na przestrzeni wielu tekstów to sygnał, że nie są one własnością dzieła czy publiczności, lecz autora, elementem jego prywatnego świata. Autor „słaby", rezygnujący z roli mistrza — doskonałego twórcy dzieł skończonych i niepodlegających korektom — autor godzący się na błędy i powtórzenia, to autor żywy[228].

Antysemityzm i (auto)cenzura

Szczególne miejsce wśród powtórzeń we wszystkich dokumentach przed-tekstu, zajmują obrazy życia na stepie w różnych jego odsłonach: przymusowa praca, głód, materialna nędza, kontakty z Kazachami, wędrówki przez step o każdej porze roku – to wątki powracające w większości wspomnień. Szczególnym ich punktem staje się, nieeksponowany ani we wcześniejszych brudnopisach, ani w publikowanych tekstach, wątek zadrażnionych relacji z innymi Polakami zesłanymi do Kazachstanu, który w SW zamienia się w pełną wyrzutu przypowieść o polskim antysemityzmie, przenikającym opowieść Watowej o XX wieku.

[228] M. Wołk, *Autografia i powtórzenie,* w: *Zagadnienia rodzajów literackich,* Tom LVII, Zeszyt 2 (114), Łódź 2014, s. 90.

101:7322088513

Wątek to niełatwy do opisania, bolesny dla mnie jako badaczki, bolesny także – jak zobaczymy – dla Watowej, eksplodował pod jej piórem tylko raz, a jego odpryski znajdujemy w nieobszernych fragmentach we *Wszystko co najważniejsze*. Dramat tego wspomnienia, na który składają się przymus powtórzenia, ból, autocenzura, a nade wszystko wstyd, rozgrywa się w napięciu między transkrypcją rozmów, tekstem opublikowanym oraz SW.

Czytelnik jej książki może pamiętać szerszy rys, jaki Watowa nakreśliła wspominając „ogromne nasilenie antysemityzmu" (WCN, s. 15) w dwudziestoleciu międzywojennym, którego przejawem było wybijanie szyb w żydowskich sklepikach, hasło (powtarzane nawet przez Jarosława Iwaszkiewicza) „swój do swego po swoje", przemoc wobec studentów żydowskiego pochodzenia (w tym brata Watowej), napaści na Żydów spacerujących w Alejach Ujazdowskich, aż w końcu, bardziej osobiste przeżycie związane z kilkuletnim wtedy Andrzejem, który, systematycznie karmiony antysemityzmem przez swoją polską opiekunkę, cieszył się z nieszczęścia żydowskiej sklepikarki, czego gorzki komentarz znajdujemy w książce:

> Więc te bony, które przeważnie pracowały u Żydów, zbierały się w Parku Ujazdowskim, w pięknej alei bzowej, siadały na ławkach i rozprawiały na tematy żydowskie, a te dozorowane przez nie dzieci różnych adwokatów, inżynierów, lekarzy słuchały i nasiąkały tym wszystkim. I tak oto mój Andrzejek przyszedł zachwycony, że to świetnie, że wybijają szyby... (WCN, s. 16).

W transkrypcji odpowiedni fragment układa się niemal identycznie: niemal, gdyż w redakcji dokonano znaczącej podmianki. Na taśmie słyszymy: „i mój Andrzejek przyszedł z tym, rozumiesz, że to jest świetnie, że należy właśnie wybijać Żydów" (N, s. 212). Różnica dokonuje się tu na kilku na raz płaszczyznach wypowiedzi: na poziomie organizacji językowej słyszymy aliterację (Żydów – szyby), organizacja retoryczna wskazuje na litotę redukującej siłą pierwotnego sformułowania, na poziomie semantycznym zaś usunięty zostaje anachronizm zawarty w oryginalnych słowach, który wynika z nawarstwień pamięci, późniejszych przeżyć i świadomości Zagłady. Zabieg redakcyjny jest jednocześnie sensowny (przed Wojną w Warszawie Żydów nie wybijano), a zarazem – domyślamy się – przeciwny intencji opowiadaczki, która w scenę tę wkłada ważny dla niej zestaw emocji. Pomyślmy, z jak paradoksalną sytuacją mamy tu do czynienia: to nie tylko – w ogólności – żydowskie dzieci zostają zarażone antysemickim wirusem, ale – konkretnie – to Andrzej, własne dziecko, zostaje nim zarażone jakby przeciw własnym rodzicom. W słowach Watowej słychać nieusuwalne i trwałe porażenie obrzydliwością tego

102:8972105858

zdarzenia, przesłoniętego później, ale i potwierdzonego przecież okrucieństwem Zagłady, które Redakcja – jako anachronizm – koryguje, lecz jednocześnie – jako cenzor – usuwa.

Na wcześniejszym etapie pisania, we „wstawkach" do SW, gdzie nie było ani redakcji, ani cenzora, oskarżenia zostały wypowiedziane dobitniej:

> Trucizna sączona ~~pod drzewami bzowymi~~ *w alei bzów w Parku Ujazdowskim,* rozmowy guwernantek, które w większości pracowały u ~~Rzydów~~ Żydów - zatruwały serca i umysły dzieci. (Maszynopis 5, s. 624)

Analogicznie przedstawia się omawiany problem, gdy porównamy ze sobą fragmenty dotyczące początków zsyłki, to znaczy podróży w bydlęcym wagonie w towarzystwie wrogo nastawionych polskich zesłańców. Zacytujmy te dłuższe fragmenty chronologicznie – najpierw SW, potem transkrypcję rozmowy i, na koniec, tekst:

> Dostaję miejsce przy otworze klozetowym, siadamy tam z Andrzejem. Ludzie załatwiają swoje potrzeby fizjologiczne i podlewają nasz kocyk.
> Odrazu orientują się, że jesteśmy Żydami. Przy pierwszym sprawdzaniu dokumentów, które po jakiejś godzinie, nastąpiło, porucznik Tadeusz, którego nazwiska zapomniałam — uświadamia szeptem ludzi że Wat to była żydo-komuna, a ja najpewniej jestem podesłana, żeby ich szpiegować. (...) Górował w tym sklepikarz Kierski, o którym będzie jeszcze mowa i który dał mi się we znaki, swoją prawie zwierzęcym antysemityzmem. (SW, s. 584)

> (...) więc po jakieś godzinie, dwóch zjawiło się NKWD i oczywiście *prawierka dokumentow.* I wtedy ujawnia się, kto ja jestem. Wobec tych wszystkich Polaków. A kto mąż? A co robił? A kto? No, i ja mówię, oczywiście... jakie jest moje nazwisko, że mój mąż robił to i to, itd. I wtedy, jak oni poszli, to od razu ten porucznik, Tadeusz, zaczął tam jakiś konszachty z tymi, wiesz, Kierski nie Kierski, wiceministrowa i pani pułkownikowa. I nagle, rozumiesz, ja znajduję się w straszliwej, wiesz, wśród sześćdziesięciu Polaków, którzy – okazuje się – nie wierzą, że ja zostałam tutaj oczywiście wsadzona, też tak jak oni – tylko, że ja jestem, ten Tadeusz wiedział, że Aleksander był komunistą.
>
> Trznadel: Tak.
>
> Watowa: Więc ja jestem szpiegiem, przede wszystkim jestem Żydówką, rozumiesz. I jestem tutaj, żeby ich tutaj podsłuchiwać, szpiegować i donosić. I wyobraź sobie... jazda tam trwała trzy tygodnie. (N, s. 278)

103:2216299946

> W krótkim czasie, bo po jakiejś godzinie, zjawiło się w wagonie NKWD na „prowierku dokumientow ". Wtedy to wywożeni ze mną ludzie usłyszeli moje nazwisko. Po wyjściu NKWD nagle coś się stało. Poczułam, jak wszyscy naraz zaczęli szeptać między sobą, a już szczególnie — jak się okazało — pewien porucznik Wojska Polskiego, pan Tadeusz, który po cichu wtajemniczał wszystkich, kim jestem. Wiedział o przeszłości Aleksandra, o tym, że był on redaktorem „Miesięcznika Literackiego", pisma lewicowego, i z tego wyciągnął wniosek, że zostałam tu po prostu wsadzona, żeby ich śledzić i żeby na nich donosić. To co mówiłam, że mąż mój został aresztowany, uważał za oczywiste kłamstwo. Dlaczego mieliby aresztować komunistę? Nie będę wdawać się we wszystkie szczegóły naszej trzytygodniowej jazdy w tym wagonie, wśród ludzi, którzy nas nienawidzili, widzieli we mnie niebezpiecznego wroga. I chociaż byłam na tym samym co oni dnie nędzy i poniewierki, nie znalazł się ani jeden człowiek, który by usiłował bodaj sprawdzić to, co usłyszał, pomówić ze mną na ten temat, przekonać się, że może się mylą, że jestem tak samo, jak i oni, więźniem (WCN, s. 35).

Ogólny wydźwięk wszystkich przytoczonych fragmentów jest zbliżony – na pierwszy plan wysuwa się poczucie alienacji i samotności, spowodowane wykluczeniem poza zbiorowość, wobec woli której Watowa-narratorka pozostaje bezsilna – ta część wspomnienia, podobnie jak udział porucznika Tadeusza w zdemaskowaniu w niej rzekomego komunistycznego (sowieckiego?) szpiega, pozostaje niezmienna we wszystkich jego odsłonach. To, co zwraca uwagę, to różnica, która zawiera się w przyczynie wykluczenia. W SW i transkrypcji pobudki są klarowne, przypomnijmy – SW: „Od razu orientują się, że jesteśmy Żydami", „Wat to była żydo-komuna", „jestem podesłana by ich szpiegować", „Kierski (...) dal mi się we znaki, swój prawie zwierzęcym antysemityzmem" i w transkrypcji: „I wtedy ujawnia się, kto ja jestem", „że Aleksander był komunistą, więc ja jestem szpiegiem, przede wszystkim jestem Żydówką", „jestem tutaj, żeby ich tutaj podsłuchiwać, szpiegować i donosić". Watowa, na wcześniejszych etapach pisania, podkreślała więc bezspornie antysemickie powody swojego wykluczenia, do których należał też – żywotny w latach trzydziestych – stereotyp żydokomuny, który wypełniał również jej mąż. Czytelnik nie ma jednak dostępu do dokumentów genezy, a wyłącznie do opublikowanego tekstu, w którym okoliczności konfliktu zarysowane są jednostronnie, bowiem redakcja usuwa antysemickie pobudki, a wyeksponowany zostaje *ad finem* wątek „komunistyczny", w którym uważny czytelnik *Wszystko co najważniejsze* ma jeszcze szansę wysłyszeć echo endeckich haseł, jednakże nie jest to zadanie łatwe. W zamian skupiamy się już wyłącznie na przeszłości Aleksandra, „że był on redaktorem >>Miesięcznika Literackiego<<, pisma lewicowego" (WCN,

104:4972431823

s. 35) i to w tym dopatrujemy się przyczyny niełaski, w którą popadła Ola. Jesteśmy nawet skłonni uznać, że wrogość Polaków wobec matki z dzieckiem nie była pozbawiona racji i wynikała ze zwyczajnego, i jakże zrozumiałego ludzkiego strachu, i niepewności o własny byt – a poczucie to dodatkowo zostaje wzmocnione w tekście komentarzem Trznadla, pojawiającym się tuż po tym ustępie: „J.T. Nie zapominaj jednak o ich strachu" (WCN, s. 35) – komentarz ten został dopisanym na etapie redakcji, dlatego Watowa nie mogła się do niego odnieść w rozmowie. Co prawda, w kolejnych fragmentach, antysemityzm zostaje nazwany wprost:

> Ale wybiegłam bardzo naprzód, na razie trwa tortura czasu, głodu, a szczególnie najstraszliwsza tortura ludzkiej niechęci, straszliwych podejrzeń, z dodatkiem obrzydliwego na tym dnie niedoli ludzkiej i osamotnienia antysemityzmu. (WCN, s. 35)

Mimo tych mocnych przecież sygnałów, środek ciężkości został już wcześniej przesunięty: w oczach czytelnika źródłowa wrogość Polaków (a nie zapominajmy, że Watowa także uważała się za Polkę) nie miała podłoża etnicznego, lecz wynikała ze strachu przed rzekomym komunizmem. Dokumenty genezy przywracają opowieści właściwe proporcje oraz „prawdę przeżyć i doznań" (SW, s. 613), wynikającą z nieocenzurowanych później prób wypowiedzenia swoich doświadczeń. Przed-tekst rzuca więc światło na zmiany dokonane na poziomie uzgodnień ideologicznych w tekście opublikowanym. Uzgodnienia te są wynikiem pracy Redakcji w osobie Jacka Trznadla – filtrującego wspomnienia anachronicznym kluczem narodowej krzywdy oraz Oli Watowej, od lat czterdziestych noszącej w sobie wstyd ofiary. Zanim przywołamy cytat potwierdzający prawdziwość powyższych uogólnień, podkreślmy, że w tekście obecne są dwa przeplatające się ze sobą i wzajem się wykluczające anachronizmy, wynikające z dwóch odmiennych presupozycji i implikatur, stojących z jednej strony za autorką, z drugiej – za redakcją:

> Tak samo jak złe wspomnienia z przedwojennej Warszawy, żeby już skończyć z polskim antysemityzmem. Sama go na własnej skórze nie doznałam. (...) Ale wracam do tego dla mnie przede wszystkim wstydliwego tematu – tak to odczuwam, bo przecież opowiadając jedynie prawdę przeżytą przeze mnie osobiście - mam uczucie szkalowania Polski. A przecież uczucie to fałszywe zważywszy fakty. (SW, s. 623)

Wstyd spowodowany doświadczeniem antysemityzmu był tak silny, że Watowa być może nie dopuszczała do siebie myśli, że stała się jego ofiarą: „Sama go na własnej skórze nie doznałam", co – mając na uwadze chociażby historię opiekunki Andrzeja, jak i inne, opowiadane Trznadlowi

105:6317073626

w czasie ich sesji – jest nieprawdą i świadczyłoby o autocenzurze, którą sobie narzuciła. Być może ten wybieg był tylko retorycznym sposobem na zapewnienie sobie usprawiedliwienia wobec poczucia „szkalowania Polski".

Na tle tej przytłaczającej opowieści o wynikających z antysemityzmu szykanach, jasnym punktem staje się osoba Stefanii Skwarczyńskiej, zesłanej do posiołka Michajłówka, graniczącego z Iwanówką, co czyniło autorkę *Teorii badań literackich za granicą* sąsiadką Watowej. To dzięki ponawianym interwencjom i sile autorytetu Skwarczyńskiej, Polacy z czasem przestali traktować Olę jak intruza:

> Wrócę jeszcze do przeżyć związanych ze Stefanią Skwarczyńską. Odegrała ona dużą rolę w moim życiu. Znała Aleksandra. Znała jego twórczość i działalność. Była to kobieta bardzo wierząca. (...) Dużo jej zawdzięczam podczas pobytu w tym kazachstańskim baraku. Przede wszystkim potrafiła przekonać otaczających nas Polaków, że nie jestem ani szpiegiem, ani nie zostałam wysłana po to, żeby na nich donosić. (WCN, s. 52-53)

Tyle „wersja oficjalna". A jednak powrót do SW i „wstawek" wskazuje, że mediacyjne wysiłki Skwarczyńskiej może i obniżyły temperaturę niechęci polskiej społeczności wobec Watowej, uczyniły to jednak bardzo powierzchownie, a na pewno nie na trwałe. Znajdujemy tam taki oto fragment, z którego przebija powierzchowny charakter przemiany polskiej, a może – wobec faktu, że Watowa Polką się czuła, ale i była polską obywatelką – należałoby raczej powiedzieć, chrześcijańskiej społeczności zesłańców:

> Wydawało się, że po kilku-
> miesięcznym pobycie Skwarczyńskiej, po moim liście do Wasilewskiej, po
> komisji z Rosji, po ~~wyjaśnieniach~~ rozmowach Skwarczyńskiej o mnie
> z Polakami, atmosfera wkoło złagodniała, nabierali zaufania, <u>starali się</u>
> <u>nie myśleć o tym, że jestem Żydówką.</u>[229] Ale nie Pan porucznik Tadeusz. (Maszynopis 4, s. 621)

Jakkolwiek było, fragment o staraniach podejmowanych przez Polaków/chrześcijan, aby nie myśleć, że Watowa jest Żydówką, poraża nas swą dosadnością i każe pomyśleć o owym „zwierzęcym antysemityzmie". Zwierzęcym, czyli jakim właściwie? Automatycznym, instynktownym, naturalnym? W każdym razie fragment ten nie pozostawia też żadnych złudzeń, i rzeczywiście, gdy tylko zabrakło sąsiedztwa Skwarczyńskiej, nienawiść wybuchła od nowa.

[229] Podkreślenie moje – A.G.M.

106:1248715812

Tymczasem interwencje Skwarczyńskiej wedle wersji opisanej we *Wszystko co najważniejsze* – przyniosły skutek, a konflikt został zażegnany i zamknięty – klamrowo – sceną chrześcijańskiego w swej wymowie pojednania ze sklepikarzem Kierskim, tym samym, o którym Watowa wspominała w SW: „dał mi się we znaki, swoim prawie zwierzęcym antysemityzmem" (SW, s. 584). Kierski, na łożu śmierci, poprosił ją o wybaczenie:

> Kiedy Kierski zachorował i wydawało mu się, że jest stracony, że umiera, przekazał mi przez nią prośbę, żebym mu przebaczyła. Oczywiście, że mu przebaczyłam. Ale zapomnieć trudno. Więc dokonała rzeczy dla mnie wielkiej. (WCN, s. 53).

Czytelnik WCN dowiaduje się, że konflikt wygasł wraz z zakończeniem powyższej sceny. Z lektury SW dowiadujemy się jednak, że to fabularne domknięcie, w rzeczywistości wcale końcem nieszczęść nie było. Wielomiesięczna wrogość ze strony Polaków została uśpiona do czasu, kiedy z pola widzenia zniknął dobry duch Oli – Stefania Skwarczyńska, zwolniona ze zsyłki dzięki interwencjom profesora Juliusza Kleinera (choć wśród zaangażowanych wymienia się także nazwisko Wandy Wasilewskiej oraz profesora Rudolfa Stefana Weigla[230]). Dzień jej wyjazdu stał się ważnym i doniosłym wydarzeniem dla społeczności polskiej: ~~„Wydarzenie! Wielkie, jedyny wypadek o którym dane mi było wiedzieć i nigdy od nikogo nie słyszałam, aby taka rzecz zesłańcowi jakiemuś się zdarzyła"~~ (Maszynopis 4, s. 618). Watowa aż dwukrotnie podchodziła do prób opisania tego dnia, czego dowodem jest przekreślony powyżej fragment, choć należy dodać, że fabularnie interesowały ją przede wszystkim jego następstwa – tego dnia otrzymali bowiem z porucznikiem Tadeuszem pozwolenie, by odwieźć Skwarczyńską na pociąg do Żarmy – tak więc wyjazd okazał się podwójnie szczęśliwy, stał się też okazją do wymiany handlowej w miasteczku, co skrupulatnie zanotowała:

> W ten sposób będzie można pozamieniać rzeczy na jadło *dla siebie* i *ludzi* dla Iwanówki. ~~Różni ludzie~~ Prawie wszyscy Polacy dawali nam rzeczy do zamiany. Ten suknię, drugi prześcieradło, trzeci ciepły żakiecik itd. Wszystko zapisywałam skrzętnie co do kogo i czego sobie życzyli. To samo prawdopodobnie robił porucznik Tadeusz. (Maszynopis 4, s. 620)

Transakcje zawierane w imieniu swoim i innych Polaków (wyraz największego zaufania!) musiały być korzystne, gdyż Watowa zanotowała: „Miałam już ciężki i pełen wór i bardzo tym

[230] G. Gazda, *Profesor Stefania Skwarczyńska. Subiektywna próba biografii*. „Pamiętnik Literacki" 2021, z. 1, s. 195.

107:7605986850

byłam uszczęśliwiona, myśląc o radości Andrzeja i ludzi, którzy nasycą się bodaj raz jeden". Podróż powrotna odbywała się „podwodą" – niewielkim wozem zaprzęgniętym w dwa byki. Było już po zmroku, kiedy zmęczone zwierzęta stanęły w stepie i nie chciały iść dalej. Porucznik Tadeusz postanowił więc wrócić do posiołka sam, pieszo, zostawiając współtowarzyszkę na pastwę losu:

> I zostawia mnie więc
> samą w stepie, w nocy z perspektywą zjawienia się wilków.
> Jakoby wilki zjawiały się tam często.
> W ostatniej chwili porucznik probuje
> jeszcze zmusić byka do wstania. Kopie go butami po bokach z furią.
> I nagle byk zaczyna powoli stawać na łapach. Już nie mówiąc *ani* słowa
> *do mnie* wskakuje na niego i poganiając odjeżdża, zostawiając mnie samą. Tak
> wygląda galanteria męska poza salonem. (SW, s. 615)

W pierwszej chwili, Watowa-narratorka zdaje się powątpiewać w istnienie zagrożenia, bo z przekąsem komentuje: „Jakoby wilki zjawiały się tam często" (SW, s. 615). Po jakimś czasie myśl o Andrzeju, zimno i strach (bynajmniej nie o zgromadzone skarby), sprawiły, że i opowiadaczka podjęła próbę obłaskawienia drugiego zwierzęcia:

> Kiedy wstał wydało mi się, że jakieś porozumienie narodziło się między nami, że
> to zwierzę zrozumiało, że ja muszę do dziecka wrócić. Wdrapałam się
> na niego. Brzucho jego rozdęte sprawiało, że nogi miałam zupełnie ro-
> zstawione, uczepiłam się rogów i nie widząc nic przed sobą, żadnej
> drogi, zaczęłam przemawiać do niego, aby/mnie prowadził. Zaczął iść
> powoli przez doły i wądoły, ześlizgiwałam się i znowu wdrapywałam
> i błogosławiłam rogi, których mogłam się trzymać. (...) (SW, s. 615).

Zauważmy, jak literacko zgrabny i intertekstualne wysycony opis proponuje nam Watowa. Widzimy ją na byku raz jak porwaną Europę wraz z całym ikonograficznie gęstym ładunkiem odniesień, ale też – w pozycji mimowolnie chyba erotycznej – jako Sienkiewiczowską (nagą) Ligię przywiązaną do byczych rogów. A jednak mamy wrażenie, że te literackie aluzje tracą na wadze wobec stepu, głodu, nocy. Porwana Europa sama musi powrócić do ojczyzny, Ola-Ligia nie ma pod ręką mocarnego i wiernego Ursusa, lecz oficera-antysemitę, który jak wiemy – salonowej galanterii nie zabrał ze sobą na zesłanie. Toteż ani nie uratował Europy, ani jej nie uwiódł, lecz najpierw ją w stepie zostawił, a potem okradł i to z przedmiotów, które były własnością nie jej,

108:7825529842

lecz polskiej społeczności i zostały jej zawierzone tylko na handel. W jak tragicznym położeniu zostawił pułkownik Watową, w jak fatalnej wobec polskiej społeczności – wprowadził domyślamy się, próbujemy zrozumieć, ale jakże trudno wyobrazić sobie całą grozę jej ówczesnego położenia oraz złowrogie konsekwencje kradzieży, jakiej padła ofiarą.

Rano, kiedy porucznik Tadeusz wrócił po wóz, okazało się, że worek z żywnością zniknął. Moment pozostawienia rzeczy w stepie miał – w każdej z fabularnych odsłon (dwukrotnie opisała je w SW, a raz w książce) – nieco inne konsekwencje. Tekstowa wersja (WCN) kończy się – sugestywnym, lecz niewypowiedzianym wprost, oskarżeniem porucznika Tadeusza: „...>>wilki<< pożarły żywność" (WCN, s. 55), a w brulionie SW winny zostaje wskazany jednoznacznie:

> Odczułam to jako prawdziwą klęskę, a już szczególnie zawód jaki sprawiłam ludziom, którzy mi zawierzyli. Nikt oczywiście worków w nocnym stepie nie ukradł. Ukradł je pan porucznik ze swoimi kompanami. Objadali się na wesoło a nawet zdobyli sobie u Kazaków coś niecoś do popicia. O tak! Porucznik Tadeusz dał mi się we znaki. (SW, s. 616).

Oskarżenia dopełniają charakterystykę porucznika, lecz komentarz: „Porucznik Tadeusz dał mi się we znaki" osłabia, zamiast wzmacniać opowiadaną historię. Watowa-narratorka jakby celowo nie chciała postawić kropki nad „i" – zamiast wzmacniać, osłabiła ostateczny jej wydźwięk. A przecież konkluzja pojawia się, tyle że na początku opowiadanej historii: „Starali się nie myśleć o tym, że jestem Żydówką. Ale nie Pan porucznik Tadeusz." (Maszynopis 4, s. 621). Antysemickie – jak przypuszczała Watowa – pobudki porucznika Tadeusza, w końcowej partii tekstu (jest to ostatnia opowiedziana historia) zostają nieco ułagodzone, umożliwiając szczęśliwe zakończenie:

> Teraz, kiedy to piszę, nie potrafię wykrzesać si z siebie jednej iskry gniewu czy oburzenia czy żalu. Wszystko to starł czas. Została w pamięci przygoda tamtych lat zakończona happy endem, bo przecież we troje wróciliś-my wkońcu do Polski. (Maszynopis 4, s. 621)

W powyższej historii uwidacznia się jeszcze jeden brak – zostają przecież przemilczane pretensje i oskarżenia „poszkodowanych", którzy stracili pozyskaną w Żarmie przez Watową żywność – o tych pretensjach dowiadujemy się jednak nie wprost: „Odczułam to jako prawdziwą klęskę, a już szczególnie zawód jaki sprawiłam ludziom, którzy mi zawierzyli." (Maszynopis 4, s. 621). Słowo „zawód" najpewniej nie mogło oddać ich prawdziwego rozczarowania. Autocenzurze podlega więc ostateczny wydźwięk opowiadanej historii, być może po to, by wspomnienia nie

109:4026717914

zostały odebrane jako antypolskie, czego – jak wiemy – autorka chciała uniknąć: „mam uczucie szkalowania Polski" (Maszynopis 5, s. 623).

Przekleństwo

Lektura SW oraz obu „wstawek" pozwala jednak wydobyć z narracyjnych kłącz scenę, mogącą przywrócić właściwą chronologię opisywanych zdarzeń. Chodzi o wydarzenie, najprawdopodobniej kolejne na osi czasu – krążące jak wiele innych wokół tematu głodu – czyli szczepienie państwowych baranów. Z opisywanej historii wynika, że zdarzenia miały miejsce w Iwanówce, jednak już po wyjeździe Stefanii Skwarczyńskiej, której nieobecność daje się zresztą szybko zauważyć. Odnotować należy też fakt, że ani w czasie nagrań, ani we *Wszystko co najważniejsze* autorka nie zdecydowała się opowiedzieć o tym epizodzie.

Nadprogramowa praca przy szczepieniu baranów, choć wyczerpująca fizycznie, miała zostać dodatkowo opłacona i co ważne bardzo sowicie, bo porcją chleba (mowa o 300 gramach), czyli towarem prawie niemożliwym do zdobycia w tamtych warunkach:

> Monotonność dni, a przecież nie można mówić o monotonności głodu. Głód się daje we znaki, ssie każdej chwili i każdej chwili jest sensacją jakgdyby od początku i zawsze bez końca. Byliśmy na dróżce monotonności czasu po której stąpa się poomacku, ciągle szukając tego samego - zaspokojenia głodu, zabicia wspomnień, zabicia cierpienia i straszliwych niepokoi o bliskich. (SW, s. 613).

Jednostkowe zdarzenie wybiło zesłanych Polaków z monotonii głodu i pozwoliło choć na jeden dzień zamarzyć o pełnym żołądku. Ta niecodzienna perspektywa dodawała „rozpaczliwej energii", koniecznej do wyczerpującej pracy ponad własne siły:

> Praca dla mnie okazała
> się bardzo ciężka. Nigdy nie ~~miałam za wiele~~ zaliczałam się do silnych,
> a teraz całą moją siłą była raczej siła nerwowa, świadomość, że muszę
> wytrwać, żeby ratować Andrzeja. Utrzymanie wydzierającego się barana
> przerażonego, ~~przerażeniem całego stada~~ *wśród* beczącego stada było ponad moje siły. Nogi ~~miał~~ i ręce miałam we krwi, bodły rogami, kopały kopytkami,
> niemniej robiłam wszystko co w mojej mocy i nadzieja otrzymania chleba na które czekało dziecko już od samego rana dodawało rozpaczliwej
> energii. (Maszynopis 4, s. 618)

110:2919270391

Po tak ciężkim dniu, miał nastąpić wyczekiwany odbiór zasłużonej porcji chleba. Watowej odmówiono jednak zapłaty, a młody Kazach poinformował ją, że nie „wyrobiła normy". Okazało się też, że została pominięta jako jedyna z pracujących, tylko że powodem nie była norma, lecz interwencja pozostałych Polaków:

> Niestety wiedziałam, że inicjatywa nie była jego. Niestety, niestety z wielkim żalem i wstydem notuję ten fakt, że oto Polacy, którzy tak samo przecież jak i ja cierpieli i wydawało się, że w tym cierpieniu powinni się byli ze mną złączyć, że powinni byli włączyć mnie do w to swoje cierpienie i że powinnam była stać się członkiem jedynej polskiej sponiewieranej, niewolniczej, zagłodzonej rodziny, otóż ci Polacy zamiast miłosierdzia tego pięknego przykazania chrystusowego, sieli antysemityzm w Iwanówce. Jak się dowiedziałam potem, ci nasi kazacy w większości nie wiedzieli nawet co to są Żydzi, nigdy Żydów na oczy nie widzieli. A więc poto, żeby dostać mój chleb, albo żeby moim chlebem przekupić naszego dozorcę – podszepnęli mu, żeby żydówie chleba nie dawał, bo za mało pracowała. (Maszynopis 4, s. 619)

O tym Watowa dowiedziała się od jednej z dręczonych jednak wyrzutami sumienia Polek. W ten sposób po raz kolejny dowiadujemy się, czym była nieludzka ziemia, ale musimy zadać też pytanie o jej granice: rozumiemy, co robi z nami step, ale co tam i skąd przywozimy? By dopełnić tę smutną i nierozstrzygalną w zasadzie refleksję, opowiedzmy zakończenie tej historii, bo choć role się w tym zakończeniu nie odwracają, ale jednak z pewną satysfakcją widzimy, że Watowa w pewnym sensie przeszła do ataku, a ostatecznie wszystko to udało jej się przeżyć i to pomimo tego, że dręczona przez innych zesłańców, przez „swoich" została jakby po raz drugi zesłana – przez Sowietów na step, a przez wspólnotę na samotność. Zacytujmy bez komentarza dłuższy fragment jest bowiem tego wart:

> Oszalałam. Zaczęłam tłuc pięściami gdzie popadło, nic nie widziałam przed sobą tylko ten nieosiągalny kawałek chleba i powrót do baraku z pustymi rękoma. Ocknęłam się w kleszczach mocnych rąk naszego NKWUdzisty, którego okazało się biłam pięścią gdzie popadło. Powstało zamieszanie, ale o dziwo nagle zapadła cisza, przerażająca cisza. Wszyscy się rozstąpili, NKWUdzista już mnie nie trzymał i nawet popchnął do wyjścia. W tej ciszy usłyszałam swój – nie swój głos, który rzucał prze-

111:1012576697

klęństwo. Pierwszy raz w życiu moim i ostatni z ust moich padło przekleństwo
a było to przekleństwo straszne, niepomyślane, wykrzyczane poza mną, nie
przeze mnie , ono było przekleństwem narzuconym mi przez kogoś, ~~który w~~
~~tej chwili może był jeszcze bardziej zrozpaczony i oszalały niż ja~~
przekleństwem jakiejś postaci z tragedii antycznej w obliczu śmierci
a może jeszcze czegoś gorszego niż śmierć. Moja samotność w tym tłumie
ludzi z ojczyzny mojej, to topienie się w ich nieludzkiej nienawiści
wyrwało te straszne słowa, niegodne słowa przekleństwa : abyście nigdy
do Polski nie wrócili. Za ten kawałek chleba odjęty od ust *mego* głodnego ~~nie-~~
~~winnego~~ dziecka.

Wracaliśmy do baraku w ciężkiej ciszy i kiedy ocknęłam się i rozej-
rzałam po nich wokoło – zobaczyłam ich przerażone twarze. Zobaczyłam
że bali się mnie, tak wielka była siła tak niewiadoma siła, która sło-
wa te ze mnie wykrzyczała, że zlękli się tej siły i stali się nagle
cisi i chyba zabobonni. (Maszynopis 4, s. 619-620)

Wnioski

Na koniec pozostaje garść pytań i refleksji na temat wszystkich zebranych dokumentów genezy, które poprzedzają kolejny etap pisania, czyli rozmowy z Jackiem Trznadlem – a więc tych wszystkich brudnopisów i brulionów, których autorstwo Watowej jest niepodważalne i niepodzielne.

Droga do spisania wspomnień rozpoczyna się najpewniej około 1968 roku drobnymi próbami pisarskimi, które nazwaliśmy, za de Biasim, falstartami. To kolejno: *Praca w Ili, Wigilia na wygnaniu w stepach kazachstańskich, Pierwsza wędrówka przez step* i *Powrót.* Próbom tym towarzyszą eksperymenty w zakresie sposobu prowadzenia narracji: w *Pracy w Ili* mamy narrację pierwszoosobową, lecz narratorka jest wyraźnie zdystansowana wobec opisywanych wydarzeń, *Wigilia na wygnaniu w stepach kazachstańskich* to brulion, w którym dominują formy bezosobowe, z kolei *Pierwsza wędrówka przez step* i *Powrót* to przykład narracji pierwszoosobowej, prowadzonej w czasie teraźniejszym, co po stronie czytelnika wywołuje silny efekt immersji. Ten stylistyczny zabieg, który z czasem wszedł autorce w nawyk, dostrzegalny jest również w tekście *Sznur* opublikowanym w „Wiadomościach Literackich" w 1972 roku, co pozwala przypuszczać, że *Pierwsza wędrówka przez step* i *Powrót* były pisane mniej więcej w tym

112:1592463731

samym czasie. *Sznur* i *Paszportyzacja* („Zeszyty Historyczne" 1972), przerywają etap falstartów, a doprowadzenie tych tekstów do etapu wydawniczego świadczy o tym, że Watowa nie pisała swoich wspomnień do szuflady, lecz była zdecydowana je opublikować.

Następujący po epoce falstartów, najpewniej pisany w przedziale 1976-1980, to brulion SW. Wspomnienia – według autorki spisane za namową Józefa Czapskiego – to najobszerniejszy, bliski czystopisowi maszynopis. Choć można uznać, że SW mógłby stać się zwieńczeniem pisarskich prób Watowej oraz podstawą do przejścia na etap wydawniczy, gdyż stanowi kompletną i zamkniętą tematycznie i kompozycyjnie całość, to jednak nie został opublikowany. Brak też śladów w korespondencji Watowej lub w relacjach jej bliskich, by autorka podjęła takie próby. Być może seria wspomnień o antysemityzmie polskim i ich tak intensywny zapis przekreśliły – w przekonaniu autorki – szansę na publikację brulionu. SW pozostaje jednak ważnym punktem w przed-tekście *Wszystko co najważniejsze,* bo jest świadectwem próby odnalezienia własnego pisarskiego głosu i dowodem na to, że próba ta zakończyła się sukcesem.

Do dokumentów procesu tekstotwórczego należy również list pożegnalny Aleksandra Wata, w którym, formułując swoją ostatnią wolę, wyznaczył jednocześnie zakres tematyczny jej pisarskiej działalności: „Przede wszystkim o paszportyzacji (...) i nędza choroby w Ili. Potem Lwów, zsyłka, Ałmaata. Może i Warszawa[231]". Odtworzony przed-test uwidacznia jednak, że autorka, co prawda, wypełniła zobowiązania wobec męża, realizując niemal punkt po punkcie jego ostatnią wolę, jednak realizacja tych punktów wyszła daleko poza logikę prostej suplementacji dzieła Aleksandra – nie jest bowiem dopełnieniem jego wspomnień, lecz stworzeniem jej własnej *herstorii:* tak więc *Paszportyzacja* staje się opowieścią o współprzeżywaniu i konsolidacji społeczności polskiej (pochodzenia żydowskiego!) w obliczu opresyjności sowieckiego systemu, „nędza choroby w Ili" realizująca się w opowiadaniu *Sznur* to przypowieść o sowieckim Chrystusie i granicach człowieczeństwa na nieludzkiej ziemi (dodajmy, że w najmniejszym stopniu jest to historia choroby Aleksandra), zaś pozostałe brudnopisy i brulion SW koncentrują się wokół jej przeżycia formacyjnego, o którym Andrzej Wat wspominał: „Zsyłka, ciężka praca, uwięzienie, głód zrobiły z niej silną kobietę. Ojca to zrujnowało"[232]. Step i doświadczenie zsyłki, czyli również czas rozłąki

[231] A. Wat, *Ostatni zeszyt*, w: *Notatniki*. Transkrypcja i opracowanie A. Dziadek i J. Zieliński, Warszawa-Katowice 2015, s. 842.
[232] A. Klich, *Niewychowany. Watowie – miłość ocalona z apokalipsy. Opowieść Andrzeja Wata*, „Gazeta Wyborcza" 2011, 17–18 grudnia. https://wyborcza.pl/magazyn/7,124059,11705541,niewychowany.html [dostęp: 29.01.2023 r.].

113:3587378139

z uwięzionym mężem, stają się najważniejszym motywem i zarazem jakby doświadczeniem totalnym jej niepublikowanych wspomnień, a na podstawie ich lektury można by sformułować wniosek, że wszystko, co najważniejsze w życiu Oli Watowej wcale nie było związane z Aleksandrem, lecz z tym czasem, gdy Aleksandra przy niej nie było.

Dokumenty *dossier* genezy, ułożone w przed-tekst, dowodzą więc autonomii twórczej, zaświadczają o pracy nad stylem i zachowaniu wyraźnie zarysowanej artystycznej ciągłości, a także o rozsmakowaniu się w pisarskiej aktywności. Pozostaje więc pytanie, dlaczego na drodze Watowej musiał pojawić się ktoś jeszcze, czyli Jacek Trznadel, by mogła stać się autorką książki?

114:3182259907

III. *Wszystko co najważniejsze*

Glosa biograficzna

Wszystko co najważniejsze to tekst, który zrodził się w wyniku rozmów dwóch osób: Oli Watowej, o której wspomnienia tu chodzi, oraz Jacka Trznadla – jej rozmówcy i *spiritus movens* całego przedsięwzięcia. Próbując odtworzyć genezę tej książki, nie sposób pominąć wątku biograficznego i zignorować fakt, że mamy do czynienia z dwugłosem. Inaczej niż w przypadku tekstów jednego autora, decyzje podejmowane na różnych etapach pracy nad *Wszystko co najważniejsze* nie należały wyłącznie do właścicielki wspomnień, a były uzależnione od wielu czynników, w tym od ich jednostkowych losów. Zasadne wydaje się nakreślenie życiowych dróg adwersarzy, które doprowadziły do początku współpracy – do spotkania. Ich drogi zeszły się na krótko, bo zaledwie na kilkanaście miesięcy, ale okoliczności, które do tego doprowadziły, motywacje jawne i ukryte, przebieg ich współpracy i jej pełne zadrażnień zakończenie, nie pozostają przecież bez znaczenia dla genezy, analizy i interpretacji całości tekstu.

Ola Watowa, czyli Aleksander

Możliwe, że do tej współpracy nigdy by nie doszło, gdyby nie rok 1977, kiedy to nakładem londyńskiego wydawnictwa Book Fund został opublikowany *Mój wiek. Pamiętnik mówiony*[233] Aleksandra Wata. Data ta miała doniosłe znaczenie na pozór wyłącznie ze względu na fakt, że wówczas doszło do znaczącego powiększenia spuścizny literackiej Aleksandra. Pośmiertny rozgłos[234], jaki przyniosła mu publikacja *Mojego wieku* (opatrzona przedmową Czesława Miłosza), wpłynęła przede wszystkim na zmianę recepcji jego twórczości: uwolniła go od uciążliwej łatki futurysty i komunisty, w zamian umieszczając go w panteonie wielkich myślicieli i świadków XX wieku[235]. Zmiana ta znalazła też odzwierciedlenie w sytuacji jego żony – od tego

[233] Pierwsze wydanie: A. Wat, *Mój wiek. Pamiętnik mówiony*, Book Found, Londyn 1977. Historia powstania *Mojego wieku* była szeroko opisywana w bibliografii przedmiotowej. O pracach nad *Moim wiekiem* pisał m. in. R. Habielski, *O powstawaniu „Mojego wieku"*, „Zeszyty Literackie" 2007, nr 99, s. 269-272.

[234] *Mój wiek* doczekał się kilku wznowień. Kolejno: Polonia Book Fund 1977, 1981; Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA 1980 (drugi obieg); Krąg 1983 (drugi obieg); Czytelnik 1990, 1998; Universitas 2011. Został przetłumaczony na kilkanaście języków. Jeszcze za życia O. Watowej ukazały się następujące tłumaczenia: A. Wat, *My century. The odyssey of Polish intellectual*, przedmowa Cz. Miłosz, przeł. R. Lourie, Berkeley 1988, New York 1988, 1990; A. Wat, *Mon siècle*, przeł. G. Conio, J. Lajarrige. L'Âge d'Homme, Paris-Lausanne 1989.

[235] „*Wat* jako *wielki świadek XX wieku* to już w tej chwili topos" napisał po latach Jan Zieliński w artykule *Testamentum. O późnej poezji Aleksandra Wata*, dostępnym na portalu culture.pl. Zob.

115:9780229127

momentu możemy mówić nie tylko o powtórnych narodzinach Wata jako pisarza, ale także o powtórnych narodzinach Oli – przynajmniej dla świata literackiego – do nowej, bardziej wyeksponowanej i wpływowej roli. Zyskując nowy status: z wdowy po „literackim bankrucie”[236] (jak sam siebie nazwał pod koniec życia Wat), stała się „wielką wdową”[237], występującą w imieniu nieżyjącego męża. W świecie hegemonicznej walki o męską dominację[238] jej głos zyskał na ważności dopiero w momencie, odkąd zaczęto uważać go za przedłużenie głosu Aleksandra, a jej wspomnienia za „suplement”[239] do jego wspomnień. Ola skwapliwe korzystała ze zdobytych przywilejów i cieszyła się z zainteresowania środowiska tak dalece, że jej talent gawędziarski wśród paryskiej emigracji obrósł legendą. To sukcesy towarzyskie. Z czasem pojawiały się te ważne dla zachowania ciągłości zainteresowania spuścizną męża. Z upływem lat do mieszkania Watowej zapukali: Krzysztof Rutkowski, Alina Kowalczykowa, Jan Zieliński, Anna Micińska czy Włodzimierz Bolecki, zainteresowani opracowaniem kolejnych tekstów. Publikacja i sukces *Mojego wieku* przyniosły nobilitację, zmianę statusu, przypływ pewności siebie, kontakty, ale także, przy okazji, otworzyły się jakby tylne drzwi, poprzez które Watowa podążyła w kierunku własnej książki.

Z końcem lat siedemdziesiątych przyszło więc – z jednej strony – towarzyskie ożywienie wraz z dopełniającymi je wzmożonymi wysiłkami, by, korzystając z dobrej passy, jak najwięcej „papierów” Aleksandra ujrzało światło dzienne. Z drugiej zaś, to czas wielkich frustracji, wynikających z niespełnionych – a raczej spełnionych połowicznie, bo w tym czasie miała już za sobą publikację *Sznura* i *Paszportyzacji* – własnych ambicji pisarskich oraz z – co się z tym wiąże – niemożności wypełnienia ostatniej woli Aleksandra. Czas uciekał, a frustracje były tym bardziej dojmujące, że wciąż stał jej przed oczami list pożegnalny męża: „Ale mama ~~zrobiłaby~~ napisałaby książkę wielką, wybitną, może i bestsellera, jestem tego pewny”[240]. Książka już co prawda istniała

https://culture.pl/pl/artykul/testamentum-o-poznej-poezji-aleksandra-wata [dostęp: 28.04.2021 r.]

[236] „Tymczasem właśnie w okresie wyjazdu do Ameryki nastąpił krach i kończę jak bankrut, haniebnie, nie spłaciwszy długu”. Zob. A. Wat, *Notatniki.* Transkrypcja i opracowanie A. Dziadek i J. Zieliński, Warszawa-Katowice 2015, s. 843.

[237] Określenie użyte przez A. Pawlaka. Zob. A. Pawlak, *Szatnia: Piwo z Wielką Wdową,* „Przekrój” 2001, nr 30, s. 77.

[238] K. Kłosiński, *De(re)konstrukcja męskości,* „Teksty Drugie” 2015, 2, s. 11-29.

[239] W kontekście opublikowanych wspomnień Oli Watowej często używa się określenia „suplement”. Piszę o tym w rozdziale I. *Recepcja Oli Watowej.* W tym miejscu mam na myśli nieopublikowane, a opowiadane przez wdowę historie, które cieszyły się zainteresowaniem również dlatego, że dotyczyły Aleksandra.

[240] A. Wat, *Ostatni zeszyt*, w: *Notatniki...*, s. 842.

116:7879433956

– maszynopis SW nie wymagał wiele pracy, ale okazuje się, że musiał przyjść ktoś jeszcze, by doprowadzić rzecz do końca.

Jacek Trznadel, czyli donos

W kuluarach zwykło się mówić, że ich wspólny projekt był swego rodzaju przysługą, którą młodszy polonista wyświadczył wdowie. Mimo tego powszechnego przeświadczenia, pamiętajmy, że Watowa o tę przysługę nigdy nie poprosiła. W kontekście ówczesnych zainteresowań naukowych Trznadla, pomysł, by przeprowadzić wywiad z Olą Watową, wydaje się tym bardziej niespodziewany, że dotąd w polu jego zainteresowań badawczych nie znajdował się ani futuryzm, ani poezja awangardowa, ani – konkretniej – Aleksander Wat. Powody musiały być więc inne niż tylko naukowe. Drogi, które doprowadziły Jacka Trznadla na próg mieszkania Oli były bardziej zawiłe niż sądzimy. Można by je potraktować jako odwzorowanie jego skomplikowanej i niejednoznacznej biografii. Spróbujmy ją krótko prześledzić do momentu spotkania „wielkiej wdowy".

Jeśli dla Watowej przełomem było wydanie *Mojego wieku*, to można powiedzieć, że dla Jacka Trznadla podobny moment miał nadejść wraz z publikacją *Hańby domowej*. Był przedstawicielem pokolenia urodzonego w latach trzydziestych, którego dzieciństwo przypadło na czasy II wojny światowej, tak więc w dorosłość wchodziło w powojennej Polsce, czyli w czasie ideologicznych wyborów, kiedy orientacje wobec polityki mogły otworzyć lub zamknąć drzwi do kariery, ważyły na życiu prywatnym, skutkowały zarówno poczytnością i powodzeniem, jak i skazywały na towarzyski ostracyzm.

Trudno wyobrazić sobie bardziej reprezentatywny przykład kariery naukowej w owym czasie niż przypadek Jacka Trznadla. W 1948 roku zapisał się do młodzieżówki PPS-OMTUR[241]. Po maturze wybrał studia polonistyczne – studiował najpierw we Wrocławiu, potem przeniósł się do stolicy, na Uniwersytet Warszawski. Już w czasie studiów uważany był, jak wspomina zupełnie na poważnie w rozmowie z Watową i – trochę z przymrużeniem oka – w przedmowie do *Hańby domowej*[242] (w której zresztą drobiazgowo tłumaczy się i usprawiedliwia swoje ówczesne

[241] W tym samym czasie, w 1948 roku w Nieborowie, Aleksander Wat podczas spotkania młodych pisarzy wygłosił referat krytykujący socrealizm, przedrukowany w „Kuźnicy" nr 6-7.
[242] Bliźniaczy fragment o spotkaniu z Cyrankiewiczem zamieścił też w *Hańbie domowej*. „I zaraz w jednej z głównych sal zostałem „przechwycony" przez kogoś, przedstawiony ówczesnemu ministrowi szkolnictwa wyższego, Eugenii Krassowskiej, jej zaś, zgodnie z jakimś rytuałem, zechciało się przedstawić mnie premierowi Cyrankiewiczowi, jako może „przyszłą chlubę nauki polskiej". Mechanizm łatwych awansów

117:1242740858

ideologiczne wybory), za „przyszłą chlubę polskiej nauki”[243]. Wraca też pamięcią do spotkania z Józefem Cyrankiewiczem. Przyjrzyjmy się transkrypcji:

> Ja go po raz ostatni publicznie – można powiedzieć publicznie – widziałem. Ja nawet raz z nim rozmawiałem osobiście. (...) Zwróciłem wtedy uwagę na to, że jest to człowiek bardzo uczulony na pewną teatralność swojego wystąpienia. To było w pięćdziesiątym pierwszym roku, a ja byłem wtedy delegowany na taki kongres nauki jako student. Ale tak się zdarzyło, że uważany byłem za zdolnego człowieka, wobec tego pani minister Krasowska przedstawiła mnie Cyrankiewiczowi, no, i tam była chwila takiej rozmowy, jadło się lody. (N, s. 379)

W pięćdziesiątym drugim roku rozpoczął pracę w nowopowstałym Instytucie Badań Literackich[244] – najpierw nad rozprawą doktorską na temat twórczości Leśmiana, pisaną pod kierunkiem Kazimierza Wyki, później jako samodzielny badacz literatury romantycznej. Jak wiadomo, Instytut Badań literackich:

> (...) został powołany do życia [w 1948 roku – przyp. AGM] jako instytucja stricte ideologiczna (monoideologiczna). Powstał, aby zrównoważyć niepewną ideologicznie polonistykę uniwersytecką. Program, który mu przyświecał, był prosty i całkiem jednoznaczny: miał gromadzić i szkolić badaczy marksistowskich zdolnych – perspektywicznie – do podjęcia dzieła pełnej rewaloryzacji dziejów literatury ojczystej za pomocą języka ideologicznego, który właśnie w IBL-u miał być wytwarzany[245].

Już w pierwszych latach działalności IBL-u w zespole badawczym pojawili się młodzi-zdolni – adepci literaturoznawstwa uprawianego w duchu marksizmu, podejmujący wyzwanie „wytwarzania nowego języka badawczego”. Oprócz Trznadla byli to m.in.: Maria Janion, Alina Witkowska, Maria Żmigrodzka czy Stefan Treugutt. Na progu lat pięćdziesiątych ich

działał. Pamiętam, że sfotografowano mnie z premierem, zjadłem w jego towarzystwie część podanych natychmiast lodów, padły jakieś banalne słowa, których sobie absolutnie nie przypominam. Zapamiętałem jednak, że Cyrankiewicz stał w ciemnym garniturze na tle ciemnoczerwonej kotary służącej mu za oprawę, co uderzyło mnie teatralnością, podobnie jak podskakiwanie fagasów z zapałką, ilekroć sięgał po papierosa.” Zob. J. Trznadel, *Wstęp*, w: *Hańba domowa. Rozmowy z pisarzami*. *Nowe wydanie rozszerzone,* Warszawa 2006, s. 23.

[243] Tamże, s. 23.

[244] Do spotkania z Watową na dorobek Jacka Trznadla składały się tomy poetyckie: *Wyjście* (1964), *Gdzie indziej* (1971), *Rana* (1974) oraz prace krytycznoliterackie: *O poezji Mieczysława Jastruna* (1954), *Twórczość Leśmiana* (1964), *Róże trzecie* (1966).

[245] J. Sławiński, *Instytut Badań Literackich*, w: *Słownik realizmu socjalistycznego*, red. Z. Łapiński, W. Tomasik, Kraków 2004, s. 76.

118:1676563530

zaangażowaniu w marksizm towarzyszyły przesłanki, o których pokrótce wspomina Marek Kwapiszewski:

> Akces młodych, choć nie należy bagatelizować pokusy przyspieszenia awansu naukowego, motywowany był głównie względami ideowymi. (...) Po traumie wojny i okupacji, po historycznym, politycznym i moralnym rozpadzie starego świat, komunizm wabił spójną wykładnią świata nowego, lepszego i sprawiedliwego społecznie (...)[246].

Być może właśnie w poszukiwaniu „świata nowego i lepszego" Trznadel w 1956 roku zapisał się do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. „Ja także nosiłem czerwony krawat do zielonej koszuli, byłem w OMTUR, ZMP, potem w PZPR. W moim pokoju także wisiał portret Stalina"[247] – skomentował po latach. Jego kariera naukowa rozwijała się wówczas w rytm marksistowskiego literaturoznawstwa: „W czasach stalinowskich Jacek Trznadel był wschodzącą gwiazdą krytyki socrealistycznej. Zachwycał się „słusznymi" wierszami, ganił „niesłuszne"[248] – pisze na ten temat po wielu latach Anna Bikont, wtórując tym w gruncie rzeczy samemu zainteresowanemu, który swe marksistowskie sympatie tłumaczył po czasie pragnieniem „zbawienia świata"[249].

W latach sześćdziesiątych Trznadel miał już za sobą obronę doktoratu, pierwszy pobyt we Francji[250], debiuty poetyckie oraz szkice o poezji Jastruna i Leśmiana, a w latach 70. obronę pracy habilitacyjnej. Ostateczną decyzję o zakończeniu „flirtu" z komunizmem podjął w 1970 roku, składając legitymację partyjną, by pięć lat później podpisać tzw. „List 59". Przygotowując się do wyjazdu do Francji, gdzie w 1978 roku miał objąć funkcję dyrektora Katedry Literatury Polskiej na wydziale slawistyki paryskiej Sorbony, zamykał dwa wydawnicze projekty: *Płomień obdarzony rozumem*[251] i *Czytanie Norwida*[252].

Spróbujmy nałożyć na jedną oś czasu szczegóły z życiorysu Watowej (Watów) i Trznadla i poszukać punktów wspólnych. Otóż, kiedy Watowa wróciła do Polski po wieloletnim zesłaniu, młody Jacek Trznadel stał na progu dorosłości. On zapisał się do OMTUR (potem ZMP), tymczasem o trzy dekady starsi Watowie próbowali na nowo ułożyć sobie życie w powojennej

[246] M. Kwapiszewski, *Od marksizmu dogmatycznego do humanistyki rozumiejącej. Badania nad romantyzmem w IBL PAN w latach 1948-1989*, Warszawa 2016, s. 9.
[247] J. Trznadel, *Hańba domowa...*, s. 12.
[248] A. Bikont, *Zaczęło się od „Hańby domowej"*, „Gazeta Wyborcza" 2006, 6 października.
[249] J. Trznadel, *Hańba domowa...*, s. 12.
[250] W latach 1966-1970 był lektorem języka polskiego na paryskiej Sorbonie.
[251] J. Trznadel, *Płomień obdarzony rozumem: poezja w poezji i poza poezją. Eseje,* Warszawa 1978.
[252] J. Trznadel, *Czytanie Norwida: próby,* Warszawa 1978.

119:4504902367

rzeczywistości. Wat – jak wylicza Piotr Pietrych – „był w tym okresie członkiem prezydium Rady Związków Artystycznych, wiceprezesem Zarządu Warszawskiego ZZLP i członkiem zarządu Pen Clubu”[253], pracował też w PIW-ie jako redaktor[254]. Watowa w tym czasie przetłumaczyła opowiadanie Konstantego Paustowskiego pt. *Śnieg*[255]. Oboje udzielali się towarzysko, oboje żywili nadzieję na „łagodną rewolucję”[256]. Po latach Ola wspominała: „Jak przyjechaliśmy do Polski w 1946 roku, to mój mąż, który nie był w ciemię bity, rozważał: »Kto wie, może Stalin zechce zrobić z Polski wyjątek, żeby zamydlić światu oczy?« Polska wydawała się nam wolnym krajem. To był 1946 rok, potem dopiero to się rozhulało”[257]. Tak więc przez kilka lat złudzenia Watów zbiegają się z początkami ideowego zaangażowania Trznadla. Jeszcze w 1948 roku ci pierwsi wzięli udział w Światowym Kongresie Intelektualistów w Obronie Pokoju we Wrocławiu, choć Wat na początku tego samego roku miał już za sobą słynne wystąpienie w Nieborowie, które opublikował później w „Kuźnicy” jako *Antyzoil, albo rekolekcje na zakończenie roku*[258]. Początek lat pięćdziesiątych przynosi Watom rozczarowania – ze wspomnień Aleksandra dowiadujemy się, że narastała w nim frustracja, która – zgodnie z zapewnieniami Piotra Pietrycha – tliła się w nim od dawna: „Wat, niewątpliwie krytycznie zdystansowany do komunizmu po przeżyciach poprzedniego »pasma«, nie potrafił znaleźć sposobu na wyrażanie tego dystansu w powojennej Polsce”[259]. Coraz to głośniej deklarowany antykomunizm zaowocował brutalnym wykluczeniem zawodowym i towarzyskim.

Natomiast w tym samym czasie przed Jackiem Trznadlem roztaczały się widoki na przyszłość: wspomniane „lody z Cyrankiewiczem” i zatrudnienie w IBL-u. Kiedy splot różnych okoliczności, związanych głównie z chorobą Aleksandra, sprawił, że kolejne wyjazdy zagraniczne (Szwecja, Francja, Włochy) popchały Watów do ostatecznej decyzji o zrzeczeniu się polskiego obywatelstwa, Trznadel stawał się członkiem PZPR. 1967 r. przyniesie Watowej żałobę i początek

[253] P. Pietrych, *Czy „pamflet na socrealizm”? O „Antyzoilu” Aleksandra Wata*, „Pamiętnik Literacki” 2007, z. 3, s. 96.
[254] O powojennej działalności pisarskiej Wata pisze szerzej German Ritz. Zob. G. Ritz, *Aleksander Wat – próba ponownego początku po roku 1946*, „Twórczość” 2001, nr 4.
[255] K. Paustowski, *Śnieg*, przeł. O. Watowa, „Nowiny Literackie” 1948, nr 152, s. 6.
[256] Sformułowanie wprowadzone przez Jerzego Borejszę. O złudzeniach Wata w powojennej Polsce pisze Piotr Pietrych. Zob. P. Pietrych, *Wat w Polsce powojennej*. *Tezy*, „Colloquia Litteraria” 2012, nr 1.
[257] PD, s. 23.
[258] P. Pietrych, Czy „pamflet na socrealizm?”., s. 93.
[259] P. Pietrych, *Czy Aleksander Wat był poetą?* „Czas Kultury” 2017, nr 3, s. 93.

120:6994354142

walki o *Mój wiek*, a Trznadel już za moment porzuci swoje ideowe złudzenia, budząc w sobie potrzebę rozliczenia siebie i całego pokolenia.

Nie chodzi tu jednak o pisanie donosu i wymawianie autorowi *Polskiego Hamleta* zaangażowania w krytykę marksistowską. Niewątpliwie, można by opisać jego wejście w dorosłość i dalszą karierę nieco łagodniej i mniej jednoznacznie, wpisując jego biografię w koleje pokolenia '56, przedstawiając go jako uważnego badacza, wytrwanego i do dziś nieprzedawnionego interpretatora i wydawcę Bolesława Leśmiana, tym samym unikając wątku, mogącego uchodzić za donosicielski. Ocena tego zaangażowania jest jednak nieważna. Istotny jest sam fakt jego zaistnienia, tym bardziej, że miał istotny wpływ na kształt i zawartość ich wspólnego projektu: nagrywanych wspomnień. „Lektura" tych 35 nagrań, czyli 19 godzin i 35 minut rozmów, ujawnia, że niemała ich część (podrozdział *Hańba domowa*) dotyczy właśnie okresu wchodzenia Polski w system socjalistyczny, problemu zaangażowania całego pokolenia pisarzy i badaczy w socrealizm, kolaboracji z okupantem, wreszcie – za każdym razem inicjowanego przez Trznadla – tematu konieczności rozliczenia się ze stalinizmem. Wszystkie powyżej wymienione wątki – z małymi wyjątkami – nie znajdują wprawdzie odzwierciedlenia w opublikowanej z Watową książce, stają się jednak lejtmotywem jego późniejszych publikacji. Przywrócenie kontekstu biograficznego okazuje się konieczne i ma na celu umieszczenie osoby pytającego w porządku historii. Prześledzenie biografii staje się niezbędne do zrozumienia m.in. tematyki zadawanych w rozmowie pytań, wielokrotnego, wręcz obsesyjnego powtarzania się pewnych motywów i myśli, niewspółmierności jednych wątków wobec drugich, słowem – „garderoby duszy" poprzedzającej pytanie, warunkującej, jakie miejsce w biografii Trznadla zajmują te natarczywie powracające kwestie.

Podobnie zdają się myśleć na te tematy osoby bliskie Trznadlowi środowiskowo i towarzysko. W jednym ze wspomnień czytamy, że: „Ten okres jego życia zawodowego spowoduje, że po wielu latach spróbuje zrozumieć i siebie, i innych aktywnych stalinowców, a rezultatem będzie sławna *Hańba domowa* (...)"[260]. Można przypuszczać, że na tym etapie (pod koniec lat 70.) w jego głowie tlił się już nowy pomysł, który kilka lat później urzeczywistnił się pod kontrowersyjnym tytułem *Hańba domowa* (tytułem inspirowanym wierszem Cypriana Norwida[261]), jaki stał się początkiem

[260] J. Maria Ruszar, *Śmierć wybitnego badacza*, „Nowy Napis" 2022, nr 135. Zob. https://nowynapis.eu/taxonomy/term/1474 NowyNapis.eu [dostęp: 24.01.2022 r.].
[261] Chodzi o cytat z wiersza *Duch Adama i skandal:* „I »Kochajmy się« wyrzekłszy przy zgonie/ Po zgodnie jeszcze w swym ukrywa łonie/ Hańbę-domową!". Zob. C. K. Norwid, *Duch Adama i skandal*, w: *Pisma*

121:1001722644

wieloletniego projektu i życiowej misji, mającej na celu ujawnienie prób „zniewolenia literatury polskiej, zwłaszcza na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych”[262] przez stalinowski system, a której bohaterami staną się literaci m.in. z kręgu Aleksandra Wata. Temat stalinizmu i komunistycznych uwikłań pisarzy – jak dopiero dziś wiadomo – zamienią się na przestrzeni następnych dwudziestu lat jego kariery zawodowej[263] w rodzaj obsesyjnie powracającego *leitmotivu*, a pierwsze teksty o tej tematyce pojawią się drukiem niedługo po pierwszej sesji magnetofonowej do *Wszystko co najważniejsze*[264]. W tym kontekście zainteresowanie wdową po Wacie nabiera nowego znaczenia, bo uwidacznia, że odbywane rozmowy dały Trznadlowi szansę na zrobienie własnego użytku z tych spotkań, na zadanie pytań, na które – być może – w innych, mniej przychylnych okolicznościach Watowa odpowiedzieć by nie chciała.

Spotkanie

Kiedy Trznadel postanowił namówić wdowę po Wacie do nagrywania wspomnień, jedyną przeszkodą był fakt, że jeszcze się nie znali. Na rozległej mapie Paryża istniało wtedy tylko kilka „polskich miejsc”, w których schodziły się ścieżki tamtejszej Polonii, dlatego pozostawało kwestią czasu, kiedy znajdą się w jednym miejscu. Do miejsc tych należała m.in. Biblioteka Polska na Wyspie św. Ludwika, która oprócz działalności archiwalnej i muzealnej była miejscem wydarzeń kulturalnych i pomostem między Francją i Polską. Z nieopublikowanych wspomnień Watowej wynika jednak, że nie przepadała za tym adresem. Miejscem spotkania mogła też stać się „Libella” – księgarnia Romanowiczów, lokal przy Sorbonie – Bouillon Racine lub Księgarnia Polska. Z kolei w „Kulturze” w Maisons Laffitte, Watowa nie czuła się najpewniej. Do spotkania mogłoby też dojść w Pallotyńskim Centre du Dialogue i na słynnej „górce”[265], której stałą bywalczynią była Watowa[266], a gdzie zaglądała też, znana Trznadlowi krakowska uczona, Marta Wyka, choć Anna Łabędzka nie wymienia autora *Hańby domowej* wśród uczestników owych spotkań:

wybrane. Wiersze, wybrał i objaśnił J. W. Gomulicki, Warszawa 1968, s. 370.
[262] J. Trznadel, *Hańba domowa*..., s. 8.
[263] Zob. J. Trznadel, *Hańba domowa* (1986); J. Trznadel, *Kolaboranci: Tadeusz Boy-Żeleński i grupa komunistycznych pisarzy we Lwowie 1939-1941*; J. Trznadel, *Polski Hamlet: kłopoty z działaniem* (1988); J. Trznadel, *Spór o całość* (2004).
[264] Pierwsze wydanie *Wszystko co najważniejsze* to rok 1984, pierwsze wydanie *Hańby domowej* – 1986 r.
[265] Chodzi o mieszkanie ks. Zenona Modzelewskiego, znajdujące się w owym czasie na pierwszym piętrze budynku *Centre du Dialogue* w Paryżu, czyli polonijnego ośrodka kulturalnego, prowadzonego przez polskich pallotynów. Modzelewski skupiał wokół siebie wiele wybitnych postaci ze świata polskiej emigracji, a spotkania na „górce” obrosły legendą.
[266] A. Łabędzka, *Paryskie adresy Marty Wyki*, „Nowa Dekada Krakowska” 2018, nr 1, s. 49.

122:8188879156

> Po piątkowych spotkaniach ksiądz Modzelewski z kolegami Pallotynami i z Danutą Szumską przyjmował grupę stałych bywalców na tak zwanej „górce", w ciasnych pokoikach na I piętrze połączonych ze sobą dwóch osiemnastowiecznych budynków oznaczonych numerami 23 i 25. (...) Na hasło „górka" wyłaniają się z mroków pamięci twarze Międzyrzeckich, Brandysów, Oli Watowej, jej syna Andrzeja, tak bliskiej księdzu Sadzikowi Olgi Scherer i jej kuzynostwa Charwatów, księdza Tischnera, Pomianów, Aliny Margolis-Edelmanowej, Smolarów, Zofii Hertzowej, Słonimskich, „Księcia" z Maisons-Laffitte, jak zwykła mawiać Danuta Szumska, i tylu, tylu innych[267].

Wiadomo, że Trznadel nie skorzystał z pomocy wspólnych znajomych. Ze wszystkich dostępnych możliwości wybrał najbardziej niekonwencjonalne rozwiązanie – postanowił wziąć sprawy w swoje ręce i sam przedstawić się Watowej, która w audycji radiowej emitowanej w 1990 roku prostodusznie wspominała: „Historia tej książki jest taka, że po prostu któregoś dnia odwiedził mnie Jacek Trznadel, którego nie znałam"[268], a w innej dodawała: „To on przekonał mnie, że warto moje wspomnienia złożyć w całość"[269]. Okazał jej duże zainteresowanie i namawiał do nagrania rozmów[270] – do tego obiecał pomoc w późniejszym spisaniu i zredagowaniu wspomnieniowej książki, która w końcu uczyniłaby ją autorką. Krótko mówiąc: zaproponował rozwiązania, których Watowa nie mogła (lub nie umiała) znaleźć od dekady. Można by więc rzecz, że spotkali się w idealnym momencie, choć jest wielce prawdopodobne, że nie tylko moment tu zadecydował. W owym czasie Watowa miała już pisarskie próby za sobą, a wcześniejszych sposobności do podobnych projektów na pewno jej nie brakowało – od kilku lat orbitowały wokół niej zdolne polonistki i pisarki – nie obdarzyła zaufaniem Gorczyńskiej, Łabędzkiej, Kowalczykowowej czy Wyki[271], tylko świeżo poznanego akademika z Polski. Być może uznała, że w męskich oczach odnajdzie: „to widzenie, ten dar słowa, tę chęć i przyjemność, jaką dawało (...) opowiadanie"[272], tak jak odnajdywała je w oczach Aleksandra. Jak widać – Watowa chętniej

[267] Tamże.
[268] Nagranie z prywatnego archiwum Andrzeja Wata. Niestety, kaseta zawiera niepełny opis: „Interviev: Ola Wat. 25/03/90, mai 90 (Varsovie)". Nie odnalazłam nazwiska redaktorki ani też nazwy stacji, która emitowała audycję.
[269] Wywiad z Olą Watową przeprowadzony przez Ewę Czarnecką, z okazji wydania *Świata na haku i pod kluczem* Aleksandra Wata, dla Radia Wolna Europa (Paryż), 21.01.1986 r.
[270] Wspomina o tym sama Watowa w wydaniu *Wszystko co najważniejsze* z 1990, a także w kolejnych (wyd. Czytelnik): „Jestem wdzięczna Jackowi Trznadlowi za to, że namówił mnie do nagrania moich wspomnień." Por. Ola Watowa, *Wszystko co najważniejsze*, Warszawa 1990, s. 5.
[271] Marta Wyka przeprowadziła z nią wywiad dopiero kilka lat po wydaniu WCN.
[272] List Oli Watowej do Czesława Miłosza z dn. 19.02.1971 r. Zob. Cz. Miłosz, O. Watowa, *Listy o tym, co najważniejsze (I)*. Zebrała i ułożyła w tom: B. Toruńczyk, Warszawa 2009, s. 69.

123:5038675228

stała na straży patriarchalnego porządku niż próbowała go przełamywać. Nie bez znaczenia było pewnie też jego drugie „powołanie" – był poetą[273].

Nagrania

Rozmowy z Jackiem Trznadlem – formuła (i zarazem podtytuł książki), która na końcu ich wspólnej drogi przyniosła obojgu tyle rozczarowań, stała się szansą na opowiedzenie własnej historii, a także na wypełnienie ostatniej woli męża. W tych zmaganiach zwraca się jednak uwagę na sprawczość warszawskiego polonisty. Anna Micińska zauważa, że: „...bez uporu i determinacji Jacka Trznadla, który zmusił Olę do nagrania swych wspomnień – jak ongiś Miłosz Wata – nie mielibyśmy jednej z najpiękniejszych książek, jakie w naszej literaturze powstały"[274], a sama Ola, w niewydanej dotąd rozmowie ze Stanisławem Rośkiem z 1987 roku oddawała mu sprawiedliwość: „On przecież pobudził wszystkie te wspomnienia. Bo ja wiem zresztą, czy pobudził? One są we mnie... I zostaną. Jackowi Trznadlowi udało się namówić mnie do spisania tych wspomnień"[275].

Wybrali formułę sesji magnetofonowych, przyjętą na wzór *Mojego wieku* Aleksandra Wata (ale też Czesława Miłosza w roli indagującego), która z jednej strony dawała dużą swobodę w planowaniu sesji i pracy nad książką, z drugiej – wydawała się zapewne najodpowiedniejsza ze względu na doświadczenia Oli w pracy z nagraniami. Nie sposób przy okazji tego rozwiązania nie pomyśleć o narzucającej się analogii ról sytuacyjnych i – by tak powiedzieć – ambicjonalnych. Trznadel bowiem, zakładając pantofle w mieszkaniu Oli, do pewnego stopnia mógł czuć się tak, jakby zakładał buty Miłosza, Ola zaś, podając Trznadlowi owe pantofle, stawała się prawdziwym obiektem zainteresowania, podmiotem wywiadu-rzeki, godną tego miana współtowarzyszką przygody mojego wieku pisanego już bez kursywy. Sytuacja miała rację, a oboje uczestnicy tych seansów – by sparafrazować i odwrócić cytowane wcześniej sformułowanie Zygmunta Herza – nabierali właściwych podstaw do sytuacji.

Od stycznia do maja 1981 w mieszkaniu Watowej odbyło się szesnaście spotkań, a po dwuletniej przerwie – w lipcu 1983 roku – zostały nagrane dwa ostatnie seanse. Rozmowy

[273] Wydane tomy wierszy do spotkania z Watową: *Wyjście* (1964), *Gdzie indziej* (1971), *Rana* (1974), *Więcej nie można mieć* (1979). Watowa próbowała nawet zarekomendować wiersz Trznadla pt. *Księga morderców* do druku w „Zeszytach Literackich". Bezskutecznie – Barbara Toruńczyk nie przyjęła tekstu.
[274] A. Micińska, *Wędrówki bez...*, s. 92.
[275] PD, s. 1.

124:2040083815

rejestrowały dwa magnetofony – istnieje 18 kaset (1175 minut) o różnym czasie trwania. Komplet kaset należący do Trznadla, został zdeponowany w archiwum Biblioteki Narodowej i widnieje w katalogu jako *Wspomnienia Oli Watowej nagrane przez Jacka Trznadla w Paryżu*. To on posłużył mi do transkrypcji nagrań. Kaseta oznaczona w katalogu numerem 31_Fon.61.715 jako jedyna nie zawiera nagrania na stronie „B". Jak wynika z informacji zawartej w pierwszym wydaniu *Wszystko co najważniejsze*: „nieliczne fragmenty, już nie nagrywane, powstały w lipcu i w listopadzie 1983 roku"[276] (WCN, s. 51). Watowa najpewniej je przepisała i w ten sposób stały się podstawą do prac nad *Wszystko co najważniejsze*[277]. Wiemy o tym właśnie z lektury nagrań:

> Trznadel: (((zniecierpliwienie))) A ja bym jeszcze wrócił do tamtego pytania, tylko przedtem, takie pytanie poboczne, bo jak nie powiem o tym, to zapomnimy, wiesz, najwyżej wykreślimy to potem, jak będziesz przepisywać tą kasetę. [podkreślenie moje – A.G.M.], (N, s. 559)

Zarówno ślady wcześniejszych, jak i późniejszych spotkań, notatki i zapiski (poza kompletem taśm) według Jacka Trznadla, pozostały w rękach Watowej:

> Inny ciekawy przykład „zaniku" stanowi fakt, że maszynopis roboczy książki z moimi nader licznymi poprawkami redakcyjnymi, także kompozycyjnymi, znajdujący się w posiadaniu Oli Watowej, „zniknął", gdyż nie ma go w zbiorze dokumentów puścizny Oli Wat, przekazanym do zbiorów warszawskiego Muzeum Literatury[278].

Maszynopisu nie znalazłam ani w zbiorach *Beinecke Libarary* w Yale, ani też w mieszkaniu Andrzeja Wata, choć z korespondencji z Janem Chodakowskim z „Pulsu" wynika, że rzeczywiście istniał i znajdował się w jej posiadaniu. W kontekście „zagubionych" dokumentów genezy, znaczący wydaje się fragment wypowiedzi Watowej, w której wspomina pracę z Trznadlem:

> Wszystko co najważniejsze to była pierwsza i ostatnia moja książka. Gdy ją pisałam, to obrazy mnie popędzały. Prędzej... prędzej... W ten sposób ta książka powstała. Bo ja jej nie przepisywałam z magnetofonu. Inaczej niż Mój Wiek – wtedy słuchałam taśm z wielką uwagą, cofając wiele razy w miejscach, w których pokrywały się głosy mego męża i Miłosza. Ale jak nastawiłam magnetofon i usłyszałam siebie, to mnie to strasznie nudziło. Wiedziałam, że z tego nic nie wyjdzie. Zamknęłam więc magnetofon i pisałam. Może zrobiłam krzywdę Jackowi Trznadlowi, bo pominęłam zupełnie jego pytania i potem dopiero – po napisaniu – te pytania na chybił trafił się wstawiało. (PD, s. 1)

[276] Jak wspomniano, rozmowy z lipca są jednak zachowane w formie taśmy.
[277] Zob. Rozdział II. *Archiwum.*
[278] J. Trznadel, *Listy do redakcji*, „Kwartalnik Filmowy" 1993, nr 2, s. 177. Maszynopisu i zapisków nie udało się znaleźć także w archiwum rodzinnym Watów. Przygotowany przeze mnie tekst nagrań został umieszczony w aneksie.

125:4121307535

Interesujące w rozmowie ze Stanisławem Rośkiem z 1987 roku jest też to, że Watowa zanegowała istnienie transkrypcji rozmów: „Zamknęłam więc magnetofon i pisałam" – *skwitowała*. Tą samą taktykę przyjęła *również* jej młodsza siostra, kiedy we wspomnieniach o Oli pisała: „Czytałam jej książkę biorąc prosto zapisane kartki z maszyny, nie mogłam się od tej lektury oderwać i mówiłam: Olinka / ja jedna mówiłam do niej Olinka tak jak Aleksander / to będzie bestseller"[279].

Lektura porównawcza nagrań i pierwodruku nie pozwala zgodzić się z tymi stwierdzeniami. Nawet jeśli uznać, co mało prawdopodobne, że to nie Ola przepisywała taśmy, to z całą pewnością nagrania, a nie jej autorskie maszynopisy, stanowiły centralny element pracy nad książką. Można wskazać wiele fragmentów nagranej rozmowy, które wymagały pracy redakcyjnej i dopiero po uzyskaniu niezbędnych szlifów stylistycznych trafiły do książki, są również takie, które opublikowano w formie niezmienionej, słowo po słowie – a przecież niemożliwym jest, by ktokolwiek był zdolny sformułować myśli w identyczny sposób i to na tak obszernej próbie testu. Interesujące są też wątki, które niewątpliwie pojawiły się na skutek interakcji ze współrozmówcą. Porównajmy[280] dwa fragmenty dotyczące okupowanego Lwowa, które mogą stanowić reprezentatywny przykład tych drugich i zarazem dowód na istnienie dwugłosu. Najpierw transkrypcja:

> Watowa: Najazd barbarzyńców, rozumiesz?
>
> Trznadel: Z tym, że barbarzyńcy ze wschodu.
>
> Watowa: Tak...
>
> Trznadel: No bo wy właściwie nie byliście pod okupacją niemiecką.
>
> Watowa: Tak... I nic nie wiedzieliśmy. Byliśmy odcięci od Polski. I w gruncie rzeczy myśmy sobie zupełnie prawie do końca nie zdawali sprawy, co się działo w Polsce. (N, s. 227)
>
> [podkreślenia moje – A.G.M]

[279] MMS, s. 2.

[280] Działanie to jest świadomym odstępstwem od założeń krytyki genetycznej, zgodnie z którymi nie należy traktować brulionów jako „wariantów" tekstu ostatecznego i porównywać ich ze sobą, ponieważ są to teksty o zupełnie innym statusie. De Biasi objaśnia: „Chyba, że siłą naginając chronologię, będzie się porównywało poszczególne etapy pisania z uwieńczeniem w postaci opublikowanego tekstu ostatecznego: byłoby to zakładanie istnienia czegoś, o czym brudnopisy nie wiedzą i właśnie starają się wynaleźć, to jednak byłoby całkowitym zanegowaniem logiki genetycznej. Zob. P.M. de Biasi, *Genetyka tekstów*..., s. 35. W tym przypadku jednak porównanie transkrypcji z opublikowanym tekstem uznałam za konieczne ze względu na brak innych brulionów poświadczających ten etap pisania. Uznałam, że tylko w ten sposób można ustalić czy Watowa, jak próbowała udowadniać, była jedyną autorką książki wspomnieniowej. Bez tej wiedzy praca nad odtworzeniem procesu genezy tego tekstu wydaje się niemożliwa.

126:8018094342

Opublikowane w 1984 roku wspomnienie brzmi:

> OLA WAT: (...) Najazd barbarzyńców.
>
> J.T. Z tym, że barbarzyńcy ze Wschodu. Właściwie nie byliście pod okupacją niemiecką.
>
> OLA WAT Tak. I nic o niej nie wiedzieliśmy. A potem byliśmy odcięci od Polski i do końca nie zdawaliśmy sobie sprawy, co się tam działo. (WCN, s, 21)

Uwidaczniają się tu dwie sprawy: po pierwsze, podkreślone w transkrypcji fragmenty zostały opublikowane prawie bez zmian: pozostały identyczne sformułowania, pozbyto się natomiast powtórzeń (np. gramatycznych: „wy... byliście") oraz zwrotów charakterystycznych dla mowy mówionej („w gruncie rzeczy"). Poprawki stylistyczno-gramatyczne nie zaburzyły jednak zasadniczej treści wypowiedzi.

Druga kwestia dotyczy zadawanych pytań. Ciekawe wydaje się, że w procesie redakcji, słowa Watowej zostały niejako wciągnięte do pytań Trznadla, co zresztą świadczy o tym, że fragment powstał przy wykorzystaniu maszynopisu. Co więcej, cofając się jeszcze bardziej, zauważamy, że jego wcześniejsze, źródłowe pytanie było zasadnicze dla dalszego przebiegu rozmowy:

> Trznadel: Czy… jaka była świadomość? Co się mówiło? Powiedzmy już, począwszy od… no bo wyście – wiadomo – jeszcze przecież bardzo dużo przeżyli. I ty z Andrzejem, i Aleksander. Jaka była świadomość innych ludzi, czy powiedzmy, w tym czterdziestym roku we Lwowie, czy była już wtedy świadomość, w trzydziestym dziewiątym, czy to się mówiło, że to jest jakieś wyzwolenie, czy była ta świadomość, którą, no, mamy w tej chwili, że to był następny rozbiór Polski? (N, s. 226)

To samo pytanie, w swojej opublikowanej, skróconej wersji brzmiało następująco: „J.T. A co się myślało i mówiło w tym trzydziestym dziewiątym i czterdziestym roku we Lwowie? Czy była świadomość, którą mamy w tej chwili, że nastąpił kolejny rozbiór Polski?" (WCN, s. 20). Porównanie przemawia na korzyść autora *Hańby domowej*. Prawdopodobnie, bez jego powracających, drążących interrogacji na temat okupowanego Lwowa i „ustawienia" rozmowy w odpowiedni sposób, wdowa wcale nie poruszyłaby zaproponowanego tematu, jak – podkreślmy – nie zrobiła tego również w żadnej ze swoich wcześniejszych prób pisarskich. Zarówno omawiany fragment, jak i wiele innych mu podobnych, jest jawnym zaprzeczeniem tego, co Watowa powiedziała Rośkowi w 1987 roku: „...bo pominęłam zupełnie jego pytania i potem dopiero – po napisaniu – te pytania na chybił trafił się wstawiało" (PD, s. 1).

127:4130184111

Prawdopodobnie wybieg ten miał na celu ugruntowanie jej pozycji jako jedynej autorki książki i tworzenia podstaw do wymazania nazwiska Trznadla z karty tytułowej (wydanie „Czytelnikowskie" z 1990 r.), bowiem do 1987 roku Watowa nigdy nie negowała podstaw ich współpracy: nie zgłaszała żadnych zastrzeżeń do jego roli i zaangażowania, w dodatku nazywała go swoim bliskim przyjacielem. W dwóch drugoobiegowych wydaniach krajowych także występowali w dwugłosie: *Wszystko co najważniejsze* wyszło w 1985 roku nakładem Międzyzakładowej Struktury „Solidarność" oraz Zony. Jedyny ślad ustaleń odnoszących się do przyszłej redakcji książki odnajdujemy na taśmach. Z uwag rzuconych mimochodem, możemy domyślać się, jak miała wyglądać praca nad maszynopisem i jakie panowały między nimi relacje:

> Trznadel: No oczywiście, oczywiście! (((zniecierpliwienie))) A ja bym jeszcze wrócił do tamtego pytania, tylko przedtem, takie pytanie poboczne, bo jak nie powiem o tym, to zapomnimy, wiesz, najwyżej wykreślimy to potem, jak będziesz przepisywać tą kasetę. (N, s. 556) [podkreślenie moje – A.G.M.]

Na podstawie krótkiego fragmentu transkrypcji można odnieść wrażenie, że prac redakcyjnych mieli dokonywać wspólnie („wykreślimy"), choć najprawdopodobniej ich większość spadła na Trznadla, który po wielu latach, dochodząc swoich praw, wspominał pracę nad maszynopisem, wskazując na ogrom obowiązków, przechodzących jego pierwotne oczekiwania:

> Dokonałem żmudnej, ostatecznej redakcji całej książki, także stylistycznej, skreślenia i porządkowania powtarzających się epizodów itp. Pamiętam, że w toku tej pracy zaproponowałem, że potraktuję swoją obecność w książce jako zbędne już rusztowanie i że zrobię z tekstu „monolog". Ola Watowa zaprotestowała, uważając, że naruszy to wewnętrzny charakter jej wypowiedzi[281].

Watowa nigdy nie przyznawała się do prac redakcyjnych nad transkrypcją, ponieważ w kuluarach negowała samo jej istnienie. 21 stycznia 1984 roku zapisała szkic listu do wydawcy, Jana Chodakowskiego:

> Drogi Panie Janie
>
> ~~17.I~~
>
> Wysłałam maszynopis mojej
>
> przyszłej książki 17. I, a dzisiaj
>
> fotografie.

[281] J. Trznadel, *Moje staroświeckie sumienie*, „Tygodnik Solidarność" 1990, nr 38, s. 17.

128:5798314417

~~Pracowałam jesz~~ Dopisałam
trochę stron i porobiłam
różne poprawki i wstawki i
~~m~~*M*am nadzieję, że się Panu
~~Spodobają~~ to spodoba.

(...)

Co do Jacka T. problemów
związanych z pytaniami, czy
też ~~wtrętami~~ wypowiedziami J.
Trznadla, postanowiliśmy ~~tych~~
z jego przyjaciółką rozwiązać
~~to~~ je same. Jest ona zresztą w
stały z nim kontakcie, a J.T. ~~jest~~
na pewno nie weźmie nam tego
za złe, po prostu, dlatego, że ma
do nas zaufanie.

(...)

I myślę, że ~~w sytuacji~~
W delikatnej sytuacji w jakiej
się znajduję obecnie, lepiej żeby
mu nie przesyłać
czego nie[282].

Ze szkicu listu dowiadujemy się i o nanoszonych poprawkach (nie wiemy jednak, kto wcześniej przygotował maszynopis), i o „problemach" związanych z pytaniami warszawskiego akademika. Nie ma jednak pewności, czy „wstawki" i strony Ola poczyniła sama, czy tylko w ten sposób opisywała je Chodakowskiemu. Przy okazji trzeba podkreślić, jak uderzające są sformułowania zawarte w szkicu, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę czas ich powstania, gdy na horyzoncie nie było ani konfliktu, ani nawet opublikowanej książki. Wygląda bowiem na to, że

[282] Szkic listu do Jana Chodakowskiego. Archiwum prywatne Andrzeja Wata.

129:6882636698

prawdomówność Watowej i czystość jej intencji pozostawiają w tym zakresie wiele do życzenia – mimo że byli z Trznadlem w bardzo dobrych relacjach, wyraźnie zależało jej na ukryciu przed nim maszynopisu. Ukryła go tak skutecznie, że nie odnalazł go nawet po jej śmierci. Czy chciała coś zataić? Pokrętność działań wdowy sprawia, że słowa Trznadla nabierają na znaczeniu i wiarygodności. Biorąc je za dobrą monetę, powinniśmy, jak sądzę, uznać stopień jego zaangażowania w redakcję za wysoki. Trznadel był niekwestionowanym pomysłodawcą projektu; autorem pytań i (współ)redaktorem książki. Na jego korzyść przemawiają również zaproponowane zmiany, których, sądząc z różnych wypowiedzi Watowej, nie sposób uznać za jej ingerencje. Mowa na przykład o chronologicznym ułożeniu i „porządkowaniu powtarzających się epizodów". W rozdziale *Archiwum* wskazywaliśmy na metonimiczny charakter jej wspomnień oraz fakt, jaką wagę Watowa przywiązywała do „pulsowania", „żywości" i „prawdziwości doznań". Przypomnijmy, co pisała o swym własnym procesie twórczym:

> (...) postanowiłam nie trzymać się jakiejś ścisłej chronologii. Widziałam się to w dwudziestoleciu, to w Kazachstanie, potem nagle osaczały mnie wspomnienia z Paryża. Dawałam się po prostu ponosić obrazom. (PD, s. 1)

Wszystko co najważniejsze przeczy jej własnym założeniom: opowieść zaczyna się w Warszawie okresu dwudziestolecia międzywojennego, dalej podąża do Lwowa, skąd przenosi nas na kazachski step (zsyłka), potem do Ałma-Aty i Ili, następnie do powrotu do Polski – do Warszawy lat czterdziestych. Opisane zostają kolejne wyjazdy zagraniczne, by w końcu zatrzymać się na emigracyjnych wspomnieniach, chorobie i śmierci Aleksandra. Trudno wyobrazić sobie bardziej chronologicznie poukładaną narrację, a jednocześnie bardziej odmienną od jej wyobrażeń na temat pisania niż ta, zaproponowana w jej własnej książce wspomnieniowej. Bogumiła Kaniewska komentowała: „Inaczej jest w relacji Oli Watowej, która wprowadza w opowieść o dziejach ich małżeństwa chronologiczny ład, pragmatyczny porządek"[283]. Najpewniej porządek chronologiczny do tekstu (i jak się okazuje, przy okazji, ład do małżeństwa Watów) wniósł zmarginalizowany Jacek Trznadel, który zresztą już na wcześniejszym etapie, podczas nagrywanych rozmów proponował tematy, zadawał pytania, słowem, konstruował „szkielet" opowieści. Odmienny rytm opowiadanej historii w tekście i transkrypcji można uchwycić na podstawie spisu tematów zawartego w tabeli:

[283] B. Kaniewska, *„Ja jestem Ty". W poszukiwaniu trzeciej prawdy*, w: *Elementy do portretu. Szkice o twórczości Aleksandra Wata*, pod red. A. Czyżak i Z. Kopcia, Poznań 2011, s. 222.

130:1608326120

Hasłowy spis tematów		
WCN 1984 (z numerami stron)		Transkrypcja nagrań (z sygnaturami kaset i numerami stron)
<u>Dwudziestolecie</u> (Warszawa) Wstęp: inicjalne zdanie, historia poznania, s. 6, ślub i wesele, ojciec, s. 7, dziadek od strony matki, matka, s. 7 rodzina, Treblinka, s. 8, rodzina Aleksandra: ojciec i matka; dwudziestolecie: „Miesięcznik Literacki", praca, Ziemiańska, u Wróbla, Albrecht i tłusty czwartek, Qui pro quo, Anegdota o Schulzu, s. 9, Gebethner i Jakub Mortkowic, rewizje, mąż Naglerowej, s. 10, Majakowski, ambasada, pierwszy i drugi przyjazd, zakupy, Kamil Weintraub, samobójstwo, samobójstwo Borowskiego, s. 12; „Miesięcznik Literacki", poród, aresztowanie, odwiedziny w więzieniu, s. 13, śmierć siostry Ewy, rewizje II, Stawar i przydeptanie bibuły, Aleksander i komunizm, s. 15, antysemityzm przedwojenny, Aleje Ujazdowskie, wybicie szyb, Andrzej, „swój do swego po swoje", Aleksander i ojciec, Żydzi niemieccy i polscy, podróż w 1914 z ojcem, wakacje w Jastarni, optymizm Polaków, s. 16, prześladowania studentów (brata), śmierć brata, Otwock, *Biesy, ś*mierć matki, s. 17, Śródborów, tuż przed wojną, bombardowanie Warszawy, wyjazd z Gilewiczami, niszczenie książek**,** list miłosny od Aleksandra, s. 19, ucieczka, nocowanie u Żydów, Dubno, zabicie żołnierza sowieckiego, rozdzielenie, s. 20. **<u>Lwów</u>** Wittlin-Winnicka, Górska, Ważyk, wizyta u Ważyka po wojnie, „Kuźnica", żona Ważyka, *Poemat dla dorosłych* i Nieborów, intelektualiści i komunizm, s. 22-23. **<u>Lwów</u>** po aresztowaniu Aleksandra, Wanda Wasilewska, samotność, Marysia Zarembińska, mężczyzna z pieniędzmi w bramie, Kasprowiczowa i Wielkanoc, s. 24, Dan i przerażenie, Ukraińcy, walka z literatami o jedzenie, indoktrynacja, s. 25, Pani Dembińska, rekwirowanie dóbr, s. 25, sen o aresztowaniu (*mare tenebrarum*), Daszewski: zaproszenie do Aronsona, impreza i aresztowanie przez NKWD, s. 27-29, Wasilewska – Lwów, kołdra, Związek Patriotów, Bogatko, Moskwa po wojnie, s. 30-31, Zjazd Literatów w Łodzi, tłumaczenie Daszewskiego, Wawrzyniec Żuławski, s. 32, Zamarstynów, watolina, wywózka w nocy, s. 34, NKWD, wagon, atmosfera izolacji. **<u>Kazachstan</u>** Podróż, głód Andrzeja, barak, mieszkanie u Kazachów, sprzedaż rzeczy, „rubaszki", choroba, Bielscy i Tarnowscy, Stefania Skwarczyńska, s. 40-42, natura, s. 42, *Sonety krymskie*, praca: kiziak, sianokosy i samany,		**1a Dwudziestolecie – pytanie Trznadla** 1. Tuż przed wojną, faszyzacja społeczeństwa polskiego, antysemityzm przedwojenny, Aleje Ujazdowskie, wybicie szyb, Andrzej, „swój do swego po swoje", Iwaszkiewicz, Aleksander i ojciec, żydzi niemieccy i polscy, Naglerowa, lekkomyślność, niedowierzenia Polaków, że idzie wojna, brat i jego śmierć, Kulczyński, śmierć matki Aleksandra, Zaraz przed wojną, bombardowanie Warszawy, wyjazd z Gilewiczami 6, niszczenie książek**,** Ucieczka 7, rozdzielenie, nocowanie u Żydów, Dubno, zabicie żołnierza sowieckiego, Naglerowie, Wasilewska i Bogatko, Ważyk i komunizm, „Czerwony sztandar", artykuł potępiający Wata, przyzwoita Wasilewska, Chruszczow **2b** Wasilewska i paczka do Kazachstanu, Wasilewska i historia Bogatki (jego zabójstwa), elementarz na stepie, Justyna Kreczmarowa w Moskwie, futro, opętanie intelektualne, Dąbrowska, Żydzi w mediach, zebranie w IBL, Lwów – atmosfera, pytania o zaangażowanie, znowu Lwów i indoktrynacja, Ważyk i Broniszówna – propozycja współpracy, list w „Kuźnicy", stary Ważyk, groźba publikowania kaset i dokumentów, żona Ważyka **3a** wieczór o Appolinerze, obgadywanie Ważyk z czasów stalinizmu, Niebórów, *Poemat dla dorosłych*, indoktrynacja, więzienie we Lwowie i zmagania o wypuszczenie, Adolf Rudnicki – pozytywnie , Zarembińska i inne żony, mężczyzna z pieniędzmi w bramie, Kasprowiczowa, Boże Narodzenie, brak kontaktu ze środowiskiem, atmosfera grozy, Aleksander Dan, dezintegracja środowiska, zima, indoktrynacja, amerykański żołnierz i Kazach na wojnie, Moczar, indoktrynacja. **4b** Hitlerowcy, pozbywanie się złudzeń, mechanizm, Tołstoj – rekwirowanie dóbr w czasie wojny, Pani Dębińska we Lwowie, rekwirowanie rzeczy, Rosjanie, wejście NKWD w nocy, wywózka Niemców, polski barak, Polska współczesna, Andrzej w wojsku, Adolf Rudnicki i jego opowiadanie o Czapskim, Katyń, negatywnie o Rudnickim, Kowalska i Dąbrowska; spokój Marii Dąbrowskiej jako priorytet, indoktrynacja, wystąpienie Aleksandra do Związku Literatów, „dubina", przyczyna choroby, Woroszylski, indoktrynacja, sen – *mare tenebrarum*, Katowice, sen, Daszewski – historia i geneza, prowokacja lwowska.

131:1125300199

codzienność stepu, choroba Andrzeja, opuszczenie stanowiska pracy, podróż do Żarmy po lekarstwo, sąd, „kazionne" barany, charakterystyka Kazachów, nocleg w namiocie Kazachów, młody Kazach wychowany w systemie sowieckim, s. 46-48 step zimowy: Koreańczyk – podróż przez step, zakupy w Żarmie. Nauczycielka, s. 50, myśliwy i przejście przez step, s. 51-52, religijność Stefanii Skawrczyńskiej, s. 52, kradzież ziarna, sama na stepie, s. 54, mistycyzm, wół, komisja z Moskwy, Erenburg, list od Zarembińskiej, s. 57, po amnestii, s. 58, kołchoz i pola bawełny, Antonówka, s. 58, kradzież jedzenia, zabijanie prosiaka, s. 59, list od Krakowskiego , s. 61, Aleksander w Ałma-Aty, s. 61, listy od Aleksandra, s. 62, nędza w Antonówce, s. 66-67, wyjazd, pieczenie chleba, stacja kolejowa, s. 68, zakup biletu, „bradiacy", polscy wojskowi w pociągu, s. 69.

Ałma-ata

Dworzec w Ałma-Acie, s. 70, powitanie, chleb, dziecko ze szkarlatyną, moskiewscy pisarze, s. 70-71, codzienność, ryż od Szkłowskiego, delegatura – suto zastawiony stół, Więcek, przydziały, s. 72, mieszkanie u Kołmogorowej, ludzie wracający z łagrów, s. 73, sklep dla uprzywilejowanych, Ałma-Ata, wyrzucenie z Ałma-Aty, s. 63.

Ili

Rok'43, Ili, s. 74, dary z Ameryki, szpital, przeklęta ziemia, wracający z łagru, *Sznur*, s. 75, młody Kazach-żołnierz, wojna, szpital, ostracyzm, małżeństwo, s. 79-80, silne Kazaszki, s. 80, szewc Kamer, czosnek i karmelki, s. 81, *Paszportyzacja*: areszt, Aleksander w celi, Walentyn, s. 81-98 (przedruk), wizyta Walentyna, s. 98. Pieniądze z gipsu, s. 99, opowieść Walentyna, s. 100, targ, pociąg, s. 101, więzienie w czasie paszportyzacji.

Powrót

Niepewność, list Ważyka w „Kuźnicy", podróż, ryzyko przesiadek, NKWD-ysta, prowodczyca, handel, Moskwa: łachmany, ambasada, połączenie kobiety z łagru z synem, s. 106, oczekiwanie na bilety, Plac Czerwony i Stalin, zniecierpliwienie, stacja Majakowskiego i mężczyzna-intelektualista, Kajetan przy pociągu, rozmowy z rodakami, s.107, przyroda.

Warszawa

Teatr Polski, czarna limuzyna, ruiny Warszawy, ruiny domu, s. 108, spotkanie w teatrze, s. 109, Broniszówna i jej wspomnienie o Aleksandrze, s. 109, charakterystyka, przyjaźń z PPS, zaręczyny z Andersem, s. 110, wspomnienie Broniszówny, s. 110, jej mieszkanie, Boyowa, łóżko, pluskwy, s. 111, Andryczówna, wizyta u Borejszy, s. 111, propozycje pracy dla Aleksandra, druk w „Tygodniku Powszechnym", PAX, spotkanie siostry, s. 112, Bachrach z PIW, praca w PIW, mieszkanie na Niemcewicza, Radziwiłłowa, Kowalski – obiad, prawda

6b prowokacja, cd., jazda limuzyną, mieszkanie na Pradze u Broniszówny, Zjazd Literatów w Łodzi W 1955 r., Schiller, Daszewski i wyjazd z wyprawką do Moskwy, prowokacja lwowska – analiza winy, *Krakowiacy i górale*, Łódź 1957 r., Wawrzyniec Żuławski, list do Miłosza, Nepomucen Miler, Ciołkoszowie i ich pretensje, Leopold Lewin-parnusista, Daszewski.

7a Daszewski – sprowadzenie Bonackiej, poranne artykuły po prowokacji, NKWD i kartoteki, watolina i więzienie, NKWD – opis aresztowania, wagon – współaresztowani, sprawdzanie dokumentów, partnerka Peipera, Peiper, jedzenie w wagonie bydlęcym, atmosfera nienawiści, antysemityzm, Andrzej-bękart.

8B barak – przyjazd, pomoc Kazaszki, Stefania Skwarczyńska, hrabia Tarnowski, historia Bielskiego i Tarnowskiego, Bielski-Rotszyld, Iwan i praca, owczarnia, uroda stepu, sakralizacja natury, porównanie do Mickiewicza, woły, jedzenie.

9a choroba Andrzeja, ucieczka z miejsca pracy, „Stepowy Wilk", wierzenia Kazachów, nocleg w lepiance Kazachskiej, sąd, wyrok, noc u Kazachów na stepie, próba gwałtu, młody Kazach wychowany w systemie sowieckim, mimoza-Ola, metamorfoza, historia Kazachów, strzyżenie owiec, Łubianka, Skwarczyńska i wiara, Kleiner i Wasilewska, wiara i komunizm, tragedie prywatne Skwarczyńskiej.

10B 23.01.1981

wiersz czytany na wspak, litania Skwarczyńskiej, komisja z Moskwy, list do Ilii Erenburga, depesza od niego i 300 rubli, kołdra od Wasilewskiej, NKWD – kartoteki, Ałma-Ata, list od Aleksandra, kradzież ze Skwarczyńską.

11A wymiana listów z Aleksandrem, kobiety wychodzące z łagrów, chleb z inicjałami Aleksandra, dworzec i „bradiagi", kłopot z biletem na pociąg, zawiaduszczy, łapówka, toboły i podróż, polscy oficerowie, podróż – spokój, jedzenie, dworzec w Ałma-Acie, dom, chore dziecko, krzyż, wygląd Aleksandra, głód, literaci z Moskwy, trup dziecka, nocne opowieści, antysemityzm, mieszkanie na Mokotowie, szkoła Andrzeja – antysemityzm.

12B pierwszy dzień szkoły Andrzeja, antysemityzm, delegatura i literaci-Rosjanie, Kołmogorowa, łagier i jej mąż, jedzenie dla delegatury, Ili – kobiety wracające z łagru, łagry – powrót z łagru, niemożność powrotu do domu.

13A Trocki, *Sznur*, Czapski, Kołmogorow, Messuguier, znani pisarze francuscy, lewica i pretensje, Polak-faszysta, Jan Kott i Versors – rozmowa o Chinach w bibliotece, Chiny Kotta.

14B mur chiński, NKWD-zista, hotel na Kruczej,

132:3760987377

o Sowietach, matka Kowalskiego, s. 113, list otwarty, s. 113, koniec pracy w PIW-ie, Putrament i w Związku Literatów, s. 114, rozmowa z Borejszą o pośpiechu polskich literatów, s. 114, choroba, 1952 – zebranie i choroba, wspomnienie o Woroszylskim na Zjeździe w '54 i w Oborach, s. 116, Stawar: list, próba spotkania, s. 116, śmierć, Brezowie – reakcja na Watów, spotkania towarzyskie, s.117, wykładowca z Ili, który chciał mówić prawdę, s. 118, tłumacz Julian Maliniak, s. 118, pijany Broniewski, który gonił służącą, Borowski przed Berlinem i po, wybuch w domu Watów, s. 119, Kruczkowski – wyrzuty sumienia, unikanie Aleksandra, s. 119, Maria Dąbrowska i Anna Kowalska – stosunki obu. Przerwanie opowieści o Sowietach, s. 120, Kowalska po śmierci Dąbrowskiej, panegiryki na śmierć Stalina, s. 121, szpital w dzień śmierci Stalina, 121, portret Stalina na śmietniku, pomoc Bermanowej w szpitalu, protekcje, s. 121, wpis na stronie „Miesięcznika Literackiego" o komunizmie, s. 122, choroba: brat Julii Hartwig, bóle, niemożność operacji, s. 123.

Wyjazdy i emigracja

Ambasada w Sztokholmie, Watowa w Sztokholmie jak Majakowski w Warszawie, impresje ze Szwecji, lekarka z Polski, ładne więzienie, paczka od Grydzewskiego z „Wiadomościami", s. 123-124, reprymenda w Ambasadzie, wyprowadzka z ambasady, Jan Parandowski i jego naiwny entuzjazm, Iwaszkiewicz przerażony stanem Aleksandra, s. 124, odwiedziny u Iwaszkiewicza w Paryżu, s. 125, pomoc Iwaszkiewicza – wizyta w Polsce, s. 125, płacz Jarosława, s. 126, wspomnienie o Gojawiczyńskiej, Warszawa lat 50 – rozluźnianie stosunków towarzyskich, praca tłumaczeniowa, s. 126, refleksja na temat twórczości Aleksandra, pisarze francuscy, s. 127, Eluard, żałoba po żonie i nowa żona, Eliza Triolet - konflikt, s. 127, Światowy Zjazd Intelektualistów we Wrocławiu, podobieństwo do Gali, s. 128, powrót ze Szwecji, Mentona, Clos du Peyronet, s. 128-9, *Piosenka dla żony*, tyfus, nagroda „Nowej Kultury", wyjazd do Paryża w 1958, pobyt w Pen Clubie, potem, w „Kulturze", pisanie z bólem, s. 130, Genua i Silva, luksusowy hotel, polski balet, s. 131, opis mieszkania Silvy, plany wydawnicze, przepych i rozrzutność Silvy, s. 132, dom-Francja, opis Włoch, s. 132, Padre Pio, s. 133, rękawica z krwią, gorąca noc, s. 133, Padre Pio – sylwetka, miejscowość San Giovani, nabożeństwo, s. 134, marmurowy szpital, s. 134, spowiedź, piorun, s. 135, Ignazio Silone, rumuński malarz, s. 136, i nieuprzejmy Chagall, s. 136, Gordon Craig, s. 136-7, La Messuguiere 1962 r., pejzaż Grasse, *Wiersze śródziemnomorskie*, Jan Kott, s. 138, spotkanie w bibliotece z Vercorsem i panią Vienot, s. 138, podróż do Chin, riposta Kotta, wielki mur, s. 139, terror Chin, polski faszyzm, s. 139, wyparcie sowieckiego terroru

opowieść A. o więzieniach rosyjskich, odwiedziny zachodniego reżysera u Trznadla, system kupowania przez komunizm, „lewak" francuski, sklepy w Ałma-acie na przyjazd polityka, *Paszportyzacja*: żyd Kramer, Żydzi – postura, Lenin to nie filozof, namawianie do paszportu, reakcja Andrzeja, budynek NKWD, przesłuchanie, Reginka, bazarek, włosy-golenie, rozbieranie się, pobicie w więzieniu.

15A koc, bicie w celi, bicie ludzi z posiołka, mężczyzna, który płacze, przyjęcie paszportu, Aleksander w areszcie – przejście, widzenie, wyjście po 3 miesiącach, spotkanie w areszcie Walentyna, przyjaźń z więźniami, powrót z aresztu, tyfus, odwiedziny Walentina,

16B *trzydziesty stycznia 1981*

zakupy, opowieści, plan ucieczki, pożegnanie z Walentynem, przestępcy z więzienia i ich interes, sowieckie metody, pociąg do Polski, przekupienie „pierewodczycy", Moskwa, Zofia Lissa, Polacy w ambasadzie, historia kobiety, która po latach łagru spotkała swoje dziecko.

17A Amerykanie, Holocaust, indoktrynacja, młody komunista w Paryżu

27 lutego 1981

Pasternak i Olga, plac czerwony – zwiedzenia, cerkiew, Stalin, metro Majakowskiego, przyjaciel Majakowskiego, droga do Polski, radość, ruiny Warszawy, pierwsze wrażenia, kierowca generała, Teatr i Broniszówna, mieszkanie Broniszówny, Boyowa, rozmowy, pluskwy, żona Cyrankiewicza, jej uroda i poglądy.

18B Cyrankiewicz, strajk w Poznaniu, spotkanie Trznadla z Cyrankiewiczem, koniec jego kariery, Borejsza – zaproszenie do współpracy, Bachrach – PIW, propozycja pracy, zgoda Bermana, Alfred Krygier, nowe mieszkanie Watów – opis, Gilewiczowie, Joasia (siostra Watowej) i jej związek z Sandauerem, przyjaźń z Krasińskimi, mieszkanie, praca w PIW, list od Kotarbińskiego, Radziwiłłowa jako sekretarka, kamerdyner Radziwiłłów, zbiórka i informacja w „Trybunie Ludu".

19A towarzysz-Wat, sprostowanie**,** tłumaczenie Bernanosa, „Pax", „Tygodnik Powszechny", Ważyk – dystans, niechęć ludzi ze Związku Literatów, przyjaźń z Brezami, recenzja Boya, zerwanie stosunków towarzyskich, Tadeusz Breza – romanse, funkcja *attache*, spotkanie w Rzymie, El Greco, Adolf Rudnicki, Maliniak – tłumacz i jego córka w łagrze, Borowski i jego stosunek do systemu komunistycznego, Wygodzki – sprowadzenie przyjaciela z Izraela i samobójstwo, Borowski o Auschwitz, kolęda Borowskiego, Wygodzki i historia rodziny, luminal, Borowski i Maria.

133:7539775152

przez Zachód, s. 140, wizyta Williama Averella Harrimana w Almaty – sklepy z pomalowanymi towarami, s. 140, Maisons-Laffite, Hertz, Czapski, Kot Jeleński, Jan Lebenstein i *Ciemne świecidło*, s. 140, Sterligowie, wyjazd z Polski i konferencja o Sowietach, s. 141, oczekiwanie na paszport, utrata pracy przez Marysię, wybranie wolności, Berkeley i Miłosz, s. 141, nagrywanie *Mojego wieku*, s. 142, okolice Berkley, cierpienie, reakcja Aleksandra na swój głos i poprawki, s. 142, ostatni zeszyt, znaczenie choroby, komunizm, s. 144, okłamywanie siebie, Salpetriere, s. 145, Parc de Sceaux, czasopisma, naszepty magnetofonowe, współczucie i łzy Miłosza, s. 145, liczne pożegnania w zeszycie, strzyżenie włosów Aleksandra, s. 146, milczenie przed snem, s. 147, samobójstwo, s. 147, poranek, fragmenty listu pożegnalnego, refleksje o samotności, s. 149, słuchanie kaset, krzyżyk Aleksandra, s.150, nauka, która płynie z doświadczeń wojennych, chaos rozmowy, s. 150. **Koniec**

20B Borowski, Stawar i samokrytyka, Szpital Dzieciątka Jezus w Warszawie – pobyt Aleksandra, Kruczkowski, Związek Literatów i specjalne prawa Aleksandra, żona Bermana i Cyrankiewiczowa – pomoc, pomoc Bermana, wyjazd i stypendium Forda, Ważyk, lata 50., zebranie w IBL-u, profesor Wolte (*27 lutego 1981*); *6 marca 1981 roku:* kontakt z Putramentem w sprawie wyjazdu Aleksandra, ulga w Sztokholmie, brat Julii Hartwig, Parandowski, naiwność, wizyta Iwaszkiewicza – wzruszenie.
21A pierwsze spotkanie z Aleksandrem, szkoła dramatyczna, dziwne rozmowy, odprowadzanie do domu, wchodzenie potajemnie do domu Oli, umowa z siostrami, wujek, niezadowolenie Wata ze Szkoły Dramatycznej, ultimatum, konserwatyzm Wata, Bela Hertz, przesłuchanie do szkoły dramatycznej, młodość, Kot Jeleński, powieści za „trzy grosze", Broniszówna – negatywny stosunek do Oli, dojrzewanie w Kazachstanie, Andrzej, rodzice Trznadla, wycieczki z Aleksandrem, zaborczość, mapa, związek, nieporozumienia i konflikty Oli i Aleksandra.
22B rzadka miłość, małżeństwo, nocne spacery Wata, koledzy Wata, wygląd i atrakcyjność Oli, codzienna toaleta, dwudziestolecie, Jalu Kurek i jego powieść, nagroda literacka, koniec „Miesięcznika", mąż Broniszówny, praca u Gebethnera, Jakub Mortkowicz – jego wydawnictwo, stypendium dla Kowalskiego, Kruczkowski – stypendium, Parandowski-„Chruszczyk", endecja, lista długich noży, gestapo, Gebethner i zwolnienie z pracy,
23A choroba po porodzie, aresztowanie, Andrzej – problemy zdrowotne Andrzeja, Otwock – historia o gestapo i srebrze, Majakowski – ambasada sowiecka, kawior, przepych, zainteresowanie polskich literatów, Morrisowa, Majakowski, pijaństwo, pijana Ola, Majakowski i ogórek, Majakowski i paszport sowiecki, Broniewska opisuje Majakowskiego, Woroszylski, zainteresowanie Majakowskiego Olą, zakupy z Majakowskim, rękawiczki, Kamil Weintraub – śmierć, higiena Majakowskiego, Iwaszkiewiczowa, nastrój Majakowskiego, ponurość, wspólna fotografia, Woroszylski – propozycja napisania o Majakowskim, Majakowski – powody samobójstwa.
24B śmierć Majakowskiego, wspólny lekarz z Elzą Triolet, kłótnia, Mosfilm, Majakowski a Polska, samobójstwo w systemie komunistycznym – Borowski, Eluard w żałobie, rozpacz, jego nowa żona, przyjęcie z Eluardem, Izabela Czajka, afera na przyjęciu, delikatność Eluarda w Nieborowie, Zjazd Intelektualistów, Picasso, Gala – podobieństwo do Oli, samobójstwo Majakowskiego, znaczenie dla Aleksandra, Zjazd Pisarzy Sowieckich, zmarnowanie życia komunizmem, biografia Wata a komunizm,

134:1013776294

	„Kultura”, stosunek Giedroycia, Miłosz jako słuchacz w czasie berkleyowskich sesji. **25A** Gregory Grossman – pomoc, brak współpracy z „Kulturą”, Watowa w Polsce – wrażenia, Wat w Berkeley, „Antykultura”, wybranie wolności – jak do tego doszło, konflikt z Giedroyciem, Kongres Sowietologów – sukces Aleksandra, propozycja od Struwe – Berkeley, ambasada – zwlekanie, konflikt z Warszawą, rozmowa z polskim konsulem, *fil de voyages* – zrzeczenie się obywatelstwa, rozterki, konsul Barszcz, Czapski w „Kulturze”, Giedroyć i jego dominacja, wolność pisania, stara a nowa emigracja, *szósty marca osiemdziesiąt jeden, dwudziesty siódmy marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt jeden* Sztokholm, nuda, kuzynka króla w szpitalu, praca Aleksandra w Ili (piekarnia, składzik), okradziony składzik i postawa Oli, oliwa, Szwecja, powodzenie polskich mężczyzn, głód rzeczy, stołówka, dzielnica robotnicza w Sztokholmie, piękny budynek więzienia, pobyt u lekarki, Ola jako wróg Polski Ludowej, paczka „Wiadomości” od Grydzewskiego, żałoba po Stalinie w Szpitalu Dzieciątka Jezus, Żółkiewski i Mayenowa o Stalinie, Ważyk – brak wniosków, indoktrynacja, „Kuźnica”, Katyń i Rudnicki, Putrament – jego postawa, nastroje powojenne, Borejsza i ministerstwo, prawda Wata. **27A** PiW, strach przed systemem, śniadanie u Władysława Kowalskiego – teściowa i jej reakcja na słowa Watów, opowiadanie Aleksandra, teściowa , Związek Radziecki – brak pewności, co do losów ludzi, narażanie ludzi, Szpotański i więzienie, urodziny Andrzeja – donos, złośliwa anegdota o żonie konsula, ambasada w Sztokholmie, wyjazd do Włoch, stypendium Forda, brak pieniędzy, praca u Silvy - problemy, eleganckie hotele, bogate towarzystwo , mieszkanie Silvy i jego dziwne zachowania, krytyka Włochów, Paryż – prawdziwy dom, trudy życia we Włoszech, Francja: Morrisowa, francuscy komuniści: Vercors, Aveline, Caillois, Yourcenar i ich stosunek do polityki, kamienie i motyle od Caillosa, kamienie od Valeta, Pierre Emmanuel. 28B Rudnicki – megalomania i samotność, ból po stracie Aleksandra, żałoba, Sterlingowa, która krytykuje odsłuchiwanie taśm, wiosna w Launey, zatracenie się, strata, mężczyzna z niedopałkiem, papierosy, doświadczenia Kazachstanu – bogactwo i nauka, chłopak na plaży w młodości, odkrywanie prawdy po śmierci Aleksandra, cierpienie, potargany list miłosny, krzyż Aleksandra z bakelitu, przeżywanie jego śmierci. (*27 marca tysiąc dziewięćset siemdziesiąt jeden*) **29A** *Dwudziesty dziewiąty maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt jeden:* Ignazio Silone, rozmowa o Pio,

135:4267734183

	rękawica z krwi, niecierpliwość, wyrzucenie przez okno rękawicy, szpital z marmuru, Padre Agostino, msza, woda święcona – krytyczny stosunek Watowej do Pio, spowiedź, piorun, który widziała Watowa, rozczarowanie Pio, Herling – powrówanie, mężczyzna ze sklepiku – podobny ból. **30B** żywica wiśni – uśmierzenie bólu, piorun, *Bezrobotny lucyfer*, *Piecyk*, cierpienie, La Messiguare, wiersze śródziemnomorskie, Nicea, skażona natura, Miłosz i Wat. **31A** *Mój wiek*, Wat, Lourie, Miłosz, *(29 maja 1981)* **32A** cierpienie, samobójstwo, lekarz ze Szwecji – Olivecrone, uciążliwy ból, samobójstwo, Ola w bólu po stracie męża, lekarze w Salpietiere, leki przeciwbólowe, układanie pasjansa, plany samobójcze Wata, wyjście do Andrzeja, ostatni wieczór. **33B** wieczór przed samobójstwem Aleksandra, biografia Prousta, śmierć męża, Jan Lebenstein – portret, spokój po śmierci, Sterlingowie, list samobójczy, dwudziestolecie, reakcje na aresztowanie w latach 20., odwiedziny w areszcie, areszt na Mokotowie, śmierć siostry Aleksandra – Ewy, rewizje, Stawar, fanatycy-komuniści w przedwojennej Warszawie 256, Deutscher i inni komuniści – spotkania, konserwatyzm Aleksandra, tłumaczenie Czechowa i sposób pracy. **34A** niszczenie siebie przez komunizm, milczenie literackie, „Miesięcznik", Broniewski – brak awangardyzmu, idea, romantyzm, język w domu, jidysz, Anusia Mikulak, ojciec Wata, rodzice Wata, matka, odchodzenie od komunizmu, lewicujące towarzystwo, negatywny stosunek Oli do komunizmu, Stande i Warska, dom Watowej, ślub. **35B** Taniec Broniszówny, brak posagu, oddanie polskiego paszportu, geneza Berkley, konsulat polski – problemy, wybranie wolności, degradacja władz dyplomatycznych.

W spisie poruszonych tematów znajdują się interesujące nas niuanse. Niektóre wątki z transkrypcji nie zostały opublikowane – być może uznano, że nie nadawały się do wspomnieniowej książki, część z nich skrócono, powtórzenia zredukowano – zrobiono dokładnie to, o czym na łamach „Kwartalnika Filmowego" opowiedział Trznadel. Większość znalazła swe miejsce we *Wszystko co najważniejsze*, lecz zmieniono kolejność, jak w przypadku opowieści o ślubie Watów: Ola opowiada o nim Trznadlowi podczas ostatniego spotkania, z kolei w książce historia ta pojawia się już na samym początku. W transkrypcji, inaczej niż w książce, opowieść rzeczywiście „pulsuje". Mimo że Trznadel za każdym razem proponował temat „sesji", to

136:1123625156

opowieść Watowej po czasie często od niego odstępowała, by znów doń powrócić, przywołana do porządku przez współrozmówcę – takie tematycznie przeskoki są słyszalne na większości nagrań.

Naprawdę interesująca wydaje się więc sama transkrypcja, która domaga się odpowiedzi na szereg pytań – między innymi o relację tekstu mówionego Watowej do tego, co później zostało zapisane i wydane, a więc, jaka jest relacja tego, co opowiedziane, do tego co zapisane i wydrukowane? Czy i w jaki sposób można mówić o autorstwie Wszystkiego co najważniejsze?

„To" zdanie, czyli tytuł

„Wszystko co najważniejsze w moim życiu wiąże się z Aleksandrem" – pierwsze zdanie wypowiedziane przez Watową w jej książce, które stało się również jej (książki) tytułem, to bodaj najczęściej cytowany fragment wspomnień Watowej. Nieprzypadkowo. Swoją aforystyczną nośność zawdzięcza przede wszystkim położeniu – tytułowemu, otwierającemu – sugerującemu przede wszystkim ważność i znaczenie wypowiadanych słów. Sformułowane na początku zdanie-tytuł, promieniuje na dalszą lekturę tekstu (szczególnie, jeśli znamy lub uważamy, że znamy historię życia Oli i Aleksandra) – przez co łatwo ulegamy złudzeniu, że to, co najważniejsze (sic!), zostało już (na poziomie retorycznym, tematycznym i ontologicznym) wypowiedziane, a kolejne akapity mają stać się wyłącznie potwierdzeniem tej inicjalnej deklaracji. Sprawia to także, że słynne zdanie, jakby „wyjęte" z tekstu głównego, zyskuje odmienny od pozostałych wspomnień, status ontyczny. Rozłącznie od macierzystego podglebia, sprawia wrażenie autonomicznego, funkcjonuje na prawach aforyzmu, a jego:

> Otwarta i sugerująca konstrukcja (...) sprawia, że każdy, kto czyta aforyzm może zinterpretować go na swój sposób, odnieść go do własnych doświadczeń i w każdym wytworzona zostanie wiara, że jego rozumienie jest właściwe i zgodne z interpretacją oraz doświadczeniem innych. Przypisywanie aforyzmowi własnej aktywności myślowej, własnego toku rozumowania w połączeniu z wytwarzaną wiarą w zgodność z doświadczeniem powszechnym, jest sposobem na wytworzenie przekonania, że w aforyzmie zawarta jest jakaś głęboka prawda, życiowa mądrość[284].

W konsekwencji, zdanie to staje się nośnikiem chwytliwej legendy, ale jest również jej poręcznym i zwięzłym potwierdzeniem (legendy, która choć niepozbawiona atrakcyjności, jest pełna przemilczeń i uproszczeń – zob. rozdział *Recepcja Oli Watowej*), i jako aforyzm, sprawia, że jego interpretacja, ulega uniezależnieniu od całości, lecz przez swoją nośność i popularność

[284] E. Szczęsna, *Aforyzm i slogan – język jako zdarzenie fikcji*. „Teksty drugie" 2004, nr 1-2, s. 254.

137:5250558416

staje się kluczem do rozumienia zarówno całego tekstu, jak i życia jego autorki, jak to się dzieje na przykład w szkicu Agnieszki Czyżak:

> Pierwsze zdanie autobiografii jest zarazem wyznaniem życiowego credo i pozbawionym goryczy podsumowaniem własnych dziejów: „Wszystko co najważniejsze w moim życiu wiąże się z Aleksandrem". (...) Ola Watowa-wdowa, po odejściu Aleksandra, jemu poświęciła resztę swych dni, skupiając swoje działania na ratowaniu spuścizny po poecie (...)[285].

Nie bez znaczenia jest to, że zdanie-tytuł, które niejako kieruje naszą lekturą i rzutuje na nią, nigdy nie zostało w ten sposób sformułowane ani wypowiedziane w czasie nagrywanych z Trznadlem „sesji". Jest późniejsze wobec tych nagrań i dopisane przez Redakcję. W dodatku, inicjalne zdanie książki, inaczej niż chciałaby np. Agnieszka Czyżak, należy (i w opublikowanym tekście, i w transkrypcji) do Jacka Trznadla („Niebezpieczna to może rzecz, poruszać pamięć, a jednak zapytałbym Cię o przeszłość, która pamiętasz" WCN, s. 5), przy czym pamiętajmy, że w transkrypcji mówi coś zupełnie innego: „Ja coś powiem, a potem to i tak się wytnie, żeby było jakieś wprowadzenie. Dobrze jest jak się odpowiada na jakieś pytania, prawda?" (N, s. 211).

Jak mało kto doświadczona w przepisywaniu – zdawałoby się – niekończących się taśm *Mojego wieku* Watowa, na techniczną w gruncie rzeczy uwagę Trznadla opowiada: „Tak. Bardzo to potem ułatwia, bo wiadomo, o czym się miało mówić, jak się przepisuje" (N, s. 211). Słynne zdanie nie pojawia się ani wtedy, ani na żadnym innym nagraniu. Rozmowa rozpoczyna się od uwagi technicznej, a nie deklaracji, że wszystko, co najważniejsze w jej życiu wiąże się z Aleksandrem. Zdanie nie traci przez to na sile i ważności, lecz dodane na późniejszym etapie przez redakcję, ma eksponować znaczenie Aleksandra dla całości wspomnień i życia ich autorki, przesuwając tym samym rzeczywiste, wynikające z rozmowy akcenty. Warto dodać, że nie mamy też pewności, kto sformułował zdanie w tym kształcie. Wiadomo jednak, że po przeczytaniu gotowego czystopisu, to Konstanty Jeleński wybrał je na tytuł całości[286].

Uwagi na temat tytułu zakończmy domowym i zdecydowanie luźniejszym z perspektywy współczesnego czytelnika fragmentem rozmowy między Watową i Trznadlem:

> Trznadel: Tak. 27 lutego 1981. Początek nagrania. Chciałaś wrócić do tego domu, prawda?
> Watowa: Jacek, czy to nie powinno być zwrócone w twoją stronę? [magnetofon – A.G.M]

[285] A. Czyżak, *O Eurydyce,* w: *Elementy do portretu. Szkice o twórczości Aleksandra Wata*, pod red. A. Czyżak i Z. Kopcia, Poznań 2011, s. 313.
[286] Wspomina o tym sama Watowa w rozmowie ze Stanisławem Rośkiem: „Gdy pracowałam nad książką Wszystko co najważniejsze (to zresztą tytuł podarowany mi przez Kocika Jeleńskiego) (...)", PD, s. 1.

138:8194327552

Trznadel: Nie, nie.

Watowa: To wszystko dla mnie? (((zdziwienie)))

Trznadel: No, raczej tak, bo ty jesteś ważniejszą osobą niż ja.

Watowa: Ach, ty jesteś najważniejszy. (N, s. 369)

Transkrypcja

Nagrane na taśmach wspomnienia z okresu dwudziestolecia, z zajętego przez Sowietów Lwowa czy Kazachstanu są dużo obszerniejsze niż te, które znamy z *Wszystko co najważniejsze.* Mamy tu przecież do czynienia z żywą rozmową, tu Watowa odpowiada na pytania, snuje długie dygresje, wspomina przyjaciół i znajomych, nie zapomina również o wrogach. Niezarysowany jeszcze wówczas wyraźnie „główny" tok wspomnień przeplatają środowiskowe plotki i ciekawostki nieposiadające wagi faktów historycznych, niepozbawione jednak wartości poznawczej czy anegdotycznej, uzupełniające niektóre do tej pory przemilczane lub pomijane fakty. Opowieści te dotyczą między innymi kontaktów i codziennych relacji ze znanymi pisarzami, ale nie brakuje też wspomnień na temat ich żon, w tym Janiny Broniewskiej, Marianny Ważykowej, Alicji Sternowej, czyli osób, z którymi Watowa utrzymywała bliskie kontakty. Tematy rozmów na ogół proponował Trznadel, ale czasem zdarzało się, że ulegał dygresyjnemu tokowi wspomnień Oli, choć co do zasady wyraźnie starał się tego unikać.

A jednak, z perspektywy niniejszej pracy, najciekawsze wydaje się to, co w książce nieobecne. Zacznijmy od wątków biograficznych: jasne jest, że zarówno Watowa jak i Trznadel uważali, że ich rozmowa powinna być skoncentrowana na Aleksandrze i oboje z tym przekonaniem do niej przystępowali. Sytuacja ta oczywiście posiadała swoje konsekwencje. Pytania zadawane przez autora *Hańby domowej* koncentrowały się wokół wydarzeń z życia Aleksandra, utrzymywanych przezeń kontaktów oraz spraw politycznych, w które Wat był zaangażowany. Odpowiedzi Watowej krążyły więc wokół spraw męża, lecz niemal równie często zbaczały na wybrane przez nią i wyraźnie przyciągające ją tematy – mówiła niepytana, to, co chciała opowiedzieć, jak i to, co niejako samo chciało się opowiedzieć, co jakby czekało w niej na okazję do wypowiedzenia. W rozmowach dochodzą więc do głosu opowieści o jej życiu przed i po Aleksandrze, a także poszerzone wersje historii i anegdot, znanych czytelnikom książki.

Do okrojonych we *Wszystko co najważniejsze* wątków należy portret domu rodzinnego Oli, a właściwie Pauliny Lew, bo takie imię i nazwisko oficjalnie nosiła (Ola to zdrobnienie nadane jej

139:3806578867

w dzieciństwie przez najbliższych). Powróćmy na krótko do domu Lewów, znajdującego się w centrum Warszawy w kamienicy przy ulicy Żurawiej 26. Tam od 1903 roku wychowywała się Paulina, najstarsza córka Abrama i Sary razem ze swoim rodzeństwem: trzema siostrami – Marią, Joanną i Ritą oraz bratem Ignacym. Nieopodal, na ulicy Marszałkowskiej 98, ojciec Oli prowadził sklep z konfekcją damską. Najmłodsza z sióstr wspominała:

> Byliśmy bardzo kochającą się rodziną. Matka moja była pełna dobroci, łagodna, spokojna, opanowana. Ojciec dużo surowszy. Mieszkaliśmy w bardzo pięknym domu na Żurawiej 26 (...). Pamiętam nasze wspólne posiłki – wszystko musiało się odbywać o tym samym czasie, cała rodzina zasiadała do stołu, prawda, ojciec na honorowym miejscu, matka u jego boku. Nam nie wolno było nic mówić – musiała być cisza przy obiedzie ((śmiech)). (...) Najstarszą siostrą była Ola. (...) Była zresztą ulubienicą mego ojca[287].

Z dokumentów genezy wiemy, że dom państwa Lewów był domem zasymilowanej rodziny żydowskiej wychowującej dzieci po polsku i na Polaków. „Dom nie był religijny, ale obchodziło się Seder i Nowy Rok, przestrzegano wtedy koszerności”[288]. Panowała w nim dyscyplina i może nawet nieco sztywna atmosfera, ale wiemy też, że sprawy dzieci, a w szczególności ich wykształcenia i przyszłości, leżały rodzicom bardzo na sercu: Ignacy studiował medycynę, siostry Lewówny uczęszczały do szkół z polskim językiem wykładowym. W przypadku Pauliny była to najpierw szkoła handlowa – gimnazjum żeńskie Teodory Raczkowskiej przy ulicy Marszałkowskiej. Jej wspomnienia zdradzają jednak, że większym zainteresowaniem darzyła swych nauczycieli aniżeli nauczane przedmioty i – tak zwane dziś – treści programowe:

> Prawda, jeszcze Bolesław[289] Kamiński, profesor matematyki, od którego/systematycznie dostawałam pałki. Miał spiczastą bródkę, małe oczka za okularami, był bardzo szpetny, ale kochałam się w nim nieprzytomnie i stając przed tablicą byłam wpółprzytomna (Maszynopis 5, s. 622).

Kolejnym etapem edukacji było gimnazjum, kierowane przez Justynę Dobkową. W czasie nauki Ola poznała m.in. Stefanię Sempołowską:

---

[287] MMS, s. 3. Archiwum prywatne Andrzeja Wata.
[288] Centrum Badań nad Zagładą Żydów. Informacje pozyskane na podstawie wywiadu z Marią Sikorską, z domu Lew, siostrą Oli Watowej. Zob. https://new.getto.pl/pl/Osoby/S/Sikorska-Maria-Lew2 [dostęp: 21.01.2023 r.].
[289] Chodzi o Stefana, a nie Bolesława Kamińskiego, który pracował na pensji Raczkowskiej jako nauczyciel matematyki i fizyki. Zob. *Spis nauczycieli szkół wyższych, średnich, zawodowych, seminariów nauczycielskich oraz wykaz zakładów naukowych i władz szkolnych,* red. Z. Zagórowski, Lwów 1924, s. 143.

140:5049680255

> Byłam na pensji pani Raczkowskiej, a potem rodzice przenieśli mnie na pensję, która miała jakąś specjalną nazwę w tej chwili przezemnie zapomnianą. Pamiętam tylko, że miałyśmy tam świetnych nauczycieli i, że wszyscy oni byli socjalistami wraz z naszą dyrektorką panią Dobkową. Wykładała tam Sempołowska, Ewa Baudo*i*nde-Courtenay i wielu innych wybitnych profesorów których – niestety – nazwisk nie pamiętam[290]. (Maszynopis 5, s. 622)

Wakacje spędzane w prywatnej willi w Śródborowie pod Otwockiem, a nawet w Wiedniu czy Berlinie, świadczyć mogą o wysokim statusie materialnym rodziny. Watowa odnosiła się do niego z humorem: „Bo ja byłam z takiej – wiesz – właściwie drobnomieszczańskiej rodziny, rozumiesz? Gdzie wszystko było takie uregulowane, spokojne, logiczne itd." (N, s. 414); „Tak… ale, znaczy się – mąż miał być doktor albo inżynier ((śmiech)) albo architekt. (...) I rozumiesz, miała być służąca w domu…" (N, s. 417). Najstarsza Lewówna najwyraźniej od najmłodszych lat opierała się planom rodziców, gdyż uczucia swe nie tylko lokowała w „nieciekawych" kandydatach, lecz, na domiar złego, sama uważała ich za nieatrakcyjnych fizycznie:

> Watowa: Na zakończenie ci powiem, ponieważ mówimy o obrazach, to ci tylko powiem, jak działają właśnie obrazy. Wiesz, byłam młoda dziewczyną – to było na wsi, w Świdrze. Znasz Świder może?
> Trznadel: Tak.
> Watowa: I, proszę ciebie, był tam taki chłopak, bardzo nieciekawy. No, już nie taki chłopak, mężczyzna, jakiś – bo ja wiem – może dwudziestoletni, dwudziestodwuletni. I na takiej małej plaży ja nagle zobaczyłam tak: stopy, nagie stopy, a tutaj wiesz, poły tego takiego, takiego, wiesz, prześcieradła, kąpielowego prześcieradła. Jak zobaczyłam te stopy i tutaj to prześcieradło, w ogóle nie patrzyłam na twarz, ale to mi była od razu jakaś biblijna postać. Wiesz, te nagie stopy i tutaj, wiesz, poły tego, tego – prawda – takiego... jakieś togi czy czegoś. I jak wspominam – wiesz – prawie byłam bliska zakochania, wiedząc, że ma okropnie pospolitą twarz. Ale on już dla mnie, wiesz, ((śmiech)) z tego obrazu wkroczył w jakąś taką legendę. (N, s. 507)

Pierwsza uwaga, jaka się tu nasuwa, jest lżejszej natury – chodzi o to, że Watową ciągnęło do mężczyzn, których uważała za nieatrakcyjnych: chłopak na plaży, nauczyciel matematyki, *Stiepnoj*

[290] Wśród kadry nauczycielskiej Gimnazjum Instytutu Pedagogicznego na ulicy Polnej (od 1922 Gimnazjum Żeńskie) widnieją, oprócz wymienionych przez Watową, m.in. Andrzej Boleski, Kazimierz Strzemiński, Czesław Jędraszko czy Lubomira Sawa.

141:9908446915

wołk z kazachskiej opowieści[291], a nawet sam Wat. Druga uwaga dotyczy bardziej skomplikowanego i poruszanego już wcześniej zagadnienia metafizyczno-erotycznej wyobraźni pisarki. Mamy tu bowiem do czynienia z drugim przykładem (pierwszym było opowiadaniu *Sznur*), w którym ciąg skojarzeń metafizycznych ewokuje skojarzenia o naturze wyraźnie erotycznej. Wracajmy jednak do domu państwa Lewów z przełomu lat nastych i dwudziestych. Otóż kilkunastoletnia Ola, wbrew woli rodziców, marzyła o karierze aktorskiej. W tym czasie pełniła też jednak nieco mniej artystyczną rolę – pracowała jako sekretarka: „Iść na jakąś posadę nie znając w ogóle, nie umiejąc pisać na maszynie, tylko dlatego, że byłam ładna" (N, s. 414). Namówiony przez młodą pracownicę dyrektor pozwolił jej w czasie godzin pracy, w tajemnicy przed rodzicami, przygotowywać się do egzaminu do Szkoły Dramatycznej. W czasie nagrań wspominała:

> Wszystko po kryjomu. I przygotowałam się do egzaminów. Byłam pod szalonym wpływem Solskiej. Więc ona mówiła takim drżącym głosem – tyś Solskiej pewno nie słyszał? Ja ciągle zapominam, że ty jesteś młody ((śmiech)). (...) Tak, tak. (((teatralnie))) „Jeden wiatr w polu wiał…". Więc ja tylko widziałam, że to całe jury, jak weszłam na to podium i zaczęłam mówić te *Dwa wiatry* Tuwima, to oni się tak uśmiechali. A oni się tak uśmiechali, dlatego że ja naśladowałam Solską, wiesz? (((rozbawiona))). Tą starą Solską – taka młoda dziewczyna, która mówi jak Solska ((śmiech)). No, ale jednak zdałam ten egzamin i przyjęli mnie. (N, s. 415)

Jak widzimy, recytacja *Dwóch wiatrów* Tuwima wystarczyła, by Paulina Lew stała się studentką szkoły teatralnej. Statystowała u Zelwerowicza, poznała zarówno swoją idolkę – Irenę Solską (nie dziwi więc, że tak bardzo zafascynował ją Witkacy i portret jego pędzla, który miał w domu Wat, znała go na pewno również z tego powodu, że autor *Pożegnania jesieni* był związany z Solską), jak i wielu innych aktorów, w tym m.in. Sewerynę Broniszównę, ówczesną gwiazdę Teatru Polskiego. W rozmowach z Trznadlem z czułością wspominała czas spędzony w murach szkoły i na deskach teatru, gdzie statystowała, jak też przyjaźnie zawarte w tym czasie – wśród wymienianych nazwisk znalazły się Elżbieta Łabuńska, Janina Sokołowska-Żeleńska czy Nina Andrycz. Pasja mogła przerodzić się w na trwale uprawiany zawód, lecz na drodze do spełnienia tych marzeń stanęło inne marzenie – o mężu-poecie, marzenie, które przypisuje się Oli, ale należy pamiętać, że nigdy go w ten sposób nie sformułowała. Wbrew mylącym skrótom myślowym, które odnajdujemy we *Wszystko co najważniejsze*, Ola w czasie rozmów przyznawała, że Aleksander

[291] Chodzi o postać, która pojawia się w wydanych wspomnieniach: WCN, s. 45.

142:6112424528

nie zrobił na niej początkowo najlepszego wrażenia: „Zaczął mnie odprowadzać, no i mówił bardzo dziwne rzeczy, strasznie dziwne rzeczy, (...) wiesz, bardzo, bardzo dziwaczył" (N, s. 412). Toteż Ola w pierwszym odruchu odrzuciła jego zbyt obcesowe umizgi:

> No, ale wtedy jak przyszedł do tej Szkoły Dramatycznej, to jako ten futurysta, jak mi tam usiadł u nóg, to uważał – wiesz, że od razu mnie tam zaczął po nogach coś gładzić itd. Ja byłam bardzo, wiesz, bardzo byłam – mimo to, że byłam w szkole dramatycznej, bo wiesz, szkoła dramatyczna na ogół miała na ogół miała… Wiesz, tyle lat temu! ((śmiech)) miała opinię, że to raczej, raczej aktorki są swawolne, ale ja byłam rzeczywiście bardzo niewinna, bardzo czysta i nikt mnie tak po nodze jeszcze nie głaskał. ((śmiech)). (N, s. 412)

Przekonał ją do siebie później, dopiero wtedy, gdy w czasie rozmowy o *Tako rzecze Zaratustra* Nietzschego zaczął z nią „mówić bardzo poważnie" (N, s. 412). Kiedy po pewnym czasie pozwolił sobie na zbyt śmiałą w jej przekonaniu prośbę o porzucenie aktorstwa, wybór – inaczej niż sugeruje książka – był jasny:

> No, i mój Aleksander, oczywiście, absolutnie nie chciał, żebym ja była w szkole dramatycznej. (...) Więc ja się sprzeciwiłam. No, więc wybór – no, więc ja wybieram scenę. On wyjeżdża daleko – nie do Afryki, ale do Łodzi ((śmiech)). (N, s. 413)

O poświęceniu dla Aleksandra nie było wtedy jeszcze wcale mowy. Aktorstwo w przekonaniu Oli stało w owym czasie na pierwszym miejscu, dlatego jego prośba została od razu odrzucona. Aleksander nie ustawał jednak w swych staraniach prowadzonych w iście futurystycznym stylu. Jego grubiańskie, niestosowne zachowanie podczas prób i spektakli (a nie jej uległość) doprowadziło do wyrzucenia Pauliny Lew i ze szkoły, i ze sceny teatralnej:

> Robił jakieś tam straszne awantury. Umyślnie, wiesz, poszliśmy na przedstawienie Osterwy, też na takie zakończenie roku – więc on tam się tak zachowywał, że Osterwa w ogóle – przeszedł na widownię i kazał mu wyjść ze mną razem, że to jest zupełnie niemożliwe, że my przeszkadzamy w przedstawieniu. No, i doprowadził do tego, że on absolutnie... (...) Ale wiesz, w końcu mnie wyrzucili ze szkoły. Wyrzucili mnie ze szkoły, dlatego że on rzeczywiście robił jakieś zupełnie perwerie, zupełnie niemożliwe. Także Zelwerowicz tak zadecydował. (N, s. 413)

Być może Ola nigdy nie dorównałaby swojej idolce – Solskiej, lecz przerwanie przygody z aktorstwem pozostawiło w niej na zawsze wyraźne poczucie niedosytu, jak też niesłabnącą mimo upływu lat miłość do teatru, sceny, aktorów, spektakli. Brak ten rekompensowała sobie otaczając się kolejnymi pokoleniami polskich aktorów: Wojciechem Pszoniakiem, Krystyną Jandą czy Andrzejem Sewerynem, co potwierdzała również jej siostra: „Ola przyjaźniła się zawsze z

143:1018791323

wieloma aktorami, bardzo ich kochała. W Polsce była zawsze na wszystkich premierach”[292]. Metafory teatru, gry, sceniczności – należały zresztą do jej ulubionych. Zwracała na ten aspekt szczególną uwagę i była skłonna dostrzec teatralność nawet w przesłuchaniu NKWD: „No, i w tym momencie on podchodzi do mnie. On tak ogląda, wiesz, wszystko wiesz, zagrane – no mówię ci – teatr naprawdę fantastyczny” (N, s. 343). Nie dziwi więc, że metafory teatralne w transkrypcji pojawiają się często. Oto kilka przykładów:

> Dlatego, że dość tak teatralnie ukazała się w korytarzu, wiesz, w holu jego żona. (N, s. 230)
>
> Wchodzi goryl – wiesz, taki typowy, wysoki, barczysty. (((rozemocjonowana))) Zupełnie z gołą czaszką. Niesamowity zupełnie, szalenie wysoki. Z Marleną Ditrich.
>
> Trznadel: ((śmiech))
>
> Watowa: Rozumiesz? Czarny kapelusz, czarne jakieś rękawiczki, jakaś taka bardzo, wiesz, teatralny bardzo strój. (N, s. 262)
>
> I rozumiesz, przy tym stole, no, udajemy, że nic. Udajemy, że rozmawiamy. To wszystko oczywiście był teatr. (N, s. 269)

Analizując teatralne obrazowanie i sceniczne skojarzenia występujące i w transkrypcji, i w książce, można powiedzieć nawet więcej, mianowicie że o ile Watowa została – jak już wiemy – wyrzucona z teatru, to mimo to teatr i pewna teatralizacja życia codziennego nigdy jej nie opuściły. Jeśli wierzyć wspomnieniom jej przyjaciółki – nigdy nie przestała być aktorką:

> W okresie stanu wojennego Ola Watowa miała prawie 80 lat. Pomimo to nie odczuwało się w kontakcie z nią ani dystansu, ani zmęczenia wiekiem. Wtedy już rzadko bywała poza domem, ale pojawiając się gdzieś –była od razu widoczna. Na przekór niskiemu wzrostowi. Nie korzystała z krzesła podsuwanego jej na „górce” u Pallotynów, lecz trwała w posturze odpoczywającej tancerki, plecami i stopą oparta o ścianę. Uważna i uśmiechnięta, oczarowywała interlokutora, nigdy go nie „czarując”[293].

Uderza fakt, że Ola postrzegała swe zwyczajne, codzienne wkraczanie w nowy dzień jak wyjście na scenę, a siebie jako aktorkę wchodzącą w rolę, a raczej w różne role odgrywane przed innymi ludźmi:

---

[292] M. Sikorska, *Moja siostra – Ola Watowa. Z Marią Sikorską rozmawia Anna Baniewicz*, „Rzeczpospolita” 1991, nr 76 (2881), s. 5.
[293] A. Łabędzka, *Paryskie adresy Profesor Marty Wyki...*, s. 50.

144:5585197756

> A ja – rzeczywiście Aleksander mnie widział – rano ja wychodziłam z kąpielowego zrobiona, z mniejszym czy większym makijażem – zależało od wieku. Bo był okres, kiedy to w ogóle było niepotrzebne. Uczesana, ubrana itd. – Już na scenę wychodziłam. Rozumiesz? Na scenę w tym sensie, że uważałam, rozumiesz… uważałam, że należy się tak zachowywać. Że – ponieważ wiedziałam, że jemu sprawia przyjemność właśnie. (N, s. 424)

Ale to, co było do pewnego momentu małżeńską grą i przyzwyczajeniem dnia codziennego, w miarę rozwoju choroby Aleksandra stało się maską pokrywającą zmęczenie codziennym współcierpieniem i opieką:

> Więc przede wszystkim, oczywiście, że byłam bardzo zmęczona. Byłam zmęczona, dlatego że chciałam, że wychodziłam każdego dnia trochę jak na scenę. I on bardzo chciał, żebym ja była uśmiechnięta, żebym ja była ubrana, żebym ja wyglądała ładnie itd. itd. Ale, rozumiesz, jak ja, ja zapominałam, wiesz, o tym. Jak ja widziałam, że on już taki, że wyszedłby już i tak dalej, to ja wtedy brałam sobie, wiesz, dawałam sobie troszeczkę tego luzu, żeby odpocząć, rozumiesz?
>
> Trznadel: Tak.
>
> Watowa: I ten odpoczynek wyrażał się tym oczywiście, że ja wtedy już nie miałam w sobie tej sprężyny, którą nakręcałam ciągle na niego. (N, s. 538)

Zwykle postrzegamy życie Watów z perspektywy już to choroby i cierpienia Aleksandra, w którym Ola automatycznie obsadzana jest w roli pielęgniarki i piastunki, już to w kontekście często powtarzanych scen z przedwojennego życia artystycznego, na przykład z wizyty Majakowskiego w Warszawie, w której Watowie odegrali istotną rolę, a każdym w razie taką sobie przypisywali. Tymczasem transkrypcja jest kopalnią wiedzy o codzienności Oli i Aleksandra z innych czasów, rezerwuarem anegdot, daje wgląd w życie sprzed natężenia choroby – szczęśliwe życie małżeńskie: pełne rozmów, radosnych chwil, ale też sprzeczek i kłótni. Transkrypcja odczarowuje wiele utartych i nieprawdziwych mitów wynikających z lektury *Wszystko co najważniejsze*, a w zamian przynosi te, które rzeczywiście świadczą o ich miłości i bujnym życiu towarzyskim:

> Bo na przykład poszliśmy do takiej rodziny Schwartzów, wiesz, Bela. Bela Czajka. Tak. Mieszkali na Nowogrodzkiej, na parterze. Ona jeszcze wtedy nie była Czajką, to było w dwudziestoleciu. I on uważał, że ja powinnam wejść – ponieważ to było na parterze – nie przez drzwi, tylko przez okno. I on mnie podsadził, wiesz i ja nagle do obcego mieszkania, po raz pierwszy. Ale ja na to potem już bardzo. Ty wiesz, okazuje się, że ma się jakąś taką, że ma się – no nie wiem, może nie wszyscy, ale że ja mam łatwość – ja nagle weszłam w jego świat, wiesz? Który mnie zachwycił! (N, s. 414)

145:1319497664

Mowa oczywiście o Izabeli Stachowicz z domu Schwartz, która stała się pierwowzorem bohaterki *Pożegnania jesieni* Witkacego – Beli Hertz. Na marginesie, Watowa utrzymywała z nią bliskie relacje jeszcze w latach sześćdziesiątych.

Ich wspólny świat w dwudziestoleciu związany był również z problemami finansowymi. Aleksander był początkującym pisarzem, a więc nie miał wielu źródeł zarobkowania. Watowa przy okazji rozmów o tych sprawach, przypomniała sobie również o tekstach Wata pisanych pod pseudonimem:

> Watowa: (...) Więc tak – więc w tym czasie on pisze te swoje: *Bezrobotnego Lucyfera*, na gwałt bidulka musi zacząć zarabiać, rozumiesz, więc zaczyna tłumaczyć. Zresztą – jeśli się nie mylę – to Tuwim dał mu jakieś takie możliwości zarobkowania, czyli, żeby on pisał takie powieści, wiesz. To wtedy wychodziły – nie wiem czy w „Ruchu", czy gdzieś – takie powieści, co się w kioskach sprzedawało.
>
> Trznadel: Powieść za trzy grosze.
>
> Watowa: Taka powieść za trzy grosze. No, i Tuwim to kiedyś – no nie wiem – na początku praktykował. Bo jeszcze był, wiesz, jak dopiero przyjechał z tą swoją Stefą, którą bardzo kochał i chciał, żeby była elegancka i żeby miała wszystkie wygody itd. więc on pisał te, te… a potem już mu tego nie…
>
> Trznadel: Ja powiedziałem, że za trzy grosze, ale wiem, że istniała, to się nazywa biblioteka groszowa, czy coś takiego.
>
> Watowa: Groszowa! Tak! ((śmiech))
>
> Trznadel: Groszówki. I ja to czytałem przed wojną.
>
> Watowa: Tak! ((śmiech)) O boże, co ja bym dała, żeby teraz przeczytać i wiedzieć, ale on się oczywiście tam podpisywał nie swoim nazwiskiem albo w ogóle anonimowo. (N, s. 416)

Informacja ta powinna, jak się wydaje, zelektryzować badaczy twórczości autora *Ciemnego świecidła*, okazuje się bowiem, czy raczej może się okazać, że w przedwojennej prasie – niczym odcinki *Opętanych* Gombrowicza – mogą znajdować się nieznane prozy Wata. Opowiadania, a może nawet powieści autora *Mojego wieku* Wata opublikowane w „groszówkach" nadal czekają więc na swego badacza-detektywa. Wróćmy jednak do rodzinnych historii. O tym, jakie były wspólnie spędzone lata, także te panieńskie, domyślać się można z zachowanych fotografii:

146:9729824915



Fotografia 1. Zdjęcie rodziny Lewów.



Fotografia 2. Otwock. 25 VIII 1930 r.

Fotografia 3. Od lewej siedzą: Maria, Ignacy, Sara (matka), Abram (ojciec), Ola. Stoją: Edward, Rita, Aleksander. Brak daty.



147:6283293702

Wsłuchując się w strzępki rodzinnych opowieści Watowej oraz przyglądając się tym starym zdjęciom, cudem uratowanym z wojennej pożogi, obrazom przywołującym nieistniejący już świat, rodzi się skojarzenie ze wspomnieniami takimi jak te zawarte w książce *Fałszerze pieprzu* Moniki Sznajderman. Być może, gdyby Trznadel wykazał się większą wrażliwością, lepszym słuchem i wyczuciem dla jej najdawniejszych spraw, Watowa już w 1984 roku opowiedziałaby biografię rodzinną w rodzaju tych, na które polski czytelnik musiał czekać jeszcze długie lata. Niejako w zamian tej niepowstałej historii, czytelnik transkrypcji dostaje jej strzępki w postaci interesujących, lecz niedokończonych wątków, przerywanych pytaniami o sprawy polityczne, pytaniami nierzadko świadczącymi o zwykłym braku taktu i empatii współrozmówcy:

> Watowa: Zresztą wiesz, tutaj przy okazji ci powiem, w związku z nazwiskiem Baumritter. Że jak przyszli Niemcy, to moi rodzice mieli na wsi taką willę i koło tej willi była willa ojca Baumrittera. No, i tam przyszli bardzo grzecznie, że oni chcą zrobić jakieś tam przyjęcie itd. żeby on srebro swoje pożyczył – nie dał – pożyczył. I wyobraź sobie, że on powiedział, że on nie ma srebra. Bo on wiedział, że oni im nie odda. Słuchaj, zrobili rewizję – znaleźli. Wyprowadzili go, dali mu łopatę, kazali mu wykopać dół i zastrzelili go nad tym dołem. I od razu – moja matka o tym nie wiedziała, bo tam jak on kopał dół, to była, wiesz, gdzieś willa tam w pewnej odległości – to przyszli do mojej matki. Przyszło gestapo i wiesz, po niemiecku, i dobry wieczór czy tam dzień dobry. I bardzo grzecznie. No, i o srebro i moja matka pootwierała szuflady. Powiedziała, że proszę bardzo, niech sobie biorą, co jest im potrzebne, z przyjemnością.
>
> Trznadel: Oddali?
>
> Watowa: Wiesz, że w tej chwili już nie wiem, czy oddali. Chyba nie ((śmiech)).
>
> Trznadel: Tak.
>
> Watowa: Zresztą – mój boże – potem już nie widziałam moich rodziców, a sióstr się już o to nie pytałam.
>
> Trznadel: Olu słuchaj…
>
> Watowa: Tak?
>
> Trznadel: Ja jeszcze chciałbym wrócić
>
> Watowa: No.
>
> Trznadel: Z okresu „Miesięcznika" czy trochę wcześniej – już mieliście, jednak wasz dom miał trochę taką nalepkę właśnie lewicową. Jak doszło do tych spotkań z Majakowskim? (N, s. 433)

O ile Watowa chętnie opowiadała o życiu rodzinnym – siostrach i kuzynach, to nadzwyczaj rzadko decydowała się poruszać tematy związane ze swoimi rodzicami. Oboje zginęli w Treblince

148:1108974409

w 1942[294]. Ola po raz ostatni widziała ich na początku września 1939 roku, kiedy zdecydowali się z Aleksandrem uciekać na wschód. Z jej opowieści wynika, że namawiała rodziców, by do nich dołączyli, jednak ci postanowili zostać w Warszawie. Przez kilka miesięcy na przełomie 1939 i 1940 roku utrzymywali jeszcze kontakt korespondencyjny. W prywatnym archiwum Aliny Kowalczykowej zachowało się kilka listów, z których można wyczytać niepokój o losy najbliższych – jej siostra, Rita Grinsztajn, która wiedziała o aresztowaniu Aleksandra, na miesiąc przed wywózką Oli pisała: „Błagam Cię Olu napisz mi z miejsca nie zwlekaj z pisaniem. To są dla mnie wiadomości palące”[295], a ojciec dopytywał: „Dlaczego kochany Olek do listu własnoręcznie się nie dopisuje. Wasze mebelki do najmniejszej drobnostki są w porządku i w całości, cała rodzina Olka są zdrowi”[296]. Kolejne listy pozostają bez odpowiedzi, ponieważ Watowa zostaje wywieziona do Kazachstanu, a jej rodzina trafia do warszawskiego getta. Oprócz fotografii i strzępków korespondencji, w archiwum prywatnym Andrzeja Wata, zachowało się nagranie, prawdopodobnie wywiad nagrany dla USC Shoa Foundation, w którym Maria Sikorska, siostra Oli, opowiedziała o pamiętnym 1940 roku (cała rodzina mieszkała wtedy przy ul. Ciepłej 10, w mieszkaniu przedwojennym Rity). Z nagrania dowiadujemy się o szczegółach dotyczących codziennego życia, uwolnieniu z getta dzieci: Karola (syna Marii) i Wandy (córki Rity), oraz pomocy okazanej im przez matkę Kamila Weintrauba (męża Joanny Krzyżanowskiej, jednej z sióstr Oli) w przejściu Marii na aryjską stronę. Dowiadujemy się również o tragicznej śmierci ich rodziców oraz siostry, Rity, którzy z *Umschlagplatz*u zostali wywiezieni do Treblinki. Wspomnienia te są porażające i pewne jest, że były Watowej dobrze znane.

Kiedy więc zobojętniały na okupacyjne przejścia obu rodzin Trznadel zamiast – czego spodziewalibyśmy się w pierwszej chwili – zdobycia się na ludzką ciekawość lub zwyczajne słowa pocieszenia, bezrefleksyjnie przechodzi na inne, interesujące go tematy – dopytuje o „Miesięcznik Literacki”, w gruncie rzeczy pomija najważniejsze. Watowa w rzeczywistości mówi: „moja matka, oddając w 1939 srebro Niemcom, przedłużyła sobie życie o **te** trzy lata”. Śmierć doktora Baumrittera też nie robi na autorze *Hańby domowej* większego wrażenia, bo najbardziej zainteresowany wydaje się srebrnymi sztućcami. To zresztą jeden z niewielu fragmentów, w

[294] https://yvng.yadvashem.org/index.html?language=en&advancedSearch=true&sln_value=Minski&sln_type=synonyms&sfn_value=Varda&sfn_type=synonyms [dostęp: 6.04.2023 r.].
[295] A. Kowalczykowa, *Urywki wspomnień i oprac. listy rodziny do Oli Wat we Lwowie*, „Zeszyty Literackie” 2008, nr 1 (101), s. 167.
[296] Tamże.

149:4643718867

których Ola decyduje się powiedzieć słowo o swojej matce, niestety rozmówca uniemożliwia jej opowiedzenie dalszego ciągu tego, co dotąd pozostawało przez nią niewyartykułowane. Autor *Hańby domowej* traci jakby czujność i zmysł empatii w wielu fragmentach rozmowy, m.in. wtedy, gdy próbuje przekonać Watową, że zsyłka im „czegoś oszczędziła":

> Trznadel: No, bo wy właściwie nie byliście pod okupacją niemiecką.
>
> Watowa: Tak... I nic nie wiedzieliśmy. Byliśmy odcięci od Polski. I w gruncie rzeczy myśmy sobie zupełnie prawie do końca nie zdawali sprawy, co się działo w Polsce!
>
> Trznadel: Tak.
>
> Watowa: Nie wiedzieliśmy, że w rezultacie, jeżeli masę Polaków tam zginęło. Masę. Z głodu, z chorób i rzeczywiście masę Polaków leży w tej, w tej nieludzkiej ziemi, ale, proszę ciebie, oczywiście mogliśmy tam sto razy zginąć, jak zginęli… niewątpliwie zginęlibyśmy wszyscy, gdybyśmy zostali w Polsce. (((zdenerwowanie)))
>
> Trznadel: Albo prawie wszyscy.
>
> Watowa: Nie! Na pewno wszyscy, dlatego, że wiesz… Myśmy należeli do tej, do tej takiej rodziny, że Aleksander by nie porzucił mnie, nie umieścił by mnie, powiedzmy, gdzieś oddzielnie, Andrzeja oddzielnie. Bo to trzeba było... A poza tym, jak gestapo weszło…
>
> Trznadel: To były listy przecież.
>
> Watowa: Tak, on był na liście! Był na liście, więc był do rozstrzelania.
>
> Trznadel: W pierwszym okresie już?
>
> Watowa: Tak, a ja wiesz, o ile… o ile te ten Kazachstan mnie jakoś szalenie wzmocnił, może to, że miałam tą odpowiedzialność za dziecko, o tyle bym absolutnie nie mogła znieść tego, co się działo w Polsce, nerwowo, po prostu. Albo bym została od razu zabita, bo przyznałabym się od razu, albo bym zwariowała, bo tego bym nie mogła znieść.
>
> Trznadel: Tak, no to w tym sensie tutaj ten wschód wam także czegoś oszczędził. Ale jeszcze bym chciał wrócić do sprawy tego środowiska lwowskiego. (N, s. 228)

Trznadel nie zauważa (kolejny raz), że współrozmówczyni załamując głos z przejęcia i zdenerwowania: „Ale, proszę ciebie, oczywiście mogliśmy tam sto razy zginąć, jak zginęli… niewątpliwie zginęlibyśmy wszyscy, gdybyśmy zostali w Polsce", a słowami pocieszenia ma stać się jego zdawkowy komentarz: „Albo prawie wszyscy".

150:1032502774

To, co przeredagowane

Śledząc przebieg rozmowy, wciąż mamy wrażenie, że współrozmówcy pozostawiali w kręgu konwencjonalnego wywiadu. W czasie jednej z rozmów Watowa odeszła jednak od konwencji i opowiedziała autorowi *Czytania Norwida* proroczy, ostrzegawczy, prześniony tuż przed aresztowanie męża sen:

> Watowa: Tak, No, więc, sen. Sen. Znaczy się, miałam trzy sny, takie bardzo znaczące, ale niestety wiesz, należy zapisywać, a ja tego nie zapisałam. Ale ten mi wyjątkowo utkwił w pamięci. To znaczy, że – jak ci mówiłam – już niebo bardzo ciemnogranatowe, bardzo duże błyszczące gwiazdy i wszystkie układały się w kształt krzyży. Także całe niebo było pokryte krzyżami: małymi, większymi, średnimi i bardzo dużymi. (((z przejęciem))) No, i ja nagle zobaczyłam się przed bardzo takim dużym lustrem, w takich potrójnych jakichś szatach, to był taki właściwie rodzaj tych peleryn, wiesz, ale trochę jakieś sakralne mi się to teraz wydaje. Była biel, czerwień i czerń. Bo ja, roz.. takim ruchem otwierałam te, te, te szaty, trochę tak jak skrzydła one się otwierały i mówiłam: co mówiłam? ((głośno)) *mare tenebrarum, mare tenebrarum, mare tenebrarum*! I rzeczywiście, po tym śnie, który opowiedziałam Aleksandrowi, stosunkowo bardzo szybko nastąpiło to, to aresztowanie. (N, s. 257)

Fragment ten, w odróżnieniu od pozostałych, ustawił ją w szczególnie niekomfortowej pozycji, ponieważ zmienił jej relacje wobec indagującego. Opowiadając sen, sytuowała się bowiem w roli pacjentki, niejako sama położyła się na kozetce psychoanalityka. Sytuacja ta z pewnością dalece wybiegła poza standardowe ramy wywiadu-rzeki, przekroczyła granice intymności i komfortu zmieniając relację równorzędną na podrzędną wobec pytającego. W tej relacji Trznadel mimowolnie wszedł w rolę terapeuty słuchającego głosu pacjentki. Nie czas tu jednak na Freudowską analizę tego snu, tym bardziej, że brak nam do tego danych. Trop Freudowski narzuca się tu jednak, lecz inaczej. Rzecz w tym, że Watowa, opowiadając Trznadlowi swój sen przekroczyła pewną granicę rozmowy z nim, przekroczyła granicę intymności opowiadania, czyniąc to po raz pierwszy – przynajmniej w czasie rozmów nagranych. Jej mowa na nagraniu zatacza koła, ulega zbłąkaniu, powtórzeniom i retardacjom – wszystko to jest charakterystyczne dla trudności, jakie napotykamy opowiadając sny. Freud przekonuje, że wynika to z tzw. pracy cenzury sennej, która sprawia, że jako sen pamiętamy nie to, lub niedokładnie to, co rzeczywiście stanowiło treść samego marzenia sennego. Sen pamiętamy wraz ze zniekształceniem jego treści. Stąd trudności w opowiadaniu. Freud pisał, że: „Zniekształcenie w marzeniu sennym pracuje (…)

151:4161178059

za pomocą tego samego środka, co cenzura listów, by ugasić zarzewie wszelkich niestosowności. Cenzura w marzeniu sennym zaczernia je niezrozumiałym mamrotem”[297]. Nie pamiętamy, gdyż działa cenzura – stąd kłopoty w opowiadaniu snu. I w to czułe miejsce Watowej wkracza Redakcja, która mocno ingeruje w opowiedzianą wersję snu:

> Miałam trzy sny bardzo znaczące; niestety, nie zapisywałam ich, więc niezupełnie pamiętam. Ale jeden utkwił mi w pamięci, ten, który ci już przedtem opowiadałam. A więc śniło mi się – nade mną niebo ciemnogranatowe usiane ogromnymi błyszczącymi gwiazdami. Były też i gwiazdy i małe i mniejsze. A wszystkie układały się w formę, w kształt krzyży. Krzyże wielkie, krzyże mniejsze, ale same tylko krzyże. I nagle ujrzałam się przed bardzo dużym lustrem w jakiś dziwacznych szatach. Były w trzech kolorach. Czerwona, czarna i biała. Było w tym coś sakralnego, w geście, w którym rozchylałam te szaty, mówiąc jednocześnie: Mare tenebrarum, mare tenebrarum. Morze ciemności… unosząc poły tych szat, unosiłam jakby skrzydła, które dotykały ziemi. Ku niebu ukrzyżowanemu. Po tym śnie, który opowiedziałam Aleksandrowi, wkrótce nastąpiło jego aresztowanie[298]. (WCN, 26-27)

To ten sam sen – tego jesteśmy pewni. Znaczenie ma jednak fakt, że zacytowany fragment jest czymś bardziej intymnym niż wcześniejsze wspomnienia. Watowa-pacjentka wyraźnie usiłowała jak najdokładniej opowiedzieć Trznadlowi-terapeucie swój sen, powtarzała się, zatrzymywała, była niepewna, grzęznąca w retardacyjnych nawrotach. Mówiąc za Freudem – próbowała te obrazy przetłumaczyć na słowa[299]. Wierne odwzorowanie detali marzenia sennego było dla opowiadającej, jak się wydaje, bardzo istotne. Ingerencja redakcji – być może samego Trznadla, który przyznawał się do porządkujących temperamentów – powoduje, że sen zostaje przefiltrowany przez innego[300], zdeformowany. Autor *Hańby domowej* wystąpił w nietypowej dla siebie roli – terapeuty – wykonując później swoją redaktorską pracę, opowiedział sen sobą, zdradzając niejako swoją pacjentkę.

---

[297] Z. Freud, *Objaśnianie marzeń sennych*, przeł. R. Reszke, Warszawa 1996, s. 136.
[298] O. Watowa, *Wszystko co najważniejsze… Rozmowy z Jackiem Trznadlem,* Londyn 1984, s. 26-27.
[299] Z. Freud, *Wstęp do psychoanalizy*, przeł. S. Kempnerówna i W. Zaniewicki, Warszawa 1957, s. 74.
[300] Kontekst psychoanalityczny można w tym miejscy wzbogacić też o teorematy Jacquesa Lacana. Chodzi mianowicie o Wielkiego Innego, przed którego figurą Ola wyraźnie się broni (wiele wskazuje bowiem na to, że Wielkim Innym dla Oli, jego usymbolizowanym wcieleniem, był, czy raczej mógł być jedynie Aleksander). Ola podświadomie broniła się przed zajęciem miejsca wielkiego innego przez kogoś innego, niż zmarły Aleksander. Co innego mały inny. Tym Trznadel mógłby zostać, rzecz jednak w tym, że ta rola z kolei jemu nie odpowiada. Mamy tu do czynienia z podwójnym psychoanalitycznym zaryglowaniem oraz podwójnym wykluczeniem, którego rozwiązaniem mogło się stać i stało się rozejście się Trznadla i Watowej oraz całkowite wygumkowanie go z tekstu. Spostrzeżenia te stanowią punkt wyjścia dla dalszych rozważań nad psychoanalitycznymi uwikłaniami relacji Watowej i Trznadla.

152:8518692701

Ta ingerencja ujawnia się w bardzo szczególnych zabiegach. Jeśli spojrzeć na sen tak jak robili to strukturaliści, to i w tym przypadku rola użytych słów zdaje się być zasadnicza. Jak pisała niegdyś poczciwa Aleksandra Okopień-Sławińska:

> (…) rolę komentarza uwewnętrznionego w samym sposobie opowieści pełnić mogą środki leksykalne — najczęściej pojedyncze słowa zabarwione znaczeniem nieokreśloności i tajemnicy. Poza stosownymi epitetami są to takie wyrazy, jak: coś, jakiś, jakby, niby, gdzieś, zda się itp. Jedność relacji, mimo braku wiązań i motywacji w następstwie fabularnym[301].

Tekst zostaje zdeformowany, „wyczyszczony" i pozbawiony swojego onirycznego charakteru. Redakcja „porządkuje", parafrazuje i skreśla, pozbawiając tekst powtórzeń i tego, co wydaje się nielogiczne –wykreśla słowa świadczące o niepewności: „jakby, jakieś, tak mi się wydaje, takich". U Watowej symboliczne trzykrotne powtórzenie: *mare tenebrarum,* zredukowane zostaje w wersji zapisanej do dwóch, z dopowiedzeniem „morze ciemności'; nie zgadzają się rozmiary krzyży: w transkrypcji: „Także całe niebo pokryte było krzyżami: małymi, dużymi, większymi, średnimi i bardzo dużymi", a w tekście: „Krzyże wielkie, krzyże mniejsze, ale same tylko krzyże" (WCN, s. 26-27). Inna jest również kolejność występowania kolorów na szatach czy wreszcie pojawia się stwierdzenie, które w rozmowie wcale nie pada: „poły szat unosiłam (…) ku niebu ukrzyżowanemu"[302]. To kosmetyczne zmiany, jednak wiemy, że Watowa, wbrew zapewnieniom, już wcześniej próbowała spisać ów sen. Jego niewielki szkic odnaleźć można w brulionie zaczynającym się od słów „Kochana Joanno":

> Wspomnienie snu we Lwowie. Grudzień, 1939 r. Dwa–trzy tygodnie przed aresztowaniem Aleksandra. Stoję przed dużym lustrem ubrana w szaty długie. ~~Cze~~ Biała, czerwona, czarna. Coś jest w tym *ruchu* sakralnego. Patrzę na siebie, rozchylam szaty, jedną po drugiej. ~~Jest w tym coś kołyszącego się~~ Biała, szkarłatna, czarna. Unoszę ręce, rozchylam szaty, falują kolory. Mówię: mare tenebraru~~r~~m, mare tenebrarum, mare tenebrarum. Nie rozumiejąc nawet sensu słów. (KJ, s. 11)

Fragment ukazuje, że w czasie rozmowy Watowa właściwie tylko powtórzyła ważne dla siebie elementy snu. Możemy przypuszczać więc, że nie przeredagowałaby go w sposób, jaki znamy z opublikowanego tekstu. Sen tekstowy zostaje przeredagowany, wygładzony. Redakcja (Trznadel?) dokonuje zmian, które wskazują na to, że sytuacja go zirytowała i jakoś mu przeszkadzała. Z kolei

[301] A. Okopień-Sławińska, *Sny i poetyka*, „Teksty" 1973, nr 2 (8), s. 9-10.
[302] Tamże, s. 26-27.

153:1078565186

Watowa – podejrzewamy – jest urażona zniekształcającą redakcją tego, co już u początku, w jej opowieści było ze swej istoty zniekształcone. Zniekształcenie pierwotnie zniekształconego musiało budzić sprzeciw Watowej, szczególnie, gdy weźmiemy pod uwagę, jakie znaczenie przywiązywali oni oboje z mężem do snów, złych i dobrych omenów, znaków, proroctw[303].

Być może zupełnie nieświadomie – narastała w Watowej potrzeba wyrzucenia Trznadla z tekstu, który odtąd miał być tylko jej. Wiedziony słusznym, jak się wydaje, przypuszczeniem, sam Trznadel nazwał owo zdarzenie amputacją, czyli wycinaniem chorego organu, a w sensie psychoanalitycznym chodzi tu – jak się wydaje – o usunięcie unoszącego się nad pewnymi fragmentami cienia terapeuty a tym samym usunięcia swej roli pacjentki, ponieważ pacjent nie ma pełnej kontroli nad tekstem, utrata kontroli jest stawką terapeutycznego działania, zaś Watowej – przeciwnie – chodziło o uzyskanie kontroli nad tekstem, o przywrócenie go sobie samej. Szczególnym paradoksem w tym zakresie wydaje się fakt, że, by to osiągnąć, powierzyła tekst innemu, kolejnemu mężczyźnie, Janowi Zielińskiemu.

Hańba domowa

Oprócz ingerencji redakcji w maszynopis: usuniętych lub przeredagowanych fragmentów, lektura transkrypcji ujawnia pewną dysproporcję. Przeczytawszy transkrypcję, można odnieść wrażenie, że niemała część rozmowy skupiona była wokół tematów związanych z „Miesięcznikiem Literackim", okresem lwowskim (1939) oraz ideologicznymi wyborami, dokonywanymi w obliczu zmian ustrojowych przez polskie środowisko literackie po II wojnie światowej, lecz we *Wszystko co najważniejsze* tematy te albo wcale nie są reprezentowane w teście albo pojawiają się, ale w znacznie mniejszym zakresie niż na nagraniach. Trznadel w niemal obsesyjny sposób wciąż do nich powracał, co można oczywiście odczytać jako przedkładanie zainteresowania Aleksandrem, nad sprawy Oli. Rozmowa z wiekową już wdową na zesłańcze, rodzinne czy towarzyskie tematy czasem nudziła warszawskiego akademika, a wyraźne ślady tego znudzenia znajdujemy na nagraniach. Uwidaczniają się one nie tylko przez intonację czy sposób mówienia, ale też są widoczne w rekcjach Oli:

[303] Oboje – i Ola i Aleksander – mówią o „znakach losu" itd. Dowodem na to, cytowany tu sen Watowej. Natomiast w *Moim wieku* Wata znajdujemy między innymi i takie zdania: „Otóż jeden znak stał się dla mnie obsesyjny." lub: „Więc ja to sobie wtedy interpretowałem jako znak i to w ten sposób: ponieważ nie widziałem ich, kiedy jeszcze żyli, gdy byłem na Zamarstynowie, więc jeżeli teraz pojawiła mi się twarz Andrzeja, to znaczy, że Ola żyje, a Andrzej nie żyje." A. Wat, *Mój wiek...*, t. 2, s. 212-213. O znaczeniu magicznego myślenia: znaków, omenów, snów, opowiadał mi również Andrzej Wat podczas mojej wizyty w Paryżu w 2018 roku.

154:3626198937

Watowa: Słuchaj Wacek, Jacek, czy ty byś nie napił się czegoś? Trznadel: To może za chwilę.

Watowa: Napij się! To cię tak jakoś pobudzi. Bo ja ciebie strasznie męczę, a może nawet i nudzę okropnie.

Trznadel: Nie, możemy jeszcze chwilę poczekać.

Watowa: Tak?

Trznadel: Albo jeżeli chcesz, to przerwijmy na chwilę.

Watowa: Żeby napić się mocniejszej herbaty.

Trznadel: Napić się po prostu herbaty.

Watowa: Dobrze.

Trznadel: Tak, bo ja już troszkę.

Watowa: Tak, ja widzę, że ty jesteś troszkę… (N, s. 333)

Mimo że dialogów takich, jak powyższy, świadczących o zmęczeniu czy znudzeniu rozmową, znajdziemy na nagraniach nieco więcej, to wydaje się, że nie chodzi ani o nudę, ani też nawet o zainteresowanie Aleksandrem, gdyż często opowieści i o jego życiu zostają przez Trznadla nagle przerwane pytaniem całkowicie nieprzystającym do aktualnego kontekstu. Powracające pytania o szeroko pojętą indoktrynację i jej tło historyczne nie były przecież związane bezpośrednio z Watami, lecz z jego własnym projektem, który w 1981 roku dopiero się formował: mowa oczywiście o *Hańbie domowej,* opublikowanej przez niego w 1986 roku.

W tym miejscu warto zatrzymać się na chwilę dla uzgodnienia chronologii. Pierwsza sesja magnetofonowa z Watową odbyła się 10 stycznia 1981 roku. Jak wynika z rozszerzonego wydania *Hańby domowej* z 2006 roku, Jacek Trznadel odbył pierwszą rozmowę w ramach swojego projektu miesiąc po tym pierwszym spotkaniu – 13.02.1981 z Jackiem Łukasiewiczem, ale rozmowa ta nie weszła do pierwszego wydania *Hańby,* została opublikowana dopiero w 1990[304]. Spotkania z Watową zakończyły się w maju 1981 roku (i zostały wznowione raz, 14.07.1983 r.). Wtedy, w 1981 r., Trznadel rozpoczął pozostałe wywiady – część z nich odbyła się jeszcze w 1981 roku, są to kolejno rozmowy: ze Zbigniewem Kubikowskim (4 sierpnia 1981 r.), z Marią Janion (19 września 1981, również opublikowany z opóźnieniem, w 1996 roku), z Jerzym Andrzejewskim (23 września 1981 r.), z Wiktorem Woroszylskim (21 października 1981 r.). Oznacza to, że istniał jakiś plan nadchodzących rozmów, być może były umówione już spotkania, a jednak, początkowo przynajmniej, nie odsłonił przed Watową wprost swoich zamiarów. Mimo to, na nagraniach można

[304] J. Trznadel, *Hańba domowa*. *Rozmowy z pisarzami*. Wydanie nowe, rozszerzone, Warszawa 2006, s. 43.

155:4389366167

dopatrzyć się wielu fragmentów, które nie pozostawiają żadnych złudzeń, że pytania zbaczają na pewne konkretne tematy nie przez przypadek:

> Trznadel: Ja oczywiście nie znam tych spraw, ale myślę, że te sprawy są pokrętne i jest podświadomy lęk, do niego dołącza się przekonanie. Zresztą powiem ci, że to jest jeden z problemów, nad którymi ja się zastanawiam nieustannie. I nawet myślę, że to większa ilości ludzi powinna się w jakimś sensie wypowiedzieć. Może właśnie w formie takich wywiadów, które – nie wiem – czy mogłyby być ogłoszone już teraz, czy powinny pozostać tylko zmagazynowane, prawda, bo jeżeli wziąć… powinna kiedyś być monografia na temat czegoś takiego jak stalinizm w polskiej kulturze. Niewątpliwie epizod, o którym ty mówisz i Lwów końca trzydziestego dziewiątego i czterdziestego roku, prawda, i początku czterdziestego pierwszego, to też się wlicza w ten epizod stalinizmu w polskiej literaturze. I teraz nie sposób założyć, że ludzie robili pewne rzeczy tylko z lęku i tylko z oportunizmu, bo przecież znamy dużo przykładów, że różni ludzie nie robili tego, jak np. Aleksander. I myślę, że – co tu jest najciekawsze – tzn. jakie racje przemawiały za tym, że ludzie byli przekonani, prawda, że Ważyk mógł powiedzieć ostatnio to, co powiedział. „Robiłem to, bo zwariowałem". Tylko, że… (N, s. 224)

Być może Trznadel uśpił czujność Watowej wykluczeniem Aleksandra z grona podejrzewanych o narodową zdradę. Zrobił to jeszcze kilka razy, gdy dopytując (znów) o Lwów, stawiał ich całą rodzinę, jako ofiary systemu, poza przyszłym kręgiem podejrzeń:

> Trznadel: Czy… jaka była, jaka była świadomość? Co się mówiło? Powiedzmy już, począwszy od… no, bo wyście – wiadomo – jeszcze przecież bardzo dużo przeżyli. I ty z Andrzejem, i Aleksander. Jaka była świadomość innych ludzi, czy powiedzmy, w tym czterdziestym roku we Lwowie (...)? (N, s. 226)

W każdym razie z pewnością można powiedzieć, że od początku rozmów dostrzegalne są ich odmienne punkty widzenia i wyjścia: Trznadel wykazuje temperament prokuratorski, Watowa zaś stara się zarówno ważyć słowa, jak i relatywizować ludzkie czyny w stosunku do dramatycznej sytuacji, w jakiej poszczególni ludzie się w tamtym miejscu i czasie znaleźli. Ciekawe, że Trznadel, w miejscach, w których mowa o antysemityzmie skłonny jest bronić swych rodaków, ale gdy chodzi o oskarżenia o stalinizm, wtedy staje się bezlitosny. Inaczej Watowa: choć zdarza się jej zawołać *je accuse!,* to jednak stara się łagodzić swe sądy, rozważa, czy nie przemawia przez nią antypolonizm, czy nie przesadza, na wszelki wypadek jakby, odwołuje się do wyjątków:

> Trznadel: To ważne jest, co mówisz, bo w jakimś sensie, no nie wiem, ja mogę się oprzeć na jakimś takim bezimiennym nastroju, który panuje. Właściwie to Wanda Wasilewska została tak

156:1302253050

jakby *consensus omnium* skreślona trochę z literatury polskiej. Pod spodem, tu się właśnie liczy za zdradę, no, bo po wojnie nie wróciła.

Watowa: Tak, ale znowu, wiesz, to wielkie słowo, zdrada.

Trznadel: No...! (((z powątpiewaniem))). (N, s. 221)

Watowa od początku, jeśli nie bagatelizowała, to próbowała zrozumieć i wytłumaczyć zachowania i postawy różnych osób, przedstawianych przez Trznadla jako przykłady zdrajców, kolaborantów, konfidentów (nazwanych wprost lub poprzez przykład). Wydaje się, że te wątki angażowały ją w niewielkim stopniu, a punkty wyjścia i dojścia wielu rozmów pokazują, że współrozmówcy nie rozumieli nawzajem swoich intencji. Watowa tonęła w egzemplifikacjach, kreśliła obraz zimnego, ponurego Lwowa, w którym polscy literaci nie tylko wykłócali się ze sobą o przysłowiową marchewkę[305], ale przede wszystkim byli przerażeni wizją aresztowania i zesłania do łagru. Dominowały więc niepewność o dalszy los i strach przed uwięzieniem. Trznadel wyciągał z tych historii wnioski na temat winy i siły indoktrynacji, które luźno nawiązywały do opowiadanych przez nią historii.

Ciekawym przykładem takiej niefortunnej komunikacyjnie rozmowy jest wspomnienie Watowej o młodym Kazachu – analfabecie, który do czasu powołania do wojska nigdy nie opuszczał swego posiołka. Ranny w czasie wojny, dopiero straciwszy nogę, zrozumiał, czym jest prawdziwa radziecka opieka zdrowotna, szpital i cywilizowany świat – doświadczeniem tym dzielił się po powrocie z mieszkańcami swojej wsi. Wrócił oczywiście bez kul, protezy i jakiejkolwiek dalszej opieki: „I potem nasycenie się już tymi opowiadaniami, i po jakimś tygodniu on staje się ciężarem dla tej przybranej rodziny. (...) Nikt się już nim nie interesuje, bo on jest niezdolny do roboty" (N, s. 240).

Trznadel dostrzegł analogię sytuacji Kazachów i polskich kombatantów, wyciągając wnioski o zbieżności polityki kombatanckiej w systemie sowieckim i polskim:

To zresztą, co mówisz, to cała opowieść o tym Kazachu. (...) To właśnie fakt wojny, udziału w wojnie, i potem przynależenia do jakich związków byłych walczących – prawda – kombatantów i tak dalej, ma tak wielkie znaczenie i jest prawdopodobnie jedną z sił spajających i także

[305] „Na przykład taka… taka niby śmieszna historia, która się wydaje w tej chwili śmieszna, ale: przydzielają Ważykowi jakieś kartofle i on przychodzi, a przed nim przychodzi Przybosiowa i już załadowała te kartofle i zabiera dla siebie siłą. On krzyczy: – To moje kartofle! A ona mówi tak: – To to są tak samo pana, jak i moje. I te kartofle zabiera. Więc rozumiesz, walka o kartofle. Walka. Poza tym zima była straszliwa". Zob. N, s. 238-239.

157:7928525567

cementujących tamten ustrój. Dlaczego mówiło się właśnie o tym, że pewni ludzie, którzy chcą oddziałać na politykę – w Polsce Moczar – oni działali poprzez te związki kombatanckie, prawda. To jest jakiś taki szczególny rodzaj ideologii w końcu, którą podawano narodowi także w Polsce. Kiedy nie było czego innego, podawano przeżycia kombatanckie, prawda. Tak więc prawdopodobnie w Rosji występuje podobne zjawisko. (N, s. 242)

Nawiązanie do działalności (jak rozumiemy) ZBoWiD-u w kontekście sytuacji Kazacha, porzuconego na pastwę losu najpierw przez państwo, a potem przez najbliższych, to wnioski mimo wszystko zaskakujące i dość tendencyjne. Jego sytuacja byłaby raczej odwróceniem polityki kombatanckiej, którą Polska Zjednoczona Partia Robotnicza prowadziła wobec „swoich" kombatantów, a nie jej odbiciem. Wydaje się, że – nie zważając na fakty – Trznadel usłyszał w historii młodego kaleki dokładnie to, co chciał w niej usłyszeć.

W dalszej części rozmowy, wróciwszy do tematów lwowskich, posłużył się terminem indoktrynacji, używanym przez siebie równie chętnie, co nieprecyzyjnie:

Jest też coś takiego jak indoktrynacja lękiem, przerażeniem. Wystarczyło paru miesięcy radzieckiego Lwowa, żeby ludzie, którzy – jak mówisz – byli nieprzyzwyczajeni, byli nawet osłabieni jakąś cywilizacją, i mimo nacisków, o których mówiłaś, antysemityzmu polskiego, no wszystkich rzeczy, o których można by długo mówić – momentalnie, dogłębnie poznali system sowiecki i wiedzieli, czego się spodziewać. To jest zdumiewające, bo przed wojną chyba było oczywiście propaganda. (N, s. 242)

Więc z jednej strony indoktrynacja, z drugiej zaś „momentalne" głębokie zrozumienie, które jako żywo nie wypełnia znamion słownikowych tego pojęcia. Niełatwe jest śledzenie tej myśli, a jego własne odpowiedzi też nie są (przynajmniej na tym etapie) całkiem czytelne:

Trznadel: Czyli, czyli, że w gruncie rzeczy niewiele trzeba czasu, żeby się pozbyć złudzeń. Jeżeli tak Olu…

Watowa: Szczególnie, tak...

Trznadel: Jeżeli tak, dla przeciętnego człowieka, to tym bardziej pozostaje tym strasznym znakiem zapytania, dlaczego ludzie, inteligenci, pisarze, ludzie kultury tak długo mogli hodować te złudzenia. Chyba w imię przekonania, że trzeba oddać molochowi, a gdzieś daleko za zakrętami historii zbuduje się jakaś taka idealna wiara, że zbuduje coś lepszego, prawda? Chyba tym trzeba to tłumaczyć. (N, s. 243)

Na przestrzeni całej transkrypcji widać, w jaki sposób koncepcja zdrady środowiska literackiego się krystalizowała i dopełniała. Jesteśmy tu raczej świadkami intelektualnych

158:1339413783

przygotowań do *Hańby domowej* niż rozmowy z wdową po Aleksandrze Wacie, która – co prawda – próbowała zabrać głos, ale zamilkła wobec potoku słów warszawskiego akademika. Trudno oprzeć się wrażeniu, że Trznadel – przede wszystkim? przy okazji? – trenował na Watowej myśli, diagnozy i pytania, które później skierował do bohaterów swojej głośnej i kontrowersyjnej książki. Czasem zatapiał się w swych myślach do tego stopnia, że tracił kontakt ze swą rozmówczynią, raczej głośno myślał niż rozmawiał: „Tylko to nie daje mi jeszcze klucza do złudzeń okresu lwowskiego. Wcale. Zupełnie".

W późniejszych partiach transkrypcji, anonimowi „inteligenci, pisarze, ludzie kultury" są stopniowo zastępowani konkretnymi nazwiskami:

> Trznadel: Więc ja mam takie jedno podejrzenie, jeżeli chodzi o powojenny okres stalinizmu, że ci ludzie, jak ty mówisz, jeżeli nie wszystko wiedzieli, to dużo wiedzieli, a nawet bardzo dużo wiedzieli. I być może – to ich jakoś tłumaczy, że oni mieli poczucie – ponieważ byli do władzy – ponieważ to my jesteśmy u władzy, to my zrobimy model polski. A dopiero potem z przerażeniem zobaczyli, zaczęli widzieć, że oni nie są u władzy, tylko oni są pozornie u władzy, a tak naprawdę są manipulowani.
>
> Watowa: No, tak.
>
> Trznadel: I myślę, że tutaj może jest klucz do tej jakiejś tragedii. No, bo jak wytłumaczyć: Ważyka, jak wytłumaczyć Jana Kotta, który wypisywał o realizmie socjalistycznym, o zwycięstwie socjalizmu? (N, s. 234)

Z rozmowy, która odbyła się 6 marca 1981 roku, na temat Tadeusza Borowskiego wynika, że Watowa już wtedy wiedziała o przyszłych planach Trznadla:

> Watowa: Wiesz, ja ci powiem, ja bym nie chciała przez chwilę go o nic posądzać, ale czy on – może on był pod takim ciśnieniem, pod takim wpływem – że może on przez chwilę, tak jak ty o tym czarowniku mówiłeś, wiesz.
>
> Trznadel: Tak, tak.
>
> Watowa: Że może przez… może on m myślał, że może on się myli, że może rzeczywiście to do czegoś przechodzi, prowadzi, że może to jest taki etap, przez który on musi przejść, że musi przekonać ten naród, to społeczeństwo, to wszystko, żeby pokazać…
>
> Trznadel: To jest jedna z takich rzeczy, które ja chciałbym tak powiem – generalnie wyjaśnić, jeśli mi się uda, w rozmowach z wieloma ludźmi.

159:4631546310

Watowa: Tak. No, ja ci powiem, że jak tyś mi wspomniał ludzi, z którymi ty masz mówić, to ja się zawstydziłam w ogóle, że ty ze mną rozmawiasz. Bo ja ci tak… oni ci tyle rzeczy mogą powiedzieć ciekawszych niż...

Trznadel: Każdy jest ważnym świadkiem, a ty tu jesteś świadkiem bardzo wielu ważnych rzeczy. (N, s. 400)

Z jej komentarza domyślamy się jednak, że tym razem zmysł obserwacji, dodatkowo przytępiony komplementem, ją zawiódł. Faktem jest jednak, że Watowa była świadkiem bardzo wielu wydarzeń, a Trznadel później zrobił z tego użytek. W czasie ich sesji nie tylko oswoił się z nową rolą, lecz również wysłuchał obszernej relacji osoby ze środowiska, znającej wiele spraw od podszewki. Watowa, co zresztą zaznaczył w „przypisach osobowych" do *Hańby*: „opowiedziała o swoim życiu z mężem Aleksandrem kreśląc tło wydarzeń historycznych"[306] – i wydaje się, że w tym ostatnim, widział największą wartość ich spotkań. Nie zapominajmy bowiem, że był rok 1981, a dostęp do wielu spraw ograniczony, ocenzurowany lub uniemożliwiony. Wiedza na temat sowieckiego Lwowa czy postaw i głosów pisarzy po wojnie czekała dopiero na swych odkrywców i historyków.

Wyprzedzamy nieco fakty, gdyż *Hańba domowa* ukazała się dwa lata po *Wszystko co najważniejsze,* pierwszy raz w 1986 roku, lecz domykając ten wątek warto zaznaczyć, że Trznadel kilka razy powołał się bezpośrednio w swoich wywiadach na rozmowy z Watową, pierwszy raz 29 października 1981 r., w czasie rozmowy z Wiktorem Woroszylskim:

TRZNADEL: – Ola Watowa mówiła, że wyczuwała, że pewni ludzie, którzy bywali w ich domu, bali się mówić.

WOROSZYLSKI: – No, ale Wat się nie bał, więc jakby to było decydujące. I oczywiście nie bali się ci, którzy byli po tej stronie, razem ze mną, chociaż to, co mówili, było często szalenie nie na linii[307].

Po raz drugi, w wywiadzie z Julianem Stryjkowskim (31 marca 1985 r.):

TRZNADEL: - Czy stykał się pan we Lwowie z Wandą Wasilewską?

STRYJKOWSKI: - Tak, oczywiście.

TRZNADEL: – Ola Watowa wspomina, że Wanda Wasilewska miała takie ludzkie gesty w okresie lwowskim[308].

[306] J. Trznadel, *Hańba domowa*..., s. 419.
[307] Tamże, s. 137-138.
[308] Tamże, s. 218.

160:7144058347

Następnie 4 lipca 1985 z Jackiem Bocheńskim:

> TRZNADEL: – Pan mówi tam o Kazachstanie. Jednym z wiarygodnych świadectw, jak to było naprawdę, są stronice książki wspomnieniowej Oli Watowej...
>
> BOCHEŃSKI: – Ta książka Oli Watowej ujawniła mi teraz dopiero coś takiego, że w stosunku władzy radzieckiej do ludów muzułmańskich, azjatyckich, brakowało jakby czegoś, co miały wszystkie potęgi kolonialne. Tytułem kolonizatorów do sprawowania protektoratu i rządów nad podbitymi narodami, czy plemionami było to, że podnoszą tych ludzi na wyższy poziom cywilizacyjny, zakładają szpitale, szerzą oświatę. Zdałem sobie sprawę, że zesłanie Polaków do Kazachstanu jako osiedleńców, nie miało intencji, aby przynieśli lepsze wzory cywilizacyjne, to oni mieli być sprowadzeni do poziomu tubylców. Nie mieli na przykład gospodarować w sposób instruktywny dla Kazachów, czy lepiej mieszkać. A tkwiłem w przekonaniu, że władza radziecka usiłuje szczepić wyższy standard cywilizacyjny. Tam się posyła Europejczyków, którzy mieli zawsze misję kulturotwórczą ...
>
> TRZNADEL: – Ale za cara![309].

W powyższym fragmencie odwołanie do Watowej jest podwójne, gdyż w komentarzu: „Ale za cara!", również słychać echo jednej z ich rozmów[310].

Podobnych relacji i sprzężeń między tymi dwoma projektami moglibyśmy znaleźć znacznie więcej, jest to jednak zadanie dla przyszłych badaczy *Hańby domowej*, a takich przypuszczalnie nie zabraknie. Powyższa analiza ujawnia, że transkrypcja rzuca światło zarówno na proces powstawania książki Watowej, jak i – co niespodziewane – na proces powstawania późniejszego *opus magnum* Trznadla. Mówiąc językiem krytyki genetycznej – transkrypcja staje się ważnym dokumentem genezy nie tylko książki *Wszystko co najważniejsze,* ale również *Hańby domowej* i dlatego należy uwzględnić ją jako ważny kontekst interpretacyjny.

„PULS"

Wróćmy do transkrypcji jako dokumentu genezy *Wszystko co najważniejsze.* Kilka fragmentów opracowanych wspomnień – jako zapowiedź przyszłej książki Watowej –

[309] Tamże, s. 231.

[310] Watowa opowiada o pięknie stepu, co przywiodło Trznadlowi na myśl Mickiewiczowskie stepy: „To przecież – to przez skojarzenie i to jest zupełnie inna sprawa, ale Boże, jak to tu można jakiś łuk zatoczyć – to przypomniały mi się opisy tego krajobrazu egzotycznego i stepu w *Sonetach krymskich* Mickiewicza, prawda. (...) On też w końcu jako wygnaniec przeżywa swoją dolę wygnańca. Oczywiście luksusowo bardzo. Przecież, gdzie tam porównywać carat z tym, co się działo potem. (...) Bo nie arystokracja odeska was przyjmowała na salonach, tylko biedni ludzie na stepie, też przybici butem tego ustroju". N, s. 289.

161:5742515442

opublikowano w 1983 w kwartalniku literackim „PULS" (1983, nr 18, wiosna-lato) pod tytułem *Wspomnienia (opowieść mówiona)*. Adnotacja zawarta w przypisie, która mówi, że jest to fragment przygotowywanej książki, wskazuje, że prace nad nią nie dobiegły jeszcze końca. Porównując te fragmenty z tekstem książki, przychodzi jednak na myśl, że duża część brulionu musiała być już wtedy gotowa, bowiem trudno na pierwszy rzut oka odnaleźć jakiekolwiek zmiany w pierwszym wydaniu. Nie podano też jej tytułu, który znamy z 1984 roku, co stanowi sygnał, że nie był on jeszcze na tym etapie ustalony. Ponadto, warto zauważyć, że w „Pulsowskich" wspomnieniach Jacek Trznadel występował pod pseudonimem Piotr Janowicz. W kolejnych numerach „Pulsu" nie przedrukowano żadnych recenzji wydanego fragmentu. W prywatnym archiwum Andrzeja Wata odnalazłam kilka listów od czytelników, m.in. jeden od Włodzimierza Odojewskiego:

> Wieczorem wczoraj przeczytałem Pani fragment w Pulsie. Okropna kobieta – pomyślałem później, nie mogąc zasnąć – tyle lat ukrywała, że ma tak wspaniałe pióro i tyle do powiedzenia. (...) Będę także z niecierpliwością czekał na całą książkę, o czym zaraz na świeżo spieszę donieść, bo wiem jak to czasem autora popędza do jej ukończenia[311].

Możemy domyślać się, że tekst spotkał się z pozytywnym odzewem większej liczby czytelników, bowiem wydawnictwo ostatecznie zdecydowało się na wydanie wspomnień, o czym w listopadzie1983 roku pisał do Trznadla Jan Chodakowski: „Napisałem już do p. Oli formalnie zobowiązując PULS Publications do wydania jej wspomnień. Myślę, że jak wszystko dobrze pójdzie, to pod koniec stycznia 84, książka będzie gotowa"[312].

Etap wydawniczy, recenzje i listy

Praca nad tomem *Wszystko co najważniejsze. Rozmowy z Jackiem Trznadlem* przedłużyła się o kilka miesięcy. Książka trafiła do sprzedaży z końcem czerwca 1984 roku. Kilkunastoletnie wysiłki Oli Watowej, by stać się autorką książki, w końcu przyniosły owoce. Spotkanie autorskie z okazji wydania jej wspomnień odbyło się w księgarni Libella. Na zaproszeniu widniał krótki tekst wprowadzający:

> Książka Oli Watowej jest wzruszającym świadectwem cierpienia, wielkiej miłości, która pozwala odnajdywać nadzieję wśród beznadziei upadłego czasu: sowieckiego więzienia, głodu, morderczej

[311] List Włodzimierza Odojewskiego z dn. 9.07.1983 r. Archiwum prywatne Andrzeja Wata.
[312] List Jana Chodkowskiego do Jacka Trznadla z dn. 4.11.1983 r. Prywatne archiwum Andrzeja Wata.

162:6984816291

pracy Polaków na stepach Kazachstanu zesłanych tu ze Lwowa w roku 1940. Jest dokumentem triumfu ludzkiej godności nad całą diabelską maszynerią komunistycznego imperium.

Barwne obrazy literackiej Warszawy międzywojennego dwudziestolecia sąsiadują w niej z przejmującą kroniką doświadczeń, spotkań i podróży, które Autorka dzieliła do końca z Aleksandrem Watem.

WSZYSTKO CO NAJWAŻNIEJSZE... i MÓJ WIEK Aleksandra Wata wzajemnie się dopełniają, pozostając odrębnymi i pięknymi dziełami polskiej literatury[313].

Warto zaznaczyć, że tekst promocyjny przygotowany na potrzeby spotkania autorskiego kładł wyraźny akcent na odrębność tego tomu i mimo, że wskazywał na wzajemne zależności książki Watowej u Wata, to żadnego z nich nie wskazywał jako nadrzędnego („wzajemnie się dopełniają"). *Wszystko co najważniejsze* przedstawiano w nim przyszłemu czytelnikowi jako ważny zapis epoki, a Watową jako jedną ze świadkiń XX wieku i – podkreślmy – jedyną autorkę tego tomu.

Publikacja *Wszystko co najważniejsze* spotkała się z pozytywnym odzewem ówczesnej krytyki i środowiska, o czym świeżo upieczona autorka (przypomnijmy – osiemdziesięciojednoletnia!) pisała w liście do Miłosza:

Ciągle mam listy o mojej książce – jakieś już bardzo entuzjastyczne i wzruszające. Dzisiaj dostałam taki list od Anny Kamieńskiej i, jako próbkę przesyłam tobie. Tutaj, ani jednej wzmianki (czyś czytał recenzję Renaty w Tygodniku nowojorskim?). Ale opinia Kocika, wspaniały list Karpińskiego, Basi Toruńczyk, recenzje Stefanii Kossowskiej i żony Wirpszy w Archipelagu – zupełnie mi wystarczają. Oczywiście brak mu twojego głosu – tak dla mnie ważnego (broń Boże nie myślę o recenzji). Kulturze (podobno) książka nie przypadła do gustu, czego się, zresztą spodziewałam. Watowie to nie w ich guście[314].

Brak recenzenckiego zainteresowania książką ze strony „Kultury" („Tutaj, ani jednej wzmianki"), potwierdza przegląd numerów pisma z 1984 i 1985 roku. Nazwisko Watowej z krótką informacją bibliograficzną pojawiło się jedynie w dziale „nadesłane nowości wydawnicze"[315]. Inne periodyki i media emigracyjne okazały się dla nowej książki łaskawsze i poświęciły jej garść pochlebnych recenzji. Jako pierwszy rozbrzmiał głos Radia Wolna Europa, w którym *Wszystko co*

[313] Fragment pochodzi z zaproszenia na spotkanie autorskie z Olą Watową, zorganizowane przez wydawnictwo Puls Publications i księgarnię Libella, które odbyło się 28.06.1984 r.
[314] Niepublikowany list Oli Watowej do Czesława Miłosza z dn. 8.12.1984 r. (Paryż). Archiwum prywatne Andrzeja Wata.
[315] W „Kulturze" czytamy: „*BIBLIOTEKA „PULSU": Ola Watowa: Wszystko co najważniejsze (wspomnienia)*". Zob. „Kultura" 1984, nr 1/436-2/437, s. 199.

163:6421393539

najważniejsze poświęcono co najmniej trzy audycje[316]: pierwsza – 28.06.1984 r. – to wywiad udzielony przez autorkę Maciejowi Morawskiemu, kolejna to odczyt z dn. 19.07.1984 r. w ramach stałej audycji poświęconej polskim czasopismom i książkom ukazującym się na emigracji, opracowany przez Marię Bukowską. W recenzji mówionej dostrzeżono w mniejszym stopniu historię miłości, a wyeksponowano jej uniwersalny wymiar, „historię pokolenia". Duży nacisk położono na wartość tej pozycji ze względu na ukazane w niej losy Polaków na „nieludzkiej ziemi": „Myślę, że m.in. książka Oli Watowej uświadomi, ilu rodaków nie zdołało ujść z tego domu niewoli, ilu z paszportami sowieckimi wtłoczono siłą w ramy tego społeczeństwa"[317].

Z kolei w periodykach emigracyjnych wskazywano na poetycką (nazywaną też kobiecą) wrażliwość autorki, na życiowy konkret podkreślając barwność i zmysłowość opisywanego świata. Renata Gorczyńska pisała w „Nowym Tygodniku Nowojorskim", że *Wszystko co najważniejsze* przynosi:

> Opis godny poety, bo nie powierzchowny, ale zmuszający do drążenia w głąb: prawdziwe studium przedmiotu. Watowa pamięta drobiazgi, rzekomo „po kobiecemu": stroje czy częściej szmaty, służące za ubiór nieszczęsnym katorżnikom, kolor oczu i włosów, grymas, smak potraw i napojów (wino truskawkowe w jej opowieści jest małmazją – piła je tylko raz), odnotowuje światło dzienne i zapachy ziemi[318].

Gorczyńska poprzedziła właściwą recenzję przypomnieniem o dziele Aleksandra Wata. Z jednej strony wskazała na kontynuujący je charakter wspomnień „późnej debiutantki", z drugiej zastrzegła, że książka „jest w równym stopniu utworem autonomicznym, co kontynuacją". Watowa jako jedna „z bohaterek okrutnej baśni XX wieku", według oceny Gorczyńskiej, opowiedziała historię o człowieczeństwie, wybaczeniu oraz wielkiej miłości, łączącej dwoje ludzi.

Wśród recenzentek pewne kontrowersje od początku budziła osoba i postawa rozmówcy Oli Watowej, Jacka Trznadla. Jedne – jak Maria Kurecka w „Archipelagu" – wskazywały na niedającą się przecenić jego rolę wrażliwego indagatora, któremu umiejętnie udawało się stymulował

[316] Archiwum Radia Wolna Europa jest niekompletne. Daty i treść audycji są mi znane z maszynopisów, przesłanych Oli Watowej przed lub po nagraniu. Trzecia audycja została wyemitowana 4.09.1984 roku – słuchacze usłyszeli szkic Marii Kurowskiej, wydany także w berlińskim „Archipelagu".
[317] W archiwum Radia Wolna Europa nie zachowało się to nagranie, jednak w prywatnym archiwum Andrzeja Wata znajduje się szczegółowo opisany maszynopis z tekstem audycji, autoryzowany przez Olę Watową.
[318] R. Gorczyńska, *Zostaje czułość*, „Nowy Tygodnik Nowojorski" 1984.

164:6461333084

pamięć Oli. Przy okazji zaś, na długo przed pojawieniem się audiobooków i rozpowszechnieniem płyt kompaktowych, marzono o tym, by do książki dodawany był materiał audio:

> Trznadlowi przyznać trzeba nieprzeciętną umiejętność zadawania stymulujących, często też, i trafnie, dopełniających pytań, które całemu dialogowi nadają zawartość i potoczystość. A swoją, drogą, mimo wydanego drukiem zapisu, chciało by się także posłyszeć głosy obojga rozmówców. Dodanie w przyszłości do tej książki również kasety z nagraniem nie jest chyba przy dzisiejszym stanie fototechniki sprawą zbyt trudną[319].

Inne – jak Maja Cybulska i Stefania Kossowska – przeciwnie, dystansowały się wobec roli Trznadla, a szczególnie wobec jego nadmiernie eksponowanej ich zdaniem funkcji komentatora formułującego podsumowania i wnioski wypływające jakoby ze słów Oli. Cybulska pisała w londyńskim „Dzienniku Polskim":

> Z autorką rozmawiał Jacek Trznadel, którego cenię jako badacza literatury. Odniosłam jednak wrażenie, że tekst mógł być spisany bez rozmówcy, którego komentarze nie są ani ciekawe, ani konieczne. Wszystko co najważniejsze tkwi przecież w Oli Watowej odkrywającej siebie, naturę własnych więzi ze światem, z życiem, z pamięcią (...)[320].

Zaś Kossowska nie tylko wskazywała na zbędność Trznadla, a w korespondencji z Watową wyrażała nadzieję, że współrozmówca Watowej nie obrazi się po przeczytaniu jej recenzji. W tym kontekście Trznadel jawi się jako ktoś próbujący wejść w buty Czesława Miłosza rozmawiającego z Aleksandrem Watem, a przecież powtórzenie tej sytuacji było nie tylko niemożliwe, co też niepotrzebne. W recenzji czytamy:

> Książka Watowej ma formę rozmowy, która prowadzi z nią Jacek Trznadel, tak jak przy powstawaniu „Mojego wieku" Czesław Miłosz rozmawiał z Watem. Było to koniecznością wtedy, gdy ciężko chory Wat nie mógł pisać, za to wspaniale mówił i rozmowa była nagrywana na taśmę. (...) Watowa nie potrzebuje pomocy w wyrażeniu tego co chce powiedzieć ani w pobudzaniu pamięci, o czym można się było przekonać z fragmentów jej wspomnień, drukowanych w pismach emigracyjnych przed ukazaniem się książki. Toteż Trznadel jej nie pomagał. Wydawało się nieraz, że chce być drugim autorem, wkładając w książkę własne wspomnienia i interpretacje. (...) Jego udział jest jedyną, drobną skazą na tej pięknej, przerażającej i wzruszającej książce (...)[321].

[319] M. Kurecka, *To, co najważniejsze*, „Archipelag" 1984, nr 6, s. 79.
[320] M. E. Cybulska, *„Wiem już jaka jestem*", „Dziennik Polski", 19.09.1984, s. 6-7.
[321] Recenzja Ewy Kossowskiej napisana dla „Wiadomości Literackich", którą przesłała listownie Oli Watowej dn. 2.09.1984 r.

165:9249324480

Pośród omawianych tu recenzji na szczególniejszą uwagę zasługuje mądry i pełen zrozumienia artykuł Ewy Szczerkowskiej, rozwijający sprawę usytuowania książki wspomnieniowej Oli wobec *Mojego wieku*. Autorka z jednej strony wskazuje na zależność tych dwóch książek, wypływającą wprost ze związku tych dwojga ludzi:

> Biorąc do ręki „Wszystko co najważniejsze" zadajemy sobie pytanie dotyczące zakresu autonomii tej książki powstałej już po „Moim" wieku Wata. Niejako *a priori* odbiera się jej prawo samodzielnej egzystencji, oczekuje się kontynuacji, uzupełnienia czy choćby spojrzenia porządkującego wędrówkę Wata w czasach i przestrzeniach. Te czytelnicze oczekiwania uprawomocnia stwierdzenia „rozmówcy" Oli Watowej, Jacka Trznadla: „Czasem jak coś wspominasz, myślę sobie o „Moim wieku" Aleksandra i mam wtedy wrażenie, jakby filmowano coś drugą kamerą, ustawioną nieco pod innym kątem niż kamera jego pamięci." (...)[322].

Z drugiej jednak strony wskazuje na autonomiczny wymiar wspomnień Oli, który w jej optyce wybija się ostatecznie na pierwszy plan:

> To wszystko przetacza się przez pamięć czytelnika, ta wiedza o absolutnej łączności tych dwojga ludzi i tych dwóch dzieł. Wydarzenia, fakty są często te same, to jednak, co nadaje wspomnieniom Watowej odrębny ton, to niesłychana, sensualna miejscami pamięć konkretu. (...) Poznajemy więc los ukształtowany przez niezwykłe okoliczności i czas, los indywidualny, a jednak jako reprezentatywny w pewnej cząstce, w jego czytelnej ogólności. (...) Obcowanie z komunizmem nagromadziło w pamięci Watowej tysiące takich obrazów, odtwarzanych w pamiętniku ze zdumiewającą skrupulatnością. Jej wrażliwość w postrzeganiu świata, umiejętność gromadzenia drobnych ułamków chwil i wreszcie zdolność przekazania ciężaru swych przeżyć w zamierzenie – jak się zdaje – naturalny sposób, buduje szczególny rodzaj dramatyzmu jej wypowiedzi[323].

Stwierdzenie samoistnej ważności wspomnień Watowej nabierających charakteru uogólnionej pełnej dramatyzmu przypowieści o ludzkich losach w XX wieku nabiera dodatkowego potwierdzenia i wymiaru w dostrzeżeniu literackiej doskonałości tej książki, a przynajmniej niektórych jej fragmentów. Zdaniem Szczerkowskiej:

[322] E. Szczerkowska, *„Cóż bym wiedziała"*, „Pogląd. Dwutygodnik „Towarzystwa Solidarność" 1984, nr 17/66 (Rok III), s. 44-46.
[323] Tamże, s. 46.

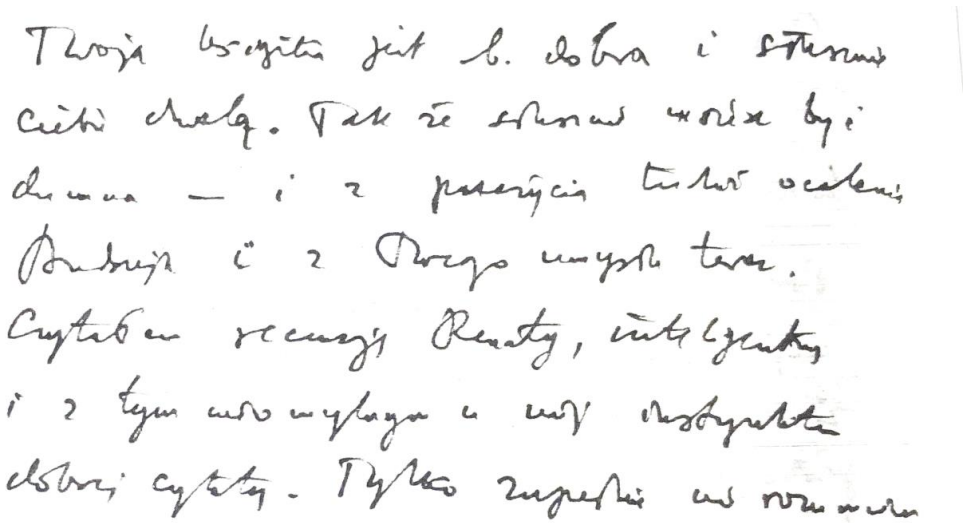
166:6512345622

(...) nie brakuje w książce fragmentów literacko doskonałych. Wymienić tu choćby należy dwa fragmenty o publikowanych wcześniej – wspomniana już „Paszportyzacja" i opowiadanie „Sznur" drukowane w londyńskich *Wiadomościach*[324].

Widzimy, że liczba autorów wypowiedzi krytycznych, które pojawiły się w prasie po ukazaniu się *Wszystko co najważniejsze* – naturalnie tylko po jednej ze stron żelaznej kurtyny – nie liczy się w legion, ale utrzymane były one w tonie przychylnym i pełnym zrozumienia dla szczególnego położenia autorki wobec wspomnień Wata. Dodatkowo okazuje się, że osoba Jacka Trznadla od początku budziła niepokój pośród recenzentów, zaś niewątpliwe artystyczne ambicje autorki wywoływały żywy oddźwięk.

Listy

W odpowiedzi na wcześniej cytowany list do Czesława Miłosza, przyszła odpowiedź – rzeczowa i choć pochlebna, trudno oprzeć się wrażeniu, że nieco zdawkowa. Noblista pisał: „Twoja książka jest b. dobra i słusznie ciebie chwalą. Tak że sukcesów możesz być dumna – i z przeżycia trudów ocalenia Andrzeja i z Twego umysłu teraz. Czytałem recenzję Renaty, inteligentna i z tym nieomylnym u niej instynktem dobrej cytaty"[325].



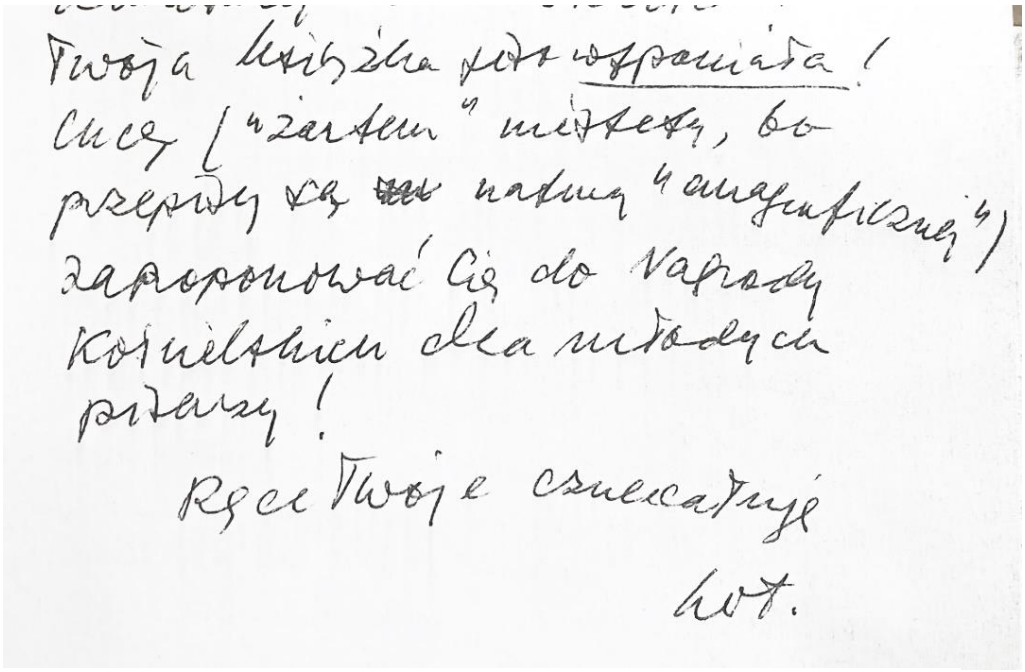
Fotokopia 9. List Czesława Miłosza do Oli Watowej z dn. 26.12.1984 r.

[324] Tamże, s. 46.
[325] Niepublikowany list Czesława Miłosza do Oli Watowej z dn. 26.12.1984 r. (Berkley). Archiwum prywatne Andrzeja Wata.

167:1061754092

Watowa doczekała się reakcji nie tylko ze strony swojego ulubionego poety i przyjaciela. Wśród bardzo wielu listów od najbliższych jej osób znalazły się słowa skreślone piórem Konstantego Jeleńskiego, który zdobył się nie tylko na pochwały, ale i na żartobliwy ton:

> Twoja książka jest wspaniała! Chcę („żartem" niestety, bo przepisy są natury „anagraficznej"[326])
> Zaproponować Cię do Nagrody Kościelskich dla młodych pisarzy!
> Ręce Twoje czule całuję
> Kot[327].


Twoja książka jest wspaniała!
Chcę ("żartem" niestety, bo
przepisy są natury "anagraficznej")
zaproponować Cię do Nagrody
Kościelskich dla młodych
pisarzy!
Ręce Twoje czule całuję
Kot.

Fotokopia 10. List Konstantego Jeleńskiego do Oli Watowej. Brak daty.

W listach otrzymywanych od innych osób różnie rozkładają się akcenty i różne sprawy wydobyte zostają na pierwszy plan. Barbara Toruńczyk oraz Anna Kamieńska dostrzegły na przykład wyjątkowy sposób potraktowania ludzi pióra politycznie zmarginalizowanych lub opuszczonych na starość. I tak redaktorka „Zeszytów Literackich" z podziwem odnotowywała odwagę Oli w oddawaniu sprawiedliwości postawie Woroszylskiego w okresie powojennym:

> Największe i najbardziej poruszające strony, to śmierć i cierpienie. Mówi Pani tak po prostu... Jest jeszcze jedna strona tej książki: jej niesłychana uczciwość. Mimochodem oddaje Pani

[326] Najpewniej chodzi o słowo „anagraficzny", czyli związany z danymi personalnymi.
[327] List Konstantego Jeleńskiego, niedatowany. Najpewniej z drugiej połowy 1984 roku. Archiwum prywatne Andrzeja Wata.

168:3770040152

> sprawiedliwość osobom i zachowaniom, o których utrwala się na ogół inny wizerunek. (Myślę np. i o Woroszylskim). Dziękuję pani także za to. Nawet Pani nie wie jak wielkiej wymaga to dziś odwagi[328].

Natomiast autorka *Notatnika* zwracała uwagę na czułość, z jaką Watowa wspominała spotkanie ze starym, schorowanym i opuszczonym Iwaszkiewiczem:

> Olu, stworzyłaś rzecz wspaniałą. To piękna proza. Niektóre strony każą powracać do siebie. Kocham Cię jeszcze bardziej za tę książkę, za to wszystko co było i co jest w Tobie żywe. Cieszę się, że opisałaś też to ostatnie widzenie z Jarosławem. Jest on tu nielubiany za swoją kompromisowość, ale Ty pokazałaś jego człowieczeństwo w sytuacji starości i opuszczenia, bólu[329].

Inne listy – jak ten od Stanisława Wygodzkiego – podkreślają artystyczne walory książki, porównując siłę ukazywanych w niej infernalnych obrazów do prawdziwych mistrzów tego tematu, czyli Boscha i Goyi, przede wszystkim jednak, co szczególnie musiało uszczęśliwić „debiutantkę", przyznające jej miano skończonej pisarki:

> Twierdzenie, że książkę napisało życie, zabrzmi jak kpina. Tę książkę napisał pisarz o sobie i Człowieku najbliższym - pisarzu. (...). Twój opis człowieka na czworakach /str.70/ pozostał w mojej pamięci jak Bosch i Goya. On idzie za mną i milczy, on patrzy na mnie i milczy. A przecież wiem czego on żąda ode mnie: nie odwracaj się, nie uciekaj: nie uciekniesz od siebie[330].

I to w słowach, jak powyższe, dobranych w wyszukany sposób, lub prostodusznie, jak Stefanii Kossowkiej, zachwyconych dziełem Oli: „Droga Pani Olu, napisała Pani mądrą, szlachetną, przejmującą i wzruszającą książkę. Od paru dni żyję pod jej wrażeniem. Nie zdawałam sobie sprawy do jakiego stopnia jest Pani nadzwyczajna"[331].

Wreszcie Anna Frajlich-Zając wskazywała na ważność wspomnień Oli w kontekście kolejnej łagrowej golgoty całego pokolenia i jej przełomowe znaczenie dla stylu i trybu pisania o sowieckich opresjach. Zdaniem poetki, Watowa we *Wszystko co najważniejsze* wytworzyła nowy, bezpośredni i wyzbyty eufemizmów język opisu tych historycznych zjawisk:

> Otóż poza faktem, że książka pani wstrząsnęła mną, jak i z pewnością każdym innym czytelnikiem, mam jeszcze dwa powody, dla których ten list chciałam napisać. Przede wszystkim to, że

[328] B. Toruńczyk, list z dn. 25.07.1984, prywatne archiwum Andrzeja Wata.
[329] List Anny Kamieńskiej z dn. 25.11.1985 r., prywatne archiwum Andrzeja Wata.
[330] List Stanisława Wygodzkiego z dn. 30.12.1984 r. Archiwum prywatne Andrzeja Wata.
[331] List Stefanii Kossowskiej z dn. 14.07.1984 r., prywatne archiwum Andrzeja Wata.

169:4959280704

odnalazłam w niej podobieństwo zmagań mojej własnej Matki, która urodziła mnie tam w Kirgizji i przez półtora roku, do czasu odnalezienia się z Ojcem /moim/ sama walczyła o utrzymanie mnie przy życiu. (...) Drugi – bardziej ogólny, a przez to ważniejszy. Wydaje mi się, że dokonała Pani przełomu w tego typu literaturze, przełamała Pani szereg tabu i po tej książce, jeżeli ktoś będzie chciał pisać o wielu sprawach, które Pani porusza, nie będzie mógł pisać tak, jak często robi się to dotychczas – posługując się eufemizmami[332].

Rok później, w 1985 roku, wyszły jeszcze dwa drugoobiegowe wydania krajowe książki – nakładem Międzyzakładowej Struktury „Solidarność" oraz Zony. *Wszystko co najważniejsze* doczekało się również tłumaczeń na język francuski (*L'ombre seconde*, tłum. Christiane Giovannoni, 1989) i na niemiecki (*Der zweite Schatten,* tłum. Anna Leszczyńska, 1989).

Wymazywanie

W 1990 roku, kiedy sytuacja polityczna stworzyła taką możliwość (Ola Watowa miała wówczas 87 lat), *Wszystko co najważniejsze* po raz pierwszy weszło do oficjalnego krajowego obiegu. Wspomnienia ukazały się nakładem wydawnictwa „Czytelnik", a niemałą zmianą w polskim wydaniu był niedający się przeoczyć brak podtytułu: Rozmowy z Jackiem Trznadlem. „Czytelnikowska" wersja wspomnień została bowiem opublikowana bez współautorstwa, a tym samym pytań Trznadla i bez jego nazwiska na stronie tytułowej. W wyniku tych przełomowych zmian od 1990 roku autorką tomu staje się niepodzielnie Ola Wat.

Niektórzy krajowi recenzenci przyjęli to rozstanie bez żalu: „Wspomnienia Oli Watowej (…) wydane aktualnie w formie monologu złożyły się na całość przejmującą nie tyle grozą opisywanych wydarzeń, ile przenikliwą samoświadomością autorki (…)"[333], czy: „W wydaniu obecnym, podobnie jak w ogłoszonym niedawno przekładzie francuskim, dialog zmienił się w monolog, raczej z korzyścią dla czytelnika; przyczyny tej zmiany wyjaśnia autorka we wstępie"[334]. Innych sam fakt owego zniknięcia zaintrygował bardziej niż książka i jej autorka. Można powiedzieć, że Watowa nie miała szczęścia: wydanie jej wspomnień w „Czytelniku" poprzedziła

[332] List A. Frajlich-Zając z dn.15.11.1984 r., prywatne archiwum Andrzeja Wata.
[333] A. Szymańska, *Love story*. „Tygodnik Solidarność" 1991, nr 16 (135), s. 16.
[334] *Świadectwa*, „Tygodnik Powszechny" 1990, nr 35, 2.09.1990. Wśród recenzji książki znalazły się również teksty poprzedzający wydanie „czytelnikowskie": J. Zieliński, *The Book of Love and Hate*, "Nowy Dziennik" (4.01.1988 r.) oraz D. Diłanian, *Wszystko co najważniejsze*, „Antena. Pismo widzów i słuchaczy" 1989 (25.09-1.10.1989 r.).

170:5506569860

publikacja *Hańby domowej*, tak więc jej książka stała się okazją, żeby „wymazanego" już rozmówcę zaatakować. W „Związkowcu" czytamy:

> Oto żona wielkiego poety pisze: „Obecnie jednak zażądał on zmian w tekście, na które w swoim sumieniu i w imię prawdy nie mogłam się zgodzić – w razie braku mej zgody domagając się usunięcia swoich pytań i swego nazwiska (...)". Bardzo to ciekawe, o jakie fragmenty godzące może tylko w miłość własną lub co gorsza naruszające w pocie czoła wypracowany przezeń wizerunek moralny, chodziło Trznadlowi. W świetle tej niewinnej na pozór rewelacji granitowy etycznie Trznadel pokazuje się jako kunktator, który co innego mówi dla kraju a co innego dla zagranicy, bądź dla podziemia. (...) Okazuje się, że nawet najbardziej żarliwy i bezkompromisowy szermierz prawdy i wolności słowa ma swoje własne strefy reglamentacji i gdy tylko zorientuje się, że je niebacznie naruszył, wówczas sam się ocenzuruje[335].

W „Trybunie" zaś:

> Czytelnik nie dowie się więc, o dokonanie jakich zmian chodziło Trznadlowi, ale może się domyślać, że może nie podobało mu się, że Watowa ciepło wspomina Wandę Wasilewską z okresu, gdy ta działała we Lwowie (rok 1940); może nie pasowały do jego „koncepcji" charakterystyki innych ludzi, dziś tak chętnie odsądzanych od czci i wiary? Ale nie spekulujmy[336].

W „Życiu Warszawy" natomiast czytamy:

> Nie doczytałam ich do końca [pierwszego wydania wspomnień – dopowiedzenie moje – A.G.M], bo zraziły mnie nieustanne podszepty nienawiści ze strony tegoż, których pani Ola na szczęście nie chciała słuchać. (...) Wdzięczna jestem Jackowi Trznadlowi i ja, że się usunął, pozwalając mi na obcowanie bez przeszkód z tą niezwykłą kobietą, jaką jest Ola Watowa[337].

O ile z powyższych opinii wynika przede wszystkim niechęć do autora *Hańby*, to niewiele dowiadujemy się o samej książce, co wskazuje na zaostrzanie się sporu politycznego zarówno wokół problematyki poruszanej we wspomnieniach, jak i pierwotnej pary autorów. Inaczej zachowała się sama Watowa, która nigdy nie skomentowała publicznie tego rozstania. Z noty poprzedzającej „czytelnikowskie" wydanie dowiadujemy się, że powodem zakończenia współpracy była różnica zdań – żądanie przez Trznadla zmian w tekście, na które ona – „w imię prawdy"[338] – nie mogła się zgodzić. Chodziło o sprawę Kazimierza Więcka – byłego delegata

[335] *Szermierz prawdy*, „Związkowiec" nr 50 (16.12.1990).
[336] Zaw., *Wszystko co najważniejsze*, „Trybuna" 1990, nr 170 (4.03.1990).
[337] M. Nurowska, *Paradoks księdza Klimuszki*, „Życie Warszawy" 1991, nr 10 (13.01.1991).
[338] O. Watowa, *Wszystko co najważniejsze*, Warszawa 1990, s. 5.

171:5941830835

Delegatury Ambasady Polskiej z siedzibą w Ałma Acie oraz fragment, w którym Watowa opowiada o swych odwiedzinach w tym miejscu. Według jej relacji delegat nie udzielił jej pomocy, kiedy była w potrzebie i właśnie tego fragmentu nie chciała usunąć:

> Bardzo szybko zorientowałam się jednak, że ludzie tam pracujący wraz z naszym delegatem myśleli przede wszystkim o sobie, o swoich wygodach, nawet o luksusie. […] Kiedy przyszłam, delegat Więcek z panią Jadwigą, w której znalazł towarzyszkę życia, wraz z personelem Delegatury siedzieli przy suto zastawionym stole. […] Wskazano mi maszynę i ani jednego gestu, ani jednego zapytania, czy nie chciałabym czegoś zjeść, czegoś się napić. (WCN, s. 72)

Dostajemy również informację, że przekształceniem książki z dialogu w monolog zajął się Jan Zieliński. Decyzja to zaskakująca, zważywszy na łączącą do niedawna oboje pierwotnych współautorów przyjaźń. Na kulisy tej znajomości rzuca nieco światła rozmowa Watowej ze Stanisławem Rośkiem przeprowadzona w 1987 roku, z której wynika, że Trznadel ją wówczas nachodził i niepokoił:

> Któregoś dnia Jacek Trznadel przyjechał tu i położył przede mną fotografię z jakiegoś Zjazdu literatów, w którym uczestniczył Bierut. Jest na niej Rudnicki, Dygat, Ważyk, Iwaszkiewicz, Osmańczyk… I Aleksander Wat. Trznadel powiedział, że ~~zrobił~~ odbił tę fotografię w wielu egzemplarzach. (PD, s. 8)

Fotografia pokazywana przez Trznadla to być może ta sama, która stała się później (w 1990 roku) głównym motywem okładki jednego z kolejnych wznowień *Hańby.* Zanim tak się stało, wydano najpierw tekst rozmów z pisarzami, a między wierszami pojawiało się nazwisko obojga: Oli i Aleksandra. Wydaje się, że samą publikację tego tomu można uznać za jeden z zasadniczych, a przemilczanych publicznie przez obie strony, powodów konfliktu między współautorami. Egzemplarz *Hańby*, znajdujący się w prywatnym archiwum Andrzeja Wata, zawiera na marginesach odręczne notatki kreślone ręką Watowej, świadczące o wątpliwościach i krytycznym stosunku do tego przedsięwzięcia. Najwyraźniej dopiero w 1986 roku, kiedy książka się zmaterializowała, przekonała się ona jak odmienny od jej oczekiwań był ten projekt, do którego przecież w swoim czasie prostodusznie zachęcała Trznadla. Tak więc okazuje się, że Watowa miała swojemu współrozmówcy do zarzucenia więcej niż otwarcie deklarowała, a jej wyrzuty przypominały głosy niektórych krajowych recenzentów. Swoje pretensje wyartykułowała w tej samej, niepublikowanej dotąd rozmowie:

172:4257170960

A teraz – kiedy wyszła Hańba domowa, kiedy ukazała się wypowiedź Ważyka – Trznadel w związku też *m. innemi* z listem Więcka zaczyna mojemu mężowi coś tam zarzucać, że jeszcze za mało, jeszcze jemu za mało tego wszystkiego. Napisałam mu tylko: „Jacku, podaj mi nazwisko *bodaj* jednego tylko, jednego *pisarza,* któryby ~~[już]~~ tak konsekwentnie przeprowadził, już takim skalpelem, już tak sobie niczego nie darował, jak mój mąż w Moim wieku. Nikt nie zrobił w hańbie domowej takiej mea culpa, nikt nie poszedł rzeczywiście do końca. Proszę bardzo, niech sobie piszą co chcą, tylko – wie pan – myślę, ze te miary, które się stosuje do innych, [to] stosuje się z trudem do samych siebie. (PD, s. 9)[339].

Wydaje się, że ataki na Aleksandra rzeczywiście przelały czarę goryczy. W świetle powyższej rozmowy, lakoniczne wprowadzenie do „czytelnikowskiego" wydania, które dostajemy od Watowej, wydaje się niekompletne i w gruncie rzeczy zaciemniające, ale również znaczące. Mamy przecież pewność, że autorka powiedziała dokładnie to, co chciała, a jej oszczędny ton był przemyślany. Z kolei Trznadel zamienił oszczędne w słowach wprowadzenie Watowej, w skrupulatnie opowiedzianą historię. Na łamach „Tygodnika Solidarność" oraz paryskich „Zeszytów Historycznych" Zielińskiego nazywał „amputatorem": „Jeden z gromady krytyków polskich, Jan Zieliński, podjął się, jak donosi nota Watowej, roli amputatora mojego udziału w książce, a Ola Watowa zmiany autoryzowała"[340]. Szeroko też opisał zaistniały konflikt, uznając za jedyne jego zarzewie zniesławienie we *Wszystko co najważniejsze* (i *Moim wieku*) Kazimierza Więcka. Na łamach londyńskiego „Pulsu" (1987, nr 33) miała miejsce wymiana myśli na temat prawdy historycznej w *Moim wieku,* w której głosy zabrali zarówno Trznadel (*Głosy do wspomnień Aleksandra Wata*), jak i Więcek (*Po lekturze Mojego wieku*). Trudno jednak mówić tu o polemice w sytuacji, w której do głosu doszła tylko jedna ze stron konfliktu. I w tym przypadku milczenie Watowej możemy uznać za znaczące. Trznadel komentował to w następujący sposób:

Po moich uwagach w londyńskim *Pulsie* Ola Watowa ze mną zerwała. Tu wywód ściśle krytyczny muszę zmienić w relację z życia. Obraziła się, choć to ja – i wcześniej – miałem kilka powodów, aby się obrazić. Z powodu noty *Copyright* na jej książce opiewającej na nią i Andrzeja Wata, z pominięciem mojej osoby, choć nazwisko moje jako współautora figuruje na karcie tytułowej. Z powodu zaproszenia na wernisaż paryski jej książki, na którym to zaproszeniu brak było mnie jako współautora. Nie przeproszono mnie nawet (niezależnie od faktu, że mogło to wyniknąć z przeoczenia). Cóż, moja rola, podobnie jak kiedyś Więcka, skończyła się. (…) Piszę o tym jednak

[339] Zachowałam oryginalną pisownię.
[340] J. Trznadel, *Moje staroświeckie sumienie*..., s. 17.

173:7066156023

> dlatego, że gdy doszło do prac nad wydaniem książki Watowej w „Czytelniku" – ujawnił się lekceważący stosunek Watowej i do Więcka, i do mnie. Postawiłem mianowicie jako współautor warunek skreślenia niewiele więcej niż pół strony tekstu zniesławiającego Więcka. Nie było na to zgody Watowej. W tej sytuacji, nie chroniony *Copyrightem*, zaproponowałem skreślenie mojego udziału w książce. Nie mogłem przyczyniać się do zniesławienia starego pana. Powiem szczerze, nie przyszło mi nawet do głowy, że Watowa tak lekko pozbawi mnie współautorstwa. Ale tak się stało[341].

Okazuje się więc, że konflikt, jakich zapewne wiele w środowisku literackim, rozgrywał się także na innych polach. Jest on jednak interesujący nie ze względów plotkarskich (choć te rzucają światło na powody zakończenia współpracy), lecz z powodów, o których w dalszej kolejności pisze Trznadel:

> Dokonałem żmudnej, ostatecznej redakcji całej książki, także stylistycznej, skreślenia i porządkowania powtarzających się epizodów itp. Pamiętam, że w toku tej pracy zaproponowałem, że potraktuję swoją obecność w książce jako zbędne już rusztowanie i że zrobię z tekstu „monolog". Ola Watowa zaprotestowała, uważając, że naruszy to wewnętrzny charakter jej wypowiedzi[342].

Od tego momentu wspólne drogi obojga współautorów – Watowej i Trznadla – rozeszły i zgodnie z jego wolą, wywiad-dialog zamienił się w monolog. Zresztą, analizując zarówno tekst jak i transkrypcję, można uznać, że jego pytania rzeczywiście były czymś na kształt „rusztowania". Wydaje się bowiem, że zakres jego działań znacznie wykroczył poza to, co możemy przeczytać w wersji wydrukowanej. A jednak tekst z 1990 roku, pozbawiony pytań, zdaje się nie tracić niczego ani w zakresie przekazu, ani atrakcyjności, bowiem komentarze po pierwszym wydaniu krajowym były równie przychylne, co za pierwszym razem. Pojawiły się pozytywne oceny dotyczące przemyślanej kompozycji tekstu oraz talentu i stylu autorki, które świadczą o ogromnym sukcesie książki. Autorstwo wdowy po Wacie także nie budziło niczyich wątpliwości. Adriana Szymańska pisała:

> Książka skomponowana według wewnętrznego rytmu jej emocji ma ekspresję i kompozycję dzieła sztuki. I chociaż wiadomo, że komponowało ją życie, mądrość i dociekliwość autorki, jej dar widzenia ponad rzeczywistością pomagającą jej formułować myśli uniwersalne, myśli dotyczące nie tylko jednostkowego życia[343].

[341] J. Trznadel, *Kazimierz Więcek*, „Zeszyty Historyczne" 1993, z. 106 s. 222–226.
[342] Tamże, s. 222–226.
[343] A. Szymańska, *Love story*, „Tygodnik Solidarność" nr 16 (135), (19.04.1991 r.).

174:9520918748

A w innym miejscu porównywała wspomnienia Watowej do tekstów Odojewskiego:

> Wspomnienie wędrówki przez step z kazaskim przewodnikiem-myśliwym napięciem i poetyką obrazowania przypomina sceny azjatyckich wędrówek bohaterów z łagrowych opowiadań Włodzimierza Odojewskiego. Przenikliwość psychologiczna w rysowaniu sylwetek współtowarzyszy niedoli, a także postaci męża świadczy nie tylko o umiejętności obserwacji i wrażliwości, ale i o talencie narracyjnym autorki[344].

W podobnym tonie wspomnienia Watowej komentowała Hanna Bałtyn:

> A jednak „Wszystko co najważniejsze...” Oli Watowej jest książką o wspaniałym, niepoddającym się zagrożeniom i śmierci uczuciu do grobu i poza grób. […] Jednocześnie jest ta książka wypowiedzią niezwykle prostą, uczciwą, niczego nie wyolbrzymiającą. […] Oddającą sprawiedliwość nawet enkawudzistom, nawet przyjaciołom-zdrajcom pełną wyrozumienia dla ludzkich słabości, wyrażającą proste prawdy bez literackiego zadęcia[345].

W tekście, który w 1990 roku odniósł niemały sukces, odnajdziemy mimo wszystko ślady pewnej niedbałości. Zawiera on w kilku fragmentach niezręczne przeoczenia, takie jak na przykład nieusunięte zwroty do współrozmówcy: „Czule wspominam Stefanię Skwarczyńską z bardzo wielu powodów, o których już mówiliśmy, ale ten szczegół, o którym Ci teraz opowiem, sprawia, że stała mi się jeszcze bliższa”[346]. Zwroty nietypowe jak na monolog mogą zdezorientować nieświadomego czytelnika i budzić pytania: dlaczego autorka niespodziewanie wychyliła się z tekstu? Czy to, co wyparte, uporczywie powraca? A może to tylko przeoczenie i pośpiech Watowej i Zielińskiego? Naturalnie, w pierwszej kolejności mamy tu do czynienia i z przeoczeniem, i z pośpiechem, ale pamiętajmy, że pomyłki i przeoczenia mają na ogół (a może i zawsze) charakter psychopatologiczny. A zatem Watowa wychylająca się z tekstu, to Watowa, która nie zauważa własnej pomyłki, która nie zauważa śladu wcześniejszej obecności pierwszego współautora – Jacka Trznadla. By jeszcze rzecz sprecyzować: właściwie to nie Watowa wychyla się tu z tekstu, czyli inaczej mówiąc, to nie podmiotowość zabiera tu głos, lecz to, co nieświadome, wyparte mówi wbrew świadomej podmiotowości. Właśnie to coś mówi zamiast Watowej; mówi, nie mówiąc, poprzez przeoczenie i pominięcie. Mówi poprzez prostą czynność pomyłkową.

[344] Tamże.
[345] H. Baltyn, *Panie z tamtych czasów… czyli o dwóch książkach, które trzeba przeczytać*, „Gazeta Wyborcza” 1990, nr 445, s. 9.
[346] O. Watowa, *Wszystko co najważniejsze*…, Warszawa 1990, s. 79.

175:6631986729

Sam Trznadel naprowadzał na fragmenty, w których zadane przez niego pytania w ostatniej wersji zostały wchłonięte w tekst i stały się częścią wypowiedzi Watowej, a tym samym nieplanowanymi śladami istnienia poprzedniego wydania. Pierwotnie komentarz Trznadla: „Czyli znowu – ciemiężcy i »przyjaciele Moskale«. Jak u Mickiewicza" (WCN, s. 25), wchłonięty (według Trznadla „przeszmuglowany"[347]) jako tekst Watowej: „Trochę jak »przyjaciele Moskale« za czasów Mickiewicza"[348]. Także jego wtrącenie: „Ważyk mi mówił w 1981 roku: »Czy Ola nie pamięta, jak pomagałem cucić Aleksandra?« (WCN, s. 29). I w „Czytelniku", w miejscu, gdzie wycięto komentarz indagującego: „Ważyk podobno opowiadał, że pomagał cucić Aleksandra"[349]. Co ciekawe, komentarz ten jest wynikiem późniejszej rozmowy Trznadla z autorem *Poematu dla dorosłych* i nie pojawił się w czasie nagrywanych rozmów. Komentarze Trznadla w prasie, nawet po śmierci Watowej[350], m.in. na temat filmu, który powstał na kanwie jej wspomnień, świadczą o tym, że nigdy nie złożył broni i nie pogodził się z wykreśleniem jego nazwiska z karty tytułowej. Wymienione niedociągnięcia redakcyjne są również śladem procesu genezy – Zieliński najwyraźniej nie powrócił do nagrań, a bazował na istniejącym, wydanym w 1984 roku tekście.

Na prośbę autorki *Paszportyzacji* Zieliński zatarł ślady swojego poprzednika. Jego ingerencja była zaplanowana, zaakceptowana przez autorkę wspomnień i wynikała ze zleconych mu prac redaktorskich. Takie prace nie są zresztą czymś niespotykanym i fakt, że Watowa, zważywszy chociażby na wiek, sama nie zajęła się przepisywaniem czy przeredagowywaniem wspomnień nie powinno budzić zdziwienia. Mając jednak na uwadze konsekwencje tych działań: wygaszenie obecności Trznadla i usunięcie jego nazwiska ze strony tytułowej spowodowało, że – mówiąc za Philippe'em Lejeune'em[351] – od tego momentu możemy mówić o spełnionym pakcie autobiograficznym – Watowa stała się jedyną autorką książki.

[347] J. Trznadel, *Moje staroświeckie sumienie*…, s. 17.
[348] O. Watowa, *Wszystko co najważniejsze*…, Warszawa 1990, s. 43.
[349] Tamże, s. 109.
[350] J. Trznadel, *Co jest ważne?* „Kwartalnik Filmowy" 1993, s. 103-108.
[351] P. Lejeune, *Pakt autobiograficzny*, tłum. A. Wit Labuda, „Teksty" 1975, nr 5, s. 31–49.

176:1007251814

Wnioski

Wszystko co najważniejsze opublikowane najpierw jako rozmowy z Jackiem Trznadlem, a potem, dzięki redakcyjnym interwencjom Jana Zielińskiego, jako monolog, stało się, zgodnie z przewidywaniami Aleksandra Wata, bestsellerem. Oczywiście, brak nam odpowiednich danych liczbowych, jednak o sukcesie książki (jeszcze za życia autorki) świadczą cztery wydania (dwa w pierwszym obiegu: emigracyjne w „Puls Publications" i krajowe w „Czytelniku, oraz dwa drugoobiegowe: nakładem Międzyzakładowej Struktury „Solidarność" oraz Zony), jak również tłumaczenia na język francuski i niemiecki. Dodajmy do tej listy film o tym samym tytule, w reżyserii Roberta Glińskiego (dość daleko odchodzący od książkowego oryginału), który w swoim czasie, w 1992 roku, reprezentował polską kinematografię w rywalizacji o nagrodę Oscara w kategorii filmu nieanglojęzycznego.

Jak wiemy, Watowa spisywała już wcześniej swoje wspomnienia, o czym świadczą zachowane i omówione w poprzednim rozdziale dokumenty genezy, jednak, jak pamiętamy, nie zdecydowała się opublikować większej ich części. W tym sensie, udział Trznadla był konieczny, nie był jednak niewinny dla kształtu całości. Analiza transkrypcji, która stanowiła ważny dokument w procesie tekstotwórczym, uwidacznia skalę wpływu autora *Polskiego Hamleta* na kształt i przebieg rozmów. Zadawane pytania tworzyły rodzaj „szkieletu", nakierowywały rozmowę na konkretne tematy – często związane z ówczesnymi zainteresowaniami badawczymi Trznadla – co w efekcie spowodowało, że jego współrozmówczyni po wielokroć stawała przed koniecznością odpowiadania na pytania, których sama by sobie nie zadała. Mimo że samodzielnie pisany maszynopis SW i transkrypcja rozmów mają wiele punktów wspólnych, to czytelnik tej drugiej może odnieść wrażenie, że ramy zaproponowane przez Trznadla były podyktowane prywatnymi interesami (przyszłą publikacją własnej książki), nie pozwoliły również Watowej wyczerpująco opowiedzieć tego, co tak naprawdę miała do opowiedzenia – w tym zaznaczmy – nie tylko o Wacie, ale także o sobie. Toteż, w pewnym sensie, niezależnie od publikacji książki wspomnieniowej, która była nadrzędnym celem tych spotkań, rozmowy nie spełniły swojej funkcji.

Książkę wydano w 1984 roku. By tak się stało, Redakcja dokonała szeregu konwencjonalnych poprawek, takich jak usuwanie powtórzeń leksykalnych i niezręczności wynikających ze zmiany stylu mówionego na pisany. W opublikowanych rozmowach nadal z łatwością odnajdujemy wspólne całości fabularne, lecz dostrzegamy również cały katalog innych, zasadniczych dla tekstu

177:7937745892

ingerencji, do których należały: selekcja wątków (usunięcie tych powtarzających się lub uznanych za zbędne, zawężanie lub rozwijanie jednych na rzecz drugich), przeredagowywanie, skracanie, kompilowanie i parafrazowanie niektórych fragmentów, co w efekcie doprowadziło do zmiany dominant znaczeniowych. Zasadnicze znaczenie ma też chronologizacja wspomnień, gdyż dla Watowej, jak dowiedliśmy, ważna była własna, wewnętrzna chronologia, metonomiczna praca pamięci.

Watowa, która z jednej strony marzyła o pisaniu, lecz – z drugiej strony – jednocześnie była człowiekiem rozmowy i najwyraźniej żywiła niepewność, co do swej sprawności pisarskiej, stała się autorką własnej książki, co według Renaty Gorczyńskiej było spełnieniem jej marzeń: „Literacki wspólnik rozstał się z nią w gniewie (…). Wycofał więc swoje nazwisko. Chyba mimowolnie sprawił tym Oli przyjemność. Odtąd tylko ona była autorką wspomnień, bo w gruncie rzeczy pragnęła zostać pisarką”[352]. Współautorstwo było jej potrzebne, by uwolnić mowę, ale też – jak się okazało – by wreszcie zostać autorką „własnej” książki, czyli, by ostatecznie oddzielić pismo od mowy. Owa szczególna droga na wspak: od współautorstwa, i to nawet współautorstwa podwójnego (Trznadel, Zieliński), do autorstwa wywalczonego drogą nie najuczciwszą – lecz dobrze jej znaną, gdyż jej udział w pracy nad tekstami Wata był wymazywany równie skutecznie – stanowi jakby walkę o własne, czyli niezapośredniczone słowo pisane i o własne dzieło. Chodziło o to, by mowa niejako zniknęła pod tekstem, żeby wyzwolić się spod władzy cudzej sygnatury – by do tego doszło, nie mogła wystarczyć zwyczajna korekta: usunięcie nazwiska współrozmówcy i jego pytań. By odzyskać autorstwo Watowej, Zieliński od początku skazany był na niepowodzenie, ponieważ podstawą jego pracy stał się opublikowany w 1984 roku tekst książki, a nie transkrypcja rozmów. W istocie wykonał więc tylko półkrok, w drodze do odzyskania tej sygnatury, gdyż właściwym pełnym do tego krokiem jest dopiero wgląd w transkrypcję, i tym byłby oczywiście także dla niego.

Proces budowania portretu Oli Watowej i w świadomości czytelnika, i w literaturze przedmiotu, przebiega(ł) w dużym stopniu na podstawie jej wydanych (i przeredagowanych) wspomnień, a nazwisko Trznadla na karcie tytułowej lub jego brak był już tylko zmianą kosmetyczną, bowiem opisane w powyższym rozdziale ingerencje Redakcji spowodowały, że obraz Oli uległ zafałszowaniu, przeinaczeniu lub redukcji, jak np. w znacznie skróconym

[352] R. Gorczyńska, *Jestem z Wilna i inne adresy*..., s. 62.

178:4692689348

fragmencie dotyczącym rezygnacji z kariery aktorskiej, w którym w skutek kompilacji i skrótów, zmienił się ostateczny wydźwięk tej historii).

Tak więc wydaje się, że analiza transkrypcji była konieczna, by spod redakcyjnych retuszów wyłonił się bogatszy, bardziej barwny i z pewnością jej znacznie bardziej zniuansowany portret. To zasadniczy dokument zarówno dla badania genezy procesu tekstotwórczego *Wszystko co najważniejsze,* jak i analizy oraz interpretacji jej wspomnień, nade wszystko tych dotyczących zsyłki do Kazachstanu, posiadających doniosłość świadectwa historii.

To jednak nie wszystko. Transkrypcja stanowi nieocenione źródło dodatkowych informacji dla badaczy biografii Aleksandra Wata, np. wiadomość o szeregu pisanych przezeń pod pseudonimami i dla zarobku powieści w okresie międzywojennym lub garść szczegółowych wiadomości o polityczno-towarzyskich kontaktach młodego Aleksandra-futurysty, a także niespożyty rezerwuar środowiskowych anegdot z różnych czasów i miejsc. Stanowi też, co może szczególnie zaskakujące, dokument *dossier* genezy *Hańby domowej*. Pokrótce ukazaliśmy bowiem, w jaki sposób Trznadel „trenował" na Oli idee i problemy swej przyszłej książki.

179:8969860439

IV. Redaktorka archiwum



Fotografia 4. Ola Watowa na tle fotograficznej ściany, lata osiemdziesiąte.

180:1434897034

Mieszkanie „…przy 1 bis rue Huel, bocznej uliczce od Boulvevard de l'Hopital…"[353] pozornie niewyróżniające się spośród tysięcy innych mieszkań w czwartej dzielnicy Paryża. Schody, wejście, meble… potem ściana. Szczególna, od wejścia przykuwająca wzrok każdego gościa odwiedzającego to miejsce, cała wypełniona fotografiami, dokumentującymi kolejne etapy ich życia. Ich, czyli Oli i Aleksandra Watów. Pozostały jej zdjęcia: obraz, jak zawsze statyczny – Ola Watowa siedzi w fotelu, za jej plecami rozpościera się fotograficzny zapis życia. Twarze bliższych i dalszych krewnych, znajomych, przyjaciół, no i oczywiście niezmienny element – twarz męża. Obraz o podwojonym centrum, ponieważ nie wiadomo, kto zajmuje centralne miejsce obrazu: czy jest nim Ola, czy raczej fotograficzny portret Aleksandra, którego Ola jest strażniczką, którego strzeże, który chroni. Po wcześniejszym, wyczerpującym, mam nadzieję, omówieniu dzieła zapisanego, wydanego i transkrybowanego Oli, w niniejszym rozdziale chciałabym się przyjrzeć fotograficznej ścianie jako praktyce mówionego archiwum, które sama Watowa nazywała swym muzeum, ja zaś chciałabym w tym rozdziale odnotować i opisać swoisty powrót Oli do tego, co – jak się wydaje – lubiła najbardziej, to znaczy do snucia mówionej opowieści wobec przewijających się przez jej mieszkanie słuchaczy. W przeciwieństwie do wspomnień zapisanych i to bez względu na ich status, tylko opowieść wysnuwana przez żywą wobec żyjących jest dowodem na istnienie, na to, że minione i mijające życie zaistniało.

Chwilowa i bardzo późna euforia wynikła z faktu, że Ola wreszcie stała się pełnoprawną, docenianą, a nawet przenoszoną na srebrny ekran autorką, nie zmienia faktu, że pisanie nie było jej mocną stroną. Czysta kartka i maszyna do pisania paraliżowały autorkę *Sznura*. Zapisywanie wspomnień, w odróżnieniu od ich mówionej wersji, stanowiło dla Watowej prawdziwe wyzwanie. W cytowanym już wcześniej liście do Miłosza narzekała, że woli mówić niż pisać:

> (...) to, co umiałam tak żywo opowiedzieć, obrazowo, i czego Aleksander słuchał zawsze z zainteresowaniem, wychodzi mi teraz statycznie, martwo. Chciałabym bodaj na chwilę odzyskać w sobie to widzenie, ten dar słowa, tę chęć i przyjemność, jaką dawało mi opowiadanie[354].

Watowa wyraźnie tęskniła za euforią mówienia, która znikała, gdy siadała nad niezapisaną kartką, do osiągnięcia której potrzeba widzenia przeszłych rzeczy, daru jakiegoś szczególnego rodzaju słowa, być może poetyckiego, oraz chęci, która zapewne bliska jest pożądaniu i

[353] R. Gorczyńska, *Jestem z Wilna i inne adresy*, Kraków 2003, s. 61.
[354] Cz. Miłosz, O. Watowa, *Listy o tym, co najważniejsze* (I). Zebrała i ułożyła w tom: B. Toruńczyk, Warszawa 2009, s. 69.

181:2571492729

przyjemności, i która zdaje się wybiegać ku rozkoszy. Potrzeba, dar, przyjemność i rozkosz opowiadania zbliżały ją niechcący do myśli francuskiego teoretyka, Rolanda Barthesa, który w *Przyjemności tekstu* pisał:

> Pokazują mi tekst. Tekst mnie nudzi. Można by powiedzieć, że to *bleble*. *Bleble* tekstu to tylko bicie językowej piany powodowane potrzebą pisania. Nic tu z perwersji, tekst przypomina podanie. Taki skryba, gdy pisze swój tekst, gaworzy jak niemowlę: to rozkazujące, automatyczne i nieczułe mlaskanie. (…) Można by powiedzieć, że ostatecznie pisałeś ten tekst bez żadnej rozkoszy; toteż ten *tekst–bleble* jest tekstem–frygidą, wyrachowanym jak każde podanie, póki nie zrodzi się w nim pożądanie, neuroza[355].

Jeśli obcujemy z tekstem, który jest wynikiem zwyczajnej potrzeby „wypisania się", zwykłego gadania, naturalnym jest, że ten tekst znudzi czytelnika, spowoduje u niego stan zmęczenia. Tekst, który sprawia przyjemność pisany jest na drodze rozkoszy, pisanie – jak twierdzi Barthes – jest „nauką o rozkoszach języka, jego Kamasutrą"[356]. Jednak Watowa skarżyła się, że zapisany tekst, to co umiała tak „żywo" i „obrazowo" opowiedzieć: „wychodzi [jej] teraz statycznie, martwo". Przyjemność, o której pisała do Miłosza, zdawała znajdować swoje odzwierciedlenie nie w pisaniu, ale właśnie w mówieniu, gadaniu. To podczas snucia opowieści budziła się w niej owa neuroza i pożądanie mówienia. Dzięki zmianie formy unikała – wspomnianego przez Barthesa – podaniowego efektu „bleble".

Relacje innych osób również potwierdzają samorozpoznany dar słowa Watowej, realizujący się – powtórzmy – tylko w mówieniu. Przytaczam kilka wypowiedzi osób z najbliższego kręgu przyjaciół: Marta Wyka: „Ola potrafiła godzinami mówić trzymając wszystkich w napięciu. Miała wyjątkowy dar opowiadania, a miała o czym opowiadać"[357]; Renata Gorczyńska: „Czasem żałuję, że nie nagrałam jej opowieści, prawie gotowych opowiadań"[358], Małgorzata Smorąg: „...stwarzała pewien nastrój, pewną aurę, jakby pobudzając do rozmowy"[359]. W liście do Miłosza Watowa wspominała jeszcze o jednym ważnym aspekcie przyjemności mówienia, o żywej reakcji słuchacza, w tym przypadku tego najwierniejszego i stałego – męża. Bezpośrednia reakcja znajomych, pytania mobilizujące do kontunuowania rozmowy czy zainteresowanie malujące się

[355] R. Barthes, *Przyjemność tekstu*. Przeł. A. Lewańska, Warszawa 1997, s. 9-10.
[356] Tamże, s. 11.
[357] MMS.
[358] R. Gorczyńska, *Jestem z Wilna i inne adresy...*, s. 64.
[359] M. Smorąg, *Kapryśna, lekka, zwiewna*... Ola Watowa (1903-1991), „Zeszyty Literackie" 1991, nr 35.

182:4644752740

na twarzach słuchaczy, były zapewne doskonałym impulsem do snucia i rozwijania opowieści. Wspomina o tym Trznadlowi przy okazji rozmowy o prowokacji lwowskiej: „O tym Aleksander mówi, nie mówił tak dokładnie jak ja, ja opisałam tę całą ucztę. Jak ktoś mówi: uczta Baltazara. Jedna z moich przyjaciółek mówi: »opowiedz swoją ucztę Baltazara« ((śmiech))". (N, s. 271). Wydaje się jednak, że nie tylko o audytorium miało tu znaczenie.

Kiedy, na rok przed śmiercią autorki, Marta Wyka zdecydowała się nagrać rozmowę z Olą, by umożliwić jej opowiedzenie o „rzeczach mniej ważnych", postanowiła uciec się do pewnego rozwiązania:

> Punktem wyjścia [rozmowy – przyp. A.G.] była dobrze znana wszystkim bywalcom małego mieszkania Oli „fotograficzna ściana". Oglądałam ją wielokrotnie i na niej postanowiłam wesprzeć naszą rozmowę. Ola po raz ostatni opowiada historię najbliższych swoich zdjęć oraz ich, by tak rzec, poszerzone życiorysy[360].

Zdjęcia na ścianie zyskują znamiona ludzkie, zostają jakby upersonifikowane. Mają własne życiorysy, niemalże dostrzegamy jak każde z nich zabiega o uwagę, domaga się opowiedzenia własnej historii, może po raz ostatni. Watowa zna je doskonale, przeskakuje na dalsze fotografie, opisuje ludzi i relacje, twarze i wspomnienia. Ożywia się nie tylko ściana, ale także opowiadająca, której ciało w toku opowieści ulega interesującej metamorfozie. Powrót do przeszłości ma wpływ na ciało, wymaga przyjęcia innej postawy, innej modulacji głosu, zmienia się także jej twarz. Wyka wspomina:

> Przedwojnia widzimy niewiele, ale dalsze wędrówki konkretyzują się, osoby na ławkach się zmieniają, Aleksander cierpi coraz bardziej, a Ola jest wciąż piękną kobietą, i teraz, gdy pokazuje dokumenty, rękopisy, gdy opowiada o nich, jej twarz wywołuje tamtą, wdzięczną i gotową na wszystko[361].
>
> Wsłuchiwałam się w jej głos przedwojenny, to znaczy inny, wpatrywałam się nieprzyzwoicie w tę twarz, która zachowała proporcje, pomimo że miała prawo do deformacji, brzydoty, goryczy[362].

Ola już zaczęła opowiadać, uruchomiła się machina narracyjna. Otaczające ją fotografie i przedmioty stanowiły motor napędowy, inspirację do snucia kolejnych historii o bohaterach zdjęć. Renata Gorczyńska także wróciła pamięcią do słynnej ściany i przestrzeni mieszkalnej Watowej:

[360] M. Wyka, *Przypisy do życia*, Kraków 2007, s. 118.
[361] Tamże, s. 174.
[362] Tamże, s. 174.

183:4846270140

> Całą ścianę zajmowała słynna kolekcja fotografii krewnych i przyjaciół Oli (…) pod drugą stało staroświeckie biurko, regały były najeżone grzbietami książek, na stoliczku leżało zawsze kilka egzemplarzy do pokazania gościom – tomiki z dedykacjami od autorów, nowe edycje dzieł Wata, i obowiązkowo jej wspomnienia… Słuchając wodziłam wzrokiem po sprzętach, bibelotach, książkach[363].

Goście odwiedzający Olę często i chętnie wspominali przestrzeń jej paryskiego mieszkania. Fotografie, dokumenty, książki były stałym elementem tych wspomnień, bez ekspozycji których nie mogła odbyć się żadna wizyta. Przygotowane wcześniej, starannie ułożone przedmioty czekały gotowe na gości, by wdowa znów mogła powrócić do ulubionych narracji.

To znamienne, że Watowa, żeby mówić potrzebowała impulsu. Sama chęć mówienia nie wystarczała, potrzebny był jakiś dodatkowy, zewnętrzny bodziec, żeby usprawiedliwić i uzasadnić swoje zwierzenia. I z pewnością nie chodziło o motywację, raczej o konieczność znalezienia „alibi". Taki rodzaj zapośredniczeń wydaje się być często wykorzystywany przez kobiety-autobiografki, które potrzebują powodu, żeby mówić. Właśnie o takich strategiach narracyjnych pisze Anna Pekaniec. Śledząc teksty polskich autobiografek, odnajduje w nich pewną prawidłowość. Interesujące strategie narracyjne, stworzone przez – co ważne – rodzime autobiografki, wydają się powtarzać, czasem z nieco zmienionej formie, na przestrzeni lat. Pekaniec kieruje swoją uwagę między innymi na Halinę Ostrowką-Grabską, córkę poetki Bronisławy Ostrowskiej i artysty rzeźbiarza Stanisława K. Ostrowskiego. Pisarka stworzyła własny wariant opowieści autobiograficznej. Wycinki prasowe, bibeloty czy fotografie stały się dla Ostrowskiej impulsem narracyjnym, nazwanym przez nią *bric–á–brac,* który według definicji słownikowej oznacza: „zbiór przedmiotów o charakterze antykwarycznym (…) rozmaitej wartości, różnych epok; rupiecie, graty; szpargały, mieszanina, konglomerat:[364]. W przypadku Ostrowskiej nie były to zwykłe „klamoty". Zaplanowany przez nią tom, zawierający „rodowody" rodzinne miał być poparty różnymi dokumentami: listami, fotokopiami dedykacji, ineditami. I jak autorka dopowiadała: „Przez to wszystko miał się przewijać, jak legenda przy mapie, wątek moich objaśnień, wiążący owe dokumenty, tok własnych wspomnień. Byłyby więc *Rodowody*, choć rzeczowe i obiektywne, bardzo osobiste i żywe"[365]. Otaczające ją przedmioty miały więc

[363] R. Gorczyńska, *Jestem z Wilna i inne adresy*..., s. 64.
[364] Zob. W. Kopaliński, hasło: *brick-a-brack*. W: *Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych*, Warszawa 1967, s. 77.
[365] Zob. H. Ostrowska-Grabska, *Bric á brac 1848–1939*, Warszawa 1978, s. 7.

184:9182098881

uwierzytelniać opowiadaną historię, stanowić poparcie „dowodowe". Zdjęcia, dokumenty czy wiersze pomagały jej organizować historię. Nie bez znaczenia pozostaje fakt, że pełniły też funkcję pobudzającą wspomnienia, pomagały autorce w/prowadzać narracje.

Pekaniec, szukając prawidłowości w kobiecej autobiografistyce, przywołuje wiele innych przykładów piszących kobiet, jednak Maria Wolska i Beata Obertyńska wydają się być wyjątkowe w tym zestawieniu. Podobnie jak Ostrowska, matka i córka, odnajdują impuls do mówienia w otaczających je „drobiazgach, najprzeróżniejszych pamiątkach"[366]. Rozpoczęty przez matkę, a kontynuowany przez córkę wariant autobiograficznych zwierzeń nazwały łacińskim *quodlibetem*[367], co dosłownie tłumaczy się jako to: „co się podoba, cokolwiek", dawniej oznaczało „przedstawienie sklecone z różnych urywków" lub „polifoniczną kombinację kontrapunktową kilku melodii"[368]. Same autorki tak piszą o własnej strategii:

> Ów „quodlibet" była to jakby płytka szuflada, nieduża, wieszana na gwoździu jak obraz, pokryta szkłem, podobna do tych, w jakie się zamyka zbiór motyli. Dno jej, wyścielone podwatowanym białym atłasem, pełne było poprzyszpilanych drobiazgów, najprzeróżniejszych pamiątek, a za każdą z nich ciągnęła się lotna smużka wspomnień[369].

Obertyńskie, nieco inaczej niż Ostrowska, korzystały z otaczających je bibelotów. W ich realizacji wykorzystywały raczej pamiątki niż dokumenty, chętniej przedmioty intymne, niż oficjalne, które miały też inne zadanie – niczego nie potwierdzały czy uwierzytelniały, lecz były związane z ekspresją emocji, stwarzały intymną atmosferę autobiograficznych wynurzeń. Z kolei mówienie Oli Watowej na tle fotograficznej ściany stanowi niejako połączenie obu strategii: „uwierzytelniającego" *brick–bracowego* modelu z emocjonalnym i intymniejszym *quodlibetem*. Watowa miała do dyspozycji fotografie, tomiki poezji, dedykacje, które służyły za uwiarygodnienie opowiadanych historii, stanowiły szkielet jej narracji. Z drugiej zaś strony, pomagały zainicjować rozmowę, to dzięki nim historia nabierała tempa i życia. Fotografie były inspiracją do intymnych zwierzeń. Co ciekawe, z dostępnych wspomnień wynika, że jej chęć

[366] A. Pekaniec, *Nie tylko dzienniki. Oryginalne warianty kobiecej literatury dokumentu osobistego (na wybranych przykładach),* „Ruch Literacki" 2012, R. LII, Z. 4-5 (313-314), s. 453.
[367] Zob. szeroko opisuje tę strategię pisarską A. Pekaniec, *Literatura dokumentu osobistego kobiet: ewolucja teorii, zmiany praktyk lekturowych,* „Autobiografia. Literatura. Kultura. Media" 2014, nr 1(2).
[368] Zob. W. Kopaliński, hasło: *quodlibet*. W: *Słownik...,* s. 426.
[369] M. Wolska, B. Obertyńska, *Wspomnienia*, Warszawa 1974, s. 76. Cyt. za: A. Pekaniec, *Literatura dokumentu osobistego kobiet...*, s. 13-28.

185:2230456947

mówienia była nastawiona na opowieści o innych. Mimo, że Watowa pojawiała się na fotografiach, to o sobie opowiadała niechętnie, pośrednio lub wcale. Zapytana przez Wykę o ulubione zdjęcie, zmieniła temat na Aleksandra, pytanie o Szkołę Dramatyczną i jej własne ambicje aktorskie prędko przerodziły się w opowieść o Sewerynie Broniszównie, pojawił się też Broniewski, Grudziński, Miłosz … i gdzieś w szczelinach tych opowieści ona sama – Ola Wat. W rozmowie z Jackiem Trznadlem powie:

> Prawda, ile miejsca w literaturze poświęca się wspólnym przedmiotom, ile ich w życiu. Jakiś w tym obrządek. Dziś po wczesnym przebudzeniu pierwsze spojrzenie, jak każdego dnia, padło na krzyżyk zawieszony nad moim łóżkiem. Nosił go na sobie Aleksander wracając z Kazachstanu do Polski. (…) Był czarny, zbielał na nim, kiedy leżał w nędznym szpitaliku w Ili chory na tyfus. (WCN, s. 150)

Watowa znów skorzystała z – posługując się terminem Obertyńskich – *quodlibetu*. Krzyżyk wiszący nad jej łóżkiem uruchomił kolejne wspomnienia. W ich centrum stanął jednak mąż, a nie on sama. Anna Pekaniec dostrzega w takim sposobie mówienia prawidłowość, tłumacząc, że autobiografki „często opowiadały o sobie, ale poprzez budowanie narracji o innych, podkreślały ważność utrzymywanych związków rodzinnych, przyjacielskich, miłosnych – pisząc o innych, przemycały informacje o sobie. Podobnie jak Obertyńskie czy Ostrowska, Watowa zrealizowała typowo kobiecą strategię, jednak czy tak, jak chciałaby Helene Cixous, w *Śmiechu Meduzy*? Czy akt pisania – w przypadku Watowej mówienia – „(…) upamiętni Zabranie Głosu przez kobietę, a więc i jej przełomowe Wejście w Historię, która zawsze opierała się na jej wyparciu. Pisząc, wykuć broń przeciwko antylogosowi. Pisać, by wreszcie móc przejąć inicjatywę w swojej sprawie, by mieć prawo i miejsce, w całym systemie symbolicznym, w procesie historycznym?”[370]. Czy odpowiedź musi być negatywna? Czy szansa na opowiedzenie *herstorii* została bezpowrotnie zmarnowana? Watowa mówiła, bo czuła, że machina narracyjna nie może się zatrzymać: „wydaje mi się, że jak wyjdę z tego koła wspomnień i przeżywania Aleksandra, to polecę w jakąś próżnię”[371] – napisała do Miłosza. I ja zauważa Pekaniec:

> Kobiece doświadczanie i doświadczenie świata kształtuje tok autobiograficznych narracji, modeluje strategie narracyjne, steruje tematyką, skupia konteksty. Zapośredniczone w języku, przepracowane w interpretacjach jest łącznikiem pomiędzy autobiografią, tekstem, interpretacją,

[370] H. Cixous, *Śmiech Meduzy*, przeł. A. Nasiłowska, w: Tejże, *Ciało i tekst. Feminizm w literaturoznawstwie — antologia szkiców*, red. A. Nasiłowska, Warszawa 2009, s. 173.
[371] Cz. Miłosz, O. Watowa, *Listy o tym, co najważniejsze*..., s. 69.

186:1503078474

światem. Przede wszystkim jest gwarantem istnienia[372].

Mówienie nie o sobie, ale o Aleksandrze, dawanie świadectwa jego życia, znajdowanie kolejnych do tego motywacji, to pierwotny powód podjęcia paktu autobiograficznego przez Olę Watową. Paktu autobiograficznego pomyślanego, za Philipem Lejeunem, jako umowa zawarta między autorem i czytelnikiem, gdzie autor musi równać się narratorowi i bohaterowi w tekście. Jej opowieść jest opowieścią o mężczyźnie, w której prześwitach możemy odnaleźć ją samą.

Patriarchiwum/matriarchiwum

Ściana Oli Watowej to zestaw fotografii z różnych czasów i różnych miejsc, na zdjęciach widnieją twarze osób bliższych lub dalszych Watom. Ale nie zapominajmy, że fotograficzna ściana to także subiektywny wybór. Trudno bowiem wyobrazić sobie, by autorka *Paszportyzacji* powiesiła na ścianie wszystkie swoje pamiątki, bez względu na ich sentymentalną dla niej ważność. Ale też na ścianie, na jej kolejnych odsłonach dostrzegamy nie jedną, lecz dwie sentymentalne granice. Pierwsza z nich, o wiele lepiej widoczna od drugiej, bardziej oczywista, to granica aktualnego towarzyskiego kręgu Oli: ktoś, wypadając z kręgu, zwalnia miejsce dla nowych przyjaciół. Druga granica oddziela towarzyskie sentymenty od rodzinnych intymności, z racji holocaustowych zaszłości bardzo bolesnych. Dlatego na ścianie prawie nie widzimy zdjęć rodzinnych, choć wiemy, że fotografie te, cudem ocalałe, były przechowywane w domowym albumie.

Idąc tym tropem, można by pokusić się o stwierdzenie, że fotograficzna ściana, może nawet dużo bardziej niż nagrywane rozmowy, w którym to Jacek Trznadel poprzez wybór pytań przejął kontrolę nad tekstem, eksponuje niejednoznaczność strategii kobiecego pisania/opowiadania. W fotograficznej ścianie zawiera się bowiem pewna ambiwalentna relacja między Watową i jej mówionym tekstem, między podmiotem i opowieścią i w końcu między ciałem i tekstem. Nie istnieją – oprócz nagrań rozmów Watowej i Trznadla – zarejestrowane na taśmie jej opowieści, tak jak nie istnieje już fotograficzna ściana, ale, jak przekonuje Marta Wyka: „jako dokument fotograficzny sprawuje się dobrze, dysponujemy jej wieloma wizerunkami”[373].

[372] A. Pekaniec, *Literatura dokumentu osobistego kobiet...*, s. 18.
[373] M. Wyka, *Przypisy do życia...*, s. 119.

187:5790538792

Często widoczna na fotografiach, ściana, gromadzi zmieniający się w czasie zestaw fotografii osób jej bliskich. Gdy porównamy ze sobą choćby kilka fotografii przedstawiających „muzeum" Watowej, zauważymy, że z biegiem lat wdowa odwieszała i dowieszała nowe fotografie: męża, rodziny, przyjaciół. Osoby, które odwiedzały ją na przestrzeni lat, fotografowały owo wyjątkowe archiwum, dokumentując tym samym zmiany, jakie się w nim dokonywały. Ściana ta, w różnych jej wersjach, odzwierciedlała bieżące sympatie i antypatie posiadaczki owego intymnego archiwum. Gorczyńska wspominała, że „zawisnąć tam [na ścianie Oli] było zaszczytem"[374], którego na jakiś czas dostąpiła (prawdopodobnie w połowie lat osiemdziesiątych, kiedy



Fotografia 5. Ola Watowa na tle fotograficznej ściany, połowa lat osiemdziesiątych

przebywała w Paryżu). Rzeczywiście, na powyższej fotografii odnajdujemy jej zdjęcie, w gąszczu innych, w bezpiecznej odległości od Miłosza, obok zdjęcia matki Oli, tuż nad fotografią Władysława Broniewskiego, dość niespodziewanie zastępującego w tym miejscu Mirosława Chojeckiego. Jak rozumiemy, po czasie *hossy* towarzyskiego powodzenia, Gorczyńska zniknęła z

[374] R. Gorczyńska, *Jestem z Wilna i inne adresy*..., s. 64.

188:7974696970

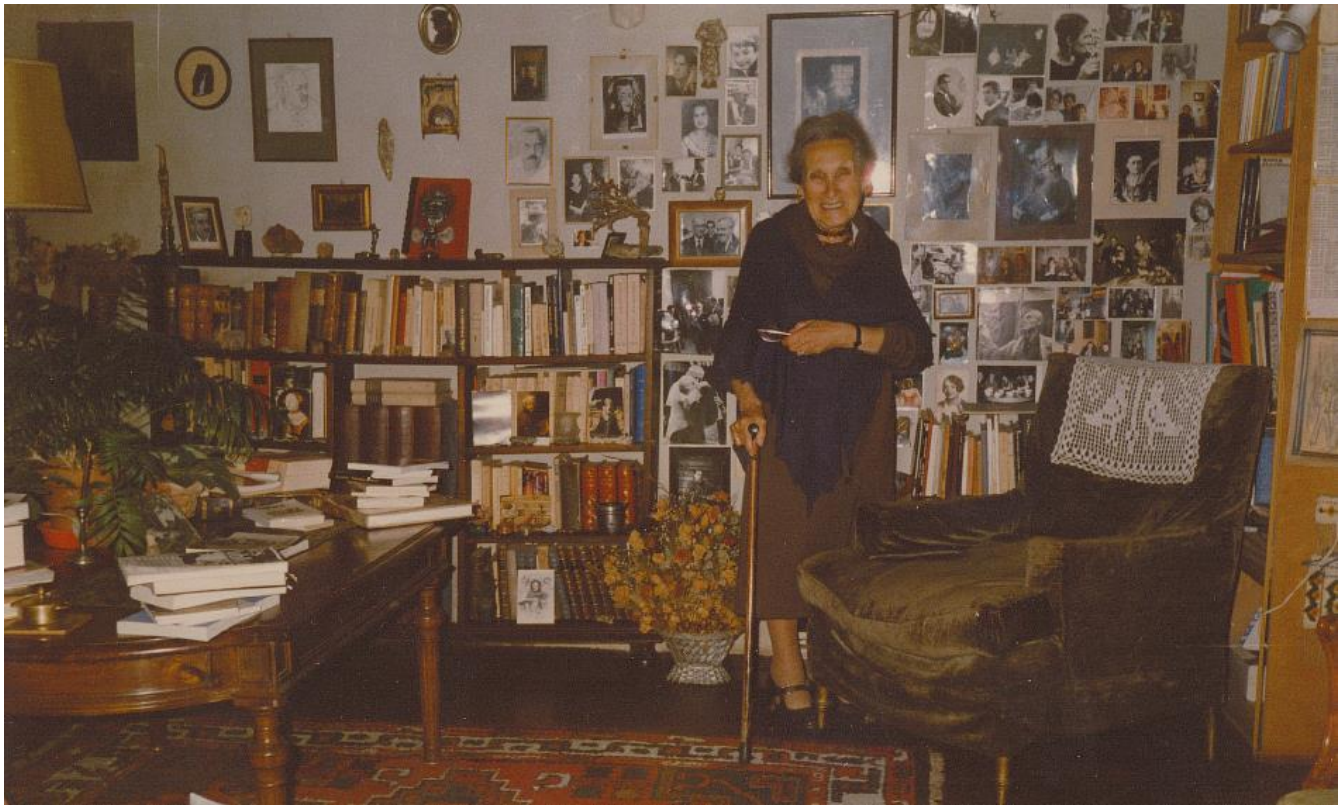
owego zestawienia, tak jak w swoim czasie pojawiło się i zniknęło zdjęcie Jacka Trznadla, które na poniższym zdjęciu ściany usytuowane jest w nie najgorszym miejscu – pod fotografią Czesława Miłosza, stanowi sugestię co do czasu obowiązywania tej konkretnej odsłony. W tym czasie na fotograficznej ścianie pojawiły się akcenty polityczne, reprezentowane przez zdjęcia Jana Pawła II, Lecha Wałęsy, a także przez plakietkę „Solidarności".



Fotografia 6. Fotograficzna ściana. Początek lat osiemdziesiątych (ok. 1982 rok)

189:9045981050

Nie sposób rozpoznać wszystkich twarzy, lecz wiele z nich jest nam dobrze znanych m.in. z albumu stworzonego przez Wojciecha Karpińskiego[375]. Pomiędzy portretami Aleksandra z różnych czasów i zdjęć Oli z młodości, powtarzają się fotografie: „Sedy" – siostry Wata, Seweryny Broniszówny (zdjęcia z różnych ról teatralnych), kilka portretów (tych fotograficznych i malarskich) Józefa Czapskiego, Andrzeja Wata, później też wnuków: Pierre'a i François. Synowa otrzymała ten zaszczyt na moment, dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych i zawisła tuż obok Witkacego, który z kolei nie zabawił w „muzeum" zbyt długo, gdyż został zastąpiony przez zdjęcie Mrożka. W podobnym czasie na ścianę trafiła, choć nieco niżej, Alina Kowalczykowa, pracująca z Watową nad publikacją tomu korespondencji Aleksandra. Dostrzegamy też znaną fotografię z Nieborowa, gdzie Aleksander odpoczywa na leżaku, a Ola pisze na maszynie, wspólne zdjęcie Wata, Herlinga-Grudzińskiego i Miłosza, siedzących na ławce, Wata ze Słonimskim, Joannę Wierusz-Kowalską, Sterlingów, maleńkie wizerunki sióstr: Joanny i Marysi, zdjęcie z wystawy, gdzie można dostrzec Zygmunta Hertza, kilka osobnych portretów Czesława Miłosza i twarz Gordona Craiga. Im bliżej końca lat osiemdziesiątych, tym więcej pojawia się zdjęć aktualnych.



Fotografia 7. Ola Watowa na tle fotograficznej ściany, połowa lat osiemdziesiątych

[375] Zob. http://www.wojciechkarpinski.com/albumy-pisarzy [dostęp: 22.02.2023 r.].

190:4297211650

Ściana zapełniała się fotografiami ze spotkań towarzyskich i rodzinnych, obrazami z życia, lecz już bez Aleksandra.

„Przetasowania" były więc zapisem zmian w prywatnej konstelacji towarzyskiej współautorki *Wszystko co najważniejsze*. Były jednak też czymś więcej: jeżeli ściana miała być szkieletem biograficznej opowieści, to opowieść ta musiała także być labilna. Dokonywane na niej poprawki i ulepszenia, „poprawiały" i „ulepszały" samą opowieść, a w każdym razie zmieniały ją. Ingerencje we własną historię odzwierciedloną na ścianie czyniło jej właścicielkę swoistą redaktorką jej własnych wspomnień, jej własnej biografii złożonej z fragmentów, mówionych opowieści, rozpraszających się świadectw.

Intymne archiwum Oli Watowej, mimo że zachowane są i poszczególne fotografie, składające się na nie same, i dostępne są „fotograficzne wizerunki" ściany, „nie istnieje już, bo (jak pisze Marta Wyka] tylko Ola Watowa nadawała [mu] sens"[376]. Ścienne archiwum w paryskim mieszkaniu miało tę wyróżniającą je właściwość, że nawet za życia jego „redaktorki" funkcjonowało tylko pod pewnymi warunkami, było jak mechanizm, uruchamiany w optymalnych dla niego warunkach. Były to: ona sama – Ola Watowa, fotograficzna ściana i osoba trzecia, słuchacz. Jak już wiemy, to komentarze Watowej nadawał poszczególnym zdjęciom „życiorysy". Bez niej ściana byłaby tylko konstrukcją z cegieł, na której powieszone są martwe fotografie. Bez nich jednak nie byłoby opowieści. One stanowiły impuls, pretekst narracyjny, ułożone za każdym razem, za każdym opowiadaniem w pewnej swoistej dla danej chwili kolejności stawały się szkieletem opowiadanej historii. Wiemy jednak, że fotografie nie mogły się ożywić, a autorka nie przyjęłaby paktu autobiograficznego, ani nie podjęła opowieści bez słuchacza, trzeciego wymiaru tego archiwum, równie ważnego, jak dwa poprzedzające. Jeśli nie ma komu opowiedzieć historii, nie przekazuje się świadectwa, a przecież świadectwo przeżytego życia stanowiło mantrę wdowy zamkniętej w paryskim mieszkaniu, które było – co prawda – „małe, ciemne, ale przeszłość kipi[ła] w nim jak w zamkniętej butelce"[377]. A skoro tak, to może kipi wciąż jeszcze? Dokonajmy niemożliwego i spróbujmy zawrócić czas, by posłuchać, co Ola Watowa mogła mieć do powiedzenia o kilku osobach, których fotografie znajdowały się na owej słynnej ścianie.

[376] Podpis pod zdjęciem „fotograficznej ściany". Zob. M. Wyka, *Przypisy do życia...,* s. 119.
[377] Tamże, s. 120.

191:2974120357

Włodzimierz Majakowski

Watowie – co potwierdzają relacje innych pisarzy – gościli w 1927 roku swoim mieszkaniu Włodzimierza Majakowskiego. Ola, według relacji Janiny Broniewskiej, gospodyni „najbardziej rewolucyjnego z rewolucyjnych spotkań literackich”[378], miała stać się przedmiotem szczególnego zainteresowania sowieckiego poety:

> Pomagam ślicznej, o urodzie odaliski, gospodyni, jak mogę. I wtedy łapię spojrzenie ku niej zwrócone, za nią wędrujące w tym tłoku. Istny paradoks. Ileż w tych oczach zachwytu, liryki, wbrew temu, o czym gromko mówią jakże energicznie zarysowane usta.
>
> – konstruktywizm? tak! to celowość!... i tylko celowość. Użyteczność przedmiotu określa jego formę! Ot, choćby ta wasza filiżanka… Po co te finfituszki, złocenia, kwiatki? – wywodzi Majakowski obracając kruchą filiżaneczkę w swych mocnych, dużych rękach. A oczy znów w pościgu za kimś, kto jest prawie kwintesencją kruchości, złoceń, ozdobności, czystą mimozą skrzyżowaną z bluszczem (…)[379].

Nawet jeśli ta relacja Broniewskiej, która – delikatnie mówiąc – nie przepadała za Watową, jest nieco przesadzona, to wiemy na pewno, że Ola kilkakrotnie towarzyszyła poecie w zakupach, o czym sama wspominała. To właśnie podczas tych spotkań Majakowski przewidywał, że jedna z warszawskich ulic będzie po rewolucji nazywać się „Watoczka”. Anegdota to znana, lecz zwykle błędnie interpretowana. Wbrew temu, co zwykło się myśleć, rosyjska „watoczka” najpewniej wcale nie miała oznaczać ulicy imienia (Aleksandra) Wata, a ulicę „drobnej/małej Pani Wat”, gdyż rosyjski sufiks „-oczka”, dziś już nieco trącący myszką, tworzy pieszczotliwe zdrobnienie od nazw żeńskich, wykorzystywane było w języku bliskich, intymnych relacji[380]. Majakowski zastosował przy okazji przyjemną dla ucha grę słów, gdyż „watoczka” oznacza również mały kawałek waty, a więc kawałek czegoś miękkiego, miłego w dotyku.

We *Wszystko co najważniejsze* znajdziemy również opis „głodu rzeczy”, przywieziony przez Majakowskiego z Moskwy, który zaspokajał w warszawskich sklepach: „Kupował wszystko w olbrzymich ilościach. Potem dowiedziałam się, że zaraz po powrocie do Moskwy, kiedy zbiegali

[378] Wypowiedź J. Broniewskiej cytuję za W. Woroszylskim. Por. Tegoż, *Życie Majakowskiego*, Warszawa 1965, s. 619.
[379] Ibidem, s. 620-621.
[380] Pieszczotliwe nacechowanie okreslenia „Watoczka” dostrzega Tomas Venclova w biografii Aleksandra Wata, lecz nie rozwija tego wątku: „Od tej pory [od bankietu w ambasadzie – A.G.M.] Majakowski czuł słabość do Oli. Odzywał się do niej pieszczotliwie: »Watoczka«”. Zob. T. Venclova, *Aleksander Wat...*, s. 127.

192:4557336054

się do niego jego przyjaciele (…) rozdawał wszystko, nie zostawiając sobie prawie niczego" (WCN, s. 11).

Szczególniejsze zainteresowanie Olą potwierdzał prostodusznie sam Wat, pisząc że Majakowski „miał jakąś wielką czułość do Oli"[381]. Legenda ta musiała stać się znaną rodzinną dykteryjką, bo powtórzył mi ją wnuk Watów – Pierre. Ze względu na nieznajomość języka polskiego, mógł ją wyłącznie usłyszeć[382] od głównej bohaterki zamieszania, swojej babki. Opowieść Pierre'a o tej szczególnej czułości, a nawet małym zauroczeniu Watową, niepozbawiona była humoru. Wnuk „pięknej gospodyni" dworował sobie, że w jego babce mógł kochać się największy rewolucyjny poeta i był wielce zaskoczony, dowiedziawszy się, że była to opinia podzielana przez osoby nie należące do kręgu domowników. Z transkrypcji i korespondencji Watów dowiadujemy się również, że Wiktor Woroszylski, pisząc biografię Majakowskiego, zabiegał o spisanie wspomnień Oli (a nie Aleksandra), do czego w końcu nie doszło. Woroszylski pisał:

> „Interes" (to znaczy: prośba, nadzieja, chęć namówienia do złego) dotyczy właściwie Pani Oli. (...) Pani Olu! Pamiętam wspaniałą opowieść o Majakowskim w Polsce. Czyżby się Pani nie zdobyła na jej spisanie? Wydaje mi się, że byłby to wprost bezcenny fragment „mojej" książki. Naprawdę nie wiem, jak mam Panią namawiać. (...) Proszę, niech się Pani zgodzi![383]

Na tym jednak nie kończy się udział Majakowskiego w życiu rodzinnym Watów. W paryskim mieszkaniu Oli i Aleksandra, w centrum życia towarzyskiego, na regale w gościnnym pokoju przez wiele lat stała fotografia – powiększone zdjęcie Majakowskiego i Pasternaka, zupełnie jakby obaj, na równi z domownikami, byli częścią rodzinnej historii. Po samobójczej śmierci Aleksandra, zdjęcie to powędrowało razem z Olą do jej maleńkiego mieszkanka i znalazło się, lecz nie na ścianie, a na osobnym regale wśród książek[384]. Zdjęcie wróciło na swoje poprzednie miejsce w 1991 roku i zdobi ten sam regał w starym mieszkaniu Watów. Majakowski spogląda na odwiedzających magnetyzującym spojrzeniem, jakby w ciągłej gotowości do wyrecytowania *Lewą marsz.*

---

[381] A. Wat, *Mój wiek…* op. cit. s. 154.
[382] W dniach 8.11-12.11.2018 r. odbyłam w mieszkaniu Andrzeja Wata serię rozmów z nim i jego synem Pierrem. Zarówno Pierre Wat, jak i jego starszy brat François nie znają języka polskiego.
[383] List od Wiktora Woroszylskiego z dn. 12.02.1963 r. Zob. A. Wat, *Korespondencja. Część druga,* wybrała i oprac. Alina Kowalczykowa, Warszawa 2005, s. 477.
[384] Jeden z fotograficznych wizerunków owej ściany zdobi okładkę pierwszego londyńskiego wydania *Wszystko co najważniejsze*.

193:7500228680

Kilka fragmentów z transkrypcji o Majakowskim:

Potem takie spotkanie takie, ogóle takie – znaczy z innymi – to było – proszę ciebie – z Tuwimem, z Wierzyńskim, z tym... ze Słonimskim itd. Kiedy on mówił. No, i tutaj on powiedział. Wiesz – pamiętam wynajęto taki duży gabinet. Ci kelnerzy stali tak z boku, wiesz i nagle on mówił ten wiersz, gdzie jest tam, jaki on jest dumny z tego sowieckiego paszportu[385]. Ja ci powiem, że ja to swojej paszportyzacji, którą opisałam w tym, w tych, w tym dzienniku – Giedroyć w „Zeszytach" wydrukował, to ja chciałam dać taki… wiesz, ale to byłoby już, to byłoby właściwie złośliwość w stosunku do Majakowskiego, bo chciałam dać taki mały fragmencik z tym sowieckim paszportem, wiesz? Ale on mi tego nie dał. To znaczy – ja nie dałam tego w końcu! (N, s. 436)

To jednak Aleksander się uparł, żeby chociaż mojego ukochanego, wiesz, Majakowskiego, żeby zobaczyć jego metro, bo tam jest stacja Majakowskiego, w marmurach itd. I znowu, wiesz, te kobiety, w jakichś kaftanach, chustach, wiesz, szalona nędza, wśród tych marmurów, wiesz, ten kontrast ubogiego tłumu, rozumiesz? Nędznego tłumu. I wiesz, tutaj marmury, i tutaj nagle tam zdaje się jakiś olbrzymi portret Majakowskiego, coś tam jest, ta jego głowa. No, i wsiedliśmy. I wiesz, tego widzisz, to mi zostało. Tyle lat. Ja wśród tłumu, tego ludzi, wiesz, tego proletariatu. Ich proletariatu, który był w zupełnej nędzy, zobaczyłam właśnie takiego *bywszego czełowieka*, takiego inteligenta. (N, s. 370)

No, ja ci muszę powiedzieć, że ja byłam bardzo nieśmiała, jak byłam z nim. I on mi powiedział, że on by tak chciał, żebym ja mu dużo rzeczy mówiła, a że ja mu mało mówię. Nie wiem jakiego typu to była nieśmiałość, wiesz, po prostu – prawdopodobnie ta – jednocześnie on mi się bezwzględnie, on mi się podobał! Ja miałam fascynację – zresztą Aleksander też się przyznaje do tej fascynacji tym człowiekiem. Pamiętam na przykład – szliśmy Żurawią ulicą – był otwarty lufcik. On był tak wielki, że on się w tej lufcik, wiesz, na parterze uderzył. Ale to nie była fascynacja tym, że on był taki wielki, bo ja w nim jednocześnie wyczułam szalenie dużo () słabych. (N, s. 438)

Nie wiem, dlaczego, ale pamiętam, że ja on przychodził do nas na Hożą, w przedpokoju wisiało takie jakieś lusterko, jakieś lustro – wiesz – nie takie duże, tylko wiesz, wisiało lustro na ścianie. I on w bardzo dziwny sposób się sobie przyglądał. Tak patrzył, tak patrzył na zęby, wiesz, tak rozchylał usta, patrzył na siebie. (N, s. 438)

Watowa: (...) Broniewska opisuje wieczór u Watów. Jak mówi wiersze właśnie. A myśmy mieszkali – to było nasze pierwsze mieszkanie, to była taka przybudówka, wiesz – na czwartym piętrze. Jak on mówi, że ściany tej przybudówki drżą. No, i że on taki wielki, taki tego, taki tego, a

[385] Warto dodać, że Watowa najpewniej się myli. Majakowski opublikował *O paszporcie sowieckim* dopiero w 1929 roku, czyli dwa lata po wizycie w Warszawie.

194:5090366209

tutaj, że wodzi tak… Acha, że ja jakoś podaję mu herbatę, na takiej jakiejś tam filiżance kruchej, no, i że jednym słowem on tam wodzi za mną oczami, i że to spojrzenie mu się na coś… ((śmiech)) itd. Nawet Aleksander nie był taki zadowolony z tego artykułu, bo ta książka do nas przyszła – wyobraź sobie – jak myśmy byli w Berkley. I Andrzej to przysłał. No, i potem widziałam, że Aleksander jakiś nie bardzo taki. Mówi: „No, więc jednak on tak wodził za tobą oczami, no dlaczego on tak wodził?". A jeszcze w dodatku w tej książce czy w innej jest fotografia. I ja z Majakowskim stoimy. Wszyscy siedzą. I Majakowski tak blisko, no bo blisko żeśmy stali – tak że w tej powiedzmy, po lewej stronie to on stał tutaj. I tej jego ręki, rozumiesz, nie widać.

Trznadel: ((śmiech))

Watowa: I Aleksander mówi: dlaczego nie widać tej jego ręki, rozumiesz? Czy on mnie tam nie obejmował? ((śmiech)) Ale to są takie… (N, s. 437)



Fotografia 8. Kolacja w ambasadzie sowieckiej. Trzeci od lewej: Aleksander Wat. Stoją: Włodzimierz Majakowski i Ola Watowa[386]

[386] Fotografia została dołączona do publikacji: W. A. Arutczewa, *Zapisnyje kniżki Majakowskogo,* w: *Litieraturnoje nasledstwo.* Tom 65. *Nowoje o Majakowskom*, Moskwa 1958, s. 385.

195:1020294263

Czesław Miłosz

8 dni po śmierci męża Ola zapisała odręcznie kilka kartek. List zawierał wiadomość o tragicznej śmierci męża i prośbę kierowaną do Miłosza o pomoc w publikacji berkleyowskich taśm. O Oli Watowej pisze się jak o muzie, strażniczce wspomnień, aniele i dobrym duchu. We wspomnieniach bywa kapryśna, lekka, zwiewna i krucha. Wbrew tym wszystkich spekulacjom, Ola – powtórzmy – osiem dni po śmierci męża, zapisała odręcznie list i, nie czekając ani chwili, przesłała go do Berkeley. Pokładając jedyną nadzieję w Miłoszu, skierowała do niego prośbę, którą, ze względu na retoryczną maestrię warto przypomnieć i której, ponieważ lokuje się na granicy szantażu emocjonalnego, trudno było odmówić:

> Kochany, drogi Czesławie – podaję Ci Jego słowa ostatnie ku Twojej serdecznej o Nim pamięci. […] Praca zarejestrowana na magnetofonie, której Ty byłeś »idealnym słuchaczem«, nie może, nie powinna zginąć. To teraz cel mego życia. Pomożesz mi, mój Czesławie?"[387].

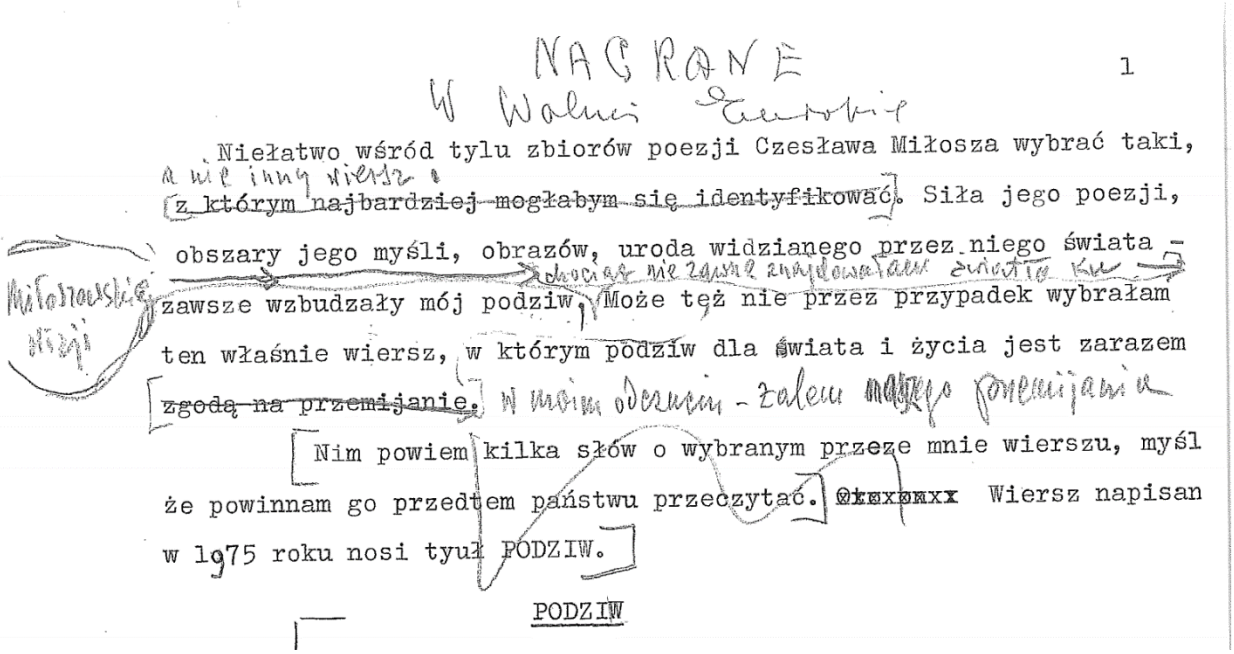
Prośba Oli Watowej okazała się więcej niż skuteczna. Fragment pożegnalnego listu Aleksandra stał się – metaforycznie i dosłownie – powitalnym listem Oli do Czesława Miłosza. Tak zaczęła się wspólna praca nad *Ciemnym świecidłem* i *Moim wiekiem* oraz długoletnia wymiana korespondencji.

Jego siedemdziesiąte piąte urodziny miały być hucznie świętowane w Paryżu, w Bibliotece Polskiej na wyspie Świętego Ludwika. Uroczystość została zaplanowana na tydzień przed kalendarzowymi urodzinami Noblisty – na noc świętojańską, 23 czerwca 1986 roku[388]. Ola została wyróżniona przez gospodynię wieczoru – Renatę Gorczyńską – prośbą o omówienie swego ulubionego wiersza poety. Do odczytu zaproszono jeszcze trzy osoby: Konstantego Jeleńskiego, Artura Międzyrzeckiego i Julię Hartwig. Uwielbienie, adoracja, przyjaźń postawiły ją w sytuacji, w jakiej nigdy na własne życzenie by się nie znalazła. Z adoratorki i przyjaciółki miała przeistoczyć się w krytyczkę literacką. Pewne jest, że Ola Watowa nie lubiła pisać, uważając tę czynność za wysublimowaną formę tortur, więc zadanie, które przed nią stanęło, do łatwych nie należało. Na potrzeby wieczoru ku czci Miłosza wybrała wiersz *Podziw*, bo zgodnie z zawartą w odczycie inicjalną deklaracją: „Siła jego poezji, obszary jego myśli, obrazów, uroda widzianego przez niego świata – zawsze wzbudzały mój podziw" – choć, jak asekuracyjnie dopowiadała –

[387] Cz. Miłosz, O. Watowa, *Listy o tym, co najważniejsze*..., s. 7-9.
[388] Audycja została wyemitowana pod tytułem „Mickiewicz w poezji Miłosza".

196:5458427326

„nie zawsze znajdowałam światło ku miłoszowskiej wizji”[389]. Przypuszczam, że wybrała akurat ten wiersz ze względu na tytuł, który odzwierciedlał jej własne uczucia do Miłosza.



NAGRANE 1

W Wolnej Europie

Niełatwo wśród tylu zbiorów poezji Czesława Miłosza wybrać taki, z którym najbardziej mogłabym się identyfikować. Siła jego poezji, obszary jego myśli, obrazów, uroda widzianego przez niego świata – zawsze wzbudzały mój podziw. Może też nie przez przypadek wybrałam ten właśnie wiersz, w którym podziw dla świata i życia jest zarazem zgodą na przemijanie. Nim powiem kilka słów o wybranym przeze mnie wierszu, myśl że powinnam go przedtem państwu przeczytać. Wiersz napisan w 1975 roku nosi tyuł PODZIW.

PODZIW

Fotokopia 11. Szkic autorstwa Oli Watowej na temat wiersza pt. *Podziw*, Czesława Miłosza

Nie obeszło się bez pomocy tej, którą Miłosz cenił za „nieomylny u niej instynkt dobrej cytaty”. Do pomocy w „rozbiorze” wiersza, niepewna siebie Ola, zaprosiła Renatę Gorczyńską: „Tak więc linijka po linijce penetrowałyśmy labirynt i szukałyśmy wyjścia na światło ku prawdzie miłoszowskiej wizji”[390].

Do obchodów jubileuszu jednak nie doszło, w ostatniej chwili odwołano uroczystość. Wiemy, że w czerwcu 1986 roku Miłosz był zaproszony na audiencję do papieża Jana Pawła II, ale nie ma pewności, dlaczego odwołano obchody. W zamian została nagrana audycja, wyemitowana 20 lipca 1986 roku w Radiu Wolna Europa. Tak więc Watowa nie miała okazji przekonać się, jaka byłaby pierwsza jego reakcja na jej interpretację.

W wierszu, zaczynającym się od słów: „O, jaka zorza w oknach. I działa biją./ Nilem zielonym płynie koszykowa łódka Mojżesza./ Nieruchomo stojąc w powietrzu nad kwiatami lecimy./ Śliczne goździki, piękne tulipany na niskich stołach”, Ola Watowa dostrzegła między innymi: poetę patrzącego przez okno w Berkeley, dziką naturę Litwy, usłyszała huk bitwy pod Grunwaldem i

[389] Nagrane w Wolnej Europie w 1986. Tekst pochodzi z domowego archiwum Watów.
[390] Maszynopis odczytu wygłoszonego dla Radia Wolna Europa. Prywatne archiwum Andrzeja Wata.

197:5293194550

tulipany, które Czesław mógł widzieć podczas pobytu w Rotterdamie. We wszystkich obrazach, które wiersz ewokuje, Watowa dostrzegała osad biografii. Autobiograficzny charakter tego wiersza dostrzegła na przykład w figurze Mojżesza:

> Mojżesz w dzieciństwie przeszedł próbę ogniową, która uratowała mu życie, ale skazała na kalectwo. (…) wziął do ust żarzące się węgle i nadpalił sobie język. Odtąd miał ciężką wadę wymowy. (…) Z okaleczonym Mojżeszem mógł się utożsamiać *więc* Miłosz – też zraniony w język – w sensie wygnańca, nie mogącego się porozumieć z innymi, z obcymi. Pisze Miłosz w wierszu „BIEL" – obrazie Paryża połowy lat sześćdziesiątych: „Chwiejny przechodzień, idę przez targ uliczny po utracie mowy". Cytuję *z wiersza „Podziw"*: "Oko nie widziało, ucho nie słyszało a to było – struny nie wygrają, język nie wypowie, a to będzie" – te dwa baśniowo–biblijne zwroty są jednocześnie przyznaniem się do tego, że artysta nie może[391] wyrazić całego bogactwa świata, który był, jest i będzie. Bo ziemia jest przecież nieobjęta[392].

Tyle Watowa w swej krytycznoliterackiej próbie. Dodać wypada, że doświadczenie niemoty, niemożności wyrażenia siebie, było Watowej znane i dobrze je sama rozumiała. Raz tylko niedostatek znajomości języka stał się powodem do zadowolenia, o czym na koniec w trybie anegdoty. Zdarzyło się, że Ola wybrała się na wernisaż ze swym młodszym wnukiem, Pierre'm. Wyglądała, jak zwykle: elegancki koczek, sznur perełek na szyi, teczka z papierami Aleksandra (nieodłączny dodatek). Na wernisażu spotkali Miłosza, któremu Ola wręczyła kilka kartek. Dopiero po chwili zawstydzony osiemnastolatek rozpoznał w nich swoje wiersze, którymi niedawno ucieszył babcię. Przerażony czekał na wyrok Noblisty, lecz ten okazał wielkoduszność, mówiąc z rozbrajającym uśmiechem: „Wybacz Olu, mój francuski jest za słaby, by oceniać poezję".

Kilka fragmentów z transkrypcji o Miłoszu:

> Watowa: On mógłby nie mieć takiej postawy, gdyby on wiesz, rozumiesz, tak jak Miłosz kiedyś powiedział: „wiesz, ja jadę do San Francisco. Tam chodzi takich poetów setkami. Nikt nikogo nie zna. Nikt mnie nie zna. Nikt mi się nie kłania" itd. Adolf, rozumiesz, jest bardzo uwrażliwiony na to, że się mówi: a, to Adolf Rudnicki! On idzie, prawda, do kawiarni. Ze wszystkich stolików szepczą: to Adolf Rudnicki. On tego tutaj nie może znieść, że on tutaj wychodzi na ulicę i nikt jego nie zauważa. (N, s. 248)

[391] Podkreślenie Oli Watowej.
[392] Szkic na temat wiersza *Podziw*, Czesława Miłosza. Archiwum prywatne Andrzeja Wata.

198:4821009755

Więc znowu mi było przykro, rozumiesz, że tego człowieka tam też tak się trochę ośmiesza. Na potem był Iwaszkiewicz, wiesz. Na co Czesław w pewnej chwili powiedział: „dość tego wszystkiego. Autor nie żyje, prawda, co napisał, co powiedział to powiedział. Mówił prawdę, mam do niego absolutne zaufanie, więc nie skreślamy niczego". (N, s. 272)

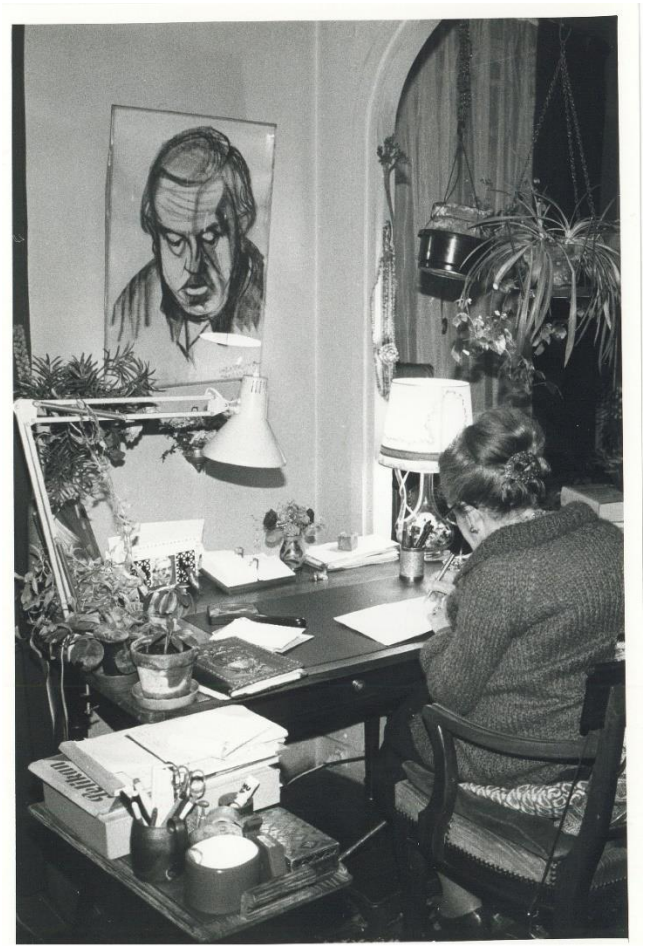
Ale że ja czułam zawsze w Jarosławie jakiegoś – znaczy się – przy człowieku tak, jak Czesław, wiesz, ma ten, ten pazur taki. Nawet potrafi dojść do jakiegoś okrucieństwa, które potem do końca życia, wiesz, nie może tego zapomnieć i żałuje, i robi sobie wyrzuty sumienia. I on jest też taki, wiesz, na, na, na takie te ciernie siedzą w nim, siedzą z całego życia. To wiesz, tak samo Jarosław, wiesz. On miał te, te, te swoje jakieś takie bardzo ostre i... możliwe nawet, że potrafił nawet bardzo dokuczyć człowiekowi, ale miał jakąś czułość, jakąś ludzkość ogromną. (N, s. 411)

Ja naprawdę, szczerze ci mówię, że ja jestem zdzwiona, że w ogóle ktoś o mnie myśli, po chwili jak ja odchodzę od tych ludzi. Bo ci ludzie też ode mnie odlatują, rozumiesz? Ci ludzie stają mi się w gruncie rzeczy obcy. No, poza Miłoszem, dla którego... z którym mnie łączy ta książka. To Aleksander, to wszystko, co się stało. (N, s. 498)

Trznadel: Nie, bo pomyślałem, że ta współpraca tych dwóch artystów, niektórzy właśnie – jak się mówiło - mówili: „A bo Miłosz się rozprasza" - stawia inny problem, który – ciekaw jestem...
Watowa: Bo Miłosz się rozprasza? (((zdenerwowana))) Aha!
Trznadel: No, tak mówiono, że on powiedzmy tracąc czas, rozprasza się. Było coś takiego. Ale on...
Watowa: Nie, ale myślisz, że w ogóle poza Janką ktoś mówił, że traci czas? (((zirytowana)))
Trznadel: Przecież Jeleński o tym pisał.
Watowa: Kto? (((zdenerwowana)))
Trznadel: Jeleński.
Watowa: A co mówił? (((zmartwiona)))
Trznadel: No pamiętasz, w tym artykule pisał.
Watowa: Aha. Tak.
Trznadel: Że były takie sądy, ale przecież, przecież on to robił, bo chciał.
Watowa: Tak, tak.
Trznadel: Pisał Jeleński.
Watowa: Bardzo niesłusznie. (N, s. 531)

199:2616388121

Aleksander Wat



Fotografia 9. Ola Watowa przy biurku. Na ścianie portret Aleksandra Wata.

Na koniec pozostawiam niekompletny oczywiście ciąg wypowiedzi o Aleksandrze. Przytaczam je w porządku ich występowania w transkrypcji. Wybieram fragmenty, których zabrakło we *Wszystko co najważniejsze,* a z pośród tych wybrałam moim zdaniem najciekawsze. Przywołane poniżej fragmenty nie stanowią ciągłej opowieści, stanowią natomiast serię wglądów w sytuacje wzruszające i zabawne, w małżeńskie życie widziane raz od strony salonu, raz od kuchni, zaś uważny czytelnik poezji Wata znajdzie tu nawet maleńki przyczynek do zrozumienia wiersza *Ciemne świecidło*. Zrozumiały byłby tu zarzut o niekonsekwencję – że sama robię to, co wcześniej miałam za złe Trznadlowi, że tak głęboko zaingerował w mowę Watowej. Za usprawiedliwienie tej decyzji niechaj posłuży fakt, iż całość transkrypcji stanowi aneks do niniejszej pracy i tam zainteresowany czytelnik znajdzie wszystko, co tu pomijam. Oddajmy zatem na koniec głos Watowej:

200:1989746579

Przyleciał na Niemcewicza. Tam czeka jakieś wspaniałe mieszkanie, w którym – wyobraź sobie – w dwudziestoleciu mieszkali Brandysowie, rodzice Kazika i tego. To był taki dom wybudowany, nowy dom, ale – rozumiesz, z lat dwudziestych. Olbrzymi hall, trzy pokoje oszklone, drzwi do każdego pokoju oddzielne wejście, ((śmiech)) łazienka, kuchnia, korytarzyk od kuchni, pokój służbowy i służąca ma własną ubikację. Słuchaj, ten kontrast, wiesz, ((śmiech)) z tym życiem, zupełnie! No, więc Aleksander leci po mnie, i po Andrzeja, no, i oczywiście to komediant też przecież, też potrafił zagrać rolę. Więc mówi: „Słuchaj, wiesz, mamy pokój. Ale bardzo porządny pokój" itd. (N, s. 382)

Watowa: Państwowy Instytut Wydawniczy, Bachrach. Tak! Więc zaczęła się ta praca, no, i oczywiście, wiesz, Aleksander cierpiał zupełne tortury, dlatego, że to, co było do druku to były koszmary. Zaakceptować, wiesz, do druku w ogóle autorów – tam u Gebethnera on miał najlepszych autorów, łącznie z Berentem, prawda, Iwaszkiewicz i wszystko te. I tutaj nagle, rozumiesz, jakieś socrealizmy, jakieś. (N, s. 385)

I rozumiesz, w ten sposób zostaje kilku ludzi, właściwie takich, którzy zaczynają przychodzić już tak troszeczkę – bo rozumiesz, pamiętam na przykład u nas takie małe przyjęcie. I widziałam, że nagle ci ludzie poczuli się w jakiś sposób niewyraźnie. I wtedy Aleksander wziął – właśnie jakąś książkę – mój boże! On czytał coś, odczytał im z historii, wiesz, bardzo dawnej – nie wiem czy średniowiecznej, czy jakiejś. Co się całkowicie – z jakimś państwem, z ustrojem itd. Co się, ale co do joty pokrywało z tym, co się dzieje w Polsce.

(...) I rozumiesz, że nagle ja zrozumiałam, że oni się boją tego słuchać. I że nie wiadomo, kto tu jest między nami, a kto wie czy ten Wat nie jest może prowokatorem? (N, s. 394)

Watowa: My byliśmy małżeństwem, które sobie opowiadało wszystko. (N, s. 400)

Watowa: Od początku jak go poznałam, wiesz. Pamiętam właśnie jak przyszedł do Szkoły Dramatycznej na takie zakończenie roku szkolnego. Ja byłam w Szkole Dramatycznej. Jeszcze nosił taki jakiś filcowy kapelusz swojej siostry, jakąś żółtą kamizelkę, palto miał też swojej siostry – zresztą śliczne. Z takiego flauszu, wiesz, granatowego. Wyglądał bardzo dziwacznie. Ale wiesz, to tak bywa, że to tak – są ludzie, którzy używają bardzo brzydkich słów i te słowa jakoś śmieszą cię i nawet nie tracą jakiegoś – bo ja wiem – jakiegoś… no, są zabawne, są zabawne.

Trznadel: Tak.

Watowa: A to samo słowo powie ci inny człowiek i to jest ordynarne i przyziemne.

Trznadel: Bardzo dobrze znam takie przykłady. (N, s. 411)

No on był taki, wiesz, uważał – bo on w gruncie rzeczy może miał nawet dużo w sobie i

201:9925122981

nieśmiałości, i niepewności siebie, i miał pewną taką, wiesz, łatwość. Był szalenie łatwy do zranienia, chociaż starał się, żeby tego nie zauważono. (N, s. 411)

Pozwolono Aleksandrowi przychodzić, więc ja udawałam, że go odprowadzam do drzwi, zamykałam drzwi za nim, zatrzaskiwałam drzwi. Potem on cicho wychodził na balkon, rozumiesz? ((śmiech)) A rodzice spali ((śmiech)) to balkon mu otwierałam i on przychodził. Także widzisz, jaka byłam perfidna. (N, s. 413)

Watowa: Tak, wiesz, ponieważ przyznaje się do tego, że starał się pisać właśnie jak pisał wiersze futurystyczne – wiersze najgorsze. Właśnie pisze o tym łamaniu słów, o tym gnieceniu słów itd. itd. Więc… Także tutaj nagle – mam wrażenie, wiesz, myśmy wzajemnie na siebie wpłynęli. Bo ja myślę, że jakąś rolę jednak odegrałam w jego życiu, może dlatego, że byłam jakimś tak… odbierałam go, wiesz? Okazuje się, że w sposób bardzo trafny. I że potem do końca życia, na przykład, oczywiście zawsze mi czytał te wiersze swoje. Ja byłam tą pierwszą czytelniczką i że jednak jakiś – nawet w dużym stopniu liczył się, wiesz, z tym moim odbiorem. Ja ci powiem – u mnie to jest… ja sobie zdaję sprawę, że ja, ja mam taką – to jest takie naskórkowe, wiesz? To takie jest, odbieranie, wiesz, że to… że to jest takie naskórkowe odbieranie, wiesz, pewnych wrażeń. Potem ja na przykład się zastanawiałam nad tym wierszem, potem ja mogłam na przykład pewnych rzeczy nie rozumieć – w tych wierszach. Ale nagle na mnie wiersz podziałał. Powiedziałam: – wiesz, że to bardzo dobre jest, szalenie ciekawe.

Trznadel: Tak.

Watowa: Nawet nie zdając sobie jeszcze dokładnie, nie robiąc sondy, wiesz – ten wiersz. I ciekawe – pamiętam, że wtedy, w tym okresie, jak tutaj żeśmy byli, jak on tutaj pisał bardzo często przychodził Kot Jeleński do nas. I jak on mu pokazywał nowy wiersz, to on zawsze mówił to, co ja mówiłam. Bo dlatego, że on mówił: – Wiesz, to dziwne, że mówisz właściwie, robisz te same uwagi, co Ola mi mówiła. Co mi zresztą, muszę ci powiedzieć, pochlebiało. Dlatego, że wiedziałam, że Kocik jest bardzo, wiesz, on ma, on jest inteligentny i jak Olek mówił, że on ma – jaki mózg? – ele…

Trznadel: Elektronowy.

Watowa: Elektronowy mózg ((śmiech)), bo tak szybko myśli. (N, s. 415-416)

Watowa: No, więc okazuje się, że Aleksander nigdy nie chciał, żebym ja pracowała! Jak ja wchodziłam do kuchni – a ponieważ byłam złą kucharką – on już wiedział, że ja tam gotować nie bardzo lubię, to on mi zawsze mówił: „Ach, nie siedź tam w tej kuchni, chodź tutaj! Wiesz, zejdź na dół, kup… taką puszkę" – wiesz– on bardzo lubił takie jedzenie: jakieś tam grochy, takie fasola

202:9665958551

z kiełbachą w środku, wiesz. – „To odgrzejesz, to będzie wspaniałe jedzenie”. ((śmiech)). (N, s. 418)

Watowa: I cierpiało. I w domu – wiesz, ja na przykład nie znosiłam – i on także, on od razu cierpiał jak było między nami jakieś najmniejsze nieporozumienie – i to przeważnie z mojej winy, bo on tam zresztą mówi w tym Moim wieku, że ja mam takie, wiesz, mogę sobie tak nagle wybuchnąć itd. To słuchaj, po pięciu minutach ja już mu się rzucałam na szyję i mówię: „Ol, bądź jeszcze – tak trzymał, trzymał! Ja mówię – Dajmy pokój, zapomnijmy!”. To ja nie znosiłam, ja nie wytrzymywałam! A on tak jeszcze się starał: „A ty to szybko zapominasz!”. No, a ja mówię: „No, ale...”. I następowała momentalnie zgoda, wiesz. Słuchaj, ja sobie nie przypominam – a byłam z nim 48 lat, bo to jeszcze przed tym, przed tym liczę, czy 44… już nie pamiętam. Słuchaj, ja nie pamiętam, żeby nam przeszło kilka godzin – wiesz, jak to na przykład małżeństwo ze sobą nie mówi – słuchaj, to jest koszmar! Ja ten koszmar obserwowałam u mojej siostry jednej, u której zresztą mieszkałam – u Marysi. To mężczyzna, który – rozumiesz, przestaje mówić. I nie mówi przez miesiąc. Tylko: „Zjesz śniadanie?” – „Tak”. „Nie”. Tup. (N, s. 420)

Watowa: Wiesz, powiem ci – chciałabym być wierząca. Niestety mi to szalenie z trudem przychodzi. A to wiesz – albo przychodzi, albo jest znane, albo tak…, ale w jedno wierzę: że ja musiałam spotkać Aleksandra, on musiał mnie spotkać. (N, s. 418)

Ciągle, każdego roku wyjeżdżał. Nie widzieliśmy się. Ja nie wiem, no, no może i mnie zdradził, ale wracał do mnie i tak mnie strasznie kochał. I taki był szczęśliwy z tego powrotu, że wiesz, to już dla mnie traci nawet… no, no może tam miał jakiś tak zwany skok w bok ((śmiech)) no, nie wiem. Chociaż, wiesz, nie mówiąc mi, nie mówiąc mi o tym, dawał mi do zrozumienia, że nie. Właściwie nie dawał mi do zrozumienia, ale to jakoś się nie mówiło u nas o tym. No, oczywiście ja powinna być, była być rzeczywiście już taka zupełnie bez skazy. (N, s. 422)

Aleksander szalenie lubił chodzić nocą. To była jakaś jego pasja. On lubił po tym pustym, po pustej tej Warszawie nocą, zimą czy latem, lubił tak słyszeć, wiesz, swoje kroki. I pisze tam gdzieś – jak Ahaswer – wracałem zmęczony do domu itd. rozumiesz? I wracał. No, a ja mówiłam, a ja nie, a ja już nie wyjdę. Już mi się nie chciało. Już chciałam się położyć do łóżka. Lubiłam sobie czytać w łóżku itd. Więc wiesz, to jest drobiazg, ale to jest drobiazg, ale rozumiesz, ja na przykład nigdy sobie nie pomyślałam – no dobrze, on sobie wyszedł, tak chodzi kilka godzin po tej nocy – no powiedzmy, dlaczego? No, na ogół – wokoło mnie każdy mężczyzna tam gdzieś sobie poszedł do jakiejś, ale rozumiesz? To mi w ogóle nie przychodziło do głowy. (N, s. 422)

Powiedział mi tak kiedyś, ale już na poważnie: „wiesz, trzeba mieć w życiu jednego człowieka na tym olbrzymim świecie, gdzie jest tyle – prawda – ocean ludzi, ja muszę mieć jednego człowieka,

203:9496749996

któremu mogę całkowicie wierzyć. I ty, i ty musisz być tą, którą – rozumiesz? – ta potrzeba wiary, że ja rzeczywiście jestem jego i tylko jego. I że trzeba mieć zaufanie tylko do jednego człowieka! Znaleźć takiego jednego człowieka okazuje się jak jest trudno w życiu. Znaleźć jednego człowieka, o którym możesz powiedzieć, że rzeczywiście ten człowiek zasługuje na twoje zaufanie, że ten człowiek cię nie oszuka. (N, s. 423)

I oczywiście – ponieważ Stefan Nowicki kochał Sedulkę itd. więc ona powiedziała: „Słuchaj, czy ty nie możesz mi załatwić dla Aleksandra, żeby on wszedł do tego Gebethnera?". I Stefan zaproponował to Janowi Gebethnerowi. To był pierwszy – wyobraź sobie, nie tylko że żyd, ale i żydokomuna w dodatku, po więzieniu, po wszystkim. To to, niby, wiesz, Gebethner i Wolff to… rozumiesz? Żona powiedziała Gebethnera, że to jest właściwie pierwszy w historii i w ogóle tej rodziny, i tradycji tego domu wydawniczego itd., że taka stała się rzecz. On go przyjął. (N, s. 219)

Wiosna, wszystko się budzi. I ja, nagle! – Nie wiem, ile to trwało – ja się przeraziłam. Ja nie myślałam o Aleksandrze. Ja byłam tym zachwycona, olśniona, ja żyłam, rozumiesz? Ja byłam, ja szłam ku życiu!

Trznadel: Kiedy to było?

Watowa: To było kilka lat temu. Jakieś cztery lata może temu. Ja nagle odczułam ((z emfazą)) straszliwe przerażenie, rozumiesz? Znaczy się, że ja mogę być szczęśliwa, znaczy się, że ja mogę się zachwycać, że wszystko jest takie kolorowe... (N, s. 428)

W gruncie rzeczy teraz, nie wiem, dlaczego, ale takie mam wrażenie, żeśmy ciągle lawirowali po jakichś takich niebezpiecznych, wiesz, labiryntach. Ciągle coś czyhało. Właściwie to były płody jakieś takie wyrwane temu czasowi i temu – wiesz – i tej rzeczywistości. Coś właściwie – nadmiar – coś w gruncie rzeczy, na co nie można było sobie pozwolić. Nie miało się prawa. Znowu u Aleksandra, wiesz, była – jak ci mówiłam – ta ucieczka, ta chęć przetworzenia cierpienia. Żeby cierpienie nie było tym cierpieniem, które zeszmatławia człowieka, które wpycha cię na dno, tylko, żeby ono było czymś, co cię... co może cię też ponad to cierpienie wznieść. Więc każdy jego wiersz był pewnego rodzaju zwycięstwem nad cierpieniem. Że to było zwycięstwo, że on mógł z tego cierpienia coś stworzyć, co go ponad to cierpienie, wiesz, to jest, to jest wszystko nie to, co on mi mówił, ale to, co ja sobie wyobrażam. (N, s. 526)

Watowa: Nic, słusznie znowu wracam do Miłosza, że, że, że on zarzucał Aleksandrowi, mówi: „Wat, jak zaczynał mówić – rzeczywiście, jak on zaczynał mówić, to, to, to wtedy on tylko mówił, bo wszyscy byli zasłuchani. I on fascynował, rzeczywiście fascynował, i to nie byle jakichś słuchaczy – bo tegoż Miłosza". (N, s. 533)

204:9953533021

No, i brał to i nagle nie boli! I nagle zupełnie jakby w ogóle ten ból nigdy nie istniał. On potrafił przeistoczyć się od momentu, kiedy ból zniknął, rodził się dawny Aleksander. Pełen, wiesz, radości, pełen radości – powiedzmy – to nie był taki człowiek, którego można byłoby nazwać radością, rozumiesz? Ale to było takie jakieś...

Trznadel: Siły.

Watowa: Siły! Wiesz, siły smakowania tego życia. I poza tym tego, tych chęci działania, tworzenia, wiesz, pisania. (N, s. 537)

Watowa: (...) bo o ile w Aleksandra domu to rodzeństwo, rozumiesz, i on sam mówił, że w piątym roku – on w piątym roku, on miał pięć lat – i chodził po tym podwóreczku z czerwoną chorągiewką. A tam, prawda, brat z Brukseli, a tam siostra z teatru. Wszystko poszło na ulicę, tam lecieli, gonili szablami. Więc tam były też znowu, widzisz, tam były te tendencje, żeby się włączyć w jakiś rewolucyjny ruch. (N, s. 555)

Watowa: Tak. W każdym bądź razie, ja ci powiem, Aleksander rzeczywiście uwielbiał tego ojca. On jeździł do takich, spędzał jakieś sześć miesięcy, bo tu już Broniszówna wiesz, tam nie było nigdy dostatku dużego. No, Broniszówna miała doskonałe warunki, pensję jako aktorka itd. Więc ojciec chory na serce. Ona tego ojca wysyłała do pensjonatu. Więc on był w takim pensjonacie rzeczywiście, wiesz, żydowskim. I tam, jak od czasu do czasu żeśmy go odwiedzaliśmy, to on siedział, to wokoło, (((teatralnie))) wiesz, ta galeria tych brodatych tych, tego. I tutaj rzeczywiście ta, te księgi święte, kabała. To był podobno – ja się w ogóle nie znam, ja nie wiem. Strasznie bym chciała, żeby mi tę kabałę kiedyś wytłumaczył, więc podobno świetny kabalista. Poza tym on był wspaniałym matematykiem. On wymyślił sam maszynę, ten ojciec, wiesz. Zrobił maszynę.

Trznadel: Do liczenia?

Watowa: Do haftu. (N, s. 558)

Watowa: Mi to było całkowicie obojętne. To towarzystwo, wiesz, komunistyczne, które ja spotykałam, to mi zupełnie nie odpowiadało. Było dla mnie coś takiego fanatycznego i prymitywnego. Przy tym instynktownie tak, wiesz, skórą swoją czułam, że to nie jest ten mój Aleksander, którego spotkałam, futurysta. To nie jest ten Aleksander z *Bezrobotnego Lucyfera* itd. (N, s. 561)

Watowa: Że ja byłam po tej stronie, zawsze tego Aleksandra, który był tym w końcu prawdziwym Aleksandrem, rozumiesz? (N, s. 561)

205:5131641867

ZAKOŃCZENIE

Celem mojej pracy było prześledzenie procesu genezy książki *Wszystko co najważniejsze*. Nie byłoby to jednak możliwe, gdyby nie odkrycie i zgromadzenie licznych dokumentów procesu tekstotwórczego, które nie były dotąd znane badaczom, a których krytyczna lektura przyniosła szereg odkryć, pozwalających spojrzeć na ten tekst w sposób heterogeniczny. Właściwe wnioski umieściłam na końcu rozdziałów o charakterze genetycznym: II. *Archiwum* i III. *Wszystko co najważniejsze*. Tutaj chciałabym jedynie zapisać parę uwag końcowych.

Uporządkowanie brulionów i pozostałych dokumentów genezy w przed-tekst uwidoczniło, że prace nad spisaniem wspomnień – wstępna koncepcja, falstarty, plany, notatki i brudnopisy – inaczej niż myśleliśmy dotąd, trwały na długo zanim nieświadomy tych długich, wcześniejszych wysiłków, Trznadel zapukał do drzwi Watowej, proponując współpracę. Oznacza to, że Watowa na przestrzeni kilkunastu lat spisywała swoje wspomnienia, ćwiczyła swój warsztat pisarski, krystalizowała koncepcję, nabierając wprawy w formułowaniu myśli oraz selekcji wątków i tematów. Dwukrotnie na tej drodze stawała się autorką tekstów: *Paszportyzacji* i *Sznura*, będących dowodem, z jednej strony, na dążenie do realizacji ostatniej woli męża, z drugiej zaś, na ambicje pisarskie, talent, jak też – co równie ważne – chęć opublikowania efektów swojej pracy, najpewniej również niektórych brulionów należących do *dossier*. Na drodze jej zmagań najbardziej zagadkowym dokumentem staje się maszynopis SW, wyróżniający się na tle pozostałych notatek i brudnopisów względnym uporządkowaniem i kompletnością. Watowa nie zdecydowała się go opublikować i tym samym (czasowo) zamknęła sobie drogę do wydania książki jako jedyna jej autorka. Po czasie pisarskiego zawieszenia, kolejnym krokiem, jak pamiętamy, stała się współpraca z Trznadlem.

Szukając w archiwum odpowiedzi na pytanie o celowość jej działań, trudno zrozumiałą bierność oraz niepewność, co do sprawności własnego pióra, należy spojrzeć na genezę tekstu Watowej w sposób holistyczny i wykraczający poza narzędzia genetyczne, bowiem wydaje się, że próby pisarskie podejmowane pod szyldem książki wspomnieniowej – co potwierdzają dokumenty genezy – od swych początków uwikłane były, z wyboru i z konieczności, w męski *logos*. Prapoczątków doszukiwaliśmy się już wcześniej (rozdział *Archiwum*) w pożegnalnym liście jej męża – Aleksandra, który zobowiązał ją, lecz za pośrednictwem innego mężczyzny – syna Andrzeja, do spisania wspomnień. Watowa, o czym świadczą zarówno wydane w 1972 roku, jak i

206:1065435555

zgromadzone w *dossier* wspomnienia podjęła takie próby, lecz odczuwała nie tylko niedosyt, ale również zawód z powodu niedostatków swojego warsztatu, a na korespondencyjnego powiernika tych wątpliwości wybrała sobie kolejnego mężczyznę – Czesława Miłosza. Jak wiemy, ważną postacią na jej pisarskiej drodze stał się również Józef Czapski, który asystował przy publikacji *Sznura* i *Paszportyzacji*. W przypadku pierwszego z tych tekstów, był jego wiernym i najpewniej pierwszym czytelnikiem, jak również pomysłodawcą tytułu. Z kolei korespondencja między Watową i Giedroyciem ujawnia zaangażowanie autora *Na nieludzkiej ziemi* w proces pisania *Paszportyzacji*, jak również pośredniczenie w kontaktach z „Kulturą". Co więcej, to właśnie jego nazwisko wymieniała autorka tych tekstów, gdy znów zasiadła do maszyny do pisania, usprawiedliwiając swoje pisanie: „Spisać wspomnienia. To o czym Aleksander nie zdążył powiedzieć w »Moim wieku« - szczególnie o latach powojennych. Namawia Józio Czapski – uważa, że jest to moim obowiązkiem" (SW, s. 578). Wspomnienia te nie zostały wydane. Nie ma też śladu ani w *dossier*, ani w prywatnej korespondencji, by Czapski kiedykolwiek czytał ten maszynopis. Być może niedostatek męskiego autorytetu sprawił, że do publikacji nigdy nie doszło. Mimo że autorka *Sznura* otaczała się wieloma utalentowanymi kobietami, mającymi kwalifikacje równe Jackowi Trznadlowi, to dopiero jego autorytet sprawił, że niemal osiemdziesięcioletnia już Watowa zgodziła się na nagrywanie wspomnień. Jej współrozmówca nadał im ton, po swojemu rozłożył akcenty, zadając pytania i nakierowując rozmowę na odpowiadające mu tory. Najpewniej dokonał też szeregu redakcyjnych poprawek w transkrypcji. Można więc powiedzieć, że wspomnienia Watowej zostały niejako przez niego „przefiltrowane". Dodajmy również, że tytuł całości zaproponował Konstanty Jeleński. To nie koniec męskich uwikłań, gdyż pomocy w przeredagowaniu tekstu w monolog udzielił Jan Zieliński, włączając omyłkowo niektóre z pytań Trznadla w tok mowy Oli.

Co do samych wspomnień: próba analizy dokumentów genezy pomogła zrekonstruować drogi formalne (stylistyczne, kompozycyjne i gatunkowe), którymi chadzała wyobraźnia narracyjna Watowej na różnych etapach pisania. Analizując kolejne dokumenty, na pierwszy rzut oka wydawało się, że często rezygnowała z opowiadania jednych wspomnień, a inne z czasem rozrastały się w dłuższe ustępy. Okazało się jednak, że niektóre wątki powracały w zmienionym układzie fabularnym, przynosząc nowe drogi wyjścia i dojścia oraz nowe sensy. Śledzenie procesu pisania było od pierwszego do ostatniego etapu pouczające, bo dawało wgląd zarówno w proces kształtowania się jej warsztatu pisarskiego, odmiennego od tego, który znamy z *Wszystko co*

207:9927123542

najważniejsze (chodzi między innymi o metonimiczny ciąg skojarzeń), a – przede wszystkim – kształtowania obrazu własnego życia. Przyzwyczailiśmy się bowiem myśleć o Watowej zgodnie z tenorem słynnego zdania-tytułu jej książki, lecz analiza dokumentów genezy, pochodzących z różnych etapów (i samodzielnego pisania, i transkrypcji) uwidoczniła, w jak znacznym stopniu w tych brulionach zmieniały się dominanty, przesuwały się wątki i przestawiały akcenty, przeredagowując tym samym jej (i Wata) biografię. Spisywanie i mówienie wspomnień zawartych w książce jest wynikiem ustaleń Watowej z samą sobą, oraz, na późniejszym etapie, z Redakcją. Tekst wydany z Trznadlem okazuje się więc punktem dojścia bardzo długiej i skomplikowanej drogi twórczej, a nie jak sądziliśmy, kilkunastu sesji nagraniowych. Przedstawia też Watową jako pisarkę, a nie jedynie wdowę, opowiadającą o swoim wielkim mężu.

Status nagrań od samego początku stanowił teoretyczny kłopot, ale i wyzwanie. Wiemy, chociażby od de Biasiego, że nagrania, jeśli istnieją, stanowią część *dossier* genezy. Genetycy jednak rzadko skupiali na nich swą uwagę, ponieważ pisarze (szczególnie dawni) nie korzystali z dobrodziejstw tej techniki. W czasie 1175 minut spędzonych z Watową i Trznadlem przekonałam się o serdecznych stosunkach współrozmówców, wpływie wzajemnych reakcji na opowiadaną historię (przemilczenia, zawieszenia głosu, niepewność) i czynników zewnętrznych (zmęczenie, rozproszenie dźwiękiem telefonu lub ambulansu), wpływającymi na jakość prowadzonej rozmowy. I choć nie wszystkie pozatekstowe informacje byłam w stanie zaznaczyć w transkrypcji, to jestem przekonana, że jej czytelnik – podobnie jak ja wcześniej – uzna ją za interesującą lekturę, która jest pożyteczna ze względu na podejmowane tematy, lecz nade wszystko, bez względu na niedostatki retoryczno-stylistyczne, wynikające z toku żywej mowy, pozwala nam odzyskać właściwy rytm opowieści i naturalny rytm asocjacji.

Obraz Oli Watowej ulega radykalnej zmianie. Początkowo jawi się jako słaba kobieta zagubiona w świecie męskiej dominacji, z czasem – przeciwnie – jako wyrachowana realistka sprawnie używająca otaczających ją sławnych i mniej sławnych mężczyzn do swych własnych celów. Początkowo wydaje się zaledwie odźwierną wpuszczającą badaczy i redaktorów do domowego archiwum, byśmy ostatecznie mogli ją postawić w rzędzie owych wielkich ludzi-instytucji, których niezłomny upór dawał światu wielkie dzieła, które bez ich pracy i wytrwałości zaginęłyby w zapomnieniu. Wreszcie z zaledwie rozmówczyni Jacka Trznadla, której „brak podstaw" do czegokolwiek, zamienia się w pełnokrwistą autorkę, co prawda jednej książki, ale książki o nieostrych granicach, wielu wersjach i zmiennej objętości, może więc autorkę nie

208:6405043377

książki, lecz swej własnej prywatnej księgi? Nieznaną jej wersję (transkrypcję) czytelnik znajdzie w Aneksie.

209:7264730741

ANEKS

210:1133349185

1. TRANSKRYPCJA NAGRAŃ (sygnatura N)

01_Fon.61.700 Strona A. / 10.01.1981 r.

Trznadel: Ja coś powiem, a potem to i tak się wytnie, żeby było jakieś wprowadzenie. Dobrze jest jak się odpowiada na jakieś pytania, prawda?

Watowa: Tak. Bardzo to potem ułatwia, bo wiadomo, o czym się miało mówić, jak się przepisuje na...

Trznadel: Dobrze. Ja dlatego powiedziałem, że wydaje mi się, że najlepiej byłoby zacząć od czasu poprzedzającego II wojnę światową, bo chyba ten okres nie został jeszcze dostatecznie opisany i bardzo ((z emfazą)) dużo nam brakuje zwłaszcza, jeśli chodzi o nastroje środowiska literackiego, żeby to zrozumieć.

Watowa: Ale jak to sobie wyobrażasz? Zaczniemy od, od jakiego momentu, od jakiejś chwili?

Trznadel: Ja myślę, że można by zacząć od tego momentu, kiedy, no, stało się jakoś jasne, że właściwie wojna jest nieunikniona, że nadciąga, że grozi. Ja byłem dzieckiem i pamiętam, dla mnie, czy w moim domu, to taki moment był, kiedy Niemcy wkroczyli do Czechosłowacji. Pamiętam dokładnie, że wtedy w pewnym momencie Radio Praga, które łapaliśmy na swoim odbiorniku radiowym ucichło

Watowa: Tak!

Trznadel: I przez cały dzień nadawało sygnał stacji tylko. To „plum plum", prawda, Pragi Czeskiej. Jednocześnie wojska polskie, jak pamiętasz, wkroczyły na Zaolzie. Było takie zachłyśnięcie się, że my odzyskujemy, ale też jeszcze dobrze pamiętam, że mój ojciec przyszedł i powiedział, że to jest właśnie hańba, że w tym momencie, że my korzystamy i przyłączamy się do hitlerowskich – w jakimś sensie – aneksji. I to był trzydziesty ósmy rok, prawda, i wydaje mi się, że, że to już wtedy, już było wiadomo, prawda. I jeżeli ty potrafisz odtworzyć, prawda, jaki, jaki… właściwie sprawy czy odczucia wiążą się z tym już gorącym okresem, no, po którym już od razu nastąpi wojna.

Watowa: Tak… no, ja sobie przypominam ten rok poprzedzający, wiesz, wybuch wojny jako jeden z najbardziej właściwie trudnych do życia, do, do przeżywania, dlatego że – przede wszystkim... – ta faszyzacja rzeczywiście obejmowała w jakimś szalonym tempie... nasze społeczeństwo. Czuło się po prostu, że ta fala, wiesz, hitleryzmu przechodzi i że, że nie ma żadnej tamy. No, więc oczywiście w pierwszym rzędzie to się objawiało przez ogromne nasilenie antysemityzmu, więc – prawda – wybijanie szyb itd. Pamiętam, że w tym okresie, na przykład,

211:6244339445

jużeśmy się bali chodzić, spacerować w Alejach Ujazdowskich, dlatego że studenci napadali tam na Żydów. I raczej radzono, żeby tam nie chodzono. Mogę ci opowiedzieć zabawny incydenty, dlatego że mój Andrzej miał wtedy siedem lat i przyszedł ze swoją tak zwaną guwernantką do domu, bardzo, bardzo uszczęśliwiony. Powiedział: „wiesz mama, tutaj wybili szyby" u tej, takiej… wiesz, biednej sklepikarki, która sprzedawała, wiesz, wodę sodową z sokiem malinowym, pomarańcze i pestki – wiesz, takie rzeczy. Mieszkaliśmy wtedy na ulicy Hożej, więc zapytałam go, dlaczego on jest z tego zadowolony. No bo Żydzi są okropni, bo Żydzi są brudni, bo śmierdzą itd. itd. Więc – ponieważ – Aleksander oczywiście uważał, że go należy wychowywać w ateizmie i nie należy w ogóle nie należy tych spraw poruszać, doszło jednak do tego, że trzeba było, wiesz, powrócić. Znaczy nie powrócić, ale pomówić z nim o tych rzeczach. Zadał mu na pytanie, czy mamusia jest brzydka? Odpowiedział, że nie, że jest ładna. Czy śmierdzi? Nie, mamusia pachnie. ((śmiech)) No jednym słowem, czy kochasz mamusię? On powiedział: Tak, bardzo! No to wiedz, że twoja mamusia jest Żydówką. No, i co, kochasz mamę? To on mówi: „no… zastanowił się, zawahał się chwilę i powiedział: „no to chyba bym ją kochał jeszcze bardziej, gdyby nie była Żydówką". Więc rozumiesz, te bony wszystkie, które przede wszystkim pracowały u Żydów, zbierały się w tej Alei Bzowej w parku, siadały i tamte dzieci różnych tam adwokatów, i, i inżynierów, lekarzy, i tak nasiąkały.

Trznadel: Słuchały.
Watowa: Nasiąkało tym wszystkim, no, i mój Andrzejek przyszedł z tym, rozumiesz, że to jest świetnie, że należy właśnie wybijać Żydów itd. Zresztą, co tam Andrzejek! Tutaj wspomnę o Jarosławie, który jak ci wiadomo, przechowywał Żydów podczas wojny, ale pamiętam z nim rozmowę, kiedy takim głosem raczej użalającym się powiedział mi: „wiesz, że jest świetny introligator na Świętokrzyskiej. Wskazała mi go Krzywicka, że on świetnie oprawia książki, no, ale, niestety, nie mogę do niego iść, ponieważ jest Żydem". ((śmiech)) Dlatego, że było to hasło: swój do swego po swoje itd.

Trznadel: I to był jaki okres, kiedy to powiedział Jarosław?
Watowa: No… to było wcześniej. To było wcześniej, ale w ten ostatni rok to było ogromne, wiesz, nasilenie. Rzeczywiście jakieś rzucenia odpowiedzialności za wszystko, oczywiście na Żydów.
Trznadel: Tak. Ja ci jeszcze przerwę, Olu. Ty mówisz, że było hasło „swój do swojego po

212:5809966981

swoje”. Bo ja tak… czy tak było formułowane? W tych słowach?
Watowa: Tak. Swój do swego po swoje.
Trznadel: Dlatego, że to jest interesujące…
Watowa: Tak. I to było zresztą, wiesz, był taki rodzaj plakatu, wiesz, wypisywali takie graffiti itd.
Trznadel: To ja widziałem, pamiętam takie parkany: „nie kupuj u Żyda”. A tak dlatego pytam o to hasło, bo przecież w identycznym brzmieniu te słowa „swój do swojego po swoje” to przecież Gombrowicz włożył w „Ferdydurke”, więc być może, był tam pod spodem ukryty taki uśmiech czy wyśmiewanie się po prostu z tego hasła, bo ono jest ironiczne w *Ferdydurke*, prawda?
Watowa: Tak.
Trznadel: A też ciekawe, bo na to, że to było hasło, że tak powiem, polityczno–społeczne, na to jeszcze nikt nie wpadł, analizując „Ferdydurke”. ((śmiech))
Watowa: Ach tak? To bardzo ciekawe. ((śmiech))
Trznadel: No tak, no bo to jest… to jest, ale że to kiedyś miało akcent społeczny i to antysemicki, to o tym nie wiedziałem. Ciekawe.
Watowa: Tak. Więc… czym się, potem, co było szalenie – nie wiem, czy to jest charakterystyczne dla Polaków, czy też w ogóle dla ludzi, który wierzyli, że to jest rodzaj takiej samoobrony przed tym, co ma nastąpić, że w ogóle nikt nie wierzył, że wybuchnie wojna. Pamiętam, że... Aleksander – między innymi – rozmawiał z moim ojcem i po prostu namawiał go, żeby on wyjechał, znaczy, żeby zlikwidował swoje sprawy majątkowe itd. i żeby uciekał, dlatego że będzie niedobrze.
Trznadel: Tak.
Watowa: Oczywiście był wyśmiany. Szczególnie Żydzi uważali, że Niemcy są narodem tak sprzyjających Żydom, i tak wysoce kulturalnym, że właściwie nic nie może im grozić. Zresztą znowu tutaj się cofnę do roku czternastego, gdy byłam z moim ojcem za granicą, a matka moja miała jakąś rodzinę w Berlinie. To muszę ci powiedzieć, że tak gorących patriotów, jak ci właśnie kuzynowie mojej matki, którzy uważali, że w ogóle Niemcy są naprawdę ich ojczyzną, że Niemcy są wspaniali, no, i oczywiście mieli wielce pogardliwy stosunek do Żydów polskich.
Trznadel: Tak…
Watowa: Także… czekaj… ale żebym ja się nie zakałapućkała, bo ja, wiesz, mam też te skłonności do robienia dygresji. Więc… do tego stopnia Polacy nie wierzyli, że już wtedy

213:2968879384

właściwie to były ostatnie dnie. Pamiętam dobrze, że byliśmy wtedy, zdaje się, w Juracie czy w Jastarni. Wracaliśmy do Warszawy. W pierwszych dniach, znaczy się na pierwszego sierpnia i już w Gdańsku, po prostu, zebrał się tłum dość duży, który był nawet dość groźny, i który... krzyczał, ryczał „już niedługo" itd. „Wszyscy zginiecie", „będziecie wymordowani i zniszczeni, i wyrzuceni", i: „Gdańsk należy do nas", i tak dalej, i tak dalej. I wiesz, w tym nastroju ludzie się zbierali w kawiarni. Do jakiego stopnia nie wiedzieli? Że... Żona Naglera, który był nadkomisarzem Policji – zresztą człowiek bardzo przyzwoity, o którym wspomina

Trznadel: Herminia?

Watowa: Herminia Naglerowa, o którym wspomina Aleksander, że on wyciągnął jego, jego te... akta, wiesz, żeby nie robiono rewizji każdego 1. maja – że nawet ona w kawiarni, pamiętam – zdaje się, że w „Ipsie", powiedziała, że to chyba jest niemożliwe, że w gruncie rzeczy chyba do tego nie dojdzie. Wiesz, to było dosłownie kilka dni przed rzucaniem bomb na Warszawę. Więc jakieś zupełnie… Wiesz, rzeczywiście, literaci, ludzie, którzy byli blisko rządu itd. zupełnie… a poza tym ta wiara, nie wiadomo, dlaczego, że jeżeli nawet zechcą, no to ich oczywiście od razu, wiesz, przepędzą.

Trznadel: A czy była jakaś świadomość ostra w środowisku, już po zawarciu paktu Ribbentrop–Mołotow, czy to jakoś przeszło jako tako?

Watowa: Wiesz, na to pytanie byłoby mi trudno ci odpowiedzieć. Wiem tylko, że teraz, kiedy o tym myślę, to wszystko mi się wydaje jakieś strasznie takie lekkomyślne, wiesz, że właściwie zupełne niezdawanie sobie sprawy z tego, co idzie, z tej groźniej fali, tego hitleryzmu, który nie napotykał żadnych przeszkód w społeczeństwie polskim. To znaczy, wiesz, nie chcę być niesprawiedliwa. Na pewno było wielu ludzi, którzy by postawili przeszkody, to znaczy się tamę, gdyby w ogóle byli… mieli jakiekolwiek możliwości i siły. Ale na ogół to było przyjmowane jako wiesz... to znaczy z nieświadomością tego, że będzie wojna i że będą zniszczeni itd. Ale jako ideologia, to było przyjmowane właściwie z entuzjazmem, no, i oczywiście, przede wszystkim, odbiło się to na tej nieszczęsnej sklepikarce, tego typu ludziach, którzy, którzy poginęli potem wszyscy.

Trznadel: No z entuzjazmem chyba nie we wszystkich jednak kręgach. Natomiast ja nie bardzo…

Watowa: No, ja właśnie mówię, że nie wszystkich, tylko na pewno byli ludzie, którzy się temu

214:1085205126

sprzeciwiali i... chcieli… tylko właściwie nie widać było żadnych możliwości, żadnej siły, która mogłaby…

Trznadel: Zdolnej się przeciwstawić.

Watowa: Tak, zdolnej się przeciwstawić.

Trznadel: Tak no, człowiek, którego znałem, ojciec mojego przyjaciela – Stanisław Kulczyński, on był przed wojną rektorem Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie… No, więc Janek opowiadał, jak oni mieli szyby wybijane ciągle, dlatego że stary Kulczyński przeciwstawił się gettu ławkowemu, prawda, na tym uniwersytecie i z tym właśnie,

Watowa: Tak.

Trznadel: Z legitymacją człowieka o głęboko demokratycznych przekonaniach został po wojnie we Wrocławiu, gdzie przyjechało dużo lwowiaków, rektorem uniwersytetu politechniki. Także byli.

Watowa: To się absolutnie zgadza z prawdą, ponieważ ja miałam brata, który skończył medycynę. Umarł jakieś 2–3 lata przed wojną i on zresztą właśnie siedział na takiej ławce. No, i ja wiem dokładnie, co się działo, o studentach z tymi właśnie laskami zakończonymi żyletkami. No, i to były rzeczy bardzo, bardzo ciężkie. ((z emfazą)) Bardzo ciężkie. Także, wiesz, ten cały… Zresztą to się połączyło z jakimś… to o czym wspomina Aleksander, zresztą w *Moim wieku*, o tym jakimś szalonym… zdaje się, że on to wyraża akurat jako smutek i taką beznadzieję, bo w gruncie rzeczy, wiesz, było się jakimś zamkniętym bardzo, właściwie nie widziało się możliwości ucieczki. I nie widziało się, żadnej, wiesz, furtki, żadnej przyszłości. To cię, to tak... Wiesz, to tak, to jakaś siatka, która, rozumiesz, opadała i właściwie nie wiadomo było, jak, jak można się wymknąć, jak można przed tym wszystkim uciec. Także to był rok rzeczywiście bardzo, bardzo trudny.

Trznadel: To znaczy, przepraszam, można by powiedzieć, że jak tak Ciebie słucham, że przed wojną problem wewnętrzny kraju, problem trudności życia społecznego, antysemityzmu, to był problem, który tak dalece – w pewnym sensie – angażował uczuciowo, że można było nawet z tego powodu trochę nie widzieć niebezpieczeństwa nadciągającej wojny. Bo łatwiej zauważyć sytuacje zewnętrzne, kiedy ma się sytuację spokojną.

Watowa: Tak. W gruncie rzeczy absolutnie o tym się nie myślało. I powiem ci, że tego samego lata, znaczy się… w sensie, że… w sierpniu, we wrześniu wybuchła wojna, tak? W lipcu umierała matka Aleksandra... na wsi. Przyjechało dwoje dzieci dorosłych brata Aleksandra.

215:4685953227

Jeden studiował, zdaje się, na politechnice w Brukseli, no, i córka, która zdała tego roku maturę. I znowu, wiesz, jakaś zupełna niewiara. To znaczy całkowita wiara w Niemców. Wiesz, zaufanie do Niemców i niewiara,

Trznadel: Tak.

Watowa: Że może być wojna, a jeżeli będzie wojna, to ta wojna nie może być straszną wojną, że ona nie może tak zniszczyć kraju. Że mój mąż mówi: „słuchaj, wyślij swojego syna. Jeżeli ty nie chcesz uciekać – bo on miał możliwość ucieczki – dlatego, że wiem, że miał jakieś pieniądze w Szwajcarii, które zresztą przepadły, dlatego że on zginął z żoną i z tym dwojgiem swoich dzieci zginął w obozie – i mówi: to wyślij bodaj te dzieci. Słuchaj tu będą się działy rzeczy straszne. I znowu tak samo, ten sam rezultat, co z moim ojcem. Czyli, że… potem podczas naszej ucieczki z Warszawy – uciekaliśmy ze szwagrem mojego męża – Gilewiczem i jego siostrą. I żeśmy się zatrzymywali. Co w każdej wiosce robiło się pikniki itd.

Trznadel: Jak uciekaliście i kiedy wyjechaliście z Warszawy?

Watowa: No… szóstego dnia. Tak, szóstego dnia wojny. On zatelefonował. Że jeżeli, ja siedziałam w piwnicy z Andrzejem. Aleksander postanowił chodzić do Gebethnera, nie zważając na bomby i na nic. A ja siedziałam w piwnicy z innymi lokatorami. No, i wtedy uświadomiłam sobie, że właściwie jestem zupełnie niezdolna do, nerwowo do wytrzymania tego bombardowania. Miałam jakąś butelką waleriany, którą łykałam, wypijałam. Andrzej okazał się jednak dzieckiem nerwowym, dlatego że w ogóle nie mógł jeść, nie mógł pić. I wiesz, dostawał jakiś wymiotów itd. No, i tak się stało, że ten Gilewicz jednak zadzwonił i powiedział: „słuchajcie, ja was zabiorę, pod warunkiem, że nie weźmiecie żadnych rzeczy. Dlatego, że zamiast rzeczy, ja wolę wziąć człowieka”. Był inżynierem drogowym, miał auto i miał przyczepkę. No, i myśmy, wiesz, w nocy jeszcze, nie wiedząc o tym, staraliśmy się zniszczyć bibliotekę antyhitlerowską i wiesz, to wszystko, co tam Aleksander pisał przeciwko…

Trznadel: Bo myśleliście, że wrócicie?

Watowa: Tak. Nie! Bo nie wiedzieliśmy, że będziemy mogli uciekać.

Trznadel: Ach tak, rozumiem. Przed decyzją.

Watowa: Tak. Przed decyzją. Okazało się, że niszczyć książki jest szalenie trudno, że rwać jest szalenie trudno, że palić jest szaleje trudno, a wyrzucić je na śmietnik, to jest dowód od razu oczywisty, do kogo one tam należały, więc pamiętam takie kilka godzin, takiego… takiej walki, wiesz, o zniszczenie tych, tych książek, które było niemożliwe. No, i potem, rano, jeszcze

216:1657313893

Aleksander poszedł, a potem nagle mamy telefon. Jest bardzo duże bombardowanie. I pamiętam, że na Placu Trzech Krzyży, gdzieś myśmy się tam chronili, bomby padały. No, i dopadliśmy do ulicy Koszykowej, gdzie oni mieszkali, i zaczęła się ta okropna zupełnie ucieczka. Dlatego, że można było tylko jeździć nocami, a w ciągu dnia trzeba się było chronić po lasach. Oczywiście, Polacy wtedy zaczęli być bardzo uważni, ale raczej skłonni podejrzewać każdego człowieka, który jest w lesie, że on tam może robi jakieś, wiesz, nadaje coś?
Trznadel: Jakaś dywersja.
Watowa: Tak, także o mało, że tam nas nie powieszono, Aleksander gdzieś zniknął i był… byliśmy rozłączeni. No, i także… ucieczka była rzeczywiście… i znowu lekkomyślność tego Gilewicza. ((z emfazą)) „A co tam" – mówi. Wiadomości przychodziły, że już tam, wiesz, dostają w cztery litery. ((śmiech)) Uciekają już w ogóle. Niemcy wzięli nogi za pas i uciekają. I znowu taka jakaś, optymizm i lekkomyślność Polaków, że już ci Niemcy uciekają, mimo to, że przychodzili, przychodzili coraz bliżej. No, i że nas w tym Dubnie, wiesz, ja byłam rozłączona z Aleksandrem. Bo jakoś ta przyczepka oddzielnie i auto oddzielnie. Ja byłam w aucie z Andrzejem. I... w Dubnie przyszli bolszewicy, no, i tutaj rozumiesz, pamiętam to wejście tego wojska sowieckiego. I taki stanął, na takim jakimś, nie wiem czy na tanku, czy na jakimś… coś wojskowego, jakiś... w każdym bądź razie auto.
Trznadel: Pojazd.
Watowa: I wyobraź sobie, że on zaczął ludności, która się zebrała, Polakom, rozdawać zapałki. I że wszyscy rzucili się. Bo oni tylko wiedzieli, że gdzieś zapałki się dzieli w Polsce na tego…
Trznadel: Na cztery części…
Watowa: Rozumiesz, i wobec tego..., ale że ludzie brali te zapałki.
Trznadel: Ja myślę, że ludzie brali wtedy wszystko, że, to znaczy część ludności brała. To jest taki instynkt brania. Jak w czterdziestym piątym roku.
Watowa: No potem, jednak tej nocy zabito jakiegoś żołnierza sowieckiego, więc potem wyciągnięto – zresztą między innymi – tego biednego Gilewicza, żeby go tam rozstrzelać. Przystawiono go do ściany, ale nie zrobiono. No, i pierwszy raz widziałam pogrzeb rosyjski, wiesz, kiedy się nosi, jest otwarta trumna i… także to był dość groźne. No, i potem dotarłam do, do Lwowa. I we Lwowie mnie odnalazł Aleksander u Wikty Wittlin. Wiesz, tej siostry przyrodniej Wittlina. Byłam u niego.

217:5118584995

Trznadel: Czy Ty wiesz, po wybuchu wojny itd. mieliście jakiś kontakt z ludźmi ze środowiska literackiego? Jakie tam były reakcje, no bo część tych ludzi oczywiście była zdjęta paniką, ze względu nie tylko na bibliotekę, prawda, ale na działalność antyfaszystowską, antyniemiecką.

Watowa: No, więc, mówię Ci, do wybuchu wojny, do wybuchu wojny (to co ci mówiłam), były nastroje absolutnego niedowiarstwa. Oczywiście, że, że Aleksander tam rozprawiał ze swoimi przyjaciółmi w kawiarni czy w domu, ale wiesz, ((z emfazą)) nie było tej pewności. Raczej przypuszczano, że – tak, jak sobie przypominam – może sobie źle przypominam. Znaczy, że Aleksander był pewien, że dojdzie do wojny, że będzie bardzo źle. Ale wiesz, z tymi akurat ludźmi, przy rozmowach, z którymi ja asystowałam – właśnie między innymi ta kawiarnia z Naglerową, z Herminią Naglerową, która była tak blisko, wiesz…
Trznadel: Tak. Informacji.
Watowa: Która powiedziała, że wojna, jeżeli będzie, to będzie trwała najwyżej siedem dni albo dziesięć dni. To było właśnie o tym zapomniałam ci powiedzieć, to było bardzo ciekawe. To, jeżeli ona mogła to powiedzieć, on zresztą – Nagler zachował się… w przeciwieństwie do całego rządu, który uciekał, on jednak nie uciekł. I zginął, jak ci wiadomo, pod Lwowem. Walczył tam ze swoimi policjantami itd. Jego rozstrzelali, a ją aresztowali tej samej nocy, kiedy aresztowali wszystkich. On był rozstrzelany przez bolszewików. Tak. Bo on walczył, po prostu walczył z Rosjanami.
Trznadel: Kogo rozstrzelano?
Watowa: No on był rozstrzelany przez bolszewików. No bo on walczył, naprawdę walczył z Rosjanami. Także on naprawdę wiesz, jak ktoś jest komisarzem policji, to oczywiście wydaje się, że nie można o nim nic dobrego powiedzieć. To był rzeczywiście, bardzo – mam wrażenie – bardzo przyzwoity człowiek. Przede wszystkim bardzo przyzwoicie się zachował w stosunku do Aleksandra, ponieważ po prostu wyciągnął jego *dossier*, wiesz, z powodu, którego zawsze mieliśmy te kłopoty pierwszego maja i tam go wsadzali na jedną noc itd. No, a potem jednak nie uciekał, mając wszystkie możliwości ucieczki. On jednak walczył i zginął. No, i tutaj wiesz, ponieważ, zaczęłam Ci mówić o Wandzie Wasilewskiej, więc może zrobimy ten przeskok, jeśli chodzi o te, o te... jak to się mówi, jak się komuś przyczepia taką, no… widzisz, jak się komuś, że to jest taki człowiek, a nie inny…
Trznadel: Etykietkę.

218:1077570022

Watowa: Etykietkę. Tak. Przyczepia się pewną etykietkę. Nie ulega wątpliwości, że ta etykietka przyczepiono Wasilewskiej. Oczywiście, że ona w dużym stopniu sobie zasłużyła na to, co o niej mówią, ale całe jej zachowanie się we Lwowie... przede wszystkim, przed aresztowaniem Aleksandra, ją zaczęli wciągać. Stalin ją szalenie poszukiwał. Ona była jego, jakoby ukochaną autorką. On ją czytał. Więc, ona właściwie jeszcze nie działała, nie agitowała. Ja... w każdym bądź razie w tym Związku Literatów w gruncie rzeczy się nie pokazywała.
Trznadel: W tym nowoutworzonym?
Watowa: Tak, tam. W tym pałacyku hrabiów Bielskich. Ale zjawił się Bogatko. Jej mąż, robotnik, o którym zresztą – nie mam się co powtarzać – bo pisze o nim Aleksander. Jak ją wysłali w końcu, to już jej kazali pojechać do Kijowa i ona zdawała relację, jak tam jest. To tak jak Aleksander mówi: *счастливая жизнь*[393]. Jak ten właśnie między enkawudystami, w takiej kawiarni na głos krzyczał, żeby jej nie wierzyć, żeby trzymać kapelusz jedną ręka, a teczkę drugą, bo ci wyrwą itd. Jest strasznie, jest nędza, jest brud, jest smród, jest w ogóle okropnie. Szumowiny wyszły wszystkie. Więc tutaj jest los w końcu tej kobiety, zabijają jej męża, na jej oczach... wiesz, bo jak teraz mówią o Wandzie Wasilewskiej, to jednak o pewnych rzeczach nie wspominają. Nie wspominają o tym, że Putrament po aresztowaniu, tej nocy po aresztowaniu literatów, Władka Broniewskiego, Aleksandra i innych, z samego rana zwołał to zebranie, żeby potępić. I tutaj Ważyk, który nie grzeszył, wiesz, odwagą, bo on raczej tchórzliwy jest. On tchórzył zresztą już przed wojną. Bo on nigdy w życiu, wiesz, nie chodził w pochodzie pierwszomajowym.
Trznadel: Ważyk?
Watowa: Nigdy, nigdy! Natomiast Aleksander chodził, pracując u Gebethnera, rozumiesz i Gebethner go kiedyś zawstydził właśnie. A co pan tutaj robi? A ona miał umowę z pisarzem, który specjalnie przyjechał z Krakowa i uważał, że to jest jednak ważne, że on nie może zawieść tego pisarza.
Trznadel: Ważyk zresztą nie afiszował się tym, co pisał przed wojną, swoimi przekonaniami lewicowymi. Chyba nie.
Watowa: Tak, on się… ale jednak wiesz, no. On przychodził do nas.
Trznadel: Rozumiem.

[393] *schastlivaya zhizn* - szczęśliwe życie.

219:7369764038

Watowa: Przychodził jako bardzo młodziutki poeta i Aleksander go bardzo cenił itd., ale jednak w rozmowach wydawało się, że on bardzo się skłania do lewicowych poglądów.
Trznadel: No, i musiało tak być, bo to, co wyskoczyło potem, nie wyskoczyło nagle, znikąd.
Watowa: Prawda, ale rozumiesz, jednak w tym pochodzie, jak mu proponowano, żeby maszerował, to nie maszerował. ((śmiech)) Ważyk jak usłyszał to, mimo to, że jak mnie zobaczył dwa dni po aresztowaniu Aleksandra, to przeszedł na drugą stronę ulicy, tak się przeraził, żeby go nie zobaczyć ze mną. Jednak poleciał do Wandy Wasilewskiej. Dlatego, że Putrament zażądał, żeby potępić tych aresztowanych.
Trznadel: W imię czego? Czy już wtedy było jasno sformułowane?
Watowa: Bo był artykuł już przygotowany. Już ten przygotowany artykuł, właśnie tutaj zapomniałam. Wiem, że się zaczyna na K.[394], nazwisko tego, tego, kto ten artykuł przygotował. Zresztą też, zdaje się, że biedny, zastraszony człowiek, któremu kazano taki artykuł napisać. No niby straszliwie obelżywy.
Trznadel: Gdzie on się ukazał?
Watowa: On się ukazał, jeśli się nie mylę, to chyba w „Czerwonym Sztandarze". No, i żeby potępić, i żeby się wszyscy podpisali. I żeby się odgrodzić. Rozumiesz? Czym to groziło jeszcze dodatkowo. Przecież on sobie doskonale zdawał sprawę. No, i Ważyk poleciał po Wandę Wasilewską, i jednak Wanda Wasilewska nie zgodziła się na to, to znaczy zaprotestowała. Powiedziała, że Ci ludzie jeszcze nie byli sądzeni i że na to mamy jeszcze czas – jak się okaże prawdą. I potem jej zachowanie się, w dalszym ciągu bardzo przyzwoite, dlatego, że z... prawda, z Marysią Zarębińską, wiesz, żoną Władka Broniewskiego, z Olą Leszczyńską, ze Sternową, której Anatol siedział. On siedział tylko trzy miesiące. Wiesz, to jego zwolnienie po trzech miesiącach zostało jednak dla nas tajemnicą, bo on był jedyny człowiek, który został zwolniony, ale nie wiem, dlaczego. I proszę ciebie, ona się bardzo tym przejęła. I poszła do Chruszczowa, bo przecież to Chruszczow był wtedy we Lwowie. I Chruszczow tę sprawę załatwiał z Borejszą. Także… i Chruszczow jej powiedział, zresztą jak wchodziłam do niej, ona powiedziała, że ona była. I Chruszczow jej wręcz powiedział swoim, prawda, dosadnym językiem, żeby swojego nosa nie wsadzała tam, gdzie nie trzeba i żeby się do tych spraw nie wtrącała. Także… Bardzo

[394] Mowa o Witoldzie Kolskim, zastępcy redaktora naczelnego „Czerwonego sztandaru". Artykuł, o którym wspomina Watowa to *Zgnieść gadzinę nacjonalistyczną*, który został opublikowany 3 dni po aresztowaniu Aleksandra Wata, Władysława Broniewskiego i innych. 27 Stycznia 1940. „Czerwony Sztandar" 1940, nr 104;

220:7918998575

chciała wyciągnąć swoje dwie przyjaciółki, wielkie przyjaciółki Daszewskiego, które on zresztą wsadził, które były zresztą jego intymne przyjaciółki. ((z emfazą)) Znane komunistki, nie pamiętam ich nazwiska. Dwie młode dziewczyny.
02_Fon.61.700 Strona B / 10.01.1981 r.
Watowa: które on zresztą wsadził, które były zresztą jego intymne przyjaciółki. ((z emfazą)) Znane komunistki, nie pamiętam ich nazwiska. Dwie młode dziewczyny.
Znane komunistki sprzed wojny, które siedziały i tutaj Wandzie szalenie zależało, żeby je wyciągnąć. Ona chodziła i tłumaczyła. Nie wiem czy one... W każdym bądź razie były szalenie w komunizm zaangażowane itd. No, i także, wiesz, nic nie mogła zrobić, tak że jej działalność, wiesz, była bardzo pozytywna wtedy.
Trznadel: Ona była w końcu z porządnej rodziny, jak to się mówi.
Watowa: Tak. No, a potem, wiesz, kiedy mnie między innymi wywieziono do tego Kazachstanu i nie można mi było wysyłać żadnej paczki, ((z emfazą)) bo nie wolno było wysyłać paczek, ale Wanda miała pozwolenie, wtedy Halina Górska, powiedzmy, kupiła mi kołdrę, a tam ktoś znowu coś, bo ja tam nic nie miałam. To jednak Wanda Wasilewska tę kołdrę wysłała. Zresztą powiedziała, nie wiem, dlaczego: „nie wiem, dlaczego, ale najbardziej mi żal tej Watowej". ((śmiech)) Tak powiedziała.
Trznadel: To ważne jest co mówisz, bo w jakimś sensie, no nie wiem, ja mogę się oprzeć na jakimś takim bezimiennym nastroju, który panuje. Właściwie to Wanda Wasilewska została tak jakby *consensus omnium* skreślona trochę z literatury polskiej. Pod spodem, tu się właśnie liczy za zdradę, no, bo po wojnie nie wróciła.
Watowa: Tak, ale znowu, wiesz, to wielkie słowo, zdrada.
Trznadel: No... (((z powątpiewaniem)))
Watowa: No, więc wyobraź sobie, że któregoś dnia, prawda, dzwonek u drzwi. Przychodzą. Ona miała taką willę, w każdym bądź razie jakiś piętrowy domek, przychodzą, Bogatko otwiera drzwi i, i wtedy kładą go, i ona, bo ja… ja miałam potem to wszystko opisane przez Marysię Zarębińską, która bardzo się przyjaźnią z Wandą Wasilewską we Lwowie. I prawda… strzelają, kładą go trupem i uciekają. I potem, jak Aleksander mówił, że chyba jedyny w historii sowieckiej nie odnaleziono morderców, rozumiesz, nie odnaleziono, bo zawsze się znajduje, ((z emfazą)) zawsze. Czy to jest ten sam czy nie, ale musi się znaleźć. Tutaj, w tym wypadku nie znaleziono. I to była dla niej, rozumiesz, tak zwana nauczka, tzn., żeby zrozumiała, taka

221:8618553324

łopatologia, żeby ona pojęła, że ona ma być instrumentem, dosłownie w ich rękach, i że ma robić to, co jej każą robić.
Trznadel: Czy dobrze wiadomo, kim byli sprawcy tego zabójstwa?
Watowa: Nie wiadomo! Nie wiadomo, ponieważ ich nie odnaleziono. Oni się posługiwali wtedy,
Trznadel: To jasne.
Watowa: Ponieważ oni bardzo, bardzo, wiesz, Ukraińcy, ja nie wiem, dlaczego im to wpadło do głowy. Ponieważ Ukraińcy byli tak, wiesz, w gruncie rzeczy, słabo mówiąc, nieprzychylnie usposobieni do Polaków, to kto wie czy oni by się nie posłużyli tutaj Ukraińcami, którzy zdaje się, do spraw takich, porachunków, nie są tacy trudni, wiesz. Mają – zdaje się – duży procent okrucieństwa w sobie.
Trznadel: W każdym razie, może on miał jakieś porachunki, że tak powiem, z władzą sowiecką?
Watowa: Kto?
Trznadel: Bogatko.
Watowa: Bogatko nie miał porachunków, Bogatko był prawdziwym robotnikiem. Bogatko był proletariuszem.
Trznadel: Dlaczego on został wybrany?
Watowa: Dlatego, że on był mężem Wasilewskiej. Wasilewska go kochała.
Trznadel: Rozumiem, to jej osoba grała tu rolę.
Watowa: Tak! To nie on, bo jego mogli zaaresztować, tak jak wszystkich innych, za gadanie. Za mówienie rzeczy, których się nie mówi, bo wtedy nie wolno było powiedzieć – na początku – nie wolno było złego słowa powiedzieć o Niemcach. Ja pamiętam jak Aleksander mi powiedział: Ola, ty się wystrzegaj, ty nie mów nic o Niemcach, dlatego, że za to, to ty możesz… jeżeli, rozumiesz. On uważał, że on jest tym kraju, właśnie, który należy do niego, i on uważał, że on może wszystko mówić... co on o tym myśli. Ale to nie w niego uderzono, tylko uderzono w nią. I od tej pory ona zrozumiała, że ona jest narzędziem.
Trznadel: Ona jest narzędziem i prawdopodobnie jest narzędziem, któremu wyznaczono już jakąś poważniejszą rolę w przyszłości. Bo taką rolę miała odegrać.
Watowa: No tak, No tak. I ona… bo jej… ona zrobiła ten Związek Patriotów,
Trznadel: Tak jest.
Watowa: Prawda, ale przecież ja jestem przekonana, że nie ona to wymyśliła, ona miała dyktowane, prawda. Potem, proszę ciebie, pamiętam jakeśmy dostali te, na posiołku, wiesz, takie

222:5260905517

takie, elementarze dla dzieci polskich. Ona, żeby niby była ta polska szkoła. No to na pierwszej stronicy był Stalin, oczywiście, wszystko się zaczynało od Stalina. On który kocha dzieci i on o te polskie, ma o te dusze dbać, i o naukę, i wykształcenie, i tak dalej. No, i ona to robiła. No, a potem oczywiście przyszło nieograniczone konto w banku. Wiem od Justysi Kreczmarowej, która pojechała z Teatrem Polskim, wiesz, zresztą Broniszówna była wtedy także, z już nie wiem z jaką sztuką, bodaj z *Domem Kobiet*, a może co innego. No, i ona wtedy się spotkała z Wasilewską Wandą.

Trznadel: To było w jakich latach?

Watowa: To było, wiesz, w każdym bądź razie… jeżeli myśmy wrócili w czterdziestym szóstym, ja myślę, że to był chyba sam początek… to mogę bardzo łatwo dowiedzieć się od Broniszówny.

Trznadel: W pięćdziesiątym roku…

Watowa: Tak. I proszę ciebie, była zaproszona do Wandy Wasilewskiej. No, według mnie w bardzo złym guście były np. takie wiesz, no portiery, to się nazywało z lamy złotej. Byli lokaje w białych rękawiczkach. No, i potem ona z nią wyszła na Moskwę, wyszła do sklepu, wspaniałego sklepu z futrami. Sklep może nie był wspaniały, ale wybrała jej wspaniałe wizony, no, i wystawiła czek. Rozumiesz? Dowiedziałam się… Justysia, która przyjechała i wstydziła się w tym futrze wyjść. Wiesz, w tej Warszawie, w ruinach i tak dalej, i w ogóle, że z Moskwy, i w ogóle, że od Wandy Wasilewskiej, o której nie wypadało mówić. Więc to było wszystko bardzo krępujące, no, ale nie mogła tego nie przyjąć i w gruncie rzeczy ona lubiła tę Wandę, ona była tak przyjazna, taka jakaś serdeczna i ciepła, i lubiła tą Kreczmarową, i lubiła Janka Kreczmara. Bo Janek był bardzo, wiesz, też taki lewicowy. W każdym bądź razie po wojnie.

Trznadel: No, ale to wszystko znaczy, że jednak w końcu Wasilewska, w jakimś sensie została kupiona i kupiła to, bo można...

Watowa: Tak, ja Ci powiem, więc tu się teraz trzeba zastanowić, co to znaczy być kupioną. To znaczy, że ona w sobie samej, czy ona po prostu chciała przeżyć i bała się lagru, bała się więzienia, bała się śmierci, czy…

Trznadel: Tak, to na początku…

Watowa: …czy też została przekonana?

Trznadel: Myślę, że jedno i drugie.

Watowa: Myślisz, że została przekonana?

223:1586226867

Trznadel: Ja oczywiście nie znam tych spraw, ale myślę, że te sprawy są pokrętne i jest podświadomy lęk, do niego dołącza się przekonanie. Zresztą powiem ci, że to jest jeden z problemów, nad którymi ja się zastanawiam nieustannie. I nawet myślę, że to większa ilości ludzi powinna się w jakimś sensie wypowiedzieć. Może właśnie w formie takich wywiadów, które – nie wiem – czy mogłyby być ogłoszone już teraz, czy powinny pozostać tylko zmagazynowane, prawda, bo jeżeli wziąć… powinna kiedyś być monografia na temat czegoś takiego jak stalinizm w polskiej kulturze. Niewątpliwie epizod, o którym ty mówisz i Lwów końca trzydziestego dziewiątego i czterdziestego roku, prawda, i początku czterdziestego pierwszego, to też się wlicza w ten epizod stalinizmu w polskiej literaturze. I teraz nie sposób założyć, że ludzie robili pewne rzeczy tylko z lęku i tylko z oportunizmu, bo przecież znamy dużo przykładów, że różni ludzie nie robili tego, jak np. Aleksander. I myślę, że – co tu jest najciekawsze – tzn. jakie racje przemawiały za tym, że ludzie byli przekonani, prawda, że Ważyk mógł powiedzieć ostatnio to, co powiedział. „Robiłem to, bo zwariowałem". Tylko, że…
Watowa: „Cierpiałem na rozdwojenie jaźni".
Trznadel: ((z emfazą)) Tak, tylko, że jak zwrócił uwagę, ten któryś z intelektualistów włoskich, Silone chyba, że nie można takim słowem pokryć wszystkiego, że to się domaga konkretnej analizy. I myślę, że tej analizy trzeba dokonać i w stosunku do tych generacji pisarzy o przekonaniu lewicowym, i w stosunku do generacji pisarzy o przekonaniach powiedzmy nie lewicowych, a głęboko demokratycznych, takich jak Dąbrowska czy Nałkowska, innymi słowy pokolenia liberalnych pisarzy, i w stosunku także do nowego młodego pokolenia po wojnie. To jest problem do wyjaśnienia. Kiedy mnie pytają ludzie z dzisiejszej, zupełnie młodej generacji, no powiedzmy studenci czy doktoranci: „ale właściwie, dlaczego tylu ludzi było opętanych?" itd. I myślę, że odpowiedź na to nie jest złożona, ale powinna być zawsze bardzo konkretna. I ja osobiście myślę, że pewnego typu lęk zepchnięty w podświadomość był współrzędną tego, co ty mówisz, że jednak jakoś wierzyło się w tą ideologię, te rzeczy grały u każdego w inny sposób. Oczywiście byli ludzie, którzy nigdy na to nie poszli.
Watowa: Tak… wymieniłeś nazwisko Dąbrowskiej. Wydawało by się, że u Dąbrowskiej już naprawdę nie było cienia, żeby, żeby pomyśleć o niej, że ona była w jakiś sposób zaangażowana. Jednak nie wytrzymała nacisku. Jak była na, na, zaproszona do Moskwy, jednak nie odważyła się nie podnieść tego kielicha i nie wypić za Stalina.
Trznadel: A no właśnie. Który to był rok? Pamiętasz?

224:9060101366

Watowa: No właśnie, że są niestety, to są rzeczy...
Trznadel: Bo przecież, no masz rację. Dla mnie, to znaczy dla pokolenia ludzi wstępujących w literaturę, obserwujących kulturę i życie literackie po wojnie, bo ja pamiętam, no, tak normalnie, że ja tę „Kuźnicę" zaczynałem czytać tak mniej więcej, jak ona wychodziła. To jednak w takim sensie uważało się, że tacy ludzie, nie tylko tacy jak Żółkiewski, prawda, ale tacy także jak Dąbrowska, Nałkowska czy Adolf Rudnicki, że oni akceptują tę rzeczywistość, każdy inaczej, prawda, jedni byli w PPS–ie, inni nie byli. Ja kiedyś rozmawiałem z... Jankiem Błońskim, który mówi i powiedział mi, że jednak tak zwana liberalna, prawda, część pisarzy polskich, ci liberały przedwojenni, nawet nie ci komuniści, oni ponoszą ogromną odpowiedzialność, prawda, za to, że – w ten czy w inny sposób – ta kultura poddała się, no, na pewien czas, ale w innych dziedzinach na dłużej, i komunizmowi, i stalinizmowi przede wszystkim, i realizmowi socjalistycznemu. Bo dla nas ludzi, którzy byli przeciw po wojnie, to było bardzo mało, bardzo mało. I w końcu to działało, bo myśmy mało wiedzieli, ale myśmy trochę wiedzieli, ale myśmy sobie to jakoś wszystko wyjaśniali.
Watowa: No tak, a poza tym, wiesz, Ci który bardzo dużo wiedzieli, to znaczy ci wszyscy, którzy wracali z Kazachstanu, niestety, wiesz, którzy wszystko wiedzieli, tak jak zresztą wiedział o tym Ważyk. To tutaj zagrało zupełnie, tutaj zagrało… wiesz, ten szalenie silny instynkt człowieka, żeby żyć i żeby żyć dobrze.
Trznadel: Może także i to, prawda.
Watowa: Dlatego, że ci wszyscy ludzie zaczęli robić kariery. Zresztą mówiłam ci to kiedyś, jakeśmy opuszczali Kazachstan, to było takie przemówienie enkawudysty, że mimo to, żeście tutaj byli tak długo, że wszystko wiecie, że wszystko żeście przecierpieli, pomimo wszystko, tego… mamy jeszcze do was o wiele większe zaufanie niż do kraju, do kraju, do którego wracacie, do Polski, i do Polaków. I oni, wiesz, powybierali. To to nie to, że Żydzi się pchali, bo bardzo wielu Żydów, którzy w ogóle się uratowali, uratowali się jednak tam. Mimo to, że mogli zginąć. I wiesz, ci wszyscy Żydzi, którzy obsiedli stanowiska ((z emfazą)) w radio, w telewizji, w wydawnictwach, wszędzie gdziekolwiek poszedłeś, i co rzeczywiście mogło w końcu, mogło, może nie powinno, ale mogło podrażnić społeczeństwo polskie…
Trznadel: Tak, z tym może prawda.

Watowa: I to byli przede wszystkiem właśnie ci, którzy stamtąd wrócili, którzy wszystko wiedzieli, którzy tutaj prowadzili dalszy ciąg, wiesz, tej straszliwej tej polityki.

225:5093775019

Trznadel: No właśnie, ja cię Olu chciałem, w związku z tym co mówisz, że wszystko wiedzieli zadać takie pytanie: bo ja pamiętam, i tu byłem świadkiem, takiego zebrania, u nas, w Instytucie Badań Literackich, to był rok pięćdziesiąty szósty, a więc to było po dwudziestym Zjeździe. Kiedy wczesny… tam był wicedyrektorem instytutu profesor Wolte, on pisał o Mickiewiczu w Rosji, on był członkiem Związku Patriotów Polskich, on przyjechał stamtąd. On na naszych oczach, kiedy myśmy omawiali tajny referat, który nagle opublikowano także w Polsce – Chruszczowa na dwudziestym Zjeździe – on zaczął płakać. On mówi: „to ja…, to myśmy o niczym nie wiedzieli". To znaczy, nie wiedzieli, że to Stalin jest odpowiedzialny, bo to Jagoda, bo to Jeżow, prawda, ale nie Stalin, myśmy nie wiedzieli. I otóż, w związku z tym, to się wydaje wprost niewiarygodne, bo to przecież są informacje oficjalne i półoficjalne. Czy… jaka była, jaka była świadomość? Co się mówiło? Powiedzmy już, począwszy od… no bo wyście – wiadomo – jeszcze przecież bardzo dużo przeżyli. I ty z Andrzejem, i Aleksander. Jaka była świadomość innych ludzi, czy powiedzmy, w tym czterdziestym roku we Lwowie, czy była już wtedy świadomość, w trzydziestym dziewiątym, czy to się mówiło, że to jest jakieś wyzwolenie, czy była ta świadomość, którą, no, mamy w tej chwili, że to był następny rozbiór Polski.
Watowa: Nie, nie, nie… nie było. Według mnie nie było uczucia, że to jest wyzwolenie. Na odwrót. Ja ci powiem: to był wielki strach.
Trznadel: Strach, ale czy było poczucie, że to jest zabór, prawda, rozbiór.
Watowa: Że, czy to jest rozbiór? – to tego nie jestem pewna, że to było na początku, ale… jakieś może nadzieje się wiązały. To znaczy, że nie wszyscy sobie zdawali sprawę do czego to może doprowadzić. To, to prawda. Dlatego, że… o ile wtedy już Aleksander odszedł, wiedział już o procesach, wiedział, co się dzieje, byli jednak tacy, którzy nie zdawali sobie z tego sprawy.
Trznadel: Tak.
Watowa: Co, u ciebie się skończyło? Tak?
Trznadel: Ja patrzę, czy się skończyło. Jeszcze nie.
Watowa: Tu masz lampę za sobą.
Trznadel: Jeszcze się nie skończyło.
Watowa: Tak…
Trznadel: Więc nie zdawali sobie sprawy, bo przecież część ludzi, no! To tam współpracowała, tam wychodziły pisma w radzieckim Lwowie, tamci ludzie siedzieli i publikowali.
Watowa: No tak, ale weź, słuchaj, słuchaj.

226:2150035531

Trznadel: Ważyk, Rudnicki, Jastrun chyba też.
Watowa: Słuchaj, ja ci powiem, weź ten, ten „Czerwony Sztandar", prawda? Więc, tam pracowali ludzie, którzy nie wierzyli, tylko dlatego, że musieli się o coś zaczepić, dlatego że… powiedzmy ten Dan, ten taki Dan, który był taki, okazuje się, do Aleksandra przystawiony. Bo on nie tu... Według mnie to był na pewno, to był porządny człowiek, który miał to nieszczęście, że zrobił – zdaje się – wywiad z tym Vallmontem w Paryżu, i który był już narażony na to, że go… że będzie uwięziony i tak dalej. To proszę ciebie, on namawiał na przykład Aleksandra, że, że dla jego dobra, żeby on tam wszedł, że w ten sposób może uniknie aresztowania itd. Więc ja myślę, że było sporo takich ludzi, którzy chcąc odwlec ten moment, że może uda się wymknąć – wiesz – w tej sieci, tego niebezpieczeństwa. Że oni do tego „Czerwonego Sztandaru" tam wchodzili i…nie wiem ja. Ja mam takie – wiesz – ten Lwów to dla mnie jest tak: strach, od razu straszliwa nędza, straszliwy brud, wiesz, jakaś, jakiś koniec, rozumiesz, cywilizacji, w której się żyło.
Trznadel: Tak.
Watowa: Najazd barbarzyńców, rozumiesz?
Trznadel: Z tym, że barbarzyńcy ze wschodu.
Watowa: Tak...
Trznadel: No, bo wy właściwie nie byliście pod okupacją niemiecką.
Watowa: Tak... I nic nie wiedzieliśmy. Byliśmy odcięci od Polski. I w gruncie rzeczy myśmy sobie zupełnie prawie do końca nie zdawali sprawy, co się działo w Polsce!
Trznadel: Tak.
Watowa: Nie wiedzieliśmy, że w rezultacie, jeżeli masę Polaków tam zginęło. Masę. Z głodu, z chorób i rzeczywiście masę Polaków leży w tej, w tej nieludzkiej ziemi, ale, proszę ciebie, oczywiście mogliśmy tam sto razy zginąć, jak zginęli… niewątpliwie zginęlibyśmy wszyscy, gdybyśmy zostali w Polsce. (((zdenerwowanie)))
Trznadel: Albo prawie wszyscy.
Watowa: Nie! Na pewno wszyscy, dlatego, że wiesz… Myśmy należeli do tej, do tej takiej rodziny, że Aleksander by nie porzucił mnie, nie umieścił by mnie, powiedzmy, gdzieś oddzielnie, Andrzeja oddzielnie. Bo to trzeba było... A poza tym, jak gestapo weszło…
Trznadel: To były listy przecież.
Watowa: Tak, on był na liście! Był na liście, więc był do rozstrzelania.

227:1137947998

Trznadel: W pierwszym okresie już?
Watowa: Tak, a ja wiesz, o ile… o ile te ten Kazachstan mnie jakoś szalenie wzmocnił, może to, że miałam tą odpowiedzialność za dziecko, o tyle bym absolutnie nie mogła znieść tego, co się działo w Polsce, nerwowo, po prostu. Albo bym została od razu zabita, bo przyznałabym się od razu, albo bym zwariowała, bo tego bym nie mogła znieść.
Trznadel: Tak, no to w tym sensie tutaj ten wschód wam także czegoś oszczędził. Ale jeszcze bym chciał wrócić do sprawy tego środowiska lwowskiego. Ty sądzisz, że…, bo, u pewnych ludzi motywacją oczywiście musiało być przetrwanie, także materialne, bo to było jakieś uczepienie się. Ale dla pewnej ilości polskich intelektualistów i zapowiadających się, czy ta współpraca chyba musiała mieć przesłanki ideologiczne. No tak jak mówiliśmy: Ważyk czy Adolf Rudnicki, czy Jastrun – to byli ludzie… No, nie wiem. Myślę, że oni… można było przetrwać także w trochę inny sposób.
Watowa: Właśnie, jak, jak potraktować Rudnickiego, który, rozumiesz. Jeżeli on miał… właśnie… był pociągnięty przez tą lewicowość, on właściwie wrócił do Polski. To znaczy, że on nie chciał. Bo wiesz, były możliwości, np. wyjazdu do Moskwy. Dawali takie możliwości tym, co nie… Proponowano wyjazd do Moskwy.
Trznadel: W którym okresie?
Watowa: To już było po aresztowaniu. W tych… to wiem, że były… proponowano różnym ludziom, że mogą pojechać do Moskwy. Nawet – wiesz – to, co Aleksander w *Moim wieku* opisuje jak ma tą rozmowę Broniewski, on i Pavlenko. I oni mówią rzeczy takie naiwne.
Trznadel: Tak.
Watowa: I ten mówi: ja bym wam radził pojechać do Moskwy. Znaczy się, były możliwości wyjazdu do Moskwy. To nie znaczy, że w Moskwie nie byliby zaaresztowani i nie byliby może tam jeszcze prędzej rozstrzelani albo coś takiego, ale, w każdym bądź razie, były takie tendencje ściągania trochę tych Polaków do Moskwy.
Trznadel: No, i część tych ludzi jednak ewakuowała się do Rosji, a część nie. No, bo na przykład Jastrun się nie ewakuował do Rosji, prawda.
Watowa: No dobrze, ale jak teraz mi wytłumaczysz Ważyka, który jednak jest – nie ulega wątpliwości – bardzo wybitnym poetą i inteligentnym człowiekiem, że on po powrocie do Łodzi, do Polski, on potrafił dojść do tego, że jak zobaczył Broniszówną – zresztą w pierwszej chwili zachował się bardzo… miał możliwości finansowe, rozporządzał jakimiś sumami pieniędzy –

228:9176315252

zaprosił ją na rozmowę. Powiedział, czy jej czegoś trzeba, że on ma pieniądze, że on jej może dać jej pieniądze itd. Ale od razu przeszedł do tego, że – ona nie może do tej pory zresztą tego zapomnieć, jak on w ogóle odważył się – po prostu zaproponował jej współpracę. To znaczy: czy pani by nie mogła informować nas o nastrojach w teatrze itd. Na co Broniszówna powiedziała: wie pan, nie rozumiem Pana propozycji, bo właściwie byłoby najlepiej, żeby Pan przyszedł do teatru i porozmawiał z aktorami, i wtedy pan by się doskonale zorientował. Więc, rozumiesz, ten Ważyk, który rzeczywiście wiedział i widział, wiesz, ja, ja, ja, mi jest trudno właściwie zrozumieć tego człowieka. Trudno mi to zrozumieć. Cała jego potem działalność, całe zachowanie się we Lwowie. Znaczy się, poza tym odruchem, że poleciał do Wasilewskiej jednak, wiesz był () postępowaniem Putramenta, który chciał potępić i odgrodzić się, przede wszystkim. Wiesz, żeby ratować się, żeby odgrodzić się od kolegów. Ale cała potem jego długoletnia, zażarta, wiesz, działalność. Przecież, on z Aleksandrem, wiesz, on latami… Czy ty wiesz, że ja pierwszy raz byłam u Ważyka (bo myśmy oboje nigdy nie byli u Ważyka), teraz w Polsce.

Trznadel: Tak.

Watowa: Jak przyjechałam do Polski, to tylko dlatego, że Paweł Hertz powiedział: wiesz co… o, to jest stary, chory człowiek. On by się ucieszył, żebyś ty się do niego odezwała. On będzie wiedział, że ty jesteś tutaj. Odezwij się. I wiesz, na tą myśl, ponieważ ja należę do tak zwanych ludzi wdzięcznych, jednak ta myśl, że on jednak napisał w tym czasie ten list w „Kuźnicy", „dlaczego nie wypuszczają Aleksandra Wata z Rosji"?

Trznadel: Tak…

Watowa: W prawdzie, tłumaczyli to tutaj nam na emigracji, że nie ten list podziałał, tylko przedruk tego listu w prasie emigracyjnej z dodatkiem, że – *voila* – komunista, redaktor itd. To tam teraz go zgnoją. I że to właściwie podziałało. ((śmiech)) Ale niemniej, on ten list napisał.

Trznadel: Ja myślę, że trzeba było pewnej odwagi do tego, do napisania tego.

Watowa: I może trzeba było pewnej odwagi do tego. Więc ja zatelefonowałam do niego i muszę ci powiedzieć, że on się bardzo ucieszył i bardzo mnie gorąco jakoś przyjął. Bardzo żałuję, że zamówiłam sobie taksówkę, bo myślałam sobie, że [przerwane nagranie]. To mogła być rozmowa bardzo ciekawa, przede wszystkim, on tak jak gdyby oswoić mnie, wiesz, chociaż ja byłam bardzo oswojona, że było tak… zobaczyłam wiesz jednak tego człowieka, którego znałam wtedy kiedy miał – bo ja wiem – 19 lat, 20. Kiedy przychodził, kiedy, no bo miał takie bardzo

229:2379731068

ładne niebieskie oczy. Ważyk – „brzydki twarzyk" o niebieskich takich dużych ładnych oczach. To zresztą powiedziałam mu. Muszę ci powiedzieć, że on się zrobił teraz przystojny. O tyle przystojny, że ja – zresztą bardzo mu się to spodobało – bo jak go zobaczyłam, wiesz, taki, wiesz, trochę z brzuszkiem, taki otyły, niski, mały, ale z taką głową jakąś. I mówię: wiesz, Adamie, że ty masz głowę wieszcza teraz, ((śmiech)) także bardzo tego… rozumiesz. I on nagle mi powiedział: no wiesz przecież, że ja kiedyś byłem stalinistą. No, i ja mówię: no wiem, wiem. I wiem, że mogłaby się potoczyć ciekawa rozmowa, szczególnie że on napisał ten… dał to, to nagranie, które ma być wydrukowane po jego śmierci, jego uwagi na temat *Mojego wieku*

Trznadel: Jest jednak takie nagranie?

Watowa: I posłał to Czesławowi.

Trznadel: Ach tak.

Watowa: Tak, i Czesław mi napisał o tym, że on ma to nagranie, więc ja jestem bardzo zaintrygowana. Jak Czesław tutaj był, to powiedział: wiesz, w gruncie rzeczy tam nie ma nic poważnego. To są jakieś takie raczej uwagi, takie sprostowania, co do... prawda czy czas, czy, że on tam przeinaczył coś, że, że... niepoważne.

Trznadel: To dlaczego to zastrzeżenie? Jakby się czegoś jeszcze bał.

Watowa: Właśnie, więc ja mówię: słuchaj Czesław, jeżeli on ma prawo mieć swoje uwagi i swoje zastrzeżenia, i uważa, że Aleksander nie napisał czegoś tak, jak było w istocie, to ja mam prawo o tym wiedzieć i mam prawo, powiedzmy, odpowiedzieć. Ja bym to złożyła na twoje ręce, jak on umrze, ja umrę, no to wtedy będziesz miał już jego zarzuty i moją odpowiedź. No, ale jakoś do tego nie doszło. Ale był taki nastrój u niego, że ja czułam, że gdybym ja została, to on by mi wszystko powiedział. Przy czym wydał mi się… miałam chwilę jakiejś takiej litości, wiesz, dla niego, współczucia. Dlatego, że dość tak teatralnie pokazała się w korytarzu, wiesz, w holu jego żona. W przeciwieństwie do niego – wysoka, wiesz, trzymająca się równo na tej jednej nodze oparta o laskę, o jeszcze o śladach urody. Na pewno wiele od niego młodsza. I która, wiesz, od razu jak to się czuje… wiesz pomiędzy ludźmi. Nie mówią, ale są jakieś fluidy, które wiesz, od razu człowiek wiesz... No, i od razu czuło się jej dominację nad tym człowiekiem, który już teraz jest odstawiony na boczny tor, który już jej nie daje tego stanowiska, jakie ona miała przy nim wtedy, kiedy mówiono, że on zarabiał, wiesz, 60 000 miesięcznie. Że nigdzie się tak nie jada, jak u Ważyków, że nigdy nie ma takich, nigdzie nie ma takiej zastawy itd. Kiedy nigdy myśmy tam do tego domu nie byli zaproszeni dlatego, że on w ogóle Aleksandra unikał i

230:7380941305

bał się go, nie chciał się z nim wdawać w żadne rozmowy. No, i ona tak powiedziała: dzień dobry pani, zaraz podam herbatę. Adamie! Przyjdź mi i pomóż. Ale to wiesz, takim rozkazującym… I wiesz, ten Adam, który taki, tak się poderwał, rozumiesz, i takim drepczącym, takim szybkim krokiem poleciał, wiesz. I widać było to, że…, że, on jest właściwie już takim teraz już… że ona… Potem pokazała się na chwilę jego córka, która nie miała ochoty wejść do pokoju. Wiesz, zresztą rozumiem, młodzi na ogół unikają, wiesz, zetknięcia z ludźmi starszymi. Więc on powiedział: wiesz, no mogłabyś wejść na chwilę i przywitać się tutaj z panią Watową. Więc ona przyszła, przywitała się ze mną i momentalnie wyszła, nie powiedziawszy ani słowa.
Trznadel: Tak, bo on przez historię jakoś został zdominowany.
Watowa: No, i wiesz, byłam… Tutaj nagle zaczął mówić o tym i widziałam szalenie rozgoryczonego przed sobą człowieka, że w ogóle go nie… Wtedy miał być wieczór – zdaje się – w tym, w PEN Clubie o Baudelairze.
03_Fon.61.701 Strona A
Watowa: (((rozbawiona))) Zaraz, bo ja zawsze tego Baudelaira z Apollinairem mylę. O kim pisała Hartwig?
Trznadel: Chyba o Apollinairze.
Watowa: O Apollinairze. Więc wieczór o Appolinerze. I Międzyrzecki miał właśnie z Hartwig tam, zajął miejsce. I on bardzo tym był zraniony. Dlatego, że on powiedział, że: „wiesz, dziwię się bardzo, ale przecież – bądź co bądź – ja byłem tym pierwszym, który kiedyś w Polsce tam i przetłumaczył, i tak dalej, i tak dalej, że oni mnie nawet nie zaprosili, żebym powiedział kilka słów. No, i wtedy zadzwonił Paweł Hertz, który jest prawda () Więc po rozmowie on wrócił do pokoju i powiedział: „właśnie dzwonił Paweł Hertz, żeby mi to wszystko wytłumaczyć, dlaczego, i tak dalej". No a potem rozmawiałam z Pawłem Hertzem, który mi oczywiście powiedział: „no słuchaj, on powinien zrozumieć, że on już jest stary i że nie wszystko zawsze będzie się zaczynało od Ważyka".
Trznadel: Więc właśnie…
Watowa: Więc to takie okrucieństwo, wiesz, rozumiesz, nagle na nim, wiesz, na nim zobaczyłam, wiesz, pracę czasu, rozumiesz, i to spychanie i to, wiesz, to wejście tych młodych na arenę i to zepchnięcie tego Ważyka.
Trznadel: Na a tu coś więcej niż tylko praca czasu. Bo to praca czasu połączona z wstrząsami społecznymi.

231:5132700793

Watowa: Z wstrząsami społecznymi…

Trznadel: Jedne wypchnęły, w pewnym sensie, także wypchnęły go trochę w górę inne na dół, a…

Watowa: Tak, tak,

Trznadel: A on myślał, że cały czas będzie na szczycie fali jechał, bo w stalinizmie jechał. Kiedy się stalinizm skończył *Poematem dla dorosłych*

Watowa: Tak.

Trznadel: Jechał na szczycie koncentracji.

Watowa: Słuchaj, słuchaj! Jak ja się zastanowię, że jednym poematem, ((z emfazą)) po tylu latach, wiesz, po tym wszystkim, co on wypisywał, po jego wystąpieniach w Związku, po stosunku w końcu, wiesz, chociażby – no, mówię w tym wypadku o Aleksandrze – do człowieka, którego znał tyle lat, który w jakim sensie, wiesz, i w jakim okresie jego młodości odgrywał jakąś rolę. Dlatego, że Aleksander bywał u tych Wagmanów, wiesz, bo on jest Wagman, jak ci wiadomo.

Trznadel: Wiem.

Watowa: Znał jego brata Tristana i tak dalej. Znał jego siostrę, która była dentystką, a u której tam – zdaje się – leczył się kiedyś i tak dalej. Że on się potrafił, wiesz, że miał tą, wiesz, zdecydowaną wolę odcięcia się, wiesz, od wszystkiego, co mogłoby przeszkodzić mu, żeby… żeby, rozumiesz, no… utrwalać swoje stanowisko i wznosić się w górę. I tutaj nagle ta żałość, wiesz, ta żałość tej, tej, tej, ta gorycz.

Trznadel: Tak, bo tu już inni ludzie rozgrywają po prostu partie, bo przecież on w ostatnim okresie, już sztandarem nie był. On publikował wiersze no… ogólne, psychologiczne, uniwersalne.

Watowa: Tak! Nie, nie, ale Jacek, słuchaj! Ty też jesteś poetą i w końcu się świetnie orientujesz o wszystkim, co się dzieje. Powiedz mi. Pamiętam, że byliśmy wtedy w Nieborowie. I ktoś przyjechał i przywiózł, wiesz, gorący jeszcze *Poemat dla dorosłych*. Byliśmy zebrani na () i był Szyfman, no, i ciemnawo było. Każdy chciał pierwszy czytać i wtedy Aleksander powiedział: „no to ja wam przeczytam ten poemat na głos”. Nie znając go, nie wiedząc nic. No, i przeczytał, i zresztą Szyfman się do niego zbliżył i powiedział: Panie Aleksandrze, ja pana już angażuje do Polskiego Teatru, bo Pan to lepiej przeczytał niż moi aktorzy. ((śmiech)) I słuchaj, ten jeden poemat przekreśla całą jego przeszłość.

232:4490319843

Trznadel: No, w jakim sensie to był wtedy najdobitniejszy wyraz protestu w środowisku literackim. Mnie się wydaje, że to nie może przekreślać, ale że tak jakoś niesłychanie entuzjazmowano się tym *Poematem dla dorosłych*, a także chyba dlatego, że to jednak nawet – myślę dziś z perspektywy – że to jest pod względem literackim bardzo, no, dobry utwór, że to jest…

Watowa: Dobry utwór!

Trznadel: Że to jest dzieło jakieś utalentowane i…

Watowa: No tak, ale to jest, prawda, to jest dzieło, znaczy się, to jest polityczne, prawda. To jest wystąpienie przeciw temu, co się działo i co się dzieje.

Trznadel: No tak.

Watowa: Więc…

Trznadel: Tam, *Poemat dla dorosłych* miał swoje granice, oczywiście. Ale było to dzieło odważne, bo nie wiem czy ty już pamiętasz, że wtedy były za poduszczeniem, prawda, wiadomych władz, organizowane zebrania robotników, także w Nowej Hucie, żeby tego Adama Ważyka potępić…

Watowa: Ach tak?

Trznadel: Tak! Podnoszono opinie publiczną przeciwko niemu. Także on w pewnym sensie, być może, nawet mógł się bać, że go pobiją. Więc to niewątpliwie był pewien akt odwagi.

Watowa: Aha.

Trznadel: Oczywiście, ta odwaga to nie była odwaga tego typu jak to dzisiaj jest w ruchu studenckim.

Watowa: Ale zaraz, kiedy? Kiedy to się stało, że było to zebranie?

Trznadel: Myślę, że niedługo po opublikowaniu *Poematu dla dorosłych.*

Watowa: Ach tak!

Trznadel: Bo tam jest taki fragment o robotnikach z Nowej Huty, w którym Ważyk, no, realistycznie napisał, że może coś z tego będzie w przyszłości, ale na razie to kasza jest. „Co? My jesteśmy kaszą?" – Krzyczeli ci robotnicy. „My, prawda, dumni proletariusze itd. My nie jesteśmy kaszą, pan Ważyk nas znieważa". – Zresztą jest do tego dokumentacja. Z tym, że oczywiście nie mógłby zostać opublikowany taki poemat, gdyby – i tu nie wiem jakie były przesłanki – sam Ważyk mógłby powiedzieć, dlaczego kończy się *Poemat dla dorosłych,* że partia – partią się kończy! – partia przezwycięży błędy i będzie partią na obraz Lenina. Bez tego

233:4071680643

niewątpliwie nie mógł być opublikowany. Wydaje mi się – to było w „Nowej Kulturze" opublikowane, że naczelny redaktor czy (...), on wtedy wyleciał za opublikowanie tego. Dla mnie było by ciekawe, i o to trzeba by Ważyka spytać i może to jeszcze zrobię, czy pisząc o partii Ważyk wierzył jeszcze wtedy w partię, czy też robił to dlatego, że już tego by żadna cenzura, prawda, czy biuro polityczne nie połknęło, bo to na pewno wysokie czynniki decydowały o tej publikacji. A ja nie wiem, bo… jeszcze tu się tak, wszystko się tajemniczo wiąże: i okres Lwowa, i okres późniejszy – bo co tu dużo mówić – tu nie ma żadnej cenzury, to są często ci sami ludzie. Więc ja mam takie jedno podejrzenie, jeżeli chodzi o powojenny okres stalinizmu, że ci ludzie jak ty mówisz, oni, jeżeli nie wszystko wiedzieli, to dużo wiedzieli, a nawet bardzo dużo wiedzieli. I być może – to ich jakoś tłumaczy, że oni mieli poczucie – ponieważ byli do władzy – ponieważ to my jesteśmy u władzy, to my zrobimy model polski. A dopiero potem z przerażeniem zobaczyli, zaczęli widzieć, że oni nie są u władzy, tylko oni są pozornie u władzy, a naprawdę są manipulowani.

Watowa: No, tak.

Trznadel: I myślę, że tutaj może jest klucz do tej jakiejś tragedii. No, bo jak wytłumaczyć: Ważyk, jak wytłumaczyć Jana Kotta, który wypisywał o realizmie socjalistycznym, o zwycięstwie socjalizmu. Ja pamiętam, w którychś ze swoich esejów zamieścił taką anegdotę, anegdotę, że jego, prawda, intelektualistę nauczył mądrości stary buchalter– komunista, że komunizm, socjalizm musi zwyciężyć. A dlaczego? Że bilans komunizmu jest zawsze pozytywny. To oczywiście była demagogii i gra słów. A dlaczego powiedział, że buchalter...

Watowa: ... i do tego jeszcze duża doza cynizmu.

Trznadel: Ale nie, bo to… cynizmu w tym sensie, że to była sofistyka.

Watowa: Wiesz, ja myślę, że właśnie, jaka jest różnica między Kottem, a Ważykiem. Że oni, że ten ma dużo cynizmu – Kott. Wiesz, że on jest…

Trznadel: No bardziej powierzchowny jako pisarz.

Watowa: Jako pisarz, ale to, co kierowało, wiesz, Ważykiem. Ja ci powiem, ja mam wrażenie, że to jest teraz bardzo dobra chwila. Gdybyś ty był w Polsce, że to jest, wiesz, chwila – to jest właściwie takie niełądne, co teraz powiem – ale to jest chwila, która jest przychylna, znaczy się, byłaby dla ciebie, żebyś ty chciał porozmawiać z Ważykiem. Jeżeli Ważyk – na pewno będzie miał do ciebie zaufanie i ty go zapewnisz, że to…

Trznadel: A on mnie nawet lubi.

234:7515727052

Watowa: …nie będzie drukowane na razie i tak dalej, to on może być bardzo dużą kopalnią, wiesz. Jeżeli on by chciał szczerze mówić.
Trznadel: Gdyby chciał. Bo on mnie nawet lubi, bo ja byłem człowiekiem, który o nim najwięcej pisał w powojennej Polsce.
Watowa: Szczególnie, że teraz on jest po prostu już łasy na zain..., na to, żeby… żeby mieć to uczucie, że nim się jeszcze interesują, rozumiesz?
Trznadel: Może tak. No, więc w każdym razie myślę, że oni mieli to poczucie, zdawało im się, żywili nadzieję, że oni będą sami rządzić. Bo ja skończę o tym buchalterze.
Watowa: Aha.
Trznadel: Więc on – Kott – napisał wtedy, że mu ten buchalter powiedział: „no tak, bilans socjalizmu jest zawsze pozytywny, bo zamykamy go dopiero po zwycięstwie". Więc jako sofistyka. Ale przecież ten sam Kott – w pięćdziesiątym szóstym roku – wygłosił przemówienie, z oczywistymi akcentami antyradzieckimi na Politechnice Warszawskiej. Wiec w końcu trzeba jakoś wytłumaczyć fakt, że pewni ludzie akcentują się także w proteście. I chyba to nie jest tylko sprawa – ja wiem – znów jakiegoś oportunizmu. Nie można chyba tak tego nazwać. To byłoby jakoś nieżyciowe, byłbym ostrożny, bo, no bo w końcu za to się jakoś także płaci, może się płacić. Więc to, co tutaj jest – wydaje mi się – najbardziej trudne do, do uchwycenia, no to to, co Miłosz próbował pokazać przez metaforę zniewolonego umysłu, jeżeli jakiś oportunizm, to jest podświadomy często, że to jest tak wszystko razem, złączone, prawda. Jedna rzecz przegryzała po prostu drugą. Ale myślę, że ci ludzie właśnie myśleli, że my sami rządzimy, że to może było ich złudzeniem, a w gruncie rzeczy okazało się potem, że oni byli manipulowani, oni się budzili wtedy z przerażeniem. Tylko to nie daje mi jeszcze klucza do, do złudzeń okresu lwowskiego. Wcale. Zupełnie. A jak ty długo Olu obserwowałaś, w którym momencie Was wywieźli? Jak długo obserwowałaś to środowisko we Lwowie?
Watowa: No właściwie to nie było, to nie był długi okres. Ja byłam w wywózce z trzynastego na czternastego kwietnia.
Trznadel: Czterdziestego roku.
Watowa: Czterdziestego roku. Aleksander był aresztowany w styczniu czterdziestego roku. Tak że mnie wywieźli po trzech miesiącach. Wtedy, wiesz, już po jego aresztowaniu, to trudno było by mi było mówić o obserwacjach dlatego, że byłam tak zaabsorbowana w ogóle, żeby żyć,

235:8511751908

żeby, żeby…, żeby jakoś istnieć. Potem dochodzenie, wiesz, jeszcze to złudzenie, że to tak jak w Polsce, że się idzie do prokuratora,

Trznadel: Tak.

Watowa: Że w ogóle można mieć widzenie itd. Dalej. To chodzenie do Wasilewskiej. Nadzieje, że w ogóle go zobaczę, że, że będę mogła mu coś dać, że będę mogła w czymś pomóc. Także trudno było mówić. No tylko takie gorzkie doświadczenie, jeśli chodzi o to właśnie, o to szalone tchórzostwo, wiesz. To znowu, to, ja ci powiem, ja nie biorę nawet tym ludziom za złe, bo jeżeli żyje się w takim strachu, to to, że wszyscy przestali się mną interesować i nikt nie przyszedł, żeby zapytać się czy mam po prostu dla Andrzeja…

Trznadel: Chciałem cię o to pytać właśnie. Jak środowisko, potem, po tym aresztowaniu, jak to odczułaś to wszystko.

Watowa: No odczułam okropnie. Dlatego że, byłam bardzo zdziwiona. Nie będę ukrywała, że ja nie mam zbyt takich pozytywnych uczuć w stosunku do Adolfa, bo ja go nigdy specjalnie nie lubiłam, ale któregoś wieczoru zjawił się Adolf, dosłownie na dziesięć minut, oczywiście nie zapytawszy mnie o to, co – prawda – z czego ja żyję, jak ja sobie radzę itd. On tak, wiesz, przyszedł i przyjrzał się. Do czegoś mu to było potrzebne. Albo po prostu, żeby dla… że uważał, że może wypada, żeby w moim wspomnieniu było to, że po aresztowaniu Aleksandra on był.

Trznadel: Tak.

Watowa: Ale to było wszystko: że był dzwonek, że on przyszedł, a potem on wyszedł.

Trznadel: O nim mi się mówi, że jest tchórzliwy.

Watowa: Tak, że rozumiesz. Poza tym, absolutnie nikt – to znaczy ja miałam ten kontakt z Marysią Zarębińską, z tymi żonami, które – prawda…

Trznadel: To była solidarność zrozumiała, prawda.

Watowa: To była solidarność i już nikt z nas się nie, nie, nie obawiał spotkania z osobą, której mąż też siedział. Rozumiesz? Także ten okres to jest to latanie do Wandy Wasilewskiej, która usiłowała jakoś jeszcze nam dodać odwagi itd. Uświadomienie sobie, że ((z emfazą)) absolutnie, co do jednego, ci wszyscy tak zwani przyjaciele przechodzili na drugą stronę, właśnie, ulicy. Łącznie z tym Ważykiem pierwszym. No, i bardzo takie wzruszające, wiesz, przeżycie, że kiedyś jak szłam ulicą właśnie po aresztowaniu Aleksandra, jakiś mężczyzna za mną szedł. Zbliżył się. Powiedział: niech pani wejdzie do pierwszej bramy. Muszę pani coś powiedzieć. Ja weszłam do pierwszej bramy i on powiedział: „proszę pani, nie możemy, nie mamy ani chwili

236:1196237341

czasu do stracenia. Nie wiadomo czy nie jesteśmy śledzeni. Pani jest żoną Aleksandra Wata, on jest w więzieniu, pani jest uciekinierką z Warszawy, pani jest bez grosza". I już miał w ręku przygotowane 1000 rubli. „Pani te pieniądze ode mnie weźmie". Ja powiedziałam: „ale ja nie mogę". – No wiesz, to jeszcze nie byliśmy przyzwyczajeni na początku, że się bierze. Że… że, rozumiesz. On powiedział: „niech pani to bierze dla swojego syna, a pani mąż mi to kiedyś odda". Zobaczy pani, on wyjdzie. Ale ja mówię: „niech mi Pan powie, kim pan jest". – „No, ja grałem w Qui Pro Quo, w orkiestrze tam Petersburskiego i Golda"[395], czy jak oni się nazywali. I momentalnie uciekł, rozumiesz. Ja nie pamiętam jego nazwiska i to był jedyny wypadek, kiedy doznałam – takiej jakiejś, wiesz – naprawdę solidarności.

Trznadel: No, ale to wspaniałe.

Watowa: Ale zupełnie wspaniałe. Natomiast nikt… nikt się nie interesował, nikt nie starał się pomóc, nikt nie myślał o tym czy w ogóle… Owszem. Kasprowiczowa. Jak przyszło Boże Narodzenie. Nie – Wielkanoc. To chyba nie była Wielkanoc, bo z trzynastego na czternastego kwietnia[396]… nie wiem, w jakim okresie jest Wielkanoc[397].

Trznadel: To święto ruchome.

Watowa: W każdym bądź jakieś święta. I zjawiła się Kasprowiczowa. Powiedziała: „pani Olu, pani przyjdzie do mnie z Andrzejkiem na święta", znaczy się, żeby spędzić z tam kilka godzin.

Trznadel: A już tamten Związek Literatów, który potępiał, oczywiście nie myślał o tym, żeby w jakiś sposób zaopiekować się tymi żonami aresztowanych.

Watowa: A nie, nie, absolutnie nie.

Trznadel: Żadnych kontaktów? Żadnych prób?

Watowa: Nie, żadnych, żadnych kontaktów. Natomiast, w mojej naiwności, wiesz, po aresztowaniu Aleksandra, wiesz, z samego rana poleciałam do tego Dana, który mi się wydawał tak szalenie przyjazny itd. No, i on mi otworzył drzwi, zobaczyłam jego straszliwie przerażenie. I on powiedział: „Co pani tu robi, dlaczego pani tu przyszła? Co pani tu robi?" Ja mówię: –

[395] Orkiestra Artura Golda i Jerzego Petersburskiego.

[396] Z 13 na 14 kwietnia zaczęła się zsyłka do Kazachstanu.

[397] To musiała być Wielkanoc 1940 roku. Wat został aresztowany 26 stycznia 1940 r., więc Boże Narodzenie spędzali razem. Wielkanoc 1940 przypadła na 24 marca (niedziela) i 25 marca (poniedziałek), a więc na niecały miesiąc przed zsyłką do Kazachstanu.

237:1473456549

„Proszę pana, ale pan wie przecież…" – „Tak, ja wszystko wiem. Niech pani stąd ucieka! Co pani tu robi?" Zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

Trznadel: To znaczy, że środowisko w gruncie rzeczy już w parę miesięcy po wkroczeniu Rosjan znało ich metody i było sterroryzowane świadomością grożących represji.

Watowa: Tak. Nie no, Dan, wiesz, Dan…. Jeżeli prawdą jest, że on – według Aleksandra – z tego wszystkiego, co on mu doradzał, to on był rozdarty – wiesz – między tym, że zmuszono go, żeby nastroje wybadać m.in Aleksandra, a z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że on miał jakąś ogromną taką ludzką – wiesz – sympatię. I lubił tego mojego Andrzeja, i zdaje się, że ja mu się trochę podobałam. I tutaj ten Aleksander, który – wiesz – tego… I on był rozdarty. Na pewno było mu ciężko z tym wszystkim, ale jak mnie zobaczył, to jakby zobaczył upiora. Bo wiedział, że on jest też za… On zresztą, nie wiem, czy został przez bombę zabity, w każdym razie zginął.

Trznadel: Jednym słowem, można powiedzieć, że w Radzieckim Lwowie właściwie Rosjanie zdołali właściwie natychmiast narzucić swój system wartości, prawda. Środowisku, w jakim sensie środowisku literackiemu, prawda, bo jednych aresztowali, drudzy starali się ich potępić. Po prostu nie było mowy o żadnej jedności. To była tego typu struktura, jaka zawsze objawia się w warunkach represyjnych. W kompletnej dezintegracji.

Watowa: Tak, poza tym – wiesz – tutaj jeszcze była sprawa Ukraińców. Wygrywanie, wiesz, tych wszystkich….

Trznadel: Tak.

Watowa: Oni są bardzo, wiesz, sprytni do takiego jakiegoś… do prowadzenia do jakiegoś pewnego paraliżu, rozumiesz?

Trznadel: Tak.

Watowa: A poza tym jeszcze przyłączają się do tego nieludzkie warunki istnienia, na przykład taka niby śmieszna historia, która się wydaje w tej chwili śmieszna, ale przydzielają Ważykowi jakieś kartofle i on przychodzi, a przed nim przychodzi Przybosiowa i już załadowała te kartofle i zabiera dla siebie siłą. On krzyczy: – to moje kartofle! A ona mówi tak: – To to są tak samo pana, jak i moje. I te kartofle zabiera. Więc rozumiesz, walka o kartofle. Walka. Poza tym zima była straszliwa.

Trznadel: Tak, pamiętam.

238:1109834745

Watowa: Zimno, ślisko, ten ponury Lwów, te światła, ten chleb – rozumiesz – nagle od razu następnego dnia chleb. Idziesz po chleb i ten chleb ci zjawiają w gazetę. Dosłownie następnego, nie po dwóch dniach, nie po trzech dniach, tylko następnego dnia nie było już papieru i chleb ci dają w gazecie. A jeszcze pamiętam, jak przychodzę do domu i nad gazem – wiesz – ten chleb tam, rozumiesz, opalam, bo tego… bo oczywiście potem przestałam wierzyć – wiesz – w tak zwaną higienę itd. Dlatego, że w tych stepach robiłam lepioszki, tutaj kładłam ten… te łajno wysuszone. Robiłam lepioszki i wcale nie myślałam, a o umyciu rąk nie było mowy, bo po wodę trzeba było chodzić kilometr.

Trznadel: Czy wtedy we Lwowie była świadomość, generalnie sytuacji przejściowej krótkotrwałej w tym układzie jaki się wytworzył: tu strona radziecka, tam okupacja. Czy też miano poczucie, że sytuacja może był długotrwała i stabilna? Bo przecież z ruchomością sytuacji można było wiązać jakieś nadzieje.

Watowa: No tak, ale ja ci powiem. Widzisz, aresztowanie w Rosji to jest wieczność, masz przedsmak wieczności.

Trznadel: Tak, to wieczności, prawda.

Watowa: Ty rozumiesz, więc w momencie aresztowania to już nie było – mam wrażenie – możliwości takiego luźnego rozumowania, bo np. w gruncie rzeczy i aresztowani, i rodzina aresztowanych nie wierzyli, że ci ludzie jeszcze kiedykolwiek wyjdą.

Trznadel: Tak. Czyli momentalne nastąpiła ich indoktrynacja systemem sowieckim, prawda?

Watowa: Tak. Wiesz, to jest takie potężne!

Trznadel: To jest bardzo ciekawe, co ty mówisz.

Watowa: To jest jakaś olbrzymia siła. Ja ci powiem, to jest właśnie ta siła, w przeciwieństwie do cywilizacji, że cywilizacja osłabia. Im bardziej człowiek jest cywilizowany, tym jest słabszy.

Trznadel: Tak, to prawda. Bo wierzy w instytucje, które go ochraniają.

Watowa: Tak. Dlatego, że on, rozumiesz… Weź, weź żołnierza amerykańskiego na przykład, który szedł na wojnę i w jego plecaku musiała być puszka margaryny, musiała być brzytew, musiały być te, te do namydlania to mydło, prawda. Mydło do mycia, bo ja wiem… jakaś czekolada, jakieś takie historie. On sobie nie wyobrażał. No tak się idzie na wojnę!

Trznadel: Tak, no tak, oczywiście.

Watowa: Ale mój Kazak z posiołka Ili. Wiesz, rozumiesz, młody chłopak, który miał 19 lat czy 20. Jak oni tam przyszli po niego, on nigdy nie opuszczał tego posiołka. Był tak zwanym

239:3173860234

wtórnym analfabetą. Zawsze spał na klepisku. Zabrali go, bo potem go widziałam jak wrócił bez nogi. Całe jego przygotowania do wojny trwało dwa tygodnie. Nauczono go trzymać, wiesz, ten karabin w ręku i powiedzieli, jak się pociąga, jak ta tego. Potem go, ich wywieźli, powiedział, na jakieś olbrzymie pole. Przez trzaskający mróz. Za nimi szły wojska NKWD, rozumiesz. Także najmniejsze jakieś, rozumiesz, zastanowię się czy strzelić, czy upaść, udawać, tego – to od razu była kula w łeb. Rozbijanie tego chleba siekierą i posiłek, który polegał na tym, że robiło się kipiatok i ten chleb, który był jak…

Trznadel: Maczało się.

Watowa: Maczało się. Przeżycie, rozumiesz, wspaniałe, przeżycie tego Kazaka, który zostaje ranny, którego potem przewożą do szpitala, który pierwszy raz w życiu leży na prześcieradle. Oczywiście od razu mu ścinają nogę, wiesz. Dlatego, że…

Trznadel: Ale mimo to jest szczęśliwy.

Watowa: Tak. Ale pierwszy raz leży w łóżku, pierwszy raz leży na białych prześcieradłach, pierwszy raz widzi kobietę w bieli, w czepku, która podaje mu gorącą zupę i karmi go.

Trznadel: Opowiadał o tym?

Watowa: On to opowiadał! To ja tego nie zmyślam. Tylko ja, rozumiesz, widziałam, jak on wrócił. I ci wszyscy Kazacy starzy, z całego tego posiołka Ili siedli tak wkoło niego na tym klepisku. On przyszedł z takimi, wiesz, olbrzymimi medalami, wiesz, z tego, z blachy. Promieniujący zupełnie. Oczywiście bez żadnej protezy, z jakimś kijem. I on o tym opowiadał, i to było, rozumiesz, to była bajka z tysiąca i jednej nocy. To było cudowne, wspaniale przeżycie tego Kazaka, który – gdyby nie wojna – on by nie wiedział, że istnieje taki świat. Tak cudowny świat. I potem rozumiesz, ci zasłuchani Kazacy. I potem rozumiesz, po nasyceniu się tymi opowiadaniami, duma tych, tej jego rodziny. Zresztą, to nie był ani ojciec, ani matka, bo on to był sierota, bo rodzice gdzieś tam zginęli w łagrach.

Trznadel: Tak.

Watowa: I potem nasycenie się już tymi opowiadaniami, i po jakimś tygodniu nagle on staje się ciężarem dla tej przybranej rodziny. On idzie, żeby stanąć sam w kolejce, bo ma tą karteczkę na ten kawałek chleba i z trudem się dowleka na tej jednej nodze. Nikt się już nim nie interesuje, bo on jest niezdolny do roboty. Więc na nic się nie może przydać. I wtedy, rozumiesz, powrót do rzeczywistości. Która wygląda tak, że trzeba być w życiu praktycznym. Ta stara Kazaczka zaczyna się krzątać, znajduje jakąś sierotę, młodą dziewczynę, która gdzieś tam pracuje, wiesz,

240:4135987322

ciężko. Sprowadza ją. Jako tą żonę, wiesz, że mają się pobrać. Ta dziewczyna nie ma wiele do stracenia, bo jest bidna. Całym jej bogactwem jest to, że ma dwie nogi i dwie ręce. Jest młoda i może pracować. No, i potem ona już będzie pracowała potem całe życie na tego, wiesz…
Trznadel: W zamian za jakieś poczucie stabilizacji.
Watowa: Co więcej, ona ma dom, no on jej zrobi dziecko itd. I rozumiesz, i teraz wiesz, te dwie psychologie: więc ten Amerykanin, który idzie na wojnę. Który sobie nie wyobraża, rozumiesz, nie wyobraża sobie tego, że on nie może się umyć, że on może się ogolić, że on... Im to wszystko jest niepotrzebne. Wiesz, to jest walka…
Trznadel: Tak, no wojna staje się dla pewnych ludzi przejściowym nawet awansem.
Watowa: Tak, to jest tak. I, rozumiesz, dla mnie... Ja wtedy zrozumiałam, że ten świat, w którym my żyjemy, ta cywilizacja, której – zresztą mam poczucie, że jesteśmy świadkami końca tej cywilizacji – że szalenie nas osłabiła.
Trznadel: Tak.
Watowa: To znaczy, my nie jesteśmy zdolni, żeby się przeciwstawić tej barbarzyńskiej sile, która stamtąd idzie.
Trznadel: No niewątpliwie. Zresztą…
Watowa: To jest absolutnie niemożliwe.
Trznadel: Zresztą…
Watowa: Nie mówiąc o tym – przepraszam cię – że oni mają wszystko do zyskania, a my mamy wszystko do stracenia.
Trznadel: No, oczywiście.
Watowa: Absolutnie wszystko. Pomijając nasz byt, wiesz, materialny, ale duchowo. Wszyściusienko – naszą wolność, naszą niezależność. No, absolutnie przestajemy być tymi ludźmi, jakimi jesteśmy w tej chwili.
Trznadel: No, bo o to idzie przecież stawka, no byłoby nieporozumieniem myśleć, że stawka idzie tylko, czy szła, czy teraz w tym roku stawka szła, no także bardzo silnie szła o racje patriotyczne, ale za tymi racjami patriotycznymi – myślę, że w mniejszym stopniu kryło się jakieś takie czysto ideowe poczucie patriotyzmu, tak jak to może było w rozmaitych innych sytuacjach, ale kryło się poczucie degradacji w ogóle wartości, która nastąpi, jeśli coś się nie zmieni, prawda. Jeżeli poddamy się niwelacji tamtej kultury. To zresztą, co mówisz, ta cała opowieść o tym Kazachu, to chyba jedną rzecz pokazuje. Czy jest jakimś przyczynkiem, że

241:5970519114

właśnie w tamtym ustroju, w tamtym systemie, no, gdzie ludzie żyją też bardzo nisko na tej drabinie.

Watowa: Bardzo.

Trznadel: To właśnie fakt wojny, udziału w wojnie i potem przynależenia do jakich związków byłych, prawda, walczących – prawda – kombatantów i tak dalej, ma tak wielkie znaczenie i jest prawdopodobnie jedną z sił spajających i także cementujących tamten ustrój. Dlaczego mówiło się właśnie o tym, że pewni ludzie, którzy chcą oddziałać na politykę – w Polsce Moczar – oni działali poprzez te związki kombatanckie, prawda. To jest jakiś taki szczególny rodzaj, rodzaj ideologii w końcu, którą podawano narodowi także w Polsce. Kiedy nie było czego innego, podawano przeżycia kombatanckie, prawda. Tak więc prawdopodobnie w Rosji występuje podobne zjawisko. Ale ja bym do jeszcze jednej rzeczy chciał wrócić. Że to, co mnie tutaj zdumiewa w tym co ty mówisz o Lwowie, bo tak najwięcej mówimy o tym Lwowie, prawda, tuż po wybuchu wojny. Że taka jakaś siła indoktrynacji – kiedy mówię indoktrynacji, to nie myślę koniecznie o indoktrynacji pozytywnej, że w coś się wierzy. Jest też coś takiego jak indoktrynacja lękiem, przerażeniem. Wystarczyło paru miesięcy radzieckiego Lwowa, żeby ludzie, którzy – jak mówisz – byli nieprzyzwyczajeni, byli nawet osłabieni jakąś cywilizacją, i mimo nacisków, o których mówiłaś, antysemityzmu polskiego, no, wszystkich rzeczy, o których można by długo mówić – momentalnie, dogłębnie poznali system sowiecki i wiedzieli czego się spodziewać. To jest zdumiewające, bo przed wojną chyba, no, było oczywiście propaganda.

04_Fon.61.701 Strona B / 10.01.1981 r.

Trznadel: Bo przed wojną chyba, no, była oczywiście propaganda, tak jak była propaganda hitlerowska, ale tak jak nie do końca się wierzyło, że hitlerowcy się okażą tym, czym się okazali. Tak nie do końca () tym, o czym mówi propaganda. I wystarcza parę miesięcy i już się doskonale zna. Zresztą, po stronie niemieckiej – to w końcu ja pamiętam jako młody chłopak – też wystarczyło paru miesięcy, żeby ludzie wiedzieli np. że z rąk niemieckich to się właściwie nie wychodzi albo wychodzi się z wielkim trudem.

Watowa: Tak.

Trznadel: Więc. Czyli, czyli, że w gruncie rzeczy niewiele trzeba czasu, żeby się pozbyć złudzeń. Jeżeli tak Olu…

Watowa: Szczególnie, tak, słucham...

242:3711770970

Trznadel: Jeżeli tak, dla przeciętnego człowieka, to tym bardziej pozostaje tym strasznym znakiem zapytania, dlaczego ludzie, inteligenci, pisarze, ludzie kultury tak długo mogli hodować te złudzenia. Chyba w imię przekonania, że trzeba oddać molochowi, a gdzieś daleko za zakrętami historii zbuduje się jakaś taka idealna wiara, że zbuduje coś lepszego, prawda? Chyba tym trzeba to tłumaczyć.
Watowa: Szczególnie, że jeszcze tam były jeszcze naoczne, wiesz, przykłady, zachowania się Rosjan we Lwowie. Łącznie z tym Tołstojem, z pisarzem, który wywoził dosłownie wagony! Wagony, pociągi! Wywoził, wiesz, antyków, obrazów, mebli itd.
Trznadel: Alieksei?
Watowa: Tak… i tak dalej. Więc, tutaj, rozumiesz…
Trznadel: I skąd? Czyja to własnością było?
Watowa: No, własnością. Przychodziło się, rekwirowało się, aresztowało się ludzi, zabierało im się rzeczy itd.
Trznadel: Czyli Polacy...
Watowa: Poza tym, jak mieszkałam u takiej pani Dębińskiej, wiesz, zdaje się, że to z tej rodziny generała Dębińskiego i tak dalej. Więc służąca, ponieważ to była chora osoba, prawie sparaliżowana, to ona przychodziła z takim jakimś Rosjaninem i na oczach tej pani, ponieważ, oczywiście pani Dembińska bała się zaprotestować – wynosiło się srebra, prawda, jakieś rzeczy wartościowe itd. I ona to oddawała, sprzedawała. Te kobiety Rosjanki, które przyjeżdżały, które rzeczywiście pokazywały się w teatrze, bo Daszewski był dyrektorem teatru i miał te, takie znajome, te, chociażby Zarębińską, która występowała, które pokazywały się w sukniach, w tych, no…w koszulach eleganckich,
Trznadel: Tak. (((śmiech))
Watowa: Wiesz, w teatrze. Więc rozumiesz? Na przykład, nawet takie już rzeczy jak, jak ubikacje, wiesz, jak to się wszystko zmieniło, jak to potem wszystko wyglądało, wiesz, jak oni się tam zachowywali. Jak oni nawet nie umieli tego użytkować. Wiesz, wiesz, rzeczywiście dzicz. Przyszła dzicz. I zmusiła do, rozumiesz, jak ty mi każesz teraz nagle walczyć, no nie wiem, oszczepem, kamieniem, no, przerzucisz mnie z XX wieku do… Jak ja się tam mogę… ja mogę być tylko zagubiona, zastraszona i schować się w jakąś mysią norkę, żeby, żeby tylko…
Trznadel: Ale to znaczy, że, prawda, bardzo wielu Rosjan miało po prostu prawo rekwizycji jak Ty mówisz.

243:8591961164

Watowa: O, nie prawo, oni przyszli jako wiesz, no po prostu…
Trznadel: Mogli wejść do jakiegokolwiek…
Watowa: Oni mogli absolutnie wszystko, dlatego, że oni cię tylko zapytali o twój dowód. I wiesz, jak oni to robią. I potem zaczęli robić rewizje, potem niby brali dokumenty i wynosili z domu, wsztstko, co tylko chcieli. Ten Lwów, słuchaj, oni to robią przede wszystkim błyskawicznie, szybko. Oni mają szaloną wprawę. Oni mają fantastyczne kartoteki. Przecież taka wywózka jest robiona genialnie. W ciągu jednej nocy, proszę ciebie, jak byłam wypchnięta… słuchaj, po jedną kobietę z dzieckiem przysyłają pięciu takich, rozumiesz, żołnierzy z takimi – jak to się nazywa?
Trznadel: Sztyk.
Watowa: …sztykami. Piętnaście minut *dawaj, zabierasja.* I tak dalej. Potem mnie kolanem wpychają, bo już było 60 osób, to najsampierw Andrzejka, potem mnie wepchnęli kolanem, jeszcze, żeby można zamknąć te drzwi, te z bydlęcego wagonu, te na kłódkę. Ale to się genialnie odbywało, słuchaj. Przecież zrozum, że tej samej nocy trzeba było zmobilizować po takich pięciu, sześciu takich ze sztykami, którzy szli i rozumiesz, i *dawaj*. Słuchaj, ja leżałam w łóżku, spałam. Była godzina jakaś druga w nocy, z Andrzejkiem, Aleksander siedział. Obudziło mnie, wiesz, światło żarówki. Wiesz, oni tak weszli po cichu z dozorcą. Wszystko jest załatwione szeptem. A potem, wiesz, to cośmy widzieli w Ili. Przewożenie całych narodów, proszę ciebie, z dalekiego południa, gdzie ci ludzie żyli tylko w słońcu, żywili się tylko, no nie wiem, oliwkami, bo ja wiem, egzotycznymi i nagle przywozi się tych ludzi w letnich, rozumiesz, jakiś szatach. Tam Olek gdzieś pisze w jakimś wierszu o tym. Którzy nie udaje im się absolutnie nic. Oni sobie ryją jamy w ziemi i wszyscy giną. Cały naród ślicznych dziewcząt, młodych chłopców, ginie z mrozu, z głodu, z chorób.
Trznadel: Tak, los Tatarów.
Watowa: To to narody całe, wiesz. Potem, wiesz, ci Niemcy nadwołżańscy. Jak oni zostali… ja widziałam taki cały transport, wiesz, jak nas, jak była niby ta amnestia, że mogliśmy wybrać i pojechać gdzie indziej. Nie wiadomo po co, wiesz, bo wyjechało się Ili, po to, żeby pojechać pod Czimkent, gdzie była tylko bawełna – bo tu jeszcze były te pola jęczmienia. I wtedy, na stacji widziałam olbrzymie te bydlęce wagony wypełnione Niemcami. Żebyś ty widział jak tam było czysto, jak te Niemki prały bieliznę, były wiesz, powieszone sznury, wiesz, tak po niemiecku. I oni…

244:3708576896

Trznadel: Jaki los ich spotkał?

Watowa: Los straszny, dlatego, że oni… – myśmy zostawili barak, ten nasz barak, w okropnym stanie. Bo, co tam wiele gadać, wiesz, nasi mężczyźni… żadnemu, najmłodszemu nie chciało się iść w step i po prostu tam w kilku mężczyzn, żeby zrobić porządny dół, kanał taki, żeby można było tam się załatwiać. Więc, co tam wiele gadać. Wiesz, ten polski barak to był w około, wiesz, zupełnie zagnojony. I oni, rozumiesz, jechali do tego baraku, na te straszne warunki, gdzie absolutnie nic nie było.

Trznadel: To był który rok?

Watowa: To był rok, proszę ciebie, znaczy się… w 40 roku z 13 na 14 maja[398] wywieźli, trzy tygodnie nas wieźli w tych wagonach, potem jeszcze trzy dni tak, na takich podwodach w głąb stepu.

Trznadel: A wywózka Niemców?

Watowa: I to trwało, to tam w tym Ili, jakiś rok i trzy miesiące byłam w Ili[399]. Czyli, że to już zaczynał się rok czterdziesty drugi jak oni przyjechali.

Trznadel: No tak, czyli to było w okresie już wojny, wojny przeciwko… niemiecko– sowieckiej.

Watowa: Tak, to oni wywozili tych Niemców.

Trznadel: Tak, wtedy front tam podchodził.

Watowa: Tak, jak podchodził ten front.

Trznadel: No tak, to prawdopodobnie wtedy z ich losem się zupełnie nie liczono.

Watowa: Nie, zupełnie.

Trznadel: Tak, jednym słowem z jednej strony i z drugiej strony bezlitosny nacisk. I w jaki sposób w ogóle myśmy jako naród, w jakimś sensie to wytrzymał, bo utracił ileś tam swojej substancji kulturowej, ludzkiej, ale jednak nie zginął. To wydaje się zdumiewające.

Watowa: Zdumiewające. Powiem ci, że ja jestem pod takim wrażeniem mojej podróży w Polsce. Uważam, że miałam szczęście zetknąć z się z takimi ludźmi niezwykłymi. O takiej dużej wiedzy i kulturze. I potem ten, ten ładunek, ładunek jakiś…. Nie, to nie chce powiedzieć energii, tylko ładunek, może nienawiści, wiesz, ładunek, że, rozumiesz, ja spotkałam ludzi, którzy rzeczywiście doszli do granicy, przez którą nie można już przejść.

[398] Z 13 na 14 kwietnia, nie maja.

[399] Watowa myli nazwy miejscowości. W Ili była dopiero w 1943 roku, wcześniej została skierowana do Iwanówki.

245:5225027145

Trznadel: Tak, ja myślę, że to się stało.
Watowa: Tak. I, wiesz, nawet taki żart, jak wspomniałam tam, z którymś z przyjaciół Andrzeja, historykiem sztuki, że Andrzej miał ze strzelania piątkę w wojsku i, że mówię: „czy Pan pamięta, że Andrzej miał…" – „tak, tak, pamiętam. Niech on przyjedzie, niech on nam pomoże tu strzelać". – I wiesz, to jest żart, ale ja czułam, że ci…, że to jest taki żal tych ludzi, że oni są wszyscy właściwie… wtedy – nie wiem jak to, bo wiesz, czas zmienia nastroje itd., ale wtedy, wrzesień i październik, to ja, naprawdę wtedy, gdyby weszli Rosjanie, to to byłaby rzeź.
Trznadel: Tak, to na pewno, ale to osobny problem jest. Ja jeszcze chciałem coś dorzucić. Mówiłaś o Adolfie Rudnickim. I teraz miałem z nim taką krótką rozmowę w Warszawie, przed wyjazdem, to był sam koniec września.
Watowa: Aha, tak.
Trznadel: I ja, najpierw mu powiedziałem, że ta – zresztą zgodnie z prawdą, że ta jego twórczość przeszła próbę czasu, że to jest ciekawe, to co pisał o Żydach. Ale mówię mu: „wie Pan, myślę, że jeden z pana utworów to już nie bardzo". On tak przestał jeść, jedliśmy tam w tej stołówce. I on popatrzył na mnie i mówi: Hubert. To jest nowela, która ma tytuł *Major Hubert z Armii Andersa*. A ja mówię: a no właśnie. On mówi, bo…
Watowa: Tak. To jest o Czapskim, ta nowela.
Trznadel: No, to jest o Czapskim, to on mi powiedział. Ale to co tam jest najgorsze w tej noweli, że on tam udowadnia, stara się udowodnić, że Katyń to zrobili Niemcy – prawda – że tylko Niemcy byliby do tego zdolni. No, on mówi: „no to jednak, to było w czterdziestym piątym roku". Z mojego punktu widzenia – no właśnie – czy jest możliwe, że następne lata dorzucają tutaj coś nowego nawet, do tej całej sprawy. Przecież on miał jakieś doświadczenia już lwowskie. I wierzyć ciągle, że to zrobili Niemcy? Mimo że to czterdziesty piąty rok? No to, to się wydaje wielką pomyłką intelektualisty.
Watowa: Ja ci powiem, ja nie mam zaufania do niego. Do jego, tak zwanego, kręgosłupa moralnego.
Trznadel: Może w to wierzył, tylko, że to była ta sama, może wewnętrznie pokrętna gra. No, zresztą trzeba powiedzieć, że wtedy jeszcze nie wszystkie okoliczności odnośnie sprawy Katynia były tak dokładnie wyjaśnione, chociaż już w czasie wojny Churchill, jak przedstawiono mu raporty leśników, te zasadzone młode drzewa, to on już wątpliwości wtedy nie miał. Ale no jeszcze… tylko, że można było przybrać zupełnie inną postawę. Powiedzieć sobie w środku:

246:3198776173

cholera wie, kto to zrobił. A może, bo w końcu i jedni i drudzy są do tego zdolni, ale pisać i udowadniać, że tego na pewno Niemcy nie zrobili, to była zupełnie inna postawa! I za taką nowele, to oczywiście, Rudnickiego windowało w górę, na pewno. No, to wszystko są tragedie.
Watowa: Tak. On się chwalił, tutaj w Paryżu kiedyś, że po Warszawie chodzi pod rękę z Moczarem.
Trznadel: ((śmiech))
Watowa: Wiesz, to jest straszne snobisko. Straszne snobisko i ciągle podświadomie, wiesz, tak tak zwane pochodzenie bardzo taki – zdaje się, że ten ojciec był jakimś woziwodą czy coś w małym miasteczku, tym, że ciągle to podświadomie w nim tkwi i on, wiesz… Nie wiem, ja nie mam, wiesz, do niego zaufania i nie mam sympatii. I nie jestem pewna, czy rzeczywiście, tak jak tyś powiedział, że wszystkie jego utwory, bo, o ile te jego żydowskie nowele, o Żydach…
Trznadel: Ja mówię o najważniejszych.
Watowa: To na przykład te jego kartki, niebieskie, te jego filozoficzne, wiesz…
Trznadel: Tego nie mam wysoko w...
Watowa: To jest, nie wiem, według Aleksandra, to jest rzeczywiście jedno nieporozumienie.
Trznadel: Nie, nie, ja nie o tym myślę. Ja myślę o tych jego nowelach okupacyjnych.
Watowa: Okupacyjnych, tak.
Trznadel: *Złote okna*…
Watowa: Tak.
Trznadel: Te wczesne nowele. *Żetony*. Nie wiem, może w ostatnim okresie, bo ja już tego wszystkiego nie czytam, natomiast taki jakiś okres środkowy, to ja miałem właśnie poczucie, że to nie jest bardzo interesujące. Że nie. Że w końcu on został tak jak Irzykowski o nim powiedział przed wojną – że pan to tylko dwa tematy. Z tym, że od jednego się odczepił. Albo Żydzi albo wojsko.
Watowa: Tak. A już najgorzej jak pisze o hrabiach.
Trznadel: ((śmiech))… No…
Watowa: Poza tym, jego styl…
Trznadel: Ona ma teraz postawę między Warszawą a Paryżem, więc to obiektywna sytuacja, która, że tak powiem, on prawdopodobnie uważa, że to wymaga pewnej ostrożności. Może to wymaga pewnej ostrożności. To nie sprzyja rozmaitym akcentom.

247:3347846777

Watowa: On mógłby nie mieć takiej postawy, gdyby on wiesz, rozumiesz, tak jak Miłosz kiedyś powiedział: „wiesz, ja jadę do San Francisco. Tam chodzi takich poetów setkami. Nikt nikogo nie zna. Nikt mnie nie zna. Nikt mi się nie kłania" itd. Adolf, rozumiesz, jest bardzo uwrażliwiony na to, że się mówi: a, to Adolf Rudnicki! On idzie, prawda, do kawiarni. Ze wszystkich stolików szepczą: to Adolf Rudnicki. On tego tutaj nie może znieść, że on tutaj wychodzi na ulicę i nikt jego nie zauważa.
Trznadel: No, to w Warszawie to ma, tylko że też w Warszawie troszkę o nim zapomniano. Troszeczkę, to taki los jest.
Watowa: Tak, tak że... I trudno mu się zdecydować, dlatego, że jakieś on ma: i tutaj, i tutaj pozytywy, i tutaj. I on nie zdecydował się jeszcze, co tutaj wybrać. Co będzie dla niego właściwe, co przyniesie mu większe korzyści. Ja nie wierzę w jego… w jego jakieś…
Trznadel: Może to w tej chwili to odpowiada jakoś duchowi jego twórczości. Nie wiem.
Watowa: Bo on się jakoby skarży na wielką samotność tutaj. Zdaje się, że on z ta żoną już nie jest. Że się rozstali. Syn mu znowu przeszkadzał w pisaniu.
Trznadel: Oni mają zdaje się jakieś osobne mieszkanie.
Watowa: Tak. On ma osobne mieszkanie. [przerwane nagranie] Żeby o tym mówić i ja zaczęłam mówić o Rosji, o Kazachstanie, o różnych przeżyciach i w ogóle, co oni reprezentują, co ten ustrój reprezentuje. I nagle zwróciłam uwagę, że Dąbrowska przysłuchiwała się z bardzo dużą uwagą, z takim jakimś niepokojem w oczach, ale taka – widziałam, że jest uczulona na ten temat. A z drugiej strony Kowalska, reakcja Kowalskiej była zupełnie inna. Widziałam, że ona nagle była zniecierpliwiona i bardzo niezadowolona.
Trznadel: Ciekawe czemu.
Watowa: Do tego stopnia, że w pewnej chwili powiedziała: „myślę, że właściwie to może kiedy indziej wrócimy do tego tematu. Teraz się napijemy herbaty" itd. i patrzyła na Marię z niepokojem, że tak, jak gdyby wiesz, jakiś zarazek, rozumiesz, może się zakraść, wiesz, w tę duszę tej Marii. Rozumiesz, dla mnie nie ulega wątpliwości, że tutej te dwie nawet fizycznie biorąc, te rozumiesz, to że Maria Dąbrowska potrzebowała wtedy pomocy, nie mogła już być sama, była słaba, Kowalska wzięła w ręce wszystko – gospodarstwo, wiesz, opiekę nad nią, nad domem, nad jej zdrowiem. W ogóle, ona była właściwie duszą tego domu. Maria miała zadanie, żeby sobie siedzieć i żeby pisać, ale pewne posunięcia Marii Dąbrowskiej, pewne jej wypowiedzi, jej zachowanie się, to że ona napisała po śmierci, że ona, Stalina, że ona włączyła

248:7739788790

się w chór, tych wiesz – Gałczyński zresztą napisał, Breza napisał i kto tam nie pisał! Wszyscy pisali, o tym, czym, jaką straszliwa dla nas klęską jest śmierć tego słoneczka. I to, że Maria Dąbrowska włączyła się w ten ((z emfazą)) haniebny rzeczywiście chór, dla mnie na przykład nie ulega wątpliwości, że to był wpływ Kowalskiej.
Trznadel: Tak mówisz?
Watowa: Kowalskiej, która miała w sobie pewną brutalność, pewną taką żądzę ((z emfazą)) normalnego, wiesz, gospodarskiego, życia i która przechodziła, wiesz, nad pewnymi problemami w takich trochę żołnierskich butach. Rozumiesz? Dla niej były może pewne problemy literackie do rozwiązywania, ale które, rozumiesz, były według mnie powierzchowne. Ona nie chciała, wiesz, dotknąć rany. Ona chciała żyć – może już była też zmęczona, może tego nie było widać po niej – tym wszystkim, co trzeba było przejść i ona odrzucała, rozumiesz, chciała… oczyszczała drogę przed tą Dąbrowską. Jak Ci wiadomo, że jaki tam przed nią taniec był, przed Dąbrowską. Jak ja zdobywano.
Trznadel: Tak.
Watowa: Jaki dawano… to była… Ją nazywano królowa Jadwiga, wiesz. Ona rzeczywiście mogła mieć absolutnie wszystko, tylko oczywiście za wszystko trzeba zapłacić. I ona jednak, ku naszemu rozczarowaniu [przerwane nagranie] społeczeństwa.
Trznadel: Tak, młodzieży. No, jeżeli już Dąbrowska, prawda, tak uważa…
Watowa: No jeżeli już Dąbrowska, ty rozumiesz.
Trznadel: Tak, oczywiście.
Watowa: Dlatego, że w końcu Parandowski, wiesz, Parandowski – zresztą poruszaliśmy już kiedyś ten temat – Parandowski w gruncie rzeczy nie miał żadnego znaczenia. Nie mógł mieć żadnego znaczenia, dlatego, że to był człowiek, który nigdy – zdaje się w życiu – nie był człowiekiem w cośkolwiek zaangażowanym.
Trznadel: Tak.
Watowa: To jest człowiek, który nigdy nie wystąpił w Związku Literatów, który nigdy o nic nie walczył, który się schronił w Grecji, rozumiesz?
Trznadel: I to był pisarz mniejszego talentu, no.
Watowa: I który, no, wiesz, dla mnie na przykład Parandowski – Iwaszkiewicz to nie ma żadnego porównania.

249:5582111056

Trznadel: No właśnie, ale zdobyć Dąbrowską, autorkę *Nocy i dni*, a zdobyć Parandowskiego autora *Dysku Olimpijskiego*, to jednak duża różnica.
Watowa: Tak, tak. O Parandowskiego w gruncie rzeczy nikt nie walczył.
Trznadel: Nie o to mi chodziło. A że to miało wpływ to miało. Ja pamiętam w roku pięćdziesiątym pierwszym albo pięćdziesiątym, był taki Zjazd Polonistów. A to w końcu poloniści to jest duży głos w środowisku literackich, formują się przyszli krytycy itd. Kiedy z tymi marksistami walczyła część profesury, profesor Kleiner itd. Ja pamiętam jak Żółkiewski, no naprawdę, wydaje mi się tanimi żartami rozgrywał swoje polemiki z pewnym typem analizy literackiej, a za tym kryło się dużo więcej. I nagle poszedł szum, że oto nagle profesor Wyka, także w jakimś sensie przyłącza się do marksizmu. I u Wyki też były te jakieś, prawda, ambiwalentne, bardzo postawy. I to miało na nas wpływ, niewątpliwie miało na nas wpływ.
Watowa: No oczywiście.
Trznadel: Także oni byli, co tu dużo mówić, Stalin wiedział, dlaczego powiedział inżynierowie dusz ludzkich, prawda?
Watowa: Tak, tak.
Trznadel: Bo stosunek komunizmu do literatury jako instrumentu, którym się manipuluje, przynajmniej pewną część inteligencji, prawda, czy aparatu jest nam wiadome. Oni uważają, że literatura tu ma duże znaczenie. I chyba się nie mylą.
Watowa: Tak, tak. Tak, tak. Także tego, tutaj, wiesz… szkoda, szkoda. Powiedziałam, że ją nazwali królową Jadwigą, mnie nazwali Matka Boska Częstochowska. ((śmiech)) W pewnym środowisku, właśnie, Marię.
Trznadel: Myśmy wtedy przeglądali nazwiska pisarzy. I co najwybitniejsi: Tuwim, prawda, *Światło ze wschodu, Ex oriente lux*, prawda, Ważyk tak, no no… większość, co tu dużo mówić, większość.
Watowa: Większość, większość.
Trznadel: Większość, którzy zgodzili się świadomie odejść na bok i przecierpieć to nie było tak bardzo wielu, nie. Wśród znanych profesorów to Tatarkiewicz na przykład, on poszedł sobie na bok, to był profesor Pigoń, który też, prawda, w jakimś sensie był niepopularny wtedy, prawda, ponieważ nie poszedł na to. A cała reszta to… nadawała ton po prostu.
Watowa: Tak.

250:1731422873

Trznadel: I to byli ludzie, którzy byli – to jest to co jest najgorsze –którzy byli już dorośli i mogli dużo rzeczy wiedzieć przed druga wojną światową, a niektórzy z nich byli już dorośli przed pierwszą wojną światową, jak Nałkowska.
Watowa: Tak, tak.
Trznadel: Czy jak Dąbrowska, to też. Więc to jest tutaj najbardziej absolutnie zdumiewające. Zresztą ja nie wiem, mnie się wydaje, że to bardzo ciekawe jest. Cały ten problem indoktrynacji. Ja muszę, mówię tą sprawę będę chciał starać się jakoś rozgryźć.
Watowa: To jest, to jest, wiesz, ten projekt twój, gdyby Ci się udał, to to byłoby wspaniała byłaby rzecz.
Trznadel: Bo może my o pewnych rzeczach nie wiemy, ale dlaczego ludzie o kryształowej postawie w końcu nie zdobywali się wtedy na żadne otwarcie ust. Na żadne.
Watowa: Tak.
Trznadel: No mówię, to tacy ludzie na przykład jak Leopold Staff. On nigdy się nie przyłożył, ale też nigdy nie było wiadomo, że Staff się zbuntował i coś powiedział.
Watowa: Tak. O to chodzi. Wiesz, tutaj w tym *Moim wieku* Aleksander mówi w pewnej chwili, że on zawsze czekał w Związku Literatów, że się ktoś odezwie, że ktoś coś powie. Czekał na to. I w końcu nikt nie mówił. I wtedy on występował. Wtedy właśnie jak wystąpił, to była zdaje się o socrealizmie, w obronie kultury polskiej w końcu, i kiedy Putrament w Związku Literatów polskich odważył się mówić po rosyjsku, że jak niedźwiedź warczy to *kagda jemu dasz dubinoj pagaławie ta tagda on ma oczyt* tak zakończył, odpowiedział Aleksandrowi i wezwał wtedy Hoffmana z partii. I była jakaś komunistka, jakaś na miejscu i powiedziała: „wszyscy już się przekonali do nas" (zresztą Aleksander to mówi) „tylko jeszcze nie Aleksander Wat". Wtedy pamiętam jak, ja nie byłam, nie wiem, dlaczego ja nie poszłam wtedy na to zebranie, ale jakoś miałam przeczucie, że to będą się działy straszne tam rzeczy. I Aleksander przyszedł późno i powiedział: „No, wyprawili mi pogrzeb pierwszej klasy".
Trznadel: Który to był rok?
Watowa: Ja ci powiem, kiedy to było. Dlatego, że bardzo prędko po tym, kilka miesięcy po tym on zachorował. Czyli, ponieważ on zachorował w roku śmierci Stalina, to był rok pięćdziesiąty trzeci, tak?
Trznadel: Tak, marzec. Czyli to mógł być rok pięćdziesiąty drugi.

251:6810647945

Watowa: Czyli, mógł być, tak. To ja ci powiem, to w każdym bądź razie było zimą. To znowu jest taka moja trochę teoria jego zachorowania, dlatego, że po tym jego, wiesz, tym jego przemówieniu, po tej dubinie, wiesz, Putramenta, po sprowadzeniu Hoffmana, po tym kiedy nikt się nie odezwał jak powiedziała tak komunistka… zapomniałam. Kiermanowa była jakaś, Kormanowa?
Trznadel: Żanna Kormanowa.
Watowa: Taka jakaś brzydka strasznie kobieta, tak?
Trznadel: Może i tak. Ona była socjologiem, chyba historii.
Watowa: No, nie wiem czy to ona, nie chce jej oskarżać, bo nie jestem pewna. Jeżeli powiedziała, że wszyscy już tutaj zebrani, wszyscy się przekonali literaci, tylko jedynym wrogiem jest Aleksander Wat i (((z przejęciem))) nikt się nie podniósł, i nikt nie powiedział słowa jednego. Proszę ciebie, on wyszedł. Było późno, było straszliwie mroźno. On zawsze tak chodził z rozpiętym płaszczem. I stał na jakimś przystanku, czekając – nie wiem – na autobus czy na tramwaj. I ja nie wiem, dlaczego, ale ja mam takie uczucie, że wtedy musiał nastąpić jakiś skurcz naczynia.
Trznadel: Może, może.
Watowa: Dlatego, że on potem bardzo szybko po tym zebraniu dostał straszliwych szumów w uszach. Poszedł do lekarza, niestety, taki profesor Żera, kardiolog, który go leczył na serce. I proszę ciebie, ten zamiast wziąć się do niego, i rzeczywiście robić jakieś badania, on powiedział: „niech pan o tym zapomni, to przejdzie, to nic nie jest". Potem okazało się, że z kimkolwiek się mówiło, to każdy miał szumy w uszach kiedyś, wiesz, jak to bywa. I co mu poradził? Żeby pracował, żeby pracował, to on o tym zapomni. I on biedny, straszliwie go to męczyło, pracował i siedział przy biurku. I pamiętam takie popołudnie. Ja się położyłam na tapczanie i tak widziałam wiesz, tę siwą jego głowę. I nagle mnie taka myśl przeszła przez głowę: jak długo ja jeszcze w takim poczuciu bezpieczeństwa ja będę mogła odpoczywać tutaj na tym tapczanie, kiedy on siedzi, pracuje. Wiesz i kilka dni potem – nagle był ten – siedział na kanapie w naszym tym stołowym saloniku i był ten zawrót głowy. I to jest właściwie, to jest typowe, bo to nie w głowie mu się kręciło, tylko pokój zaczął się kręcić. I wtedy, wtedy było takie pukanie do drzwi, ja podleciałam do niego, wzięłam go w ramiona i mówię: „zobaczysz, to zaraz przejdzie, przejdzie". I potem, jak to się troszeczkę uspokoiło, podeszłam do drzwi. Nikogo nie było. No, i położyłam go do łóżka, i następnego rano wstał. Wyszedł z łóżka i zaczął się przewracać. To

252:4363546673

znaczy się – nie padał, ale się przewracał, na lewą zdaje się stronę, czy na prawą. I tylko słyszałam jego głos, jak mówił: „ja muszę to zwalczyć, ja muszę to zwalczyć, ja się nie dam, ja muszę to zwalczyć". I w pewnej chwili, wzięłam go tak w ramiona, położyłam go na łóżku i tak się zaczęła ta męka, która trwała szesnaście lat. Ale mam takie przekonanie, wiesz, wewnętrzne, że to się stało tej nocy, kiedy on ta dubiną dostał po głowie. Wtedy, w tym Związku Literatów, gdzie nie znalazł się ani jeden człowiek, a sala była wypełniona po brzegi, nie znalazł się ani jeden przyjaciel, ani jeden literat, ani jeden porządny człowiek, który by się odważył wobec Putramenta, który się odważył w Zawiązku Literatów Polskich przemówić po rosyjsku.
Trznadel: To były lata, to było dno stalinizmu. To był pięćdziesiąty trzeci jeszcze…
Watowa: To było dno, wiesz. *Kagda niedźwiedź warczyt…* coś *jak dasz dubinoj pagaławie tagda on ma oczyt.* Na tym się skończyło, rozumiesz, to przemówienie Aleksandra. On był ostatni który przemówił. Nikt nie przemówił.
Trznadel: Już w pięćdziesiątym czwartym roku zaczynały się przejawy czegoś innego. Ja pamiętam, byłem właśnie na Zebraniu Związku Literatów, to zebranie, właściwie taki zjazd w Pałacu Prymasowskim na Miodowej. I w pewnym momencie nawet przyjechał Cyrankiewicz, on lubił sam przyjeżdżać, sam prowadzić wóz często. Bez, Może tam jakaś obstawa za nim jechała, ale oni się tak bardzo nie bali, chyba teraz się bardziej boją ci przywódcy. I Woroszylski, który należał do tych, prawda, nożem w zębach, w latach poprzednich, pojechał….
05_Fon.61.702 Strona A
Watowa: No właśnie.
Trznadel: … pojechał na stypendium do Moskwy. I z tej Moskwy wrócił. I wtedy taki ktoś puścił wierszyk: „Woroszylski wrócił z Moskwy czy socrealizmu stracił krosty?" – bo on był wtedy krostowaty, taki młodzieńczy. I wiesz, w pewnym momencie Woroszylski wychodzi na trybunę, ale jest mu niedobrze. Więc my się na tyle zastanowili, co on chce powiedzieć, jeśli mu jest niedobrze. Ja miałem wtedy 24 lata. On poprosił szklankę wody, zszedł, po chwili wrócił. I on – wydaje mi się, że jak na stalinizm i potrafisz to ocenić, jak na tą indoktrynacje systemem sowieckim, co prawda to już było po samobójstwie Borowskiego i tak dalej, no, ale jeszcze to były pierwsze jaskółki – i on zaczął wtedy mówić, że on uważa, że zło w socjalizmie nie jest tylko wytworem przeszłości kapitalistycznej – bo to była stała teza tej ideologii – ale, że socjalizm wytwarza swoje własne zło. To on prawie że zemdlał. Prawdopodobnie, no, w końcu ze strachu.

253:6669932511

Watowa: Ze strachu.

Trznadel: Ale był na tyle odważny, żeby to powiedzieć. Bo człowiek się boi, mówiąc takie zdanie, jak na owe czasy – wydaje mi się – to było zdanie rewolucyjne. Za to nie było wtedy żadnych represji jeszcze. Nic. Ale jednak trzeba przyznać Woroszylskiemu, że odważył się to powiedzieć. To ja mam, że pięćdziesiąty czwarty rok, potem się już potoczyło bardziej z górki, 55 to był *Poemat dla dorosłych*, to już… a już po pięćdziesiątym szóstym, po Węgrach, prawda, po zdobyciu przez czołgi sowieckie Budapesztu, to już wtedy to, to już wtedy Kott trafnie zauważył, wydrukował taki artykuł – wszyscy się śmiali właśnie, ale z trafności jego spostrzeżenia. Hamlet po dwudziestym zjeździe. Że po XX Zjeździe to już… to już wiadomo, to już tam hamletyzowanie, być - nie być to jest w ogóle inna sytuacja. Że wcześniej, prawda, to było w ogóle.

Watowa: On wrócił, w którym roku z Moskwy?

Trznadel: Woroszylski? Chyba w pięćdziesiątym czwartym. Ale do czego ja dążę? Że w pięćdziesiątym drugim, kiedy Ty mówisz o tym zebraniu, na którym był Aleksander to jeszcze była jeszcze noc ciemna.

Watowa: Ciemna.

Trznadel: Noc ciemna i dlatego on musiał, mógł, poczuć, że tak powiem, znowu materializacje tej siły zła, prawda. Że nikt, że wszyscy są albo zastraszeni albo do krańca ogłupieni. A ci, którzy nie są ogłupieni to nie są na tej sali. I tak mogło być.

Watowa: Tak. Po powrocie właśnie z Moskwy, Ty mówisz, że to jest 54 rok,

Trznadel: Tak mi się wydaje.

Watowa: Czyli, że Aleksander już był chory. Byliśmy w Oborach i przyjechał Woroszylski. Woroszylski, z którym właściwie Aleksander prawie nie rozmawiał. Wiesz, jak on był tak krostowaty i taki strasznie zapiekły. Siedzieliśmy na tarasie i nagle Woroszylski podszedł do Aleksandra i powiedział, że on teraz wszystko zrozumiał – ja teraz odszedłem.

Trznadel: No tak, bo po prostu on w Moskwie przypatrzył się w wszedł w krąg pewnych przyjaźni.

Watowa: „Tak, to jest straszne. Ja przejrzałem. Ja już teraz wszystko wiem". – I uważał, że powinien to powiedzieć mojemu mężowi.

Trznadel: To zrozumiałe, a jednak ładne.

Watowa: Bardzo ładne.

254:2283341313

Trznadel: Tak... Tu we Francji, ci pisarze nie mają tego typu problemów albo o wiele mniej. Jest taka haniebna karta, którą Niemcy zauważyli. Z jakim trudem, powoli, niechętnie odsłaniają, mianowicie wszystkie postawy okupacyjne. Tutaj właściwie to my jesteśmy od, właściwie przeglądania sumień, ale oni tego tu nie mają.
Watowa: Tu była straszliwa kolaboracja. No, a potem, ci, te wszystkie Aragony, Sartry, to wszystko to było, to jest ((z emfazą)) straszne rzeczy, przecież. Zakłamanie, okłamywanie innych. Bo, żeby sami siebie okłamywali, ale okłamywali społeczeństwo, wiesz, zupełnie świadomie.
Trznadel: Tak. Tutaj.
Watowa: Jednak Polacy mają, wiesz… wiesz, ta potrzeba, wiesz, że jednak. Ja byłam pod dużym wrażeniem Woroszylskiego, wiesz. I nagle wiesz, tej przemiany, która w nim nastąpiła. Bo się przyjrzał, zobaczył, dotknął.
Trznadel: Tak, no, i uważał, że po tym jego, tej bardzo aktywnej postawie, którą miał w ubiegłym okresie, on musi coś zrobić. No, i robi. I robi, i znam taką postawę ludzi. Znam nawet ludzi – nie ważne, żeby ich wymienić z nazwiska – kogoś, kto był bardzo czynny w tym okresie stalinizmu, w takiej ideologii, i na Uniwersytecie Warszawskim czy jeszcze gdzieś, w okresie, kiedy po sześćdziesiątym ósmym roku bardzo dużo osób wyjeżdżało – to jest Żyd – on powiedział, że on uważa, że tego nie można robić, że jeżeli tutaj się – że tak powiem – nasmrodziło w tym kraju, prawda, i przyczyniło się gówna, to teraz trzeba posprzątać i nie należy wyjeżdżać na emigrację, więc są ludzie, którzy w sposób bardzo, bardzo nawet – powiedziałbym twardy – mają poczucie tej odpowiedzialności za grzechy stalinowskie, ale nie można powiedzieć, żeby to byli wszyscy. Ale są także i tacy. Ale tu we Francji tego w ogóle nie ma.
Watowa: Nie.
Trznadel: Ja tego nie widzę. O boże, a już grzechy stalinizmu we Francji uważa się za najmniejsze.
Watowa: Tak.
Trznadel: No oczywiście, za najmniejsze. To oni wszyscy pisali też wiersze o Stalinie. To się uważa za najmniejsze.
Watowa: Tak. No, i co oni wiedzą o stalinizmie?
Trznadel: Żyją w wolnym, stosunkowo wolnym kraju. Mało o tym wiedzą.

255:2559319539

Watowa: No, Jacusiu, zrobić ci herbaty?

Trznadel: Bardzo proszę, to my może zatrzymamy.

Watowa: Postawię wody.

Trznadel: Teraz patrzę na zegarek, niedługo też będę musiał uciekać.

Watowa: O której?

Trznadel: Koniec nagrania z 10 stycznia 1981, sobota.

Trznadel: Nagranie wspomnień Oli Watowej z dnia 23 stycznia 1981, piątek. Początek.

Watowa: miały kształt krzyży. Więc całe niebo to były małe, większe i bardzo duże krzyże. Całe niebo. I w pewnej chwili ja stałam przed lustrem, dużym lustrem i miałam na sobie podwójne szaty. Była biel, była albo – wiesz to właśnie wtedy dobrze nie zapamiętałam – bo była, w każdym bądź razie były trzy kolory: czerń, biel i szkarłat. Ale mam wrażenie, że to się układało, że ja byłam w bieli, potem szła czerwień, a potem była ta czerń. I stałam, i wiesz tak rozkładałam te szaty, takim takim ruchem. I mówiłam: „*mare tenebrarum, mare tenebrarum, mare tenebrarum*[400]”. Trzy razy.

Trznadel: Powiedziałaś to?

Watowa: Tak.

Trznadel: To znaczy w nocy się ten sen dział, jeśli były gwiazdy.

Watowa: Tak. I te, te, ten właśnie niebo, które składało się z samych krzyży, ułożonych z cudownych gwiazd.

[dzwonek do drzwi]

Watowa: No, i wtedy ona powiedziała, że wobec tego, że ona jest przewodniczącą, ale jest Żydówką, że ona w tym jednak nie może w tym brać udziału.

Trznadel: Żeby nie kupować w księgarniach polskich tylko żydowskich.

Watowa: Tak, przepraszam – żydowskich. Żeby nie kupować w księgarniach żydowskich.

Trznadel: Rozumiem.

Watowa: Tak że nawet w szkołach, rozumiesz, to było tak. No, potem, ponieważ ona jest – ta osoba – była w tym czasie w Katowicach, w ogóle mieszkała w Katowicach, zanim weszli Niemcy, ale już byli, rozumiesz, to ci katowiczanie objęli wszystkie funkcje, poprzebierali się w ogóle w mundury niemieckie itd. Okazało się, że było ((z emfazą)) masę tam już, po prostu byli już przygotowani. Nagle ona się znalazła, wiesz, w tym niemieckim mieście. Potem pytaliśmy ją

[400] Łac. *Mare tenebrarum* – morze ciemności.

256:4556446637

o ten pakt Ribbentrop–Mołotow w trzydziestym ósmym roku to było. Ja nie mogłam ci na to odpowiedzieć, natomiast ona mi powiedziała, że w przeciwstawieństwie, powiedzmy, do tego koła, w którym ja się obracałam, Żydzi wiedzieli, że są straceni. Bo, wiesz, z jednej strony mój ojciec czy powiedzmy brat itd. nie wierzyli itd., a znowu ona była w środowisku. I bardzo liczyli na Rosjan – Żydzi.

Trznadel: Chyba puścimy to.

Watowa: Co?

Trznadel: Włączymy.

Watowa: No, jak uważasz. Tak. W ogóle cały zachód bardziej się bał komunizmu niż hitleryzmu. Więc to…

Trznadel: A jednak środowisko żydowskie, jak mówisz, odwrotnie.

Watowa: Tak, tak. To znaczy, to środowisko, które ja znałam, wierzyło w Niemcy. Rozumiesz? To było jakiś, jakiś podział. Dlatego, że ona właśnie ona była w środowisku, kiedy, kiedy, które właśnie uważało, że jest zupełnie stracone, jak był zawarty ten, ten pakt. Więc słuchaj, o czym ja mam właściwie teraz mówić?

Trznadel: Ja myślę, że byłoby właśnie bardzo dobrze, gdybyś zrobiła taki film pamięci. Może gdyby zacząć od tego snu, prawda. Potem jest aresztowanie i potem już rozwija się ten okres – trochę się o tym mówiło, ale jakbyś takie fakty z życia, prawda, rozwija się ten okres aż do waszego wywiezienia.

Watowa: Aha, więc chcesz żebym powtórzyła ten sen, tak?

Trznadel: Sen tak, to jest ważne, wydaje mi się.

Watowa: Tak, No, więc, sen. Sen. Znaczy się, miałam trzy sny, takie bardzo znaczące, ale niestety wiesz, należy zapisywać, a ja tego nie zapisałam. Ale ten mi wyjątkowo utkwił w pamięci. To znaczy, że – jak ci mówiłam – już niebo bardzo ciemnogranatowe, bardzo duże błyszczące gwiazdy i wszystkie układały się w kształt krzyży. Także całe niebo było pokryte krzyżami: małymi, większymi, średnimi i bardzo dużymi. (((z przejęciem))) No, i ja nagle zobaczyłam się przed bardzo takim dużym lustrem, w takich potrójnych jakichś szatach, to był taki właściwie rodzaj tych peleryn, wiesz, ale trochę jakieś sakralne mi się to teraz wydaje. Była biel, czerwień i czerń. Bo ja, roz.. takim ruchem otwierałam te, te, te szaty, trochę tak jak skrzydła one się otwierały i mówiłam: co mówiłam? ((głośno)) *mare tenebrarum, mare tenebrarum, mare tenebrarum*. I rzeczywiście, po tym śnie, który opowiedziałam Aleksandrowi,

257:7317441836

stosunkowo bardzo szybko nastąpiło to, to aresztowanie. Nie wiem, czy należy wrócić do początku, to znaczy – bo ja już sama dobrze nie pamiętam, czy Aleksander opowiadał to w *Moim wieku* – o przyjściu Daszewskiego do naszego domu. Mianowicie, Daszewski – tego nie mogę, nie muszę mówić, kto był Daszewski, prawda, bo to są rzeczy… – Władysław. Nagle, po raz pierwszy on, który przychodził w Warszawie do nas, był naszym przyjacielem, brał udział w tych zebraniach „Miesięcznika Literackiego", jednym słowem – był, był naszym przyjacielem. We Lwowie żeśmy się prawie nie spotykali, tylko od czasu do czasu na terenie Związku, dlatego, że on już tworzył tam teatr i został dyrektorem teatru. I któregoś dnia bardzo niespodziewanie zjawił się u nas wieczorem, tam właśnie na Bielaka, u tej pani Dębińskiej, gdzieśmy zajmowali jeden pokój, bardzo jakiś taki podniecony – i powiedział: „słuchajcie, dlaczego, dlaczego nigdzie was nie widać? Należy się spotykać. Należy żebyście… należy sobie porozmawiać itd. jednym słowem, ja proponuję żebyście przyszli do takiej", wiesz, to była taka restauracja, takiego, jeżeli się nie mylę, Natansona, który w Warszawie przed wojną miał taki sklep Old England dla bardzo eleganckich panów i sobie tam kupowali różne rzeczy. I on od razu bardzo taki w interesach, bardzo żywy, więc od razu tam otworzył restaurację. Jakiś duży apartament wziął i na pierwszym piętrze była ta restauracja. Więc Aleksander bardzo jakoś źle na to zareagował. Powiedział: „słuchaj Władku, ja do tego nie mam głowy, żeby chodzić do restauracji" itd. i bardzo, bardzo się temu opierał. A ten, wiesz, nalegał... Czy ja sobie wtedy nie zdawałam sprawy z dziwności tej sytuacji, dlaczego on tak nalega? Dlaczego jemu tak zależy? On powiedział: „słuchaj, wszystko się rozleciało, z nikim się nie widujemy, trzeba się spotkać" itd. „Słuchajcie, zrobimy to powiedzmy za dwa tygodnie, tego i tego dnia" itd. No, i Aleksander powiedział: „słuchaj, ale ja nie wiem, ale ja ci tego absolutnie nie obiecuję. I dajmy temu pokój, może przyjdzie chwila, że zaczniemy się znowu spotykać, ale to nie jest chwila dobra".
[sygnał ambulansu]
I wyobraź sobie, że tego dnia, kiedy on wyznaczył nam właśnie to spotkanie było zebranie w Związku Literatów. Doskonale pamiętam, że tego dnia także przemawiał Piwowar.
Trznadel: Tak.
Watowa: Więc oni byli wszyscy, to było w tym Pałacyku Bielskich
Trznadel: Lech Piwowar?
Watowa: Tak, Lech Piwowar przemawiał. On był świetnym mówcą, nie wiem czy o tym wiesz.

258:3686814487

Trznadel: Tak, to jest ciekawe, bo dlatego że, bo o ile ja wiem, to Lech Piwowar został wzięty jako oficer do niewoli. Że on się potem odnajduje w starobielsku, gdzie ginie.
Watowa: Ach tak?
Trznadel: Więc nie jestem pewien czy on mógł być we Lwowie w owym okresie, chodząc na wolności.
Watowa: No słuchaj, jest jeden Piwowar, tak?
Trznadel: No jeden, prawda, to był przedwojenny komunista zresztą, poeta.
Watowa: Tak, tak, tak! Lech Piwowar, taki taki, wiesz, bardzo dynamiczny, bardzo wiesz. Chyba mówimy o tym samym, ale wiem, że Piwowar. Że Piwowar był, możliwe, że – słuchaj, on nie był aresztowany, bardzo możliwe, że on nie był zaproszony, i że możliwie, że on potem właśnie.
Trznadel: Może nie mówimy o tym samym, bo jak on potem mógł się dostać do Starobielska, gdzie… Bo on jest jednym z tych pisarzy, prawda, którzy zginęli, których się łączy z Katyniem, prawda? Bo Katyń jest tym hasłem wywoławczym: Sebyła, Piwowar.
Watowa: Aha.
Trznadel: Piwowar był oficerem. Ja myślę, że to nie był ten Piwowar, wiesz, bo on został bardzo wcześnie internowany przez Rosjan i chyba nie został już zwolniony.
Watowa: Ja ci powiem, my potem sprawdzimy według tego indeksu nazwisk. Bo jeżeli on o nim mówi, to tam jest Piwowar.
Trznadel: Tak.
Watowa: Zobaczymy, co to jest za Piwowar.
Trznadel: Tak, tak. Mi się wydaje, że to nie Lech, chyba.
Watowa: Więc może nie Lech.
Trznadel: Tak.
Watowa: Jednym słowem, byli tam wszyscy prawie: był Broniewski, był Peiper, tak. tutaj, myśmy sobie tam wychodziły na korytarz – żony. Więc była Marysia Zarębińska, była Sternowa, było sporo kobiet, między innymi ja. I nagle zjawia się Władek Daszewski. I mówi: „słuchajcie, wiecie, że dzisiaj mamy to spotkanie, właśnie, w tej restauracji". Więc ja mówię: „słuchaj, tutaj się odbywa zebranie jakieś bardzo burzliwe" itd. „w ogóle o tym zapomniałam, a poza tym wiesz, że Aleksander jest temu, jakoś nie ma ochoty i wątpię w ogóle czy do tego dojdzie". Ale on, wiesz, wiedział, że jeżeli my pójdziemy to oczywiście nasi mężowie pójdą za nami. W każdym bądź razie była przerwa. Aha! Ale nim była przerwa, nagle zjawił się na… w

259:3215721086

tym holu zjawił się Tadeusz Peiper. I wiesz, tutaj widzę ten błysk w oczach Daszewskiego. ((energiczne westchnienie)) I on mówi: „Ach, panie Tadeuszu. Jak to dobrze, że ja pana widzę, bo wie pan, przypominam sobie, że pan mi wspominał, że pan miał sztukę. Teraz ja jestem tutaj, prawda, mam ten teatr, ja panu te sztukę wystawię. Pan mi ja pokaże. Pan wie, że my tu dzisiaj robimy spotkanie w restauracji?" – muszę ci powiedzieć, że to wszystko bardzo demoniczne jest. – „i niech pan z nami idzie, to my o tej sztuce pana pomówimy, zrobimy sobie *rendez vous* i niech pan przyjdzie". I potem jest przerwa, wychodzą oni wszyscy. I Aleksander bardzo nie chce, bardzo nie tego i on mówi: „a, daj pokój, ja zabieram Olę, ja zabieram tego"– „jedziemy, przyjdziecie". I wiesz, tak, oni wrócili. I on mówi: „chodźcie!". Myśmy zeszły na dół. Wyobraź sobie, stała olbrzymia czarna limuzyna na dole. Wspaniała. I ja mówię: „Władek, cóż ty masz tutaj za limuzynę?" A on mówi: „wiesz, byłem u przyjaciół, którzy, prawda, wiedzieli, że mam tutaj przyjechać, i oni mi z szoferem, i oni mi te limuzyn2.", ale może Ty znasz tę historię? Czy ja ci ja opowiadałam?

Trznadel: Nie, nie.

Watowa: Więc pakujemy się. Jest nas tyle, wiesz, że już na kolanach, że jedno tego…. Przyjeżdżamy tam do tej restauracji. Wchodzimy i siadamy przy takim – na razie – małym stoliku. Podbiega, wiesz, w podskokach sam pan Natanson i mówi: „Proszę pana, gabinet jest przygotowany. Wszystko jest przygotowane. Czy państwo chcą wejść?" – „A, nie nie. My tutaj poczekamy na naszych przyjaciół. Jak oni przyjdą to wtedy przejdziemy do gabinetu". Więc po jakiejś godzinie zjawił się Aleksander, Peiper, Broniewski i tak dalej i tak dalej. Był taki Baliński, ale jaki Baliński… wiem, że brat Balińskiego.

Trznadel: Stanisława?

Watowa: Tak. Była taka Siemiaszko, wiesz, która robiła te… do książek…

Trznadel: Olga.

Watowa: Olga, tak. No, jednym słowem. Nie powiem ci tych wszystkich nazwisk. Więc otwierają się drzwi do tego gabinetu. Otóż ten gabinet to był ((z emfazą)) bardzo duży pokój. I tutaj jednak muszę ci powiedzieć trochę, jak to wyglądało. Więc stał długi stół. I powiedzmy, że ten stół był tak ustawiony, wzdłuż, tak jak ten nasz pokój. I jest szalenie ważne, żebym ci powiedziała układ, jak myśmy siedzieli. I poza tym, w tym pokoju, poza tym stołem i krzesłami – stół był już nakryty – tutaj z boku był mały stolik okrągły z dwoma krzesłami. Ja oczywiście nie rozglądałam się, nie widziałam, co jest tu, co jest tam. Ściany itd., no, ale widziałam ten stół i

260:5695855729

rozumiesz, usiadłam – rozumiesz, tak jak tutaj jest nasada stołu, on idzie wzdłuż. Więc ja tak usiadłam pierwsza, już tutaj. Koło mnie Marysia Zarębińska, koło Marysi Zarębińskiej Daszewski. To jest ważne, dlatego, że to, wiesz, będą pewne rozłamy. Naprzeciwko mnie siedział Władek Broniewski, siedział mąż Szemplińskiej. Czy ty wiesz, jak on się nazywa? Bo on był taki jakiś sportowiec i to też jest ważne, bo bardzo silny, bardzo wysportowany był. Koło niego ten, ten, wiesz, Tadeusz Peiper, no, i tak dalej i tak dalej. U nasady stołu… aha! A koło mnie, już tak na brzegu – znaczy, ta nasada stołu była taka, że powiedzmy mogły świetnie usiąść trzy osoby – siedział taki Piach. Czy tobie coś mówi?

Trznadel: Nazwisko nie.

Watowa: Nic ci nie mówi? To był poeta, który się nazywał Piach. Tak zwany poeta chłopski i ludowy, coś takiego. I rozumiesz, tutaj na drugim końcu, właśnie prawie, że pośrodku tej nasady stołu... Mówi się nasada stołu? Co to jest właściwie? Dlaczego ja mówię nasada stołu? Ta część.

Trznadel: Tak, ja rozumiem, rozumiem dobrze. No pewnie można też tak.

Watowa: A może jest jakieś inne słowo? – Siedział Aleksander, no, i koło Aleksandra tam całe to towarzystwo. Niestety nie mogę, wiem tylko, że tam była ta… Olga, że tam był właśnie Baliński – to, to wiem na pewno. Ale nie pamiętam dokładnie kto. No, i tutaj Aleksander, który, wiesz, zawsze lubił dyskutować itd. więc tam się od razu zaczęła bardzo jakaś ożywiona rozmowa. No, a tutaj ja widzę, że Władek, przychodzi kelner i on zaczyna zamawiać nie pytając o nic nikogo, zaczyna zamawiać wódkę itd. jakieś dania. Ja, wiesz, troszeczkę zdziwiona i trochę przerażona, mówię tak… przechylam się do niego i mówię: „słuchaj, Władku, ty wiesz, że my tu jesteśmy właściwie wszyscy bez pieniędzy. Więc ty tak się nie… jakoś wydaje mi się, że jakoś za dużo zamawiasz". A on mówi: „Nie martw się o to, nie bój się, zobaczysz". No, i prawda, zaczęło się oczywiście jak zwykle przy takich okazjach, zaczęło się od kieliszka wódki, od jakiejś zakąski. No, Władzio, Władzio Broniewski zaczął być zabawny. A ja, wiesz, mnie wystarczy wypić jeden kieliszek, żebym ja już zaczęła się trochę śmiać itd. i w ogóle. I mówię: – „Wiesz, Władeczku, rzeczywiście, jest przyjemnie". A on mi na to mówi: „Zobaczysz, potem będzie jeszcze przyjemniej".

Trznadel: Kto?

Watowa: Władek Daszewski. „Potem będzie jeszcze ciekawiej, jeszcze przyjemniej". Więc to wszystko razem długo nie trwało. I są jakieś takie rozmowy, raczej zajmujemy się tym, co podają itd. I nagle drzwi się otwierają i wchodzi para. Wchodzi goryl – wiesz, taki typowy, wysoki,

261:8732008736

barczysty. (((rozemocjonowana))) Zupełnie z gołą czaszką. Niesamowity zupełnie, szalenie wysoki. Z Marleną Ditrich.

Trznadel: ((śmiech))

Watowa: Rozumiesz? Czarny kapelusz, czarne jakieś rękawiczki, jakaś taka bardzo, wiesz, teatralny bardzo strój. Taka – ja ją potem od razu określałam – marlenowata. Kobieta-wamp. Więc widziałam takie, jedna chwila, ja tak spojrzałam na Władka. Widziałam, że on jest taki lekko zmieszany. Jak gdyby jakiś trochę zmieniony. Oni kierują się bez żadnego pytania do tego małego stolika z dwoma krzesłami. Siadają. No, i wtedy Władek Daszewski się podnosi, podchodzi do nich, rozmawia, a potem zwraca się do całego towarzystwa, mówi: „Słuchajcie moi drodzy, tutaj jest bardzo wybitny historyk sztuki, który przyjechał z Moskwy, z naszą, prawda, przyjaciółką". – Nie z naszą, bo nikt jej nie znał. – „aktorką Teatru Polskiego". Wiesz, ona była raczej, raczej wszystkim, a nie aktorką.

Trznadel: Tak.

Watowa: No, ale ona już tam pracowała u niego. No, i że powiedział tam jakieś nazwisko, które prawdopodobnie gdybym pamiętała, nie miałoby żadnego znaczenia – że on by po prostu pragnął poznać polskich poetów, pisarzy i pobyć trochę z nami itd. No, wyobrażasz sobie, że w tym towarzystwie i w tej sytuacji historykowi sztuki, który przyjechał z Moskwy i pragnie poznać. ((śmiech))

Trznadel: Tak…

Watowa: Nie mówi się, że my nie chcemy, tylko oczywiście, ale proszę bardzo itd. i wtedy właśnie ten goryl usiadł koło Piacha, czyli pośrodku stołu, naprzeciwko Aleksandra, koło niego Marlena Ditrich, koło Marleny Ditrich siedział Broniewski. No, więc, prawda, oczywiście jemu się tam coś podaje itd. Ale widocznie chodziło o to, żeby to wszystko, tego wszystkiego nie przedłużać, dlatego, że w pewnej chwili, rozumiesz, ja tego Piacha miałam tutaj pod lewą ręką, siedział koło mnie. Więc on, ponieważ on znał tę Marlenę Ditrich, bo on tam chodził widocznie do teatru itd. powiedział jej, wiesz, zdanie no jeżeli, mniej więcej tej treści, że powiedzmy jest deszczowo i szaro, i w ogóle. I w tej chwili, po takim, jak najbardziej niewinnym zdaniu, dostaje pięścią od tego historyka sztuki.

Trznadel: Przez stół?

Watowa: Pięścią! Nie przez stół. On siedział koło niego. Bo jak ci mówiłam, to on siedział u tej nasady koło mnie. To znaczy ja siedziałam tu, tu siedział piach, tu siedział goryl, a tu siedziała

262:5646408547

Marlena Ditrich. (((emocjonalnie))) Dostaje pięścią w stół i wyobraź sobie siłę tego człowieka. On unosi, wiesz, stół w górę, więc wszystkie butelki się wywracają. Wszystko zaczyna lecieć i w tej chwili ja widzę dopiero, że są aksamitne takie portiery, zielone, które się rozsuwają i wpada – wiesz, w takich granatowych typowych garniturkach, co to wiesz, pod klapa jest zawsze taki znaczek ((śmiech)).

Trznadel: Tak.

Watowa: Wpada, nie wiem ilu ich było: pięciu, sześciu czy siedmiu mężczyzn. Od razu widzę, że Broniewski dostaje po głowie i już leży na, na podłodze. Peiper leży już na podłodze, ale, i że ten właśnie mąż tej poetki, Szemplińskiej rzuca się na tego. Ale oczywiście ja ci to opowiadam, to się może wydawać, że to, ale to jest błyskawica, to jest ułamek sekundy, bo ja patrzę na Aleksandra. I wyobraź sobie, że tutaj się rzuciło, powiedzmy dwóch, ale jeden leciał wprost do Aleksandra. (((emocjonalnie))) Daje mu pięścią, wiesz, w ten sposób, nie w twarz, tylko w podbródek, tak że on tutaj momentalnie zalewa się krwią. Butelki zaczynają się latać w powietrzu. Nie wiem, kto zaczął rzucać butelkami, wiesz. Czy ludzie się chcieli bronić przed tym wszystkim. Więc ja na czworakach, żeby nie dostać butelką. Na czworakach, na podłodze, wiesz, czołgam się tam do Aleksandra. I mówię: – Ol, Ol, uciekajmy, uciekajmy! On był, rozumiesz… ja ci powiem, on właściwie tak jak pisze, i to on wiedział, że on będzie aresztowany, on przeczuwał aresztowanie. Ale, rozumiesz, komu mogło przyjść do głowy. No, przyjdą w nocy, bo zawsze przechodzą w nocy.

Trznadel: Tak.

Watowa: I wiesz, on jest taki właściwie oszołomiony tym ciosem, ta krew. Więc ja go biorę, zupełnie go biorę za ręce i wyprowadzam przez te drzwi przez które żeśmy weszli, i przez które ten. I wtedy znajduje się na sali restauracji. Przy stolikach pełno ludzi, więc przy pierwszym lepszym go sadzam, nie pytam, biorę wodę, biorę wino, biorę czyjeś serwetki, wycieram mu krew. Oczywiście mówię: „Ol, zaraz wyjdziemy". Itd. On nic mi nie mówi... I wiesz, chce po prostu, jeszcze – myślę, poczekam chwilę, żeby on doszedł, wiesz, do jakiejś równowagi i żeby tą krew zatrzymać. I wtedy wyskakuje Daszewski. Z tych drzwi. Ja zostawiam Aleksandra, ((z emfazą)) lecę! Leci, biegnie w stronę szatni. Ja mówię: „Władek, co się tu dzieje?" On leci, nie odwraca się. Ja wbiegam do szatni. W szatni, proszę ciebie, szatniarz trzyma już jego palto, jego jakiś kapelusz, wiesz, laskę. Ja nie ustępuję. Mówię: „Władek, co się dzieje? Władek, co tu się dzieje? Co to się stało?". Milczenie. Otwierają przed nim drzwi.

263:6427410696

06_Fon.61.702 Strona B

Watowa: Ja wyskakuję za nim na schody. Na schodach pełno, proszę ciebie, w mundurach tego, enkawudzistów.

Trznadel: Tak, już czekają.

Watowa: Już oczywiście z tymi sztychami itd. wszyscy się przed nim rozstępują, on wybiega, a mnie już tym wpychają na salę. Więc ja wracam do Aleksandra.

Trznadel: Ile czasu mogło upłynąć, mniej więcej, od początku bójki do momentu, kiedy on wybiegł.

Watowa: Od początku bójki? Słuchaj, on tam był... wiesz, tak jak obliczę, że, że, że przykładałam tę wodę zimną, pamiętam, że wina mu nalałam, wiesz, na serwetkę. Tym winem, na razie nie widziałam wody itd. ja myślę, że on jednak minimalnie był tam jakieś 10 minut. Może mniej, wiesz. Ja ci powiem – to było zbyt duże wrażenie, żebym ja myślałam o czasie. Tym bardziej, że to wszystko było niesamowite. Ten goryl się nie pokazał, goryla w ogóle nie widziałam, dlatego, że on prawdopodobnie wyszedł przez te portiery, tamtędy, z tą Marleną. Ale Władka widziałam. I leciałam za nim do drzwi i wyskoczyłam za nim na schody. No, i od razu za mną, jak ja już podeszłam, to oni byli na sali. *Prawierka dokomentow*[401]. Wszystkich stamtąd pokrwawionych, pobitych itd. A proszę ciebie, ci, którzy bili, to też poznikali. I zaczęli, rozumiesz, powiedzieli, że nikt nie ma prawa się ruszyć, nikt nie ma prawa wyjść. I... po tej *prawierce* kazali według nazwisk. Więc nie wiem, czy zaczęli od Wata czy zaczęli od Broniewskiego. Do tej szatni, do tej… wiesz, to taki duży hol był. I tak: tutaj Wat, tutaj Ważyk. Na prawo Wat, powiedzmy, na lewo Ważyk. Tutaj, prawda, ten, Broniewski, a tutaj…

Trznadel: Był Ważyk też?

Watowa: Był Ważyk na ogólnej sali. On nie był zaproszony. Tak samo Stern. Był na ogólnej, w restauracji.

Trznadel: I stamtąd jego wzięli.

Watowa: I stamtąd jego wzięli. Wzięli, proszę ciebie, męża właśnie tej, no, tej tej poetki.

Trznadel: Szemplińskiej, tak.

Watowa: Szemplińskiej, tak! Który walił tych, wiesz, tych wiesz tych enkawudowców, no mówię ci – walił. I tylko powinnam była zostać, żeby to widzieć, ale nie widziałam. Ale wiem,

[401] Ros. *Prawierka dokomentow* – kontrola dokumentów.

264:5345340140

że ich walił, bo oni się rzucili na tego biednego Peipera. Wyobrażasz sobie Peipera, który walczy? On tego Peipera wyrywał z rąk, tego… i strasznie podobno ich walił. W każdym bądź razie, wiem o tym od tego. No, i my tu żony. Więc to NKWD mówi: kobiety, żeby wyszły na ulicę. Niech tam czekają, tutaj nie mają co robić. No, i potem my wychodzimy na ulicę, i wyobraź sobie, że stoi ta czarna limuzyna, która nas przywiozła. I zaczynają wychodzić po kolei, wiesz, Aleksander, Władek, prawda… I to, co pisze właśnie Aleksander w *Moim wieku*, że on sobie nie mógł wybaczyć, rozumiesz, że on tak na mnie spojrzał. On tak wiesz, uchylił kapelusza, ukłonił mi się, ((śmiech)) jak taki, wiesz, elegancki pan, który składa ukłony, rozumiesz? On był zupełnie jednak w jakimś takim stanie pewnej nieprzytomności.
Trznadel: Tak, oszołomienia.
Watowa: Tak, oszołomienia. Że mi nie przekazał w spojrzeniu, wiesz. Ja widziałam jak on tak się pochyla i wchodzi do auta. I Broniewski, i ci wszyscy. Napakowali, wiesz, to auto. I to auto odjechało. Następnego dnia…
Trznadel: A wam pozwolono po prostu.
Watowa: A nam, tak. Myśmy zresztą także, nasz los był z góry odnotowany, dlatego, że potem było wiadomo, że wszystkie rodziny aresztowanych były wywiezione. Marysia Zarębińska nie była żoną, legalna żoną Władka. Nosiła nazwisko Zarębińska, więc jej nie wywieźli. Znowu jeśli chodzi o Anatola Sterna, to ci mówiłam, że on został zwolniony po trzech miesiącach. Jeden, który został zwolniony. A ten mąż Szemplińskiej został zwolniony po 24 godzinach. Ten co walił ich. Bo on nie był brany
Trznadel: Nie należał.
Watowa: Nie należał. Nie był na liście. Szemplińska była szaloną komunistką, która się zachowywała dość nieprzyzwoicie, między innymi właśnie wtedy, kiedy ten się chciał tak odgradzać, potępiać itd. to ona właśnie była jedną z tych, która była jak najbardziej za tym. I bardzo, wiesz, potępiała i bardzo się odgradzała i mówiła rzeczy.
Trznadel: To znaczy od aresztowanych?
Watowa: Tak, tak. I już przed tym ona zajęła stanowisko takiej nieugiętej, wiesz, wierzącej itd. No, ale, żeby jednak od razu, jakie następują przemiany. Jak myśmy przyjechali w kwietniu w czterdziestym szóstym roku, wróciliśmy z Kazachstanu do Polski, to pierwsza wizyta jaką złożono nam – bo myśmy zamieszkali na Pradze u Broniszówny i wtedy dom, Szyfman miał taki dom dla aktorów, znalazł na Pradze – przyszła do nas ta... no masz! Ta poetka. No….

265:7447454546

Trznadel: Szemplińska.
Watowa: Szemplińska! Coś się ze mną dzieje?! Przyszła Szemplińska i była zupełnie w tragicznym stanie, i błagała – dosłownie, no prawie, że chciała Aleksandra po rękach całować – żeby on jej wybaczył. Że ona była okropna, że on robiła rzeczy potworne i, że ona będzie, że jej życia całego nie starczy, żeby odpokutować to, co ona robiła we Lwowie. Ale teraz to ona już tez wszystko wie, rozumiesz? Zdaje się, że – właściwie nie wiem czyś ty się spotkał z twórczością Szemplińskiej po wojnie?
Trznadel: Po wojnie nie, przedwojenne jakieś tam czytałem.
Watowa: Tak. Mam wrażenie, że ona nawet przestała pisać, że ona była, stała się jakąś – mam wrażenie, miała jakieś religijne przeżycia, itd. W każdym bądź razie to był zniszczony, złamany człowiek, z poczuciem jakiejś straszliwej, wiesz, winy. Nie wiem, czy, jak ciągnąć dalej, żeby skończyć z Daszewskim.
Trznadel: Właśnie.
Watowa: Czy. Nasz przyjazd, wiesz, w kwietniu, w czterdziestym szóstym roku do Polski, był od razu, no, po prostu, po tygodniu, po dwóch był Zjazd Literatów we Lwowie. Wszyscy... Co ja mówię, we Lwowie. W Łodzi! Więc, jak ci wiadomo, „Kuźnica" była w Łodzi, dom dla literatów był w Łodzi, Dąbrowska, tam Nałkowska, Rudnicki, to Sandauery, Pawełek Hertz, to oni przecież wszyscy. Julek Żuławski. Oni przecież wszyscy. Warszawa była w ruinach. Oni mieszkali wszyscy w Łodzi, i tak. I był oczywiście Leon Schiller. Więc jest Zjazd Literatów, Aleksander bierze w tym udział. I wiesz, pierwsza rzecz. Leon Schiller, który przychodził, wiesz, do nas do domu i brał udział w tych zebraniach itd. itd. powiedział: „Panie Aleksandrze, ja z Panem muszę pomówić. Ja z panem muszę pomówić o Daszewskim. Pan musi to zrozumieć, pan musi mu to wybaczyć, pan musi mu podać rękę, bo on nie wiedział". Dlatego, że, wiesz, po tym co się stało od razu w prasie podziemnej polskiej to wszystko było opisane. Tak że Broniszówna o tym wiedziała i wszyscy o tym wiedzieli. I zresztą Bonacka, druga żona Daszewskiego, aktorka, o tym się dowiedziała właśnie z tego podziemnego pisma. I opisywano właśnie działalność tego. Dlaczego Leon Schiller był, Leon Schiller szalenie się przyjaźnił z tym Daszewskim, Słonimski się przyjaźnił przed wojną z Daszewskim, minister Kozak się przyjaźnił – podjeżdżał autem, bo mieszkali blisko, żeby on. On należał do takiego świata. Był bardzo dowcipny, był bardzo utalentowany, duże powodzenie u kobiet – taki czaruś, wiesz. Zupełnie pozbawiony tak zwanego kręgosłupa moralnego.

266:4363232939

Trznadel: Tak.
Watowa: On wyjeżdżał, wyjeżdżał na jakiś zjazd do Moskwy. Ja nie wiem z jakiego ramienia, dlaczego. W każdym bądź razie wyjeżdżał. Ja akurat poszłam do jego żony, takiej słynnej…
Trznadel: Przed wojną jeździł?
Watowa: Przed wojną, przed wojną. Do takiej słynnej Marianny, która bardzo była znana, wiesz. ((śmiech)) Bardzo dowcipna, zabawna osoba, która mnie osobiście szalenie bawiła. Ta cała jej amoralność, tak zwana amoralność, mnie zupełnie nie obchodziła. I oni wtedy mieszkali w Ateneum, on tam razem z Schillerem itd. robił te inscenizacje. Znaczy się ten reżyserował, on był bardzo zdolny. Robił rzeczywiście świetne kostiumy itd. I ona pakowała go, wiesz, do Moskwy. Więc ja widziałam tę walizkę i tam było wszystko nowe. No, i bielizna, i woda kolońska jakaś wspaniała, ta () i bóg wie co. No, i ta Marianna mówi: „słuchaj, czy ty myślisz, że on mnie zapytał za jakie pieniądze ja kupiłam mu te wyprawę do Moskwy?" Ona miała wtedy bardzo bogatego kochanka, no, i oczywiście za pieniądze tego kochanka. O czym on oczywiście wiedział. I za pieniądze tego kochanka, ona go do tej Moskwy bardzo, wiesz, wyprawiała. Rzeczywiście bardzo elegancko. Tak że... Więc Aleksander mówi: „Ale panie Leonie, ale jak to jest możliwe, że on nie wiedział?".
Trznadel: Ale wobec tego co on wiedział? Bo coś wiedział?
Watowa: To co on wiedział?
Trznadel: Co on wiedział, a czego nie wiedział?
Watowa: I, proszę ciebie, ((z emfazą)) potem to samo Słonimski, w Warszawie. Powiedział: „Aleksandrze, to on sobie nie zdawał sprawy". No dobrze, ale on był w kontakcie z NKWD. Jednak jemu, i to nie jemu przyszło do głowy, żeby nas zaprosić do restauracji, jemu kazano. Przecież ten goryl, który to wszystko zrobił. I, i, i ci, którzy byli na schodach. Przecież to była rzecz zupełnie... niby czego on nie wiedział? Jemu, a on nie wiedział, że jego użyją. „To znaczy, on wiedział, że ma was zaprosić, ale nie wiedział, że będą takie skutki".
Trznadel: Rozumiem. Zaprosić, być może, w celu spotkania.
Watowa: Tak.
Trznadel: Że ktoś będzie z Moskwy, że będzie spotkanie, prawda?
Watowa: Ale on nam nie mówił o tym!
Trznadel: Nie mówił?

267:9936260296

Watowa: Nie. Proszę ciebie, cały ten wieczór, kiedy był tak natrętny i rzeczywiście tak nalegał, nie wspomniał, że to ma być spotkanie z jakimś historykiem sztuki itd.
Trznadel: I że działa na czyjeś polecenie.
Watowa: Tak. I że w ogóle jemu powiedziano, że właśnie chcą, żeby było takie spotkanie. A zresztą, jeżeli miało być takie spotkanie, to dlaczego w knajpie, a nie na terenie Związku Literatów. Więc oczywiście o żadnej takiej rzeczy nie było mowy. Aleksander powiedział: „nie, ja temu człowiekowi ręki nie podam. I nie podam mu nigdy w życiu. To był nasz przyjaciel, który przychodził do naszego domu latami, do którego ja miałem zaufanie. I który w haniebny sposób się zachował. I zdradził swoich najbliższych przyjaciół, między innymi Władka Broniewskiego, z którym wypił rzeczywiście no - morze wódki".
Trznadel: Więc można by powiedzieć, z tego co ty mówisz, że on nawet nie wiedział, że tam będzie wywołana burda, prawda, że jest przygotowane aresztowanie, to tym nie mniej wiedział, kto to organizuje, kto mu poleca i to wszystko, co się kryło poza fasadą to ukrył. Kto będzie płacił, prawda?
Watowa: Tak! I ta limuzyna, która mu dali przyjaciele.
Trznadel: Czyli, że co najmniej okazał się człowiekiem wyjątkowo nieostrożnym.
Watowa: No, to ty jesteś szalenie pobłażliwy. No powiedzmy, że był taki nieostrożny.
Trznadel: No, już nie mówiąc o tym, że coś ukrył, prawda. Bo gdyby wszyscy wiedzieli, że to jest spotkanie finansowane przez władze radzieckie, to by nie przyszli, prawda?
Watowa: Tak, w każdym bądź razie ci wszyscy zebrani nie mieli żadnych kontaktów z NKWD. Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek, kto był wtedy w tym tak zwanym gabinecie, miał coś do czynienia, wiesz, z NKWD. Dla Aleksandra, wiesz, on się tłumaczy dlaczego on jednak do tego „Czerwonego Sztandaru", że był szczęśliwy, że tam korektę robił, strasznie się bał o tego Stalina, ((śmiech)) żeby nie, żeby jednej litery nie przepuścić, żeby mu się nie zrobiło ze Stalina zamiast „t", żeby nie zrobił „r". to były jego największe niepokoje i troski. Niemniej, to mówiłam ci już o tym, że ten Dan bardzo go namawiał, żeby go uchronić, że może jednak. Ale widzisz, ja... należę do takich ludzi, którzy są zupełnie nafaszerowani wyrzutami sumienia. Otóż po tym, po tym Zjeździe – zresztą Schiller zaprosił nas na przedstawienie *Krakowiacy i górale*, przepięknie wystawione! Które oczywiście na nas, po 6 latach Kazachstanu, rozumiesz? Myśmy się, to była, no prawie ze łzami w oczach, żeśmy tego wysłuchiwali, tych pieśni itd. No, w ogóle Polska, Polska, Polska! Więc dla nas to było jakaś niesłychanie patriotyczne, wiesz, przeżycie.

268:4613638439

No, ale Aleksander – już nie wiem z jakiego powodu – musiał wracać, a Kazia, Kazimiera Żuławska, wiesz, matka Julka, Marka i Wawrzyńca, zaproponowała… jeszcze tam była taka Ela Łabuńska. Może ci mówi coś to nazwisko? Aktorka wielka, przyjaciółka Kazi Żuławskiej. Zaproponowali, żebym ja może dzień, dwa została. Myśmy tam zresztą odwiedzili z Aleksandrem Nałkowską, wiesz, była tam taka Dobrowolska, taka wiesz, Dobrowolska, taka troszeczkę garbata.
Trznadel: Dąbrowolska. Przyjaciółka Irzykowskiego.
Watowa: Dąbrowolska. Przyjaciółka Irzykowskiego. No, jednym słowem, masę tam było ludzi. To było takie odkrycie świata zupełnie, wiesz, jakby to nagle, no, wszystko gdzieś zatonęło, wiesz, i nagle wypłynęło (). I ja zostałam. No, i któregoś wieczoru Wawrzyniec – uroczy Wawrzyniec, który zginął tragicznie w Alpach – wyszłam z nim i mówi: „wiesz, to chodź pójdziemy, zjemy sobie gdzieś kolację w restauracji". No, i weszłam z nim do tej restauracji. Rozglądamy się, widzimy tam przy stoliku siedzi Władek Broniewski. Więc mówię: „no to świetnie, to sobie z Władkiem Broniewskim, ((z emfazą)) ale nagle, jak upiór jakiś, zupełnie blady – wiesz, rzeczywiście, no, pobladły – idzie tak do mnie – jakimś krokiem jak somnambulik – idzie Władek Daszewski i mówi: „Ola, Ola! Ja muszę z Tobą pomówić. Ja muszę z Tobą pomówić". A Wawrzyniec, wiesz, cap mnie za rękę i mówi: „Nie! Ola z panem mówić nie będzie!". I kieruje się w stronę Władka. Ten nie ustępuje i mówi: „Ola, ja muszę z atobą pomówić!". Podchodzimy do stolika Władka, a Władeczek mówi: „No, no, no. Siadajcie, siadajcie, tylko pamiętaj Olu, żebym nam się tutaj Lwów nie powtórzył". (((rozbawiona)))
Trznadel: Tak.
Watowa: On jednak nie zważa na to, Władek, i siada przy tym stole. I teraz sobie przypominam, że to był właściwie pierwszy – ja miałam jeszcze hotel na tą noc – że właściwie tego dnia rano wyjechał Aleksander, ja jeszcze miałam nocować w tym hotelu, a następnego dnia miałam się przeprowadzić do Kazi Żuławskiej. I rozumiesz, przy tym stole, no, udajemy, że nic. Udajemy, że rozmawiamy. To wszystko oczywiście był teatr. I potem Władeczek oczywiście goli wódkę, więc już jego zostawiamy, a Wawrzyniec mówi, no to ja cię odprowadzam do hotelu. Władek Daszewski się podnosi. Idzie z nami... On mówi: „Dlaczego pan idzie z nami? Ola Watowa nie będzie z panem rozmawiała". I wiesz, to błagalne spojrzenie tego Władka. Odprowadzają mnie do hotelu, obaj. I Wawrzyniec na straży, rozumiesz? Patrzy, jak ja wchodzę po schodach, żeby ten przypadkiem mnie tam nie dopadł. I czeka. I jeszcze ja słyszę jak – i on oczywiście jemu ręki

269:9856114159

nie podał, Wawrzyniec itd. – aż te poszedł. I ja byłam w swoim pokoju, oczywiście już nie było mowy o żadnej rozmowie itd. Ale rozumiesz, potem – nie od razu, uważałam, że może popełniłam błąd. Przede wszystkim nie należy odmawiać

Trznadel: Tak.

Watowa: W takiej chwili. Kiedy się widzi człowieka, w takiej wiesz, rozpaczy, w takiej depresji, tak cię błagającego, ale rozumiesz, tutaj nie ulega wątpliwości, że ja bym z nim mówiła, żeby nie było przy mnie Wawrzyńca. Ale Wawrzyniec miał taką pogardę dla niego, taką nienawiść. To był dla niego, wiesz, to był dla niego robak, którego należało. I wiesz, (((rozemocjonowana))) i to, że ja nie mogę, nie będę, nie powinnam z nim mówić, to na mnie tak, wiesz, ta jego jakaś prawda, która biła z tego Wawrzyńca, która, która miała mnie przekonać. Inna sprawa, że ja – nie powiem, żebym ja była już wtedy taka pewna, tylko ja uległam Wawrzyńcowi. A potem byłam u Żuławskiej, a potem wyjechałam. I potem już, oczywiście, to się nie powtórzyło. On się już do mnie nie zwracał ponownie. Nigdy, dlatego, że prawdopodobnie był pewien, że, że, że ja mu odmówię. A z drugiej strony – o, kończy się zaraz – a z drugiej strony, gdyby się do mnie zwrócił, to na pewno bym z nim mówiła. I muszę ci powiedzieć, że jak wychodził *Mój wiek*, napisałam do Miłosza. I napisałam mu, że wydaje mi się, że uświadomienie sobie przez Władka, jaką rolę on odgrywał. Że on musiał dźwigać taki krzyż, że to musiało być takie…

Trznadel: Zatrzymamy tu...

Watowa: Gdzie są moje okulary?

Trznadel: Do końca?

Watowa: A co, ty inaczej to robisz?

Trznadel: Ja to robię trochę inaczej.

Watowa: Aha, to dlatego, że ja. Aha! Są okulary. Tak, bo ja to wiesz, do końca. Aha.

Trznadel: Ja to przekładam, tylko bardzo uważnie.

Watowa: Aha. Może masz rację, bo potem to jest, o wiele więcej czasu tu potem zajmuje. To jest najważniejsze, żeby tylko się nie pokręciło.

Trznadel: Nie martw się o to...

Watowa: Na dół... Równo idzie.

Trznadel: Teraz już powinno być dobrze.

Watowa: Równo idzie. Tak.

Trznadel: Dobrze jest.

270:1006408458

Watowa: Dobrze. Aha, to już idziemy dalej? Na czym ja skończyłam? O boże święty! Mówiło się właśnie...
Trznadel: O liście do Miłosza.
Watowa: Aha. Że napisałam do Miłosza. I właśnie w tym liście mu napisałam, że chyba nie ma większej hańby w gruncie rzeczy dla człowieka, bo człowiek jak zabija, to zabija w jakimś uniesieniu, w jakiejś nieprzytomności, nienawiści itd. natomiast to wszystko było zrobione z premedytacją. Ale niemniej, wiesz, żal mi było tego człowieka, bo sobie wyobrażałam, że jego cierpienie musiało być straszne! Lata całe! Wiesz, ta książka wychodziła, jak on jeszcze żył. I napisałam do Czesława: „Wiesz co? O tym Aleksander mówi", nie mówił tak dokładnie jak ja, ja opisałam tę całą ucztę. Jak ktoś mówi: uczta Baltazara. Jedna z moich przyjaciółek mówi: – „opowiedz swoją ucztę Baltazara". ((śmiech)) Ale mówię: „wiesz, może dać tylko jego inicjały?". No, ale ponieważ w tym samym czasie dostałam list od Ciołkoszowej, że Niepomucen Miller jest wielkim przyjacielem Ciołkosza Adama, i że tam Aleksander nie bardzo się o jego inteligencji, i że niby nie uważa go aż za takiego inteligentnego.
Trznadel: O Millerze?
Watowa: Tak, o Millerze, Nepomucen Miler. Żeby może skreślić. Potem jest tam, proszę ciebie, Lewin, który jest bardzo poczciwy, który jednak siedział w tej celi śmierci i spotkał Aleksandra na takim *pieriesilnym*[402] takim wiesz, jak Aleksander wyszedł już z więzienia, ważył 42 kilo, ledwo się trzymał na nogach, jechał do Ałma Aty, dlatego, że chciał jak najprędzej być w stolicy, żeby się tam dowiedzieć, gdzie ja jestem itd. Wystarał mu się o bochenek chleba. Bo, on był, wiesz, taki jak ptaszek, ten, ten Lewin. ((śmiech)). Rozumiesz? Mimo to że tyle przeżył był pełen werwy. Więc Aleksander mówi o nim, o jego poczciwości, niemniej opowiada jak on, wiesz, podczas, podczas – jak przychodził do nas i on mówi: „Dlaczegoś ty piszesz o Stalinie? Dlaczegoś ty napisał list o Stalinie?". I Aleksander go nazwał parnusista. Ja ci tu o tym mówiłam? (((rozbawiona)))
Trznadel: Nie.
Watowa: Nie? Dlatego, że parnas, to ty wiesz co to jest, ale *parnuse* to ty na pewno nie wiesz, co to jest. Dlatego, że Żydzi – nie wiem, czy to jest żydowski język, czy to jest z hebrajskiego, tego ci nie mogę powiedzieć – ale Żydzi zawsze mówili, że trzeba zarobić na *parnuse*, czyli na

[402] Ros. *Pieresilny* – rozdzielczy, relokacyjny, przesiadka.

271:6428906798

utrzymanie. Więc kiedyś właśnie Aleksander jak robił zarzuty temu Lewinowi, to on powiedział: „Słuchaj: żonę mam? Mam. Dzieci mam? Mam. Żona ma ojca. Ojciec, potem jest jej siostra, potem ona ma syna z pierwszego małżeństwa". Jednym słowem wyliczył nam jakieś siedem osób – bo on tą żonę sobie poderwał, ona była żona jakiegoś porucznika, coś takiego ((śmiech))– więc mówi: „Ja muszę ich utrzymywać, więc ja muszę coś napisać, bo nic innego zrobić nie mogę". Wobec tego Aleksander go nazwał parnusista. ((głośny śmiech))

Trznadel: A to bardzo, bardzo w punkt.

Watowa: Parnusista. Ale trzeba powiedzieć, wiesz, on to mówił z taka naiwnością. W gruncie rzeczy, wiesz, to też jest jeden z tych ludzi, który napisał wiersz o Stalinie, przyjaźnił się oczywiście z Kliszko, ale nie wiem, może ty coś o nim wiesz, ale w każdym bądź razie mam wrażenie, że to jest jeden z tych ludzi, który właściwie muchy nie potrafiłby zabić. Ale pisał – nie wiem – ty lepiej wiesz.

Trznadel: Tak, no, więc po wojnie uprawiał mniej więcej taką działalność literacką jak wszyscy. Na miarę swojego talentu.

Watowa: Na miarę swojego talentu!

Trznadel: Więc niczym specjalnym się nie wyróżniał.

Watowa: No, więc, tak, oczywiście, cóż tam wiele gadać. Aleksander powiedział: „No cóż, jako poeta, oczywiście, to jest bardzo marny poeta", no, ale wspomniał w związku z tym, jak on się ładnie zachował, jak go spotkał, wiesz, jak się nim zaopiekował itd. No, i że on taki, co to musiał utrzymywać tę olbrzymią rodzinę. Więc znowu mi było przykro, rozumiesz, że tego człowieka tam też tak się trochę ośmiesza. Na potem był Iwaszkiewicz, wiesz. Na co Czesław w pewnej chwili powiedział: „dość tego wszystkiego. Autor nie żyje, prawda, co napisał, co powiedział to powiedział. Mówił prawdę, mam do niego absolutne zaufanie, więc nie skreślamy niczego".

Trznadel: A słuchaj, sprawa Daszewskiego, z jego strony było milczenie i już nic na ten temat się nie wyjaśniło?

Watowa: Na ten temat? Rozumiesz, tak: byli ludzie, którzy tak, jak, jak, jak właśnie powiedzmy jakiś Wawrzyniec, czy Władek Broniewski, który jednak o tym mówił, o tym Lwowie, żeby się nie powtórzył itd. którzy – nawet nie wiem czy Władek w jakimś momencie tam nie zaczął… napił się kieliszek wódki – ale jednak taki Słonimski czy Leon Schiller – te stosunki – bo on pracował potem razem. Inna sprawa, że sam Aleksander stwierdził, że już od naszego powrotu do końca, do jego śmierci – co zresztą on dość tak zdaje się tragicznie, bo był jakiś, stracił w

272:1997300886

ogóle przytomność, nie bardzo rozumiał, co się do niego mówi – nie wiem, na co on właściwie umarł. Żona zresztą, jak on przyjechał do Polski, żona go nie chciała wpuścić do domu. Zamknęła przed nim drzwi. Potem go w końcu wpuściła. Widocznie on jej tam tłumaczył. Ale, wiesz, on siedział bardzo cicho. Nie brał już udziału w żadnych takich, wiesz, rozgrywkach, nie pokazywał się ani w Związku, ani tego. Robił swoje. Był zdaje się profesorem w Akademii Sztuk Pięknych, tam wykładał. No, i w dalszym ciągu robił te swoje dekoracje.

Trznadel: Tak.

Watowa: Także właściwie już siedział bardzo cicho i już właściwie – trzeba powiedzieć – że nikomu nie szkodził, nikomu złego nie zrobił. I to był taki wiesz…

Trznadel: Być może, tak sobie myślę, że to była historia jeszcze jednego – jak to mówiliśmy – prania mózgu, który jemu urządzono i w jakiś sposób go przekonano nie wiadomo do czego, prawda?

Watowa: Ale do czego?

Trznadel: No, przekonywano ludzi do najgorszych rzeczy. Obiektywnie rzecz biorąc.

Watowa: No, więc, ja ci powiem, to co mówisz to jest właściwie o tyle [przerwane nagranie] to mi się wydaje dość okropne, bo o ile chciałabym wierzyć, że on miał – chciałabym wierzyć, chociaż, wiesz, takiej misji nie bierze żaden porządny człowiek – że NKWD była… A! Zapomniałam powiedzieć, że była wersja, że jakoby on chciał sprowadzić swoją żonę – Bonacką. Że jakoby powiedziano, że jeżeli on, prawda, to wykona – bo tak mówił Schiller – jeżeli on nas zaprosi, to jemu tę Bonacką sprowadzą, rozumiesz?

Trznadel: Bardzo przykra sprawa.

Watowa: Tak. A on chciał, kochał, kochał – zdaje się – tą swoją żonę i chciał.

07_Fon.61.703 Strona A

Watowa: A on chciał, kochał, kochał – zdaje się – tą swoją żonę i chciał, żeby ona była razem z nim. Więc, ale co oni mu powiedzieli? Bo jeżeli oni go przekonali do tego, że, że to będzie właśnie ta właśnie ((śmiech)) uczta Baltazara. To, proszę ciebie, to już by było bardzo niedobrze. To już by świadczyło o nim okropnie.

Trznadel: Więc moje takie – oczywiście trudno wiedzieć, i nie znam tego – intuicyjne przekonanie jest, że on nie miał w ręku tego. Czy inaczej nie miał w ręku całej prawdy, bo oni nawet by mu jej nie powiedzieli, bo baliby się, że on…

Watowa: Może by się bali.

273:5103584063

Trznadel: Może zmienić zdanie.
Watowa: Poza tym, wiesz, wszystko było absolutnie przygotowane. Dlatego, że artykuły, które się ukazały z samego rana były przygotowane już przed tym. Bo niemożliwe, że – jeżeli wszystko to się skończyło o jakiejś drugiej w nocy, prawda, czy może później, odwieźli ich do więzienia – żeby o godzinie ósmej rano cała prasa lwowska mówiła tylko o tym. Więc wszystko było. Że Putrament, który od razu zwołał, prawda, no, to, to, to można sobie wyobrazić, że przylatują do Putramenta rano, mówią, że oni tam, prawda, ci zrobili taką historię. Że policja, że NKWD musiało wtargnąć, że w ogóle zrobiono z nich… Bo, rozumiesz, Aleksander stara się też sobie to wytłumaczyć – niby dlaczego mieli z nich zrobić pijaków, wiesz, rozpustnych jakichś, jakichś tego typu. Bo trudno było temu społeczeństwu powiedzieć, że redaktor „Miesięcznika Literackiego", Władysław Broniewski, no niby prawie że nasz Majakowski, poeta rewolucji itd. Że niby tacy ludzie nagle tego. Więc chodziło o to, że oni zrobili tą burdę.
Trznadel: To się nazywa prowokacja.
Watowa: No prowokacja! To się nazywa prowokacja.
Trznadel: Po prostu przyjść w nocy, aresztować, byłoby o wiele trudniej, no, i oczywiście reżim stalinowski bardzo dobrze umiał robić prowokacje.
Watowa: Właściwie. No tak, ale niby normalnie byłoby, żeby oni przyszli w nocy po Aleksandra, żeby przyszli w nocy, tak jak to robią. Tak jak poszli po Herminię Naglerową. Tak jak poszli po tego, co o Leninie napisał, no…
Trznadel: Grubiński.
Watowa: Grubiński. Przyjaciel Oli Leszczyńskiej. Oni przyszli tej samej nocy. Przecież oni…
Trznadel: No tak, ale Grubiński nie był komunistą. Łatwiej po niego było przyjść niż po Broniewskiego, który, co prawda, nie był członkiem partii, ale był znany.
Watowa: Tak. Więc trzeba było zrobić, rozumiesz, taką brudną, ohydną robotę, żeby tych ludzi wsadzić, żeby ich oczernić, żeby ich zmieszać z błotem i żeby ich wsadzić właśnie – nie jako wrogów, dopiero potem z nich oczywiście zrobiono wrogów itd. – ale na razie jako łobuzów, jako – wiesz, pijaków, rozpustników itd. itd.
Trznadel: Tak, a co się stało jeszcze z niektórymi ludźmi, których – jak mówisz – przy okazji, bo nie musieli tam być, zatrzymano z sali. Czy Ważyk został zatrzymany czy zwolniony?
Watowa: Ważyk był postawiony naprzeciwko Aleksandra, czyli poszedł sobie spokojnie do domu.

274:5974497445

Trznadel: Poszedł sobie spokojnie.

Watowa: Tak. Ci wszyscy, którzy byli…

Trznadel: Nie był na liście, jednym słowem.

Watowa: Nie był na liście. Nie był zaproszony i nie był na liście.

Trznadel: Ale Stern, jak mówisz, mimo że był na ogólnej sali został.

Watowa: Tak, ja ci powiem, oni mają wspaniałe te kartoteki, oni wszystko wiedzą. No, ale literat, bo ja wiem.

Trznadel: Na wszelki wypadek.

Watowa: Na wszelki wypadek, żeby sprawdzić. Inna sprawa, że powiedzmy, w naszej faszystowskiej – w cudzysłowie – Polsce, takie sprawdzenie by trwało godzinę, a tam trwało trzy miesiące.

Trznadel: No tak.

Watowa: No, ale go wypuścili. Wypuścili i sprowadzili mu żonę.

Trznadel: Skąd?

Watowa: Z Polski. Ach nie! Przepraszam! Co ja mówię! Nie, nie, nie…

Trznadel: We Lwowie była…

Watowa: We Lwowie była. Alicja była we Lwowie. Tak! Alicja była we Lwowie.

Trznadel: No, i Olu, co działo się potem.

Watowa: No, i potem, proszę ciebie, o tym mówiłam, o tym właśnie – o Wasilewskiej. Mówiłam o jej staraniach. Mówiłam o tym strasznym życiu we Lwowie, o tej strasznej zimie, o strasznej męce, o strasznym – w ogóle, no, najazd barbarzyńców. Rozumiesz?

Trznadel: Tak.

Watowa: Strach. Wielki strach. I potem doszliśmy do tego, do tej wywózki, kiedy po trzech miesiącach – to znaczy, raz jednak czy dwa razy udało mi się z Zarębińską dowiedzieć, że on jest jednak na tym Zamarstynowie i uzyskaliśmy pozwolenie na przyniesienie bielizny. No, i wtedy dostaliśmy – bardzo to było, bardzo było, wiesz, puścili nas do tego więzienia, więc pamiętam z tymi tobołkami. Mówiło się cicho, niemniej krzyczeli na nas ostro. I taki jeden powiedział: „uwaga, uwaga, uwaga, bo to nie jest takie trudne, żeby was tutaj wszystkich od razu powsadzać. Żebyście stąd nigdy nie wyszły”. No, i taki zgrzyt klucza. Wiesz, oni bardzo bardzo umieją robić takie spektakle, rozumiesz, które działają. No, i potem oddałam tą bieliznę i dostałam paczkę. I Marysia Zarębińska dostała paczkę tej bielizny od Władka. Wróciłyśmy do

275:8328050700

domu, no, i ja otwieram, i patrzę, że tam, w tych szwach są wszy. Ale muszę ci powiedzieć, że jakoś to była dla mnie, jakieś takie wrażenie, jakieś przeżycie, rozumiesz? I tak, i miałam tę jego koszulę, która była na nim, i wiesz, te wszy, które go gnębiły. Ale jednak, ((śmiech)) które współżyły z nim.

Trznadel: Jeszcze niedawno, prawda, widziały go.

Watowa: Widziały, piły jego krew, rozumiesz? I on mi przysłał, między innymi skarpetki, w których była watolina. Ja, rozumiesz, moja wyobraźnia się rozigrała. Ja sobie pomyślałam tak: ponieważ on mnie nazywał Oliną, Olina – ja do niego Olina, on do mnie Olina albo Ol, Olina itd. więc ja sobie pomyślałam tak: Wat – Olina. Skarpetki, no to nogi. Nogi – to się chodzi. Czyli, że Wat do tej Oliny, rozumiesz. Że to jest taki znak, że on mi daje, wiesz, takie przesłanie, że Wat do tej Oliny przyjdzie niedługo. Ja prawie w to uwierzyłam. Tymczasem on w międzyczasie siedział w karcerze i tam było tak strasznie na ten betonowej, wiesz, posadce, jak on opisuje itd. że on wyrywał sobie kłaki tej watoliny

Trznadel: I upychał.

Watowa: I upychał w skarpetki. ((śmiech)) I to była właśnie tajemnica tej watoliny. No, i potem Marysia do mnie dzwoni, mówi: „Słuchaj, ja tutaj znalazłam wszy". Więc ja mówię: „Też, ja też". ((śmiech)). Bardzo żeśmy obie były wzruszone tym. No, i potem, jak ci mówiła, było po 3 miesiącach. Zjawili się. Już wiesz o tej ampułce, która mnie obudziła. No, i *dawaj, sabierajsja*[403]. No, i 15 minut na to.

Trznadel: Jaka ampułka cię obudziła?

Watowa: No, że ja nie słyszałam dzwonka. Nic. Spałam.

Trznadel: To znaczy lampa.

Watowa: Z Andrzejem. I wiesz, dopiero zapalona ta lampa, to światło lampy mnie obudziło, i zobaczyłam właśnie pięciu takich w mundurach, jakiś już nie wiem jakich, enkawudzistów z tymi sztychami. No, i *sabierajsja,* i 15 minut. Więc ja byłam, wiesz, w tym stanie, że ja nie chciałam niczego brać. Właściwie już mi nic nie było potrzebne. I wtedy jeden z nich powiedział: „Weź, bo te rzeczy ci się przydadzą". Ja mówię: „na co mi się przydadzą? Mi niczego nie potrzeba". No, i wtedy on mi powiedział, z takim nie wiem już – czy żeby załatwić sprawę prędzej, czy może jednak jakaś litość – bo to przecież jednak był człowiek, powiedział mi: „Słuchaj, ty się nie martw. Bo ty jedziesz tam, gdzie jest twój mąż. I wy się tam, rodziny

[403] Ros. *sabierajsja* - zabierać się.

276:1053770340

tych aresztowanych wszystkich, tam jadą, i wy się połączycie ze swoimi mężami". No, więc tutaj już ta ogromna radość i Andrzej, który jeszcze wtedy był Jędrusiem: „jedziemy do tatusia!". No, i zaczęłam zbierać. Ja już byłam uciekinierką, ja już rzeczy nie miałam właściwie. Ale ci Gilewiczowie, o których ci wspominałam – siostra mojego męża ze swoim mężem poszli przez zieloną granicę do Polski. Zostawili nam wszystkie rzeczy. Poza tym miałam rzeczy Aleksandra. I jego jakiś płaszcz, jakiś, jakiś garnitur. Zabrali go. To ja mu zaniosłam. Wolno było zanieść jedną koszulę na zmianę, żadnych garniturów. Także miałam taki tobół z tymi rzeczami, który mi zresztą uratował życie tam w tym Kazachstanie. No, i, proszę ciebie, zabrali nas. Była przed domem, czekała taka ciężarówka. Tam nas upychano nas na tej ciężarówce. Wiesz, był bardzo wysoki, więc podsadzano nas. Potem do tych wagonów bydlęcych, co ci też mówiłam już, już że, mnie kolanem popychał, żeby nas tam upchać.

Trznadel: To była jaka pora roku?

Watowa: To było z trzynastego, to była wywózka z trzynastego na czternastego kwietnia. Przed tym była wywózka, straszliwa wywózka chłopów, lutowa wywózka, gdzie wyrzucano – wiesz – zamarzniętych ludzi. Gdzie kobiety rodziły, gdzie noworodków wyrzucano od razu prawie. Bo to, to była straszna, to jeszcze ja miałam wiesz, to było jakieś błogosławieństwo, to był cud, że ja byłam w wywózce z trzynastego na czternasty. Dlatego, że tam masę ludzi poumierało. Tam były kobiety, które rodziły. Wiesz, działy się tam straszne rzeczy i tam rzeczywiście wyrzucano trupy tak na.

Trznadel: Z waszego transportu też?

Watowa: Nie. Słuchaj, co się działo. Tam było, bo ja wiem, to był olbrzymi transport, dlatego, że tej nocy wywieziono – w każdym bądź razie kilkanaście tysięcy osób, to były niby ciągle te rodziny, ale nie były tylko prawdopodobnie tylko rodziny aresztowanych, a może też były. Dlatego, że w tym wagonie na przykład były właściwie wszystkie warstwy klasy tak zwanej społecznej. Dlatego, że były żony policjantów, był taki sklepikarz, który mi szczególnie utkwił w pamięci, który się nazywał Kierski, sklepikarz ze Lwowa, była jakaś kobieta, która mleko przywoziła spod Lwowa do Lwowa, była wiceministrowa miasta Lwowa, była pułkownikowa – i w tej chwili oczywiście pamiętam ciągle jej nazwisko – pułkownikowa ze swoją córką i ze swoim synkiem. To znaczy, taki mężczyzna, który miał pewno jakoś – bo ja wiem – dwadzieścia kilka lat. Tak, że rozumiesz i był taki porucznik, którego zapamiętałam bardzo dobrze. Nazwiska jego nie znam, miał na imię Tadeusz. Tak, że było nad tam sześćdziesiąt osób. Otóż ci ludzie – ja

277:3466808450

byłam jedyna uciekinierką, która miała ten tobół, rozumiesz, tylko ten tobołek – natomiast ci ludzie wiedzieli, że będą wywiezieni i niektórzy to mieli, wiesz, no po prostu np. pamiętam ten, ten Kierski miał taki ((z emfazą)) garnek olbrzymi stopionej słoniny, tłuszczu. Mieli masę jedzenia.

Trznadel: To byli lwowiacy?

Watowa: Byli lwowiacy, rozumiesz. Mieli maszynki spirytusowe. No, jednym słowem, byli przygotowani do wywózki.

Trznadel: Skąd wiedzieli? Prawdopodobnie przygotowywali się na zasadzie wcześniejszych wywózek.

Watowa: Tak, na zasadzie, bo to, wiesz ja dobrze pamiętam, co mi opowiadano o tej lutowej wywózce, ale jeżeli się nie mylę, to moja wywózka już była w transporcie, w którym ja byłam, to była trzecia wywózka już. I kiedy mnie tam wepchnięto już wszystkie miejsca były pozajmowane. I dano mnie miejsce przy tym otworze klozetowym, wiesz, bo tam żadnego klozetu nie ma, jest dziura. I przy tym otworze, tam od razu ten Kierski, bardzo jakoś był organizator taki, zajął się organizacją, no, i powiedział: „Pani ma tam miejsce, jeszcze tam jest kawałek miejsca". Więc ja tam jakiś taki kocyk, nie wiem czy miałam kocyk czy nie miałam, w każdym bądź razie, usiadłam na tym tobołku z Andrzejkiem. No, i ten pociąg nie odjeżdżał. W nocy, oczywiście ponieważ tam wszystko się odbywa w nocy, a zresztą w nocy mnie tam – bo ja wiem, o pierwszej drugiej w nocy mnie tam wepchnięto – więc po jakieś godzinie, dwóch zjawiło się NKWD i oczywiście *prawierka dokumentow.* I wtedy ujawnia się, kto ja jestem. Wobec tych wszystkich Polaków. A kto mąż? A co robił? A kto? No, i ja mówię, oczywiście... jakie jest moje nazwisko, że mój mąż robił to i to, itd. I wtedy, jak oni poszli, to od razu ten porucznik, Tadeusz, zaczął tam jakiś konszachty z tymi, wiesz, Kierski nie Kierski, wiceministrowa i pani pułkownikowa. I nagle, rozumiesz, ja znajduję się w straszliwej, wiesz, wśród sześćdziesięciu Polaków, którzy – okazuje się – nie wierzą, że ja zostałam tutaj oczywiście wsadzona, też tak jak oni – tylko, że ja jestem, ten Tadeusz wiedział, że Aleksander był komunistą,

Trznadel: Tak.

Watowa: Więc ja jestem szpiegiem, przede wszystkim jestem Żydówką, rozumiesz. I jestem tutaj, żeby ich tutaj podsłuchiwać, szpiegować i donosić. I wyobraź sobie... jazda tam trwała trzy tygodnie. Przez trzy tygodnie to było, wiesz, że same te przeżycia moje, ten głód, prawda, i w

278:2687230830

ogóle to wszystko, co było na posiołku, i potem co się wszystko działo, to powiem ci, że te trzy tygodnie były tak strasznym koszmarem. I przede wszystkim, ja ci powiem, ja nie mam bardzo dużej odporności nerwowej. Ja się strasznie bałam, że ja nerwowo tego nie wytrzymam, i że to dziecko – w końcu on miał siedem lat skończonych, rozumiesz – że on zostanie sam. Że jeżeli ze mną się coś stanie… I wybrałam sobie tam taką osobę samotną, która była w jakimś stanie okropnej rozpaczy i zbliżyłam się do niej. Która zresztą wysłuchała tego o tyle niechętnie, że nie chciała się narażać

Trznadel: Wobec innych.

Watowa: Wobec innych. I powiedziałam: „Błagam panią, jeżeli się ze mną coś stanie, niech pani weźmie ta kartkę ode mnie, że ona się nazywa tak i tak, że on jest tym i tym, że on jest z Warszaw" itd. I ona, wiesz, powiedziała: „Dobrze, ja to zapamiętam". Nie chciała żadnej kartki, nie chciała niczego. „Ja to zapamiętam". I odcięła się ode mnie. Rozumiesz? Następnego dnia, czołgając się pod wagonami, całując ręce enkawudzistów w końcu odnalazła mnie, wiesz, przyjaciółka Peipera. Bo Peiper miał taką przyjaciółkę w Krakowie, która potem opuścił – zresztą on wrócił, on wrócił właściwie nienormalny.

Trznadel: On już w Krakowie był, w czasie wybuchu wojny, on już był właściwie nienormalny, o czym świadczą fragmenty jego publikowanych pamiętników.

Watowa: Ach tak?

Trznadel: On wszędzie widział szpiegów, on już miał tą manię.

Watowa: Ale mówisz, przed wojną?

Trznadel: Nie, nie. W momencie wybuchu wojny, a więc przed Lwowem, czyli we wrześniu trzydzieści dziewięć. Fragmenty pamiętników – wtedy była mania szpiegów, ale to już jakoś się łączy z tym. Ja czytałem te fragmenty. On już – gdzieś się tu zapaliło się w tym domu światło – to on mówi, to są znaki. Więc prawdopodobnie u niego ta paranoja, prawda, trudno wiedzieć, ta pobudliwość nerwowa zaczęła się wcześniej.

Watowa: Tak, tak. Wcześniej.

Trznadel: A przeżycia lwowskie pewnie musiały.

Watowa: No tak! I wyobraź sobie jego w więzieniu.

Trznadel: No tak.

Watowa: Zresztą Aleksander opowiada jak on, jak on tam po drodze, jak on go spotkał na Łubiance, jak on słyszał mój głos itd. więc oczywiście on był, on był obłąkany już.

279:9343314389

Trznadel: Przyjaciółka Peipera.
Watowa: Przyjaciółka Peipera. Wyobraź sobie, że ona – pani Dembińska, u której mieszkałam, dała jej poduszkę, dała jej trochę cukru - bo to są wielkie dary, wiesz. Poduszka nie. Bo poduszek wszystkich jeszcze nie zabrano, ale cukier to był wielki dar. Niestety cukier, a nie puder, powiem ci. To znaczy cukier w pudrze. I ona błagała, wyobraź sobie enkawudzistów, żeby jej pozwolono ze mną pojechać. Bo ona wyczuła, wiesz, to znaczy jej się zdawało, że ja, że ja zginę. Że ja sobie nie dam rady i że ona będzie mogła się mną opiekować.
Trznadel: A ona w ogóle nie była przewidziana do transportu?
Watowa: Nie, nie. Ona nie była żoną Peipera. Ona przyjechała tam, wiesz, za tym Peiperem. Ona go kochała.
Trznadel: No tak. Więc też.
Watowa: Oczywiście, jak ktoś nie jest na liście to jego się nie bierze. Żebyś go błagał na kolanach, żeby cię wsadzili do więzienia, nie! *Nie pałagajec*[404]. Ale ona mi te poduszkę i dała mi cukier, i dała mi wielki skarb – mianowicie ćwierćlitrowy taki garnuszek, w którym można było i używać go do picia, i można było w nim gotować. I to było wszystko, co ja posiadałam. Rozumiesz? W ciągu trzech tygodni Andrzej, który był, wiesz, dzieckiem przyzwyczajonym, że się je w ciągu dnia... Tam nam dawano jeść tylko w nocy. Czyli przynoszono wiadra, w tych wiadrach była jakaś straszliwe pomyje, jakaś zupa. Był chleb czarny, gliniasty, no, i mój Andrzejek absolutnie nie chciał się obudzić i powiedział, że on jeść nie będzie. Tak, że ja mu w tym garnuszku zostawiałam ten, nie wiem, ten jakiś kapuśniak czy jakieś buraki pływające, których on oczywiście nie chciał jeść w ciągu dnia, bo to było obrzydliwe.
Trznadel: Tak.
Watowa: Na górze umieściły się te panie, wiesz, ta nasza arystokracja. Bo tam były takie półki. I tam były takie – w prawdzie lekko zakratowane – okienka, ale można było wysunąć rękę. I na stacjach, na tych takich postojach, przychodziły babiny – oczywiście już jesteśmy w Rosji – które miały, wiesz, dwa jajka, powiedzmy czy troszeczkę mleka. Więc, rozumiesz, ci uprzywilejowani, oczywiście. Ja dopiero, wiesz, w jakimś… więc błagałam ich tam. Ten Kierski miał maszynkę spirytusową. Żeby mi pozwolił może odgrzać troszeczkę tej zupy. „Nie! Absolutnie nie!". Odmowa. Więc błagałam, no po prostu, błagałam tam taka panią, żeby jedno jajko mi wzięła dla mnie. Żeby to dziecko miało. I wtedy pamiętam jak, rozumiesz, wpadło, bo

[404] Ros. *Nie pałagajec* - nie można, nie powinno się.

280:7774534711

on tak tego jajka surowego by nie zjadł, więc chciałam mu zrobić kogel–mogel. I rozumiesz, pięścią miałam rozetrzeć ten kawałek tego cukru. Żeby on ten kogel–mogel w ogóle zjadł. No, ale jednak, wiesz, on nie chorował i jakoś przeżył te trzy tygodnie. Ale dochodziło tam – bo ludzie byli coraz bardziej zdenerwowani. Ja, wiesz, nie miałam prawie prawa do odezwania się, dlatego, że raz jeden odezwałam się właśnie z prośbą, żeby ratować to dziecko, żeby coś dać jemu, to napadli na mnie i powiedzieli, że lepiej byłoby żebym milczała. Że oni dobrze wiedzą, kim ja jestem i jaka jest tutaj moja rola. I że dobrze jeszcze o nich świadczy, że oni się zachowują tak, a nie inaczej, bo w końcu oni mogli mnie tam zakatrupić. Wiesz, nikt by się za mną nie ujął – jako szpiega, jako donosicielkę itd. Po trzech tygodniach wysadzili nas w jakich stepach, jakiś wertepach. Pierwszy raz w życiu widziałam lepianki, wiesz. Nie lepianki! Ziemianki! Z tych ziemianek wyszło, wiesz, wyszli jacyś brodacze w zawojach. No, dla mnie, wiesz, wtedy, dla tej Oli Watowej z tego okresu, jednym słowem – dzicz. I ta dzicz od razu zaproponowała, powiedziała przede wszystkim – damy wam mleka dla dzieci. I oni zaczęli wynosić mleko z tych ziemianek. I tak się stało, że ja byłam stosunkowo tak niedaleko, wiesz, i wyciągnął taki Kirgiz – bo to Kirgizi byli – wyciągnął taki kubek, i wtedy Kierski powiedział: „na niego jest jeszcze czas. Bo nie wiadomo czy starczy mleka dla wszystkich dzieci". I dopiero, jak dali mleko wszystkim dzieciom, dopiero Andrzejkowi dano trochę mleka.

Trznadel: Także właściwie było to takie zniewolenie podwójne. Tym bardziej haniebne, i tym bardziej gorzkie, że od strony właściwie, członków własnej społeczności.

Watowa: Ty rozumiesz? Ty rozumiesz? To była sytuacja… rzeczywiście trudno było objąć właściwie dla mnie tą sytuację. Dobrze, że ja byłam, wiesz, jako matka, zwrócona cała ku niemu, ku Andrzejowi. Chodziło, żeby go ratować. Więc nie mogłam, nie chciałam myśleć o tej sytuacji, w jakiej się znalazłam. I potem oni powiedzieli: „Słuchajcie". To był, wiesz, myśmy byli trzy tygodnie. To były pierwsze dnie maja, pierwszy tydzień, powiedzmy. Bo jeżeli z trzynastego na czternastego. Trzy tygodnie żeśmy jechali. „Noce są bardzo zimne".

Trznadel: Oczywiście.

Watowa: „Więc weźmiemy bodaj dzieci do tych ziemianek". I tenże właśnie Kierski, który był takim *porte parole* tego, tych wszystkich, powiedział też, pilnował, żeby te dzieci tam powchodziły i powiedział tak: „Ten bękart żydowski już nie jest dzieckiem. Są mniejsze dzieci od niego. Tak, że jeżeli nie będzie miejsca, to on się obejdzie bez tego".

Trznadel: Straszne, bo jest jeszcze antysemityzm.

281:5887515074

Watowa: Jeszcze taki antysemityzm. Tam, proszę ciebie, czekały na nas takie podwody, zaprzęgnięte – ja zawsze mówiłam byki, ale prawdopodobnie to były woły – i na tych podwodach trzy dni nas wieziono w głąb stepu. Tak, że już, wiesz, byliśmy w stepach, stepach, z dala, już żadne osiedle, nic. To byłe te ziemianki, to byli właśnie ci ludzie pierwsi, których zobaczyłam w tym Kazachstanie. I tam, w jakimś takim właśnie posiołku, nie widziałam, nagle się zobaczyło te lepianki. Tam stanęły podwody i powiedziano: „Tam jest wasz barak i tam będziecie mieszkać". I wtedy, rozumiesz, co wszyscy Polacy ((z emfazą)) biegiem rzucili się ku temu barakowi, żeby zająć miejsca.
Trznadel: Lepsze.
Watowa: Lepsze. Ja tutaj z Andrzejkiem, rozumiesz, z tym moim tym, tym tobołem, wlokę się za nimi. Dziecko oczywiście nie może tak biegać i lecieć itd. Zresztą, wiesz, trzeba też mieć w sobie jakiś ten… rozumiesz, już za dużo we mnie prawdopodobnie zabito jakoś. Stało się coś, jakaś zbrodnia, wiesz, została.
Trznadel: Nie było dynamizmu takiego.
Watowa: I ja tam przyszłam, i jak ja przyszłam do baraku to wszystkie miejsca.
08_Fon.61.703 Strona B
Watowa: …to wszystkie miejsca właściwie – na czym polegało to? To był straszny barak, w którym nie było ani łóżek – łóżek! Kojek powiedzmy – ani stołu, ani kuchni, ani stołeczka. To było, wiesz, coś, stały tam prawdopodobnie było, czy coś takiego. Który trochę uprzątnięto, bo już nie było gnoju takiego. I były takie, takie większe, były komórki, były takie większe, prawdopodobnie tam stały krowy czy kozy. Ja, po prostu, nie zastanawiając się. A! Już wiem! Pułkownikowa Wenclowa się nazywała – weszłam do takiego dość dużego, dość duży taki obszar.
Trznadel: Przegroda?
Watowa: Gdzie, nie! To znaczy się trudno to nazwać pokojem – nie wiem, jak to nazwać – gdzie już kąty, zajmowało się kąty pod ścianami też itd. każdy tam stawiał swoje rzeczy, swoje tobołki, bo oczywiście to nie był hotel, to nie były pokoje. I wtedy tam ja wyobraź sobie zauważyłam jakiś kącik, jednak wolny. Więc usiadłam z Andrzejkiem w tym kąciku. I wtedy pani pułkownikowa Wenclowa zbliżyła się do mnie i bardzo ładną polszczyzną, w bardzo takiej formie salonowej powiedziała: „pani mi wybaczy, ale my tutaj, wie pani, będziemy odprawiać modły i prawdopodobnie to będzie pani przeszkadzać, a na pewno nam. Więc bardzo byśmy prosili, żeby

282:8274240011

pani była łaskawa to miejsce opuścić". I wtedy – ponieważ już było wszystko zajęte, tylko była taka maleńka komóreczka z wybitym oknem, straszliwym brudem. O wiele, bo oni, może tam trochę wymietli te miejsca – ja weszłam tam z Andrzejkiem, postawiłam mu na tym, na tym brudnym klepisku ten tobołek i powiedziałam: „No, usiądź syneczku". A on mi na to powiedział: „Mama, ale ja jestem bardzo głodny". Ja mówię: „Tak, ja ci tu zaraz…", a ja nic nie miałam oczywiście – powiedziałam: „Tak, będziesz jadł, ale tu posiedź". I, wiesz, tak przez chwilę tylko stanęłam, sobie pomyślałam, co dalej. I w tej chwili przyszedł młody Kazak, właściwie to są Kirgizi.

Trznadel: Zgadza się.

Watowa: Ja ci powiem, ja się tak… ja jestem trochę ciemna masa i tak nie bardzo, wiesz, to wszystko odróżniam. Może mi to kiedyś kiedyś wytłumaczysz. Ten młody, w takiej kuciubejce[405], czy jak to się nazywa… kucubejka, czy czuczubejka, wiesz. To są te czapeczki tak ślicznie haftowane. Bardzo mizerny taki, prawie, prawie – nie łachmany, ale bardzo jakiś taki, taka koszula na wierzchu, jakieś spodnie. I to był człowiek, który miał – bo ja wiem – może dwadzieścia dwa, trzy lata. Bardzo młodziutka, taka okrągłą twarz. I spojrzał na mnie i powiedział mi – bardzo takim złym rosyjskim językiem, bo oni źle mówią – powiedział mi: – *Nie unywajtje*[406]. I powiedział mi tak: „Tutaj zaraz przyjdzie moja matka. I ona pani pomoże"... I z tym „nie unywajtcie" i że, z tym takim jakimś dobrym, współczującym uśmiechem ludzkim. Wyobraź sobie, po jakiś 10 minutach przyszła stara, zgarbiona staruszeczka z wiadrem wody – co jest tam skarbem, bo trzeba było chodzić kilometr po wodę – ze zwiniętym dywanikiem pod pachą, z jakąś okropną ścierką. Nie powiedziawszy ani jednego słowa zaczęła ścierać, wiesz, te już takie, wiesz, kawałki tego – bo ja wiem – gnoju czy brudu itd. Potem położyła dywanik, na którym, wiesz, oni się modlą. To są mahometanie. I powiedziała mi tylko: „Na tym dywaniku pani położy swojego syna". I poszła. I rozumiesz, to była ta dzicz, z którą ja się zetknęłam, to byli pierwsi ludzie od wywózki – bo ja już nie mówię zawód, wiesz, gorycz wielka, że najbliżsi przyjaciele, że cię zostawiono, że nie przyszli, że się nie zapytali itd. – ja chcę to wszystko zrozumieć. Wszyscy byli zastraszani, wszyscy byli w złych warunkach. Każdy myślał, jak by się ratować, jak by ratować swoją skórę. Ale wiesz, w tej, w tym wagonie, w tej strasznej, rozumiesz, doli, ludzi skazanych – bo nas, rozumiesz, w

[405] *Tiubietiejka* (inaczej krymka, turkm. tübätäj, rus. тюбетейка) – mała, okrągła czapka z tkanymi wzorami noszona przez wiele ludów Azji Centralnej.

[406] Ros. *Nie unywajtje* - nie zniechęcaj się; nie trać nadziei.

283:5195203161

przeciwieństwie do Niemców, którzy normalnie zabijali, rozumiesz, wsadzali do pieców, rozstrzeliwali, torturowali – nas wywieźli i nie łudźmy się, nas wywieźli w tak zwane *gałodnyje stepi*[407]. Gdzie nie było nic. Gdzie w tej ławce, czyli w sklepiku – *ławuczka*[408] – poza zardzewiałymi gwoździami nie było nic. Nas tam wywieziono na powolną śmierć z głodu, z chorób, z tych właśnie wszy i z mrozu.

Trznadel: Tak, na tym polegał system stalinowski. Sołżenicyn pokazał.

Watowa: Na tym polegał! Tam nikt nie przyłożył mi rewolweru, ale tam nas wywieziono i tam ludzie tak umierali! Ci wywiezieni tak umierali! Bo ten Kierski, rozumiesz – tam się. Ja robię tu przeskok do tego Kierskiego, nie wiem czy dobrze robię czy nie. Ale po dniu…. Jeszcze tego samego dnia. Nie! Następnego dnia, bo to był następny, znaczy się, to był właściwie ten sam, ta sama wywózka, tylko w dwóch takich pociągach. To w następnym przyjechała Stefania Skwarczyńska, o której na pewno wiesz.

Trznadel: Tak, oczywiście. Znam ją przecież.

Watowa: Znałeś ją. I przyjechała tam ze swoją teściową. Z trojgiem swoich dzieci i z jednym dzieckiem, takim, które zabrała jakiemuś przyjacielowi, którego tam zdążyli już gdzieś wsadzić. I do tej norki przyszedł, ja, rozumiesz, jechałam w tym transporcie. W moim – okazało się, że był gdzieś w innym wagonie hrabia Bielski. I hrabia Bielski przyjechał ((z emfazą)) z szalonymi bagażami, dlatego, że ci enkawudziści powiedzieli, żeby on wszystko brał. I on przyjechał ze srebrnymi tacami, on przyjechał w ogóle ze skórami – bo to jest znany myśliwy itd. itd. I ten nieszczęsny hrabia Tarnowski, właśnie z Krakowa, który przypadkowo był gościem u niego, bo w lekkomyślności swojej w ogóle pojechał na leczenie do Krynicy i tam go wojna zastała. I z Krynicy przyjechał do swojego przyjaciela Bielskiego, gdzie, rozumiesz, mieszkał u Bielskich i przyszło NKWD, i wobec tego zabrali go razem. ((śmiech)) Ale hrabia Bielski miał walizeczkę, w której miał rzeczy na dwutygodniowy, powiedzmy, pobyt w Krynicy, na leczenie. To byli starzy ludzie. I o ile ci Bielscy ich karmili tam w ciągu trzech tygodni, o tyle, jak Bielski [powinno być: Tarnowski] przyszedł, hrabia Bielski [powinno być: Tarnowski] ze swoją małżonką, starzy ludzie i zapytał się mnie czy może się ulokować właśnie w tym moim apartamencie, to ja powiedziałam: „Proszę bardzo”. I on od razu, ona się biedna położyła na tym klepisku. Okazuje się, że ona w ogóle miała kiedyś gruźlicę, zdaje się, w biodrze. No, jednym

[407] Ros. *gałodnyje stepi* - głodne stepy.
[408] Ros. *ławuczka*, właściwie ławoczk – sklep.

284:5851460630

słowem, to była schorowana kobieta. A hrabia Bielski [powinno być: Tarnowski] powiedział mi: „Proszę panią, ja bym tak chciał bodaj trochę mleka dać mojej żonie". A ja mówię: „Proszę pana, ja się już zdążyłam dowiedzieć, że oni nie biorą pieniędzy. Oni chcą *wieszczi, dawaj, rubaszka, rubaszka, rubaszka*[409]. I ja, wtedy jak mi Andrzej powiedział od razu, że on jest głodny, ja wyszłam na ten posiołek i trafiłam – przez przypadek – na Rosjankę, jedyną, która była tego żoną *zawiaduszczy* tego posiołka, który był dawny kajdaniarz, wiesz. Siedział na Syberii, wymordował jakąś rodzinę. Oni wtedy... I on był doskonały właśnie do tego *wstawaj, dawaj*, tak tego, na wszystkie litery. I on miał nas pędzić do roboty. I jego nie było. Ja weszłam do tej Rosjanki. Miała na ręku dziecko, jeszcze tam jakieś dwoje dzieci po kątach. Mieszkała w izbie, jedynej izbie, która była jakaś normalna – zdaje się, że nawet, że z drzewa. A może nie. Ale w każdym bądź razie z jakichś tych, z jakiejś cegły, którą ja wyrabiałam, tak zwane samumy. To jest, no z gliny. Ale olbrzymie takie cegły, samumy się nazywają. Ja powiedziałam: „Proszę panią, niech pani mnie ratuje. Ja jestem tu z dzieckiem, on jest głodny. Co by pani chciała?". Miałam troszeczkę pieniędzy. I ona tak popatrzyła na mnie i powiedziała. Dała mi kawałek chleba i dała mi kubek mleka. I powiedziała: „Proszę panią, ja to pani daje, ale więcej, żeby pani do mnie tutaj nie przychodziła". Jego nie było. I ona mi dała do zrozumienia. „I niech pani już wychodzi". Ja z tym przyszłam do Andrzeja. Więc powiedziałam już Bielskiemu [Tarnowskiemu], ja mówię: „Proszę pana, oni nie chcą brać rzeczy, tylko *wieszczi, tylko rubaszka, rubaszka, rubaszka*". On mówi: „Ja mam strasznie mało tych rzeczy". Ja mówię: „Ja mam też mało rzeczy. Nie wiadomo, jak długo to będzie trwało". Ale ja mówię, teraz mi wpadło do głowy, że ponieważ mamy jeszcze takie złotówki, więc może one zechcą sobie robić jakieś takie kolce, może one te. Niech pan spróbuję. No, i jemu się bardzo ta idea spodobała. On poleciał tam, ale oni nie chcieli. Nie chcieli, tylko, żeby on dał jakąś *rubaszkę*, jakieś coś. I wyobraź sobie, że hrabia Bielski, który był, no, wiesz, (((rozbawiona))) naszym Rotszyldem, naszym Rockefellerem, naszym – bo ja wiem – Szachem nie Szachem, już niby wiesz, bogactwo niesamowite! Jak on – przede wszystkim – wprowadził się od razu do Kazachów. Nie do tego. Dał im od razu za to wejście jakieś rzeczy. Dostał. Został przyjęty. Przede wszystkim, ja ci powiem, dla nich kniaź, słuchaj, to jest, oni wiesz, biją prawie po pokłon.

Trznadel: Tak, słyszałem coś o tym.

[409] Ros. *wieszczi* – rzeczy; ros. *rubaszka* – koszula.

285:1124276882

Watowa: Słuchaj – kniaź! Kniaź Bielski! I w dodatku kniaź, który miał niesłychaną ilość zegarków, który spał na wspaniałej skórze białej, wiesz, niedźwiedziej. Ja widziałam jak on leżał na tej skórze. Który siadywał na tym stołeczku, takim jak chodzi się na polowanie.
Trznadel: Tak, składanym.
Watowa: Składanym. Tyrol..., w takim kapelusiku z piórkiem. I żona na srebrnej tacy podawała mu mleko i lepioszki, rozumiesz. Więc jak ja go zobaczyłam to mówię: „Wie pan, jak ja patrzę na pana, to wydaje mi się, że jestem w górach, gdzieś za morzem" itd. Rano zjawiła się, następnego dnia, taka pani była obywatelka ziemska, która straciła po drodze – rozłączono ją z dziećmi. Zresztą dzieci już dorosłe raczej, takie po osiemnaście, dziewiętnaście lat. I ona, wiesz, chciała, jak gdyby ubłagać boga, żeby jej te dzieci zwrócił, bo ona chciała czynić dobro, więc wstawała rano, robiła ten *kipiatok*[410], dawała starcom, rozumiesz. Ale ona jednak została przydzielona – znaczy, Bielscy ją sobie przydzielili i ona nimi się opiekowała, ona im tam, ona była panią dworu, rozumiesz?
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: I oni ją wydelegowali do swoich przyjaciół, hrabiów Tarnowskich. Ja byłam przy tym, ponieważ to się działo w moim salonie ((śmiech)), że od dzisiaj, niestety, pan hrabia – bo tytułowano się – Hrabia Bielski polecił mi panu powiedzieć, że od dzisiaj musicie państwo już sobie sami radzić. (((rozemocjonowana))) I skazuje, rozumiesz, skazuje swojego przyjaciela, wiedząc, że ten przyjaciel ma, powiedzmy, trzy piżamy czy cztery, że ma jeden zapasowy garnitur, taki – powiedzmy – na wieczór. Że ta żona ma może dwie sukienki i ma trzy koszule, rozumiesz czy piżamy. Że on ich skazuje na śmierć głodową. Bo kto mógł przypuścić – szczególnie, że już wiedział, że rzeczy, że tylko rzeczy mogą nas uratować. Więc tu masz znowu spojrzenie, jak ci ludzie – już nie w stosunku, prawda, do tego szpiega, żydokomuny itd. – ale w stosunku do siebie i z tej samej klasy społecznej!
Trznadel: Zaczyna działać prymitywne prawo walki o egzystencję.
Watowa: Walka o egzystencję. Więc, rozumiesz, ta polewka – jeśli można powiedzieć – kultury, to, co jest nasza kulturą.
Trznadel: Glazurą.

[410] Ros. *Kipiatok* – wrzątek.

286:9059982122

Watowa: Glazurą! Ona jest tak cienka, ona jest tak cienka, że – rozumiesz – okazuje się, że wystarczy pierwszy kawałek chleba, pierwszy głód niezaspokojony, wiesz, niepewność przyszłości itd. żeby to odleciało od ciebie. Staje się pierwotnym zupełnie człowiekiem, wiesz, który – kto wie, może on miał nawet więcej, może ten pierwotny człowiek nie miał może tego rodzaju strachu. Że może on był bardziej ludzki, od tych którzy.

Trznadel: Tak, dlatego że nie przeskakiwał z jednych warunków do drugich, prawda.

Watowa: Nie przeskakiwał właśnie z jednych warunków do drugich. I rozumiesz, tak się zaczyna nasze życie. Z tym, że następnego dnia do tego baraku przychodzi ten Iwan, rozumiesz? Który każe nam wszystkim się zebrać. Który mówi, że uwierzy w pana boga albo włosy mu wyrosną tutaj na dłoni, jeżeli my kiedykolwiek wrócimy do Polski. *Zdjes* będziemy tutaj *zyc i rabotac*. *A kto nie rabotat tot nie kuszajet*[411].

Trznadel: Tak jest.

Watowa: I pognał nas do roboty. No, i tutaj, rozumiesz, ja, która uważałam jeszcze wtedy, że tylko czółenka – bo szalenie lubiłam czółenka – w czółenkach, bez żadnych butów. Bo to było – jak ci wiadomo – bardzo wtedy gorąco itd. Ucieczka taka, że się w ogóle nie myślało, że się nie wróci. I w ogóle nie myślało się. Nie myślało się o niczym w gruncie rzeczy. Nasza wyobraźnia okazała się, nie sprostała rzeczywistości. I wyobraź sobie, dają nam okropne jakieś łopaty, które strasznie dużo ważą, wiesz, prymitywne. I tam była, stały, tam były takie – właściwie dla baranów, to też się nazywało bora? Ja nie wiem? W każdym razie stały tam one, tego. I warstwa tego, wiesz, ubitego – i na kamień, zupełnie kamień, to był kamień – tego gnoju, który służy za opał im. Bo tam drzewa.

Trznadel: W tej owczarni?

Watowa: Co? Tak! Bo tam nie ma drzewa. Tam możesz przejechać setki kilometrów – nie zobaczysz drzewa. Tam są trawy, tam są stepy, zresztą, jak myślę o tym, to myślę z jakimś rozrzewnieniem. Dlatego, że to jest cudowna rzecz – step. Poza tym wiesz, niebo nad stepem, ta olbrzymiość tego nieba nad stepem. Poza tym, wiesz, te cudowne jakieś zachody słońca, szalenie kolorowe.

Trznadel: Intensywne kolory, bo to południe przecież.

[411] Ros. *Zdjes* będziemy tutaj *zyc i rabotac*. *A kto nie rabotat tot nie kuszajet* - tutaj będziecie mieszkać i pracować. A kto nie pracuje, ten nie je.

287:5419490679

Watowa: Bardzo, bardzo! Intensywność tych kolorów. Potem, wiesz, cała melodia tego stepu, ten poszum traw, potem cisza nawet, potem, wiesz, zwierzęta w stepie. Noc w stepie, kiedy… Pamiętam taką noc w stepie, kiedy nas tam kazali iść w głąb i pracować z dala od tego baraku. Kiedy wyszłam z szałasu i zobaczyłam, wiesz, w tej nocnej ciszy, w nocy, właśnie te, te woły czy te byki – które trudno mi rozróżnić – stojące nieruchomo.
Trznadel: Tak, zwierzęta w nocy.
Watowa: Nieruchomo. Tak jak gdyby zasłuchane. I nagle poczułam, że ta noc, i ten step, i ten świat należy właściwie do nich. Wiesz, to było takie królestwo ich. A my tutaj tacy słabi, że rozumiesz, tak jak te trzciny, które tam rosną, te słomki. Mam mówić?
Trznadel: Tak, tak. Mów, mów.
Watowa: A czekaj, to mi się jakoś urwało?
Trznadel: Że ten step, powiadasz, należy do nich, to królestwo.
Watowa: Należy, rozumiesz, tak, to było znowu takie jakieś, takie, wiesz, poczucie, takie też jakieś – sakralne, rozumiesz? Te woły wydały mi się, wydały mi się, że miały w sobie coś kosmicznego, wiesz, coś sakralnego.
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: Rozumiesz? (((z przejęciem))). Były chwile, takie, we mnie na przykład osobiście, że ja doskonale rozumiem, że jeżeli wierzymy, na przykład, we wcielenia – ponieważ ja szalenie kocham drzewa (dla mnie na przykład, jak w sześćdziesiątym ósmym roku zobaczyłam ścięte drzewa na Boulevard Saint-Michel, to to było dla mnie jakieś świętokradztwo, to była zbrodnia.
Trznadel: Dobrze to pamiętam. I też tak odczułem.
Watowa: Odczułam to jako straszliwą zbrodnię. Ja na przykład mam wrażenie, że ja się kiedyś modliłam do drzewa, że ja mogłam się modlić do drzewa. Że dla mnie taki wół, mógł być w jakiejś – nie wiem jakich – okresach, mógł być czymś takim sakralnym, rozumiesz? I ta noc, pamiętam, zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Właśnie ta, ta, tym czym my właściwie jesteśmy w naturze, wiesz? To odczucie siebie jako takiego źdźiebełka, jakiegoś. Czegoś…
Trznadel: Tak, rozumiem. Jak zaczęłaś mówić o stepie, o ciszy na stepie. I poza tym – przeżycie tej egzotyki. To przecież – no przez skojarzenie i to jest zupełnie inna sprawa, ale boże, jak to tu można jakiś łuk zatoczyć – to przypomniały mi się opisy tego krajobrazu egzotycznego i stepu w *Sonetach krymskich* Mickiewicza, prawda.
Watowa: Aha. Przypomnij mi.

288:3359451349

Trznadel: No, różne sonety, prawda. Ta cisza na stepie: „jeźdźmy, nikt nie woła".
Watowa: Nikt nie woła! A tak, aha..
Trznadel: On też w końcu jako wygnaniec przeżywa swoją dolę wygnańca. Oczywiście luksusowo bardzo. Przecież gdzie tam porównywać carat z tym co się działo potem.
Watowa: Tak! Tak!
Trznadel: Ale jednak w całej intensywności, bujności, ten egzotyzm do niego dociera. I tu te wygnane, prawda, ubożuchne przeżycia ludzi, już rzuconych na samo dno, prawda.
Watowa: Na samo dno. I wiesz…
Trznadel: Bo nie arystokracja odeska was przyjmowała na salonach
Watowa: Nie, nie, nie!
Trznadel: Tylko biedni ludzie na stepie, tez przybici butem tego ustroju.
Watowa: Tak. I rozumiesz, my w tych szałasach. I wiesz, na przykład księżyc. Księżyc w stepie. Ten księżyc, który, wiesz, te promienie, które tak, przez te plecenia, przez te witki takie jakieś, wiesz, oświetla. W ogóle, wiesz, ja ci powiem, wszystko staje się takie niezmiernie znaczące. I powiem ci, że w jakimś sensie, wiesz, nie chciałabym ci się wydać tutaj jakąś ani patetyczną, ani udawać czegoś, wiesz, żebyś nie myślał, że ja teraz sobie dorabiam. Ale nie ulega dla mnie wątpliwości, że to, że ja mogłam przeżywać tą urodę, że to do mnie mogło docierać w tym poniżeniu, w tym głodzie, w tych strasznie nieludzkich warunkach, że to też przyczyniło się tego, że to mnie w jakiś sposób, pozwoliło. Nie tylko to. Ta świadomość, że Andrzej beze mnie zginie, ale że ja tą urodę widziałam. Ja nie widziałam może nic. Przejechałam z Aleksandrem jednak Włochy, gdzie widziałam cudowne rzeczy, wiesz: Rzym, Neapol, Florencja, no, Sycylia itd. muzea, posągi, ale musze ci powiedzieć, że dzikie konie, dzikie konie w stepie – to mi zostanie w pamięci jako jeden z kulminacyjnych punktów, wiesz, takiej urody rzeczywiście, jaką może dać świat. Świat sam w sobie.
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: To było coś tak cudownego, wiesz, bieg tych koni, radość wolności tych koni…
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: Nawet, powiem ci, że widziałam, takie, taką miłość – powiedzmy – koni między sobą.
Trznadel: Tak.
Watowa: Że to było coś tak wspaniałego, tak przepięknego. W ogóle same koniec. To jest specjalna rasa, takich mniejszych. Te konie nie są, nie wiem jaka to jest rasa. Ale to są nieduże i

289:8083551338

przepiękne konie! (((z przejęciem))) Ja po prostu widzę, wiesz, te łuki, tej szyi! Te grzywy rozwiewające się na wietrze, te trawy i to było naprawdę przepiękne. Zupełnie przepiękne. Niemniej, wiesz. Ja w pewnej chwili… więc tam budzono nas o świcie, kiedy jeszcze ostatnie gwiazdy dogasały na niebie. Oczywiście budzono nas w sposób ten, że uderzano cię: *„Nu, wstawaj, Watowa*.." i zawsze uderzano butem. Ten taki rodzaj jakiegoś Iwana do tego. Nigdy nie omieszkano ci powiedzieć, że kto *nie rabotajet, to nie kuszajet*, nie dając nam oczywiście prawie nic jeść. Więc – między innymi – dawano nam mleko. To było wielkie błogosławieństwo. ((z emfazą)) Bardzo niewiele tego mleka, które – ja to wtedy nazywałam marla, to się nazywało. To jest taka gaza, wiesz, jak owijano w Polsce biały ser, wiesz, taki podłużny. Więc ja wlewałam, wiesz, to mleko się robiło kwaśne, potem ja wlewałam do tej marli i miałam zawsze kawałek sera. Nie zawsze chleb, dlatego, że oczywiście wygodniej było któregoś dnia nam tego chleba nie dostarczyć, bo nie zdążono czy tego, żeby, wiesz, nam urwać. – Taki jeden *pajok*[412], który zdaje się – był maksimum było, nie wiem, ile tam było – 240 czy 300 gram tego chleba, który oczywiście normalnie by ważył o wiele mniej, gdyby nie był gliną z wodą itd. no, i potem przywożono raz na dzień, przeywożono olbrzymi kocioł, jakiejś takiej zupy, w której pływały jakieś tam kawałeczki baraniny. Wiesz, oczywiście, na to rzucali się ci, którzy nami tam, ci Kazacy, którzy dyrygowali, którzy prowadzili te roboty. Więc tam wyławiano to mięso, także ja nie pamiętam, żebym kiedykolwiek jakiś kawałek, do kawałka kości dopadła. No, i wiesz, te resztki tej wody, tej pływającej kapusty, myśmy to zjadali. Praca moja polegała na tym, że pracowałam przy tak zwanej wołokuszy. No to jest, wiesz, sprzęt, który tutaj jest prawdopodobnie już w ogóle nieznany od wieków. To jest coś takiego, co zbiera, zbiera siano, rozumiesz? Zbiera siano. To jest takie, więc to są, tutaj są takie zęby na dole. Te zęby to zbierają. Jest para – po dwóch stronach są dwie pary wołów. Ale ja nie wiem, słuchaj. Te woły miały bardzo duże rogi. No słuchaj! To mnie dręczy, czy to są byki czy to są woły. Ja, rozumiesz, trzymałam taki sznur…

Trznadel: To woły prawdopodobnie. Bo przecież…

Watowa: Też mają rogi, tak?

Trznadel: Nie, bo przecież to jest to samo. Wół to jest byk okastrowany, żeby łatwiej dawał się, prawda, użyć do pracy. Właściwe z wyglądu się prawdopodobnie nie różnią.

[412] Ros. *Pajok* – racja, porcja, racjonować.

290:3615980484

Watowa: Ale miały dość te woły miały duże takie rogi zakręcone. Ja miałam dwa woły i druga Polka miała dwa woły. Te woły były przyczepione do tej wołokuszy. I ja wiesz.
Trznadel: Mówi się w jarzmie one były.
Watowa: A to się nazywa jarzmo?
Trznadel: Jarzmo.
Watowa: Ach jarzmo. No dobrze, ja to nazywałam wołokusza i tak mi zostanie.
Trznadel: No tak, po polsku się mówi woły w jarzmie, prawda, a nie w zaprzęgu.
Watowa: Ja, rozumiesz, miałam sznur, taki gruby sznur i szłam naprzód, niby pociągając za sobą te woły.
09_Fon.61.704 Strona A
Watowa: I wołałam ((podniesiony głos)) „cop, cop, cobene", „cop, cop, cobene", „cop, cop, cobene". Tak mi kazano wołać. A za nami, za tą wołokuszą, tak stał na tej wołokuszy ten Kazak i on to, rozumiesz, nakierowywał tak, żeby zbierać to siano, rozumiesz? I urastała taka, wiesz, góra tego siana. I w ten sposób się tam właściwie w tym stepie pracowało do nocy. I potem w nocy – no to w ciągu dnia nam dawano to jedzenie, i w nocy, prawda – w tym szałasie. No, ale któregoś dnia widziałam, że Andrzej się robi bardzo mizerny.
Trznadel: Czyli to już nie był barak, ale szałas?
Watowa: To już był szałas. Barak był o jakieś – co najmniej – 15 kilometrów od nas. I ja do tego, zresztą, przyjechałam na takim, na takim wole, wiesz, jechałam. ((śmiech)).
Trznadel: Tak.
Watowa: Nogi miałam tak, z tym Andrzejem. I proszę ciebie, był tam taki młody Kazak. A ja wiedziałam, że nie w moim posiołku, tylko w innym posiołku, do którego on akurat – dowiedziałam się, że on ma akurat do tego posiołku jechać. Że tam jest lekarka, wprawdzie ginekolog, ze Lwowa. Ja mu powiedziałam: „słuchaj, ja tobie coś dam. Zabierz mi tego Andrzeja". I do niej napisałam, wiesz. Teraz mnie nawet dziwi, że miałam ołówek i kawałek papieru. Skąd to miałam? Nie wiem. Napisałam, że: „Niech pani mu zmierzy temperaturę, niech pani zobaczy, co się dzieje, bo ja widzę, że on z dnia na dzień marnieje". No, on się tam podobno – Andrzej – jeszcze wykapał w rwącym potoku, które są zupełnie lodowate. A ona mi napisała, że on miał bardzo wysoką temperaturę – już teraz nie pamiętam – 38, zdaje się z kreskami, w południe, no, i że ma już zajęte szczyty. I że, przede wszystkim, nie wolno mu być na słońcu, że musi być odżywiany itd. itd. bo jeżeli nie, to oczywiście będzie gruźlica.

291:6376796871

Trznadel: Będzie gruźlica.

Watowa: Tak wiesz: Aleksander w więzieniu, a dziecko, wiesz, tego… wobec tego ja zwracam się do takiego Kazaka, który tam nami trochę dowodził, którego nazywali bardzo poetycznie: *stiepnoj volk*[413]. I wiesz, to był człowiek zupełnie niesamowitej brzydoty. Nieduży, taki krępy, bardzo silny, który nie miał jednej ręki. Ale był taki *stiepnoj volk*, taki wiesz, jak wsiadł na tego rumaka swojego, to zupełnie jak szalony. No, i powiedziałam mu, powiedziałam mu: „Pozwól mi, pozwól mi wrócić mi do tego baraku. Ja tam będę robiła każdą robotę, ale żeby uratować to moje dziecko". A tam mówi: „Do czortu z nim". Mówi: „Jak ci zdechnie, to będziesz miała innego". Więc to była odpowiedź. I wtedy, wiesz, stała się rzecz… Ponieważ on wiedział, że ja jestem absolutnie zdecydowana, on mnie zaczął straszyć. Ale ja właściwie wtedy już nie miałam nic do stracenia. I jak on sobie odszedł, ja zrobiłam ten swój węzełek i wymknęłam się, wiesz, na drogę. I na drodze zobaczyłam podwodę, jakiegoś Kazaka i poprosiłam go, żeby wziął Andrzeja na te podwodę. On go wziął. Ale po jakiś – bodaj upłynęło pół godziny – ja szłam drogą. Leci, wiesz, ten mój *stiepnoj volk*. I mówi – i przede wszystkim łapie Andrzeja – gdzie ja podziałam moją chusteczkę, ja nie wiem – łapie Andrzeja i przede wszystkim rzuca go o ziemię, żeby on nie jechał, i żebym ja wracała. Ja mówię: „Ja nie wrócę. Ja nie wrócę!" I on wtedy – i tu ci muszę powiedzieć, że mnie znowu zastanawia tylko jedna rzecz: że w takim, w takim, wiesz, no to był rzeczywiście dziki człowiek zupełnie, dziki był! On był z ogóle z instynktu dziki. On powiedział tak: „Nu, padoch[414], padoch. Dobrze". Ale mówi: „Wiesz co, nikt nie będzie tego widział. Świadkami będzie tylko ziemia i niebo... I ja, będziesz miała inne dziecko później. Że on, żebym ja miała z nim to dziecko.

Trznadel: Tak.

Watowa: Ale to mnie zostało – to przede wszystkim – on zupełnie miał zmieniony głos i to, że on powiedział, że świadkami tylko będzie niebo i ziemia. Świadkami naszej miłości, naszej *lyubvi*[415], powiedział, będzie tylko niebo i ziemia. I nie uważasz, że to jest piękne?

Trznadel: Tak, poetyckie.

Watowa: (((z przejęciem))) Bardzo! Żebyś ty widział tego człowieka. Ospa. Ta szalona brzydota, te kaprawe oczy, ta krępa postać, rozumiesz? Bez ręki!

---

[413] Ros. *stiepnoj volk* – wilk stepowy.

[414] Ros. *Nu, padoch, padoch* - no cóż, martwy, martwy.

[415] Ros. *Lyubvi* – miłości.

292:6076718966

Trznadel: Może to było wzięte z jakiejś ceremonii religijnej, ze słów? Czy oni w ogóle mieli jakieś obyczaje religijne?
Watowa: Mieli, mieli, mieli! Powiem ci jedno, że jak ja przemierzałam step, a przemierzałam go o każdej porze roku – bo latem zimą, jesienią, i wiosną, i za każdym razem step jest inny i za każdym razem ma inne plagi. Jest za każdym razem jest wspaniały i piękny, ale ma inne plagi. To… widzisz. Już teraz zapomniałam, co chciałam powiedzieć.
Trznadel: Że step.
Watowa: ...Aha! Jak widziałam Kazacha, to się nigdy nie bałam. Jak widziałam Rosjanina, to się bałam, dlatego, że oni mają swoje przykazania, w które i wierzą, i boją się im nie podlegać.
Trznadel: Bo ich kara spotka.
Watowa: Bo ich spotka kara. Jeżeli ja – jak nastała zima i przyszedł ten enkawudzista, i kazał się wynosić z baraku tylko kobietom z dziećmi, żeby się umieszczać u Kazaków w tych lepiankach. I ja wtedy dałam jakiś płaszcz Aleksandra, i jakąś moją sukienkę za wejście – i opłaciłam się, żeby mi dali te kojkę, to ta, żona tego… oni byli młodzi jeszcze. On miał – bo ja wiem – pod czterdziestkę, ten Kazach. To jego i tam był jego stary ojciec – taki kaprawy staruch, który miał może osiemdziesiąt lat, i dzieci, którym tu ropa się sączyła, wiesz, które nie wychodziły, miały jakiś z koszuli łachman dziurawy. Ale rozumiesz, tam na przykład nie wolno żadnej funkcji fizjologicznej w domu. To znaczy się, jeśli chcesz zrobić pipi to musisz wyjść. Dlaczego? Dlatego, że duchy. Obrażasz duchy i możesz sprowadzić nieszczęście.
Trznadel: No właśnie.
Watowa: A ponieważ, jak wiadomo, jęczmień jest bardzo pędzący, a myśmy się żywili jęczmieniem, który ja prażyłam na ogniu albo cały dzień, wiesz, biłam w takiej puszce kawałkiem żelaza, żeby zrobić trochę mąki. Więc ten mój Andrzej, rozumiesz, budził się co godzinę i chciał robić pipi. Więc ja, wiesz, znalazłam puszeczkę i myślałam, że mnie się uda tak, żeby on po cichutku. Ale ten staruch się zawsze budził. On miał takie ucho. I zaczynał wrzeszczeć, z takim przerażeniem, że ja sprowadzę nieszczęście na dom. Ja tego Andrzeja, a te dzieci, to tak: brały te łachmany, zarzucały na głowę i wchodziły na ten śnieg. A śnieg, rozumiesz, pokrywał wszystkie chałupy i chodziło się górą. A jak wychodziłeś z chałupy, że trzeba iść po wodę itd. to były tunele, robione tunele. Więc ja tego Andrzeja musiałam ubierać wiele razy w nocy, żeby on wyszedł. I ta, znienawidziła mnie ta żona tego Kazacha, bo ona chciała tę rubaszkę, a ja mówiłam: „Ja dałam ci już, ja dałam dużo rzeczy. Ja nie mogę, bo ja z

293:6794628869

tego żyje". I wtedy ona mnie zaczęła szykanować. Nie pozwoliła mi dać, wziąć swojej wody, która mąż przynosił, więc ja byłam skazana na śnieg, który, musiałam robić tę wodę ze śniegu, który był obsiusiany. A poza tym ona mi wygaszała to ognisko, na którym ja mogłam sprażyć tego. Ona mnie nie dopuszczała. Więc ona mnie skazywała znowu na śmierć. I wtedy, jak ten mąż, któregoś dnia wrócił – widziałam, że to już jest sytuacja zupełnie niemożliwa. To był wieczór, on wrócił ze stepu i ja mu powiedziałam jaka jest sytuacja. I że ja te rzeczy, które ja mam, to jest w ogóle oznaczają życie nasze. Że ja nie mam absolutnie nic poza tym. To może trwać. I jeżeli wy mnie teraz wyrzucicie – bo ona powiedziała, że oni mnie wyrzucą – i wtedy on mi powiedział: „bądź spokojna. Nasz *zakon*[416] nie pozwala wyrzucać kobiety z dzieckiem zimą. I ty nie będziesz wyrzucona". I wyobraź sobie, to że ona mnie tak postraszyła, że ona miała zamiar mnie wyrzucić, to on ją wyrzucił ze swojej kojki i kazał jej spać na klepisku, rozumiesz? On skrzyczał ją, on był, tam w ogóle nie było rozmowy między nimi. I powiedział, żebym ja była spokojna, bo ich zakon nie pozwala. To był jeden raz – zakon, a potem – opowiem ci przy okazji, jak wieźli mnie, znaczy się, wtedy, kiedy ja uciekłam. Uciekłam do tego Ili z tego, jak Andrzej był chory.

Trznadel: No właśnie, bo tam urwałaś w momencie, kiedy ten Kazach mi zapronował,

Watowa: Ten wilk stepowy, prawda.

Watowa: Ten Kazach mi zaproponował, ten wilk stepowy, poszedł, wrócił. Ja pojechałam – poszłam właściwie pieszo. Tylko Andrzej jechał na tym podwodzie.

Trznadel: Znaczy puścił was?

Watowa: Puścił. Powiedział, że: „Wiesz co ci grozi. Ty pójdziesz do więzienia, on pójdzie do *dietdomu*[417] i nigdy go nie zobaczysz". No, i tam od razu wezwało mnie NKWD, że idę pod sąd. Ja powiedziałam tego enkawudziście, że każda robota, jaką mi dadzą, ja się podejmuję każdej roboty. Tylko żeby mnie pozwolili być tutaj, bo tylko tu ja go będę mogła ratować. A ponieważ nim mnie wysłali na ten sąd, to upłynęło jednak jakieś kilka dni, to ja tam – nie wiem – jakimś cudem znalazłam jakieś cztery patyki, jakiś wiesz, kawał… ja mu zrobiłam taki baldachim, żeby on tak nie leżał. No jednym słowem, poszłam do Kazaczki, dałam jakąś rzecz, taką że ona powiedziała, że przez miesiąc będzie mi dawać mleko. Załatwiłam sobie te, te… na robienie tych lepioszek, ten jęczmień – żeby jego ratować. No, ale jednak któregoś dnia, bardzo szybko –

[416] Ros. *Zakon* – prawo, kodeks.
[417] Ros. *Dietdom* - dom dziecka

294:2618527369

ledwo to załatwiłam – przyszli po mnie, że mam jechać do Ałma–Aty na sąd. Także zostawiłam Andrzeja, zostawiłam wszystko. Była ta, która przenosiła mleka do Lwowa, która zresztą najbardziej narzekała, że co się dzieje: „Ja, która miałam swój dom, ja miałam kilka krów, przynosiłam" i ona właściwie najbardziej narzekała na swoją wiesz, na tą degradację, wiesz, że ona była ta gospodynią, rozumiesz. Na wsi. I na co jej przyszło. I ja powiedziałam: „Niech pani mi zrobi tę łaskę i niech pani bierze już to moje ziarno, ale niech pani to dziecko tu pilnuje". Bo ja nie wiedziałam. Pojechaliśmy przez step i ja myślę sobie – jak sędzia, (((rozbawiona))) wiesz, to ja już mu wytłumaczę. (((teatralnie))) Przyszedł taki z brzuchem, to już takie utuczone, sowieckie.

Trznadel: Rosjanin.

Watowa: Nie, Kazach!

Trznadel: Kazach.

Watowa: Też w tej ciuciubejce czy kuciubejce. I ja jemu tu chcę tłumaczyć, a ona mnie od razu: *molchat'*[418]! Już miał otworzone, rozumiesz. Przeczytał mi wyrok, ale wyrok był niezwykle łaskawy, bo, wiesz, ja normalnie, bo to jest ucieczka. Masę było tych – to miało specjalną nazwę, wiesz – jak się nie przychodziło do pracy. To, ile ludzi przecież siedziało za to, i to siedziało latami – kobiet, za opuszczenie pracy. Więc on powiedział tak: że ponieważ to się zdarzyło po raz pierwsze, to ja będę… przez trzy miesiące nie będą mi płacić za moją pracę i, że muszę wrócić do, tam, w ten step. A jeżeli jeszcze raz się powtórzy, to ja idę do więzienia, a dziecko pójdzie do *dietdomu*. I że w ogóle żadnej rozmowy nie ma i *dawaj abrat'*[419]. I wtedy ten stary Kazach, który mnie wiózł – poczciwy stary Kazach, który miał na pewno już ponad siedemdziesiąt lat – na tej podwodzie. Już noc zapadła, byliśmy w stepie. On zobaczył taki duży szałas. Tam byli Kazacy. Rodzina. To jest w ogóle naród koczowniczy, tylko tam już nawet koczować nie mogą, wiesz. No, i myśmy się zatrzymali. On tych ludzi w ogóle znał. Ja weszłam do tej, do tego szałasu. No, i oni poczęstowali mnie *kipiatką* – i oni rzucają to, rzucają to ziarno do tego *kipiatku*. Straszna nędza!. I jeszcze tak na razie oni nie wiedzieli nic o mnie. Noc była ciepła, letnia, gwiaździsta, więc ja powiedziałam, że tutaj może wam będę przeszkadzać, to ja mogę spać na tej furce, na tej podwodzie. No to oni powiedzieli, że dobrze, że jeżeli ja chcę. Oni wyszli ze mną i położyli mnie na tej podwodzie, tam. I ja tak leżałam i patrzyłam sobie w to

[418] Ros. *Molchat'* – milczeć.

[419] Ros. *dawaj abrat'* - proszę odejść.

295:2095555805

niebo, a ten Kazak tam został. I widocznie, wiesz, ja, przez chwilę, jakoś się zdrzemnęłam, dlatego że nagle poczułam na sobie ciężar, wiesz. I zobaczyłam nad sobą twarz młodego chłopaka, który miał – bo ja wiem – może piętnaście lat, szesnaście lat – Kazacha! I już miałam ten odruch, już jednak weszłam trochę, już. Ja ci powiem, ja się tam szalenie zmieniłam. Ja się tam stałam – z takiej bardzo nieprzystosowanej w gruncie rzeczy do życia kobiety, która przeszła z domu rodziców do, do męża, który się nią opiekował i ją kochał i w ogóle.

Trznadel: Pod kloszem, jednym słowem.

Watowa: Tak, tak zwana mimozowata, rozumiesz? Która się bała myszy, bała się pijaka, bała się sama spać w domu. I tam nagle, rozumiesz, ((ściszonym głosem)) przestałam się bać. I wiesz, ((z emfazą)) jakimś odruchem takim, wiesz, kopnęłam go. Ale musiałam go kopnąć w miejsce takie, że on zawył, wiesz, i odskoczył. A ja oczywiście zaczęłam krzyczeć. I wtedy ci Kazacy wylecieli do mnie. I wtedy oni już o mnie wszystko wiedzieli. Wylecieli do mnie, zabrali mnie do siebie i powiedzieli: ((ściszony głos)) „niech pani nie myśli o nas tak, bo on już został. Bo on już został" – oni wiedzieli, że oni już ze mną mogą mówić – „on już został wychowany przez władze sowieckie, bo żaden Kazach, u nas zakon" – mówi drugi.

Trznadel: Tego by nie zrobił.

Watowa: „On już w nic nie wierzy. On uciekł, znikł". Ale oni mówią: „On będzie ukarany". Ale on znikł tej nocy, on uciekł. No, i, a wtedy ja usiadłam z nimi i oni mi zaczęli opowiadać, wiesz. Jakie cudowne życie było do rewolucji, wiesz. I słuchaj, on mówi: „Mieliśmy tak cudowne te nasze szałasy. My jesteśmy narodem, mieliśmy dziesiątki tysiący baranów czy owiec – już tego nie pamiętam. Nasze kobiety miały kolce w uszach, miały cudowne pierścienie na tego, robiliśmy wspaniałe chlebki, takie podpłomyki", wiesz. „Te szałasy były wysłane dywanami. Teraz jesteśmy nędzarzami, których wszystkiego pozbawiono".

Trznadel: Rewolucja zrobiła naród Hiobów, który wszystko stracił.

Watowa: Tak, naród Hiobów! Oni, Kazach miał prawo – bo ja między innymi robotami, przydzielono mnie do strzyżenia owiec. Znaczy się – Kazacy strzygli owce, a ja jako *gramot*[420], rozumiesz, zapisywałam, ile każdy zrobił. Bo chodziło o to, żeby być stachanowcem. No, i tutaj naocznie się przekonałam. Więc każdy Kazach miał prawo do trzech owiec. Więc wiesz, był taki Antoine, w Paryżu znany na cały świat fryzjer.

[420] Gramot - dawniej na Rusi i Litwie: dokument pisany. Pol. gramota, hramota.

296:4301112770

Trznadel: Tak, wiem.
Watowa: Więc Antoine by nie ostrzygł owcy tak, jak Kazach strzygł swoją owce. To znaczy – tam nie było ani jednego włoseczka, który by został. Tam, proszę ciebie, gładziutka skóra. Tam nie było jednego zadraśnięcia – nic. Jak się kończyły te trzy barany własne, (((rozbawiona))) to się zaczynały barany *kazionnyje*[421]. I wtedy zaczynała się rzeźnia. To znaczy ścinano tak, że – albo mu wycinano, wiesz, razem ze skórą ((śmiech)) albo, proszę ciebie, straszne to było! Ale norma została wykonana, rozumiesz. Bo były normy i nie wolno było poniżej normy. Można się było stać stachanowcem. No, i ja to miałam, rozumiesz, tego. Ci Kazacy byli weseli podczas pracy. Przynoszono im na rękach, wiesz, dzieci, oni całowali te dzieci, podrzucali pod górę ird.. Także, rozumiesz, już widziałam, jak się pracuje, wiesz, naocznie. Jak oni pracowali właśnie. W tych stepach zostawało olbrzymie – bo to są takie czworokątne, piętrowe takie stogi kwadratowe, stogi tego siana, którem gniło. Albo tego owsa, tego jęczmienia! Bo oczywiście nie zdejmowano. To była taka – naocznie widziałam. Czekaj. Ale tak. Więc, czekaj. Jedna sekunda, może na jedną sekundę, żeby się tak zastanowić, co tu…
Trznadel: Tam są takie rzeczy, ja bym, powinno iść według mnie.
Watowa: No dobrze, to idźmy dalej.
Trznadel: Bo tam jest bardzo dużo bardzo ciekawych rzeczy psychologicznych.
Watowa: Swoje otworzyłeś?
Trznadel: Tak. Bo na przykład to wszystko, co mówisz o przeżyciu urody świata. No właśnie także, taki jest paradoks, a może jakieś prawo natury, że człowiek musi, szuka, pragnie się ocalić. Bo uroda świata i takie przeżycie ocala, w jakimś sensie, jak to powiedziałaś.
Watowa: Tak.
Trznadel: Oczywiście trzeba mieć własny kapitał, żeby to odczuć wewnętrznie. I to, że go miałaś, to pozwoliło ci trwać i przetrwać. Ale jest tak często też, że dopiero jak człowiek jest przyciśnięty, z dna nędzy, kiedy wszystko zostanie zagłuszone, to wtedy możemy odczuć to właśnie prymitywne piękno świata. Wiesz, można takie porównanie – przecież każdy z nas to przeżył. Mamy w życiu zagłuszają rozmaite kłopoty, które są drobne, ale które zdają nam się straszne. Są jakieś problemy, sumienia, nie sumienia, drobnych myśli obsesyjnych. I nagle przegniecie cię – tak jak choroba człowieka przygniata. Dzieci też to znają, tylko po ciężkiej

[421] Ros. *Kazionnyje* – pot. państwowy, urzędowy, formalny – jako wspólny, powszechnie dostępny, masowy

297:1206661082

chorobie wrażliwość jest nagle obudzona, bo wszystko inne zostało starte. I to, co tym mówisz jest bardzo charakterystyczne, prawda.
Watowa: Tak.
Trznadel: Tak samo przecież mi się wydaje, że w inny sposób, ale to co Aleksander pisze w *Moim wieku* to jest – jak nagle w tym więzieniu, ponieważ to straszne życie starło wiele rzeczy, doszły do głosu jakieś głębinowe nurty, mistyczne albo prawie mistyczne, prawda. Tak jak pisze o tym przeżyciu tej muzyki, prawda.
Watowa: Muzyki, tak.
Trznadel: Na Łubiance.
Watowa: Na Łubiance, tak.
Trznadel: Więc to mi się wydaje, w inny sposób, to jest…
Watowa: Jedno, wiesz, z tych przeżyć dla mnie też głębokich, niezapomnianych. Jak wiesz, zjawiła się Skwarczyńska. Trzeba powiedzieć o dużej roli, jaką ona odegrała w moim życiu tam. Dlatego, że ona znała Aleksandra i ona znała już jego działalność, znała jego nawet *Piecyk*, wiesz, itd. I ona... pamiętam jak pierwszy raz stanęłyśmy, jak barak był uśpiony i myśmy obie wyszły przed barak, właśnie w ten step. W tym stepie. I ona – to była kobieta bardzo wierząca, jak ci wiadomo, bardzo praktykująca – która zresztą posunęła się do tego.
Trznadel: Mówisz była – przecież żyje Stefania Skwarczyńska.
Watowa: Nie, ona umarła. Umarła chyba ze dwa lata temu.
Trznadel: A to niedawno. Bo ja jeszcze ją spotykałem. Nie wiedziałem.
Watowa: Tak. Ja się dowiedziałam…
Trznadel: To znaczy już jak ja byłem w Paryżu.
Watowa: Nie mogę ci teraz dokładnie powiedzieć, czy się dowiedziałam o tym rok czy dwa lata temu.
Trznadel: Ja jeszcze ją widywałem.
Watowa: Tak. Była bardzo piękna.
Trznadel: Chyba tak.
Watowa: Bardzo piękna. Pamiętam ją w stepie, jak ona szła. Miała na sobie – mam wrażenie, że miała mimo tej, tego, głębokiej swojej wiary i jakiejś urody nawet tej wiary, właśnie, do tej urody, trzeba jej prawdopodobnie było tego płaszcza, takiej peleryny podbitej jakimś błękitem i ona tak szła, widzę ją w stepie i ta peleryna się tak rozwiewała, taka błękitna. Ona miała blond

298:5597843717

włosy, była ładna. I ona, rozumiesz, uważała, że jak się pracuje, to trzeba jednak, nie można oszukiwać. Że trzeba pracować, że oni od nas wymagają tego i trzeba dobrze pracować. Nam tam dano straszną pracę, którą wykonywały właśnie te woły, mianowicie ugniatanie tej liny, wiesz. Więc oni kazali nam ugniatać. I pamiętam taki dużo tej gliny i myśmy wchodziły gołymi nogami, zadartymi, rozumiesz, tymi i ugniatało się godzinami tą glinę. Już teraz nie pamiętam w jakim to celu.

Trznadel: W tych warunkach jednak trzeba było posiadać wyżywienie – siłę fizyczną.

Watowa: No tak, trzeba było!

Trznadel: Paradoks, prawda?

Watowa: Dzieją się dziwne rzeczy, wiesz, z człowiekiem, bardzo dziwne. I rozumiesz, były kobiety, które miały rany na nogach. W ogóle tam ja przestałam wierzyć w higienę, wiesz, między innymi. I ja powiedziałam – zresztą mówię: „no Stefanio, przecież to grozi po prostu śmiercią". Jeszcze wtedy nie wiedziałam. „To są rzeczy straszne!". A ona je tak, wiesz… i potem jak przechodził enkawudzista, to ona podchodziła z uśmiechem do niego i mówiła: „a jednak myśmy swoją normę wyrobiły". Ona, jak gdyby, pilnowała tego, żeby to było wykonane. Ale wiesz, nie w jakichś przyziemnych, żeby się przypodobać.

Trznadel: Rozumiem.

Watowa: Ale ona uważała, że skoro mamy, skoro tego, to to powinno być zrobione. Zresztą odwiedziłam ją w Łodzi, po powrocie z Kazachstanu, bo ona była jedyna – chyba – z tych ludzi wywiezionych, która po kilku miesiącach została odwołana z tej Iwanówki, poprzez starania profesora Kleinera i Wandy Wasilewskiej. I ona wróciła do Lwowa, zresztą po to, żeby karmić tam wszy.

Trznadel: W tym instytucie.

Watowa: Tak. Ona karmiła wszy pod Niemcami. Ale ona zrobiła dla mnie rzecz niezwykłą. Bo ona wytłumaczyła tym wszystkim Polakom, że ja nie jestem szpiegiem, że ja nie jestem tutaj… i że mój mąż rzeczywiście siedzi, i kim on był itd. itd. Do tego stopnia, że kiedy ten Kierski zachorował i wydawało mu się, że może umrzeć, Skwarczyńska powiedziała: „Olu, Kierski chce ciebie zobaczyć, i chce, pragnie, żebyś ty mu wybaczyła". Więc powiedziałam: „oczywiście, że pójdę i to jest już wybaczone". Więc ona dokonała rzeczy wielkiej.

Trznadel: Tak.

Watowa: Tak. Potem jeszcze.

299:1022089282

Trznadel: Tak, no ona, ja jeszcze tu coś wtrącę. Ona po wojnie cały czas zachowywała postawę – myślę, że cały czas – taką jakąś bardzo niezależną. Bo ona – ci krytycy marksistowscy się wyśmiewali, prawda, że to jest.
Watowa: A tu muszę ci przerwać. Nie wiem. Ty na pewno wiesz lepiej, ale tu muszę ci powiedzieć rzecz, która zupełnie mnie, no, przeraziła. Mianowicie, jak Aleksander zachorował – czyli to jest rok pięćdziesiąty trzeci. Nie wiem czy w tym samym roku czy zaraz po powrocie ze Sztokholmu – ale wydaje mi się, że to był albo pięćdziesiąty trzeci albo pięćdziesiąty czwarty rok – był jakiś wybitny neurochirurg w Łodzi. Ja się o tym dowiedziałam. Wobec tego Stefania mi powiedziała: „Słuchaj, przyjedziesz do tego lekarza, możesz u mnie przenocować". I była taka dla mnie bardzo pamiętna, bardzo pamiętna rozmowa ze Stefanią Skwarczyńską, która mnie dowodziła, że chrześcijanizm i komunizm to jest wspólny pion. I ona – wyobraź sobie – pisywała listy do partii, żeby wytłumaczyć im – ona, jako chrześcijanka.
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: Ona nie zdradziła, broń boże. Ona znajdowała ten wspólny pion. I ona chciała ((śmiech)) odnaleźć w tym komunizmie jakiś, wiesz – no nie wiem – może ten komunizm o ludzkim obliczu, który się zbliża do tego chrześcijaństwa. Także ona miała tego typu posunięcia, bo o tym liście do partii on powiedziała: „Ja im to wytłumaczę". I wiem od Aleksandra, że jakoby taki list poszedł jej do partii. Więc teraz ja nie wiem, jak właściwie z nią było do końca. Ona wiesz, że ona miała ogromnie ciężkie przeżycie, bo ona – jej córka się utopiła, taka Joanna. Zginęła w tragiczny sposób. A męża miała generała. Zdaje się, że jej mężem był generał Skwarczyński, który był gdzieś w jakimś Offlagu itd. którego zresztą – mam wrażenie – że to nie było takie, że ona go tak nie, wydaje mi się, że nie kochała.
Trznadel: No ja się z nią przelotnie po wojnie jeszcze spotykałem, prawda. W każdym razie moja świadomość była taka, że ona była jednym z tych niezależnych naukowców. Nigdy nie poszła na te łatwe slogany ani marksistowskie, ani inne, prawda.
Watowa: Nie, na pewno nie!
Trznadel: Potem któryś z jej uczniów – to też jest interesujące, ja to mam w domu – zrobił mi fotokopię, to cię może interesować – tylko nie wiem, w którym roku to się ukazało, ale chyba jeszcze za Rosjan, we Lwowie. Nielegalnie wydany zbiorek poezji, wybitnie antyradziecki.
Watowa: Co ty mówisz?
Trznadel: Jest bardzo niewiele egzemplarzy tego.

300:3895072278

Watowa: Ciekawe.

Trznadel: I nawet nie wiem czy ten człowiek nie pożyczył to właśnie ze zbiorów Skwarczyńskiej.

Watowa: Ach tak?

Trznadel: W każdym razie ja mam tą fotokopię. Chyba w Polsce niewiele jest egzemplarzy, a pewnie, gdzie są, to są w jakichś osobnych, prawda, zbiorze. Więc okazuje się, że mimo tego jak tutaj wiemy, prawda, jak wszyscy się tak strasznie bali, wszystkich wykańczali, jednak tam istniał taki ruch anty.

Watowa: Ciekawe. Tak.

Trznadel: No nie wiem, może to było wydawnictwo zrobione po wkroczeniu Niemców, jakoś już przygotowane wcześniej, oczywiście także nielegalnie, ale wybitny.

10_Fon.61.704 Strona B

Trznadel: Profil antyradziecki tam był, i powiem ci jeszcze drugą rzecz, która jest niesłuchanie ciekawa – ale tu już sięgam tu do wspomnień siebie jako chłopca z czasów okupacji – mianowicie, dotarło do nas w Krakowie, dotarł do nas taki wiersz, który był normalnie rymowanym wierszem, peanem na cześć Stalina i Armii Czerwonej. Tam, tam pamiętam takie słowa: Armia Czerwona i wódz jej Stalin, coś tam ocali… i teraz – to było tak chytrze zrobione, że jak nie czytałaś zwrotkami tylko czytałaś – to było tak ułożone kolumny, razem czy czytałaś od tyłu, to robił się z tego wiersz antyradziecki[422].

Watowa: Ciekawe. ((śmiech))

Trznadel: że to są zdrajcy, wrogowie, itd. itd. prawda. Tych wrogów, których oni mieli, prawda, zniszczyć, to oni się sami robili tymi wrogami. Ja pamiętam, że po wojnie takie było zastanowienie, co z tym zrobić. Ale z okupacji jeszcze był odziedziczony ten lęk, prawda. Przyszła ta władza, przecież czerwona itd. itd. ja pamiętam, że ja to zwinąłem w taki kłębek – jako chłopak jeszcze – w jakąś rolkę i wsunąłem do kierownicy od roweru.

Watowa: Tak.

Trznadel: I gdzie ten rower? ((śmiech)) Nie wiadomo! Może już przetopiony w jakiejś hucie. Ale myślę, że to chyba nie jedyny egzemplarz tego antyradzieckiego wiersza, może ktoś go jeszcze gdzieś posiada.

[422] Chodzi o wiersz Czesława Miłosza *Runą i w łunach spłoną*

301:3127962921

Watowa: Właśnie. Tak. W każdym bądź razie wspomnieniem – jeśli chodzi o Skwarczyńską w stepie, ona miała taką litanię do Matki Boskiej, prawdopodobnie sama ją trochę zrobiła też, wiesz. Bo naprawdę przepiękna. I pamiętam, jak ona uczyła mnie. Ona mnie właściwie uczyła modlitwy. Także to co tam Olek wspomina, że ja mniej więcej w tym samym czasie, że we mnie się tam pewne rzeczy rodziły, naradzały, w każdym bądź razie chciała rano, nad ranem – bośmy tak całą noc przemodliły i rozmawiały, chciała iść nad wodę ze mną, żeby mnie ochrzcić z wody. Ale stojąc, wiesz, w tym stepie z nią – to było tak trochę też właśnie na początku tego pobytu – patrzyłam na te chałupki, wiesz, na te lepianki. I nagle, wiesz, ci Kazacy, którzy byli dla mnie tacy obcy – nie mogłam ich włączyć, rozumiesz, w tą ludzkość, taką ludzkość, moją ludzkość, rozumiesz, (((rozbawiona))) warszawską ludzkość. I nagle, wiesz, pod te lepianki, maciupeńkie okienka ciemne, i nagle zobaczyłam ich tam uśpionych. I jak gdyby usłyszałam ich oddech. Oddech każdego śpiącego człowieka. Że każdy człowiek tak śpi i we śnie oddycha, i może śni o czymś. I wiesz, nagle i ta modlitwa, i ten step, i to niebo, i właśnie to wszystko, co się ze stepem łączy – wiesz, może ja miałam słabość taką dla Iwaszkiewicza, że on tam z tych stepów jakiś, naprawdę? ((śmiech)) Że on ten miał stepowy też głos między innymi? Ty wiesz, że nagle oni mi się stali bliscy i ludzcy, tacy sami jak ja. Znaczy się, rozumiesz, że to nie było takie obce ciało.
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: Że to tutaj jesteśmy my, a tutaj są Kazacy.
Trznadel: Nie, bo ja myślę, że, wiesz, ta natura jest jakaś. Człowiek jest bardzo obnażony bardzo wobec tej natury. Nie ma takich elementów cywilizacji pośredniczącej, wobec tego wszyscy się czują równi, wiesz. Jakieś miasta, jakieś domy – to już jest jakaś inność. A tutaj wszyscy są na tej samej płaszczyźnie właściwie, prawda?
Watowa: Tak. Tak że to są, tak… No, i potem Skwarczyńska, Skwarczyńska po kilku miesiącach wróciła do Lwowa. To był niezwykły cud. W między czasie ja zdążyłam, znaczy się, nabrali do mnie zaufania. Ponieważ ja jedyna znałam Wasilewską.
Trznadel: Tak.
Watowa: Napisałam do niej bardzo duży list. Że nawet w Polsce, wiesz, bydło miało podściółkę, której my tutaj nie mamy. No, i, jednym słowem, o strasznych warunkach i wszyscy się pod tym listem podpisali. I hrabia Bielski, i hrabia Tarnowski.
Trznadel: I czy ten list doszedł myślisz?

302:2805831113

Watowa: I ten list doszedł! I wyobraź sobie, dostaję list od Wandy Wasilewskiej, że ona napisała do Moskwy i, że z Moskwy przyjedzie komisja, żeby sprawdzić warunki w jakich my żyjemy. I wyobraź sobie, że komisja przyjechała! Ale mnie nie było na posiołku. Dlatego, że tam, przecież, wszystko wiadomo na przód. I wiedzieli, kiedy, że komisja jedzie. Mnie wysłali w głąb stepu.

Trznadel: Rozumiem.

Watowa: I do mnie tam przyleciała jakaś, któraś z kobiet, żeby mi powiedzieć: „Ale proszę panią, ta komisja jest, a pani nie ma". A oni się ciągle pytają o tą Watową: „Gdzie jest Watowa?". A tamci mówili: „Ona zaraz wróci, bo ona w stepie pracuje, ale ona wróci". I zaczęło się przesłuchiwanie Polaków. Przesłuchiwanie takie – znaczy się oni przyjechali. Od razu zaczęli pracować i przy przesłuchiwaniu byli nasi enkawudziści, którzy nas pilnowali. Więc sobie wyobrażasz, jak wyglądały te zeznania.

Trznadel: Tak.

Watowa: Wieczorem. Ta komisja tam była trzy dni. Przez trzy dni ta komisja piła. Pozarzynano jakieś barany. Każdy z członków tej komisji wyjechał z takim worem, gdzie miał jakąś ćwiartkę barana, gdzie miał jęczmień, gdzie miał jakieś sadło. I jednym słowem.

Trznadel: Na tle tego głodu.

Watowa: Tak. I oni nie doczekali się Watowej.

Trznadel: Nie przyszłaś.

Watowa: Nie przyszłam. Dlatego, że mnie tam pilnowali! ((śmiech))

Trznadel: Tak.

Watowa: Bardzo zwyczajnie mnie pilnowali. I komisja wyjechała stwierdziwszy, że – oczywiście – stan raczej zadowalający. Że nie było ((śmiech))

Trznadel: Za te barany…

Watowa: Ale komisja przyjechała. Ja natomiast w swojej naiwności, ponieważ się dostałam do sowchozu, to byłam przekonana, że w kołchozie jest lepiej. Więc napisałam list do Moskwy, do Erenburga, którego Aleksander przetłumaczył *Trzynaście* – zdaje się – *fajek*, czy coś takiego. I napisałam do *Sojuz Sowieckich Pisatieli*[423]. I napisałam Ilja Erenburg – wszystko co wiedziałam.

Trznadel: Wystarczy.

[423] Ros. *Sojuz Sowieckich Pisatieli* - Związek Pisarzy Sowieckich.

303:1223021754

Watowa: I list, wyobraź sobie, doszedł. Ja go, powiedziałam, że wiem, że jest wojna. Ja wiem, że ja nie mogę wrócić do Lwowa, że mój mąż siedzi w więzieniu. Że ja proszę o jedno: żebym ja mogła być gdzieś, gdzie miałabym zapewniony kawałek chleba dziennie – dla dziecka i dla mnie. O nic więcej go nie proszę. Dostałam od Erenburga depeszę. *Widial Wandu Wasilewskuju. Diełają wsio dołżnoje i wasmożnoje, sztob oblechczit' wasza uczast'*[424]. Nie wiem czy należy to przetłumaczyć na polski?

Trznadel: Nie.

Watowa: Chyba nie. I przysłał mi 300 rubli. I na tym wszystko się skończyło.

Trznadel: Ale to już był jakiś dla ciebie nowy etap, kiedy ty – z poczucia, że jesteś zagubiona w tym wszystkim, że, że, że gdzieś, nie wiadomo za światem – kiedy dotarła do ciebie świadomość, że można w ogóle listy wysyłać, że jakiś kontakt jest możliwy, że ktoś może wiedzieć.

Watowa: Tak. Dwa listy, które wysłałam i na które dostałam odpowiedź to jest list do Wandy Wasilewskiej, z reakcją właśnie, do Erenburga, a poza tym dostałam chyba co najmniej ze trzy listy albo cztery listy od Zarębińskiej.

Trznadel: Skąd?

Watowa: Ze Lwowa.

Trznadel: Bo, aha! Bo jej nie wywieźli, powiedziałaś, rozumiem.

Watowa: Bo jej nie wywieźli. I w którym ona mi właśnie pisała, że w dalszym ciągu nie podaje ręki Daszewskiemu, no, i o różnych takich. I że Halina Górska kupiła ci kołdrę i tylko dzięki Wandzie Wasilewskiej będziesz miała tę kołdrę. Bo tylko Wandzie Wasilewskiej wolno wysłać paczkę. I rzeczywiście Wanda Wasilewska poszła na pocztę, czy tam gdzie indziej, i tę paczkę wysłała. Dlatego, że w ogóle nie można nam było żadnych paczek wysyłać.

Trznadel: Rozumiem, rozumiem. A jak długo nie miałaś żadnych wiadomości od Aleksandra?

Watowa: No, od Aleksandra nie miałam… jego przetrzymano w więzieniu już po amnestii – trzy miesiące – o czym wiesz z książki. Potem, jak dowlókł się do Ałma–Aty – bo on uważał, że należy jechać tam, gdzie można dotrzeć do prawdziwego NKWD, wiesz – i już wiedział, że są te nasze… No widzisz, teraz zapomniałam. To nie placówki, to się inaczej nazywało – delegatury. Delegatury polskie. Więc przyszedł do delegatury. Ale przede wszystkim poszedł do NKWD.

[424] Ros. *Widial Wandu Wasilewskuju. Diełają wsio dołżnoje i wasmożnoje, sztob oblechczit' wasza uczast'* – Widziałem się z Wandą Wasilewską. Dokładamy wszelkich starań, aby uczynić lżejszym wasze położenie.

304:4841606807

Powiedział mi, że to trwało ((z emfazą)) najwyżej 15 minut w okienku. Gdzie jest Watowa? Powiedzieli, kiedy zostałam wywieziona ze Lwowa. Że byłam w Żarmiński rejoni. Wszyscy co, najdokładniejszy adres. Że po amnestii wyjechałam w okolicę Czymkentu. Tylko, że oni w tej chwili jeszcze dokładnego adresu – w jakim ja tam jestem sowchozie czy kołchozie nie mają. Ale on mówił, że to trwało najwyżej 15 minut.

Trznadel: Czyli biurokracja jednak działała dobrze, ta radziecka.

Watowa: Nadzwyczajnie słuchaj! To, to, ja ci powiem – to cały świat można się od nich, słuchaj!

Trznadel: Kartoteki…

Watowa: Słuchaj… kartoteki. Jak się pomyśli o ilości ludzi, których wywieziono – i że oni o każdym wszystko wiedzieli. Kiedy wyjechałam z Iwanówki, gdzie byłam. A natomiast Aleksander, który był bardzo ciężko chory po wyjściu i jego delegatura umieściła w szpitalu – zresztą rosyjski, sowiecki lekarz przyniósł mu kiedyś wątrobę. I to trzeba jeszcze raz powtórzyć, że ci lekarze rzeczywiście podobno byli nadzwyczajni w tych więzieniach i starali się ratować. Proszę ciebie, on pieniądze, które dostał z delegatury wydał od razu na pocztowe, wiesz, te, i napisał do wszystkich delegatur, które istniały na całym terenie Związku Sowieckiego, pisał kartki. I w końcu napisał do delegata takiego, który mu napisał, że ja byłam w tym, tutaj i tutaj. I że w tym samym sowchozie była Olga Krzemińska, którą on zna i o której wie, że ona jest w tym *Czimkenskoj obłasti* w takim i takim sowchozie. I podał mu adres, i on tam napisał do pani Krzemińskiej. No, i ja, wiesz, już wtedy w ogóle [dzwonek telefonu: Halo? Tak? – po przerwie] Więc mówiłam o tym, że Aleksander napisał list do Olgi Krzemińskiej. Więc siedzimy w naszej tej izdebce, była tam taka *babuszka*, którą ją strasznie chciałam rozczulić, żeby nam kiedyś dała kawałek chleba, ale nie dawała! Proszę ciebie, bo tam, wyobraź sobie, u takiej babuszki był tom Tołstoja. Jego takie opowiadania, wiesz, takie moralne. I właśnie, że należy pomagać, i być miłosiernym i dobroć, i miłość bliźniego itd. Już nie pamiętam, co to było. I ja jej to czytałam, a ona tak chytrze, chytrze na mnie spoglądała i uśmiechała się, ale chleba nie dała. I w pewnej chwili drzwi się otwierają, wchodzi młody szczeniak – jakiś piętnastoletni. I tak pokazuje mi kopertę i mówi: „a pani co mi za to da?" A ja miałam na kolację przygotowane – bo już wtedy szalenie oszczędzałam, bo już wtedy, wiesz, ludzie tam zaczynali umierać z głodu, a ja byłam wysprzedana. I miałam jakieś – nie wiem – może miałam 10 kilo mąki, za ostatnią już sprzedaną rzecz – jakiś rodzaj peliski miałam, którą tak chowałam na zimę – i kawałeczek jeszcze tłuszczu, a może już tłuszcz był zjedzony. Więc wiedziałam, że po tych 10 kilo to już właściwie tylko do

305:7782385869

urn. I myśmy bardzo dużo wtedy z Andrzejem – namawiałam go, żeby leżał – i tam były pola bawełniane. Myśmy zbierali bawełnę, a bawełny – jak wiadomo – nie można było jeść. A tutaj jeszcze można było ukraść jęczmienia. Zresztą jęczmień kradłam z tą, ze Skwarczyńską. Ona na czworakach, ja jej stawałam na plecy, tam był taki składzik i tam ten mój garnuszek, który dostałam, zapuszczałam na kawałek sznurka i (((rozbawiona))) w ten sposób. Za to groziło więzienie niesamowite. I to w nocy, wiesz, żebyśmy się z tą Swarczyńską kradły. Bardzo szybko, aby trochę. Więc – a widzisz, jak ja tylko.

Trznadel: On pokazał kopertę.

Watowa: A! „Co pani?" Ja miałam, wiesz, te lepioszki. Na cały posiłek miałam lepioszki i trochę *kipiatku*. I spojrzałam, i zobaczyłam pismo Aleksandra. I powiedziałam: „Masz. Te lepioszki są dla ciebie". Te cztery lepioszki, które upiekłam. To był nasz posiłek wieczorny. No, i w tym liście Aleksander błaga ją o prawdę – bo on nie wyobrażał sobie, żebym ja mogła przeżyć, wiesz, z Andrzejem. Żeby ona jemu powiedziała, że jeżeli to jest najgorsza prawda, żeby ona mu powiedziała. No, i błaga itd. No, i wtedy, rozumiesz, to było na te ziemię. Więc teraz skończmy i teraz ci dam herbaty.

Trznadel: To tylko powiedzmy dzisiejszą datę

Watowa: Tak, to powiedz wszystko dokładnie.

Trznadel: To było 23 stycznia 81, oczywiście.

Watowa: Tak. Ale tyś nie nagrał tej daty?

Trznadel: Nagrałem.

Watowa: A już powiedziałeś?

11_Fon.61.705 Strona A

Watowa: I tą depeszę wysłałam do niego, więc mam nawet przechowane tutaj pierwsze nasze wymiany listów, pierwsze. I jednak mnie się wydawało, że Aleksander, prawda. W ogóle nie zdawałam sobie sprawy w jakim stanie on wyszedł z więzienia itd. No, więc spodziewałam się i obiecywałam Andrzejowi, że tatuś tu po nas przyjedzie i nas zabierze, że już nie będziemy głodni, że już teraz będzie wszystko dobrze. No, i byłam trochę zdziwiona, że Aleksander mi pisze, że wiesz, może byłoby lepiej, żeby – zamiast ja przyjechał do was – wy byście przyjechali do mnie.

Trznadel: To znaczy, dokąd?

306:2916084659

Watowa: Do Ałma–Aty. Nie pisząc oczywiście, że leży w szpitalu itd. ale że to będzie tylko może strata czasu. No, i, oczywiście, zaczęło się tutaj, wiesz, ta bardzo mała ilość mąki – jak ci mówiłam – te resztki tego mojego bogactwa, właściwie resztki – można powiedzieć życia. Bo gdyby, po skończeniu tej mąki to już byłoby… zresztą byłam świadkiem takich kobiet – widzę je teraz przed sobą, kilka kobiet, które – powiedzmy ze Lwowa, taka kobieta, która dowiedziała się, że w Białymstoku jej córka rodzi. Żydówka, no, więc jak nie być przy tej rodzącej córce. No, i poszła, wiesz. Więc oczywiście gdzieś tam jakaś granica i oczywiście od razu ją jako szpiega. I od razu do lagru. Więc tam na przykład było takich kilka kobiet z lagru, które wyszły z lagru, z jakimiś węzełkami, które nie miały nic. Więc wtedy, kiedy ja się już dowiedziałam o tym, że Aleksander istnieje i zaczęłam do niektórych tych kobiet chodzić. Więc widzę to, jak one siedzą, wiesz, takie oparte o ścianę i właściwie nie mają siły się już poruszać, bo nie mają nic, niczego absolutnie nie dawano. Jak ci mówiłam, nie można było niczego kraść, bo były tylko te pola bawełniane. No, i zaczęła się teraz walka o to, żeby podjechać do kolei, bo to wszystko jest bardzo…

Trznadel: Jeszcze oddalone.

Watowa: Bardzo wszystko oddalone! Więc błaganie tego, tego jakiegoś tam Iwana znowu, żeby dał podwodę. To była zima. I w rezultacie on powiedział, że on mnie odwiezie na stację. Ja ostatnie te, ostatnią mąkę jaką miałam, zrobiłam jeden bochenek chleba, starczyło na jeden bochenek chleba. A z kawałeczka tego ciasta to zrobiłam takie dwie litery AW, duże. No, i w każdym bądź razie ten bochenek chleba miał być na drogę, a to AW to już miało być jako prezent dla Aleksandra. I przychodzi ten poranek, wsiadamy na jakieś sanie – też to jakiś taki…

Trznadel: Bo to była zima?

Watowa: Zima. Jakieś bardzo przestrzenie duże, zaśnieżone, puste. W pewnej chwili sanie się w ogóle wywracają. Potem on nas znowu wsadza w sanie. Potem gdzieś, w jakimś polu jakaś stoi taka buda i on mówi: „Ja już dalej jechać nie mogę. Tutaj jest taki przystanek, tutaj koleje też stają". I mnie tam wysadził z Andrzejem. Wchodzę do tej izby – to była izba nieduża. Pośrodku piecyk żelazny. I taka babuszka od czasu do czasu takie drewienka podkładała. I znajduje się między, wiesz, takimi *bradiagi*[425]. Takie, wiesz, rzeczywiście taki obraz bardzo rosyjski, taki bradiagi, to wiesz – to i w powieści Tołstoja, prawda.

Trznadel: Etap.

[425] Ros. bradiaga – włóczęga; bradziaga; brodiaga

307:4213220052

Watowa: Etapy takie, rozumiesz, chodzą, o takich kijach, obwiązani sznurami itd. ja tam wchodzę, siadam na swoim węzełku, kurczowo, wiesz, trzymam ten chleb, żeby nikt tego nie zauważył. No, i tylko, w pewnej chwili poczułam zapach wody kolońskiej. Widziałam jak któryś z tych, wiesz, pije tę wodę kolońską. No, więc pijacy, starzy, młodsi, przyglądający się nam bardzo, wiesz, uporczywie itd. itd. Pytam się, gdzie tu się bilet kupuje? Więc niby jest kasa. Jest takie okienko. W tym okienku nikt się nie pokazuje. Ta babuszka raz przychodzi, drugi raz przychodzi i mówi: „Wie pani, tutaj tam powiedzmy o drugiej w nocy będzie przechodził taki pociąg, ale to bardzo szybko. Zatrzymuje się od razu i ucieka". I ten, wiesz, okazało się, że był niesłychanie wysoki nasyp, zupełnie oblodzony. Ja z Andrzejem wyszłam z tym tobołkiem, z chlebem i absolutnie, wiesz, spadaliśmy ciągle, ześlizgiwaliśmy się. I pociąg nam uciekł. I potem okazało się, że taki pociąg widmo będzie znowu za jakąś godzinę. Więc znowu żeśmy się tam wdrapywali i jakimś, no, cudem – na czworakach, chwytając się jakichś… i taka *prawodnica*[426] – bo to były kobiety przeważnie pełnią rolę tych konduktorów, ona mi krzyczy: „Nie ma miejsca". I spycha nas, wiesz, odmachuje się i pociąg ruszył. I wtedy ja widzę, że jestem zupełnie stracona, że to już nigdy – jeżeli tak jest. Wracam, Andrzej jest głodny. Widzę spojrzenia tych ludzi na ten chleb, więc jestem w ogóle narażona, że ten chleb mi będzie wyrwany. No, ale ta babuszka – jak to zwykle spotyka się jakichś miłosiernych ludzi – ona mi po cichutku mówi, żebym ja wyszła i, że tam za zakrętem tego domu jest takie wejście i że mieszka ten, wiesz, zawieduszczy tej stacji, rozumiesz. Więc idę do niego. Andrzeja zostawiłam na tym – kazałam mu siedzieć na tym chlebie. W ogóle powiedziałam mu: „nie ruszaj się". No, i poszłam. Pukam, otwiera mi mężczyzna w sile wieku, w takiej wiesz, rubaszce, dobrze nawet wyglądający, No, i wtedy ja mówię jaka jest sytuacja. Powiedziałam: „Proszę pana, mój mąż wyszedł dopiero co z więzienia, ja byłam na zesłaniu, zorientowałam się, że nigdy się stąd nie wydostanę. Mam tylko bochenek chleba, który tam ważył może ze dwa kilo, może ważył. I to jest wszystko co mam, ale mam pieniądze". Dlatego, że Aleksander przysłał nam – nie wiem – kilkadziesiąt rubli. Z tych pieniędzy, które dostał – zresztą od Kota, wiesz, od ambasadora z Kujbyszewa. Więc ja mówię: „Proszę pana, niech mi pan zostawi – no bodaj – z pięć rubli, a resztę ja panu wszystko daję". Wiesz, te kilkadziesiąt rubli, „niech pan… niech jak ja przyjadę do Ałma–Aty, żebym ja miała tych kilka rubli. I niech pan mi pomoże wsiąść".

[426] Ros. *prawodnica* - kontrolerka biletów.

308:7971868848

Trznadel: On oczywiście wziął te pieniądze i powiedział, żebym się nie martwiła, że on mnie wsadzi. I wiesz, przyszedł, po jakiejś godzinie, po dwóch. Znowu – nie wiem, ile czasu to trwało. W tej chwili nie pamiętam, ale wiem, że dopiero wyjechałam, wiesz, drugiej nocy, dlatego, że pierwszy raz on wziął takiego właśnie brodiakę. On powiedział, żebym ja się nie bała, żebym ja dała mu te toboły. I on wziął Andrzeja, wiesz, za rękę. Ten brodiaga trzymał tobół i mnie, i mieliśmy się tam wdrapywać. Ale ten lód to była już taka ślizgawica, że jakoś mimo to że – wiesz, w takiej eskorcie, odszedł ten pociąg.

Trznadel: Odszedł. ((chrząknięcie))

Watowa: Ale następny tam po kilku godzinach. On, wiesz, w błyskawiczny sposób, on dał jejpieniądze – to znaczy, podzielił się z nią. Zamienili jakieś kilka słów – bo to wszystko tam są te rzeczy, nie trzeba wiele mówić. Wepchnął Andrzeja, wepchnął mnie – to już w biegu, już prawie pociąg wiesz ruszył. Ja myślałam, że mi te toboły zabiorą – ale nie. Rzucili. Ta *praworczyca*[427] złapała ten tobół, bo on jej to rzucił. Wyobraź sobie – wchodzimy do wagonu, a w tym wagonie siedzą polscy oficerowie.

Trznadel: Coś podobnego!

Watowa: I mówią po polsku… I wiesz, w ogóle wrażenie, wzruszenie, wiesz! I Andrzeja tam któryś wziął na kolana i dał mu coś do zjedzenia. No jednym słowem, wiesz, ja jestem bardzo nieskłonna do płaczu w ogóle i nie mam tak zwanego daru łez, ale tutaj to mnie chwyciło za serce. „Proszę panią, już jest wojsko polskie. Już się wszystko uformowało. Zobaczy pani, będzie dobrze!" itd. No jednym słowem, nastrój był zupełnie fantastyczny! Tam oczywiście, wiesz, są zawsze – to nie jest kilkaset, to jest kilka tysięcy kilometrów, żeby gdziekolwiek dojechać. Więc jechaliśmy dość długo. No, i oczywiście w nocy przyjechałam do tej Ałma–Aty.

Trznadel: Co to znaczy dość długo?

Watowa: Dość długo to jechałam – bo ja wiem – jakieś dwadzieścia cztery, może trzydzieści godzin, ale już jechałam pod opieką, wiesz, pod opieką.

Trznadel: Tak.

Watowa: Przyjeżdżam. Tak się wszystko układa, że przyjechałam w nocy. Nie była późna godzina – była jakaś godzina jakaś jedenasta, dwunasta w nocy, straszny mróz. Ja, wiesz, ani nie mogłam Aleksandrowi podać daty mojego przyjazdu, bo to wszystko było jedna niewiadoma, niemniej byłam przekonana, że on – wiesz – będzie tam. Po prostu zamieszka na tej stacji i

[427] Ros. *praworczyca* - konduktorka

309:5357060618

będzie na nas czekał. Więc zaczynam, wyszłam, zaczęłam go wołać: „Ol, Ol, Ol". Nikt się nie odzywa. Więc jeszcze jedna noc, wiesz, spędzona na tej stacji w Ałma–Acie. Na gazetach leży się, na podłogach, na gazetach. I to są te wszystkie tyfusy i tak dalej – oczywiście wszy. I ci ludzie, którzy tak nieraz tygodniami czekają, żeby się dostać, żeby wejść, żeby dać tę łapówkę itd. Rano widziałam jakiegoś mężczyznę z takimi małymi saneczkami, wiesz, ręcznymi, no, i powiedziałam – miałam adres Aleksandra – a ona powiedział: „Wie pani, to jest dość daleko". Ja mówię: „Niech mnie pan odprowadzi". Ja mam tyle pieniędzy, ja panu daję. Nie wiem, ile ja tam miałam – pięć rubli czy 10 rubli. „Niech mnie pan odprowadzi pod ten adres". No, i zaczęło się to chodzenie, przechodzenie przez Ałma–Atę. Potem przez jakieś stepy–wertepy, jakieś, jakieś, noga się gdzieś tam zanurzała w śnieg i w błoto. Przychodzimy gdzieś, na krańcu jest taka mała izba. Wchodzę do sionki, no, i jednak, wiesz, to moje wzruszenie i radość, przerażenie itd. Więc mówię, wiesz Andrzejku, ty tutaj zostań. Ja zobaczę czy tatuś tutaj mieszka, czy rzeczywiście tu jest. Weszłam. I wiesz, taki obraz – wiesz, w tej sieni były jakieś – może nawet to on nie był stary, tylko wiesz, ta broda. Taki zarośnięty, wiesz, *murzik* z tymi włosami długimi itd. Stoi taka kołyska, wiesz, na biegunach z drzewa zrobiona i tam leży dziecko całe w takie czerwone, w jakichś takich krostach. Widać, że ma wysoką temperaturę. No, i ja mówię mu: „Proszę pana, czy u Pana mieszka tu taki Aleksander Wat". „Tak! On tutaj jest. Tutaj w tej izbie". Drzwi były oczywiście – a może drzwi nie były – otwarte. Aleksander wstał i to pierwsze, wiesz, widzenie. Ja go pożegnałam, wiesz, to było w czterdziestym roku, on się urodził w dziewięćsetnym, więc miał czterdzieści lat. Był właściwie młodym człowiekiem, miał czarne, ciemne bardzo włosy. I nagle widzę, wiesz, białą, bielusieńką głowę. Był w koszuli tylko – dlatego, że tam palił się taki piec, był dość rozpalony i stał na stojąco tam sobie coś notował, na jakimś skrawku papieru, coś tam pisał. Ja tak przez chwilę patrzyłam i widzę tutaj – wiesz, tutaj jest taki duży krzyż. Ten krzyż był czarny, bo wtedy między tymi darami, które Londyn przysyłał, to przysyłali też, wiesz, ewangelię, przysyłali krzyżyki itd. I znowu, wiesz, żegnam właściwie niewierzącego człowieka itd. – mówiłam ci jak on chciał Andrzeja wychowywać – no, i tutaj, wiesz, biel tych włosów, to szalone zmęczenie, właściwie wydał mi się starym człowiekiem i wiesz, tutaj ten krzyż. No, więc, oczywiście, nasze przywitanie. I od razu wprowadziłam Andrzeja. I wtedy, wiesz, na jakimś takim drewnianym stoliku położyłam gdzieś na – to jeszcze wiem, że te, te słowa pierwsze powiedział: „Ola, ta sama Ola". Wiesz? ((śmiech)) Chociaż ja byłam na pewno już bardzo zmieniona. I położyłam chleb na tym stole. I nagle, wiesz, ten Aleksander, który był tak

310:5761595290

szczęśliwy, tak nieprzytomny. Wiesz jak, czym było to rozstanie dla niego? W więzieniu on o tym pisze. Ten jego lęk. Ale ja widzę, że w tym jakimś, no, przywitaniu takim pewnym miłości, jakiegoś roztkliwienia, czułości, niedowierzaniu po prostu, ja widzę, że on ciągle patrzy na ten chleb. I wtedy ja mówię: „Patrz Ol, ja tutaj dla ciebie zrobiłam takie, te dwie litery AW. To jest dla Ciebie". No, i on – a ja, wiesz, tego Andrzeja tak przygotowywałam po drodze: „Bo wiesz, ten tatuś, ten ojciec no – to znaczy, że wszystko już będzie dobrze". To jest opieka, to, że nie będziemy głodni, że będziemy mieli mieszkanie ((śmiech)), że w ogóle zaczyna się normalne życie. Jest ojciec! Rozumiesz?

Trznadel: Tak jest.

Watowa: I nagle ja widzę, że ten człowiek jest głodny i, że w gruncie rzeczy, rozumiesz, to jest potworne, dlatego, że odnalezienie w końcu tej, tej towarzyszki życia, którą byłam. I ja wiem, jak on mnie kochał, jakeśmy się kochali i tego syna. I ta myśl, że może nigdy nas nie zobaczy, że może nie żyjemy itd. I ten chleb jednocześnie, który go – zupełnie jak magnes – przyciągał.

Trznadel: Tak, to znaczy ciągle jaki głód musiał być.

Watowa: Tak, ten głód był też – wiesz – też, jak on sam stwierdził, był głodem też psychicznym. Bo jak on mówi w tym *Moim wieku,* że on nie mógł długi, przez długi czas patrzeć na człowieka, który je. Nie mógł. A tutaj zrobię skok, ale potem będziesz mnie musiał znowu doprowadzić – że już w Warszawie, gdzie był dobrobyt zupełnie niesamowity, w czterdziestym szóstym roku można było absolutnie wszystko dostać, gdzieśmy jedli do syta.

Trznadel: Tak.

Watowa: Zdarzyło się tak, że – powiedzmy – po kilku miesiącach. Nie, to może było już tak – powiedzmy po kilku miesiącach, po pół roku, kiedy nie było żadnych problemów z zaopatrzeniem się w ogóle. Żeby chleb, żeby zjeść nawet chleba z masłem, jajko kupić itd. ja sobie przypominam, że myśmy zjedli normalnie kolację, już żeśmy dostali to nasze mieszkanie na Niemcewicza od takiego Alfreda Krygera, założyciela ZUS–u, starego socjalistę, bardzo szlachetnego człowieka, o którym Olek też wspomina, bo on zamówił u niego tą sztukę na wystawę poznańską, wiesz, co to robił też z Schillerem i Daszewskim, więc dał nam to mieszkanie. I ja tam, po zjedzeniu, przed położeniem się do łóżka – była już prawie godzina jedenasta – spostrzegłam się, że myśmy zjedli cały chleb i że w domu właściwie no nie ma (ale byliśmy syci).

Trznadel: No tak.

311:7049989063

Watowa: Rano schodzi się, kupuje się chleb. I zresztą, wiesz, miałam tam gosposię, w ogóle itd. wyobraź sobie, że ja wyszłam o jedenastej w nocy, bo na placu Narutowicza była jakaś restauracyjka. Weszłam tam i prosiłam, żeby mnie sprzedano dwie, trzy kromki chleba. Ja nie potrafiłam zasnąć, rozumiesz, bez tej świadomości, że jest chleb. Tak że to nie on tylko był tym dotknięty, ja też byłam dotknięta. No, i Aleksander, który właśnie zjadł te dwie litery, i któremu ja zaczynam ten chleb krajać i widzę, jak on ten chleb je. Ale po chwili on mówi: „Słuchaj, ja już rozmawiałem tutaj z kimś" – on zresztą miał od tego, od tego, z którym takie ciekawe rozmowy prowadził na Łubiance. To nie był, nie był Terc, ale coś podobnego, jakieś takie nazwisko. Wspomina właśnie rozmowy o komunizmie itd. On powiedział: „Jeżeli pan dotrze kiedyś do Ałma–Aty, tam mieszka siostra moja, która jest lekarką". I wyobraź sobie, że to dziecko miało szkarlatynę. On o tym już wiedział i poleciał – zresztą miał dla niej... tyle wiadomości o tym bracie.

Trznadel: Tak, oczywiście.

Watowa: Że od razu jak wyszedł z więzienia do niej poleciał. I potem, jak dowiedział się, że ja istnieję, to poleciał do niej i powiedział: „Proszę panią, to jest sytuacja taka, że jest dziecko chore na szkarlatynę. Ja mam takie" – wiesz, on spał na takiej kojce z dwóch desek zbitych, tam u tego starca, tam u tego chłopa – no, i ona oczywiście powiedziała: „Proszę pana, niech pan mi zaraz swojego syna sprowadzi. On będzie na razie u mnie". Więc myśmy polecieli, wiesz, do tej lekarki. Ona go wzięła, a myśmy, wiesz, wrócili. A on mnie zaprowadził do hotelu, gdzie była delegatura, ale też, gdzie mieszkali ci wszyscy: Szkłowski, prawda, Zoszczenko, ci wszyscy właśnie literaci rosyjscy, ewakuowani z Moskwy, gdzie było masę ludzi z Mosfilmu.

Trznadel: Ze względu na front, ewakuowano ich.

Watowa: Tak! I którzy się nadzwyczajni nim zajmowali. O tym nie będę mówić, bo Zoszczenko go dwa tygodnie trzymał w swoim pokoju i on tam, żeby w nocy wyjść i tego, on mu dawał swoją szubę. Bo on w gruncie rzeczy nie miał prawa jako więzień, nie miał prawa być w stolicy, więc to wszystko było takie nielegalne. [przerwane nagranie] Ale spojrzał na mnie i, wiesz, ja miałam taką spódnicę–sito, rozumiesz? I prześwitywała tam, wiesz, jakaś, jakaś łachmaniasta bielizna moja. Prawdopodobnie zrobiona była – bo całą bieliznę właściwie robiło się z tej marli, wiesz, z tej gazy, co się gdzieś dostawało. No i Ol mówi: „Słuchaj, no, ale jak ja ciebie tak pokażę?". Jednak, jednak ta chęć pokazania tej żony, tym prawda ((śmiech)) Ale ja mówię: „Ol, czy to ma jakieś znaczenie? To wszystko jest nieważne, nieważne, nieważne". No, i poszliśmy

312:7888282529

tam, a te panie, wiesz, Paustowski właśnie, żona Paustowskiego. Właściwe żona Paustowskiego, potem obecna żona – znaczy się już wdowa po tym Paustowskim, a wtedy żona takiego Sznajdra, czy jak on się tam nazywał. Olek uważał, że w rękopisie czytał jego wspaniałą powieść, która nigdy nie była wydrukowana. Szkłowski, Zoszczenko, no i to wszystko, wiesz, zeszło się w jednym pokoju hotelowym. Poprzynosili tam, pamiętam, było jakieś wspaniale wino południowe – zrobione, nie wiem, czy to było zrobione z truskawek czy, wiesz, jakichś owoców.
Trznadel: Tak.
Watowa: No i bardzo mnie, ogromnie, wiesz, to przyjęcie, tego. I pamiętam, że ten właśnie – umierający zresztą pisarz na suchoty, ten, któremu nigdy nie wydrukowano jakoby świetnej powieści według Aleksandra – jak ja opowiadałam, wiesz, o tych przeżyciach, o tym Kazachstanie, o tym wszystkim… I wiesz, on w pewnej chwili położył głowę na rękach, na stole i powiedział: „*Kak stydno, kak styd"*[428]. I wiesz, po prostu płakał. No i potem trzeba się było jednak rozstać, no i zaczęliśmy iść przez te stepy–wertepy, tam, do tego starca. I przychodzimy, oni już spali, i w tej izbie, na stole leżało to dziecko, wiesz. W takim, wiesz, wianku z papierowych kwiatów różowych i niebieskich na głowie. Leżał trupek tego dziecka. Ci rodzice już spali, a na nas czekała, wiesz ta kojka. Także, wiesz, w ogóle o jakimś normalnym położeniu się nie było mowy, bo się spadało. No, i tam, tak bardzo cichutko przegadaliśmy, wiesz, tę noc, opowiadając sobie nasze, wiesz, przeżycia. No, i, będąc jednak bardzo szczęśliwi, że jesteśmy razem. Ale wiesz...
Trznadel: W obecności tego zmarłego…
Watowa: W obecności tego, wiesz, zmarłego dziecka, które już, już, już nie miało gorączki, już nie było czerwone, już nawet nie było śladu. Tylko wiesz, pamiętam, to małe dziecko i tą, ten wianek z tych sztucznych kwiatów, z tych, z tych bibułkowych takich kwiatów na głowie.
Trznadel: I to właściwie był was pierwszy symboliczny dzień?
Watowa: I to był, wiesz, to było nasze spotkanie. I wtedy zaczęło się, wiesz, nasze tak zwane normalne życie. Więc – wiesz, trochę mi jest przykro. Bo tak: jak sobie pomyślę, że ja nie noszę w sobie, wiesz, żadnych takich – w pamięci mojej, wiesz – moja pamięć nie jest obciążona jakimiś takimi żalami czy nienawiścią itd. jak tobie mówiłam. Ale zauważyłam potem, zastanawiając się nad tym, co ja mówię, że we wszystkich sytuacjach, wiesz, które ja właściwie, które nagle zaistniała jakaś sytuacja. Zaistniała ta sytuacja – powiedzmy, ta sytuacja w wagonie,

[428] Ros. *Kak stydno, kak styd* - Jaki wstyd! Jaki wstyd!

313:8528189498

czy sytuacja w baraku, czy powiedzmy, bezpośrednio pewne sytuacje przed wybuchem wojny z tym wybijaniem szyb – że ciągle, ciągle wraca, wiesz, ta sprawa tego antysemityzmu. Ja jestem tym zdumiona, rozumiesz, bo w jakimś sensie muszę powiedzieć, że ja na własnej skórze tego antysemityzmu dowolnie nie doznałam. Byłam na polskiej pensji, miałam przyjaciółki – bardzo bliskie, które nie były Żydówkami. Znalazłam się potem – poprzez Aleksandra – w środowisku, wiesz, w końcu ludzi piszących czy malujących. I rozumiesz, ten problem nie był poruszany, wydawało mi się, że ten problem nie istnieje. W gruncie rzeczy pierwszy raz on zaistniał dla mnie – i w formie szalenie bolesnej – to kiedy żeśmy zmienili mieszkanie. Mieszkaliśmy na Hożej i jakieś ostatnie dwa trzy lata dostaliśmy – przez jakąś znajomość – śliczne mieszkanie właśnie z takim ogródkiem, gdzie rosło jakieś japońskie drzewo, które przepięknie kwitło na wiosnę. I zauważyłam, że Andrzej, którzy miał – powiedzmy – rok przed wojną miał sześć lat, czy powiedzmy – dwa lata przed wojną – miał cztery lata, że on schodzi (tam jeszcze taki mieszkał, wiesz. To był dwupiętrowy dom. Jedno nazwisko tylko pamiętam, takiego księgarza, który się nazywał Idzikowski. On był dość znany w Warszawie, taki księgarz Idzikowski. I tam mieszkała tak, wiesz, w każdym bądź razie te mieszkania nie były specjalnie tanie, Aleksander wtedy pracował u Gebethnera. Mieszkania bardzo ładne, no i z tym ślicznym ogródkiem. I potem, z drugiej strony wychodziło się, to były tam takie wzgórza. Tutaj było od Czerniakowskiej, a tutaj to tam była – nie wiem jak ta część się nazywa – tam była ambasada francuska. I tam zresztą Pniewski mieszkał, architekt Pniewski.

Trznadel: To był Mokotów, prawda?

Watowa: Nie, to nie był Mokotów. Nie, nie, nie. Właśnie w tej chwili zapomniałam.

Trznadel: To było na dole już?

Watowa: Schodziło się Czerniakowską, dochodziło się do nas. Ale z tego ogródka wychodziło – była taka furtka – i wychodziło się, wiesz, na równoległą, ale zupełnie inną stronę. I to się... Zapomniałam. Może to mi w końcu przyjdzie. W każdym bądź razie to była bardzo ładna dzielnica. Gdzie była właśnie niedaleko ambasada francuska, gdzie mieszkał właśnie Pniewski architekt. I nagle, wiesz, mówiłam: „Słuchaj, Jędrusiu, zejdź. Będziesz się bawił". Widziałam, że te dzieci są na dole. „Będziesz się bawił z dziećmi". No, i wiesz jak to matka. Jak on zszedł, wyglądałam przez okno i widzę, że żadne dziecko się z nim nie bawi. I on jest sam, on się zbliża – a te dzieci go odpychają. No, i potem okazało się, że te dzieci nie chciały się z nim bawić. Aleksandra zawołałam też do tego okna. Była dozorczyni, która miała tam dwoje dzieci – był

314:1109604517

tam chłopczyk mniej więcej w wieku Andrzeja, może o rok starszy. No, i wtedy, żeby dla tego dziecka, żeby nie wiedziało – przede wszystkim – i żebym nie odczuło tego boleśnie itd. Bo on mówi: „Ja nie wiem, dlaczego oni się nie chcą ze mną bawić". Więc ja zaprosiłam synka dozorczyni do siebie, zrobiłam dobry podwieczorek, dałam mu jakiś prezent i zaczęłam, wiesz, zapraszać do siebie tego chłopczyka, żeby on po prostu się z nim bawił. Żeby on nie miał poczucia, że on jest taki odtrącony. I powiem ci, że to był, to było pierwszy raz, kiedy ja poczułam antysemityzm. Czym jest antysemityzm i jakie to było straszne.

Trznadel: Może lokatorzy, którzy tam byli, nie należeli do żadnej jakby niskiej warstwy.

Watowa: Nie! Absolutnie nie! To była – tak jak ten Idzikowski – można powiedzieć, że tam mieszkał zdaje się jakiś wojskowy. W każdym bądź razie – tam się dostać, trzeba było mieć protekcję.

Trznadel: Tak.

Watowa: Tam byle kogo nie wpuszczano i tam był jakiś pan, który miał jakiś kontakt z Aleksandrem, wiedział, że on pracuje u Gebethnera. I on mówi: „Wie pan, jest takie śliczne mieszkanie, ja dam Państwu to mieszkanie". I potem przyszła chwila, kiedy Andrzej powinien był już iść do takiej szkoły, wiesz, gdzie dzieci właściwie tam, nie wiem, już uczą się pisać i czytać – nie wiem w jakim wieku się zaczyna. I pamiętam, jak taki jeden, zrobiła się taka szkoła. Nowy budynek w Alejach Jerozolimskich. Dyrektor tej szkoły wydawał jakiś – bo Gebethner wydawał też podręczniki szkolne. I przyszedł do niego ten dyrektor – Aleksander te sprawy załatwiał, no i zwierzył mu się, że jest bardzo niespokojny, że teraz właśnie ten jego syn będzie chodził do szkoły. On się bardzo boi jak jaka tam będzie… No, a Aleksander nie chciał, żeby Andrzej szedł do jakiejś szkoły, wiesz, ekskluzywnej, prywatnej itd. na odwrót – żeby on miał te..., żeby tam były dzieci i inteligencji, ale żeby były dzieci robotników. I to była taka szkoła trochę.

Trznadel: Państwowa.

Watowa: Państwowa szkoła. A ten, wiesz, dyrektor był taki, wiesz, lewicujący – mam wrażenie – socjalista.

12_Fon.61.705 Strona B

Watowa: Bardzo miły człowiek. No, i on powiedział: „proszę pana, ja panu obiecuję, że ja będę na to zwracał uwagę. Że ja jakoś po opiekę tego syna, że będę obserwował" i tak dalej. Więc

315:1153216690

otwarcie, pierwszy dzień. Więc oczywiście babcia, moja matka – kupuje, wiesz, tornister. Kupuje się piórnik taki, który, nie wiem, czy to istnieją z drzewa te piórniki itd.
Trznadel: Tak, wiem.
Watowa: Wiesz, dzień niesłychanie uroczysty. Ważny i dla dziecka, i – powiem – że dla rodziców też, wiesz. To się przeżywa. Aleksander jest u Gebethnera i ja idę z Andrzejem. [syrena policyjna/straży pożarnej w tle]. No, więc piękny budynek, tam gdzieś na jakimś czwartym, piątym piętrze jest ta jego, te klasy dla małych dzieci. Zostawiamy ubranie w szatni. Wszystko bardzo tak nowocześnie, luksusowo. No, i te wszystkie mamy, rozumiesz, ze swoimi pociechami stoją tak pod ścianami, czekają aż wejdzie, nauczycielki wejdą i jak zabiorą dzieci do klasy. [syrena policyjna/straży pożarnej w tle]. Rozumiesz, dla Kuncewiczowej Andrzej był aniołkiem z Muriel. To było śliczne dziecko, miało takie loki, miało takie wiesz. Loki miał – nie miał takich skręconych włosów, tylko układały mu się…
Trznadel: Pukle!
Watowa: Takie miał pukle, tak. I ja lubiłam, że on miał te włosy dłuższe. I był ślicznym dzieckiem. Dla Czermańskiego to był mały Proust, ale dla tych pań, po przyjrzeniu się – ty wiesz, że tutaj, jak przyjechałam do Francji, to mnie się wydawało, że po ulicy chodzą sami Żydzi, takie miałam uczucie. Jak widziałam tych Francuzów, to myślę sobie, słuchajcie, tu chodzą sami Żydzi! ((śmiech))
Trznadel: To jest po prostu typ merydionalny.
Watowa: Tak, ale u nas, jednak jak się ma ciemne oczy i ciemne włosy, i ma się te, te włosy takie, w takich lokach itd. Te mamusie zaczęły nam się przyglądać. I potem zaczęły się jakieś takie szepty, trochę jak w tym wagonie. Potem przyszły nauczycielki, dzieci do klasy itd. No, więc wszystkie mamusie sobie poszły, tylko jedna została – to znaczy ja. No i mówię: „Andrzejku, więc teraz idziesz do klasy". No, i ta go jeszcze popędza, że ona zaraz wejdzie, „idź". I on wszedł już tak ostatni, i drzwi się tak przymknęły, ktoś tam drzwi przymknął. Ale ja się zbliżyłam i przez otwór zaczęłam się patrzeć. I wyobraź sobie, że ta masa dzieci już wiedziała. Ja widzę taką scenę: że tłum tych maleńkich dzieci po sześć lat – idzie na niego! ((głośniej)). I on się cofa ku ścianie, a oni mówią: „Ty Żydziaku, wynoś się stąd". Więc oczywiście ja jak furia jakaś, wyobrażam sobie, wpadłam do klasy. Złapałam go za rękę. Powiedziałam: „Andrzejku, chodź. To są dzieci niedobre, niegrzeczne, nieprzyjemne". Zleciałam, już żadnej windy, zleciałam po tych schodach do szatni.

316:9196064376

Trznadel: ((chrząknięcie))
Watowa: Wzięłam jego ubranie i poleciałam do mojej matki, która mieszkała na Żurawiej – do moich rodziców. Jak to się wszystko skończyło? Rozumiesz? To tak, jak z tym jego, żeby go wychowywać w ateizmie, żeby on nic nie wiedział.
Trznadel: Tak!
Watowa: Że co my będziemy z nim robili? I wiesz, wtedy muszę ci powiedzieć, że pierwszy raz powiedziałam Aleksandrowi: „Żebyś wiedział, że Andrzej w Polsce nie zostanie". Przede wszystkim, jeżeli ja wiem, że była jakaś szkoła francuska, że jak tylko będzie możliwość umieszkania go, umieszczenia go w szkole francuskiej, to my go umieścimy w szkole francuskiej, a potem on wyjedzie do Francji. Bo wiesz, to są, to są dla rodziców, to są straszne rzeczy. Bo on może by się z tym uporał, on może by się z tym uporał, może by się bił potem z tymi chłopakami, może by... Ale dla mnie i dla Olka to było szalenie bolesne. I skończyło się na tym, że była taka pani, która się nazywała – zdaje się – Filozofówna, czy coś takiego. Zresztą z wyższym wykształceniem, która miała prywatną szkołę dla tak zwanych dzieci bananowych. Bo te dzieci nazywano dzieci bananowe. To były dzieci takich właśnie adwokatów, lekarzy, inżynierów żydowskich. I w rezultacie ten mój Andrzej poszedł do tej szkoły, do polskiej szkoły oczywiście, ale gdzie były – poszedł w gruncie rzeczy, był zamknięty już – nie zdając sobie z tego sprawy, bo ja mu nie mówiłam o tym, że on jest tylko pomiędzy tymi dziećmi żydowskimi. I tam się nauczył, wiesz, pisać, czytać. Zresztą te nauczycielki były doskonałe. Lepił i kroił – wiesz, co się robi w takich – różne roboty ręczne. Także on, rozumiesz, swoje pierwsze, rozumiesz, wejście w to społeczeństwo – on o tym na pewno zapominał, Andrzej, wiesz. Bo raczej ja, jak potem mu opowiadałam, jak tobie, ale on na pewno on jako dziecko – może on, to był jakiś incydent przykry, może rzeczywiście myślał, że to są takie niedobre dzieci, niegrzeczne, źle wychowane itd. Ponieważ on w ogóle nic nie wiedział o Żydach – masz najlepszy dowód z naszej rozmowy.
Trznadel: Tak, to co opowiadałaś ostatnim razem.
Watowa: No właśnie. No i potem, wiesz, już wybuchła wojna. Tak że już skończyło się z edukacją, że wszystkim ((śmiech)) i żeśmy zaczęli uciekać. Ale teraz, żeby wrócić, wiesz do.
Trznadel: Do Ałma–Aty. I dlaczego ten epizod właśnie, dlaczego ci się to wszystko skojarzyło z antysemityzmem?
Watowa: Dlaczego mi się to skojarzyło?

317:3422245724

Trznadel: Bo powiedziałaś, że wszędzie ten antysemityzm jest.
Watowa: Właśnie, wiesz, powiem ci, że to jest dla mnie wszystko bardzo przykre, dlatego, że ja nie znoszę na przykład tego opowiadania tutej: jak się znajdziesz między takimi takimi Żydami, którzy w ogóle nienawidzą rzeczywiście Polaków, i nienawidzą Polski, i uważają, że, że, że takiego antysemityzmu itd… I wiesz, że do tego stopnia, że uważam, że to jest do pewnego stopnia nawet wydaje mi się takim szkalowaniem. Dlatego, że jeżeli byli tacy ludzie, jak Kazia Żuławska, która w jakimś okresie przechowywała jedenastu Żydów u siebie, i jeżeli ja na to mówię: „Słuchajcie, gdybym ja, powiedzmy, byłą tak zwaną aryjką i miała przy sobie Aleksandra i Andrzeja i przyszedł do mnie jakiś Żyd, żeby się ukrywać – i ja wiedziałabym, że za to mogą mi rozstrzelać Aleksandra i Andrzeja, i mnie – to ja nie jestem taka pewna, czy ja bym otworzyła te drzwi i czy ja rzeczywiście ukrywałabym Żyda". Wiesz, to jest bardzo, bardzo zagadnienie, wiesz. Więc rozumiesz. W tym, co opowiadam, to że się tak powtarza, to jest jakieś takie dla mnie jakieś znaczące, bo okazuje się, że się to tak jakoś często, wiesz, na, na drodze swojej, wiesz, wpadało się na to. No, ale tam… Aha! Więc delegatura. Delegatura. Oczywiście stosunek tego delegata nie był taki najlepszy, no, ale na jego wytłumaczenie powiedzmy sobie, że on sobie o tym Aleksandrze wiedział, że to jest „żydokomuna".
Trznadel: Tak.
Watowa: Więc nawet zaangażowanie – dopiero jak, jak ambasador przysłał Aleksandrowi od razu 1000 rubli, to to o tyle go uratowało, że ten – w tej chwili zapomniałam jego nazwiska – zastanowił się i zaczął się z Aleksandrem liczyć, i przyjął go do tej delegatury. Także już on miał tam jakąś pensję i miał jakieś prawa. Ale muszę ci powiedzieć, że ta delegatura, wiesz, to znowu był taki – tak, jak ja ci mówiłam, że jak przyjechałam tutaj i pierwszy raz i pojechałam do „Kultury", to ta „Kultura" mi się wydawała kawałkiem ojczyzny. To był taki teren, to jest ten kawałek Polski, gdzie są Polacy. Takie miałam uczucie, wiesz, że jestem w Polsce i że tam niby wszystko powinno być takie proste, takie proste i zrozumiałe, i przyjazne itd. Więc w tej delegaturze działy się niedobre rzeczy. I znowu tutaj takie małe społeczeństwo, rozumiesz, się wytworzyło. Z taką Panią Jadwigą, bardzo ładną kobietą, którą bardzo tam ci mężczyźni adorowali. No, i zaczęły przychodzić dary amerykańskie, no i pojawiły się złote kubki, pojawiło się złoto, pojawiła się jakaś biżuteria dla pani Jadwigi. Lisowski tam czy jakiś inny grał na gitarze. No, i pamiętam, że ten delegat – ja mu kiedyś powiedziałam: „wie pan, ja umiem pisać

318:3096909151

na maszynie, może ja bym się mogła przydać". A on mówi: „Wie pani, jest taki tekst. Może by pani rano przyszła, to pani nam to przepisze". Bo ja jednak, wiesz, chciałam coś zarobić
Trznadel: Tak.
Watowa: My byliśmy tam w bardzo ciężkiej sytuacji. No, i przyszłam bardzo wcześnie z tego dalekiego, wiesz, na skraju tego miasta, gdzie mieszkaliśmy. I oni siedzieli przy śniadaniu i jakieś zupełnie fantastyczne śniadanie. Masła, sery, wędliny. No, w ogóle – wiesz, dla mnie to były rzeczy… a ja byłam po prostu głodna, wiesz. No, i oni, wiesz, posadzili mnie przy maszynie, nie zapytawszy się mnie czy ja piłam, czy ja jadłam, czy ja może bym chciała się czegoś napić. A to byli wszyscy ludzie na jakimś poziomie, z jakąś kulturą wychowani, więc normalnie. Ty wiesz jeszcze, jak jest w Polsce – ledwo przekroczysz dom, to od razu ci mówią, od razu – to, czego nie ma we Francji. Bo jak ja do mojej synowej przychodzę o takiej, kiedy się nie je, to jej do głowy nie wpadnie, żeby mi powiedzieć, a może ja bym chciała się czegoś napić. Bo to już... Bo już śniadanie się zjadło, kawę się wypiło. Więc to nie jest żadna pora jedzenia. Tam się przychodzi tylko tak: albo jest się zapraszanym na śniadanie, albo jest się zaproszonym na kawę, albo jest się zaproszonym na kolację. Ale oczywiście jak Andrzej jest, to Andrzej mi od razu mówi: „Mama, czy ty nie jesteś głodna, może chcesz kawałek sera, (((rozbawiona))) może byś się chciała czegoś napić". Ale to Andrzej, nie ona.
Trznadel: No, bo ona jest zupełnie inaczej wychowana.
Watowa: Tak. A ona, która ma ogromną taką *générosité*[429], i która mi nie żałuje, i która – jakbym jej powiedziała – to ona mi to da, ale jej to do głowy nie wpadnie. Ale tym ludziom – to byli Polacy i rozumiesz, oni... No, i tutaj znowu był ten książę Sapieha, który zresztą – jak Aleksander pisze – tam dał mu swój koc itd. Który on niestety, tam się wszy jakieś do tego koca dostały. I jak przyszedł – co to Aleksander pisze, że napisał nekrolog o takim redaktorze, tego tygodnika. Zaraz… no, zapomniałam nazwiska. On przyszedł z lagru w strasznym stanie! Rzeczywiście łazarz, w ranach, rozumiesz, itd. więc znowu już oni byli tą arystokracją, oni byli tymi, którzy mieli pieniądze, którzy dobrze jedli itd. I starali się, wiesz, jakoś, żeby on tu nie usiadł, tu nie tego, tu nie dotknął, rozumiesz, żeby jak najprędzej go się pozbyć. I wtedy właśnie Aleksander jego odwoził, co on opisuje, i z Woszczykiem, wiesz, kiedy go odwozi do szpitala. On ma tyfus i on już nie wraca, rozumiesz. Z takim doktorem Polakiem, który się nazywał Polak odwieźli go właśnie. I kiedy potem napisał nekrolog, o który go dręczyli zresztą. Bo tam o

[429] Fr. *générosité* - hojność.

319:6147408136

jakiejś kałmuckiej mordzie napisał, czy coś takiego. Więc rozumiesz, ((z emfazą)) i tam były rzeczy niestety, w porównaniu z przyjęciem Rosjan – nie zapominaj, że to nie byli Rosjanie sowieccy! Bo i Paustowski, i Szkłowski, i ci wszyscy… i Zoszczenko, który wtedy zresztą był już bardzo w dużym niebezpieczeństwie, to byli ci prawdziwi Rosjanie, to była ta prawdziwa kultura i inteligencja rosyjska. I wiesz, ten ogromny jakiś, taka ludzka dobroć, jakaś! Wiesz, pamiętam, jak poszłam z Andrzejem do lekarza i wracałam, i Szkłowski wiedział, że ja poszła do lekarza. I on czyhał, dosłownie, w tym hotelu na korytarzu! Ja wróciłam i on mnie zapytał, co lekarz powiedział. I lekarz powiedział, żebym ja, oczywiście go dobrze odżywiała, dlatego że te ślady, tego wszystkiego. Że to mogło, tam wiesz, wybuchnąć. I Szkłowski poleciał do swojego pokoju. Powiedział: „*Padażdzicie, padażdzicie wy tut*”[430] I przyniósł mi, taki wiesz, zszyty woreczek ryżu, w którym było może kilo czy dwa kilo ryżu. I to był, rozumiesz, *pajok* jego na cały miesiąc. On się miał tym żywić. I on mi to daje. (((z przejęciem))) Ja mówię: – Ale ja nie mogę tego od pana wziąć, to jest pana *pajok*. I ten, on, nie wiem, on – mam wrażenie, że Szkłowski, bo widziałam go płaczącego kilka razy – ale od razu, wiesz, oczy pełne łez, wiesz, i błaga mnie, żebym ja to wzięła i żebym ja ratowała swoje dziecko. Więc myśmy tam, wiesz, doznali, od tych Rosjan, rzeczy zupełnie niezwykłych. Takiej dobroci ogromnej! Jakiejś, wiesz, jak oni nas tam karmili, jak oni nas tam dokarmiali. I to wszystko było właściwie z uszczerbkiem dla siebie, dlatego, że oni mieli wszystko wyznaczone.

Trznadel: Czyli znowu dwie Rosje, tak jak Mickiewicz pamiętał. Dwie Rosje jak był, prawda? Jedna, która pod but brała, a druga, która – prawda – przyjaciele Rosjanie.

Watowa: Przyjaciele Rosjanie. Tak, i on miał jednak – no wtedy nie wiem, czy to wymagało tej samej odwagi, co teraz by wymagało, żeby ktoś napisał *Do przyjaciół Moskali*. Myślę, że teraz by się już nikt nie odważył już napisać. Chociaż na pewno w Rosji jeszcze ciągle jeszcze może są tacy ludzie, wiesz.

Trznadel: O, na pewno są.

Watowa: I myśmy takich ludzi widzieli, my tego, tej dobroci, wiesz, tego, co oni dla nas zrobili – my… tego zapomnieć nie można. A z drugiej strony ta szalona… ten egoizm, ta taka pazerność, wiesz. To, żeby, żeby, żeby jak najwięcej dla siebie itd. Potem to rozdawanie darów. Zresztą muszę ci powiedzieć, że nim Aleksander mnie wyciągnął z tej *czymkenckiej obłasti*, z tego posiołka, gdzie ja byłam, to tam zaczęły nadchodzić dary. Ale znowu, rozumiesz, Polacy zaczęli

[430] Ros. *Padażdzicie, padażdzicie wy tut* – zaczekajcie, zaczekajcie tu!

320:5959564288

się obdarowywać. Był wybrany ktoś, kto zaczął rozdawać. No, i mnie się dostał jakiś no, no, jakiś łaszek, jakiś szaliczek maleńki, za który w gruncie rzeczy ja nie mogłam niczego zrobić. I znowu z wiadomych powodów. Także wiesz, ten refren, niestety. Ale muszę ci powiedzieć, że to naprawdę dla mnie bardzo przykre.

Trznadel: Ja wiem, tylko, że ty nie powiedziałaś właściwie w czym to się objawiło właśnie w Ałma–Ata, ten pierwszy moment, kiedy tego doznałaś.

Watowa: Kiedy tego doznałam?

Trznadel: Bo to było *a propos*, ale.

Watowa: W Ałma–Acie, więc tak, oczywiście, że gdyby nie Kot – ambasador Kot – Aleksander nigdy by nie wszedł do tego.

Trznadel: Rozumiem.

Watowa: Dlatego, że stosunek do niego od razu był bardzo negatywny.

Trznadel: I to właśnie z tych dwóch powodów.

Watowa: Z tych dwóch: dlatego, że to była żydokomuna. *Tout court*[431]. I na tym koniec. To, że ten człowiek wyszedł z więzienia, że przecierpiał, że był… – rzeczywiście wyglądał jak starzec. Że, że w ogóle ważył tam, nie wiem, 42, cztery kilo itd. wiesz, to wszystko dla niech – to była ta etykietka, prawda. On przed wojną robił to i to, zachowywał się tak i tak, był redaktorem „Miesięcznika", komunistycznego pisma itd. Siedział już przed wojną, więc wiadomo, że z nim współpracować nie można. Tak że znowu ten ambasador, który o tyle uratował, że on wszedł, a potem NKWD przyznało takie wiesz… takie, takie jakieś, powiedzmy, że tam było kilkanaście osób – pracowało w tej delegaturze, a oni dali jakieś dziesięć takich przydziałów. Także postanowili od razu wszyscy, że te dziesięć przydziałów podzieli się na wszystkich. No, i tutaj taki obrazek właśnie z Rosji – i to trwa do tej pory, bo nic się nie zmieniło, i to co potem było, wiesz, u nas w Polsce, jak myśmy przyjechali. Mianowicie, jak pierwszy raz dostaliśmy ten przydział, no, i ja poszłam do tego sklepu za żółtymi firankami, właśnie. jakie były w Polsce, poszłam i wzięłam syna, który miał kilkanaście lat, naszej takiej *chaziajki*[432], u której zamieszkaliśmy. Ona się nazywała Kołmogorowa. I wyobraź sobie, pracowała w Związku Pisarzy Kazachstańskich. Jej mąż był od kilkunastu lat w lagrze, ona mieszkała ze swoją matką – czy z matką swojego męża, z taką *babuszką* bardzo już starą. No, i pamiętam, jak się do tego

[431] Fr. *Tout court* - Krótko mówiąc, po prostu.
[432] *Chaziajka* – gospodyni.

321:1127301079

domeczku wchodziło – Ałmata jest bardzo piękna. Jest cała wysadzona, wiesz, wysokimi topolami. Jest bardzo dużo głazów, takich obrośniętych, wiesz, mchem. Latem, na wiosnę i na jesieni, takim mchem zielonym. Zimą to jest oblodzone i zresztą tam Aleksander opisuje trochę tę Ałma–Atę. I to jakiś pułkownik polski, który tą Ałma–Atę – to też jest u Aleksandra – trzeba byłoby sprawdzić – on wysadził Ałma–Atę tymi topolami. I to był Polak. I już nie wiem w jaki sposób, przez kogoś z delegatury, kto tam mieszkał, kto to opuszczał – myśmy się tam dostali, na to mieszkanie. No, więc mieliśmy tam pokój. Ta *babuszka* była urocza, ta Kołmogorowa była kulturalna, miła, bardzo milcząca pani, bojąca się bardzo w ogóle z nami rozmawiać. No, i taki Jurij, śliczny młody chłopak. I ja powiedziałam: „Słuchaj, ja muszę odebrać – może tam będzie dość dużo tego jedzenia – więc czy byś ty nie poszedł i nie pomógł mi?". I myśmy poszli z takimi workami. No i słuchaj, tutaj, rozumiesz, w podwórzu jakiś lokal na parterze. I tam jest wszystko! (((z przejęciem))) Tam są torty, tam są czekolady, tam jest szampan, tam jest kawior, tam są jakieś te ich kiełbasy, ryby jakieś. Nie mówię o ryżu, o kaszach, o cukrze. ((głośniej)) Jest *wsio*[433].

Trznadel: A w sklepach było coś?

Watowa: I w tym czasie, kiedy ja zabierałam worek, rozumiesz, tego jedzenia, zupełnie, no, niesamowitego, wiesz, którego teraz byś nie mógł kupić w Polsce na przykład. Tylko tutaj musiałbyś iść może nawet do *Fouqueta*, bo tam był naprawdę, kawior.

Trznadel: ((porozumiewawczy śmiech))

Watowa: To w ciągu nocy stała kolejka nędznych, obdartych ludzi, który czekali caluteńką noc, żeby właśnie koło tego mieszkania, gdzie się te skarby, była taka, był taki sklepik, gdzie im wydawano zgniłe pomidory. Wiesz, takie pomidory co to już woda z nich cieknie. I oni mieli, rozumiesz, kupowali te zgniłe pomidory, żeby z nich sobie zrobić. Więc ja wtedy przynoszę do tych Kołmogorow te skarby. Przychodzi Aleksander, więc od razu wiedzieliśmy jaką część ze wszystkiego mamy dać do delegatury, dzieliliśmy to z taką – jeszcze żyjącą w Krakowie osobą – z Hanką Szczepańską, która pracowała w delegaturze, bo myśmy, każdy miał swojego, z kim dzielił. I to mi się wydawało, wiesz, takim bogactwem, to było tak dużo, że ja oczywiście od razu dałam tej *babuszce*, i potem, jak Kołmogorowa przyszła, że one tam zrobią i w ogóle – była jakaś cała taka wieczerza, wiesz, jakiś ogromny był ten… Tutaj weszłam, wiesz, pamiętam ten ganek, taki drewniany, bo to taki stary dom. Jakieś drewniane kolumienki i ten ganek, wiesz, był

[433] Wsio – wszystko.

322:2600684337

jakiś pochyły ze starości. I strasznie myśmy się ślizgali, bo jak trzeba było wejść po tym ganku zimą, to strasznie było ślisko. No, ale w domu było ciepło. I wiesz, ona czekała na tego swojego męża. Nabrała do niego zaufania i wyobraź sobie, że któregoś dnia ona dostała wiadomość, że jego wypuszczają z lagru. On siedział wtedy już kilkanaście lat. I ona mówi: „Proszę panią, on jest w drodze! Jurij – mówi – ojciec do nas idzie". Słuchaj, myśmy tam długo dość mieszkali. Oczywiście – przede wszystkim – jak ci wiadomo, z łagru nie można było wrócić na miejsce zamieszkania. Zawsze oni mieli pewien okres, nawet kilkuletni, że nie mieli prawa wrócić. A poza tym – tu znowu ci zrobię dygresję, że jak byłam w Ili, w tych, w tych rzeczywiście na takiej gliniastej, nieludzkiej ziemi, gdzie rosło tylko jedno drzewo, był taki dzień, kiedy z dala zauważyłam dwie kobiety, które szły. I te kobiety, tam z dala gdzieś – no, wiesz, to wszystko, wszystko jest daleko, ale powiedzmy, że od jakieś 100 czy 120 km od nas, okazało się, że tam był jakiś łagier – i te kobiety szły z łagru. To nie były stare kobiety, były jeszcze młode i zbliżyły się do tej naszej chałupki, do tej glinianki, w której żeśmy mieszkali. Jedna kobieta, wiesz, taka dość zahartowana, mocna, taka raczej męska. A druga bardzo taka jakaś, taka o bardzo delikatnej, wiesz, budowie itd. I ona, i stanęły, i ja mówię: „Co ja mogę dla nich zrobić, czy się chcą czegoś napić?" itd. I ta młoda powiedziała do mnie: „czy pani, czy ja mogę na chwilę bodaj położyć się na pani tej kojce", wiesz? Ja ją wpuściłam, ona się położyła na tym moim niby-łóżku i strasznie zaczęła płakać. Ale wiesz, jakiś spazmatyczny płacz. Dowiaduję się [przerwane nagranie] za moją robotę, a zapomniałam ci wtedy powiedzieć, że płacono nam 70 kopiejek miesięcznie

Trznadel: ((śmiech))

Watowa: A bochenek chleba kosztował – zdaje się – 100, no oczywiście jak szłam pieszo 33 km do Żarmy, to kosztował sto kilkadziesiąt rubli.

Trznadel: Rozumiem.

Watowa: Więc wyobrażasz sobie, że, że to była kara rzeczywiście fantastyczna.

Trznadel: Za dziesięć lat można było kupić bochenek chleba.

Watowa: Tak. Tak że tych 70 kopiejek przez trzy miesiące nie będą mi wypłacać, no, i jeżeli tego. Więc ta kobieta, ta o której mówię, że wydała mi się taką silną, powiedziała, że ona ma dwoje czy troje dzieci, które zostawiła z matką swoją. Że one były w jakimś kontakcie, bo jednak te listy tam – bardzo rzadko – ale kursują między tym łagrem, a tymi. Ona właśnie, one zostały skazane za opuszczenie – ale to miało specjalną u Rosjan ma nazwę, jak nie idzie się do

323:8536039530

pracy, jak się opuszcza pracę, jak się nie pracuje. Znaczy się – potem ona przyszła, ale po prostu dzieci były chore, ona nie poszła do pracy i za to – one wiesz. Teraz od pewnego czasu – to słowo mi uciekło.

Trznadel: Będąc na zesłaniu, prawda?

Watowa: Nie będąc, przed zesłaniem. Ona za to została zesłana, bo ona pracowała w jakiejś fabryce.

Trznadel: Ach tak!

Watowa: Te dzieci się rozchorowały i ona po prostu nie poszła do pracy, dlatego, że ona nie mogła, wtedy jeszcze tej matki przy niej nie było.

Trznadel: W normalnej sytuacji w pracy, w jakimś normalnym mieście.

Watowa: Tak, w normalnym. I ona nie mogła i wtedy to było na porządku. To zresztą setki, setki tysięcy ludzi siedziało za to. To ma specjalną nazwę, ja muszę sobie to przypomnieć. I za to, za nieprzyjście do pracy – tam pierwszy raz jak nie przyszedłeś. Nie było żadnego: choroba, nie choroba. Ty musisz się zjawiać. Jak nie, to ty jesteś wróg i ciebie wsadzają. To zresztą – czyś ty o tym nie wiedział?

Trznadel: Nie, o tym nie wiedziałem. [odgłosy z zewnątrz, bawiące się dziecko]

Watowa: No, a, to są rzeczy bardzo surowo karane. I wyobraź sobie, że ona mówi: „teraz my nie mamy prawa wrócić do naszych domów. My musimy, mamy pewien okres być gdzie indziej i dopiero po jakimś tam roku czy dwóch – tego już nie pamiętam – dopiero potem, po odbyciu tak jakby drugiej kary, dopiero możemy wrócić tam, gdzieśmy, prawda, dawniej mieszkały".

Trznadel: Rozumiem.

Watowa: Tylko nie wiem, czy sobie zdajesz sprawę, że ten drugi etap był jeszcze gorszy od pierwszego. Dlatego, że w gułagu one pracowały, one jednak dostawały *pajok*/

Trznadel: Tak.

Watowa: One jednak dostawały zupę. Natomiast tutaj…

Trznadel: Nic nie było zapewnione.

Watowa: W tym stepie, wyobraź sobie, co mogłam ja im dać? Albo co mógł im dać Kazak, który sobie robił te, te prażone ziarno albo od czasu do czasu zabił barana – to on tobie nie dał. Nie dał takiej kobiecie kawałka mięsa, dlatego że dla niego to był wielki skarb. I to byli ci ludzie, którzy po opuszczeniu łagru ginęli po drodze. [odgłosy miasta, samochodów, bawiące się dziecko]. ((z emfazą)) Bardzo rzadko ktoś wracał z lagru. Właśnie dlatego, że – przede wszystkim –

324:3621437013

łagierników bano się przyjmować, żeby nie posądzać, że ma się dla nich jakieś sympatie. Wiesz, to nie było to miłosierdzie za czasów carskich. Ty pamiętasz, jak chodzili ci, te, te właśnie *bradiagi* albo dawni, co z katorgi wracali, jak ich przyjmowano. Jak im dawano tę podściółkę, jak ich przechowywano. To znajdujemy prawie w całej literaturze dziewiętnastowiecznej. Było miłosierdzie, i była ta wiara, i było miłosierdzie, i wiadomo, że było przykazane, żeby w takim nieszczęściu nie opuszczać. Teraz tego nie ma i to jest karane. ((głośniej)) I ci ludzie się boją! Boją się! I to jest, rozumiesz, umieranie po drodze. I taki wypadek, ale już, bo one potem, rozumiesz, po odpoczynku, po wypiciu czegoś, po tym marnym jakimś, najmarniejszym poczęstunku, jaki ja tam mogłam tym kobietom dać, one poszły przed siebie do nikąd, poszły właściwie na śmierć.

Trznadel: Właściwie, dokąd? Jaki był cel, przynajmniej teoretycznie?

Watowa: Teoretycznie było – iść gdzieś, że może gdzieś znajdą pracę, że może gdzieś do jakiejś chałupy ich przygarną, że może… Ale to było wiadome – ona mówiła, ta kobieta, ta, ta niby siłaczka, że ona wie, że ich nigdzie nie przyjmą, że ich nigdzie, i że ona wie, że one są skazane.

Trznadel: Tak że w ten sposób obóz jawił się właściwie ostatnim etapem, bo po obozie – tak zwanej, to się nazywa w normalnych społeczeństwach – reintegracji do społeczeństwa to po prostu nie było przewidziane. Po prostu większość tych ludzi musiało zginąć.

Watowa: No, tak! I ja nie wiem czyś ty się nie spotkał z tym u Sołżenicyna. W tym, jak on opowiada – nie wolno było wrócić. Jak tyś mieszkał w Moskwie, a byłeś w łagrze, tyś nie miał prawa wrócić do Moskwy. Tyś musiał gdzieś siedzieć, na jakiejś, na jakiejś prowincji głuchej, jakaś tam Handra Umińska, czy jak tam mówi Tuwim.

Trznadel: Tak.

13_Fon.61.706 Strona A

Watowa: Przesiedzieć, przemęczyć się, przegłodować, przeżyć – nie wiadomo w jaki sposób nim – oczywiście stawiać się, pokazywać dowód itd. Żeś nie wyjechał na to miejsce, że właśnie nie wyjechałeś dopiero. I w tymże Ili – bo to było właśnie w Ili – gdzie nie wiem zresztą, czy wiesz o tym, że w Ili był m. in na zesłaniu Trocki. To było miejsce, gdzie przez pewien czas był Trocki. Otóż tam – i to ja opisałam w takiej nowelce pt. *Sznur* – zresztą sznur to mi dał jako tytuł. Tak, a – widzisz – nagrało się?

Trznadel: I teraz…

325:1100565872

Watowa: Ciekawe czy tu. A nie, jeszcze nie wyszliśmy. A w samej – żeby nie było, żeby się starł. [odtworzony kawałek nagrania: „bo to było właśnie w Ili – gdzie nie wiem zresztą, czy wiesz o tym, że w Ili był m. in na zesłaniu Trocki"]. Tak, no to się nagrało!

Trznadel: Teraz tak – czy druga strona jest nagrana taśmy?

Watowa: Nagrana.

Trznadel: To znaczy – tą taśmę trzeba by…

Watowa: Tak. Napisać w ogóle…

Trznadel: Skończyć.

Watowa: Ty wiesz, Jacku drogi, że trzeba było koniecznie mniej więcej odnotować te tematy, bo my – no, ale nie będziemy powracać do tego, przecież to się zapamiętało czy nie?

Trznadel: Może można na kartce napisać.

Watowa: Tak, ale lepiej może napisać tak.

Trznadel: Tak, od razu tu napisać.

Watowa: Nie, nie, tak. I teraz proszę ciebie, dam ci tę kupioną przeze mnie taśmę, która powinna być… O! Widzisz! Tutaj jest twoje i tu będzie można zapisać. A tutaj jest właśnie – mam wrażenie. Nie, to nie jest tu.

Trznadel: Dziesiąty, potem dwudziesty był któryś i teraz dzisiaj jest dwudziesty…

Watowa: A to mogę ci – jeżeli chcesz – to ci mogę zaraz powiedzieć…

Trznadel: Ja będę pamiętał. Trzydziesty – to to było dwudziestego trzeciego – druga rozmowa. A dzisiaj jest trzydziesty.

Watowa: A dzisiaj jest trzydziesty, *voila*.

Trznadel: To jest nawet coś na czym można nawet napisać ewentualnie.

Watowa: Aha. Świetnie. Tak. Więc tak, teraz to, to ja kładę do tego.

Trznadel: Czekaj, to moja taśma.

Watowa: Ja ci powiem [przerwane nagranie] nowelki, które napisałam – bo to właśnie łącznie z tymi kobietami, z losem tych kobiet.

Trznadel: Tak.

Watowa: Napisałam taką rzecz i właśnie Czapski powiedział: „Wiesz co, nazwij tę nowelkę sznur". A zaraz się dowiesz, dlaczego. Więc – tam się zjawił, kiedyś tam w mojej izbie, taki mężczyzna z dużą brodą, taki też właśnie taki typ *brodiagi* itd. który wyszedł z łagru. On nie

326:2849010355

mówił, że on wyszedł z łagru, ale nie był do, nie przynależał do niczego, rozumiesz? On nie był z tego posiołka…

Trznadel: Tak.

Watowa: Nie był z Ili. To były rzeczy już wiadome. I wiesz, jak zaczęłam z nim mówić w sposób, w jaki on mówił, ja wiedziałam, że to jest taki *bywszy czołowiek*, że to jest ktoś, że to nie jest zwykły człowiek, jakiś – prawda – prosty człowiek czy analfabeta. No, i tak krążył trochę koło tego domu. Aleksander – byliśmy razem – Aleksander był tam w jakimś tam czymś zatrudniony, przy jakimś, jakimś nie wiem, co on tam w tej chwili robił – nie będę mówić w tej chwili o tym. I on przyszedł do mnie, i powiedział – ja mam do pani prośbę – niech mi pani, czy pani ma kawałek sznura. No i ja mówię: „Mam, no, ale po co to panu?" – „Dlatego, że tutaj – wie pani –w okolicy biegnie taki pies bezpański, bezdomny i wprawdzie to skóra i kości, no, ale wie pani, jeszcze można by się było pożywić. „Więc ja go chcę złapać, ale wie pani, jak pani mi da sznur..., to tak: przede wszystkim będę panią jeszcze prosił – bo ja nie mam ani *czuguna"*[434] (wiesz, te garnki co się miało żelazne, które robiło się takie, wiesz, w ziemi, wykopywałam i tam były, podkładałam wiesz coś w ziemi tak przykucnięta tak coś gotowałam – bo nie było żadnej kuchni). „Jak pani by mi dała jeszcze taki *czugun*, to ja pani obiecuję, że ja się z panią podzielę". I rozumiesz, mimo tych lat spędzonych w tym, w stepach kazachstańskich, potem w tym Ili, gdzie było ((z emfazą)) bardzo ciężko, rozumiesz? Ja – teraz jak ci mówię i w momencie kiedy, dlaczego zaczęłam o tym pisać – dlatego, że ja nie myślałam o tym głodnym człowieku, rozumiesz? Że on doszedł już do takiego stanu, że on marzył o tym psie, i żeby, rozumiesz, tego psa zjeść. Tylko ja myślałam o tym psie. Ja sobie pomyślałam: „Jak to, złapać psa? Zabić psa? Zjeść psa?". Wydało mi się to nieludzkie, rozumiesz?

Trznadel: Tak.

Watowa: Ja powiedziałam: „Proszę pana, ale ja tego nie mogę zrobić… ja tego nie mogę". „Ale dlaczego pani tego nie może zrobić?" Ja mówię: „Wie pan, no jakoś nie mogę". I rozumiesz? Ja się nie mogłam przestawić, nawet wtedy, głodując.

Trznadel: Rozumiem.

Watowa: Będąc głodna.

Trznadel: Widać jeszcze nie był to taki głód, do którego on doszedł.

[434] Ros. *Czugun* - żelazny garnek.

327:1545589358

Watowa: Nie był! Ten głód. I rozumiesz, tak – ja miałam ten przydział, miałam ten chleb, który – rozumiesz – rzeczywiście jak się kruszka spadła na, na, na klepisko, to ją się podnosiło. Potem mogliśmy tam np. kupić – bo tam zakładano sklepiki, wiesz. Taka jakaś kobiecina, która kupiła dwanaście cukierków i sprzedawała nam te cukierki. Więc jak kupowałeś taki cukierek i dzieliło się na trzy części. I muszę ci powiedzieć, że Andrzej bardzo uważał, żeby było sprawiedliwie, bo on zauważył, ((śmiech)) że ja tam sobie biorę mniejszy. No, jak, słuchaj – jak miałam odrobinkę mąki i mogłam kupić u tej kobiety taki ząbek czosnku i to, to było! Ale jednak co dzień żeśmy zjadali. Aleksander tam – zrobili go takim dozorcą na takim składzie, ((śmiech)), wiesz? Nie – w jakiejś piekarni, gdzie właśnie ten chleb wypiekano, no, więc oczywiście on tak za pazuchą to miał zawsze, wiesz, takie – wiesz co, jak chleb wyjmuje się, a to nagle to kawałeczek odleci skórki…

Trznadel: Tak.

Watowa: No, i pełno tych miał – taki woreczek miał, że zbierał to wszystko i nam przynosił. Ale rozumiesz, to znaczy się, że ja jeszcze tego głodu nie… do czego można. I wyobraź sobie, że ja jemu odmówiłam tego sznura, nie mogłam. Zresztą, trudno mi tak teraz o tym mówić, nawet mimo to, że ta nowelka nie na pewno nie jest żadnym dziełem, wiesz, literackim, ale może ci któregoś dnia ją dam, żebyś to przeczytał.

Trznadel: tak.

Watowa: Wprawdzie Kosko posunął się do tego, że wiesz… Kosko, że powinnam pisać i tak dalej, i to jest w ogóle. Wiesz, jak Kosko od razu. I ja mu tego sznura nie dałam, wiesz. Ta myśl, że on do mnie przyjdzie z zabitym psem, że tutaj w tym *czugunie*, że tutaj odbywa się, rozumiesz, jakaś zbrodnia. A tu teraz tak widzę, wiesz, gdzieś pokrajali na kawałki kobietę i ugotowali, rozumiesz, w garnku. I którego dnia, po pewnym czasie, stoję przed ta chałupą, czekam na Aleksandra i z dala widzę w tym – bo wiesz, tam był taki, był grunt gliniasty, więc straszliwy pył. W tym okropnym takim słońcu i pyle ktoś idzie na czworakach, tak się zbliża do mnie. I zbliżył się, przystanął na chwilę i powiedział do mnie: „To już moja ostatnia droga". I to był ten człowiek, który na czworakach szedł do tego, wiesz, szpitala – powiedzmy, wielkie słowo to był, wiesz, jakiś tam okropny barak, łóżka jakieś, brud itd. Gdzie zresztą Aleksander leżał chory na tyfus i umierający. I wiesz, że ja zupełnie jak zahipnotyzowana jakaś, w tym poczuciu jakiejś odpowiedzialności, wiesz, podświadomie odprowadzałam go tam. Szłam tuż koło niego. I on tak tylko jeszcze raz powiedział: „To już moja ostatnia droga". I wiesz, on mi

328:1992093031

się wydał nagle jakiś piękny, jakiś niezwykły, jakiś taki ludzki, jakiś! Wiesz, że ja ci powiem, że jak ja o nim mówię, to ja się prawie czuję, jak gdybym go kochała w tej chwili. Odprowadziłam go tam – nie było dla niego miejsca na żadnej, wiesz, tam tak zwanej sali. Nie było dla niego łóżka i rzucono go, wiesz, na jakąś tam podściółkę, w otwartej takiej komórce, bez drzwi. Zresztą to było słońce, było bardzo gorąco. Rzucono go na to. I on, rozumiesz, tam umierał. I to był właśnie taki człowiek, wypuszczony z łagru, który o nic nie mógł się zaczepić, który może gdzieś po drodze zjadł, gdzieś jakąś ciężką pracą zarobił, ale potem już coraz miał mniej siły i odporności. I, rozumiesz, i ten pies to była jeszcze jego ostatnia nadzieja, że on ostatni raz w życiu zje. I słuchaj, taki tytuł *Na nieludzkiej ziemi* – to ta ziemia rzeczywiście jest nieludzka.
Trznadel: Tak, bo jednocześnie władza patrzyła na to bez zmrużenia oka.
Watowa: Tak.
Trznadel: Na tych ludzi.
Watowa: Ona ich, ona ich skazywała na to.
Trznadel: Tak.
Watowa: Nie to, że ty przyglądasz się. Ty skazujesz tego człowieka, bo ty wiesz, jak będzie. To tak jak ten, ten, ten od łagru, co budował te łagry i tak się przeraził, wiesz, tymi łagrami – ja ci opowiadałam, w tych Chinach. To już opowiadałam o (Rikorze).
Trznadel: Nie, nie, nie.
Watowa: Nie opowiadałam? O, to chyba ci opowiadałam. Mój boże, to cię zainteresuje!
Trznadel: Nie. To powtórz, bo to jest…
Watowa: Tak, to ci opowiem. Więc, rozumiesz, tak że… to jest właśnie, to jest. Ale czekaj… może na sekundę zamkniesz, żebym ja się tutaj skupiła. Albo myślisz, że co? Że mogę przejść?
Trznadel: Tak, bo teraz jesteś przy temacie łagrów. Bo my musimy wrócić jeszcze do tego momentu, od którego to zaczęłaś. Że mąż tej kobiety, gdzie wyście mieszkali miał wrócić z łagru.
Watowa: Ach tak!
Trznadel: I wtedy zrobiłaś taki obszerny.
Watowa: On miał…
Trznadel: Ale to potem do tego wrócisz, a teraz możesz mówić o tym.
Watowa: Ja wrócę, ja wrócę. Ja ci powiem. Ponieważ tak widzę teraz tą Kołmogorową. I wyobraź sobie, że taki dziwny przypadek zdarzył, że w jakimś piśmie, które nam się do rąk

329:7071808631

dostało, w jakimś rosyjskim piśmie – co bardzo rzadko można mieć – już nie wiem w jakich okolicznościach przeczytaliśmy, że właśnie Jurij – że to właśnie jego imię – Jurij Kołmogorow, zdał z jakimś wielkim odznaczeniem egzamin dyplom dostał na inżyniera. Otóż, ta kobieta – widziałam czekanie tej kobiety i wiesz, przygasanie nadziei. Jak po miesiącu, po dwóch, wiesz, jak ona stała w oknie, jak ona wyglądała. Jak ona go sobie wyobrażała, gdzieś tam w jakichś olbrzymich przestrzeniach tego kraju. Bo to są, to jest – słuchaj, to jest niesamowity kraj.
Trznadel: No tak, zależy skąd, dokąd się idzie.
Watowa: Słuchaj, jak myśmy jechali z Ałma Aty, po amnestii już, jak pozwolili nam wrócić do kraju – pojechaliśmy do Moskwy, to było 5000 km i tam jedziesz przez przestrzenie, ale jedziesz przez 12 h, gdzie nie widzisz w ogóle jednego człowieka. I potem, rozumiesz, okazuje się, że nagle widzisz jakąś grupkę ludzi, bo w tym miejscu tam będzie taki właśnie błyskawiczny postój, i że tu są jacyś już Rosjanie przy oknie, którzy mają worek soli, i oni wyrzucają tym ludziom ten worek soli, a ci ludzie im wrzucają worek z rybami.
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: I to się w ten sposób, rozumiesz…także na tej przestrzeni jest sól, na tym gruncie jest sól, którą, rozumiesz, tego. Ale w ogóle tam mieszkać nie można. To są niesamowite. To są przestrzenie przerażające. Wiesz, to jakieś, nie wiem, tak sobie można może piekło wyobrazić, że człowiek tak chodzi po tym piekle i szuka ((śmiech)) jakichś tego.
Trznadel: Olbrzymie terytorium.
Watowa: Tak że do końca i potem, jakeśmy byli już – nie pozwolili nam mieszkać w Ałma–Acie, po zamknięciu tego, delegatury, po aresztowaniu zresztą delegata i kilku członków. Potem był tam taki Wolski, nie wiem czy tobie coś to nazwisko mówi, przed wojną on grywał na pianinie, w Polonii – znaczy, przychodził grał piosenki itd. Taki, wiesz, bardzo złączony z bohemą polską, z literatami itd. I on tam w tej delegaturze potem – jak tam zaaresztowano delegata, to on zastępował delegata, a potem gdzieś wyjechał za granicę. Więc, rozumiesz, jak ja przyjechałam, jak Aleksander siedział już za odmowę paszportu, jakeśmy z tego Ili, ja przyjechałam do niego do więzienia i miałam dużo czasu, bo wiedziałam, że mam oznaczoną taką porę, że o tej porze… I zaczęłam chodzić po tej – cudownej zresztą – Ałma–Acie i weszłam na tą naszą ulicę, do tej Kołmogorowej. I tam wiesz, tą ulicą biegnie taki strumień i leżą te olbrzymie głazy omszone i właśnie te wspaniałe topole. I zresztą, te głazy, rozumiesz, z czego słynęła Ałma–Ata – z tych *grazowie patoki*, wiesz, że z tych gór zaczynała spływać taka masa,

330:5530249447

wiesz, tego. I razem z tego obrywały się jakieś olbrzymie głazy. I to były, wiesz, te głazy olbrzymie. I tam podeszłam, wiesz, do tego domu, do Kołmogorowej. Już tej *babuszki* nie było i tam dowiedziałam się, że on nigdy nie wrócił.

Trznadel: Nigdy.

Watowa: Nigdy!

Trznadel: Czyli zginął po drodze?

Watowa: Czyli zginął po drodze. Tak. Jacku, ale widzisz, tyś powiedział, żebym ci opowiedziała… o czym ja miałam mówić, już zapomniałam?

Trznadel: To teraz, to ten cały temat łagrowy, który zaczęłaś, z tym jego powrotem, który się nigdy nie dokonał. Jeszcze coś mówiłaś o Chinach.

Watowa: O Chinach. Słuchaj, tak jestem pewna, że ci to mówiłam. To było proszę ciebie, przed naszym wyjazdem do Berkeley. Byliśmy w Messuguiere – la Messuguiere to jest ten dom niby dla intelektualistów, założony przez taką panią szalenie bogatą panią z Luksemburga, Madame Meyrisch, która była przyjaciółką Andre Gide'a, wiesz, która o nim pisała.

Trznadel: Na południu to jest?

Watowa: Na południu. To jest mniej więcej kilka kilometrów od Grasse, tylko wyżej. No, to jest rzeczywiście, no, jedno z najcudowniejszych miejsc jakie w życiu widziałam. I tam zresztą był zresztą i Miłosz, i Kot, masę naszych przyjaciół to zna. I ta pani Meirisch tam sobie wybudowała dom. Tam, rozumiesz, są, no, dziesiątki, dziesiątki tych kilometrów, hektarów, cudowny pejzaż, oliwki, nic tam nie było. Góry, głazy właśnie, takie, które wydaje się, że spadły jakieś meoryty czy coś. To się nie mówi meoryty. Takie olbrzymie głazy, co spadają…

Trznadel: Z nieba?

Watowa: Z nieba.

Trznadel: Meteoryty. ((śmiech))

Watowa: Meteoryty o takich dziwnych jakichś, to zresztą Aleksander tam napisał ten poemat o kamieniach. To właśnie stamtąd. I w ogóle tam sporo, wiesz, napisał. Więc był cudowny dom. I rzeczywiście cudowny pejzaż, cudowny. Cudowny! Ty wiesz, że Janek Kott był chory, w Warszawie w pewnej chwili obawiano się, że to jest rak płuc i że jego…

Trznadel: To gruźlica się okazała.

Watowa: Tak. Jemu usunięto jedno płuco. On ze swoją żoną, w tym czasie jak myśmy byli w La Messuguière, on był w tym, w tym, w Vence. Potem żona jego musiała wracać i on do nas

331:3622040127

napisał, że on do nas napisał, że on by chciał do tego La Messuguière przyjechać, żeby dalszy ciąg tej, wiesz, rekonwalescencji. Więc myśmy się tam zakrzątnęli, wiesz, koło tego, bo tam trzeba mieć takich dwóch wprowadzających. Bo to nie jest pensjonat, to jest dla ludzi, wiesz, trzeba mieć dwóch wprowadzających. No, i tam w tym czasie, powiedzmy, był taki Marcel Arlaund. Jest taki pisarz mało znany, chociaż napisał ze czterdzieści książek, z Akademii François, wiesz, była żona Malraux, byli – bo ja wiem – tacy różni ludzie. Pisarze, nie pisarze itd. A przyjeżdżał tam, bo to już było wszystkim wiadome – ale jego nazwisko na pewno jak zwykle – ten wielki poeta francuski – Siper… Sipervei – nie. Si…

Trznadel: Supervielle. Jules Supervielle

Watowa: Jules Supervielle. Tam jest drzewo, w którym on siedział i gdzie pisał itd. No, i przyjeżdżał tam Andre Gide. A potem Pani Mayrisch zrobiła tam takie – bardzo to ładnie jest zrobione – zrobiła z tego fundacje i są wiesz, tzw. cele. Ale to jest wszystko urocze, i wiesz, cele są wspaniale zrobione, bo są nieduże, a jest wszystko jest, czego ci potrzeba do życia, no, i ten cudowny widok z celi, wiesz, na oliwki.

Trznadel: Tak, to bardzo piękny kraj.

Watowa: Tak, cudowny.

Trznadel: Byłem, w Grasse byłem.

Watowa: Słuchaj, no ja cię już kiedyś namawiałam, żebyś ty pojechał, jak będziesz w Grasse, żebyś do tego Messuguière. To jest zamknięte teraz. Ale w każdym bądź razie zobaczysz, co tam się dzieje, co to za cudowny pejzaż.

Trznadel: To jest pejzaż…

Watowa: Słuchaj Wacek, Jacek, czy ty byś nie napił się czegoś?

Trznadel: To może za chwilę.

Watowa: Napij się! To cię tak jakoś pobudzi. Bo ja ciebie strasznie męczę, a może nawet i nudzę okropnie.

Trznadel: Nie, możemy jeszcze chwilę poczekać.

Watowa: Tak?

Trznadel: Albo jeżeli chcesz, to przerwijmy na chwilę.

Watowa: Żeby napić się mocniejszej herbaty.

Trznadel: Napić się po prostu herbaty.

Watowa: Dobrze.

332:1140363164

Trznadel: Tak, bo ja już troszkę.

Watowa: Tak, ja widzę, że ty jesteś troszkę…

Trznadel: Po tym winie.

Watowa: Tak, ja widzę. [po przerwie]

Trznadel: I już jest włączone.

Watowa: Tak, więc... to jest w prawdzie nie jest dalszy ciąg tego, co mówię, ale już opowiem ci o rzeczy bardzo dla mnie wtedy zupełnie niezwykłej, w której – brałam w tym udział – mianowicie mówiłam ci tak, mówiłam ci o tym Janku Kocie, o jego chorobie, no, i w końcu on przyjechał do Messuguière. Po jakichś kilku dniach jak tam był – zresztą w tym Messuguière wtedy przyjechała córka tej pani Mairisch, która już dawno nie żyła, pani Viénot, która zresztą była merem jakiegoś miasta i w ogóle zauważyłam, że wszyscy zresztą ci tak zwani intelektualiści, właśnie pisarze, nie pisarze, wszystko co przyjeżdżało, łącznie z tą byłą żoną Malraux, oczywiście wszystko to byli lewicowcy. Do tego stopnia, że kiedyś widziałam, że na początku bardzo się interesowali Aleksandrem, potem Aleksander zaczął opowiadać te wszystkie historie, potem jakoś zaczęli się dziwnie zachowywać, czyli bardzo byli z dużą rezerwą, no, i nareszcie któregoś – myśmy to oczywiście wszystko zauważyli – no, i któregoś dnia rano on spotkał taką panią, taką zresztą elegancką wdowę po jakimś tam deputowanym itd. I wręcz jej powiedział, że widzę, że jakoś jakaś jest taka dziwna koło nas tutaj atmosfera, czy macie nam coś do zarzucenia? Na co ona mówi: „No proszę pana, wiadoma rzecz, że wszyscy Polacy to są faszyści i antysemici".

Trznadel: (((odgłos zdziwienia i niezadowolenia)))

Watowa: Więc pan nam tu opowiada takie rzeczy o Rosji. No, my się temu wcale nie dziwimy, (((rozbawiona))) bo właśnie, tak jak mówiłam, ale… i nie wierzę.

Trznadel: Tak.

Watowa: On właśnie mówił o lagrach, o tym, o wszystkich zbrodniach. „No – mówi – wie pani, no dobrze, może już faszysta pani mówi, może rzeczywiście tacy faszyści ((śmiech)).

Trznadel: ((śmiech))

Watowa: ale z tym, z tym antysemityzmem to tak byłoby trochę trudno do nas zastosować.

Trznadel: Tak jest.

Watowa: To ona mówi: „No, ja jestem Żydem". – „No tak, ale pana żona nie jest Żydówką!". No, więc jak się dowiedziała, że ja jestem też Żydówką, no jednym słowem, wiesz, szalone było

333:6439892428

jej zdumienie. I widzisz, jak to wygląda. Od razu, rozumiesz, oni przyjmowali od Aleksandra, który raczej wzbudzał zaufanie i mówił to z takim jakimś przekonaniem głębokim, podawał fakty itd.

Trznadel: Tak.

Watowa: I po prostu dlatego, że mówił źle o tym całym systemie itd. to od razu przylepili mi „Polak to faszysta i antysemita" i sprawa zakończona. Więc któregoś dnia dzwoni do nas Vercors. Vercors, z którym żeśmy się przyjaźnili – zresztą to wszystko, jak ci kiedyś mówiłam, wszystko się rozpadło po wybraniu wolności, bo oni wszyscy uważali, że Aleksander się sprzedał, wobec tego za dolary.

Trznadel: Rozumiem.

Watowa: Tak. Więc znaliśmy Vercorsa, Blina, i masę takich różnych tych ludzi.

Trznadel: Przetłumaczyłem jedną książkę Vercorsa.

Watowa: Tak. No, i oni wszyscy to są właśnie ci komuniści mieszkający w, wiesz, taka moda była na te domy przerobione z młynów itd. Stare meble, obrazy i w ogóle, tak zwane życie bardzo... Więc dzwoni Vercors, że jest w Mantonie z żoną i z siostrą swojej żony i że bardzo by chciał nas zobaczyć. No, więc bardzo blisko to wszystko. On mówi: „no to wie pan, może by pan przyjechał do nas na śniadanie, do Messuguière. Tu jest bardzo pięknie". I umówiliśmy się następnego dnia. Siedzieliśmy razem z Kottem, z Jankiem Kottem. Więc Jan Kott mówi, no słuchajcie, no to będziemy razem. I ja wtedy mówię do pani Viénot, która nie zawsze tam była, wyjeżdżała, bo była jednak tym merem. Ja mówię: „Proszę panią, jest taka sytuacja, że właściwie Vercorsowie mają tu przyjechać" – a Jan Kott był u szczytu swojej sławy, bo wtedy, wiesz, przetłumaczyli jego *Shakespeare notre contemporain. Więc, no i jej się oczy tam. „Czy nie można byłoby zrobić nam stołu po prostu nie w tej ogólnej jadalni, gdzie jest bardzo jednak ludzi, szum, stolik jeden obok drugiego, tylko żebyśmy zjedli w bibliotece". Tam była taka – salon–biblioteka bardzo piękna. No, więc ona mówi: „Ależ oczywiście, ale mam do Pani prośbę, żeby Pani mnie zaprosiła". Wiesz, mówi ona ta właścicielka. No, a ja tyle o niej wiedziałam, że ona jest, prawda, matką tej pani, córką pani Meyrisch, bardzo zamożną kobietą, ale że jest straszliwa komunistka. No, i jesteśmy. I stało się tak – nie wiem, jaki to był okres, może ty sobie przypomnisz, kiedy Janek Kott był w Chinach. On wyjechał do Chin.*

Trznadel: Tak, nie pamiętam dokładnie, ale wiem, że coś takiego było.

Watowa: On był w Chinach.

334:4357985659

Trznadel: Oni jeździli – Wyka raz był w Chinach też.
Watowa: Tak, on był w Chinach. I wyobraź sobie, przed wyjazdem do Messuguière, dosłownie dwa, trzy dni przed wyjazdem zaprosił nas Vercors, który wrócił z Chin. Więc on był oczywiście ubrany w taki Mao Tse–Tung, ona miała też chińskie ubranko, filiżanki były chińskie, herbata była chińska, sandały były chińskie, no, i jednym słowem – wszystko było po chińsku. I wiesz, z całą naiwnością, wiesz, bo przecież my wiemy, że oni wszystko kupują. Rosjanie kupują ludzi. My wiemy czym znaczy podarunek, jak ciebie zaczynają obdarowywać. On mówi tak Olkowi, mówi: „Wie pan, co za naród! Co za ludzie! Pojechaliśmy tam z żoną, mieliśmy dwie walizeczki – przyjechaliśmy z sześcioma kuframi". Mówię ci, jakieś, jakieś niesamowite historie. Więc wie pan. Wiesz – jak on powiedział te sześć kufrów, to ja i Olek od razu wiedziałam, że on będzie opowiadał cuda, bo – i zresztą on widział tylko cuda, bo on chciał zobaczyć tylko cuda. Otóż, na tym śniadaniu... okazało się, że jak Janek przyjechał to i on wspomniał o Chinach, że on właśnie, że… Ja mówię, wiesz, to będzie ciekawe jak, dowiedziałam się, że Vercors ma przyjechać, ja mówię: „Ciekawe, że to wypada w tym samym okresie jak tyś był w Chinach, co Vercors". Więc jakeśmy siadali to sprowokowaliśmy – to znaczy się zapytaliśmy, żeby tutaj Vercors nam tutaj opowiedział o Chinach, jak to było w tych Chinach. No, i tu Pani Viénot z błyszczącymi oczami – przede wszystkim była pod wrażeniem tego Vercorsa i tego, bo on niby taki lewicowiec itd. i wielki pisarz! I on zaczyna. Słuchaj – nic, no jeden raj, jedna zabawa, jeden kawior, w ogóle bajadery i nie wiem, kto tam tańczy ((śmiech)) – gejsze, tego. Nic innego nie widział, rozumiesz? Był tam – nie wiem – 10 dni? Dwa tygodnie? To było jedno wielkie święto, gdzie cały naród jest szczęśliwy, cały nardów śpiewa, to jest jedno wielkie szczęście!
Trznadel: Tak, to jeszcze Ważyk jak był w Chinach to napisał potem – pewnie tak samo mu pokazywali – taki poemat pt. *Widziałem krainę środka*.
Watowa: No, i co, i taki…
Trznadel: I też raczej. To się kończy: „O ludzie chińskim, zdobyłeś miskę ryżu i rośniesz w potęgę".
Watowa: ((śmiech)) Świetne, świetne! Zdobyłeś łyżkę ryżu…
Trznadel: Miskę.
Watowa: Zdobyłeś miskę ryżu i rośniesz w potęgę. No, ja mówię, czy tam Aleksander mówi: „No, Janek, teraz ty opowiadaj o swoich Chinach". No, i tu się rzeczy zaczynają, rzeczy potworne. Otóż nasz Janeczek – Ty wiesz jaki jest Janek – on tam od razu się poznał z jakimś –

335:3757724224

okazuje się, on go nie szukał, ale wiesz, w tych hotelach, zajechał do dobrego hotelu, tam był enkawudzista, z którym on się napił wódki, poszli sobie na dziewczynki itd. Jednym słowem – brat-dusza, wiesz jak to z Rosjanami, od razu się pocałowali w usta ((śmiech)). No, i, ten mówi: „Wie pan po co mnie tutaj sprowadzili. Ja jestem specjalistą od lagrów". – A może ja ci to opowiadałam?

Trznadel: Nie, nie opowiadałaś!

Watowa: – „Ja jestem specjalistą do łagrów. Ja na terenie Rosji wybudowałem już niesłychaną ilość lagrów. To jest – mówi – jego *metier*[435]"– rozumiesz?

Trznadel: Rozumiem.

Watowa: On to świetnie organizuje, on to rzeczywiście, wiesz, no to jest spec. I tego speca odnalazł.

Trznadel: A jeżeli w Rosji, to i w skali światowej. ((śmiech))

Watowa: Tak. Więc teraz Chińczycy – a to było jeszcze, wiesz, prawdopodobnie, kiedy nie było tego zerwania. Co do roku, to ty jesteś od tego, nie ja. Bo jego Chińczycy sprowadzili, żeby on im te łagry tam budował. I tutaj, proszę ciebie, on, ten człowiek, który – rozumiesz – był specem od lagrów, który widział, który przychodził, który sprawdzał, którzy się przyglądał – ten człowiek powiedział: „Wie pan, to jest coś potwornego. Ja, który mam taką odporność, ja który już tyle widziałem. To czym jest łagier chiński, to nasze łagry to są sanatoria". Mówi: „Wie pan, w gruncie rzeczy ja tam już nie widziałem normalnych ludzi".

14_Fon.61.706 Strona B

Watowa: „Wie pan co, ja panu coś pokaże". *Dawaj*, proszę ciebie. Wsiadają w auto, wywozi go o jakieś tam 15 kilometrów. I mówi: „Pan zobaczy, tutaj budują most". I Janek widzi: stoi, wiesz, może – nie wiem, nie chcę przesadzać, ale nie wiem teraz dokładnie – czy to był kilometr, czy dwa, czy trzy kilometry. Chińczyków – jeden za drugim.

Trznadel: Tak.

Watowa: Szkielety. Automaty. Który jednakowym ruchem, tak jeden drugiemu podaje cegłę, czy podaje wiesz, jak to się podaje w Chinach w tych – widziałam w Hiszpanii, w takich maleńkich noszą koszyczkach, przenoszą ziemię, wiesz.

Trznadel: Tak.

[435] Fr. *metier* - praca, profesja, specjalizacja.

336:7806980304

Watowa: Też tak pracują. Automatycznie. I on powiedział, ten enkawudzista: „Niech pan spojrzy w ich oczy. To już nie są ludzie. To są obłąkane manekiny". I, wiesz, Janek mówił, że takiego rzeczywiście koszmaru, jak on sam widział, jak, jak wyglądali, wiesz. I wiesz, ta, ta, proszę ciebie, szkieletowość tych postaci, automatyzm tych ruchów, te znieruchomiałe już muskuły, wiesz, te obłąkane oczy, w jakimś takim… i strachem, i takim – tępotą pewną już. No, i to co on opowiadał właśnie o tym, że on, na nim zrobiło wrażenie – te, te łagry właśnie chińskie. Że tam są tak straszne rzeczy, że tam torturują, że w ogóle, że oni są zagłodzeni. To są w ogóle głodomory. To są żywe trupy, to są obłąkani. I to się powtarzało, że to są ludzie, których doprowadzają do obłędu. Tam nie wsadzają do psychuszek, rozumiesz?
Trznadel: Tak.
Watowa: Tam doprowadzają do obłędu. Więc siedzi pani Viénot, która powiedziała kiedyś tak: „No tam do mnie ma przyjechać…" – bo de Gaulle, wiesz, to było w czasie, kiedy jeszcze był de Gaulle jak myśmy byli w Messuguière i ona powiedziała: „No, podobno de Gaulle tam objeżdża trochę kraj. No, jak on tam do mnie przyjedzie, to ja już go na swój sposób". Że ona niby jemu kilka słów powie. Rozumiesz? *Mais c'etait impossible*[436]! Ale jak to może być. Przecież pan Vercors zupełnie co innego mówił, pan co innego mówi.
Trznadel: ((śmiech))
Watowa: „Więc gdzie jest prawda? Gdzie jest prawda". No, więc wtedy Aleksander mówi: – „No to może ja pani na to pytanie, gdzie ta prawda jest odpowiem". No, i tutaj on ci zrobił taki pomości między nimi. ((śmiech)) Oczywiście oszczędzając tego Vercorsa, wiesz, bo przecież nie powie, że jest idiota, że został kupiony za sześć walizek, że go wsadzili do dobrego hotelu i, że w ogóle mu nic nie pokazali. Bo przecież są ludzie, którzy przyjeżdżają do Polski. I tak – hotel, nie wiem, nazywa – zdaje się – Viktoria. Tam kosztuje – zdaje się – 170 dolarów dziennie.
Trznadel: Tak.
Watowa: Proszę ciebie, jedzą bardzo dobrze. Mój taki, wiesz, bratanicy Olka mąż powiedział: „Wiesz, że ja tyle luksusowych aut na takim małym odcinku – gdzieś to było na Kruczej czy gdzieś – nie widziałem". A oni mieszkają w Brukseli.
Trznadel: Tam też jest hotel dla cudzoziemców.
Watowa: Gdzie?
Trznadel: Na Kruczej.

[436] Fr. *Mais c'etait impossible* - Ależ to niemożliwe!

337:1305090315

Watowa: Na Kruczej. A on mówi: „Słuchaj, patrz” – to ja się nie znam na autach. A on mówi: „Patrz to jest takie, to jest Mercedes, to jest to… Skąd oni mają ci Polacy takie auta”. Mnie pyta? Ja nie wiem, ja się w ogóle… Mówi: „Słuchaj, ty nie masz pojęcia ile tu jest luksusowych aut”. No, więc Aleksander powiedział, co wiedział. Powiedział wtedy właśnie, co on widział w Rosji, jak jest w więzieniach rosyjskich, jak się żyje w Rosji, jak jest nieszczęśliwy ten naród itd. No, i nasza ta pani Viénot była zupełnie, wiesz, ((śmiech)) w stanie zupełnej nieprzytomności.
Trznadel: Załamana… To to jest wyobrażenie komunistów. To ja mogę ci taką rzecz powiedzieć, takie moje doświadczenie. Kiedyś mnie w Warszawie odwiedził – rok 71, 72 to było… przyjechała taka moja studentka – ona już skończyła – z człowiekiem, który tutaj, komunista, była reżyserem w którymś z teatrów – tych de Théâtre des Béliers parisiens. Komunistyczny. Jego zaproszono do Polski na staż. Komunistę z Francji do Polski na staż. Przyszedł do mojego mieszkania. Stanął. Wieczór, neony. Tu domy, centrum. Mówi: „Ach, no widzi pan. Mieszka pan w centrum wielkiego miasta”. – Ja ich tam podwiozłem samochodem – „ma pan samochód”. Na to ta moja znajoma francuska się tak uśmiecha ironicznie, ale mówi – „Samochód to on nie w Polsce kupił, tylko ponieważ był lektorem w Paryżu, to on mógł sobie kupić samochód”. – „No, ale przecież dobrze zarabiacie” itd. On chciał, żeby zaprosić do jakiegoś lokalu, by poszedł. No, to sobie pomyślałem – no trudno, to ja ich zaproszę. Zaprosiłem ich na Stare Miasto. Właściwie to on się wprosił.
Watowa: Tak.
Trznadel: Kiedy przychodzi do rachunku, to on nawet nie myśli, żeby zapłacić, prawda. Więc ja miałem wtedy bardzo mało pieniędzy. Zapłaciłem te 500 zł za tę skromną kolację. 500 to skromna kolacja.
Watowa: 500 to skromna?
Trznadel: No, i on mówi: „Wy tu tak macie dobrze” itd. No przecież, mówi: „A ja – mówi – a ja wiem, że wy macie jeszcze pewne problemy, to ja nie biorę w dewizach tego, co tu mi za ten staż mieli Polacy płacić na wymianę, tylko w złotówkach”. A ja pytam, po tych jego wszystkich zachwytach nad Polską, że jest tak dobrze: „A ile Pan dostaje miesięcznie tutaj od rządu polskiego?”.
Watowa: Tak.

338:3302871744

Trznadel: Ten komunista francuski. Mówi: „No, jakieś dwadzieścia cztery tysiące miesięcznie". Co oznaczało w tamtym okresie mniej więcej pięć do sześciu moich pensji. Czyli to, co miał na miesiąc, to mi musiało starczyć na pół roku. No, i dziwić się zachwytom!
Watowa: Tak!
Trznadel: Po prostu on był kupiony, tak jak ty mówisz. To zresztą stary system kupowania. Rosjanie, jak ich odwiedzano w dwudziestoleciu to też wszyscy goście zagraniczni byli kupowani. I pokazywano im to, a nie to. To w dziewiętnastym wieku już było.
Watowa: Tak. Słuchaj, to jest, ja ci powiem, tam jest taka ciągłość, właściwie.
Trznadel: Jest.
Watowa: Bo rozumiesz – jak w tej Ałma–Acie była ta delegatura i z Londynu przyjechał taki – to to jest w moim wieku, jak ona się nazywa – w każdym bądź razie na jakieś rozmowy i potem on wyjeżdżał gdzieś. Jednym słowem – w tych sklepach tam nic nie było. Wiedzieli, że przyjechał taki Pan z Londynu, dyplomata, który miał jechać – nie wiem – do Chin czy gdzieś. Słuchaj, nagle wszystkie wystawy były – zupełnie taka, jak to się nazywa – patiom…
Trznadel: Potiomkinowska historia.
Watowa: Potiomkinowska historia. Słuchaj, wszędzie wyłożono jakieś, wiesz, jakieś… w niektórych były atrapy, nadzwyczajnie zrobione.
Trznadel: ((śmiech))
Watowa: Nadzwyczajnie. No mówię Ci – taka szynka, że tylko pokroić ją. A w niektórych prawdziwe. Ludzie się ustawiali tam, gdzie prawdziwe. Ustawiali się w kolejkach. I potem, jak… A! Jeszcze była śmieszna historia. On – to było lato – i on, wiesz, w jakimś takim kasku kolonialnym, coś taki, wiesz, był ubrany i miał krótkie szorty. Taka była moda. No, więc lecieli za nim i krzyczeli po rosyjsku: „Widzicie jak w tych krajach, tych kapitalistycznych, nawet nie stać ich na to, żeby mieć materiał na długie spodnie". ((śmiech))
Trznadel: ((śmiech))
Watowa: Ale to było – słuchaj, oni wiedzieli, że przyjeżdża tego dnia i że będzie. Akurat Aleksander jego oprowadzał i on to wszystko widział. A potem po chwili, jak tylko tam wsiadł w jakieś tam auto, w coś tego, i pojechał do delegatury, to wszystko, wszyscy ludzie z kolejek poszli. Nic nie było. Nic się nie sprzedawało i już.
Trznadel: Słuchaj, ty przeszłaś już trochę w tym co mówisz – tak trochę skoczyłaś od waszego spotkania do problemu paszportyzacji. To może ten cały epizod jeszcze opowiesz z

339:3314469421

paszportyzacją. Bo przecież to był i twój, i Aleksandra. I jak doszło do tego nowego aresztowania, prawda?
Watowa: Tak. Więc słuchaj.
Trznadel: I kiedy to się zaczęło. Bo wyście najpierw byli niejako pod pewną ochroną delegatury Rządu, prawda, Londyńskiego.
Watowa: Już wtedy nie było delegatury.
Trznadel: Wtedy już nie było. No właśnie.
Watowa: Delegatura była rozpędzona. W Kujbyszewie już nikogo nie było. Już wszystko było, wiesz…
Trznadel: Już było po zerwaniu?
Watowa: Już było po zerwaniu. No, i któregoś dnia, któregoś dnia rozeszła się pogłoska, że już zaczęli jeździć po tych różnych wiesz… Polacy byli na całej przestrzeni prawie Związku.
Trznadel: Tak.
Watowa: Zaczęli jeździć. No, i po prostu mówić, że trzeba przyjmować paszporty sowieckie. I zaczęły do nas dochodzić okropne, wiesz, wieści, że były wypadki samobójstw. Że ludzie z przerażenia popełniali samobójstwa. To znaczy – jak weźmiesz paszport sowiecki, to znaczy, że nigdy już z Rosji nie wyjedziesz. No, i potem przyszła taka, taki dzień, że oni przyjechali do nas. Tymczasem…
Trznadel: A wyście byli, gdzie wtedy?
Watowa: A myśmy byli ciągle w tymi Ili, bo, dlatego, że Ili od Ałma–Aty jest w jakichś 80 kilometrach. Nam nie pozwolili potem zostać w Ałma–Acie, bo to jest stolica Kazachstanu.
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: Kazali nam się wynosić. I Myśmy się wynieśli do tego Ili. No, i przyszło, i tak. I Aleksander zaczął, wiesz, no po prostu mówić o tym, że słuchajcie, musimy się zorganizować i tych paszportów nie będziemy przyjmować. A już się widziało, bo wiesz, takie te wieści przychodzą, że idzie się do lagru itd. Że potem już nigdy się Polski nie zobaczy. No, więc wychodziliśmy z tego założenia, że jak się przyjmie paszport sowiecki to tej Polski się też nie zobaczy. Wiesz, tam był taki szewc Kramer. Jednak jak się ma zawód – on zrobił takie *tapoczki*, tak zwane *tapoczki*, to znaczy z takiej gumy samochodowej, wiesz, z jakichś szmat. To na spód ta guma samochodowa. Jednym słowem on za to to on miał zawsze kurę w garnku, jak to się mówi. Także bardzo często nam tam podrzucał jakieś wiesz, w garnuszkach, żebyśmy sobie tam

340:4882240616

trochę tego rosołu i tego. I to był, rozumiesz, stary polski – znaczy się Żyd z prowincji. Już nie wiem z jakiegoś tam galicyjskiego miasteczka.

Trznadel: Z Polski?

Watowa: Z Polski. Który był komunistą. Ale wiesz, takim komunistą zaciekłym, zapiekłym itd. jego synowie, wiesz, byli młodzi, to zarzucali te, wiesz tam, na te druty jakieś tam slogany itd.

Trznadel: Tak.

Watowa: Brali udział w pierwszym maju, robili pochody. I wyobraź sobie, że on – wtedy już byliśmy po pewnym czasie, już się poznaliśmy, że jak to wszystko wygląda. I te zebrania prowadzone przez Aleksandra odbywały się właśnie u Kramera, u tego szewca Kramera. Ponieważ on z powodu tych *tapoczek* on miał najlepsze mieszkanie. Czyli ta lepianka była największa.

Trznadel: No tak.

Watowa: Wreszcie przyjechali, no, i Aleksandra, prawda… I zaczęli zwoływać ludzi. I wyobraź sobie – nie wiem czy Aleksander o tym wspomina w *Moim wieku* czy nie – ale wiesz, to był taki posiołek, gdzie.

Trznadel: Ale przyjechał kto?

Watowa: NKWD, żeby nam dawać te paszporty sowieckie.

Trznadel: A, rozumiem.

Watowa: A na tym posiołku, w tym Ili było, wiesz, jeżeli ci powiem, że 75 % Żydów to minimalnie. I wyobraź sobie, że ci wszyscy Żydzi szli, jak przychodziła ta milicja – bo tam milicja jest – przychodzili, żeby ich zabierać z domu, tam, żeby wzięli paszport, coś tam w jakiejś chałupie to się wszystko odbywało. Ci enkawudziści byli, to wszyscy szli z tobołkami. Każdy miał tobół przygotowany, żeby iść do łagru. Także wszystko było zorganizowane. Proszę ciebie, była tam scena, o której potem nam opowiadano, że te poszedł też taki – młode takie małżeństwo z dzieckiem. Dziecko miało może 5–6 miesięcy. Też Żydzi, też z małego miasteczka. No, i ono odmówili, tak jak inni powiedzieli, że nie wezmą paszportu. I wtedy ten enkawudzista uderzył tę kobietę po twarzy, ona upadła z tym dzieckiem. I dlatego tak się o tym tak wiedziało, bo ten się rzucił, wiesz, ten taki… Bo wiesz, jak to bywali Żydzi mali, tacy chuderlawi itd. Bo teraz ta rasa zupełnie jest inna, jak się teraz widzi tych Izraelczyków. Bojowi i silni itd. I to się bardzo rozeszło właśnie, że biją. No, potem oczywiście doszło do aresztowania. Bo przyszli po Aleksandra, Aleksander poszedł z tobołkiem i była cała taka

341:2967313451

inscenizacja tam – zaczęli z nim mówić, on powiedział, że on nie weźmie paszportu. Potem wiesz, taką robią, taki prysznic, wiesz, zimno-gorąca, tak jak zresztą ze mną robili. Ci powiem, no posadzili go na takim stołku o trzech nogach, Kazak był taki przy nim, który mówił mu *ałłach dajot pałażenje*[437], mówi – Nie bądź głupi, *ałłach dajot pałażenje* to na to coś tam, to wiesz, przyjąć to, że taki los i co tam się będziesz tego. Jakiś tam zaczął z nim mówić nawet, czy uczył się filozofii Lenina. Bo zawsze jest taki inteligent, wiesz, co to chce od innej strony cię bierze.
Trznadel: Wiem, znam to.
Watowa: A to Olek mówi: „wie Pan, ja byłem na filozofii. Tak. Ale nawet mówiło się kiedyś o Leninie, ale nasz profesor coś tam powiedział, że to przecież nie jest żaden filozof, w ogóle. Tego nie można brać pod uwagę". Bardzo powiedział to w sposób uprzejmy itd. Ale, że wielki człowiek, ale filozof, prawda, to on nie jest. Więc wsadzili go. No, jak go wsadzili to już wtedy siedział Kramer i siedzieli ci główni: znaczy się Aleksander na czele.
Trznadel: I gdzie siedzieli? W tej miejscowości?
Watowa: Siedzieli w Ili. No, i siedział Kramer, wzięli jego synów, i wzięli tych, bo już tam byli tacy, którzy donieśli, rozumiesz, tych którzy brali bardzo taki tego i którzy namawiali. No, i potem któregoś dnia ich wywieźli. Dokąd wywieźli ich – do Ałma–Aty. Więc ja jeszcze nic nie wiedziałam w ogóle, czy będę mogła do niego dotrzeć czy nie. Proszę ciebie, po kilku dniach przychodzą po mnie. Więc zbierają nas na placu, na takiej *tołkuczce*, takim bazarze, wiesz.
Trznadel: Tak.
Watowa: Więc jeszcze mój Andrzej, wiesz, przechadzał się i mówi: „Moja mama to nigdy paszportu sowieckiego nie weźmie!" ((śmiech))
Trznadel: ((śmiech))
Watowa: No, i takim pałaszem tam jakimś dostał. Podobno go nawet troszeczkę poturbowali, jak ja poszłam. I wsadzili nas, wiesz, kilkadziesiąt osób – mężczyzn i kobiet. Wsadzili nas do wagonów i zawieźli nas do Ałma–Aty. Ale ten dworzec jest daleko i zaczęli – potem nas pognali. I rozumiesz, Ci tam byli, właśnie, ci tacy Żydzi, którzy brodaci, kobiety, wiesz to wszystko to gnało. To bili pałkami, to po głowie, żeby prędzej, prędzej, wiesz, żeby nas zmęczyć.
Trznadel: I to milicja była?

[437] Ros. *ałłach dajot pałażenje* – Allach wyznacza pozycję, „jak bóg da".

342:4131043281

Watowa: Tak. I ja, rozumiesz, mnie wzięło dwóch – to właściwie ja ich wzięłam – bo ja już nie miałam siły, za ręce i oni mnie tak taszczyli, żebym ja im nie upadła. Przyjechaliśmy do jakiegoś budynku porządnego NKWD. Więc duża dość sala. Kazali nam stanąć pod ścianami. Nie wolno było usiąść, nie wolno było pić – bo tam ktoś tam miał pragnienie – odmówili wody. I w pewnej chwili wchodzi, wiesz – (((z przejęciem))) wchodzi jakiś mężczyzna w takim brunatnym, wiesz, w takim chałacie, takim, takim niby fartuchu. Dość szerokim. I na ten, wiesz, brunatnym fartuchu są takie duże plamy krwi. Ale tymczasem, nim on zszedł – to zapomniałam powiedzieć, że nagle zaczęli wzywać na pierwsze piętro. I poszło – bo ja wiem – dwóch, trzech, potem czterech mężczyzn. Ja nagle usłyszałam krzyk. No, i ten krzyk to był wyraźny krzyk człowieka, którego biją. Po prostu zaczęli bić. Jak ja zobaczyłam, wiesz, tego człowieka… Wiesz jak to człowiek, to jest bardzo dziwne stworzenie, ((śmiech)) wiesz. Człowiek – naprawdę, jego reakcje. Więc jak zobaczyłam tego w tym chałacie z tą krwią, to myślę sobie: no przecież mnie też w końcu wezmą. Więc ja od razu, wiesz jak to tak, ułamek sekundy, bo wyobraźnia to jest coś bardzo dziwnego, bo w ułamek sekundy ty widzisz obrazy, wiesz, które jak zechcesz opisywać, to musiałbyś poświęcić pół dnia. Więc widzę siebie w jakiejś norze, w jakiejś piwnicy, po tego, rozumiesz. Myszy, szczury, ciemnica itd. Więc to wszystko, wiesz, jestem przejęta szalonym, wiesz, strachem, że te szczury mnie tam będą gryzły. No, i w tym momencie on podchodzi do mnie. On tak ogląda, wiesz, wszystko wiesz, zagrane – no mówię ci – teatr naprawdę fantastyczny. Przygląda się temu, owemu, a potem podchodzi do mnie. A on już z góry [przerwane nagranie] on od razu wiedział, że on do mnie podejdzie, rozumiesz? To gra taka. No, i mówi: „*Dawaj”*. No, więc wchodzę na pierwsze piętro. No, i słuchaj, Jacek, ja jestem taki … byłam taki straszny tchórz, już ci mówiłam o tym. Straszny tchórz! Bałam się. Myszy mnie, bałam się. Pijaka bałam się. Sama spać w domu. Jednym słowem – bałam się! Idę za nim i już się nie boję. Już nie widzę szczurów, nie widzę tej ciemnicy. Pokój jest jasny, pusty. Krzesło stawia ten pośrodku. I każe mi usiąść. Ja jestem w tym pustym pokoju sama. Potem się otwierają drzwi i wchodzą, wiesz, w tych takich mundurach. (((z przejęciem))) Oni to, wiesz, mają – a tutaj tam jakieś na mundurach jakieś płaszcze, a tutaj mają te medale, a tutaj mają te dekoracje. To trzeszczy, błyszczy, w ogóle tego! A między nimi taki jeden, wiesz, w garniturze i takim kaszkiecie – tak się mówi? Z takim daszkiem. No mówi: „Co? Biorosz paszport?*”.* Więc ja, wiesz, takim głosikiem mówię: „Niet, nie magu”. Tak coś: „nie magu”. No, więc tam czortu i tam wiesz – wszystko na wszystkie litery, nie będziem się z nią bawić. A ten, wiesz, ten

343:1051556099

delikatny – jak ja go potem nazwałam, w kaszkiecie, bardzo sympatyczny – tak się zbliża do mnie i tam spod okien wzięli – bo pod oknami stały krzesła. Bierze krzesło, siada, mówi: „Wie pani, wiecie, wiesz towarzyszko – czy tam, nie, towarzyszko to oni nie mówią nigdy, nie – wiecie – mówi. Jesteście jeszcze młodą kobietą. Jak pani pójdzie do łagru to przede wszystkim po… pani po kilku miesiącach już będzie starą kobietą i w ogóle bardzo szybko pani tam zginie. Pani sobie nie da rady. No, a pani syna – bo oni przecież wiedza wszystko – to my weźmiemy od razu do *dietdomu* i pani go nigdy nie zobaczy. I wie pani, naprawdę, ja pani radzę – i to tak z dobrego serca, niech pani nie komplikuje sobie życia, niech pani weźmie paszport". A ja mówię: – „Nie magu". Nie przygotowana, bo nawet nie wiedziałam, że powiem to słowo „nie magu". Ale tak mi przyszło. No, więc oni zaczynają się miotać koło mnie. (((z przejęciem))) Ale tak w około krążą, wiesz, ale ciągle mi się wydaje, że któryś z ich i jeszcze niektórzy tacy barczyści, wielcy, duzi! Ale tak się wydaje, że za chwilę się rzucą na ciebie, że zduszą, stłamszą, że miazga z ciebie zostanie. No, ale potem, w pewnej chwili, mówi: „dosyć tego dobrego" – niby ten najważniejszy taki enkawudzista. Mówi: „Nie mamy tutaj czasu na takie zabawy. Ona już paszport weźmie". No, i, żebym wyszła. Proszę ciebie, jak wyszłam, to tam zaczęli brać innych. Ale była tam taka z tego posiołka, taka, miała na imię – tyle tylko wiem, że miała na imię Reginka. Miała może wiesz, najwyżej miała 19–20 lat. Młoda dziewczyna. I przystawiają nam takiego młodego żołnierzyka. Wiesz – taki, taki w mundurze. Miał może 20 lat. No, i on nas prowadzi do więzienia. To właściwie nie było takie więzienie, takie, takie jak tutaj w (), ale to było takie tzw. *triecie oddzielenie*, rozumiesz? I tutaj dopiero brali. To było więzienie i zakratowane wszystko, ale dopiero stamtąd odwozili do tych prawdziwych łagrów i więzień. Więc on nas prowadzi i mówi: „o – mówi - źle wam tam będzie". Więc ja mówię: „Słuchajcie, przecież tam, gdzie my idziemy, tam, są też kobiety, więc jeżeli one to wytrzymują, no to i my też wytrzymamy". A ona mówi: „wiecie co, ja was przeprowadzę przez bazar. Dlatego, że tam będzie głód, to jeżeli macie kilka groszy, to mówi – to sobie coś kupcie". Przeprowadził nas przez taki bazar i tam, wiesz, po jakimś jajku jednym, wiesz, jakiś tam… już nie wiem, co tam można było kupić. I takich jakichś węzełkach trzymamy to. Idziemy. Potem prowadza nas do jakiegoś – już jesteśmy koło tego więzienia – do jakiegoś takiego ponurego, wiesz, pokoju. (((z przejęciem))) Jakiś straszny typ w takim jakimś – nie wiem, czy on miał beret czy jakąś czapkę na głowie, też jakiś taki ciemny, brudny chałat! No, i mówi, ma wiesz, tego… do ostrzyżenia na zero, wiesz. No, i mówi: „dawaj głowę, jak się znajdzie jedna wesz to tego". I ja wiem, że on ma

344:8204186459

mi, rozumiesz, zgolić włosy, bo goli się włosy! Muszę Ci powiedzieć, że to, ja wtedy nie krzyknęłam, że biorę paszport to ja jestem bohaterka! Bo wiesz, ta myśl, że ja teraz będę… rozumiesz? Że mi zgolą włosy! Wchodzę. On mi ogląda włosy. Słuchaj, na pewno oni już pewne instrukcje mieli. Inna sprawa, że rzeczywiście wszy już wtedy nie miałam, bo to na tym – wiesz, w tej Iwanówce to tam straszne były wszy, pluskwy i pchły, i wszystko. Szczypawki takie, to się nazwa, takie specjalne co wchodzą pod ciało. Tutaj ci wchodzą i pod tym siedzą. Potem, proszę ciebie, do tak zwanej łaźni. Nie wiem, dlaczego teraz widzę tego Oscara Wilde'a.

Trznadel: Ale ogolili ci włosy?

Watowa: Nie! Nie, nie ogolili. Ale zapewniam cię, że była instrukcja, żeby nas nie golić.

Trznadel: Tak, bo to była taka groźba psychologiczna.

Watowa: Tak! Psychologiczne takie tego przygotowanie.

Trznadel: Szantaż.

Watowa: Słuchaj, więc tutaj stoją ci, ci milicjanci, ja jestem z Reginką, z tym młodym. Nam się każą rozbierać do naga, żeby nas... I wyobraź sobie, że między tymi żołnierzami, tymi milicjantami w pewnej chwili jeden na mnie spojrzał. Zdjął swój płaszcz i zrobił z tego parawan. Wiesz, to są rzeczy jednak…

Trznadel: Tak, tak, ta mieszanina elementu ludzkiego z nieludzkim, to jest tu zupełnie zdumiewające w tym wszystkim.

Watowa: Zdumiewające!

Trznadel: Ty pamiętasz, jest taka scena w tej opowieści *Dzień Iwana Denisowicza*

Watowa: Tak.

Trznadel: Kiedy więźniowe bodajże tam kobietę chcą gwałcić. A ten strażnik z tego lagru mówi do nich, woła: „Bądźcie ludźmi. Bądźcie ludźmi".

Watowa: Ja ci powiem, że płaszcz tego żołnierza to wiesz, to tak jak – nie wiem, no, teraz mi nie przychodzi do głowy żadna przypowieść – ale wiesz, to tak jak ktoś zdejmuje płaszcz z siebie i oddaje, wiesz…

Trznadel: Tak.

Watowa: I potem przyprowadzają nas do tego *treciego oddzielenia*. I tam w *trecim oddzieleniu* jest ten „delikatny", w cudzysłowie. On do mnie przychodzi, podchodzi i mówi: „Ja was proszę, nie róbcie tego. To będzie okropne dla was, to będzie okropne. Nie róbcie tego, weźcie ten paszport". – „Nie magu!". Więc zbliżamy się, drzwi, wiesz. Ja jeszcze w więzieniu nie

345:7257852895

siedziałam, bo Aleksander to wtedy siedział już drugi raz i był już po dobrych doświadczeniach, wiesz, nie był w jednym. A ja pierwszy raz w życiu, tyle wtedy, ile mu podałam tą wiesz, paczkę, co to dostałam te wszy, wiesz. I on stoi przy mnie, i przed otworzeniem tego on mówi: – „Jeszcze masz czas". Otwierają się drzwi i wtedy ten już strażnik, wiesz, tak, ta Reginka weszła pierwsza, mnie on tak popchnął, wiesz, no, i to typowe, co już dużo, dużo wielu pisarzy opisywało, wiesz, ten zgrzyt klucza.

Trznadel: Tak.

Watowa: I to rzeczywiście, muszę ci powiedzieć, robi wrażenie. Ja taka byłam oparta o te drzwi i spojrzałam na celę. Słuchaj, ta cela była w podziemiu. Maleńkie, zakratowane okienko, które wiesz, mniej więcej było na poziomie tego asfaltu, wiesz?

Trznadel: Rozumiem.

Watowa: Tak! Półmrok. I w tym półmroku kilkadziesiąt upiorów. Ogolone głowy, jakieś łachmany, jakieś te, te, wiesz, wpatrzone tego w nas. Bo my ubrane jeszcze po europejsku. I w pewnej chwili, pośrodku, nagle ((z przyciszonym głosem)) zrywają się takie trzy, wiesz, czy cztery kobiety. Wiesz, ja już wiedziałam od Aleksandra, że w każdej celi jest kilku mężczyzn – dwóch, trzech, czterech, którzy rządzą całą celą. I cała cela im podlega. To są ci najwięksi bandyci, najwięksi, najsilniejsi i oni rządzą, rozumiesz? Oni władają. To są władcy! A znowu u kobiet okazało się, że są takie kobiety. I znowu *dawaj* tak tutaj, na środeczek. Więc przychodzę z tą Reginką na środek. Każą nam usiąść. Więc pierwsza rzeczy – wyrywają nam te węzełki. Więc to ich, wiesz… (((teatralnie))) Zjadają te jajka, te tego… ale tak z taką olbrzymią... Potem mówi: „Rozbierać się". I rozumiesz, tutaj zaczynamy z siebie zdejmować i one jeszcze nam szarpią, wiesz. Suknia, wszyściusieńko, pantofle, pończochy, koszula, staniczki, wszystko, wszystko, wszystko! I zaczynają w nas ciskać jakimiś śmierdzącymi

Trznadel: Łachami.

Watowa: Okropnymi łachami. Oczywiście nie będę siedziała naga. Więc kładę na siebie te łachmany. No, a one mówią: „No dobrze, to teraz od kogo zaczynamy?". Bo słuchaj, powiedzmy sobie z góry – wszystko było zainscenizowane i to był sposób na przyjęcie paszportu. Chodziło o to, żeby one miały już instrukcję, jak mają się zachować. Więc biorą Reginkę, siedzimy koło siebie na podłodze, wiesz, w takiej odległości. – „Bierosz pasport?". To ona, ta biedna Reginka, już wiesz, bardzo przerażona, patrzy na mnie. Ona mówi: – „Niet". Ją zaczynają bić. Ale wiesz, po głowie, po piersiach, po plecach! Słuchaj – butami, pięściami. A ja siedzę koło niej i wiem, że

346:5461585244

z nią skończą, a potem się wezmą za mnie. I wiesz, żeby mi jedna myśl przyszła do głowy, żeby powiedzieć – „nie bijcie jej". Gdybym ja powiedziała: – „Nie bijcie, ona weźmie paszport" – to byłaby sprawa załatwiona. Skończyły. A mówi: „No, a teraz się bierzemy do drugiej". Jeszcze mówią tak: – „czy bierzemy ja w koc czy bez koca?" Nie wiem, czy ty jesteś taki…
15_Fon.61.707 Strona A
Watowa: Nie wiem, czy ty jesteś taki katorżnik. Czy ty już wiesz, co to jest koc?
Trznadel: Nie bardzo. Domyślam się.
Watowa: Ale w każdym bądź razie to jest sposób bicia. Że się bierze w koc, jednocześnie się dusisz, jednocześnie cię walą, jednocześnie walą cię mocniej to, to nie widać tak tych śladów itd.
Trznadel: Tak, nie widać.
Watowa: Więc, a poza tym wyobrażam sobie – być bitym w kocu to chyba jest o wiele jeszcze gorzej, bo jesteś w tych ciemnościach zupełnych i dusisz się! Więc jakaś z tych kobiet – niesamowite zupełnie kobiety, wiesz – mówi: „A my sobie i tak bez koca z nią poradzimy". No, i „nie, nie magu". To nie bierzesz paszportu? – „nie, nie magu". A! Przepuściłam jedną historię! Tam na górze, jeszcze z tymi enkawudzistami, to ten najważniejszy powiedział: „No dobrze teraz z Tobą jest skończone, ale powiedz mi czemu ty mówisz „nie, nie magu" i czemu ty nie chcesz przyjąć paszportu, kiedy wiesz, że w końcu przyjmiesz". Ja powiedziałam tak: „Wy jesteście, prawda, nie wiem, oficerami. W każdym bądź razie obywatelami sowieckimi. Wyobraźcie sobie, że jesteście w Polsce i, że wam każą przyjąć paszporty polski. No na pewno żaden z was by paszportu polskiego nie przyjął, bo to byłaby zdrada ojczyzny. I dlatego ja tego paszportu sowieckiego przyjąć nie mogę, bo ja jestem obywatelką polską". – „A! – mówi – to *mudrinkaja*[438]. Tego to już ją jej mąż nauczył". (((rozbawiona))) Że niby Aleksander mnie tego nauczył.
Trznadel: Tak.
Watowa: A nawet do takich rozmów nie doszło, bo żeśmy się nawet nie przygotowali. Ale wiesz, to tak przychodzi, no. Tak im wyłożyłam. No, i właśnie, to był ten incydent, że taka *mudrenkaja*, wiesz, że ja tak wymyśliłam. Ale ja im to w formie pytania – nawet powiedziałam, czy byście przyjęli? Więc oni mnie tak zbyli i odesłali. No, i zaczynają mnie bić. I właśnie, wiesz, w tym okresie ja byłam taka bardzo, powiedzmy, w takich mistycznych, takie miałam mistyczne nastroje silne. I rzeczywiście trzeba powiedzieć, że ja prawie nie czułam pierwszych uderzeń. Wiesz, że

[438] Ros. *mudrinkaja* - mądrutka, mądrala.

347:1051711686

rzeczywiście okazuje się, że można, że, bo podobno istnieją takie ćwiczenia nawet, że duch człowieka może się od ciała oddzielić.

Trznadel: Tak.

Watowa: Dopiero jak dostałam uderzenie butem tutaj, wiesz, i to żebro mi pękło. Miałam pęknięcie żebra, potem wiesz, przy każdym oddychaniu itd. to trwało dość długo, na pewno nie ubyło połamane, nie wiem, nie znam się na tym – ale było pęknięte. To wtedy krzyknęłam, wtedy poczułam straszliwy ból. No, i wtedy jedna z nich mówi: – „No chwatit. Teraz chwatit”[439] i mówi tak: „Jeżeli nie przyjmiecie paszportu to będziecie bite w ten sposób co dwadzieścia minut”. A teraz wzięły, wiesz, – bo te wszystkie te kobiety – młode i stare – to wszystko prawie było nagie, w łachmanach. To było lato. One wzięły jakieś cuchnące, wiesz, buty, zrobiły, wiesz, w rogu – przy tych drzwiach w rogu stała parasza. Wiesz co to jest parasza? Taka olbrzymia, wysoka beczka, do której te wszystkie więźniarki w ciągu dnia się załatwiają i potem się to wynosi. I w nocy się załatwia. Postawiły nam takie dwie kupy takich tego obuwia, żeby usiąść na tym obuwiu. Kazały się oprzeć o tą paraszę i potem, wiesz, to zupełnie jakiś obrządek taki, wiesz. Te cztery te, te – bo ja wiem, może ich było pięć, może były trzy – nie pamiętam, wdrapywały się na tę paraszę [sygnał pogotowia] i z takim pomrukiem zadowolenia, załatwiały się, wiesz, do tej paraszy. No, i sobie poszły. Potem, proszę ciebie, zaraz znowu otwierają się drzwi. Wchodzi starsza kobieta ze swoją córką, znowu się to powtarza. Ona ma takie w uszach, ma te, te kolczyki złote, co to dawniej nosili, takie kółka.

Trznadel: Tak.

Watowa: Uszy się miało, dziurki miało się takie zrobione. Więc oczywiście się te, po prostu wzięły i wyrwały jej te. No, zostały pobite i siedziały cichutko. I wtedy nagle ja usłyszałam krzyk po raz pierwszy w życiu, usłyszałam krzyk torturowanych mężczyzn, bitych mężczyzn, mężczyzn, którzy krzyczeli z bólu. Między innymi tego Kramera szewca zamknęli w jednej celi, a naprzeciwko zamknęli jego dwóch synów. I tam mordowali, tam siedzieli tacy zbóje, rozumiesz, to tego. I tam walili, rozumiesz, tych jego synów! Ci synowie krzyczeli: –„Nas tu zabijają, nas tu zabijają”. I ja słyszę tego ojca – między innymi, bo w ogóle słuchaj! Krzyk zupełnie straszny, wydawało się, że ściany drżą i ten ojciec, który zaczyna walić, wiesz, w drzwi swojej celi i krzyczeć: – „Zabijają mi synów, zabijają mi synów”!

Trznadel: Mogłaś rozróżnić słowa?

[439] Ros. *Chwatit* – wystarczy.

348:9548081607

Watowa: Tak! Bo słuchaj, to było wiesz, tutaj były kobiety, tu byli mężczyźni. Mówię ci! To było *trietie oddzielenie*, to nie było wielkie więzienie. To było coś, gdzie się siedzi przez pewien czas, a potem oni wysyłają. Ja te słowa słyszałam. I to było potworne. Bo ja ci powiem, ja – dziwna rzecz – że ja nie pomyślałam do tego momentu, ja nie widziałam w swojej wyobraźni mężczyzny, który płacze, którego coś boli, że mężczyznę się bije, a on się nie może bronić, rozumiesz? Mężczyzna to jest ktoś, kto właściwie nie cierpi. To kobiety cierpią, są takie wrażliwe.

Trznadel: Tak. Rozumiem.

Watowa: Ale mężczyzna, który krzyczy z bólu, który wyje z bólu, którego mordują! I wtedy, Reginka zresztą mi powiedziała: – „Pani miała oczy obłąkane". I wiesz, ja czułam, że ja zwariuje. Że tego ja nie wytrzymam! Ja bym może jeszcze raz wytrzymała, żeby mnie bili, może dwa, ale potem bym ustąpiła, ale nie wiem, jaki byłby dalszy ciąg. Ale krzyk tych mężczyzn mnie doprowadził do takiego stanu, że ja – wiesz – tak siedziałam i powiedziałam, że to jest, no nie! Rzeczywiście byłam bliska obłędu. I w tej chwili otworzyły się drzwi i weszła taka młoda kobieta z jeszcze jedną – Borowska nazywała się. Ja siedziałam pod tą paraszą tak. Wtedy ja na nią podniosłam. Ona była zupełnie przerażona, bo jak ona szła tym korytarzem, ona słyszała wrzaski tych mężczyzn. Tych, tych bitych. Podniosłam na nią oczy, takim tępym głosem powiedziałam: – „Bierzemy paszporty". Więc ta jedna z tych kobiet tak podleciała do mnie, dała mi w twarz i powiedziała: – „Coś ty jej powiedziała?" – (((teatralnym szeptem))) „*Bierjom pasporty*"[440]. No, i wobec tego już tej Borowskiej nie bito. Natomiast przyszła tam jakaś Rosjanka, młodziutka dziewczynka, która tam coś ukradła itd. I tam jest obrządek, żeby wejść w komunę, to trzeba być dobrze poturbowaną, pobitą. Zabrali jej rzeczy itd. I tak przerzucali nią jak piłką, wiesz. W ten sposób – jeden do drugiego. Każdy ją bił z tych kobiet i przerzucano. Także to jest, był taki… No, i po pewnym czasie te krzyki się uspokoiły. Więc prawdopodobnie była taka sama reakcja tych Polaków. I następnego dnia już, już wiadomo, że już bierzemy paszporty, już w naszej celi. Nas jest – bo ja wiem – () sześć czy osiem tych kobiet. I nagle przychodzi dozorca i mówi, że idziemy do doktora. Jeszcze ja jemu mówię: – „To niepotrzebne, bo my wyjdziemy". A on mówi: – „To nie do ciebie tu decydować". I wprowadza nas do takiej, wiesz, izby białej, takiej – bo ja potem marzyłam o tym, żeby mieć, jak wrócę, to sobie wapnem, wiesz, tę izbę będę miała taką białą, a w kącie będzie worek mąki, a u sufitu to powieszę połeć

[440] Ros. *Bierjom pasporty* – bierzemy paszporty.

349:1848882902

słoniny. To będzie to szczęście. I będzie Aleksander, i będzie Andrzej. Biała taka tego i proszę ciebie firaneczki, jakieś tam – bo ja wiem – takie peonie, georginie. Nie wiem jak to się nazywa – takie biedne kwiatki. I taka, wiesz, lekarka taka zahukana, prawdopodobnie więźniarka też.
Trznadel: Tak.
Watowa: Może siedziała w łagrze, bo przeważnie tam pracują takie. I jak przyszło do mnie, to ona takim cichym głosem mówi: ((szeptem)) – „Pani mówi po francusku?" – „Tak". – „Pani jest Polką?". Ale słuchaj, czuło się, wiesz, że ona tak, ona tak chłonęła widok nasz. Dla niej, ona, czuło się, że ona, ten świat, w którym ona kiedyś żyła, że to jej się, wiesz,
Trznadel: Tak.
Watowa: Że jakieś wspomnienia. No, więc oczywiście oględziny, kto tam był posiniaczony, pobity itd. pokrwawiony. No, i wychodzimy. I wtedy wprowadzają nas do gabinetu. Kto siedzi oczywiście przy stole? Ten „delikatny". No, więc wyobraź sobie: my – wszystkie w łachmanach. W cuchnących, ja miałam na sobie jakieś buciory, wiesz, jakieś z dziurami. Zdaje się, że w ogóle męskie. I ten mówi do mnie, jak ja podeszłam do niego, i on mi wręczał mój paszport sowiecki, który polegał na tym, że to jest taki papierek żółty, taki takim wiesz, pożółkły jakiś okropny papier – bo oni tam nie mają papieru – że jestem sowiecką obywatelką. No, i mówi: – „*No, i czto ja wam gawarit. I paczemu*[441]*?"* I tak litościwy i taki dobry, i tak się nade mną litował, rozumiesz. No, więc wręczył nam paszporty i kazali nam wyjść na ulice. A na ulicy już stali nasi mężczyźni. W okropnym stanie! Rzeczywiście – pobici, zmasakrowani, w łachmanach, wiesz, podartych szmatach itd. No, i wiesz, takeśmy się już spotkali jako sowieccy obywatele. Muszę ci powiedzieć, że byli mężczyźni, którzy rzeczywiście jak patrzyli na nas, to płakali, ale płakali też nad sobą. No, i w ten sposób, rozumiesz, dotarliśmy, w szeregach takich, wiesz, w tych, tych naszych łachach do, do – chciałam powiedzieć do trumny – ((śmiech)) do pociągu i wróciliśmy do Ałma–Aty. Nie do Ałma–Aty.
Trznadel: A Aleksander?
Watowa: A Aleksander siedział w więzieniu.
Trznadel: No tak.
Watowa: Aleksander siedział w więzieniu. Tam wróciłam, okazuje się, że już ktoś, kto wziął od razu paszport sowiecki – mnie zresztą tam mieli strasznie za złe. Jakaś rodzina powiedziała: – „Pani nie ma serca, jeżeli pani mogła zostawić jedyne dziecko". Może mieli rację… może mieli

[441] Ros. *No, i czto ja wam gawarit. I paczemu* - no i co wam mówiłem. I po co?

350:4766837733

rację, słuchaj. To było, to było jakieś jednak, było jakieś szaleństwo. Dlatego, że – i myśmy wychodzili z tego założenia, że lepiej umrzeć, że lepiej zginąć, ale nie pomyśleliśmy o tym – w gruncie rzeczy – o doli tego Andrzeja. Bo jego by wzięli do *dietdomu*. Ale ten Andrzej, który jeszcze chodzi i wszystkim mówi: – (((rozbawiona))) „Moja mamusia nigdy paszportu sowieckiego nie weźmie, a tatuś już siedzi w więzieniu. No, i wiesz, jak przyszłam do ludzi, którzy niby się zaopiekowali Andrzejem, to już tam taki młody synalek siedział w jakimś tam koszuli Aleksandra. Już mi wszystko tam pozabierali.

Trznadel: No tak.

Watowa: Ja im tam potem poodbierałam, no, i potem miałam tam swojego Kazaka, wiesz, takiego milicjanta, który miał tam swój wywiad. Ja mu powiedziałam, że ja mu podziękuję, że ja mu coś dam, żeby on się dowiedział o mojego Aleksandra. I on mi powiedział: „Proszę panią – któregoś dnia – pani mąż jest *wtarom oddeleniu*[442], nie w tym trzecim, gdzie ja byłam, i on będzie przeprowadzony do *treciego oddzielenia* – powiedzmy – w czwartek, ale bardzo wcześnie, wiesz. Więc ja nocnym pociągiem pojechałam do Ałma–Aty. I podeszłam z samego rana, wiesz, tam, pod to drugie oddzielenie. I tam by takie wiesz, to są takie wysokie, takie parkany – bo to mówię ci, to nie są – z grubych desek i takie szparki. Ja przez taką szparkę zaglądam i widzę, że ci więźniowie – oni im zawsze każą – bo już tam widziałam, że tym więźniarkom też w pewnej chwili kazali kucać, wiesz, nie wolno było stać, tylko kucać – dobrze. I widzę, że on siedzi, wiesz, na tym asfalcie, że wszyscy więźniowie siedzą i ten Aleksander ma ogoloną, wiesz, ale już mężczyźni wszyscy, to już tam już nie pytali o wszy. Mężczyźni mieli, wiesz, tego… ogolona głowa, wiesz. Niesamowita twarz! Bo w ogóle Aleksander, wiesz, miał bardzo taką specy... – tyś go osobiście nie znał?

Trznadel: Nie.

Watowa: Ale on miał bardzo taką wiesz… i ten szalony fanatyzm w oczach, ta nienawiść. On zresztą – ta fotografia, wiesz, tutaj, ta duża, w tej ramce to była zrobiona do paszportyzacji. I to jest taka maciupeńka fotografia, którą ja tak mam świetnego fotografa, który ją powiększył. I wiesz, ta determinacja, to zdecydowanie się umrzeć, a tego. I on siedzi. I wiesz, że on wzbudzał taki lęk wśród Kazaków, że do niego np. podszedł taki Kazak i powiedział: „Słuchaj, ty nas nie czaruj". – Bo on tak wyglądał. (((rozbawiona))). Wiesz, bez tej – to ta czaszka, wiesz i te oczy i

[442] Ros. *Wtarom oddieleniu* – w drugim oddzieleniu.

351:1079291163

ta chudzizna jego! Bo mówi: „*My nie winawati. My nie winawati*”[443]. Nagle wrota się otwierają, a ja oczywiście mam już jakiś węzełek, i wzięłam dla niego koc. Więc lecę! I jego wyprowadzają tam z tymi bandziochami, z tymi jakimiś prostytutkami, jakimiś bandytami, złodziejami. On mnie od razu zauważył. Ja lecę, a ten milicjant, wiesz, co to ich pilnują, to on mnie odpędza. Ja mówię: „Słuchajcie, ja tylko chce mu to podać”. – „Nie!”. I wiesz, w ten sposób przeleciałam tę Ałma–Atę za nim i podeszłam do drugiego – do tego *treciego oddzielenia*. I tam widziałam na co on idzie. I myślę – teraz jego zaczną bić. I Aleksander powiedział, wiesz, te wrota się tam otwierają, ja stoję i on powiedział, że pierwszy raz widział człowieka bez twarzy. To byłam ja. Ale nie myśl, że ja powiedziałam „Aleksander weź paszport” albo… Nic! Ani słowa. I te wrota się zamknęły. Ja z tą świadomością, że teraz jeszcze dziesięć minut, piętnaście minut, tam go zaczną katować. Proszę ciebie, dowiedziałam się, gdzie jest ten Kazak, enkawudzista, który tam do nas przyjeżdżał, który to wszystko robił, tą całą. No, i poprosiłam o taką audiencję. On mnie bardzo uprzejmie przyjął, tyle, że ja automatycznie, wiesz, wyciągnęłam rękę i on schował tak rękę poza siebie, wiesz, żeby mi ręki nie podać. No, i zaczął do mnie przemawiać. Mówi: „słuchaj, jaki on jest głupi. Przecież my wszystko o nim wiemy. On mógłby być u nas profesorem w Moskwie. On mógłby, prawda, to ty byś sobie mieszkała w Moskwie, żyłabyś dobrze”. Mówi: „Ja Tobie dam to widzenie – bo u nas się widzeń nie daje, ale ty jemu przemów do rozumu!”. No, więc ja oczywiście wszytko obiecałam. On mi to wyznaczył i wtedy właśnie przyjechałam na to widzenie z Aleksandrem, właśnie, co to chodziłam tak po Ałma–Acie, wiesz, i podeszłam aż tam na tą ulicę, gdzieśmy razem mieszkali. Wróciłam. I jego wyprowadzili na taki ganek – bo to takie trochę wszystko było wiejskie, wiesz.

Trznadel: No tak.

Watowa: Wyprowadzili go na ganek. No on był, wiesz, chyba, on był zniszczony bardzo, ale wiesz, nie robił na mnie wrażenia człowieka skatowanego, człowieka, który jest zamęczony itd. był stolik między nami, postawiono dwa krzesełka i był taki, wiesz, który nas pilnował. Ale tak dyskretnie, tak sobie, wiesz, w oddaleniu stał. Więc zaczynamy ze sobą rozmawiać, więc ja prędko już przede wszystkim, wiesz, żeby on coś zjadł, a on mówi: „wiesz, ja dużo jeść nie będę, dlatego, że nas, my to dzielimy na jedenaście części”. Ja chcę wrócić z tym do celi i chcę, żeby oni także… No, i wiesz, w tym czasie ja dostałam jakąś kartkę od Gackiego. Był taki Kordian, Stefan Kordian Gacki. Oni już wiedzieli o tej paszportyzacji. On mi napisał: „Zobaczysz,

[443] Ros. *My nie winawati* – nie jesteśmy winni.

352:5063686026

niedługo już będzie wszystko dobrze" itd. więc ja mu tam jakieś tam nowinki opowiadałam. I patrzyliśmy na siebie, i potem, potem, potem, potem – po kilku miesiącach, bo on tam siedział trzy miesiące – to on mi powiedział, że ja mu dałam największy dowód miłości wtedy. Że ja nie powiedziałam tego zdania: „Weź paszport". To był największy dowód miłości jaki mi dałaś.
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: On wrócił do tej celi i proszę ciebie, potem go więcej nie widziałam. Upłynęło trzy miesiące i po trzech miesiącach Aleksander przychodzi do tego Ili, wiesz, z brodą, porośnięty. I wyobraź sobie, jak on wszedł do tej celi, on już wiedział – bo tam się wszystko – oni wiedzieli, że nas bito.
Trznadel: Tak!
Watowa: Oni tam – wszystko tam się wie. On wszedł. Miał już swoje doświadczenia więzienne. Wiedział o tych, którzy wstaną, którzy go na środek poprowadzą, wszystko wiedział. I stanął tak oparty właśnie o te drzwi, co się zamknęły. I tych stanęło tam. Jeden między nimi – właśnie taki, który miał na imię Walentyn. I powiedział: „No, chodź tutaj!". A on powiedział: „Słuchajcie, czy pozwolicie mi coś powiedzieć?" To tam – „*gawarit"*. On mówi: „Słuchajcie, ja paszportu sowieckiego nie wezmę. Więc – odpowiedzcie mi na pytanie: czy wierzycie w boga czy nie". Więc tam jemu trochę na wszystkie litery: „Co ciebie to obchodzi" itd. A on mówi: „Bo ja was, dlaczego o to pytam? Ja was proszę, bijcie mnie tak mocno i tak prędko, żebym ja długo nie cierpiał. Oto jedno was proszę. Bo ja paszportu sowieckiego nie przyjmę. Więc zabijcie mnie od razu, tak – mówi – macie wprawę, wiecie jak to się robi. Bijcie jak najmocniej". I słuchaj, wtedy ten Walentin, który był trochę jak… którego ja poznałam! Bo to był Walentin, który siedział już ze dwadzieścia lat, który uciekał z takich lagrów, a jakichś Kamczatek, który siedział, bo Aleksander od niego wszystko wiedział. On był ukryty pod krą, on się krył, pod krą. Bo słuchaj, ja ci powiem, tam to jest na takiej zasadzie: albo jesteś już żelazo, beton, jak to się u nas w Polsce mówi i wszystko przeżyjesz, albo *padochniesz* i koniec, i ciebie nie ma. I to były te wiesz, ten gatunek ludzki. On był taki wysoki, trochę wyglądał jak Majakowski, wiesz. Słuchaj, on spojrzał na Aleksandra, jak nie kopnął – tutaj takie, takie „miękkie wory" tam są. Kopnął jednego, drugiego. Jak nie wrzasnął na cały głos. Powiedział: „jeżeli temu człowiekowi jeden włos spadnie z głowy to będziecie mili ze mną do czynienia". Bierze Aleksandra, daje mu najlepsze miejsce, czyli pod okienkiem, jak się domyślasz.
Trznadel: Tak.

353:2275635453

Watowa: To jest to miejsce dla elity.

Trznadel: Powietrze.

Watowa: Spędza tam jakiegoś wora, czy bandytę. Aleksander jest z nimi trzy miesiące. Błaga ich, żeby pozwolili mu bodaj wynieść paraszę. Żeby tam widzieli. Poza tym udaje, że krzyczy, że go biją, bo mówi do tego Valentina: „Słuchaj, jak oni się spostrzegą, to oni mnie dadzą do innej celi i tam mnie będą bić". I tak się… Słuchaj, że Aleksander im opowiada o *Czerwone i czarne*, wiesz, że im opowiada filmy, opowiada im powieści. Słuchaj, on mówi: „żebyś ty wiedziała, jacy to są ludzie wrażliwi, tam pomiędzy nimi". Słuchaj, Jesienina pieśni, wiesz ten list, *pismok, babuszki* czy *kmatuszki.*

Trznadel: *Kmatuszki*[444].

Watowa: Ty jeszcze żywa, tego… Aleksander mnie tego nauczył, bo on tam śpiewał to z nimi. I oni mówili o swoim losie, oni mówili, dlaczego oni się stali tymi bandytami. Zresztą Walentin powiedział, on był takim worem, wiesz, na towarowych pociągach. I mówi: „Wiesz, ja zabijam tylko w obronie własnej. Wtedy, kiedy mnie chcą zabić. Ale ja nie zabijam ludzi. Ja – mówi – jestem taki". No, i on oczywiście, i mówi: „Ja stąd ucieknę też, bo ja zewsząd uciekam". Także, i to wszystko zrobił z nas Stalin. A my w gruncie rzeczy tutaj jesteśmy wolnymi ludźmi. Tam jesteśmy niewolnikami.

Trznadel: Tak.

Watowa: A tu jesteśmy wolnymi. Bo Aleksander opowiadał, że oni mówią ze strażnikami – słuchaj, ci strażnicy się ich boją, oni ich tam na wszystkie litery w ogóle i tak dalej, i wymagają respektu i wymagają, żeby się z nimi obchodzono przyzwoicie. Tak że, no… I Aleksander bardzo wiele dowiedział, i oni błagali go, oni tak chłonęli. Słuchaj, tam byli ludzie, którzy byli tak oczytani, którzy znali tak cudownie literaturę. On mówi, że no, jednym słowem – salon. No, i Aleksander, no, i filmy francuskie, i – zresztą mój boże! – takie filmy, wiesz, to on opowiadał Szkłowskiemu i Paustowskiemu, i Zoszczence, bo oni też tego nie widzieli!

Trznadel: Tak, rozumiem.

Watowa: A oni jeszcze pracowali tam – Szkłowski ten – w Mosfilmie, a pisali scenariusze. A oni nie widzieli, błagali go, co się robi w ogóle w filmie w świecie. Bo nie wiedzieli i on im opowiadał, wiesz, te scenariusze itd. A ten Omachadżew on się nazywał, ten jego, przyczepiony do Aleksandra, taki wspaniały zresztą Kazak, wielki. Który mnie właśnie przyjął. Ja miałam

[444] Ros. *Kmatuszki* – do matki.

354:1318619597

namawiać Aleksandra, to on przychodził, tak ze dwa trzy razy tygodniowo, żeby jemu się przypatrzeć. No, Aleksander był trochę, wiesz, robił teatr, więc przychodził jakiś pogarbiony taki, z opuszczoną głową, zmęczony – wiesz, w takiej formie nadzwyczajnej on tam nie był. No, i on ciągle: „Więc co? Zdecydowałeś się?" – „Nie". No – mówi – i tak któregoś dnia on mówi: „Słuchaj, to ja tu jutro, jeżeli do jutra się nie zdecydujesz, to jutro będziesz odesłany do lagru. Już ty swojej żony nie zobaczysz ani syna". I wyobraź sobie następnego dnia przychodzą, a ten Walentin jemu powiedział tak: „Wiesz co, na wszelki wypadek – bo mówi: – Ja stąd ucieknę, to ty mi daj swój adres". I Aleksander jemu dał adres w Ili, gdzie myśmy mieszkali. Następnego dnia przychodzą, „*zabierajsja z wieszczami"*[445]. Więc Aleksander był pewien, że jedzie do tego… wchodzi, no, i mówi tak: „Gdyby pan był tak dobry i pozwolił mi napisać bodaj kilka słów do mojej żony". A on mówi: „Po co to panu? Pan już niedługo swoją żonę zobaczy". Daje mu jego londyński, taki to był paszport londyński, czy jak to się nazywało. Wszystkie jego papiery polskie i *wieszczi*. I Aleksander do mnie przychodzi, rozumiesz. Tyle, że z brodą. Już włosy mu odrosły na głowie trochę. ((śmiech)) I przeszedł z tym polskim tego. I wyobraź sobie, że po kilku tygodniach zjawia się u nas. Siedzimy w tej lepiance, tak widzę Aleksandra, siedzi na jakiejś tam kojce swojej, oparty o ścianę, no, i on zawsze, wiesz, tam sobie coś pisał, coś zapisywał. Ja się tylko zastanawiam teraz nad tym papierem, nad tym ołówkiem. Skąd myśmy mogli tam to zdobyć.

Trznadel: Brać, tak.

Watowa: Gdzie to było? I siedział tam sobie coś notował, trochę mu serce dokuczało. Był po tyfusie, w ogóle tam działy się okropne rzeczy w tym Ili, był umierający. Musiałam mu przysięgać, że go nie zostawię w tej ziemi, że kiedyś, jak to się wszystko skończy to przyjadę. Że on nie będzie tam leżał itd. Że do Polski jego prochy przywiozę. I proszę ciebie, jakieś lekkie pukanie, co mnie zdziwiło, bo tam się nie pukało.

Trznadel: Tak.

Watowa: Drzwi były takie niziutkie, wiesz. Nagle, rozumiesz, otwierają się drzwi. Tak pochylony wchodzi, potem się wyprostowuje – wspaniały mężczyzna, duży, w granatowym garniturze, w ręka na temblaku. Tutaj z dwoma medalami, w lakierkach. I ten Aleksander, który taki był zmęczony, taki wiesz, tak już właściwie mało mówił, tak wiesz, zamyślony – nagle podnosi oczy, zrywa się i rzucają się sobie w objęcia. I krzyczy: „Ola, to Walentin!" Więc ja się

[445] Ros. *zabierajsja z wieszczami* – zabieraj się ze swoimi rzeczami.

355:1103533711

jak szalona na niego rzucam. Aleksander nawet potem mówił, że bał się, że Andrzej będzie bandytą ((rozbawiona)), bo myśmy tak, wiesz byli nieprzytomni na punkcie – bo ten Walentin uratował mu życie, rozumiesz?

Trznadel: Tak.

Watowa: I potem, wiesz, rozmowa. I ten mówi mu: „czy jesteś ranny?". Zaczyna odwijać bandaż – i tu zaczynają się sypać pieniądze. Wiesz, papierowe.

Trznadel: ((śmiech))

Watowa: Co odwija, to tu całe klepisko usłane tymi, no, i mówi tak: „Wiesz co – mówi – uciekłem". Opowiedział, jak zrobił tę ucieczkę. To dla niego wszystko było *fiume*. Potem jak się tam on znał już Ałma–Atę. Potem – każdy z nich ma swoje kobiety, wiesz. Kobiety odgrywają dużą rolę. Krył się w lasach, psy, nie psy, potem poszedł do swojej kobiety, potem jego kobieta mu kupiła ten garnitur. Tylko mówi: „Pozwolicie, że ja zdejmę – mówi – te *batinki*[446]. Czy jak on tam powiedział. (((rozbawiona))) Bo kupiła za ciasne, strasznie go ugniatały. No, i mówi: „Wiecie co? No trudno, musiałem, nie miałem ani grosza, więc musiałem zrobić taki skok. Ale – mówi – mi się udało". To było lato, rozumiesz, i on miał tak szaloną satysfakcję, bo wyobraź sobie, on wszedł na pierwsze piętro w nocy, okno było otwarte i to był partyjny komunista.

Trznadel: ((śmiech))

Watowa: I on jemu – mówi – ja jemu skradłem jego, jego książeczkę partyjną. A za to tam się miało, wiesz, bardzo duże przykrości.

Trznadel: Tak jest.

Watowa: Stracić partyjną!

Trznadel: To tak jak model policyjny.

Watowa: Tak. Mówi: „Ja jemu skradłem". „No – mówi – on miał dobry sen, więc on mu tam zabrał wszystko, co mógł". Nie wiem czy to, co on posiadał to był jeden skok czy dwa. On powiedział, że to był tylko jeden skok. Był ubrany. No, i mówi: „A teraz – mówi – c*haziajka* do mnie: – idźcie i kupcie nam coś do zjedzenia". ((rozbawiona)) I ja poszłam z Andrzejem, wiesz, po zakupy. Bojąc się kupować od jednego, wiesz. A! Bo on jak przyszedł na…

[446] Ros. *Batinki* – buty.

356:1027749982

16_Fon.61.707 Strona B

Watowa: Bo on jak przyszedł na ten – w takim *posiołku*, taka *tołkuczka*, to tam wszystkiego się można… „A kto ty jesteś? Pytają go?" – „A to taki Wat tutaj mieszka. – A kto ty jesteś?" – A, bo tam była taka, Polacy byli. Była ta – jak ja mówiłam – nie ambasada tylko, no…

Trznadel: Delegatura.

Watowa: Delegatura. To ja im trochę szoferowałem. „A teraz – mówi – ja idę z wojny i jestem ranny".

Trznadel: ((śmiech))

Watowa: Przejeżdżałem tędy, to myślę, tego Wata zobaczę. I oni go poprowadzili, wiesz. Zresztą nasi ludzie, rozumiesz? Poprowadzili go tam do nas. No, więc szaloną miałam – wiesz, żebym przyjmowała króla, nie wiem, angielskiego czy królową, to bym nie miała takiej tremy. Bo ja nie umiem gotować, wiesz. I strasznie chciałam, żeby mu coś dobrego zrobić. Więc tu kupiłam tam troszkę tam tego, co tam było do kupienia. I bałam się kupować, żeby nie zauważyli, że ja mam w ogóle pieniądze. No, jednym słowem było cudownie, a potem, w pewnej chwili on powiedział: „Wiesz co? Ja tutaj się rozejrzę". Bo on chciał wiedzieć, wiesz, bo on wiedział… I on wyszedł, ale nie wracał. I Aleksander był zaniepokojony. Mówi: „Idź, zobacz co się z nim stało". Ja – ten posiołek był nieduży – i się pokręciłam. I na skraju posiołka – mówię ci, tam było jedno drzewo na całą wieś – słuchaj, on leżał, ale, wiesz, tak jak dziecko. Ręce tak – wiesz – do tyłu, tak. Głowa odrzucona. I spał. Ale jak ja byłam tam, gdzie są drzwi wejściowe, wiesz, w tej odległości, a chodziłam po piachu.

Trznadel: Tak.

Watowa: To on już był na nogach. I wtedy, rozumiesz, jeden ruch – to już mnie nie ma. I mnie zobaczył. I wtedy ten uśmiech, wiesz, zupełnie uroczy. I powiedział mi: „O, jak to dobrze położyć się tak pod gołym niebem. I patrzeć na niebo". No, odprowadziłam go do chałupy, bo się zapytał, czy my mieszkamy. Ja mówię: „Tu są tacy Kazacy, którzy".

Trznadel: Ja ci jeszcze przerwę. Widzisz, to człowiek, który bardzo dobrze zna się, znał się – już nie żyje, na tych wszystkich sprawach. Szukszyn.

Watowa: Tak.

Trznadel: Ja widziałem jeden z jego filmów *Jarzębina czerwona*. Bardzo piękny. Jest taka scena właśnie jak wychodzi człowiek z więzienia, wiesz, jakiegoś okropnego. I pierwsza rzecz to idzie pod gołe niebo, idzie do lasu, dotyka drzew, wiesz, jakichś brzóz. Ten sam odruch zupełnie.

357:6549063514

Watowa: Ten sam odruch. Wiesz, leżeć na ziemi i patrzeć na niebo. Wiesz, ten dotyk ziemi i to spojrzenie w niebo. I on się już rozejrzał wtedy, wiedział, gdzie są szyny kolejowe, wiedział, gdzie – wszystko wiedział, całą mapę tą miał w oczach. No, ja go uspokoiłam, co do naszych gospodarzy, starzy Kazacy – my im powiemy, że właśnie, że on niby tam pracował. No on sobie ten temblak założył i mówi: „Wiecie co, jak się już tak zaczęło zmierzchać – wyjdziemy przed tą chałupę". I wiesz, tam wielbłądy leżały, tam jakieś tak zwane *iszaki*[447], wiesz co tak – to takie osły wiesz.

Trznadel: Tak.

Watowa: Takie wydają, takie te. I wiesz, tak zapada zmierzch i taka się robi chwila melancholii, wiesz. I my wiemy, on ma już ten adres Broniszównej – Aleksander wie, żeby ona tam położyła, wiesz, nie wiem jakie brylanty, perły – że on niczego nie tknie. Oni mają takie prawo, wiesz. Oni są tak – taką etykę, wiesz, swoją.

Trznadel: Tak, oczywiście.

Watowa: Że on wiedział, że ona na nic jej nie naraża. I on miał taki plan: „Więc tak – mówi – idę na front. Przede wszystkim tak – jadę do swojej siostry na towarowym takim tym" – on się kładzie, wiesz, i na towarówce jedzie. „Mąż mojej siostry – ona jest lekarką – a mąż mojej siostry jest enkawudzistą i on mi ciągle zmienia te. On mi daje coraz nowe paszporty z nowym nazwiskiem".

Watowa: Jak ja będę miał już ten paszport to on idzie na front. To jest pierwsza rzecz. Przy pierwszej okazji oddaje się do niewoli, do Niemców. Potem, oczywiście, ponieważ on tak umie wszędzie uciekać, on ucieka – on dostaje się do Warszawy. No – mówi – słuchaj Aleksandrze, wiesz, bez jakiegoś skoku to ja muszę coś zrobić, żeby mieć jakieś pieniądze. Bo ja ci powiem, ja tak postanowiłem – ja sobie tam otworzę restaurację w Warszawie.

Trznadel: ((śmiech))

Watowa: „I zacznę normalne życie". To był jego plan. Do twojej siostry pójdę, zrobię tam jakiś skok, żeby mieć trochę pieniędzy, i potem zrobię sobie restaurację, i zacznę to szczęśliwe, wiesz, życie na wolności.

Trznadel: ((śmiech)) Cudowna utopia.

Watowa: Rozumiesz? I wyobraź sobie, w pewnej chwili ja widzę, że on już tak odchodzi od nas, że on zaczyna nas… ja nic nie słyszałam, nic. W pewnej chwili on tak, wiesz, złapał nas za ręce i

[447] Ros. Iszaki – osły.

358:5888654354

uścisnął. I wiesz, takie od tego, od tego toru kolejowego, to wiesz, dzieliło nas co najmniej, jak tutaj ode mnie prawie do metra, wiesz, jak będziesz dochodził. I on skakał, no mówię ci, jak tygrys. W ogóle jak on chodził po tej lepiance, ten olbrzym wielki, ta masa tego ciała. Słuchaj, jak on chodził jak kot. On nie dotykał ziemi. To było coś fantastycznego, nie słychać było. I on przeskakiwał, wiesz, jak piłka jakaś, przez te opłotki. I nagle – myśmy nie wiedzieli, dokąd on leci – nagle my go widzimy na tej platformie tego towarowego wagonu! Już niebo jest ciemno, ciemno, ciemnoniebieskie – prawie granatowe. I on, wiesz, z zapalonym papierosem takim, daje nam, wiesz, takie znaki pożegnania na niebie. I odjeżdża. No, i słuchaj, oczywiście, myśmy go nigdy nie widzieli i na pewno – nie wiem – no może dotarł do tej siostry, może na tych wagonach towarowych. Ale jak się potoczyło jego życie dalej?

Trznadel: To i nie wiemy, i pewnie wiedzieć nie będziesz.

Watowa: Nie będziemy, tak. ((śmiech))

Trznadel: Bo cały ten jego plan – ileż w nim było utopii. Ta niewola niemiecka mogła się skończyć tak, jak się kończyły niewole niemieckie dla rosyjskich żołnierzy, prawda? Obgryzaniem drzew za drutami kolczastymi albo rozstrzelaniem.

Watowa: No tak, tylko, że on o tym nie wiedział. Dla niego Niemcy przecież – słuchaj, dlaczego to, te wojska enkawudowskie szły za Rosjanami, bo wszyscy Rosjanie się chcieli oddawać Niemcom do niewoli.

Trznadel: Tak, bo też uważali, że Niemcy to kultura.

Watowa: Czekali! Czekali, bo to było właśnie to, że nareszcie będą wolni... Dlatego oni tak, tak, wiesz, przewozili, wywozili. I dlatego szły te, te wojska enkawudowskie, bo oni o tym wiedzieli, że ludzie się będą oddawać do niewoli. No Jacusiu kochany, nasłuchałeś się dzisiaj.

Trznadel: Dobrze, to zrobimy przerwę, tylko czekaj: trzydziesty.

Watowa: Trzydziesty jest dzisiaj.

Trznadel: Stycznia 1981. Koniec tego nagrania.

Trznadel: Bo ja jeszcze chciałem zapytać ciebie – właściwie to można sobie w jakimś sensie wyobrazić czy…, ale żeby to jakoś było powiedziane, tak jak ty to widziałaś, poprzez to swoje doświadczenie więzienne w czasie paszportyzacji. Właściwie jaki był konkretnie interes czy przymus w stosunku do tych więźniów, którzy byli więźniami, no, na ogół prawa ogólnego, jak mówiłaś. Złodziejami, bandytami, rzezimieszkami, że oni chcieli torturować tych Polaków, co oni za to mieli?

359:8068850308

Watowa: No mnie się wydaje odpowiedź szalenie łatwa, dlatego, że wystarczy wysłuchać jakiegoś człowieka, który bodaj krótki czas siedział w więzieniu, a w każdym bądź razie, wiesz, mam wiele w pamięci opowiadań Aleksandra, który jednak prawie dwa lata siedział, że – powiedzmy – jak dostajesz czosnek.
Trznadel: Tak.
Watowa: Jak dostajesz, wiesz, Jak obiecano takiej kobiecie, która mnie biła, że ona dostanie podwójny *pajok* chleba albo paczkę papierosów albo że dostanie kilka kostek cukru – przy tym odżywianiu, kiedy dawano rano jakąś rurę, kiedy dają ci gliniasty chleb, kiedy zupa jest jakimiś pomyjami, rozumiesz? Kiedy – bo ja wiem – co im tam obiecano. Że, że będzie miała może dłuższy spacer czy, rozumiesz? Wystarczy byle co, jakaś nadzieja na to.
Trznadel: Tak.
Watowa: Albo że – nie przypuszczam, żeby się posunęli do tego, że jej kara będzie zmniejszona. A może nawet tym mężczyznom powiedzieli, że „Słuchaj, jak uda wam się tutaj wszystkich nakłonić, to zamiast, prawda, siedzieć tyle, to będziecie siedzieć o miesiąc czy o dwa miesiące mniej". Tego ja nie mogę wiedzieć. Ale – że to było opłacone z góry, i że to było bardzo zrobione tanim kosztem…
Trznadel: No tak, no w tych warunkach przecież paczka papierosów jest wysoką nagrodą.
Watowa: Słuchaj, paczka papierosów to jest, one nie mają tych – to przecież jest coś nieprawdopodobnego, szczególnie, że każdego rewidują i nie możesz tego papierosa przenieść.
Trznadel: Tak.
Watowa: Także wiesz – poza tym, oni z góry wiedzieli, że mogą nas rozebrać. Już pierwsze, pierwsza zapłata to było nasze ubranie, nasze pantofle – a myśmy jednak, w porównaniu z nimi, byli ubrani nadzwyczajnie. Byliśmy jeszcze tymi Europejczykami, jeszcze mieliśmy resztki naszych rzeczy. Więc już byli poubierani, już rzucili nam swoje łachmany. Ani jeden mężczyzna nie miał garnituru, ani jeden mężczyzna nie miał swojej koszuli, ani jeden mężczyzna nie miał swoich butów. A wyobraź sobie, że do tego jeszcze dorzucają im paczkę papierosów, i jeszcze dają im *pajok* chleba, czy dwa *pajki* chleba. Także rozumiesz, bardzo to sprytnie – musisz powiedzieć – znowu załatwili.
Trznadel: Tak. Sprzęgnięcie wszystkich – nawet więźniów – żeby służyli państwu sowieckiemu.
Watowa: Tak. Tak.
Trznadel: No tak.

360:1131694626

Watowa: No, i tutaj, rozumiesz, ci Polacy, którzy – byliśmy tacy pewni siebie i rzeczywiście pełni dumy, i że się nie damy itd. I okazuje się, że jednak wiesz – ja ci powiem – tak się słyszy, że ktoś jest torturowany, że ktoś siedział, że ci Amerykanie siedzieli, że tam przykładano im rewolwer. I tutaj tak sobie tu siedzisz przy telewizji, ciepło, widno. ((śmiech)) Jesteś najedzony, ale – rozumiesz – to nie jest to samo, co przeżycie na własnej skórze.

Trznadel: Tak, ja zresztą myślę, że to co ty – a zwłaszcza Aleksander tam przeżył – to co przeżyli *otage*[448] amerykańscy, prawda, w Iranie, to jest w ogóle nie do porównania, prawda. To jest idylla jeszcze, mimo że tam były te strachy itd.

Watowa: No, niby mówił ten któryś z tych *otage*, że oni nie robili jakichś takich tortur. Jakaś elektryczność, to inna historia. Ale jednak byli bici.

Trznadel: Nie, nie, więc byli, tam były tortury i historie psychologiczne.

Watowa: No, i były psychologiczne itd. na pewno wielu z tych z ludzi, wiesz, będzie cierpiało przez dłuższy czas.

Trznadel: Tak. Ale jeszcze Irańczycy od Rosjan mogliby się dużo nauczyć.

Watowa: A nauczą się.

Trznadel: ((śmiech)) Tak jak Chińczycy.

Watowa: Ale się nauczą. No już Chińczycy sprowadzali sobie speców. Słuchaj, oni nauczą cały świat!

Trznadel: To może jeszcze jedna sprawa, na którą jeden komentarz. Komentarz jest mianowicie taki, że jeszcze jedna korzyść, o której nie mówimy, z tego mogła być wyciągnięta. Bo w końcu, jeżeli… W końcu im na tym nie zależało, ale mimo wszystko jest jakiś pozór, że gdyby ktoś nie przetrzymał bicia itd. to przecież nie ludzie z władzy więziennej bili, tylko więźniowie pobili się między sobą.

Watowa: Tak. Masz rację.

Trznadel: Prawda?

Watowa: Masz rację. *Ja nie winowat*[449].

Trznadel: Tak, oczywiście! To tam, w celi, prawda. Nie wiadomo kto.

Watowa: Nie wiadomo, kto tam siedzi, myśmy im nie kazali itd.

Trznadel: Nie wiadomo kto.

[448] Fr. *Otage* – zakładnicy.
[449] Ros. Ja nie winowat – jestem niewinny.

361:2891784080

Watowa: Nie wiadomo. Rozumiesz, więc gdyby ktoś z nas był zabity – co było w końcu, wiesz, daje się od takiego bandziocha dostajesz po głowie, dostaniesz w ciemię, proszę ciebie. On cię kładzie trupem na miejscu.
Trznadel: Atak serca.
Watowa: Atak serca, proszę ciebie, na porządku dziennym. [przerwane nagranie]
Trznadel: I druga rzecz. Taka refleksja mi przychodzi na temat, jakichś no, niesłychanych pokrętności tutaj. Mimo oczywiście generalnej prostoty systemu sowieckiego. Bo to wszystko bardzo prosto zmierza do pewnych celów. Ale i pokrętności w tym sensie, że jest to system czasami przeżarty dziwną ideologią, prawda? Tak jakby chodziło o to, żeby więzień, żeby nie tylko doprowadzić więźnia do celu, o który chodzi, ale żeby jeszcze więzień mówił: „Wy macie rację". Chociaż to i tak wszystko jedno. Bo przecież w gruncie rzeczy, wy, będąc pod ich władzą, nie mając żadnego punktu dojścia, paszportyzacja została wymuszona.
Watowa: Tak.
Trznadel: Oni mogli po prostu wezwać: „Myśmy was zrobili obywatelami sowieckimi. Proszę. Macie. Koniec".
Watowa: Tak.
Trznadel: Natomiast im zależy – z powodu jakichś iluzji prawda międzynarodowego, bo przecież ono w tym okresie w takim Kazachstanie prawie żadnej roli nie odgrywa – im zależy, żeby to, żebyście to wy powiedzieli to sakramentalne słowo: „Ja przyjmuję paszport sowiecki". Na co nie ma ani dowodu, ani nagrania, ani nic.
Watowa: Nic.
Trznadel: Ale im jednak na tym zależy. Zdumiewające!
Watowa: A teraz może mi odpowiesz na pytanie, co, właściwie, dlaczego oni chcieli, co to była za chwila, jakie oni mieli cele, że chcieli z nas zrobić obywateli sowieckich. Bo paradoks – ponieważ tam wszystko jest właściwie w końcu paradoksalne – ci, którzy wzięli od razu paszporty sowieckie, ci wyjechali pierwsi do Polski.
Trznadel: Tak, to też jest zdumiewające.
Watowa: Rozumiesz? I o tym wspomina Aleksander, że on właśnie, który nie przyjął paszportu – myśmy byli ostatni, którzy, rozumiesz, którym pozwolono wyjechać. I baliśmy się do ostatniej chwili, że nam nie pozwolą wyjechać. A potem, jak nam pozwolili wyjechać i zobaczyliśmy, że jesteśmy w wagonie, a na stacji pod oknami chodzi enkawudzista i nam się przygląda, i szepcze

362:5777300967

coś do drugiego. I powiedzieli, że nie pozwalają nam przejechać przez Moskwę. I dali nam trasę, która, podczas której mieliśmy do zrobienia co najmniej pięć tak zwanych *pieresiadek*[450]. Otóż, wiadoma rzecz, że w tym czasie, a może nawet i teraz, każde takie zatrzymanie się i zmiana wagonu oznaczało: tygodniami leżeć na tych dworcach, na tych gazetach. Panował tyfus, ludzie umierali. Jak to było zimą to umierali z zimna. I jakeśmy byli w tym wagonie, to żeśmy od razu wiedzieli, że jesteśmy wysłani na śmierć. Powiedziałam wtedy do Aleksandra – zresztą Aleksander powiedział mnie: „Zobaczysz, że na pierwszej *pieresiadce* (bo to już wtedy nikt nie będzie widział) oddalimy się od Ałma–Aty o tych kilkaset kilometrów, gdzieś w jakimś tam polu, stepie, wertepie. Każą nam wysiąść albo nam powystrzelają albo powiedzą: Nie wracacie do Polski. I koniec". I wtedy, rozumiesz, on był przekonany, że tak zrobią. I wtedy, jak masz przed sobą taką alternatywę... Przyjrzałam się, wiesz, tym naszym, no, sąsiadom w tym wagonie. Wiesz, te rosyjskie wagony, takie duże te ławy tam. I w pewnej chwili, widzę, wchodzi oficer enkawudzista. Znaczy się, Aleksander, bo ja się nie znam na tym, tylko Aleksander mi powiedział: „Uważaj, to jest enkawudzista. Bo on się już znał na tych, wiesz, odznakach". Jak pociąg ruszył ja sobie tak pomyślałam: „Mamy wysiąść, maja nas zaaresztować, mają nas tam gdzieś tam rozstrzelać albo w ogóle nas nie puścić do Polski". I ja mówię do Aleksandra: „My nie wysiądziemy. My jedziemy do Moskwy". Bo ten pociąg szedł do Moskwy, wiedzieliśmy już od sąsiadów, zaczęłam z nimi rozmawiać, że oni jadą do Moskwy.

Trznadel: Rozumiem.

Watowa: I wiesz, automatycznie podniosłam się, podeszłam do tego oficera i powiedziałam mu: „Proszę pana, tak i tak, prawda, więzienie, zesłanie" itd. Wszystko mu powiedziałam, jak było. „Jesteśmy Polakami. Teraz mamy wrócić do Polski. Jesteśmy szczęśliwi, bo wracamy do Polski. Ale każą nam robić te *pieresiadki* i ja wiem, mój mąż jest chorym człowiekiem, wyczerpanym. Jest chory na serce. Mój syn jest osłabiony, ja też". Wiesz, oczywiście to wszystko jeszcze tego. „Niech mi pan powie, czy my nie możemy się ratować w ten sposób, że ponieważ pozwolono nam wrócić do Polski, żebyśmy pojechali do Moskwy bezpośrednio. Tam jest nasza ambasada i stamtąd wyjedziemy do Polski." – „*Paczemu niet. Pajeżdżajcie!*"[451] I tu nagle ci Rosjanie słuchaj, tacy szczęśliwi. Ale mówi: „Nie bójcie się. Nic wam nie zrobią".

Trznadel: Tak.

[450] Ros. *Pieresiadka* – przesiadka.
[451] Ros. *Paczemu niet. Pajeżdżajcie* – czemu nie? Jedźcie!

363:4967997731

Watowa: Kto by tam robił *pieresiadki. Pajeżdżajcie w Maskwu*. *Nikt tam was nie troniet*[452]. Słuchaj, cały wagon wziął w tym udział. A pierwszy enkawudzista mówi: „Co tam – mówi – Jak pani chce jechać do Moskwy, niech pani jedzie do Moskwy. Nikt pani nie będzie tego".
Trznadel: To są te…
Watowa: Tylko rozumiesz, już mi tu jeden Rosjanin mówi: „Chaziajka – mówi do mnie – ale wiecie, tu trzeba zadziałać. Więc idźcie sobie do *pierewodczycy* i sobie z nią pomówcie. Czyli dajcie jej pieniądze". Ja poszłam do *pierewodczycy*. I już tak trzymałam te ruble, rozumiesz, tak, że one mi wystawały z ręki. Ona przede wszystkim patrzy na rękę. ((śmiech))
Trznadel: ((śmiech)) Tak.
Watowa: I powiedziała mi: „Słuchajcie, mój mąż chory i tak dalej. I ja zresztą tu pytałam – każdy, tacy mili jesteście ludzie i dobrzy, i tam wszyscy powiedzieli, że możemy, i że to nie szkodzi, i że możemy pojechać do Moskwy, więc już zróbcie tak, żeby nie trzeba". To on mówi: „Śpijcie spokojnie". Przede wszystkim już miała pieniądze. Mówi: „Tu przyjdzie taka kontrola, to ja się z nim podzielę". I koniec.
Trznadel: ((śmiech))
Watowa: ((śmiech)) I koniec.
Trznadel: No tak. ((śmiech))
Watowa: „Ja się z nim podzielę, a – mówi – wy nie zawracajcie sobie głowy, jedźcie do Moskwy".
Trznadel: Ręka rękę myje.
Watowa: I już. Ja się z nim podzielę, on nawet nie podejdzie – i nie podszedł. Żadne papiery, żadne dokumenty – nic. Słuchaj, przyjeżdżamy do Moskwy – wyobrażasz sobie – z jakim uczuciem. Bo tu myślę, jak od nas w Moskwie zażądają biletu do Moskwy itd. I nie mamy! Jak nas zaczną odsyłać, wiesz, to była chwila rzeczywiście prawdziwego strachu. Nikt nas nie zatrzymuje, nikt nie pokazuje biletu. No, wiesz, to jednak były te czasy, tłumy się pchają. No, i my wychodzimy na Moskwę. Robimy te pierwsze kroki, nagle, wiesz, podchodzi do mnie jakaś para. *Z kakowu łagiera, z kakowu łagiera*?[453] Bo ja, rozumiesz, miałam ((śmiech)) to co mi zostało, bo ta peliskę, bo to była ta ostatnia. Ale ja miałam takie – wiesz, to się nosiło takie łapki karakułowe – i one się w ogóle rozlatują, no, ale w tych warunkach. Więc ja, rozumiesz, takie

[452] Ros. *Nikt was tam nie troniet* – nikt was tam nie tknie.
[453] Ros. *Z kakowu łagiera* – z jakiego łagru?

364:3806974379

miałam powstawiane łaty. Tu było trochę łatek – to była jakaś szara łata, tu były łatki – tu była zielona łata. Niebieska. W ogóle wszystkie, taka byłam cała w łatach. A tutaj, żeby mi było cieplej, to się wzięłam taki sznur do wieszania bielizny – albo w ogóle jak Achmatowa wzięła, żeby się powiesić – i tak się ściągnęłam tym sznurem, wiesz. Więc rozumiesz. Oni tylko *z „kakowo łagiera, z kakowo łagiera?”.* Wiesz, to były pierwsze słowa z Moskwie, które usłyszałam: „*z kakowo łagiera?”.* To ja mówię: „Nie, nie z łagiera, tylko właśnie”. I idziemy do ambasady. Polskiej ambasady w Moskwie w czterdziestym szóstym roku.

Trznadel: Tak.

Watowa: I na kogo wpadamy? Na Lisę. Wiesz, kto to jest Lissa? Muzykolog.

Trznadel: Zofia Lissa.

Watowa: Zofia!

Trznadel: Tak, wiem!

Watowa: Zofia. No, i Zofia Lissa, którą żeśmy – Aleksander znał i ja znałam. Słuchaj, jak ona nas zobaczyła, ona miała… – „Ale przede wszystkim trzeba wam zmienić te rzeczy”. Ja mówię: „Proszę panią, nie przede wszystkim rzeczy, mnie wszystko jedno. My tak pojedziemy, tylko byleby do tej polski, niech pani tylko zrobi jakieś bilety, niech Pani da jakieś papierki do Polski. Do Polski, do Polski, do Polski!”. Więc ona mówi: „Panie Aleksandrze, ale to musi trwać, chociaż dzień, chociaż dwa. To pójdziecie do opery, to pójdziecie zobaczycie tego Lenina”. ((śmiech))

Trznadel: ((śmiech))

Watowa: No, więc ja mówię: „Nie, nie, nie, nie!”. Ona mówi: „Pani Olu, ja nie dam rady. Ja nie dam rady, żeby. Ja was umieszczę pod Moskwą, w takim domu, gdzie właśnie tacy różni ludzie, którzy wracają tam, wracają okazuje się z łagrów itd. Ja was tam umieszczę, tymczasem ja będę załatwiać. Pani będzie spokojna! Jedziecie do Polski, ale to musi potrwać dwa, trzy dni. Będziecie… Luksusowo pojedziecie do Moskwy”. – „Ale ja panią błagam, niech pani, ja się postaram, mamy różne rzeczy. Ja bym tak chciała panią przebrać”.

A ja nie. ((śmiech)) a ja tylko chcę tak wracać do tej Polski, rozumiesz?

Trznadel: ((śmiech))

Watowa: No, ale ona już taka poczciwa, już tak chciała… Wiesz, już nam dawała te bilety, to wiesz, już jej tego nie mogłam zrobić. Ale dała mi takie jakieś (*depies)*, jakich w buraczkowym kolorze. Oczywiście wszystko dary amerykańskie, to były dary amerykańskie, ale ja się nie

365:3574134308

pozbyłam tego. Ja w ogóle przyjechałam z sucharami dla krowy, kupiłam od jakiejś baby, bo ci enkawudziści mówili, że *padochniem tam z gołoda*[454], bo w tej Polsce jest tak źle. Że będziemy w ogóle biegiem do Rosji wracać, rozumiesz? Więc ja z tymi sucharami, z tymi dziurawymi miskami. Słuchaj, ja miałam takie rzeczy…

Trznadel: ((śmiech))

Watowa: Że wiesz, jakbyś tutaj wszystkie pubele przeszukał, to byś nie znalazł takiego asortymentu rzeczy, jak ja miałam. To było niesamowite! I wiesz, i te łaty, i to wszystko i tak przyjechałam do tej Broniszówny. No, jednym słowem, pojechaliśmy wiesz, tam za Moskwę. Do tego domu. I wiesz, to jest ciekawe. Tam były kobiety i mężczyźni, którzy byli w łagrach. To nie byli tylko Polacy. To byli Polacy, którzy tam siedzieli już po kilkanaście lat.

Trznadel: Tak.

Watowa: To byli tacy Polacy jak Hempel, którego zabili, rozumiesz? Itd. Bo oni mówili po polsku. Bo oni… i tam była między innymi kobieta, która siedziała jakieś jedenaście lat w łagrze. Ja tam widziałam scenę, której do końca życia nie zapomnę. Wyobraź sobie, że jak ją zabrali, ona miała dziecko kilkumiesięczne i to dziecko jej zabrali. I tego dnia ona, wiesz, chodziła po tym takim korytarzu, tam i nazad. Ja się dowiaduję, że ktoś z tych ludzi, którzy prawda, się nią tam, jakieś władze, że powiedzieli, że jej przyprowadzą jej dziecko. Z tego *dietdomu*. I nagle, ja już wiesz, ja byłam jak zafascynowana, a Aleksander… a Andrzej chciał koniecznie zobaczyć Lenina!

Trznadel: Tak.

Watowa: Więc Aleksander mnie błaga: „Chodź, wyjdziesz. A to ci coś kupię". A ja mówię: „Nie, ja chcę… tylko do pociągu stąd wyjdę, nigdzie nie pójdę". I oni poszli. No, i ten Andrzej koniecznie tego chciał. A potem Aleksander powiedział: –„Dobrze, wiesz… Lenina to lepiej go nie oglądaj, ale tę cudowną cerkiew, wiesz, Błazennego, tę na placu kremlowskim, to będziesz żałowała, bo to jest jedyna. Bo wiem, że już nigdy do Moskwy nie przyjedziesz". ((śmiech)) I słuchaj, nagle wchodzi ten mężczyzna i sprowadza chłopczyka, który ma – wiesz, jeżeli ona siedziała jedenaście, no jeżeli siedziała dziesięć – w każdym bądź razie…

Trznadel: Olu, czekaj.

Watowa: Tak. Skończyło ci się? Ach, mnie się skończyło? Tak.

Trznadel: Tak. To jeszcze może byś to skończyła.

[454] Ros. *Padochniesz tam z gołoda* – umrzesz tam z głodu.

366:1042205067

Watowa: Tak? Może. Tylko o tym dziecku. To co? A! Bo musisz przełożyć?
Trznadel: Teraz możesz mówić.
Watowa: Więc wchodzi to dziecko, rozumiesz, ten chłopaczek. I rozumiesz, dziecko nie zna swojej matki, i matka nie zna swojego dziecka. Wiesz, ona nagle pada na kolana przed tym dzieckiem, i to dziecko rzuca się tej matce na szyję. Wiesz, z ostrzyżoną głową, w takim jakby szynelu, wiesz. Widać – dziecko z sierocińca. Dziecko, które nie doznało ciepła, niczego.
Trznadel: Tak.
Watowa: I on się rzuca w objęcia tej matki. Wiesz, to jest scena, rzeczywiście, że jeszcze teraz muszę ci powiedzieć, jak o tym mówię to mnie w gardle ściska. I potem dzień, wiesz cały, ja byłam prawie z nią. I ona go położyła do łóżeczka, i ona klęczała przy nim, i ona go karmiła, i ona z nim rozmawiała, i wiesz – tak jakby całą czułość przez te lata całe to dziecko nie doznało, jakby chciała mu w ciągu jednego dnia wszystko dać. A przy tym były tam kobiety i toczyły się ciągle dyskusje. Mężczyźni, kobiety, co po latach wyszli z łagru. I rozumiesz, ja tam słyszę to znane wiesz, powiedzenie: lepiej, żeby stu niewinnych zginęło niż jeden winny umknął.
Trznadel: Oni to mówili?
Watowa: Tak, ci, ci, co dopiero zostali…
Trznadel: Po tych doświadczeniach?
Watowa: Tak. Po tych doświadczeniach
Trznadel: Tak indoktrynowani ciągle? Straszne.
Watowa: I to ja słyszałam. Więc teraz już się tylko na (). Ponieważ to jest tak niewiarygodne dla mnie. Ale było powiedziane, z taką twardością, z taką! Jeszcze widzę tę kobietę, która mówi: „Nie zgadzam się z Tobą. Lepiej, żeby stu niewinnych zginęło niż żeby jeden wróg miał się tego…”. Czyżby ona to powiedziała, dlatego, że może mnie zobaczyła i myślała, i wiesz, ten strach zakorzeniony, że nagle, nagle się coś może z nią stać. Niemniej, słuchaj, można było w ogóle o tym nie mówić. Jak jej to w ogóle mogło przez gardło przejść? I to, rozumiesz, to o tym mówili ci więźniowie i ci, którzy tyle…
Trznadel: Na tym tle można zrozumieć, częściowo, dlaczego ludzie w niektórych procesach przyznawali się do win, których nie popełnili. Miłosz o tym pisze w jednym z esejów, że to jest jakiś typ indoktrynacji w społeczeństwach prymitywnych. Że jak czarownik powie: „Zabiłeś, ugotowałeś i zjadłeś swoje dziecko” – to ten człowiek w to wierzy, bo czarownik wie na pewno, a on się może mylić.

367:3081988234

Watowa: Tak.
Trznadel: Więc tu jest ten sam typ magicznej, ideologicznej indoktrynacji, prawda?
Watowa: No tak, ale zastanów się nad społeczeństwem, które nie miało tych czarowników i wierzyło w czarowników. To był jednak prawie pierwotny człowiek. A tutaj masz – w końcu jesteśmy w XX wieku – i czy rzeczywiście myślisz, że możemy tak ulegać?
Trznadel: No, no, to ja tu powtarzam Miłosza, ale myślę, że my też ulegamy pewnym takim procesom, tylko w inny sposób. I że każda ideologia jest pewnym typem indoktrynacji magicznej w końcu. I ideologia totalitarna też jest typem indoktrynacji magicznej, prawda. Że jeżeli się – no mój boże, no, no, no – wierzyli ludzie w takie rzeczy, prawda? Tak jak słuchaj, typ indoktrynacji magicznej dzisiaj, że są ludzie na Zachodzie, w Stanach, którzy nie wierzą w to, że były obozy.
Watowa: No tak.
Trznadel: Że były obozy!
17_Fon.61.708 Strona A
Trznadel: We wszystkich książkach o doświadczeniach, o wszystkich dokumentach – nie, tego nie było. Mało! Przecież w Niemczech są tacy ludzie, którzy w to nie wierzą.
Watowa: Ale tak. W Niemczech, w Ameryce piszą o tym *Holocaust*, o tym filmie. I podobno są dziesiątki już teraz książek na ten temat, że to jest wszystko zmyślone przez Żydów, że nie było żadnych komór gazowych, że nie było żadnego proszę ciebie…
Trznadel: Przesadzacie, powiedzą, nie było tego. Ja ci opowiem tak, może wiesz, na zakończenie tego problemu, bo to ważne – indoktrynacji. Takie banalne zupełnie wydarzenie z roku sześćdziesiątego ósmego we Francji, kiedy była ta, niby to rewolucja czy rewolta młodzieży, co de Gaulle potem nazwał maskaradą – Xiaon Li. Ja stoję gdzieś tam na Boulvarde Saint Michael czy Boulvard Saint Germain. Tu jest jakaś barykada, tutaj stoją policjanci w kaskach i prawie w maskach. Na nich sypią się jakieś kamyki tej rozbestwionej – prawda czy kamienie i nawet oni kulkami metalowymi strzelali
Watowa: Tak.
Trznadel: Tej rozbestwionej młodzieży. I pytam młodego człowieka, czego oni chcą. I on mówi: „My chcemy wolności. Ja mówię jak człowiek, no, z Polski…”
Watowa: No właśnie!

368:2022338579

Trznadel: „Przecież właściwie to macie tu dużą wolność". – „Nie mamy żadnej wolności, bo nam tych frachtów nie pozwalają rozpowszechniać itd. My chcemy socjalizmu". Na co ja mówię: „w Polsce jest socjalizm" – i to było po doświadczeniach marca '68 – i tam też się nie pozwala frachtów rozrzucać. A czy – ja go pytam – czy on wie, co w socjalizmie zrobiono ze studentami polskimi po tych wszystkich rozruchach? Co policja z nimi? A on mówi: „Nie wiem". Ja mówię: „To trzeba, żeby wiedział. W socjalizmie zamknęli ich do więzienia za to, że właśnie rozrzucali frachty i chcieli wolności". Na co ten chłopak mi odpowiada: „No, i bardzo słusznie policja zrobiła. W socjalizmie trzeba dyscypliny". I tu masz magiczną indoktrynację. Tego, ja wiem, może to był jakiś komunista albo młody chłopak.
Watowa: Straszne.
Trznadel: I rozmowa się skończyła, prawda?
Watowa: Tak.
Trznadel: To już nie ma dalej argumentów. Więc, wiesz, co się dziwić indoktrynacji w Związku Radzieckim, gdzie w końcu od dziecka w nich to wszystko pompują. Jeżeli w takiej Francji, gdzie masz konfrontacje, dokumenty itd. (*En marche),* który robi rzeczy niemożliwe, jednak zdobywa dla siebie, nie tylko, prawda, zwykłych robotników, ale i zdobywa intelektualistów, i jest ta indoktrynacja.
Watowa: Tak.
Trznadel: No dobrze, to jeszcze raz powiem tę datę: 30 stycznia 1981. Koniec nagrania. Bo później to już…. Mi się wydaje, że dzisiaj zrobiliśmy ładną, ładną robotę.
Watowa: ((śmiech))
Trznadel: Tak. 27 lutego 1981. Początek nagrania. Chciałaś wrócić do tego domu, prawda?
Watowa: Jacek, czy to nie powinno być zwrócone w twoją stronę?
Trznadel: Nie, nie.
Watowa: To wszystko dla mnie? (((zdziwienie)))
Trznadel: No raczej tak, bo ty jesteś ważniejszą osobą niż ja.
Watowa: Ach, ty jesteś najważniejszy. Słuchaj, więc jesteśmy – znaczy się – jesteśmy w tym podmoskiewskim domu. Jesteśmy w tym podmoskiewskim domu, no, i mówiłam ci o tym, właśnie o tym przeżyciu moim w związku z tą kobietą, spotkaniu z jej dzieckiem.
Trznadel: Tak.

369:1032092247

Watowa: W gruncie rzeczy z tego pobytu w domu – poza tą sceną i poza tymi rozmowami tych łagierników, Polaków, którzy wracali, gdzie padały właśnie tego typu zdania: ale już nie będę tych powtarzać: tych stu niewinnych lepiej, żeby zginęło niż jeden winny, żeby się wymknął – to właściwie wiesz, nie mam wspomnień. Wiem, że były tam sosny jakieś i trochę – nie wiem dlaczego – myślę teraz o Pasternaku, wiesz. Bo to są takie dacze, trochę podmoskiewskie.
Trznadel: O rosyjskim Pasternaku?
Watowa: Tak. Jak wiesz, jak Pasternak był taki prześladowany i ta Łara jego tam mieszkała, to właściwie nie Łara, bo to nie z powieści. I on tam przychodził do niej. Ale z czego ja to wzięłam, to ja nie wiem. Czy nie z Nadjeżdży Mandelsztam. Wiesz, teraz mi się wszystko pokręciło, ale nie będę mówić o Pasternaku. ((śmiech)). No, więc jednak wyszłam na Moskwę. Aleksander zaprowadził mnie na *Krasnyj Płoszczat'*[455], że on koniecznie zobaczyła *cerkow błażennowo*[456], która jest rzeczywiście przepiękna. [dźwięk syreny, ambulans]. Ale pamiętam jak tutaj, wiesz, po prawej stronie miałam Kreml, idąc w stronę tej cerkwi, patrząc na te wspaniałe kopuły. I rozumiesz, świadomość, że ten potwór tam siedzi i miałam rzeczywiście ((śmiech)) rodzaj paraliżu całej prawej strony. Mi się wydawało, że on jak szatan jakiś nagle wyskoczy albo ręka się jakaś olbrzymia, która nas złapie za głowę, za włosy… i znowu nas da w jakieś podziemia kremlowskie wsadzi. I jeszcze jedno mam wspomnienie z tego... z Moskwy. To jednak Aleksander się uparł, żeby chociaż mojego ukochanego, wiesz, Majakowskiego, żeby zobaczyć jego metro, bo tam jest stacja Majakowskiego, w marmurach itd. I znowu, wiesz, te kobiety, w jakichś kaftanach, chustach, wiesz, szalona nędza, wśród tych marmurów, wiesz, ten kontrast ubogiego tłumu, rozumiesz? Nędznego tłumu. I wiesz, tutaj marmury, i tutaj nagle tam zdaje się jakiś olbrzymi portret Majakowskiego, coś tam jest, ta jego głowa. No, i wsiedliśmy. I wiesz, tego widzisz, to mi zostało. Tyle lat. Ja wśród tłumu, tego ludzi, wiesz, tego proletariatu. Ich proletariatu, który był w zupełnej nędzy, zobaczyłam właśnie takiego *bywszego czełowieka*, takiego inteligenta. I wiesz, że to było tak wstrząsające, to była twarz niesłychanie ciekawa. Ogromnie taka *sansible*[457], bardzo tego… i mimo to że myśmy też byli w łachmanach, myśmy patrzyli na siebie, ale wiesz, w taki sposób, że on w nas zobaczył swój świat jakiś dawny. A ja w tym… on robił na mnie wrażenie, wiesz, intelektualisty. Bo to była rzeczywiście niesłychana, ale

[455] Ros. *Krasnyj Płoszczat'* – Plac Czerwony.
[456] Ros. *cerkow błażennowo* – Cerkiew św. Błażeja.
[457] Fr. *sansible* – rozumny, myślący, rozsądny.

370:5246236578

bardzo taka poorana, zmęczona – i to szalone zmęczenie, wiesz. Nie fizyczne – psychiczne zmęczenie tym życiem. I wiesz, ja widzę w tej chwili tego człowieka. Także, poza tym nie chciałam absolutnie wychodzić. No tyle, że mówiłam ci, że Andrzej zobaczył tego Lenina. No, i Aleksander, oczywiście, kupił mi, wiesz, po tylu latach, na takiej *tołkuczce* moskiewskiej, przyniósł mi różową taką koszulkę dzienną, której nie widziałam przez sześć lat. Oczywiście to była amerykańska, ((śmiech)) z tych darów amerykańskich. I Lissa dotrzymała słowa. Cały nasz ten pobyt trwał zaledwie – no zaledwie, wtedy to mi się wydawało, wiesz, wiecznością – jakieś pięć, sześć dni. Więc tak, przede wszystkim, zmusiła mnie do przebrania się, ale ja łachmany wzięłam ze sobą. I Andrzeja ubrała i tam Aleksandrowi coś dała na grzbiet. No, i, proszę ciebie, do wagonu, tam na stację. I wyobraź sobie, nie wiadomo w jaki sposób, jeden z – niestety nie pamiętam jego nazwiska, możliwe, że Andrzej mi przypomni – jeden z największych przyjaciół Majakowskiego dowiedział się widocznie od kogoś, że my… I on przyszedł tam na stację. On wiedział, że my wyjeżdżamy. Może, może, może wiedział od Szkłowskiego, bo on był w Ałma-Acie, i jak on się tam znalazł potem w tej Moskwie? W każdym bądź razie pamiętam. Ale oczywiście zrobiło na mnie ogromne wrażenie, wiesz, z tej nędzy wchodzimy do wagonu. Nie wiem, czy ty znasz te rosyjskie wagony, ale pierwszej klasy lampka, rozumiesz, z jakimś abażurkiem stoi na takim stoliku. No, w ogóle jakiś komfort, luksus niesamowity. No, i jedziemy, wiesz, zupełnie już, jedziemy do Polski. Po bardzo krótkim czasie zorientowaliśmy się, że jeszcze gdzie indziej, w innych wagonach są także Polacy. Ale trzeba powiedzieć, że Lissa jakoś uważała, że nas trzeba jakoś luksusowo urządzić. (((rozbawiona)))

Trznadel: Rozumiem.

Watowa: Ale myśmy sobie tam zaczęli chodzić po tej drugiej czy trzeciej klasie i tam było dużo Polaków. I wiesz, nagle granica Polska. Gdzie była ta granica Polska – zabij mnie, nie wiem. Jak to się nazywało?

Trznadel: Z Moskwy?

Watowa: I tutaj nagle, wiesz, no wiesz…! Wybuch! [sygnał ambulansu] Jakiejś, wiesz, radości, ale właściwie to była i rozpacz. Rozpacz tego przeżycia, tych sześciu lat, wiesz, tej rozłąki i odnalezienia tej Polski. I rzeczywiście tutaj obcy zupełnie ludzie rzucali się sobie w ramiona, całowali się, krzyczeli, w ogóle: „Polska! Niech żyje Polska!”. Już na nic żeśmy nie wracali uwagi. Ale rzeczywiście to było wstrząsające! I nagle wszystko, wiesz, jakeśmy przejechali kilka

371:6988163916

metrów po tej ziemi, nie kilometr, to wszystko mi się wydało inne. Mówię: „Ol, no zobacz. Jakie niebo! Niebo jest inne! Ziemia jest inna, drzewa są inne!” ((śmiech))
Trznadel: ((śmiech))
Watowa: Wiesz, bo myśmy przyjechali w kwietniu, 26… nie, nie 26. Zapomniałam! 46 rok, kwiecień. W każdym razie kwiecień przed wielką nocą, dlatego że Wielkanoc żeśmy święcili w Polsce. I rozumiesz…
Trznadel: To był chyba, przepraszam, chyba Brześć Litewski. To chyba w Brześciu jest granica i tam idzie linia z Moskwy. To pewno można by odtworzyć.
Watowa: Tak. To było bardzo wstrząsające, to było naprawdę wstrząsające. I powiem ci, że tak jak papież, który całuje – ale on wszędzie całuje ziemie – to, gdyby nas tam puszczono i zatrzymano, to ja jestem przekonana, że zupełnie – wtedy nie myślałam o tym – ale na pewno wszyscy byśmy się na ta ziemię rzucili, wszyscy byśmy tą ziemię całowali. Oczywiście, wiesz, przyjeżdżamy niby do Warszawy, ale okazuje się, że jesteśmy w jakimś polu. Pociąg się zatrzymuje i mówią, że jesteśmy w Warszawie. Myśmy sobie w ogóle nie zdawali sprawy z tego, jak wygląda Warszawa. Że Warszawa to są ruiny, że to to jakieś góry kamieni. Niemniej, wiesz, od samej Warszawy, tam prawdopodobnie nie można było dojechać i pociąg stanął. No, i tutaj każdy jednak ma te węzełki, rozumiesz, te węzełki.
Trznadel: Tak.
Watowa: Jak ci mówiłam, jak wyglądał ten bagaż mój podziurawiony, jakieś garnki itd. I te suchary dla krowy. Ale za boga bym się z tym nie rozstała. No, więc Aleksander już tutaj nas zostawia i mówi: „Może jednak tu jakoś znajdzie się jakaś możliwość, żeby nas podwieziono”. No, i stoi jakaś, gdzieś tam, z dala na boku jakaś wspaniała limuzyna. Olek podchodzi, no, i szofer. A on mówi: „Panie, ja nie mogę, bo ja tu czekam na generała rosyjskiego”. Więc on miał przyjechać właśnie z Moskwy. A Aleksander mówi: „A wie pan skąd my przejeżdżamy? Z Kazachstanu”. I ten, rozumiesz, ty rozumiesz, Polak, który przyjechał po generała! To to już nie jest zwykły Polak. ((śmiech))
Trznadel: Tak.
Watowa: I ten Polak, rozumiesz, to znaczy tak zaufany, który jedzie po generała rosyjskiego mówi: „Panie, do czortu z tym generałem! Takie ofiary!” – mówi. „Taka męka, takie to… wyście tam byli. To Pan siedział w więzieniu! To wyście byli na zesłaniu! Niech pan tu sprowadza rodzinę, niech czortu do niego, ja was odwożę!”.

372:8128461428

Trznadel: Piękne!
Watowa: Piękne było. Wiesz, takie rozumiesz, ten. I odwiózł nas na Pragę. I tam Aleksander oczywiście mówi: „Proszę pana, ja tego…" On mówi: „Ja bym od pana pieniądze wziął? Pan mnie obraża! Ja od rodaka takiego? Nigdy!". No to Aleksander mówi: „No to niech mi pan chociaż da swój adres, żebyśmy wódki się mogli razem napić". Ale on jednak adresu nie dał, bo on czortu, wiesz, już był ostrożny i mówi: „To my się spotkamy jakoś". I znikł. [sygnał ambulansu] I okazało się, że myśmy się znaleźli przed bazarem – jak się ten bazar nazywa?
Trznadel: Różyckiego.
Watowa: ((śmiech)) chciałam powiedzieć – Różewskiego. Różyckiego. Wiesz, zaczął już tak, lekki był zmrok. Ten bazar się zamykał i Aleksander powiedział tak: „Siadajcie na tłumokach i nie ruszajcie się. Bo jedyny adres jakeśmy mieli to był Teatr Polski. Broniszówna występowała w *Lili Wenedzie* – tak? Bo ja zawsze chcę powiedzieć Roza Weneda – w Lilli Wenedzie. W Lilli Wenedzie To było jedyne cośmy wiedzieli, to w jakiś sposób do nas doszło. Bodaj czy nie Lissa miała pisma polskie i nam powiedziała: „Pana siostra występuje z Polskim Teatrem". Bo ja nic nie wiedziałam o moich siostrach, nic, gdzie, co, jak – żadnego adresu! I Aleksander nas zostawia i po tych gruzach, wiesz, dostaje się – bo wtedy krążyły takie ciężarówki, wiesz, itd. co się po dwadzieścia osób itd. on się tam tego – i on pojechał do teatru. A ja tutaj widzę – wychodzą te, wiesz, kobiety i mają taką niesłychaną ilość płaszczy, wiesz. Ale dobrych płaszczy! Z karakułowymi kołnierzami, jakieś pelisy itd. i wiesz, tak mi się to wydało – bo, takie mi się to wydało dziwne, wiesz, te płaszcze. To, co te kobiety sprzedawały, w tym była, wiesz, rzeczywiście, była jakaś śmierć, wiesz? Bo już po drodze mówiło się o tym, już zaczęły dochodzić słuchy, co się działo, wiesz. Co się działo, o tym mordowaniu, itd. I oczywiście to były, wiesz, te rzeczy po tych ludziach, którzy poginęli. Tymczasem Aleksander w pegazie, rozumiesz, tam do Teatru Polskiego wpada tam za kulisy, więc, taka – prawda – która się zajmowała tym… Jak się nazywa taka osoba, która przebiera aktorów itd.? Mówi: „A pani Broniszówna to jest ta – chciałam powiedzieć cela – to jest ta loża, ale niech się pan spieszy, bo ona zaraz na scenę wychodzi". I wiesz, Aleksander już nie puka, otwiera drzwi, ona stoi, wiesz, przy umywali – tyłem do niego i myje ręce. I tam sobie mruczy pod nosem, powtarza swoją, wiesz, to co ma powiedzieć. (((rozbawiona))) I nagle odwraca się do niego, a tu już krzyczą: „Broniszówna na scenę". ((śmiech))
Trznadel: Tak.

373:4533185777

Watowa: I ona tylko, wiesz, klucze. Mówi tam: „na Pradze (nie wiem jaka to była ulica), taka i taka ulica, numer mieszkania taki i taki. Będę tam o jedenastej, wpół do dwunastej".
Trznadel: Niesamowite.
Watowa: Tyle, że się ucałowali i ona popędziła. I on z kluczami znowu, wiesz, jakimś tam takim, taką ciężarówką przyjechał do nas.
Trznadel: Bardzo to takie ogromne przeżycie, przecież. Symboliczne, godne literatury przecież. Takie spotkanie!
Watowa: Coś niesamowitego, wiesz, coś niesamowitego. I idziemy. Idziemy na Pradze, nie wiem – jakieś pierwsze piętro czy drugie piętro. To było mieszkanie kilkupokojowe. I już Szyfman, wiesz, to był dom już, który Szyfman wynajął dla aktorów. Wchodzimy. I wyobraź sobie, mieszkała tam Boyowa, wdowa po Boyu ze swoim synem, który był aktorem – bo syn Żeleńskiego, Boya–Żeleńskiego był aktorem.
Trznadel: Tak, ja wiem.
Watowa: Jego żona była aktorką – Sokołowska. Ona występowała w operetce, a potem przeszła z operetki, zaczęła tam grywać, gdzie grywano. Zapomniałam jak syn Boya miał na imię.
Trznadel: Władysław.
Watowa: Władysław?
Trznadel: Nie jestem pewien, w każdym razie to nazwisko długo w teatrze występowało w Polsce po wojnie.
Watowa: Tak, to wiesz, nie był dużej miary aktor.
Trznadel: Tak.
Watowa: Ale bardzo miły człowiek, a Sokołowska była uroczą kobietą. Niesłychanie była dobra dla Boyowej, opiekowała się nią. I rzeczywiście, wiesz, była czymś ważnym w życiu Boyowej, wiesz, w tym okresie. Dlatego że, rozumiesz, na niej się ty wszystko trzymało, bo Boyowa już nie miała siły, tak. Ona, wiesz, gotowała, ona się zajmowała domem, ona się zajmowała Boyową, prawda. I, prawda, występowała i pracowała, i zarabiała na życie – razem oczywiście z synem. Więc wchodzimy do pokoju Broniszównej – no, i tutaj, słuchaj, wersale to w ogóle jest nic. Wiem tylko, że był tapczan, i było, wiesz, takie lustro, co to dawniej, wiesz, takie były lustra, co na dole takie były – jakiś taki rodzaj stoliczka. Wiesz, to się specjalnie nazywało.
Trznadel: Treno chyba.
Watowa: Jak?

374:9618018324

Trznadel: Treno.
Watowa: Treno! A może inaczej, ale coś podobnego. Treno. Tak.
I ona – jej się jakoś uratowała, nie wiem w jaki sposób. W Klarysewie, w którym ona mieszkała przed wojną ze swoim mężem, była tam taka olbrzymia, niedźwiedzia skóra. Biała. I ta skóra leżała – wiesz, bo to jest taka przeszłość, to było jedyne z przeszłości, na tym jej tapczanie leżała ta olbrzymia, wiesz, niedźwiedzia skóra. I tutaj już ci opowiem wejście Broniszówny. Będę mówiła Seda, wiesz, bo to będzie prostsze.
Trznadel: Tak.
Watowa: Seweryna, wszyscy Seda ja nazywają. Wchodzi Seda i mówi tak: „Siedzieliście na krzesłach, nieruchomo". Zupełnie jacyś, jak byśmy nie mieli odwagi, wiesz, w tym pałacu w ogóle, w tym. Bo rozumiesz – tak: po sześciu latach pierwszy raz byliśmy w prawdziwym, tego. Nie było tego klepiska, tylko była podłoga. ((śmiech))
Trznadel: ((śmiech))
Watowa: Tapczan był! Rozumiesz? Było to tremo. W ogóle jakieś obrazki na ścianie i tak dalej. I wiesz, i nasz bagaż. No, więc, wiesz, Broniszówna jest w ogóle osobą – nie też, bo nie mówię tego – energiczną, a wiesz, tego. Więc ona przyleciała tutaj do nas. Mówi: „No co tak siedzicie, no przecież trzeba coś zjeść! Trzeba tego!" A myśmy nie śmieli, wiesz. Myśmy nic nie zaglądali do niczego, nic. Tylko siedzieliśmy i czekaliśmy. I wiesz, nawet trudno mi powiedzieć o czym żeśmy mówili. Chyba o niczym. Wiesz, bo to był, wiesz, to była – nachłonęła ta, ta przeszłość. I wiesz, i ta niesamowitość tego, że w ogóle myśmy, że myśmy, żyjemy, że myśmy stamtąd wyjechali, że my istniejemy w Polsce itd. Więc.. I Broniszówna, wiesz, karmi nas itd. No wiesz, w takich chwilach właściwie nie wiadomo od czego zacząć. Dowiadujemy się rzeczy bardzo, bardzo ciężkich. O tych wszystkich ludziach, którzy poginęli itd. I … ona mówi: „A co to jest" i ona to otwiera, ten bagaż. Wiesz, te suchary jakie straszne. No, i oczywiście ona mówi: „Słuchajcie, to po coś ty ty przywoziła? Co to w ogóle jest?" No, i ona mówi: „Słuchaj, poczekajcie chwilę". I bierze wszystko, lapie i leci.
Ja mówię: „Dokąd?" – „Błagam cię!". Słuchaj, ona to wszystko wyrzuca. Do śmietnika wszystko wyrzuca. Mówi: „To są straszne rzeczy!" ((śmiech))
Trznadel: ((śmiech))
Watowa: Zardzewiałe, brudne! No, i wyrzuciła ta. Ale proszę ciebie, w nocy, więc tak: to był taki dość duży tapczan, ale był jeden tapczan, więc już nie wiem jakeś my się tam umieścili.

375:8701306421

Zdaje się, że Andrzejowi ona pościeliła na podłodze, a ja z Aleksandrem spałam z nią razem. Tyle, że ja spałam, ja leżałam koło Sedy, Aleksander koło mnie. I w nocy ja nie mogłam zasnąć i strasznie mnie gryzło. Wyobraź sobie, że do mnie wszytko idzie, wiesz, wszystko! Jak jest pchła o przyjdzie do mnie, pluskwa – do mnie to jest. ((śmiech)) Wszystko leci do mnie.

Trznadel: ((śmiech))

Watowa: To jest podobno jakiś rodzaj krwi, dlatego, że na posiołku były straszne, były pchły. Ja po całych nocach nie spałam tam. Tam były różne historie. Andrzej spał jak anioł – jego nic nie gryzło, mnie wszystko gryzło. No, więc Broniszówna bardzo zdziwiona rano. Okazuje się, że i do niej też nic nie idzie. I nad jej tym łożem, nad tym wspaniałym tym ((śmiech)), była tam, nie wiem, był jakich obrazek. No, i zaczynamy szukać – tam w ogóle było tyle pluskiew, w ogóle w Polsce było wtedy strasznie dużo pluskiew! Bo to wyłaziło z tych ruin. Zresztą ludzie się skarżyli, że brano na budowę te same cegły, i dlatego Warszawa, nie wiem, w pewnym okresie – nie wiem, jak jest teraz – ale była szalenie zapluskwiona. Ludzie straszliwie cierpieli właśnie z powodu tych pluskiew…. w tych nowych domach, wiesz, przez te cegły. Bo pluskwa jest niesłychanie odporna, wiesz. Ona przetrzyma, zrobi się płaska, zaschnie i myślisz, że ona tego. A ona odżyje. Napije się trochę twojej krwi. No, i wiesz, i tam. Ona była zdumiona. Mówi: „Słuchaj, ja tu jestem tak dawno i nie wiedziałam o pluskwach?". No ja mówię: „Słuchaj, myśmy jednak ci tę tutaj rojowisko pluskiew nie od razu przynieśli, bo z nami to nie przyszło". ((śmiech)). Więc takie było. I była tam jedna rzecz ciekawa. Mianowicie wtedy, o piętro wyżej, mieszkała przyszła żona Cyrankiewicza – Andryczówna, która wtedy była bardzo piękna. I ja ją po raz pierwszy widziałam w sztuce Iwaszkiewicza, wiesz, no w tym Chopinie, jak to?

Trznadel: *Lato w Noa*.

Watowa: *Lato w Noa*. I ona grała córkę – jak się nazywa….

Trznadel: Córkę żony.

Watowa: No tak, tylko…

Trznadel: Ja nie pamiętam w tej chwili.

Watowa: Tak, tak. Proszę ciebie i ona się dowiedziała, że myśmy przyjechali. I następnego dnia przyleciała. A ona już znała Cyrankiewicza. I już był romans. I powiedziała mi Broniszówna: „Wiesz, on ją zawiózł do Wilanowa". Zdaje się, że w Wilanowie było to pierwsze *randevouz* miłosne, rozumiesz? ((śmiech)) Tak że. Ale wiesz, dlaczego ci to mówię? Dlatego, że ona słuchała tego, co Aleksander opowiadał tak zachłannie, i z taką nienawiścią do Moskali, po

376:2669581695

przeżyciu okupacji, wiesz, tego. I ona powiedziała: „Zobaczycie, tu będą się działy rzeczy okropne:. Ona, która po kilku miesiącach byłą żoną Cyrankiewicza.
Trznadel: Tak.
Watowa: I muszę ci powiedzieć, że kiedy widziałam Cyrankiewiczową, za kulisami – prawda – jak ona grała z Broniszówną czy, jak mieszkała – nie, ona już potem, ona tylko, mieszkała z Broniszówną tylko tam na Pradze, bo potem to już poszła w Aleję Róż, tak zdaje się tam był ten dom. Tam, gdzie Ważyk mieszka, tam mieszkał Cyrankiewicz. Zawsze, do ostatniej chwili ona mówiła najgorsze rzeczy o tym ustroju – będąc żoną Cyrankiewicza!
Trznadel: Może i potem to myślała, i mówiła – ale co innego się mówi, co innego się robi.
Watowa: To znaczy: ona absolutnie korzystała z przywilejów.
Trznadel: Tak.
Watowa: Że jest żoną Cyrankiewicza, bo ona by absolutnie nie… Ona grała wszystko, co ona chciała grać. Przy czym ona była uczennicą Broniszównej. I Seda mi mówi, że ona była zdolna. Ją zgubiła jej uroda. Dlatego, że ona na scenie myślała tylko o tym, jak ona wygląda. Jak ona nosiła wiesz, bardzo taki wiesz, z epoki, taki bardzo wciśnięty, obcisły – wiesz, obcisłą suknię. To ona nigdy nie złożyła rąk, nie… bo chciała tego, ona zawsze ręce – odstawały od jej ciała, żeby było widać, wiesz, zarys tej…
Trznadel: Kibici. ((śmiech))
Watowa: Kibici. Tak. I rozumiesz, i to właściwie, to ją w jakiś sposób zniszczyło jej talent, wiesz, ta myśl, żeby być tą najpiękniejszą, najtego.
Trznadel: No, i pewnie to, i małżeństwo. Bo takie małżeństwa potrafią być zgubne.
Watowa: No, i takie małżeństwo. Tak. Nie wyobrażam sobie, ja jestem przekonana, że to nie było z jej strony – z jego strony to było małżeństwo z miłości, bo on się w niej zakochał. I ona była, powiedzmy, może do zakochania wtedy. No nie wiem – trudno mi powiedzieć. W każdym razie była bardzo ładna i młoda. Ale żeby ona się w nim zakochała to jakoś mi się wydaje…
Trznadel: To nie jest wykluczone, bo ona mogła mieć inklinacje do mężczyzn takich właśnie jakby silnych i mających władzę. A ona był wtedy mężczyzną energicznym, mogącym zaimponować młodej dziewczynie.
Watowa: Tak, możliwe.
Trznadel: Bardzo inteligentny. Przedwojenny adwokat, prawda?

377:2094178643

Watowa: Tak. Nie, ale myślę, że tutaj po prostu – przede wszystkim – wiesz, to kobiety w bardzo dziwny sposób się zakochują, dlaczego, że – wiesz – to, że pisarze czy malarze, czy poeci, że mają jednak takie powodzenie u kobiet, to wiesz – to wiesz, to jest jakaś, to jest , wiesz, to jest właściwie taka dziwna miłość, to jest takie zakochanie się.

18_Fon.61.708 Strona B

Watowa: To jest takie zakochanie się w, wiesz, że ten człowiek jest kimś, że on coś reprezentuje, że on jest właśnie tym, że on ma taki mózg, że on ma taką wyobraźnię, że on jest inny od innych, że to nie musi. Bo ile kobiet kocha się w zupełnie brzydkich mężczyznach, wiesz, niepociągających. Żeby taki mężczyzna nie był właśnie, nie był poetą, czy nie był – to, to bardzo możliwe, że ta kobieta by nie tego. A tutaj może, że on był w rządzie, że on był przy władzy, że on właśnie był premierem, że on reprezentował to wszystko – to mogło odegrać swoją rolę. Ale ona – poza tym – mogła się w nim zakochać jako w człowieku. Ja tak blisko nie znałam….

Trznadel: Tak.

Watowa: Cyrankiewicza, ale nie wiem właśnie, co ty o tym myślisz. Że mi się wydaje, że w gruncie rzeczy on mógłby być bardzo porządnym człowiekiem. Że on miał dane na bardzo przyzwoitego człowieka, po tym Oświęcimiu.

Trznadel: No właśnie, tylko jednak okazał się człowiekiem albo przeżartym przez pewnego typu kombinacje intelektualne, które miały jednak dno moralne bardzo podejrzane, a może po prostu okazał się słabym człowiekiem. Bo w owym okresie przecież nawet Gomułka okazał pewne siły charakteru.

Watowa: Tak.

Trznadel: Nie poszedł na pewne koncepcje, wobec tego został odrzucony, wyrzucony, a Cyrankiewicz zgodził się na wszystko.

Watowa: Na wszystko.

Trznadel: To i trwał, i trwał, i trwał. Przecież jednak Cyrankiewicz doprowadził do rzeczy – on także, jego zgoda [dzwonek telefonu: Watowa odbiera]. Więc Cyrankiewicz – między innymi – doprowadził do tego, że te dwie partie: socjalistyczna i PPR połączyły się. Wytworzył to monolit jednopartyjny. Może gdyby on się nie zgodził, to inni by się zgodzili.

Watowa: Tak.

378:4670902695

Trznadel: No, ale, w każdym razie, po wojnie był symbolem, prawda, całkowitego oportunizmu. Krążyła anegdota, nawet w pewnym momencie, że jeżeli nawet Anders przyjedzie, i rządy się zmienią, to premierem zostanie Cyrankiewicz.
Watowa: No tak, on był niesłychanie długo premierem! Tak, ale, czy on właściwie zrobił coś takiego... coś, no, powiedzmy odrażającego? Coś, coś, czego musiałby się rzeczywiście… Poza tym?
Trznadel: No jednak jako premier – wszystko to, co się działo – sygnował. W końcu nie mogli mu ludzie zapomnieć tego słynnego powiedzenia po wydarzeniach poznańskich, prawda, kiedy była ta rewolta w Poznaniu. Że my odrąbiemy tę rękę. To jest ten, który odrąbuje, gotów jest odrąbać ręce.
Watowa: A, to ja nie wiedziałam o tym.
Trznadel: Tak, było powiedzenie: odrąbiemy tę rękę.
Watowa: Tak. Odrąbiemy tę rękę.
Trznadel: Ja go po raz ostatni publicznie – można powiedzieć publicznie – widziałem. Ja nawet raz z nim rozmawiałem osobiście.
Watowa: Tak.
Trznadel: Zwróciłem wtedy uwagę na to, że jest to człowiek bardzo uczulony na pewną teatralność swojego wystąpienia. To było w pięćdziesiątym pierwszym roku, a ja byłem wtedy delegowany na taki kongres nauki jako student. Ale tak się zdarzyło, że uważany byłem za zdolnego człowieka, wobec tego pani minister Krasowska przedstawiła mnie Cyrankiewiczowi, no, i tam była chwila takiej rozmowy, jadło się lody. Ale to zwróciłem uwagę, że on stał na tle czerwonej kotary.
Watowa: Ach tak.
Trznadel: Bo byli, prawda, były fotografie, byli… były zdjęcia. Więc fotografowano go na tle tej kotary. Wyciągnął papierosa – zaraz ktoś przeskoczył, prawda, z zapałką. Więc, potem go widziałem już ostatni raz w telewizji, w dziewięćset siedemdziesiątym roku – jego ostatnie wystąpienie, kiedy upadał Gomułka, prawda.
Watowa: Tak.
Trznadel: Wystąpienie – rewolta gdańska. Krew. Strzały. I to jego… Był wyraźnie spłoszony. Miał straszną twarz, kiedy mówił, że, prawda, jest taki moment – stan wyjątkowy. Ale

379:2637524029

kamerzysta przez pomyłkę – albo nie przez pomyłkę – pokazał jego ręce. I te ręce, wiesz, jak spłoszone szczury po tym stole mu chodziły.

Watowa: Ach tak!

Trznadel: I to był koniec jego kariery.

Watowa: Tak... Tak, więc dalszy ciąg naszego, znaczy się teraz jest przyjazd. Więc... dosłownie po trzech dniach, a może i po dwóch dniach – ciągle się te limuzyny w naszym życiu, jak widzisz, pokazują – przyjeżdża limuzyną czarną, przyjeżdża Szymańska, tak? Sekretarka Borejszy, obecna Matuszewska. Szymańska, Irena.

Trznadel: tak, tak. Irena.

Watowa: Już wiedział Borejsza. Przychodzi do nas, jak gdyby nigdy nic, i mówi, że pan Borejsza bardzo pragnie pana zobaczyć. Wiesz, na nas skóra ścierpła. No, ale, prawda, dobrze. A może by pan miał teraz czas, to ja bym pana autem zawiozła – co było bardzo oczywiście wygodne, żeby nie jechać do tego – więc Aleksander powiedział: „dobrze, dobrze. Pojadę". I rozumiesz, ten człowiek, który mówił takie rzeczy w tych zeznaniach, oskarżał Aleksandra – co mu odczytano na Zamarstynowie – że jak sam Aleksander mówi w *Moim wieku*, że nadawał się tylko do rozwałki, nagle, rozumiesz, ledwo przekroczył próg gabinetu – jest w objęciach Borejszy, który go obejmuje, który go ściska, który mówi, że jest jednym z najszczęśliwszych ludzi na świecie, że go widzi! No, i przyszłość. „Panie Aleksandrze, do wyboru: co by pan chciał robić? Redaktor pisma? Minister kultury?" – proszę ciebie – redaktor – to wtedy, co to potem Kuryluk, to to było „Odrodzenie"?

Trznadel: Tak.

Watowa: To jemu to proponował. No, jednym słowem, poniemieckie mieszkanie z meblami, z dywanami perskimi– to wszystko mu powiedział. Tak. Więc dobrze, Aleksander bardzo grzecznie tego wszystkiego wysłuchał i powiedział, że to jest bardzo, bardzo miłe, prawda, że on o tym wszystkim myśli, ale że on jest jednak bardzo jeszcze zmęczony, że on musi odpocząć, że on się nad tym zastanowi, że on mu bardzo dziękuje i da mu odpowiedź. I wrócił na Pragę. I muszę ci powiedzieć Jacku, że ja wtedy powiedziałam do Olka: „Ol, uciekajmy przez zieloną granicę! Uciekajmy przez zieloną granicę!". I ja byłam gotowa, wiesz? Ja byłam gotowa, on nie miał siły, on był rzeczywiście zniszczony wtedy. On mówi: „Ola, ja nie mam siły, ja nie mam siły. Tylko trzeba coś wymyślić, żebym ja już w ogóle nie musiał tam do niego chodzić". I wiesz, zrządzenie losu. Wiesz, w ogóle spotkania na ulicy, to tak dziwne, w tych ruinach. Ja

380:6916295739

spotkałam siostrę! O której nie wiedziałam, czy żyje, a on spotkał Bacharacha. To jest – nie wiem czyś ty go kiedyś znał, bo on wtedy, w tych latach, w 46 roku on był dyrektorem PIW–u. Aleksander Bachrach. A Padwa – tak zwana „Padła", jak ją nazywali – Padwa, ona była wtedy w tym dziale teatralnym, w ministerstwie kultury. Tam, gdzie byłą Lissa, muzykolog to Padwa była Wanda. Spotyka Aleksandra, zna go sprzed wojny – ten Bacharach oczywiście też komunizował. No, i szczęście znowu ogromne, bo on wiedział, że Aleksander pracował siedem lat u Gebethnera i jak pracował. I mówi: „Proszę pana, ja jestem dyrektorem PIW–u. Niech pan do nas przychodzi. Czy pan już?". I tego… Ja mówię: „Nie, ja dopiero kilka dni temu przyjechałem. I w ogóle, na razie miałem spotkanie z Borejszą". Tamten nawet nie wiedział nawet co to oznacza, bo nie wiedział, co Borejsza – i co się działo we Lwowie. I tutaj Aleksander mówi: „Dobrze, ale co ja u was będę wydawał? (((rozbawiona))) Przecież ja nie będę wydawał marksistowskich książek". – Tak mówi Bachrachowi. Bo Aleksander przyjechał, wiesz, tak jak w tym więzieniu, co powiedział: „Ja paszportu sowieckiego…!". Gotów na śmierć. Tak tutaj powiedział, że kroku jednego nie zrobi takiego, wiesz, nie powie, nie zrobi niczego, co by wewnętrznie – nie było tej wewnętrznej moralnej zgody.

Trznadel: Rozumiem. To znaczy, że już to spotkanie z Borejszą nagle uświadomiło jemu i wam w ogóle, że wy jesteście – w prawdzie poza Rosją – ale w strefie oddziaływania Rosji. No tak.

Watowa: Tak. Więc on mówi: „Ale panie Aleksandrze, przecież nie będziemy tylko wydawać marksistowskich książek". Przecież będzie się to – potem była ta socrealistyczna literatura, wiesz. I tak dalej. No, więc Aleksander – ja mówię: „Wiesz co, Ol? Mnie się wydaje, że to jest zbawienie w tej chwili. Rzeczywiście zbawienie. Nie będziesz ministrem kultury, nie będziesz redaktorem pisma i nie będziemy mieszkać w żadnym poniemieckim mieszkaniu". I od razu skomunikował się z Bachrachem, ale powiedział Bachrachowi – „proszę Pana, co na to powie Berman? Berman nigdy nie pozwoli, żebym ja pracował w wydawnictwie! Przecież oni mnie wsadzili – ja tam siedziałem po *t'jurmach*[458], a teraz on mnie przyjmie". – „Ja do niego idę". On poszedł. Oczywiście bez Bermana on by nie mógł przyjąć, bez partii. No, i wtedy Berman był naszym królem polski, więc poszedł do Bermana i wyobraź sobie, Berman powiedział: „Przyjąć". Słuchaj, oni tak czystego sumienia, wiesz, nie mieli. Bo niby ten, ten były, prawda, komunista, redaktor, siedział w Polsce i tak dalej. Potem tam siedział nie wiadomo za co – przecież sprawy nie było.

[458] Ros. *Tjurma* – więzienie.

381:7050015238

Trznadel: Oczywiście.

Watowa: Broniewski nie Broniewski. Powiedział: „Przyjąć". No, i potem… Więc Aleksander – prawda – przyjmuje tę posadę w Państwowym Instytucie Wydawniczym. Na ulicy spotyka, proszę ciebie, wspaniałego człowieka, który był założycielem kasy chorych, czy coś. Nie wiem, jak to się nazywało – nie IPS, nie SIM, nie… nie ZAIKS. Coś takiego było – wiesz, takie *assurance*[459] jak tutaj jest.

Trznadel: Tak.

Watowa: Alfred Krygier. Stary socjalista. Wspaniały człowiek! Ten, który właśnie zamówił u Aleksandra tę sztukę na wystawę poznańską w dwudziestoleciu. Jeżeli sobie przypominasz z *Mojego wieku* – reżyserował Schiller, dekoracje robił Daszewski, tę sztukę napisał Aleksander. „Gdzie pan mieszka?" – „No mieszkam u Broniszówny. W jednym pokoju mieszkamy. Przykro mi bardzo, bo ona uczy się roli, a my tu jej sterczymy nad głową". – Ja – Krygier na to, że jemu dali, wiesz, on miał tak zwaną pulę, to się mówi, jakąś ilość mieszkać, właśnie tam na Niemcewicza do jego, wiesz… że on tam. I mówi: już tam umieścił Zelwerowicza zresztą, czy Gorczyńską, jeszcze tam kogoś z aktorów i żeby tam takich ludzi z literatury. No więc: „A co by pan?" – „No – Aleksander mówi – no jeden pokój z kuchnia, prawda, no gdyby mogła być łazienka". – „No dobrze". Więc Krygier lubił tak trochę zabawić się, więc szalenie szybko wzywa Aleksandra, daje mu klucze, no mówi: „Proszę pana, no rzeczywiści stało się tak, jak Pan chciał, bo już innych mieszkań nie było". No, i Aleksander poleciał beze mnie! – bo wezwany do tego, ja nie poszłam nim. Przyleciał na Niemcewicza. Tam czeka jakieś wspaniałe mieszkanie, w którym – wyobraź sobie – w dwudziestoleciu mieszkali Brandysowie, rodzice Kazika i tego. To był taki dom wybudowany, nowy dom, ale – rozumiesz, z lat dwudziestych. Olbrzymi hall, trzy pokoje oszklone, drzwi do każdego pokoju oddzielne wejście, ((śmiech)) łazienka, kuchnia, korytarzyk od kuchni, pokój służbowy i służąca ma własną ubikację. Słuchaj, ten kontrast, wiesz, ((śmiech)) z tym życiem, zupełnie! No, więc Aleksander leci po mnie, i po Andrzeja, no, i oczywiście to komediant też przecież, też potrafił zagrać rolę. Więc mówi: „Słuchaj, wiesz, mamy pokój. Ale bardzo porządny pokój" itd. Więc ja szczęśliwa. Mówię: „Ol, meble! Skąd my teraz meble weźmiemy?". No, i tam wprowadza. No, i ja widzę te pałace i mówię: „Ol, co my tu będziemy robić? Po co nam trzy pokoje? W jaki sposób będziemy tutaj mieszkać?" No, więc pamiętam tylko, że Zaruba, wiesz, pożyczył nam dwa krzesła, a Tuwim nam dał jakieś takie

[459] Fr. *Assurance* – zapewnienie, ubezpieczenie.

382:3764881474

składane łóżko. Tak się zaczęło, wiesz, to meblowanie. No, ale potem Aleksander dostał zaliczkę, wiesz, od Bachracha, i myśmy mieli taką panią znajomą – zresztą to jest ciotka Paulinki, żony Julka Żuławskiego, która miała przed wojną antykwariat. Powiedziała: „Panie Aleksandrze…" A! To ona mu dała pieniądze na wydanie Piecyka. To ona była ta dobrodziejką, rozumiesz? Ona wydała mu Piecyk. „I Panie Aleksandrze, niech pan nic nie kupuje, bo są rzeczy straszne. Bo jest – kto mógł wyszabrować, coś tego. Ja... My pojedziemy do Krakowa i w Krakowie można kupić:. I ona tak wybrała tak, że myśmy mieli kilka antyczków, mieliśmy jakieś ładne dwa dywany. Tam ktoś – siostra Aleksandra dała mu też jakiś dywan. No, jednym słowem, zaczęło się… No, oczywiście, obstalowało się półki, więc już na całą ścianę. Nagle miało się książki. Słuchaj, szalenie łatwo się to odzyskuje, wiesz? Zostawiliśmy wszystko, nie mieliśmy nic i nagle! No, ale oczywiście, ponieważ można powiedzieć, że jednak uratował nam życie Gilewicz, mąż siostry Aleksandra, drugiej jego siostry, więc oni mieszkali bardzo marnie, u kogoś. I już ci przyjaciele mieli ich trochę dosyć, więc ja powiedziałam, że wobec tego do jednego pokoju, w jednym pokoju będą Gilewiczowie. Moja Joasia, wdowa, wiesz, po Kamilu Weintraubie mieszkała, w ogóle w Łodzi była. Więc ją sprowadziłam – tam był zresztą taki krótki, wiesz, trudno to nazwać romansem – ale w każdym bądź razie mieszkała z Sandauerem.
Trznadel: Mhm.
Watowa: Który mi się od razu straszliwie nie spodobał. No, ona nie miała żadnych oporów, żeby się rozstać z tym Sandauerem, szczególnie, że matka Sandauera jej strasznie tak dokuczała i w ogóle każdy kęs chleba itd. I ona była bidna, wiesz, w ogóle cudem uratowana, chowająca się w jakiś norach podczas okupacji. No, ale wszystko jedno. Więc od razu, po Joasi, wiesz, jak byłam na tym Zjeździe już się mówiło o tym, widziałam, jak wygląda sytuacja. Powiedziałam: „Joasiu, jak tylko coś będziemy mieli". Więc dla Joasi pokój. No to już Joasia musiała spać z Andrzejkiem w jednym pokoju, no, a ja miałam największy – znaczy się Aleksander miał największy pokój – i wtedy się kupiło to cudowne singlerowskie biurko, co to mówiłam ci, że miałam takie przeżycie, jak byłam teraz w tym mieszkaniu i zobaczyłam biurko Aleksandra. Tak, jak byłam w Polsce teraz. Więc tam mieszka Krasiński – Janusz, zdaje się. Który jest w zarządzie, zdaje się, Związku Literatów. Pisze, zdaje się, sztuki. Taki, co to siedział, zdaje się, jedenaście lat, na początku, zdaje się za AK. On siedział jedenaście lat w więzieniu, w Polsce Ludowej. Więc ponieważ moja siostra po naszej, wiesz, jak my tutaj zostali, ona jednak nie mogła być sama w tym mieszkaniu. Ja się bałam, że tam jej wsadzą jakąś rodzinę, jakiś pijaków,

383:3621241011

że ona będzie miała straszne życie. Więc był tutaj Leopold Lewin, przyszedł do nas. Ja mówię: „Słuchaj Leopoldzie, tobie mogę ci uczciwie powiedzieć, że my do Polski nie wrócimy. Chodzi o to, żeby Joasia miała gdzie mieszkać. Znajdź kogoś przyzwoitego ze Związku, tam jakiegoś literata, kogoś takiego. I do dwóch pokoi. Żeby ona miała jeden pokój, a dwa".
Trznadel: Tak.
Watowa: I żeby oni płacili, żeby ona nie miała takiego komornego. I tak dalej. No, iz wyobraź sobie, że ci Krasińscy się wprowadzili. Wtedy jeszcze w ogóle nie było dzieci – oni we dwoje. I to jest – zrobiła się wielka przyjaźń, także do tej pory. I potem Krasiński postarał się, żeby moja siostra przez Związek Literatów dostała swoje mieszkanie. Także ona ma teraz od jakichś dwóch, trzech lat mieszka sama, bo tam już drugie dziecko się urodziło. Więc teraz ja jednak chciałam to mieszkanie zobaczyć, z którego żeśmy wyszli.
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: No, to już nie było nasze mieszkanie, rozumiesz? Wszystko było tak urządzone, jakieś tam nawet to, co wisiało na ścianach itd. Nic! Powiem ci, żadnego wzruszenia. Ale nagle on mnie wprowadził do pokoju, który był pokojem Andrzeja – bo potem Joasia się wyprowadziła, a… To jest ciekawe, że po krótkim czasie, jak człowiek się łatwo demoralizuje, że ja powiedziałam do Aleksandra, mówię: „Wiesz, Ol, że w gruncie rzeczy nie mam się gdzie podziać, nie mam kąta dla siebie, wszystko jest pozajmowane".
Trznadel: ((śmiech))
Watowa: Ponieważ Gilewicz budował dom – on był takim właściwie inżynierem drogowym, ale budował z kimś dom na Lwowskiej, więc oni się wyprowadzili, Joasia znalazła pokój sobie jakiś na mieście, no, i ja miałam już taki niby salonik, tam niby dla, ale już miałam, mogłam sobie tam siedzieć i tam tego. Ale szalenie łatwo! Demoralizuje się człowiek szalenie łatwo. Już było trzy pokoje, trzy pokoje – okazuje się – że było za mało. Tak! Ale ja się zakałapućkałam. Czekaj. Aha! I weszłam, i znowu, wiesz? Ani tam tapczan, co stał, to już to nie było to. I nagle, wiesz, zobaczyłam biurko Aleksandra. To singlerowskie. Wiesz, to singlerowskie biurko ma tyle tych szuflad, tego wszystkiego. Potem, to jest to biurko, które się zamyka. Wiesz, ma taką roletę, jak gdyby. Zamyka się. I powiem ci, że to było dla mnie przeżycie wstrząsające, wiesz. Po prostu widziałam tego Aleksandra przy tym biurku. No, i on zresztą zrobił sporo – ja powiedziałam mu: „Panie Januszu, wie pan co? Niech mi pan sfotografuje to biurko, żebym ja miała na pamiątkę". I on odkupił to biurko. No, bo co zrobić z tym biurkiem – wywieźć nie można. Andrzej by marzył,

384:1094907923

żeby mieć to biurko. A moja siostra ma maleńkie mieszkanie, więc tylko wzięła takie meble, wiesz, antyczki takie, które się u niej pomieściły – jest bardzo przyjemnie urządzone. No, ale on tam kupił te półki, te, on kupił. No, i kupił to biurko. No, i potem przy tym biurku on mnie tam fotografował. Wiesz, zrobił mi kilka, ale nie mam do tej pory tych fotografii. Więc tylko to jedno zrobiło na mnie wrażenie. Ale na czym ja skończyłam przed tą wizytą na Niemcewicza i przed Polską, gdzie ja byłam? Aha!

Trznadel: No, Państwowy Instytut Wydawniczy, Bachrach.

Watowa: Państwowy Instytut Wydawniczy, Bachrach. Tak! Więc zaczęła się ta praca, no, i oczywiście, wiesz, Aleksander cierpiał zupełne tortury, dlatego, że to, co było do druku to były koszmary. Zaakceptować, wiesz, do druku w ogóle autorów – tam u Gebethnera on miał najlepszych autorów, łącznie z Berentem, prawda, Iwaszkiewicz i wszystko te. I tutaj nagle, rozumiesz, jakieś socrealizmy, jakieś. Był jeden dobry zrobił uczynek, z rozkoszą, mianowicie dostaje list od profesora, swojego profesora filozofii – to teraz będziesz mi musiał przypomnieć, czy był taki profesor Krzyża… nie, nie Krzyżanowski. Taki profesor – do niedawna on był… nie wiem czy on jeszcze żyje czy nie? Jakiś znany, z tych znanych naszych filozofów?

Trznadel: Filozofów?

Watowa: Tak.

Trznadel: No, to kilku był. No – Tatarkiewicz.

Watowa: Tatarkiewicz! A drugi?

Trznadel: Z takich bardzo znanych jeszcze to się zawsze mówiło – Kotarbiński.

Watowa: Kotarbiński! Tak! Więc Kotarbiński, Kotarbiński pisze, że przyjdzie do pana Radziwiłłowa. Synowa Janusza Radziwiłła. Niech pan dla niej zrobi – a oni też wrócili, wiesz, oni też byli w obozie tam w Rosji.

Trznadel: Tak.

Watowa: I trzeba wszystko zrobić, żeby ją przyjąć, żeby zatrudnić. No, i rozumiesz, tutaj, więc ona przychodzi do Aleksandra. Więc Aleksander mówi: „Proszę panią, ja zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy". I jest rozmowa z Bachrachem jak ona poszła. On mówi: „Panie Aleksandrze, ale wie pan, Radziwiłłową?". Więc Aleksander mówi tak: „Niech pan idzie do Bachracha i niech pan wytłumaczy… do! Do! Do Bermana! Niech pan wytłumaczy Bermanowi, że właśnie pokazać, czym jest ten komunizm. Czym jest ten ustrój!".

Trznadel: Przyciąga!

385:8800952775

Watowa: Rozumiesz? Że to nie mają: jeżeli ktoś chce pracować – to pracę dostaje. I to będzie ten gest, mówi. No prawie, że przekonał do niej. Wiesz, w ciemię Aleksander bity nie był. Poszedł ten Bachrach do Bermana i wyobraź sobie go przekonał! I tą argumentacją. I potem myśmy w ogóle widywali się z Bachrachem – wszystko powtórzyłem jak mi pan powiedział. I powiedział: „niech pan bierze". No, sekretarka zupełnie fantastyczna – władająca językami, inteligentna. Powiedział: „No słuchaj, to jest w ogóle to jest nie sekretarka przez te. Ciebie boli tutaj widzę trochę – tak?

Trznadel: Nie.

Watowa: Nie? Więc słuchaj, no, i oczywiście, wiesz, szalenie mądra. Radziwiłł kupił dla guwernantki swojego syna, właśnie, dla jej męża – i tam może i dla innych dzieci – jak już guwernantka była niepotrzebna, to w prezencie kupił jej willę, taki dom na Żoliborzu piętrowy. I Aleksander zapytał Radziwiłłową, gdzie ona mieszka. I ona powiedziała, że ona właśnie opowiedziała historię tą – i u tej guwernantki. Więc ta guwernantka, wiesz, dla Radziwiłłowej i tak dalej chciała, żeby ona zajęła pierwsze piętro, a ona pójdzie – bo to właściwie była już potem taka suterena. Te okna w tym – zresztą w zupełnie porządnych pokojach – ale one już takie były trochę, wiesz, sute… takie, co to nad tym…

Trznadel: Nisko.

Watowa: Nisko. Bardzo nisko. ((ciszej)) Ale Radziwiłłowa się na to nie zgodziła. Nie. Zamieszkali w tej suterenie. Guwernantka mieszkała na pierwszym piętrze, zajmowała się dziećmi, ona jej płaciła. I potem postarano się o to, żeby ten Radziwiłł pracował w „Czytelniku". Także ona pracowała w PIW–ie, on nie żyje, biedny. Szalenie miły człowiek. Także jakeśmy pierwszy raz pojechali do Nieborowa, nie wiedzieliśmy, dlaczego ten Walenty – bo tam taki Walenty był, to był, to był od samego Radziwiłła taki kamerdyner, nie wiem jak to się nazywa. Ale on, wiesz, budził księcia, on rozsuwał tego, mówił, jaka jest pogoda i dawał śniadanie. (((rozbawiona))). Słuchaj, ja widzę, że on tutaj jakiś taniec koło nas. Najlepszy pokój w pałacu itd. My sobie nie zdawaliśmy sprawy: dlaczego? co się dzieje? Dlaczego tutaj nas tak przyjmują? No, i potem jesteśmy w pokoju – pukanie. Wchodzi Walenty i wchodzi pokojówka. I nam mówią tylko tak po cichutku: „Proszę państwa, my wszystko wiemy... Panią o jedno proszę, niech pani powie pani Radziwiłłowej, że my tu mamy jeszcze jej suknię, mamy jej garderobę. Poza tym mamy trochę srebra, co jeszcze wszystkiego nie pozabierali".

Trznadel: Tak.

386:2139779071

Watowa: Ze wszystko tego. Ten Walenty! Co? Skończyło się?
Trznadel: Jeszcze nie, tylko patrzę.
Watowa: No, i wtedy żeśmy zrozumieli, że już Radziwiłłowa dała znać, żeby nas tam tak przyjąć! ((śmiech)) Więc oczywiście opowiedzieliśmy o tym Radziwiłłowej itd. No, ale ona dostawała paczki zza granicy od swojej rodziny. Była szalenie, wiesz, w tym PIW–ie oczarowała, wiesz. Ten snobizm, tych wszystkich, wiesz, maszynistek i tych wszystkich… wszyscy tego… ona od razu na „ty" ze wszystkimi. I ona była stachanówką. Ona pracowała najdłużej! Ona przychodziła pierwsza, wychodziła ostatnia! Pracowała doskonale. Potem zresztą pracowała w tym – w PEN Clubie. No, i tak. A teraz już podobno jest na emeryturze, i powiedział mi Pawełek Hertz, że bardzo żałowała, żeśmy się nie spotkały. Bo wszystkim opowiadała o tym uczuciu wdzięczności dla Aleksandra, a to Aleksander był szczęśliwy, że mógł coś takiego zrobić. ((śmiech))
Trznadel: Tajemnie.
Watowa: Tak. Słuchaj, na co my przeskakujemy? Aha, więc teraz na to życie w tej Warszawie.
Trznadel: Tak, jakieś kontakty, które pamiętasz, barwne rozmowy.
Watowa: Wiesz co, zamknij na chwileczkę, zamknij, niech ja się troszeczkę…
[po przerwie]
Właściwie po polsku nie mówi się ustawić. Żeby się ustawić.
Trznadel: No to jest takie (*argo)*, które jednak zyskało prawo obywatelstwa.
Watowa: Tak, zyskało, ale to się nie mówiło tak po polsku.
Trznadel: Jak się ustawić?
Watowa: Żeby pokazać, po prostu swoje oblicze, prawda? Żeby nie dać jakiegoś sfałszowanego, wiesz, obrazu swojego.
Trznadel: A, to w innym znaczeniu. Bo teraz to się mówi „jak się ustawić", to to ma taki charakter oportunistyczny, w obecnym języku, miało.
Watowa: Aha, tak.
Trznadel: Ja się muszę tak jakoś ustawić, żeby było dobrze.
Watowa: A nie!
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: To nie. Więc tutaj chodziło, żeby od razu wiedzieli, że to nie jest Aleksander Wat z lat dwudziestych, redaktor „Miesięcznika Literackiego".

387:3378946375

Trznadel: Tak jest.
Watowa: Zaczęło się od tego – przede wszystkim była tam jakaś zbiórka w Państwowym Instytucie Wydawniczym – już nie wiem na co – w każdym razie na jakieś dobroczynne tam cele. No, więc oczywiście Aleksander dał na to pieniądze, ale następnego dnia w „Trybunie" – nie wiem, czy wtedy była już „Trybuna Ludu" czy nie?
Trznadel: Chyba tak.
Watowa: Tak? Czyta.
19_Fon.61.709 Strona A
Watowa: Nie wiem, czy wtedy była już „Trybuna Ludu" czy nie?
Trznadel: Chyba tak.
Watowa: Tak? Czyta, że towarzysz taki, towarzysz taki, towarzysz taki… [przerwane nagranie] na ten cel dobroczynny, prawda. No i wyobraź sobie – „towarzysz Aleksander Wat". No, tutaj już piorun w niego taki strzelił, że momentalnie napisał list do redakcji, że…o tej wzmiance. I że zaznacza i prosi o wydrukowanie, że nigdy w partii nie był, w partii nie jest, nie ma zamiaru do partii wstąpić, i żadnym towarzyszem nie jest. Szkoda jednak, że – kto wie, możliwe, że ja to mam – to Alina, to by ci to od razu znalazła, wiesz, to właśnie, jego wzmiankę.
Trznadel: A to zostało wydrukowane?
Watowa: A tak! Z prośbą o druk.
Trznadel: Mhm. No, to i tak dużo. Bo w trochę późniejszym okresie by tego nie wydrukowali.
Watowa: No bo to był rok… Już by nie wydrukowali! Już by nie wydrukowali! I dlatego Aleksander – ja ci mówiłam, że on był przekonany, że Stalin zamierza coś z tej Polski zrobić, jakiś wzór na świat, żeby pociągnąć, żeby wiesz. To poczucie, wiesz, jakiejś wolności.
Trznadel: Tak.
Watowa: Ogromnej wolności. Potem pierwszą rzeczą, która przetłumaczył to było „Pod słońcem szatana" Georgesa Bernanosa, *Sous soleil de satan*. I to tłumaczył wtedy to, w tym Paksie – nie wiem czy już wtedy był „PAX" czy nie? Jak to wtedy było?
Trznadel: Bardzo możliwe, że już istniał.
Watowa: Tak. Ale to było właśnie katolickie wydawnictwo. Jak się wtedy nazywało, to ja nie wiem.
Trznadel: Chyba już istniał „PAX" wtedy.

388:7799235414

Watowa: Tak, oczywiście, nie było wyboru, żeby się – rozumiesz – żeby wydrukować Bernanosa. Właśnie tę książkę, i żeby to było w wydawnictwie katolickim – już nie zważając na te różne, rozumiesz, rzeczy, które były w gruncie rzeczy mogły mu przeszkodzić. I on wiedział, ale chciał, żeby to było właśnie. I wydrukował też w takim katolickim – ale to widzisz, moja pamięć mnie zawodzi, jeśli chodzi o nazwy – jakiś wiersz – ale chwila, nie wiem – to nie był „Tygodnik Powszechny"? Czy wychodził już?
Trznadel: Wychodził, tak. On potem został zawieszony w okresie stalinizmu.
Watowa: Aha! Ale wtedy wychodził?
Trznadel: Tak, wtedy wychodził.
Watowa: No, więc wydrukował wiersz w „Tygodniu Powszechnym", wyszedł w druku Bernanos, w tym katolickim tym i już była ta – proszę ciebie – wzmianka ta o odwołanie. Tak.
Trznadel: Tak, to dużo.
Watowa: Także już, wiesz, wiedzieli z kim mają do czynienia. Z kontrikiem. No, i tutaj już, rozumiesz, Ważyk – do którego zresztą, muszę ci powiedzieć, że jak tyś mi teraz powiedział, że on jest, że jego przywieźli – ja do niego napiszę, bo jest mi jego żal, wiesz. I postanowiłam jakoś wspomnieć tą wizytę i nawet napisać mu – bo szczerze żałuję, że wtedy nie byłam z nim dłużej.
Trznadel: Tak.
Watowa: I napisać mu, ponieważ mówili jego *Poemat dla dorosłych* w tłumaczeniu, teraz na (*sise) parla polonais*[460]. Jemu to zrobi przyjemność, wiesz? I to mówiła, zresztą bardzo dobra ta… albo () albo (*Mon bon*) – ja mam program, to ja to sprawdzę i tego. No, więc Ważyczek wyraźnie zaczął już od Aleksandra, wiesz, uciekać. Takich było więcej. Więc już na terenie Związku Literatów wiedziano – oczywiście opowiadano to, co było takie, wiesz, żeby ośmieszyć, żeby było najłatwiejsze. Bo tutaj w podziemnej prasie i tak dalej podobno pisano, że – czy też może, w każdym razie pod koniec wojny – że Wat jest, prawda, nosi wielki krzyż, że zrobił się, prawda. Wiesz, takie rzeczy. Takie, takie, grube… wiesz takie, takie, żeby pokazać, że on wraca – jeszcze nim wrócił, jako ten wierzący, że nie był wierzący, że teraz jest wierzący. Że teraz jest… No, więc rozumiesz, wszystko jedno się tak na drugie nałożyło, że rozumiesz, w tym Związku Literatów, szczególnie, że wiesz, on mówcą był bardzo dobrym. I miał taką – powiedziałabym – pewną namiętność też, rozumiesz? To był człowiek zawsze szalenie zaangażowany. I on nie wytrzymywał, rozumiesz? Jak się mówiło rzeczy – nawet, nawet, wiesz,

[460] Fr. *parla polonais* – mówi po polsku.

389:6293208237

cytuje tutaj jak Iwaszkiewicz przemawiał, wiesz, do tych, że niby wszystko dają i tam, ja to wolę nie cytować, bo on tam cytuje, rozumiesz? Więc jego to szalenie, rozumiesz? On nie wytrzymywał nerwowo tego i występował. No oczywiście jak występował, to ten kontrik się szalenie ujawniał. Bo wszystko było nie tak, jak powinno być.

Trznadel: Tak, szkoda, że nie ma taśm magnetofonowych z zebrań z tego okresu albo przynajmniej stenogramów.

Watowa: Mój boże!

Trznadel: To by było na pewno bardzo ważne.

Watowa: To byłoby ważne. I wiesz, te – wyobraź sobie to przemówienie Aleksandra, kiedy to – to ostanie, co ci opowiadał, kiedy Putrament tak zareagował tym niedźwiedziem z tą *dubiną* – to widzisz, żeby było to przemówienie Aleksandra.

Trznadel: No tak.

Watowa: Co to ostatni on został. Że już wszyscy ich tak kochają, że wszyscy już są z nami, tylko jeden wróg nam został – Aleksander Wat. No widzisz, żeby tak tutaj siedział Aleksander, to byłoby o wiele dla ciebie ciekawsze. Ale co ja mogę zrobić, wiesz? Pamięć mi nie dopisuje. Także wiesz, to jest ten okres. No, potem było – oczywiście pochłonięci jednak urządzaniem tego domu, odnowa, książkami, meblami itd. Z kim wtedy więc, dlaczego ja na przykład tak pamiętam Borowskiego.

Trznadel: Tak.

Watowa: Bo rozumiesz, to już byli… Breza. Brezowie przyjechali z Krakowa. Przechowywani tam zresztą przez Tyszkiewiczów, hrabiów Tyszkiewiczów, dosłownie na utrzymaniu. Więc zaczyna się jakaś przyjaźń z Brezami. No, ale któregoś dnia jesteśmy u Brezów – oni mieszkali w domu „Czytelnika", wiesz tam od Wiejskiej, tam z boku się wchodziło.

Trznadel: Tak.

Watowa: Więc Aleksander tam opowiada różne rzeczy, które ten słucha – bo on miał bardzo dużo uroku, Tadzio, bardzo dużo uroku. Nie wiem czyś go znał osobiście?

Trznadel: Nie znałem go.

Watowa: To był człowiek z dużym urokiem. No, ale w pewnej chwili zaczyna się mówić o jakiejś sztuce sowieckiej wystawianej w polskim teatrze, o jakiś perkalikach, wiesz, stachanówka, fabryka perkalików itd. No, więc strasznie Aleksander to miesza wszystko z

390:5054291760

błotem, a potem mówi: „Słuchaj Tadziu, czy ty nie masz tutaj Boya? Jego recenzji z dwudziestolecia?”. I rozumiesz, taka właśnie sztuka jedna radziecka, z takimi perkalikami
Trznadel: Tak.
Watowa: Była wystawiana w polskim teatrze. No, i tu jest recenzja Boya. On mówi: „Ja to mam”. Więc Aleksander mówi: „To daj”. Mówi – „Wiesz, Ola dobrze czyta, Ola to przeczyta”. I ja przeczytałam. Jadowita. Wiesz, tak jak to Boy. To znaczy ten jad jego nie był jadem. Właściwie to było coś tak uroczego, on to tak potrafił świetnie!
Trznadel: Wtedy jeszcze to nie musiał być jad. Bo to nie było jeszcze tak groźne, prawda.
Watowa: Właśnie, właśnie, ale wyśmiewanie!
Trznadel: To była ironia.
Watowa: Ironia, ironia! To jest właściwe słowo. Jak ja to skończyłam – wiesz, widzę tego Brezę. On był przystojny, wysoki. No! Hrabia Breza, wiesz. Bardzo dobrze wychowany. Więc tak założył tak ręce do tyłu, zaczął się przechadzać po pokoju i mówi tak: „No, jaka szkoda. Trzeba będzie zerwać z Watami, trzeba będzie zerwać z Tyszkiewiczami”.
Trznadel: ((śmiech))
Watowa: I widzisz, tu nie pamiętam, jeszcze jakieś dwa nazwiska. „No, no szkoda, rzeczywiście szkoda”. Na głos!
Trznadel: ((śmiech))
Watowa: My to przyjmujemy z uśmiechem, ale wiesz, ja w gruncie nie zdawałam sobie sprawy z tego, co to oznacza, rozumiesz? Nie połączyłam tego, że tu chodzi o sprawę polityczną.
Trznadel: Tak.
Watowa: Tu chodzi o to, żeby się urządzić, żeby mieć stanowisko, żeby mieć mieszkanie. Już miał to dobre mieszkanie. Bo on już się tam, wiesz, zadeklarował, już w Krakowie. Jeżeli jemu dali mieszkanie, tak jak Tuwim miał wspanialsze mieszkanie od frontu, tam wiesz, tego. A ten nie. Ale też miał bardzo ładne mieszkanie. Tam były śliczne mieszkania. No, i ta żona – lokomotywa. No, ta Zosia to już była taka lokomotywa, że to było sto lokomotyw. I proszę ciebie, i on po prostu przestali się z nami widywać. I najbliższą przyjaciółką Zosi po Watowej była Pani – Byrystigerowa czy Brystigerowa?
Trznadel: Brystigerowa.
Watowa: Brystigerowa, o której się wiedziało, że jest prawą ręką Różańskiego. Tadzio miał bardzo duże powodzenie u kobiet – zresztą Nałkowska pisze w swoich pamiętnikach, zdaje się,

391:1081861811

tam też jakiś romans był. Nie wiem w jaki sposób, ale podobno wściekła jest Zosia, dlatego, że ona to teraz odczytała ((śmiech)), a ona nie wiedziała.
Trznadel: No, tak.
Watowa: A przychodziła do Nałkowskiej też tam – bo Nałkowska mieszkała w Związku Literatów, przecież tam na Krakowskim po wojnie. Więc uwiódł oczywiście z łatwością Tadzio panią Brystigerową. No, i tutaj pani, ta, Dobiecka, która mi opowiada – a może to opowiadałam? To mi przerwij.
Trznadel: Nie.
Watowa: Opowiada, że Obory są zamknięte. Wiesz, był zawsze taki okresik krótki.
Trznadel: Tak.
Watowa: Jesień – zamykano Obory. I żeby tam wszystko wy–tego czy tam odnowić. Więc Obory są zamknięte, ale Dobiecka tam mieszka z tym swoim służącym ponurym, z jakąś kucharką. Zajeżdża, proszę ciebie, limuzyną ((śmiech)). Ta limuzyna... Tadzio z panią Brystigerową. Więc ona mówi: „panie Tadeuszu, pan mi wybaczy, ale dom jest zamknięty". – „No, dom jest zamknięty, ale zostanie otworzony. I bardzo poprosimy o obiad. Tutaj jest pani Bystigerowa". No, Dobiecka, wiesz, z Dobiecką można było *pa dusze,* porozmawiać o wszystkim, wiesz. Więc rozmowy jej z Aleksandrem itd. Ona już wszystko wiedziała o Brystigerowej, więc oczywiście dom się otworzyło, no, i potem, prawda, był obiad na poczekaniu zrobiony, no, i potem pani Brystigerowa odpoczywała. Tadzio przy niej tam siedział w zamkniętym pokoju. I potem Tadzio dostał – ja jestem strasznie złośliwa, opowiadam takie rzeczy, a potem będzie to trzeba wszystko wykreślać, ale to już dla ciebie ((śmiech)).
Trznadel: ((śmiech))
Watowa: Proszę ciebie, i Tadzio dostaje – bo ona go pchała w ambasadory. Jej, rozumiesz, marzeniem to było, żeby ona była panią ambasadorową, i żeby była tutaj, i żeby mogła się ubierać u Diora.
Trznadel: Marzeniem Zosi?
Watowa: Marzeniem Zosi. I on zostaje *attaché culturel,* widzisz. Rozumiesz? Także on rzeczywiście bardzo mądrze zrobił, że zerwał.
Trznadel: No tak: Rzym – Paryż.
Watowa: Tak. W Rzymie, proszę ciebie, my przejeżdżamy do Rzymu. Już zapomnieliśmy, wiesz, o tym, że właściwie to niby zerwali. No, ale on tam jest i ja nawet powiedziałam: „Wiesz,

392:1062186896

tutaj są ci Brezowie". Nawet mi wyszło z głowy to. Jak myśmy ich spotkali to on, ale tak bardzo, wiesz, urzędowo i że żałuje, że oni są dzisiaj zajęci. No, i potem idziemy do El Greco i tam jest – byłeś w Rzymie?

Trznadel: Tak.

Watowa: I byłeś w tej kawiarni oczywiście?

Trznadel: Tam nie byłem, bo bardzo krótko byłem.

Watowa: Tak, no to pójdziesz następnym razem. Bo tam Byron siedział ((śmiech)). Więc proszę ciebie, są…

Trznadel: I Norwid.

Watowa: I Norwid. Widzisz, toś mnie wzruszył. Na pewno wiedziałam i zapomniałam. Bo Olek wiedział oczywiście. No, i są Brezowie z tym, z Adolfem Rudnickim – bo Adolf Rudnicki wtedy był. Oczywiście stolików się nie połączyło, nikt do nikogo nie podszedł. I Adolf Rudnicki nie podszedł do nas, bo był w towarzystwie Brezów, więc przechodząc koło naszego stolika, spotykając w końcu nas – znał nas w dwudziestoleciu, rozumiesz?

Trznadel: Tak.

Watowa: I blisko znał. Przechodzi koło naszego stolika i wtedy, oczywiście już wiedzieli, że my – domyślali się, że my nie wrócimy, bo wtedy myśmy jeszcze nie wybrali – wolność była wybrana dopiero przed Berkeley. A wtedy to było te półtora roku, wiesz, u tego Silvy, Alberto Silva, wydawnictwo tam robił – Aleksander – pracował. I on przechodząc, Adolf i oni wszyscy, złożyli nam bardzo hrabiowskie, rozumiesz, ukłony, nie zatrzymując się. Więc tu znowu – jak ja mogę tego Adolfa, słuchaj. Toż to są rzeczy niemożliwe, wiesz?

Trznadel: Tak.

Watowa: Toż to jest takie snoboisko! I to jest w gruncie rzeczy człowiek, który myśli o tym, ciągle o tym, wiesz, żeby wiesz, być na wierzchu, żeby być u góry.

Trznadel: Mówi się, że to człowiek bardzo ostrożny.

Watowa: Ostrożny i jednak zawsze, żeby go widziano, i żeby być na górze. No, nie wiem, ale to nie przeszkadza mu być dobrym pisarzem – chociaż ja nie lubię takiego pisarstwa – ale nie ulega wątpliwości, że to jest dobry pisarz. Słuchaj, znowu się zakałapućkałam. Czekaj! Więc jesteśmy. Aha! I rozumiesz, w ten sposób zostaje kilku ludzi, właściwie takich, którzy zaczynają przychodzić już tak troszeczkę – bo rozumiesz, pamiętam na przykład u nas takie małe przyjęcie. I widziałam, że nagle ci ludzie poczuli się w jakiś sposób niewyraźnie. I wtedy Aleksander wziął

393:9901406072

– właśnie jakąś książkę – mój boże! On czytał coś, odczytał im z historii, wiesz, bardzo dawnej – nie wiem czy średniowiecznej, czy jakiejś. Co się całkowicie – z jakimś państwem, z ustrojem itd. Co się, ale co do joty pokrywało z tym, co się dzieje w Polsce.

Trznadel: Rozumiem.

Watowa: I rozumiesz, ci ludzie – ja pamiętam tylko jednego. Był wtedy taki Szarf. Jak on się nazywał? To był… On pracował w PIW–ie. To był brat Paczkowskiej, wiesz. Znaczy się żony, wiesz, ona była Gabo, była z tym Paszkowskim. Ale wiem, że było kilku literatów – nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć.

Trznadel: Tak.

Watowa: I rozumiesz, że nagle ja zrozumiałam, że oni się boją tego słuchać. I że nie wiadomo, kto tu jest między nami, a kto wie czy ten Wat nie jest może prowokatorem?

Trznadel: Tak jest.

Watowa: Ty rozumiesz? To było najgorsze. Że potem, jak oni wyszli, myśmy o tym rozmawiali. I on mówi: „Tak, wiesz, oni nie byli z tego zadowoleni".

Trznadel: Który to mógł być rok, pamiętasz?

Watowa: Wiesz, to był już rok, to był stalinizm, to był stalinizm, to było bardzo niedobrze, rozumiesz. A tutaj, wiesz, Aleksander gdziekolwiek poszedł, z kimkolwiek się wiesz tego, to on postanowił absolutnie mówić, mówić, mówić tak zwaną prawdę. To co w nim siedziało i tak jak on myślał i tak jak on czuł. Tak, że to grono, wiesz, pamiętam taki Julian Maliniak, który nienawidził, wiesz, i był starym porządnym socjalistą, wiesz. Przyzwoitym człowiekiem, któremu powiedzieli, że – dali do tłumaczenia Marksa, a ona wziął tego Marksa, bo jego córka siedziała w lagrze. Jemu obiecywali, że jemu tę córkę sprowadzą. I on tłumaczył tego Marksa i zresztą jak zaczęli wypuszczać z więzień – znowu nie mogę ci powiedzieć w jakim roku – kiedy była lista, wypuścili jego przyjaciela, starego socjalistę, któremu połamali ręce i nogi. I ten człowiek powiedział, że była lista, lista – nie lista, jak to się mówi? No, spis tych połamanych kości.

Trznadel: Wykaz.

Watowa: Wykaz! Wykaz połamanych kości. Było kilka tysięcy połamanych kości. I temu przyjacielowi Maliniaka po więzieniu zaproponowano, żeby pojechał do Krynicy. Rozumiesz? To był – co to był za okres? Wypuszczanie tego. Cała ta historia z Różańskim się wydała. Jakaś, tak zwana, rehabilitacja. I on mówi, że oni mu te pieniądze, w ogóle, że gdyby mu dali, to by im

394:9880018357

cisnął w twarz i do żadnej Krynicy nie pojedzie. Tak, że pamiętam przyjazd tej zupełnie wyniszczonej – zresztą ty na pewno ją znasz – ona jest tłumaczką, jej syn jest aktorem. Ona się przyjaźni z Tarnowską, ona się przyjaźniła z Kluczborską. Z taką – która zresztą – panią, która umarła. W tej chwili zapomniałam jej nazwiska. No, jednym słowem przyjechała pijaczka, rozumiesz? Przyjechała pijaczka, przyjechała kobieta zupełnie zniszczona, która zaczęła się upijać. Ale niezła tłumaczka i zarabiała na życie. Mieszkała zresztą ze swoim ojcem i on ją w ten sposób właśnie wyciągnął. Wiesz, to są takie, takie, właściwie takie obrazki, wiesz.
Trznadel: Tak, ale niektóre charakterystyczne. Może przypomniałabyś, bo to mi tak bardzo utkwiło w pamięci. To takie spotkanie, o którym mówiłaś: Borowski, Wygodzki.
Watowa: A tak. No, więc – właśnie – to było tak: więc spotkanie z Borowskim. Więc był taki dzień, kiedy – Borowski do nas przechodził. Tak, ja ci mówiłam o tym, o tym takim artykule – przeczytaliśmy artykuł Borowskiego. Borowski był w Berlinie. Ale to było – wizyta jego u nas, właśnie teraz, widzisz, nie wiem, czy to było po Berlinie, czy to było przed Berlinem – spotkanie z Wygodzkim. To chyba było po Berlinie. On wtedy już był tak szalenie… wiesz! I przeczytaliśmy jego artykuł – nie poznawaliśmy Borowskiego.
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: I okazało się, że potem Borowski powiedział, że to był artykuł przesłany przez Borejszę, który on miał podpisać. To był podyktowany artykuł przez Borejszę. Jego tam zniszczyli wiesz, Borowskiego, go wykończyli w Berlinie. A ta wizyta, o której ci mówiłam wyglądała tak, że Wygodzki namówił jakiegoś swojego przyjaciela, żeby skąd gdzieś przyjechał do Warszawy, że on się nim zajmie, zaopiekuje, że na razie pomieszka w jego mieszkaniu. Że znajdzie mu jakieś mieszkanie i pracę. Tymczasem…
Trznadel: I on przyjechał skąd? Z Izraela, mówiłaś?
Watowa: Z Izraela, tak, rzeczywiście z Izraela. Proszę ciebie, też taki był przedwojenny komunista – bo Wygodzki to był w partii już – zdaje się – przed wojną. No, i jak to zdarza się z ludźmi takimi jak Wygodzki, który nie był człowiekiem ani uczynnym, ani wiesz – i bardzo tchórzliwym. Wiesz, jak zobaczył bagaż tego człowieka u siebie w mieszkaniu bardzo porządnym. – On korzystał z tych sklepów za żółtymi firankami. Drukował te swoje, to wtedy jednak rzeczy – powiedzmy, to nie był wielkiej klasy pisarz. Wygodzki. Co ty myślisz o Wygodzkim?
Trznadel: No, ja już bardzo dawno nie czytałem.

395:5562366511

Watowa: No te wiersze drukowane…
Trznadel: Były wiersze, które były dość przejmujące, bo on – zdaje mi się – rodzinę stracił w Oświęcimiu.
Watowa: Więc ja ci powiem – te wiersze są nawet dość przejmujące, te z Izraela, bo do tego doszła ta straszliwa tęsknota za Polską. Był tam u niego Paweł Hertz, w Izraelu. Wiesz, że Paweł Hertz pojechał do Izraela, o tym wiesz?
Trznadel: Nie.
Watowa: To bardzo zabawne, bo on tu był i opowiadał w jaki sposób. Wspaniale. On jest bardzo mądry. Więc odwiedził, więc mówi: „Wiesz, siedzi stary, jęczący, zapłakany Żyd, który o niczym innym nie mówi jak o Polsce. I co on właściwie tu robi?". A jak ja napisałam do Wygodzkiego, że – jak myślisz, czy gdybym przyjechała do Izraela, czy mogłabym zrobić tam taki wieczór poezji Aleksandra? To on mi na to odpowiedział: „Ale kto się tu interesuje poezją? To nie jest Polska".
Trznadel: Tak.
Watowa: „Tu nie ma żadnych wieczorów poetyckich ani literackich, rozumiesz? Także jeżeli masz tylko po to przejeżdżać do Izraela to nie, ale jeżeli chcesz przyjechać" – to bardzo gościnnie mnie zapraszał. Tak, że rozumiesz, jak Wygodzki zobaczył tego nieszczęsnego przyjaciela z tymi tłumokami, a tutaj ani posady, ani mieszkania i nagle to opada, wiesz, na ciebie i ty się czujesz już więźniem po prostu tej swojej, tego swojego przyrzeczenia, i tego człowieka, więc znając go, on prawdopodobnie, ten biedak, po bardzo krótkim czasie odczuł, że jest po prostu zawadą, że jest ciężarem. I na razie nie było posady, na razie nie było mieszkania. I on wiedział, że on jest skazany, i on popełnił samobójstwo w tym mieszkaniu Wygodzkiego. Wygodzki do nas przyleciał ze swoją żoną. On był bardzo łatwy do łez i zapłakany. I przyleciał Borowski, bo prawdopodobnie Borowski wiedział – on zadzwonił do Borowskiego o tym. Czy oni się tam umówili, czy Borowski przyszedł do nas, w każdym razie było u nas spotkanie. No, i Borowski zaczął mówić zupełnie na inne tematy, żeby już na ten temat nie mówić. I zawadziło się o Oświęcim. A jemu te, te łzy tam po, po policzkach spływały ciągle. A ten, wiesz, Borowski, tak trzasnął tak: „co będziesz mi się tutaj mazgaił, co będziesz mi tutaj płakać. Wiedz przecież, wiesz przecież, Ty wiesz dobrze, że my tutaj jesteśmy obaj, tutaj u Watów w tej chwili, to tylko dlatego żeśmy ludziom, którzy nie mieli siły podnieść kawałka chleba do ust, myśmy im ten chleb odbierali. Tyś to robił i ja. Myśmy nie zdejmowali płaszczy czy, czy, czy tych pledów,

396:4740532087

żeby nakryć tych ludzi, myśmy im zabierali, bo uważaliśmy, że oni i tak umierają! Więc żeby kto inny by nie brał". No, to był, wiesz, uczciwy człowiek.
Trznadel: Tak.
Watowa: Borowski był niesłychanie, wiesz, taki twardy wobec samego siebie. Muszę ci powiedzieć, że jest niezapomniane dla mnie spotkanie z Borowskim w Zakopanem na Boże Narodzenie, kiedy był, wiesz, Zawiejski, który, z tym swoim przyjacielem takim małym, który już też nie żyje… doktor… No zapomniałam!
Trznadel: Tak, tak. Ja wiedziałem o tym. On tak niedawno umarł.
Watowa: Wiesz, wiesz. Niedawno umarł. I jest pochowany w Laskach koło, tak, Zawiejskiego.
Trznadel: Tak. Ktoś mi niedawno o nim opowiadał.
Watowa: I byłam na jego, na jego grobie właśnie. Też, też Zawiejskiego. I tam, ta pani kierowniczka, bardzo miła osoba zrobiła coś w rodzaju jednak wilii, wiesz, dla, dla wszystkich. No, i tutaj siedzimy, no zaczyna się śpiewać kolędy. I nagle Borowski mówi: „A teraz ja wam zaśpiewam kolędę". I wiesz, on zaimprowizował. Słuchaj, to była kolęda, że ciarki przechodziły po skórze. On mówił o tych rzeczkach krwi, on ci wspomniał wszystko, co się działo od narodzin, znaczy się od śmierci Chrystusa.
Trznadel: Tak.
Watowa: Znaczy się kościół, rozumiesz. On nie mówił słowa kościół, ale co zrobiło się z tego wszystkiego. I zrobił taką kolędę, że wiesz, wyobrażam sobie jak strasznie cierpiał biedny Zawiejski. A to był wstrząs! Wiesz, że to był wstrząs. Widzisz, jak to trzeba, jak to trzeba, rzeczywiście – jaki to jest genialny ten, że wtedy, żeby wtedy. Przecież ta jego kolęda to było – ja ci powiem – on to mi mówił w jakimś stanie, jak to się mówi, w drugim stanie…
Trznadel: Trans.
Watowa: W transie! On to mówił w transie. On to mówił w transie, on wtedy stworzył coś naprawdę wspaniałego. To było takie właśnie spotkanie z tym… A, Wygodzki rzeczywiście – trzeba powiedzieć, że jeżeli człowiek, który jedzie do Oświęcimia z żoną i córeczką, i ma ze sobą trzy cyjankali, to było tak?
Trznadel: Tak.
Watowa: Dajesz swojej żonie i dajesz swojej córce – i one nie wiedzą o tym. On to im dał w jakiejś gałce, w kawałku chleba. I na jego oczach umiera żona i córka, a za grube pieniądze, za które on kupił to, to jego było, rozumiesz, sfałszowane i on nie umarł.

397:3457189247

Trznadel: Ach tak. Wstrząsające.

Watowa: Tak. Jemu nic się nie stało, tak jakby zjadł cukierek. I tutaj, na jego oczach to dziecko.

Trznadel: Że tak los wymierzył, że on ocalał.

Watowa: Tak, tak! I on dojechał do Oświęcimia, ale te trupy powyrzucał.

Trznadel: To znaczy – już w wagonie im to dał?

Watowa: ((ciszej)) W wagonie, w wagonie.

Trznadel: Niesamowite.

Watowa: Tak. Ale miał trzy. Tyś o tym nie wiedział?

Trznadel: Nie. Nie słyszałem o tym.

Watowa: Więc rozumiesz…

Trznadel: Niesłychane!

Watowa: On był chory na płuca, po Oświęcimiu leżał w szpitalu. I ta obecna jego żona, taka Irena – bardzo była ładna – zaczęła. I wiesz, to było jedno z tych małżeństw, wiesz, tak jak się ożenił Borowski z tą swoją Marią, powiedzmy. Ja ją – nie wiem, dlaczego łączę z tym *Pożegnaniem z Marią*, wiesz?

Trznadel: Tam są pewnie elementy autobiograficzne.

Watowa: Tak, tak. Tak, jak on się z nią ożenił, wiesz, dlatego że on ją podarowywał w tym – bo on był w tym samym obozie, co ona.

Trznadel: Wiem.

Watowa: To jest takie, wiesz, to są te, za dużo prawdopodobnie jest tych elementów jakiejś litości, współczucia, miłosierdzia. Okazuje się, że to na taką miłość, wiesz, nie wystarczy.

Trznadel: No, oni się – Borowscy się znali już przed Oświęcimiem.

Watowa: Myślisz, że się? A ja słyszałam, że oni się poznali w Oświęcimiu?

Trznadel: A nie, to znaczy…

Watowa: Albo ich wywieźli bardzo szybko do Oświęcimia. Bardzo możliwe, że on dlatego się się nią zaopiekował.

Trznadel: Bo on jej szukał i on wtedy wszedł do takiego kotła w Warszawie.

Watowa: Aha.

Trznadel: Więc oni się już, to już było...

Watowa: A no tak. Więc prawdopodobnie tu się już coś zaczęło. Prawdopodobnie to było, to się nie, wiesz, nie umocniło jakoś. To nie była ta miłość, rozumiesz. Nie, ta miłość, która prowadzi

398:5905373387

do tego, że chce się z tym człowiekiem być całe życie. Nie była tak już – nie miała może tych fundamentów.

Trznadel: A może była, bo może coś się zmieniło. Bo on jej po wojnie szukał.

Watowa: A może się zmieniło. A on jej szukał.

Trznadel: Ona po wojnie odnalazła się w Szwecji. On najpierw początkowo o tym nie wiedział, jak pracował tam w Czerwonym Krzyżu, chyba w Monachium, to on jej szukał i wreszcie ją znalazł. No tylko – boże…

Watowa: Tak, ale ja ci powiem. Jak ja poszłam tam do ich mieszkania – mieli takie dość ponure to mieszkanie. Ona jeszcze – dziecka nie było. I wiesz, to się tak od razu czuje, od razu – jak wchodzisz, to tak jak ten ksiądz Twardowski – *a propos* żebym ci zwróciła – ja czułam, że to już są, że to nie jest jedna osoba, tylko to są dwie.

Trznadel: Rozumiem.

Watowa: On, wiesz, on był tak przejęty, on był tak zaabsorbowany, on był tak! Czuło się, że on już żyje w innym świecie niż ona. I potem, oczywiście, ja ją odwiedziłam, jak ona urodziła to dziecko, jak on już nie żył. Poszłam do jej mieszkania. Wiesz, w niej była jednak jakaś.

20_Fon.61.709 Strona B

Watowa: O na urodziła to dziecko, jak on już nie żył. Poszłam do jej mieszkania. Wiesz, w niej była jednak jakaś, rozumiesz, nienawiść dominowała rozpacz. Rozumiesz? Przyszedł do niej pierwszy raz do szpitala, żeby po urodzeniu tego dziecka.

Trznadel: Tak.

Watowa: Spojrzał na dziecko, spojrzał na nią, wyszedł, poszedł do domu. Oczywiście mówiło się o tej kobiecie – słuchaj, to tak jak z Majakowskim. Słuchaj, to był człowiek skończony. To był człowiek – słuchaj, po tym artykule Aleksander z nim mówił: „Jak tyś mógł tak, coś takiego napisać? Przecież to jest niemożliwe, żebyś to ty?". I Aleksander mi powiedział, jemu powiedział, że on nie wierzył w to, żeby on mógł to napisać. Warto byłoby sprawdzić, co to jest – przy okazji.

Trznadel: To wiesz, on wiele artykułów pisał, to było wiele artykułów. To były tak zwane „Małe kroniki*"* w tamtejszej „Nowej Kulturze". On wypisywał zupełnie niestworzone rzeczy. Nawet jeśli jakiś artykuł został podyktowany czy przesłany mu do podpisu, to jednak on nie zaprzeczył temu!

Watowa: Nie zaprzeczył.

399:7671363490

Trznadel: I co tu dużo mówić, pisał przecież także nie tylko artykuły, ale pisał już nowele też takie bardzo socrealistyczne. Zmienił twarz w ciągu roku, dwóch.
Watowa: Roku! Ja ci… roku! Wiesz, ja ci powiem, ja bym nie chciała przez chwilę go o nic posądzać, ale czy on – może on był pod takim ciśnieniem, pod takim wpływem – że może on przez chwilę, tak jak ty o tym czarowniku mówiłeś, wiesz.
Trznadel: Tak, tak.
Watowa: Że może przez… może on m myślał, że może on się myli, że może rzeczywiście to do czegoś przechodzi, prowadzi, że może to jest taki etap, przez który on musi przejść, że musi przekonać ten naród, to społeczeństwo, to wszystko, żeby pokazać…
Trznadel: To jest jedna z takich rzeczy, które ja chciałbym tak powiem – generalnie wyjaśnić, jeśli mi się uda, w rozmowach z wieloma ludźmi.
Watowa: Tak. No ja ci powiem, że jak tyś mi wspomniał ludzi, z którymi ty masz mówić, to ja się zawstydziłam w ogóle, że ty ze mną rozmawiasz. Bo ja ci tak… oni ci tyle rzeczy mogą powiedzieć ciekawszych niż...
Trznadel: Każdy jest ważnym świadkiem, a ty tu jesteś świadkiem bardzo wielu ważnych rzeczy. I, a czy ty pamiętasz, co odpowiedział Aleksandrowi Borowski wtedy – jak doszło do tej konfrontacji, do tej rozmowy, prawda?
Watowa: Do tej… Słuchaj, ja przy tej rozmowie nie byłam, bo Aleksander, wiesz.
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: My byliśmy małżeństwem, które sobie opowiadało wszystko.
Trznadel: Tak.
Watowa: I ponieważ myśmy oboje czytali ten artykuł, i oboje, wiesz, że: „Na miłość boską, to nie on! To jest niemożliwe! To jest wszystko niemożliwe!”. No, i wiesz, jak dochodziło do takich rozmów, to już jest bardzo intymna rozmowa. Wiesz, ja, ja, wiesz, nie chcę się chwalić, ale muszę ci powiedzieć, że ja nigdy nie zajrzałam do jakiegoś rękopisu Aleksandra, póki on mi go nie pokazał. Jak leżał na biurku, kiedy mogłam wejść i szperać, i szukać. I wiesz, jakoś to, nie wiem, to było jakieś takie – uważałam, że w małżeństwie, nawet kiedy jest się tak szalenie blisko, że już bliżej nie można być, pewne obowiązują jakieś reguły, rozumiesz. Że jak jest na przykład – Stawar oczywiście, Stawar przychodził ciągle. Nie było dnia, żeby nie było Stawara. I ja bardzo często wychodziłam. Przede wszystkim Stawar się bał własnego cienia. Stawar się strasznie bał. Więc rozglądał się, otwierał drzwi itd. Ja mówię: „Słuchaj Edward, ja wyjdę. Mów,

400:1012305402

co chcesz, nie ma żadnego podsłuchiwania". Bo wtedy, rozumiesz, domagali się samokrytyki Stawara.
Trznadel: Tak, z tamtego okresu go pamiętam, z bodajże z redakcji „Twórczości" – tam był Stawar.
Watowa: Tak. Przecież i on podpisywał wtedy tłumaczenia nie pod swoim nazwiskiem. Przecież on musiał z czegoś żyć. I wtedy on pracował dla „Czytelnika" i podpisywał – ja nie wiem jak on się podpisywał – ale on się nie podpisywał Stawar.
Trznadel: To był zresztą okres, kiedy wolno było to robić. W ostatnim okresie, przed obecnymi wypadkami to już nawet tego nie wolno było robić.
Watowa: A potem nie wolno było, a wtedy, widzisz, wolno było! I rozumiesz jednak tam, nie wiem, ktoś był w tym „Czytelniku", kto chciał mu pomóc. Już chociażby taka, jeżeli wtedy była taka Zabudowska, wiesz, żona Zabudowskiego, czy jacyś inni ludzie. Słuchaj, wszędzie oni byli, ci inni ludzie.
Trznadel: Zabudowskiego jeszcze niedawno chyba widziałem.
Watowa: Ja go widziałam teraz, w tym. To porządny człowiek. Słuchaj, więc, ale wszędzie byli ci ludzie, ci inni. Ci inni, którzy się bali, ale którzy jak mogli, to pomogli, rozumiesz?
Trznadel: Z tym, że się bali i głośno nie protestowali.
Watowa: Głośno? Nie! O, nie!
Trznadel: I to była ta różnica między Watem, który wiadomo było, co reprezentuje, a jeszcze jakimiś innymi ludźmi, a tymi ludźmi, którzy – o których, kto nie wiedział, to myślał, że są kółkami w trybach maszyny.
Watowa: Słuchaj, czy ty wiesz, że jak Stalin umarł, to nagle – jak tam już wiedzieli, że te portrety, wiesz, jak już jak na Niemcewicza 9, na furze ze śmieciami leżał na wierzchu portret Stalina, no to sobie wyobrażasz.
Trznadel: Tak.
Watowa: Czekaj, czekaj! Chciałam ci coś opowiedzieć… aha! Więc przyszedł do Aleksandra do Dzieciątka Jezus – ona tam leżał – przyszedł bodaj czy nie Askanas. Taki lekarz – profesor Askanas, który już nie żyje, któremu on tam poświęcił zresztą jakieś wiersze. Powiedział: „Właściwie, co pan tu robi? Przecież pan powinien być – oczywiście, że on był wysłany, wiesz, ten Askanas – przecież pan powinien leżeć w lecznicy Ministerstwa Zdrowia. Tam masę literatów, wszyscy literaci". Mówi: „Proszę pana, leżę tam, gdzie mnie położyli". Wiesz, wtedy

401:4325804329

Aleksander cierpiał już też, już był bardzo chory potem. I on leżał potem w tej lecznicy Ministerstwa Zdrowia na Emilii Plater. Czy ty wiesz, że tam były takie sytuacje – bo on potem wraca – że on przy okienku – na dole tam była taka kasa, czy coś tam było, czy jakieś papierki trzeba było wziąć. Ja stałam z boku i był Kruczkowski – Kruczkowski miał dziwną chorobę, bo jemu głowa się robiła taka duża, nie wiem, co to była za choroba, na co on właściwie umarł. I Aleksander się do niego uśmiechnął, powiedział „dzień dobry". A ja widzę, że ten tylko chce wziąć ten papierek i uciekać. Czy ty wiesz, co on powiedział Broniszównie, jak myśmy już byli tutaj?

Trznadel: Tak.

Watowa: Przed śmiercią, dosłownie Broniszówna mówi, że to chyba było pół roku przed śmiercią. On powiedział: „Wie pani, nigdy sobie tego nie daruję. Bo Aleksander, który tyle dla mnie zrobił, że przestałem być nauczycielem, dał mi – zrobił mi stypendium – jak był tam u Gebethnera, wybrał mi potem tego i tak dalej. To ja się tak zachowałem!". Potem, rozumiesz, potem...

Trznadel: Czyli on też był w trybach?

Watowa: Rozumiesz? I on to powiedział Broniszównie. Ale przy tym okienku, to on tylko o jednym myślał, że to może zejść jakiś – bo tam leżeli ministrowie przecież.

Trznadel: Tak.

Watowa: Że tu nagle jakiś minister zejdzie i zobaczy, że ten sobie z Watem za pan brat tutaj stoi. Aaaa! To niedobrze! Dwulicowość. Kto wie, o czym oni tam gadają?

Trznadel: No, to sam Kruczkowski, który był mocny w tym okresie.

Watowa: To sam Kruczkowski, który był tak mocny. A potem, jak już wolno było, to zaczął nas zapraszać do domu, do siebie, rozumiesz? Bo było wolno. I był bardzo miły, i zresztą potem był w Weimarze – mam tutaj fotografię – z Kruczkowskim. I nawet Kruczkowski uważał, że Aleksander powinien przemawiać, (((rozbawiona))) ale to już nie będę mówiła, bo to on tam pisze w tym *Moim wieku*, itd. Więc rozumiesz? Tych ludzi w gruncie rzeczy z tego okresu do naszego wyjazdu, to koło. Słuchaj, jak on chodził do Związku to jego – byli tacy, którzy udawali. No, ludzie, z którymi, wiesz, no niby dawniej jak … którzy wiesz: aaa! dzień dobry, te, te, te. Już leciał, już każdy się spieszył.

Trznadel: A powiedz Olu, a czy w tych latach jednak mimo wszystko nie uformował się naokoło was krąg ludzi, o których wiedziało się, że no, że ci ludzie mają jednak odwagę i przynajmniej –

402:9996642761

jeżeli nie głośno, bo nie można, to po cichu – wiedziało się, że to są ludzie pewni, i że ci ludzie są przeciwko temu wszystkiemu?

Watowa: Ja ci powiem – nie mogłabym mówić o kręgu ludzi.

Trznadel: Tak.

Watowa: Mogę ci tylko powiedzieć, że byli tacy ludzie, ale ci ludzie byli bardzo uważni, też. Rozumiesz? Ja ci powiem – Aleksander miał tak jak on, wiesz – ja nie wiem czyś ty czytał ten napis tam w „Miesięczniku". On miał w sobie tą, nosił w sobie uczucie jakiś odpokutowania za grzechy, i on to miał. I w gruncie rzeczy nie zdawał sobie sprawy z tego, nie myślał o tym, co właściwie – może myślał: „co ja mam do stracenia". On właściwie był pewien, że jego nie wsadzą do więzienia, że, rozumiesz, już teraz go nie wsadzą do więzienia. Także on miał – ja teraz właściwie mówiąc z tobą zdaje sobie sprawę, że on był na jakiś specjalnych prawach, dlatego że… Nie mówi się na specjalnych prawach?

Trznadel: Nie, można mówić.

Watowa: Dlatego, że na przykład ja sobie przypominam, że ja lecę zrozpaczona o godzinie – przed ósmą. Mróz trzaskający. Aleksander mówi: „błagam cię, leć tam do Dzieciątka Jezus" – bo tam był ten Askanas, na tym, na sercowym oddziale on był tam tym, jak to się mówi? No, głównym lekarzem.

Trznadel: Ordynator.

Watowa: Ordynator. „Niech on mi coś da przeciwko bólowi, bo to na mnie już nie działa. Nie mogę, ja nie mogę!". Ja lecę w takiej rozpaczy, bo ja wiem, że jak on włoży, wejdzie, to ja już mu musze to powiedzieć, bo potem on idzie na sali i tu studenci już czekają na niego. I on, wiesz taki wściekły na mnie: „Przecież niedawno mu dałem, czego Pani chce ode mnie? Pani wie, że ja się spieszę! Ja tego". Ja mówię: „Panie profesorze, niech pan da, niech pan napisze coś, bo on cierpi. Ja nie wyjdę bez tego, niech pan mi napisze, nich pan mi da". Więc on napisał i dał. I ja już wiesz, wyszłam. I płakałam, wiesz, płakałam na tej – zdaje się, że to na Nowogrodzkiej jest ten szpital Dzieciątka Jezus, nie wiem, nie pamiętam. I słyszę, że… za mną kroki. I tak się odwracam. Idzie obecna, ta, żona Cyrankiewicza, która była dentystką właśnie w tej lecznicy Ministerstwa Zdrowia i żona Bermana. Ponieważ ja wtedy już, rozumiesz, znałam tą dentystkę, bo już jak Aleksander był, to ja miałam prawo iść do dentystki tej.

Trznadel: Tak.

403:1039409036

Watowa: To ona mi powiedziała, bardzo, to bardzo urocza zresztą kobieta: „dzień dobry” itd. zatrzymała się, a Bermanowa mnie nie znała. A ta mówi: „To jest Pani Watowa”. Przedstawia mnie. (((z przejęciem))) I ona tak od razu mówi: „Ale dlaczego pani płacze? I ja sobie nawet nie zdałam sprawy, że ja mówię z Bermanową, wiesz? Ja mówię: „Dlatego, że mój mąż jest ciężko chory, dlatego, że mój mąż cierpi. Ja byłam teraz u Askanaza. On się spieszył. To jest wszystko straszne! Proszę panią, bo mój mąż nie znosi zimy, on nie znosi, on cierpi jak potępiony jak jest zimno. I jest mróz”. I wiesz, zupełnie tak aż krzyczałam. I ona mówi: „Proszę panią, to ja pomówię z moim mężem. Ja..., to trzeba dla was koniecznie coś zrobić”. Ja się dowiaduję, że to jest Bermanowa. I ona mówiła. Ona mówiła z Bermanem, dlatego że pierwszy raz nas wysłało, wiesz, Ministerstwo Zdrowia.

Trznadel: Tak.

Watowa: To był pierwszy. Drugi wyjazd to był, ten, ta *bursa*, wiesz, horda i nagroda, nagroda za wiersze. I – jak się mówi *bursa* – stypendium, Forda.

Trznadel: Tak.

Watowa: Ale pierwsze to, to Bermanowa mówiła z Bermanem. Berman widocznie mówił: „Czy nie będzie można wysłać jakoś Wata, tego”. Bo oni nie mieli czystego sumienia. Przecież ten, on znał tego Aleksandra sprzed wojny ten Berman, rozumiesz?

Trznadel: Tak.

Watowa: I znowu, ten Berman, który ma taką, taką kartę, rozumiesz, czarną. Ten Berman jednak stara się tu znowu dla tego Wata, żeby mu to Ministerstwo Zdrowia wysłało gdzieś na południe Francji, żeby on nie cierpiał tak.

Trznadel: Podobno płakał teraz niedawno.

Watowa: Płakał, no, z jakiego powodu?

Trznadel: Żałował swoich niektórych tych. Ktoś mi o tym mówił.

Watowa: Co ty? Ale bardzo możliwe!

Trznadel: Jakaś była konfrontacja z Ważykiem, czy coś takiego. Tam dzieją się w tej chwili różne takie rzeczy.

Watowa: Dzieją się, dzieją się! Przecież ja jestem przekonana, co Ważyk teraz przeżywa. Jeżeli on mnie powiedział: „No ja też byłem komunistą”.

Trznadel: Stalinistą.

404:6623139532

Watowa: Stalinistą – mówi. No, ja mówię – (((rozbawiona))) no, ja wiem, ja wiem, no, wiesz, ale to już jest przeszłość.
Trznadel: Może ja ci tutaj taki jeszcze pewien komentarz, ja patrzę na ta taśmę, zrobię. Jak to wszystko jednak było pomieszane. Co w końcu nic nie usprawiedliwia. To są bardzo dziwne… co może bardziej usprawiedliwia troszeczkę ludzi bardzo młodych, ale ja sobie przypominam pięćdziesiąty szósty rok, po dwudziestym Zjeździe, kiedy Chruszczow powiedział ten referat.
Watowa: Aha.
Trznadel: I w ten czas tama się przerwała, prawda?
Watowa: Tak, myśmy byli tutaj.
Trznadel: A to było jednak niesamowite zupełnie, kiedy nagle… to było uderzenie w łeb, bo to było przerwanie tamy. Oficjalne jakieś przyznanie się, a jednocześnie niebywałe wypadki – bo październik, bo… Z tym, że referat to było przed październikiem, to było dużo przed. Dwudziesty Zjazd – ileś tam miesięcy wcześniej. Ale potem zresztą był, były Węgry, był Budapeszt – w każdym razie to było wcześniej. I rozumiesz, jestem na takim zebraniu – to było zebranie partyjne w Instytucie Badań Literackich, mówimy o tym referacie i jednym z naszych dyrektorów był profesor Leon Wolte. On był w Związku Radzieckim i on tam działał właśnie w Związku Patriotów Polskich założonym przez Wasilewską.
Watowa: Bo to nazwisko mi coś mówi.
Trznadel: Był to niewątpliwie poczciwy, porządny człowiek. No, po swojemu na pewno, tak jak wszyscy ludzie w owych czasach z tego kręgu, politycznie ogłupiony, prawda? Czy politycznie nieumoralniony. Ale to był szczególnie poczciwy człowiek, jakoś tak osobiście – i było widać, że to jakiś…. [dzwonek telefonu]
Watowa: Tak, dobrze, skończ to.
Trznadel: Więc…
Watowa: Czyś ty tam nie skasował?
Trznadel: Nie, nie skasowałem, na pewno nie. Tylko dlaczego się off numer włączyło. Pytanie czy to było przedtem? Wrócmy. To się nagrywało – jestem ciekaw. W każdym razie u mnie się nagrywało.
Watowa: O boże!
Trznadel: To nic, u mnie się nagrywało. Czekaj, jest wyłączony głośnik. [odsłuchują kawałek nagrania]

405:1470193714

Watowa: No dobrze, myślałam, że się nie nagrało! ((śmiech))

Trznadel: Tak, nagrało się. Tylko że teraz się wyłączyło. Działa wreszcie.

Watowa: O!

Trznadel: Więc, u mnie idzie.

Watowa: Ale słuchaj, czyś ty nie nagrywasz. Tyś nie posunął taśmy?

Trznadel: Nie, to już był dzwonek telefonu.

Watowa: Nie? Aha.

Trznadel: Słyszałaś dzwonek telefonu?

Watowa: Aha.

Trznadel: Także i jest to zebranie, takie dramatyczne. My wszyscy jesteśmy niesłychanie tacy przejęci. Ja patrzę i ten człowiek, wtedy już niemłody, prawda, nawet może schorowany, on płacze. Płacze! Łzy mu ciekną po policzkach i on mówi: „a myśmy o tym nic nie wiedzieli, bo myśmy myśleli, a że to Jagoda, a że to".

Watowa: Beria!

Trznadel: Beria. Nie, że to Jeżow.

Watowa: Jeżow.

Trznadel: Bo Berii to się zaczęło wtedy, wiesz, gdzie Beria wtedy był? Berię to dopiero potem rozstrzelali, wiesz?

Watowa: Tak. Jeżow.

Trznadel: Znaczy Beria już tak, że Beria, ale Jeżow. Bo to były – Beria jeszcze nie był (owok), kiedy to była okupacja itd. Myśmy myśleli, że to inni, że to nie Stalin. I ten człowiek płakał, prawda? Płakał autentycznie i mogę powiedzieć nawet, że płakał szczerze.

Watowa: Na pewno.

Trznadel: Więc to były przedziwne jakieś mefistofeliczne prawda, zniewolenia umysłów, to co Miłosz, prawda.

Watowa: Tak, tak. Słuchaj, Jacusiu, to ty jeszcze powiedz nam swoje zakończenie.

Trznadel: Dobrze, no to koniec nagrania, 27 lutego 1981 roku.

Watowa: A ja już stawiam wodę. I zaraz przyjdę.

[przerwane nagranie]

Watowa: A może nagraj ten dzisiejszy dzień i w ten sposób będziemy wiedziały, wiedzieli. Już jesteśmy na brązowej taśmie?

406:1435811260

Trznadel: 6 marca 1981 roku.
Watowa: Tak.
Trznadel: Ja to wrócę.
Watowa: Tak. Właśnie i zobacz, czy to nagrywa. Bo kiedyś to był, ten twierdzi, że to był najlepszy sens, jaki powstał.
Trznadel: Ale co, pewnie nie było wciśnięte coś.
Watowa: Nie wiem, nie wiem, ale Czesław mówi – najlepszy seans jaki w ogóle. W jakimś natchnieniu – mówi. [odsłuchują fragment nagrania] No to już. Tak.
Trznadel: Zgadza się. Po prostu wiesz, było – przed startem może nie była uznana. U mnie w zeszycie.
Watowa: Tak. Więc postanowiliśmy nawiązać do tej, do tej, do mojego wspomnienia o spotkaniu z Bermanową, której zresztą osobiście nie znałam. O jej reakcji, że trzeba będzie, żeby ten Aleksander wyjechał, skoro jest jakaś nawet mała nadzieja, że zmiana klimatu mu pomoże. Więc – błagam cię, zamknij – zamknij na chwileczkę! Czekaj, czekaj. Miałam cały plan w głowie, teraz mi się coś…
Trznadel: Jedziemy.
Watowa: Tak. Więc rzeczywiście będę, to, to może będą takie jakieś strzępki teraz wspomnień, bo nie bardzo… W każdym bądź razie to było już po ataku, było po szpitalu – po szpitalu Dzieciątka Jezus. Zresztą tutaj chce powrócić do sylwetki Putramenta, bo mi się teraz przypomina rzecz taka, że jak Aleksander dostał tego ataku i kiedy nie znalazło się w ogóle, nie było miejsca w szpitalu, żeby go przyjąć – on leżał w gruncie rzeczy bez opieki. To znaczy się – przyszła lekarka, ale nie można było zrobić tych wszystkich badań. To mimo to, że Putrament się w ten sposób zachował w Związku, z tą *dubiną*, wiesz, to ja w przypływie jakiejś takiej, wiesz, rozpaczy, że nie wiedziałam… zadzwoniłam jednak do Putramenta, bo wiedziałam, że to jest jedyny człowiek, który coś zrobi. I muszę ci powiedzieć, że jakikolwiek on jest, cokolwiek o nim myślimy, to dzwoniąc do niego z góry wiedziałam, jaka będzie jego reakcja. Że jego reakcja będzie pozytywna, i że on zechce mu pomóc. On był jakiś bardzo przejęty tym telefonem. Szalenie zdziwiony, że ja się do niego zwracam. Ja mu powiedziałam, że mój mąż jest bardzo ciężko chory, nie ma miejsca w szpitalu, on musi być w szpitalu, muszą być przeprowadzone badania. I zwracam się do Pana o pomoc. I on mi na to powiedział: „dziękuję Pani za to bardzo.

407:4241230462

Ja już zaczynam działać". I następnego dnia on był przyjęty – bo wiesz, on w tym okresie był, to był właśnie rok pięćdziesiąty trzeci.
Trznadel: Tak.
Watowa: On był wszechmocny. Więc wiesz, jak to jest? Ponieważ często się zastanawiamy nad ludźmi w tych tutaj naszych rozważaniach, że ja miałam – ja jestem przekonana, że w tym człowieku, który robił rzeczy rzeczywiście, no, rzeczy – ty byś tego nie zrobił ani Aleksander itd. Ani nie powiedziałbyś ani ja, ani byś się tak nie zachował. W nim były jakieś pokłady czegoś, co on musiał prawdopodobnie – w związku z całą sytuacją we Lwowie, w związku z jakimiś, jego przeszłością i tak dalej, bo tam zdaje się też była sprawa ojca – u Putramenta?
Trznadel: No, to nie było w tamtym okresie najlepsze pochodzenie społeczne.
Watowa: Nie było pochodzenie społeczne. Że, rozumiesz, że w gruncie rzeczy w nim, on sobie coś, wiesz, tak odsunął za parawan. Pewnych jakichś, nie pozwalał sobie na, rozumiesz? Znowu to, to, to zniewolenie takie, że tutaj mam taką drogę wyznaczoną, mam prawo działać tak i tak, działać tak i tak, myśleć tak i tak, mówić tak i tak – inaczej mi nie wolno. Bo jak będę się zachowywał inaczej, no to oczywiście nie byłby ambasadorem w Paryżu itd.
Trznadel: Tak, no mi się wydaje, że w tamtym okresie to w ogóle były jakieś dwie dość wyraźnie oddzielone od siebie linie spraw – coś się przecinało z problematyką polityczną, to wtedy ludzie postępowali w jakiś sposób twardy niesłychanie, natomiast jeżeli pewne ich działanie prywatne nie miało charakteru politycznego, to okazywali się normalnymi ludźmi, a często nawet chcieli z siebie dać więcej, jakby kompensując, prawda?
Watowa: Odkupić. Kompensując, tak.
Trznadel: To, że widzieli, że muszą być twardzi gdzie indziej.
Watowa: Tak, więc rozumiesz? Ja to tak, no, czułam, że to tak będzie tak. Bo wiesz, gdybym się w jakimś stopniu podejrzewała, że on mnie tam może, wiesz, tego – to bym tego nie zrobiła.
Trznadel: Tak.
Watowa: Ale wiedziałam, że właśnie on jest tym, który to załatwi i że dzięki niemu Aleksander wyjdzie do szpitala. Tak, tak, że to była taka dygresja. Więc teraz… Więc teraz… już mówiłam, zdaje się, no więc jest ta jego choroba... Widzisz, coś mi się, nie wiem…
Trznadel: No, zobaczymy…
Watowa: Czekaj, ale zaraz. O czym ja? Mówiłam, że ja do czegoś tam będę dążyła. Gdzie ja się?
Trznadel: Zatrzymamy jeszcze na chwilę?

408:1170789686

Watowa: Zatrzymajmy. Wiesz, ja myślałam, że mnie ta kawa zbudziła, tymczasem ta kawa… No, więc wchodzimy w okres bardzo ciężki, bo jest powrót do domu. Wezwała mnie do siebie lekarka, która go leczyła w szpitalu. I powiedziała, że nie może przede mną ukrywać, że teraz wszystko, że spadnie na mnie. Że to jest choroba bardzo długa – dlatego, że ja się tam zaczęłam czuć w szpitalu bardzo słabo, bardzo mnie to wszystko wyczerpało. Że muszę po prostu po prostu dbać o siebie i mieć bardzo, bardzo dużo siły. Także ona mnie uprzedziła, że zaczyna się okres bardzo ciężki. No, więc jest powrót do domu. Oczywiście już nie mam mowy o jakiejś aktywności, wiesz, o jakiś takich tego typu wystąpieniach. Chociaż czekaj – to wystąpienie w Związku, to ostatnie jego wystąpienie w Związku – no tak, to było właśnie przed chorobą, to prawda – to było przed chorobą, kiedy ja podejrzewałam, że tak. No, więc ludzie. Więc – może tutaj opowiem właśnie o takich dwóch bardzo charakterystycznych odbiorach, wiesz, ludzi w stosunku do ludzi chorych i szczególnie cierpiących. Więc muszę ci powiedzieć, że raz jeden tylko Aleksander poczuł wielką ulgę, taką moralną, psychiczną ulgę, w Sztokholmie, jak pojechaliśmy do tego wybitnego neurochirurga – Olivecrone, który nic nie mógł dla niego zrobić. Dlatego, że powiedział, że operacja ta groziłaby okropnymi konsekwencjami, wiesz, paraliżem, niemotą, ślepotą. No, a co najgorsze, że wiesz, intelektualnie, by mogłaby się rzecz straszna stać. Więc w tym czasie był w Sztokholmie brat Julii Hartwig, który jest lekarzem.
Trznadel: Tak, wiem.
Watowa: I odwiedził Aleksandra.
Trznadel: On jest endokrynologiem wybitnym.
Watowa: Ach, on jest endokrynologiem?
Trznadel: On jest wybitnym specjalistą chorób tarczycy – między innymi.
Watowa: Tak. I to był jedyny człowiek w ciągu szesnastu lat choroby Aleksandra, kiedy każdy go pytał czy go jeszcze głowa boli itd. mimo że sto razy opowiadał, co to jest. Jak Aleksander mówił mu jakiego typu to są bóle, on mówi: „Ja się doskonale orientuję. Z takimi bólami wychodzi się przez okno”. Ja byłam trochę tym, wiesz, wstrząśnięta, bo byłam obecna, ale jak on poszedł, to on, znaczy się jak Hartwig wyszedł, to Aleksander miał właściwie dla niego uczucie wdzięczności. Że jest ktoś, kto przyjął, kto zrozumiał i kto wie, że on cierpi. Bo jak ci wiadomo, to nic oryginalnego nie mówię, że cierpienia nie można przekazać, i że w cierpieniu człowiek jest straszliwie samotny. Więc właśnie tutaj, przy okazji, opowiem ci takie dwie wizyty na Niemcewicza, u nas, w naszym mieszkaniu. Któregoś dnia przyszedł Jan Parandowski – w

409:9153050854

doskonałym usposobieniu. Dostał wtedy skrzynię pomarańczy z Izraela, bo tam był jeden z jego utworów przetłumaczony, więc był w takim prawie że euforycznym nastroju. Wtedy pomarańczy zupełnie nie było w Warszawie w dodatku. No, i Aleksander leżał ((z emfazą)) bardzo cierpiący. I tutaj Parandowski, który – wiesz – nie był takim mówcą, nie był takim – wiesz – co to się rozgada itd. Raczej tak ciągnął, tak, tak troszeczkę, wiesz, anemicznie mówił.
Trznadel: Tak.
Watowa: No, ale był w wyjątkowo dobrej formie. To go wszystko bardzo podnieciło, że go tłumaczą. Że ta książka wyszła, a ta miała powodzenie itd. no, i siedział dość długo. Aleksander był – wchodziłam, wiesz, i widziałam, że on cierpi, że jest szalenie zmęczony. Mało mówił, co dla Aleksandra, który wiesz, lubił mówić. Zawsze brał bardzo czynny udział w każdej dyskusji. No, więc w końcu Parandowski się pożegnał, odprowadziłam go do drzwi. On zachwycony Aleksandrem. No, ale ponieważ mieszkał na Zimorowicza bardzo blisko nas, więc ja mam dosłownie po piętnastu minutach telefon Ireny – jego żony, mówi: „Olu, Olu, jaka ja jestem szczęśliwa, bo Jan mi powiedział, że Aleksander jest w świetnej formie". No, więc to ten, ten… wiesz, to przerzucenie swojego na cudze, rozumiesz? Nagle zapomniał o tym, że on jest w świetnej formie i tę formę, wiesz. A potem po bardzo krótkim – prawdopodobnie czasie – w jakimś odstępie, przyszedł Jarosław. Aleksander jak zwykle leżał na swoim tapczanie. Jak zwykle cierpiał. No, i tam się toczyła między nimi rozmowa. I wiesz, że jak Jarosław wychodził po jakiejś półtorej godziny. Ja tak przymknęłam drzwi od pokoju Aleksandra. Jesteśmy w tym hallu. I on mi mówi.
21_Fon.61.710 Strona A
Watowa: W tym hallu. I on mi mówi: „Ola! Jak mnie, jak ja się w palec zakroję to ja nie jestem w stanie o niczym innym myśleć, tylko o tym palcu, który mnie boli. A tutaj człowiek – mówi – ja ((z emfazą)) widziałem jego cierpienie, ja widzę, ja czułem jego cierpienie – on przez półtrorej godziny on ze mną mówił o literaturze, o poezji". Znaczy się – Jarosław podjął jakiś temat i on wziął w tym udział. I miał łzy w oczach, więc widzisz, masz, no, dwie reakcje.
Trznadel: Tak, okazuje się, że Iwaszkiewicz bardziej obserwował to, co się na zewnątrz jego dzieje.
Watowa: Tak, dlatego, że – ja ci powiem – ta twoja obrona Jarosława. Wiesz, to nie dlatego, że on odczuł wtedy, że nie dlatego, że on napisał tak pięknie, wiesz, w tych krótkich swoich, wiesz, o tym, o tej poezji co na cierniowym krzaku historii zakwitła – to jak poeta to napisał. Ale że ja

410:5130635802

czułam zawsze w Jarosławie jakiegoś – znaczy się – przy człowieku tak, jak Czesław, wiesz, ma te, ten pazur taki. Nawet potrafi dojść do jakiegoś okrucieństwa, które potem do końca życia, wiesz, nie może tego zapomnieć i żałuje, i robi sobie wyrzuty sumienia. I on jest też taki, wiesz, na, na, na takie te ciernie siedzą w nim, siedzą z całego życia. To wiesz, tak samo Jarosław, wiesz. On miał te, te, te swoje jakieś takie bardzo ostre i... możliwe nawet, że potrafił nawet bardzo dokuczyć człowiekowi, ale miał jakąś czułość, jakąś ludzkość ogromną. Więc tak, w tym czasie, wiesz, Aleksander bardzo odszedł od właściwie – do Związku przestał chodzić. W gruncie rzeczy ludzi nas odwiedzało niewiele. No, oczywiście Stawar, który był prawie każdego dnia. Ludzie go, wiesz, on miał jednocześnie potrzebę ludzi, a jednocześnie ludzie go ogromnie męczyli. Poza tym ludzie mu uświadamiali prawdopodobnie – chociaż on ze mną o tym nie mówił – to, że w gruncie rzeczy on już jest, że ta choroba go odcięła, rozumiesz? Bo to był człowiek szalenie aktywny.

Trznadel: Tak.

Watowa: Od początku jak go poznałam, wiesz. Pamiętam właśnie jak przyszedł do Szkoły Dramatycznej na takie zakończenie roku szkolnego. Ja byłam w Szkole Dramatycznej. Jeszcze nosił taki jakiś filcowy kapelusz swojej siostry, jakąś żółtą kamizelkę, palto miał też swojej siostry – zresztą śliczne. Z takiego flauszu, wiesz, granatowego. Wyglądał bardzo dziwacznie. Ale wiesz, to tak bywa, że to tak – są ludzie, którzy używają bardzo brzydkich słów i te słowa jakoś śmieszą cię i nawet nie tracą jakiegoś – bo ja wiem – jakiegoś… no, są zabawne, są zabawne.

Trznadel: Tak.

Watowa: A to samo słowo powie ci inny człowiek i to jest ordynarne i przyziemne.

Trznadel: Bardzo dobrze znam takie przykłady.

Watowa: Rozumiesz? To samo. Ale czekaj, czekaj – bo dlaczego ja zrobiłam tą, tą? To… więc. O Aleksandrze mówiłam – aha! co? Że uświadamiało mu. Więc tak, aha! Więc ta szkoła dramatyczna. No, on był taki, wiesz, uważał – bo on w gruncie rzeczy może miał nawet dużo w sobie i nieśmiałości, i niepewności siebie, i miał pewną taką, wiesz, łatwość. Był szalenie łatwy do zranienia, chociaż starał się, żeby tego nie zauważono. No, ale wtedy jak przyszedł do tej Szkoły Dramatycznej, to jako ten futurysta, jak mi tam usiadł u nóg, to uważał – wiesz, że od razu mnie tam zaczął po nogach coś gładzić itd. Ja byłam bardzo, wiesz, bardzo byłam – mimo to, że byłam w szkole dramatycznej, bo wiesz, szkoła dramatyczna na ogół miała na ogół

411:8997449367

miała… Wiesz, tyle lat temu! ((śmiech)) Miała opinię, że to raczej, raczej aktorki są swawolne, ale ja byłam rzeczywiście bardzo niewinna, bardzo czysta i nikt mnie tak po nodze jeszcze nie głaskał. ((śmiech)).

Trznadel: ((śmiech))

Watowa: No, więc ja bardzo go tak odtrąciłam, ale on był… no, i potem nastąpiło przypadkowe spotkanie, bo ja statystowałam w teatrze. Zelwerowicz uważał, że należy się ze sceną jakoś, no, oswajać. I spotkałam go na ulicy, wracałam z teatru, była jakaś jedenasta w nocy. On szedł i zatrzymał się. I zaczęliśmy ze sobą rozmawiać. Zaczął mnie odprowadzać, no, i mówił bardzo dziwne rzeczy, strasznie dziwne rzeczy, nawet mówił o jakimś swoim przyjacielu, wiesz, zresztą potem – zdaje się – że zwariował. Że on był taki rodzaju brzuchomówcy. Pamiętam. I że właściwie to było rozdwojenie – pewno rodzaju – rozdwojenie jaźni. Bo on mówi, że teraz to mówi – nie wiem, czy to był jakiś Bertram, czy to był jakiś Bernard czy jakieś coś takiego – jakiś zupełnie inny człowiek. No, ale wiesz, żeby to poszło po linii, powiedzmy, medycznej, tak, ale on już mówił rzeczy takie bardzo, wiesz, bardzo, bardzo dziwaczył. No, i ja się w jakiejś chwili zdenerwowałam ((śmiech)) i mówię: „Kiedy pan, ale pan mówi jakieś takie rzeczywiście niestworzone historie. To już wracajmy, to już wracam do domu" itd. I on nagle się zupełnie odmienił. I zaczął ze mną mówić bardzo poważnie. A ja wtedy – wiesz – akurat, akurat czytałam – to była taka straszna moda na *Tako rzecze Zaratustra* i czytałam tego Zaratustrę i wiesz, i doszło nawet do Nietzschego. ((śmiech))

Trznadel: I to pewnie w przekładzie Berenta.

Watowa: Pewno w przekładzie Berenta. Tak. Więc ja, bardzo, jakoś bardzo ten Zaratustra na mnie podziałał. I zaczęło się odprowadzanie. Ja mieszkałam na Żurawiej 26 z rodzicami. I tam jest taki jeden wiersz Aleksandra „latarnie tam, stacje mej męki miłosnej" – to właśnie te latarnie, które oświetlały ulicę ((śmiech)). No, i tak odprowadzał mnie chyba do drugiej w nocy, a może i dłużej, no, i zakochał się. A potem, ponieważ mój ojciec go nie chciał wpuszczać do domu, bo niby za kogo ma tu córka wychodzić, za jakiegoś zwariowanego futurystę, więc naprzeciwko, wiesz, na Żurawiej 26, mieszkanie z frontu, więc on stawał na klatce schodowej, naprzeciwko i tam bidula godzinami wystawał itd. ((śmiech)). No, ale potem zaczęłam ojca zwodzić – jak się kładli spać rodzice, to się otwierało cichutko drzwi. Myśmy miały taką sypialnię z siostrami, wiesz, jak to dawniej. Nas było cztery siostry.

Trznadel: Tak.

412:5822188686

Watowa: Pozwolono Aleksandrowi przychodzić, więc ja udawałam, że go odprowadzam do drzwi, zamykałam drzwi za nim, zatrzaskiwałam drzwi. Potem on cicho wychodził na balkon, rozumiesz? ((śmiech)) A rodzice spali ((śmiech)) to balkon mu otwierałam i on przychodził. ((śmiech)) Także widzisz, jaka byłam perfidna. No, więc, ale wróćmy do tego, więc.
Trznadel: Można powiedzieć, że to, co dzisiaj sytuacja obyczajowe robią wprost, to w ten czas też się działo, tylko w pewny, bardziej skomplikowany sposób. Ale wychodziło na jedno.
Watowa: To było skomplikowane. Wychodziło na jedno. (((rozbawiona))) A w dodatku jeszcze, rozumiesz, brat mojej matki, który był – kończył szkołę Wawelberga, był taki inżynier od lokomotyw. No, i wrócił z Baku, podczas rewolucji, ktoś mu dał łomem po głowie – no jednym słowem on wrócił w okropnym stanie i zamieszkał u nas. I on był bardzo podejrzliwy. I on jakoś, jakoś tam coś czuł. I zawsze – już rodzice spali, a on robił inspekcję. Jeszcze chodził po tym całym mieszkaniu czy niby wszystko w porządku. I zaglądał do naszej sypialni, rozumiesz? Więc trzeba było szalenie uważać. (((rozbawiona))) Ale wszystkich potrafiłam zwieść. Ale z siostrami miałam umowę – siostry wszystko wiedziały, tak. No, i mój Aleksander, oczywiście, absolutnie nie chciał, żebym ja była w Szkole Dramatycznej. Robił jakieś tam straszne awantury. Umyślnie, wiesz, poszliśmy na przedstawienie Osterwy, też na takie zakończenie roku – więc on tam się tak zachowywał, że Osterwa w ogóle – przeszedł na widownię i kazał mu wyjść ze mną razem, że to jest zupełnie niemożliwe, że my przeszkadzamy w przedstawieniu. No, i doprowadził do tego, że on absolutnie... Więc ja się sprzeciwiłam. No, więc wybór. No, więc ja wybieram scenę. On wyjeżdża daleko – nie do Afryki, tylko do Łodzi ((śmiech)).
Trznadel: ((śmiech))
Watowa: Ale podwójnie jak wraca pod Szkołę Dramatyczną, a właściwie pod teatr po mnie, No, i… Ale wiesz, w końcu mnie wyrzucili ze szkoły. Wyrzucili mnie ze szkoły, dlatego że on rzeczywiście robił jakieś zupełnie perwerie, zupełnie niemożliwe. Tak że Zelwerowicz tak zadecydował.
Trznadel: To znaczy, że…
Watowa: Zakłócał porządek.
Trznadel: Ten futurysta, prawda, w tej dziedzinie okazał się niesłuchanie tradycjonalny.
Watowa: Bardzo! Bardzo!
Trznadel: Bardzo!

413:5185801351

Watowa: Tak! Zazdrosny, zakochany, chciał mieć żonę tylko dla siebie, w domu. W ogóle żadnej pracy, żadnego wychodzenia itd. ((śmiech)) Rozumiesz? Ta myśl, że ja będę na scenie, a tutaj jakiś aktor, rozumiesz, w jakiejś scenie miłosnej mnie nagle pocałuje. To było absolutnie nie! Nie do przetrawienia! Tak, że, wiesz, ten futuryzm… to, to wchodzenie przez okno zamiast… Bo na przykład poszliśmy do takiej rodziny Schwartzów, wiesz, Bela. Bela Czajka. Tak. Mieszkali na Nowogrodzkiej, na parterze. Ona jeszcze wtedy nie była Czajką, to było w dwudziestoleciu. I on uważał, że ja powinnam wejść – ponieważ to było na parterze – nie przez drzwi, tylko przez okno. I on mnie podsadził, wiesz i ja nagle do obcego mieszkania, po raz pierwszy. Ale ja na to potem już bardzo. Ty wiesz, okazuje się, że ma się jakąś taką, że ma się – no nie wiem, może nie wszyscy, ale że ja mam łatwość – ja nagle weszłam w jego świat, wiesz? Który mnie zachwycił! Bo ja byłam z takiej – wiesz – właściwie drobnomieszczańskiej rodziny, rozumiesz? Gdzie wszystko było takie uregulowane, spokojne, logiczne itd. i nagle, wiesz, ten świat, jakiś taki, wiesz, fantazji, wiesz, pomysłów…

Trznadel: No tak, kobiety w ogóle są bardzo często bardzo plastyczne. Bo to jest wejście w świat, prawda, tego mężczyzny.

Watowa: Tak.

Trznadel: A poza tym przecież byliście po prostu strasznie młodzi.

Watowa: Byliśmy… no nie wiem, czy byliśmy tacy… No, byliśmy młodzi, tak. ((śmiech))

Trznadel: ((śmiech))

Watowa: Byliśmy bardzo młodzi. Tak, że ja – może nie po raz pierwszy ci to mówię – że mnie dosłownie wiesz, skóra na mnie cierpnie, jak ja myślę o tym, że ja mogłam nie iść do Szkoły Dramatycznej, wiesz w ukryciu przed rodzicami. Iść na jakąś posadę nie znając w ogóle, nie umiejąc pisać na maszynie, tylko dlatego, że byłam ładna – to mnie ten dyrektor tam wziął i płacił mi. Wiesz, i zresztą taka pani Siółkowa tam, to był jej dobry przyjaciel, starsza pani i ona powiedziała, że trzeba mi pomóc – a to był stary socjalista. I rozumiesz? Wszystko po kryjomu. I przygotowałam się do egzaminów. Byłam pod szalonym wpływem Solskiej. Więc ona mówiła takim drżącym głosem – tyś Solskiej pewno nie słyszał? Ja ciągle zapominam, że ty jesteś młody ((śmiech)).

Trznadel: Solskiego jeszcze widziałem.

Watowa: Tak, tak. (((teatralnie))) „Jeden wiatr w polu wiał… „więc ja tylko widziałam, że to całe jury, jak weszłam na to podium i zaczęłam mówić te dwa wiatry Tuwima, to oni się tak

414:2102769371

uśmiechali. A oni się tak uśmiechali, dlatego że ja naśladowałam Solską, wiesz? (((rozbawiona))). Tą starą Solską – taka młoda dziewczyna, która mówi jak Solska ((śmiech)) No, ale jednak zdałam ten egzamin i przyjęli mnie... Dobrze… chciałabym powiedzieć jedną rzecz poważną ((śmiech)), a tymczasem widzisz, wdaje się w taki… No, więc tak, więc tak – w tym czasie, w tym czasie on pisze te swoje nowele: *Bezrobotny lucyfer*. Niektóre, wiesz, jedna czy dwie były drukowane – zdaje się – w „Skamandrze". Tak, że wiesz powiedziałabym, że to był okres dla niego – sądząc, wiesz, po tych nowelach, że on bardzo – właściwie to było takie odcięcie nagłe od tego futuryzmu, rozumiesz? Bo to były – to są nowele filozoficzne. Czy ty znasz te nowele?

Trznadel: Tak, znam. Znam i czytałem. No, i od poezji w jakimś sensie, na razie.

Watowa: Tak, wiesz, ponieważ przyznaje się do tego, że starał się pisać właśnie jak pisał wiersze futurystyczne – wiersze najgorsze. Właśnie pisze o tym łamaniu słów, o tym, o tym gnieceniu słów itd. itd. Więc… Także tutaj nagle – mam wrażenie, wiesz, myśmy wzajemnie na siebie wpłynęli. Bo... ja myślę, że jakąś rolę jednak odegrałam w jego życiu, może dlatego właśnie, że byłam jakimś tak… odbierałam go, wiesz? Okazuje się, że w sposób bardzo trafny. I że potem do końca życia, na przykład, oczywiście zawsze mi czytał te wiersze swoje. Ja byłam tą pierwszą czytelniczką i że jednak jakiś, jakiś – nawet w dużym stopniu liczył się, wiesz, z tym moim odbiorem. Ja ci powiem – u mnie to jest, ja sobie zdaję sprawę, że ja, ja mam taką – to jest takie naskórkowe, wiesz? To takie jest, odbieranie, wiesz, że to… że to jest jakieś naskórkowe odbieranie, wiesz, pewnych wrażeń. Potem ja na przykład się zastanawiałam nad tym wierszem, potem ja mogłam na przykład pewnych rzeczy nie rozumieć – w tych wierszach. Ale nagle na mnie wiersz podziałał. Powiedziałam: „wiesz, że to bardzo dobre jest, szalenie ciekawe".

Trznadel: Tak.

Watowa: Nawet nie zdając sobie jeszcze dokładnie, nie robiąc sondy, wiesz – ten wiersz. I ciekawe, że – pamiętam, że wtedy, w tym okresie, jak tutaj żeśmy byli, jak on tutaj pisał bardzo często przychodził Kot Jeleński do nas. I jak on mu pokazywał nowy wiersz, to on zawsze mówił to, co ja mówiłam. Bo dlatego, że on mówił: –„wiesz, to dziwne, że mówisz właściwie, robisz te same uwagi co Ola mi mówiła". Co mi zresztą, muszę ci powiedzieć, pochlebiało. Dlatego, że wiedziałam, że Kocik jest bardzo, wiesz, on ma, on jest inteligentny i jak Olek mówił, że on ma – jaki mózg? – ele…

Trznadel: Elektronowy.

415:5212652377

Watowa: Elektronowy mózg ((śmiech)), bo on tak szybko myśli. Tak. No, ale ja już przyleciałam do Paryża, a to jest Polska. Więc tak – więc w tym czasie on pisze te swoje: *Bezrobotnego Lucyfera*, na gwałt bidulka musi zacząć zarabiać, rozumiesz, więc zaczyna tłumaczyć. Zresztą – jeśli się nie mylę – to Tuwim dał mu jakieś takie możliwości zarobkowania, czyli, żeby on pisał takie powieści, wiesz. To wtedy wychodziły – nie wiem czy w „Ruchu", czy gdzieś – takie powieści, co się w kioskach sprzedawało.
Trznadel: Powieść za trzy grosze.
Watowa: Taka powieść za trzy grosze. No, i Tuwim to kiedyś – no nie wiem – na początku praktykował. Bo jeszcze był, wiesz, jak dopiero przyjechał z tą swoją Stefą, którą bardzo kochał i chciał, żeby była elegancka i żeby miała wszystkie wygody itd. więc on pisał te, te… a potem już mu tego nie…
Trznadel: Ja powiedziałem, że za trzy grosze, ale wiem, że istniała, to się nazywa biblioteka groszowa, czy coś takiego.
Watowa: Groszowa! Tak! ((śmiech))
Trznadel: Groszówki. I ja to czytałem przed wojną.
Watowa: Tak! ((śmiech)) O boże, co ja bym dała, żeby teraz przeczytać i wiedzieć, ale on się oczywiście tam podpisywał nie swoim nazwiskiem albo w ogóle anonimowo.
Trznadel: A to jest ważna wskazówka ewentualnie dla przyszłego poszukiwacza. Tylko czy to jest do odtworzenia?
Watowa: Bo ja ci powiem…
Trznadel: Czy da się odtworzyć, co on pisał tam?
Watowa: Ja, żebym przeczytała…
Trznadel: To byś poznała?
Watowa: To już… ja bym go poznała.
Trznadel: Aha.
Watowa: Mnie by wystarczył szyk słów, no, melodyka tego… ja bym to poznała, od razu bym poznała.
Trznadel: Trzeba by poszukać gdzieś tego kompletów, tylko że to pewnie jest zaczytane gdzieś.
Watowa: Tak.
Trznadel: No może ktoś tam ma.

416:3129597229

Watowa: Także wiesz, on sporo zaczął pisać tych powieści, no, i zaczął tłumaczyć. Muszę ci powiedzieć, że siostra jego, Broniszówna – aktorka, bardzo była ze mnie niezadowolona. Bardzo była przeciwko mnie i muszę ci powiedzieć, że dopiero przedwczoraj napisałam do niej list, ponieważ uważam, że nie należy z pewnymi rzeczami zwlekać i to, co się czuje, to, co się wie trzeba już teraz jakoś zostawić taki ślad. I powiedziałam jej – ponieważ bardzo ją pokochałam i to jest nadzwyczajna kobieta, i pod wieloma względami nadzwyczajna – pomijając jej aktorstwo – napisała do mnie: „Ola, co ty mi takie komplementy piszesz, tego". A ja ją tak chcę, wiesz, to znaczy ja mówię prawdę, ale piszę jej, że, że – i ona ma i tą pamięć świetną i szalona jakaś, ten umysł żywy, interesuje się itd. No, i porusza się jednak słabo, ale się porusza i dużo rzeczy, prawda. Więc napisałam: „Sedo, wobec tego, że mi robisz wymówki, że ci robię komplementy, no to powiem ci teraz, że bardzo, bardzo byłaś w pewnym okresie bardzo dla mnie przykra. Mówiłaś mi rzeczy okropne, a teraz ci powiem, że miałaś rację. I może tylko to, że Aleksander mnie kochał i że był ze mną szczęśliwy – że ja go kochałam, że to trwało do końca – to może to w jakiś sposób rekompensuje, wiesz, te moje wady". Dlatego, że ona – i słusznie – że Aleksander zamiast pisać takie powieści za trzy grosze – to ja powinnam się była zabrać do pracy. Ja powinnam była pracować. Ale ja byłam wychowana, wiesz, w takim domu, wychowywana do wyjścia za mąż.

Trznadel: Ale i on nie chciał przecież, jak mówisz.

Watowa: A on, rozumiesz? Tak, ale... znaczy się – mąż miał być doktor albo inżynier ((śmiech)) albo architekt.

Trznadel: Tak.

Watowa: I rozumiesz, miała być służąca w domu i, prawda, i tutaj ta córka, która przechodzi… wiesz, prawda. Ja, ja nie spodziewałam się tego, tego, co ja właściwie, co we mnie siedzi, jeśli chodzi o… właściwe jaka ja jestem, to nie wiedziałam. Bo dopiero Kazachstan – dlatego ludzie z podejrzeniem się patrzą, jak ja mówię i mi nie wierzą, ale zapewniam cię Jacku, że ja jestem zadowolona, że ja przeszłam przez doświadczenie kazachstańskie. Z tym, że Aleksander, prawda, jednak żył, wyszedł bardzo zniszczony, bardzo schorowany. Że Andrzeja zdołałam uratować. Mimo tam tych początków gruźlicy itd. Ale ja bym naprawdę nic o życiu nie wiedziała! Nie wiedziałabym co to jest głód, co to jest nędza, co to jest – nic bym nie wiedziała o życiu! Dlatego, że to byłoby życie szalenie… i wyobraź sobie jakbym jeszcze wyszła za jakiegoś adwokata. To byłaby w ogóle jakaś katastrofa. Tak, że ona miała rację, ale ja, wiesz, nigdy nie

417:1132678681

myślałam o tym, że ja nagle mogę iść do biura, że ja powinnam się nauczyć pisania na maszynie albo w ogóle.

Trznadel: Ale czy Aleksander by się zgodził w ogóle na to?

Watowa: No, więc okazuje się, że Aleksander nigdy nie chciał, żebym ja pracowała! Jak ja wchodziłam do kuchni – a ponieważ byłam złą kucharką – on już wiedział, że ja tam gotować nie bardzo lubię, to on mi zawsze mówił: „Ach, nie siedź tam w tej kuchni, chodź tutaj! Wiesz, zejdź na dół, kup… taką puszkę" – wiesz– on bardzo lubił takie jedzenie: jakieś tam grochy, takie fasola z kiełbachą w środku, wiesz. – „To odgrzejesz, to będzie wspaniałe jedzenie". ((śmiech)).

Trznadel: ((śmiech))

Watowa: Tak, że on tego, rozumiesz, on tego nie chciał. No, więc, w jaki sposób, wiesz, on miał – rozumiesz – jak ja patrzę na Andrzeja… I wiesz, no dzisiaj on był po pracy, trochę zaniedbany, ale wiesz, jak on tak nieraz przyjdzie, i myślę sobie: „Mój boże, jaki o jest przystojny. Jak mi jest przyjemnie na niego patrzeć:. I wiesz, te… to jest, to jest, to jest okropne, co ja ci mówię, bo ja uważam, że ja mam tyle i teraz, jako szczególnie mówić o sobie, jako stara kobieta. Ale rozumiesz, że on miał, stałą przyjemność obcowania ze mną. A ja miałam, rozumiesz, zupełną jakąś rozkosz – w tej, tej, tej aurze, wiesz, jego wiedzy, jego intelektu, jego inteligencji. No rozumiesz, doszło do tego, już do takiego, wiesz, rozkładu mojego – naprawdę! Że jak ja przecież tutaj do metra, to Aleksander mi mówi tak: „Wejdziesz to metra, weźmiesz *direction* takie, wysiądziesz tutaj, potem weźmiesz *direction* takie, i potem wysiądziesz na tej tak". Że ja nie, wiesz – rozumiesz – nie umiałam sobie poradzić z mapą.

Trznadel: No tak, ale to – bo to był taki u niego duch opiekuńczy, a poza tym mnie się wydaje, że była taka sytuacja w ogóle w stylu epoki jeszcze, w obyczajowości. Ja sobie przypominam – wiesz, może tak dla uzupełnienia – jak wyglądał model w naszym domu. Jest to jakoś porównywalne. No, moi rodzice byli trochę starsi od was, trochę starsi, ale w końcu to jest prawie – mój ojciec ma w tej chwili 86 lat.

Watowa: Aleksander miałby 81.

Trznadel: No, więc właśnie, więc mój ojciec jest od niego starszy, ale w naszym domu panował też taki model, że ojciec uważał, że on wszystko wie, że on musi wszystko wytłumaczyć. On musi zaplanować, co do ((z emfazą)) najmniejszego szczegółu, bo moja matka po prostu sobie nie da rady.

418:3119380615

Watowa: Tak.

Trznadel: I nawet powiedziałbym, że pewne cechy…

Watowa: Ale przepraszam cię Jacku, ale Twoja matka by sobie dała radę!

Trznadel: Dałaby sobie radę! Ja o tym bardzo dobrze wiem!

Watowa: Tak! Ty o tym wiesz, ale ja z całą pokorą ci się przyznaje, że ja – jeśli chodzi o to, nawet o to głupie metro – to ja chciałam, żeby Aleksander mi powiedział, gdzie ja mam wsiąść, gdzie ja mam wysiąść, gdzie ja mam zrobić przesiadkę.

Trznadel: Tak. Ja myślę, że moja matka też pewnie w jakimś sensie tego chciała i to był pewien taki model w ogóle.

Watowa: Tak.

Trznadel: Model, prawda, że mężczyzna jest panujący. Ja nie wiem, czy mój ojciec nie poczułby się trochę w jakiejś roli, której nie umiał dobrze grać, gdyby się okazało, że koło niego jest kobieta, która odwrotnie – jemu mówi: „wiesz, ja to przemyślałam. Ty nie masz racji".

Watowa: A możliwe. Wiesz, bo Aleksander wpadał w szał zupełny. Jak myśmy byli na przykład w San Francisco. Ja widziałam, że on tam zagląda do mapki itd. I ja mówię: „Ol, to może się zapytamy po prostu?". – „No tak, jeszcze jeden dowód, że nie masz do mnie zaufania!". I rozumiesz, wtedy, kiedy – a szczególnie to było właśnie na naszych różnych takich wycieczkach, wiesz, w jakiś obcych miastach: to Rzym, to Florencja. Ja doprowadzałam go do szału zupełnie, jak ja powiedziałam: „wiesz, to się zapytajmy". – „No bo ty do mnie nie masz zaufania". I on chciał, wiesz, chciał… A ja miałam do niego szalone zaufanie! Ale tak sobie pomyślałam, że może to będzie prędzej, to… A może też, a może chwilami też nie miałam. Myślę sobie – „a może on się pomyli, a może pójdziemy w innym kierunki, to już lepiej zapytać" – jego to straszliwie denerwowało!

Trznadel: Tak, mi się wydaje, że tu za tym jest jeden problem, o którym powiesz, jeśli zechcesz, ale ten problem jest – jakby to powiedzieć – wyszedł poza ramy waszego domu, bo się o tym mówi. Bo jak ci wspomniałem, jak przyjechałem z Polski, to mówił o tym ksiądz Twardowski – że w gruncie rzeczy tak jak ja widzę także, no, rozmaite układy w domach pisarzy, że wyście stanowili chyba rzadki wypadek, rzadki wypadek pary, która w jakimś sensie – no – którzy na pewnie wiedzieli, że to jest nie do zmiany, że chcą być razem, że muszą być razem, że to jest ich życie, że takie życie jest dla nich dobre. Czy ty się orientujesz, jak to jest rzadkie? Przecież obserwowałaś?

419:2217726626

Watowa: Tak.
Trznadel: Ja nie wiem, czy mógłbym wymienić dużo takich związków.
Watowa: Powiem ci przede wszystkim, że to coś ty w tej chwili teraz powiedział, to może ci kiedyś – jak będziesz miał czas – to ci postawię te *tableront*. Z Kottem Jeleńskim, po śmierci Aleksandra, z Czapskim Józefem, z Marynią i z … z Chmielowcem – nie – w radio on był, nie Chwostowiec, nie Chmielowiec, no, mniejsza o to. W każdym bądź razie bardzo pięknie mówi o poezji Elliotta. Kot mówi: „No, jednak mówimy, prawda, o Aleksandrze Wacie – tam itd. Nie można tutaj, ja uważam, że nie można tutaj nie wspomnieć Oli Watowej". Ja osobiście w swoim życiu nie znałem tego, co Francuzi nazywają słowem *couple*[461]. Ja czegoś takiego nie spotkałem". Tak, że on właściwie powtórzył to, coś ty teraz powiedział. A, rozumiesz, to, co nas otaczało w dwudziestoleciu, te wszystkie, co wiesz, te wszystkie młode pary – Broniewski się ożenił, to prawda, no, masę tych, tych literatów itd. To wiesz, tak: albo się porozstawiało albo się zdradzało.
Trznadel: Tak.
Watowa: Okropnie.
Trznadel: Albo cierpiało strasznie jeszcze.
Watowa: I cierpiało. I w domu – wiesz, ja na przykład nie znosiłam – i on także, on od razu cierpiał jak było między nami jakieś najmniejsze nieporozumienie – i to przeważnie z mojej winy, bo on tam zresztą mówi w tym *Moim wieku*, że ja mam takie, wiesz, mogę sobie tak nagle wybuchnąć itd. To słuchaj, po pięciu minutach ja już mu się rzucałam na szyję i mówię: „Ol, bądź jeszcze – tak trzymał, trzymał! Ja mówię – Dajmy pokój, zapomnijmy!". To ja nie znosiłam, ja nie wytrzymywałam! A on tak jeszcze się starał: „A ty to szybko zapominasz!". No, a ja mówię: „No, ale...". I następowała momentalnie zgoda, wiesz. Słuchaj, ja sobie nie przypominam – a byłam z nim 48 lat, bo to jeszcze przed tym, przed tym liczę, czy 44… już nie pamiętam. Słuchaj, ja nie pamiętam, żeby nam przeszło kilka godzin – wiesz, jak to na przykład małżeństwo ze sobą nie mówi – słuchaj, to jest koszmar! Ja ten koszmar obserwowałam u mojej siostry jednej, u której zresztą mieszkałam – u Marysi. To mężczyzna, który – rozumiesz, przestaje mówić. I nie mówi przez miesiąc. Tylko: „Zjesz śniadanie?" – „Tak". „Nie". Tup.
Trznadel: Wiem. No właśnie, ja w związku z tym miałbym takie niedyskretne pytanie, więc ty będziesz mówić. Chciałoby się powiedzieć – właściwie zapytać – jak wyście do tego doszli? Ale

[461] Fr. *couple* – związek.

420:8252710080

z tego co ty mówisz to właściwie było, że właściwie w pewnym sensie od początku, to już właściwie wyście się raczej odnaleźli, niż musieliście dochodzić, prawda?
Watowa: Wiesz, powiem ci – chciałabym być wierząca. Niestety mi to szalenie z trudem przychodzi. A to wiesz – albo przychodzi, albo jest znane, albo tak…, ale w jedno wierzę: że ja musiałam spotkać Aleksandra, on musiał mnie spotkać.
Trznadel: Tak, to niebywałe, bo wiesz, bo ja tu jeszcze, taka jedna myśl może, nie chciałbym, żeby mi uciekła, ale ona jest ważna. Są takie niewidzialne nici, które wiążą twórczość człowieka...
22_Fon.61.710 Strona B
Trznadel: Które wiążą twórczość człowieka z psychologią jego życia osobistego. I to, że można kogoś kochać – można być – bardzo subtelnym człowiekiem, wrażliwym człowiekiem, mieć potrzebę miłości i można być jednocześnie człowiekiem, który nie chcąc w jakimś sensie wszystko, wszystko psuje. Coś mu się nie udaje. Musi szukać jakiś – prawda – mitów. Uciekać do coraz nowych partnerów. To, że niezależnie od tego, że druga osoba może być osobą, no, wspaniałą, opuszcza się ją. Albo w jakimś sensie odchodzi się od niej: na krótko, na dłużej. To, że właśnie Aleksander ((z emfazą)) z Tobą i nie tylko wyście byli zintegrowali, ale on i on musiał być z Tobą zintegrowany, prawda?
Watowa: Tak.
Trznadel: Że on potrafił wiedzieć w ogóle, czego chce. Że nie przeszkadzały mu rozmaite mity – no na przykład kobiet, poszukiwań itd. to świadczy, że w nim była jakaś niesłychanie, ten rdzeń był niesłuchanie silnie zintegrowany i powiedziałbym w pewnym sensie takim podniosłym, taki zdrowy, wiesz? Że ta klęska przynajmniej została mu jakoś oszczędzona.
Watowa: Tak.
Trznadel: I być może, ta integracja, tłumaczy tę późniejszą integrację w jego twórczości, której, której dokonał. Może jedyny z tych wszystkich futurystów, o czym właśnie Łukasiewicz pisze.
Watowa: Tak.
Trznadel: Bo to jest przecież, to jest przecież tak rzadkie.
Watowa: Ja ci powiem – mi się wydaje, że zupełnie nieświadomie i bez żadnego uprzedniego, wiesz, żebym sobie powiedziała, że powinnam się zachowywać tak, a nie inaczej – w ogóle przez myśl mi to nie przeszło... Ale to, że ja, wiesz, byłam tak otwarta zawsze – na przyjęcie, wiesz, wszystkiego, co on mi powie czy, wiesz, nastrojów. To był jednak człowiek, który wiesz,

421:7175643118

miał jednak np. myśmy się tym różnili, wiesz, że Aleksander się bardzo raczej był depresyjny na… na jesieni, a ja na wiosnę.

Trznadel: Bardzo dobrze.

Watowa: Rozumiesz? Poza tym dawałam mu, wiesz, znaczy się… ja myślę, że on miał poczucie też jakiejś dużej swobody. Dlatego, że np. Aleksander szalenie lubił chodzić nocą. To była jakaś jego pasja. On lubił po tym pustym, po pustej tej Warszawie nocą, zimą czy latem, lubił tak słyszeć, wiesz, swoje kroki. I pisze tam gdzieś – jak *Ahaswer* – wracałem zmęczony do domu itd. rozumiesz? I wracał. No, a ja mówiłam, a ja nie, a ja już nie wyjdę. Już mi się nie chciało. Już chciałam się położyć do łóżka. Lubiłam sobie czytać w łóżku itd. Więc wiesz, to jest drobiazg, ale to jest drobiazg, ale rozumiesz, ja na przykład nigdy sobie nie pomyślałam – no dobrze, on sobie wyszedł, tak chodzi kilka godzin po tej nocy – no powiedzmy, dlaczego? No, na ogół – wokoło mnie każdy mężczyzna tam gdzieś sobie poszedł do jakiejś, ale rozumiesz? To mi w ogóle nie przychodziło do głowy. Z tym, że jak teraz myślę o nim, myślę sobie – no wyjeżdżał, wyjeżdżał, prawda, z PEN Clubem po wojnie. Ciągle, każdego roku wyjeżdżał. Nie widzieliśmy się. Ja nie wiem, no, no może i mnie zdradził, ale wracał do mnie i tak mnie strasznie kochał. I taki był szczęśliwy z tego powrotu, że wiesz, to już dla mnie traci nawet… no, no może tam miał jakiś tak zwany skok w bok ((śmiech)) no nie wiem. Chociaż, wiesz, nie mówiąc mi, nie mówiąc mi o tym, dawał mi do zrozumienia, że nie. Właściwie nie dawał mi do zrozumienia, ale to jakoś się nie mówiło u nas o tym. No, oczywiście ja powinna być, była być rzeczywiście już taka zupełnie bez skazy. Znaczy się, że on to wyraził w ten sposób – ponieważ kiedyś tam robił mi wymówki – ja mówię: „No wszyscy twoi ci przyjaciele, co tu przychodzą, to się do mnie dowalają". ((śmiech)).

Trznadel: ((śmiech))

Watowa: To co ja mam robić? No, i tak na, na żartobliwie. No, i rzeczywiście tam Stande nie Stande, a to Daszewski, a to to, a to owo, a to tamto. I każdy jakoś tak usiłował tam jakieś flirciki ze mną. I on to widział, ale powiem ci, że znowu może… ja ci powiem, i to jest ludzkie, że mężczyzna, wiesz tak: jest zazdrosny o żonę, ale jednocześnie jest zadowolony, że ta żona się innym też podoba. ((śmiech))

Trznadel: Oczywiście.

Watowa: Rozumiesz? ((śmiech))

Trznadel: Tak.

422:9271137007

Watowa: Jakaś duma, wiesz, że to jest kobieta, która zwraca uwagę itd. Więc… ale tutaj chciałam powiedzieć, tak… chciałam powiedzieć… Czekaj, czekaj, czekaj! że… Aha! Powiedział mi tak kiedyś, ale już na poważnie: „wiesz, trzeba mieć w życiu jednego człowieka na tym olbrzymim świecie, gdzie jest tyle – prawda – ocean ludzi, ja muszę mieć jednego człowieka, któremu mogę całkowicie wierzyć. I ty, i ty musisz być tą, którą – rozumiesz? – ta potrzeba wiary, że ja rzeczywiście jestem jego i tylko jego. I że trzeba mieć zaufanie tylko do jednego człowieka! Znaleźć takiego jednego człowieka okazuje się jak jest trudno w życiu. Znaleźć jednego człowieka, o którym możesz powiedzieć, że rzeczywiście ten człowiek zasługuje na twoje zaufanie, że ten człowiek cię nie oszuka.
Trznadel: Tak, więc to jest niewątpliwie to szczęście, ten traf, przypadek także, ale skądinąd znamy ludzi, którzy być może trafiają na takie przypadki – i zwłaszcza artyści potrafią sami zniszczyć. I ci, którzy właściwie nie niszczą, a odwrotnie – potrafią to hodować – to oni mają widocznie w sobie jakąś piękno wewnętrznej integracji i to jest także ich zasługa.
Watowa: A wiesz, że ja zdania nie zrozumiałam… nie wiem, czy przepuściłam jakieś słowo nagle.
Trznadel: Nie chwyciłaś tego słowa.
Watowa: Nie chwyciłam tego.
Trznadel: Więc ja mówię, że przecież – jak to się mówi – trzeba przypadku, szczęśliwego.
Watowa: Tak.
Trznadel: Bardzo dużo rzeczy w życiu zależy od szczęśliwego przypadku.
Watowa: Bardzo! Bardzo.
Trznadel: Ale często patrząc na innych ludzi można by powiedzieć, że on trafił na taki szczęśliwy przypadek – ludzie się do tego przyznają. To był szczęśliwy przypadek, ale ja mam taką naturę, że ja wszystko popsuje.
Watowa: Tak.
Trznadel: Otóż właśnie Aleksander – jak widać – miał taka naturę, że nie popsuł, rozumiesz? Od tego też dużo zależy.
Watowa: Tak, na pewno. Na pewno, bo ja mu dawałam powody, wiesz, że mógłby być ze mnie niezadowolony.
Trznadel: Nie, ja nawet nie mówię, że ty dawałaś powody, tylko powody czasem są w duszy człowieka, w jego pokrętności.

423:8429076208

Watowa: Nie, nie... No tak. W jakiejś pokrętności. Może. Ale wiesz, ja ci powiem, może wszystko tak, jak było to się dobrze układało – jeśli chodzi o moje usposobienie i jego. Rozumiesz? Ja należałam do właściwie do takich kobiet, które w sobie lubią jak są troszeczeczkę, wiesz, takie – prawda – zwracają uwagę i widzą, że mężczyzna się interesuje itd. Ale tylko do momentu to mnie interesowało, rozumiesz, kiedy widziałam, że ten ((śmiech)) że ten – mówiąc dość wulgarnie – że już ten facet doszedł do pewnej temperatury. I wtedy go, rozumiesz, odrzucałam. I tego progu nigdy, rozumiesz? Ale to, w jaki sposób ta, i Aleksander, rozumiesz, miał te pewnego rodzaju takie emocje, które też jego w jakiś sposób go ciągle utrzymywały, wiesz… ((śmiech)) utrzymywały go w tej, wiesz, że on ciągle we mnie widział kobietę. I to jest szalenie ważne. Ja już, wiesz, w pewnym okresie, kiedy uważałam się za kobietę z doświadczeniem, to robiłam tego typu uwagi kobietom: że zdobywa się mężczyznę – to jest bardzo typowe dla kobiet – i wtedy się, wiesz, dba o ubranie i robi się makijaż itd. itd.
Trznadel: Tak.
Watowa: A potem jak się faceta już wiesz, już ta obrączka jest i ślub itd. No, to potem zaczyna się zaniedbywanie itd. A ja – rzeczywiście Aleksander mnie widział – rano ja wychodziłam z kąpielowego zrobiona, z mniejszym czy większym makijażem – zależało od wieku. Bo był okres, kiedy to w ogóle było niepotrzebne. Uczesana, ubrana itd. – Już na scenę wychodziłam. Rozumiesz? Na scenę w tym sensie, że uważałam, rozumiesz… uważałam, że należy się tak zachowywać. Że – ponieważ wiedziałam, że jemu sprawia przyjemność właśnie. Bo on tak: „A, dzisiaj nie będziesz miała dobrego humoru. Już widzę to po twoim uczesaniu". Że już zaniedbałam się, rozumiesz? Albo: „Nie znoszę tego koloru!". Do ostatniej chwili, wiesz, do końca życia on nawet mnie prosił, żebym ja nie nosiła czarnego koloru, on nie lubił tego. Żebym nie nosiła żałoby itd. Więc rozumiesz? Znając wrażliwość, wiesz… Potrzebę tego widoku, wiesz, tej estetyki, wiesz, potrzebę, że ta kobieta, która przychodzi, je z nim te śniadanie czy obiad, że ona jest, wiesz, że ona to dla niego zrobiła i że jemu jest przyjemnie, rozumiesz?
Trznadel: Tak.
Watowa: A kobiety, rozumiesz, to tak: to w szlafroku, to potem zaczyna kłaść biusthalter, pasek – to wszystko robi przy mężu. To wszystko okazuje się – to, co w pierwszym okresie cię podniecało, to potem zaczyna cię to wszystko razić, dlatego, że są inne, które paska nie noszą itd. ((śmiech)) rozumiesz? Także ja uważam, że kobiety bardzo mają dużo win, jeżeli się małżeństwo nie utrzymuje.

424:1152034429

Trznadel: Tak, ale pomijasz tu też jedna, najważniejszą, najważniejszą sprawę, że w końcu – ja myślę, że gdybyś wyszła rozczochrana
Watowa: ((śmiech))
Trznadel: To biorąc pod uwagę po prostu Twój urok i to, w jaki sposób on go odczuwał, i to, że wiedział, że jesteś niewymienialna! No, i myślę, że to było jednak najważniejsze.
Watowa: No tak! No tak.
Trznadel: Bo te rzeczy grają wtedy, kiedy – o których mówisz – kiedy w gruncie rzeczy można podmienić tę osobę na inną. Z chwilą, kiedy nastąpi bardzo dobry dobór, bardzo duże partnerstwo i pewien typ – no pewnego typu uroku właśnie, który nawet trudno jest opisać, dlaczego działa na tą osobę. I nie – ale także jest obiektywny – no to wtedy wszystkie rzeczy działają, no, i jest po prostu dobrze.
Watowa: A tutaj Stawar kiedyś tak mi się przypatrzył, bośmy się gdzieś wybierali wieczorem – a przedtem to ja, wiesz, w fartuchu. Coś tam weszłam do mojej gosposi i podawałam, i pomagałam, żeby było prędzej itd. A on tak do siebie powiedział: „Jaka jest właściwie ta Ola? Bo ona to tak, taka domowa i tak… i teraz, a tutaj nagle ubrała się, już się taka zrobiła elegancka dama i to". I wiesz, taka jakaś, coś takiego go zastanowiło, rozumiesz, że ja jestem taka… ((śmiech)) [przerwane nagranie]
Trznadel: To bardzo dużo tłumaczy.
Watowa: Tak.
Trznadel: Słuchaj. Skoro już zaczęłaś mówić o tym dwudziestoleciu, to może zaczęłaś mówić o tym waszym domu – to może przypomniałabyś właściwie, jacy byli ludzie, z którymi najwięcej żeście się w tym okresie stykali albo takie znaczące bardzo spotkania.
Watowa: No, więc ja ci powiem – w dwudziestoleciu oczywiście to, co mi utkwiło najbardziej w pamięci, jeśli chodzi o spotkania to jest oczywiście „Miesięcznik". Dlatego, że wtedy ciągle byli ci, prawda, ludzie – począwszy od Stawara, Hempel, Stande, Nowogródzki... jak on się nazywał, ten taki dyrektor, z takiej księgarni komunistycznej, nazywali go „Peruczka", wiesz, bo nosił peruczkę – wiesz, więc Broniewski oczywiście itd. rozumiesz? Dlaczego? Dlatego, że ci ludzie ((z emfazą)) ciągle do na przychodzili. Odbywały się zebrania. I Leon Schiller... Tak, że te kontakty są we mnie, najsilniej się we mnie wryły dlatego…
Trznadel: Tak.

425:8049303376

Watowa: Natomiast jeżeli chodzi… Tak! potem jest okres znowu w dwudziestoleciu, jest okres Gebethnera, gdzie znowu przez ten dom się przewijała, wiesz, to o czym Aleksander pisze, rzeczywiście masę pisarzy. Muszę ci powiedzieć, że Aleksander bardzo dużo pracował. On bardzo dużo pracował. Przede wszystkim to był tak zwany czytacz. Więc on, jeżeli nie siedział, i wiesz, i sobie tam nie notował, to on czytał. On szalenie dużo czytał! Tak, że znowu ten okres, który trwał siedem lat, i że nie było właściwie dnia, żeby nie było kogoś u nas z pisarzy w domu, z którymi on po prostu pracował, wiesz. Pracował, rozmawiał na temat utworu itd. dlatego, że on przychodził. Gebethner od razu się na nim poznał. Powiedział: „Panie Aleksandrze, niech pan się tak urządza. Pan może w domu przyjmować, tutaj. Pan przyjdzie na godzinę, do Gebethnera na dwie, trzy – mnie jest wszystko jedno". Dlatego, że on się od razu zorientował, jakie on ma korzyści z Aleksandra. No, i łącznie właśnie jak Aleksander zresztą pisze z Berentem, dla którego on miał jakiś bardzo, wiesz… więc Berent, który do nas przyszedł. No, ta praca była nieraz zupełnie niesamowita, nie wiem, czy ci opowiadał na przykład współpracę z Jalu Kurkiem.

Trznadel: Nie.

Watowa: Więc Jalu Kurek napisał, napisał... książkę – jaką? [syrena ambulansu] – to ty mi powiedz, jaką?

Trznadel: *Grypa szaleje w Naprawie* na przykład.

Watowa: Nie. A druga jaka była? A! Ale zdaje się, że tak *Grypa szaleje w Naprawie*. Więc Olek przeczytał tę książek i potem zaprosił jalu Kurka. I ja akurat byłam, wiesz, w pokoju. ((śmiech)) Więc on mówi tak: „Wie pan, ja… czy w ogóle łatwo Pana można urazić? Bo ja chcę dla pana dobra". – „Nie, nie, ja mam do pana zaufanie". On mówi: – „wie pan co, ja te pierwsze osiemdziesiąt stron bym odrzucił. I pan ma już drugą powieść. I tutaj mu zaczął, wiesz, tego. To bym dał na początek… – ale ja panu niczego nie narzucam, bo ja nie chcę narzucać niczego, tylko skoro mnie pan pyta o moje zdanie, to pan…". Słuchaj, on odrzucił. Posłuchał się Aleksandra – i wtedy była już Akademia, myśmy mieli Akademię przeciwko czemu Aleksander oczywiście pisał i występował, że w ogóle po co Akademia itd. – a taka Wielopolska, tak? Była taka Wielopolska.

Trznadel: Była taka dziennikarka.

Watowa: Tak, która napisała…

Trznadel: Jehanna.

426:5261199441

Watowa: Jehanna. Wielopolska napisała w wiadomościach, że Wat się sprzeciwia Akademii, a a ja bym go w ogóle już do akademii wzięła po *Bezrobotnym Lucyferze* – tak go chciała, wiesz, przekonać, wiesz, do Akademii ((śmiech)). I wyobraź sobie, że on dostał nagrodę – za tą książkę dostał nagrodę Akademii. Ale zachował się bardzo przyzwoicie, dlatego że w Akademii było zebranie. No, i wręczono mu to itd. Aleksander był tym wydawcą, wiesz, był jako przedstawiciel Gebethnera. No, i wtedy on się jednak zwrócił do wszystkich – tam był Kaden–Bandrowski. Mój boże, nikt już – Sieroszewski, Sieroszewski był! Rozumiesz? Nikogo nie ma już! – Z tych ludzi, którzy byli na tym zebraniu wtedy. No nikogo nie ma.

Trznadel: Tak, prawdopodobnie, to trzeba by sobie było przypomnieć – ale chyba już nikogo nie ma.

Watowa: No widzisz, żebym ja na przykład miała taką listę ludzi, którzy byli wtedy na tym zebraniu.

Trznadel: Te listę można, można odtworzyć, bo przecież był Boy…

Watowa: Rozumiesz, kiedy on dostał te nagrodę.

Trznadel: Był Boy, była Nałkowska, był Leśmian.

Watowa: No to nie, no to nie, no to nie – już ich nie ma. Ten świat zniknął.

Trznadel: Berent był.

Watowa: Berent, tak? tylko Berent – zdaje się – że nie przychodził do Akademii. On był tak bardzo taki odludek itd. I wiesz…

Trznadel: I był Irzykowski.

Watowa: Irzykowski, oczywiście. No, i wtedy Jalu Kurek zbliżył się do Aleksandra i powiedział, że „jeżeli dostałem tę nagrodę, to dzięki Panu. Że pan mi posłużył dobrą radą" itd. Pan… jednym słowem – nie że za niego napisał – ale mu podziękował jako redaktorowi. Tak, że…

Trznadel: To świadczy zresztą o bardzo specyficznym nastroju dwudziestolecia – zresztą to jest do odczytania – że wiesz, nie było, nie było takich przegród między tą lewicą czy pisarzami, którzy nie mieli takich skłonności lewicowych. Wiesz, kto – kim jest Aleksander Wat, to w końcu w tym środowisku, to się dobrze wiedziało.

Watowa: Ale oczywiście! Wiesz, słuchaj – Aleksander dostał się do Gebethnera. Aleksander w ogóle był bezrobotny po wyjściu z więzienia. „Miesięcznika" nie było. I teraz, w tej Polsce, wiesz, w trzydziestym pierwszym roku. W tej Polsce dla Aleksandra Wata znaleźć, wiesz, posadę było rzeczą bardzo trudną.

427:5381917735

Trznadel: Tak.

Watowa: I tutaj, wiesz, mąż Broniszównej. To było takie małżeństwo, wiesz, bez, bez ślubu – dlatego, że on nie miał rozwodu ze swoją żoną, z którą już od dawna nie żył. Ale ona tam się sprowadziła do Klarysewa i była z nim do końca życia itd. On był takim opiekunem. Ja nie wiem, jak to się nazywa – opiekun, no, jednym słowem – tej firmy. Zajmował się interesami. Bo to, rozumiesz…

Trznadel: Opiekun prawny, radca prawny dziś.

Watowa: Tak. Słuchaj, tak. W każdym bądź razie – słuchaj, Gebethner jak przyszedł Aleksander był zadłużony tak! Miał prawa na Prusa, które – zapomniałam nazwiska tego, który mu dał te prawa na Prusa – takie endeczysko taki, szalone endeczysko. Nie chcieli mu dać prawa, dlatego, że tyle był winien Gebethner. I oczywiście – ponieważ Stefan Nowicki kochał Sedulkę itd. więc ona powiedziała: „Słuchaj, czy ty nie możesz mi załatwić dla Aleksandra, żeby on wszedł do tego Gebethnera?". I Stefan zaproponował to Janowi Gebethnerowi. To był pierwszy – wyobraź sobie, nie tylko że żyd, ale i żydokomuna w dodatku, po więzieniu, po wszystkim. To to, niby, wiesz, Gebethner i Wolff to… rozumiesz? Żona powiedziała Gebethnera, że to jest właściwie pierwszy w historii i w ogóle tej rodziny, i tradycji tego domu wydawniczego itd., że taka stała się rzecz. On go przyjął.

Trznadel: Ale Aleksander Wat to już także było nazwisko.

Watowa: I wyobraź sobie, że Aleksander Wat poszedł do – o boże, ja zapomniałam nazwiska! Bo to był znany ten, który miał tego Prusa… – I on powiedział: „Daję Panu! Nie Gebethnerowi". Nagle, od razu nabrał do niego zaufania. No, i słuchaj, on rzeczywiście wszystko było, bo długi były pospłacane. Ja nie wiem, on tam jakiś zupełnych cudów dokonał! Okazał się… On był w ogóle urodzony redaktor, wiesz. On był, ta praca go interesowała ogromnie. Tak, że... boże, coś miałam…

Trznadel: Tak, a czasy były ciężkie przecież. Przypomnij sobie, że w tym samym mniej więcej czasie istniała w Polsce inna szacowna bardzo firma wydawnicza – myślę o Jakubie Mortkowiczu.

Watowa: Aha.

Trznadel: I zabrnęli w taki długi, że Jakub Mortkowicz w łeb sobie strzelił.

Watowa: Tak.

Trznadel: To jeszcze były lata kryzysu.

428:2384509790

Watowa: Tak. Ty wiesz, że ja o tym zapomniałam, że on popełnił samobójstwo. Natomiast tak pamiętam…

Trznadel: Tak. I potem prowadziła jego żona tę firmę, Janina.

Watowa: Tak, tak.

Trznadel: Ja jeszcze pamiętam, że ją w Krakowie po wojnie poznałem.

Watowa: Tak.

Trznadel: Tak, że to były bardzo ciężkie lata, to ty tu masz rację.

Watowa: Bardzo ciężkie lata!

Trznadel: Ciężkie!

Watowa: I on rzeczywiście, no Jan Gebethner zresztą mówił na prawo i na lewo, że Wat mnie wyciągnął właściwie z zupełnej ruiny. Tak, że dostał od razu, wiesz, wydrukowali całego Prusa. Potem ściągnął tych różnych autorów itd. No, i jednak wiesz, i właśnie tą akcję prowadził. I ten Kowalski, ten, wiesz, ten – jaka to była książka…

Trznadel: Władysław?

Watowa: Władysław, tak.

Trznadel: *Grzmiący*.

Watowa: *Grzmiącej*. To mu dał, wiesz, stypendium mu dał. Potem – dlatego on powiedział, że on chciał nas tak ratować, wiesz, przyjechał do Moskwy i powiedzieli w Moskwie, że: „Ale gdzie tam! Aleksander Wat nie chce w ogóle wracać do Polski, jemu jest tak tutaj dobrze". Potem Kruczkowskiego wyciągnął ze szkoły. Wiesz, bo on był nauczycielem. Dał mu – po przeczytaniu *Kordiana i chama* – powiedział: „Proszę pana, pan musi się wziąć do pisania". I załatwił mu stypendiów, wiesz, na rok. Także wiesz, on był szalenie aktywny, szalenie! On był w ogóle, on był szalenie aktywny, szalenie dynamiczny. I to co ja tak szalenie w nim ceniłam, on był tak zaangażowany, wiesz, w życie! Rozumiesz? On – to nie był człowiek obojętny, to nie był człowiek letni, taki wiesz… i tutaj, to co mnie tak od tego Parandowskiego, wiesz, jak ci mówiłam – porównywałam Parandowskiego z Iwaszkiewiczem.

Trznadel: Tak.

Watowa: Kto to jest ten Chruszczyk? No, i że papier, że nie może dostać tego samego papieru do maszyny, co było przed wojną, rozumiesz? Że on chodzi, i wtedy, kiedy tu ludzi wsadzano do więźnia, kiedy w ogóle działy się rzeczy straszne, to ten człowiek tylko myślał o tym papierze do maszyny.

429:7882022181

Trznadel: Parandowski?

Watowa: Parandowski. A Chruszczyk? Co to znowu ten Chruszczyk? Co to za Chruszczyk? Itd.

Trznadel: Parandowski był takim jakby klasykiem. Jego głowa wyrastała ponad Olimp, a w dole były już tylko chmury i nie widział, co się dzieje na ziemi. ((śmiech))

Watowa: Tak ((śmiech)) zupełnie.

Trznadel: Ponad chmurami.

Watowa: Tak, że… a on taka, strajk nauczycielstwa. A proszę ciebie potem ta Sempołowska o więźniów politycznych. Boże, czego tam nie było, wszędzie był Aleksander, wszędzie był Aleksander!

Trznadel: No, a powiedz, bo ja nawet tego nie pamiętam. A nie było jakiś nieprzyjemności w latach trzydziestych ze strony endecji? Bo w końcu wielu ludzi miało nieprzyjemności przecież. I byli na jakiś listach i nie tylko pochodzenia żydowskiego – i Boy był na liście, i Tuwim był na liście.

Watowa: Na jednej liście był – na liście naszego kochanego Konstantego itd. Czyli na liście długich noży. Znasz tą listę długich noży oczywiście?

Trznadel: Tak. No wiem, że była, ale kto był…

Watowa: No był Tuwim, był Słonimski, proszę ciebie.

Trznadel: Wiem, że Boy był na liście – to Brandys o tym pisze...

Watowa: A Boy był na tej liście?

Trznadel: …że Boy był na tej liście.

Watowa: Tak. No, więc tam mój Aleksander też był. To była jedna lista. No, że była lista gestapo to wiadomo, dlatego, że od razu przyszli po niego. I on tam zresztą mówi o tym swoim losie, bo tak: gdyby został to by od razu byłby rozstrzelany, a jak pojechał tam, no to właściwie, wiesz, gdyby nie był rozstrzelany, to by zginął i tak, a tam to był zaraz…

Trznadel: A kto wam powiedział o tym, że gestapo przyszło?

Watowa: A to Jan. Jan Gebethner.

Trznadel: Ach tak. Bo przyszli do firmy?

Watowa: Bo oni przyszli do firmy, jak tylko gestapo weszło i wcale się nie krępowali, wiesz. Wyjął papier i powiedział – u pana tu pracuje Aleksander Wat.

Trznadel: I was, was nie było?

Watowa: Nas nie było.

430:9172285303

Trznadel: Wyście byli na wschodzie.
Watowa: Myśmy już byli wtedy we Lwowie – możliwe. Albo w drodze albo już – prawdopodobnie już we Lwowie. No, i powiedział: „Owszem, pracował tutaj i nagle któregoś dnia się nie zjawił i teraz go nie ma. Ja nie wiem, gdzie on jest. Czy on uciekł, czy on jest u siebie w domu, ja nie wiem". Tak, że na liście był do rozwalenia, od razu, wiesz. Tak jak rozwalili tych profesorów różnych itd. No, proszę ciebie, oczywiście po „Miesięczniku" to są sprawy już wiadome, że byliśmy… Mieliśmy te rewizje, wiesz. Że specjalnie go wzięli, i specjalnie wydrukowali, wiesz, od razu rano, rozumiesz… Aleksander Wat, który – prawda – siedzi teraz w więzieniu. A rano go już wypuścili, więc jak się ukazało pismo. No, i to – okazuje się – zrobili po to, żeby go Gebethner wyrzucił. I taki człowiek pracuje w takiej starej – prawda – itd. itd. chrześcijańskiej – co tylko chcesz – firmie, taki człowiek jest zatrudniony. No, i wtedy Aleksander jak wyszedł, wiesz, nie wiem, z Daniłowiczowskiej, czyli z tego więzienia. No, więc od razu do mnie zadzwonił, że już jest. No, i mówi: „wiesz co, to tak po drodze wszedłem do, do kawiarni, żeby do ciebie zadzwonić i kupiłem gazetę. Więc już napiję się kawy i zaraz wracam". No, i przeczytał ten artykuł, i z tym artykułem przyszedł do domu. I mówi: „Wiesz, nie pozostaje mi nic innego, jak się podać do dymisji. Dlatego, że Jan jest… okazał się człowiekiem naprawdę wspaniałym. Jemu będzie przykro. Ja mu to ułatwię". No, i poszedł i powiedział: „Panie Janie, pan to czytał?". – „Tak, czytałem". – „No, więc ja nie mogę pana narażać na takie rzeczy". No, i tam był taki znany jakiś ksiądz, taki działacz – nie pamiętam. Zresztą też można by ten artykuł przeciwko Aleksandrowi odnaleźć.
Trznadel: Tak.
Watowa: Więc mówi: „No, więc co? Panie Aleksandrze?" – pyta Jan. „No, więc nie pozostaje mi nic innego, jak się podać do dymisji" . – „No to niech mnie pan pocałuje w dupę!" ((śmiech))
Trznadel: ((śmiech))
Watowa: „I chodźmy na wódkę". I powiedział: „Ja jestem Jan Gebethner, ta firma należy do mnie i mnie nikt nie będzie rozkazywał i wskazywał, kogo ja mam zatrudniać, a kogo mam nie mam zatrudniać. I pan będzie tu pracował, czy pan chce czy pan nie chce". No, to musisz przyznać, że to było fantastyczne.
Trznadel: Tak. Byli na szczęście tacy ludzie także.
Watowa: Tak. Byli tacy ludzie. Nie, było dużo ludzi wspaniałych. No weź Sempołowską. Przecież, no jak Sempołowska się wspaniale zachowywała. Sempołowska zresztą okazała mi

431:4995689231

tyle serca, jak Aleksander siedział w więzieniu. I przychodziłam do niej, i pytała się czy może mi w czymś pomoc, czy mam wózek. Ja mówię: „Tak, wie pani, moi rodzice są dość zamożni, więc wszystko mam kupione". Bo przecież ten Andrzej się urodził, wiesz i jak Andrzej miał – ile on miał? Miał, no, miał kilka tygodni, wiesz, dwa, trzy tygodnie. Ja byłam w bardzo ciężkim… ja byłam właściwie umierająca. Dlatego, że wtedy nie było penicyliny, a ja miałam to popołogowe zakażenie krwi. No, więc sześć tygodni w klinice z gorączką czterdzieści i tam – bo ja wiem – dwa, trzy, cztery. O piątej godzinie, wiesz, zębami kłapałam, czy jak to się mówi. I jak mnie spotkała potem ta osoba, która brała krew do analizy to stanęła jak przed upiorem na ulicy. Mówi: „Jak to? Pani żyje?". No mówię: „żyję". – „No, ale właściwie to jest jakiś cud, że pani żyje, bo pani powinna był umrzeć". Więc Aleksandrowi tego nie powiedziała, ona tego nie powiedziała – szczęśliwie nie powiedziała, że jestem… – ja byłam w klinice sześć tygodni. Ale czy ty wiesz, że mnie dalej, po tym urodzeniu Andrzeja w straszliwych mękach itd. dali mi zastrzyk, dlatego, że on nóżką zaczął wychodzić, rozumiesz? On miał fantazję. Zaczął wychodzić nóżką. I ona zrobiła taki obrót wewnątrz i wtedy zrobiła mi to zakażenie krwi. I ja tylko pamiętam, bo mnie tam... strasznie cierpiałam, więc tam mi coś dali, żeby nie tego… I potem widziałam taką ampułę, i pytałam co to jest. I to było mleko. I mnie wtedy – ponieważ nie było – zastrzyknęli mi mleko. Jakie to było specjalne? Może mleko, ale…

23_Fon.61.711 Strona A

Watowa: Ale to był o mleko. I kto wie, czy to mleko mnie – albo może organizm po prostu – bo przecież nie wszystkie kobiety umierały z tego. I wyobraź sobie – ledwo przychodzę – matka mnie wzięła do siebie, tam na Żurawią. I tam na Żurawiej on zrobił wtedy to zebranie, które opisuje. No, i jego tam zabrali. W dodatku zabrali mojego brata – rozumiesz? No, więc tutaj rozpacz mojego brata: oddajcie mi mojego syna, oddajcie mi mojego syna. Bo to był jedyny syn, rozumiesz? I ten Andrzej, któremu tutaj, wiesz, wyrywali go tam potem – zrobiła ten obrót i za głowę go szarpała, to mu tutaj nadszarpnęła to ścięgno. Wiesz, są ludzie, którzy – zauważyłeś – mają tak przyrośniętą głowę tak na bok.

Trznadel: Tak.

Watowa: Ale on miał taką, wiesz… Moja matka wzięła taką siostrę z welonem granatowym. To jak już byłam w ciąży to już była ta siostra, taka wiesz, co się dziećmi zajmuje. I ona zwróciła na to uwagę. Że jak ja wróciłam do domu – ona mówi: „Proszę pani, ja pani zwracam uwagę, że ja mu główkę kładę tak prościutko, a on ciągle – ta głowa mu leci na lewo". No, więc poszłam – w

432:5142968748

tym samym domu zresztą – 26 mieszkał lekarz. Baumritter się nazywał. I poszłam do niego, i on powiedział: „Proszę panią, to jest kawałek bylinki. Ja mu mogę zrobić czaszkę jak jajo, ja mu w ogóle mogę zrobić na prawo, na lewo". I on powiedział, że ona mu tutaj naderwała i tylko na noc będzie mu pani na noc zakładać – wiesz – taki bandaż, co to się bandażowało. No, i widzisz jaki on jest teraz, prawda ((śmiech)). Nic nie jest krzywy itd. Zresztą wiesz, tutaj przy okazji ci powiem, w związku z nazwiskiem Baumritter. Że jak przyszli Niemcy, to moi rodzice mieli na wsi taką willę i koło tej willi była willa ojca Baumrittera. No, i tam przyszli bardzo grzecznie, że oni chcą zrobić jakieś tam przyjęcie itd. żeby on srebro swoje pożyczył – nie dał – pożyczył. I wyobraź sobie, że on powiedział, że on nie ma srebra. Bo on wiedział, że oni im nie odda. Słuchaj, zrobili rewizję – znaleźli. Wyprowadzili go, dali mu łopatę, kazali mu wykopać dół i zastrzelili go nad tym dołem. I od razu – moja matka o tym nie wiedziała, bo tam jak on kopał dół, to była, wiesz, gdzieś willa tam w pewnej odległości – to przyszli do mojej matki. Przyszło gestapo i wiesz, po niemiecku, i dobry wieczór czy tam dzień dobry. I bardzo grzecznie. No, i o srebro i moja matka pootwierała szuflady. Powiedziała, że proszę bardzo, niech sobie biorą, co jest im potrzebne, z przyjemnością.

Trznadel: Oddali?

Watowa: Wiesz, że w tej chwili już nie wiem, czy oddali. Chyba nie ((śmiech)).

Trznadel: Tak.

Watowa: Zresztą – mój boże – potem już nie widziałam moich rodziców, a sióstr się już o to nie pytałam.

Trznadel: Olu słuchaj…

Watowa: Tak?

Trznadel: Ja jeszcze chciałbym wrócić

Watowa: No.

Trznadel: Z okresu „Miesięcznika" czy trochę wcześniej – już mieliście, jednak wasz dom miał trochę taką nalepkę właśnie lewicową. Jak doszło do tych spotkań z Majakowskim? Czy on ze względu na waszą lewicowość właśnie chciał was odwiedzać, czy ze względu na kurtuazję.

Watowa: A, nie, nie! Z Majakowskim! Więc ja ci powiem. W okresie „Miesięcznika" ambasada sowiecka zaczęła zapraszać. W ogóle to był taki okres, że tam przychodził nawet Wieniana–Długoszewski, Tuwim itd.

Trznadel: Dokąd przychodził?

433:9108738072

Watowa: Do ambasady sowieckiej.

Trznadel: Też przychodzili?

Watowa: Na Poznańskiej. No, mój drogi, jeden stół duży to był tylko kawior. To były olbrzymie, wiesz, wtedy, kiedy tam ludzie dosłownie ((z emfazą)) umierali z głodu. Były z kryształu – wiesz, to pięknie wyglądało. Więc był długi stół zasłany białym obrusem. (((teatralnie))) Za tym stało kilku fagasów, wiesz, we frakach czy tam – nie wiem co oni tam kładą na siebie. I tu stały, rozumiesz, misy z kawiorem! Czarny, czerwony, czarny, czerwony! I szampan! I rozumiesz? Wtedy tego kawioru – (((rozbawiona)))o boże, aż mi ślinka idzie do ust.

Trznadel: ((śmiech))

Watowa: To się nakładało w miski takie, miseczki tego kawioru – łyżką. Słuchaj, żebyś ty widział, jak to bractwo się rzucało, jak tam się było w salonie! Aha! I oni pokazywali filmy, więc to były takie wieczory. Zaproszenie do ambasady na Poznańską. Salon, prawda? Owsiejenko – ambasador, którego zabili. Prawda, Arkadiew, Majakowski nazywał go *liebied'*[462] – on był bardzo piękny i jakiś taki opływowy itd., którego zabili. Potem był taki Kowalski – proszę ciebie – z TASS-a– który miał żonę tancerkę. Bardzo miły człowiek, wiesz, którego zabili. Prawdopodobnie tę tancerkę też. Ona – zdaje się – troszeczkę się podobała w jakimś okresie Majakowskiemu. I rozumiesz, tam się wszyscy schodzili. Potem zapraszano do sali dużej, wiesz, gdzie były najsampierw te kawiory, a potem znowu, wiesz, jak ta ryba się nazywa? Bałyga? Czy jak? Wiesz, takie drogocenne ryby, rozumiesz?

Trznadel: Tak.

Watowa: (((teatralnie))) Jakieś ryby, jakieś mięsiwa, jakieś historie! I słuchaj, to się wszystko rzucało, więc mówię ci – Wieniawa, Tuwim, proszę ciebie, kogo tam nie było? Nie mówię o Broniewskim, nie mówię o tej całej, wiesz, prawda, lewicowej tego. Ale z tego świata ludzie przychodzili. I to się wdzierało, jak już się te drzwi otworzyły ((śmiech)) to się wszystko. To tak jak na przyjęciach, pamiętam jak Gajewski jeszcze był przed naszym wybraniem wolności – żeśmy chodzili tam. Gajewski był szalenie przyjemny ambasador – bardzo kulturalny. Słuchaj, przecież tam się ludzie się rzucają. Pamiętam, wiesz, ta Morrisowa, która, no, komunistka niby, co to opowiadałam ci, że mieszka – miała taki cudowny ten… Nie, nie opowiadałam ci o Morrisowej? Jednym słowem ten sam, który budował Trialpe w Petit Trianon, to budował jej, wiesz, na wsi taki pałacyk. Słuchaj, więc ona się niby już odżywiała bardzo dobrze, ale wszyscy

[462] Ros. *Lebied*'– łabędź.

434:1142084507

się rzucają. Więc ja nie wiem, to też warto się zastanowić – czy dlatego, że to jest za darmo? Bo przecież wygłodzeni ci ludzie nie byli. Ale wszyscy, rozumiesz… Wiesz, jest chyba coś w tej podświadomości ludzkiej. Że tu się można najeść za darmo.
Trznadel: Tak, a poza tym – podane jest, nastrój, to wszystko.
Watowa: Jest nastrój, wódkę się pije, oczywiście itd. Pamiętam Władka Broniewskiego, który kiedyś – on się tak opierał potem już zawsze, ((śmiech)) korzystał, żeby się oprzeć o stół czy o coś, już tak nie stał ((śmiech)). No, więc – i to, wiesz, więc tak. I w ambasadzie któregoś dnia jesteśmy zaproszeni. I przyjechał Majakowski. Więc byliśmy zaproszeni tam na kolację, no, i nie wiem, dlaczego dostąpiłam tego zaszczytu, że posadzono mnie koło Majakowskiego. Więc wiesz, zrobił. Tak. Już wiersze jego to on, on jednak był w jakiejś aurze, wiesz, ten Majakowski. No, poza tym, taki jak ty mówisz, że ja lubię gajantów, to mnie strasznie rozśmieszyło (((rozbawiona))). Więc wielki! Wspaniały! Tutaj staje! Nogę opiera, wiesz, na krześle! Zaczyna mówić wiersze swoje – tu wiesz – olbrzymia sala – dudni, wiesz, w tej sali! Wspaniały był zupełnie. No, ale mnie tam wódki dolewał, bo sami pił i ja nagle, wiesz, tak coś się chce podnieść – nie mogę. A on bierze, wiesz, krzesło moje i tak mnie podnosi do góry, wiesz, z krzesłem! (((rozbawiona))) I tak… A Aleksander siedział. No – ja nie mogłam wstać! Słuchaj, ja byłam pierwszy raz w życiu pijana. I wyobraź sobie, biedny Aleksander, który musiał temu się przyglądać, bo Majakowski mnie wziął na ręce i zaniósł mnie na łóżko ambasadora. ((śmiech))
Trznadel: ((śmiech))
Watowa: Tak, że Aleksander bidny szedł za tym, ambasador itd. Ja się tam uśmiechałam pewno bardzo głupio, nie wiedziałam o co chodzi. No, i tak się, wiesz, zaczęło. Więc on już rozmówił się jednak potem tam z Aleksandrem, zaczęli rozmawiać, już tam futuryzm, nie futuryzm itd. No, i potem już za każdym jego pobytem on do nas przychodził. Pamiętam tylko takie śliczne jego powiedzenie, bo kiedyś żeśmy poszli do restauracji, to była zima. I między innymi podano – na takim też, wiesz, w takim kryształowym tym, zdaje się, że u Simona i Steckiego to było. Ale to może ci już nic też nie mówi ((śmiech)).
Trznadel: Gdzie to było? Mi tak wiele nie mówi.
Watowa: Na Nowym Świecie czy Krakowskim Przedmieściu. I podali – proszę ciebie – w kryształowej takiej tej, obok zielony ogórek, ale obrany. Ale jeszcze ta zieleń na nim została, obłożona lodem. Ten ogórek był obłożony lodem – a on na to spojrzał i powiedział: „*eta nie*

435:9146029587

oguriec. Eta diewuszka na katorej nado *żenitsja"*[463]. I nagle zobaczyłeś ten welon, i ta, ta wiesz, ten ogórek to ta młodość taka, wiesz! To było tak śliczne, wiesz! No, i wszędzie, gdzie był, mówił wiersze. Potem takie spotkanie takie, ogóle takie – znaczy z innymi – to było – proszę ciebie – z Tuwimem, z Wierzyńskim, z tym... ze Słonimskim itd. Kiedy on mówił. No, i tutaj on powiedział. Wiesz – pamiętam wynajęto taki duży gabinet. Ci kelnerzy stali tak z boku, wiesz i nagle on mówił ten wiersz, gdzie jest tam, jaki on jest dumny z tego sowieckiego paszportu. Ja ci powiem, że ja to swojej *Paszportyzacji*, którą opisałam w tym, w tych, w tym dzienniku – Giedroyć w „Zeszytach" wydrukował, to ja chciałam dać taki… wiesz, ale to byłoby już, to byłoby właściwie złośliwość w stosunku do Majakowskiego, bo chciałam dać taki mały fragmencik z tym sowieckim paszportem, wiesz? Ale on mi tego nie dał. To znaczy – ja nie dałam tego w końcu! Więc… No, i potem zaczęło się przychodzenie do nas. Potem był taki wieczór u nas, kiedy on mówił wiersze i co Janina Broniewska – wiesz, że ona umarła, Janina Broniewska? Niedawno.

Trznadel: Parę dni temu. Może teraz pewnie więcej.

Watowa: Tak. Teraz już chyba ze dwa tygodnie. I Janina Broniewska tam u Woroszylskiego, wiesz, tam, gdzie on zbiera te wszystkie te *moigne âge*[464]. Znasz tę książkę Woroszylskiego, o Majakowskim?

Trznadel: Tak.

Watowa: Więc tam, przeczytasz, jeżeli ją masz – bo ja ją mam tutaj – to przeczytaj. Broniewska opisuje wieczór u Watów. Jak mówi wiersze właśnie. A myśmy mieszkali – to było nasze pierwsze mieszkanie, to była taka przybudówka, wiesz – na czwartym piętrze. Jak on mówi, że ściany tej przybudówki drżą. No, i że on taki wielki, taki tego, taki tego, a tutaj, że wodzi tak… Aha! Że ja jakoś podaję mu herbatę, na takiej jakiejś tam filiżance kruchej, no, i że jednym słowem on tam wodzi za mną oczami, i że to spojrzenie mu się na coś… ((śmiech)) itd. Nawet Aleksander nie był taki zadowolony z tego artykułu, bo ta książka do nas przyszła – wyobraź sobie – jak myśmy byli w Berkley. I Andrzej to przysłał. No, i potem widziałam, że Aleksander jakiś nie bardzo taki. Mówi: „No, więc jednak on tak wodził za tobą oczami, więc dlaczego on tak wodził?". A jeszcze w dodatku w tej książce czy w innej jest fotografia. I ja z Majakowskim

[463] Ros. *eta nie oguriec. Eta diewuszka na katorej* nado *żenitsja* – to nie ogórek, lecz dziewczyna, z którą należałoby się ożenić.
[464] Fr. *moigne âge* – juwenilia

436:4570746305

stoimy. Wszyscy siedzą. I Majakowski tak blisko, no bo blisko żeśmy stali – tak, że w tej powiedzmy, po lewej stronie to on stał tutaj. I tej jego ręki, rozumiesz, nie widać.
Trznadel: ((śmiech))
Watowa: I Aleksander mówi: „dlaczego nie widać tej jego ręki", rozumiesz? Czy on mnie tam tam nie obejmował? ((śmiech)) Ale to są takie… Tak, że...
Trznadel: To było naturalne.
Watowa: Tak ((śmiech)). Tak że, a! No, i potem – proszę ciebie – moje wyjścia z nim po te zakupy, co było… Jacusiu, jeżeli ty jesteś zmęczony.
Trznadel: Nie.
Watowa: Przerwij.
Trznadel: Nie.
Watowa: Albo może chcesz, żebym postawiła wodę.
Trznadel: Nie, nie. To właśnie najciekawszy wątek przerywasz.
Watowa: Więc właśnie. Rozumiesz – zaczęły się zakupy. I rozumiesz, ja dopiero potem zrozumiałam, potem, kiedy pojechałam, wiesz, w pięćdziesiątym czwartym roku do Sztokholmu, to ja zrozumiałam zachowanie się Majakowskiego w sklepach. Wiesz, głód.
Trznadel: Dopiero po rzeczywistości socjalistycznej.
Watowa: Tak. Głód rzeczy. Więc był taki sklep, o którym ty też nie masz pojęcia, bo to było w dwudziestoleciu – sklep Bigowskiego. Gdzie były tylko dla mężczyzn: były żyletki, były brzytwy, były takie historie, rozumiesz? Olbrzymi, wspaniały sklep! Rozumiesz? (((teatralnie))) I rozumiesz, tam, wiesz, te, te kupowanie tych żyletek po 100, po 200. Brzytwy, nie brzytwy. On tam miał nożyczki do paznokci, do tego, do owego. Już nie pamiętam. Wychodziliśmy z takimi pakami!
Trznadel: Skąd miał pieniądze?
Watowa: On przyjeżdżał z ogromnymi pieniędzmi.
Trznadel: On był jednym z ludzi, którzy mieli ten taki nieograniczony fundusz.
Watowa: Tak! Bo jemu dawali wtedy.
Trznadel: Bo to były kwestie przecież nie tylko rubli, które miał oczywiście ze względu przecież.
Watowa: Dolary, on miał dolary, on miał dolary. Potem pamiętam takie, on mówi: „wiesz, że chciałbym kupić mojej matce rękawiczki". Więc ja go zaprowadziłam do sklepu, w którym już nie możesz wiedzieć, to był taki Malinowski na Krakowskim Przedmieściu, gdzie były

437:6545109336

wspaniałe rękawiczki. Najelegantsze! Poszłam tam no, i on wybrał takie wełniane, ciepłe rękawiczki dla swojej matki, a ja mówię do tego sprzedawcy: „Wie pan, czy pan przypadkiem nie ma w tym samym kolorze wełny? Bo jakby się podarły" – to to jakoś go bardzo wzruszyło, że ja już myślę o tym, że tam się jakaś dziureczka zrobi, że ta matka będzie musiała… Więc on – zdaje się – nie miał, to ja powiedziałam, że my pójdziemy i my to kupimy. [syrena ambulansu] No, i potem na jednej z takich właśnie przechadzek poszliśmy właśnie od tego Malinowskiego, od rękawiczek, skręciliśmy w kozią ulicę. Tam napiliśmy się kawy. No, ja ci muszę powiedzieć, że ja byłam bardzo nieśmiała, jak byłam z nim. I on mi powiedział, że on by tak chciał, żebym ja mu dużo rzeczy mówiła, a że ja mu mało mówię. Nie wiem jakiego typu to była nieśmiałość, wiesz, po prostu – prawdopodobnie ta – jednocześnie on mi się bezwzględnie, on mi się podobał! Ja miałam fascynację – zresztą Aleksander też się przyznaje do tej fascynacji tym człowiekiem. Pamiętam na przykład – szliśmy Żurawią ulicą – był otwarty lufcik. On był tak wielki, że on się w tej lufcik, wiesz, na parterze uderzył. Ale to nie była fascynacja tym, że on był taki wielki, bo ja w nim jednocześnie wyczułam szalenie dużo () słabych. Takich, ja ci zaraz powiem, na czym to polegało. Więc, ale, aha! Ale o czym ja mówiłam?

Trznadel: O nieśmiałości swojej.

Watowa: Tak, aha! Więc ulica Kozia. No, i on mi powiedział: „Wiesz, że jak będzie rewolucja, to ta ulica będzie się nazywała Watoczka"[465].

Trznadel: W Polsce?

Watowa: No oczywiście! Oczywiście, bo to było w latach dwudziestych. Więc jak to już przyjdzie do nas, to to się będzie nazywało Watoczka. Teraz… Aha! Więc słabość. Rozumiesz? Jego ojciec zakroił się w palec. I umarł na zakażenie krwi. [sygnał ambulansu]

Trznadel: Tak.

Watowa: On się szalenie tego bał. Nie wiem, dlaczego, ale pamiętam, że ja on przychodził do nas na Hożą, w przedpokoju wisiało takie jakieś lusterko, jakieś lustro – wiesz – nie takie duże, tylko wiesz, wisiało lustro na ścianie. I on w bardzo dziwny sposób się sobie przyglądał. Tak patrzył, tak patrzył na zęby, wiesz, tak rozchylał usta, patrzył na siebie. I ciągle mył ręce. Potem mnie powiedział ten właśnie Kowalski – nie, nie Kowalski – taki Ukrainiec. Wspaniały Ukrainiec, który był w tej ambasadzie na Poznańskiej. Piękna głowa z brodą, pamiętam, który też zginął. Że on ciągle prawie daje te spodnie do prania i prasuje. Ta sprawa czystości, wiesz.

[465] Ros. *Watoczka* – ulica maleńkiej Pani Wat.

438:2401779328

Tego, tego ciągłego mycia rąk, i wiesz, tego… zresztą muszę ci powiedzieć, że tenże Ukrainiec mi powiedział, że on jak przyjeżdżał tam do – jak to się odbywał powrót, on przyjeżdżał, zajeżdżał do Brików.

Trznadel: Tak.

Watowa: Momentalnie Moskwa się zbiegała, znaczy jego przyjaciele, i momentalnie on był ogołocony ze wszystkiego. On wszytko oddawał. Ale pierwsza rzecz nim oddawał, to on wchodził po prysznic, to była pierwsza rzecz. Wiesz, oczywiście Freud czy Jung w jakiś sposób by to wytłumaczył, bo to podobno o czymś świadczy.

Trznadel: Tak, ta mania.

Watowa: Tak... mania, rozumiesz. Wiesz, ciekawe, że Iwaszkiewiczowa w pewnym okresie, kiedy on była w gruncie rzeczy, wiesz, zupełnie oderwana od rzeczywistości, miała też tę manię, wiesz. Chodziła i spirytusem, wiesz, jakąś watą czy szmatką i spirytusem wycierała wszystkie klamki.

Trznadel: Tak, ja słyszałem o takich rzeczach.

Watowa: Słyszałeś?

Trznadel: W innej sytuacji też.

Watowa: W innej sytuacji? Znaczy się, jak to w innej sytuacji? W jakim sensie w innej sytuacji?

Trznadel: Też o jakiejś kobiecie, która robiła podobne rzeczy.

Watowa: Która robiła podobne rzeczy. Więc u niego to było bardzo, wiesz, no po prostu wiedziało, ja już wiedziałam, ja już to zauważyłam – rozumiesz – od razu. No, i właśnie ten przyjazd, to mi powiedział: „on przyjeżdża i od razu zrzuca z siebie to ubranie podróżne, od razu idzie pod prysznic, potem się zbiega ta Moskwa i on to wszystko rozdaje", wiesz.

Trznadel: A on nigdy na ten temat nie robił żadnych komentarzy, na temat tej manii czystości?

Watowa: Nie, on tylko miał przerażenie duże śmiercią tego ojca, że tak – rozumiesz – prawdopodobnie, sam fakt, że można się zakroić jakimś tam nożykiem, czy czymś i że z tego można umrzeć…

Trznadel: Tak, ja myślę, że tutaj potrzebny jest jakiś mały komentarz. Bo rzecz nie byłaby może aż tak zrozumiała dla ludzi, którzy żyją dzisiaj. Ja myślę o pokoleniu – no jak wiesz – swojej córki na przykład.

Watowa: Penicyliny.

Trznadel: Czy o pokoleniu, które już się wychowało właśnie w kategoriach antybiotyków itd.

439:1824353083

Watowa: O to chodzi! Tak!

Trznadel: Ja pamiętam przecież, że przed wojną, jak byliśmy małymi dziećmi to matka w jakimś sensie szalała, żebyś się nie dotknął, żebyś się nie skaleczył, możesz dostać zakażenia! I myśmy mieli – no nie tak obsesyjnie, nie było tego – a w każdym razie, że zakażenie jest czymś, co grozi w każdej chwili!

Watowa: Tak, tak.

Trznadel: I że może być czymś strasznym – o tym się nie, o tym się bardzo dobrze wiedziało, podobnie jak wiedziało się, że tężec jest taką chorobą, ale to też skaleczenie, prawda?

Watowa: Skaleczenie, jak i potem – dzieci, szczególnie, dzieci w ogrodach, w parkach albo – a szczególnie na wsi, gdzie konie itd. No to, to jest straszna rzecz.

Trznadel: Tak. To zakażenie było, było wtedy tylko chyba sulfamidy, które by mogły być, ale nie zawsze pomagały.

Watowa: Tak. Nie wiem, nie wiem, co wtedy było, ale nie było penicyliny, to wiem, dlatego że…

Trznadel: To były bardzo poważne sprawy.

Watowa: Tak. Tak zresztą umarł Jerzy Kamil Weintraub.

Trznadel: No właśnie.

Watowa: O którym wiesz, w jaki sposób, że po prostu się goląc w górną wargę się skaleczył i po trzech dniach.

Trznadel: O tym wspomina w tej ostatniej książce – ją ci pożyczę – Brandys o tym też.

Watowa: Co ty mówisz?

Trznadel: On jeszcze w drugim miejscu, też pisze, że w swoich notatkach znalazłem notatki z tytułem podkreślonym – taśmy Aleksandra Wata, ale tylko tyle.

Watowa: Ach tak?

Trznadel: Więc jakoś to ten problem utkwił w pamięci. No, więc wiesz, wróćmy jeszcze do Majakowskiego.

Watowa: Tak.

Trznadel: Ale czy coś było na przykład w waszych z nim spotkaniach, w twoich – oprócz może tej ostatniej, prawda, chciałbym żebyś o tym opowiedziała – dramatycznej rozmowy, którą miał z Paryżem, co mogło zapowiadać tę klęskę.

Watowa: Ach tak.

440:1923228858

Trznadel: Czy jeżeli było to mimo to on trzymał fasadę – i czy powiedzmy w rozmowach mówił o Związku Radzieckim, bo to były ciekawe rzeczy. Co, o czym on mówił w ogóle – czy coś pamiętasz?
Watowa: Słuchaj, ja ci powiem – były jakieś rozmowy z Aleksandrem, przy których ja nie asystowałam.
To były jakieś takie spotkania – na przykład on miał bardzo jakiś od razu niedobry stosunek rzeczywiście do, do tego – do Sterna. Bo pamiętam, że było takie przyjęcie – właśnie u Kowalskich – u tego dziennikarza z TASS-a, u jego żony tancerki, gdzie nagle dzwonek przy drzwiach i zjawił się. I ten nawet w taki sposób bardzo dosadny, że tam taki wiesz – przyszedł. I wyobraź sobie, że się z nim w korytarzu rozmówił i nie chciał, żeby on – Majakowski nie chciał, żeby on na tym naszym przyjęciu.
Trznadel: Ach tak.
Watowa: Ale to było raczej wszystko na bardzo wesoło. Ale – rozumiesz – w miarę tych jego przyjazdów widziało się zmiany. On ((z emfazą)) bardzo się robił ponury, ponieważ ja po niego bardzo często przychodziłam do ambasady – w ten sposób się z nim umawiałam, to już wiedziałam, że on wieczorami gra w bilard. Godzinami. Że nie chce z nikim rozmawiać. [sygnał ambulansu] Że pije. Że jest w okropnym nastroju. I rozumiesz, i to się objawiało potem w takich spotkaniach towarzyskich, taką – jak gdyby – jego chwilami nieobecnością, wiesz. I te, te chmury, które po twarzy przebiegały. I ja widziałam, z Aleksandrem nagle zdaliśmy sobie sprawę, że on chce za wszelką cenę zachować pozory, ale że jest mu coraz trudniej.
Trznadel: Tak.
Watowa: I że to jest człowiek nieszczęśliwy. [sygnał ambulansu] I – zresztą – słusznie rozstrzelano właśnie tego Ukraińca, który mnie – rozumiesz – opowiadał, że nie jest z nim dobrze. Ale nie mówił, dlaczego.
Trznadel: Tak. Nie miałaś poczucia, że to jednocześnie jest jakaś choroba?
Watowa: Nie! Ja miałam całkowite poczucie jego nieszczęścia w rzeczywistości, w której on żyje.
Trznadel: Tak.
Watowa: To miałam absolutnie! Ja ci powiem Wacek, Jacek! Że ja sobie zdaję sprawę z tego – bo wiesz, tutaj zawsze jednak jest, myślę o tym *Moim wieku*, jak myślę o rozmowach – przecież to nie ma żadnego porównania. Ja tam zrobiłam tą swoją maturę, zaczęłam chodzić na

441:8071122133

Wszechnicę Polską itd. Zjawił się Aleksander. Więc ja nie mam ani – wiesz – to co się nazywa dużego wykształcenia uniwersyteckiego, nie mam tego oczytania itd. Ale może to było jedno z tego, co bardzo, wiesz, pociągnęło też Aleksandra, że mam jakąś taką – powiedziałabym, powtórzyłabym to znowu – taką naskórkowa inteligencję, rozumiesz? Takie wyłapywanie, wyczulenie, jakąś… jakiś taki zmysł.

Trznadel: Intuicję, wrażliwość. A nie chodzi o wiedzę, wiedzę też masz przecież.

Watowa: Intuicję i wrażliwość. Ja nie mam to, co się nazywa encyklopedycznego, wiesz tego. Ale mam intuicję i mam wrażliwość. I okazuje się, że mnie ta wrażliwość w życiu nie zawodziła. I ja tak wyczułam! I rozumiesz, że to jest w nim, że to wzbiera, wiesz. Że to się staje coś bardzo poważnego. Potem była ta rozmowa, była ta rozmowa rzeczywiście, której ja byłam świadkiem. To znaczy – nie byłam wtedy, kiedy on z nią rozmawiał, ale kiedy on wrócił, kiedy ja na niego czekałam. I był ten Ukrainiec, wiesz, wspaniały jakiś rzeczywiście człowiek. I on zaczął takimi krokami bardzo dużymi chodzić tam i nazad, tam i nazad, wiesz, chodził. I niestety nie ma tej fotografii, którą wtedy on nam zrobił, dlatego, że ja tak wzięłam Majakowskiego za rękę i powiedziałam mu, że widzę, że jakoś on jest tą rozmową zmartwiony. No, i on mi powiedział wtedy: „No tak, no tak, ale nie będziemy już o tym mówić. Zaraz wyjdziemy". I chciał przełamać to. No i usiedliśmy wtedy na parapecie okna i wiesz, na tle właśnie okna ja tak siedziałam tutaj – tak pamiętam – on tutaj. Patrzyliśmy na siebie. I ten nam zrobił wspaniałą fotografię! Rzeczywiście wspaniałą fotografię!

Trznadel: Może gdzieś jeszcze jest w zbiorach Majakowskiego?

Watowa: Tak, że… i wyszliśmy. I już on był poważny, no, ale oczywiście, wiesz, to był aktor, to był człowiek, który potrafił tego. Potem – wiesz – jak ja usłyszałam właśnie już tutaj, potem jak było to jego samobójstwo. I wtedy była w tej, w prasie pracowała – zapomniałam jej nazwiska – taka dość znana osoba w Polsce, znaczy widzę – jakaś przyjaciółka Ważyka. Ważyk by od razu wiedział, kto to jest. Dosłownie pierwszy telefon – ona powiedziała: nikt jeszcze nie wie – pierwszy telefon był do nas: Majakowski popełnił samobójstwo. Zadzwoniła nad ranem – dosłownie o siódmej rano, wiesz.

Trznadel: Tak.

Watowa: Zadzwonił do nas i potem wszystko, co nastąpiło po… Woroszylski chciał do tej książki zrobić wywiad z Aleksandrem i chciał zrobić wywiad ze mną. I Aleksander powiedział:

442:7768581739

„Dobrze, ja panu dam wywiad, ale ja chcę powiedzieć prawdę. No, i oczywiście tego wywiadu nie było”.

Trznadel: Tak.

Watowa: A ja oczywiście też nie dałam wywiadu, bo powiedziałam, że na tej samej zasadzie mogę – nie mogę opisywać, nie mogę panu mówić, chwalić się tym, że Majakowski do nas przychodził. Chciałabym powiedzieć coś bardziej istotnego.

Trznadel: Tak.

Watowa: Więc, oczywiście, ani mojego, ani Aleksandra wywiadu nie było, tylko dlatego bośmy mu uczciwie powiedzieli, że chcielibyśmy powiedzieć, że Majakowski nie popełnił samobójstwa. Dlatego, że kobieta, którą kochał nie chciała wyjechać z Paryża i pojechać do tego…, bo w końcu, wiesz, inny to by sobie doskonale mógł w Paryżu zostać z tą kobietą i w ogóle się jakoś urządzić, ale dlatego, że jego zamordowali. Po prostu – jego zaszczuli. Wiesz, on był w sytuacjach zupełnie okropnych, ale to już nie będę powtarzać, dlatego, że, że… i doprowadzili go też do pewnych rzeczy bardzo brzydkich, dlatego, że on – wiesz – ten Szkłowski, który był taki, takim jego wielkim przyjacielem i wielbicielem, to oni doprowadzili go do tego – zmusili go – żeby on w ogóle się obrócił przeciwko Szkłowskiemu, żeby on się obrócił przeciwko swoim najbliższym. I on ma takie, wiesz, tak jak z Borowskim było!

Trznadel: Tak.

Watowa: To on ma kilka. Więc on wiedział do czego jego doprowadzają. Do jakiego upadku. Więc trudno powiedzieć, że – wiesz – w końcu mężczyzna, który miał ((z emfazą)) szalone powodzenie u kobiet, który – kobieta, wiesz, jego przyjaciółka, z którą on ostatnio żył. Przyszła do niego, spała z nim, wiesz tej nocy przed popełnieniem, samobójstwa. On ją prosił, żeby ona nie wychodziła rano. To była – zdaje się – jeśli się nie mylę, jakaś aktorka. Ona powiedziała: „nie mogę z tobą zostać, bo musze iść na próbę”. – „No, ale jeszcze chwilę zostań, no zostań, a może byś nie poszła na tą próbę”. Bo my już to wiemy od – wiesz – z Ałma–Aty. Od Szkłowskiego, od, od, od tych – Zoszczenki, od tych ludzi, pisarzy niesowieckich broń boże. Bo to nie byli sowieccy pisarze.

24_Fon.61.711 Strona B

Watowa: I on jednak powiedziała: „nie, ja jednak muszę iść, bo ja muszę – ja nie mogę się spóźnić na próbę”. A on ją trzymał jeszcze chwilę, bo on wiedział, że jak ona pójdzie, to on sobie strzeli w łeb.

443:6541022955

Trznadel: Tak.
Watowa: Tak, że wiesz, i dlatego tutaj jak mówiłam ci – nie wiem czy ci o tym mówiłam, że jak trafiłam przypadkowo do takiego doktora Abramowicza, który jest zresztą tutaj w klinice takiej, niedaleko mnie. Ja tam poszłam do niego jako pacjentka i nagle on, prawda, okazuje się, że on jest z pochodzenia Polakiem i Żydem, i zaczynamy ze sobą mówić po polsku. Jego pacjentka okazała się Elza Triolet.
Trznadel: Koło się zamyka.
Watowa: Więc rozumiesz, jak ja z nim zaczęłam – to był człowiek, który kiedyś był w partii i oddał książeczkę partyjną. I jak ja się dowiedziałam o Elzie Triolet, no, więc już jak to się mówi – zobaczyłam na czerwono. I zaczęłam mówić o Elzie i on mi powiedział, że Elza jemu powiedziała, że on dlatego popełnił samobójstwo, że ta, ta śliczna – podobno przepiękna kobieta – nie chciała z nim wyjechać. No, i ja powsiadłam. No, i ja już wtedy, wiesz, jak ja wpadam w takie nastroiki, jak mówi Aleksander, to już na całego. I wiesz, i Aragorny, i Sartry i Trolet – to wszystko poszło w robotę. I wtedy mu powiedziałam o tym kłamstwie – ona, która wszystko wiedziała od swojej siostry – Lili Brik, od Majakowskiego itd. to ona tutaj przychodzi i jemu takie bzdury opowiada, kłamstwa! ((z emfazą)) Że ona kłamie, kłamie, kłamie. I wyobraź sobie, ku mojej wielkiej satysfakcji – zaraz zobaczysz jaka potrafię być zła – przychodzę do niego po analizach, po badaniach itd. I on mówi: „Pani wie? Chce pani powiedzieć coś, co pani sprawi przyjemność” – widocznie się już na mnie poznał. – Była tu u mnie Elza Triolet – ponieważ zawsze się z nią musiało trochę mówić o polityce – wyrzuciłem ją za drzwi.
Trznadel: ((śmiech))
Watowa: Powiedziałem: „Poza mną są inni lekarze w Paryżu. Niech się pani leczy u kogo innego, ponieważ pani kłamie”. Słuchaj, czy tam się coś kończy?
Trznadel: Jeszcze nie, ale tak się właśnie przypatruje.
Watowa: No przypatrz się.
Trznadel: Zmienię mu.
Watowa: No przypatrz się, przypatrz się.
Trznadel: Jeszcze nie. Jak się skończy, to zmienię.
Watowa: No, i tę Elzę, rozumiesz, wyrzucił.
Trznadel: Ach tak?
Watowa: Tak.

444:3180434183

Trznadel: Bo to i prawda, że – zwłaszcza jedna, nawet bardzo urocza kobieta, mężczyznę mającego powodzenie – no może do czegoś doprowadzić, ale trzeba tu więcej elementów prawdopodobnie.

Watowa: Nie, nie, nie, kochanie, to nie było to! To nie było to! On nie mógł żyć. Majakowski nie mógł. Majakowski, w dodatku, ten bard rewolucji, rozumiesz, ten, który wierzył! Który – jaki on był czynny, jak… co on tam robił – proszę ciebie. I tutaj nagle odbierają mu ((z emfazą)) absolutnie wszytko. Odcinają go od działalności, zmuszają go do rzeczy zupełnie potwornych. Poniżają go.

Trznadel: A on widzi dalej jeszcze, co będzie.

Watowa: A on widzi dalej, co będzie. Jego dawni – wiesz – *pakłonnicy*[466] zaczynają już go – rozumiesz – mówiąc po rosyjsku *preziriat'*[467], czyli pogardzać nim.

Trznadel: Tak.

Watowa: więc tu się wszystko na to złożyło, rozumiesz? Tu się masę elementów na to złożyło! Bo żeby go jeszcze w tym podtrzymywał – ale wszyscy się bali. I wiesz doskonale, że od takiego człowieka się odchodzi. Jak jemu się zabiera.

Trznadel: Tak, czy nie myślisz też, że to, że on miał otwarte okno na zachód – jednak mógł przyjechać do Polski, mógł pojechać do Stanów, mógł pojechać do Paryża. To, to w końcu też przyczyniało się do pogłębienia jego świadomości, prawda, widzenia tych wszystkich, no jednak kontrastów.

Watowa: No tak, on widział!

Trznadel: Także w sensie, także spotkań z innymi ludźmi.

Watowa: Tak, on widział. Zrozum, jeżeli Aleksander ludziom, którzy pracowali w Mosfilmie – czyli robili filmy, prawda – więc Szkłowski (znaczy nie filmy, a scenariusze). Szkłowski, Zoszczenko, potem ten Sznajder, ten który tą powieść, która Olkowi się, która zniknęła – nie, ona nie zniknęła, ona tam jest itd. Że on im musiał opowiadać filmy – nie musiał, opowiadał – oni nie widzieli *Rene Cler*, to wszystko. Oni nic nie wiedzieli. I tu nagle przyjeżdża Majakowski, który widzi jak to daleko idzie, w ogóle, co się robi na tym zachodzie.

Trznadel: Jak ich odcięcie się coraz bardziej zwiększa.

---

[466] Ros. *pakłonnicy*[466] zaczynają już go – rozumiesz – mówiąc po rosyjsku *preziriat'* – ci, co mu się kłaniali w pas, teraz zaczęli go poniżać

[467] Ros. *preziriat'* – pogarda, pogardzać.

445:8975634351

Watowa: I to odcięcie, rozumiesz! I on przyjeżdżał do, do, do barbarzyńców, którzy nic nie wiedzieli. A poza tym widział, rozumiesz, naocznie kłamstwo. [przerwane nagranie] Co pisano o zachodzie i co on widzi. Przecież to nie był idiota! Przecież oni dochodzi tam do tego w ogóle, mówili nawet, że tu jest głód. Więc już takie rzeczy prymitywne. Że nie ma wolności. Robotnik, życie robotnika – a tu nagle przyjeżdża, widzi tych robotników. Ja nie powiem, żeby robotnik był w sytuacji jakiejś nadzwyczajnej, ale, ale robotnik, który był wolnym człowiekiem w Polsce. A potem wyobraź sobie, jak on pojechał do Francji.

Trznadel: Tak, no w ogóle cała sytuacja nacisku na intelektualistę, która już wtedy zaczęła się rodzić.

Watowa: A poza tym rozmowy. Wystarczyło! Wystarczyła rozmowa z literatem, z intelektualistą, z inteligentem. I on nagle widzi, że ten człowiek mówi – powiedzmy – o sytuacji w Polsce. Powiedzmy – Aleksander. Na pewno mówił rzeczy tam bardzo takie istotne, te wszystkie minusy, minusy, minusy, minusy i minusy. Wiesz, to wystarczy. I on to mówi na głos, on to mówi w kawiarni, on to mówi przy innych ludziach. Nie zagląda czy za drzwiami ktoś nie stoi, nie podgląda pod stół czy nie tego. Wiesz, to są rzeczy, które on zauważył – od razu!

Trznadel: Nie no tak, w ogóle sytuacja intelektualisty tu i tam, która… no, i cała śruba, która się dokręcała. No, i tu masz rację, że w ustroju komunistycznym, w tej ideologii, która panowała – ona panowała jeszcze po wojnie.

Watowa: Tak.

Trznadel: Władza właściwie nie mogła i nie chciała się przyznać, żeby człowiek ideowy mógł zdezerterować z ruchu w taki sposób jak samobójstwo. To się nie mieściło w kodeksie, wiesz? Bo się przecież – to były te hasła: „człowiek nie umiera”. No, i Woroszylski taki tytuł dał, i Brandys. Ale ja może już o tym mówiłem – ja sobie dokładnie przypominam, prawie dzień czy nazajutrz, jak popełnił samobójstwo Borowski.

Watowa: Borowski, tak.

Trznadel: Wtedy byłem akurat w Warszawie. Mieszkałem we Wrocławiu. Przyszedł Andrzej Wasilewski, było grono ludzi młodych – już nie pamiętam dokładnie kto. I on nam zaczął opowiadać, no, bajeczkę. Jak to gaz, jak się woda wygotowała – bo on był taki zmęczony.

Watowa: No tak, czajnik zalał, tak.

Trznadel: To możliwość powiedzenia tego – nawet nie wiem, czy Wasilewski był jednym z ludzi, którzy znali prawdę. Myślę, że mógł należeć do ludzi znających prawdę. Więc – albo jej

446:8681297827

nie znał i już jemu wymyślili bajeczkę, albo on właśnie też uważał, jak ci, co wymyślili bajkę, że tego powiedzieć nie można.

Watowa: Nie można, no przecież taka była wersja!

Trznadel: Tak.

Watowa: Czajnik kipiał, on zasnął i gaz się potem ulatniał. I koniec.

Trznadel: Tego się nie mówiło – nas nawet w pewnym sensie dziwiło wtedy, nie pamiętam w którym momencie, że – bo to już było po latach – że Rosjanie zaczynają się przyznawać, że to było samobójstwo Majakowskiego.

Watowa: Że Rosjanie zaczynają się przyznawać?

Trznadel: Tak, bo to ja już znalazłem w podręczniku.

Watowa: Co ty mówisz? Ja tego nie widziałam!

Trznadel: W podręczniku – tylko nie wiem, w którym roku – ale już było w podręczniku, bodajże, Timofiejewa. Że samobójstwem skończył Majakowski – to było.

Watowa: Tak, tak.

Trznadel: Ale ja pamiętam, że o tym nawet się wtedy nie mówiło, tak jakby było niezręcznie o tym mówić. Nie należało.

Watowa: Tak, tak. Słuchaj, jeżeli Paul Éluard przyjeżdża do – traci żonę, ukochaną żonę – przyjeżdża w rozpaczy do Polski…

Trznadel: Tak.

Watowa: Rzeczywiście przyjeżdża z takim swoim przyjacielem, sekretarzem – zapomniałam jego nazwiska – on stosunkowo niedawno umarł. I – proszę ciebie – głęboko nieszczęśliwy człowiek. Więc jest, proszę ciebie, przyjmują go tam, Aleksander go wtedy, zdaje się w zarządzie czy coś. W każdym bądź razie wyekspediowali go, żeby on tam był na tym śniadaniu, tym. I on – rozumiesz – a nie… przepraszam. Mylę. Więc on jest po śmierci swojej żony, w rozpaczy, w stanie nerwowym okropnym. Dlatego, że on – nie wiem czy o tym wiesz – on miał straszliwą historię. Mianowicie – każdego wieczoru, jak się kładł, on widział swoją żonę i widział postęp – rozumiesz – rozkładu tego ciała.

Trznadel: W wyobraźni?

Watowa: W wyobraźni. I to było straszne. Ja pamiętam, że myśmy go zawieźli do Nieborowa. I on zresztą był u nas w domu, i ja tam go położyłam na tapczanie, bo on już taki ledwo, ledwo. I

447:3114626278

on miał łzy w oczach itd. I ja z tą straszną francuszczyzną jakoś się z nim porozumiałam. On po prostu czuł, że taka, że tak powiem – taką kobiecą opiekę itd.

Trznadel: Tak.

Watowa: Rozumiesz, itd. I potem po roku on przyjeżdża z przepiękną kobietą – na odsłonięcie pomnika Mickiewicza. Nie wiem, w którym to było oczywiście roku, bo ja żądnego nie pamiętam, wiesz.

Trznadel: Pewnie odbudowanego pomnika.

Watowa: Odbudowanego, tak! Ale, w każdym bądź razie pamiętam…

Trznadel: Tam na Krakowskim?

Watowa: Na Krakowskim. W każdym bądź razie pamiętam, że to było odsłonięcie. I proszę ciebie – wtedy jest to śniadanie – i ja znowu tak jest, że Aleksander siedzi z jednej strony, ja z drugiej strony koło niego. Na przeciwko siedzi śliczna młoda kobieta, która już jest jego żoną. A rzeczywiście śliczna. I to pamiętam, jak takim pięknym gestem, wiesz – no, pamiętam ten gest – on powiedział, że napiłby się jeszcze tam tej herbaty, i ona wiesz, postawiła sobie tę filiżankę, wiesz, wzięła i nalała mu tej herbaty, wiesz, i w ten sposób, tak podała, wiesz. No wiesz, jakimś takim gestem ślicznym. No, i oczywiście są nasi dziennikarze, więc wywiad. I, rozumiesz, ten człowiek, który rok temu – on uwielbiał tę żonę, kochał tę żonę i napisał cały, cały, wiesz, niesłychaną ilość wierszy po śmierci swojej żony. I cały ból zawarł w tych… W wywiadzie on mówi, że towarzysz Torres powiedział – bo wiesz, że on był komunistą, zdaje się nawet, że należał do partii – Éluard – nie wiem, tego nie jestem pewna, ale był przyznawał się do komunizmu itd. Że towarzysz Torres powiedział mu, że komunista nie ma prawda w ten sposób pisać, bo komunista powinien dawać ludziom nadzieję, radość, optymizm. – „Wobec tego ja zmieniłem wszystkie zakończenia”.

Trznadel: ((śmiech))

Watowa: Paul Éluard zmienił zakończenia wierszy, rozumiesz? Pisanych o swojej ukochanej żonie, na optymistyczne.

Trznadel: Tak.

Watowa: No, we mnie piorun trzasnął. Wieczorem było przyjęcie dla niego. I wtedy ja wzięłam – proszę ciebie – Czajkę, bo tylko Czajka mogła mi w tym pomóc, dlatego że była na papierach wariackich. Aha! Przy drzwiach stał Kruczkowski, wiesz jako gospodarz. Jeszcze pamiętam, że anonsował i powiedział (((rozbawiona))) – no ja dzisiaj mam taki wieczór, że ci poopowiadam

448:4125215170

naprawdę bezwstydnie – zaanonsował tak: „Piękna pani Watowa!" – bo jeszcze wtedy, ale sto lat temu, słuchaj… ((śmiech)) I wtedy – ona miała na sobie, żona Éluarda, ta nowa, miała suknię, wiesz, dekoltowaną w ten sposób, że całe ramiona miała nagie. Wiesz, tutaj się kończyło. I rzeczywiście – przepiękne ramiona i ta piękna szyja, młoda, wiesz. Więc ja mówię do Czajki, mówię: „Słuchaj, ty mnie pomożesz. Ja jemu muszę coś powiedzieć". Ona leci. Ale ja mówię, ale powtórzysz słowo w słowo – jak ja nie znajdę słowa to ty mnie je powiesz. Ona mówi: „Możesz być pewna". Ale wiesz, że ten słyszał tam z daleka, ten Kruczkowski i Broniewska jakoś tak węszyła. Coś jej moja mina jakoś ich tam nie wzbudziła. Ja powiedziałam mu tak: „Wie pan, jestem bardzo szczęśliwa, że pan teraz nie cierpi tak, że pan ma tak cudowną żonę o tak wspaniałych ramionach, ale jedna rzecz mnie przeraziła – (((oburzona))) jak pan mógł powiedzieć taką rzecz. Pan, który jest poetą! Poetą! Już nie mówię, że to jest zdrada wobec tej kobiety, bo jeżeli pan pisał, prawda tak, to pan tak czuł. Dlatego, że jakiś tam Torres panu powiedział?". Ja mówię: „Czajka, słyszysz?" – „Tak, tak".

Trznadel: ((śmiech))

Watowa: „Bo jak ja tego, to ja mówię powiedz „jakiś tam" bo ja nie wiedziałam. Torres panu powiedział, że pan zmienia zakończenia!" I tu mnie łapie, i tu już był Broniewski, ten, Kruczkowski i Broniewska. On ma oczy nieprzytomne i mówi: „Ola, tam na ciebie czekają, tam koniecznie tobie chcą powiedzieć". Ja mówię: „Tak, ja już prawie skończyłam". I jeszcze coś dodałam i wiesz, on zaniemówił. I myślę sobie, co on mi powie, prawda?

Trznadel: Tak.

Watowa: I tu Broniewska i Kruczkowski: „Czyś ty oszalała? Czyś ty oszalała? Co ty tu wyprawiasz? Co ty tu opowiadasz?". Ja mówię: „słuchaj tego, ja jemu powiedziałam to, co ja czułam. I to jest oburzające. I to jemu powiedziałam. A do Czajki nie miejcie pretensji, bo ja ją zgwałciłam, zmusiłam, że ona będzie moim tłumaczem". ((śmiech))

Trznadel: ((śmiech)) No, i co on?

Watowa: I, proszę ciebie, on nie tłumaczył się z tego, bo ja już – wiesz – do tego tematu, słuchaj, mnie rzeczywiście, no, szarpał mnie ten Kruczkowski.

Trznadel: Tak.

Watowa: Bo tam, rozumiesz, tam kto inny już podsłuchał też. I rozumiesz, tam byli z partii ludzie. Nie myśl, że to było takie towarzystwo, wiesz, z tym, z Chojeckim i z Kuroniem. ((śmiech)).

449:6932957593

Trznadel: Tam byli. Ci co podawali, to też słuchali. Co podawali jeść, to też słuchali. Byli po to, żeby słuchać.

Watowa: Ale wszyscy tak! No, przecież to wszystko to te UB, to żeśmy tam byli obstawieni. Ci dziennikarze itd. i tutaj ta Watowa ci się wyrywa z tym wszystkim. Ale wiesz, nie mogłam! Muszę ci powiedzieć, że gdybym tego nie powiedziała, tobym teraz w tej chwili żałowała tego. Naprawdę. Ja jemu musiałam to powiedzieć. A muszę ci powiedzieć, że on miał tyle czaru – to był w ogóle czarujący człowiek, niesłychanie delikatny, niesłychanie miły, czuły. No jakiś taki, wiesz i taki smutny, wiesz, był wtedy bardzo. No, i siedzieliśmy tam przy kominku w Nieborowie, no, i oczywiście tam stała kanapa, więc ja mu powiedziałam, że tu Napoleon spał na tej kanapie ((śmiech)), bo jak wiadomo – na wszystkich kanapach Napoleon spał. I bardzo, i on tak, tak, w jakimś momencie tak spojrzał na Aleksandra i zapytał go, czy on pozwoli, żeby głowę na moim ramieniu na chwileczkę tak położyć. Ale smutne miał oczy, łzy miał w oczach itd. I proszę ciebie, i przyszedł kiedyś do nas z taką prześliczną dziewczyną, francuską, która była, wiesz, w tym – jak to się mówi, w podziemiu tutaj, we Francji?

Trznadel: Maquis?

Watowa: Maquis. I wyobraź sobie, że ją torturowano. I między innymi, wiesz, robiono jej te, głowę jej zanurzano, wiesz, do wanny. Duszono ją itd. Była prześliczna, rzeczywiście śliczna dziewczyna! Tak, że ona przyjechała w tym czasie, kiedy przyjechał Picasso, wiesz. Bo był tak: Picasso, Eluard…

Trznadel: W czterdziestym ósmym chyba.

Watowa: I była wtedy ta dziewczyna. Kiedy to było?

Trznadel: Picasso był chyba w czterdziestym ósmym albo dziewiątym. Chyba w ósmym, kiedy był Zjazd Intelektualistów, taki światowy, we Wrocławiu.

Watowa: Ale to się działo tutaj. To znaczy było we Wrocławiu, bo tutaj zrobiono jakiś, jakieś nie wiem, gdzie to było, ale był jakiś olbrzymi, wiesz, ten, salon. Ja nie wiem – możliwe, że to było wynajęte. Nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć, gdzie to było. No, i Picasso, i tutaj wiesz, nasi mężczyźni.

Trznadel: Ale kiedy mówisz tutaj, to gdzie?

Watowa: Znaczy się tutaj – przepraszam – w Polsce, w Warszawie!

Trznadel: Tak jest.

Watowa: No, i widzisz, myślałam, że jestem w Polsce ((śmiech))

450:5301025440

Trznadel: ((śmiech))
Watowa: ((śmiech)) I tu wszyscy nasi mężczyźni – (((teatralnie))) na ciemno, na czarno, tutaj krawaty, wszystko wyświecone itd. a nasz Picasso tutaj nagle robi mu się gorąco – zrzuca marynarkę w ogóle na podłogę, a potem zdejmuje koszulę. I ten tors obnażony, taki atletyczny tors, wiesz, wspaniały, tego.
Trznadel: Tak.
Watowa: No, więc już tu, nasi mężczyźni (((rozbawiona))) – nie wiem – czy też powinni się rozbierać czy nie? Ale to wiesz, zrobiło wrażenie. To było wspaniałe, rzeczywiście.
Trznadel: Byłaś przy tym?
Watowa: No jak to byłam? Oczywiście, że byłam! Z Aleksandrem! No, i tylko pamiętam jak Eluard tylko zbliża się, zbliża się do Picassa ze mną i mówi: „Pablo, powiedz, spójrz na Watową i powiedz mi czy ona – bo ja w niej widzę Galę". Wiesz, to była jego pierwsza żona, którą mu zabrał ten, no, no ten, ten malarz, taki ekstra, z tymi wąsami.
Trznadel: Dali.
Watowa: Dali. Salvador Dali. „Że – mówi – słuchaj, czy ona ci nie przypomina Gali? Bo ja, jak patrzę na Watową, to przypomina mi się Gala". A on tak spojrzał na mnie swoimi oczami, wiesz, tego. Spojrzał, mówi: „A wiesz, masz rację. Jest coś z Gali". Ale już był nagi. ((śmiech)) No, i potem, żeby skończyć z Galą, to tutaj, tutaj – znaczy się już w Paryżu – w La Inn (czy się to tak wymawia – nie wiem)
Trznadel: Chyba tak.
Watowa: Wiesz, w tej księgarni, ten – Dali – podpisywał swoją książkę. Tutaj sobie coś założył, jakąś taką – jak się bada, wiesz, ciśnienie – i rozumiesz, według tego jak on podpisywał, jak spojrzał na osobę, to on patrzył czy ciśnienie mu się podnosi czy opada. ((śmiech)) No, książka kosztowała nie wiem – może z 350 franków. Więc oczywiście – a wspaniała! Ty wiesz, że on jest podobno wybitnie inteligentny ten Dali, tak o nim mówią. Więc ja, bidula, kupiłam, wiesz, pocztówkę taką z jego obrazem. No, i bardzo nieśmiało podeszłam, no, ale była Gala koło niego. Więc bardzo się tej Gali przyjrzałam. To było przed naszym wyjazdem – myśmy wtedy mieszkali na rue Bonaparte, więc to było w sześćdziesiątym trzecim roku. No, więc ja jeszcze byłam taka próżna, rozumiesz, że mnie się wydawało, że ja jednak od tej Gali byłam stokroć ładniejsza ((śmiech)), i mimo to, że jesteśmy obie już nie młode, ale że jakoś nie, że uważałam, że nie. Że jednak ja, że – nie widziałam takiego podobieństwa. Ale wiesz, jak on mi podpisywał

451:1065567663

tak na mnie spojrzał, żeby zobaczyć jakie ciśnienie, ale tak o ułamek sekundy zatrzymał. I wiesz, że wtedy w jego oczach widziałam, że on też coś tam musiał zauważyć, jakieś podobieństwo. No, więc, na co przechodzimy, tylko prędko, bo ja się tak zakałapućkałam.

Trznadel: ((śmiech)) Bardzo dobrze.

Watowa: Ja się tak zakałapućkałam!

Trznadel: Trzeba by, trzeba by wrócić może do tych lat, prawda, kiedy pożegnaliście Majakowskiego, prawda.

Watowa: Po raz ostatni już, tak?

Trznadel: No, i ta wiadomość.

Watowa: No, i ta wiadomość, tak.

Trznadel: Czy to było już, właściwie jak było z tym co Aleksander…

Watowa: No, to jeszcze, jeszcze, jeszcze był „Miesięcznik".

Trznadel: Jeszcze był „Miesięcznik".

Watowa: Dlatego, że tam w „Miesięczniku" jest o śmierci. Wiesz, ciekawe, ja teraz sobie przejrzę, jak tam piszą o śmierci Majakowskiego. Prawdopodobnie – nie wiem, czy użyli tego słowa samobójstwo czy nie. I kto w ogóle o tej śmierci – czy to pisał Stawar czy to pisał Aleksander – ja nie wiem. Teraz sobie zupełnie nie przypominam.

Trznadel: Tak. Czy masz poczucie – to co, to co pisze, mówi Aleksander w *Moim wieku* – czy w twojej pamięci jest, że Ty, czy wasz dom czy on – że powoli następowała potem już przed wojną zmiana tej orientacji, po „Miesięczniku".

Watowa: W jakim sensie?

Trznadel: Tej orientacji takiej, no, prokomunistycznej.

Watowa: No, w miarę, w miarę – ja ci powiem, ja ci powiem, że nie ulega dla mnie wątpliwości.

Trznadel: W miarę jak dochodziły do (), to się zaczynało zmieniać.

Watowa: Że samobójstwo Majakowskiego – bo rozumiesz? Tak: Robił ten „Miesięcznik Literacki". Rozumiesz? Czy to było w Aleksandrze już wtedy tak na sto procent pewne?

Trznadel: Tak.

Watowa: Wiesz? Że nie ulega dla mnie wątpliwości, że śmierć Majakowskiego – samobójcza – musiała tam zacząć w nim, wiesz, już…

Trznadel: Taki element zewnętrznego życia, które miało znaczenie i symboliczne także.

452:8296901756

Watowa: I symboliczne, wiesz, że do przemyśleń. Wiesz, materiał do przemyśleń. I teraz mi powiedz w jakim roku zaczęły się procesy?
Trznadel: No to chyba troszkę – jeżeli ja pamiętam – później. Ale już wcześniej już były jakieś chyba sygnały. Bo tak: usiłuje sobie przypomnieć, kiedy było zabójstwo Kirowa. Bo Kirow ginie chyba w trzydziestym trzecim albo trzydziestym czwartym roku. Trzydziesty czwarty rok to jest ten Zjazd Pisarzy Sowieckich, gdzie się dekretuje realizm socjalistyczny referatem Gorkiego. Chyba trzydziesty piąty.
Watowa: To już, już Majakowskiego nie ma od pięciu lat.
Trznadel: Tak, dawno już nie ma Majakowskiego.
Watowa: Ja wiem, ja pamiętam dobrze, dlatego że po roku – znaczy się on popełnił samobójstwo w trzydziestym roku, a w trzydziestym pierwszym roku w lipcu urodził się Andrzej, więc ja wiem, że to było – co najmniej rok, a może więcej niż rok przed urodzeniem się Andrzeja. Tak, że ja pamiętam…
Trznadel: Ale w między czasie zaczynają narastać jeszcze jakieś takie wypadki, to już dokładnie w datach, ale następuje kolektywizacja w Związku Radzieckim, o której na pewno wiadomości bardzo sprzeczne i tragiczne już musiały nadchodzić. Nie wiem, w którym roku zaczynają się takie relacje pisarzy, w którym roku Andre Gide pisze o tym swoim pobycie w Związku Radzieckim, prawda? Oni go tam przyjmują. A on wyjeżdża i pisze…
Watowa: Ale nie o te procesy… to myślisz, że to już jest, to jest okres już procesów?
Trznadel: Ja… zdaje mi się, że od trzydziestego piątego. Ale Kirow zostaje usunięty wcześniej, prawda?
Watowa: Wcześniej, tak.
Trznadel: Więc już muszą docierać rozmaite wiadomości.
Watowa: Tak.
Trznadel: Zdaje się – procesy to są piąty do siódmego... przede wszystkim.
Watowa: Tak. Także wiesz, to się zaczęło, to się zaczęło właśnie w tym szczególnie już takie absolutne sobie zdanie sprawy, już takie, żeby – bo rozumiesz, nie ulega wątpliwości, że jest jakaś taka samoobrona. To znaczy, że – na miłość boską! Więc ja rzuciłem to, więc ja…. Rzeczywiście, ja ci powiem, moja – jeśli chodzi o Aleksandra – to z całym przekonaniem ci mówię, że on sobie przez – i komunizm jemu życie zmarnował. Dlatego, że po *Bezrobotnym Lucyferze,* przecież jako młody człowiek – te nowele są naprawdę bardzo dobre. Że on przestał

453:4296197110

pisać, dlatego właśnie tak jak tłumaczył, że co napisał to nie było pod, tylko rozumiesz – wręcz przeciwnie.
Trznadel: Tak.
Watowa: On sobie zniszczył życie jako poety, jako pisarza, przez kilka lat upierając się, że on może w ogóle siebie przerobić itd. Że on może być marksistą. On nie mógł być marksistą, on nie mógł być komunistą! I rozumiesz, to jest ((z emfazą)) szalenie bolesne, że wtedy, wiesz, po tym *Bezrobotnym Lucyferze*, gdyby on w dalszym ciągu siedział i pisał, to kto wie, jakiego mielibyśmy w tej chwili pisarza. Z jego, z jego, wiesz, tym też, tą bazą, wiesz, tego ogromnego wykształcenia, ogromnej wiedzy, którą on jednak posiadał. Ogromną wiedzę i wrażliwości itd. To jego ten, ja dlatego jeszcze tak nienawidzę tego komunizmu, dlatego że ja wiem, że to jest przyczyną jego takiego, wiesz, milczenia przez kilka ((z emfazą)) bardzo ważnych lat.
Trznadel: Tak, tylko równie dobrze można powiedzieć, że to wojna. Bo wyobraź sobie inną sytuację, że nie ma wojny. Prawdopodobnie po okresie przewartościowania.
Watowa: No tak, masz rację. Zapomniałam w tej chwili o wojnie.
Trznadel: Zacząłby znowu pisać, albo wyobraź sobie trzecią sytuację: że wy nie zostajecie we Lwowie, tylko jak to nieraz bywało, że ktoś was porwał, namówił. I idziecie przez Zaleszczyki, dostajecie się gdzieś na Zachód, prawda? Znów jakaś prawdopodobnie całkowicie inna sytuacja.
Watowa: Tak.
Trznadel: Ale to z komunizmem o tyle prawda, że gdyby nie komunizm nie byłoby i tych więzień.
Watowa: A ty wiesz, że ja mówiąc o tym, to ja zapomniałam, że była wojna potem.
Trznadel: Tak, ale jedno się zgadza, prawda, jeśli nie w wewnętrznej biografii – bo on już był poza – to w zewnętrznej biografii, prawda. Że komunizm oznaczał prowokację lwowską i ileś więzień, prawda, osłabienie organizmu itd.
Watowa: Tak.
Trznadel: Oznaczał zresztą danie – z drugiej strony wiesz, bo to jest tak, to jest tragiczne, bo, bo – nie wiem, ja literaturę zawsze uważam trochę mniej ważną niż życie, ale oznaczało to wszystko danie po tym jakiegoś wstrząsającego świadectwa, właśnie tej naszej epoce przełamanej między totalizmy, prawda, między komunizm także. I to świadectwo w tej twórczości.
Watowa: Znaczy się, mówisz o *Moim wieku*?

454:1625069790

Trznadel: No tak. No, i nie tylko – i o poezji, która jest przecież w jakimś sensie emocjonalnym i intelektualnym wyrazem sytuacji człowieka, wobec tego, co się w dwudziestym wieku stało. Nie tylko z powodu Niemiec, ale i z powodu Rosji.
Watowa: Tak. No, i muszę ci powiedzieć, że zetknięcie, zetknięcie z – znaczy się, gdy zdaliśmy sobie sprawę, że nasze życie będzie życiem emigrantów – to zetknięcie z „Kulturą" miało na niego bardzo niedobry – znaczy się w tym sensie niedobry wpływ, że on wiedział, że to, że rozumiesz – że tworzenie tutaj.
Trznadel: Tak.
Watowa: Dla „Kultury", znaczy się – rozumiesz? – żeby wziąć jako bazę jakiegoś niematerialnego już istnienia, tylko żeby to – wiesz – on się nie zgadzał z „Kulturą". On się nie zgadzał z „Kulturą".
Trznadel: Rozumiem to, po prostu musiała być jego własna droga.
Watowa: I musiała – O! widzisz jaki ty mądry jesteś! ((śmiech))
Trznadel: ((śmiech))
Watowa: Musiała być. Rozumiesz? On nie mógłby mieć – rozumiesz – on sobie wspominał, mówi: „jak to, ja – mówi – szedłem, miałem kilka wierszy to już, już, tego… a tutaj mnie Giedroyć mówi: – A, wie pan, panie Aleksandrze, to ja bym wolał wierszy nie drukować, bo jego bardziej…". Rozumiesz? I nagle on widzi, że on wybrał niby tą wolność, a to właściwie jest, rozumiesz… to nie ma nic wspólnego z wolnością! W ogóle. Jako pisarz właściwie, jak on mógł tu istnieć? Więc znowu właściwie tragiczna sytuacja.
Trznadel: Tak, oczywiście.
Watowa: Ty wiesz, dlaczego ja tak jestem dla tego Miłosza, dlaczego ja mam dla innego tego typu uczucia? Dlatego, że dzięki tylko temu, że on tutaj jako ten słuchacz – to jest wszystko przypadek – bo przecież gdyby nie ten, ten, ten, *chairman*[468], wiesz, tego Slavic Center, ten wspaniały człowiek – Grossman! Po prostu dobry człowiek!
Trznadel: Tak.
Watowa: Żeby on nie pojął cierpienia tego człowieka – i Aleksander, który podaje się do dymisji, wiedząc, że my jedziemy na nędzę tutaj, a tam mieliśmy to tysiąc dolarów miesięcznie, z których ja starałam się zawsze odłożyć i gdyby jak będziemy wracać, żeby mieć tutaj w ogóle z czego żyć – także to nie była inicjatywa…

[468] Ang. chairman – prezes.

455:6882446902

25_Fon.61.712 Strona A

Watowa: Odłożyć i gdyby jak będziemy wracać, żeby mieć tutaj z czego żyć – także to nie była inicjatywa Czesława! I Czesław jakby się ten, jakby się dowiedział, że Olek nie chce być to by powiedział: „dlaczego, no to robisz głupstwo" itd. I zresztą mówi w przedmowie ten człowiek, który jak zaczynał mówić to tego. A tu nagle do głupiego przemówienia do, do studentów to on uważał, że ma się przygotować. Wtedy, kiedy, jak zaczynał mówić to rzeczywiście następowały jakieś – przecież ja widziałam jak jego ludzie słuchali. Także Czesławowi może do głowy to zupełnie nie wpadło. I tutaj dobroć ludzka, wiesz, to, to jest coś najwyższego w życiu, co można spotkać – dobroć ludzka – a może by wobec tego pan nagrywał? Bo on sobie zdawał sprawę na co my, że my wrócimy na tą nędzę. A poza tym – ponieważ on mówił po rosyjsku, bo wiesz, tam ten Gregory Grossman urodził się na pograniczu Chin gdzieś itd.

Trznadel: Tak.

Watowa: Wiesz, tam w ogóle ja takich prawdziwych tych Amerykanów… Wiesz, tam jak się ma wstecz dwa pokolenia, (((rozbawiona))) no to w ogóle to jest taka już arystokracja, że sobie nie wyobrażasz.

Trznadel: ((śmiech))

[dzwonek telefonu]

Watowa: Moje dziecko ma już czterdzieści dziewięć lat, a dla mnie będzie zawsze dzieckiem. O czym ja mówiłam kochanie?

Trznadel: O tym, że ci Amerykanie to są bardzo świeżej daty wszyscy.

Watowa: No tak, więc Gregory Grossman – i dobry człowiek, i dzięki temu to się wszystko zrobiło. Ale wiesz, „Kultura", którą on nazywał zresztą Antykulturą ((śmiech)) – znaczy się bibliotekę nazwał, bo biblioteka była… (((rozbawiona))) Zresztą tak jak moja biblioteka to jest antykultura, bo jest wszystko pomieszane i zresztą, co jest lepszego to Andrzej mi zabiera. Rozumiesz, więc – nie, nie… o współpracy z „Kulturą" nie było mowy.

Trznadel: Tak, dlatego, że na to osobny zupełnie rozdział.

Watowa: Tak.

Trznadel: Ale właściwie można powiedzieć – przy wszystkich awantażach – straszny jest los każdego pisarza emigracyjnego.

Watowa: Straszny jest los każdego emigranta. Straszny.

456:3349480193

Trznadel: Och, co więcej – nie tylko pisarza emigracyjnego, ale i emigranta, a pisarz to może odczuwać jeszcze w dwójnasób boleśnie.
Watowa: Tak. Słuchaj, ja ci powiem, ja przez tych sześć tygodni w Polsce byłam żywym człowiekiem, ja byłam sobą. Ja odnalazłam swoje korzenie, środowisko, ludzi. Wspólne jakieś, wiesz, zaangażowanie w coś, w jakąś sprawę itd. ja naprawdę miałam uczucie, że ja wracam na pustynię.
Trznadel: Tu?
Watowa: Tak! Ale tutaj, widzisz, zwracam się do ciebie, że ja nie mam okazji – znaczy się, że jeszcze powiedzmy można mieć jakąś misję. Można! Można mieć taką sytuację misyjną.
Trznadel: No, więc myślę, że Miłosz taką sytuację mniej więcej miał.
Watowa: Więc o to chodzi. I ja mam wrażenie – to zawsze będzie można usunąć – że ty byś mógł mieć tutaj właśnie misję.
Trznadel: No, to jest do rozważenia.
Watowa: Tak, to jest do rozważenia. Ja ci niczego już teraz nie narzucam, ani cię nie namawiam, ale miałam taką rozmowę z Anią, wiesz.
Trznadel: Czy my to będziemy nagrywać?
Watowa: Nie, nie.
Trznadel: Czy raczej jak skończymy po?
Watowa: Dobrze, dobrze. To zadawaj mi pytania. Słuchaj, jeżeli...
Trznadel: Jeszcze możemy chwilę, tak, to wrócimy do tamtych spraw – nie dlatego, że to się nie może znaleźć na taśmie, tylko po prostu to jest inny temat.
Watowa: Nie, nie, nie.
Trznadel: Więc, wiesz, ty tutaj przeskoczyłaś, ale może w tej chwili jesteś na takiej dobrej, dobrej fali. To byłby ten temat. I to jest stosunkowo bliższy czasowo, że w końcu to musiał być niesłychanie ((z emfazą)) dramatyczny moment i dramatyczny wybór. No, wybór tego, że wyście się zdecydowali, że gdzieś tam powiedzą: Wat wybrał wolność, prawda?
Watowa: Wiesz, nie to, że Wat wybrał wolność, dlatego że…
Trznadel: To ja mówię w cudzysłowie.
Watowa: Nie, nie, bo ja chcę tu nawiązać do tego, że on już nie mógł być, nie mógł wytrzymać w Polsce.
Trznadel: Rozumiem.

457:6636732128

Watowa: Nie mógł! To było dla niego wszystko za tragiczne, za ciężkie, za bolesne.
Trznadel: W którym roku – przepraszam cię – przypomnij.
Watowa: Natomiast – bo zapomnę! – Natomiast bardzo boleśnie, tak jak on mówił, że bardzo było trudno przeciąć samemu tę pępowinę. Że to w gruncie rzeczy było dla niego bardzo bolesne. I wiesz, ten sprzeciw – jak ten zaproponował mu, Giedroyc, żeby on tutaj z bombą taką wyskoczył, że on, prawda, przeciwko Polsce itd. On wtedy mu powiedział: „Panie Jerzy, ja nie przestałem być komunistą przyjechawszy do „Kultury". Ja już dawno nie jestem komunistą, i dlatego żadnych takich oświadczeń" – wiesz – w rodzaju Tyrmandów tam takich różnych ludzi, co to zaczynają błotem tą Polskę jeszcze obrzucać, to on mówi: – „Tego niech się pan tego ode mnie nie spodziewa". I od tej pory już było niedobrze. Bo rozumiesz – jednak Giedroyciowy bardzo zależało, żeby ten redaktor, ten który siedział, „Miesięcznika", ten który siedział w więzieniu, ten, który był komunistą, żeby on tutaj napluł ten komunizm i na tę Polskę komunistyczną, a tego Aleksander zrobić nie chciał. Oczywiście jak Sandauer łącznie z tym nieszczęsnym Przybosiem, wiesz, wiadrami pomyj go tam zaczęli – i jeszcze w dodatku powiedzieli, że on symuluje chorobę, wiesz, i że za pieniądze górnika, robotnika to my jeździmy sobie tutaj po Riwierze itd. No, to wtedy napisał Aleksander, wiesz, „jak upiór przed wami staje" czy coś takiego, wiesz, znasz to? Olbrzymia taka, cała stronica w „Wiadomościach". Ty tego nie znasz?
Trznadel: To tego nie pamiętam.
Watowa: To ja muszę ci kiedyś dać do przeczytania. I tam im wywala prawdę. Ale już zwracając się do Polaków w odpowiedzi na to szkalowanie, na to rzeczywiście wylewanie pomyj na niego. I ja zresztą muszę ci powiedzieć, że ja nie chciałam, żeby on napisał.
Trznadel: Mhm.
Watowa: I on mówił z Kotem. Mówi: „Ola się upiera, Ola nie chce, żebym ja pisał, bo uważa, że na takie, na takie, wiesz, brudy to właściwie nie należy dawać odpowiedzi". Ale potem sobie pomyślałam, a może zresztą jak to przeczytasz, to zobaczysz – może i dobrze. Pewne rzeczy zostały powiedziane.
Trznadel: Tak. To miało chyba mały obieg w Polsce, nie za duży, bo ja sobie nie przypominam, żeby to było.

458:2677820289

Watowa: Tak, dlatego że to było w roku, wiesz, to było w roku napisane w roku… w każdym bądź razie to było napisane chyba przed wyjazdem do Berkley, więc powiedzmy jakiś rok sześćdziesiąty drugi czy… Nie, nie! To musiało być już po wybraniu wolności.
Trznadel: Olu, a kiedy i jak stało się dla was jasne – po pierwsze – że do Polski nie wrócicie, i – po drugie – że tak powiem – w jaki sposób ta rzecz się zrobiła oficjalną.
Watowa: Oficjalną zrobiła się – to ci mówiłam – kto wie – nie wiem czy myśmy o tym mówili, czy to jest nagrane, że był Kongres Sowietologów w Oksfordzie, na który Aleksander został zaproszony. Tam on wygłosił referat pod tytułem – znaczy się *O semantyce języka sowieckiego*. Przyjechali z Berkeley tacy wielcy profesorowie, wiesz, jak Struve i tak dalej – on tam bardzo się im spodobał! Bardzo się spodobał takiemu wielkiemu, wielkiemu profesorowi od profesorów, taki… Isaiah Berlin. Znane takie nazwisko, wiesz, w – każdym bądź razie w tym świecie. Jakiś wielki, wielki od Tołstoja między innymi. No, i proszę ciebie, tam to trwało tydzień. Na zakończenie już tak od siebie, wiesz, w jakimś takim rzeczywiście w jakimś stanie dużego podniecenia zaczął mówić, czym jest wolność. Dlatego, że ci wszyscy ludzie tam nie wiedzą, czym jest wolność.
Trznadel: Tak.
Watowa: Rozumiesz? Bo ty nie wiesz, że ty oddychasz. Dopiero jak cię przydusze, to ty zobaczysz, że co to znaczy nie móc oddychać. No, i on to powiedział – i to się zresztą ogromnie spodobało, i ten Isaiah go do siebie zaprosił. I zresztą powiedział mu: „wie pan co, po całym tygodniu to pana przemówienie o tym, czym jest wolność mi zostanie na zawsze w pamięci. I zresztą o tej semantyce on to sobie wziął do domu i studiował. Tak, że, ale tu znowu się zakałapućkałam.
Trznadel: Tak. Bo ja mówię, kiedy się stało dla was jasne i w jaki sposób nastąpiło to zerwanie oficjalne, bo coś się robi, prawda?
Watowa: Aha! W jaki sposób? No, więc Struve. Struve zapytał żegnając Aleksandra: „Czy by pan nie chciał przyjechać do nas, do Berkley. Bo ja panu mogę to załatwić" – on był w ogóle jednym z tych, którzy te *Slavic Center* stworzyli.
Trznadel: Tak.
Watowa: Wybitny Struve. No, Aleksander odpowiedział: „No, oczywiście, z przyjemnością" – szczególnie, że jeszcze na dodatek myślę, że – a kto wie – „może ten klimat kalifornijski, może tam będę mniej cierpiał".

459:2272772577

Trznadel: Tak.

Watowa: No, i wróciliśmy z Londynu. Jeszcze tam było – wiesz – taki wieczór w tym, w ognisku, jeszcze żył Hemar, jeszcze żył Grydzewski. Zrobili mu wieczór poetycki, jego poezji. No, i wróciliśmy do – widzieliśmy tam Themersonów, Deutscher bardzo chciał Aleksandra zobaczyć, ale Aleksander nie chciał się już z Deutscherem spotkać. I – bo on ciągle tam jeszcze wypisywał o tym komunizmie, on był trockistą, rozumiesz. Więc on nie chciał już tego. I wróciliśmy tutaj – nagle przychodzi zaproszenie. No, i wtedy…

Trznadel: Z ambasady?

Watowa: Przychodzi z Ameryki! Z Ameryki, że zapraszają go na rok – prawda – i tak dalej, jako tam, tytuł jakiś….

Trznadel: Rozumiem.

Watowa: No, więc ja spokojnie, od razu do ambasady, dlatego, że myśmy mieli na Europę paszport, ale chodziło o rozszerzenie. No, i zaczęło się zwlekanie, bo to Warszawa decyduje. No to, kiedy, panie ambasadorze? No, to kiedy – tam ten – *attaché culturel*. No, to kiedy panie konsulu? I tak ja, Aleksander się prawie nie ruszał, więc ja to wszystko załatwiałam. Tymczasem w konsulacie po pewnym czasie już zbliża się – wiesz, to trwało miesiące – zbliża się, bo mieliśmy jechać dopiero na ten rok sześćdziesiąty czwarty, pod koniec roku sześćdziesiątym trzeciego. Zbliża się – mówi: „proszę panią, pani mi musi przynieść paszporty, bo to trzeba załatwiać, bo już przyszły pieniądze na podróż". Oni nam przesłali, wiesz, *aller–retour*[469]. Po 1000 dolarów kosztowało aller–retour, dwa tysiące dolarów – znaczy się na kupienie biletów itd. No, więc w końcu tutaj mówią, że muszą zadzwonić, tu jeszcze nie ma odpowiedzi, tu Warszawa nie zadecydowała. Więc poszłam do konsula, taka panieneczka mówi: „Państwo tak wrócą z tej Kalifornii jak „pi do oka"". Ja nie wiedziałam, co to jest „pi do oka". No, więc ja mówię: „Proszę panią, czy pi czy nie pi, ja nie wiem. Ja wiem co to jest pipi. Ale ja muszę widzieć konsula. I proszę mnie absolutnie dać konsula, bo ja dzisiaj muszę konsula zobaczyć".

Trznadel: Ośmieliłaś się to powiedzieć?

Watowa: Tak. „Jak „pi do oka". Tak wrócicie do Polski". No, i weszłam…

Trznadel: Dokąd? Do Polski?

Watowa: Ona powiedziała, że my tak wrócimy do Polski, jak „pi do oka". Potem mi to wytłumaczysz. Tak, bo ja do tej pory nie rozumiem tego. No, i weszłam do konsula, i

[469] Fr. *aller–retour* - bilet w obie strony.

460:1100154274

powiedziałam: „Proszę pana, ja teraz z panem będę mówiła po polsku: – albo we wte, albo we wte. Dlatego, że ((z emfazą)) tam ode mnie żądają paszportów, a my do Kalifornii pojedziemy. Dlaczego mamy nie pojechać? Dlaczego cały świat się rusza i wszędzie mogą jechać, a my nie możemy? Co to człowiek nie jest własnością państwa! Mój mąż ma ochotę pojechać. I jest zupełnie zrozumiałe. Ma zaproszenie, może tam rozmawiać – bo ja wiem, może nie będzie wykładał, może będzie" – nie wiem, jakiś użyłam tytułów tam, bo już miałam, widziałam na jakiej zasadzie on jest zaproszony. [sygnał syreny] Zobaczy świat, będzie pisał itd. „No to błagam panią, niech pani poczeka dwadzieścia cztery godziny". Ja mówię: „jakie dwadzieścia cztery godziny?". On mi powiedział, że – „ja panu daję, proszę mi wybaczyć, ale już kładę pieniądze, niech pan dzwoni do Polski – dlatego, że tylko czeka się na ten". „No, to pani do mnie zadzwoni jutro, przed pójściem do konsulatu, ja obiecuję pani, że ja będę dzwonił do tego…". No, i zadzwoniłam rano i powiedział: „jeszcze nie ma decyzji". Więc wtedy poszłam od razu z Aleksandrem, co się idzie na prefekturę, tam z tobą robią taki wywiad: dlaczego, prawda? No, i potem nas przeprowadzili – bo jeszcze wtedy to była, był bliżej było to, wiesz, to *carte du réfugié*[470]. Bo potem oni się przenieśli na Nelly. No, i tam żeśmy poszli, i proszę ciebie, wzięliśmy te *carte du réfugié.* Jeszcze ten pan był bardzo nieprzyjemny tam, on mówi: „to pan już tutaj prawie rok siedzi, dopiero pan się teraz zdecydował?". No, Aleksander powiedział: „proszę pana, chyba mam prawo decydować wtedy, kiedy ja chcę. Tutaj jestem, tutaj podobno w kraju wolności". Tak, wiesz, ironicznie, tak ironicznie Polak, bo tamten Wat też coś mu nie bardzo widocznie, wiesz, mówił za dobrze. Więc, proszę posiedzieć. Wyszliśmy z tymi tego i od razu wtedy dostajemy *fil des voyages*[471], który mam tutaj przy sobie.

Trznadel: Mieliście prawo.

Watowa: Gdzie napisano oczywiście, że nie mam prawda jechać do Polski. I poszłam do konsulatu i sprawa była załatwiona. Do konsulatu tego amerykańskiego, tak.

Trznadel: Rozumiem, ale wasza decyzja, że jednak nie wrócicie do Polski była wcześniejsza chyba, bo to nie jest dwadzieścia cztery godziny.

Watowa: Nie, nie. To znaczy – myśmy byli absolutnie zdecydowani. Znaczy się… nie chcieliśmy tych drastycznych…, bo to tak ciągle się myśli o rodzinie: a to są dwie siostry, a to Broniszówna, a to to, a to tamto, a to owo.

[470] Fr. *carte du réfugié* – status uchodźcy.
[471] Fr. *Fil Des Voyages – document podróży.*

461:5871791474

Trznadel: A poza tym można nie wrócić, ale nie stracić paszportu.
Watowa: Tak. A można nie wrócić, a pobyć tutaj. A może, a może kiedyś zechcemy wrócić, ty rozumiesz?
Trznadel: Tak.
Watowa: No, ale oni nas musieli. Ja przy okazji, wiesz, z rozkoszą to wszystko powiedziałam w polskim konsulacie: „To nie my jesteśmy wrogowie. Ci wrogowie to tam siedzą, o tu, w konsulacie, polskim. To siedzą tam w Warszawie". Bo zrobiłam sobie tę przyjemność – my wcale wolności nie chcieli wybierać, (((rozbawiona))) wyście nas zmusili do wybrania wolności. Bo niby dlaczego nie miał pojechać do Berkley? „No, niech mi pan wytłumaczy, panie konsulu, dlaczego mój mąż nie miał pojechać?". Oczywiście, gębę mu zamknęłam. No, co mógł powiedzieć? „A wie pani, to był taki okres błędów, wie pani".
Trznadel: Kiedy to powiedziałaś?
Watowa: Ja to mówiłam, mogę ci dokładnie powiedzieć, kiedy ja to powiedziałam, wiesz, to ja ci powiem, wtedy, kiedy – czekaj – to było jakieś, w każdym bądź razie – jeżeli nie rok temu…
Trznadel: Kiedy starałaś się o ten wyjazd do Polski?
Watowa: Prawdopodobnie. A to nie, to było przy jakiejś takiej też okazji, pamiętam, poszłam z Andrzejem.
Trznadel: Tak.
Watowa: Jakieś zaproszenie. Ja już nie pamiętam. Ale powiedziałam to dwa razy. Bo powiedziałam jakieś, jeżeli to powiedziałam, to powiedziałam to dwa lata temu, to powiedziałam to teraz przy tym moim paszporcie, kiedy chciałam pojechać do Polski.
Trznadel: To i tak wtedy…
Watowa: Niech sobie tam nakręcą tam, bo wiem, że tam stoi maszynka ta. Niech sobie to nakręcą. A co mi zrobią?
Trznadel: Mimo wszystko coś się zmieniło. A muszę ci powiedzieć, że i tak…
Watowa: A z takim Barszczem rozmawiałam. On się nazywa Barszcz. Bo tam każdy jest konsul. Wiesz: taki konsul, taki konsul, główny konsul. Więc ja już tam *per* pan i panie konsulu, ale taki Barszcz, a taka gęba, wiesz, pełna, najedzeni, a to przyszedł po obiedzie, opity winem itd. No, więc sobie myślę, powiem, co mi tam na sercu leży.
Trznadel: To i tak w tych sześćdziesiątych latach on rozmawiał z wami uprzejmie, dlatego, że mnie się zdarzyło gdzieś w roku – nie wiem, który to był - sześćdziesiąty siódmy, ósmy,

462:6513058216

dziewiąty może – być w konsulacie (już nie wiem po co). To ja widziałem, jak oni postępowali z ludźmi.

Watowa: No strasznie!

Trznadel: Tam się biło pięścią w stół!

Watowa: Ale słuchaj, oni byli tak ordynarni, oni cię traktowali jak psa. Oni ci łaskę robili, w ogóle, że z tobą rozmawiali.

Trznadel: Tak.

Watowa: I kiedy poszłam do konsulatu, to mówię ci, tylko w mordę bić. A ta jeszcze do mnie: – „a – mówi – co tam pani, tam wy, kiedy do Polski wrócicie, jak pi do oka". Taka dziwka, wiesz.

Trznadel: No tak.

Watowa: No, i pod tym wrażeniem tego pi do oka, i tego wszystkiego, to jak weszłam to mówię: „będę z panem już po polsku mówić. Albo we wte albo we wte".

Trznadel: Tak jest.

Watowa: I już. Niech się pan decyduje. I pieniądze na stół, na telefon. „No nie, nie, ja zadzwonię, ja zadzwonię". Błagał mnie, żebym ja jeszcze poczekała. Ja mówię: „panie, my nie chcemy, my nie chcemy wybierać wolności przecież".

Trznadel: Ale z tego też wynika, że w jakimś sensie te ostatnie lata to było też, to też nie były dobre...

Watowa: Teraz już nie nagrywa.

Trznadel: Nagrywa.

Watowa: Nagrywa, tak?

Trznadel: To też nie były dobre lata: bo z jednej strony była, było poczucie niewracania do Polski, gdzie atmosfera stała się tak duszna, że się było można udusić.

Watowa: No właśnie.

Trznadel:: Z drugiej strony – tutaj nie było żadnego środowiska. To środowisko „Kultury" to byłoby też środowisko – no, w jakimś sensie, no kierujące, prawda? Wybierające coś, co im, dla ich polityki, prawda, odpowiadało. Prawda?

Watowa: Tak.

Trznadel: Prawda? A trzeba zachować niezależność. A dla tej niezależności nie było tutaj środowiska, w którym.

Watowa: Nie było! Kochanie, przecież…

463:1963642573

Trznadel: To co mówi Miłosz przecież, to samo.
Watowa: Tak, ale przecież zrozum, że Jan… Józio Czapski. Jak oni pomógł przy założeniu „Kultury". Słuchaj, tam nie dopuszczano Józia – tylko artykulik. Marynia Czapska, która teraz jest już stara i bardzo chora, jak Olek powiedział jej: „Słuchaj, Maryniu, przecież ta biblioteka, to nie jest kultura, to jest antykultura". To ona powiedziała: „Ile razy ja im proponowałam, że ja im zrobię bibliotekę". – „Nie!". Bo oni nikogo nie chcą dopuścić. Ich jest ta czwórka: to znaczy – brat Giedroycia się nie liczy, bo on tam wiesz, do tego… Tego biednego Zygmunta traktowali okropnie, aż przykro było, wiesz… Tylko Zosia i ten Giedroyć, i Zosia, rozumiesz? I nikogo, broń boże, nikogo. Tylko tak, oczywiście, przyjeżdżali jak do pana księcia, wyrzucali te wszystkie gorzkie żale tam, ci Polacy, i tego, to się wykorzystywało potem. Ale w ogóle, o jakimś działaniu, o jakimś poczuciu, że tutaj nareszcie, wiesz, coś możesz. I w końcu on wiedział, że ten Aleksander wiesz jednak, jednak on dużo wiedział. On tam mógł dużo rzeczy nawet wprowadzić. Myślisz, że mu zaproponował? Nie! On jemu, no, zamówił u niego, prawda, że tego, że on właśnie już teraz przejrzał, no. To to wszystko bardzo, bardzo tragiczne, bardzo smutne i wiesz, z ciężko chorym człowiekiem. Z tym jednorocznym stypendium Forda, Andrzej trochę, wiesz, zawsze przychodzi do mamy tam, i czuję, że on jest głodny. Ja tutaj, w hoteliku mieszkamy, puszki, rozumiesz? Nawet szklanki herbaty nie można sobie zrobić. Więc za te 100 tys. dawnych, wiesz, franków, to jeszcze chciałam tego Andrzeja podkarmić. No, i, a najgorsze, że Aleksander jest tak ciężko chory, i że tak cierpi. Więc wiesz, zdecydować się na taką rzecz, to jest bardzo trudno, ale ja wiedziałam, że my nie wrócimy. Bo ja widziałam, że tam Aleksander się dusi, on już nie mógł w tej Polsce. To było niemożliwe! Ale w końcu powiem ci, że przez chwilę nie żałuję, przez chwilę nie żałuję, bo jak sobie pomyślę, że nie byłoby *Mojego wieku*, nie byłoby niesłychanej ilości wierszy, i w ogóle wiesz, on żył te ostatnie lata, że on żył w wolnym świecie, wiesz. Żył jak wolny człowiek i umarł jak wolny człowiek.
Trznadel: Także nie miał poczucia takiego nacisku na psychikę.
Watowa: Dlatego, że w końcu umarł, kiedy chciał, no, kiedy już nie mógł żyć. I postanowił nie żyć... Ty wiesz przecież, że Olek popełnił samobójstwo.
Trznadel: Tak, wiem.
Watowa: Tak, więc – wiesz – te wybory są szalenie trudne. To się tak wydaje, że, że, że… wszystko jest niesłychanie skomplikowane. I w końcu ta… ja ci zresztą już mówiłam. Może

464:2412451354

nawet nagraliśmy o Hłasko. Że przecież jego korzenie tam zostały. On nie mógł tutaj tworzyć. Hłasko nie mógł tutaj tworzyć.

Trznadel: Tak.

Watowa: Cała, cała pożywka dla jego, dla jego duszy, dla jego umysłu, dla jego wszystkiego. To było tam – to była Polska.

Trznadel: Jest tylko taki jeden, hę… może jest parę przykładów jeszcze. Zawsze można by się jeszcze powołać na Conrada – Korzeniowskiego, prawda?

Watowa: Tak.

Trznadel: Ale właściwie on nigdy nie tworzył w Polsce. On już zaczął tworzyć tam.

Watowa: On tworzyć zaczął tam.

Trznadel: No, i był, to był pewien wyjątek. Nie potwierdza reguły. To strasznie skomplikowane jest.

Watowa: Strasznie. No, a potem, wiesz, jeśli chodzi o ta naszą starą emigrację, i wiesz, Mickiewicz itd. Ja mam wrażenie, że – no nie wiem – że jakoś to wszystko było inne, wiesz?

Trznadel: Też osobny, złożony bardzo problem.

Watowa: Bardzo złożony.

Trznadel: Bardzo złożony.

Watowa: Tak.

Trznadel: Bardzo. To co, może Olu, bo tak czuję, że jakoś tak dotarliśmy do jakiegoś punktu, prawda?

Watowa: Tak. Dotarliśmy. Do jakiegoś punktu, tak.

Trznadel: I teraz tu przerwiemy na chwilę. Koniec nagrania szósty marca osiemdziesiąt jeden. Koniec nagrania. O. [przerwane nagrania]

Trznadel: To jedynka, tak?

Watowa: Tak, na jedynce.

Trznadel: A tu jeszcze nie sprawdziłem. No tu. Dwudziesty siódmy marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt jeden – początek nagrania.

Watowa: Tak. Więc, nie zważając na to, o czym mówiłam przed tym, prawda? Bo potem to się wszystko zaaranżuje, wspomniałeś o naszych wyjazdach. Więc mówię – może ci opowiem właśnie w związku z tą chorobą, o której już mówiłam, Aleksandra, o ataku, o roli Putramenta itd. itd. Wysłano nas tutaj już przez Ministerstwo Zdrowia wyjechaliśmy do Sztokholmu, do

465:9768287942

takiego bardzo wielkiego neurologa – nie – neurochirurga. Wielkiego takiego – Olivecrone. Tam zresztą mówiłam ci o Hartwigu, który przyszedł.
Trznadel: Tak.
Watowa: I który w ten sposób się wyraził [przerwane nagranie] ciężkie bóle. Ale tutaj bym może powiedziała o Polakach w Sztokholmie. Więc przede wszystkim, wiesz, ja się zachowałam w Sztokholmie trochę jak Majakowski *toutes proportions gardées*[472] w tym, w Warszawie. To znaczy, że z robiło to na mnie ogromne wrażenie. To znaczy, że zrobiło to na mnie ogromne wrażenie, wiesz, to miasto cudowne. Nazywają je Wenecją północy. Cudowne zupełnie, wiesz, sklepy, wspaniałe wystawy. Zresztą jak Aleksander wyszedł ze szpitala i kiedyś po jego powtórnym takim szpitalu, gdzie wracał troszeczkę do sił, po tych wszystkich badaniach. Staliśmy przed taką wystawą, patrzyliśmy na rzeczy i mówiliśmy – oczywiście – po polsku. Stał jakiś mężczyzna, który nagle się uśmiechnął i powiedział: „A, to państwo Polacy". I zaczęła się rozmowa. I on mówi: „tak, tu wszystkiego jest ponad, ponad. Dobrobyt szalony, bogactwo ogromne, zabezpieczenie na całe życie" itd. „Ale żeby tak chociaż raz komuś ktoś po mordzie dał. Żeby ktoś powiedział: cholera. Tego się nie usłyszy!" ((śmiech)). Więc to jest właśnie ta nuda, o której zresztą masę ludzi wspomina, o tej nudzie, tego życia, rozumiesz, tal uporządkowanego, uregulowanego. Właściwie okazuje się, że walka o byt nam szalenie wypełnia życie.
Trznadel: Tak, zresztą, jeśli chodzi o Szwecję, to potem w następnych latach, o czym donosiła prasa, tam się zaczęły jakieś elementy buntu młodzieży, która popełniała rozmaite drobne przestępstwa, prawda?
Watowa: Tak.
Trznadel: Podpalając samochody itd. jako pewien protest przeciw standaryzacji życia i dobrobytowi. Podobno tak – przynajmniej tak komentowano.
Watowa: Tak. No nie wiem, w każdym bądź razie ja odstałam taki list – po prostu, żeby przekazać młodej kobiecie, stosunkowo młodej kobiecie, która była lekarzem, ginekologiem. I którą po prostu wzięli z obozu, wiesz, brali do Ameryki, brali do Szwecji, ona wylądowała w Szwecji. Ponieważ całą rodzinę straciła w Warszawie, więc już nie chciała wracać. To była właściwie nie warszawianka, ale z Krakowa osoba, która chodziła po górach w Zakopanem itd. Ja do niej poszłam, żeby jej wręczyć list i od niej bardzo wielu rzeczy ciekawych się

[472] Fr. *toutes proportions gardées* – z zachowaniem proporcji.

466:2842012620

dowiedziałam. Właśnie o tej ((z emfazą)) szalonej demokracji. Mianowicie, jak kuzynka, która mieszka razem z królem, tam w jego królewskim pałacu, przyszła na poradę ginekologiczną i okazało się, że trzeba interweniować, że jest potrzebna operacja. I ona jej powiedziała, że oczywiście pani, panią się położy w oddzielnym, pani zechce mieć oddzielny pokój itd. żeby ustalić. I ona z oburzaniem powiedziała wtedy: „A cóż to, czy nasze…". Aha! – Pani prawdopodobnie zechce to robić w klinice prywatnej. I ona na to z oburzeniem powiedziała na to: „Jak to? Więc nasze szpitale są na tak złym poziomie, że ja mam szukać?". I leżała, wiesz, w pokoju podwójnym. Zażądała, że chce być tak potraktowana, jak każdy obywatel szwedzki. I na jednym łóżku leżała robotnica, a na drugim leżała najbliższa kuzynka króla. [sygnał ambulansu] Rozumiesz? Jakie wrażenie to na mnie robiło po Polsce? I po Kazachstanie?
Trznadel: Tak.
Watowa: W Kazachstanie, kiedy rozumiesz, dyrektor w Ili, w Ili, wiesz, w tym błocie, w tym zaschniętym błocie albo błocie, którym się taplało. Jakiś dyrektor, który, tyle, że prawdopodobnie, że umiał pisać i to też nie wiadomo, czy z błędami. Żebyś ty wiedział, jak się zachowywali ci robotnicy nieszczęśni, ci ludzie, bo on był, on był, rozumiesz, panem życia i śmierci. Wystarczyło jednego jego słowa, żeby ten człowiek poszedł na całe życie do lagru. Zresztą nie wiem, czy ci opowiedziałam, jak tam okradli taki składzik, który Olek był, wiesz, taki jakiś *zawieduszczy*, czy coś takiego. Bo on miał różne tam prace i w piekarni, i itd.
Trznadel: Nie, nie było.
Watowa: On oczywiście, ja się tym zajmowałam, bo on był rzeczywiście bardzo słaby i bardzo chory. No, i któregoś rana, ja tam idę do tego składziku, żeby tam wziąć coś do takiego, nie wiem, do rozdawania… i patrzę, że te drzwi – zresztą drzwi z desek, wiesz, jakichś tego – są wywalone. I ten składzik jest ograbiony. Więc ja poleciałam do tego dyrektora, z przerażeniem i powiedziałam mu to, a on tak patrzał na mnie podejrzliwie. A potem mówię: „proszę pana, ale ja zauważyłam, że tam w butelce, dużej takiej butli, gdzie była oliwa, to jeszcze na dnie jest trochę oliwy, mówię: „trzeba już iść i ratować te oliwę. Dlatego, że są otwarte to wywalone drzwi, więc do końca tam wszystko rozkradną". Nagle widziałam tam jakiś… zmiana twarzy, zdumienie zupełnie szalone! Wyobraź sobie, że ten człowiek – bo oczywiście od razu się posłało tam ludzi, od razu oni to wszystko spisali, co ukradli itd. Wzięli te oliwę. Ja się dowiaduję od jednego takiego Rosjanina, z którym byłam blisko, znaczy się, który tam wydawał się nam, że on zwołał zebranie. I powiedział: „Spójrzcie, mówi, obcy człowiek, przecież ona mogła wziąć tę oliwę!".

467:5141561286

26_Fon.61.712 Strona B

Watowa: „Dlaczego ona? Bo i tak okradli, więc przecież ona mogła te oliwę wziąć dla siebie". Bo wiadomo, że oni tu głodują. Oni. Nie tylko oni. Oni też głodowali. A tymczasem ona mi się każe spieszyć i ratować tę oliwę. I on mnie podaje za przykład tej zupełnie nieprawdopodobnej uczciwości, rozumiesz? Znaczy się, że to jest – słuchaj – specjalne zebranie.

Trznadel: Tak.

Watowa: Po to, żeby powiedzieć, czym jest człowiek uczciwy, widzisz. I tutaj ja, ja wystąpiłam jako ta – heroina się mówi?

Trznadel: Tak.

Watowa: Heroina. Tak. Więc tam była taka właśnie przygoda, ale ja tu rozpoczęłam od Olivecrone, do tego. Widzisz, jakie ja robię… Co za taniec!

Trznadel: Tu oliwa i tam oliwa. ((śmiech))

Watowa: ((śmiech)) Tak.

Trznadel: Więc…

Watowa: Aha! Bo ta księżniczka…, ta księżniczka, która leżała z robotnicą na jednym łóżku, ona na drugim. Bardzo zadowolona. Operacja się udała itd. i wtedy ona mi mówiła o tym ((z emfazą)) całkowitym zabezpieczenie człowieka. Od urodzenia do śmierci. Rozumiesz? Ta młodzież, póki nie zarabia, dostaje kieszonkowe. To już jest tak przyjęte. Oni właściwie nie bardzo już wiedzą na co, bo dostają tak wszystko od ojców. Wiedza, że nie muszą… zaczynają pracować, wiedzą, że absolutnie nie musza oszczędzać, dlatego, że pensja, którą ty dostajesz, już taka pensja twoja największa, kiedy – wiesz – pracujesz, i jak masz iść na emeryturę – to ta pensja… Ty dostajesz ostatnią swoją najwyższą pensję do końca życia. Plus jeszcze jakieś dodatki, ponieważ jesteś stary, ponieważ ci potrzeba może pomocy, ponieważ może jesteś chory, jesteś inwalidą itd.

Trznadel: Rozumiem.

Watowa: I rozumiesz, tam młodzież nie ma właściwie żadnego celu, żeby się zabezpieczyć, żeby myśleć o przyszłości, żeby zaoszczędzić pieniądze. Bo po co?

Trznadel: Rozumiem.

Watowa: I rozumiesz, to wydawałoby się, że właściwie żyć nie umierać. No, korzystać z życia, podróżować, uczyć się, no, bo ja wiem, czytać. No ja wiem – jest tyle rzeczy do zrobienia. I to ich wprowadza w okropne nastroje. Ta – właściwie – co robić z życiem? To tak, jak w Anglii

468:6586396691

mieli wprowadzić – znowu robię skok – mieli wprowadzić, zdaje się, cztery dni i był cały problem, czym zapełnić te trzy dni bezrobocia? Co oni będą robili przez trzy dni? I ci, którzy mieli te trzy dni, wiesz, mieli z nich korzystać, też właściwie byli w jakiejś panice. Zaczęto wymyślać jakieś kluby, jakieś gry, jakieś historie. I okazuje się, że – rozumiesz – może to przysłowie nie jest takie głupie: [sygnał ambulansu] że ci ludzie w Sowieckim Sojuzie to są tak szczęśliwi, bo jak tam mówią gdzieś, że się pojawiły śledzie i wszyscy z zachwytem, ze szczęściem pędzą, rozumiesz, do tego punktu! Albo jak mi opowiadała Broniszówna, jak była z Teatrem Polskim w Moskwie, że jakaś kobiecina stanęła na rogu z żółtymi jabłkami, że tutaj to świniom się u nas dawało, wiesz, przed wojną, i nagle jak: „jabłoczka, jabłoczka!" Tam na rogu. I tu ludzie lecą, i kupują te jabłoczka, i są szczęśliwi, i przychodzą do domu ze zdobyczami. Więc znaczy się, że wiesz, żeby się zastanowić nad tym, okazuje się, że ta walka, ciągła walka o byt jest ludziom potrzebna. To znaczy się, ludziom w jakimś olbrzymim procencie, którzy nie wiedzą, co ze swoim życiem robić.

Trznadel: Tak. Albo trzeba ich nauczyć twórczego wykorzystywania czasu.

Watowa: Ale jak ich nauczysz twórczego, jeżeli oni nie są twórczy.

Trznadel: No, być może ja uważam, że każdy człowiek ma szansę być twórczy, tylko że o tym może w pewnym sensie nie wie.

Watowa: Ale wiesz, ja myślę, że tego z dnia na dzień nie nauczysz.

Trznadel: Oczywiście, że tak.

Watowa: To muszą być jakieś długie doświadczenia. I wiesz, żeby jakieś może, może gdyby nauczać tego od dziecka, do tego momentu – wiesz, tak jak powinno się przyzwyczajać człowieka do końca, że to życie trwa w końcu nie tak długo i że człowiek się rodzi ku śmierci. Tak samo trzeba nauczyć człowieka, jak on będzie żył wtedy, kiedy on przestanie już chodzić do biura, albo przestanie być profesorem, albo przestanie być tego… Dlatego jak tak uważam, że takim wielkim szczęściem jest być takim twórczym człowiekiem, który pisze, który jest poetą. Nawet niech cierpi, nawet niech przeżywa, niech się męczy!

Trznadel: ((śmiech))

Watowa: Ale ta męka, to wszystko to jest, to jest cudowna rzecz, słuchaj!

Trznadel: To są zupełnie problemy niewymierne, w każdym razie taka niesłuchanie bardzo z kolei twarda walka o byt. I taka walka, gdzie właściwie – że tak powiem – od nowa się odkrywa rzeczy, które świat dawno odkrył, jak pokazują nam pewne ustroje, to z kolei powoduje ogromne

469:1931512159

marnotrawstwo energii ludzkiej. Przecież to pokazuje nam i Związek Radziecki, i Polska współczesna i. Są pewne granice, muszą być nowe cele, musi być jakaś walka o coś. Natomiast, jeżeli ta walka staje się walką bezsensowną.

Watowa: Bezsensowną.

Trznadel: No to już…

Watowa: Bo taka bezsensowna walka toczy się w Polsce. Tak. No dobrze, wracajmy do naszego Sztokholmu. Więc nuda. Na nudę tam się uskarżają. Muszę ci powiedzieć, że w tym czasie Polacy mieli szalone powodzenie! Kobiety szwedzkie nie są zadowolone ze swoich mężczyzn i Polacy uzyskali tam jakąś sławę wspaniałych mężczyzn. Także pamiętam, że w tym czasie przyjechał jeszcze jakiś lekarz z Polski, który zatrzymał się w jakimś pensjonaciku gdzieśmy mieszkali. Tam była taka Szwedka, już niezupełnie młoda, ale jeszcze kobieta. Zobaczyła tego, tego lekarza – zaraz się u mnie poinformowała, czy on przypadkiem nie ma zamiaru zostać, bo ona by mu pomogła. Tego samego dnia go zaprosiła do siebie na kolację, z czego on chętnie skorzystał, bo przyjechał z jakąś kiełbasą do Szwecji ((śmiech)), do Sztokholmu. No, i tam po prostu mu powiedziała, że jeżeli on chce zostać, to ona go, to ona bierze go. ((śmiech)) No, ale to są takie wiesz, tego. Więc…

Trznadel: Ale dla was jednak to musiał być szok po latach jednak i Kazachstanu, i potem tej biednej Polski powojennej. Zobaczyć kraj, który wojny nie zaznał, prawda?

Watowa: Słuchaj, to sobie trudno wyobrazić, co to było i dlatego wydaje mi się, że te przyjazdy ludzi sowieckich – między innymi właśnie – nie między innymi, ale przede wszystkim Majakowskiego, potem Pilniaka, wiesz?

Trznadel: Tak.

Watowa: O którym właśnie opowiada Aleksander, jak on te pomarańcze obiera, wiesz, tak niesłychanie precyzyjnie itd. tak, żeby nie uszkodzić. Ja tam zrozumiałam – dlatego, że… Wiesz, ja tu chodzę po Paryżu i w ogóle nie zatrzymuje się przed żadną wystawą z łachami.

Trznadel: Tak.

Watowa: Dlatego, że – rozumiesz – to jest rzecz, którą można – jak się ma pieniądze – to można to kupić. No, powiedzmy, miałabym, gdybym była młodą kobietą, chciałabym się pokazać, no to może byłoby mi przykro, że nie mam teraz pieniędzy, żeby sobie jakiś łach kupić. Więc rozumiesz, tam zrozumiałam psychologię tych ludzi i zrozumiałam ten głód rzeczy. Słuchaj, poszliśmy tam do, wiesz, stołówki dla studentów... Wiesz, to jest zupełnie mnie ogarnął szał.

470:4393291374

Dlatego, że tam stał, rozumiesz, długi stół, na którym były, wiesz, *zakuski*[473] szwedzkie. Wiesz, to oni słyną z tego! Więc tego była jakaś ((z emfazą)) zupełnie niezliczona ilość. To się nazywała ta stołówka dla studentów – Margerite. I tam mogłeś jeść, ile chciałeś. Mogłeś zjeść, wiesz, tych zakąsek 100, 200, bo to bez ograniczenia. A potem było jedno to, to mięso czy ryba – to, co wybierałeś, potem był deser i wspaniała kawa. I to było dla studentów. Więc wiesz, ja się chwyciłam na tym, że ja jem właściwie te – ponieważ właśnie można jeść tak dużo bez ograniczenia itd., to ja się tak aż zachłystywałam tym jedzeniem. I że w taki obfitości, że to jest wszystko takie wspaniałe. Więc to było dla studentów. Potem zwróciłam uwagę na wygląd robotników. Ale zdaje się, że o tym mówiłam, o tych wspaniałych, wiesz – jak się nazywają te… robotnicy noszą takie do pracy, wiesz…

Trznadel: Kombinezon.

Watowa: Kombinezony, rękawiczki! Jak się, jak wchodzą podczas przerwy do każdej jakiejś tam kawiarni czy restauracji… z jakąś taką godnością! [sygnał ambulansu] Nie było nic z tego, wiesz, wyglądu robotnika, co to wiesz, ogląda się, że tu siedzi, siedzą eleganccy panowie, wiesz. Tylko u siebie – wiesz. No, z tym królem na czele, rozumiesz? Jakaś pełnia demokracji. Jakieś poczucie godności. I tutaj muszę ci powiedzieć, że jakeśmy poprosili naszego konsula polskiego – zresztą ambasada tam była wtedy, wiesz, ten, ci ludzie, ten nasz ambasador i tak dalej to jeden wielki wstyd, wiesz. To coś okropnego. No, i konsul. I on nas… My powiedzieliśmy, że podobno tu jest taka dzielnica robotnicza i on jakoś ciągle się wymigiwał, ale w końcu Aleksander powiedział: „Wie pan, jeżeli" – bo on miał auto – mówi: „ja bym to chciał zobaczyć, bo nam mówiono, że to jest ta świetnie". No, i słuchaj, tutaj osiedle robotnicze w Sztokholmie, wspaniałe domy, te garaże – bo oni jeżdżą tymi… rowerami – na wózki dla dzieci. I to wszystko jest na dole. No, i potem weszliśmy do takiego mieszkania robotniczego. No, to słuchaj, wiesz, niby… fantastyczne zupełnie!

Trznadel: Tak, bo po wojnie ten kontrast był – mimo całego aktualnego stanu Polski – ten kontrast był o wiele większy, bo Polska zachowywała jeszcze wszystkie cechy właściwie tuż po wojnie przedwojenne, prawda.

Watowa: Tak.

Trznadel: Mimo że wiele się miało socjalnie zmienić.

[473] Ros. *zakuski* – zakąski.

471:9221508263

Watowa: Tak. I potem na powrotnej drodze przejeżdżamy, jest taka jakaś piękna zielona wyspa. Takie widzę jakieś takie drzewa. Jakieś, no nie wiem. Zupełnie tak jakby. Prawdopodobnie to były nie brzozy, nie wiem, ale takie płaczące… takie na wietrze. Bo tam jest dużo jednak tego wiatru. I taki budynek stoi. Duży. No, i my się pytamy, co to za budynek? Ale ten budynek był jeden na tej wyspie. A on mówi: „A to jest więzienie". I Aleksander powiedział: „Ach, jak ja bym tu chciał być". Jemu się przypomniało, wiesz, te więzienia, te moskiewskie te Łubianki, te Saratowy itd. I nagle, w tym cudownym pejzażu, wyspa otoczona wodą, okna bez krat, bez żadnych tych… i to jest więzienie w Szwecji. Tak, że wrażenie ogromne. Ale teraz wrócę – ponieważ ci wspomniałam o ambasadzie. Ponieważ ja mieszkałam u tej właśnie Szwedki, tak łasej na, na… na chłopców polskich, której zresztą nie udało się. Ten lekarz jednak wrócił, ((śmiech)) mimo perspektyw, wiesz, że będzie żył sobie spokojnie. Nagle – nie wiem… Ta pani ambasadorowa powiedziała: „No, proszę panią. Pani jest sama. Mąż pani jest w tej klinice Olivecrone, to my Panią weźmiemy do siebie". No, i ja, w całej swojej naiwności na to się zgodziłam. Jak poszłam do tej lekarki z adresem, byłam u Aleksandra, a potem, po wyjściu Aleksandra z kliniki poszłam do niej. I ona mnie zaprosiła na jakąś kolacyjkę, a potem powiedziała: „Zaproszę panią do kina". Tak chciała mnie rozerwać. Ja byłam w stanie dość, dość, wiesz, w końcu ciężkim. Przeżywałam to, nie wiedziałam co będzie, czy będzie operacja czy nie. I wróciłam, była godzina już po 11. Ona mnie odwiozła. I następnego dnia ten ambasador mówi: „A gdzie pani się tak zawieruszyła wczoraj?". A mówię: „wie pan, miałam taki list. Tutaj jest Polka, która pracuje w szpitalu, która nie wraca. Ona jest. Została w Szwecji z obozu i potem mnie zaprosiła na kolację, do kina" itd. Ja widzę, że on się zupełnie zmienia na twarzy, wiesz. I mówi: „Pani zapomina, gdzie pani mieszka". Ja mówię: „jak to zapominam? Mieszkam w ambasadzie polskiej". – „Pani się spotyka z wrogami Polski Ludowej. Z ludźmi, którzy zamiast wrócić i pracować dla Polski, zostali w Szwecji i kto wie jeszcze, jak będzie wykorzystane to, o czym pani z nią mówiła". Ja powiedziałam: „wie pan, panie ambasadorze, to raczej ona mi opowiadała, jak cudownie jest w Szwecji. Cóż ja miałam do powiedzenia. W ogóle nie przypuszczałam, gdybym wiedziała, że nie wolno mi w ogóle spotykać się z ludźmi, mieszkając w ambasadzie, to w ogóle bym do ambasady nie przyszła". I wyobraź sobie, po tej rozmowie porannej, ja schodzę, a tutaj – no już zupełna katastrofa, po której oczywiście ja wyleciałam z ambasady. Mianowicie Grydzewski, z którym Olek się porozumiał – (((rozbawiona)) bo to pierwszy raz za granicą byliśmy – Grydzewski przysłał mu pakę

472:9939510786

„Wiadomości Londyńskich”. Ta paka, oczywiście, że – nie myśl, że mi podali paczkę – paczka była oczywiście rozcięta, leżały przede mną „Wiadomości”.

Trznadel: Przyszło na adres ambasady?

Watowa: Tak. Bo oni wiedzieli… Nie, nie, a może ja już – teraz trudno mi powiedzieć – możliwe, że Aleksander podał adres tej Szwedki, a ona wiedziała, że ja mieszkam w ambasadzie i już tam nie wrócę.

Trznadel: Tak. Rozumiem.

Watowa: No, i tutaj już jest, „to już jest wróg, to już jest zdrada”. Ja już – kto wie– czy nie jestem jakimś szpiegiem i ja biorę moje manatki i wyprowadzam się.

Trznadel: Który to był rok, pamiętasz?

Watowa: Owszem, pamiętam. Pięćdziesiąty czwarty.

Trznadel: Czyli już po śmierci Stalina?

Watowa: Po śmierci. Nie myśl, że za życia Stalina nas by … On zachorował w szpitalu, trzy miesiące przed śmiercią Stalina. Doczekał się właśnie w szpitalu tej śmierci, rozumiesz? Incydent bardzo – bo on dostał w końcu jakiś taki pokoiczek, to była jakaś szatnia, wyjęli tam tego i dali mu, wiesz. No, jakaś norka taka. No, i ja przychodzę i widzę, że przed tą norą, gdzie leżał Aleksander – jednak pokoiczek, wiesz, maleńki z oknem – że tam stoi jakaś grupa ludzi. I rozumiesz, ja zapominając, że w szpitalu, jak się umiera, to się wynosi do kostnicy i koniec, to ja pomyślałam, że tutaj ci wszyscy lekarze, profesorowie, to wszystko tam stoi u Dzieciatka Jezus, i w jakimś skupieniu, nabożeństwie, szalenie smutni. Więc ja podlatuję z bijącym sercem, myśląc, że tam leży Aleksander, który umarł, a oni tutaj go opłakują, ((rozbawiona)) rozumiesz? A tam jedna taka siostra mówi: „A co pani sobie wyobraża? Że gdyby pani mąż umarł, to my byśmy…”. Ja patrzę, a tutaj wiesz, krepą cały pokój obity, portret Stalina, świece się palą, a ona mówi: „niech pani idzie tam naprzeciwko, tam jest Pani mąż”.

Trznadel: Zabrali go z tego pokoju?

Watowa: Zabrali, żeby zrobić tam kapliczkę, wiesz, żałobną.

Trznadel: Czy smutek był prawdziwy?

Watowa: Słuchaj, weszła lekarka – bo na razie to się w ogóle przed tym, póki on żył to wszyscy, nikt nic nie mówił – ona weszła, zamknęła drzwi, zaczęła się śmiać właściwie ze mnie, a ja też z siebie. Zresztą szczęśliwa, że ten Aleksander żyje, bo rzeczywiście… ((śmiech)).

Trznadel: ((śmiech))

473:7408201905

Watowa: I ona mówi: „wie pani, że mój mąż był za granicą i przywiózł mi – ja go prosiłam – na czarną suknię. I on mi przywiózł z trzy metry tego czarnego materiału. I oni tutaj powiedzieli, że trzeba. To ja z radością dam, oni nie zwrócą…". ((śmiech))

Trznadel: ((śmiech))

Watowa: „Ale z radością im dałam ten materiał. On tam wisi, dekoruje tę kaplicę". Więc tam jakaś baba, rozumiesz, salowa, biadała. Przyszła do Aleksandra, siadła na łóżku. Mówi: „taki to człowiek wielki, takie słońce, tak kochał ludzi! Taki wielki! I to też musi umrzeć. Jak to możliwe, żeby taki człowiek mógł umrzeć?". Ona jeszcze… rozumiesz…, ale ta lekarka, rozumiesz? To już…

Trznadel: Jednak dużo było ludzi, którzy wierzyli, że Stalin coś reprezentuje, także wśród młodzieży. Sporo tego było.

Watowa: Wśród młodzieży? Ale już przecież wtedy, jak on umarł, to zdaje się już wszystko było wiadomo, nie? Jeszcze nie było wiadomo?

Trznadel: Nie, jeszcze nie.

Watowa: Przecież już te procesy, już ta mordownia.

Trznadel: A nie, kto wiedział to wiedział, ale część młodzieży wyszła z okupacji, gdzie nie było żadnej informacji, nic nie było, a potem była propaganda. Tak, że ludzie bardzo światli – no w końcu wyszedł w Akademii Nauk numer specjalny poświęcony pracy Stalina o językoznawstwie, prawda, tej wybitnej pracy.

Watowa: Tak.

Trznadel: I w końcu w tym numerze pisali ludzie bardzo wybitny. Jeżeli ja sobie przypominam to chyba i Żółkiewski pisał, i Maria Renata Mayenowa, profesorowie.

Watowa: (((z ironią))) No, Żółkiewski na pewno.

Trznadel: No dobrze, ale to przecież w końcu bardzo inteligentny człowiek!

Watowa: Tak, to jest inteligentny człowiek. Ja mam wrażenie, że on jest w gruncie rzeczy bardzo uczciwy człowiek.

Trznadel: To jest bardzo uczciwy człowiek!

Watowa: Tak.

Trznadel: To jest człowiek, któremu nic nie można zarzucić.

Watowa: Nie.

Trznadel: On jest tak bardzo głęboko ludzki.

474:1164240373

Watowa: On jest ludzki, on jest ludzki, tak.
Trznadel: No, i zresztą od pewnego momentu, jak on wszystko zrozumiał, to oni go już wykopali, prawda?
Watowa: Tak.
Trznadel: A w każdym razie nawet oni, ludzie nauki, wierzyli, że to co Stalin powiedział jest święte. To był jakiś… jakieś końskie okulary na oczach bardzo wielu ludzi.
Watowa: Tak.
Trznadel: To wy mieliście nawet – powiedziałbym – bo to jest tak: można spojrzeć na ten cały epizod – gdyby nie więzienia Aleksandra i to wyniszczenie zdrowia – to można powiedzieć, że wy mieliście jakby szansę, szansę być w Związku Radzieckim i stamtąd wrócić, prawda?
Watowa: Tak.
Trznadel: Można, można to uznać też za szansę. Z jednej strony uchylenie się przed tym okropnym reżimem hitlerowskim w czasie okupacji w Polsce.
Watowa: Nie, to na pewno byśmy zginęli.
Trznadel: Ale po drugie – Nie, to nie jest powiedziane, prawda? Bo w końcu ludzie, ludzie przeżyli. Jastrun cała okupację przeżył w Warszawie.
Watowa: No nie, ale mówiłam ci, że przecież przyszli po Aleksandra i tak, że przyszli po Aleksandra, bo on był na liście.
Trznadel: No tak, bo oni mieli listy ludzi, którzy byli bardzo…
Watowa: No, więc Aleksander byłby rozstrzelany od razu, wiesz.
Trznadel: Chyba, żeby się ukrywał. Ale mieliście też tę szansę, że zetknęliście się tak blisko – oczywiście byli ludzie, którzy zetknęli się blisko i nie wyciągali wniosków – jak Ważyk na przykład.
Watowa: Tak.
Trznadel: I inni. Ale zetknęliście się i wynieśliście pewne doświadczenie, i mieliście pewnego typu kapitał, którego wielu ludzi nie miało. I jeszcze…
Watowa: Ale powiedz, jak Ważyk, który w końcu jest – poza tym, że jest bardzo dobrym poetą – jest przecież inteligentnym człowiekiem. Jak on nie mógł żadnych wniosków wyciągnąć?
Trznadel: No właśnie.
Watowa: Przecież on był we Lwowie, on był wszędzie, on był w Moskwie, on był w armii!

475:9224901010

Trznadel: Nawet to są te paradoksy jakiegoś zachowania się ludzi: że jedni wierzą, drudzy nie wierzą. Do jednych dojdzie, prawda, przebije im jakąś barierę wrażliwości moralnej, a u drugich pewien typ myślenia indoktrynalnego jest tak silny…
Watowa: Nie, to jest na zasadzie właśnie, jak Aleksander mówił o tym, o tej jajecznicy co to się mówiło, że nie można zrobić jajecznicy, żeby nie potłuc jaj, prawda? Więc, że to, że ci ludzie, te wszystkie ofiary, to były te potłuczone jajka, z których, rozumiesz, potem jest ta wspaniała jajecznica, która w ogóle za darmo miała być rozdawana. Teraz już wszyscy mieli jeść chleb, wszystko miało być za darmo.
Trznadel: Siła indoktrynacji, po prostu.
Watowa: Tak.
Trznadel: Siła indoktrynacji i to właściwie nie wszędzie w historii się takie rzeczy spotyka, że ludzie tkwią na fałszywych pozycjach.
Watowa: Tkwią.
Trznadel: Tkwią. Gdybym użył porównania sarmackiego z historii Polski, z Sienkiewicza, to to tak, jak ten biedny Harłam w Kiejdanach, który, mimo że Radziwiłł był zdrajcą, to on powiedział, że on go w mizerii nie opuści, prawda? I do końca albo wierzył, albo trwał i…
Watowa: Tak.
Trznadel: I… prawda, na fałszywych pozycjach. Tak i tutaj, w końcu powiedzieć tylko, że – prawda – jakiś serwilizm albo świadoma podwójna gra to by było za mało, no powiedzmy…
Watowa: No tak, no po prostu…
Trznadel: Adolf Rudnicki, który pisze nowele.
Watowa: Tak.
Watowa: Prawda, który w jakimś sensie ubolewa nad ludźmi, którzy zostali na emigracji. Ale ubolewa nie nad ich losem – w *Majorze Hubercie z Armii Andersa*, prawda – nie ubolewa nad ich losem emigranta, który jest zawsze ciężki, ale ubolewa nad ich zaślepieniem. I w tejże samej noweli pisze jako o pewniku, że Katyń to jest dzieło niemieckie. No, w końcu bardzo wielki, wybitny pisarz, prawda? Nie można mu zarzucić wrażliwości. I jest jakaś siła indoktrynacji po prostu. Skomplikowana bardzo.
Watowa: On nie dopuszczał – wiedząc o zbrodniach niemieckich – on nie dopuszczał, że to mogli zrobić Moskale.

476:3755686258

Trznadel: Wiesz, ja myślę, że tu są jeszcze inne rzeczy. Siedzisz na jakimś wozie, płyniesz na jakiejś fali. [hałas samochodów z ulicy] Rudnicki, Jastrun – no wiadomo na przykład oni czy Żółkiewski na jakim wozie siedzieli, na jakiej fali płynęli. Oni siedzieli na wozie, który się nazywał „Kuźnica".

Watowa: No tak.

Trznadel: I to był cały nastrój zespołu redakcyjnego. Czuli się do czegoś potrzebni, wykonywali jakieś zadania, tworzyli jakiś typ literatury w Polsce.

Watowa: Tak.

Trznadel: I trzeba było by też jakiegoś typu, nonkonformizmu, żeby się wyłamać. I ja wierzę, że ten z kolei konformizm nie był dla celów osobistych. Oni byli zapaleni do pewnej idei, wobec tego to, co się nie zgadzało, prawda, to ciąć – takie łoże prokrustowe. Potem następowało oczywiście…

Watowa: Zresztą to, co mówi Aleksander w *Moim wieku*, że nie można przekazać swoich doświadczeń. Jego rozmowa, na przykład z Julkiem Żuławskim. Zupełnie to do niego nie docierało. Wtedy on był w tej „Kuźnicy" itd. I to nie przenikało.

Trznadel: No właśnie. A jak wyglądały – powiedzmy – próby przekazania tej prawdy niektórym ludziom w Polsce, o których można było powiedzieć, że byli ludźmi dobrej woli, nieustawionymi partyjnie jak Putrament, dlaczego to do nich nie przenikało?

Watowa: Więc ja ci powiem: albo się utrafiało na ludzi – ja, uważaliśmy Julka, i uważam go za człowieka przyzwoitego, uczciwego – którzy, rozumiesz, zupełnie tego nie przyjmowali, uważali, że – prawda – no, rewolucja, historia, wojna. No, siedzi się w więzieniu, przeżywa się głód, nędza, smród itd. to jest taki, prawda, okres, ale teraz my budujemy nowe życie. I ta wiara w to nowe życie.

Trznadel: Rozumiem.

Watowa: Zresztą powiem ci, że jakeśmy wrócili z Kazachstanu, to właśnie to nasze uczucie: Aleksander uważał, że to wróciło się do jakiegoś wolnego kraju, do jakiegoś nowego życia itd. Jakieś krótkie, prawda, te były złudzenia, ale były złudzenia, że jak – zresztą znowu powołuje się na Aleksandra – że Stalin może nawet zechce stworzyć coś takiego, taki wzorzec, wiesz, dla zamydlenia oczu, że może być w tym systemie takie państwo, jak teraz Wałęsa chce, proszę ciebie, zrobić.

Trznadel: No właśnie.

477:5343115393

Watowa: Rozumiesz? Albo…, więc to byli tacy ludzie. Albo byli ludzie, którzy od razu cię uważali za wroga, i którzy – rozumiesz – byli bardzo wrogo do ciebie nastawieni i nie chcieli w ogóle tego słuchać.
Trznadel: Kto to był?
Watowa: No słuchaj, o takiej rozmowie nie było mowy z Ważykiem na przykład.
Trznadel: Tak.
Watowa: O takiej rozmowie nie było mowy z jakimś Rudnickim, czy z Jastrunem, czy.
Trznadel: No właśnie. Przepraszam, że ci przerwę. Bo w końcu tak: przyjeżdżacie. Następuje kontakt nie tylko z rodziną, który nastąpił od razu, ze znajomymi, ale następuje kontakt Aleksandra ze środowiskiem literackim.
Watowa: Tak.
Trznadel: I wyobraźmy to sobie po ludzku: spotyka się dawnych ludzi, ci, wiadomo, że spotykają się jacyś wybitni pisarze z wybitnymi pisarzami – bo jest interes w Związku Literatów – wobec tego każdy, zwłaszcza po takiej wojnie, jeżeli następują spotkania prywatne mówi: „a ze mną się działo to, a ze mną się działo to". I sobie ludzie opowiadają.
Watowa: No tak, ale wiesz, tutaj tak: przede wszystkim, rozumiesz, już przed przyjazdem, przed naszym powrotem, już był obraz Aleksandra tutaj. Zainstalował się. Już ktoś powiedział, że Aleksander teraz nosi duży krzyż, że się zrobił jakimś mistykiem, prawda? Bo on wyjechał jako ateista.
Trznadel: Tak.
Watowa: I w końcu jako ten człowiek… i że wraca. I już o tym wiedzieli, bo już była ta paszportyzacja. Słuchaj, to już jakoś dziwnymi drogami, ale to dochodzi. Więc jego zjawienie się napotkało od razu, znaczy ze strony Borejszy – pamiętasz to spotkanie, to jak Szymańska po niego przyjechała.
Trznadel: Tak.
Watowa: Te objęcia Borejszy, który – prawda – tak na niego doniósł. Znaczy się zeznania takie złożył itd. I w ministry go chciał – Jak to się mówi? – Usadawiać na jakiś stanowiskach itd. Ale rozumiesz? Ten obraz tego Aleksandra, odmienionego, rozumiesz? On był bardzo dziwnie odbierany. Tak, jak gdyby się straciło wspólny język, rozumiesz?
Trznadel: Tak.

478:9029511930

Watowa: Bo on inaczej rozmawiał. To znaczy, wtedy jego te wszystkie wypowiedzi, które były na liście oskarżenia, co on mówił o systemie, o Stalinie – bo to wszystko było. Że on był anty, w ogóle zrobili z niego trockistę, kim nie był itd. To była teoria, rozumiesz? To były takie kawiarniane rozmowy, kiedy się mówiło to, to i to, prawda, że jednak to nie jest to. I się dyskutowało. A tutaj już przyjeżdża ktoś, kto jest zdecydowany nie zrobić ((z emfazą)) ani jednego kroku, rozumiesz?
Trznadel: Tak.
Watowa: Nie wyciągnąć ręki w tym kierunku. Absolutnie! Odciąć się. I to, rozumiesz, biło z niego!
Trznadel: Ale czy były takie spotkania i po nich następowało rozczarowanie drugiej stromy, czy nie było? Bo ja sobie zadałem pytanie: właściwie, dlaczego w Polsce powojennej, gdzie ludzie różnie myśleli – właściwie to jest pytanie: czy Aleksander Wat zdołał stworzyć koło siebie – bo przecież był człowiekiem, który właściwie to był także urodzony organizator życia kulturowego i literackiego, prawda?
Watowa: On przyciągał, bardzo przyciągał.
Trznadel: Przyciągał. Czy stworzył taką grupę ludzi wokół siebie, a jeśli nie stworzył, to dlaczego? Jakie były powody?
Watowa: Jakie były powody? Więc, ponieważ mówiłam ci, wszystkie jego wystąpienia w Związku Literatów to tak: Błoński tutaj w *Parc de Scaux* jak przyjechał do nas kiedyś, za życia Aleksandra, bodaj czy już nie w ostatnim roku jego życia. Jak on opowiadał, w jaki sposób Aleksander mówił. Świetnie to opowiadał. Jak on się zapędzał, zrozumiesz, i tego, i potem wiedział, że, że dalej tam już tego… i jak tak, wiesz, te końce tam, tego, i potem znowu. I że to było niesłychanie, te meandry były szalenie ciekawe, oczywiście wszyscy wiedzieli. Więc, rozumiesz, sala była. Ci ludzie, ci niby przyjaciele to byli tak: albo przyjmowali to jako prawdę i wiedzieli tak: Wat mówi prawdę, której ((z emfazą)) my nie możemy na głos potwierdzić.
Trznadel: Tak.
Watowa: Albo byli tacy, którzy sobie mówili: „Uwaga! Uwaga! Trzeba”.
27_Fon.61.713 Strona A
Watowa: Trzeba tego unikać, bo to groźne, rozumiesz? To jest ten wielki strach, rozumiesz, który jednak – co tam wiele gadać – on był. On nie był może w roku czterdziestym szóstym, ale jak myśmy wrócili w kwietniu, ale on się pojawił stosunkowo dość szybko – po roku, po dwóch.

479:1909019266

Trznadel: Tak. Czterdziesty ósmy, dziewiąty już był.
Watowa: Czterdziesty ósmy, rozumiesz. Nim ten człowiek jakoś wszedł w życie, nim w ogóle stanął na nogach, bo był wyczerpany, nim wszedł w tą pracę PIW–owską. Wciągnęli go – zdaje się tam – do zarządu Związku Literatów itd. Okazało się, że – ty rozumiesz, to jest taki, taka jakby pajęczyna, ale taka stalowa. Niby masz uczucie, że się ruszasz, że masz swobodę ruszania i gdzie idziesz to natykasz się na to, że okazuje się, że tutaj cię zatrzymuje.
Trznadel: Jak ryba na długim haczyku.
Watowa: Tak!
Trznadel: Długa linka.
Watowa: Rozumiesz? Więc jedna była reakcja, tylko zupełnie fantastyczna, to była reakcja teściowej Władysława Kowalskiego, który był marszałkiem sejmu, tak? Do którego myśmy poszli, jak on się dowiedział. Mieszkał w tym domu, wiesz, rządowym, w alei Szucha. W alei Pierwszej Armii.
Trznadel: Tak.
Watowa: I zaprosił nas na śniadanie. Był tam pan jakiś przy tym śniadaniu, o którym myśmy nic nie wiedzieli. Ale ten pan to był oczywiście była gruba szyszka partyjna – już nie wiem, czy to była policja, czy to była bezpieka, czy to było coś takiego. Ale wiesz, Aleksander o tym nie myślał i nie miał ochoty o tym myśleć, ani ja. I to co chciał, to mówił. Więc tutaj jest bardzo takie barwne opowiadanie Władysława Kowalskiego, który ((z emfazą)) bardzo Olka lubił, i który mu dużo zawdzięczał. Mówiłam ci, że on wydał mu *W grzmiącej*, że on zrobił stypendium na rok itd.
Trznadel: Tak.
Watowa: To był bardzo miły człowiek ten Władysław Kowalski. I mówi: „No, słuchajcie – bo on tak mówił słuchajcie – ja do tej Moskwy poleciałem. Myślę sobie: ja tego Wata wyrwę im, bo ja wiedziałem, że pan tu chce do Polski wrócić. A oni mnie tam mówią, i nawet taki miałem plan – no nie wiem, czy to była jego fantazja – że jak oni mnie pana nie dadzą, to ja was wsadzę na samolot i was porwę". Tak mówił – wiesz – przy żonie swojej, przy tym panu. No, ale oni mi powiedzieli, że Wat się tutaj tak cudownie czuje, że on w ogóle nie ma zamiaru wracać do Polski ((śmiech)). No, więc to była świetna trampolina do opowiadania. Jak cudownie Aleksander Wat i Watowa, i dziecko tam się czuło, rozumiesz? Dobrze. I Aleksander zaczyna opowiadać. Ale

480:9169759390

wiesz, to było rzeczywiście doskonały mówca i panorama była zupełnie fantastyczna. Poprzez Lwów, wszystkie więzienia itd. paszportyzacja.
Trznadel: Tak.
Watowa: I w pewnej chwili jak tak pod koniec nagle za nami pamiętam – bo to wiesz, takie mieszkanie dość luksusowe, tam w alei Szucha, wiesz.
Trznadel: No tak, przedwojenne.
Watowa: Przedwojenne. Tam Niemcy przecież dlatego nie bombardowali. Nagle otwierają się drzwi, (((teatralnie))) wpada taka stara dość kobieta, gruba taka, tęga. To okazało się, żer to była teściowa Kowalskiego, żona profesora Lutyńskiego zdaje się. Lutyński, coś mi się tak wydaje. Jakiś wybitny czy biolog, czy coś.
Trznadel: Tak.
Watowa: I wiesz, wpada, chwyta Aleksandra za ręce, ściska go mocno i mówi tak: „Nareszcie! Nareszcie w tym domu pierwszy uczciwy człowiek i pierwsze słowa prawdy!". No, wyobrażasz sobie, tutaj cisza, jednak wiesz.
Trznadel: ((cichy śmiech)).
Watowa: Powiem ci, że Kowalski mimo tych swoich opowiadań z samolotem itd., ale wiesz, pierwszy uczciwy człowiek, pierwsze słowa prawdy. Więc Aleksander się podnosi, przedstawia się. A ona mówi: „Proszę pana, zabrali mi mojego męża, profesora takiego i takiego" – zapomniałam, wiesz, dokładnie. I mówi: „robią poszukiwania, m.in. ten co tu siedzi – i wymieniła jego nazwisko, ale nie pamiętam. Też mi mówi, że go szuka, ale ja nie wierzę. Jego już tam zgnoili – mówi. A jeżeli żyje, to jeszcze gorzej" – mówi. Bo się męczy i tak go będą meczy do końca życia. – „Ale niech mama się uspokoi, jednak mama wie dobrze, że my tu wszyscy robimy starania – mówi Kowalski – i że nie trzeba tracić nadziei, prawda. Wat tam był sześć lat. Jednak wrócił z rodziną. Staramy się". Ale ona jednak – rozumiesz – to był jakiś żywioł, to była tama, która się przerwała, bo ona milczała, milczała, milczała. I tam, pod tymi drzwiami słuchała.
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: Widocznie tą teściową tam schowali, bo się jej bali. ((śmiech)) A ona weszła. I ona…
Trznadel: A jej mąż był w Związku Radzieckim?
Watowa: A jej mąż był w Związku Radzieckim i powiem ci, że do końca o tym, żeby on wrócił nie było mowy, nie było słychu ani widu. Jego tam, wiesz, czy on tam siedział? Kowalski go już

481:2539608595

rzeczywiście szukał, bo on potem, wiesz, jak widział Aleksandra mówi: „Panie Aleksandrze, ja go naprawdę szukam, ale mnie mówią, że tu w tym łagrze go nie ma, w tym więzieniu go nie ma. Tu nie ma. To... Tu mi powiedzieli, że podobno umarł. Tu mi powiedzieli, że nie, że żyje, ale gdzie indziej. Jednym słowem, na razie nic pewnego, żadnej pewności". A ta kobieta do końca życia nie wiedziała, czy jej mąż żyje, czy umarł jakąś straszna śmiercią, czy też strasznie się męczy i będzie się męczyć do końca życia.

Trznadel: Dzisiaj podano wiadomości, że jakiś dyplomata szwedzki, który został przez Rosjan aresztowany bodajże w czterdziestym czwartym roku na terenie Węgier czy Rumunii, jeszcze podobno ktoś go widział w jakimś lagrze.

Watowa: Straszne!

Trznadel: I robią starania, żeby go wyciągnąć.

Watowa: Wiesz, jak ty to mówisz, to mnie ogarnia taka groza, ale prawdziwa groza, wiesz! Nie groza taka, co to, wiesz, wiadomo, że ja jestem tu, w Paryżu, i że mi nic nie grozi. Tylko ta groza wchodzi w mój mózg, wchodzi we mnie. Bo jak ja sobie pomyślę, że przecież mogli nas nie puścić! I moglibyśmy tam być do końca życia.

Trznadel: Tak. Mogli, mogli dać do takiej zony, że, do takiej strzeżonej, czy coś takiego. Że nikt by nie…

Watowa: Ale słuchaj, tam siedzieli ludzie – ten właśnie, o którym Aleksander mówi, co zwariował na jego oczach. Ten… No zapomniałam jak on się nazywa. To przecież jego rodzina została powiadomiona, że on umarł. Także to był taki prawdziwy, to co się mówi – żywy grób się mówi, nie! Jak to się mówi? Pochowany, wiesz, żywcem pochowany!

Trznadel: Tak.

Watowa: Bo dla swojej rodziny, dla swojej żony, dla swoich dzieci on był w ziemi. On był trupem. A on był na Łubiance. I to było szalenie rozpowszechnione.

Trznadel: To są znane sprawy, że ogłaszano, że wyrok śmierci został wykonany, a potem nie wykonywano.

Watowa: Tak.

Trznadel: Podobno – jeśli dobrze pamiętam – ktoś, kto dokonał zamachu bodaj na Lenina, czy przygotował na Stalina, to Stalin do końca nie wydał rozkazu, żeby tego człowieka zabić, i gdzieś go tam trzymali. Więc było i tak.

Watowa: Tak.

482:9596916750

Trznadel: Także mi się zdaje, że w Związku Radzieckim to te rodziny nigdy nie miały całkowitej pewności, co się dzieje.
Watowa: Nie, nie, nie. To tak jak ci mówiłam o tej Kołmogorowej, co jej mąż… dostała wiadomość, że wypuszczają go z łagru.
Trznadel: Tak, on nigdy nie przyszedł.
Watowa: Po – nie wiem – jakichś kilkunastu latach, no, i on nie przyszedł, dlatego, że zginął po drodze, tak jak ginęli łagiernicy przeważnie. Nie dochodzili do domu, rzadko przynajmniej dochodzili. Tak, więc… No, więc utworzyła się, widzisz, taka grupka ludzi, ale też mówiłam ci, że na przykład pamiętam u nas jakieś takie małe zebranie – tylko widzisz, że pamięć mnie zawodzi – poza tym, że Borowski, poza tym, że taki Julian Maliniak, taki stary socjalista, który nam opowiadał o przyjacielu, który wyszedł od Różańskiego, co tam ta statystyka połamanych kości. I chcieli mu dać Krynicę, chcieli mu dać pieniądze – on to odrzucił – itd. No, Broniewski, proszę ciebie, który niestety się szalenie upijał, to czego myśmy oboje strasznie nie znosili, wiesz, pijanych ludzi.
Trznadel: Tak.
Watowa: I trudno z nim było właściwie mówić, bo od razu była wódka i od razu on był pijany itd. Więc wiesz, to dziwne, że ja tak nie mogę sobie… No, Stawar! Który właściwie był takim domownikiem.
Trznadel: Tak.
Watowa: Który stale był u nas – Stawar. Żebym ja sobie mogła przypomnieć. Ty wiesz, że ja będę specjalnie o tym myślała, żeby sobie zrobić listę tych ludzi, którzy do nas do ostatniej chwili przychodzili. Nawet jak siostra moja przyjdzie, przyjedzie, może ona mi pomoże. Otworzyć listę tych ludzi, z którymi były… Był taki np. taki, wiem, Szarf, który pracował w PIW–ie też, który umarł niedawno. I pamiętam właśnie taki wieczór, i było kilka osób. Zdaje się, że był Panufnik i wtedy Aleksander czytał im z jakichś…, ale widzisz, to wszystko…
Trznadel: To musiało być dość wcześnie, bo Panufnik chyba mniej więcej w tym samym okresie, co Miłosz został na Zachodzie.
Watowa: No tak, ale to jest pięćdziesiąty, to znaczy przed pięćdziesiątym drugim, tak. I pamiętam, że on im wyczytywał z jakichś czasów, nie wiem, dość zamierzchłych jakiś fragment – mój boże – co za fragment? Który się całkowicie pokrywał, wiesz, z tym co się dzieje w Rosji, jeśli chodzi o zniewolenie, o tą niewolę, okrucieństwo itd. I wiesz, że tam zapanowała taka cisza,

483:9660475695

bardzo nieprzyjemna. I kto wie, czy przez umysły tych ludzki, którzy wiedzieli, że Aleksander… przez chwilę nie przeszła jakaś myśl, czy to nie jest jakaś prowokacja, rozumiesz? To był, to był strach.

Trznadel: Tak.

Watowa: W gruncie rzeczy było szalenie trudno, rozumiesz? Że… teraz tak sobie przypominam, że jakeśmy zostali sami to może nawet padło takie zdanie, że może nie należy? Że może do pewnego stopnia jest nieprzyzwoitością narażać ludzi na rozmowy takie, które ich przejmują lękiem, niepokojem, i że to może czymś grozić, jakaś wypowiedź.

Trznadel: Tak, no…

Watowa: Pamiętam, jakiś rysownik był dość wybitny, był, już nie pamiętam jego, który do pism humorystycznych dawał. Nie pamiętam nazwisk, wiesz, niestety, niestety…

Trznadel: No, tak, a potem, potem przyszła choroba. Bo gdyby nie choroba, to być może ten krąg oddziaływań by powstał.

Watowa: Powstałby, tak. Ta choroba… Tak.

Trznadel: A że prowokatorzy czy donosiciele byli – o tym świadczy historia przecież już kilkanaście lat później, ta znana historia, kiedy Janusz Szpotański, pisujący takie teksty satyryczne ułożył tak zwaną słynną operę, gdzie występowały chóry KC, Gomułka itd.

Watowa: Tak.

Trznadel: I tą operę, którą ja zresztą we fragmentach znałem, bo Janusz przychodził i podczytywał to – właściwie kto chciał i kto nie chciał to czytał, prawda? To bardzo dziwny człowiek. I czytał te fragmenty… no, wiem, że to krążyło. Myśmy czytali jakieś odpisy. Czytał te fragmenty na jakimś zebraniu towarzyskim, gdzie było wielu bardzo znanych ludzi. Faktem jest, że pewni z tych znanych ludzi – nie umieli zachować milczenia – i Janusz Szpotański po lekturze fragmentów na zebraniu towarzyskim, a nie oficjalnym, w jakimś prywatnym domu, znalazł się w więzieniu.

Watowa: Straszne.

Trznadel: I przecież za Gomułki, wyszedł z więzienia dopiero jak przyszedł Gierek, prawda?

Watowa: Więc rozumiesz... Tak.

Trznadel: Tyle tylko zyskał podobno, że w więźniu mu zęby nie wybili, tylko wstawili. ((śmiech))

484:5078905979

Watowa: To to się pokrywa z tym, co Zosia Brezowa mówi, że w naszych więzieniach nie wybija się zębów, tylko się je wstawia. ((śmiech))
Trznadel: ((śmiech))
Watowa: Tak, to mi oświadczyła, jak ja mówiłam o tym biciu, wiesz, przez… jak Brajterowa wyszła. Ale… chciałam coś powiedzieć.
Trznadel: No nic, mówiliśmy właśnie o zebraniach, że te zebrania były też podejrzane, że wyście się bali, powiedziałaś, żeby nie…
Watowa: Tak, to rozumiesz, że wśród tych ludzi, którzy u nas byli, o których myśmy mieli jak najlepsze, sądząc, że można mówić. Wiesz, bo takich ludzi by się nie zapraszało. To może ci inni ludzie, którzy u nas byli zaproszeni mieli całkowite zaufanie do Aleksandra, ale nie wiedzieli, czy ktoś z tych gości zaproszonych nie wyniesie. To tak jak były te słynne urodziny mojego Andrzeja i potem okazało się, że w tej komórce partyjnej na uniwersytecie mieli spis gości. I mnie powiedzieli: „a to do pani syna to już tylko Radziwiłły i Potoccy przychodzą". A tam przyszedł jeden po prostu niezaproszony. I wcale się nie wytłumaczył, bo on wiedział o tym. Andrzej go nie zapraszał, ale on wiedział, że się coś odbywa u Andrzeja i przyszedł, i doniósł.
Trznadel: Rozumiem. Tak, tu krańcowa głupota po prostu graniczyła z nieprawnością. I nawet czasami było trudno rozeznać, czy to jest krańcowa głupota, czy nieprawość. To przecież Sołżenicyn takie wypadki też opisuje w swoich nowelach.
Watowa: Tak.
Trznadel: Gdzie nie można powiedzieć, że człowiek to robi, ponieważ jest złym człowiekiem. Nie! – on jest głupim człowiekiem – przede wszystkim.
Watowa: Tak. Albo po prostu nie… wiesz, niezdającym sobie sprawy, możliwe, że byli tacy ludzie, którzy jakoś nie mogli sobie – wiesz – wbić w głowę, że to w ogóle jest jakieś nie wiem… Wiesz, przyzwyczajony całe życie do gadania, do mówienia tego, co czuje i myśli... No nie wiem.
Trznadel: I była jeszcze jedna rzecz – myślę – w tym okresie powojennym, że w tym okresie powojennym, jak tak patrzeć na historię literatury, to Aleksander został jako autor, prawda, wierszy okresu futurystycznego i nowel, natomiast ta reszta, która potem miała przynieść swój plon.
Watowa: Tak.

485:7491699587

Trznadel: …to jeszcze było w nim. I *Mój wiek* był w nim, i poezje późniejsze było dopiero w nim.
Watowa: No tak!
Trznadel: Natomiast w Polsce wtedy ton nadała generacja, która zdołała bardzo dużo napisać i w czasie wojny, i tuż po wojnie, i to na tematy aktualne po prostu.
Watowa: Tak.
Trznadel: I oni jakoś koncentrowali uwagę.
Watowa: Tak. A to widzisz, co Aleksander chciał – to prawda – że się poznał na tym Borejsza, przemycić w tej rozpoczętej powieści – bo chciał napisać dużą powieść pt. *Ucieczka Lotha* – i tutaj mam w „Twórczości" fragment tej powieści, no to on pisał niby o Niemcach.
Trznadel: Tak.
Watowa: A to okazało się, że dla Borejszy, dla „Czytelnika" to było o Niemcach, tylko to było o Związku Sowieckim. No, i powiedział bardzo spokojnie, że nie wydaje mi się, że powinien pan nad tym dalej pracować, dlatego, że to nie pójdzie. Mimo to, że to było o Niemcach.
Trznadel: No, bo na złodzieju czapka gore. Każdy widzi jaki jest system aluzji.
Watowa: Tak... Tak, wracając jeszcze do Sztokholmu, żeby ten śliczny obrazek naszej ambasady wykończyć.
Trznadel: To ciekawe.
Watowa: Więc ja – oczywiście – pod pachą z tymi „Wiadomościami" i z moją walizeczką wyszłam. Ale podczas mojego pobytu – bo to jednak nie trwało kilka dni, to ja tam byłam jakieś co najmniej dwa tygodnie.
Trznadel: Tak.
Watowa: Słuchaj, wiesz, ta pani… przede wszystkim przyjęcia. Przyjęcia, na które mnie nie zapraszano, trzeba powiedzieć. Byli jednak ostrożni. Wiesz, ale ja tam bardzo lubiłam zaglądać do kuchni, ponieważ już byłam i widziałam, jakie wiesz żarcie… [przerwane nagranie] bęcwała, który miał jakieś kilkanaście lat. Ona jeździła dwa razy w miesiącu do Polski. I tam, do tej Polski zawoziła rzeczy. Wszystko, co można było kupić. Słuchaj, całe urządzenie mieszkania, prawda, wszystkie maszyny, wszystkie lodówki. Te wszystkie… Ty wiesz przecież – to tak bogaty kraj! Poza tym stroje itd. I potem był tam taki *attaché culturel*. Nie! Handlowy! Którego żona była najelegantszą kobietą w Sztokholmie. I tu bardzo taka złośliwa satysfakcja ((śmiech)) dlatego, że oni wrócili – i ich odwołali. I ona w ciągu trzech lat zgromadziła – wiesz, niby toalety takie już

486:3474219335

szczytowe: futra nie futra. Wyobraź sobie, że wprowadziła się do takiego małego mieszkanka – bo oni nas zaprosili do siebie – jeszcze w Sztokholmie. Że jak wrócimy do Polski, żeby ich odwiedzić, mieli dla nas sympatię. I wyobraź sobie, że maleńkie mieszkanko, takie mieszczańskie, wiesz, nieurządzone. I ona te wszystkie, wiesz, płaszcze, kostiumy, futra – to miała taki rodzaj *cagibi*[474], jak ja mam, taki. I ona to wszystko powiesiła w tym *cagibi*, bo mieli odnawiać to mieszkanko. I oni poszli do teściów. Na tym położyła plastik, duży plastik przywieziony ze Sztokholmu, ale zapomniała zgasić światła. I żarówka była taka na sznurze, wiesz, i zwisała nad tym plastikiem. I wyobraź sobie, że po prostu ((śmiech)) ten plastik im się zapalił i to wszystko się spaliło, ta cała garderoba ((śmiech)). To jest bardzo niełądne, że się śmieję, ale jak myśmy tam przyszli nie wiedząc, to ona miała na sobie jakaś sukieneczkę i powiedziała, że to jest jedyne, co jej ze Sztokholmu zostało ((śmiech)). Także była ubrana, wiesz, już tak po polsku. Nie miała już tych zapasów szalonych. Ale wiesz, nieuczciwość, zachłanność, to skupywanie rzeczy, to przewożenie do Polski, to obżarstwo. No, i to byli ci ludzie partyjni, a ja, rozumiesz, przekazująca jakiś list od – zresztą od osoby, która mieszkała w tym samym domu w alei Róż, gdzie mieszkał Cyrankiewicz. Partyjna Żydówka, zresztą jej mąż partyjny – już nie wiem, jakie oni mieli funkcje. Jacyś starzy Żydzi bardzo, tacy porządni ludzie. I ona mówi: „Wie pani, ja z nią po górach chodziłam w Zakopanem itd., bo ona też z Krakowa. Więc niech pani się dowie, jak jej się żyje. Ona nie wraca, bo jej całą rodzinę wymordowali". To był ten przekaz, wiesz. I tam posłała jej jakiś drobiażdżek, wiesz, na pamiątkę. Coś, jakąś paczuszkę małą jej dała. Więc ja i te „Wiadomości" z Londynu. Więc ja byłam tym strasznym wrogiem, a oni to byli ci uczciwi ludzie, rozumiesz? Tego. No, ale uciekajmy, wobec tego ze Sztokholmu. Więc tam był jeszcze ten pobyt właśnie w tym domu, w klinice takiej, gdzie dla rekonwalescencji. No, i już potem nasz powrót do Warszawy. Ale to już właściwie ten cały okres, to już jest właściwie okres jakichś… jego choroby, jego straszliwych bóli, starań się o wyjazdy. No, i teraz chciałeś, żebym ci opowiedziała jeden z tych naszych wyjazdów do...

Trznadel: Tak, może Włochy czy…

Watowa: Tak. Więc myśmy wtedy, jak byliśmy tutaj na stypendium... własnie tego– Forda. Mówiłam o tym, że to był taki rok, że Aleksander dostał, dostał nagrodę za taki tomik pt. *Wiersze* – nagrodę „Kultury". I jednocześnie było takich sześć stypendiów Forda. No, i tutaj się

[474] Fr. *cagibi* - komórka, klitka.

487:1055146238

przyczynił Słonimski m.in., żeby jedno z tych stypendiów dać Aleksandrowi, co mu umożliwi wyjazd. To było – zdaje się – 100 tys. franków miesięcznie. W tym czasie – startych, starych.
Trznadel: Wiem, wiem.
Watowa: Więc zamieszkaliśmy…
Trznadel: Czyli 1000 nowych.
Watowa: 1000 nowych franków.
Trznadel: Ale to było więcej niż dzisiaj, tysiąc.
Watowa: Było więcej, ale powiem ci, że to też nie było tak dużo.
Trznadel: Nie, na pewno nie było dużo, z tym, że myślę, że…
Watowa: Dla jednej osoby to byłoby dostatecznie.
Trznadel: Tak. Z tym, że myślę, że 1000 franków to było mniej więcej tyle, ile dzisiaj chyba ponad trzy.
Watowa: Może, może.
Trznadel: Bo tak…
Watowa: Ale wyobraź sobie, że trzeba się żywić, nie mając mieszkania.
Trznadel: Oczywiście.
Watowa: Czyli skazani na restauracje we troje. Dlatego, że jednak Andrzej był bardzo ciężki. Miał stypendium, wiesz, takie nieduże. No, i wiesz, w PEN Clubie, na razie byliśmy w PEN Clubie na ulicy Pierre Charron, gdzie pozwolono nam mieszkać przez pewien czas. Tam naprawdę nie można było już szklanki herbaty sobie zrobić. Tak jak zresztą w żadnym hotelu. Potem nauczyłam się, wiesz, takie historie jakieś robić, oszukiwać. Także, wiesz, życie było dość trudne. No, i ta choroba Aleksandra. Potem byliśmy w jakichś małych hotelikach. No, i Zaremba, który był *attaché culturel* w Rzymie, zaprzyjaźnił się właśnie z takim Umberto Silva, który chciał założyć wydawnictwo, i on mu polecił Aleksandra, więc wyjechaliśmy do Włoch. Umberto Silva był człowiekiem bardzo dziwnym. Przyjechaliśmy, wiesz, do jakiegoś taniego … szofer nas oczywiście woził po jakichś okropnych hotelach, gdzie nie można było zostać, zimno było. No, jednym słowem, w końcu już nas zostawił w jakimś hotelu okropnym, gdzie prześcieradła były lodowate, takie, takie wilgotne. No, i Aleksander, bardzo to speszyło Aleksandra, zadzwonił do Umberto Silvy. A on powiedział: „ale oczywiście, cieszę się, że pan przyjechał. Proszę pana, więc zobaczymy się za trzy dni". Na co Aleksander od razu powiedział: „Proszę pana, za trzy dni mnie już tutaj nie będzie". Wiesz, okazuje się, że świetnie z takimi

488:9788989385

ludźmi, wiesz, bo to był wtedy bogaty człowiek, a specjalnie, w specjalny sposób bogaty. I wiesz, że jak on to usłyszał, to on powiedział: „ja już po pana przyjeżdżam". Przyjechał, powiedział: „ależ to jest niemożliwe, żeby pan był w takim hotelu" itd. I zawiózł nas do Nerwii, zatelefonował do najdroższego hotelu Victoria. Wiesz co, to tak, te same przeżycia miał Słonimski z tym Umberto Silva, bo on wszystkich tak. Wiesz, że w tej Victorii, jeżeli się nie mylę, pamiętam, że kiedyś przyjechał do nas Zaremba, który lubił sobie popić – mąż Szelburg–Zarembiny. No, więc tam w barze on zaczyna pić jakąś niezliczoną ilość koniaku. Nas zaczyna niepokoić, bo to jakieś szalone sumy. No, ale jak Zaremba pojechał, to ja mówię: „Wiesz, to lepiej od razu regulować, żeby nie mieć już tego". – „A nie, proszę pana, to już wszystko pan Silva płacił. Jeżeli pan palił papierosy, jeżeli pan, to wszystko idzie na rachunek Silvy". Dostajemy jakiś wspaniały pokój. Towarzystwo takie, że wieczorem się zmienia suknie. Mężczyźni przychodzą w jakichś czarnych tych. Kobiety z jakimiś szalonymi brylantami, koliami. We mnie od razu jakiś szalony ból, wiesz, jakaś taka przekora właściwie, że ja postanawiam ubierać się najgorzej, tu jakiś taki swetereczek i to. Żadnej, miałam tam jakąś sukienkę, taką wieczorową. Ale nie, bo to było jakieś obrzydliwe, szczególnie jedna kobieta, która nosiła pelerynkę z wizonów. Ale te wizony nie były zeszyte i one się wahały, tak fruwały, że można było obliczyć, że ta pelerynka składa się – powiedzmy – z 48 wizonów.
Trznadel: ((śmiech))
Watowa: Tu były główki pozszywane tylko, (((rozbawiona))) tu miała takie główeczki, a tu ogonki. I to tak machało. No, i te dekolty. I one wszystkie (((teatralnie))) takie tęgie, te Włoszki takie, bogate takie. I tak się nam z daleka, wiesz, bardzo ukośnie takie spojrzenia – co to to jest? Tutaj siedzi takie, wiesz. No, więc niech pan sobie spokojnie …. – bo on był czym innym zajęty, Silva, on chciał mieć tylko spokój. – „Niech pan sobie odpoczywa, niech pan spokojnie siedzi" itd. – No, i zaprosił nas oczywiście do siebie, na trzydzieste ósme piętro. Wspaniały apartament, wiesz, dekoracja kwiatowa, lokaj w rękawiczkach podaje to. I to było wszystko takie na zewnątrz, rozumiesz? Jak się potem przekonałam, jego żona była nauczycielką w szkole, wiesz (Sak) wisiał, cudowny (Wirsak). Słuchaj, taka dekoracja kwiatowa, np. pod tym (Wirsakiem), wiesz, są te... nie, to nie są gobeliny. Jak to się nazywają, takie tkaniny, to był taki... nie wiem czyś ty kiedyś widział (saka), tkaniny, które on robił. Zupełnie malarstwo jakieś wspaniałe.
Trznadel: Tak.

489:3562609688

Watowa: Potem, on wiesz, to co było kwiaty jakie były, to była ta dekoracja, te kwiaty, które szły tak jakoś, w takiej piramidzie. No fantastyczne, wiesz! I meble antyczne, stare, jakiś kufer olbrzymi... w którym, tam były trunki jakieś niezliczone ilości. I okazało się, że tam, rozumiesz, tam były okresy, kiedy ta żona właściwie nie miała, żeby sobie kupić, na... tam się jadło kluski, rozumiesz. On był taki hohsztaplerowaty, więc zapraszał, rozumiesz, do restauracji, gdzie wydawał od razu 100 kilkadziesiąt tysięcy lirów. Ci tak przynoszą to mięso tej grubości – czy się podoba jaśnie panu itd. Albo pierwsza żona Szacha, jak ona się tam nazywa? Wiesz, która była... nie mogła mu dziecka urodzić, więc ona tam siedziała przy jakimś stoliku. I okazuje się, że Aleksander tam też się podał do dymisji, dlatego.

Trznadel: ((cichy śmiech))

Watowa: Że do niego przychodziły z Polski – bo on tam wydawał Polaków też. On jemu zrobił to wydawnictwo – znaczy się – zrobił mu cały, wiesz, spis książek polskich, rosyjskich, francuskich, niemieckich, angielskich itd. Więc tam były te Polki, które tłumaczyły z polskiego na włoski. I takiej Polce on był winien 15 tysięcy lirów. Tego samego dnia wydał, zapraszając nas na 150 tysięcy lirów na kolację, a ona z tego żyła. I Aleksander mi mówił: – „Słuchaj, ja tego nerwowo nie wytrzymuję. Bo ona mi wręcz powiedziała, że ona jest głodna, że ona żyje z tego". Potem cały personel tego wydawnictwa był nieopłacany, a Aleksander dostawał – boże, ja chyba nie zapomniałam – 250 tysięcy lirów miesięcznie, on mu zaproponował. Ale słuchaj, to nie były obecne liry.

Trznadel: Tak, tak.

Watowa: Także wiesz, to były duże pieniądze. Słuchaj, ja musiałam po prostu powiedzieć jego żonie, że ja nie mogę się, my się nie możemy zgodzić na Victorię, bo my Victorii nie możemy opłacać. Ona mówi: – „tak, ale przecież to mój mąż płaci". – „Ale proszę panią, nie jest się wiecznie w gościnie. Było bardzo miłe, że nas zaprosił – powiedzmy – na tydzień, dziesięć dni. Ale tu już upływa trzy tygodnie, czwarty tydzień, a my siedzimy w Victorii", wiesz, na czyjś koszt. To jest zupełnie nieprzyzwoite. I ja ją zmusiłam do tego, żeby ona ze mną szła tam po tej Nerwii, szukając dla nas jakiegoś niedrogiego hotelu. Bo jednak zawsze myślałam o tym, a nuż, będzie trzeba wracać do Paryża, żeby mieć troszeczkę tego zapasu.

Trznadel: Tak.

Watowa: No, więc ten hotel – zresztą był okropny ten pensjonat – bo znowu Aleksander po kilku dniach nie wytrzymywał. Bo wyobraź sobie, że tam było wszystko z plastiku. Plastikowe

490:2512648289

podłogi, plastikowe meble, plastikowe ściany. ((śmiech)) Wszystko było z plastiku, to było okazuje się straszne. No, więc ten pobyt tam – ja ci powiem – to był ciekawy pobyt, dlatego, że on dał mu wgląd, czym jest w ogóle praca we Włoszech. Jak się pracuje u kogoś, jak taki urzędnik – to niewolnictwo – to uzależnienie od tego, od tego dyrektora, od tego pryncypała, rozumiesz?

Trznadel: Bardzo zresztą szczególna praca.

Watowa: Bardzo szczególna praca! Wiesz, coś, co jest, tam jest bardzo... w ogóle dla mnie Włochy od tej pory to jest taka dekoracja operowa, wiesz? Jest opera...

Trznadel: Opera włoska.

Watowa: Opera włoska, rozumiesz? Jest opera, na ulicy ludzie śpiewają, są weseli, wszystko są sami hochsztaplerzy, rozumiesz? W tych, do instytucji załatwić jakiś papierek – no trzeba ((z emfazą)) łapówę dawać, okazuje się. Wszędzie łapówę. ((rozbawiona)) Może oni mają coś wspólnego z tymi Moskalami, ci Włosi.

Trznadel: Mi się wydaje, podobni do Polaków.

Watowa: Do Polaków? Słuchaj, rzeczywiście nie chciałabym nigdy mieszkać. Owszem, pojechać, zobaczyć Rzym, Florencję. Pojechać tak, jakeśmy jechali i oglądali te cudowne muzea, a...

Trznadel: A Aleksander, czy on miał mit jakiegoś kraju? Poza Polską oczywiście, bo Polska była jego krajem, no, mitycznym. Ale czy miał mit jakiegoś kraju, który byłby dla niego, no, jakimś takim modelem – albo kulturowym, albo geograficznym.

Watowa: Wiesz, myślę, że jednak, jednak Francja.

Trznadel: Jednak Francja.

Watowa: Dlatego, że tak... dlatego, że jednak z Berkeley to on mówił – a to ma jednak – trzeba wracać do domu. A do domu to było do Paryża. I wiesz, nie, on nie chciał wracać do Polski, jednak nie chciał wracać.

Trznadel: Też z innych względów zresztą.

Watowa: Z innych względów. Oczywiście nie wpadło by nam nigdy na myśl, żeby w normalnym kraju, w Polsce, żebyśmy nie byli w Polsce, wiesz. Dlatego, że byliśmy bardzo związani z Polską itd.

Trznadel: Oczywiście.

491:8781314217

Watowa: Ale do tej Polski już mowy nie było, żeby wracać. Natomiast po Włoszech i po Ameryce to oboje wiedzieliśmy, że jedyny kraj, w którym można istnieć i czuć się właściwie prawie jak w domu to jest Francja. To znaczy – nie Francja, to jest Paryż.
Trznadel: Rozumiem, to jest Paryż.
Watowa: Bo Francja to jest zupełnie co innego.
Trznadel: To jest ciekawe dlatego, że jest jakaś taka, taki rozkład akcentów w kulturze polskiej, jeśli chodzi o wybitnych pisarzy, związany z poszczególnymi krajami.
Watowa: Tak.
Trznadel: I na przykład – chyba w okresie romantyzmu – Francja zupełnie nie stanowi ideału.
Watowa: Zdaje się, że Niemcy, nie?
Trznadel: Niemcy też... przede wszystkim Włochy stanowią ideał.
Watowa: A Włochy! Tak!
Trznadel: Włochy!
Watowa: Włochy.
Trznadel: Norwid przez całe życie marzył o tym, żeby się wyrwać z Paryża i pojechać do Włoch. Zresztą z innych także względów, zdrowotnych.
Watowa: Ale zrozum, że Włochy dla tych ludzi... Wyobraź sobie, że Aleksander nie pracuje w firmie wydawniczej, nie zakłada firmy wydawniczej i od razu wchodzi w realia takie: urzędniczka, maszynistka, tłumaczka itd. itd. itd. Potem nagle te kulisy niesamowite tego domu, rozumiesz? Życie na przykład tej służby..., w którą zostałam wtajemniczona, przypadkowo, zupełnie straszne.
Trznadel: Tak.
Watowa: Ten strych, gdzie składało się rupiecie, wiesz, wszystko się wyrzucało. Rzeczy, na razie niepotrzebne, a których się nie wyrzucało. I wśród tych rupieci stoi jakieś legowisko. I tam ten lokaj, który podaje w liberii, rozumiesz, specjalnie w rękawiczkach nalewa ci wino, i ten Silva patrzy czy tam rękaw mu nie zadrze, jakaś kropla nie spadnie na haftowany obrus, rozumiesz? Potem wyjście z panią Silva do sklepu takiego, wiesz.
Trznadel: A to legowisko – nie skończyłaś.
Watowa: A to legowisko? Ale to wiesz...
Trznadel: To nie było z tym związane?

492:2430994782

Watowa: Nie, ale ja ci powiem. Ona kupowała rożne rzeczy – to takie wiesz – jak *bon marche*[475] czy coś. Ja widzę, że ona kupuje jakieś dobre mydło, ale kupuje jakieś najtańsze. I mówi: „Wie pani, to jest dla służby, to jest dla służby". I rozumiesz, tam, na tej górze, ponieważ ja, ona nie chciała, pani Silva, żebym ja tam poszła. Tam stały nasze walizki. Dlatego, że jakeśmy mieli wyjechać... To myśmy. Bo ja powiedziałam: – „czy ja mogę zostawić walizki z Nerwii, przywieźć do tego, żeby już nie z Nerwii wyjeżdżać", tylko z ten. I rozumiesz, wtedy ona mówi: – „A to już, ten przyniesie, ten, ten lokaj". A ja mówię: „wie pani, ja jednak wolę z nim jednak skończyć, bo tam jakieś torby zostawiłam". Wiesz, jak się jedzie. I ona się tak strasznie zatrwożyła, a ja wiesz, dawaj i poleciałam za nim. I tam zobaczyłam te straszne warunki, wiesz. Jak ta, jak są traktowani ci ludzie. Potem z półsłówek okazuje się, że pani Silva uważa, że te torty, które my jemy na przyjęciach, to ona dla nich... im nie daje. I że ona zauważyła, powiedziała: – „Wie pani, że jaka nieuczciwość jednak, że ja zauważyłam, że brakuje tego tortu, że oni sobie ukrajali tam". Więc rozumiesz, to nie jest pobyt Byrona, to nie jest pobyt – nie wiem, kto tam był... znasz Polaków, kto był właściwie tak we Włoszech, z tych romantyków. Zdaje się, że może marzyli o tym. Przyjeżdżali jako turyści.

Trznadel: No, więc były pobyty krótsze, bo i Mickiewicz był w Rzymie, i Krasiński był w Rzymie, i Norwid był w Rzymie.

Watowa: Ale rozumiesz, to był pobyt, to był pobyt, gdzie się siedziało – właśnie – w tej El Greco, prawda, Byrona portret tam wisi itd. I to na zasadach – to znaczy, widziało się tę operę, która jest cudowna.

Trznadel: Tak.

Watowa: To jest kraj pieśni, słońca, urody, sztuki! To jest cudowne. Ale pracować tam! Żyć! Myśmy wchodzili do takich włoskich mieszkań, to się widziało w filmach Felliniego, czy filmach tego – nie żyje już ten reżyser. Wiesz, to są te olbrzymie mieszkania! Takie olbrzymie mieszkania, olbrzymie, nieraz nawet puste pokoje, gdzie legną się, tak? Legną się te rodziny włoskie. Ta mama, rozumiesz, z tą mamą! I tego... to są straszne rzeczy, słuchaj. To są, kulisy tego są okropne. Wierzaj mi, że tam pracować, tam na przykład, żeby pojechać, żebyś tam chciał u kogoś pracować! Nie wiem, jak tam jest z profesorami na uniwersytecie, tego nie wiem.

Trznadel: No, bo tam są te kontrasty społeczne bardzo silne.

Watowa: Bardzo silne.

[475] Fr. *Bon marche* – rodzaj sklepu.

493:1116826324

Trznadel: Bardzo silne kontrasty i system jest. To co mówisz o służbie. To tak jakby się widziało jakiś, ja wiem, polski dom arystokratyczny, ale taki zacofany, bo jeszcze w dwudziestoleciu takie istniały, gdzieś na prowincji, czy wcześniej.
Watowa: Tak. Na ogół wiesz, tak jak, to co, myśmy w domach arystokracji nie bywali, ale powiedzmy Broniszówna, która bywała – no powiedzmy – taka arystokracja jak Tyszkiewicze, no, w dworach.
Trznadel: Tak.
Watowa: Takich pańskich dworach. Tam służba była bardzo dobrze traktowana. Nie mówię o Radziwiłłach, gdzie – ja ci mówiłam – że tam wspominają go jak ojca.
Trznadel: Tak.
Watowa: Że oni byli nadzwyczajni dla służby.
Trznadel: To było i tak, i tak.
Watowa: No było i tak, i tak.
Trznadel: Różnie.
Watowa: Było i tak, i tak. Tak jak zresztą wiemy z literatury, wiesz, rosyjskiej, jak tam spali. Po prostu, wiesz, na schodach, w sieniach, spali. Służba nie miała jakiegoś kąta dla siebie. Na sianie, w stodołach. No, bo ja wiem, gdzie oni tam spali.
Trznadel: Ale z tego wniosek, że ciekawe, że Włochy były krajem, który okazał się jakiś, no, do przyjęcia tylko na krótki okres czasu, ale, że właśnie we Włoszech Aleksander miał szansę wejścia w jakiś krąg pracy właściwie swojej zawodowej.
Watowa: Tak.
Trznadel: A we Francji coś takiego się zdarzyło?
Watowa: Nie! Nie mogłoby się tutaj zdarzyć!
Trznadel: Nie, bo środowisko „Kultury" właściwie nie – wcale go nie chciało akceptować do siebie, prawda?
Watowa: Słuchaj, jego zaakceptowali tutaj, wiesz, ci francuscy komuniści, pisarze. Więc zaczęło się od Morrisów. Ta Morrisowa, która napisała o Hiroszimie, i która tam ufundowała – to jest taka, wiesz, milionerka wielka, o której zdaje się, że ja mówiłam, mówiłam o Morrisowej, co ma taki pałacyk, który budował taki architekt, który budował Petit Trianon. Gdzie, wiesz, wszystko – Sterling tam raz jeden do nas przyjechał i powiedział, że od razu jej powiedział, że podłogę w salonie może kupić od razu do Luwru. No, i to była szalona komunistka, z którą się zresztą

494:6589293158

potem się zerwało, dlatego że już jak Chruszczow mówił, to ona powiedziała, że on kłamie. Szalona stalinistka. Jak Olek z nią mówił o więzieniach w Rosji, to ona mówiła o więzieniach w Grecji. Także ((z emfazą)) w ogóle mowy nie było o żadnym wiesz... i to ona właśnie powiedziała, że Wat się sprzedał za dolary. W PEN Clubie w New Yorku. No, Vercors. To ci opowiadałam tą słynną rozmowę Vercorsa, jak Vercors wyjechał do tego. Potem Claude *Aveline*. Z tych, znaczy się, z tych francuskich. Kto był rzeczywiście..., ale to już po... to już – zaraz, zaraz – no tak. Kto był naprawdę człowiekiem niesłychanie inteligentnym, mądrym i ciekawym bardzo, i nie należącym do tej kliki to Roger Caillois. Ten, co ta Yourcenar teraz jego miejsce. To była jakaś, jakiś...

Trznadel: Caillois. No to był bardzo wybitny człowiek.

Watowa: I powiem ci, ja ci powiem, że jak on umarł – ja akurat byłam u Sterlingów. O jego śmierci dowiaduje się z telewizji. Ty wiesz, że oni w gruncie rzeczy niewiele wiedzieli we Francji? On należał do jakiegoś bardzo wąskiego kręgu ludzi, którzy go przyjęli do swojej kultury. Znaczy pisarze, którzy go adoptowali.

Trznadel: No, to był właściwie uczony, niż, bardziej uczony niż pisarz, prawda?

Watowa: Tak, ale on miał jakiś bardzo taki umysł uniwersalny.

Trznadel: No miał, miał, tak! No to był w sensie uczony–humanista, prawda?

Watowa: To był jakiś człowiek wybitny.

Trznadel: Teoretyk sztuki.

Watowa: Wiesz, że on jak był w Polsce, on przyszedł do Aleksandra i ja, która lubię bardzo kamienie, dostałam od – zresztą od Joasi, od mojej siostry, dostałam taki ładny kamień. (((zadowolona))) I on od razu ten kamień zauważył.

Trznadel: Tak, bo on wydał...

Watowa: I Aleksander mówi, ja wtedy – wiesz – leżałam w szpitalu, bo też miałam raz w życiu połamaną nogę, bo poleciałam dla Aleksandra po gazetkę. Tego dnia miało się odbyć, taki, takie, wiesz, przyjęcie, takie przyjęcie w willi u Zarembów w ogrodzie, bo oni mają taki dom z ogrodem.

Trznadel: Tak.

Watowa: No, i ja rano powiedziałam: –„Ol" – bo ja wiesz, ja ci powiem, ja tak, wiesz, świadomie, wiesz, ciągle mu kupowałam jakieś pisma itd., żeby go odciągnąć.

Trznadel: Tak!

495:1068360733

Watowa: Że tak jak gdyby to ten ból mu można było zapomnieć jak się czyta, wiesz, gazetę czy jakieś pismo literackie. No, i tak od rana mówię: – „no, ja polecę po gazetkę". I tak upadłam w bramie i przynieśli mnie z ta połamaną nogą. I leżałam na sofie i wtedy był u nas Caillois. Tak, że jak żeśmy przyjechali tutaj, byliśmy u nich z wizytą – zresztą wspaniałe zresztą mieszkanie! Potem on miał... motyle miał przecież. Kolekcję fantastycznych motyli, które zresztą sam łowił. Potem kolekcje kamieni, no, i pokazał właśnie ten nasz kamień tam, w tej gablocie, wiesz.
Trznadel: Tak, bo on wydał książkę o tych kamieniach.
Watowa: On wydał książkę? Ja tego nie wiedziałam.
Trznadel: Wydał książkę: takie rozważania filozoficzno–strukturalne. To się nazywa *La Pierres.*
Watowa: *La Pierres.* To by mnie ciekawiło, bo wiem, że Aleksander tego nie czytał. A jednak ten Aleksander, ten *Poemat o* tym *sercu kamienia*, wiesz, nie wiem czyś ty to czytał. W tym, w tym... w *Ciemnym świecidle* jest cały taki, wiesz, o sercu kamienia, o kamieniach.
Trznadel: Tak.
Watowa: On miał też fascynacje kamieniami. Ja szalenie. Wczoraj zresztą zostałam – postawiłam sobie tam na tym bardzo dziwny kamień. Ale wiesz, to jest jakiś odłamek z czegoś. Tam oczy są i jakaś taka dziwna broda. I to już jest wyryte, rozumiesz? Ale to ten mój przyjaciel, Valet, ten, który w gruncie rzeczy nazywa się Schwartz. Ale pisze jako Paul Valet. I on ma taką pasję – on mi za każdym razem daje jakiś kamień jak przyjeżdża. Tak, że ja ci powiem, potem był – Aha! – Potem był Pierre Emmanuel, który bardzo miał, był zafascynowany Aleksandrem i lubił z nim rozmawiać. I przyjechał do Brukseli, tam w Knoccke się odbywał zjazd poetów, co było dość przerażające, bośmy sobie powiedzieli z Aleksandrem – wiesz, no jeden poeta, dwóch, pięciu. (((rozbawiona))) Ale jak jest trzystu poetów, to to się robi jakiś... to wiesz, że to jest jakieś koszmarne, nie uważasz?
Trznadel: Tak.
Watowa: ((śmiech))
Trznadel: Jeden myśli, że jest ważniejszy od drugiego, a większość jest nieznana.
Watowa: Tak! Tak!
Trznadel: A większość jest nieznana.
Watowa: A większość jest nieznana!
Trznadel: To to Miłosz o tym wspomina przecież.
Watowa: A wspomina o tym.

496:1057814309

Trznadel: Nie o tamtym, ale mówi o Berkeley, że tam chodzi tylu poetów i, prawda, o każdym wie tylko coś grupa najbliższych osób.
Watowa: Tak! Tak! A mnie powiedział – nie pisał, ale mi powiedział – słuchaj, ja jeżdżę do San Francisco, ja tam chodzę. I tam chodzi, rozumiesz, masę po tych ulicach San Francisco poetów. I nikt absolutnie o nich nikt nic wie. I jemu się nikt nie ukłoni, znajomy: – „A, to Miłosz!". Rozumiesz? Tego tam nie ma. To czego by mi absolutnie, zresztą nie zniósł właśnie Rudnicki, który mam wrażenie, jest mu bardzo potrzebne do życia. Dlatego on tak jeździ do tej Polski. On nie znosi anonimowości. On nie potrafi.
Trznadel: Ale jest jednocześnie człowiekiem, który w tej chwili jest chyba dosyć osamotniony.
Watowa: On jest osamotniony.
28_Fon.61.713 Strona B
Watowa: On jest osamotniony, ale wiesz, on jest osamotniony... ja nie wiem w jakich ty jesteś z nim stosunkach, ale ja mam wrażenie, że to jest człowiek szalenie trudny do komunikowania, dlatego że on się absolutnie nie interesuje swoim bliźnim.
Trznadel: Mhm. Ja go bardzo mało znam.
Watowa: To tak jak Aleksander mówił, że jak on go spotykał – powiedzmy siedzieliśmy w Les Deux Magots, wtedy kiedy jeszcze to Deux Magots nie było jeszcze takie drogie jak teraz ((ironiczny śmiech)) – Aleksander bardzo lubił siedzieć od tej strony i patrzeć na wieżę, no, i...
Trznadel: Na wieżę kościoła?
Watowa: Tak, tak. Wiesz, tam prze przecież zachody, światło cudowne. No, i Rudnicki opowiadał o sobie. Słuchamy, słuchamy, no, i w pewnej chwili jednak Aleksander coś mówi o sobie. I wtedy Aleksander mówi: Windą elektronową Rudnicki wjeżdża na czterdzieste piętro. Już go nie ma. Bo jego to nic nie obchodzi.
Trznadel: Może tak, to może tak jest, a może to była jakaś kompensacja człowieka, który tak się czuł samotnie, że chciał, że musiał narzucać innym, kiedy już wszyscy inni...
Watowa: No tak, na ogół ludzie samotni jak mają kogoś, to zaczynają mówić, bo nie mają z kim rozmawiać i zaczynają mówić, i opowiadać. I chcieliby jak najbardziej opowiadać o sobie. Ale, może ja też jestem taka, taka gadająca? Bo też jestem taką, ale nie, ja mam już taką, troszeczkę mam wrażenie – chorobliwe też poczucie, wiesz, kosmicznej samotności. Bo mi się wydaje, że... że – no nie wiem. No, nie mówmy zresztą o tym.

497:2325634275

Trznadel: Tak, osobna sprawa, ale co w tym chorobliwego, wiesz. Jak człowiek jest sam, no to czuje się samotny.
Watowa: Tak.
Trznadel: To się nie da zmierzyć.
Watowa: Wiesz, jest się... jestem – no, powiedzmy, nawet jak jestem tam w tym Centre du Dialogue, bo to na górce, no. I tu Miłosz, nie Miłosz, albo inni jacyś ciekawi ludzie, którzy akurat mieli wykład. I jest masę...
Trznadel: Na chwilę.
Watowa: Co?
Trznadel: Na chwilę!
Watowa: I to jest ta chwila. I ja, jak tam jeszcze łyknę sobie kilka kropel whisky. No, więc świat należy do mnie, jestem szalenie... I wszyscy mnie, wiesz, tak zapamiętują. Że ja niby jestem otoczona, jestem taka – wiesz... tego. A ja tutaj wracam i spadam, wiesz, w takie straszliwe poczucie okropnej samotności. Ci ludzi ode mnie odpadają, rozumiesz? Okazuje się, że wczoraj mi mówi ta żona Valleta – zresztą bardzo miła kobieta – mówi: – „Ola, ty jesteś tak lubiana. Ty nawet nie wiesz, tyle ludzi mi o tobie mówi, ty jesteś...". Ja naprawdę, szczerze ci mówię, że ja jestem zdzwiona, że w ogóle ktoś o mnie myśli, po chwili jak ja odchodzę od tych ludzi. Bo ci ludzie też ode mnie odlatują, rozumiesz? Ci ludzie stają mi się w gruncie rzeczy obcy. No, poza, poza Miłoszem, dla którego... z którym mnie łączy ta książka. To Aleksander, to wszystko, co się stało itd. Ale na ogół to jest, to jest... nie, to jest... myślę, że to się temu, już nie da się temu zaradzić. Ale może tak jest lepiej... Ja ci powiem – tak jest lepiej, dlatego że w jakimś moim przeżywaniu tej nieobecności, właśnie w tym przeżywaniu nieobecności, w poczuciu samotności i w cierpieniu itd. To w tym wszystkim żyje Aleksander.
Trznadel: Tak, oczywiście.
Watowa: Wyobraź sobie, ja widzę kobiety, które tracą swoich mężów i potem nagle po roku – ona już w ogóle: a to wychodzi za mąż, a to ma kochanka, a to już wesolutka i ubiera się itd. itd. Właściwie ten mężczyzna znika. No, może tam sobie przypomina go, ale znika. Ale właściwie tak te trzynaście lat, to moje życie to jest właściwie ciągle poprzez niego i właściwie dla niego. Bo byłam najszczęśliwsza w końcu – jeżeli można mówić o szczęściu jak on, jego już nie było, jak siedziałam, słuchałam jego głosu – najbliżsi przyjaciele moi – Stirlingowie. Sterlingowa uważała, że ja wpadnę w okropną depresję, bo ja co dzień słucham Aleksandra. Ja mówię: –„ty

498:4119258902

tego nie rozumiesz, a ja jestem najszczęśliwsza, jak ja jestem w tym pustym domu". Ja sobie nawet tutaj chodzę i coś robię, i on mówi. I w dodatku mówi takie rzeczy szalenie ciekawe i tego... i słyszę jego głos. To jest dla mnie wielkie szczęście, wiesz, te wszystkie nagrania.
Trznadel: Tak, i w ogóle chyba tak jest w życiu, że jeżeli los pozwolił, no, wygrać coś bardzo dużego – bo się było z kimś, z kim się było naprawdę – a naprawdę wydaje mi się Olu, że to jest rzadkie, tak mi się zdaje, tak patrzę po ludziach.
Watowa: No tak wszyscy mówią.
Trznadel: To potem tym silniej – także prawem kontrastu – odczuwa się tę samotność. A z kolei ta samotność ewokuje kogoś, kto zniknął. Bo gdyby nie było samotności, więc to właściwie to są bardzo, bardzo szczególnie ustawione przeżycia, że można by to nawet jakoś starać się opisać, zanalizować.
Watowa: Tak.
Trznadel: Że to, co złe, jak powiedziałaś, jest w gruncie rzeczy do czegoś dobre.
Watowa: Jest dobre. Dlatego, że – rozumiesz – to nie jest się... ja, wiesz, takie prześlizgnięcie się po tym, jak nieraz bywa, wiesz, że szok, przeżycie, strata, wytłumaczenie sobie, że – prawda – że wszyscy umieramy. Przeżywanie cierpienia. No, ale widzę... Spotkałam taką osobę, która dwa lata temu straciła swojego męża, która bardzie cierpiała. Teraz w ogóle tylko myśli o swoich wnukach, o swoim synu, o swojej synowej. W ogóle ten mąż nawet, no, no... na chwilę nie przychodzi. Ale wiesz, jak Aleksander napisał mi w tym ostatnim zeszycie (jak ja nazywam ten ostatni zeszyt): „Błagam cię, nie rozpaczaj! Nie rozpaczaj! Pamiętaj, że..., że będą tak długo żył, póki będę żył w tobie, w twoim wspomnieniu" itd. Nie wiem, w jakim sensie on myślał, że ta rozpacz mnie może do czegoś doprowadzić, że ja przestanę – rozumiesz – żyć. Ale jednak ((z emfazą)) i on, i on wiedział, że on będzie tak długo żył, póki on będzie żył we mnie. Ale on nie może żyć we mnie inaczej – żeby nie było tej tęsknoty, żeby nie było cierpienia. I w gruncie rzeczy, wiesz, ja przeżyłam chwilę, która mnie przeraziła. Byłam u Sterlingów. Był taki wiosenny dzień. Wyszłam sama na spacer. A ciągle byłam w tym stanie, ciągle byłam w tym stanie, że nie było chwili, żebym o nim nie myślała, i żebym nie cierpiała. Wyszłam. I takie, wiesz, błękitne niebo, drzewa w pąkach, ptaki. Wiesz, takie pola, które już zaczynają się zielenić itd. Wiesz, takie ku życiu wszystko.
Trznadel: Tak.

499:9704502975

Watowa: Wiosna, wszystko się budzi. I ja, nagle! – Nie wiem, ile to trwało – ja się przeraziłam. Ja nie myślałam o Aleksandrze. Ja byłam tym zachwycona, olśniona, ja żyłam, rozumiesz? Ja byłam, ja szłam ku życiu!
Trznadel: Kiedy to było?
Watowa: To było kilka lat temu. Jakieś cztery lata może temu. Ja nagle odczułam ((z emfazą)) straszliwe przerażenie, rozumiesz? Znaczy się, że ja mogę być szczęśliwa, znaczy się, że ja mogę się zachwycać, że wszystko jest takie kolorowe. I teraz mi się przypomina, że jak Aleksander się dowiedział, że ja żyję – odnalazł mnie – to zobaczył świat w kolorach. Bo okazuje się, że póki myślał, że ja już nie żyję i Andrzej, to okazuje się, że on nie widział kolorów. I nagle dowiaduje się, że ja istnieję. Gdzieś tam, wiesz, pod Czymkentem. I nagle wszystko robi się kolorowe, i zaczyna także widzieć kobiety, ((śmiech)) rozumiesz? On to opisuje, ale tutaj ja nie myślałam wtedy o Aleksandrze w ogóle, o jego książce, tylko ja się zachwyciłam życiem, wiesz. W ogóle ja ci powiem, że na mnie duże wrażenie robi w tym pejzażu o Sterlingów – myślę, że kiedyś warto by było, żebyś tam pojechał i zobaczył ten dom, i tą olbrzymią ilość książek, wiesz, ta biblioteka wspaniała i obrazy. Wiesz, zaorane pola, te skiby takie. I ta ziemia jest tłusta i błyszczy się. Bo tam jest ta, ta ziemia jest trochę gliniasta. I wiesz, ta ziemia zaorana, taka czarna, trochę brązowa. I te kruki, które tak spadają, wiesz, gromadnie. (((teatralnie))) I ona – i taka lśniąca! I takie tłuste, takie gruby te skiby, tak się czuje, że ta ziemia taka będzie urodzajna itd. To jest bardzo piękny pejzaż – wiesz, nim, nim się nawet zazieleni. I wiesz, to moje przerażenie. I właściwie to było przerażenie w gruncie rzeczy, chyba że ja go tracę. Rozumiesz?
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: Że w tym momencie ja go straciłam ((z emfazą)) na ten krótki – ja nie wiem, ile to trwało, może to trwało sekundę, a może to trwało pięć minut, ja już teraz nie wiem – ale on wypadł z tego. Nagle – boże – jak jest cudownie! I może właśnie, że ja wychodziłam z tej takiej, z tego cierpienia i z tego opuszczenia, poczucia takiego opuszczenia i samotności, że nagle ja się tym zachłysnęłam, że jednak – wiesz – że tutaj jest taki świat wkoło mnie. I słuchaj, potem sobie pomyślałam, że trzeba pielęgnować, że to cierpienie właściwie należy w sobie pielęgnować. Jako coś, co mnie z tym Aleksandrem, rozumiesz, wiążę. Że ja – gdybym z tego wyszła, żebym ja weszła w to życie, w jakąś radość, urodę, w jakieś pejzaże itd. – to kto wie, czy on nagle by mi nie zaczął, wiesz, od mnie odchodzić.
Trznadel: Jest taki wiersz Leśmiana.

500:7933558909

Watowa: Tak?

Trznadel: Który mówi o tym właśnie, że umarli żyją w nas, ale że grozi nam, że my możemy zapomnieć, i że na tym polega tragedia, że ci umarli jakby po raz drugi mrą wciąż za mogiłą.

Watowa: Umierają. Tak.

Trznadel: „Już nie mogę przypomnieć siostry mej uśmiechu i tego, jak konając padła na podłogę, brat mglisty i niecały śni mi się w pośpiechu”[476]. W pośpiechu i już nie może sobie przypomnieć. I to jest, to jest rzeczywiście u niego to, to przerażenie. A właściwie te obie rzeczy są tak opisane. Pamiętasz przecież w *Wojnie i pokoju*, jak taki przecież młody w końcu jeszcze książę Andrzej – po stracie swojej żony, która tam w połogu umarła – nie chce żyć. A potem wiosna, te jakieś drzewo, dom czy coś takiego. Ta słynna scena.

Watowa: Tak. Ach tak! tak!

Trznadel: Przecież to jest właściwie bardzo podobne.

Watowa: Co ty mówisz? Rzeczywiście, ja sobie teraz przypominam.

Trznadel: Prawda?

Watowa: Tak. To jest podobne. Tak.

Trznadel: Tak, że...

Watowa: Widzisz, ja się, ja się tak przeraziłam, że ja, wiesz, jak gdyby potem już trochę się pilnowałam, żeby się... Nie, to znaczy ja... Nie, są te chwile takich uniesień, i że ja się trochę zachłystuję, bo jednak – wiesz – no, ja jestem bardzo wrażliwa na pejzaż, na drzewa. Bardzo kocham drzewa i w ogóle i kwiaty... Ale... Ale, wiesz co? Zauważyłam, że gdziekolwiek, cokolwiek widzę i cokolwiek ja, ten Aleksander właściwie jest ze mną. Dlatego że my tak razem odbieramy to. Bo ja zawsze myślę: – boże, jak on by się teraz tym zachwycił itd. I poza tym wiem, jak on to wszystko odbierał, jak on to przeżywał – urodę świata.

Trznadel: Nie trzeba się, myślę, bać takich rzeczy, jak ty się boisz. Mi się zdaje, że ten lęk nawet potwierdza to, że ty nie możesz tego zmienić, i nie możesz, po prostu nie możesz zapomnieć, że jeżeli jest to odejście, to ten powrót jest tym silniejszy. Bo tak po prostu życie jest zrobione. Jedni mniej są tacy, drudzy inni. Jedni zapominają.

---

[476] Już nie umiem zobaczyć siostry mej uśmiechu, —
I tego, jak konając, padła na podłogę...
Brat mglisty i niecały śni mi się w pośpiechu, —
I głosu, którym mówił, przypomnieć nie mogę.
(fragment wiersza Leśmiana „Ubóstwo” z tomiku *Napój cienisty*.

501:3063020079

Watowa: Tak.
Trznadel: Inni nie zapominają, a nawet jeśli się nie myśli, to na dnie też coś spoczywa i powrót też istnieje.
Watowa: Ty wiesz, że ja stosunkowo niedawno – może rok temu – miałam tak głębokie poczucie samotności, ale ja myślę, że – ja nie wiem. Czyżby to było jakieś stanie, jakieś już graniczące już z pewna nienormalnością, dlatego że ja wyszłam na ulicę i przede mną szedł jakiś mężczyzna. Nie widziałam w ogóle jego twarzy, nic. Jakiś taki nijaki. Ale on... a nie, może nie był nijaki, może nie był nijaki! W każdym razie widziałam jego sylwetkę i on rzucił niedopałek papierosa. I ja, wiesz, podeszłam do tego niedopałka, który był obok, ja nie musiałam, i ja położyłam stopę na tym niedopałku w poczuciu, że ja poprzez to mam kontakt z jakimś człowiekiem.
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: Więc ja sobie potem uświadomiłam stopień tej samotności. Ale dlaczego? Wiesz, jak ja, ja tobie tak mówię, bo ja wiem, że ty dużo rzeczy z tego rozumiesz, ale ja zawsze się spotykam – nigdy bym tego nie powiedziała Andrzejowi, mojemu synowi – ale na przykład jak to powiedziałam, to mnie powiedzieli, że to jest w ogóle, że ja nie mam prawa w ogóle takich rzeczy mówić! Że ja nie mam prawa! Że ja mam syna, że ja mam wnuki, że ja mam takich bliskich przyjaciół. Że ja byłam kobietą kochaną, że są kobiety, które nie spotykają nikogo w życiu – przechodzą same, rozumiesz? Mnie odbierają to prawo, to prawo do cierpienia.
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: Rozumiesz? To mnie już dawno odebrali. Dlatego, że już po śmierci Aleksandra – po miesiącu, po dwóch, po trzech – zaczęli mi mówić, że ja nie mam prawa, ponieważ ja byłam szczęśliwa. To jest rozumowanie. To jest rozumowanie – powiedzmy – Olgi Wirskiej. To będzie rozumowanie różnych takich, wiesz, że ponieważ ona jest nieszczęśliwa i odszedł tam od niej mąż, Jasiu itd. I od tej odszedł mąż, ta w ogóle nie znalazła żadnego mężczyzny i w ogóle była samotna całe życie, więc ja nie mam prawa! Ja nie mam prawa, ponieważ ja byłam szczęśliwa.
Trznadel: Bo ludzie chcą znaleźć wspólną płaszczyznę etyczną, a tej wspólnej płaszczyzny etycznej ani wspólnej płaszczy wymierności ludzkich przeżyć chyba nie ma. To prawda, co oni mówią, ale twoja prawda jest też twoją prawdą.
Watowa: No tak, to jest prawda.
Trznadel: Po prostu nie da się tych dwóch prawd przymierzyć do siebie. One są inne i wiesz, są bardzo rozmaitego typu wrażliwości, i... Oczywiście, widzisz, można by tylko jedną rzecz

502:3018348072

powiedzieć – gdzieś można by tego szukać, co nie zmienia jednak całych faktów – i cierpienia, i... Bardzo ciekawe z tym papierosem, bo to można by powiedzieć, że to jest jakby znalezienie wspólnoty poprzez przyległość. Bo nie bezpośredni, ale poprzez przedmiot, prawda?
Watowa: Tak, ale to ja ci powiem...
Trznadel: I poprzez przedmiot już rozdzielony od ciebie, to symboliczna sprawa...
Watowa: Ale tam jeszcze był ten ogienek i był dym. I rozumiesz, i ten człowiek go przed chwilą trzymał w rękach, miał go ustach, miał go w rękach, dotykał tego. Potem rzucił. On się jeszcze ćmił, jeszcze ten dymek niebieski szedł.
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: I wiesz, mnie był... jakiś, jak wyszłam z tego domu, tak uciekłam z tego domu na chwilę, że... zostaw kochanie, zostaw to, ja nie wiem, ja nie wiem... ty wiesz, że ja teraz jak widzę niedopałek, to ja myślę o tej chwili. Ja już bym teraz tego nie zrobiła, bo ja bym tego gestu nie powtórzyła, chociażby dlatego, że to już byłoby nieprawdziwe.
Trznadel: Nieautentyczne.
Watowa: Nieautentyczne byłoby, ((z emfazą)) ale wtedy to było autentyczne.
Trznadel: To mi przypomniało zupełnie co innego, a ponieważ to ma związek z papierosem... ale też kiedy nasze uczucie przenosimy na przedmioty i przedmioty stają się kondensacją naszych uczuć. Ja sobie przypominam, ja miałam siedemnaście czy osiemnaście lat, zaczynałem pisać wiersze. I napisałem taki wiersz, którego nigdy nie opublikowałem, może gdzieś on nawet go mam. A to ma związek z papierosem. Że kaleka siedzi przed kościołem, gwar miasta, mijają piękne kobiety jego.
Watowa: Tak.
Trznadel: Pali niedopałek papierosa. Mijają go piękne kobiety. Uśmiech czy skarga? Zgasił. Zgasił. Ponieważ mijały go piękne kobiety, więc już nawet nie mógł znieść, że on ma papierosa, a nie mam tych kobiet.
Watowa: Nie mam tych kobiet.
Trznadel: Zgasił papierosa. Więc to jest odwrotna trochę sytuacja, prawda?
Watowa: Tak.
Trznadel: Ale przez skojarzenie mi się przypomniało, prawda? Papieros to był jakby też dla niego pośrednikiem, ponieważ mu się to kojarzyło w ten sposób.

503:2711832772

Watowa: Tak. Wiesz, że teraz sobie uprzytomniałam w tej chwili – zauważ, ile miejsc poświęca się w filmach itd. właśnie temu zapaleniu papierosa. I to zbliżenie, prawda, kobieta zapala, mężczyzna się wtedy troszeczkę zbliża. Podaje ogień itd. To jest taki rytuał, ale wiesz rytuał, który zawsze sprzyja takiemu zbliżeniu. Wiesz, jest nawet dwoje takich obcych, no, młoda kobieta, no w filmie to jest od razu wiadomo, jaki będzie dalszy ciąg. Wiesz, jest to nachylenie, to to podanie, jest nachylenie tego mężczyzny, ten gest mężczyzny, który tu już coś dla tej kobiety, prawda?
Trznadel: No, są jeszcze inne, prawda, sceny, bo to też można spotkać, ale i w życiu można spotkać, że ktoś zapala papierosa, dla kogoś zapalił i podaje zapalonego.
Watowa: Tak. Podaje.
Trznadel: Więc to już jest bezpośredni kontakt z przedmiotem.
Watowa: Tak, to już jest kontakt...
Trznadel: Jastrun napisał taki – zresztą bardzo piękny...
Watowa: Nie tylko z przedmiotem, ale to już jest prawie cielesny kontakt.
Trznadel: No cielesny, bo to dotykało tego ciała.
Watowa: Tak.
Trznadel: Jastrun napisał taki bardzo piękny wiersz, bardzo prościutki o szklance, z której dwie osoby – mężczyzna i kobieta – prawda, piją razem i przejmuje ich ta przezroczystość szkła, prawda. Tak jakby to szkło było na tyle przezroczyste, że ich nie rozdzielało, prawda?
Watowa: Tak.
Trznadel: A jednak wiemy, że to jeszcze nie jest to, bo szkło jednak jest zimne, jest barierą. Więc są takie symbole, oczywiście. A samotność, oczywiście, że nie można wymierzyć. Nie da się tego wymierzać. Podobnie jak człowiek wrażliwy, prawda. Ktoś powie – ty jesteś właściwie wybrańcem losu, zobacz na innych.
Watowa: No tak. Na pewno o tobie masę osób mówi, że jesteś wybrańcem losu.
Trznadel: O mnie?
Watowa: Tak.
Trznadel: Aha.
Watowa: Na pewno, no na pewno. No, słuchaj, jesteś utalentowany, prawda. Poza tym, no, życie już miałeś dość bogate ((śmiech)).
Trznadel: Czy ja wiem?

504:8617679321

Watowa: ((śmiech))
Trznadel: Ja tak o sobie nie myślę.
Watowa: Tak. No, i jesteś w Paryżu. Wyobraź sobie, co w Polsce, ci wszyscy. Jak ci zazdroszczą. No, muszą ci strasznie zazdrościć! Uważają cię za wybrańca.
Trznadel: Wiesz, nigdy nie wiadomo, gdzie mieszka szczęście.
Watowa: No właśnie, właśnie.
Trznadel: Czasem nagle przypomnę sobie jakiś fragment, kiedy wcale mi się nie wydawało, że byłem szczęśliwy i po latach to wraca.
Watowa: Tak.
Trznadel: Ja wtedy byłem szczęśliwy i nie wiedziałem o tym.
Watowa: Nie wiedziałem o tym, tak... ((śmiech))
Trznadel: I nie wiadomo w jakiej sytuacji jest się szczęśliwym. Więc, więc nie można. Oczywiście, że lepiej, żeby ktoś miał życie pełne i bogate. Są ludzie, którzy rzeczywiście całe życie, całe życie nic nie mieli. Nie da się tak. Tak samo jak nie da się przekazać wiedzy pokoleniu.
Watowa: Nie.
Trznadel: Jak, jak w jakiejś, bo nawet...
Watowa: No nie da się! To właśnie znowu od Aleksandra. On mówi: – „chciałem im przekazać swoje doświadczenia".
Trznadel: Tak.
Watowa: Ale oni tego nie przyjęli. Oni musieli tą przejść, tą sama drogę od początku.
Trznadel: Bardzo trudno, bardzo trudno.
Watowa: Tego się nie przejdzie.
Trznadel: Jakąś wiedzę społeczną, coś takiego.
Watowa: Tak. Bardzo trudno.
Trznadel: Bo zresztą to są paradoksy, bo wiesz, ktoś spędził życie w więzieniach i w tułaczce – ale teraz już nie ma tego. To on, ja się nad tym bardzo zastanawiałem – w ostatnim okresie w Polsce, kiedy ja myślałem, kiedy jeszcze byłem w Polsce – o jakimś takim, no, przymierzu generacyjnym. Kiedy nawiązywałem kontakty z młodymi ludźmi, wygłaszałem referaty na takich zjazdach poetyckich itd. I właściwie moja postawa ogólna była taka, generalna, że cóż, oni to są mimo wszystko w cieplarni – bo kiedy, prawda, ja powinienem mieć szczęśliwe

505:7293820333

dzieciństwo, to na mnie bomby leciały itd. itd. itd. – a potem pomyślałem sobie, że nie wolno w ten sposób! Nie wolno nie doceniać ich, ich jakiegoś cierpienia, bo oni mi zawsze powiedzą tak: – „ale przeżyłeś. To, co było twoją nędzą, teraz jest twoim bogactwem".

Watowa: No tak.

Trznadel: „Bo my nie mamy nic! Ani bomb, ani głodu w czasie okupacji, my mamy tylko pustkę ideową".

Watowa: To oni rozumują tak, jak ja. Bo ja sobie bardzo chwalę te sześć lat. No, i szczerze.

Trznadel: No to znaczy, bo wiesz...

Watowa: Znaczy w tym sensie, że to jest...

Trznadel: To wiesz, to moje rozumowanie!

Watowa: Tak, ale...

Trznadel: Ja zacząłem nawet pisać w ten sposób, że rozpacz pokolenia, które w prawdzie nie cierpi bezmiernie, ale które też nie ma się niczym cieszyć, i nie ma przeżyć żadnych pokoleniowych, to to jest w pustce...

Watowa: Tak, żadnych. Jest w pustce, tak.

Trznadel: Poddane ciśnieniu pustki.

Watowa: Tak.

Trznadel: To to pokolenie – kto wie – czy to nie jest jeszcze gorsze.

Watowa: Czy to nie jest gorsze, tak.

Trznadel: Prawda.

Watowa: Bo myśmy... ja ci powiem. Jest sytuacja taka, trochę można sobie w tej sposób wyobrazić piekło, jak nie można walczyć. Jak człowiek odbija się w pustce. Bo, rozumiesz, wojna jest w ogóle wielką taką awanturą, awanturą w sensie... jak się po francusku mówi, wiesz – przygodą, przygodą! Dla wielu ludzi, którzy się wyrywają po prostu z codziennego życia i nareszcie, prawda, wyskakują z tego na inne tory. Ale dla mnie te sześć lat Kazachstanu to jest naprawdę bardzo wielkie doświadczenie życiowe i ogromne bogactwo.

Trznadel: No tak, pod warunkiem, że się przeżyje.

Watowa: Pod warunkiem, że się przeżyje, pod warunkiem, że jednak Aleksander wyszedł z tego więzienia, nie został rozstrzelany, że Andrzej nie został gruźlikiem itd. Oczywiście, że to się..., ale już o tym wszystkim to okazuje się, że ja, że masę rzeczy, że o masie rzeczy bym nic nie wiedziała. Słuchaj złotko, może ja ci teraz dam coś do pokrzepienia?

506:1051848148

Trznadel: No.

Watowa: Na zakończenie ci powiem, ponieważ mówimy o obrazach, to ci tylko powiem, jak działają właśnie obrazy. Wiesz, byłam młoda dziewczyną – to było na wsi, w Świdrze. Znasz Świder może?

Trznadel: Tak.

Watowa: I, proszę ciebie, był tam taki chłopak, bardzo nieciekawy. No, już nie taki chłopak, mężczyzna, jakiś – bo ja wiem – może dwudziestoletni, dwudziestodwuletni. I na takiej małej plaży ja nagle zobaczyłam tak: stopy, nagie stopy, a tutaj wiesz, poły tego takiego, takiego, wiesz, prześcieradła, kąpielowego prześcieradła. Jak zobaczyłam te stopy i tutaj to prześcieradło, w ogóle nie patrzyłam na twarz, ale to mi była od razu jakaś biblijna postać. Wiesz, te nagie stopy i tutaj, wiesz, poły tego, tego – prawda – tej, tej, takiego... jakieś togi czy czegoś. I jak wspominam – wiesz – prawie byłam bliska zakochania, wiedząc, że ma okropnie pospolitą twarz. Ale on już dla mnie, wiesz ((śmiech)) z tego obrazu wkroczył w jakąś taką legendę.

Trznadel: W mityczny obszar.

Watowa: W mityczny – tak. No – stop.

Trznadel: To tak jest. Dobrze. To..., ale wrócimy, czy już chcesz...

Watowa: To zależy od ciebie.

Trznadel: No to zobaczymy za chwilę.

Watowa: To zobaczymy.

[przerwane nagranie]

Chcesz to nagrać, tak?

Trznadel: No tak.

Watowa: Tak. Właśnie, że, ale tyś mówił o...

Trznadel: To może ja tak powiem, tak jak chciałaś wyjść od tej myśli, że jest jednak coś takiego, co nazwałbym cierpieniem jałowym i cierpieniem jakimś pożywnym, prawda? Że jednak to cierpienie pożywne, które jest takim samym cierpieniem, bo emocji – prawda – emocje żyją dla siebie i cierpi się nie mniej. To jednak powiedziałbym, że to nawet tu w cierpieniu jest jakiś wyższy rodzaj cierpienia, [sygnał ambulansu] tak że obie strony mają rację, prawda.

Watowa: Tak.

507:1482140392

Trznadel: I ty, że mówiąc, że cierpisz w sposób, prawda, straszliwy. Bo w końcu cierpienie pożywne to jest też cierpienie po utraconych wartościach, więc ono w tym jest większe, wiesz. Także tu obie strony mają rację. I ty zaczęłaś coś mówić.
Watowa: Tak. Ja zaczęłam mówić o tym, wiesz, że to nie jest tylko cierpienie z tym poczuciem samotności, ale ja mam takie uczucie – jak tak mówiłam ci o tej ziemi zoranej, o tych skibach...
Trznadel: Tak.
Watowa: Że śmierć Aleksandra stworzyła, wiesz, coś takiego... [przerwane nagranie] jak pług orze ziemię, tak mnie to cierpienie zaczęło naprawdę... ja się czuję taka przeorana, wiesz? Takie wszystko jest jak ziemia przeorana dlatego, że wszystko, co stanowiło życie nasze, co było naszym życiem wspólnym, co było Aleksandrem, co było mną, co o był stosunek nasz wzajemny, co było – wiesz – wszystko co urosło... Urosło. Może nie urosło? Może było winą, ale że ja sobie nie zdawałam sprawy z tego, rozumiesz? Że to jest jakaś wina, bardzo możliwe, że gdyby on ożył, i gdybyśmy zaczęli żyć, prawdopodobnie jestem taka, zachowywałabym się tak a nie inaczej, rozumowałabym takim, a nie w inny sposób itd. Ale rozumiesz, wszystko się nagle obnażyło, ponieważ ja nie chcę siebie samej okłamywać i mam wrażenie, że nie jest mi potrzebny psychoanalityk, dlatego że ja tę sondę taką, wiesz... Chcę na odwrót! Chcę absolutnie, żeby wszystko było wyraźne. Żeby każde, każdy najmniejszy zgrzyt, jakiś fałszywy dźwięk, wszystko w tym wszystkim, to ja to wszystko zaczęłam, rozumiesz... Wszystko wyszło na jaw.
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: Rozumiesz? Co w danym okresie nie mąciło naszej miłości, ale ja zaczęłam rozumieć, kim ja jestem. I muszę ci powiedzieć, że z całym takim, nie odczuwając to jako okrucieństwo w stosunku do mnie – na odwrót – jako oczyszczenie, wiesz – bo ja już teraz wiem, dobrze wiem, jakie mam, jakie mam wady. Kiedy zachowałam się tak, a nie inaczej, i że to nie było dobre. Chociaż to może było nawet przyjemne, może to było... Ale wiesz, co się za tym kryło, co było, wiesz, jakieś takie różne podszewki, tych przeżyć, rozumiesz? I nagle, rozumiesz, to cierpienie, to tak zaczęło... Te, te zasłony się zaczęły rozdzierać. I to wszystko, wszystko zaczęło, wiesz... To całe życie, współżycie, przeżycie – wszystko, wszystko się zaczęło. Więc to jest ogromne bogactwo, ale też ogromny ból. Ale też zdawanie sobie sprawy, że człowiek jest taki, jaki jest, wiesz.
Trznadel: Tak.

508:1085981399

Watowa: I że nie może. Zdanie sobie sprawy, że ja nie przeżywałam tego bólu z nim, dlatego, że go nie mogłam przeżywać zawsze, w każdej chwili. Każde moje wyjście, każda... każdy wyjazd do Paryża, jak byliśmy w Parc de Sceaux ostatnio. Każda wizyta: a to powiedzmy – polecę, zobaczę na chwilę, co u Andrzeja. Ale on tam leżał i cierpiał, rozumiesz? Ja wtedy nie myślałam. I to wszystko, wiesz, nawet takie fakty. Już nie, te różne uczucia jakieś... *sentiment*...
Trznadel: Ciepłe uczucia.
Watowa: Jakieś, jakieś uczucia. Wiesz, że one były jakieś, jakieś, jak gdyby zakolorowane czymś, jakimś obcym tym, czymś co się wkradało coś do tego, co ja udawałam, albo nie chciałam o tym wiedzieć, rozumiesz? Więc jednym słowem to wszystko zostało ujawnione. I oczywiście, wiesz, ja teraz, ja teraz, ja potrafię wieczorem się położyć i nagle – o! Jak błyskawica! Wiesz, jakiś, jakiś fakcik mały, jakieś słowo powiedziane. Wiesz, myśmy uciekali i słuchaj: no wczoraj, ile lat temu w trzydziestym dziewiątym roku zaczęło się rwać wszystko i nagle ja zaczęłam rwać jakieś listy. Ja porwałam listy. Jeden miłosny list Aleksandra i on mi powiedział: – „Tyś porwała ten list?". A to był jakiś taki, wiesz, taki już, takie, rozumiesz..., kiedy człowiek, taki jakiś krzyk, kiedy już właściwie coś tam się otworzyło w nim i on powiedział, że... Ale to był list bardzo taki, że ja rwąc go myślałam, że on się dostanie w czyjeś ręce, że w gruncie rzeczy myślałam o Andrzeju.
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: Że ten list, który tak obnażył go, wiesz, całego, jego stosunek do mnie, wiesz. I bardzo taki, no powiedzmy, list bardzo też zmysłowy, wiesz...
Trznadel: Tak.
Watowa: Ale taka też zmysłowa. Ja to porwałam. Ja wiedziałam, jaką ogromną przykrość ja mu, że jakbym zniszczyła, rozumiesz, że ja mogłam zniszczyć coś, co właściwie było takie żywe, rozumiesz? Bo to jest papier, to jest atrament, ale rozumiesz... to, co tam się zmieściło na tej kartce papieru to było coś olbrzymiego, co on tam... I ja, w jakiejś bezmyślności, w jakichś takich właściwie płaskich, powiedziałabym, no, żeby syn. Bo wiesz, na ogół dzieci nie, dzieci mają jakąś taką... nie chcą za dużo wiedzieć o tych sprawach, powiedzmy takich, co łączy matkę z ojcem.
Trznadel: Do pewnej chwili.
Watowa: Myślisz?
Trznadel: Tak.

509:9567475316

Watowa: Nie wiem. I rozumiesz, ja to zniszczyłam. I słuchaj, ja o tym wczoraj, wiesz, gasząc światło, tak spojrzawszy ostatni raz na jego fotografię i tego... myślę sobie – dlaczego ja porwałam te listy? I rozumiesz, to tak wychodzi, ale wiesz, z takich już, bo to się coraz bardziej oddala, wiesz?
Trznadel: Ale to jest zanotowane.
Watowa: Wiesz, to się coraz bardziej oddala, a okazuje się, że to jest coraz..., że to przypływa ta fala i wtedy to jest obecne, to jest dzisiaj.
Trznadel: To jest zanotowane, to gdzieś tam jest, po prostu nie zniknęło, tylko pokryte zostało niepamięcią. W tych opisach tych ludzi, tych ludzi którzy umarli śmiercią kliniczną, to oni mówią, jak w tych momentach – jakby poprzedzającą tę śmierć – tam się jawiły im, a potem zostali jakby wskrzeszeni, prawda. Czy wrócili do życia, jak mówi się, jawiły im się rzeczy, o których myśleli, że zapomnieli. To wszystko jest.
Watowa: Tak.
Trznadel: No, i nie ma rady, bo to, co mówisz, to jest bezpowrotność po prostu pewnych gestów. I nie ma na to rady.
Watowa: Tak.
Trznadel: Ja ci powiem, ale z pewnego punktu widzenia, przecież to jest tak: każda rzecz ma dwie strony, ten gest to był przecież dla niego, to robiłaś dla Aleksandra!
Watowa: Byłam, zrobiłam, tak...
Trznadel: Ale to zrobiłaś dla niego! Bo ty chciałaś w ten sposób ocalić intymność jakiegoś waszego przeżycia, jego przeżycia. Teraz patrzysz na to jako gest mylny, ale...
Watowa: Tak, ale ja mam wrażenie, i to teraz, i to teraz mi przychodzi, w tej chwili, że jego to może zabolało, że może ja nie odczułam, nie doceniłam do głębi tego, co on, jego przeżycia, kiedy on pisał ten list. Że dla niego to był moment bardzo ważny, i że on myśli, że ja tak drąc ten list – jako list tylko – że to go zabolało. To go bezwzględnie zabolało, to ja wiem, że wtedy, kiedy on mi to wypominał, to jego to zabolało. W tym momencie.
Trznadel: Tak jest, tylko to są takie – jakby powiedzieć – także szczęśliwe dramaty. Bo z drugiej strony można powiedzieć – szczęśliwi ludzie, którzy tak minimalne odcienie uczuciowe potrafią tak głęboko przeżyć. Bo wyobrażam sobie ludzi, dla których w ogóle nie byłoby takiej skali. Na jakich, na jakich najsubtelniejszych, najwrażliwszych skalach odbywały się wasze sprawy, tak jak między ludźmi po prostu bardzo wrażliwymi.

510:7815314039

Watowa: Tak.
Trznadel: Tak to jest, to jest niebywałe. No widzisz...
Watowa: I tak sobie pomyślałam: – „Boże święty! Żebym ja tak wczoraj, wiesz, jak leżała w łóżku, żebym ja miała teraz ten list, żebym ja miała teraz... Jakim skarbem byłby teraz ten list?”. Taki, taki... wiesz, on byłby żywy, on byłby gorący.
Trznadel: Tak. Poza tym on jeszcze miał odruch...
Watowa: Albo dzisiaj, wiesz, rano. To tak się wydaje, że taki dzień – przychodzi Jacuś, my sobie rozmawiamy, zaraz zrobię herbatę. Ale tu wisi krzyżyk, wiesz. To nie jest to, że ja jestem taka, wiesz, wierząca, czy bogobojna i tego. Ale ten biały krzyżyk, który tutaj jest – zaraz ci go pokażę – to jest taki krzyżyk, który właśnie on nosił. I ten krzyż, to przychodziły te krzyże z Londynu i – wiesz – i biblie, i rożne te do nabożeństwa książki, razem z rzeczami przesyłane. Jak on wyszedł z więzienia on zaczął. I ten, to jest bakalit, tak?
Trznadel: Bakelit.
Watowa: Bakelit. Z bakelitu, czarny. I ten krzyżyk na nim zrobił się biały, zupełnie biały. Bo ja ci pokażę – mój jest ten krzyżyk i jego.
Trznadel: Tak.
Watowa: Mój jest czarny, jego się zrobił biały. Zupełnie jak z daleka, to byś pomyślał, że jest z kości słoniowej. Wiesz, dzisiaj rano spojrzałam na niego i tak sobie pomyślałam: a, żebym pamiętała powiedzieć Andrzejowi, że jak będą mnie chować, żeby mi dali tylko ten jego krzyżyk, wiesz. Ten, który właśnie zrobił się taki biały. I rozumiesz, to niby jest tak – teraz w lipcu będzie, zacznie się... Nie! Będzie czternaście lat, bo on w sześćdziesiątym siódmym umarł. Będzie czternaście lat. I wiesz, tak człowiek się budzi, wchodzi taka myśl przemknę, potem robi sobie herbatę czy tam kawę... Nie! Ricore – żeby być tego... Ricore i miód, i ser biały. I proszę ciebie, i potem leci, załatwia różne rzeczy, i potem przyjmuje. I rozumiesz, i taka myśl, no, to jest myśl, a przecież to jest ważna myśl. A ta myśl właściwie – ona nie jest nigdzie odnotowana, teraz ją odnotowuję, ale ona nigdy nie będzie odnotowana ani ten list, o którym wczoraj myślałam. To są takie, wiesz, to jest – ja ci powiem – że to jest, w ogóle nasza pamięć i w ogóle to, co się w nas dzieje, to jest jakaś wielka tajemnica. Niby dlaczego, dlaczego to teraz, dlaczego to dziś, dlaczego jeden właśnie tak przeżywa, a drugi zupełnie inaczej? No nie wiem, trudno. Teraz czuję, że już będę... zakałapućkam się. No nic, troszeczeczkę się. No to już skończymy na tym krzyżyku.

511:1051289169

Trznadel: Koniec nagrania 27 marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt jeden.
29_Fon.61.714 Strona A
Watowa: ((śmiech))
Trznadel: To może data. Dwudziesty dziewiąty maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt jeden. Początek nagrania.
Watowa: Tak. Ale czyś ty sprawdził, czy to się nagrywało tam? Czy to się nagrało, tych kilka słów?
Trznadel: U mnie?
Watowa: Tak.
Trznadel: Nie, nie. U mnie się na pewno nagrywa tam, bo jest wszystko włączone.
Watowa: No, to dobrze.
Trznadel: I tu się też nagrywa. Tak więc mówiliśmy, że chciałabyś jeszcze powiedzieć parę słów o tym epizodzie włoskim związanym z Padre Pio.
Watowa: Z Padre Pio. No, więc może wrócę jeszcze przed, przedtem wrócę – bo tak – wizyta do Padre Pio, właściwe jej źródło to jest Taormina, ale zaczęło się już w Rzymie, bo [przerwane nagranie] jest blisko bardzo Padre Pio. I to nie tylko z ust przygodnie spotkanego, wiesz, sąsiad, z przygodnej rozmowy z sąsiadem. Przy sąsiednim stoliku w jakiejś restauracyjce włoskiej, który nam mówił cuda, że był w jakimś okropnym stanie po stracie swoich rodziców i depresji itd. No, i pojechał do Padre Pio, mówił o tej aurze, która go otacza, że ma się wrażenie, że, że, że – właściwie nie wrażenie, ale że pachnie, zapach się unosi lilii i fiołków itd. Róż. Tak. No, i że wystarczyło, że on mu położył rękę na głowie i pobłogosławił, żeby ta cała rozpacz, prawda, po stracie tych rodziców, żeby to wszystko w nim złagodniało, i że on się pogodził z życiem, a był właściwie w takim stanie, że nachodziły go myśli samobójcze. Ale byliśmy u Ignazio Silone z wizytą, który był zaprzyjaźniony z Aleksandrem. I Ignazio Silone radził Aleksandrowi to, żeby on jednak – jak będzie mógł – żeby on jednak z tym Padre Pio się zobaczył, że on jakiś jednak jakieś tam cudowne zdarzają się uzdrowienia. Rozumiesz? Że trzeba było już we właściwie we wszystko zwątpić, żeby szukać takiej drogi. No, więc przyjechaliśmy do Taorminy i tam się tak złożyło, że poznaliśmy taką osobę, Włoszkę, Sycylijkę, jakąś współwłaścicielkę czy też pracująca jakoś u krewnych w bardzo dużym hotelu, która jeździła do Padre Pio jakieś dwa razy do roku, zawożąc mu chorych z Taorminy, prawda, i z okolicznych tam... na właśnie te cuda, takich nieuleczanych. Więc zbliżyliśmy się z nią. Ona wiedziała, że Aleksander tak bardzo

512:5677625032

cierpi, no, i zaczęła od tego, że nam przyniosła rękawicę. Rękawicę taką – jak to się nazywa – taką szorstką... włosienicę! Wiesz.

Trznadel: Tak.

Watowa: Padre Pio, który nosił tę rękawicę z włosienicy, które zresztą podrażniało mu tę ranę. Nie ranę, tylko stygmaty, które miał na rękach. I ta rękawica była przepojona jego krwią. Stara krew, która ma zapach bardzo nieprzyjemny. I w tej swojej takiej ślepej wierze powiedziała Aleksandrowi: - „Niech pan spróbuje. Niech pan sobie przyłoży tutaj, do tych bolących miejsc". Wiesz, ta, ta... lewy policzek. I czoło i oko, żeby sobie przyłożył tę rękawicę. I ja się wtedy zachowałam bardzo egoistycznie, bo wiesz, zapach tej krwi [przerwane nagranie] tak, tak, wiesz, przyprawiające o jakieś mdłości, że ja zupełnie tego nie wytrzymywałam. Z jednej strony, wiesz, te zapachy taormińskiej nocy, które wchodziły. Zapachy rzeczywiście tych kwiatów, migdałowych drzew. Tutaj wiesz, ten mdlący, okropny zapach stary, przesiąknięty krwią. Nie mogłam zasnąć i powiedziałam Aleksandrowi: - „Słuchaj, ja chyba otworzę okno, to jest okropne". No, i on w pewnej chwili zdjął to. Wiesz, poza tym widok Aleksandra, wiesz, tego Aleksandra, którego ja znałam, który nagle – to było coś tak tragicznego, że on uwierzył... Jego wiara! Ta chęć uwierzenia, że rękawiczka może mu pomóc, że ta krew może pomóc... to było coś tak żałosnego, smutnego, tragicznego! W zestawieniu, wiesz, z mentalnością, zmysłowością tego człowieka, że to było podwójnie dla mnie nie do zniesienia. Ja się nie mogłam pogodzić z Aleksandrem, który wierzy, że jemu, wiesz, przyłożenie tej rękawiczki pomoże. Poza tym to, co zapanowało, co zaistniało między nami – ten zapach, ten natarczywy, okropny zapach wchodzący w nozdrza... po jakiejś godzinie, dwóch, przypuszczam, że Aleksander widział, że to na niego nie działa. Może ja przeszkodziłam temu cudowi – nie wiem – ale on dał mi te rękawiczkę i powiedział: - „No to wyłóż ją za okno. Bo trzeba by było ją zwrócić". Tak, że wiesz, nie mam... nie mam, cały mój prawdopodobnie egoizm, niecierpliwość itd. tutaj się ujawniły. Niemniej on postanowił do tego Padre – już jako ostatnia taka, taka jakaś ucieczka - postanowił pojechać. I z Taorminy, któregoś dnia... A! Jeszcze było spotkanie z takim jakimś – zresztą z pochodzenia Polakiem – który tam ma jakieś hektary drzew pomarańczowych, gdzie nas zawiózł – zresztą bardzo to piękne i pachnące – który też nam mówił o Padre Pio. Więc przyjeżdżamy do tego – właściwie miasteczka, które dopiero powstało koło tego klasztoru – taka wiesz, pustynia... właściwie piaszczysta, nieurodzajna, na której nic się nie rodzi. I widzimy tych biednych ludzi, którzy właściwie wszystko – rozumiesz, wtedy, kiedyśmy przyjechali to już było

513:6898931323

jakieś prawie, że dobrobyt, bo w koło tego klasztoru były stragany wokoło. Wszędzie z wizerunkiem Padre Pio jakieś tam... komunia itd. itd. Jego słowa. No, kilka hoteli, które tylko były wybudowane dla tych, którzy przyjeżdżali po cuda i tłum – wiesz – ludzi, którzy przyjeżdżali z całego świata, Amerykanie itd. Zresztą Amerykanie – wyobraź sobie – wybudowali tam szpital dla ludzi, którzy z całego świata przyjeżdżali. Właściwie szpital był tylko po to, żeby do tego szpitala przychodził ten Padre Pio i on swoim zjawieniem się, dotknięciem, słowem będzie ich leczył. Otóż jakeśmy poszli po dwóch dniach do tego szpitala, żeby go obejrzeć – to był szpital cały z marmuru. Szalenie ten marmur ((z emfazą)) taki zimny, wiesz. Nie było ani jednego kwiatka, ani jednej – wiesz – doniczki z jakimś listkiem zielonym. I Aleksander się wdał w rozmowę z siostrą przełożoną i zapytał się, ile razy już tu był Padre Pio itd. Okazało się, że on ani razu nie był. No, więc jak to się dzieje? No, dzieje się tak, że on ma te zdolności, wiesz... rozdwajania się. To ma specjalną nazwę. Wiesz, ja pamiętałam to, że on tam przychodzi do tego szpitala – on tak jakby... wiesz, ten duch jego tam przenosi się, i że on jest tam obecny. Więc rozumiesz, ci ludzie, którzy wydawali, a jemu się po prostu – nie wiem – czy nie chciało tam wychodzić z tego swojego klasztoru czy w ogóle. Bardzo, bardzo! – zresztą zaraz ci opowiem spotkanie z tym Padre Pio. Także to już było, to obejrzenie szpitala to był już dla mnie gwóźdź do trumny, wiesz, bo to już, to już potwierdziło moje ustosunkowanie się do tego człowieka. No, więc przyjeżdżamy. Wiesz, hotel oczywiście taki ascetyczny. Nagie ściany, tylko krzyż wisi. Te dwa wąskie łóżeczka, wiesz, nakryte czymś białym. No, więc wchodzisz, jak do jakiejś bardzo ascetycznej celi. Więc ja zostawiam Aleksandra i biegnę do takiego Padre Agostino, innego Padre, który mówi po francusku, z listem właśnie od tego, od tej która tam jeździ ciągle, i od tego Polaka od pomarańczy. On bardzo kulturalny, miły człowiek, mówi po francusku. Powiedział: - „Proszę panią, to ja już wiem, co oni tam napisali". Że to jest poeta polski itd. Tak, żeby on był jakoś zaangażował się w to. Bo tam trzeba było nieraz siedzieć dwa, trzy tygodnie, żeby do niego dotrzeć.

Trznadel: Tak.

Watowa: Co oczywiście przysparzało pieniędzy tym hotelarzom, tym kioskom itd. Cały przemysł się rozwinął wokół tego. Więc Padre Agostino mówi, że on to wszystko załatwi, żeby było jak najprędzej, żeby już następnego dnia Aleksander był przyjęty. Przychodzi do nas i powiedział, i mówi, że Padre Agostino przyjmie na chwilę Aleksandra w klasztorze. Nie mnie, ale Aleksandra. Aleksander poszedł do klasztoru, Padre Pio wyszedł ze swojej celi – wiesz – taki

514:5075522079

duży chłop sycylijski! Który w ogóle... Aha! Jeszcze co nam mówiono! Jak ja z nim będę mówił? – pyta Aleksander. Więc już wiedzieliśmy, że on w ogóle rozumie tylko dialekt sycylijski, rozumiesz? Nawet po włosku dobrze nie mówi. Ale nam na to wszyscy odpowiedzieli, że w jakimkolwiek języku do niego powiesz, to on wszystko rozumie oczywiście, ponieważ on wszystko wie, wszystko rozumie.
Trznadel: Dar ducha świętego!
Watowa: Tak. Nawet po rosyjsku, jak do niego powiesz, on będzie wiedział o co chodzi. Okazało się tam, że on przywitał Aleksandra, już wiedział, że on jest z Polski. No, i mówi mu tak – tak rubasznie, wiesz, takie chłopisko duże, chłop! – No jak wy tam sobie z tymi sowietami czy bolszewikami – czy coś takiego powiedział – radzicie? No, Aleksander był trochę zdumiony tym pierwszym pytaniem, ale powiedział mu, że tak radzić, to sobie bardzo tam nie radzimy ((śmiech)). Wiesz, i taka bardzo krótka rozmowa. Raczej taka, wiesz, niezdradzająca jakiejś wzniosłości ducha. No, i potem on tylko położył, wiesz, rękę położył na głowie Aleksandra, przymknął oczy i Aleksander poszedł. I powiedział, żeby następnego dnia przyjść na mszę o piątej rano. On pierwszą mszę odprawiał o piątej rano. Myśmy tego dnia zauważyli takiego chłopaka, takiego beatnika, który wiesz, przyjechał – nie wiem – czy z Ameryki czy z Anglii, który tak biegł tam z innymi ludźmi po tych ulicach i śpiewał jakieś takie, takie dziwne piosenki. Ale takie trochę inne niż, taki dziwny, taki... nie wiem co mu tam było, że on przyjechał do Padre Pio, że przyjechał szukać u niego pociechy. Ale bardzo sympatyczny chłopak. A w tym hotelu od razu zauważyłam, że jest rodzina – małżeństwo z dzieckiem. Jakaś babcia i dziadek. Wiesz, cała rodzina się zjechała. I to była dziewczynka kilkuletnia, która nie chodziła – bezwład nóg. Ale już taka, wiesz, może nawet miała już z pięć, sześć lat. Duża dziewczynka, którą ciągle ci rodzice nosili na rękach. I wiesz, to czekanie na to przyjęcie, więc to zostawmy na razie na boku. Więc idziemy na piątą rano. Więc wiesz jak Włosi się zachowują w tym kościele. Padre Pio, który się tam odgania od much. Żadne lilie nie pachną ani, ani róże. Na odwrót. Ja – która szalenie jestem wrażliwa na zapachy. Myśmy blisko usiedli, to już mi się wydaje, że ja mam..., że ja czuję ten zapach krwi. No, i to chłopie, wiesz, ten beatnik, który tylko chce być jak najbliżej niego. I w pewnej chwili podczas nabożeństwa ten się tak odwraca. Jak go nie kopnął nogą, wiesz, tak. Żeby on tam – po włosku powiedział – żeby on nie plątał mu się tu.
Trznadel: Pio?

515:1030718381

Watowa: Tak. A ja, wiesz, obserwuję, patrzę, ale nie dzielę się z Aleksandrem, bo wiem, że on ma mieć tą... nie wierzę, absolutnie nie wierzę! Więc nie chcę, wiesz, nie chcę żadnej rozmowy, żeby już nie osłabiać mu tego, co on oczywiście sztucznie w sobie jakoś, wiesz, pielęgnuje, żeby wywołać ten cud. Po obiedzie mówi mi ten Padre Agostino, który się już nami opiekuje, mówi, że: - Niech pani przyjdzie na takie wspólne błogosławieństwo, które będzie w klasztorze. A jeszcze nie Aleksander. A Aleksander ma być u niego oddzielnie, na takiej, jak gdyby spowiedzi, w ogóle rozmowie, w kościele. Ja idę do klasztoru. Tam już jest tłum kobiet, ale ja jestem tuż koło tej matki, z tym dzieckiem, które nie chodzi. Więc jest ojciec. Ojciec chce wziąć na rękę to dziecko, matka nie daje, bo ona chce podać, wiesz, to dziecko.
Trznadel: Aaaa!
Watowa: Ugina się pod ciężarem tego dziecka i nagle wchodzi Padre Pio. I tutaj te wszystkie kobiety zaczynają go oczywiście całować po rękach. On je tam tak poklepuje [dźwięk poklepywania], wiesz, po ramieniu. I nagle – wiesz – jak on się tak zbliża do nas, to ta kobieta pada, wiesz, na kolana przed nim i tak mu podaje, wiesz, widać ten wysiłek jej, podaje mu dziecko. I wtedy ja już wpatrzona, wiesz. I on tak, wiesz, krzyż, znak krzyża zrobił. Nic tej kobiecie nie powiedział ani słowa! Nie zatrzymał się nad nią! Tylko dał jej ten tam, ten znak krzyża robi, klepie te kobiety, ten tłumek się tylko. Ja, wiesz, nasze spojrzenia. A ja spojrzałam prawdopodobnie na niego prawie z nienawiścią, bo on tak, zatrzymało go moje spojrzenie, wiesz... Bo ja już, wiesz, ta kobieta, to już tam. I potem Padre Agostino, który asystował, powiedział, zapytał go czy on mnie pobłogosławi. Tak powiedział: „czy panią Watową?". Że on już wiedział: Wat, Watowa. Madame Wat. Tam signora. To on tak spojrzał na mnie, wiesz, jeszcze raz i powiedział: - „Tak". I rozumiesz, bo to nie było... rozumiesz? Ale to nie było? Bo tamtem myślał, że on mnie specjalnie tak powiedział, ale on powiedział, ale mnie nie pobłogosławił, rozumiesz? Ale znaczy się – to było takie niby ogólne. On tam machał, wiesz, te krzyże na wszystkie strony, więc mogłam się uważać za pobłogosławioną. No, i następnego dnia Aleksander ma być przyjęty, wiesz, przez niego w kościele. Tam, gdzie – wiesz – gdzie się spowiadają... Jak się nazywa ta? Tam, gdzie ksiądz spowiada? To ma nazwę specjalną?
Trznadel: Tak.
Watowa: Tez zapomniałam, widzisz.
Trznadel: Konfesjonał.
Watowa: Przypomnę sobie.

516:7321349709

Trznadel: Konfesjonał.
Watowa: Konfesjonał. Tak. Przy konfesjonale. Więc Aleksander idzie i on od razu pierwsze pytanie jego: kiedy się Aleksander ostatni raz spowiadał? No, a Aleksander powiedział, że się nigdy nie spowiadał. No, i tutaj, wiesz, tak, jak opisują, jak się szatana zobaczy, jakiegoś diabła z rogami. Ten prawie, że wyskoczył z tego konfesjonału i zaczął go, wiesz, odpędzać, jakby diabła zobaczył rogatego. Jak ona śmie w ogóle się mu zjawiać na oczy? Jak on śmie tutaj do niego przychodzić? I żeby się wynosił! Ja czekam w tym strasznym hotelu, wiesz, czekam na niego. I Aleksander przychodzi, wiesz, taki... od razu się położył na łóżku, no, i powiedział: - „wiesz, wypędził mnie". Czyli już możemy wracać. Żadnego tu..., ale dla niego oznaczało to wtedy – żadnego cudu nie będzie. Cierpiałem, cierpię, będę cierpieć do końca dni moich. I tak dalej. Więc to, co by go normalnie, jako normalnego Aleksandra Wata niesłychanie ubawiło i posłużyło do... do prawda, jakichś bardzo takich szybkich – jak to on – notatek na dłoni od razu, wiesz, na papierku. To tu jednak było takie, wiesz, po prostu sonda taka w to swoje cierpienie i w swój los. Ten straszny los życia z tym cierpieniem, które nie jest moje.
Trznadel: Tak, to takie wydarzenie mi się skojarzyło, że to na linii wielkich spowiedzi odbytych we Włoszech, jedna rzymska spowiedź Mickiewicza u księdza Jełowickiego – którą opisał Krasiński – że ten człowiek taki dumny, a ryczał, prawda, jak jakiś zarzynany zwierz. I trwała ta spowiedź, i trwała. Jakby ta druga spowiedź Aleksandra Wata, do której nawet nie doszło, prawda, bo został odpędzony.
Watowa: Odpędzony. A tamten ryczał?
Trznadel: Tylko, gdzie tu jest różnica – wyspowiadał się i ryczał.
Watowa: Aha.
Trznadel: Mickiewicz.
Watowa: Ale ryczał ten spowiednik?
Trznadel: Nie, Mickiewicz ryczał, po prostu podobno krzyczał!
Watowa: Krzyczał! ((śmiech))
Trznadel: Tak. Więc jedna spowiedź człowieka-heretyka, a druga jakby próba spowiedzi bezbożnika, tak? Ale, który jednak jakąś tam wiarę miał, bo przecież...
Watowa: No tak, bo...
Trznadel: Nie naiwnie do tego podchodził tylko...
Watowa: Nie, nie!

517:8603562572

Trznadel: Mówisz, że był szczery, myślę, że on to samo myślał co ty, tylko zrobił jakąś próbę wiary.
Watowa: Tak. Z tym, że nie zapominajmy o jego przeżyciach, tych mistycznych.
Trznadel: No właśnie.
Watowa: W więzieniach sowieckich, które na pewno, wiesz, w jakimś okresie musiały się...
Trznadel: No, i każde z nas wie w końcu, że są rzeczy dziwne i chciałoby się uzyskać...
Watowa: ((prawie szeptem)) Uzyskać łaskę, której się nie uzyskuje albo bardzo rzadko. Rozumiesz, wtedy to wszystkie moje obserwacje, do tej pory to, co nie chciałam Aleksandrowi mówić, żeby mu nie przeszkadzać, widok tego Aleksandra... Powiedziałam mu tylko: - „wiesz Ol, no nic, nic to nie ważne. Ja zaraz wyskoczę i przyniosę ci coś do picia". Chciałam jak najprędzej, wiesz, wyjść i wyszłam. I tutaj było bardzo dziwne przeżycie moje, bo wyobraź sobie, że ja w tej strasznej jakiejś nienawiści nagle podniosłam dwie pięści tak w górę do pana boga i powiedziałam tak: niech we mnie piorun trzaśnie, wolę, żeby coś takiego, wolę, żeby piorun we mnie trzasnął, ale żebym nareszcie – wiesz – wiedziała, co jest prawdą. Coś takiego, wiesz, że niby, żeby mi się to objawiło. I wyobraź sobie, nie myśl, ja nigdy nie miałam żadnych halucynacji. Ja w ogóle jestem z natury, wiesz, jestem depresyjna, jestem dość nerwowa, mam tam swoje *angoisse*'y[477] różne itd. Ale wiesz, to co się nazywa, żebym słyszała głosy, czy żebym widziała – nigdy! Nigdy! Nigdy! Chwała bogu, nigdy czegoś podobnego! Wiem tylko... Słuchaj, jakem powiedział, żeby piorun we mnie trzasł, i żeby ta prawda mi się objawiła – słuchaj, jak trzasł piorun!
Trznadel: Trzasł?
Watowa: Trzasł! Ale wiesz, ja bym jeszcze nie wierzyła prawdopodobnie, że ten piorun trzasł. Słuchaj, siarka, to o czym nawet bym nie mogła myśleć, zapach siarki. Zapach siarki, wiesz, taki jak podobno jak piorun trzaska, tam, gdzie jest ten ogień, wiesz, że podobno jest ten zapach. Ale ja – słuchaj – więc nie tylko ten straszliwy huk, ale taki piorun, co to tak koło ciebie, ale wiesz, tutaj ja czuję, że mi wchodzi do nosa ta siarka.
Trznadel: Ale to był prawdziwy piorun, czy taki wewnętrzny?
Watowa: Nie, to był huk, słuchaj. Więc o to chodzi. To było przed hotelem. Wiesz, tak się wychodziło, taki kawałek do tej ulicy. Jakieś tam drzewa rosły wątłe. I widziałam z daleka ludzi

[477] Fr. *angoisse* - boleść, niepokój, obawa.

518:9829361185

przechodzących. Ja nie znałam języka włoskiego, bo ja miałam taki odruch, żeby może nawet nie od razu, może potem, po chwili, żeby zapytać tych ludzi, czy ten piorun był. Ale ja...

Trznadel: A niebo było jakie?

Watowa: Była normalna pogoda. Normalna. Bez deszczu, bez... nie padał deszcz.

Trznadel: Ale chmury były? Słońce?

Watowa: Wiesz, to były, to wygląda mi na to, że jeżeli może było lekko zachmurzone niebo, nie mogę ci powiedzieć, czy było słońce czy nie, ale było to, co się nazywa normalna pogoda, kiedy się wychodzi. Ale, że ten huk przeraźliwy był, i że jeszcze na dodatek, żeby mi... żeby mi uświadomić... Ten zapach. Bo skąd ten zapach siarki, który ja, no, miałam, miałam tu w nozdrzach, miałam tę siarkę i z tą siarka szłam do Padre Agostino. Bo nie poszłam, wiesz, żeby mu kupić, tylko poleciałam do Padre Agostino. W tym, wiesz, taki, w jakiejś, z tym uczuciem nienawiści do tego Padre Pio, i z tym bólem dodatkowym, i z ta jeszcze jedną zawiedzioną nadzieją. Wiesz, że musiałam to wyładować. Poleciałam do niego. Oczywiście nie mówiąc mu nic o piorunie ani o tym wszystkim, tylko wyrzuciłam tak z siebie, że on musi już iść do Aleksandra, że to są rzeczy niemożliwe, że się stała taka straszna rzecz. Że ten człowiek, który cierpi, cierpi tak i od tylu lat itd., że on go... No, i on od razu ze mną poszedł do Aleksandra i powiedział mu to, co w skrócie mogę ci powiedzieć, to powiedział to, że nie jest ważny Padre Pio. On miał zresztą sam, od razu wiesz, wyczułam jego stosunek, że nie był taki, wiesz, pozytywny na sto procent tego, Padre Agostino. I powiedział: - „nie jest tylko ważny Padre Pio, ważny jest Bóg i Chrystus".

Trznadel: Tak, narzędziem on tylko był.

Watowa: Tak. No, więc, i... Powiedział: - „ja będę z nim mówił" – bo on jednak nie chciał, żeby Aleksander tak wyjechał. Porozmawiał. Padre Pio kazał mu przyjść – Aleksandrowi. Ja bym nie poszła. No, ale on jednak do niego poszedł i on go, wiesz, pobłogosławił na drogę. No, i wtedy ja szybko zaczęłam, wtedy jeszcze obejrzeliśmy... Aha! Wyszłam z nim, bo tam jakiś autobus odchodzi tam raz dziennie z tego... To wiesz, tam jest Golan, wiesz, Góra Golanu[478], o której Aleksander pisze w „Piecyku".

Trznadel: Tak.

Watowa: O tej Górze Golan.

Trznadel: Tak. To była bardzo istotna..., to była wielka historia.

[478] Właściwie Wzgórza Golan

519:6034685461

Watowa: I myśmy na tą Górę Golan patrzyli. Właśnie, że... to łatwo stwierdzić, jak się ta miejscowość nazywała, ale miejscowość, wiesz powstała w gruncie rzeczy, bo tam były na takich, takich...

Trznadel: Ale w jakiej to było okolicy Włoch?

Watowa: No, na Sycylii.

Trznadel: Na Sycylii.

Watowa: Na Sycylii. Tak. Wtedy nagle zauważyłam robotników pracujących, wiesz, przy ubijaniu jakiejś drogi, takich nędznych, zagłodzonych, takich wysuszonych tych robotników. A ci wszyscy, te mnichy, to wszystko takie z brzuszkami – ((teatralnie)) i tylko rękę ci wysuwają do pocałowania – wszystko takie utuczone, takie pyzate, pyzate. No, i potem zwiedziliśmy klasztor. Taki zimny, taki... Nie klasztor, a szpital!

Trznadel: Tak.

Watowa: Te marmury takie bogate, co to Amerykanie uważali, że już trzeba dać marmury. No, i ten Padre Piro, Pio, który nigdy nie przychodzi. I to mówię: - „Patrz Ol, tu nie ma ani jednego listka zielonego". Nic. Wiesz, takie jakieś bez, bez, bez duszy, bez ducha, bez boga, bez niczego. No, i oczywiście jakeśmy wsiedli do autobusu, który nas odwoził właśnie do Taorminy, to już tam wszyscy zaczynali mówić o zapachu fiołków i lilii, ((śmiech)) który się unosił nad Padre Pio. Ale już nie ja i Aleksander. Ja w ogóle nigdy, a Aleksander też tylko przyjął to do wiadomości, że te, tego... No, i tak był.

Trznadel: Interesujący jest jeszcze ten zapach... Widocznie to jest dla tych wszystkich przeżyć mistycznych, jest w takim wierszu Mickiewicza *Śniła się zima*, i kończy się tym zapachem róż z Palatynu, który ulatuje.

Watowa: Róż z Palatynu.

Trznadel: Tak, także to można traktować, że ten zapach przecież jest, no, jakimś mitem, prawda, przez wieki idącym, że on towarzyszy jakimś przeżyciom.

Watowa: Tak. A poza tym, widocznie, że do przeżyć, do przeżyć nam może zapach bardzo przeszkadzać. To znaczy, że jak ty masz rękawiczkę brudną, przepoconą, nasyconą krwią – nie wiem, może gdyby ta rękawiczka była pachnąca, żeby rzeczywiście z tej rękawiczki ten zapach, który się nad Padre Pio jakoby unosił – lilii i róż, i fiołków, ulatniał się, to może ja bym, wiesz, ja bym inaczej. Poza tym nie mogłam wejść w jakieś przeżycie z takim zapachem.

520:1061524201

Trznadel: Rozumiem, ale może Aleksander myślał, że trzeba przez piekło przejść, ten zapach to jest piekło.
Watowa: Ale to, że on, on to mógł w ogóle znieść, wiesz, że on to przyłożył do swojej twarzy. Wiesz co, tak trochę mi się wydaje, że jak gdyby do mojej przykładał, rozumiesz? To była jednak straszna rozpacz, wiesz, to już było... to już schodzi się na takie dno rozpaczy, kiedy człowiek się już chwyta rzeczywiście wszystkiego, żeby, żeby, żeby uwierzyć, że może być inaczej. Tak że *voila*! To jest ten Padre Pio. A o tym wspomniał – ja przypominam sobie, ale przerażona jestem tym zanikiem mojej pamięci, dlatego, że przypominam sobie, że gdzieś właśnie w jakimś *Dzienniku pisanym nocą* u Herlinga...
Trznadel: Tak. U Herlinga-Grudzińskiego. Ale to dość pobieżnie.
Watowa: Tak, ale on tylko... Bardzo pobieżnie. Nie wchodząc...
Trznadel: Nie, nie, nie!
Watowa: Ale on miał ogromny, wiesz, rozgłos. No, wiesz, taki Ignazio Silone, w końcu dobry włoski pisarz. W ogóle bardzo taki światły człowiek, który radził jednak Aleksandrowi. I też na pewno bezbożny, wiesz.
Trznadel: Tak.
Watowa: Nie był wierzącym człowiekiem. że jednak mówi: - „Wie pan co, niech pan spróbuje. Bo tam, bo są ludzie, którzy opowiadają, że on tam jakieś cuda sprawia”... Był tam jeden człowiek, w Taorminie, na którego zwróciliśmy uwagę. To był właściciel takiego sklepu z upominkami – wspomnienia z Taorminy itd. Myśmy zauważyli, że on tutaj, po lewej części twarzy, on miał, wiesz, tak nosił taki kapelusik, jakąś czapkę od słońca i tutaj miał taki kawał czarnego jakiegoś materiału, który mu zwisał. I nieraz wybiegał z tego sklepu i zupełnie jak szalony latał tam i nazad tam przy tym. No, i Aleksander zapytał co jest, dlaczego on się tak zachowuje. A on mówi: bo ja tak strasznie cierpię. I on – to był jedyny człowiek spotkany w ciągu kilkunastu lat, który miał ten typ ataków, co Aleksander, i który tak cierpiał. Ale to był człowiek rzeczywiście, który był już zupełnie oszalały z cierpienia, i który sobie, wiesz, powiedział, że jak on nosi ciepłą taką jakąś szmatkę, że to...
Trznadel: Tak.
30_Fon.61.714 Strona B
Watowa: ...który sobie, wiesz, powiedział, że jak on nosi ciepłą taką jakąś szmatkę, że to go grzeje. Wtedy Aleksander mu poradził – bo wiesz, to tak jak myśmy byli w Nieborowie,

521:7969615601

ponieważ on wszystkiego próbował, nagle zobaczył żywicę na drzewie wiśniowym. I wziął tą, wiesz, żywicę, która spływała i sobie posmarował tutaj ten lewy policzek. Powiedział: - „wiesz, to przynosi ulgę". Czy to go chłodziło i co to było? Bo to był taki piekący ból.

Trznadel: Tak.

Watowa: I on temu przy mnie powiedział: - „Wie pan, ja zrobiłem takie i takie doświadczenie, że – jeżeli macie tutaj drzewa wiśniowe – to niech pan tę żywicę". Nawet Aleksander przemyśliwał, jak można taką żywicę tam zebrać, wiesz, do jakiegoś... ale żywica zasycha, wiesz, krzepnie. Jak to można...

Trznadel: Tak, zbiera się przecież żywicę.

Watowa: Tak. Ale co myślisz o mojej siarce? ((śmiech))

Trznadel: [sygnał ambulansu] No wiesz, myślę, że, że to było prawdziwe, ale czy to było prawdziwe w rzeczywistości? Czy to było prawdziwe w Tobie? – Nie wiem. Ale tak czy inaczej, to niezwykłe.

Watowa: Bo wiesz, to co ja powiedziałam, że ja nie wywoływałam piorunu. To nie było takie, że chcę, żeby ten piorun. Ale tak, z takim, pomyślunek był we mnie, że bym wolała, żeby piorun we mnie trzasł, a żebym ja się rozeznała, wiesz, żebym ja coś wiedziała.

Trznadel: Rozumiem. Taki obraz, tego typu, tego typu wyzwanie, wyzwanie, wyzwanie jest w świetle dziennym, jest w „Dolinie Issy" Miłosza. [sygnał ambulansu] Tam jest taki chłopak, który chce stwierdzić, czy bóg jest. Wobec tego hostię bierze i przekłuwa ją jakimś szydłem, bo uważa, że jeżeli bóg jest to spuści na niego piorun, a piorunu nie ma.

Watowa: Tak. Patrz, że ja stosunkowo niedawno czytałam *Dolinę Issy* i już nie pamiętam. Wiem, że jest taki chłopak...

Trznadel: Siedzi nad rzeką na jakimś kamieniu.

Watowa: Tak.

Trznadel: On przyjął komunię, a potem tą hostię do chusteczki wypluł i potem...

Watowa: Aha, tak, widzisz, teraz...

Trznadel: Próbował czy spadnie piorun, bo to będzie namacalny dowód.

Watowa: A ciekawe, że jednak ten, więc skąd ja ten piorun? – znaczy się musiałam..., to znaczy nie, wtedy nie, prawdopodobnie, bo ja w ogóle tą *Dolinę Issy* to stosunkowo niedawno.

Trznadel: Być może jest to jakiś pierwotne w człowieku, to wyzywanie pioruna, no.

522:3960143683

Watowa: Coś pierwotnego. Nie, bo to były te może te pierwotne o tyle, że to były te, te, gromy z jasnego nieba, które pan bóg właściwie ten grzmot, piorun się łączył jednak z bogiem. Czy to był Zeus czy był inny bóg, ale to był, jakiś coś, co przerażało ludzi, coś co pochodziło od, od jakiejś tajemnej siły. Chyba to, nie?
Trznadel: Tak, tak. Piorun jest znakiem boskiej władzy.
Watowa: Boskiej władzy?
Trznadel: No tak. Boskiej kary.
Watowa: Tak.
Trznadel: Sądy boże, gdzie piorun uderzał w bezbożnika – dużo tego jest w literaturze.
Watowa: Tak, tak.
Trznadel: Ktoś wyzywa, piorun i piorun!
Watowa: Tak! ((śmiech)) No, więc widzisz, no ja, no, słuchaj Jacek, ((z emfazą)) naprawdę nigdy przedtem, nigdy potem...
Trznadel: Czy opowiedziałaś o tym Aleksandrowi?
Watowa: Tak, chyba mu opowiadałam.
Trznadel: I co on powiedział na to?
Watowa: Już nie wiem, nie wiem jak on na to. A może mu nie opowiadałam. W każdym razie od razu mu tego nie opowiedziałam. Ale już nadzieje właściwie, już potem, już potem już nie szukał takich cudów. To już było ostatnie... No, złoty mój, skończyliśmy na tym Padre, może tak na chwileczkę zastanowimy się [przerwane nagranie].
Trznadel: Więc może potrafiłabyś zastanowić się czy przypomnieć sobie jakiś problem w stosunku Aleksandra do własnej twórczości. To, jak on się objawiał i to w rozmaitych sprawach. Jakiegoś autokomentarza czy stosunku do czyjejś krytyki w stosunku do własnej twórczości. Czy to, co mogło paść na ten temat między wami albo to, co właśnie nie padło?
Watowa: Tak, tak. No, więc niedużo bym mogła powiedzieć na ten temat dlatego, że – jak zresztą zaczęłam ci już mówić o tym – że wydaje mi się, że miał taki jakiś wstydliwy troszeczkę, znaczy się, wstydliwy stosunek. To znaczy, że zawsze mu się wydawało, że to, co on robiłprawdopodobnie niezupełnie się pokrywało z zamierzeniami. Wiem, że... teraz tak, jak zadawałeś mi to pytanie, nagle mi się przypomniał *Bezrobotny lucyfer*, który był pisany jeszcze przed naszym małżeństwem. Zresztą, ofiarował go żonie, wtedy, kiedy jeszcze nie byłam jego żoną. I jego radość była właściwie, takie zadowolenie – wiesz - z tej pierwszej książki, takie

523:8635524049

trochę, takie mi się teraz wydaje teraz trochę dziecinne. Jak wiesz, jak dziecku, któremu się coś udało. Miał to poczucie, że wiesz, napisał ten tekst i że to mu się udało. Jakiś, wiesz, to tak jak się rozwiązuje pewną zagadkę, wiesz, natury filozoficznej powiedzmy, czy stawia się sobie jakieś takie zadanie do, do, do przeprowadzenia, wiesz. Może nawet malarz ma tę satysfakcję, że sobie pomyśli, że zechce wyrazić, prawda, tak czy inaczej... Czy dać tutaj światło. I tak to mu się udaje. I to tak, jak w łamigłówce, jak w grze w szachy itd. Rozumiesz? Że pewne rzeczy udało się, pewne takie tego typu satysfakcje, ale które – mam wrażenie, ale to słuchaj, wszystko, wiesz – że to było dla niego pewnego typu niespodzianką, rozumiesz? Że wtedy, kiedy to mu się udawało, że to była jakaś pewnego rodzaju taka przyjemna niespodzianka. Ale, rozumiesz... to jest ten okres taki rozłupany. To, co było właśnie *Bezrobotny lucyfer*, nie byłam przy tworzeniu tego *Mopsożelaznego piecyka*, więc trudno by mi było wtedy odtworzyć. Zresztą on się odtwarza doskonale w tym *Piecyku*. Jego tamtejsze nastroje. Mam wrażenie, że w *Piecyku* on rzeczywiście bardzo siebie dał, wiesz, że on rzeczywiście tam – tak, jak mówiłam o Czesławie – że odchylił te wszystkie zasłony, ale to już nie zasłony. To jest takie, wiesz, takie *harakiri* trochę zrobione na samym sobie, tym młodzieńczym Wacie.

Trznadel: W *Piecyku?*

Watowa: W *Piecyku*. Takie mam wrażenie. I zresztą to, że on się tak do tego *Piecyka* odwołuje, i że ten młodociany Wat i stary Wat, że to się tak..., że ten los, który przewidziany, wiesz, w *Piecyku* mu się realizuje, wiesz, w starości, w chorobie.

Trznadel: Z tym, że późniejsze wiersze bardziej się odsłaniają niż w *Piecyku*. *Piecyk* w tym całym odsłonięciu jest jednak ukryty poza obrazami literackimi, a w późniejszej twórczości jest mówienie bezpośrednie.

Watowa: Jest mówienie, ale może dlatego, wtedy, kiedy on mówi o cierpieniu?

Trznadel: Tak.

Watowa: Wiesz, nie myślę, żeby cierpienie rzeczywiście można było ubierać w obrazy... To znaczy można – jak mówi „w czterech ścianach mego bólu nie ma okien ani drzwi", ale to jest to, że nie widzi wyjścia, wiesz, nie widzi ujścia, wiesz, od tego, ucieczki od tego cierpienia.

Trznadel: No, ten obraz jest potrzebny nawet nie po to, żeby to był obraz, tylko żeby dostarczał jeszcze jednej treści, bo cztery ściany, gdzie nie ma okien ani drzwi to jest obraz trumienny, że to jest trumna. Że ten obraz jest...

524:2297416008

Watowa: Tak, tak, masz racje. Bardzo, bardzo toś odczuł, wiesz, bo ja teraz zobaczyłam, że w gruncie rzeczy, ja to czułam, a nie umiałam tego zdefiniować, że w gruncie rzeczy on... tak, to jest trumna i ten strażnik, który chodzi tam i nazad za oknami. Tak. To on już jest, wiesz, wtedy zamurowany.
Trznadel: To było bardzo zresztą ten strażnik, to wiesz tak jak złożenie do grobu.
Watowa: Ale on jest zamurowany w tym swoim cierpieniu. Potem on, wiesz, on mi zawsze dawał, jak dawał mi do czytania swoje wiersze, to tak dawał właściwie bez słowa, z takim spojrzeniem – No, i zobaczysz czy to dobre, czy to niedobre. Ale właściwie on o tym nie mówił. Znowu, wiesz, to się pokrywa z tym stanem, w którym on pisał. To nie był stan do – wiesz – prawdopodobnie jakaś kondensacja, wiesz, tego, tego stanu w momencie pisania o tym wierszu. Bo źródłem tych właściwie prawie wszystkich wierszy jest jednak ten ból, w olbrzymim procencie, wiesz, te wiersze za źródło mają nie tylko ból, ból fizyczny, ale w ogóle to, w co go ten ból wtrącił.
Trznadel: I ten ból fizyczny staje się bólem świata.
Watowa: I ten ból fizyczny staje się bólem świata. I właściwie świat go wtedy boli. On odbiera właściwie świat jako ból, dlatego że on nie może temu światu dać nic poza swoim bólem. On jako ten człowiek szalenie – jak zawsze ci mówiłam – szalenie aktywny, szalenie żywy, szalenie... tak działający zawsze, tak mający ochotę, wiesz, do działania i bardzo zwrócony twarzą ku życiu, nagle zostaje zupełnie sparaliżowany.
Trznadel: I ten świat boli jeszcze tym bardziej – tu przepraszam, że ja się wtrącam, ale, bo to jeszcze...
Watowa: Na odwrót, ty mi uświadamiasz...
Trznadel: Bo to jeszcze chciałem powiedzieć, że ten świat boli jeszcze podwójnie, dlatego że boli, ale dlatego że jest piękny i mógłby nie boleć.
Watowa: I mógłby nie boleć.
Trznadel: To Miłosz na to zwrócił uwagę.
Watowa: Tak, tak.
Trznadel: Że jest taka męska poezja, która nie odwraca się od świata, ale która mówi: ja cierpię, a świat jest piękny. Nie powiem, że świat jest zły.
Watowa: Tak. Tak. No tak. Bo on pisze o bólu, ale pisze o tym krzaku życia, prawda, więc jest, jest, tęskni właściwie. To jest też ten ból takiej tęsknoty, wiesz, do tego cudownego życia, do,

525:6412204189

do, do tej woni, do światła, do wszystkiego. Więc to było takie dawanie tych wierszy, rozumiesz, to też te, te skrzydło – żeby nawiązać do tej piosenki – na skrzydle tego właściwie cierpienia podawane.

Trznadel: Tak. [sygnał ambulansu]

Watowa: Rozumiesz? Tak jak teraz o tym mówię, widzę jak właściwie życie jakie stawiało ciągle przeszkody, wiesz, żeby, żeby można było się tak oderwać, żeby można było mówić o swojej twórczości. Żeby można było żyć tylko swoją twórczością, mówić o tej twórczości, mówić o tym warsztacie tworzenia, o powstawaniu – wiesz – tego wiersza itd., bo rozumiesz, wszędzie były jakieś takie – tak trzeba było lawirować, żeby te kolce cię, wiesz, tak jak pomiędzy kolcami, które nagle mogłyby się zacisnąć i wziąć się zakleszczyć. W gruncie rzeczy teraz, nie wiem, dlaczego, ale takie mam wrażenie, żeśmy ciągle lawirowali po jakichś takich niebezpiecznych, wiesz, labiryntach. Ciągle coś czyhało. Właściwie to były płody jakieś takie wyrwane temu czasowi i temu – wiesz – i tej rzeczywistości. Coś właściwie – nadmiar – coś w gruncie rzeczy, na co nie można było sobie pozwolić. Nie miało się prawa. Znowu u Aleksandra, wiesz, była – jak ci mówiłam – ta ucieczka, ta chęć przetworzenia cierpienia. Żeby cierpienie nie było tym cierpieniem, które zeszmatławia człowieka, które wpycha cię na dno, tylko, żeby ono było czymś, co cię... co może cię też ponad to cierpienie wznieść. Więc każdy jego wiersz był pewnego rodzaju zwycięstwem nad cierpieniem. Że to było zwycięstwo, że on mógł z tego cierpienia coś stworzyć, co go ponad to cierpienie, wiesz, to jest, to jest wszystko nie to, co on mi mówił, ale to, co ja sobie wyobrażam.

Trznadel: Ale jednak przy tworzeniu *Wierszy śródziemnomorskich* byłaś już.

Watowa: Tak, tak. No, więc tutaj byłam. Ja ci powiem, co się tam złożyło. Przede wszystkim, powiedzmy *canva*[479], cały ten, ten pejzaż, wiesz, który to było otworzone, na który on był szalenie wrażliwy. Właśnie to la Messuguiere. Coś, co go – wiesz – wprowadzało w jakiś świat zaczarowany. Nasze spacery, wiesz, tam. Wiesz, te skały takie dziwne, które on nawet wyobrażał sobie, że to były – jak to się nazywają, takie kamienie spadające...

Trznadel: Spadające?

Watowa: Tak.

Trznadel: Meteoryty.

[479] Wł. *Canva* – płótno.

526:8765931696

Watowa: Meteoryty, wiesz, olbrzymie. O jakichś kształtach znowu, kształtach jakichś olbrzymów, jakichś ptaków itd. Więc też się nie widziało, czy to jedne były ustawione tak, jak gdyby to był w takie, taka rotunda taka, na okrągło. I tak się wydawało, że tam mogła być kiedyś jakaś świątynia, że to ręka może ludzka rzeźbiła. Z drugiej strony...
Trznadel: W Wielkiej Brytanii są takie.
Watowa: Tak. Są w Brytanii. Ja w Brytanii nigdy nie byłam. Ale tutaj właśnie to było – nawet tak chciałam dotrzeć tym razem. Jak ostatni raz byłam sama, z przyjaciółką, kilka lat temu, nie mogłam tego miejsca znaleźć. Więc to było tak, wiesz, wszystko... no, oczarowywało. O, la, la! Tutaj zdaje się dochodzimy do końca.
Trznadel: Może jeszcze tam zostawić na chwilę.
Watowa: Potem, wiesz, w tym *Śródziemnomorskich* – tam jest zjazd – o zjeździe, wiesz, o zjeździe w Moskwie, w Rosji. Nie wiem, który to był – dwudziesty pierwszy czy jakiś taki straszny zjazd, okropny. Jakiś potworny zjazd, który, wiesz, bardzo go wzburzył. To wszystko to wszystko, co on czytał o tym Zjeździe. Te wszystkie przemówienia itd. Więc tak – i zaczepienie o najbardziej, wiesz, takie, takie, o tą tematykę, która go zresztą szalenie zawsze obchodziła, w którą był zaangażowanym, i z tym pięknem. Tak, że to wiem, że to się różne, wiesz, potem ta nowa cywilizacja, w której... jednak inna cywilizacja, w której żeśmy żyli... Ale myślę, że głównie, wiesz, tam jest to serce kamienia, w tym *Poemacie śródziemnomorskim*. Więc tu już te filozoficzne takie, wiesz, sondy, które zapuszczał w to, to go jakoś naprowadzało. Jakoś mi się nie udaje teraz, wiesz, żeby to sprecyzować. Nie udaje mi się, ale wiem, że na pewno wybuchło to w nim, ten *Poemat* cały wybuchł z jakiejś urody, wiesz, tego świata, w którym żeśmy się, w cudowniej, boskiej jakiejś urody, w zestawieniu z tą, z tą, tą, z tym, tym komunizmem, z tymi przeżyciami jego. Z tym wszystkim, co on reprezentuje i z tym, wiesz, tym rozważaniem nad, nad, nad końcem życia też wiesz, nad tą próchnicą, nad tym próchnieniem, o którym on mówi. Tam jest kilka wątków. Takich czysto, wiesz, to co – jak to się mówi – i estetycznych, wiesz. Świat, w którym on był, cudowny świat, w jego, wiesz, rozważania wewnętrzne nad tym, nad sobą samym, nad swoim losem, nad końcem świata, nad tym sercem kamienia. I wiesz, rzeczywistość, która zawsze była niby daleka, a zawsze obecna. Wiesz...
Trznadel: Zresztą umiejętność, żeby wszystko, co jest dla nas najważniejsze, a co staje się – jak ty to uwydatniasz – diametralnie różne. Bo tutaj jest przeżycie obnażonego pejzażu.
Watowa: Tak.

527:1129026113

Trznadel: A tam jakiś problem, no, społeczno-polityczny. I wszystko umieć sprowadzić, przekuć w jeden artystyczny przegląd. Na wszystko znaleźć jeden uchwyt. Wyka nazywał to chyba uchwytem tożsamości. Ale na tak różne rzeczy, po prostu jest pięć rzeczy, które mnie obchodzą, które przeżywam.
Watowa: Tak.
Trznadel: I nie o każdej osobno.
Watowa: Nie, nie.
Trznadel: Nie tylko. Wszystko razem.
Watowa: Masz rację.
Trznadel: I z tego się robi wielka synteza.
Watowa: Masz, widzisz, ty to umiesz tak wszystko powiedzieć prosto ((śmiech)) i wszystko jest zrozumiałe, a u mnie to się tak rozłazi. Okropnie mówię. Ale tak, tutaj masz racje, że na to życie jego twórcze składało się wszystko. Nie było jednej oddzielnej rzeczy, wiesz. Tylko w ten pejzaż musiało wejść wszystko, co o się na to życie złożyło, to to masz racje. I jak on przeżywał, poza tym przeżywał pejzaż, ale też przezywał ten Zjazd – zdaje się dwudziesty pierwszy – który jemu dał taką egzemę, o której on pisze. I ta egzema nie jest wymyślona. On miał egzemę, on dostał nagle jakiegoś swędzenia skóry, jakiś rodzaj jakiejś wysypki.
Trznadel: Po tej lekturze?
Watowa: Po tej lekturze. I potem on pisze też o tej egzemie ziemi, o próchnicy, jemu to się wszystko – rozumiesz – kojarzyło. I pojechaliśmy do Vence wtedy, a może do Nicei. Wskazano nam tam – bo myśmy pisali do Paryża, żeby nam wskazali jakiegoś bardzo dobrego lekarza, bo tam ktoś go na miejscu zaczął, miejscowy Scabris, jakiś leczył i to straszne dało mu jeszcze dodatkowe, wiesz, do jego cierpień cierpienia. Pojechaliśmy do Nicei i ten lekarz okazał się ogromnie miły. Okazał się lekarzem, który pisze wiersze też. I Aleksander mu o tym powiedział: „Czy może być egzema – on to nazwał egzemą w swoim wierszu – który możliwe, że lekarz tak tego nie nazywał. Która może dać, wiesz, że lektura – ((z emfazą)) obrzydzenie, że jemu obrzydzenie do tego świata, do tych wszystkich zjawisk, do tego, co oni mówili itd., czy to możliwe, żeby to dało objawy chorobowe. I ten lekarz jak opowiada, że chyba tak, że to może.
Trznadel: Wiesz, jeżeli to dwudziesty pierwszy rok, ja w tej chwili tak dobrze nie pamiętam, ale miał być Zjazd, to poprzedziło go bardzo tragiczne wydarzenie i ważne, mianowicie bunt

528:8496300185

marynarzy Kronsztadu. Bo przecież właśnie w oblężeniu Kronsztadu, które było pod wodzą Trockiego robione, brali udział delegaci na Zjazd.
Watowa: Tak.
Trznadel: Który miał się odbyć. I kilkanaście… Kilkunastu z tych delegatów zginęło podczas tego oblężenia, i tam przecież zrobiono rzeź, bo oni, no, bolszewicy tych, tych zbuntowanych po prostu potem… zrobili pokazowy proces. Potem areszt to potajemnie po prostu wykończyli, rozstrzelali, zesłali do obozów.
Watowa: Tak. Ja wiesz.
Trznadel: Jeżeli to, to towarzyszyło tej lekturze na przykład...
Watowa: Tak.
Trznadel: To można dostać egzemy tej duchowej może i innej też.
Watowa: Tak, tak, tak. Nie duchowa, to była egzema skóry. To była choroba...
Trznadel: No, więc właśnie.
Watowa: ...która zresztą ten lekarz cudownie od razu wyleczył w ciągu. Powiedział, że za trzy dni będzie pan zdrowy. I ja tam robiłam Olkowi jakieś takie okłady i proszki itd. A on miał to wszędzie. On dostał tego na całej głowie, na całym ciele! I rzeczywiście na trzeci dzień już był zdrowy, już był wyleczony. Tak, że oczywiście, że jego… On był zawsze wrażliwym człowiekiem, ale nie ulega wątpliwości, że ta choroba w nim tą wrażliwość bardzo pogłębiła.
Trznadel: Tak, że ta egzema przerzuciła się nawet na obraz natury.
Watowa: Na obraz natury.
Trznadel: Natura skażona przez człowieka.
Watowa: Natura skażona. Tak, tak. Skażona. I zresztą jest skażona natura przez człowieka, on o tym wiedział. Wiesz, jak on patrzy na tą, na to zagłębienie w tej, tej, w tej, tej dolince tam leży. () Widzi te domki i tak dalej, dymy się unoszące, a jednocześnie widział też, wiesz, że to takie, że to jest wszystko rękoma ludzkimi zrobione. I wszystko jakieś takie ludzkie, na miarę ludzką. Jeszcze z góry widziane, takie małe, wiesz, takie – i tutaj nagle, wiesz, to wszystko co człowiek robi, ten człowiek, stamtąd - szczególnie ten, ten, wiesz, ten… - chciałam powiedzieć Kreml ((śmiech)). Wiesz co, strasznie jakiś dzień drapieżny, tak jakby jakiś, jakiś, jakiś wiesz, jakaś zaraza spływała na całą ziemię.
Trznadel: Myślę, że przyjdzie jeszcze moment, a może już to zresztą zrobiono, w którym dokona się w krytyce jeszcze jednego przeciwstawienia – jako dwa różne spojrzenia – mianowicie

529:1037288541

spojrzenie Wata i spojrzenie Miłosza. I pewną mistykę spojrzenia na to, jaki jest świat, jaki jest człowiek, pokażą się dwa różne warianty możliwości widzenia świata.
Watowa: Tak.
Trznadel: Kiedy, kiedy… to wydaje mi się jakieś, no, oczywiste. I to spojrzenie na naturę...
Watowa: Tak.
Trznadel: Ona jest, ona jest, ona jest u Miłosza inna – nigdy, nigdy u Miłosza zło człowieka nie nasuwa się na wizję samego świata.
Watowa: Tak, masz rację.
Trznadel: Natomiast u Wata jest tak jakby zło człowieka mogło się nasunąć, prawda, bo człowiek odbiera sobie prawo pewnego typu. Jego wzrok może mu się tak zamknąć, że widzi egzemę człowieczą na jakim...
Watowa: Tak. [przerwane nagranie]
Watowa: A co to za audycja?
Trznadel: Nie wiem. Widocznie ktoś chciał jakąś przekazać.
Watowa: Aha. Tak.
Trznadel: Więc właśnie. Więc mówiłaś… bo tu jest jeszcze jeden problem... ciekawy. Na tym tle w ogóle rysuje się możliwy problem. Nie mówię, że Miłosz, bo Miłosz tu jest pewną skromnością.
Watowa: Tak. Ale dwa słowa, powiem tylko dwa słowa, żeby to zakończyć. Ja powiem, że to była dla niego tortura moralna.
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: Tortura moralna. Mów Jacku.
Trznadel: Nie, bo pomyślałem, że ta współpraca tych dwóch artystów, niektórzy właśnie – jak się mówiło - mówili: „A bo Miłosz się rozprasza" - stawia inny problem, który – ciekaw jestem...
Watowa: Bo Miłosz się rozprasza? (((zdenerwowana))) Aha!
Trznadel: No, tak mówiono, że on powiedzmy tracąc czas, rozprasza się. Było coś takiego. Ale on...
Watowa: Nie, ale myślisz, że w ogóle poza Janką ktoś mówił, że traci czas? (((zirytowana)))
Trznadel: Przecież Jeleński o tym pisał.
Watowa: Kto? (((zdenerwowana)))
Trznadel: Jeleński.

530:5552690178

Watowa: A co mówił? (((zmartwiona)))

Trznadel: No pamiętasz, w tym artykule pisał.

Watowa: Aha. Tak.

Trznadel: Że były takie sądy, ale przecież, przecież on to robił, bo chciał.

Watowa: Tak, tak.

Trznadel: Pisał Jeleński.

Watowa: Bardzo niesłusznie.

Trznadel: Więc jeżeli ktoś jeszcze by chciał o tym mówić. Ja pomyślałem jeszcze o jednej rzeczy – czy, na przykład, jak to pisarze czasem uważają, w ogóle próbują się przymierzać – czy był dla Aleksandra jakiś problem siebie a inni pisarze. Jakim ja jestem a jakim są… a kim są, kim ja jestem, a kim oni są? – że tak powiem, prawie parafrazuje powiedzenie Miłosza. Nie wiem, konkurencyjności, ale nie w sensie takim no, że to zwykła konkurencja, ale że – wiesz – dla pisarza jest bardzo ważne czuć, że ja jestem kimś ważnym, że mnie się udało, że powiedziałem to, co chciałem, wiesz. Że inny chciał powiedzieć to, ale ja powiedziałem to, czego mimo wszystko, że on, że on nie zdołał. To znaczy...

Watowa: A ja mam wrażenie. Mam wrażenie, że Aleksander miał to w ogromnym, stopniu...

Trznadel: Że myślał o tym?

Watowa: Nie, że myślał, ale to jego – w każdej takiej rozmowie, w jakiejś dyskusji – to przeciwstawianie się. Znaczy się… z Miłoszem – jak zauważyłeś – z tą książką się zawsze godzi, ale zawsze potem mówi „ale".

Trznadel: Tak.

Watowa: I zawsze mówi to, co on myśli. I bardzo często te poglądy tam nie są, wiesz, jednakowe. Więc on miał w dużym stopniu poczucie..., od…, znaczy się, że… Jak to powiedzieć? Wiesz, tej odrębności, że on miał, wiesz, miał nawet pewność jakąś, wiesz, że jakoś mu się myśli, prawdopodobnie, że on ten, te, te struktury myślowe itd., że on ma rację. Bo jeżeli on się tak przeciwstawiał, to z przekonaniem, że on dobrze myśli, rozumiesz?

Trznadel: Rozumiem. To, to właśnie, jeśli chodzi o poglądy. A mnie chodzi jeszcze o coś innego. Czy czuł siebie jako jednego z kilku pisarzy, którzy dali ważną propozycję, czy chcą ją dać. Czy też odwrotnie – w swojej skromności nie...

Watowa: Nie, ja myślę, że on właśnie bardzo ubolewał nad swoim losem. To, znaczy się – ubolewał w tym sensie, że miał ogromne poczucie zmarnowanego życia. Zmarnowanego życia

531:1182915584

właśnie jako, jako artysty, jako pisarza. Całkowitą, wiesz, ja ci powiem to była w gruncie rzeczy ogromna taka, poczucie klęski życiowej na wielu planach. I osobistej, przez to cierpienie, które zniszczyło go, a przy nim w jakimś stopniu wiedział jak ja, wiesz, tam współcierpię z nim itd., co go też męczyło i zawsze starał się mi to jakoś powiedzieć: - „Nie myśl, że jak jesteś smutna, że mi pomagasz". Więc, wiesz, mimo woli te robiły się takie sztuczne troszeczkę stosunki, bo wiesz, ten uśmiech od rana.

Trznadel: Tak.

Watowa: Wchodzenie do niego z uśmiechem i z tym: - „A, będzie dobrze! – A, dobrze wyglądasz". – I tak dalej. Więc… Ale o czym ja mówiłam? Widzisz...

Trznadel: Że miał poczucie klęski.

Watowa: Ale miał, nie ulega dla mnie wątpliwości...

Trznadel: Ma poczucie klęski, to ma poczucie wielkiej roli, która mogła być.

Watowa: Na pewno, na pewno zdawał sobie sprawę, że mógł coś zrobić w życiu i uważał, że w ogóle nic nie zrobił. Łącznie z tym *Moim wiekiem*, bo – słuchaj – ja zaczęłam jeszcze za jego życia ten *Mój wiek* przepisywać. ((z emfazą)) On uciekał, tak sobie zakrywał rękoma uszy i mówił: - „Boże, jakie to straszne, jakie to straszne!". I po co ja to przepisuje? Rozumiesz? On w ogóle sobie, on nie myślał mówiąc w ogóle, że to będzie książka.

Trznadel: Rozumiem.

Watowa: No, a oczywiście, że Miłosz ma swoją rację mówiąc, że gdyby Aleksander się wziął do tego i chciał to opracować, to by trwało co najmniej siedem lat, a po siedmiu latach prawdopodobnie doszedłby do wniosku, że to w ogóle wszystko nie ma sensu.

Trznadel: ((cicho)) Bo tak jest.

Watowa: Bo tak jest, bo tak jest… Zresztą jak, on jako tłumacz, to było z nim tak – że on właśnie siedem razy poprawiał, aż mówili: - „Panie, pan daje to tłumaczenie albo w ogóle nie pójdzie do druku". I wtedy ja… to znaczy ja siedem razy przepisywałam, bo ja mu wszystko przepisywałam na maszynie. I w końcu oddawał z tym, że oczywiście tam jest jeszcze masę do poprawienia błędów. No, i prawdopodobnie taki sam byłby, był i w swoim pisarstwie. Wiesz, gdyby się zabrał do poprawiania do *Mojego wieku*, no to, to byłaby praca zupełnie – i on twierdzi, Czesław twierdzi, że to byłaby praca ponad siły każdego pisarza.

532:9716205581

31_Fon.61.715 Strona A (B-pusta)

Watowa: Tam już jest tyle różnych (), że już w ogóle nikt nie mógłby się tego podjąć, żeby to opracować.

Trznadel: To jest jego rzeka, dzieło rzeka.

Watowa: Tak! Rzeczywiście, Adolf Rudnicki – jak mówiłam ci – jak był u mnie to ja wzięłam taki fragment na dachu Łubianki, którego on w ręku nie miał. Bo on tam wziął – po prostu przepisałam od połowy – on to wziął i tam zaczął robić jakieś poprawki. Zresztą o tym pisze Czesław. Ja się godzę z Czesławem, że ja wolę, wiesz, już wtedy, kiedy wiesz, to nie jest poprawione dziesięć razy. To na odwrót – to było raczej trochę popsute tymi poprawkami, bo chciał w ten tryb literacki, to wiesz, te, na te tory, wiesz, literatury – prawda – w te ramy, a tak to to był ten żywioł, to była mowa. Mnie Adolf Rudnicki mówi: - „Nie, ja w to nie wierzę, to nie mogło być mówione". Wiesz, *Na dachu Łubianki*...

Trznadel: Wiesz, że są czasem takie, wiesz, że po prostu moment iluminacji, kiedy się układa od razu, od razu zapisane.

Watowa: Nic, słusznie znowu wracam do Miłosza, że, że, że on zarzucał Aleksandrowi, mówi: - „Wat, jak zaczynał mówić – rzeczywiście, jak on zaczynał mówić, to to to wtedy on tylko mówił, bo wszyscy byli zasłuchani. I on fascynował, rzeczywiście fascynował, i to nie byle jakiś słuchaczy – bo tegoż Miłosza". A jak miał – zaproponował mu Czesław, że tam na Uniwersytecie wygłosi coś o futuryzmie, to co już niby na pamięć – prawda – to on mówi: - „Ja się muszę do tego przygotować".

Trznadel: Ja to rozumiem.

Watowa: Rozumiesz? I Czesław: absolutnie, no irytowało go to! On mówi: - „Słuchaj, żeby on stanął, żeby on do tych studentów zaczął mówić o futuryzmie, to ci studenci byliby…". Przede wszystkim – znowu – że nie mówiłby po polsku, więc mówiłby po rosyjsku. No to już są tam tamy, wiesz - On tam kiedyś w Weimarze przemówił, jak pisze, do generałów przemówił po niemiecku. Mówił o Get… Getcie… o Goethe. O Goethe. No, i poszło mu to, wiesz, w tym napięciu jakimś ((śmiech)). No, ale to nie jest, wiesz, polska mowa, wiesz, wtedy jest się tak, tak wolnym i tak można wszystko, odcienie, wiesz.

Trznadel: Nie, to się trzeba przygotować, tego jeszcze się nie bierze pod uwagę, że wyjście do słuchaczy do Miłosza mógł mówić być bez przygotowania, ale jak się mówi do słuchaczy bardzo przeciętnych, to właściwe trzeba powiedzieć w siatce dydaktycznej na ich poziom.

533:2775154646

Watowa: No właśnie.
Trznadel: I wtedy trzeba się przygotować rzeczywiście.
Watowa: Ale ja myślę, że Miłosz się też przygotowuje do swoich wykładów. W jakiś sposób musi się, przecież on nie może tak mówić ze swoimi słuchaczami, jak będzie rozmawiał z Aleksandrem Watem. Przecież to jest niemożliwe. Wiesz, oni są dość w końcu naiwni, ci jego studenci. I nieraz bardzo uskarżał się na prymitywność. Wiesz, to nie jest europejskie wykształcenie. On tam miał, tego, powiedzmy Ryszarda Lourie, który jest teraz pisarzem, autorem kilku książek, poetą itd.
Trznadel: Powiem ci, że moi studenci, poza kilkoma wyjątkami są prymitywni. A ten wyjątek to jeden, dwa.
Watowa: Także też musisz, musisz się do...
Trznadel: A czasami mówię sobie, że mi jest wszystko jedno.
Watowa: Tak. ((śmiech))
Trznadel: Że ja mówię takie rzeczy, które dla mnie są ciekawe, a jak nie zrozumieją, to trudno.
Watowa: No właśnie. ((śmiech)) No, i słusznie. A słuchaj, nie nagrywasz tych swoich?
Trznadel: Czasem tak, czasem tego nie robię, ostatnio nie robiłem. Myślałem sobie – a nic nie wymyślę, a potem się okazało się, że coś jednak wymyśliłem...
Watowa: No, żeśmy o tym mówiliśmy, że coś takiego przychodzi i potem człowiek zapomina.
Trznadel: To wszystko jednak trzeba zapisać.
Watowa: Nie odnotowuje. Bo wiesz, że wszystkiego coś można wyłowić. Tak. No, i co dalej Jacku drogi, już cię zmęczyłam?
Trznadel: A to może przerwijmy na trochę. Koniec nagrania. 29 maja 1981.
Watowa: Jeden. Tak. ((śmiech)) Tak.
[muzyka, fragment audycji dot. wiersza “Szuflada” Zbigniewa Herberta]
32_Fon.61.716 Strona A
[tykanie zegarka]
Trznadel: Chodziłoby o to, żebyś – jeśli możesz – pokazała czy….
Watowa: Tyś tu postawił to?
Trznadel: Tak.
Watowa: Ja do końca nie wierzę, że to, że to się może zrealizować, niemniej w ciągu tych szesnastu lat, tej straszliwej choroby, tych cierpień. Ten motyw, wiesz, chociaż nie poruszał ze

534:8011082348

mną, ale ja widziałam, że on, wiedziałem, kiedy są chwile… tej… już, kiedy przychodzi taka chwila, kiedy... już wydawałoby się, że już nie można przekroczyć granicy. I wtedy ja po prostu wyczytywałam w jego oczach, w jego zachowaniu się, w tym co mówił, chociaż nie mówił, o tym że popełni samobójstwo, że on jest tego bardzo bliski. Raz jeden tylko, ale to tak uśmiechając się, takim trochę żartobliwym tonem powiedział: - „No wiesz, tak byłoby dobrze położyć się razem na białych prześcieradłach i zasnąć". Ale to był jeden raz. To nie był człowiek, wiesz, który mnie tym straszył tym, który by chciał – na odwrót. Wszystko świadczy o tym jaką dodatkową męką dla niego było to samobójstwo, świadczy, świadczą jego zapiski na tym, tym ostatnim zeszycie, na pierwszej stronie, kiedy właśnie myślał, przede wszystkim o tym, żeby się mną zajęli, żeby (), żeby się mną opiekowali itd. Więc to nie był ten człowiek, który mówił o samobójstwie. Ale w gruncie rzeczy cała ta droga od zachorowania, która jakoś w sposób brutalny, ale który Aleksandrowi szalenie odpowiadał – to było w Sztokholmie – kiedy pojechaliśmy z wizytą do Olivecrone, [hałas z ulicy – samochody] wspaniałego takiego, wtedy jednego z największych chirurgów – i miało się nadzieję, że jakaś operacja tutaj pomoże. Kiedy Olivecrone wytłumaczył mu właściwie, że nie może mu zrobić żadnej operacji, dlatego, że tam się gdzieś umiejscowił ten mały skrzepik, powiedział, że tam się zbierają wszystkie drogi życia, i że ta interwencja mogła mu grozić ślepotą, głupotą, niemotą. A co dla niego już było najgorsze intelektualnie, jak to powiedzieć...

Trznadel: Mówisz otępieniem.

Watowa: Co?

Trznadel: Otępieniem.

Watowa: Tak, po prostu obniżeniem, wiesz. Ale mu powiedział: - „Wie pan, jeżeli Pan potrafi cierpieć siedem lat, to obiecuję Panu, że po siedmiu latach Pan przestanie cierpieć". I myślę, że Aleksander jakoś wierząc, nie wierząc, wiesz, starał się wierzyć w ten termin, starał się te siedem lat wierzyć. Natomiast kiedy wyszedł, po tych straszliwych zresztą badaniach, których tam, które przeżył u Olivecrone, wiesz. [trąbienie samochodów]. Zapuszczanie płynu takiego kolorowego do naczyń mózgowych itd. bardzo ciężkie badania, żeby uplasować, wiesz, gdzie to powstało. Okazało się, że to jest w małym móżdżku, i że właśnie to jest na drodze, gdzie miejsce, gdzie się zbierają wszystkie drogi życia. No Olivecrone tłumaczył, że mówi: - „Widzi Pan, że jak Pana palec zaboli, to właśnie tutaj Pan, to jest to miejsce, gdzie panu daje znać bólem".

Trznadel: Tak.

535:6807093668

Watowa: No, więc można sobie wyobrazić, że skoro ten ucisk był na tym właśnie, że to był ból strasznie drażniący nieprzyjemnie. Nawet słowo drażniący jest za słabe.
Trznadel: Tak, wytworzyła się jakby odwrotna sytuacja. To miejsce wywoływało jakby bóle w organach.
Watowa: Tak, to znaczy on miał ten ból w lewej części twarzy, ten ból – ponieważ z nim ciągle chodziłam do neurologów, więc już wiem jak on im tłumaczył, każdemu z oddzielna, bo się wyszukiwało, gdziekolwiek żeśmy byli, gdzieś, do jakichś najlepszych profesorów. Że tak jakby obcęgami mu odrywano, wiesz, te mięśnie twarzy, przypiekano rozpalonym żelazem policzek, a oko, jak gdyby nacierano, wiesz, takim mydłem, wiesz, jak on to nazwał – było takie w Polsce mydło, wiesz.
Trzeci głos: Dziegciowe.
Watowa: Jakieś zwyczajne mydło, wiesz. Takie ordynarne mydło. Tym mydłem właśnie nacierają to oko. Takie straszliwe palenie tego oka. I prawa noga. Że stopa, jak gdyby mu ktoś posiekał i kazał mu chodzić z tą posiekaną stopą po rozpalonych żużlach. No, i to się, wiesz, w takich… kiedy nasilały się te, wiesz, ataki, to od stopy przechodziło, wiesz, jeszcze na tę nogę. Więc, ale wracam do po wyjściu od Crone, kiedy on tam jeszcze po tych badaniach był w takim małym, właściwie maleńkim sanatorium, gdzie właściwie – żeby odpoczął. Odwiedził go lekarz, Hartwig. To brat właśnie Julii.
Trznadel: Julii.
Watowa: Hartwig. I on po wysłuchaniu, po, kiedy Aleksander mu pokazał diagnozy itd. powiedział mu: - „No, już tak, niech pan mi już nie opowiada o tych bólach. z takimi bólami wychodzi się przez okno”. I mnie wtedy to się wydawało jakieś takie strasznie brutalne, wiesz. A widziałam, że jemu się twarz rozjaśniła, Aleksandrowi. I kiedy ten lekarz wyszedł, to on mi powiedział, jaka to była dla niego ulga, że się znalazł jeden człowiek, który zrozumiał, jak jest mu beznadziejnie.
Trznadel: Olu, ja ci może przerwę. Mi się wydaje, że cały ten problem, tego cierpienia i bólu, o którym przecież wiemy, że to się kontynuowało, pozwala zupełnie inaczej ocenić decyzję odejścia od życia i w pewnym sensie oddzielić ją od tych – powiedziałbym – pomysłów, decyzji, o których Aleksander mówił w *Moim wieku,* że snuł w wieku młodzieńczym, że postanowił ze sobą skończyć, koło 25 roku życia. Tamto to były – że tak powiem – fantazje młodego człowieka o pewnym, dla mnie, podkładzie, no, pewnej także mody, związanej także z ruchem

536:6947143325

futurystycznym, który lubił się popisywać rozmaitego typu ekstrawagancjami. Ja tu jeszcze przypomnę to, co kiedyś mówiłem, że pisze Irzykowski, że jako młodzi ludzie, jeszcze w okresie lwowskim Młodej Polski, redagowali pismo „Meteor". I postanowili po napisaniu – że tak powiem – całej prawdy, która można napisać o świecie, popełnić zbiorowe samobójstwo. Jest to o tyle ważne, że trzeba by, żeby krytyka, która ma tendencję do szukania ciągłości, nie szukała – że tak powiem – łączników między tymi jakimiś ekstrawaganckimi wypowiedziami młodego Wata, a tym, co zdecydował się zrobić Aleksander przy końcu swojego życia. Że po prostu to była, że tak powiem, to było wyjście z pewnej sytuacji, natomiast zupełnie nie było to, co on mówił w okresie futurystycznym.

Watowa: Nie, to nie miało absolutnie nic wspólnego z jego wypowiedzią w tym, w tym *Piecyku*. Chociaż na pewno to był człowiek, wiesz, który bardzo ciężko przechodził może ten okres, wiesz, młodzieńczy wchodzenia w życie.

Trznadel: Rozumiem.

Watowa: I tak dalej. Ale to był człowiek tak zwrócony ku życiu i tak kochający życie, i tak zachwycający się, i tak smakujący życie. I wiesz, że rzeczywiście tak jak pisze w tych swoich wierszach, to mówi „piszę całą skórą".

Trznadel: Tak.

Watowa: Wiesz, to była i skóra, i… to był, on całym sobą chłonął. On kochał życie. Najlepszy dowód, że wiesz, jak były te okresy, że - bo się ciągle wiesz, trzeba ciągle zmieniać antybólowe leki, dlatego, że to coraz potem.

Trznadel: Przyzwyczajenie.

Watowa: Wcześnie, przestaje działać. Otóż jak taki dostawał lek, sprowadzało się. Byliśmy w Polsce – pisałam do Belgii, pisałam do Francji, pisałam do Ameryki. Gdziekolwiek byli jacyś przyjaciele, żeby sprowadzać jakieś nowe rzeczy. No, i brał to i nagle nie boli! I nagle zupełnie jakby w ogóle ten ból nigdy nie istniał. On potrafił przeistoczyć się od momentu, kiedy ból zniknął, rodził się dawny Aleksander. Pełen, wiesz, radości, pełen radości – powiedzmy – to nie był taki człowiek, którego można byłoby nazwać radością, rozumiesz? Ale to było takie jakieś...

Trznadel: Siły.

Watowa: Siły! Wiesz, siły smakowania tego życia. I poza tym tego, tych chęci działania, tworzenia, wiesz, pisania. [hałas samochodów z ulicy]

Trznadel: Rozumiem. Wszystko nabierało znaczenia po prostu.

537:9151133261

Watowa: Wszystko nabierało. I rozumiesz, on mi robił wyrzuty. Może wpadłeś w tym *Dzienniku bez samogłosek*, że… jak, jak tylko jest lepiej, to nagle Ola, jak gdyby zapada się – nie wiem czyś ty to przeczytał, czy nie?
Trznadel: Tak, tak, tak.
Watowa: Nie wiem, czy ja to w tej chwili dobrze powtarzam. I że wtedy jemu krew uderza do głowy. Że to, rozumiesz, moim zachowaniem się, ja, jak gdyby niszczę ten jego stan i on dostaje tych bóli. Oczywiście, że ja widziałam, że on te bóle i tak dostanie, bo ja widziałam dobrze, że to powiedzmy, to działało dwa tygodnie, a potem to już tylko działało mniej. Potem, pod koniec jego życia to były środki, które nie działały w ogóle. Dochodziło do tego, że już działały tylko jedną godzinę. Potem on się tam, w tej drugiej, kiedy on mi to robi, kiedy mówi nie, on potem zaczyna mnie usprawiedliwiać. Więc przede wszystkim, oczywiście, że byłam bardzo zmęczona. Byłam zmęczona, dlatego że chciałam, że wychodziłam każdego dnia trochę jak na scenę. I on bardzo chciał, żebym ja była uśmiechnięta, żebym ja była ubrana, żebym ja wyglądała ładnie itd. itd. Ale, rozumiesz, jak ja, ja zapominałam, wiesz, o tym. Jak ja widziałam, że on już taki, że wyszedłby już i tak dalej, to ja wtedy brałam sobie, wiesz, dawałam sobie troszeczkę tego luzu, żeby odpocząć, rozumiesz?
Trznadel: Tak.
Watowa: I ten odpoczynek wyrażał się tym oczywiście, że ja wtedy już nie miałam w sobie tej sprężyny, którą nakręcałam ciągle na niego.
Trznadel: Normalne.
Watowa: Teraz oczywiście robię sobie bardzo duże wyrzuty sumienia, dlatego że niestety to się powtarzało dość potem częściej. Kiedy ja byłam, wiesz, bardziej wyczerpana.
Trznadel: No, ale przecież takie rzeczy, takie bóle prowadziły Aleksandra na pewno do jakiejś nadwrażliwości na pewne sytuacje.
Watowa: On tak, on był bardzo, wiesz, on miał rzeczywiście nerwy pod skórą i dlatego, wiesz, dużo też takich – to co się teraz, coś wyczytywał w tych jego dziennikach – ja mu brałam to za złe. Ja mu tłumaczyłam, że nie ma racji, że może – nie wiem czy tam jest ten stary zapis, że ja mówię mu bardzo często, że on jest niesprawiedliwy. A on mi mówi: - „Ja chcę być niesprawiedliwy". Ja nie wiem czyś ty wpadł na to.
Trznadel: Nie, nie, ale to rozumiem.

538:5913223411

Watowa: „Ja chcę być niesprawiedliwy”. Czyli, że on doszedł w swoim cierpieniu do tego, że on sobie sam już dawał, jak gdyby trochę tej ulgowej taryfy, żeby on, żebym pozwoliła mu na to, żebym on uniósł się przeciwko komuś, że on osądził czyjeś zachowanie się, czyjeś, wiesz, zachowanie czy jakiś stosunek do niego, tak? Że to to wszystko bardzo przyjmował krytycznie, bardzo go to raniło od razu, bardzo łatwo. I ja mówiłam: - „Słuchaj, to tak nie jest. To jest dlatego, że ty…”. A on mówi: - „To dobrze, no to musisz mi na to pozwolić, żebym właśnie…”
Trznadel: Jednym słowem ciąg cierpienia, z którym on walczył – nie miesiąc, nie dwa, nie rok, tylko lat kilkanaście.
Watowa: Szesnaście lat. Szesnaście.
Trznadel: Prawda? I który w końcu doprowadził do decyzji w sytuacji, w której jak mówisz, te wszystkie leki zaczęły już coraz mniej działać.
Watowa: Tak, więc te leki... Kiedy, pamiętam taką jego – wiesz – jedną z ostatnich wizyt. Jeszcze profesor *Garçon* – wielki taki profesor, neurolog. Chodziliśmy na zabiegi do niego prywatnie, a potem on nas chciał przekazać, Aleksandra swojemu asystentowi, takiemu profesorowi Godlewskiemu, który w tej chwili jest na czele neurologii w Salpêtrière. I wiesz, widziałam Aleksandra, który już tak strasznie już wtedy wiedział, że to jest, że on musi wyjść pocieszony, że on musi wyjść z jakimś lekiem, który go uspokoi. I wtedy zobaczyłam tych dwóch, rozumiesz – tego odchodzącego Garcina, który był już starym człowiekiem, bardzo już znieczulonym na cierpienia, wiesz, ta wieloletnią swoją praktyką. I tego, tą wschodzącą gwiazdę, tego Godlewskiego, który nie mówił po polsku – z pochodzenia Polak. Bardzo oschły. Który, rozumiesz, myślał, że ten człowiek, który przyszedł tutaj błagać po prostu o to, żeby go tutaj ratowali. Ja widziałam ręce Aleksandra, które drżały. Ale nie drżały przedtem, tylko drżały z tego lęku, z czym on wyjdzie z tego Salpêtrière.
Trznadel: Tak.
Watowa: I oni mu właściwie niczego nie dali. Potem ja się dowiedziałam od Godlewskiego, któremu robiłam wymówki, telefonując do niego, że tam jakąś receptę itd. I na to on mi powiedział: - „Ja w żadnym wypadku nie mogę dać morfiny”. Ja mu powiedziałam tak: - „Pan prawdopodobnie podejrzewa swojego męża, że on chce morfiny, a on się morfiną brzydzi, on morfiny nienawidzi!”. Te rzadkie wypadki, kiedy mu dawałam, to on tą morfinę przyjmował z obrzydzeniem, dlatego że dla niego najważniejszy był dla niego jego mózg i on o ten mózg. I on o ten mózg drżał. Więc tu chodziło o to, żebym pan go poratował, a wyście mu nawet nie

539:2786476338

powiedzieli, nie daliście jednego słowa na drogę nadziei. I wtedy ja sprowadziłam do niego takiego doktora Valleta, krewnego, syna tej Francois. Starego lekarza, który był kiedyś pediatrą, potem się stał takim generalistą. I który – jako człowiek o dużej kulturze – i przede wszystkim jako człowiek bardzo ludzki, zorientował się i powiedział, że to jest zbrodnia, wiesz, żeby jemu nie dawać wszystkiego, absolutnie wszystkiego, co tych cierpień, wiesz, nie...
Trznadel: Tak.
Watowa: I ten, wiesz, ten już ostatni właśnie okres, ten sześćdziesiąty siódmy rok – znaczy nie cały, ale powiedzmy od połowy sześćdziesiątego siódmego roku, jednak zaczęły się te morfiny, które ja mu sama, wiesz, zastrzykiwałam. Które on kazał sobie robić wtedy, kiedy naprawdę nie mógł wytrzymać. Jeszcze do tego miał jeszcze inne lekarstwa.
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: Inne te, które… I zresztą mam jego, wiesz, nie notatnik, a kalendarz, wiesz, z sześćdziesiątego siódmego roku, w którym on każdego dnia zapisuje, ile wziął percodanu. To jest ten lek, wiesz, antybólowy, amerykański. Ile wziął, ile tego. Więc to jakiś takie, że się tylko można było dziwić, że te lekarstwa w ogóle go nie zatruły.
Trznadel: Tak.
Watowa: Bo wiesz, normalnie to człowiek powinien był umrzeć. I potem ten nembutalen. Ile brał nembutali na noc. W rezultacie ja chodziłam po te leki, ja mu to zastrzykiwałam, ja mu robiłam te, te zapasy tych nembutalów, których w rezultacie użył czterdzieści właśnie tej nocy, kiedy popełnił samobójstwo. Tak, że… Wiesz, ta… Wiesz, trudno tu mi mówić bardzo o tej, bo wiesz, to jest taka bardzo długa droga, rozumiesz? I tutaj właściwie należałoby przytoczyć z tego ostatniego zeszytu te pożegnania, które… żegnał się ze mną. I okazuje się, że to było już kilka lat po zachorowaniu. Że pisze, że już nie może. Potem ciągle, że: jeżeli, jeżeli to tylko „ciągnąłem tak długo dla ciebie itd". I to, wiesz… I w Paryżu, i – proszę ciebie – we Włoszech, jakeśmy byli w Berkeley, wiesz, taka straszna noc, kiedy, kiedy żegna się, wiesz, ze mną – także wiesz, tych takich… To, że on o tym myślał, żeby to zrealizować i był już na krok – to było bardzo wiele razy, ale ten zeszyt był przede mną ukryty, no, i teraz… wtedy, kiedy to nastąpiło, to nastąpiło dlatego, że już ta morfina przestała na niego działać. Znaczy się, dawała mu jakąś godzinną ulgę – taki zastrzyk dawał mu jakąś godziną ulgę. I jeszcze się, jeszcze się ratował – znaczy się – jeszcze sprawdzał, jeszcze sprawdzał do jakiego stopnia go ta morfina niszczy, więc każdego rana, jak tylko miał siłę na, to mi mówił takim żartobliwym tonem: „No, zrobię pasjansa, żeby

540:4786114586

zobaczyć, jak działa moja baszka". Ponieważ ja znam tylko jednego pasjansa, którego był nauczony w La Messuguière - podobno bardzo trudny pasjans. Więc siedział, no, i ten pasjans, jak wychodził to był zadowolony, bo to był dla niego taki sprawdzian duży, że on może jeszcze.
Trznadel: Tak.
Watowa: Poza tym do ostatniej chwili siedział, do ostatniej chwili notował. Ten – zdaje się – ostatni wiersz, nawet nie wiem, kiedy był napisany w tej chwili, w każdym bądź razie był napisany w lipcu. No i potem...
Trznadel: I wtedy mieszkaliście, gdzie?
Watowa: Mieszkaliśmy w Parc de Sceaux. Mieliśmy mieszkanie, które on bardzo lubił, z tarasem. Były tam topole, były kwietniki, były te trawniki. No, przyjemnie było to mieszkanko jakoś urządzone. Mieliśmy takiego ptaszka Maciusia, którego lubił. I, proszę ciebie, ale przyszła taka chwila, że on nie chciał wychodzić. Ja go namawiam, ale on powiedział: „Nawet ty sobie nawet nie zdajesz sprawy z mojego stanu".
Trznadel: Nie chciał czego?
Watowa: Wychodzić. Nie chciał wychodzić.
Trznadel: Wychodzić.
Watowa: W gruncie rzeczy prawdopodobnie nie zdawałam sobie sprawy, chociaż ten stan… Wiesz, on na przykład spędzał już dnie na fotelu zapatrzony gdzieś, wiesz. Oczywiście, myśląc prawdopodobnie tylko o tym i zastanawiając się, i przyglądając się mojej krzątaninie. Jeszcze ta walka, która się w nim toczyła. Ale już było tak, że jak ja mówiłam do niego, to on tak robił mi znak ręką, żebym nie mówiła i pisał mi: „Proszę Cię, nie mogę rozmawiać". Więc przychodziły takie dnie, wiesz, na milczenie. Ja jeszcze ciągle, wiesz, latałam po te pisma, po te różne, wiesz, francuskie, angielskie, niemieckie – znosiłam mu, bo ciągle mi się zdawało, że jak on się zanurzy w lekturze, to jak gdyby ta lektura go tak, wiesz, pochłonie. Ale był taki dzień poprzedzający – usiadł na balkonie i poprosił mnie, żebym mu ścięła włosy. No, więc był taki lipcowy dzień. Mieliśmy takie, wiesz, te, takie – jak się nazywają? Żaluzje takie czerwone, które pocieniały balkon. Miał takie, widzisz, takie bardzo jedwabiste włosy i takie, taka wiesz, jak to bywają te włosy – nie taka martwa siwość tych włosów. Tylko on miał takie błękitne te włosy. I tak siedział z pochyloną głową, założyłam mu ręcznik i tak, „tutaj" – tak powiedział, „tutaj" – żebym mu ścięła troszeczkę. Tak mu się wiły troszeczkę. I wiesz, że tak, ja tego nie chciałam dopuścić do siebie tej myśli, ale potem, jak on, jak on... – jak myślę o tym, to ja tak mi się

541:1787091373

wydaje, że ja już wtedy wiedziałam, że on się przygotowuje. Potem, wiesz, tego wieczoru – znowu wiesz, taka głupia rzecz, ale która jednak zostaje. A nie! Więc było jeszcze, było jeszcze może tydzień poprzedzający. Powiedziałam: „wiesz Ol, ja tak wyskoczę do Andrzeja na chwileczkę". On mi tego nigdy nie bronił. Zawsze mi mówił, że jestem jedynym łącznikiem jego z życiem. Żebym wychodziła. Niemniej, wiesz, teraz wiem, że on zostawał sam z swoim bólem. Ja miałam blisko, wiesz. Ta linia…

Trznadel: Linie de Sceaux.

Watowa: De Sceaux. Przyjeżdżałem na Boulevard Saint-Michel, wpadałam do Andrzeja i wracałam. I pamiętam, jak leciałam do niego. I zrobiło się troszeczkę późno – już było po dziesiątej. I pamiętam tą szaloną moją radość, że zobaczyłam światło w jego oknie. Przyleciałam tam do jego pokoju i tak uklękłam przy nim: „Boże, jak to… Ja wyszłam! Ja wyszłam! Ja przy tobie nie byłam!". I tak wiedziałam, że to były takie stracone, takie cenne chwile, kiedy trzeba było siedzieć, kiedy trzeba było być przy nim, kiedy trzeba było koło niego przyłożyć, położyć – i że mnie wtedy nie było. A potem, tego dnia rano, wyszłam do kąpielowego, bo nie chciałam, żeby mi się zamykał. On wstał, był po kąpieli, wstał, miał jedna nogę opartą… na poręczy. Można powiedzieć poręczy. Nie, tak się nie mówi...

Trznadel: Brzeg wanny.

Watowa: Na brzegu wanny. I wycierał sobie stopy, i nie patrzył już na mnie, tylko tak bardzo ten wzrok, był bardzo daleko. Mówię: „No Ol, kochanie, ja ci pomogę, pomogę ci wytrzeć..." i tak zaczęłam wycierać. I wtedy tak mnie ((z emfazą)) uderzyło, wiesz, zupełnie takie uderzenie, wiesz, jak gdyby to miało mi zostać w moim wspomnieniu, wiesz – to ciało tego sześćdziesięcioletniego człowieka. Właściwie ciało młodego człowiek. Miał bardzo piękne nogi. Miał bardzo taką, wiesz, gładką skórę bez żadnych jakichś obrośli. I tak, wiesz, widzę po prostu jak ta skóra, jak gdyby światło miał, wiesz, w tej łazience, w tym oświetleniu łazienki, wiesz, że zupełnie jakby odbijała jakieś światło. No, i potem wieczór był taki, że zadzwoniła bratanica. Nie! Wyjeżdżała… Dzwoniła bratanica jego z Brukseli. To była taka jakaś głupia rozmowa z tą bratanicą – taka zawsze trochę nieszczera, bo nie bardzo, wiesz, tam… żeśmy się do niej… nie bardzo przekonani byliśmy do niej. No, i... A potem zadzwonił Andrzej. I ja jakoś zaczęłam Andrzejowi takie głupstwa opowiadać, właśnie o tej rozmowie, wiesz, z tą bratanicą. Jak się skończyło, to właściwie już była też jakaś godzina dziesiąta, jak to wszystko się odbyło. Ja wleciałam do jego pokoju, on leżał... Milczenie. Ale nie takie milczenie jak zawsze, rozumiesz?

542:8754512638

Tylko takie milczenie, kiedy jest milczenie, kiedy się czuje, że człowiek milczy, ale że w nim, wiesz, że jak gdyby w nim jest to słowo.
Trznadel: Tak.
Watowa: Ruch myśli jest, że tego. A tutaj takie milczenie do tego nagle, wiesz, jak gdyby ktoś położył jakiś…, że tutaj jest koniec, rozumiesz? Że to jest milczenie. I ja mówię: „Ol, wybacz mi. Ja tak długo takie głupstwa tam opowiadałam, a ty pewno jesteś tak strasznie zmęczony!". A on mi nie odpowiedział, tylko wiesz, pochylił głowę i dał mi znak, że tak. I patrzył na mnie. Ale wzrok był inny. Inny był zupełnie, inny był wzrok. Taki ostateczny, powiedziałabym, takie ostateczne spojrzenie, w którym ja oczywiście chciałam wyczytać tylko to jego bardzo duże zmęczenie... i że on przedłużył, wiesz, to swoje zmęczenie, żeby się jeszcze ze mną pożegnać. I ja. On mi zawsze mówił: - „dobranoc kochanie". I w tym – jak się żegna – w tym zeszycie ostatnim, wszędzie, gdzie się ze mną żegna, wszędzie, gdzie się ze mną żegna pisze: „dobranoc kochanie", dlatego że tak żeśmy sobie "dobranoc kochanie" mówili. Ale on nie, miał usta zaciśnięte, miał tylko to spojrzenie na mnie skierowane, nie powiedział ani słowa. Potem wytłumaczyłam to sobie, że gdyby zaczął mówić, to chyba – sądząc z tego spojrzenia – nie potrafiłby mówić, tylko zacząłby krzyczeć, że… To nie byłby żaden melodramat, to byłby – wiesz – to byłby jakiś taki też krzyk, wiesz, że, że, krzyk, który miałby mnie zmusić do zaakceptowania tego wszystkiego. I powiedziałam: „Czy będziesz spał? Czy chcesz, żebym ci zgasiła światło?" – chciał. [odgłosy metra]. No jednak na pewno to światło potem zapalił.
33_Fon.61.716 Strona B
[odgłos tykającego zegarka]
Trznadel: Tak możemy.
Watowa: Więc wróciłam do pokoju – położyłam się. Przypuszczam, że było około jedenastej. Czytałam wtedy taką wielką książkę o Prouście, o Marcelu Prouście. Napisaną przez Anglika. Ciągle pamiętałam. Taka znana, wiesz, taka znana biografia. A teraz nie mogę sobie przypomnieć.
Trznadel: Też nie pamiętam.
Watowa: Bardzo znana książka. Czytam. No, i w pewnej chwili – po godzinie czy po dwóch – usłyszałam chrapnięcie. On nigdy nie chrapał. Ale jak usłyszałam to takie chrapnięcie dziwne, to powiedziałam sobie – jak to dobrze, że on już zasnął i że on już nie cierpi. I wtedy momentalnie zgasiłam światło, i zasnęłam. Rano dość długo – bo miał dzwonek taki, wiesz, który mamy tutaj

543:5273820588

– taki, taki wiesz, dzwonek, którym dzwoni, kiedy mogę do niego wejść. Widziałam, że już jest dziesiąta, więc na palcach weszłam do jego pokoju. Leżał z pochyloną głową na bok i spał takim bardzo spokojnym snem. Miał bardzo spokojny wyraz twarzy. Jasiu Lebenstein, który siedział – ze dwa dni, bo Aleksander leżał w domu do pogrzebu trzy dni. Więc Jasiu tam spędzał całe godziny, całe dnie. I ja jeszcze tego nie widziałam, bo Andrzej mi tego nie chciał jeszcze pokazać, ale on zrobił takie, wiesz, jego na łożu śmierci, wiesz, to zresztą, co postanowiłam w końcu.

Trznadel: Ale zdjął maskę?

Watowa: Nie, maski się nie...

Trznadel: A! Rysunek.

Watowa: Zrobił dwa rysunki, tak, podobno. Aleksander na łożu śmierci. Więc leżał, wiesz, to tak jak takie to pochylenie, wiesz, głowy, jak którego się już nie zmieniło. Tak jak leżał, wiesz, z tą pochyloną głową, uśpiony. I nawet, wiesz, Sterlingowa, która przyszła ze Sterlingiem po dniu czy po dwóch… przyjechali ze wsi do nas. I ona potem mi mówiła, że ona powiedziała Karolowi, że ona by wolała nie wchodzić, że wolałaby go tak zapamiętać. A Karol powiedział: „Uważam, że powinnaś wejść ze mną". No, i weszli. I Halusia mi powiedziała, że ona była bardzo zadowolona, że ona go zobaczyła, bo on miał…, bo nigdy za życia, właściwie nigdy, znaczy – nie miał takiego spokoju, wiesz, w twarzy, że widać było, że on nie cierpi, że ta twarz, tym wyrazem pokazywała, że „ja nie cierpię". I tak, taki, wiesz, spokój i wiesz, ta głowa tak pochylona, wiesz, jak na ukrzyżowaniach Chrystusa ta głowa, która tak opada. Więc jak ja wyszłam do, do, rano, nie zauważyłam tego zeszytu. I bardzo cichutko, widziałam, że nie był nakryty zupełnie, tylko jedna noga była wysunięta spod kołdry, co mnie bardzo zdziwiło, dlatego, że on był szalenie wrażliwy na temperatury, na zmiany temperatur. Więc wzięłam leciutko tę kołdrę i nakryłam go. Ale on się nie poruszył, a miał bardzo… I tak podeszłam i pogładziłam go. No, ale wtedy już powiedziałam: -„Ol, Ol!" I wtedy już powiedziałam ((głośniej)) „Ol, Ol, obudź się, obudź się!". I wtedy, wiesz, wzięłam go tak pod plecy, wiesz, on leżał, wzięłam go tak pod plecy. I wydał mi się tak lekki jak piórko, wiesz, bo ja go tak podniosłam, wiesz, ku sobie i potem go położyłam. No, i wtedy zobaczyłam ten zeszyt. Ja myślę, że tutaj powinnam, muszę ci powiedzieć, co było na okładce, może tego zeszytu, ponieważ już nagrywamy, to ja wezmę ten zeszyt.

Trznadel: Tak, dobrze.

544:6411251261

Watowa: Dobrze? Można na chwilę zatrzymać. [przerwane nagranie]. Więc na okładce tego zeszytu… To jest taki zeszyt, który był jeszcze – a nie, to już nie z Polski, Rhodia Provence - u samej góry jest *Pour l'amour de dieu – ne faites rien pour moi... Aidez ma femme.* (((ze wzruszeniem, płaczliwym głosem))) *Donnez. 2 comprimés de "Librium"* – w nawiasie – *sur la table, auprès de moi. Téléphonez toute de suite: M-me André Wat, 40 rue des Ecoles, TEL. MED 8955.* Dalej. Drugi punkt. *Au Dr Valette, telephone. A ma nièce à Bruxelles: Mme Herscovici*, numer telefonu podaje. I czwarte: *a monsieur Czapski, Maisons-Laffitte*, oczywiście adres i numer telefonu... [I na pierwszej stronie jest: „Nie ratować! Przebacz mi moją straszną zbrodnię. Chciałem ciągnąć agonię, już absolutnie niemożliwe. To i tak nie do uniknięcia, nic nie pomoże. Żadne leczenie. Parę, kilka tygodni, a coraz gorzej byłoby. Przebacz, błagam, nie rozpaczaj. Myśl, że skończyła się (((płaczliwym głosem, ze wzruszeniem))) moja męczarnia, nawet Ty nie znałaś jej głębi i siły. Kochana, żyj. Dobranoc, moje światło, dobranoc, moja kochana, dobranoc, Olu. ((płacz)) ((rozedrgany głos)) Andrzeju, kochany, nie załamuj się. Myśl o matce, zajmij się mamą. Andrzeju, Roma, Kochani, opiekujcie się dobrze moją Olą. Przebaczcie mi, żadne leczenie, nic już nie mogło mi pomóc. Byłoby coraz okropniej. Jesień, zima – to nieuchronne. Opiekujcie się zawsze dobrze moją biedną Olą. Olu, moje życie, moje wszystko, dobranoc." I potem: „Nie mogę już absolutnie. Absolutnie. Przebacz zbrodnię". I potem jest: „Laissez moi mourir. Nie ratować. Occupez vous de ma femme. Téléphonez à mon fils". Bo on myślał, wiesz, on myślał prawdopodobnie, że ja zemdleję, czy jak.

Trznadel: Tak.

Watowa: Albo polecę do sąsiadów czy tego… Ja tego nie zrobiłam oczywiście. „Et a dr. Vallet! Appliquez à elle Librium". I tutaj są, jest cały szereg, wiesz, tu jest pożegnanie Aleksandra z roku sześćdziesiątego trzeciego z CU. To znaczy w Berkeley. Wtedy było jedenaście lat. Jest, proszę ciebie… Tutaj jest pożegnanie. Bez dat.

Trznadel: A wszystko to oznacza, że – wiesz, to się mówi „akt". Trudno o bardziej świadomy akt.

Watowa: Tak.

Trznadel: Całkowicie świadomy. Słuchaj Olu, ja Cię strasznie przepraszam, ja jednak na chwilę zatrzymam, dlatego coś tu widzę, że tak jakby tu się nie… Światła kontrolnego. Nie wiem, dlaczego. To ten drugi magnetofon też nagrywa. Może wrócę, zobaczę jak to jest… [przerwane nagranie] To będzie jedno nagranie.

545:7458626755

Watowa: Tutaj jeszcze widzę, że do tego pożegnania ostatniego jest ta, jest ta jeszcze na jednej stronie. To już jest do mnie zwrócone: „Na miłość boską! Tylko nie ratować – z wykrzyknikiem. Już mi się to należało. To będzie straszne, jeżeli zdołacie mnie uratować. Nie mogę nawet o tym myśleć. Jedyny to mój już teraz strach. Nie rozpaczajcie. Opiekujcie się wszyscy moją Olą". A tutaj jest napisany list do mojej synowej z prośbą, żeby była dla mnie dobra... I tutaj w tym jego właśnie, w tym wiesz *Zeszycie Ostatnim*, proszę ciebie, jest przekreślony wiersz, napisany 29/05, czyli dwa miesiące przed śmiercią – dosłownie. Z boku jest napisane „wegetowanie. przy zaciśniętych zębach, zmrużonych powiekach. Ile jeszcze dni?". I wiersz pod tytułem *Schodzenie*. Ze znakiem zapytania czy dać „do tomu?" Potem ten wiersz jest przepisany trzydziestego, bo tutaj jest przekreślony, a tutaj jest i napisane jest *Wiersz ostatni*. To idzie tak...
Trznadel: Tak. Właśnie jeszcze, jeszcze zatrzymam. Dwadzieścia pięć minut, więc jeszcze jest.
Watowa: Także tutaj jest ten, proszę ciebie, jeszcze – jak mówiłam – dwa pożegnania. Tam są inne. Więcej jeden jest...
Trznadel: Może zmienimy to.
Watowa: Może weźmiesz tę taką nową, co Andrzej.
Trznadel: Nie, nie. Bo tu jest druga strona.
Watowa: Ale już przekręcałeś ją.
Trznadel: Nie. Tu. Nie przekręcałem. Na pewno, wiesz.
Watowa: Zobacz, czy to nie jest przypadkiem… A może to jest nagrane?
Trznadel: Nie. Na pewno, przecież… przekręcałem swoją, a teraz tą drugą.
Watowa: Mhmm.
Trznadel: ((wzdycha))
Watowa: Tak, tutaj jest jedno pożegnanie. „Od – pisze – od jedenastu lat wszystko, absolutnie wszystko, co jest we mnie z egoizmu, chciało. Co się stało? ... co jest we mnie z egoizmu, chciało, domagało się mojej szybkiej śmierci. Tylko ty byłaś przeszkodą jedyną. Ty i Andrzej. Tylko moja miłość dla ciebie była silniejsza i z nią zniosłem wszystkie moje męczarnie i zniósłbym dalej". To jest początek tego. Dlatego tak, wiesz, zaprotestowałam przeciwko temu, co napisał Zieliński, wiesz?
Trznadel: Ja wiem.
Watowa: Tutaj jest, proszę ciebie – „Już teraz nie wytrzymuję definitywnie. Takich bóli jeszcze nie miałem. Stało się to, co miało się stać od 12 lat. Przypomnij sobie doktora w Sztokholmie: z

546:1143365261

taką chorobą wychodzi się oknem. Naprawdę nie mogę dłużej, wiesz, że póki to było możliwe, przez 12 lat naszej męki... naszej męki… no, niby znosiłem wszystko. Nie rozpaczaj tylko, nie rozpaczaj" itd. Więc tutaj są te powtarzające się właśnie...

Trznadel: Tak, nawet nie wiadomo, wiesz, jak się dzisiaj myśli i bardziej spokojnie, czy ten notatki były już przed wypiciem tej szklanki, czy zaraz po.

Watowa: Tak. Nie. To, to on tu na przykład, to: „już teraz, już teraz nie wytrzymuje definitywnie" i pisze „od dwunastu lat", to znaczy, że on to przymontował, żeby potem, wiesz….

Trznadel: Tak, ja rozumiem.

Watowa: A tutaj to nie wiadomo. W każdym bądź razie tu jeszcze pisze do Andrzeja i potem na... kończy jeszcze, kończy: „Olu, moje życie, moje wszystko, dobranoc". To to była właśnie ta… Zamknij teraz może na sekundę, proszę... [przerwane nagranie] Tak, tutaj jeszcze widzę w tym zeszycie: data 10.06.6…. [przerwane nagranie]

Trznadel: A, to sprawdzimy. To może spróbowałabyś sobie przypomnieć jakiś epizod związany z tym, o czym zresztą mówisz w swojej kronice dwudziestolecia, związany z tym, jak Aleksander był bardzo często zatrzymywany na dwadzieścia cztery godziny i jak przeprowadzono u Was takie, tak powiem lotne rewizje.

Watowa: Tak. No, więc… Nie wiem, czy Aleksander w *Moim wieku* wspomina o tym, jak to było, jak on siedział w więzieniu. Znaczy się, wtedy Andrzejek, jak go zaaresztowali Andrzej miał trzy miesiące. Ja byłam po bardzo, bardzo ciężkim połogu. Właściwie cudem wyszłam z życiem, bo wtedy nie było antybiotyków. Więc przypominam sobie bardzo reakcje półpiętra, półpiętrza czy półpiętra?

Trznadel: Półpiętra.

Watowa: Półpiętra w Ziemiańskiej, kiedy rzeczywiście wszyscy ci Skamandryci, Wierzyński itd. jak mnie widzieli. Znaczy ja tam przeważnie przychodziłem w tym okresie, bo czegoś mi trzeba było, wiesz, jakiegoś poparcia. Tak, że... raz tylko jeden, bardzo mnie takie prawie, że mnie o łzy przyprawił – Ferdynand Goetel, który powiedział mi: „No, Broniewskiego to już niedługo wypuszczą, ale Pani mąż to się przesiedzi. A i ma za co".

Trznadel: Hmm.

Watowa: Także tutaj – zdaje się, że Wierzyński, który miał dobre serce czy ktoś inny z nich powiedział: „Ale, co ty opowiadasz! Niech pani, niech pani tego nie słucha, on na pewno bardzo

547:1189373866

szybko wróci". No, potem spotkania pamiętam z Sempołowską, która w ogóle była bardzo czynna w opiece nad więźniami. Nie mylę się, prawda Jacku?
Trznadel: Tak.
Watowa: Tak. Kiedy, wiesz, spotkałam jej. Prosiłam, żebym przyszła. Przyszłam do niej. Pytała się w jakich jestem warunkach. Chciała nawet mi sprokurować wózek dla Andrzejka, ale powiedziałam, że, że, że mam, że mieszkam u rodziców. Że niczego mi pod tym względem nie brak. No, i pamiętam jak – nie wiem, dlaczego pamiętam, jak jechałam na, do niego, żeby go zobaczyć, na Nowy Zjazd, tak? Tam były sądy? Tam, wiesz, most… wąs… Trzeciego Maja, tak? I tam się wchodziło od mostu Trzeciego Maja. Tam on był tam sprowadzany.
Trznadel: Mhm.
Watowa: Więc pamiętam, jak wsiadałam do dorożki i jak nie mogłam, wiesz, stanąć na jednej nodze. Bo trzeba było, przez chwilę, wtedy się zjawił Ważyk zresztą, [hałas z ulicy, trabienie samochodów] który mi podał, pomógł wstać. Wiesz, takie migawki jakieś. No, potem to widzenie z Aleksandrem w olbrzymim tym, tym, w takim hallu, wiesz, który ci prowadzą do sędziów, do śledczych. I on mi tam dawał różne takie zlecenia, prawda, co do adwokata itd. Prosił mnie bardzo, żebym chodziła wieczorami na, na razie po Daniłowiczowskiej – że może ja, że może on będzie przez okno patrzył, że może się zobaczymy.
Trznadel: Tak.
Watowa: No, wizyty u adwokatów. Nie u Braitera, tylko u… Beilina, który też się zajmował często sprawami komunistów, który – bardzo elegancki pan, ożeniony z Olą Leszczyńską, która potem we Lwowie chodziła ze mną razem, wiesz, żebym do Wasilewskiej itd., bo Grudnickiego jej, jego przyjaciela zaaresztowano. Beilin już nie żył. No, i on widział, że ja jestem taka dość, wiesz, tego…, więc on powiedział: „No Pani Olu, niech się Pani zastanowi, niech Pani powie, co by Pani wolała: czy żeby mąż panią zdradzał, czy żeby siedział?". Na co ja bez wahania powiedziałam: no to niech siedzi! ((śmiech))
Trznadel: ((śmiech)) Tak.
Watowa: I on to potem opowiedział Aleksandrowi. ((śmiech)) Tak. No, i potem jeszcze bardzo zabawne było wyjście Aleksandra, potem go przewieźli na Mokotowskie, na Mokotów. I z tego Mokotowa, tam przyszłam po niego, i wtedy była zmiana straży. I na tym podwórcu, wrota więzienne otwarte, ja czekam na tym dwórcu, tutaj w dwóch rzędach...
Trznadel: Rakowiecka chyba, nie?

548:2605172468

Watowa: Mokotów. Więzienie mokotowskie.

Trznadel: Rakowiecka.

Trzeci głos: To Rakowiecka.

Trznadel: Rakowiecka.

Watowa: Tak? To ja już nie pamiętam.

Trznadel: Dzisiaj też tam więzienie.

Watowa: Tak? To jest ta słynna Rakowiecka niemiecka? No, i tutaj, wiesz, i Aleksander wychodzi. I on wychodzi pomiędzy takim szpalerem, rozumiesz, z dwóch stron, którzy prawie.

Trzeci głos: Jakby kompania….

Watowa: Co?

Trzeci głos: Jakby kompania honorowa.

Watowa: Jakby zupełnie wiesz, takie to zrobiło wrażenie. No, więc powrót do domu, no, ale powrót był bardzo dla niego ciężki, dlatego że następnego dnia przyszła wiadomość o śmierci jego – właściwie naj, najbliższej mu siostry – Ewy, która nie, nie urągała mu od futurystów, wiesz, jak Broniszówna. Wszystko rozumiała, bardzo go popierała. Wypychała mu też pieniądze, pieniędzy, kieszenie pieniędzmi. No, i jak trzeba było to zostawiała mu swoje mieszkanie ((śmiech)). I także…, ale ja się tutaj troszeczkę w tych szczegółach… Bo tyś mi zadał pytanie.

Trznadel: Tak. Ja jeszcze chciałem cię pytać...

Watowa: Aha!

Trznadel: Bo ty mi wspominałaś, że były takie – no – z dzisiejszego punktu widzenia, malownicze rewizje u was.

Watowa: Tak, tak. No, więc tak, więc zaczyna się, no tak przejdę do tych rewizji. Zaczyna się ten okres dość ciężki, bo jest jednak to dziecko. Przenosimy się na Hożą, bo, do naszego mieszkania. No, i jest bezrobocie, no, ale Aleksander się potem dostaje do Gebethnera. Ale też od zamknięcia "Miesięcznika" wydawałoby się, że jest już koniec z tym „Miesięcznikiem", niemniej były w dalszym ciągu rewizje. No, i nie przypominam sobie, żeby były takie rewizje, wiesz, takie jak jest opis rewizji, co to wyrzucają wszystkie książki na podłogę.

Trznadel: Tak.

Watowa: Ale ci co przychodzi, nawet powiedziałabym, że interesowali się książkami. Tak, że przystawali, oglądali, odkładali na bok itd. I właśnie kiedyś na takiej rewizji był Stawar. Jak wyciągał – zawsze ich przychodziło co najmniej dwóch – więc już tam zaczynał jakiś bardziej

549:4376656944

nerwowy niż inni zaczynał tam trochę wyrzucać tych książek. No, i w pewnej chwili widziałam, że Stawar jakoś stanął i absolutnie – nawet chciałam mu powiedzieć: co tak stoisz? Usiądź sobie. A on stał ((śmiech)) i nie ruszał się. No, więc rewizja się skończyła. Oczywiście tam były jakieś pisma, Lenina czy coś takiego. I potem dopiero jak oni wyszli, a on mówi: „Coś ty chciała ode mnie? Tylko żebym ja usiadł, usiadł. A ty zobacz co ja tu mam pod nogą!".

Trznadel: A kogóż to przydeptał, nie pamiętasz?

Watowa: No, i kogo przydeptał? Widzisz, kogo przydeptał? Nie wiem.

Trznadel: No, miejmy nadzieję, że przydeptał Stalina. ((śmiech))

Watowa: No, miejmy nadzieję, że przydeptał Stalina. ((śmiech)) Brawo!

Tak. Więc to jest taka jedna z tych rewizji, które ja sobie przypomniałam. No, inne, Aleksander opowiadał, takie bardziej zabawne, w tym...

Trznadel: Słuchaj, a takie pytanie mi tutaj się uformowało. Czy byłabyś zdolna uchwycić jakiś taki moment czy okres, od którego Aleksander zaczął – jeszcze przed wybuchem wojny – już inne sądy wypowiadać o komunizmie i o Rosji Sowieckiej.

Watowa: Inne, czyli?

Trznadel: Że już, że już...

Watowa: Że łamało się?

Trznadel: Że już się zaczął zmieniać i zmienił się w stosunku do tego.

Watowa: Ja ci powiem. Ja mam do tego specjalny taki stosunek, dlatego że według mnie Aleksander walczył o to, żeby stać się komunistą.

Trznadel: Tak.

Watowa: Bardzo konsekwentnie. Już chociażby to, że – to wiem – że on pisał rzeczy, które potem nie podpadały – to jest zdaje się rusycyzm – nie podpadały pod ten marksizm itd.

Trznadel: Tak.

Watowa: Że to nie było marksistowskie, że to nie było. Że on, wobec tego – i zresztą ja tam wspominam, w tym moim dzienniku – że tutaj się zaczęła, ta tragedia jego zaczęła się o wiele wcześniej. On po ((z emfazą)) ogromnym sukcesie, rzeczywiście ogromnym sukcesie – jak będziesz miał kiedyś okazję zajrzeć do pism z dwudziestego, zdaje się, szóstego czy siódmego roku, kiedy się *Bezrobotny lucyfer* ukazał – były entuzjastyczne recenzje. Mi się zdaje, że jest rzeczą wiadomą, że jeżeli młody, prawda, początkujący – bo on był autorem tego *Mopsożelaznego Piecyka*, a pierwszą jego prozą był *Bezrobotny lucyfer* – że ta, te recenzje

550:1015134836

wynosiły go tak, w tym okresie, tak wysoko, jako pisarza, że to mogło także stanowić według mnie jakąś przeszkodę, barierę, wiesz ten. To znaczy, to, co stało na przeszkodzie, żeby iść dalej, rozumiesz, iść wyżej? Stanął na przeszkodzie – właśnie ten komunizm, te – proszę ciebie – zebrania, te jakieś roboty, wiesz, teatr robotniczy, Schiller, rozumiesz? [hałas z ulicy, samochody]. Jednak zetknięcie się jeszcze przedtem z Hemplem, ze Standem. No, ta żona Standego, córka Warskiego, Warska. Więc on wpadł w środowisko straszliwie takie...
Trzeci głos: Radykalne.
Watowa: Co?
Trzeci głos: Radykalne.
Watowa: Nie radykalne… Takie, jak to się mówi, jak jest, zapiekłe takie?
Trznadel: Fanatyczne.
Watowa: Fanatyczne. O! Szalenie fanatyczne! Weź na przykład Izaaka Byrczera. [hałas z ulicy, płacz dziecka]. I ten Singer, wiesz, który także był jednym z redaktorów tego „Naszego Przeglądu".
Trznadel: Tak.
Watowa: Więc ja pamiętam na przykład – oni nas tam zapraszali. Rozumiesz? Tam jak Olek – zresztą zdaje się wspomina o tym, że – oczywiście, żeby odciąć się od burżuazji itd., to śledzia się jadło na gazecie, rozumiesz? W pewnej chwili jak Deutscher Izaak, Deutscher mnie pociągnął, posadził sobie na kolana, co Aleksandrowi zupełnie nie odpowiadało i mnie z tych kolan od razu ściągnął, za co dostało mu się wymyślanie od małomieszczańskich, prawda, tego, burżujów małomieszczańskich. I skąd tobie w ogóle do tego, jeżeli tutaj nie możesz… Ponieważ wiesz, było taką tajemniczą, tajemnicą poliszynela – wtedy się mówiło poliszynela – że to jest taki trójkąt tam, wiesz, z tym Singerem. Że w ogóle żonami, kobietami się należy dzielić, bo to nie ma własności prywatnej, żadnej w ogóle. Więc już widzisz, to środowisko. I ten człowiek chciał, rozumiesz, ten niesłychanie taki – już tak, ogromne oczytanie, ogromna wiedza o tym, czym jest literatura, do czego doszła literatura itd. I ten człowiek nagle chce się zmusić, żeby się cofnąć! To jest zupełnie, wiesz, dla niego, na tym, wiesz, poziomie, te jego już osiągnięcia wtedy były już takie duże, że to znaczy zupełnie jakby w średniowieczu miał znowu wejść.
Trznadel: Taa (((odgłos powątpiewania))).

551:6548643445

Watowa: Tak że wiesz, ten dramat, tak zwany dramat komunisty. Tu się zaczyna o wiele, o wiele wcześniej. To jest u nasady wszystkiego. I to, że on zniszczył sobie właściwie życie, życie pisarza i życie poety – to są te lata rzeczywiście, które on poświęcił, wiesz, tej idei.
Trznadel: Tak. Zwłaszcza, że tam dochodziły do głosu bardzo sprzeczne często tendencje. Niektóre właściwe bardzo fanatycznie, np. Proletkult. Tak że oni Broniewskiego uważali też w gruncie rzeczy za pisarza za mało rewolucyjnego.
Watowa: Tak, słuchaj! Ale do czego dochodzi? Aleksander! Aleksander ze swoim tym… z tymi horyzontami, z tą światłością! Że przychodzi Izaak Deutscher, którego zaczynają posądzać o Trockizm.
Trznadel: Tak.
Watowa: Już właściwie jest pewne to, że on jest trockistą. Przychodzi do niego i mówi: „Słuchaj Aleksander, pożycz mi Lenina".
Trznadel: Tak.
Watowa: A Aleksander jemu Lenina nie daje, „nie daje ci Lenina, bo jesteś trockistą"! Tam prawie dochodzi do rękoczynów i Aleksander wyrzuca go z domu. Więc słuchaj, ty rozumiesz, co to było? Ale ja jestem przekonana, że tak, jak on robił tą szaloną – wiesz – taki właściwie… jak to się mówi w cyrku? Taki na...
Trznadel: Żonglerkę.
Watowa: Żonglerkę na linie czy na trapezach uprawiał w tym *Mospożelanzym piecku*, tak on tak samo zaczął w jakimś sensie, rozumiesz...
Trznadel: On tą samą ekwilibrystykę komunistyczną.
Watowa: Taką samą! Komunistyczną! Żeby… To tak jak mi powiedział kiedyś: „No, dostałem Czechowa do tłumaczenia, ale jeszcze się nie zabiorę. Będę czytał, wiesz, zawsze z tego mniej więcej okresu polskich autorów, z danego wieku...".
Trznadel: Tak.
Watowa: „żeby duch Czechowa wszedł we mnie", rozumiesz? Że duch Czechowa wejdzie w niego i on wtedy zacznie tłumaczyć, rozumiesz? To, słuchaj, ja ci powiem, ja jestem tak szalenie tego pewna, co ja mówię. No nie wiem, może by Aleksander mi teraz powiedział – ty się mylisz, bo nie, ale mi się wydaje, że ja się nie mylę.
34_Fon.61.717 Strona A
Trznadel: Tak, już możemy.

552:1122716775

Watowa: I zresztą powiedziałam...
Trznadel: Że on siebie niszczył.
Watowa: Że on siebie niszczył, i niszczył to, co pisał. On przestał pisać, a dowodem jeszcze jednym tego, że on nie mógł tak pisać, jak należało, że on w gruncie rzeczy, on redagował „Miesięcznik Literacki", ale jeżeli przejrzysz numery, to właściwie tych jego artykułów w „Miesięczniku" nie ma znowu tak wiele.
Trznadel: Tak. Tu może, zresztą było jeszcze – jeśli pozwolisz, że ja coś dopowiem – że tu może, to mogło być powodem ochraniania naczelnego redaktora. Po prostu podział funkcji. Ale tu jest jeszcze druga dziwna sprawa, i myślę, że w postaci Aleksandra te dwie rzeczy się łączą – mianowicie zajmował się tym Adam Ważyk – że w postaci Aleksandra mamy do czynienia właściwie z dwoma sprawami. W jednej z jakimś nowatorskim ruchem awangardowym, do którego należał, a więc z futuryzmem, a z drugiej strony z przynależnością do ruchu komunistycznego. I to właśnie wyraźne jest, że w tych wszystkich ruchach awangardowych zaznacza się koło dwudziestego szóstego, dwudziestego – powiedzmy – siódmego roku kryzys i oni wszyscy milkną na pewien czas. Ważyk na przykład milknie jako poeta do samej wojny! Futuryzm w tym okresie – Bruno Jasieński pisze artykuł *Koniec futuryzmu*.
Watowa: Tak.
Trznadel: Więc był to jakiś kryzys, także tej awangardy futurystycznej, który – myślę – u Aleksandra został spotęgowany tym, że to jest jednocześnie kryzys, prawda, sprzecznych tendencji w komunizmie, prawda – „Proletkult", „Nowy LEF" itd. Oni się ze sobą kłębią. No, i oczywiście były rzeczy, których on przyjąć, no, absolutnie nie… Dwie rzeczy. Bo na przykład Broniewski, który nie rościł sobie żadnych pretensji do awangardy – u niego tego kryzysu w ogóle nie ma.
Watowa: A tak! Nie ma!
Trznadel: Prawda?
Watowa: Tak!
Trznadel: On zaczyna publikować powiedzmy dwudziesty trzeci, czwarty rok. Zaczyna od *Trzech salw*, potem pisze sam. I już do wojny publikuje, prawda, oczywiście to jest płytsze, to jest mniej zaangażowane filozoficznie.
Watowa: Ja myślę...

553:7665619545

Trznadel: (((z przejęciem))) Natomiast… natomiast – tylko skończę to zdanie – natomiast tu, gdzie mamy to połączenie: awangarda artystycznie i tych wielkich ambicjach artystycznie i nagle, wiesz, jak, jak, jak lokomotywa wchodzi w ten pociąg, wbija się w ten pociąg awangardowy pociąg komunistyczny, następuje katastrofa!
Watowa: Ale ja, wiesz co, ja coś chciałam przerwać. Tyś mówił o Broniewskim. Mnie się wydaje, że Broniewski, jego komunizm to było to, że się on mógł w poezji swojej, że on znalazł wspaniały temat, wiesz, wizję dla swojej poezji.
Trznadel: Tak.
Watowa: Nie widzisz Broniewskiego piszącego wiersze a'la Miłosz albo Herbert, albo Wat, albo Ważyk. On miał temat i on, wiesz, to było takie zespolenie z ideą. Że byli, jemu było o wiele łatwiej wejść w ideę poprzez temat, który on mógł rozwinąć.
Trznadel: Tak. Poza tym on nie należał nigdy do żadnej awangardy...
Watowa: On tak, on tak, jak gdyby jako poeta poślubił, poślubił komunizm.
Trznadel: To tak, bo on nie należał do awangardy!
Watowa: Bo on nie należał do awangardy!
Trznadel: Natomiast dla tych awangardystów jak, jak Wat, jak inni, tego typu temat kłócił się z samą zasadą awangardowości, która była uniwersalna zupełnie.
Watowa: O to chodzi! Dlatego wiesz, on już na samym początku, już musiał napotkać na tą ogromną przeszkodę, bo on – rozumiesz – jak tylko stanął na progu komunizmu, to okazało się, że on się kończy jako pisarz i jako poeta, bo on nie mógł napisać ani jednego takiego wiersza, jaki napisałby Broniewski.
Trznadel: No, czy Stande, powiedzmy...
Watowa: Czy Stande!
Trznadel: Dużo gorszy poeta. Tak. Broniewski ponadto jeszcze robił rzecz...
Watowa: Nie, po prostu. No widzisz Aleksandra piszącego...
Trznadel: No, nie! No, niemożliwe!
Watowa: Widzisz jakiś wiersz...
Trznadel: Powiem ci jeszcze, dlaczego.
Watowa: Tak.
Trznadel: Dlatego, że taki powiedzmy, powiedzmy - *Mopsożależny Piecyk* to jest jednocześnie wykpienie tradycji literackiej, zburzenie jej.

554:7593508321

Watowa: Tak.

Trznadel: Zburzenie romantyzmu. Podczas gdy Broniewski jechał na używaniu rekwizytów i poetyki romantycznej cały czas.

Watowa: No był, no był, wystarczyło...

Trznadel: I był tym romantykiem.

Watowa: Wiesz, jak nie zapomnę nigdy pierwszej wizyty, jak Aleksander mnie zaprowadził do Władka, do jego pokoju, wiesz.

Trznadel: No właśnie.

Watowa: Stał fortepian, była ta chusta turecka na ścianie, dwie szable proszę ciebie - jak to się nazywa?

Trznadel: Karabele skrzyżowane.

Watowa: Karabele skrzyżowane. Jego maciejówka – nie wiem...

Trznadel: Maciejówka z okresu kampanii antybolszewickiej też.

Watowa: Tak, z orzełkiem, z orzełkiem nad tym, rozumiesz?

Trznadel: No, tak.

Watowa: Całe to *decorum*! Jak on usiadł, jak Aleksander pisze, że strasznie grał tego Chopina, ale jednak grał tego Chopina, rozumiesz?

Trznadel: On potem pisze w takim wierszu: „A matka mi to grała/ na starym fortepianie/ w pokoju, gdzie fotografia/ dwóch braci rozstrzelanych".

Watowa: No właśnie.

Trznadel: Prawda, A bracia – gdzieś tam leżą. Ta tradycja patriotyczna jeszcze zresztą była dla niego ważna.

Watowa: Jest patriotyczna, bo o ile w Aleksandra domu to rodzeństwo, rozumiesz, i on sam mówił, że w piątym roku – on w piątym roku, on miał pięć lat – i chodził po tym podwóreczku z czerwoną chorągiewką. A tam, prawda, brat z Brukseli, a tam siostra z teatru. Wszystko poszło na ulicę, tam lecieli, gonili szablami. Więc tam były też znowu, widzisz, tam były te tendencje, żeby się włączyć w jakiś rewolucyjny ruch.

Trznadel: Tak, i...

Watowa: I w końcu – co tam wiele gadać – to były powody, żeby walczyć o odmianę losu.

Trznadel: No, oczywiście.

Watowa: To było kondycyjne.

555:6753203409

Trznadel: No, oczywiście, oczywiście! (((zniecierpliwienie))) A ja bym jeszcze wrócił do tamtego pytania, tylko przedtem, takie pytanie poboczne, bo jak nie powiem o tym, to zapomnimy, wiesz, najwyżej wykreślimy to potem, jak będziesz przepisywać tą kasetę. Mianowicie, w tym, w *Moraliach* chyba albo w *Dzienniku bez samogłosek*, to co Zieliński wziął, jest taka mowa, że Miłosz mu zwraca uwagę na pewne błędy składniowe. No mówi: „No, moje dzieciństwo". Czekaj, może by to ustalić i to się albo skreśli – zastanowimy się. To właściwie jaki był język domowy – czy w domu Aleksandra, czy oni, czy to było środowisko żydowskie, które mówiło jidysz jeszcze?
Watowa: Kochanie, to było środowisko żydowskie, z tym, że Aleksander nigdy po żydowsku nie mówił.
Trznadel: A rodzice?
Watowa: I rzeczywiście języka nie znał.
Trznadel: A rodzice?
Watowa: Rodzice? Między sobą rozmawiali po żydowsku, z tym, że powiedzmy, jak ja przychodziłam, to oni mówili po polsku.
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: Ale wiem, że – najpewniej – że jak oni zostawali sami – znaczy się, rodzice zostawali sami, to na pewno rozmawiali ze sobą po żydowsku.
Trznadel: Ale z dzieckiem jak rozmawiali? Pewnie i tak, i tak. Aleksander nie mówił w jidysz w ogóle.
Watowa: Nie! Absolutnie, nigdy ani ojciec, ani matka do dziecka nie mówili!
Trznadel: No, i Anusia Mikulak była.
Watowa: I była Anusia Mikulak, była od początku.
Trznadel: Prawda.
Watowa: Rozumiesz?
Trznadel: Aha. Czyli, że z dziećmi nawet nie było tego.
Watowa: Nie, nie było...
Trznadel: To był taki język dorosłych.
Watowa: Nie było. To znaczy, wiesz, Broniszówna, która bardzo zabawnie nam jeszcze, wiesz, kilka lat temu, jak jeszcze – no tam powiedzmy – osiemdziesiąt dziewięć lat, dziewięćdziesiąt, przyjeżdżała do Knokke, to opowiadała, jak ona tam ojca całowała w rękę i koniecznie chciała

556:6121884453

mu zrobić przyjemność. I żeby powiedzieć jakieś zdanie, wiesz, po żydowsku jemu, że jemu to sprawi… Ale jemu na tym naprawdę – tak jak Aleksander pisze – nie zależało. Bo ja tam zawsze też widziałam, że on czyta ten „Kurier Warszawski", wiesz. Ale czytał też – zdaje się, to się nazywało – „Heinz", czy jak to się nazywało? Takie pismo było, które wychodziło w języku jidysz. Było jakieś.

Trznadel: Było kilka chyba. „Fołks-Sztyme" wychodziła chyba, tylko nie wiem, kiedy.

Watowa: Nie wiem, nie wiem, czy to było wtedy, jak ja tam przychodziłem do nich, to jeszcze przychodziłam do nich przed ślubem, a potem po ślubie.

Trznadel: Ale już za wolnej Polski?

Watowa: Tak, więc, wiesz.

Trznadel: No, czyli to taki mit Aleksandra właściwie.

Watowa: Ten język, ten język, z którym ja się już zetknęłam, kiedy przyszłam do domu – to była Broniszówna, była Ewa, by ten Dado, który zginął. Oni mówili bardzo dobrą polszczyzną i wcale nie było żadnych takich nalotów, wiesz. Bo ja tutaj mam taką jedną przyjaciółeczkę, która wyraźnie na przykład ma takie, rzeczywiście, ale tego zupełnie nie było.

Trznadel: Nie. Czyli Aleksander tak sobie mówi, bo można powiedzieć…

Watowa: Ale on, ponieważ, ponieważ oni jednak mieszkali w dzielnicy żydowskiej, wiesz, to znaczy to się zmieniało te mieszkania, zmieniało się. A tu Kupiecka – nie wiem, jakie to były różne te ulice tam. Więc prawdopodobnie, prawdopodobnie on miał jednak, jednak to – poza tym jego ojciec był żydem ortodoksyjnym, Aleksandra. Przy czym on tego ojca szalenie kochał, bardzo go kochał.

Trznadel: Jest taki cudowny sen Aleksandra, w tym...

Watowa: Ten sen Aleksandra.

Trznadel: Ten sen jest zupełnie cudowny. To jest nieśmiertelna stronica prozy.

Watowa: Tak, to jest.

Trznadel: To jest nieśmiertelna stronica prozy. To jest piękna. To jest w tradycji zresztą najlepszej literatury typu żydowskiego, wiesz, tej literatury od Isaaka Babla, czy tej – w tej chwili zapomniałem nazwiska, jeszcze taki pisarz żydowski był, może i Singer też mógłby się pewnie pod tym podpisać. Z takim humorem.

Watowa: Tak. W każdym bądź razie, ja ci powiem, Aleksander rzeczywiście uwielbiał tego ojca. On jeździł do takich, spędzał jakieś sześć miesięcy, bo tu już Broniszówna wiesz, tam nie było

557:1129703611

nigdy dostatku dużego. No, Broniszówna miała doskonałe warunki, pensję jako aktorka itd. Więc ojciec chory na serce. Ona tego ojca wysyłała do pensjonatu. Więc on był w takim pensjonacie rzeczywiście, wiesz, żydowskim. I tam, jak od czasu do czasu żeśmy go odwiedzaliśmy, to on siedział, to wokoło, (((teatralnie))) wiesz, ta galeria tych brodatych tych, tego. I tutaj rzeczywiście ta, te księgi święte, kabała. To był podobno – ja się w ogóle nie znam, ja nie wiem. Strasznie bym chciała, żeby mi tę kabałę kiedyś wytłumaczył, więc podobno świetny kabalista. Poza tym on był wspaniałym matematykiem. On wymyślił sam maszynę, ten ojciec, wiesz. Zrobił maszynę.

Trznadel: Do liczenia?

Watowa: Do haftu.

Trznadel: Aha, do haftu.

Watowa: Nie, nie. Jakieś takie… Oni mieli różne, różne. A matka, to była taka zabawna, jego matka była, wiesz, ona… Broniszówna była do matki podobna. Wysoka, zgrabna, przystojna! No, i tam … I ta matka potrafiła powiedzieć: „Boże, jak mnie ten stary żyd zanudza". Coś takiego, nie, nie, nie to zdanie. Oni byli bardzo… Wiesz. Tamta miała szalony temperament, no, i zawsze się opowiadało jak tam – prawda – jakiś tam ich, ich taki, który prowadził z nimi interesy, taki Goj bardzo bogaty, powiedział: „Niech Pani już rzuci tego starego żyda, niech pani idzie ze mną, ja się z panią ożenię i tak dalej. ((śmiech))

Trznadel: ((śmiech))

Watowa: Więc ona była frywolna. Śpiewała. Jak tylko miała temperaturę – jak Aleksander opowiadał – to śpiewała *O jaka piękna Helena*. I rozumiesz, ponieważ ten Aleksander tak kochał ojca, to on nie kochał matki.

Trznadel: Aha.

Watowa: Z tego powodu sobie bardzo robił ogromne wyrzuty, właśnie dlatego, że ona była taka, wiesz, frywolna ((śmiech)).

Trznadel: Aaaa… To on...

Watowa: A mnie było jej żal. Bo jak ja przychodziłem, a jego widziałam ciągle, tak jak Aleksander, to ja go nigdy tego człowieka nie widziałam inaczej, tylko nad księgą. A ona, wiesz, raczej była taka, że… Więc ja myślę, boże, jak mi było żal tej kobiety, że ona rzeczywiście… A podobno się bardzo, bardzo czule kochali. Pamiętam, jak ona umierała, jak on tam przy niej siedział i bardzo, bardzo był zrozpaczony tą śmiercią tej żony.

558:1703066034

Trznadel: Słuchaj….

Watowa: Zresztą powiedział, powiedział: „ja umrę po trzech miesiącach" i umarł po trzech miesiącach.

Trznadel: Tak często mówią ludzie starsi.

Watowa: Tak.

Trznadel: Słuchaj, a teraz wracam. A czy ty pamiętasz jeszcze sprzed wojny, że w waszym domu się coś zmieniło, że już, że Aleksander, czy Aleksander wyrażał już jakieś opinie, no, antykomunistyczne. Bo w czterdziestym roku we Lwowie był wyraźnie anty, w trzydziestym dziewiątym. Czy masz poczucie, czy to tak przeszło w sposób nierozstrzygalny trochę.

Watowa: Nie. Jeszcze do jednej rzeczy tylko...

Trznadel: Tak.

Watowa: Teraz, bo też strasznie zapominam, że – ja nie wiem czy on o tym wspomina, w tym, w *Moim wieku*, że jednak na zebraniach, które się odbywały na Hożej, podczas „Miesięcznika"...

Trznadel: Tak.

Watowa: Aleksandrowi kazali wychodzić do drugiego pokoju. I że on nie brał udziału.

Trznadel: A, bo nie był członkiem partii?

Watowa: Bo nie był członkiem partii!

Trznadel: A partia była nielegalna.

Watowa: Nie. Więc on, rozumiesz, o pewnych takich rzeczach bardzo...

Trznadel: Nie, to, to, to ja rozumiem, tylko potem właśnie mnie to ciekawi, czy potem to jego odchodzenie już od komunizmu, czy jakoś były jakieś, czy coś pamiętasz, czy też to by w nim raczej tylko, że...

Watowa: Dla mnie też nie ulega wątpliwości, że śmierć Majakowskiego – to, wiesz, co… nie zapominajmy, że my teraz wiemy, że myśmy się dowiedzieli w Ałma-Acie wielu rzeczy, od Szkłowskiego, jak to było przed śmiercią itd. Jaki on był straszliwie, wiesz, za, za, zaszczuty! Ze wszystkich stron był zaszczuty. Że wtedy jednak się o tym nie wiedziało. Ale ja myślę, że to, że to było, to robiło swoją taką pracę. Z tym, że – rozumiesz – jak, jak, zresztą znowu Aleksander mówi – ta ogromna potrzeba wiary, rozumiesz? Była ta, ta, ta właśnie, był ten futuryzm, a potem ten komunizm. A potem – kto wie – czy nie jakieś takie właściwie, nie otwierała się jakoś tak: co dalej właściwie?

Trznadel: No właśnie.

559:7508648149

Watowa: Co dalej? Czy to...
Trznadel: Nie pamiętasz?
Watowa: Nie stwarzało jakiś hamulców? W każdym bądź razie, wiesz, ten... ja ci powiem..., ja, Olek się tak tego… Ja się zastanawiam, w jakim to było roku, kiedy nas odwiedził Witkiewicz. Był wtedy Kuczyński Bogusław, który co chwila dzwonił do Nałkowskiej, bo dzień przedtem mi mówił, że...
Trznadel: No tak, no to już musiało być późno, bo ja myślę, że ten kontakt Nałkowskiej z Kuczyńskim to były lata trzydzieste, pod koniec, bo ona jeszcze z nim była jak jeszcze wojna wybuchła.
Watowa: Tak, była Zahorska Stefania, zdaje się, że była Zarembina z Zarembą i Aleksander jakoś znowu zaczął mówić na, na… Zahorska była bardzo, wiesz.
Trznadel: Tak. To jest twoja kaseta, ja tu na chwilę zatrzymam. [przerwane nagranie] Że mówisz o tym zebraniu.
Watowa: To był, myślisz, że to w którym roku?
Trznadel: No ja myślę, że już to był gdzieś… to mogło już być po śmierci Piłsudskiego, ostatnie kilka lat przed trzydziestym dziewiątym rokiem. Bo od kiedy mógł się skończyć związek z Gorzechowskim Nałkowskiej, no tak myślę. No to już musiały być trzydzieste lata na pewno, gdzieś pod koniec.
Watowa: W każdym bądź razie to było już po „Miesięczniku".
Trznadel: Po „Miesięczniku"? No, to mi się wydaje...
Watowa: Tak, po „Miesięczniku". Więc jednak, rozumiesz, znowu było, że były te spotkania z Zahorską, Aleksander Rafałowski. Wiesz, też było takie, wiesz, towarzystwo, które lewicowało. I potem jemu tak było wstyd, że o się tak zapalił jakoś, w takiej rozmowie i tam nie jakąś pochwałę wygłosił, ale chciał przekonać, że jednak tam coś wiesz, [sygnał ambulansu] jakieś, jakieś tam znajdował jeszcze...
Trznadel: Pochwałę czego? Idei socjalistycznej, tak?
Watowa: Idei, tej, tej, tej idei socjalistycznej. To się tak, wiesz, nie, nie wypaliło. Ja nie wiem, trudno mi powiedzieć.
Trznadel: Tak, no bo to były bardzo krytyczne lata. Widocznie on o tym dużo nie mówił. Na przykład procesy moskiewskie – czy to do was dotarło?

560:4608341038

Watowa: O to chodzi. No, to czekaj. Poczekaj, bo potem zapomnę. O to chodzi, że dużo nie dochodziło. Otóż ja w liście, który przeczytasz – bo to są te listy, które wymieniamy, wiesz, które Aleksander do mnie, wiesz, napisał ten pierwszy list, potem po odnalezieniu – to ty znasz. Ale nie znasz mojej odpowiedzi, a potem odpowiedział Aleksander i znowu mojej odpowiedzi. Otóż ja – między innymi ja to przeczytałam wczoraj czy przedwczoraj – ja w tym liście takim bardzo, bardzo szczęśliwym i kochającym itd. się mówi o tym, że teraz będzie wszystko inaczej. I on też – że będzie wszystko! Że on będzie lepszy, będzie nas bardziej kochał i my też. Ale co ja tam – on, słuchaj pisze, że wiesz, że w jakichś takich…, że były takie, była taka, były takie, jak gdyby tabu, były takie rzeczy, że taka, jak gdyby czułam taką szklaną ścianę, że on mnie do pewnych rzeczy nie dopuszczał, i że teraz to ja bym już chciała, żeby w ogóle nie było nic i że… Wiesz, dlatego, że ty mnie pytasz, czy były na ten temat rozmowy. Otóż, ponieważ ja byłam – trudno powiedzieć, żebym była wroga temu. Wiesz, wroga to znaczy, że trzeba było już coś wiedzieć.

Trznadel: ((chrapnięcie))

Watowa: [hałas z ulicy, samochody] Mi to było całkowicie obojętne. To towarzystwo, wiesz, komunistyczne, które ja spotykałam, to mi zupełnie nie odpowiadało. Było dla mnie coś takiego fanatycznego i prymitywnego. Przy tym instynktownie tak, wiesz, skórą swoją czułam, że to nie jest ten mój Aleksander, którego spotkałam, futurysta. To nie jest ten Aleksander z *Bezrobotnego Lucyfera* itd.

Trznadel: Mhm.

Watowa: Więc tam nie było, rozumiesz, on tak skręcał. Ja mu z tego powodu robię wymówki, ale czytając to myślę sobie tak: ja mu robię wymówki, a w gruncie rzeczy, czy ja chciałam o tym wiedzieć?

Trznadel: Tak, właśnie.

Watowa: Czy ja chciałam o tym wiedzieć? To była taka jakaś jego sprawa, wszedł w to, w jakieś tam sprawy, jakieś tam spotkania, narady i jakoś – wiesz – tak się stało, że ja – powiedzmy – byłam tą, tą… *des côtés*[480]*,* wiesz? ((śmiech)).

Trznadel: Tak.

Watowa: Że ja byłam po tej stronie, zawsze tego Aleksandra, który był tym w końcu prawdziwym Aleksandrem, rozumiesz?

[480] Fr. *des côtés – na boku.*

561:6759725059

Trznadel: A powiedz, czy utkwiły ci… czy znałaś kogoś z tych ludzi, z tego ruchu, no, artystów. Mówiłaś, że Broniewski. Na przykład czy masz jakieś wspomnienia związane ze Standem.
Watowa: Słuchaj...
Trznadel: On chyba wyjechał do Związku Radzieckiego dość prędko.
Watowa: Więc, wiem, że byłam raz czy dwa u Standów. Też taki bardzo...
Trznadel: On jeszcze wtedy z kim był?
Watowa: No, on właśnie z Warską.
Trznadel: Ale oni się potem rozeszli.
Watowa: Ale to, ale razem byli w Rosji.
Trznadel: Ale już w Rosji się rozeszli. Bo on potem był z tą pianistką, która… Grynberg – coś takiego.
Watowa: Słuchaj, Stande był bardzo przystojny!
Trznadel: Mhm.
Watowa: Bardzo się mógł podobać kobietom i jemu się kobiety też bardzo podobały. Bardzo to fizycznie – jak ich zobaczyłam… Ona była taka, taka krępawa, tęgawa itd. Więc widziałam, że on miał takie spojrzenie, wiesz, że on, że on z nią był dlatego, że ona była Warska.
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: Że ona prezentowała te wszystkie walory… [przerwane nagranie]. Na pewno.
Trznadel: No ((śmiech)).
Watowa: Na pewno.
Trznadel: Ginsburg się potem nazywała ta jego następna żona, pianistka.
Watowa: Tak, tak. No, on był tak, wiesz, on był taki trochę poeta, pan poeta, pan poeta, troszeczkę, wiesz, tego. Ona go tak ściągała, wiesz, do tej pracy, do tego, wiesz, żeby, żeby – przebojem! Wiesz, ona była taka ((z emfazą)) bardzo zapalona, wiesz, komunistka. [sygnał ambulansu] Także pamiętam tego Standego – jak jemu było na imię.
Trznadel: Stanisław Ryszard.
Watowa: Stanisław?
Trznadel: Stanisław Ryszard.
Watowa: Standego pamiętam jako bardzo przyjemnego pana, robiącego wrażenie, takiego z burżuazyjnej rodziny, który wszedł w to, no, i który jednak Warska, to też, to też było, wiesz, to też można się było snobizować wtedy, że się jest z Warską.

562:8622228377

Trznadel: Wszyscy byliście bardzo młodzi wtedy, poza tym, to też dawało panom uroku.
Watowa: Byliśmy młodzi. No, mnie na przykład to, że Hempel jest ożeniony z robotnicą, to dla mnie było takie – wiesz co, to dla mnie była ogromna egzotyka, wiesz, dla mnie. Ja z tej rodziny takiej, wiesz, drobnomieszczańskiej, no powiedzmy, takiej... takiej zamożnej średnio.
Trznadel: Burżuazyjnej się mówiło wtedy.
Watowa: No, bo ja wiem. Może burżuazja to już było trochę więcej.
Trznadel: Trochę wyżej. Mhm.
Watowa: Tak. Tak, że moja wprawdzie synowa mi teraz wymyśla – nie wymyśla – ale mówi, że ja jestem luksusowa kobieta. ((śmiech)) Ale...
Trznadel: Majakowski to mówił: „użasneje mieszczaństwo”[481].
Watowa: *Użasneje mieszczaństwo.* No, wiesz, daj boże zdrowia, *użasneje mieszczaństwo*. Była służąca, była kucharka, była Balbina, która szyła we framudze okna, przy maszynie, była praczka, co przychodziła, była balia ((śmiech)) i tak dalej. Tak, że, no...
Trznadel: Jeszcze tu jeden ja widzę temat, któregośmy nie poruszyli. Mieliśmy go dograć. Mianowicie – wasz ślub. I, że tak powiem, kto był zaproszony, bo to jednocześnie pokazuje jakiś typ znajomych, tego okręgu. To był dwudziesty siódmy rok?
Watowa: To był dwudziesty siódmy rok, jeżeli się nie mylę, to zdaje się, w styczniu. Proszę ciebie, no, oboje byliśmy bardzo, bardzo przeciwko tym wszelkim obrzędom. Mnie zupełnie na tym nie zależało, ani jemu, ale to już mowy nie było, chociażby ze względu na moich rodziców, a szczególnie już na mojego ojca. Biedny Aleksander już tak się naczekał – cztery lata, dwa lata co najmniej mój ojciec go do domu nie wpuszczał – jako futurystę, łapserdaka, co nie ma pieniędzy.
Trznadel: Aha. A kiedy mówisz „obrządek”, to chodzi o religijną stronę tego?
Watowa: Tak, chodziło o to...
Trznadel: Czy to był ślub ortodoksyjny?
Watowa: To był ślub – znaczy się przyszedł do mieszkania, przyszedł rabin, no, i postawiło się baldachim. Wiesz, my weszliśmy pod baldachimem. Ja się, ja się, ja byłam z Aleksandrem w drugim pokoju w ogóle ((śmiech)).
Trznadel: Ciekawe.

[481] Ros. użasneje mieszczaństwo – straszna burżuazja.

563:8162818338

Watowa: Odpoczywaliśmy ((śmiech)). Moja siostra przyszła, powiedziała: „słuchaj, już musicie wyjść". Ja się zupełnie, no, musiałam powstrzymywać, bo jakiś atak śmiechu mnie ogarnął okropny i jego też ((śmiech)).
Trzeci głos: ((chichot))
Watowa: No, więc… A tutaj bardzo uroczyście tak. A Tuwimowi szalenie na tym zależało.
Trznadel: Na tym, żeby to było właśnie ortodoksyjnie?
Watowa: Na tym, żeby był. Tak, że właśnie, żeby był.
Trznadel: Lubił to? Cenił?
Watowa: Tak.
Trznadel: No, jego matka była bardzo ortodoksyjną żydówką.
Watowa: Więc nie. Ale dla niego, ja ci powiem, dla niego – nie zapomnijmy, że to był taki trochę jak Chagall.
Trznadel: Tak.
Watowa: Więc jeżeli sobie przypominasz obrazy Chagalla – to ja w białej sukni, rozumiesz? Jakiś taki z crepy. Nie wiem, jakiegoś tam czegoś błyszczącego.
Trznadel: Crêpe de chine?
Watowa: Nie, nie!
Trznadel: Nie?
Watowa: Taki jedwab błyszczący, się specjalnie nazywał.
Trzeci głos: Tafta?
Watowa: Naszywane jakimiś dżetami - bo wiesz - wtedy była taka moda, wiesz?
Trznadel: Welansiemki też?
Watowa: To są te trzydzieste lata, wiesz.
Trznadel: Welansiemki też?
Watowa: Nie, nie. To były takie dżety, wiesz, naszywane. Tutaj miałam jakiś taki – nie welon, broń boże! – już nawet nie miałam prawa do welonu, ((śmiech)), ale nie dlatego, bo rodzice o tym nie wiedzieli.
Trznadel: Aha.
Watowa: Tutaj jakiś taki miałam, wiesz, taki, jak, jak, jak nie korona tylko?
Trzeci głos: Czepiec?

564:3798045418

Watowa: Nie czepiec! Tylko taki tutaj też dżetowy, takie wiesz, ubranie. No, wyglądałam podobno bardzo ładnie. No, Aleksander wiesz... Więc żeśmy poszli pod ten baldachim. Oczywiście nie rozumieliśmy ani jednego słowa. Ten... Potem – zdaje się, że kazał Aleksandrowi wokoło mnie kazał przejść trzy razy – coś takiego było. A potem mu kazał potłuc kieliszek. ((śmiech))

Trznadel: Aha. To ciekawe.

Watowa: A Tuwim? Dla Tuwima – rozumiesz – tak. Dla Tuwima, to był właśnie ten Chagall. Wiesz, bo to baldachim był bardzo ładny, jakiś taki, z takim – zdaje się – czerwonym takim tym, z gwiazdą prawdopodobnie Dawida. Ten brodacz taki, w jakimś takim sobolu, z jakąś czapą, wiesz. Tak jak na jakiś obrazach, jakiś atłasowych takich...

Trznadel: Jak Jankiel z *Pana Tadeusza*.

Watowa: Jak Jankiel z *Pana Tadeusza*. [odgłosy z podwórza]. No, i tutaj, wiesz, ten chudziutki, taki chudziutki, bo on był taki wysuszony, wiesz, tym ogniem. Naprawdę!

Trznadel: Mhm.

Watowa: Takim wewnętrznym. O, nawet widzisz tu jego profil. Wąska taka twarz, oczy duże. No, i...

Trznadel: Ale o kim mówisz?

Watowa: O Aleksandrze. No, a ja taka troszeczkę frywolna, roześmiana pod tym baldachimem, zmuszająca się do powagi. No, i potem ledwo wyszłam spod tego baldachimu i co, to Ważyk…

35_Fon.61.717 Strona B

Watowa: ...pierwszej. No, i byli jego rodzice, była Broniszówna. No, i Broniszówna potem – wtedy już świetna, znana aktorka – wzięła matkę swoją w obroty i zatańczyła przepiękny taniec chasydzki, i oczywiście przyklaskując, wiesz, przytupując i tak dalej. A kobiety między sobą tańczyły, wiesz, mężczyźni między sobą. No, i w tym właśnie Tuwim. I ten Tuwim, który – jak mówiła moja siostra – on jak zadzwonił, to powiedział jej, że już dziesięć minut stoi na schodach, dlatego, że przyszedł za wcześnie, a nie należy przychodzić za wcześnie – należy się spóźniać. ((śmiech)) A Marysia wtedy miała – zdaje się – nie wiem, 12 lat. No, a wieczorem, to już się zaprosiło przyjaciół Aleksandra. No, i Broniewski, Sternowie – nie, Bruno już wtedy, Bruno był w Moskwie – no, był Rentgen, był taki Rentgen, wiesz, co grał na gitarze. Taki stary Rentgen, tak się nazywał/

Trznadel: Tak.

565:3963693213

Watowa: Grał na gitarze. Proszę ciebie, byli Syrkusowie. Bo ja wiem, jeżeli Pronaszkowie przyjechali z Krakowa, to byli Pronaszkowie. Był Tytus Czyżewski. Pewno Rafałowski i Zahorska. Wiesz, nie mogę ci teraz wymienić tych wszystkich nazwisk. Ja wiem, że tylko stały trzy stoły w podkowę, no, i to wszystko było – miejsca wszystkie zajęte. No, i ten właśnie, jak ci mówiłam, Tytus Czyżewski, który – w kącie u nas był kaflowe piece, jak to w ogóle wtedy opalało się węglem.
Trznadel: Tak.
Watowa: No, i on dostał… dostał! Jakoś widocznie ja się tym wszystkim nie zajmowałam, bo mnie to zupełnie nie obchodziło, wiesz.
Trznadel: Poza tym myślałaś o czym innym.
Watowa: Kto, kto gdzie usiądzie, to mnie zupełnie nie obchodziło. [sygnał ambulansu]/ Ale potem okazało się, że ja przyszłam raz i drugi, i słyszę żale Czyżewskiego: „Dlaczegoście mnie posadzili pod piecem?". Bo on biedny, wiesz, tym piecem był, tym garbem do tego pieca przytykał. A to był człowiek biedny. Rzeczywiście, mam wrażenie, głodował. I to była taka okazja, wiesz, bo oczywiście rodzice moi wzięli kucharza.
Trznadel: Żeby się najadł.
Watowa: Był kucharz, byli tacy, wiesz, co podawali do stołu. Lokaje czy kelnerzy. Więc wiesz, tutaj taka uczta składająca się z wielu dań i ten człowiek, któremu pośrodku niewygodnie się siedzi. Słuchaj, mnie to do dzisiaj prześladuje.
Trznadel: Olu, nie zapominaj o jednej rzeczy, że on był od was o wiele starszy.
Watowa: A tego to ja zupełnie sobie nie przypominam.
Trznadel: No tak, bo on był urodzony koło roku, on był starszy od Aleksandra chyba koło dziesięciu lat.
Watowa: Co ty mówisz?
Trznadel: On był najstarszym członkiem tego ruchu futurystycznego. Bo on już studiował Akademię w Paryżu przed pierwszą wojną.
Watowa: Wiesz, ponieważ ja...
Trznadel: To w momencie waszego ślubu mógł mieć już koło 40 lat.
Watowa: Wiesz, ponieważ mnie się tak, nie pamiętam tych różnych, to ja nie wiem. Ponieważ potem żeśmy się spotkali ze Szczuką i Żarnowerówną, ponieważ byli różni ludzie, czy on, to ja

566:9894822514

już teraz nie wiem. Wiem, że na przykład przyjechali w tym czasie Kisterowie do Polski i założyli do Towarzystwo Wydawnicze „Rój". Więc wiem, że oni oboje byli na naszym ślubie.
Trznadel: To jednym słowem, no ile mogło być osób?
Watowa: Ile było osób, wiesz? To był pokój – duży był pokój stołowy, więc...
Trznadel: No, to jeszcze jakie były pokoje ogromne.
Watowa: Były takie stoły wiesz, które też przynosi się, ci, ci co robią, ci kucharze, to wszystko to przynoszą. To wiem, że był taki długi jeden pośrodku i tutaj takie dwa krótsze po bokach. Nie mogę ci powiedzieć.
Trznadel: No, kilkadziesiąt osób na pewno.
Watowa: Ja myślę, ja myślę, że mogło być, bo ja wiem.
Trznadel: Czyli prawdziwe, przedwojenne wesele.
Watowa: To było takie wesele...
Trznadel: I to takie wesele...
Watowa: Z tym, że – rozumiesz...
Trznadel: ...i ślub, który się zawiera naprawdę na całe życie.
Watowa: Tak, tylko z tym, że – rozumiesz – ponieważ ja nie posłuchałam się ojca, nie wyszłam za mąż ani za lekarza, ani za adwokata, ani za jakiegoś innego, ani za… to byłam ukarana, bo nie daje się pieniędzy futuryście.
Trznadel: Aha.
Watowa: Więc ja nie dostałam żadnego posagu – moje siostry dostały. Ja posagu nie dostałam. No, więc – ja tak mówię, mój boże, żeby on nam dał te pieniądze – ojciec, żebyśmy mogli pojechać do Paryża, wiesz, zobaczyć sobie. Że tyle forsy wydał na to, wiesz? I to rano była rodzina przyjmowana po ślubie, a potem… A więc masę pieniędzy. Także myśmy oboje żałowaliśmy, że tą forsę wydał, a nam nie dał. ((śmiech)) No, tyle, że nam kupił mieszkanie i dał pieniądze na urządzenie mieszkania. [hałas motocyklu]. Ale nie zawierzył Aleksandrowi, bo uważał, że Aleksander nie wie, co z pieniędzmi robić.
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: Tak. Także wiesz, tak. Ile mu tam zostało, to już...
Trznadel: No, jeszcze mamy tu kawałek taśmy, to może jeszcze jedną rzecz, ostatnią, bo to już będziesz bardzo zmęczona. Ja tu jeszcze mam zanotowane: te okoliczności, jak wyście tutaj

567:1253466911

czekali w Paryżu na rozszerzenie paszportu na Stany. Jak właściwie zmusili was do, prawda, oddania tego paszportu – polskie władze.
Watowa: Tak. No to, wiesz, to bardzo było proste, bo po prostu mieliśmy ciągle ważność naszego paszportu i przyjechaliśmy tutaj – już wtedy nie wiem, czy ze stypendium, czy po nagrodzie to było, czy to był inny wyjazd. W każdym bądź razie siedzieliśmy tutaj bez jakiejś takiej myśli, żeby wybierać wolność, z tym, że trzeba powiedzieć, że Aleksander się wtedy – powiedzmy, pisząc, podpisując przedmowę do Terca, podpisał Bergholz albo – czy używał jeszcze jakichś pseudonimów.
Trznadel: Tak
Watowa: Dlatego, że rzeczywiście moja siostra Joasia, która pracowała w PIW-ie, to miała tam trudności. W rezultacie została z tego PIW-u usunięta – potem, jakeśmy wybrali wolność.
Trznadel: Tak.
Watowa: No, i Broniszówna też miała potem przykrości, bo nie grywała już tych przez pewien czas i takich ról. Więc to jest, to zdaje on się pisał, że właśnie po referacie, tym wygłoszonym w Oxfordzie o semantyce języka sowieckiego. Że był tam na miejscu Struve – i to ta historia jest znana – że zapytał go się, czy by nie chciał przyjechać do Berkeley. Ten referat jakoś bardzo, bardzo tam tych ludzi zachwycił. Była jeszcze jedna taka profesor Feuer, pamiętam z Berkeley. No, i potem okazało się, że to nie było pisane na wodzie, że Aleksander powiedział: „oczywiście, jak najchętniej". I w bardzo szybkim czasie dostało się już – wiesz, najsampierw list od, od, z uniwersytetu, potem potwierdzenie Aleksandra i potem zaproszenie. Z tym, że wysyłają nam na podróż, *aller–retour,* że na rok, tam że 2000 dolarów przysłali na podróż, ale to jest podróż, która na dwie osoby.
Trznadel: Rozumiem.
Watowa: W tamtą stronę i odwrotną. No, i wtedy zaczęły się – to trwało powiedzmy do wyjazdu było jakieś co najmniej pół roku – i zaczęły się moje właściwie, bo Aleksander bardzo mało wychodził, moje starania. Poszłam do ambasady. Zawsze mi dawali odpowiedź, że na odpowiedź trzeba poczekać na Warszawę. To procedura jest znana, więc obeszłam ambasadora wiele razy, *attaché culturel*, konsula – jednym słowem wszystkie te władze, które się w takich wypadkach obchodzi. No, i ciągle kazano mi czekać na odpowiedź. No, i w rezultacie tutaj zaczęłam robić papiery, nie papiery, konsulat amerykański, no, ale jednego dnia w konsulacie mi powiedzieli:

568:2996746906

„Proszę panią, jeżeli pani nie będzie miała – powiedzmy – za dwa, trzy dni rozszerzonego paszportu - to my, my musimy już załatwić.

Trznadel: Tak.

Watowa: Bo są terminy. Jak ktoś jest zaproszony na rok – właściwie my byliśmy zaproszeni na rok 1964, ale mieliśmy przyjechać pod koniec sześćdziesiątego trzeciego. Myśmy przyjechali, to były choinki, wiesz, było Boże Narodzenie, Nowy Rok, rozumiesz?

Trznadel: Tak.

Watowa: I wtedy poszłam już – jeszcze raz telefon do *attaché*. On powiedział, że zapyta ambasadora. Potem okazało się, że ambasador nie ma odpowiedzi. No, więc poszłam do konsulatu. W konsulacie kazałam się zameldować do konsula: - „a w jakiej sprawie?". Powiedziałam w jakiej sprawie.

Trznadel: Nie pamiętasz, jak się nazywał konsul?

Watowa: Co?

Trznadel: Jak się nazywał konsul?

Watowa: Nie pamiętam, nie pamiętam, ale ona mi powiedziała wtedy tak - ta panienka: „państwo tak wrócicie do Polski jak pi do oka". Na co ja nie wiedziałam, co to znaczy "pi" do oka, więc zdaje się, że to coś z matematyki. Ja powiedziałam: „proszę panią, czy pi do oka, czy nie pi do oka, niech pani mnie zamelduje do konsula, niech pani pójdzie, i powie, że tu jest Watowa, i że ja go muszę zobaczyć, bo to jest bardzo poważna sprawa!". No, jak weszłam do konsula, to powiedziałam: „Panie konsulu, już znamy się, znamy się dobrze. Teraz będziemy mówić – ja będę z panem mówić po polsku: albo we wte albo wewte, bo ja mam już pół roku latania. I teraz panu ostatnia moja propozycja – proszę pana pieniądze, niech pan dzwoni do Polski, bo ja wiem, że pan mi powie, że to jest ten". – „Ach, proszę panią, to jednak niech pani tego, wie pani, to jest sprawa, która zależy…". –„Tak, tak, ale teraz to musi być załatwione, bo ja jutro mam być w konsulacie".

Trznadel: Amerykańskim?

Watowa: -„A czy pani nie może poczekać?". – „Nie, nie mogę. Telefon musi pan zrobić dzisiaj, a jeżeli pan nie zrobi, to ja jutro o jedenastej jestem...". – „No to niech pani da mi jeszcze czas do jutro do wpół do dziewiątej albo dziesiątej". – „Dobrze". Zadzwoniłam – nie ma odpowiedzi. - „Bardzo mi przykro, nie ma odpowiedzi". No, i wtedy się poszło do…, już Aleksander wtedy wyszedł z domu. Poszliśmy do - podobno ta procedura teraz jest zmieniona. W każdym razie

569:6781368118

pamiętam, że byliśmy w prefekturze. Nie było żadnych specjalnych badań. Powiedzieliśmy najprościej o co chodzi – że chcemy jechać do Kalifornii i że nie mamy prawa. I że wobec tego postanowiliśmy nie wracać. Oni nas tam jeszcze wtedy - wiesz, ten urząd, ten - jak to się nazywa, gdzie dają…? de l'Intérieur? (Retiger).
Trzecia osoba: Jest taki urząd. Tam Rudnicka pracowała.
Watowa: Rudnicka, tak. Tak, to tego - to to jeszcze się tam jeszcze przychodziło.
Trzecia osoba: Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.
Watowa: Bo oni się wtedy przenieśli, potem przenieśli do Neuilly. No, więc od razu tam. No, więc tutaj, wiesz, się zaczął, wybrzydzać ten, urzędnik taki, co to wydaje, bo jeszcze chciał pokazać, co to – Francuzi od razu. „Ale też pan się zastanawiał długo". No to tu już Aleksander powiedział: „to nie do pana należy, ile ja mam się czasu zastanawiać. Do pana należy, żeby sprawę moją załatwić". No, i tego – on nas tak chciał troszeczkę, dać nam tę chwilę tego strasznego niepokoju.
Trznadel: Tak.
Watowa: Że niby tu, a on jest teraz, wiesz, tym panem naszego życia. Więc oczywiście, że nam od razu dał, no, i potem już *carte de voyage*, i papiery załatwione.
Trznadel: Czyli tak, jak to najczęściej bywało w tych sytuacjach polskich – po prostu władze Polski was do tego zmusiły.
Watowa: Zmusiły.
Trznadel: Tak, jak zmusiły – powiedzmy – Mrożka, tak samo, i wiele innych osób.
Watowa: Tak. I wiele innych. Zresztą nie oszczędziłam sobie tej przyjemności, jak wyjeżdżałam do Polski – zresztą nie tylko jak wyjeżdżałam, bo jeszcze poprzednio byłam akurat z Andrzejem, Andrzej tam coś załatwiał i zapomniał czegoś na biurku, Andrzej, jakiegoś papieru. No, więc oczywiście mówi: „wiesz, mama, to już może ty weźmiesz?", ja mówię: „dobrze". No, więc ja wróciłam, no, i ten konsul był jakoś bardzo skłonny, żeby ze mną porozmawiać. I ja mu powiedziałam tak: „czy ja jestem Watowa?", „tak", „a to pańskie?", no a ja mówię: „Tak, to jest właśnie okazja, żeby pan powiedział, jak to się stało". I powiedziałam mu, a potem już ten, jak wyjeżdżałam, to powiedziałam konsulowi: „to niech się pan zastanowi, gdzie – jak to się mówi u was – siedzi wróg? Czy tym wrogiem był Wat?" – bo mówię tak: „Wat był i jest, ((z emfazą)) i będzie poetą, pisarzem polskim i żeby pan – nie wiem jaki urzędniczyna w jakimś tam urzędzie chciał, to on tego nie zmieni. Bo myśmy nie mieli zamiaru wybierać wolności".

570:1072550036

Trznadel: Tak.

Watowa: To znaczy – nie chcieliśmy przestać być obywatelami polskimi. Jesteśmy Polakami i będziemy. To ((z emfazą)) wyście nas do tego zmusili. Na co ten konsul – jeżeli się nie mylę Barszcz...

Trznadel: Był taki.

Trzeci głos: Ciągle jest.

Watowa: Ciągle jest? ((śmiech)) Taki, wiesz, pucołowaty. Akurat po dobrym obiedzie z winem, powiedział mi: „proszę panią, ale teraz to już by tak nie było. Pani wie, to były te okresy, te, błędów, wypaczeń, kultów jednostki itd., ale zapewniam panią, że gdyby teraz Państwo, to na pewno byście teraz ten paszport dostali".

Trznadel: Bo to było zaraz po podpisaniu umów gdańskich, kiedy on to mówił.

Watowa: A ja mówię: „niestety, niestety, za późno".

Trznadel: Teraz znów tak jest.

Watowa: Tak.

Trznadel: I znów jest to samo. I Edmund Osmańczyk walczył o sprawy paszportowe przez dwa lata i w końcu przegrał swoją misję życiową.

Trzeci głos: Ciągle walczy.

Trznadel: No, niby walczy, ale…, ale to jest...

Watowa: Także wiesz, mam wrażenie, że ta moja tyrada, którą tam z takim fajerem wygłosiłam Barszczowi, że on tam zdaje się, że pod biurkiem to było odnotowane.

Trznadel: No, to besco ((śmiech))

Trzeci głos: Albo na kasecie, na taśmie magnetofonowej.

Trznadel: To bardzo możliwe. To ja pamiętam, w latach też sześćdziesiątych chodziłem do konsulatu, czy tam do ambasady, to za każdym razie miałem świadomość, że tam gdzieś – a może nie zawsze, bo to człowiek przesadza – ale że taka taśma gdzieś tam chodzi. Zresztą ja pamiętam – w latach sześćdziesiątych, czyli ciut później niż wyście byli, pojechali do Berkeley – ja chodziłem do konsulatu. Stało się na korytarzu. Konsulat jeszcze był w jednym miejscu.

Trzeci głos: Rue Jean Goujon.

Trznadel: Nie, był koło Étoile.

Trzeci głos: Aha, tak!

571:1087436254

Trznadel: I pamiętam dokładnie, jakie tam odbywały się mowy. Ja wszedłem, przy drugim biurku konsul czy wicekonsul bił pięścią w stół.
Watowa: Tak, oni byli strasznie brutalni.
Trznadel: Był jakiś inżynier, który mówił: „no ja nie mogę jeszcze wrócić, bo tu mam takie, a takie sprawy. Proszę o przedłużenie paszportu o miesiąc czy dwa". „Pan musi wrócić. My pana do tego zmusimy!". Bicie pięścią w stół. Pamiętam, że ten człowiek wtedy wyszedł i być może też po prostu oddał paszport czy coś takiego zrobił. W każdym razie to były takie bardzo brutalne rozmowy.
Watowa: Bardzo. Wiesz, takiego, takich chamskich zespołów, jak widziało się właśnie w konsulacie – między innymi, jak ja widziałam ten zespół ambasady w Sztokholmie w pięćdziesiątym trzecim czy pięćdziesiątym czwartym roku, to to rzeczywiście już jakieś wykoleisko.
Trznadel: No, w Paryżu to się degradowało, że tak powiem – jeszcze najlepszy zespół to był po wojnie.
Watowa: Tak jest.
Trznadel: Kiedy jeszcze Miłosz tutaj był, prawda?
Watowa: Tak.
Trznadel: Kiedy potem był Żuławski tutaj.
Watowa: Żuławski, Gajewski...
Trznadel: I to się potem...
Watowa: To to jakiś był europejski jeszcze poziom.
Trznadel: Tak. I jeszcze, jeszcze ten konsul, którego pamiętam w latach sześćdziesiątych. Jakże on się nazywał? Bardzo dobrze zresztą mówił po francusku, bo to był…, bo to był – tutaj chyba wychowany we Francji człowiek. Więc to była pewnego typu – nazwijmy to – jeszcze klasa. I potem zdegradowało się dosłownie z roku na rok. Pamiętam, mówił mi o tym profesor Boury, że z roku na rok jest coraz gorzej, że następuje straszna degradacja tych władz konsularnych. To jest bardzo interesujące, że – tak jak straszny był ten okres stalinowski – tak jeszcze wybór pewnych ludzi często był, oni byli na jakimś takim poziomie, no bo pamiętajmy, że w owym okresie, prawda, i Breza, i Przyboś, i Miłosz...
Watowa: Tak, tak. I jeszcze, tak.
Trznadel: Ci ludzie pracowali – Przyboś przecież był ambasadorem w...

572:8282185021

Watowa: W Szwajcarii.

Trznadel: Szwajcarii, prawda.

Watowa: Tak.

Trznadel: Więc ci ludzie, Żuławski, więc ci ludzie byli na pewnym poziomie.

Watowa: Straszne.

Trznadel: A potem już tu jechali na te posady zwykli, prawda, gruboskórni urzędnicy z MSW czy MSZ-u.

Watowa: Tak. Straszne, straszne, tak.

Trznadel: To co? To może… [koniec kasety, muzyka]

573:6638567664

2. MASZYNOPIS 1. *WIGILIA NA WYGNANIU W STEPACH KAZACHSTAŃSKICH*

Launey, 6.XII.68

WIGILIA NA WYGNANIU W STEPACH KAZACHSTANSKICH.

Wszystkie blaski, urody i smaki stołu wigilijnego, świeczki wśród złota i srebra pachnącej choinki, kolendy śpiewane chórem – wszystko to sfruwało rzewnym wspomnieniem do naszej kazachskiej kibitki, do naszej kleci z gliny i krowiego łajna, na klepisko, gdzie rozłożone były nasze wyrka.

Marznący i głodni, po kolacji składającej się z prażonego jęczmienia i „kipiatku" – wspominaliśmy. I zdawało się, że kolorowy anioł uczepiony u szczytu choinki, przylatywał tu do naszych dzieci na prawdziwych skrzydłach, ponad niekończącym się białym stepem, ponad z gliny ulepionymi domkami zatopionymi w śniegu, skąd wychodziło się żłobionymi przez nas korytarzami – przylatywał tu z dalekiej Polski, żeby nas pocieszyć.

Wychodziło się o północy pod roziskrzone od gwiazd niebo i łączyliśmy się w modlitwie z Bogiem, z Polską. Przed nami step niezmierzony pod nieskalaną białą puszystością śniegu, cisza, ciemne uśpione okienka kibitek i zdawało się przez chwilę, poprzez to piękno północnego, stepowego pejzażu, że nasze opuszczenie, zagubienie w tym obcym świecie, jest mniejsze.

Nasi gospodarze Kazacy, brali w jakiś sposób w tym udział, nasze wzruszenie udzielało się im. Siedząc w kuczki na klepisku i popijając kipiatok, zapraszali nas do głośnych wspomnień. I pod wrażeniem tych naszych wspomnień, odważali się także otworzyć okno na własną przeszłość. Stepy, stada pasących się baranów, szałasy wykładane dywanami, świetne chlebki i placki, pieczone na ogniu. Obfitość mięsa, mleka, tłuszczu. Kobiety strojone z drżącymi w uszach kolczykami. Nomadzi przyzwyczajeni do wędrówek, do wolności, którym komunizm wszystko odebrał, zostawiając tylko słowa, które kłamią.

Nie było w tych stepach kazachstańskich drzew, nie można więc by-

574:1027204946

ło dać wyobrażenia naszym najmniejszym dzieciom, co to jest choinka. Zdolniejsi z nas do rysunku, rysowali to drzewko czarnym ołówkiem, bo kolorowego

nie było i słowami stroiliśmy je, upiększali.

Starsze kobiety głodne, pomęczone i często chore przekazywały sobie przed zaśnięciem najlepsze przepisy na potrawy wigilijne. I wydawało się, że zasypią mniej głodne.

575:4899490892

3. MASZYNOPIS 2. *PRACA W ILI*

PRACA W ILI

To, co opowiem jest chyba najlepszym przykładem „modelu" gospodarki komunistycznej, być może i to w sposób paradoksalny, modelu idealnego, bo urzeczywistniającego odwieczne ludzkie marzenie o „perpetuum mobile", a zaprzeczające w każdym razie tej wydawałoby się niezbitej prawdzie, że „z pustego i Salomon nie naleje", ~~.. z2~~ że taki model jest do zrealizowania tylko w systemie komunistycznym i jakie dla owego systemu wynikają z tego skutki, pozostawiam refleksji socjologów o sowieckiej para-ekonomii.

Otóż istniał w Ili Promkombinat, który wyrabiał dla miejscowego zapotrzebowania różne towary a m.in. swetry.

Swetry te z grubej, szorstkiej, surowej wełny sprowadzanej z Północnego Kazachstanu, były do tego stopnia karykaturą swetrów, że nawet miejscowe Kazaczki nie zdradzały ochoty na ich kupno. ~~w sklepie promkombinatu~~ . Trzeba dodać, że wełny nie można *i nie* było *gdzie* kupić. ~~w żadnym z nielicznych ilijskich sklepów~~. ~~*W ilijskich sklepach*~~ Była ona wyłącznie przeznaczona na wyrób swetrów, ~~a mogła być wydawana w tym celu jedynie~~ *dla* domowy~~m~~*ch* robotnic~~om~~, w zamian za kartki na chleb .*-Należy przypuszczać, że* ~~Tak więc~~ do przyjazdu Polaków ~~i to z pewnością~~ od dawna swetry *te* płowiały na zakurzonych ladach sklepiku, a wełna czekała na lepsze czasy w cieniu promkombinowskiego magazynu.

I oto *pomysł* ilijski~~e~~*ch* Polk~~i~~*ek. U*ruchamiają *one* bezbłędny mechanizm. Otrzy~~maną na czarnym rynku~~ na wyrób swetrów wełnę sprzedają na czarnym rynku lub wymieniają żywność. ~~Po tym, ktoś z najbliższych~~, Wykupuj~~e~~*ą zaś* odpowiednią ilość swetrów, które po wyznaczonym „wg. planu" *terminie* ~~czasie~~ na ich wyrób, ~~oddawane są przez nasze „ obotnice"~~ *zwracaja* do Promkombinatu *aby tam, odnowa zalegiwały półki* ~~aby natychmiast ukazać się na ladach wyżej już wymienionego~~ *tegoż* sklepiku.

I tak da capo al fine. ~~Czekając na Mrożka...~~

576:1157458255

Nie chodziło tu tylko o ~~pensję~~ *śmieszne grosze,* które *za to wypłacano* ~~jak już była mowa~~ *a które* nie starczał*y* na kupno jednego kilograma chleba, ~~nie chodziło tylko~~

2

~~tylko o korzyści materialne związane z nielegalną sprzedażą wełny... Chodziło o coś ważniejszego~~. Praca *poza już jakże małymi kartkami na chleb* chroniła *a także* przed zarzutem pasorzytnictwa, a to *co* w tym kraju *groziło poważnymi konsekwencjami* ~~było groźne.~~

Niestety, po jakimś czasie, przewodniczący Promkombinatu zorientował się w sytuacji i zamiast swetrów *zaczął* dawać Polakom do wyrobu szmaciane zajączki. Z tych szmat nic już się nie dało niestety (poza zajączkami) wycisnąć: „Z pustego i Salomon nie naleje”!

Czy te zajączki były przeznaczone dla dzieci, czy miały ozdabiać kazackie wnętrza, nie potrafię dziś powiedzieć, ~~a i wtedy chyba dotarły one do percepcji nędznych i miejscowych „konsumentów”~~. Pewnym jest, że nie kupowane legły pokotem koło niekupowanych swetrów i nie sprzedawanej wełny ilijskiego Promkombinatu. I jeszcze tam zapewne leżą.

577:1062737097

4. MASZYNOPIS 3. *SPISAĆ WSPOMNIENIA...* (sygnatura SW)

1

Spisać wspomnienia. To o czym Aleksander nie zdążył powiedzieć w „Moim wieku" - szczególnie o latach powojennych. Namawia Józio Czapski -uważa, że jest to moim obowiązkiem. Szkoda, że już nie ma we mnie tej świeżości doznań, wrażeń ówczesnych. Tyle razy opowiadałam z przejęciem. Ol uważał, że dobrze opowiadam, że powin nam pisać.

Ale od czego zacząć? Czy od przyjazdu do Warszawy? A może - raczej - wyjazdu z Ili, od tych wszystkich strasznych perypetii*ach,* od tej - przedewszystkiem straszliwej niepewności, czy kiedyś wrócimy do Polski. Od tego okropnego strachu, że utkniemy na tej gliniastej, bezdrzewnej, beznadziejnej ziemi - w nędzy, w poniewierce, głodzie, chorobach, w beznadziei. A już szczególnie po odmowie przyjęcia paszportu przez Aleksandra i przeze mnie, paszportu sowieckiego. I ten widok powracających do kraju z amnestii - Polaków do Polski. I to, że my jeszcze nie i niewiadomo kiedy, i n iewiadomo czy? Ciężkie chwile. Bolesne, głodne, zimne.

A jednak nadszedł ten upragniony dzień z dużym, dużym ~~opóź-nieniem~~ wielomiesięcznym opóźnieniem, kiedy wezwano nas i powiedziano, że mamy jechać, wracać do kraju, do Polski. Formalności. Formalności. W tym kraju, gdzie w ciągu sześciu lat widziałam kartkę papieru tylko z pieczątką - teraz papierki, papierki, papierki. Stemple. Bez końca.

Nareszcie w wagonie. NKWD-yści przechadzają się wzdłuż peronu, zaglądają przez okna wagonów. Ol - przekonany, że na jednej z najbliższych stacji, każą wysiąść, zaaresztują i powiedzą kiedyś komuś, żeśmy przepadli po drodze. Że nie wiedzą. Dostaliśmy wyjazd okrężną drogą. To znaczy wiele tysięcy kilometrów z Ałma-Aty

578:4273146615

i co gorsza -bardzo dużo przesiadek. Przesiadka - to siedzenie nieraz tygodniami na stacjach, stacyjkach, to wszy, tyfus, głód. To śmierć.

2

W wagonie - poza nami - sami Rosjanie. Szary tłum, ożywiony. Wkońcu pociąg rusza. Nagle cała odwaga, wysiłki nadludzkie w ciągu tych sześciu lat, strachy - wszystko to opada mnie i teraz pełna złych przeczuć - słabnę. Przede mną Aleksander i Andrzej i ta perspektywa przesiadki, aresztowania, to typowe znikanie ludzi o których nikt nigdy się nie dowie. Śmierć, albo co o wiele wiele gorsze - życie tam, tutaj.

Nagle w obszernym przedziale, innym niż u nas w Polsce – zjawia się mężczyzna w mundurze. Młody, przystojny, barczysty i tak wydaje mi się silny w porównaniu z umęczonym, schorowanym Aleksandrem. Ol szeptem: to mundur NKWD (czy też oznaki - nie pamiętam). I oto postanawiam, akt odwagi, której źródłem jest rozpacz, niepewność, strach. Odwaga straceńca. Podchodzę do NKWD-zisty. Mówię, że jesteśmy Polakami, że mą=*ż* wyszedł z więzienia, że ja z synem byłam na zsyłce. Sześć lat. A teraz amnestia i pozwalają nam wracać do Polski. Tylko, że każą jechać okrężną drogą, a to dla nas, ze względu na zły stan mojego męża — wyrok śmierci. Pytam, czy nie moglibyśmy wysiąść w Moskwie, gdzie jest już nasza ambasada. Wszyscy słuchają z życzliwością. Oh przygląda mi się i mówi: poczemu niet? Pojeżdżajtie. Ale czy nas nie zatrzymają, nie zaaresztują? - Nu, niet, niczego nie budiet. I nagle wszyscy ci prości ludzie zaczynają brać udział w naszym losie. - Nie bójcie się, nic wam nie zrobią. Jedźcie. Na przesiadkach zginiecie. Tylko dajcie prowodczycy w łapę. Ot, tak mówią, bez żenady, przy enkawudyście. A on się łagodnie, życzliwie uśmiecha.

579:1070127888

Idę do prowodczycy. W garści trzymam ruble, tak żeby widziała. Mówię o co chodzi. Odrazu wszystko załatwione. Podzieli się z kontrolerem. ~~S~~ -Spijcie spokojnie.

W Moskwie na stacji znowu strach. Czy będzie kontrola przy wyjściu. Żadnej. Wychodzimy z dworca, nikt nas o nic nie pyta. W tym okresie panował jeszcze bałagan powojenny. Cud. Czy to możliwe? Jesteśmy jak sparaliżowani, mówimy do siebie szeptem. Nagle

jacyś przechodnie zbliżają się i pytają cichutko: z kokowo łagiera. Tak wyglądaliśmy nędznie łachmanach, ja - przewiązana jakimś sznurem do bielizny. Pytamy ~~d~~o drogę do ambasady polskiej. Docieramy. Odrazu wpadamy na znajomą z Warszawy i muzykologa Zifię Lissę. Radość. Pracuje w Ambasadzie, zajmie się nami. Przedewszystkim chce nas ubrać, bo „tak nie możemy pokazać się w Warszawie". Protestuję. Prosimy tylko o bilety i to już, do Warszawy. Okazuje się, że to niemożliwe, to musi potrwać kilka dni. Tymczasem ulokuje nas pod Moskwą, w domu dla wypuszczonych z więzień i łagrów Polaków. Niema rady, ale okropność.

W tym domu duże pole do obserwacji. Kobiety, mężczyźni dopiero ~~c~~o *tutaj* po wielu latach na wolności. Polacy - wracają także do Polski. Nie mają zaufania do siebie, więc rozmowy w tym rodzaju: "lepiej żeby 100 niewinnych zginęło, niż jeden winny umknął.*”* Jestem świadkiem rozdzierającej sceny. Kobieta, po 6-ciu latach łagru. Zabrali jej maleńkie dziecko do Dietdomu. I Oto widzę, jak chodzi tam i nazad po przedsionku, wpółprzytoma i czeka. Bo ktoś poszedł, aby jej to dziecko przyprowadzić. I przyprowadził. Chłopczyk. Ogolona głowina. Matki nie zna. A ona pada przed nim na kolana, obejmuje, płacze. I dziecko odrazu tuli się do niej, obejmuje za szyję, nie puszcza. Mama, mama - woła! Boję się, że zacznę krzyczeć. To zbyt nieludzkie - zbrodnia. Ta suma cierpień tej kobiety matki w ciągu sześciu lat. Te dziecięce lata w ich strasznych

580:5702262478

dietdomach. Kładzie go do łóżeczka, karmi, pieści, klęczy przy nim, patrzy, patrzy, patrzy. Nie? Tego zapomnieć nie można. I nigdy nie zapomnę.

Andrzej - oczywiście - chce zobaczyć Lenina w trumnie. Odmawiam ruszenia się na jeden krok. Idzie z Aleksandrem. Przynoszą mi z „tołkuczki" jakąś różową, amerykańską koszulkę i jeszcze jakieś drobiazgi. Nastroje obojga bardzo dobre. Aleksander prosi mnie, abym zobaczyła tylko cerkiew Błażennowo. Idę następnego

dnia, ale bardzo niechętnie. Nic, nic nie chcę widzieć, tylko jechać jak najprędzej uciekać z tego piekła. Przychodzimy na Krasnuju Płoszczat. Po prawej stronie Kreml. Tam siedzi Stalin. Czuję, jak cała strona prawa cierpnie mi, ciarki przechodzą po skórze. A przedemną piękna cerkiew, cudowne błyszczące w słońcu kopuły, kolory, ciepłe barwy nieba. I obecność Aleksandra, jego ożywienie pełne nadziei i ciekawość Andrzeja.

Zachodzimy do Ambasady aby przepytać o bilety. Czekają już tam na nas rzeczy. Lissa zmusza nas do przebrania się. Bilety będą za dwa dni. W drodze powrotnej Ol zmusza mnie do zobaczenia metra. Stacja im. Majakowskiego. Marmury, marmury, a między niemi tłoczą się ludzie w łachach, ponurzy, biedni, niedożywieni, zastrachani. Oczy podejrzliwie zerkają na wszystko, na wszystkich. Strach piętnuje ludzi w ZSSR. Strach i niewolnictwo.

Zawsze zachowam we wdzięcznej pamięci Zofię Lissę, która w tym czasie pracowała w Moskwie w Ambasadzie Polskiej. Pochwala mnie, że nie zaakceptowałam drogi okrężnej, że przyjechaliśmy wprost do Moskwy. Dużo Polaków poumierało na przesiadkach – w drodze. Dużo Polaków poumierało na posiołkach, dużo Polaków umarło w lagrach, w więzieniach. Z pracy ponad siły ludzkie, z głodu, z mrozu, z chorób, z wycieńczenia. Kto zliczy te wszystkie mogiły

581:7240170861

rozsiane po tym kraju? Te bezimienne groby. Prof. Stefania ~~Gorczyń ska~~ Skwarczyńska, z którą byłam na posiołku Iwanowka, Semipałatyńskaja Obłast, Żarmińskij rejon, pojechała, a właściwie poszła pieszo kilkanaście kilometrów do pobliskiego posiołka. Umarł tam z głodu ktoś z jej krewnych, czy przyjaciół. Zawiadomiono ją. Pochowano go w kocu. Następnego dnia, grób był rozkopany i koc ukradziony. Dzikie wygłodniałe psy pouciekały na widok Stefanii i towarzyszącej *tej* rodzinie zmarłego. W naszym baraku, z którego na zimę wypędzono kobiety z dziećmi i kazano im się lokować u miejscowych Kazaków, wzamian za ubrania - jedyna moneta za któ-

5

rą można było "kupić" u nich ziarno ~~do prażenia~~, aby godzinami kawałkiem żelaza cudem znalezionego przeze mnie w stepie, cudem też znalezionej blaszanki po konserwie — tłuc godzinami, aby pod wieczór mieć trochę mąki, z którego robiło się lepioszki. Trzy cegły, na nich kawałek blachy (jeszcze jeden cud), opał - łajno krowie lub baranie, które zbierało się w stepie i które - wysuszone - było jedynym tutaj opałem. Z całodziennej roboty miałam mąki najwyżej na nieduże cztery pięć lepioszek. Do tego „kipiatok", a po wodę chodziłam z butelką, którą jakiś poczciwy Kazak mi dał, szłam prawie kilometr, aby tę wodę na kipiatok mieć. Wiadra nie miałam. Tylko garnuszek ćwierlitrowy, przyniesiony mi wraz z garstką cukru i poduszką (dar pani Dembińskiej, u której mieszkaliśmy we Lwowie) przez poczciwą, dobrą kobietę, przyjaciółkę Tadeusza Peipera, który już wtedy wraz z innymi siedział w więzieniu. Udało się jej podać mi te dary, kiedy siedzieliśmy już w bydlęcym wagonie. Czołgała się pod wagonami, całowała po rękach NKWD-ystów, aby jej na to pozwolili. Biedna, schorowana pani Dembińska była sparaliżowana. Na jej oczach z okrutną bezczelnością, wieloletnia jej i "oddana" służąca, wynosiła w towarzystwie jakiegoś draba — srebra, dywany, wszys

582:4258004933

tko, co przedstawiało jakakąkolwiek wartość.

Przyszło ich po mnie i Andrzeja o drugiej w nocy - pięciu. Żołdacy z obnażonymi bagnetami. Obudził nas blask zapalonej żarówki. Od trzech miesięcy siedział już Aleksander na Zamarstynowie a teraz była druga wywózka ze Lwowa — rodzin aresztowanych. ~~Pierwsza w lu~~ Wywieźli nas z 13-go na 14-go kwietnia. Pierwsza była lutowa. Ludzie zamarzali w wagonach, trupy wyrzucano przez okna, kobiety rodziły. W lutym — podobno - była wywózka chłopów.

Z żołnierzami NKWD-usta. Daje nam kilkanaście minut na spakowanie rzeczy. Spieszą nas, poganiają. Skoriej, sobiriajsia. Ręce mi opadają, dziecko rozespane, nie chce wstawać. Jeden z żołnierzy mówi - prawdopodobnie poruszony w swoich ludzkich uczuciach. Nie bójcie się, tam dokąd jedziecie już czeka nas was wasz mąż. A więc na-

6

dzieja. Na dole ciężarówka. Podsadzają nas z tłomokiem – niedużym, bo niczegośmy nie mieli, a jednak było to *co mieliśmy* i okazało się skarbem. Te trochę ubrańia Aleksandra i moich i Gilewiczów - siostry i szwagra mojego męża, którzy uciekli do Polski przez zieloną granicę, zostawiając nam swoje rzeczy.

W wagonach bydlęcych tłok. Żołdak upychał mnie kolanem, żebym się zmieściła z Andrzejem, a potem zaryglował drzwi. W wagonie był tłok, okazało się, że było nas 60 osób i bagaże. Dostaję miejsce przy otworze klozetowym, siadamy tam z Andrzejem. Ludzie załatwiają swoje potrzeby fizjologiczne i podlewają nasz kocyk. Odrazu orientują się, że jesteśmy Żydami. Przy pierwszym sprawdzaniu dokumentów, które po jakiejś godzinie~~,~~ nastąpiło, porucznik Tadeusz, którego nazwiska zapomniałam — uświadamia szeptem ludzi że Wat to była żydo-komuna, a ja najpewniej jestem podesłana, żeby ich szpiegować. Piekło trwało trzy tygodnie, bo tyle jechaliś my, aby wysiąść w stepie, na pierwszym naszym postoju.

Wszyscy ci ludzie byli ze Lwowa. Zawczasu wiedzieli, że

583:1270487186

będą wywiezieni, i zawczasu zaopatrzyli się w rzeczy i w żywność. Mieli więc gary szmalcu, i wszystko, co można przechowywać z jedzenia, mieli nawet spirytusowe maszynki do gotowania. W ciągu całego czasu nie dali dziecku nic, i nie pozwolili podegrzać zupy, którą w kuble rozdawano tylko w nocy z pajdą, czarnego gliniastego chleba. Andrzej był rozespany, umęczony i w nocy jeść nie chciał. Na stacjach stacyjkach w polu, kiedy od czasu do czasu nasz transport się zatrzymywał, szczęśliwcy na narach, przy okienku - jedynym - mogli nieraz kupić jajek czy mleka. W ciągu trzech tygodni, tylko raz jeden, jedna z kobiet odsprzedała mi jedno jajko, z którego zrobiłam dla dziecka gogel-mogel. Kostki cukru rozgniatałam pięściami. W wagonie wybuchały jakieś wściekłe awantury. Górował w tym sklepikarz Kierski, o którym będzie jeszcze mowa i który dał mi się we znaki, swoją prawie zwierzęcym antysemityzmem. Była tam też pani pułkownikowa Wenclowa *z córką* i wice-ministrowa miasta Lwowa z synem.

7

Były żony policjantów, kobiety z przedmieść lwowskich, gospodynie, które do Lwowa przynosiły mleko i sery białe. Można powiedzieć małe klasowe społeczeństwo. Ale wszystkie plagi waliły się na nas. Mam wrażenie, że Andrzej nie bardzo zdawał sobie z tego sprawę, miał przecież wtedy siedem lat, poraz pierwszy w życiu był we Lwowie ze swoim ojcem w kinie, do którego się niesamowicie zapalił i to infernalne zbiorowisko ludzkie było może dla niego trochę kinem.

Jechaliśmy już trzy tygodnie, kiedy pociąg zatrzymał się w stepie. Kazali wysiadać. Zobaczyłam wychodzących na ten widok z ziemianek ludzi, obrośniętych, w jakichś turbanach, nędznie poubieranych. Pierwszy raz w życiu ujrzałam step, ziemianki i takich ludzi. Dzicy — pomyślałam sobie. A jacy okazali się ludzcy, jak dobrzy, szczególnie po tej atmosferze nienawiści, która otaczała

584:4790069916

nas w wagonie. Zaraz wynieśli mleko, żeby dać pić dzieciom, a pan Kierski czuwał, żeby Andrzej dostał ostatni, bojąc się, że może zabraknąć dla innych. Kiedy była mowa o przenocowaniu i tubylcy zaprosili dzieci do spania z nimi w ziemiankach, obawiając się, czy aby dla wszystkich starczy miejsca, pan Kierski krzyknął. Ten bękart żydowski już nie jest dzieckiem, może spać pod niebem. A przecież noce były tam jeszcze bardzo mroźne. Miejsce jednak dla dziecka znalazło się. Jak ciepło, jak przytulnie może być w ziemian ce, jak przestronnie i jak piękną jest dobroć i współczucie ludz- kie.

Następnie dnia wpakowano nas na podwody, ciągnione przez byki przez niekończący się step. Jechaliśmy tak jeszcze trzy dni, aby wreszcie zobaczyć w tymże niezmierzonym stepie szereg lepianek i jeden, dość obszerny ba- rak. Miejsce to nazywano "Gołodnyje Stiepi".

Wszyscy odrazu pobiegli, aby w baraku tym znaleźć naj- lepsze miejsca. Okazało się, że barak ten opuszczony, niewiadomo, kiedy i przez kogo zamieszkiwany - niesamowicie brudny, i bez żadnego mebla. Ani stołka, ani paleniska, nic absolutnie nie.

8

I właśnie w nim mieliśmy zamieszać.

I ja z Andrzejem znalazłam w jednej z izb kąt, bo miesz- kaliśmy kątami, dla wszystkich za mało tam było miejsca. Ale odraz zu zbliżyła się do mnie pani pułkownikowa Wenclowa z ugrzecznioną ~~miną~~ słodkawą miną, mówiąc: my - proszę pani - będziemy tu odprawiać modły, tak jak przystoi chrześcijanom, a to i nas i – zapewne panią - będzie krępować. Wstałam bez słowa, zbyt oburzona, zbyt już samotna, aby cokolwiek powiedzieć i znalazłam miejsce jeszcze przez nikogo nie zajęte, bo najgorsze. Brakowało drzwi a i jedyne okno było wybite. Klepisko pokryte łajnem. Postawiłam w kącie tłomok i usadziłam dziecko. Sama stałam zastanawiając się

585:9940585581

co dalej począć, a Andrzej odrazu powiedział mi, że jest głodny.
Nagle zjawił się jakiś młody Kazak w tiutiubejce na głowie,
małej kolorowo wyszywanej czapeczce. Popatrzył na mnie i powie-
dział: nie unywajtie, jakoś to bedzie. Ja tu zaraz przyślę swoją
matkę, ona wam pomoże. Okazało się później, że był tutejszym nauczy-
cielem, uczył dzieci pisania i czytania i rachunków. Jego matka,
siwa, zgarbiona staruszka zjawiła się zaraz z wiadrem i szmatą
i małym dywanikiem pod pachą, takim jaki Kazacy-Mahometanie
używają do modłów. Bez słowa zebrała łajno, wilgotną szmatą przeje-
chała pod klepisko i położyła dywanik. Ponieważ nie znała rosyj-
skiego, ruchem wskazała na dziecko, że ono na tym będzie spało.
Ileż razy potem, przekonałam się, że ci "dzicy", wyzuci ze wszyst-
kiego ludzie, naród dawniej koczowniczy, posiadający *niegdyś* niezliczone
stada owiec, dzisiaj niewolnicy państwa, mający prawo tylko do
trzech własnych baranów, jednej krowy i skraweczka ziemi, ogródecz-
ka, gdzie sadzili kartofle. - jak byli dobrzy i gościnni, a jeże-
li nawet charaktery ich były takie jak u wszystkich innych naro-
dów, to ZAKON nakazywał im zachowywać się tak *a* nie inaczej. Jak
wchodziło się do ich nędznych lepianek ~~w trakcie~~ *podczas* ich n*ę*dznego
posiłku — zapraszali odrazu aby przysiąść w kucki koło niskiego
stoliczka i podzielić z nimi - przeważnie prażone ziarno i troch

9

chę czymś podkolorowanej wody. Kiedy im spocz*ą*tku grzecznie od-
m~~ó~~*a*wi*ł*am bo wydawało mi się, że nie mam prawa ~~zmie zmiejszać~~ *umniejszać* im
ich posiłku - czuli się obrażeni, mieli uczucie, że pogardziłam
ich posiłkiem. Nie wiedziałam jeszcze o tym, tak jak np. że ZAKON
nie pozwalał im wyrzucać kobiety z dzieckiem z lepianki pod-
czas zimy, o czym przekonałam się później. A więc religia – to
nakazy moralne, nakazy współżycia z ludźmi. I to także tępił ko-
munizm, dając im wzamian za to Partię, ~~donosicielstwo i głód.~~ i
tej Partii ZAKONY. *Tu wstawka ze str. 28 + ½ 29-ej*

586:6408533978

Podczas pierwszej zimy w Iwanówce, wespół z innymi kobietami zostałam wyrzucona z baraku i wzamian za rzeczy dostałam się do lepianki rodziny kazachskiej~~ą~~. Tutaj ~~przekonałam się~~ w pewnej chwili tępiona przez gospodynię, która chciała – już po zawartej z jej mężem umowie, znowu rzeczy i rzeczy i której musiałam odmówić, bowiem ~~jeszcze~~ te rzeczy ratowały nas od śmierci głodowej - zaczęła mi dokuczać w rozmaity sposób a było to w tamtejszych warunkach rzeczą łatwą. Śnieg pokrywał wszystkie lepianki wraz z barakiem. Nie widać więc było żadnego domostwa, tylko biały step. Robiono tunele, którymi wychodziło się przed lepiankę, chodziło się do rzeki górą, po domostwach.

Nie mając obuwia, poza czułenkami, w których uciekałam z Warszawy — nie było mowy abym mogła chodzić ~~na~~do odleg~~ł~~*łej* rzekę*i* po wodę. Zbierałam więc śnieg przed chałupą, a śnieg był brudny, bo zakon zakazuje, nawet śmiertelnie chorym Kazakom załatwiać potrzeby fizjologiczne w chałupie. Wychodzą więc zimą, szczególnie w nocy - przed chałupę. Narazie starałam się ich oszukiwać, ~~w znalezionej~~ znalezioną blaszankę podawałam pocichutko w nocy Andrzejowi, ale zaraz stary Kazach budził się z krzykiem, że napędzę do chałupy złe duchy. Ubierałam go więc wiele razy podczas nocy i wyprowadzałam na/śnieg. Zawieruchy śnieżne były ~~ta~~ o tak ogromnej sile, że nikt nie śmiał oddalać się trochę dalej. Ziarno jęczmienne jest bardzo moczopędne.

10

Kazaczka chcąc mi dokuczyć i utrudnić życie, aby wyłudzić jeszcze trochę rzeczy gasiła szybko ognisko, abym nie mogła przegotować śniegu, abym nie zdążyła sprażyć ziarna. Skazywała nas na śmierć głodową.

Któregoś dnia zagroziła, że wyrzuci nas. Poskarżyłam się jej mężowi, młodemu jeszcze Kazakowi, tłumacząc, że więcej rzeczy dać nie mogę, że to wszystko, co tutaj posiadamy. Wybuchł z wściek-

587:3458759352

łością w języku, którego nie rozumiałam. Zdawało mi się, że zacznie bić swoją żonę. Stary Kazach, jego ojciec o zaropiałych oczach, który tak czujny miał sen, siedział pod paleniskiem i wygrzewał starcze plecy. Tejże nocy gospodyni spała na klepisku, mąż wyrzucił ją z łóżka, a mnie powiedział: - nie bój się, nasz Zakon nie pozwala nam wyrzucać zimą kobiety z dzieckiem. I rzeczy więcej nie dawaj, dałaś tyle ile było postanowione.

Mieliśmy w tej lepiance wyrko i to wszystko. Dzięki przedobrej Halinie Górskiej zebrano się na kołdrę dla mnie i poprzez Wandę Wasilewską, bo nie miało się prawa wysyłać nam rzeczy - paczka została wysłana.

Pamiętam taki wieczór, kiedy na oczach moich zarzynano barana. Cała rodzina kazacka była skupiona. Gospodarz dał mi kubek krwo i kazał postanowić na palenisko. Krew skrzepła i to zjedliśmy z Andrzejem. Byliśmy straszliwie głodni. Siedzieliśmy na wyrku, kiedy kocioł rosołu z pływającymi kawałkami baraniego mięsa był gotów. Rodzina ~~kz~~ obsiadła w kucki mały stolik. Rytuał jedzenia: dużą kość obrośniętą mięsem zaczął obgryzać stary ojciec, potem przejął ją gospodarz, po nim jego żona a dopiero potem dzieci. Było tych dzieci troje. Nocą podarte jakieś szmaty zadzierały na głowę, żeby wyjść na dwór. Z szyi sączyła im się ropa.

Nagle gospodarz spojrzał na nasze wyrko. Tego wieczoru, poraz pierwszy zęby szczękały mi uderzały o siebie. Miałam wysoką temperaturę, a na całych plecach wrzody - chyba z

11

awitaminozy, z głodu. Z przerażeniem myślałam o dziecku. Co się z nim stanie, gdybym umarła.

Młody Kazak ~~więc~~, głosem szorstkim nagle zwrócił się do mnie, jednocześnie nalewając rosół do bolki. Wypij to, to ci dobrze zrobi. A przecież nic o swoim stanie mu nie powiedziałam. – Masz

588:8137969973

tu kawałek mięsa, a dodam ci jeszcze do tego wszystkiego mleka.
I nalał do rosołu gorącego mleka.

Podał mi bolkę. Poraz pierwszy, nie spojrzawszy na dziecko podniosłam gorący płyn do ust. Nigdy nie zapomnę uczucia, którego doznałam. Zdawało mi się że przenika on całe moje ciało, że dociera do każdej komórki *ciała* ~~, że obejmuje~~ Czułam, pijąc, że jestem: uratowana. Dopiero resztę dałam Andrzejowi.

Obywatelka ziemska, której nazwiska nie pamiętam, *i* która gdzieś po drodze zagubiła dwoje dorosłych już dzieci, a teraz opiekowała się hr. Bielskim i pokornie przychodziła do baraku, aby starym ludziom podać rano kubek gorącego kipiatku, jakby tym dobrym uczynkiem modliła się, przebłagując Boga aby jej dzieci odnalazły się, przychodziła do mnie, aby gdzieś zdobytym spirytusem, przemywać moje rany. Była następnego dnia po tej gorącej, tak wzmacniającej strawie zdumiona moją poprawą.

Ona też była nosicielem złej nowiny dla hr. Tarnowskich. Otoż hrabiowie Tarnowscy z Krakowa, tuż przed samą wojną pojechali gdzieś do uzdrowiska, a potem złożyli wizytę swoim przyjaciołom Bielskim. Mieli z sobą, ot tyle rzeczy, co zabiera się na miesiąc w podróż. Hrabina Tarnowska miała gruźlicę kości, oboje byli już starymi ludźmi. Zabrano ich razem z Bielskimi. Bielskim ~~pozwolon~~ w których pałacyku zrobiono Związek Literatów Polskich, ~~a którzy zamieszkali nie opuścili~~ a którym pozwolono w nim zostać, tyle że na górce, w pokojach służbowych – Bielskim, pozwolono zabrać z sobą wszystko — NKWD robiło to oczywiście z myślą, że szantarzem czy innymi sposobami od czasu do czasu będzie mogło coś niecoś od nich wydostać. Zabrali więc wspaniałe kufry, wypełnione

12

rzeczami, srebrem, olbrzymimi skórami niedźwiedzimi (hr. Bielski był znanym myśliwym) itd. Kiedy widziało się go, wytwornie ubranego przed lepianką, na stołeczku trójnogu myśliwskim, któremu żona, na

589:2229673613

srebrnej tacy podawała kubek mleka i lepioszki, wydawało się, że jest to bogaty pan na wywczasach w St. Moritz, czy też gdzie ~~się~~ tam *gdzie* tacy jak on ludzie ~~wybierali~~ *jeździli*. Kazacy ~~widząc bogactwa~~ u których z miejsca się umieścili, uwielbili ich za ich bogactwa i okazywali prawie cześć, dowiedziawszy się, że jest kniaziem. Respekt czołobitność.

Hrabia ~~Bielski~~ Tarnowski ze swoją chorą żoną - ponieważ przyjechali zaraz w następnym transporcie (w tymże transporcie przyjechała Stefania Skwarczyńska z rodziną, troje dzieci i teściowa), znaleźli miejsce w naszym baraku, w mojej komórce, gdzie zajęli kąt. Ułożyła się więc w kącie Tarnowska, a Bielski zastanawiając się nad sytuacją, co robić dalej - ujrzał przed sobą ową obywatelkę ziemską, która oświadczyła mu, że od tej chwili hrabia Bielski polecił, aby radzi*ł*~~ł~~*li* sobie sam*i*, żeby na nich nie liczył. Niespodzianka i straszny cios dla ludzi z tak małą ilością rzeczy. Pamiętam, że pierwszy kubek mleka, po zajęciu kąta u mnie, dostał u Kazaczki za kilka monet polskich - poradziłam mu bowiem, ~~mówiąc~~, że może z takich monet będą robić sobie kolczyki. I Rzeczywiście Kazaczka połasiła się na nie. Ale potem, już przez cały czas - a w Iwanówce byliśmy rok i trzy miesiące *aż* do amnestii, kiedy to można było jechać na południe Kazasakstanu, *L*udzie ci cierpieli straszny głód. Hrabia Bielski sypiał na niedźwiedzich skórach, bywał nawet zalotny. Umarł w Usztobe. Pani Bielska, podobno niegdyś osoba niezwykłej urody, mająca *pono* na sumieniu samobójstwa kilku swoich adoratorów, nie skorzystała ze sposobności, żeby wyjechać wcześniej (starania rodziny w Londynie), wyjechała wraz ze wszystkimi Polakami. Tak opowiadano. Po amnestii bowiem, oni zatrzymali się w Usztobe, jak pojechałam do czymkentskiej obłasti, wydawało mi się, że tam będzie łatwiej o chleb, a tymczasem znaleźliśmy tam pola

13

bawełniane, na których pracowaliśmy oboje z Andrzejem. A bawełny

590:9273194916

jak wiadomo jeść nie można. Tam Polacy umierali z głodu już na dobre, rzeczy już nie mieliśmy, a dary amerykańskie przychodziły tutaj rzadko i w bardzo małych ilościach. Kradziono je po drodze. Wracając jeszcze do poszczególnych losów i żeby skończyć z dziejami hr. Bielskiego - przez cały czas nie zaznali głodu, żyli – prawie - w dobrobycie, mimo, że NKWD od czasu do czasu zjeżdżało do nich pod byle jakim pretekstem, żeby wyciągnąć od hrabiego jeden z niezliczonych zegarków, albo jakieś sreberko. Kazacy mieli dla nich podziw i prawie religijne uwielbienie. Dostatniość i pochodzenie Bielskich - prawdopodobnie - przypominało im dawno utracony raj: wolność, ogromne stada baranów, stroje kobiet, szałasy wysłane dywanami i wszystkie stare obyczaje, których musieli się wyrzec pod przymusem i karą. Ciągle byli i są jeszcze prześladowani, jak wszystkie ~~jone~~ *inne* mniejszości.

Mówiłam już o obywatelce ziemskiej, o jej pomocy, kiedy m.in. przychodziła do mnie do lepianki kazakskiej, żeby obmywać moje rany spirytusem. Raz jeden tylko jej wiedza lekarska (opiekowała się w swoim majątku - chłopami) okazała się bezsilna. Jeden z Kazachów miał zakażenie krwi w prawej ręce. Kiedy obywatelka spojrzała na rękę, na spuchnięte gruczoły pod pachą, sine pręgi – powiedziała mi, że/rękę trzeba jak najprędzej amputować. W tej chwili zja wiła się bardzo stara Kazaczka i nie mówiąc ani słowa zabrała się do ugniatania jakiejś masy, plując na nią obficie. Potem dowiedziałam się m.in. *że* w masie tej była żaba i pajęczyna, a już w Warszawie wytłumaczono mi, że robiła coś w rodzaju penicyliny, oczywiście nic o penicylinie nie wiedząc. Po kilku dniach Kazak pracował już w stepie, ręki - oczywiście - nie amputowano.

Pierwszy okres w Iwanówce, który był Sowchozem. Na czym to polegało do dnia dzisiejszego nie wiem. Więc komórka uprzątnięta przez starą poczciwą Kazaczkę. Brak szyb w oknie, brak drzwi. przymrozki nocą. Żadnego stołka, izdebka pusta. Niema paleniska.

591:6030990630

Rzeka daleko. Do noszenia wody - znaleziona w stepie butelka. Oto moje gospodarstwo i półlitrowy garnuszek przywieziony ze Lwowa. Już opowiedziałam o pierwszym wypadzie po zdobycie czegoś do jedzenia dla Andrzeja i siebie. Ale po tym pierwszym sukcesie osiągniętym dzięki zlitowaniu się Rosjanki, żony naszego predsiedatiela odrazu powiedziała mi że to poraz pierwszy i ostatni, bo sami głodują, ledwo mogą wyżyć z dziećmi. Mąż - oczywiście pijak, ale przecież niejedno udawało mu się ukraść, jak tam wszyscy robią. To od niej dowiedziałam się, że Kazacy żadnych pieniędzy brać od nas nie będą, uprzedzeni o naszym przyjeździe postanowili wyciągać od nas rzeczy, których byli pozbawieni a więc bardzo spragnieni. Czekają więc na "wieszczi", na rzeczy. Tak ubranych ludzi, jak my Polacy nigdy w życiu nie widzieli. Rzeczami byli zafascynowani i to było zrozumiałe. "Dawaj rubaszku"! Wszystko dla nich było "rubaszką". Za rubaszkę można było dostać mleka, jęczmiennego ziarna a i – nie raz - tłuszczu baraniego. Zaczęły się więc moje pertraktacje handlowe, trzeba było się spieszyć, umierało się z głodu, nic ale to absolutnie nic nam nie dawano ani nie było do zdobycia za pieniądze, *W* jedynym ciemnym brudnym sklepiku leżały zardzewiałe gwoździe. Wokoło mnie wrodzy ludzie i wszyscy o ileż ode mnie bogatsi. Sami lwowianie, przygotowani do wywózki, na pierwszy okres mieli jeszcze zapasy z sobą przywiezione, a poza tym duże plecione kosze wypełnione rzeczami, garnkami, poduszkami, kołdrami, wszystkim co można było z sobą zabrać. ~~A NKWD - pozwalało - z wiadomych powodów, że w jakiejś chwili, czy to szantażem, czy innymi sposobami, coś niecoś z tego mieć będzie. Hrabia Tarnowski pierwszego dnia na "swoim gospodarstwie", poszedł do Kazaczki z polskimi złotymi. Podsunęłam mu tę myśl, a może Kazaczka połasi się, żeby z tego zrobić sobie kolczyki.~~ Bielska osłabiona leżała w swoim kącie i nie zapomnę, jak jej mąż przyniósł mleka za tych kilka złotych. Idee.

592:9249852755

Pomysły rodzą się szybko, jak głód drąży człowieka. ~~Zaraz pierwsze~~

15

Zaraz pierwszego dnia zmontowałam moje palenisko na dworzu. Trzy cegły - samany, które później sama będe wyrabiała, znalezione koło jakiejś rozwalonej chałupy, kawałek blachy! - cud, a także "kiziaki" - łajno końskie, krowie czy baranie, wysuszone przez słońce. To był nasz opał przez cały czas Iwanówki, a potem też na południu w czimkentskiej obłasti, w Antonówce. Dopiero w Ili, w osiemdziesięciu kilometrach od stolicy Kazakstanu - Ałma-Aty paliło się saksaułem.

Zaraz następnego dnia po przyjeździe na podwodach, po rozlokowaniu się w baraku, z samego rana, prawie o świcie, przeszedł Iwan. To on miał dowodzić nami, prowadzić nas do pracy, nakazywać pracę .Był to w średnim wieku mężczyzna, wysoki, suchy, sękaty o potężnej sile i zupełnie zwierzęcej brutalności. Opowiadano, że zaraz po rewolucji został zwolniony z katorgi na Syberii, zresztą z innymi kryminalistami, za wymordowanie jakiejś rodziny w celach rabunkowych. Teraz był naszym panem i władcą. Na naszym posiołku były dwie rodziny rosyjskie. Iwan ze swoją rodziną i owa Rosjanka, która pierwszego dnia pożywiła mnie.

Przyszedł więc pod barak o świcie i wypluwając z siebie najplugawsze słowa, przeklinając i poszturchując leżące na klepisku ciała, swoimi błotem oblepionymi buciorami - kazał wstawać do roboty. Zebrał nas przed barakiem, ustawił odpowiednio, prawie po wojskowemu i przemówił: U nas kto nie rabotajet tot nie kuszajet. Nigdy do Polski nie wrócicie, tu trzeba żyć, tu trzeba pracować. Pierwej w Pana Boga uwierzę, albo włosy wyrosną mi na dłoni, niż wy ~~do siebie~~ stąd wyjedziecie spowrotem do ~~siebie~~ *Polski*.

Pognał nas do olbrzymiej szopy - w której, jak się potem okazało, przez lata mieściły się podczas zimy „państwowe” barany. Teraz barany pasły się w stepie. Klepisko na kilkadziesiąt centymetrów pokry

593:9733506712

te było grubą warstwą twardego, jak kamień, ubitego gnoju. Robota nasza polegała na tym, żeby łopatami wykraiwać wyrąbywać kwadraty, wynosić na dwór i układać w porządku, aby tam suszyły się na słońcu. To był jedyny i niesłychanie cenny opał dla Kazaków.

16

W stepie drzewa niema. Tym opalali swoje lepianki, tym na tym goto wali strawę.

~~My w kruchych~~

Miałam na nogach czułenka, w nich uciekałam z Warszawy, nie pomyślałam ani przez chwilę o zabraniu iinnego obuwia. Była to robota bardzo ciężka - przebijanie łopatą kamienia, „krajanie" kwadratów, Z całej siły usiłowałam tę łopatę wbić w twardy gnój, czółenka prawie odrazu zaczęły się rozlatywać. Trudno mi teraz powiedzieć jakeśmy mogły sobie z tą robotą poradzić. I dla silnego mężczyzny odpowiednio obutego — byłaby zapewne trudna. Tak przepracowałyśmy do zmierzchu. Wracałyśmy do baraku ledwo żywe z poranionymi rękoma, obolałymi do ostateczności nogami i bardzo głodni. Za tę pracę, jak i później za wszystkie inne nie dano nam NIC. Ani kawałka chleba. Nie odrazu zdaliśmy sobie sprawę, że wywieziono nas na wymarcie sposobem "naturalnym", ~~przez~~ zabijania. Trzeba przyznać, że nie bito nas i nikt nie zamierzał nas zabijać. Po prostu zostaliśmy wysłani w step na powolną śmierć z głodu, zimna i wyczerpania. Z chorób. I tak też umierano.

Zjawiła się między nami Skwarczyńska, prof. Uniwersytetu, polonistka. Przyjechała, prawie jednocześnie z nami ale była w innym transporcie. Była z trojgiem dzieci i ze swoją teściową. ~~Jak już wspominałam~~, *D*zięki niej stosunek ludzi do mnie zmienił się, a to dlatego, że wiedziała kim był Aleksander i mogła o nas coś niecoś opowiedzieć. Oczywiście było to/dla mnie wielką ulgą. Zbliżyłam się wtedy z młodą jeszcze kobietą, którą wysłano zesłano ze starą matką - Manią Kwiatkową. Matka była przedwcześnie zdzie-

594:7364040176

cinniała i sprawiała wiele kłopotów wątłej Mani. Otóż z Manią Kwiatkową przemierzyłam po raz pierwszy step - 32 kilometrów niedługo po naszym przyjeździe. Jeden z Kazaków wytłumaczył nam jak mamy kierować się na Żarmę, najbliższą stację kolejową w małym miasteczku, gdzie liczyłyśmy że można będzie wymienić coś z naszej garderoby korzystk*niej* i że wybór będzie bardziej urozmaic

cony, a przede wszystkim zależało nam na chlebie. Droga do Żarmy i tak była udeptana w stepie, przejeżdżały nią furmanki i po tej koleinie nie po można się było zgubić. Wyruszyłyśmy o świcie. Było już wtedy ciepło, ubrane więc byłyśmy lekko, na nogach miałam kalosze Andrzeja, jedyne po czółenkach - moje a tamtejsze obuwu*ie*. Na plecach worek, który jakiś poczciwy Kazak mi po*ży*c*zył* a w nim te trochę rzeczy na zamianę. Kazacy - zaczęli ograbiać nas bezlitośnie, chciwi, spragnieni rzeczy. I czemu się tu dziwić? Normalne.

Była to moja pierwsza przeprawa przez step i nie wiedziałam jeszcze o tym, że każda pora roku ma tu swoje plagi. Taką plagą podczas naszej przeprawy okazały się komary, jakieś nadnaturalnie duże i kąsające bezustanku. W rezultacie doszło do tego, że musiałyśmy prawie biec, żeby się przed niemi opędzić, o przysiąściu bodaj na chwilę nie było mowy.

Pod noc przybyłyśmy półżywe ze zmęczenia, ale też jakoś ożywione i prawie szczęśliwe na widok szyn kolejowych i małych wprawdzie, ale "prawdziwych" domów z drzewa. Te szyny kolejowe prowadziły przecież w świat , mogłyby nas zaprowadzić spowrotem do naszego dawnego życia. Mogłyby !

Znalazłyśmy wkońcu nocleg, podczas naszych korzystając z pertraktacji "handlowych", wdałyśmy się w rozmowę, gospodarze słuchali nas z chciwą ciekawościąj, już dawno nie widzieli ludzi z innego, niepodobnego do nich świata. Nieraz tylko chwytałam nagłe ich zaniepokojone spojrzenie, tak jakgydy ktokolwiek mógł ich pod-

595:9588238748

słuchiwać, spojrzenie tak właściwe ludziom stamtąd.

Ułożono nas na podłodze na jakim posłaniu, nakarmiono - no - szczyty szczęścia i komfortu. A w dodatku myśl powrotu z chlebem - ona do matki, ja do dziecka.

Od rana zaczęłyśmy obchodzenie domów z naszym "towarem". Wszędzie przyjmowano nas życzliwie, karmiono, dopytywano skąd i kiedy, robiłyśmy zamiany. Worek nasz nabierał wagi. Jeszcze jeden

nocleg i następnego dnia o świcie powrót do Iwanówki, przejście przez step, 32 kilometrów z zajadłymi komarami.

Pięknie jest w stepie i nieskończenie. Różowe ~~zachody~~ wschody, tęczowe pasma na nieboskłonie, gdzieś w dali wzgórza dość wysokie na których od czasu do czasu zjawiają się sylwetki jakichś zwierząt. Sarn? Jeleni? Nie wiem. Zachody bardzo 'fioletowe, o przepięknej tonacji fioletów i różów i prędko zapadający zmierzch.

Żeby zostać przy temacie stepowym, moich wędrówek przez step, opowiem tu inne przejście, tym tazem pod koniec zimy. Wyjeżdżał wraz z rodziną z Iwanówki - Koreańczyk.

Koreańczyk - zapewne zesłaniec, uzyskał zezwolenie na ~~wy~~ opuszczenie Iwanówki. Historii jego nie znam. Dowiedziałam się przypadkowo, że wyrusza za dni kilka do Żarmy i postanowiłam skorzystać, aby z nim iść, mimo to, że step pokryty był na kilka metrów śniegiem i lodem. Miało się ku końcowi zimy, ale cóż ja wiedziałam o tym klimacie.

Poszłam więc do niego. Mieszkał w izbie prawie pozbawionej sprzętów. Na dywaniku siedziała młoda i bardzo ładna Koreanka z malutkim dzieckiem. W kącie - chłopiec może dziesięcioletni, tłukł ziarno w stempie.

Okazało się, że była to jego druga żona, pierwsza umarła. Synek przy stempie był synem pierwszej żony. Z miejsca zauważyłam jak surowo był przez swego ojca traktowany, bo podczas mojej roz-

596:1943340696

mowy zatrzymał się na chwilę w swojej robocie i odrazu ojciec zrobił mu ostrą wymówkę, nakazując aby nie przerywał i pracował. A praca ta niełatwa.

Koreańczyk ani razu się nie uśmiechnął. Był surowy i bardzo w słowach skąpy. Powiedział, że jak chcę to mogę iść, jemu to obojętne. I dał do zrozumienia, że opiekować się mną nie będzie że idę na własną odpowiedzialność. Ale nic zrazić mnie nie mogło, wiedziałam, że muszę dotrzeć do Żarmy i zaaprowizować się żeby nie

umrzeć z dzieckiem z głodu. Rzeczy szybko kurczyły się. Co będzie potem.

Wyruszyliśmy - nie wiem z jakich po*w*odów - już prawie o ~~zmie~~ Zmierzchu. Wyglądało, jakgdyby wyjazd Koreańczyka nie był zupełnie z władzami uzgodnionymi. Byłam w chacie, jak likwidował wszystko, tłomoki już czekały. Już prawie po ciemku usadowił żonę swoją na saneczkach, opatulił ją wraz z dzieckiem i pociągnął saneczki, idąc szybkim krokiem. Ciemny, rozległy, pusty step zaczynał się tuż prawie za barakiem. Miałam na nogach kalosze Andrzeja okręcone dużą ilością szmat. Miałam jeszcze wtedy futro z łapek karakułowych, na głowie pożyczona chusta.

Odrazu zaczęłam się potykać, padać. Doły-wądoły, straszna ślizgawica. Noc zapadła szybko, to prawda, że śnieg się bieli, ale sylwetka Koreańczyka ciągle mi się gubi, idzie szybkim krokiem, ciągnąc saneczki. Wzięłam chłopca za rękę. Jakże był smutny i opuszczony. Tyle, że to on był moją podporą, dzięki niemu nie padałam tak często, trzymałam go kurczowo za rękę, prosiłam, żeby mnie *nie* zostawiał. Bez tego dziecka — przepadłabym.

Od czasu do czasu nawoływałam Koreańczyka, który znikał za jakimiś górkami śniegowo-lodowymi. Niezawsze odpowiadał, a jak odpowiadał to z widoczną złością, z rozdrażnieniem. Trzeba było szybko iść, żeby nie zamarzać, żeby za nim nadążyć, ale to było ponad moje

597:1056096779

możliwości. Nigdy nie ślizgałam się ani jechałam na nartach, nie zdolna byłam do sportów, brak mi było siły, muskułów. Ale przecież szliśmy, szliśmy przez tę zimną lodowatą noc z uczuciem, że Koreańczyk zniknie nam, a drogi żadnej widać nie było. Po jakiejś ilości godzin zobaczyłam zdala małe światełko a i Koreańczyk wyłonił się i szedł w tym kierunku.-*V Wstawka ze str. 20-ej*

~~Podeszliśmy do szałasu. Ziemianki - szałasu ? Już naprawdę nie wiem, jak mogli tam ludzie mieszkać. Ale kiedy weszliśmy do środka ogarnęło mnie rozkoszne ciepło. Mały kaganek uwieszony u stropu oświetlał wnętrze. Było och kilkoro mężczyzn i kobiet – Kazaków.~~

20

V V

Nic toby dla nich nie znaczyło, gdybym zgubiła się po drodze, nie zauważyliby tego, nie zawrócili. Życie tam sprawia, że serca stają się twarde jak kamienie, bo tylko z takim kamiennym sercem, z żelaznymi mięśniami, z nieoglądaniem się na nic i na nikogo, można jeszcze coś dla sienie uratować. Tak jak w tej przeprawie zimowej przez lodowaty step - Koreańczyk chciał ratować swoją śliczną młodą żonę i maleńkie dziecko, skorzystać z pozwolenia przeniesienia się gdzieindziej, ucieczki z "gołodnych stepów", nadziei znalezienia domu i strawy. Nie winię więc ani jego, ani innych, którzy walcząc, musieli zapominać o najprymitywniejszych przykazaniach współczucia dla bliźniego. Takie współczucie mogło ich zgubić i o tym tam zawsze pamiętano. Dlatego ludzie tam i w całej Rosji - dawniej pełni *wzajemnego* zaufania ~~do siebie~~, wierzący w Boga, albo tylko mający poczucie moralnych obowiązków – pomagali sobie w miarę swoich możliwości. Teraz wszystkie źródła wyschły, została tylko słomka, której tonący się chwyta. Odpędzało się od tej słomki każdego nieraz ludzi najbliższych. *X*

Po jakimś niekończącym się czasie zobaczyłam zdala małe światełko a i Koreańczyka, który wyłonił się nagle z ciemności.

Podeszliśmy do szałasu. Ziemianki-szałasu ? Już naprawdę nie wiem jak mogli mieszkać tam ludzie na niezmierzonym lodowatym stepie. Ale kiedyś

598:7490156667

my weszli do środka ogarnęło mnie rozkoszne ciepło. Mały kaganek uwieszony u stropu oświetlał wnętrze. Było ich kilkoro mężczyzn i kobiet - Kazaków. Kołyska dziecka także uwieszona u stropu kołysała się potrącana ręką kobie ty. Kazacy przyjęli nas jak rodzinę, normalnie, według "Zakonu". Podzielili z nami ciepło wnętrza, kipiatok i prażone ziarno. Uczucie ciepłej szczęśliwości, wdzięczności dla ludzkiej dobroci, uświadomienie sobie skarbów, *serca* ~~które mieszczą w sobir ci~~ *u tych* ~~prościtych~~ ludzie, prawdopodobnie analfabe~~ci~~*tów*. A także skarbu jakim jest "Zakon"- Religia, nakazy dane im przez Boga, którym są posłuszni, jak dzieci. Nigdy nie bałam się ~~samotności w stepie~~ w stepie, kiedy przemierzałam go samotnie, najwyżej w towarzystwie jednej z naszych kobiet - napotkanego Kazaka. Bałam się Rosjan. Ci już "Zakonu" nie szanowali, utracili go, obrabowano ich ze wszystkich praw moralnych.

21

Kazacy dali nam trochę miejsca, żeby się ułożyć do snu. Ale długo zasnąć nie mogłam, takie miałem poczucie bezpieczeństwa i DOMU, że szkoda mi było uczucia tego się pozbawiać. Rankiem wyruszyliśmy w dalszą drogę. W Żarmie, Koreańczyk poszedł swoją drogą, a ja zostałam sama. Zaczęłam chodzić po domkach, ofiarowując im wzamian za trochę mąki i sadła, za kawałek chleba moją sukienkę, czy koszulę Aleksandra. Wszędzie przyjmowano mnie bardzo ciepło i z wielką ciekawością. Ale bano się trochę wdawania się w rozmowy zawsze z pewną ulgą żegnali mnie. Zbliżała się noc a ja nie miałam noclegu. Wstąpiłam na chybił trafił do jakiegoś małego parterowego domku, skąd przez szybę sączyło się przymglone światełko. Miałam jeszcze coś d do zamiany. Otworzyła mi bardzo ładna, młoda Rosjanka. Usłyszałam muzykę i zobaczyłam w głębi pokoju gramofon i siedzącego przy nim młodego mężczyznę. Byłam bardzo zmęczona i zagubiona, co nie uszło uwadze kobiety. Zaczęła wypytywać mnie, ale czułam, że nie powinnam mówić o niczem innym jak tylko o powodzie mojego pobytu w Żarmie. Posadziła mnie na ławie przy prostym drewnianym stole i podała herbaty i duży kawał chleba posmarowany chyba masłem. W pewnej chwili zapanowało kłopotliwe milczenie. Mój posiłek kończył się. Zauważyłam spoglądającego na mnie z ukosa mężczyznę, który do

599:9773351515

tej pory nie odzywał się.. Zrozumiałam, że przeszkodziłam mu w ich intymności i że wieczór rozpoczęty przy płycie gramofonowej miał przed sobą ~~da~~ dalszy ciąg, ~~któremu przeszkodziłam~~. ~~Bo~~*Ale* siedziałam nagle jak sparaliżowana przy tym stole w cieple i świetle, zdając sobie sprawę, że wychodząc stąd jestem skazana na noc zimną bez dachu nad głową. Godzina zrobiła się późna, jak na obyczaje mieszkańców tego kolejowego miasteczka. Zapytała mnie czy mam nocleg. Odpowiedziałam, że nie i czy nie mogłaby mi wskazać kogoś kto by mnie przenocował. Po chwili wahania wskazała mi swoje łóżko i powiedziała, żebym się na nim położyła. Oni wyjdą. Jak wróci - położy się koło mnie. Napewno nie zrobiła tego z entuzjazmem. Czułam się intruzem. A przecież zostałam, przyjęłam. W tej młodej Rosjance zwyciężyło współczucie, wiedzieli oni o transportach Polaków rozrzuconych po stepach, a może i ona ~~mi~~ miała kogoś, kto o tej samej porze błąkał się i ginął po niezmierzonych obszarach zaśnieżonej zimnej lodowatej jej ojczyzny. W ciągu sześcioletniego zesłania naszego, nie znałam jednej rodziny w Rosji, której by bodaj jeden członek nie siedział albo nie był zesłany do jakiegoś lagru. Tonęli w oceanach milczenia,l isty nie dochodziły, a łagiernicy, nawet ci zwalniani po kilkunastu latach męki, ginęli masami po drodze, wyczerpani, z głodu, szukając oparcia w miłosierdziu ludzkim. Nie pozwalano im przecież wracać bezpośrednio do swoich rodzin, musieli jeszcze przez lat kilka zostawać na ~~tk~~ tak zwanych osiedleniach. W wypadku mężczyzn można było liczyć ~~*jeszcze*~~ się jeszcz cze na kobiety samotne, których mężczyźni byli uwięzieni. Kobiety – póki jeszcze młode - mogły liczyć na jednorazową zagrychę. Starsze padały po drodze.

~~Wczesnym rankiem wyszłam cichutko z łóżka. Moja gościnna, śliczna gospodyni spała mocnym snem. Ubrałam się szybko i wyszłam na biały mroźny uśpiony jeszcze świat. Trzeba było wracać do Iwanówki, do dziecka~~

600:5262095948

NOCLEG W ŻARMIE I POWROT Z MYSLIWYM DO IWANOWKI

~~Wczesnym rankiem o świcie, cichutko wyszłam z łóżka. Moja gościnna i śliczna gospodyni spała mocnym snem. Ubrałam się szybko i wyszłam na biały mroźny, uśpiony jeszcze świat. Trzeba było wracać do Iwanówki, do dziecka.~~ *[*Ale jak ? Na plecach miałam worek z żywnością i jakąś torbę w ręce. Wokoło żywej duszy. Kogo pytać o drogę, o przewodnika ? Po lodowatym stepie sama - nigdybym nie ~~przeszła sama~~ *doszła do naszego baraku*. Nie doszłabym. Wiedziałam już przed wyprawą z Koreańczykiem, że na drogę powrotną muszę znaleźć sobie przewodnika.

Błąkałam się po miasteczku, aż nagle ujrzałam staruszeczkę dokądś zmierzającą. Zatrzymałam ją i wdałam się w rozmowę, pytając czy nie zna kogoś, ktoby poszedł de mną do Iwanówki. -Jest taki odpowiedziała, ale od dzisiaj step "ruszył" albo ruszy lada chwila i nikt się nie odważy żeby go przejść. Trzeba przeczekać ze dwa tygodnie. Osłupiałam z przerażenia. – Jakto - jeszcze wczorajszej nocy nie nie wskazywało na to, lód był twardy jak kamień! Staruszka kręciła głową, ale wskazała mi chałupkę, w której mieszkał - jak powiedziała - myśliwy. Zna on step jak własn ą kieszeń, to chyba jedyny, co za opłatę się tego podejmie.

Poszłam w stronę chałupy. Zakpukałam. „Myśliwy” już krzątał się, roz palał palenisko. Duży Rosjanin z niesłychanie przyjemną twarzą, z oczami patrzącymi na mnie i ze zdziwieniem i z zaciekawieniem. Odrazu powiedział mi to samo, co staruzka, że „step ruszył”, albo lada chwila ruszy. Staje się to nagle z chwili na chwilę – topnieją śniegi, ruszają lody, tworzą się niebezpieczne szerokie wyrwy, prawie jak p przepaściste na wiele metrów. Prejście o tej porze jest bardzo niebezpieczne. Trzeba poczekać. Ale o czekaniu dla mnie nie było mowy. Opowiedziałam więc mu wszystko i prosiłam żarliwie, aby mnie poprowadził. Przejął się moją historią, i widocznie zaczął moim prośbom ulegać.

~~5~~

601:1679831653

WSTAWKA

~~ się moją historią, że mi zaczyna współodczuwać.~~ Odrazu pytam czym mogłabym go wynagrodzić. Chce butelkę wina i kawałek sadła. Na wszystko się godzę. Na wino dam mu pieniądze Wino kupi sam, sadło dam mu z mojego, które zdobyłam. Częstuje mnie herba-
tą i chlebem, rozgrzewam się i fizycznie, a także przyjazne jego ciepłe spojrzenie, gotowość pomożenia mi - wzruszają mnie, widzę, że jest mocny nagle widzę także jego urodę, jakąś zupełnie nie chłopską, jest jakaś kultura w jego gestach, coś z bywszewo czełowieka. Zapewne dziedzictwo przeszłości.

Ubrany jest ciepło. Fufajka, grube boty, futrzana czapka, rękawice. Na ramię przekłada strzelbę. Patrzy na moje w szmaty poobkręcane nogi, nogi w kaloszach i szmatach na taką wyprawę. Pyta czy jestem zdecydowana, że to będzie ciężki. Trzeba uważać, bo przez step przepływa w pewnym miejscu rzeka i gdybyśmy się tam zapadli, to już koniec z nami. Ale od razu uspakaja mnie, że step zna doskonale.

Zarzucam worek na plecy, biorę torbę do ręki. Nie robi żadnego gestu, żeby mi pomóc. Ale tego już nie zauważam, takwdzę wdzięczna mu jestem, tak zachwycona i szczęśliwa, że pod noc zobaczę znowu dziecko, że jestem zbawiona.

U wejścia w step od razu widzę, że to prawda. Nagle śnieg topnie jący śnieg, strumykami spływa woda. I już po krótkim czasie zaczyna zapadanie się po pas prawie w śnieg. Rosjanin mnie wyciąga a nieraz i ja jemu z uśmiechem rękę podaję, jak wypada. ~~Idziemy~~ Idę na razie szybko, wypoczęty poczęta po nocy w ciepłej chacie, po gorącej herbacie z chlebem głód mi jeszcze nie dokucza ani worek ciąży. Upływają jednak godziny coraz trudniejsze, zapadania s coraz częstsze, mróz coraz dokuczliwszy. W pewnej chwili „myśliwy" zaczyna odchodzić w bok, wskazuje mi, że tam są wzgórza i że teraz trzeba iść wzgórzami, bo inaczej przed nocą nie dojdziemy a o nocowaniu w stepie niema mowy – pozamarzamy. Wdrapuję się

602:1090939840

na wzgórza i zaraz na zboczu każe mi przysiąść i posilić się. Ale siedzieć długo nie można, ciało sztywnieje, nogi drętwieją z mrozu. I znowu ruszamy. ~~Nie wiem już w jakiej chw~~ W pewnej chwili pokazuje mi miejsce, gdzie przepływa rzeka i zaraz zaczynamy iść w bok ku wzgórzom

~~6~~
25

WSTAWKA

Już nie wiem w jakiej chwili cz poczułam że zaczytam krok mój staje s ię chwiejny. Automatycznie zbliżyłam się do niego i uchwyciłam się rękawa jego fufajki. Spojrzał na mnie i już bez słowa zdjął ze mnie worek, wziął torbę, podsunął mi moją rękę pod swoją, przycisnął mocno i powiedział: już niedługo. Tylko nie poddawaj się, to dojdziemy. Tam jest twoje dziecko i dasz mu jeść. Chodź, chodź, nie ustawaj. Głowa moja pochyliła się na jego ramię, ciągnął mnie prawie, ale przecież nie ustawałam w chodzeniu tym w zamroczeniu coraz większym od mrozu i blasku śnieżnego od straszliwego zmęczenia, od zapadań się coraz częstszych w głęboki stopniały biały śnieg. Nogi miałam zupełnie przemoczone, zmarznięte, cała była zmarznięta i jakgdyby wpółumarła, albo w jakimś półśnie, prowadzącym do krainy śmierci. Zapadała noc. I nagle mój myśliwy wykrzyknął - patrz światełko, światełko Iwanówki, z jakiejś chaty w Iwanówce. Idziemy w dobrym kierunku, widzisz że znam dobrze step, a ty trzymaj się, już tak wpółprzytomną wprowadził mnie do chałupy w której wtedy mieszkałam.

Odrazu rodaczka moja, która tam ze mą wynajmowała kąt położyła mnie na mojej kojce i nakryła wszystkim co było pod ręką. Andrzej spoglądał na worek.

Po pewnym czasie, kiedy dziecko najadło się uszczęśliwione i zasnęło zaczęłam przysłuchiwać się rozmowie mojego gospodarza z moim przewodnikiem. Myśliwy opowiadał jakąś swoją wyprawę do Taszkientu. Szedł pieszo i żadnych po drodze nie miał? przygód. Ale jak on opowiadał! Co przecież opowiadał tylko jak szedł, kędy przechodził, jak długo to trwało, o napotkanych ludziach, o pustkowiach o nocach i dniach. To była

603:8017021826

tak piękna proza, godna Tołstoja - widziałam przyrodę naturę którędy przechodził, jakieś jego uwagi, myśli spostrzeżenia - filozofia, podświadome odczuwanie piękna, poczucie bliskości Boga, Losu, Przeznaczenia – doprawdy trudno mi teraz po tylu tylu latach o tej chwili opowiedzieć o czym on mówił i jak to mówił. Jedno mi pozostało, że było piękne i pełne poezji. Czy żyje jeszcze? O, gdyby żył - jakże pragnęłabym go zobaczyć i przeżyć z nim to trudne przejście przez step - w rozmowie.

26

WSTAWKA

Po pewnym czasie, znowu na innym mieszkaniu – kącie, tym razem u strasznego Iwana, który pędził nas do roboty, zajmując w izbie jego kąt, a drugi kąt zajmowała Maniusia Kwiatkowa ze swoją matką półogłupiałą, zdziecinniałą. Iwan bił swoje dzieci żelaznym kijem, bił żonę, upijał się i bardzośmy się go bali. Ale czego dowiedziałam się o tej rodzinie. Żonę miał miłą, cichą, ze śladami widocznej urody, pokorną w stosunku do swojego męża. Nigdy prawie nie odzywała się w jego obecności, służyła jemu i dzieciom, ogarniała izbę, prała, gotowała, cały dzień zaharowana, umęczona.

Otóż dowiedziałam się od Rosjanki, która pierwsza, pierwszego dnia dała mi trochę jedzenia dla Andrzeja, że żona Iwana pokochała mojego myśliwego miłością tak gwałtowną i tak wzajemną, że któregoś dnia pobiegła przez step kilometrami do Żarmy, do niego. I tam została i zdawało się, że już nigdy do męża nie wróci. Ale - nieodrazu – po pewnym czasie,kiedy już dokładnie wiedział Iwan gdzie żona jego zniknęła, poszedł do Żarmy, do myśliwego. Co tam się działo, moja Rosjanka powiedzieć nie potrafiła, nikt o tym nie wiedział i nie śmiał nawet pytać, Iwan - dawny katorżnik - był niebezpiecznym, brutalnym, nikczemnym człowiekiem. Dość, że wrócił z żoną, sprowadził ją spowrotem i od tej pory brutalizował ją i dzieci, bił gdzie popadło, specjalnie przez naczonym na to drągiem żelaznym.

I już tak zostało mi w pamięci: piękny myśliwy, piękna zako-

604:1129416411

chana w nim kobieta, ucieczka przez step do niego, ich miłość i powrót do strasznego już do końca-życia .

27

Mała dygresja. W ciągu całego okresu zsyłki ten obcy, nieznany mi naród, który tutaj - wydawało mi się na krańcach ziemi, w pierwszej chwili wydał mi się „dziki", odrazu prawie mogłam stwierdzić, jak daleki był od wszelkich nienawiści, jak cierpliwy w cierpieniu, ~~zdający się na~~ *pokornych wobec* „los" - po tylu doznanych od czasu rewolucji zbrodniach popełnianych na nim, gwałt~~u~~*ach* by oderwać ich od ich wierzeń, obyczajów, od przyzwyczajeń. Mieli dużą wiedzę i w leczeniu chorych i zdobywaniu ze skraweczka ziemi. ~~Mieli prawo do jednej krowy i trzech baranów oraz jęczmienia, który im wydzielano według ich pracy~~. Rozległe pola jęczmienne, stada owiec, wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość a mogłoby ulżyć ich doli - wszystko to należało do państwa a za garstkę ukrytego za pazuchą ziarna groziły wieloletnie kary, łagry i więzienia. *O wstawka ze str. 38*

Pamiętam - ot już na początku - letnią wygwieżdżoną noc. Ludzie w baraku poukładali się do snu. na podściółce z trawy zbieranej w stepie. Niezliczona ilość pcheł, które kąsały niemiłosiernie noc całą, wszy, kleszcze, wchodzące pod skórę. Zdradzieckie węże, zjadliwe muszki.

Wyszła*m* ~~też przed barak~~ *przed barak, wyszła też* Stefania Skwarczyńska, której przybycie *jak już wspominałam* ulżyło bardzo mojemu losowi. Wiedziała ona o Aleksandrze i widząc jakie morze nienawiści i podejrzeń mnie otacza, wzięła mnie pod opiekę iście chrześcijańską. To ją - myśląc, że umiera, ów sklepikarz lwowski, pan Kierski, który uważał, że „bękart żydowski" może spać na dworzu, kiedy zimna noc skręcała nas w kłębki, aby własnym ciałem się ogrzewać — to on, myśląc, że umiera, prosił ją, aby mnie przyprowadziła do niego, bo chciał przed śmiercią prosić mnie o przebaczenie za wszystkie udręki i upokorzenia, których zresztą nietylko on był sprawcą. Oczywiście przebaczyłam. Umarł o kilka miesięcy później, podczas strasz-

605:7237152225

liwej ~~ziem~~ zimy w lodowatym baraku. Trudno go było go wynieść, przymarzł bowiem do klepiska, trudno go było pochować tak twardy był lód, tak wysoko było śniegu, na kilka metrów. Pochowano go płytko, przy pomocy naszych Kazaków. Syn wice-ministrowej miasta Lwowa, pan porucznik Ta-

deusz - oszczędzali swoje siły.

Przenieść na str. 9-ą

*[*Młody Kazak w tibietiejce, który pierwszy okazał mi współczucie i przysłał swoją matkę staruszkę - okazał się nauczycielem. Wiedza jego polegała na tym, że umiał czytać i pisać i tego nauczał dzieci naszego „sowchozu". Kiedym poszła do jego lepianki, żeby mu podziękować, siedział w kuczki, wsparty o ścianę i patrzył na swoją młodziutką, kilkunastoletnią śliczną żonę, która pr ygrywając sobie na jakimś nieznanym mi prymitywnym instrumencie, śpiewała kazakskie pieśni. , poruszając się wdzięcznie do taktu. A więc poezja! Tak. Znalazłam tam poezję i piękno dobroci i obyczaju. A także, że w tych prymitywnych warunkach po wodę szło się daleko do rzeki - Kazaczki myły się na dworze, trzymając w jednej ręce miedziane czajniczki. I to po każdym akcie fizjologicznym. Nasze kobiety bardzo prędko zaczęły obrastać brudem, a barak wokoło - ponieważ żadnemu mężczyźnie nie chciało się kopać dołów w stepie - był w *e*kstrementach. Szczególnie zimą. Latem chodziło się w step.

Jeszcze taka chwila przyjęcia w stepie, zrównania się z nimi, spokoju, kiedy stojąc ze Stefanią na progu baraku, same pod stropem iskrzącego się od gwiazd nieba nad niezmierzonym stepem, patrzyłam na bielejące ściany małych, skulonych, przysiadłych do ziemi lepianek bez światełek w okienkach. Ujrzałam ich w ~~równomiernym~~ oddechu sennym, w ich uśpieniu, jakby w bezradnym dziecięcym zniewoleniu, jakie nakłada na nas sen, kiedy nie należymy ani do siebie, ani do świata, bez żądz, chciwości, głodów, lęku śmierci. Należymy do wieczności, ~~re~~ Wtedy to, stojąc tak wsparta o ścianę lepianki i ucząc się modlitwy

606:5376704172

do Matki Bożej, pięknej modlitwy pełnej poezji - poczułam, jak ci tam uśpieni, ufni teraz i bez lęku, stają mi się braćmi, siostrami w naszej tutaj niedoli. Przestałam odczuwać ich odrębność i fizyczną i psychiczną.

Tak przeszła nam noc na modlitwie ~~i~~r rozmowach, zaczęłyśmy iść w stronę rzeki pod różowiejącym niebem, a stanąwszy nad brzegiem chciała mnie Stefania ochrzcić z wody. Ale to uczucie, które mnie wte

29

dy wypełniało, inną, nieznaną mi miłością - uczyniły ~~mnie już inną~~, ~~i~~ to *że* w tej chwili wydało mi się zbyteczne, bowiem nic bardziej już nie mogło mnie zjednoczyć z Bogiem.

Ale żeby niczego w sobie nie sfałszować, nie dać zmamić się poezji, poezji nocy, gwiazd, ciszy, poszumu lekkiego stepu, nieskończoności stepu, która to nieskończoność symbolizowała naszą beznadzieję, niemożność wiary, aby to kiedyś się skończyło, niemożność powrotu do domu, do swoich, aby odnalezienie swoich się spełniło. Aby więc nie ulegać czarom oto przypomina mi się jedna z przepięknych -nowel Flauberta..... [482]I trzeba było tego pocałunku w usta trędowatego, w usta, których oddech był smrodliwy, aby dopełniło się całkowite przyjęcie w siebie doli bliź niego, podzielenia się z nim do ostatka, nie czuć obrzydzenia, które powinno być dominowane przez miłosierdzie, współczucie. Wiem, że nigdy nie mogłabym się na to zdobyć. A więc to pobratanie było także tylko częściowe, chociaż w ciągu sześciu lat zżyłam się z nimi i coraz mniejsze dzieliły nas przestrzenie codziennego życia, obyczaju. *]*

Warunki, w których przyszło nam żyć, były dla nas ludzi zupełnie do nich nieprzygotowanych, straszliwie ciężkie. Pracowałam w stepie ciągnąc wołokuszę, to znaczy ciągnąc sznur za którym zaprzężona była para byków i poganiając je nawoływaniem: cob coc cobene! Z jednej strony ja, z drugiej inna Polka. Wołokusza zbierała zżęte

[482] Watowa nie odpisała tytułu opowiadania. Chodzi oczywiście o *Legendę o św. Julianie Gościnnym.*

607:4587438505

siano, albo jęczmień. Za wołokuszą Kazak, popędzający byki. Kiedyś woły wystraszone muchą Tse Tse zamknęły mnie w kole i czułam jak żebra zaczynają mi trzeszczeć. Ale przytomny Kazak uderzył je błysk awicznie żelazną pałą i tak zostałam uratowana, powróciły na swoje miejsca. Wpółprzytomną ze strachu i bólu wyciągnął mnie Kazak i dał pozwolenie abym położyła się i odpoczęła w szałasie. Szałasy były ustawione w stepie w dość dużej odległości od miejsca naszej pracy. Dostawaliśmy mleko, z którego robiło się ser biały w „marli” *1).* Wieczorem zupę z kotła, w której to zupie pływały kawałki mięsa i

1) gaza

kości. Ale do kotła dostawali się przede wszystkim mocni i zręczni Kazacy, dla nas więc pozostawała raczej woda. Chleba przeważnie brakło albo nie dowożono, albo poprostu byliśmy, my Polacy z niego okradani. Przez uplecione z witek ściany szałasu, przed zaśnięciem patrzałam na kolory nieba. I tam gryzło niemiłosiernie a i słód i może wielkie utrudzenie nie pozwalało mi zasnąć. Pamiętam taką jedną noc, kiedy cicho odsunąwszy się od Andrzeja, wyszłam z szałasu. W dali zobaczyłam zwartą, ciemną masę stojących nieruchomo zwierząt. Coś pociągnęło mnie do nich, jakaś siła magii, bo czułam wyraźnie, że ta noc do nich należy, że one tu odprawiają jakieś misteria, że ta ziemia, step i noc do nich należą, a jestem tu obca, wyobcowana, samotna, zagubiona w naturze, która nie dla mnie, ale dla nich jest przyjazna. Na nas zewsząd czyhało niebezpieczeństwo, pochłaniały nas przestrzenie, odbierały siły, nie karmiły. Ich nieruchomość, jakaś mistyczna zaduma, zasłuchania, spoczynek, ich wtapianie się w ~~królestwo nocy~~ w noc, step, w królestwo natury.

I jeszcze - jakże cudowny widok dzikich koni w stepie. Też obraz niezapomniany. Wolne, piękne zwierzęta, pędzące na skrzydłach pegazy, radosne w biegu, w podrywach miłosnych, w drgających rżeniach – śpiewnych.

Andrzej chudł przeraźliwie, ciągle był głodny. Miałam prze-

608:9211470526

czucia, że coś złego się z nim staje. Skorzystałam więc z tego, że jeden z młodych Kazaków, szedł do pobliskiego kołchozu i poleciłam mu, *a*by zabrał ~~s~~ sobą Andrzeja. Dałam mu list do lekarki Polski, która w tym okresie tam pracowała, z prośbą aby go zbadała. Wrócili tegoż samego dnia wieczorem, Andrzej zadowolony, bo po drodze znalazł się jakiś lodowaty potoczek w którym się wykąpał. Lekarka napisała, że ma gorączkę i że górne szczyty są zajęte, że nie powinien być na słońcu i że na gwałt muszę go odżywiać, bo może wywiązać się gruźlica. Pobiegłam więc do naszego „uprawitiela", błagając go, aby pozwolił mi wrócić do Iwanówki, do naszego baraku, gdzie mogłabym zamienić jakiś łach na ~~jedzenie~~ *żywność* i mieć możliwość, aby Andrzej unikał słońca. Ale proś

31

prośby moje nie odniosły żadnego skutku. - "Podochniet – budiesz imiet drugowo" - powiedział filuternie, dodając, że może mi w tym pomóc. Nie miałam nic do stracenia. Aleksander w więzieniu, o którym nic nie wiedziałam, czy jeszcze żyje ? A teraz miałabym stracić Andrzeja. Zwinęłam swój tobołek i pieszo zaczęliśmy iść w stronę naszej Iwanówki. Ale bardzo prędko pogonił za nami Kazak, którego nazywano tam "stiepnoj wołk", jednoręki, rzeczywiście jakiś dziki. Zaczął krzyczeć i rozkazywać, abym zawróciła. Oczywiście nie posłuchałam.

Wróciłam do Iwanówki. Odrazu zamieniłam coś na mleko, które miałam dostawać każdego dnia przez jakiś czas, na trochę ziarna, z którego robiłam mąkę i trochę tłuszczu. Z jakichś cudem znalezionych patyków, które powtykałam w ziemię, nakrywając je prześcieradłem, przes łabym mi także przez kochaną Halinę Górską – zrobiłam coś w rodza ju namiotu, w którym Andrzej miał leżeć, siedzieć, bawić się. Nie było to wszystkie takie łatwe do zrealizowania.

Ale "władze" nie dały za wygraną. Tamtejsze NKWD zostało odra zu powiadomione, że własnowolnie opuściłam pracę, za co jak wiadomo groziło więzienie. Zjechali więc do Iwanówki i zaraz pod opieką star ego Kazaka na furmance odesłali do Żarmy na sąd. Zostawiłam Andrzeja

609:1835016637

pod opieką starej kobiety, ~~która z okolic Lwowa przywoziła codzień tam mleko~~ która ze wsi przywoziła codzień mleko do Lwowa i ciągle nam opowiadało, na co jej to przyszło i jak się jej żyło, ile krów miała. Zostawiłam jej cały zapas ziarna i zawierzyłam jej uczciwości, cho ciaż liczyć tutaj na czyjąkolwiek uczciwość było prawie grzechem było prawie grzechem, w takiej nędzy wszyscyśmy żyli.

Jechaliśmy tą furą dzień cały, koń chodził stępa, a i Kazako wi się nie spieszyło. Był milczący, ale czułam, że żal mu mnie i że rozmyślania jego ode/mnie idą o wiele dalej, wgłą~~d~~*b* różnych spraw skła dających się na ich życie.

W Żarmie odrazu zaprowadził mnie dą sądu. Była to jakaś nied duża izba w której po chwili zjawił się tłusty Kazak w ~~tiutiu~~ tiu-bietiejce i nie patrząc na mnie zaczął coś mamrotać pod nosem. Chcia-łam mu wytłomaczyć dlaczego opuściłam pracę, ale osadził mnie bardzo

ostro i wydał wyrok. W ciągu trzech miesięcy miałam pracować za darmo! ~~A gdybym~~ Za drugim razem - karą będzie więzienie i odebranie dziec-ka do dietdomu. Radość moja nie miała granic. Co za cudowny wyrok! I tak nam nie płacono, nie dawano nawet kawałka chleba. Później dowiedzia-łam się, że powinniśmy byli dostawać 70 kopiejek miesięcznie! A kilo chleba czarnego, ciężkiego w Żarmie kosztował 90 rubli. Tyle też dostałam od pani Olgi Krzemienieckiej wzamian za brylantowy pierścioneczek prezent mojej matki, za które podczas jednej z moich przepraw przez step do Żarmy, kupiłam ~~za te pieniądze właśnie~~ kilo chleba.

Zapadała noc, kiedy zaczął się nasz powrót do Iwanówki. Zmęczo-na ledwo żywa szkapa. My głodni. Nagle światełko w stepie, a było to lato. Zatrzymał wóz, ja zostałam na furce, on wszedł do szałasu. Nara-zie nikt nie wychodził stamtąd, ale kiedy kobieta wyszła, żeby zapro-sić mnie do wnętrza, odrazu wiedziałam, że już wszystko o mnie wiedzą. Odczułam też odrazu ich solidarność ze mną, zrozumienie, litość. Dano mi się najeść i potrochu, narazie z wahaniem zaczęły padać pytania.

610:9801315987

Opowiadałam im o Polsce, o naszym tam dobrobycie, o chlebie, sytości, o ubraniu. Bo ja jeszcze wtedy byłam dla nich ubrana a oni byli łachmanach. Było w szałasie kilka kobiet i mężczyzn i nagle pod wpływem jakiegoś wielkiego zaufania a może nieprzemożnej potrzebie mówienia prawdy bez strachu, z poczuciem bezpieczeństwa - zaczęli mówić. Mówili o jakże pięknym ich życiu "przedtym", w stepach, o stadach baranów, o chlebach pieczonych na ich sposób, o ubraniach kobiet, o kolczykach i pierścieniach, o wysłanych dywanami szałasach, szerokich kolorowych spódnicach, naszyjnikach, o koniach stepowych, na których kolorowi poubierani Kazacy pędzili po stepie - rycerze wolności.

Jak pięknie, ciepło, niegłodno było mi tu pośród tych ludzi niegdyś szczęśliwych i wolnych - teraz nędzarzy i niewolników, żyjących w strachu i poniewierce. Noc była ciepła, step szumiał, pachniało trawami. Powiedziałam, że będę spała na furce, na dworzu. Leżałam, mając niebo nad głową — i zasnęłam, prawie szczęśliwa.

33

Nagle poczułam ciężar na soie i zbudziwszy się raptownie, zobaczyłam nad sobą twarz ~~młodzieńczą~~ nieznanego mi młodego Kazaka. Usiłował zedrzeć ze mnie ubranie. Z desperacką siłą - kopnęłam go tak trafnie, że odskoczył a ja zaczęłam krzyczeć, wzywając na ratunek. Nie zapomnę przerażenia, które odmalowało się na jego twarzy. Kiedy Kazacy wybiegli z szałasu, chłopak uciekał w step. Ale dogonili go. Wiedział że będzie ukarany. Dla nich był to wielki wstyd. Powiedzieli mi, kiedy weszłam z nimi do szałasu, że jest on już wychowankiem „reżymu", „swój – a obcy. Postąpił wbrew "Zakonowi". Długo w noc szeptali między sobą z widocznym oburzeniem,

Wczesnym rankiem pojechaliśmy dalej. Jak ukarano chłopca - tego nie wiem.

W Iwanówce czekał już na mnie NKWD'zista. Błagałam, płakałam, obiecywałam, że wezmę najcięższą pracę, byle mnie zostawił w baraku ~~*Czym*~~ *by* dać dziecku wyzdrowieć. Wkońcu jednak uległ. Dał mi robotę przy wyra-

611:5597500166

bianiu cegieł "samanów" conajmniej trzykrotnie większych od tych, których używa się u nas. Wyznaczył miejsce - glina zmieszana z czymś i formy w które tę glinę upychałam i suszyłam na słońcu. Ciężkie ~~te~~ cegły *te* były jak kamienie. Trudno było mi je unieść.

Następna praca polegała na rozwalania łomem żelaznym, który~~m~~ ledwo utrzymywała w obu rękach, nawpół rozwalonych lepianek. Miałam rozwalać je do reszty-W jakim celu - nie pytałam. Jakim cudem potrafiłam tę robotę wykonywać - tego już dziś nie potrafię sobie wyobrazić. Ale Andrzej poprawiał się, przytył. Przyjechała do nas owa lekarka (ginekolog ze Lwowa) i stwierdziła, że niema temperatury. Ale zubożeliśmy w tym okresie w tempie zastraszającym. Jak żyć dalej ? Wpadło mi na myśl, żeby napisać do Moskwy na adres Związku Pisarzy Sowieckich do Erenburga, którego kilka książek mąż mój ~~tłomaczył~~ *przetłumaczył*. List doszedł. Wo odpowiedzi Erenburg przysłał mi ~~telefra~~ 300 rubli. Ponieważ w tym że liście prosiłam go, żeby zadziałał, aby przeniesiono mnie do sowchozu, w nadziei, że tam może dadzą nam jakąś porcję chleba dziennie. ~~Odpisał~~ *dał odpowiedź telegraficzną*: Wideł Wandu Wasilewskuju. Diełajem wsio ~~możnoje~~ *dołżnoje* i wazmożnoje

34 ~~34 33~~

cztob oblegczyt waszu uczast".

Do Wandy Wasilewskiej także wysłałam duży list o naszym tutaj życiu, o umieraniu z głodu i ciężkiej pracy. List podpisali wszyscy Polacy, już pogodzeni ze mną poprzez Skwarczyńską. Przestałam być wysłanym przez NKWD szpiegiem, aby ich śledzić.

Wanda Wasilewska odpowiedziała natychmiast, że przyjedzie na posiołek komisja z Moskwy, aby zorientować się w naszych warunkach. Nasze władze odrazu o wszystkim były poinformowane. Bezpośrednio przed przyjazdem komisji zostałam wyekspediowana daleko w step do pracy z nakazem, że nie mam prawa się ruszyć, póki po mnie się nie zja wią. Następnego dnia komisja przyjechała. Jedna Polka ukradkiem przybiegła do mnie, żeby mi wszystko opowiedzieć. Komisja zaczęła wzywać

612:2522899619

Polaków, żeby opowiadali o swoich warunkach i pracy. Ale nasze władze były obecne i wszyscy bali się ~~powiedzieć~~ *mówić* o naszej nędzy. Oni wyjadą a my zostaniemy na łasce naszych nadzorców. Wieczorem zrobiono wielką pijatykę. Zarżnięto barana. Upitą komisję z Moskwy wyekspediowano z workami wypełnionymi mąką, tłuszczem i baraniną. I tak się to wszystko skończyło. Tyle, że po sprowadzeniu mnie do Iwanowki zaczęły się w stosunku do mnie specjalne szykany i utrudnianie i tak już trudnego życia.

Nie piszę w kolejności zdarzeń. Tak mi łatwiej i wydaje mi się, że prawda przeżyć i doznań będzie żywsza.

Monotonność dni, a przecież nie można mówić o monotonności głodu. Głód się daje we znaki, ssie każdej chwili i każdej chwili jest sensacją jakgdyby od początku i zawsze bez końca. Byliśmy na dróżce monotonności czasu po której stąpa się poomacku, ciągle szukając tego samego - zaspokojenia głodu, zabicia wspomnień, zabicia cierpienia i straszliwych niepokoi o bliskich,

Więc znowu myśl o tej, odległej o 32 km Żarmie, miasteczku gdzie jest stacja kolejowa, gdzie można lepiej korzystniej wymienić rzeczy i popatrzeć na wagony z syczącą lokomotywą, na wagony z napisami polskimi, kolejami zrabowanymi w Polsce. I można pomarzyć, że stąd

35

droga także może poprowadzić do Polski.

Nagle wielkie wydarzenie. Chyba jedyne jeśli chodzi o polskich zesłańców. Wanda Wasilewska wespół z prof. Kleinerem wystarali się o powrót Stefani Skwarczyńskie wraz z rodziną do Lwowa. Pamiętam, jak wiadomość ta przyszła i nagle zobaczyłam Stefanię spieszącą do naszych władz, w niebieskiej pelerynie, jasnowłosą, bardzo piękną. Jeszcze kilka dni temu mięsiłyśmy wspólnie ~~glinę~~ nogami, często owrzodzonymi – glinę z czymś ~~wapnem (?)~~ tam jeszcze do budowania glinianek. W ten sposób oszczędzane niedożywione woły, które tę robotę *normalnie* wykonywały. Niedożywione były wszystkie zwierzęta, a przecież zimą w stepie pozostawały ol-

613:1062227698

brzymie, piętrowe czworoboki siana w potrzasku zlodowaciołego śniegu, Kazacy nie spieszyli się ze zbieraniem pokarmu dla zwierząt "państwowych". Oni oszczędzali swoje siły, aby przeżyć zimę na pół głodno.

A więc wyjazd Skwarczyńskiej. Pakowała swój dobytek na furę Umówiłyśmy się, że skorzystam z podwody dla niej przeznaczonej i pojadę wraz z porucznikiem Tadeuszem do Żarmy. W ten sposób odprowadzę Stefanię, pobędę z nią jeszcze trochę i załatwię swoje sprawy. Zaraz inni Polacy zaczęli dawać nam różne rzeczy do zamiany. Zapisywałam, byłam tym bardzo podniecona. To samo ze swej strony robił porucznik.

Polacy zaczęli okazywać mi zaufanie i nawet przyjaźń. Co za ulga w tych ~~war w dodatku~~ warunkach. Ale nie pan porucznik. W nim czułam wroga, a potem przekonałam się do jakiego stopnia.

Była już dość późna jesień, kiedy Skwarczyńska wracała do Lwowa. Usadowiliśmy się na podwodzie. Nogi miałam podwinięte pod siebie, było dość zimno i nie zmieniające pozycji, jechałam tak cały dzień. Rezultat był taki, że trzeba było zdejmować mnie z wozu, nogi miałam zupełnie sparaliżowane,trzeba je było długo rozcierać, masować, abym mogła wreszcie na nich stanąć. Na Skwarczyńską czekał nocle Przygarnęła i mnie na tę noc ostatnią. Porucznik bez słowa poszedł w swoją stronę. Umówiliśmy się, że o określonej godzinie spotkamy się w określonym miejscu.

36

Porucznik pozabierał swoje i ~~nie~~ sporo mnie powierzonych rzeczy do zamiany. Ja od rana zaczęłam obchodzić domy. Miałam już ciężki i pełen wór i bardzo tym byłam uszczęśliwiona, myśląc o radości Andrzeja i ludzi, którzy nasycą się bodaj raz jeden.

Spotkaliśmy się z porucznikiem już prawie o zmroku. Był młody, zdrowy i sprytny, objechał kilka kołchozów, zrobił „dobre interesy". Czekała na nas podwoda, ta sama, która nas przywiozła. Załadowaliśmy ją, wsiedliśmy i ruszyliśmy w drogę powrotną. Ale po bardzo krótim czasie, już w ciemnej nocy, nagle byki stanęły w stepie i

614:1137322580

żadne bicie, żadne popędzanie nie pomagało. Położyły się, nie chciały się podnieść, nie chciały nas wieźć. Były wygłodniałe i zmęczone.

Sytuacja była rozpaczliwa. Niesposób iść z tak ciężkimi workam mi pieszo i to w nocy. I nagle porucznik decyduje, że idzie sam do Iwanówki i że rano przyjedzie z inną podwodą. I zostawia mnie więc samą w stepie, w nocy z perspektywą zjawienia się wilków. Jakoby wilki zjawiały się tam często. W ostatniej chwili porucznik probuje jeszcze zmusić byka do wstania. Kopie go butami po bokach z furią. I nagle byk zaczyna powoli stawać na łapach. Już nie mówiąc *ani* słowa *do mnie* wskakuje na niego i poganiając odjeżdża, zostawiając mnie samą. Tak wygląda galanteria męska poza salonem. A tu tyle skarbów w workach, a jednocześnie straszliwy lęk przed nocą samotną w pustym stepie. Zaczynam kostnieć z zimna, przestrzeń która dzieli mnie od dziecka wydaje mi się nie do pokonania, ale w miarę jak uwiadamiam to sobie zaczynam robić wysiłki, aby byka postawić na łapach. Kiedy wstał wydało mi się, że jakieś porozumienie narodziło się między nami, że to zwierzę zrozumiało, że ja muszę do dziecka wrócić. Wdrapałam się na niego. Brzucho jego rozdęte sprawiało, że nogi miałam zupełnie rozstawione, uczepiłam się rogów i nie widząc nic przed sobą, żadnej drogi, zaczęłam przemawiać do niego, aby/mnie prowadził. Zaczął iść powoli przez doły i wądoły, ześlizgiwałam się i znowu wdrapywałam i błogosławiłam rogi, których mogłam się trzymać. Trwało to długo bardzo długo, a przecież wkońcu doprowadził mnie do Iwanówki, do swe

go "domu". Prowadził mnie tak swoją, jemu tylko wiadomą drogą. Bóle w całym ciele, rozwartość nóg na przyrządzie tor~~-~~*tu*~~t~~*r*. Głowa pochylo na niczego nie widząca. A przecież jestem przed barakiem. Zsuwam się na ziemię i już nie mam siły, aby podnieść się i wejść do baraku. Kobiety wnoszą mnie, ciągną po klepisku. Ledwo ułożyły mnie widzę dziecko skręcające się w/bólach. Brzuszek bardzo wzdęty. Najadł się surowego jęczmienia. Maria Borkowska, bardzo poczciwa, młoda i energicz

615:9968875322

na młoda kobieta obawia się, że by nie miał skrętu kiszek. Bez namys łu aą łapie jedyny/mój sprzęt skrzyneczkę drewnianą, łamie ją, rozpala na dworzu ognisko i zagotowuje wodę. Przykłada mu kompresy, daje pić jakieś zioła. Napewno uratowała mi dziecko od śmierci.

Nastaje dzień. Porucznik bierze podwodę i jedzie po worki z żywnością, złoszcząc się na mnie, że nie zostałam w stepie. Kiedy wra cają dowiaduję się, że dużo worków "zginęło" właśnie te worki w któ rych była moja żywność i żywność dla kilku z naszych ludzi. Odczułam to jako prawdziwą klęskę, a już szczególnie zawód jaki sprawiłam ludziom, którzy mi zawierzyli. Nikt oczywiście worków w nocnym stepie nie ukradł. Ukradł je pan porucznik ze swoimi kompanami. Objadali się na wesoło a nawet zdobyli sobie u Kazaków coś niecoś do popicia. O tak! Porucznik Tadeusz dał mi się we znaki. Teraz, kiedy to piszę, nie potrafię wykrzesać si z siebie jednej iskry gniewu czy oburzenia czy żalu. Wszystko to starł czas. Została w pamięci przygoda tamtych lat zakończona happy endem, bo przecież we troje wróciliśmy wkońcu do Polski.

616:8730361863

5. MASZYNOPIS 4.

23

[skreślenie całego fragmentu przez przekreślenie większych fragmentów czerwonym pisakiem. Strony 23-26 to dwie osobne kartki połączone spinaczem]

~~Lewskoj. Diełam wsio możnoje i wozmożnoje cztob oblegczyt waszu uczast. Do wandy Wasilewskiej wystosowałam duży list, który podpisali wszyscy Polacy. W tym okresie, pod wpływem Skwarczyńskiej stosune ich do mnie pozornie (myślę, że tylko pozornie) się zmienił.Napisałam o naszej nędzy, o naszych dzieciach, o naszym głóodzie. Odpisała, że przyjdzie komisja z Moskwy, aby to wszystko sprawdzić i... naprawić. Komisja z Moskwy istotnie przyjechała, ale o dzień wcześniej wysłano mnie w step, tak że jej na oczy nie widziałam. Pytano gdzie Watowa? Odpowioadano, że zjawią się tuż tuż. Tymczasem zaczęto przepytywać naszych PolakówLalale w obecności miejscowego NKWD. Ludzie bali się, bełkotali, nie wiedzieli jak się zachować. Mnie – oczywiście ciągle nie było, byłam ta w stepie pod strażą. Wieczorem zaczęło się picie. Spojono komisję, wyjechali, każdy z nich z worem mąki, tłuszczem. Zarżnięto barana. A więc i z mięsem. Potem mnie sprowazono do Iwanówki i zaczęły się szykany i utrudnianie i tak jak że/trudnego życia.~~

~~Nie piszę w kolejności zdarzeń. Tak mi łatwiej i wydaje mi się że prawda przeżyć i doznań będzie najb jej najbliższa.~~

~~Monotonności dni, a przecież nie można powiedzieć monotonność głodu. Bo o ile Człowiek wchodzi na *monotonność czasu, który prowadzi* tę dróżkę do nikąd nie prowadzącą, na której szuka tylko tego jednego, aby ją przejść do wieczora, przeżyć do wieczora, zabić głód, zabić czas, zabić wspomnienia, zabić niepewność, zabić cierpienie. Ale głód nie daje się ani zapomnieć, ani oszukać Przypomina o sobie każdej chwili dnia i nieprzespanej nocy, a głód dziecka wzmaga wszystkie potwory tej szarpiące, tłukące się w nas bez wyjścia uczucia, niema okienka, niema światełka, niema nadziei, nie~~

617:7669018295

nie widać ratunku. Więc znowu opada myśl o tej 32 kilometry odległej Żarmie, o tym małym miasteczku, gdzie jest stacja kolejowe, gdzie długie szeregi wagonów z syczącą lokomotywą zatrzymują się, a szyny prowadzą mogłyby zaprowadzić spowrotem. Dokąd?

Wydarzenie! Wielkie, jedyny wypadek o którym dane mi było wiedzieć i nigdy od nikogo nie słyszałam, aby taka rzecz zesłańcowi jakiemuś się zdarzyła. Profesor Kleiner wespół z Wandą Wasilewską potrafili załatwić sprawę nieprawdopodobną. Aby Stefania Skwarczyńska wraz z rodziną, to znaczy dwojgiem swoich dzieci i jednym chłopczykiem, synkiem przyjaciela i ze swoją teściową — powrócili do Lwowa. Pamiętam Stefanię idącą zdaleka stepem w stronę baraku w niebieskiej pelerynie, jasnowłosą i bardzo piękną i tak bardzo w tej chwili szczęśliwą. Jeszcze kilka dni temu dostałyśmy robotę — kilka kobiet a między niemi Skwarczyńska i ja. Robota polegała na miesieniu wapna xxoszczę z czymś, już nie pamiętam — jakże pamięć mnie zawodzi! Ale nie trzeba się zrażać i odnotowywać. Weszłyśmy w tę maź bosymi W ten sposób oszczędzano niedożywione woły. Niedożywione były wszystkie zwierzęta, Ogromne ilości pozbieranego siana i jęczmienia układane w piętrowe czworoboki zostawały w stepie nagle złapane w potrzask zimy, śniegu i lodu. Praca dla sowchozu nie pobudza do energii, szczególnie kiedy nawet brzucha nie można nią oszukać. Dbali więc przedewszystkim Kazacy o swój mały ogródek, który dawał kilka kartofli i o swoje trzy barany, do których mieli mieprawo, a bogatsi posiadali także krowę. Kiedyś zatrudniono zapędzono nas do pracy, która polegała na tym, że miałyśmy trzymać za rogi barany, kiedy im robiono zastrzyki. Było to stado baranów państwowych i w zamian za tę ciężką dla nas pracę, obiecano nam, że wieczorem dostaniemy po 300 gr.chleba, co w Iwanowce od pobytu miało się zdarzyć nam po raz pierwszy i jak się okazało ostatni. Praca dla mnie okazała się bardzo ciężka. Nigdy nie miałam za wiele zaliczałam się do silnych,

618:2713974090

a teraz całą moją siłą była raczej siła nerwowa, świadomość, że muszę wytrwać, żeby ratować Andrzeja. Utrzymanie wydzierającego się barana *1*

2 przerażonego, ~~przerażeniem całego stada~~ *wśród* beczącego stada było ponad moje siły. Nogi ~~miał~~ i ręce miałam we krwi, bodły rogami, kopały kopytkami, niemniej robiłam wszystko co w mojej mocy i nadzieja otrzymania chleba na które czekało dziecko już od samego rana dodawało rozpaczliwej energii.Kiedy praca się skończyła dość późnym wieczorem, wróciliśmy do Iwanówki i ustawiliśmy się w szeregu po odbiór owej przyrzeczonej porcji chleba. Kiedy nadeszła moja kolej, młody Kazak, który nami dowodził – odezwał się : tyś nie wyrobiła normy, więc chleba nie dostaniesz

25

Niestety wiedziałam, że inicjatywa nie była jego. Niestety, niestety z wielkim żalem i wstydem notuję ten fakt, że oto Polacy, którzy tak samo przecież jak i ja cierpieli i wydawało się, że w tym cierpieniu powinni się byli ze mną złączyć, że powinni byli włączyć mnie do w to swoje cierpieni i że powinnam była stać się członkiem jedynej polskiej sponie wieranej, niewolniczej, zagłodzonej rodziny, otóż ci Polacy zamiast miłosierdzia tego pięknego przykazania chrystusowego, sieli antysemityzm w Iwanówce. Jak się dowiedziałam potem, ci nasi kazacy w większości nie wie dzieli nawet co to są Żydzi, nigdy Żydów na oczy nie widzieli. A więc poto, żeby dostać mój chleb, albo żeby moim chlebem przekupić naszego dozorcę – podszepnęli mu, żeby żydówie chleba nie dawał, bo za mało pracowała. Dowiedziałam się o tej strasznej prawdzie od jednej z tych kobiet która jednak sumienie ruszyło, ~~aby~~ albo nagła obawa grzechu na myśl o czekającym głodnym dziecku, który z ich powodu ~~będzie~~ zaśnie głodny i jakże nieszczęśliwy i zawiedziony, po całodziennym oczekiwaniu na tę chw lę szczęścia.

Oszalałam. Zaczęłam tłuc pięściami gdzie popadło, nic nie widziałam przed sobą tylko ten nieosiągalny kawałek chleba i powrót do baraku z pustymi rękoma. Ocknęłam się w kleszczach mocnych rąk nasze

619:6862025260

go NKWUdzisty, którego okazało się biłam pięścią gdzie popadło. Powstało zamieszanie, ale o dziwo nagle zapadła cisza, przerażająca cisza. Wszyscy się rozstąpili, NKWUdzista już mnie nie trzymał i nawet popchnął do wyjścia. W tej ciszy usłyszałam swój – nie swój głos, który rzucał przekleństwo. Pierwszy raz w życiu moim i ostatni z ust moich padło przekleństwo a było to przekleństwo straszne, niepomyślane, wykrzyczane poza mną, nie przeze mnie , ono było przekleństwem narzuconym mi przez kogoś, ~~który w tej chwili może był jeszcze bardziej zrozpaczony i oszalały niż ja~~ przekleństwem jakiejś postaci z tragedii antycznej w obliczu śmierci a może jeszcze czegoś gorszego niż śmierć. Moja samotność w tym tłumie ludzi z ojczyzny mojej, to topienie się w ich nieludzkiej nienawiści wyrwało te straszne słowa, niegodne słowa przekleństwa : abyście nigdy do Polski nie wrócili. Za ten kawałek chleba odjęty od ust *mego* głodnego ~~niewinnego~~ dziecka.

26

Wracaliśmy do baraku w ciężkiej ciszy i kiedy ocknęłam się i rozejrzałam po nich wokoło – zobaczyłam ich przerażone twarze. Zobaczyłam że bali się mnie, tak wielka była siła tak niewiadoma siła, która słowa te ze mnie wykrzyczała, że zlękli się tej siły i stali się nagle cisi i chyba zabobonni.

A więc wyjazd Skwarczyńskiej. Pakowała swój dobytek na furę. było umówione, że ja i pan porucznik Tadeusz będziemy jej towarzyszyć.
A to dlatego, żeby wykorzystać podwodę, któras jechała do przyjechała specjalnie *po nią* do Żarmy, specjaln-

Nie po nią. W ten sposób będzie można pozamieniać rzeczy na jadło *dla siebie* i *ludzi* dla Iwanówki. ~~Różni ludzie~~ Prawie wszyscy Polacy dawali nam rzeczy do zamiany. Ten suknię, drugi prześcieradło, trzeci ciepły żakiecik itd. Wszystko zapisywałam skrzętnie co do kogo i czego sobie życzyli. To samo prawdopodobnie robił porucznik Tadeusz.Wydawało się, że po kilkumiesięcznym pobycie Skwarczyńskie, po moim liście do Wasilewskiej, po komisji z Rosji, po ~~wyjaśnieniach~~ rozmowach Skwarczyńskiej o mnie

620:5717510187

z Polakami, atmosfera wkoło złagodniała, nabierali zaufania, starali się nie myśleć o tym, że jestem Żydówką.Tak - na pewno byli i tacy.Ale nie

Pan porucznik Tadeusz.

Była już dość późna jesień, kiedy Skwarczyńska wracała do Lwowa. Usadowiliśmy się na podwodzie.Miałam nogi podwinięte pod siebie opatulona czym mogłam, co się cieplejszego znalazło. Obuwia nie miałam, tylko czółenka w których uciekałam z Warszawy.Droga przed nami duża, 32 klm.wóz obładowany, bo osiem osób z woźnicą ,a prócz tego rzeczy Skwarczyńskiej i naszej, moje i porucznika do wymiany. Przyjechaliśmy do Żarmy późnym wieczorem.Nigdy nie zapomnę, jak nagle nogi odmówiły m mi posłuszeństwa, nie mogłam zejść z wozu,nogi były bezwładne.Czy to uczyniła nieruchomość pozycji, a także dotkliwy chłód, kwew widocznie inie dopływała, nogi były jak martwe. Sciągnięto mnie jak kłodę z wozu, i dopiero po długim rozcieraniu nóg, które zastosowała Skwarczyńska, postawiono mnie wreszcie i mogłam się poruszyć. Dla Skwarczyńskiej ~~znalazł się nocleg~~ i jej rodziny znalazł się nocleg, była już pod opie ką NKWD. W dobroci swojej przygarnęła mnie, tak że jeszcze noc jedną

621:9053314571

6. MASZYNOPIS 5.

[Adnotacja „nie przepisane” kreślona czerwonym pisakiem (ręką Watowej) na lewym marginesie. Strony 29-32 to dwie osobne kartki, połączone spinaczem*]*

29

Tak samo jak złe wspomnienia z przedwojennej Warszawy, żeby już skończyć z polskim antysemityzmem. Sama go na własnej skórze nie doznałam. Byłam na pensji pani Raczkowskiej,a potem rodzice przenieśli mnie na pensję,która miała jakąś specjalną nazwę w tej chwili przezemnie zapomnianą.Pamiętam tylko, że miałyśmy tam świetnych nauczycieli i,że wszyscy oni byli socjalistami wraz z naszą dyrektorką panią Dobkową. Wykładała tam Sempołowska, Ewa Baudo*i*nde-Courtenay i wielu innych wybitnych profesów których - niestety - nazwisk nie pamiętam. Prawda, jeszcze Bolesław Kamiński, profesor matematyki, od którego/systematycznie dostawałam pałki. Miał spiczastą bródkę, małe oczka za okularami, był bardzo szpetny, ale kochałam się w nim nieprzytomnie i stając przed tablicą byłam wpółprzytomna. Już po wojnie, w kolejce podmiejskiej wiozącej mnię i Aleksandra w towarzystwie Parandowskich na srebrne wesle Iwaszkiewiczów, do Stawisk, zobaczyłam starego człowieka, moją dawną miłość. Szyję miał okręconą jakimś mizernym szalikiem, na, głowie zmiętoszony kapelusz, tyle że bródka ciągle była spiczasta i okulary przesłaniały jeszcze mniejsze i bardz~~o~~*ej* zmęczone oczy. Bardzo. spontanicznie przysiadłam się do niego i będąc w dobrym, wesołym nastroju przypomniałam się mu, jako jego uczenica ,wyróżniająca *się* spośród innych niezliczoną ilością pałek. – Bo się strasznie w panu kochałam i przy tablicy zupełnie traciłam głowę. Biedny Bolesław Kamiński był w owym czasie nauczycielem gdzieś w małym miasteczku, nasze władze, komunistyczne uznały, że będzie „szkodliwy” w mieście. Był w widocznej nędzy. Uśmiechnął/się do mnie dobrotliwie i odpowiedział z widocznym zawstydzeniem, usiłując pożartować. Dlaczego mi pani o tym dopiero teraz mówi? -

622:9955036895

Nie był rozmowny - jak zawsze. Ot - samotny nauczyciel matematyki, usunięty teraz na starość w jeszcze większą samotność.
Ale wracam do tego dla mnie przede wszystkim wstydliwego tematu – tak to odczuwam, bo przecież opowiadając jedynie prawdę przeżytą przeze mnie osobiście - mam uczucie szkalowania Polski. A przecież uczucie to fałszywe zważywszy fakty.
Antysemityzm przeżyłam po raz pierwszy poprzez naszego syna

30

[Adnotacja „nie przepis." kreślona czerwonym pisakiem (ręką Watowej) na lewym marginesie]

Było to chyba w roku 1936 - ~~myślę~~, ~~bowiem~~, że *a więc* miał wtedy 5 lat. Okres tych lat przedwojennych odznaczył się bardzo wzmożonym antysemityzmem. Wybijano szyby w sklepach żydowskich, niebezpiecznie było wieczorem spacerować w Alejach Ujazdowski, w pobliżu których mieszkaliśmy. Był to okres zupełnego ateizmu Aleksandra i w tym duchu miał zamiar wychowywać syna. Zresztą był za mały, żeby o tych sprawach z nim mówić, a wychowania religijnego w naszym domu nie otrzymywał, ~~Osoba~~ Któregoś dnia po powrocie z Parku Ujazdowskiego ze swoją guwernantką Walentyną Kicką, starą panną, wydającą mi się obowiązkową, wrócił bardzo podniecony i ożywiony i nie rozebrawszy się w przedpokoju, wbiegł do nam „wszystko" opowiedzieć. Panna Walentyna weszła za nim. Okazało się że powodem podniecenia i radości było to, że tuż koło naszego domu był mały sklepik, typowy sklepik żydowski w którym w średnim wieku Żydówka sprzedawała wodę sodową z sokiem malinowym, karmelki, pomarańcze i banany. Otóż na oczach dziecka wybito tam szybę kamieniem. Andrzej był zachwycony. To bardzo dobrze - mówił, bo Żydzi są brzydcy, bo śmierdzą, bo kradną itd. itd. już nie przypominam sobie tej długiej litanii przymiodników. Na twarzy panny Walentyny wystąpiły silne rumieńce, usiłowała przerwać, mówiąc że trzeba zdjąć palto, myć ręce itd zdjąć Zatrzymaliśmy ją jednak w jej poczuciach obowiązku, słuchając, a jednocześnie patrząc na siebie – oh, bardzo znacząco. Gdy skończył - Aleksander ~~zapytał~~ po-

623:1025799481

wiedział: popatrz na swoją mamusię, czy ją kochasz? – Tak, tak ją kocham, że chciałbym wejść w jej kości – powiedział, rzucając mi się na szyję. Trzeba przyznać wyznanie miłości bardzo silne i znaczące, ale nie tu miejsce na takie rozważania. ~~A~~ – A czy mamusia" jest ładna – pytał dalej Aleksander. – Bardzo ładna, śliczna. – A czy mamusia śmierdzi? – - Nie, mamusia zawsze ślicznie pachnie (1'heure Bleu - Guerlaine'a, a moje Wtedy ulubione perfumy). I dalej pytanie za pytaniem, na które dziecko odpowiadało z zapałem i przecząco. - A więc wiedz, że twoja mamusia jest Żydówką. No a teraz odpowiedz – ~~czychocha~~ raz jeszcze czy kochasz mamusię? Nastąpiła chwila milczenia. Był widocznie zaskoczony, a potem bez wahania odpowiedział : to bym ją kochał jeszcze bardziej *więcej,* żeby nie była Żydówką! Trucizna sączona ~~pod drzewami bzowymi~~ *w alei bzów w Parku Ujazdowskim*, rozmowy guwernantek, któ-

31

[Adnotacja „nie przepisane" kreślona czerwonym pisakiem (ręką Watowej) na lewym marginesie]

re w większości pracowały u ~~Rzydów~~ Żydów - zatruwały serca i umysły dzieci. W tej chwili zrozumieliśmy oboje, że w Polsce nie można stosowawać metod wolnościowych, nie można wychowywać dziecka według ~~swego~~ swych poglądów. W Polsce było się napiętnowanym od samego urodzenia do samej śmierci. I na to nie było rady.

Więc kiedy przyszła chwila oddania go do szkoły, chwila jakże Uroczysta! *B*abcia - matka moja kupiła wspaniały tornister, zeszyty do rysunków, ołówki różnokolorowe w ślicznym..... *piórniku.* Miał iść do szkoły, do nowo-wybudowanego gmachu w Alejach Jerozolimskich.Mąż mój wtedy pracował u Gebethnera i Wolffa, jako redaktor literacki i miał długą rozmowę z wydającym u Gebethnera książkę na użytek szkolny, dyrektora właśnie tej szkoły. Był, rok 37-y, hitleryzm filtrował w umysły dużej części społeczeństwa ze ideą antysemicką. Baliśmy się, zetknięcia dziecka z rzeczywistością, bardzo już wtedy brutalną, ale przyzwoity i kultu-

624:9803427211

ralny dyrektor tej szkoły zapewniał mojego męża, że będzie czuwał, aby nie dopuszczać do żadnych tego rodzaju wybryków. Wkońcu miał być z dzieć mi w swoim wieku, a miał lat sześć. Dla Zdzisława Czermańskiego, Andrzej wtedy jeszcze Jędruś - był małym Proustem, dla Marii Kuncewiczowej — aniołkiem z Murilla. Był ślicznym dzieckiem, ale nie miał urody słowiańskiej. We Włoszech mógł z powodzeniem być Włochem, we Francji – Francuzem. W Warszawie ze swoimi pięknymi oczami, z wijącymi się jedwabistymi kasztanowymi włosami - mógł być tylko Żydem.

Przyszliśmy więc oboje rano - pierwszego dnia szkoły i ro-

Ebrawszy na dole Andrzeja w szatni, poszłam z nim na górę, gdzie znajdowała się t.zw. podwstępna klasa. Tutaj w dużym hall'u kwadratowym obsza- ~~Rze~~, pod ścianami ustawiły się matki z dziećmi, czekając na zjawienie się nauczycieli. Przyglądano się nam i najwidoczniej wymieniano szeptem uwagi pod naszym adresem. Nagle pojawiła się nauczycielka i klasnąwszy w ręce nakazała dzieciom wejść do klasy. Wszystkie matki odrazu wyszły, Nauczycielka zawróciła jeszcze do kancelarii, a ja przez szparę uchylonych drzwi zajrzałam, ~~jak chcąc wiedzieć~~ *aby zobaczyć* jak się dzieci zachowują. I zobaczyłam jak cała gromada dzieci z iście dziecięcą okrutnością przy-

32

[Adnotacja „nie przepis." kreślona czerwonym pisakiem (ręką Watowej) na lewym marginesie]

piera do ściany Andrzeja, krzycząc : wynoś się gudłaju!
Otworzyłam drzwi, wzięłam dziecko za i szybkim krokiem
Zaczęłam zlatywać po schodach do szatni, mówiąc mu jednocześnie, *że* Nie
będzie~~sz~~ chodził do tej szkoły , bo tu są bardzo niegrzeczne dzieci.
Byłam zrozpaczona, biegłam do mieszkania mojej matki, Aleksander był w wydawnictwie. I już po drodze zapadło *we mnie* postanowienie. ~~jakna bardziej ostateczne.~~ Że gdybym nawet miała rozstać się na długo z moim jedynym dzieckiem - w Polsce on nie zostanie. Postanowiłam, że po ukończeniu jakichś wstępnych nauk (ale gdzie?) pojedzie do Francji.

625:2873646627

I skończyło się na tym, że poszedł do t. zw. "bananowej szkoły". „Prowadzona była ona przez przemiłą, wysoce kulturalną panią, d-ra filozofii. Żydówkę. Chodziły tam dzieci lekarzy, adwokatów, inżynierów żydowskich. Było to t.zw. przedszkole, w którym nauczył się pisać i czytać, lepić, pleść koszyczki z rafii, *gimnastyki* i jeszcze masę miłych i pożytecznych rzeczy ~~plus gimnastyka itd.~~ Był tam dwa lata. Do 39-go roku. Roku w którym wybuchła wojna, nasza ucieczka, uwięzienie Aleksandra i nasze zesłanie w głodowe stepy Kazachstanu. Wojna nasze, trwała sześć lat.Dopiero

wkkwietniu 1946 roku wróciliśmy z amnestii dla Polaków z Rosji do Polski.

Andrzej miał już 14 lat. Poduczył się łaciny, w ciągu 2-ch miesięcy zrobił kurs dwuletni, z innych przedmiotów uczył go ojciec po wyjściu z więzienia. Zapisałam do go gimnazjum Rejtana. Jakie tam były jego przeżycia w opisanym wyżej zakresie - nie wiem. Nie opowiadał łatwo, był dość skryty. Ale miał wielu przyjaciół, bardzo oddanych, którzy zapełniali nasz dom. Sami „Aryjczycy".! Czekały go inne przeprawy już na uniwersytecie, przeprawy z "komórką partyjną", bowiem niezapisał się do „.....", nie chodził na ich zebrania, odgradzał się od wszelkich komunistycznych manifestacji i w domu naszym bywali tylko jemu podobni *koledzy.* To też okres uniwersytecki, który naogół przed wojną wspominało się jako okres najbardziej beztroski, wesoły itd., był dla nieggo okresem ponurym, pełnym zasadzek i gróźb pójścia do kopalni itd. ~~wtedy kiedy~~ jego *O*jciec, po walkach *przemówieniach przeciwko* w Związku Literatów ~~i grożą cemu mu Putramentowi, że niedźwiedzia, który walczy „dajut dubinoj po~~ *, socjalizmowi itd. p. brutalnych napadach na niego Putramenta i temu podobnych.*

626:1704447446

7. RĘKOPIS 1. – PLAN

1) Wyjazd z Ili
2) W wagonie
3) Rozmowa z NKWDystą
4) Decyzja jechać do Moskwy
5) Moskwa
6) Lissa
7) Dom pod Moskwą
8) Lenin. Cerkiew Błażonnowo
9) Stefania Skwarczyńska
10) Umieranie na zesłaniu
11) Trochę o Iwanówce, Kazachach, pierwsza dniach
12) Przyjście NKWD po mnie i Andrzeja,
13) Wagon bydlęcy
14) Przeżycia w tym wagonie. Ludzie.
15) Pierwszy postój w stepie. Ziemianki
16) O Kazakach
17) Zima w Iwanówce
18) Kąt w lepiance Kazacha
19) Rosół z baraniną
20) ZAKON
21) Hr Bielscy i hr. Tarnowscy
22) Obywatelka ziemska
23) Penicylina
24) Pierwszy adres w Iwanówce
25) Pierwsza praca
26) Pojawienie się Skwarczyńskiej
27) Pierwsza przeprawa przez step wiosną
28) Komary
29) Załatwianie zamian w Żarmie
30) Drugie przejście przez step z Koreańczykiem
31) Noc u Rosjanki. Gramofon
32) Powrót do Iwanówki z Myśliwym

627:6794665291

33) Step ruszył
34) ~~Ol~~ jak opowiadał myśliwy
35) Przejazd na podwodach do Iwanówki
36) Nauczyciel. Jego matka
37) Zachowanie się Polaków
38) Noc w stepie ze Skwarczyńską
39) Chrzest poprzez zbratanie się z Kazakami
40) Praca przy wołokuszy w stepie
41) Mucha tse-tse
42) Choroba Andrzeja. Ucieczka
43) Sąd. Noc w stepie
44) ~~Pra~~ ~~Ro~~ Wyrób cegieł
45) List do W. Wasilewskiej. Przyjazd komisji z Moskwy
46) Depesza do Erenburga.
47) Odjazd Skwarczyńskiej do Lwowa
48) ~~Pan~~ porucznik Tadeusz. Moja jazda na bykach
49) Praca przy zastrzykiwaniu baranów
50) Przekleństwo
51) Antysemityzm w powojennej W-wie
52) „Przygoda" Andrzeja
53) Początki (ledwo zarysowane) po powrocie do W-wy. Andrzej u Rejtana (w związku z przedwojennym antysemityzmem

628:4997435726

8. MASZYNOPIS *PIERWSZA WĘDRÓWKA PRZEZ STEP*

Pierwsza wędrówka przez step

Mieliśmy wyruszyć o północy. Zostawiłam syna pod opieką starej kobiety. Woreczek jęczmienia ~~jako~~ *jedyny* zapasy żywności na 2-3 dni.

Wymknęłam się ~~cicho~~ z uśpionego baraku. Przez chwilę – ~~*zostaję na* noc mroźna za Trzymała mnie~~ *zostaję* ~~zatrzymuję się mnie~~ na progu, groza i piękno ~~śnieżnej~~ *białej* równiny, Wiatr dopada lodowatej powło*k*i i lekko podbija pióropusze śniegu. Na niebie ~~płoną~~ *koloru granatu* skrzą się wielkie gwiazdy północy. ~~Znagła kryte~~ Ale ~~wielka czarna chmura duża / granatowa poz~~*poś*pieszna *wełnista* przesłania je co chwila. Lepianki są ciemne i milczące. ~~Przez chwilę widzę~~ ~~*Rysują się kopulaste*~~ *Przyparte do ziemi, rysują się* Uśpieni w nich Kazacy, bezbronni w *swoim* śnie ~~przypominają w kształcie kretowisko wielkie~~ jacyś w swoim bezbronnym śnie ~~Pogrążeni w bezbronnym śnie Kazacy~~ stają się nagle bliscy złączeni z nami ~~tutaj~~ na tej obcej ziemi – magią życia i śmierci dnia i nocy.

Odrywam się od bezpieczeństwa progu. Wydeptaną ścieżką idę w stronę lepianki Koreańczyków, pewna już teraz, że nasz brygadier nie widzi mojego odejścia. O tej porze śpi się mocnym snem.

U Koreańczyków płonie świeczka. Izba jest naga, zwinięte tłomoczki. Kobieta trzyma ~~dziecko~~ opatulone *drzemiące w jej ramionach* dziecko, chłopak wybiera ze resztki utłuczonego *już przedtem* jęczmienia. Milczą, nie zwracają na mnie uwagi, *wszystko przecież zostało umówione.* Chłop wyciąga sanie,

Wychodzimy. Kobieta ~~siada~~ *usadawia* się z dzieckiem ~~na saniach~~ chłop umocowuje tłomoczki na ~~saniach~~. Potem bierze za sznur i idzie. Ja z chłopcem za nimi.

Zostawiamy naszą osadę – kilkanaście lepianek w białym ~~nagim~~ stepie. Tuż za osadą wchodzimy w bezkresne lodowate przestrzenie. Od razu wchłania nas, osacza zewsząd drapieżność północnego pejzażu, ~~wyzywającego do walki~~. ~~bo~~ *I*ść naprzód po tym stawiającym opór lodowatym, skamieniałym gruncie *po* zdradzieck~~im~~*ich* wyrwa~~mi~~*ch*, paszcz~~ami~~*ch* rozwartych dołów, w które wpadamy, - to ~~walczyć~~ wal~~ka~~*czyć* bezustan~~na~~*ie* – ta walka wymaga~~jąca~~ o wiele więcej sił niż moje i inego ekwipunku. Na nogach ~~miałam~~ mam warszawskie pantofelki i czyjeś kalosze. Plec*ak* z rzeczami na zamianę, choć ciążył – zabezpieczał trochę od przenikającego zimna.

629:8115426151

Coraz więcej przybywa czarnych chmur i ich pełzające sienie jeszcze bardziej pogłębiają niepewność każdego kroku.

2

W ~~pogłębiających się~~ *spływających* nagle ciemnościach ~~tracę sylwetkę~~ umyka mi z oczu sylwetka chłopca. Przebijam się przez te ciemności, potykam, padam, wiatr i przerażenie zatyka oddech. Wołam. Chłopak zjawia się po chwili. Biorę jego dłoń i przytrzymuję, Muszę mu powiedzieć, temu jeszcze prawie dziecku, że tutaj jest moim opiekunem, moim przewodnikiem. Chłopiec idzie w milczeniu, ale nie odrywa swojej ręki, której ciepło dodaje odwagi, idę pewniej, potykam się mniej. Zdaleka dolatuje nas zniecier poliwiony głos Koreańczyka. Prędzej, prędzej, żona marźnie mu na saniach.

Nogi dziwnie drętwieją, ~~mam uczucie że poczucie drętwienia całego~~ staje się jakgdyby zmarzniętym drewnem ~~organizmu sprawia, że jestem jakgdyby~~ źle funkcjonującą maszyną, która z trudem posuwa się naprzód.

Chodzimy już kilka godzin. Powoli staje się automatem, ~~źle~~ do cho dzenia. Odsuwam myśl, cierpienie, strach.

Według chłopca jesteśmy w połowie drogi. A w połowie drogi powin na być ziemianka, gdzie możnaby odpocząć ~~do wczesnego~~ i rozgrzać się. przynaglamy się więc do szybszego marszu, od czasu do czasu głos ~~chłopa~~ *Koreańczyka* nakierowuje nasze kroki. *A oczy przyzwyczajone coraz łatwiej znajduje ślady wydeptanej drogi.*

Płomyk. Nikły płomyk ukazał się nagle i znikł. Ale zaraz znowu mamy go przed oczami. Jest on ~~dla~~ światłem ludzi, domem, ciepłem, oddechem. drewniane nogi ożywiają się, to skurcz strachu rozluźnia się, Idziemy więc, przebijamy się jak znużeni pływacy, których prąd wciąga na dno.

Ziemianka. Na ubitym klepisku wokół ogniska wpół uśpieni Kirgizi. W kącie na barłogu kobieta z dziećmi. Na płóciennym hamaku uwieszonym u pułapu – noworodek. Dym zaduch, mrok, łachmany, nędza. Ale dla nas to dom i ludzie i dziecko i błogosławiony wrzątek i prażony jęczmień. Dziecko budzi się i płacze, Potrącam hamak i kołyszę dziecko. Wchodzę w świat ludzi, ciepło oddechów, ~~ciche słowa~~, troskę kobiet, ~~płacz dziecka.~~

630:5885244547

Jak dobrze przy ognisku. Kirgizi rozpytują dokąd idziemy. Potem zasypiają. ~~Dojdę jednak do Żarmy~~. Chłopak drzemie także. Ile doświadczenia *i rezygnacji* w tych dziecięcych jeszcze rysach.

~~Dojdę przecież do Żarmy, gdzie zdobędę chleb dla syna.~~
~~Kiedy poszarzeje mała szybka pójdziemy w dalszą dal~~

~~*Przymykam i ja oczy i* poddaję się uczucie ufności nie opuszcza mnie. We śnie widzę ciepły, pachnący bochenek chleba.~~
Kiedy mała szybka u pułapu poszarzeje – pójdziemy dalej. ~~*W Żarmie*~~
Do miasteczka mamy jeszcze 12 kilometrów. W miasteczku ~~*dostaje się*~~ *zdobędę chleb,*

[rękopis dołączony do maszynopisu]

~~1) Wiatr dopada zlatuje jak potężnym oddechem podmiata śnieg, unisi w pienistej fontannie. Niebo jeszcze przed chwilą ubite wielkimi gorejącymi gwiazdami północnego nieba.~~

3) Wiatr ~~padm~~ dopada lodowate (...) powłoki i z furią wznosi ~~fontannę~~ pióropusze śniegu.
4) To ubitego (...) ~~na którym to jarzącym~~ ~~płoną~~ wielkie gwiazdymi, to znów ~~znagła~~ co raz to przesłaniane~~tego cieni je~~ czarną pośpieszną chmurą.

Zatrzymuję mnie *I myślę* na progu groza i piękno tej śnieżnej równiny.

~~A ciemne lepianki~~ o tej porze ~~ich płomyczków światełka~~
~~I śpiący ludzie Kazachach~~ w ciemnych lepiankach pogrążenych w bezbronnym
Śnie – stają mi się nagle mniej obcy, ~~włączeni wyrównani włączenie~~ spleceni z nami
~~Włączeni tak samo (...) połączeni z nami~~ w magię bycia i śmierci
dnia i nocy.

Wydeptaną ścieżką poszłam – idę w stronę lepianki Koreańczyków,
Pewna już teraz, że nasz brygadier nie zauważy mojego odejścia. O tej porze śpi się mocnym snem.
~~3~~ Ja z chłopcem za nimi.
3 w ciepłych fufajkach, w grubych botach. Syn z pierwszego
Małżeństwa, 12-o letni zastrasozny i
5) Ciągle szumi, i bzykają w trasie. Potem są pola

631:7213384466

jęczmienia. ~~Z kto~~ Z kłosów jęczmiennych wykradamy ziarno
Tłuczemy w stępie. Było to jeszcze prawie dziecko, smutne i ~~opuszczone~~ zapracowane ~~Przy~~ ~~ciągle~~ tłuczeniu ziarna w stępie. Macocha młoda i ładna. Odwieczna historia.
Odrazu za osadą weszliśmy w mroczny lodowaty świat.
oddechy śpiących ludzi, lepianki z ciepłem czterech ścian
domu. ~~Wszystko zostało za nami~~ z poczuciem bezpieczeństwa.
Wszystko to ~~zostawało~~ opuszczało nas. ~~Odrazu z miejsca~~
~~Odczasu~~ Posępność i wrogość północy i nieubłagane jej prawa.

632:2336586853

9. **MASZYNOPIS *POWRÓT***

Powrót

W Żarmie jestem sama. Koreańczycy poszli swoją drogą. W ciągu dnia pukam do mieszkań. Ludzie na ogół życzliwi, a przede wszystkim spragnieni ~~rzeczy~~ i ciekawi rzeczy. Targują się. Ile to chcecie za tę sukienkę? Ładna. Ale mogę tylko dać za nią 3 kilo mąki, no i jeszcze trochę kwaszonej kapusty. To za mało. Ta sukienka jest ostatnią, inne już zostały zamienione. Więc trzeba iść dalej i pukać. W jednym z domków, gdzie większa tranzakcja zostaje ubita – pozwalają mi przenocować. Zebrało się tu sporo kobiet. Wszystkie *są nędznie poubierane, przedwcześnie postarzałe*, bardzo podniecone i te rzeczy przenos*zą je* nagle w inny świat. Oczy im błyszczą. Dotykają ~~rzeczy~~, przymierzają. Co za materiał! Patrzą, prawdziwa wełna! Mój Boże! – wzdychają. Jest tu między ~~innymi~~ *niemi* młoda, ładna nauczycielka, która odchodząc daje mi po cichu swój adres. Czuję, że chciała by ze mną pomówić, *ale może i coś kupić* ale tutaj nie ma odwagi. Jakaś stara kobieta ciąglę soigląda na mnie z wielką żałością i czegoś popłakuje. Przypominam jej córkę, która od lat siedzi w lagrze. Za co? O tym boi się mówić. Biedni, biedni ~~ludzie~~ ludzie.

Kiedy następnego wieczoru pukam *nieśmiało* do mieszkania nauczycielki aby poprosić ją o nocleg – jest wyraźnie spłoszona i niezadowolona. Jest tam młody człowiek i sentymentalna pieśń płynie z patefonu. Ale każde mi wejść. Młody człowiek siedzi nieruchomo, o nic nie pyta. Dziewczyna wskazuje mi ławkę koło stołu, podsuwa chleb i kubek herbaty. Jest mi przykro, że przerwałam im nastrój, ale jeszcze bardziej niepokoję się, czy moja tu obecność nie zaszkodzi dziewczynie.

Patefon milknie, młody człowiek podnosi *się.* Nakładają płaszcze.

Zostańcie tu, jak nie macie gdzie nocować – mówi dziewczyna i połóżcie się do łóżka. Ja wrócę dość późno. ~~Wychodzą~~.

Siedzę na ławie bardzo zmęczona. Herbata stoi przede mną już chłod

633:1009904757

na i niedojedzony kawałek chleba. Uczucie bezdomności i opuszczenia, uczu
cie ogromnej samotności opada mnie w tej izbie, gdzie przybite pluskiwkami
mi kolorowe wyciętę z pism obrazki – sa nie tylko *upiększającymi* barwnymi plamam, ale

także, jakby *potwierdzeniem* ~~dowodem~~, że tutaj naprawdę ktoś ma swój dom.

W izbie robi się coraz chłodniej. Nie kładę się ~~do łóżka~~ chociaż
łóżko nęci. Poczekam na gospodynię. Opieram się mocno o *zimną* ścianę, przymykam
Oczy. Znikają obrazki, znika drżący płomyk naftowej lampki. Myślę o mężu w wię
zieniu sowieckim i synku w zimnym głodnym baraku. Czy jeszcze kiedyś będziemy
mieli swój dom?

Dobrze po północy przychodzi dziewczyna. Jest naprawdę bardzo ład-
na, zarumieniona od mrozu. Od razu uśmiecha się do mnie życzliwie i prosi, że
bym się nie martwiła, że cieszy się, że tu jestem. Daje mi jakieś karmelki dla
synka, a potem szybko *się* rozbiera i gasi światło. ~~Rozmowy żadnej nie podejmuje i~~
Szeptem pyta jak jest u nas w Polsce. Opowiadam.
Odpowada mi tylko ciężkim westchnieniem, a potem nagle twardym głosem mówi dobranoc i
szybko zasypia.

Budzę się wczesnym rankiem. Dziewczyna żegna się ze mną w półśnie.
Ma jeszcze trochę czasu. Ja spieszę się bardzo. Żeby wrócić przed nocą do I-
wanówki, trzeba wyjść o świcie.

Spędziłąm w Żarmie dwa dni. To małe miasteczko ze stacja kolejową,
Z pijalnią herbaty, gdzie można było dostać i chleb i coś gorącego do zjedze
nia, z ruchliwym tłumkiem okutanych w fufajki mieszkańców – wyda*je* mi się ~~wtedy~~
szczytem komfortu i dobrobytu. Jeszcze bardziej nędzny ~~wydał mi~~ się stąd widzę nasz
barak w pustym głodnym stepie. Barak w którym klepisko zastepu*je* łóżko i stół i krzesła, a 3
cegły przed barakiem – kuchnię. *I gdzie już od wielu miesięcy nie widzimy kawałka chleba.*

~~Teraz już~~ Myślę jednak z niecierpliwością i niepokojem o powrocie
, bo w baraku czeka syn, a w plecaku mam teraz i chleb i słoninę i trochę mąki

634:2570970904

I trochę ryżu, a w torbie kilka kilo pszenicznego ziarna, *a także* – o cudzie! kilka bułek posypanych cukrem.

Trzeba wracać, ale jak. Szukam na rynku kogoś, kto jedzie w moje strony, szukam szczęśliwego przypadku. Nikogo. I to nie tylko dzisiaj – opowiadają mi ludzie, ale także w najbliższym tygodniu nikt się tam nie wybierze, bo step „ruszył". Step ruszył – to znaczy, że wiosna runęła nagle na lody, że jakieś nurty podziemne rozsadziły je od spodu, że wozem nie przejedziesz a na piechotę straszliwie trudno.

3

Nie – to przecież niemożliwe. W baraku czeka na mnie dziecko
Głodne dziecko.

Zatrzymuję przechodniów, przepytuje rozpaczliwie wszystkich. Ja-
Kaś stara kobieta zdjęta litością wskazuje drogię do jakiejś chałupy. Jeże-
Li ten nie pójdzie – mówi – to chyba nikt.

W chałupie sympatyczne chłopisko czyści strzelbę. Otwarta
twarz sybirskiego chłopa, jasna czupryna, dobry uśmiech. Od razu wzbudza u
Zaufania. Siedzi w małej zakopconej izdebce, przez kratkę szybek niewiele
Tu wchodzi światła. Odłożył strzelbę na zbity z heblowanych desek stół i
Zaprasza, żebym usiadła. Czego ci trzeba – pyta – opowiadaj.

Tłomaczę więc o co chodzi. Zna Iwankówkę – oj! Zna. Jest tam kobieta, którą bardzo kochał. Okazuje się nią żona naszego brygadiera Iwana – ordynarnego, niebezpiecznego brutala. Sporo lat temu porzuciła Iwana jego i dzie ci i Iwanówkę i pędząc przez step przyleciała do Siemiona. Była to wielka miłość. Ale Iwan znęcał się niemiłosiernie nad dziećmi, bijąc je czym popadło, to prętem żelaznym, to drzewcem. I zona wróciła. Wiedział o tym Iwan że tej próby nie wytrzyma, tego że wróci. Potłukł ja na przywitanie straslziwie i odtąd są razem.

Siemion uśmiecha się do wspomnień. Potem pyta rzeczowo, co mu

635:6950960665

dam. Chce butelkę wina i trochę słoniny. Weźmie zesobą strzelbę, może uda mu się coś upolować na powrotnej drodze.

Oczywiście godzę się z wdzięcznością. Jakaż inna rada? Trzeba się spieszyć, minęła już godzina siódma. Chłop bierze plecach *Zbieramy się w drogę,* ja torbę i wychodzimy.

Pogoda słoneczna. Skrzą się dachy i szybki w drewnianych domkach. Na uliczkach tłumek okutanych w fufajki mieszkańców. No co – znaleźliście prewodnika z zadowoleniem stwierdzają ci, których rano nagabywałem o wskazówki.

4

Ale o to kończy się karczma i zaczyna step.

636:8854214016

NOTA BIBLIOGRAFICZNA

Poniższe teksty zostały wcześniej opublikowane we wskazanych miejscach, zaś w pracy pojawiają się w zmienionych wersjach:

- A. Gawryś, *Czesław Miłosz oczami Oli Watowej*, W: *Przed i po. Czesław Miłosz*. Red. J. Olejniczak, Wydawnictwo Pasaże Kraków, 2021, 323-334.

- A. Gawryś, *Związki przyjacielskie i związki literackie. Wat, Majakowski, Szkłowski*, W: Spojrzenie z ukosa. Literatura i kultura rosyjska w Polsce międzywojennej. Pod red. G. Pawlak i A. Sobieskiej, Wydawnictwo IBL PAN, Warszawa 2019, s. 141-159.

- A. Gawryś, *Meandry współautorstwa*. *Przypadek Oli Watowej*. W: *Artyst(ka): obecność i tożsamość*. Pod red. M. Popiel, K. Węgrzyn, M. Kustera. Kraków 2018, s. 29-45.

637:2994050017

BIBLIOGRAFIA

Bibliografia przedmiotowa:

1. Miłosz Cz., Watowa O., *Listy o tym, co najważniejsze*, zebrała i ułożyła w tom B. Toruńczyk, Kraków 2012.
2. Watowa O., *Gordon Craig (obrazki wspomnień)*, „Zeszyty Literackie" 2007, nr 99.
3. Watowa O., *Sznur,* „Wiadomości Literackie" 1972, Rok XXVII, nr 5 (1348).
4. Watowa O., *Wspomnienia (opowieść mówiona)*, „PULS. Kwartalnik Literacki" 1983, nr 18.
5. Watowa O., *Wszystko co najważniejsze,* Warszawa 1991.
6. Watowa O., *Wszystko co najważniejsze*. Rozmowy z Jackiem Trznadlem, Londyn 1984.
7. „Spisać wspomnienia" (SW) – aneks.
8. „Kochana Joanno" (KJ).
9. *Powrót* oraz *Pierwsza wędrówka przez step* (Beinecke Rare Book & Manuscript Library w Yale University, New Haven, *Teksty Oli Wat (wspomnienie z Kazachstanu – fragment)* – Gen MSS 705, Box 21, Folder 455, Aleksander Wat papers, Series II. Writings.
10. *Wigilia na wygnaniu w stepach kazachstańskich* – w aneksie.
11. *Praca w Ili* – w aneksie.
12. *Nagrane w Wolnej Europie* w 1986. Maszynopis odczytu wygłoszonego dla Radia Wolna Europa.

Materiały archiwalne (korespondencja i wywiady)

1. List Oli Watowej do Lidii Ciołkosz.
2. Wywiad z Olą Watową przeprowadzony przez Ewę Czarnecką z okazji wydania *Świata na haku i pod kluczem* Aleksandra Wata, dla Radia Wolna Europa (Paryż), 21.01.1986 r.
3. Szkic listu Oli Watowej do Jana Chodakowskiego.
4. List Włodzimierza Odojewskiego z dn. 9.07.1983 r.,
5. List Jana Chodkowskiego do Jacka Trznadla z dn. 4.11.1983 roku.
6. List Oli Watowej do Czesława Miłosza z dn. 8.12.1984 r. (Paryż).
7. List Czesława Miłosza do Oli Watowej z dn. 26.12.1984 r.
8. List Konstantego Jeleńskiego do Oli Watowej.
9. List Anna Kamieńskiej z dn. 25.11.1985 r.

638:2034911238

10. List Stanisława Wygodzkiego z dn. 30.12.1984 r.
11. List Stefania Kossowskiej z dn. 14.07.1984 r.
12. List Anna Frajlich-Zając z dn.15.11.1984 r.
13. List Barbary Toruńczyk, list z dn. 25.07.1984
14. List Oli Watowej do Jerzego Giedroycia (Paryż, 17 X 1971 r.).
15. List Czesława Miłosza do Oli Watowej z dn. 10 X 1976 r.
16. List Oli Watowej do Konstantego Jeleńskiego.
17. List do Konstantego Jeleńskiego z dn. 26.07.1984 r.

Bibliografia podmiotowa:

1. "Бывшие люди", w: *Российский гуманитарный энциклопедический словарь (*Rossiyskiy gumanitarnyy entsiklopedicheskiy slovar'), Petersburg 2002.
2. Abylkadyr Kyzy A., *Kirgiz i Kazach – etymologiczne podstawy kulturowej wspólnoty i odrębności,* „Kwartalnik Polonicum" 2018, nr 28-29.
3. Agamben G., *Część druga. Homo sacer* (passim), w: *Homo sacer. Suwerenna władza i nagie życie*, przeł. M. Salwa, posłowie P. Nowak, Warszawa 2008.
4. Antoniuk M., *Jak czytać stronę brulionu. Krytyka genetyczna i materialność tekstu*. „Wielogłos" 2017, nr 31.
5. Antoniuk M., *Krytyka genetyczna jako kulturowa poietyka (nie)pamięci*, „Teksty drugie" 2020, nr 6.
6. Antoniuk M., *Przybranie formy z dawna wyglądanej (dosięganej/ obiecanej/ wysnowanej…): brulion Czesława Miłosza: próba lektury*, „Tekstu drugie" 2014, nr 3 (147).
7. Antoniuk M., *Przyjemność przed-tekstu. Proces tekstotwórczy jako temat dla polskiego „literaturoznawstwa (w) przyszłości",* „Er(r)go. Teoria-Literatura-Kultura" 2017, nr 34.
8. *Archiwa i bruliony pisarzy. Odkrywanie*, pod red. M. Prussak, P. Bema, Ł. Cybulskiego, Warszawa 2017.
9. Arno A., *Pudło daktyli*, w: Tejże, *Kot. Opowieść o Konstantym A. Jeleńskim*, Warszawa 2020.
10. Arutczewa W.A., *Zapisnyje kniżki Majakowskogo,* w: *Litieraturnoje nasledstwo.* Tom 65. *Nowoje o Majakowskom,* Moskwa 1958.

639:4161041124

11. Austin J. L., *Mówienie i poznawanie. Rozprawy i wykłady filozoficzne*. Przeł. i przypisami opatrzył B. Chwedończuk, Warszawa 1993.
12. Autor nieznany, *Świadectwa*, „Tygodnik Powszechny" 1990, nr 35, 2.09.1990.
13. Autor nieznany, *Szermierz prawdy*, „Związkowiec" nr 50 (16.12.1990).
14. Autor nieznany, *Świadectwa: Ola Watowa*, „Tygodnik Powszechny" 1990, nr 35 (2.09.1990 r.)
15. Baltyn H., *Panie z tamtych czasów, czyli o dwóch książkach, które trzeba przeczytać*, „Gazeta Wyborcza" 1990, nr 445.
16. Baranowska M., *Aleksander Wat: choroba wieku,* w: *Sporne postaci polskiej literatury współczesnej,* pod red. A. Brodzkiej, Warszawa 1994.
17. Baron-Millan M., *Pół głosem, pół pismem. Wokół nowej edycji „Dziennika bez samogłosek" Aleksandra Wata*, „Pamiętnik Literacki" 2019, z. 1.
18. Barthes R., *Przyjemność tekstu*. Przeł. A. Lewańska, Warszawa 1997.
19. Bem P., Cybulski Ł., *Genetyka tekstów P.M. de Biasiego a polska recepcja krytyki genetycznej,* w: *Archiwa i bruliony pisarzy*. *Odkrywanie,* pod red. M. Prussak, P. Bema, Ł. Cybulskiego, Warszawa 2017.
20. Biasi P.-M. de, *Genetyka tekstów,* przeł. F. Kwiatek, M. Prussak, Warszawa 2015.
21. Bikont A., *Zaczęło się od „Hańby domowej",* „Gazeta Wyborcza" 2006, (6.10.2006).
22. Boćkowski D., *Czas nadziei. Obywatele Rzeczypospolitej Polskiej w ZSRR i opieka nad nimi placówek polskich w latach 1940–1943*, Warszawa 1999.
23. Bogusławski M. M., *Homo sacer w świecie chaosu: szkic o związkach Agambena z Nancym i Serres'em*. „Analiza i Egzystencja" 2010, nr 12.
24. Bułhakow M., *Mistrz i Małgorzata,* tłum. I. Lewandowska i W. Dąbrowski, 2005.
25. Chrząstkowska B., *Poezje Wata czytane w 2010 roku,* w: *Elementy do portretu. Szkice o twórczości Aleksandra Wata*, pod red. A. Czyżak i Z. Kopcia, Poznań 2011.
26. Ciechanowska A., *Opisując Nomadę...*, „Kultura Współczesna" 2010, nr 2, s. 191.
27. Cieliczko M., *Ola Watowa*, w: Tejże, *„On jest mistrzem, ja to wiem" – pisarka, edytorka, żona,* Warszawa 2013.
28. Ciesielski S., *Polacy w Kazachstanie w latach 1940–1946. Zesłańcy lat wojny,* Wrocław 1997.
29. Cixous H., *Śmiech Meduzy*, przeł. A. Nasiłowska, w: *Ciało i tekst. Feminizm w*

640:1015051933

literaturoznawstwie — antologia szkiców, red. A. Nasiłowska, Warszawa 2009.
30. Cybulska M. E., *„Wiem już jaka jestem*", „Dziennik Polski" (19.09.1984).
31. Czermińska M., *Świadek także mojego wieku,* w: Wat A., *Mój wiek. Pamiętnik mówiony*, t. 2, oprac. R. Habielski, Kraków 2011.
32. Czyżak A., *O Eurydyce*, w: *Elementy do portretu. Szkice o twórczości Aleksandra Wata*, pod red. A. Czyżak i Z. Kopcia, Poznań 2011.
33. Dawidowicz-Chymkowska O., *Przez kreślenie do kreacji. Analiza procesu tekstotwórczego zapisanego w brulionach dzieł literackich*, Warszawa 2007.
34. Derrida J., *O gramatologii*, przeł. B. Banasiak, Warszawa 1999.
35. Diłanian D., *Wszystko co najważniejsze*, „Antena. Pismo widzów i słuchaczy" 1989 (25.09-1.10.1989 r.).
36. Dziadek A., „*Mój wiek" Aleksandra Wata – uwagi do przyszłej edycji*, „Pamiętnik Literacki" 2020 z. 4.
37. Dziadek A., *Aleksander Wat w Beinecke Library w Yale*, „Teksty drugie" 2009, nr 6.
38. Dziadek A., *Pisanie somatyczne. Dotykanie sensu*. W: Tegoż: *Projekt krytyki somatycznej*, Warszawa 2014.
39. Dziadek A., *Przed-teksty a relacje intertekstualne (w kontekście krytyki genetycznej)*, „Forum Poetyki" 2019, nr 17, s. 23.
40. Dziadek A., *XX wiek jako doświadczenie somatyczne*, w: Wat A., *Mój wiek. Pamiętnik mówiony*, t. 2, oprac. R. Habielski, Kraków 2011.
41. Franaszek A., *Miłosz. Biografia*. Kraków 2012.
42. Freud S., *Objaśnianie marzeń sennych*, przeł. Robert Reszke, Warszawa 1996, s. 136.
43. Freud S., *Wstęp do psychoanalizy*, przeł. Salomea Kempnerówna i Witold Zaniewicki, Warszawa 1957.
44. Gawryś-Mazurkiewicz A., *Ekonomia niedoboru na nieludzkiej ziemi. O wspomnieniach polskich zesłańców z lat czterdziestych XX wieku do Kazachstanu.* W: „*Postscriptum Polonistyczne"* nr 2.
45. Gazda G., *Profesor Stefania Skwarczyńska. Subiektywna próba biografii*. „Pamiętnik Literacki" 2021, z. 1.
46. Giedroyc J., Miłosz Cz.. *Listy 1964-1972*. Oprac. M. Kornat, Warszawa 2011.
47. Gołębiowski B., *Wschodnie losy Polaków,* „Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego

641:4013873328

Towarzystwa Naukowego" 1992, nr 6.
48. Gorczyńska R., *Zostaje czułość*, „Nowy Tygodnik Nowojorski" 1984.
49. Graczykowska T., *Podgburek, łazik, sektant – leksykalne odzwierciedlenie wrogów państwa radzieckiego (na materiale z gazety „Trybuna Radziecka" z lat 1927-1938,* „Acta Neophilologica" 2014, XVI (1).
50. Habielski R., *O czytaniu mojego wieku*, w: *Mój wiek. Pamiętnik mówiony*, t. 2, oprac. R. Habielski, Kraków 2011.
51. Habielski R., *O powstawaniu „Mojego wieku"*, „Zeszyty Literackie" 2007, nr 99.
52. Hartwig J., *Zawsze powroty. Dziennik podróży*, Warszawa 2001.
53. Hertz Z., *Listy do Czesława Miłosza. 1952–1979*. Wybór i opracowanie R. Gorczyńska, Paryż 1992.
54. Ingarden R., *Z teorii dzieła literackiego. Dwuwymiarowa budowa dzieła sztuki literackiej,* W: *Problemy teorii literatury*, red. H. Markiewicz, Wrocław 1987, s. 7-54.
55. Jakowska K., *Granice „ja". O szyfrowanych dziennikach Orzeszkowej i Wata*, w: *Prace dedykowane profesor Swietłanie Musijenko,* red. nauk. A. Janicka, G. Kowalski, Ł. Zabielski, Białystok 2013.
56. Jarzębski J., *Mój wiek. Przygody idei i ciała*, w: A. Wat: *Mój wiek. Pamiętnik mówiony*, t. 2, oprac. R. Habielski, Kraków 2011,
57. Jarzyńska K.*, Powstawanie „Roku jagnięcia": między życiem a tekstem.* W: *Pracownia Herberta: studia nad procesem tekstotwórczym.* Red. M. Antoniuk. Kraków 2017.
58. Kaniewska B., *„Ja jestem Ty". W poszukiwaniu trzeciej prawdy*, w: *Elementy do portretu. Szkice o twórczości Aleksandra Wata*, pod red. A. Czyżak i Z. Kopcia, Poznań 2011.
59. Karpiński W., *Herb wygnania*, Warszawa 2012, s. 294.
60. Karpiński W., *Książki zbójeckie*, Londyn 1988.
61. Kaźmierska K., Waniek K., *Autobiograficzny wywiad narracyjny. Metoda-technika-analiza*. Łódź 2020.
62. Klecel M.*, Wiek Wata,* „Nowe książki" 1991.
63. Klich A., *Niewychowany. Watowie miłość ocalona z apokalipsy. Opowieść Andrzeja Wata*, „Gazeta Wyborcza" 2011 (17–18 grudnia).
64. Kłosiński K., *De(re)konstrukcja męskości*, „Teksty Drugie" 2015, 2.

642:2332528944

65. Kmiecik M., *Nota edytorska,* w: Wat A., *Dziennik bez samogłosek,* transkrypcja i oprac. M. Kmiecik, Kraków 2018.
66. Kmiecik M., *Szyfr w Dzienniku bez samogłosek Aleksandra Wata,* „Teksty Drugie" 2017, nr 4.
67. Kowalczykowa A., *Urywki wspomnień i oprac. listy rodziny do Oli Wat we Lwowie*, „Zeszyty Literackie" 2008, nr 1 (101).
68. Krawczyk J., Szymański J., *Bibliografia (1962-1994),* „Zeszyty Historyczne" 1996.
69. Krzywicka I., *Wyznania gorszycielki*, Warszawa 1996.
70. Kubiński G., *Narodziny podmiotu wirtualnego. Narracja. Dyskurs. Deixis,* Kraków 2008.
71. Kuczyńska-Koschany K., *Wat, poeta orficki*, „Colloquia Litteraria" 2012, nr 1.
72. Kurecka M., *To, co najważniejsze*, „Archipelag" 1984, nr 6.
73. Kurz A., *Opinie człowieka osobnego*, w: Wat A., *Mój wiek. Pamiętnik mówiony,* t. 2, oprac. R. Habielski, Kraków 2011.
74. Kwapiszewski M., *Od marksizmu dogmatycznego do humanistyki rozumiejącej. Badania nad romantyzmem w IBL PAN w latach 1948-1989*, Warszawa 2016.
75. Łabędzka A., *Paryskie adresy prof. Marty Wyki*, „Dekada Literacka" 2018, nr 1.
76. Lejeune P., *Pakt autobiograficzny*, tłum. A. Wit Labuda, „Teksty" 1975, nr 5.
77. *Listy Oli Watowej do Czesława Miłosza*, oprac. A. Dziadek, „Pamiętnik Literacki" 2011, z. 2.
78. Maruszewski T., *Pamięć autobiograficzna i tożsamość*, „Czasopismo Psychologiczne Psychological Journal" 2010, nr 1 (tom 16).
79. Micińska A., *Wszystko co najważniejsze*, w: Tejże, *Wędrówki bez powrotu*, Warszawa 2008.
80. Milewska Młynik A., *Polacy w Omsku*, „Niepodległość i Pamięć" 1998, nr 5/2 (11).
81. Miłosz Cz*., Rok myśliwego,* Kraków 1991.
82. Montewka A., *Wszystko, co najważniejsze w moim życiu, wiąże się z Aleksandrem...wizerunek męża we wspomnieniach Oli* Watowej, w: *Męskie światy w życiu kobiet. Literatura-historia-język,* pod red. B. Walęciuk-Dejneka, Kraków 2017
83. Norwid C. K., *Ducha Adama i skandal*, w: *Pisma wybrane. Wiersze,* wybrał i objaśnił J. W. Gomulicki, Warszawa 1968.

643:1115468006

84. Nurowska M., *Paradoks księdza Klimuszki*, „Życie Warszawy" 1991, nr 10 (13.01.1991).
85. Okopień-Sławińska A., *Sny i poetyka*, „Teksty" 1973, nr 2 (8).
86. Olejniczak J., *Aleksander Wat*, w: Tegoż, *Powroty w śmierć*, Katowice 2009.
87. Osiński J., Baigunakov D., Sabdenova G., *Państwowość kazachska: historia i rzeczywistość. Przyczynek do teorii państwa*, „Kwartalnik Kolegium Ekonomiczno-Społecznego. Studia i Prace" 2015, nr 1.
88. Ostrowska-Grabska H., *Bric á brac 1848–1939*, Warszawa 1978.
89. P. Mitzner P., *Wat i Craig,* „Zeszyty Literackie" 2007, nr 99.
90. Paustowski K., *Śnieg*, przeł. O. Watowa, „Nowiny Literackie" 1948, nr 152/
91. Pawlak A., *Szatnia: Piwo z Wielką Wdową,* „Przekrój" 2001, nr 30
92. Pekaniec A., *Literatura dokumentu osobistego kobiet: ewolucja teorii, zmiany praktyk lekturowych*. „Autobiografia. Literatura. Kultura. Media" 2014, nr 1(2).
93. Pekaniec A., *Nie tylko dzienniki. Oryginalne warianty kobiecej literatury dokumentu osobistego (na wybranych przykładach),* „Ruch Literacki" 2012, R. LII, Z. 4-5 (313-314).
94. Pietrych K., *Notatniki zamiast opus magnum*? „Teksty drugie" 2017, nr 4.
95. Pietrych P., *Czy Aleksander Wat był poetą?* „Czas Kultury" 2017, nr 3, s. 93.
96. Pietrych P., *Czy „pamflet na socrealizm"? O „Antyzoilu" Aleksandra Wata*, „Pamiętnik Literacki" 2007, z. 3.
97. *Pracownia Herberta. Studia nad procesem tekstotwórczym*, red. Mateusz Antoniuk, Kraków 2017.
98. Przychodniak Z., Recencje. Fragmenty. „Gazeta Poznańska" 1991, nr 236 (11.01.1991 r.)
99. *Relacje, wspomnienia, pamiętniki deportowanych,* w: *Deportacje i przemieszczenia ludności polskiej w głąb ZSRR 1939-1945. Przegląd piśmiennictwa,* red. T. Walichnowski, Warszawa 1989.
100. Ritz G., *Aleksander Wat – próba ponownego początku po roku 1946*, „Twórczość" 2001, nr 4.
101. Rosochacka A., *Potworne ciała protetycznego. Obcość uwewnętrzniona*, „Świat i słowo" 2012.

644:1053855095

102. Rozporządzenie nr 205 z dn. 9.02.1943 roku. Zob. D. Boćkowski, *Paszportyzacja*: w: *Czas nadziei. Obywatele Rzeczypospolitej Polskiej w ZSRR i opieka nad nimi placówek polskich w latach 1940–1943*, Warszawa 1999.
103. Ruszar J. M., *Śmierć wybitnego badacza*, „Nowy Napis" 2022, nr 135.
104. Ruta M., *Portrety podwójne Wspomnienia polskich Żydówek w sowieckiej Rosji*, „Studia Judaica" 24 (2021), nr 2 (48).
105. Rutkowski K., *Weranda na Grunwaldzkiej,* „Przegląd Polityczny" 1998, nr 37/38.
106. Shore M., *Kiedy Bóg umarł*, w: Tejże, *Kawior i popiół: życie i śmierć pokolenia oczarowanych i rozczarowanych marksizmem*, tłum. M. Szuster, Warszawa 2008.
107. Sikorska M., *Moja siostra – Ola Watowa. Z Marią Sikorską rozmawia Anna Baniewicz*, „Rzeczpospolita" 1991, nr 76 (2881).
108. Sławiński J., *Instytut Badań Literackich*, w: *Słownik realizmu socjalistycznego*, red. Z. Łapiński, W. Tomasik, Kraków 2004.
109. Smorąg M., *Kapryśna, lekka, zwiewna*... Ola Watowa (1903-1991), „Zeszyty Literackie" 1991, nr 35.
110. *Spis nauczycieli szkół wyższych, średnich, zawodowych, seminariów nauczycielskich oraz wykaz zakładów naukowych i władz szkolnych,* red. Z. Zagórowski, Lwów 1924.
111. Stala M., *„Błysk obrazu". W kręgu metafory heraklitejskiej i bezoglądowego obrazu poetyckiego*, w: *Metafora w liryce Młodej Polski. Metamorfozy widzenia poetyckiego*, Warszawa 1988.
112. Stanisz M., *Topika skromności w autorskich przedmowach do zbiorów lirycznych z pierwszej połowy XIX wieku*, w: *Wypowiedzi zalecające w książce dawnej i współczesnej*, red. M. Jurczykowa, B. Mazurkowa, Katowice 2015, s. 251.
113. Szczerkowska E., *„Cóż bym wiedziała"*, „Pogląd. Dwutygodnik „Towarzystwa Solidarność" 1984, nr 17/66 (Rok III), s. 44-46.
114. Szczęsna E., *Aforyzm i slogan – język jako zdarzenie fikcji*. „Teksty drugie" 2004, nr 1-2.
115. Szpakowska M., *Diabeł, poeta i plebs*, „Twórczość" 1991, nr 4.
116. Sztachelska J., *Żona w biografii twórczej artysty. Na marginesie listów Marii z Szetkiewiczów Sienkiewiczowej*. „Rocznik Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza" 2016, nr 423, rok IX (LI).

645:1114760064

117. Szymańska A., *Love story*. „Tygodnik Solidarność" 1991, nr 16 (135).
118. Taylor-Terlecka N., *Pisarze na zesłaniu – preteksty i konteksty,* w: *Elementy do portretu. Szkice o twórczości Aleksandra Wata*, pod red. A. Czyżak i Z. Kopcia, Poznań 2011, s. 175.
119. Trznadel J., *O Aleksandrze Wacie,* „Zeszyty Literackie" 1983, nr 4.
120. Trznadel J., *Co jest ważne?* „Kwartalnik Filmowy" 1993.
121. Trznadel J., *Czytanie Norwida: próby,* Warszawa 1978.
122. Trznadel J., *Głosy do wspomnień Aleksandra Wata,* „Puls" 1987, nr 33.
123. Trznadel J., *Hańba domowa. Rozmowy z pisarzami,* Paryż 1986.
124. Trznadel J., *Hańba domowa. Rozmowy z pisarzami,* Lublin 1990.
125. Trznadel J., *Hańba domowa. Rozmowy z pisarzami*. Nowe wydanie rozszerzone, Warszawa 2006.
126. Trznadel J., *Kolaboranci: Tadeusz Boy-Żeleński i grupa komunistycznych pisarzy we Lwowie 1939-1941*, Komorów 1998.
127. Trznadel J., *Kazimierz Więcek*, „Zeszyty Historyczne" 1993, z. 106.
128. Trznadel J., *Krótka pamięć.* „Tygodnik Solidarność" 1993, nr 32.
129. Trznadel J., *Moje staroświeckie sumienie*, „Tygodnik Solidarność" 1990, nr 38.
130. Trznadel J., *Listy do redakcji,* „Kwartalnik Filmowy" 1993, nr 2.
131. Trznadel J., *Płomień obdarzony rozumem: poezja w poezji i poza poezją. Eseje, Warszawa 1978.*
132. Trznadel J., *Źle z dobrem w przeplocie (o poezji Aleksandra Wata, ciąg dalszy)*, „Kultura Niezależna" 1987, nr 33.
133. Urbanik-Pęk W., *Fonosemantyczność poszczególnych głosek oraz ich zestawienie w tekście poetyckim*, W: *Ikoniczność w języku, literaturze i przekładzie,* red. E. Muskat-Tabakowska, E. Palich, A. Nowakowski, Kraków 2013.
134. Venclova T., *Aleksander Wat: obrazoburca*, przeł. J. Goślicki, Kraków 2000.
135. *Warunki egzystencji*, w: *Życie codzienne polskich zesłańców w ZSRR w latach 1940–1946*, red. S. Ciesielski, G. Hryciuk Wrocław 1997.
136. Wasilewski J. S., *Tabu, zakaz magiczny, nieczystość*, „Etnografia Polska", t. XXXI: 1987, z. 1.
137. Wat A., *Appendix,* w: Tegoż, *Mój wiek. Pamiętnik mówiony. Tom 2.* Oprac. R. Habielski,

646:1147473253

Kraków 2011.
138. Wat A., *Dziennik bez samogłosek*, red. K. Rutkowski, Londyn 1986.
139. Wat A., *Dziennik bez samogłosek*, oprac. K. Rutkowski, Warszawa 1990.
140. Wat A., *Dziennik bez samogłosek*, wydanie zmienione oprac. K. i P. Pietrychowie, Warszawa 2001.
141. Wat A., *Dziennik bez samogłosek*, transkrypcja i oprac. M. Kmiecik, Kraków 2018.
142. Wat A., *Ewokacja*, w: Tegoż, *Poezje zebrane*, oprac. A. Micińska i J. Zieliński, Kraków 1992.
143. Wat A., *Korespondencja. Część druga,* wybrała i oprac. Alina Kowalczykowa, Warszawa 2005.
144. Wat A., *Mój wiek. Pamiętnik mówiony*, Book Found, Londyn 1977.
145. Wat A., *Mój wiek. Pamiętnik mówiony*, t. 2, oprac. Rafał Habielski, Kraków 2011.
146. Wat A., *Moja żona*, w: Tegoż, *Dziennik bez samogłosek*, oprac. K. i P. Pietrychowie, Warszawa 2001.
147. Wat A., *Mon siècle*, przeł. G. Conio, J. Lajarrige. L'Âge d'Homme, Paris-Lausanne 1989.
148. Wat A., *My century. The odyssey of Polish intellectual*, przedmowa Cz. Miłosz, przeł. R. Lourie, Berkeley 1988, New York 1988, 1990;
149. Wat A., *Notatnik 5*, w: Tegoż, *Notatniki*. Transkrypcja i oprac. A. Dziadek i J. Zieliński, Warszawa–Katowice 2015.
150. Wat A., *Ostatni zeszyt*, w: *Notatniki*. Transkrypcja i opracowanie A. Dziadek i J. Zieliński, Warszawa-Katowice 2015.
151. Wat A., *Poślubiona*, w: Tegoż, *Ciemne świecidło*, Paryż 1968.
152. Wat A., *Żółw z Oxfordu*, w: Tegoż, *Wiersze wybrane*, wybór i oprac. A. Micińska, J. Zieliński, wstęp: J. Zieliński, Warszawa 1987.
153. Watowa O., *Dziennik podróży Oli Watowej*, edycja H. Rzepka, „Ruch Literacki" 2022, z. 2 (371).
154. Watowa O., *Wielki los, który przychodzi*. Rozmowę przeprowadziła B. Sułek, „Tygodnik Solidarność" 1990, nr 44 (30.10.1990 r.).
155. Więcek K., *Po lekturze Mojego wieku,* „Puls" 1987, nr 33.
156. Więcek P., *Powrót na ziemię: młodopolski obraz 'Terrae Matris'*, w: *Żywioły wyobraźni*

647:3639166561

poetyckiej XIX i XX wieku, red. A. Czabanowska-Wróbel, I. Misiak, Kraków 2008.

157. Witkowska H., *List samobójczy jako wypowiedź performatywna*, w: *Samobójstwo w kulturze dzisiejszej. Listy samobójców jako gatunek wypowiedzi i fakt kulturowy*, Warszawa 2021.
158. Wołk M., *Autografia i powtórzenie,* w: *Zagadnienia rodzajów literackich,* Tom LVII, Zeszyt 2 (114), Łódź 2014.
159. Wolska M., Obertyńska B., *Wspomnienia*, PIW, Warszawa 1974.
160. Woroszylski W., *Życie Majakowskiego*, Warszawa 1965.
161. Wyka M., *Fantomy*, „Dekada literacka" 1991.
162. Wyka M., *Przypisy do życia*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2007.
163. *W „antykwariacie anielskich ekstrawagancji". O twórczości Aleksandra Wata,* red. J. Borowski, W. Panas, Lublin 2000.
164. *Z archiwów sowieckich, t. 3: Konflikty polsko-sowieckie 1942-1944*, oprac. W. Roszkowski, Warszawa 1993.
165. Zaw., *Wszystko co najważniejsze*, „Trybuna" 1990, nr 170 (4.03.1990).
166. Zieliński J., *Ola Watowa*, w: „Culture.pl", https://culture.pl/pl/tworca/ola-watowa
167. Zieliński J., *Testamentum. O późnej poezji Aleksandra Wata*, „Culture.pl".
168. Zieliński J., *The Book of Love and Hate*, „Nowy Dziennik" 1988 (14.01.1988 r.).

648:9694444207

STRESZCZENIE

Rozprawa doktorska *Przeżywane, mówione, pisane. Wspomnienia Oli Watowej w świetle krytyki genetycznej* stanowi syntetyczne ujęcie pisarstwa Oli Watowej ukazane w perspektywie krytyki genetycznej oraz na tle wydarzeń z życia autorki. Znana dotąd jako co najwyżej edytorka lub koedytorka spuścizny swego męża oraz jako rozmówczyni Jacka Trznadla w książce *Wszystko co najważniejsze*, nie przyciągała dotąd uwagi jako pisarka. I chociaż wciąż nie można o niej powiedzieć, że była pełnokrwistą pisarką, to z pewnością trzeba dziś stwierdzić, że Ola Watowa bywała nią i to znacznie częściej niż dotąd sądziliśmy.

W pracy pojawiają się więc rozważania nad procesem genezy *Wszystko co najważniejsze* – omówieniu poddane zostają całkiem liczne nieopublikowane nigdy maszynopisy Watowej, pisane przez nią w różnych okresach, ale w czasach poprzedzających powstanie jej jedynej książki wspomnieniowej, a zatem wszystkie te wcześniejsze pisarskie przymiarki potraktowane zostają w rozprawie jako jej *dossier* genezy tego tekstu.

Przedstawiono literackie przygody Oli Watowej na szerokim i bogatym tle jej biografii z uwzględnieniem przyjaźni z Włodzimierzem Majakowskim, Czesławem Miłoszem, Konstantym Jeleńskim, Józefem Czapskim. W tworzeniu rozprawy bezcenne okazały się dwie kwerendy przeprowadzone w mieszkaniu/archiwum Andrzeja Wata, gdzie udało się znaleźć nie tylko niepublikowane maszynopisy autorki, ale także cenne, niepublikowane dotąd listy wielu prominentnych postaci polskiego życia literackiego na emigracji, krążących wokół domu Watów, a potem, po śmierci Aleksandra – Watowej. W pracy, poza *ineditami* Watowej, znalazły się też liczne *inedita* Miłoszowskie, pojedyncze listy Anny Kamieńskiej, Józefa Czapskiego i innych. Rozprawa powstawała też po przeprowadzeniu rozmów z kilkoma przyjaciółkami Oli Watowej: Martą Wyką, Moniką Gibson, Małgorzatą Smorąg-Goldberg i Anną Łabędzką, który zgodziły się życie nieco światła na sytuację życiową Oli po śmierci Aleksandra.

Kluczowy problem poruszony, opisany i ostatecznie – jak można sądzić – rozstrzygnięty w rozprawie to proces powstawania książki wspomnieniowej Oli Watowej, współautorstwo Jacka Trznadla aż do pretekstowego konfliktu zmierzającego do usunięcia go z karty tytułowej i tekstu. Drobiazgowo zrekonstruowano ciąg zdarzeń, które doprowadziły do przeprowadzenia serii nagrań, następnie powstania samej książki, prześledzono również korespondencję. Co jednak

649:6067529401

najważniejsze, dokonano transkrypcji ocalałych nagrań, których zawartość stanowi ważny dokument genezy *Wszystko co najważniejsze* i dokonano nowej ich transkrypcji zgodnie z zasadami wypracowanych przez badania genetyczne. Na aneks do niniejszej rozprawy, poza wspomnianymi już wcześniej *ineditami*, składa się całość rozmów Watowej z Trznadlem bez skreśleń i skrótów.

SŁOWA KLUCZE: krytyka genetyczna, biografizm, Ola Watowa, Aleksander Wat, Kazachstan

650:4896829096

SUMMARY

PhD Dissertation "Experienced, Spoken, Written: Ola Watowa's Memories From a Genetic Criticism Perspective" provides a synthetic approach to Ola Watowa's writings from the perspective of genetic criticism and in the context of the author's life events. Previously known at best as an editor or co-editor of her husband's legacy and as a conversation partner of Jacek Trznadel in the book "Everything that Matters," she has not yet attracted attention as a writer. Although it cannot be said that she was a fully-fledged writer, it is certain that Ola Watowa was indeed a writer, and much more frequently than previously believed.

The thesis explores the genesis process of "Everything that Matters". Several previously unpublished manuscripts written by Watowa during different periods but preceding the creation of her only memoir are discussed, treating all these earlier writing attempts as her *dossier* in the genesis of this text.

The literary adventures of Ola Watowa are presented against the backdrop of her rich biography, including her friendships with Włodzimierz Majakowski, Czesław Miłosz, Konstanty Jeleński, and Józef Czapski. Two valuable queries conducted in Andrzej Wat's apartment/archive proved essential in the dissertation, where not only unpublished manuscripts by the author were found but also valuable, hitherto unpublished letters from many prominent figures of Polish literary life in exile, revolving around the Wats' home and later, after Aleksander's death, Watowa's. The thesis includes numerous unpublished works by Miłosz, individual letters by Anna Kamieńska, Józef Czapski, and others. Additionally, the dissertation incorporates interviews with several friends of Ola Watowa: Marta Wyka, Monika Gibson, Małgorzata Smorąg-Goldberg, and Anna Łabędzka, who shed light on Ola's life situation after Aleksander's death.

The key problem addressed, described, and ultimately resolved in the dissertation is the process of creating Ola Watowa's memoir, co-authored by Jacek Trznadel until a pretextual conflict aimed at removing him from the title page and the text itself. The sequence of events leading to the recording sessions, the creation of the book, and the correspondence were meticulously reconstructed. Most importantly, the surviving recordings were transcribed, their content being an important document in the genesis of "Everything that Matters," and they were newly transcribed according to the principles developed by genetic research. In addition to the aforementioned

651:4152087280

unpublished materials, the appendix to this dissertation includes the complete conversations between Watowa and Trznadel without deletions or abbreviations.

KEY WORDS: Genetic Criticism, biographism, Ola Watowa, Aleksander Wat, Kazakhstan

652:5663356940